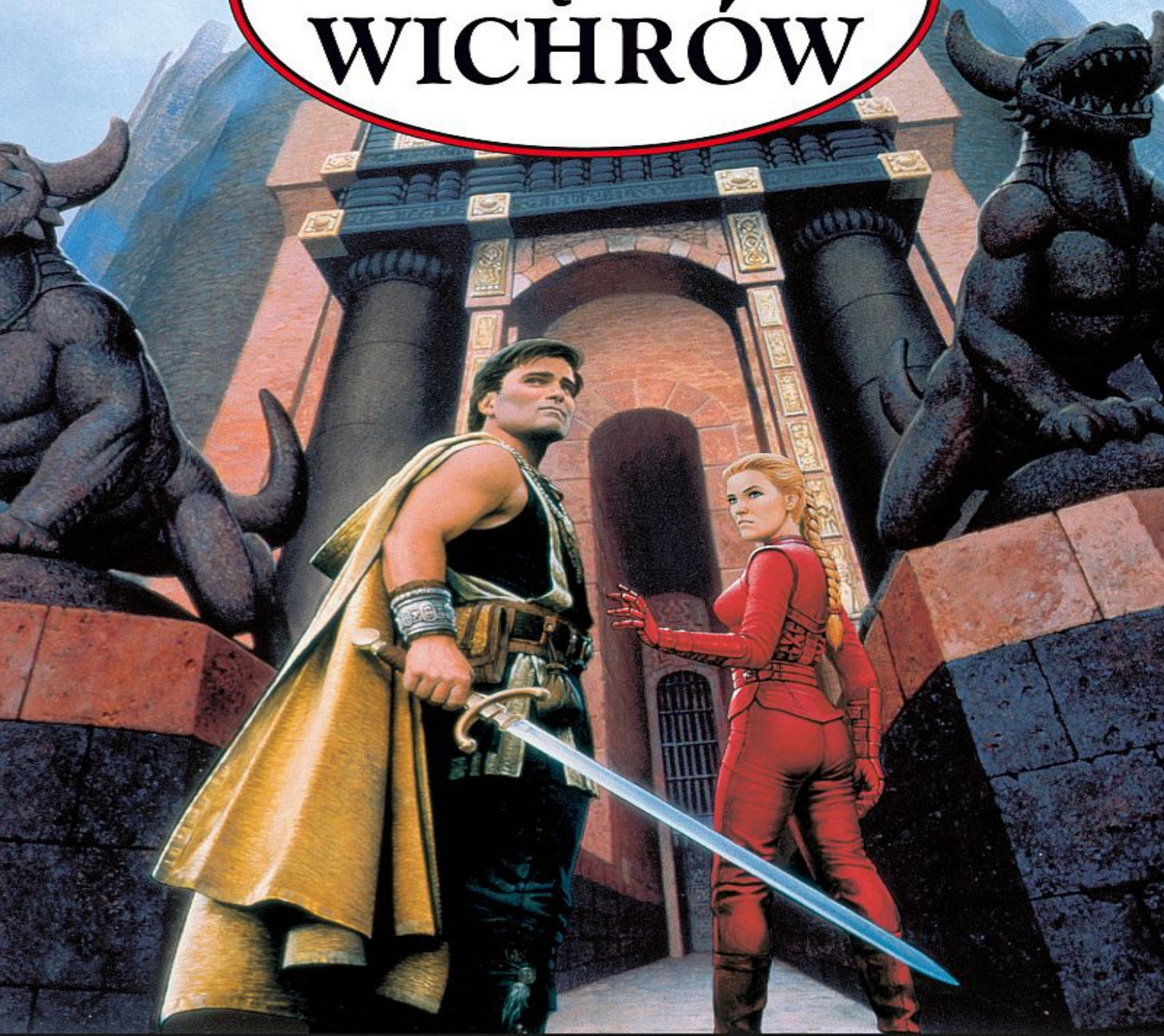


Fantasy

ŚWIĄTYNIA WICHRÓW



TERRY GOODKIND

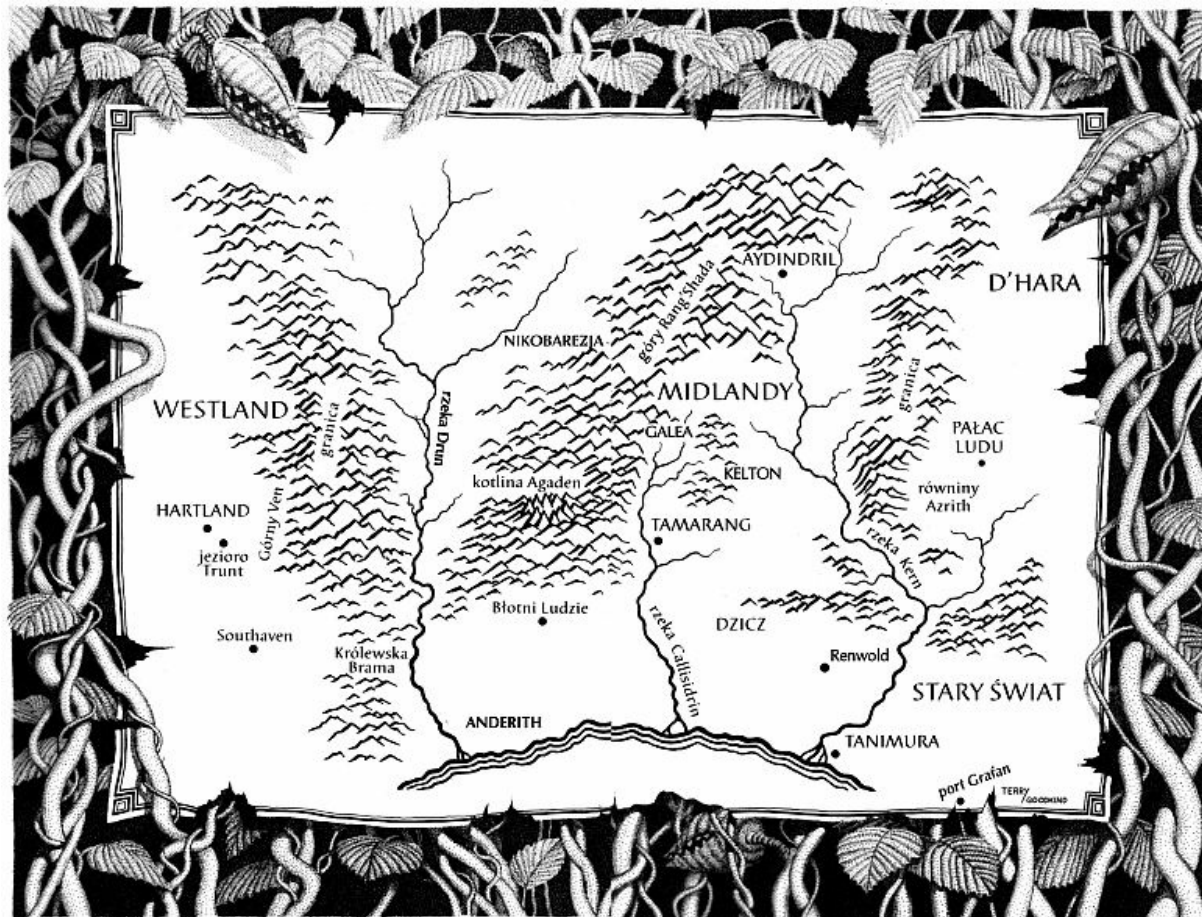
Terry Goodkind

Świątynia Wichrów

Tom IV serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



Mojej przyjaciółce Rachel Kahlandt, która rozumie.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojemu wydawcy, Jamesowi Frenkelowi, za pomoc i cierpliwość; wszystkim nie szczędzącym wysiłku pracownikom wydawnictwa TOR; mojemu brytyjskiemu wydawcy, Carolinie Oakley, za wyrozumiałość; mojemu agentowi, Russellowi Galenowi, za wskazówki i wsparcie; mojemu przyjacielowi, Donaldowi L. Schassbergerowi, za cenne rady; oraz Keithowi Parkinsonowi, za znakomitą okładkę.

ROZDZIAŁ 1

- Pozwól mi go zabić - poprosiła Cara, której kroki dudniły na marmurowej posadzce jak uderzenia młota.

Miękkie skórzane buty, które okrywała elegancka biała szata Spowiedniczki, niemal bezszelestnie stąpały po zimnym kamieniu, a Kahlan starała się dotrzymać kroku Mord-Sith, nie biegnąc przy tym.

- Nie.

Cara milczała, jej niebieskie oczy wpatrywały się w szeroki, ciągnący się w dal korytarz. Tuż przed obiema kobietami kroczyło nim dwunastu d'harańskich żołnierzy w skórzanych uniformach lub kolczugach. Ich pozbawione ozdób miecze tkwiły w pochwach, bojowe topory o półkolistych ostrzach wisały u pasów. Czujne oczy przepatrywały cienie w przejściach i pomiędzy kolumnami, dłonie zaciskały się na drewnianych styliskach. Skłonili się pospiesznie Kahlan, jedynie na chwilę odwracając uwagę od swego zadania.

- Nie możemy go po prostu zabić. Musimy się wszystkiego dowiedzieć - wyjaśniła Kahlan.

Brew uniosła się nad lodowatym, niebieskim okiem.

- Och, przecież nie powiedziałam, że nic nam nie wyzna, zanim umrze. Kiedy z nim skończę, odpowie na wszystkie twoje pytania. - Po nieskazitelnej twarzy przemknął bezlitosny uśmiech. - To zajęcie Mord-Sith: skłaniać ludzi, żeby odpowiadali na pytania. - Zamilkła, a uśmiech powrócił, tym razem pełen profesjonalnej dumy. - Zanim umrą.

Kahlan westchnęła.

- To już nie jest twoje zajęcie, Caro, i nie twoje życie. Teraz masz chronić Richarda.

- I właśnie dlatego powinnaś mi pozwolić go zabić. Nie możemy ryzykować, pozostawiając go przy życiu.

- Nie. Najpierw musimy się dowiedzieć, o co chodzi, i na pewno nie uczynimy tego na twój sposób.

Smutny uśmiech Cary znów zniknął.

- Jak sobie życzysz, Matko Spowiedniczko.

Kahlan zastanawiała się, jak Cara zdołała się tak szybko przebrać w

obcisły uniform z czerwonej skóry. Ilekroć pojawiał się choć cień kłopotów, zawsze przynajmniej jedna z trzech Mord-Sith natychmiast się pojawiała - jakby znikąd - w swoim czerwonym skórzanym stroju. Na czerwieni, jak często podkreślały, nie widać było plam krwi.

- Jesteś przekonana, że ów człowiek to powiedział? To na pewno były jego słowa?

- Tak, Matko Spowiedniczko, dokładnie tak powiedział. Powinnaś pozwolić mi go zabić, nim będzie miał okazję, by spróbować zrealizować swój zamiar.

Szły pospiesznie korytarzem. Kahlan zignorowała ponowną prośbę Cary.

- Gdzie jest Richard?

- Chcesz, żebym sprowadziła lorda Rahla?

- Nie! Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jest, na wypadek gdyby były jakieś kłopoty.

- Powiedziałabym, że to można uznać za kłopot.

- Mówiłaś, że ze dwie setki żołnierzy trzymają go pod strażą. Jakie kłopoty może sprawić człowiek, w którego są wymierzone te wszystkie miecze, topory i strzały?

- Mój poprzedni władca, Rahl Posepny, wiedział, że sama stal nie zawsze zdoła ustrzec przed niebezpieczeństwem. To dlatego miał zawsze przy sobie gotowe do działania Mord-Sith.

- Ten zły człowiek zabijałby ludzi, nie zadając sobie nawet trudu sprawdzenia, czy istotnie są dlań niebezpieczni. Richard nie jest taki, ja też nie. Dobrze wiesz, że nigdy nie waham się usunąć prawdziwego zagrożenia, lecz jeśli ten człowiek jest kimś więcej, niż wydaje się być, to dlaczego tak drży przed orężem? Poza tym jako Spowiedniczka nie jestem wcale tak bezbronna wobec zagrożenia, którego nie powstrzyma stal. Nie wolno nam tracić głowy. Nie ulegajmy zbyt pochopnie osądom, które mogą być bezpodstawne.

- Skoro nie wierzysz, że on może sprawić kłopoty, to dlaczego niemal biegnę, by dotrzymać ci kroku?

Kahlan uświadomiła sobie, że o pół kroku wyprzedza Carę. Zwolniła do szybkiego marszu.

- Bo mówimy o Richardzie - powiedziała niemal szeptem.

- Martwisz się tak samo jak ja - powiedziała Cara i uśmiechnęła się z

wyższością.

- Jasne, że tak. Ale z tego, co wiemy, wynika, że zabicie owego człowieka, jeśli w ogóle jest kimś więcej, niż się wydaje, mogłoby się równać uruchomieniu pułapki.

- Może i masz rację, ale to zadanie dla Mord-Sith.

- Cóż, więc gdzie jest Richard?

Cara chwyciła czerwoną skórę przy swoim nadgarstku i poruszając pięścią, mocniej naciągnęła wzmocnioną metalem rękawicę. Agiel - straszliwa broń, która wyglądała jak długa na stopę, gruba jak palec czerwona skórzana różdżka - wisiał na złotym łańcuszku okalającym prawy nadgarstek Mord-Sith, zawsze gotowy do użycia.

Podobny wisiał na łańcuszku na szyi Kahlan, lecz w dłoniach dziewczyny nie był bronią. Był darem od Richarda - symbolizował ból i wyrzeczenia obojga.

- Jest poza pałacem, w jednym z ustronnych parków. - Cara wskazała przez ramię. - O, w tamtym kierunku. Są z nim Raina i Berdine.

Kahlan z ulgą przyjęła wiadomość, że czuwają nad nim dwie pozostałe Mord-Sith.

- Ma to jakiś związek z niespodzianką, którą mi szykuje?

- Jaką niespodzianką?

- Na pewno ci powiedział, Caro. - Kahlan się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że mi powiedział. - Tamta zerknęła nań spod oka.

- Więc co to takiego?

- Powiedział mi również, bym ci nie mówiła.

- Nie zdradzę mu, że mi powiedziałaś. - Kahlan wzruszyła ramionami.

W śmiechu Mord-Sith, podobnie jak w jej niedawnym uśmiechu, nie było wesołości.

- Lord Rahl ma szczególny talent do dowiadywania się o różnych sprawach, zwłaszcza o takich, które chciałoby się przed nim zataić.

Kahlan dobrze o tym wiedziała.

- Cóż więc tam robi?

Cara na chwilę zaciśnęła usta.

- Takie tam zajęcia pod gołym niebem. Znasz lorda Rahla i wiesz, jak bardzo to lubi.

Kahlan spojrzała na nią: twarz strażniczki była niemal tak czerwona jak

jej skórzany uniform.

- Jakież to zajęcia pod gołym niebem?

Cara osłoniła usta wzmocnioną stałą rękawicą i odchrząknęła.

- Oswaja wiewiórki ziemne.

- Co robi? Nie dosłyszałam. Kobieta niecierpliwie machnęła dłonią.

- Powiedział, że wiewiórki ziemne wyszły z ukrycia, by sprawdzić, jaka jest pogoda. Oswaja je. - Wydeła z oburzeniem policzki. - Ziamami.

Kahlan uśmiechnęła się na myśl, że Richard - człowiek, którego kochała, który został władcą D'Hary i któremu jadły z ręki niemal całe Midlandy - spędza miło popołudnie, ucząc wiewiórki ziemne, by jadły ziarna z jego dłoni.

- Hmm, to brzmi całkiem niewinnie: karmić ziarnem wiewiórki ziemne.

Cara znów poruszyła dłonią w pancernej rękawicy; przeszły między dwoma d'harańskimi gwardzistami.

- Uczy te wiewiórki - rzuciła przez zaciśnięte zęby - Żeby jadły ziarno z rąk Rainy i Berdine! A one chichoczą! - Wyrzuciła w górę ramiona i spojrzała ze wstydem ku sufitowi, a Agiel zakołysał się na złotym łańcuszku okalającym jej nadgarstek. - Chichoczące Mord-Sith!

Kahlan zacisnęła mocno usta, z całej siły powstrzymując się od wybuchnięcia śmiechem. Cara przerzuciła do przodu swój długi jasny warkocz i gładziła go w sposób, który niemile przypominał Kahlan ruchy widzmy Shoty głaszczącej węże.

- No cóż, może to nie z ich woli. Przecież łączy je z Richardem więź. Może im to nakazał, a one po prostu wypełniają jego rozkaz - powiedziała, starając się wyciszyć oburzenie tamtej.

Cara zerknęła na nią z niedowierzaniem. Kahlan wiedziała, że każda z trzech Mord-Sith aż do końca broniłaby Richarda i poświęciłaby dla niego własne życie - udowodniły, że są gotowe bez wahania za niego umrzeć - lecz chociaż łączyła je z nim magiczna więź, spokojnie ignorowały jego rozkazy, jeśli uznały je za błahe, nieistotne lub niemądre. Dziewczyna uważała, że postępowały tak, ponieważ Richard zwolnił je z zachowywania surowych, właściwych ich zajęciu norm, a Mord-Sith z radością korzystały z danej im wolności. Rahl Posępny - ich poprzedni władca, ojciec Richarda - zabiłby je natychmiast, gdyby tylko powziął podejrzenie, że biorą pod uwagę zlekceważenie jego rozkazów, nawet tych najbliższych.

- Powinnaś jak najszybciej poślubić lorda Rahla. Wówczas zamiast uczyć wiewiórki ziemne, by jadły z dłoni Mord-Sith, sam będzie jadł z twojej.

Kahlan westchnęła i zaśmiała się cichutko, myśląc o poślubieniu go. To powinno się stać już niedługo.

- Richard dostanie moją rękę, lecz powinnaś wiedzieć, jak zresztą każdy, że nie będzie z niej jadł, a ja wcale bym tego nie chciała.

- Kiedy już odzyskasz rozsądek, przyjdź do mnie, a nauczę cię, jak do tego doprowadzić. - Cara przeniosła uwagę na czujnych d'harańskich żołnierzy, którzy - bez wątpienia na jej polecenie - sprawdzali każdy korytarz i zagłądali za każde drzwi.

- Egan też jest z lordem Rahlem. Lordowi nic nie zagrazi, kiedy będziemy się zajmować tym człowiekiem. Kahlan przestała się uśmiechać.

- Ale jak on się tu dostał? Wszedł wraz ze składającymi prośby?

- Nie. - Głos Cary znów przenikał profesjonalny chłód. - Ale zamierzam się tego dowiedzieć. Z tego, co wiem, po prostu podszedł do patrolu stojącego w pobliżu komnaty Naczelnej Rady i zapytał, gdzie może znaleźć lorda Rahla. Zupelnie jakby każdy mógł przyjść i domagać się spotkania z władcą D'Hary, jakby ten był Pierwszym Rzeźnikiem, do którego idzie się po wyborowy kawałek jagnięciny.

- To wtedy gwardziści spytali go, dlaczego chce się widzieć z Richardem?

Cara potaknęła i dodała:

- Uważam, że powinniśmy go zabić.

Kahlan zrozumiała, o czym myśli Mord-Sith, i przeszył ją lodowaty dreszcz.

Cara nie była tylko agresywną przyboczną strażniczką gotową bez skrupułów przelać czyjąś krew - ona się bała. Bała się o Richarda.

- Chcę wiedzieć, jak się tu dostał. Podszedł do patrolu już w pałacu, a nie powinien w ogóle dostać się do środka i krążyć bez przeszkód po korytarzach. Może jest jakaś szczelina w ochronie? Chyba lepiej się tego dowiedzieć, zanim pojawi się następny, również nie racząc się zaanonsować?

- Dowiemy się, jeśli pozwolisz mi zastosować moje metody.

- Jeszcze zbyt mało wiemy, więc nie może umrzeć, bo wówczas Richardowi groziłoby większe niebezpieczeństwo.

- No dobrze, zabierzemy się do tego na twój sposób, przynajmniej dopóki

będziesz pamiętać, że mam rozkazy, których się muszę trzymać - westchnęła Cara.

- Jakie rozkazy?

- Lord Rahl nakazał nam, żebyśmy cię chroniły tak samo jak jego. - Potrząśnięciem głowy odrzuciła do tyłu warkocz. - Jeżeli będziesz zbyt nieostrożna, Matko Spowiedniczko, i swoim zakazem niepotrzebnie narazisz Richarda na niebezpieczeństwo, cofnę dane mu pozwolenie, by cię zatrzymał.

Kahlan się roześmiała, lecz Cara nawet się nie uśmiechnęła i śmiech dziewczyny ucichł. Matka Spowiedniczka nigdy nie była pewna, kiedy Mord-Sith żartują, a kiedy są śmiertelnie poważne.

- Tędy - wskazała Kahlan. - To krótsza droga, a poza tym ze względu na naszego osobliwego gościa chcę sprawdzić, kto czeka w sali. Może on ma jedynie odciągnąć naszą uwagę od kogoś innego, kto stanowi prawdziwe zagrożenie.

Cara ściągnęła brwi, jakby ją spotkał afront.

- A niby dlaczego otoczyłam strażami Salę Posłuchań?

- Mam nadzieję, że zrobiłaś to wystarczająco dyskretnie. Nie ma potrzeby przerażać niewinnych ludzi.

- Powiedziałam oficerom, by nie straszili ludzi, jeśli nie będą musieli tego robić, ale ochrona lorda Rahla to nasz najważniejszy obowiązek.

Kahlan potaknęła; temu nie mogła zaprzeczyć.

Dwaj potężnie umięśnieni gwardziści skłonili się, a wraz z nimi blisko dwudziestu innych, którzy stali w pobliżu, i otworzyli wysokie, okute mosiądzem drzwi wiodące do arkadowego przejścia. Wzdłuż białych marmurowych kolumn biegła kamienna balustrada wsparta na tulipanowych słupkach. Była to raczej symboliczna niż rzeczywista bariera oddzielająca zanoszących prośby ludzi, którzy oczekiwali w długiej na sto stóp komnacie, od przejścia dla urzędników. Komnatę rozjaśniały świetliki umieszczone w znajdującym się trzydzieści stóp wyżej stropie, ale przejście skąpane było w złocistym blasku lamp zwieszających się z każdego przecięcia łuków na stropie.

Przychodzenie do Pałacu Spowiedniczek po radę i pomoc było bardzo dawnym zwyczajem. Proszono o rozstrzygnięcie najrozmaitszych spraw: od załagodzenia kłótni handlarzy o prawa do narożników najlepszych ulic, po

zbrojną pomoc w granicznych sporach rozmaitych państw. Sprawy, którymi mogli się zająć miejscy urzędnicy, kierowano do odpowiednich biur. Petycje przedkładane przez dygnitarzy poszczególnych krain - jeśli dotyczyły spraw uznanych za odpowiednio ważne lub takich, których się inaczej nie da załatwić - trafiały przed oblicze Naczelnej Rady. Sala Posłuchań była miejscem, w którym wyżsi urzędnicy protokołu kierowali prośby na odpowiednią drogę.

Kiedy Rahl Posępny zaatakował Midlandy, zabito w Aydindril wielu urzędników. Zginął również Saul Witherrin, Szef Protokołu, i większość jego pracowników. Richard pokonał Rahla Posępnego i - jako jego potomek, który odziedziczył magiczny dar - został władcą D'Hary. Zakończył walki i niesnaski między krainami Midlandów, zażądawszy, by poddały się jego władzy. Chciał z nich uczynić siłę zdolną przeciwstawić się zagrożeniu ze strony Starego Świata, ze strony Imperialnego Ładu...

Kahlan niechętnie widziała się w roli Matki Spowiedniczki, za której panowania nastąpił kres Midlandów jako formalnej całości, jako konfederacji suwerennych krain, rozumiała jednak, że jej głównym obowiązkiem jest chronić życie ludzi, a nie tradycję.

Imperialny Ład, gdyby nikt mu się nie przeciwstawił, pogrążyłby cały świat w niewoli, a Midlandczyków uczyniłby swoją własnością. Richard dokonał tego, co się nie powiodło jego ojcu, lecz zrobił to z całkowicie odmiennych powodów. Kahlan kochała chłopaka i wiedziała, że sięgnął po władzę w dobrych zamiarach.

Wkrótce wezmą ślub, a ich małżeństwo na zawsze zespoli w pokoju Midlandy i D'Hare. Co więcej, będzie spełnieniem ich miłości i najgorętszego pragnienia: krainy te będą stanowić jedność.

Kahlan brakowało Saula Witherrina, który był znakomitym doradcą. Teraz sprawy protokołu były w nieładzie, zwłaszcza że członkowie Naczelnej Rady też nie żyli, a Midlandy stanowiły część D'Hary. Przy balustradzie stało kilku sfrustrowanych d'harańskich oficerów i starało się załatwiać swoje sprawy.

Kahlan weszła i przesunęła wzrokiem po czekającym tłumie, sprawdzając, jakież to sprawy trafiły tego dnia do pałacu. Stroje zdradzały, że większość czekających pochodziła z Aydindril. Byli tu robotnicy, sklepikarze i kupcy.

Dostrzegła również grupkę dzieci, które zapamiętała z poprzedniego dnia, kiedy to Richard zabrał ją ze sobą, by obejrzała Ja'La. Wtedy po raz pierwszy widziała ową szybką grę; przez kilka godzin obserwowali Jak dzieci grają i śmieją się. Dzieciaki na pewno chcieli, żeby Richard przyszedł podziwiać kolejny mecz, bo gorliwie kibicował każdej drużynie. Kahlan sądziła, że gdyby nawet ze szczególnym zapałem dopingował tylko jedną z nich, dzieciom i tak nie robiłoby to różnicy, ponieważ lgnęły doń, instynktownie wyczuwając jego dobre serce.

Dziewczyna rozpoznała także grupkę dyplomatów z kilku mniejszych krain.

Miała nadzieję, że przybyli zaakceptować propozycję Richarda, poddać się pokojowo i zjednoczyć pod d'harańskim panowaniem. Znała władców owych krain i oczekiwała, że ulegną jej naleganiom i przyłączą się do walki o wolność.

Kahlan dojrzała też dyplomatów niektórych większych krain, tych które miały regularne wojska. Oczekiwano ich przybycia, a Richard i ona mieli się dzisiaj spotkać i z nimi, i z innymi nowo przybyłymi przedstawicielami, by usłyszeć ich postanowienie.

Kahlan chciałaby, żeby Richard bardziej odpowiednio się ubrał. Leśny strój dobrze mu dotąd służył, ale teraz powinien nosić szaty bardziej odpowiadające nowej sytuacji, w której się znalazł. Teraz był kimś o wiele ważniejszym niż leśny przewodnik. Sama przez całe niemal życie należała do osób mających władzę, wiedziała więc, jak bardzo czasami ułatwia sprawy to, że spełnia się oczekiwania ludzi. Wątpiła, czy osoby potrzebujące leśnego przewodnika poszłyby za Richardem, gdyby nosił strój nieodpowiedni do wyprawy w lasy Obecnie chłopak był ich przewodnikiem w zdradliwym świecie nie sprawdzonych zależności i nowych nieprzyjaciół. Richard często pytał ją o radę, więc musi z nim porozmawiać o innym stroju.

Ludzie oczekujący w Sali Posłuchań dostrzegli wchodzącą do przejścia Matkę Spowiedniczkę i natychmiast ucichły rozmowy, a wszyscy zaczęli przyklękać i oddawać głęboki pokłon. Nie było w Midlandach nikogo, kto miałby większą władzę niż Matka Spowiedniczka, choć Kahlan była najmłodsza ze wszystkich, które dotąd piastowały to stanowisko. Jednak Matka Spowiedniczka to Matka Spowiedniczka - bez względu na wiek kobiety pełniącej tę funkcję. Ludzie kłaniali się nie tyle kobiecie, ile

odwiecznemu autorytetowi.

Sprawy Spowiedniczek, które wybierały Matkę Spowiedniczkę, były zagadką dla większości Midlandczyków. A dla Spowiedniczek wiek miał drugorzędne znaczenie. Wybierały ją, by strzegła wolności i praw mieszkańców Midlandów, lecz ludzie rzadko tak na to patrzyli. Dla większości władca był po prostu władcą.

Niektórzy byli dobrzy, inni źli. Matka Spowiedniczka, jako władczyni władców, popierała dobrych i ukrócała postęпки złych. Jeżeli któryś z rządzących był zbyt nieudolny, miała prawo go usunąć. Taka była rola Matki Spowiedniczki. Jednak dla większości ludzi odległe im sprawy rządzenia wyglądały na zwyczajne kłótnie władców.

Salę Posłuchań wypełniła nagła cisza, a Kahlan przystanąła, żeby pozdrowić zgromadzonych w niej ludzi.

Młoda kobieta, która stała pod przeciwległą ścianą, obserwowała, jak wszyscy wokół przyklękają na kolano. Spojrzała na Kahlan, potem na klęczących i poszła za ich przykładem.

Kahlan zmarszczyła brwi.

W Midlandach długość włosów kobiety świadczyła o jej pozycji i władzy. A sprawy władzy, choćby się wydawały nie wiadomo jak błahe, traktowano tu bardzo poważnie. Nawet królowa nie mogła mieć włosów tak długich jak Spowiedniczka, żadna zaś Spowiedniczka - tak długich jak Matka Spowiedniczka.

A ta kobieta miała gęste kasztanowe włosy, których długość dorównywała niemal długości włosów Kahlan.

Matka Spowiedniczka знаła prawie wszystkich midlandzkich arystokratów.

Był to jej obowiązek i traktowała go bardzo poważnie. Kobieta z tak długimi włosami na pewno była osobą wysoko postawioną, ale Kahlan jej nie rozpoznawała. Jeśli naprawdę pochodziła z Midlandów, to - poza nią samą, Matką Spowiedniczką - w całym Aydindril nie było chyba człowieka, który by ją przewyższał rangą.

- Wstańcie, moje dzieci - rzuciła oficjalnie w kierunku schylonych w pokłonie głów.

Ludzie zaczęli się podnosić, szeleściły suknie i surduty, większość patrzyła w podłogę - już to z szacunku, już to z niepotrzebnego strachu.

Tamta kobieta również się podniosła, skręcając przy tym w palcach skromną chusteczkę i obserwując sąsiadów. I ona, jak większość, patrzyła piwnymi oczami w podłogę.

- Caro, czy ta kobieta z długimi włosami może być D'Haranką? - szepnęła Kahlan.

Cara, która poznała część midlandzkich zwyczajów, również się tamtej przyglądała. Włosy Mord-Sith były niemal tak długie jak włosy Kahlan, lecz przecież była D'Haranka. Nie obowiązywały jej te same obyczaje.

- Ma zbyt rezolutny nosek jak na D'Haranke.

- Nie żartuj. Czy według ciebie może być D'Haranka? Strażniczka przyjrzała się tamtej dokładnie.

- Wątpię. D'harańskie kobiety nie wkładają sukni w kwiaty, poza tym ich suknie mają inny krój. Ale ubiór można zmienić, by lepiej pasował do okoliczności lub do strojów noszonych przez miejscowych.

Suknia nie bardzo pasowała do tych, w które ubierano się w Aydindril, ale mogła być zupełnie na miejscu w jakichś odległych zakątkach Midlandów. Kahlan przytaknęła i odwróciła się ku czekającemu kapitanowi, dając mu znak, by się zbliżył.

Pochylił ku niej głowę, bo odezwała się doń bardzo cicho.

- Za moim lewym ramieniem, w głębi, pod ścianą, stoi kobieta z długimi kasztanowymi włosami. Wiesz, o kim mówię?

- Ta ładna w niebieskiej sukni?

- Tak. Wiesz, dlaczego tu przyszła?

- Mówiła, że chce rozmawiać z lordem Rahlem.

Kahlan mocniej zmarszczyła brwi. Zauważyła, że Cara zrobiła to samo.

- O czym?

- Mówiła, że szuka jakiegoś mężczyzny: Cy... czy jakoś tak, ale ja nie znam takiego imienia. Twierdzi, że nie ma go od jesieni i że powiedziano jej, iż lord Rahl może będzie mógł jej pomóc.

- Może i tak - stwierdziła Kahlan. - A mówiła, co ją łączy z tym zaginionym mężczyzną?

Kapitan spojrzał na tamtą kobietę i odgarnął z czoła rudawoblond włosy.

- Mówiła, że ma wyjść za niego. Kahlan skinęła głową.

- Bardzo możliwe, że jest kimś ważnym, lecz jeśli tak, to muszę z zakłopotaniem przyznać, iż nie znam jej imienia.

Kapitan popatrzył na wymiętą, pospiesznie nabazgraną listę. Odwrócił kartę i przejrzał drugą stronę, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Powiedziała, że ma na imię Nadine. Nie podała żadnego tytułu.

- Zadbaj, proszę, by lady Nadine zaprowadzono do osobnej komnaty, w której będzie mogła wygodnie czekać na posłuchanie. Powiedz jej, że przyjdę z nią porozmawiać i zobaczę, czy będę mogła pomóc. Niech przyniosą jej posiłek oraz to, co może jej być potrzebne. Przepróż lady Nadine w moim imieniu i dodaj, że najpierw muszę się zająć bardzo ważną sprawą, lecz że przyjdę do niej, jak tylko będę mogła, i że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by jej pomóc.

Jeśli owa kobieta istotnie została rozdzielona z tym, którego kochała, i szukała go teraz, Kahlan doskonale rozumiała jej rozpacz. Sama również to przeżyła i dobrze pamiętała tamtą udrękę.

- Natychmiast się tym zajmę, Matko Spowiedniczko.

- Jeszcze jedno, kapitanie. - Kahlan obserwowała kobietę skręcającą w palcach chusteczkę. - Poinformuj lady Nadine o zagrożeniu związanym z wojną ze Starym Światem i dodaj, że w związku z tym musimy nalegać, by pozostała w owej komnacie, dopóki do niej nie przyjdę. Przed drzwiami postaw silną straż. Po obu stronach drzwi rozmieść w korytarzu łuczników. Gdyby wyszła z komnaty, upieraj się, że natychmiast musi tam wrócić i czekać. W razie potrzeby przekaż jej, że to mój rozkaz. Gdyby jednak w dalszym ciągu starała się wydostać - Kahlan spojrzała we wpatrzone w nią wyczekująco błękitne oczy kapitana - zabij ją.

Kapitan się skłonił, a Kahlan ruszyła w dalszą drogę. Cara podążała tuż za nią.

- No, no, no - odezwała się Mord-Sith, gdy tylko wyszły z Sali Posłuchań - Matka Spowiedniczka nareszcie odzyskała rozsądek. Widzę, że słusznie pozwoliłam lordowi Rahlowi, by cię sobie zatrzymał. Będiesz dlań odpowiednią żoną.

Kahlan szła korytarzem ku miejscu, w którym żołnierze trzymali tamtego człowieka.

- Wcale nie zmieniałam zdania, Caro. Co do naszego dziwnego gościa, to daję lady Nadine szansę zachowania życia, jeśli będę sobie mogła na to pozwolić, jednak mylisz się, sądząc, że cofnę się przed zrobieniem tego, co się okaże niezbędne dla ochrony Richarda. On jest nie tylko

człowiekiem, którego kocham ponad życie, lecz również osobą niezmiernie ważną dla sprawy zachowania wolności przez mieszkańców zarówno D'Hary, jak i Midlandów. Nie ma wątpliwości, że Imperialny Ład spróbuje wszystkiego, byle tylko go dostać.

Cara się uśmiechnęła, tym razem szczerze.

- Wiem, że i on kocha cię równie mocno. I dlatego wcale mi się nie podoba, że chcesz zobaczyć owego człowieka. Lord Rahl obedrze mnie ze skóry, jeśli uzna, że naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

- Richard urodził się z magicznym darem, ja także. Rahl Posępny wysłał bojówki, żeby zabijały Spowiedniczki, bo jeden człowiek nie stanowi dla Spowiedniczki żadnego zagrożenia.

Kahlan poczuła znajomy, choć przytłumiony smutek wywołany ich śmiercią.

Przytłumiony, bo wydawało się to tak odległe, choć zdarzyło się ledwie przed rokiem.

Początkowo całymi miesiącami czuła, że powinna umrzeć ze swoimi siostrami Spowiedniczkami i że je w pewien sposób zdradziła, uchodząc cało z zastawianych na nią pułapek. Była teraz jedyną żyjącą Spowiedniczką.

Mord-Sith poruszyła nadgarstkiem i Agiel znalazł się w jej dłoni.

- Nawet taki człowiek jak lord Rahl, człowiek z wrodzonym magicznym darem? Nawet czarodziej?

- Nawet czarodziej. Dotyczy to również takich, którzy - w przeciwieństwie do Richarda - wiedzą, jak posługiwać się swoją mocą. Bo ja nie tylko wiem, jak się posługiwać swoją mocą: mam w tym wielkie doświadczenie. Już dawno przestałam liczyć...

Kahlan umilkła, Cara zaś przesuwiała w palcach Agiel i przyglądała mu się.

- A w moim towarzystwie nie grozi ci nawet niewielkie niebezpieczeństwo.

W końcu dotarły do wyścielonego dywanami i wyłożonego boazerią korytarza.

Tłoczyło się tu mnóstwo żołnierzy, lśniły miecze, topory i piki. Tajemniczego mężczyznę trzymano w niewielkiej wytwornej bibliotece znajdującej się w pobliżu dość skromnej komnaty, w której Richard zwykł się spotykać z oficerami i czytywać pamiętnik znaleziony w Wieży Czarodzieja.

Gwardziści chcieli uniemożliwić pojmanemu próby ucieczki, więc wepchnęli go do komnaty leżącej najbliżej miejsca, w którym go znaleźli, i trzymali pod strażą, dopóki nie będzie wiadomo, co z nim zrobić.

Kahlan łagodnie ujęła łokieć żołnierza, chcąc, by ten ustąpił jej z drogi.

Mięśnie nagiego ramienia były twarde jak stal. Pika, skierowana ku zamkniętym drzwiom, tkwiła nieruchomo jak osadzona w granitowej skale. W drzwi mierzyło blisko pięćdziesiąt włóczy. Pod ich ostrzami przykucnęli żołnierze uzbrojeni w topory lub miecze. Kahlan pociągnęła go za ramię i strażnik się odwrócił.

- Przepuść mnie, żołnierzu.

Ustąpił jej z drogi. Pozostali obejrzel się i zaczęli się odsuwać. Cara przeciskała się przed Kahlan, spychając gwardzistów z drogi. Odsuwali się niechętnie, lecz nie wynikało to z braku szacunku, a z zaniepokojenia czającym się za drzwiami zagrożeniem. Rozstępowali się, ale ich ostrza wciąż mierzyły w grube dębowe drzwi.

Pozbawiona okien, słabo oświetlona komnata pachniała skórą i potem.

Wymizerowany mężczyzna przycupnął na brzegu haftowanego podnóżka. Był tak chudy że gdyby uczynił jakiś fałszywy ruch, wycelowana w niego broń nie miałaby się w co wbić. Młodzieńcze oczy patrzyły to na oręż, to w gniewne i ponure oczy żołnierzy. Wreszcie dojrzał białą szatę nadchodzącej Kahlan. Zwilżył językiem wargi i spojrzał wyczekująco na dziewczynę.

Stojący za więźniem krzepcy żołnierze w kolczugach i skórzanych uniformach zobaczyli wkraczające do komnaty Kahlan i Carę. Jeden z nich kopniakiem w krzyż pochylił chudzielca do przodu.

- Klęknij, podły kundlu.

Młodzieniec - ubrany w za duży żołnierski uniform, którego każda część pochodziła, jak się zdawało, z innego źródła - zerknął na Kahlan, a potem rzucił okiem przez ramię na tego, który go kopnął. Pochylił głowę porośniętą zmierzwionymi czarnymi włosami i spodziewając się ciosu, osłonił ją kościstym ramieniem.

- Dosyć. Cara i ja chcemy z nim porozmawiać. Wyjdźcie, proszę, z komnaty - powiedziała Kahlan cichym, władczym głosem.

Żołnierze się zawahali, gdyż nie mieli ochoty odwracać broni od skulonego na podłodze młodzieńca.

- Słyszeliście, co powiedziała. Precz - odezwała się Cara.

- Ale... - zaczął oficer.

- Wątpisz, że Mord-Sith poradzi sobie z jednym kościstym człowiekiem? Wyjdźcie i zaczekajcie na zewnątrz.

Kahlan się zdziwiła, że Cara nie podniosła głosu. Mord-Sith nie musiały mówić głośniej, żeby nakłonić ludzi do wykonywania ich poleceń, lecz teraz Kahlan to zdziwiło, ponieważ znała obawy Cary dotyczące owego młodziana. Żołnierze zaczęli opuszczać komnatę, odwracając się w progu i łypiąc na skulonego na podłodze intruza. Oficer tak zaciskał pięść na rękojeści miecza, że aż zbieleły mu kłykcie. Wyszedł ostatni i drugą ręką ostrożnie zamknął drzwi.

Młodzian spojrział spod osłaniającego głowę ramienia na dwie stojące trzy kroki przed nim kobiety.

- Zamierzacie kazać mnie zabić?

Kahlan nie odpowiedziała wprost na to pytanie.

- Przyszliśmy, żeby z tobą porozmawiać. Jestem Kahlan Amnell, Matka Spowiedniczka...

- Matka Spowiedniczka! - Podniósł się na kolana i uśmiechnął chłopięco.

- Jesteś piękna! Nie spodziewałem się, że jesteś aż tak piękna.

Oparł dłoń o kolano i zaczął wstawać. Agiel Cary natychmiast znalazł się w gotowości.

- Nie ruszaj się.

Zamarł, wpatrując się w mierzący w jego twarz czerwony bicz, a potem znów oparł kolano na skraju purpurowego dywanu. Blask lamp przymocowanych do smukłych kolumnienek, które podtrzymywały wąskie gzymsy ponad ustawionymi po bokach komnaty szafami bibliotecznymi, oświetlał migotliwie wychudzoną twarz.

Więzien był jeszcze niemal chłopcem.

- Czy mógłbym odzyskać broń? Potrzebny mi miecz. Jeżeli nie mogę go dostać, to przynajmniej chciałbym otrzymać nóż.

Cara westchnęła z irytacją, lecz Kahlan ją ubiegła i odezwała się pierwsza.

- Znalazłeś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, młody człowieku. Jeśli to jakiś żart, to żadna z nas nie zamierza być pobłażliwa.

- Rozumiem. - Potaknął energicznie. - To nie zabawa. Przysięgam.

- Więc powtórz mi to, co powiedziałeś żołnierzom.

Znów się uśmiechnął i niedbale skinął dłonią ku drzwiom.

- Jak już mówiłem tym ludziom, kiedy byłem...

Kahlan wsparła się pięściami pod boki i postąpiła krok ku niemu.

- Mówiłam ci, że to nie żarty! Tylko mojej łaskawości zawdzięczasz życie!

Chcę wiedzieć, co tu robisz, i chcę się tego dowiedzieć natychmiast!

Powtórz to, co im powiedziałeś!

Młodzieniec zamrugał powiekami.

- Jestem asasynem przysłanym przez imperatora Jaganga. Przybyłem, żeby zabić Richarda Rahla. Czy byłabyś uprzejma wskazać mi doń drogę?

ROZDZIAŁ 2

Czy teraz mogę go zabić? - spytała groźnie Cara.

Nieszkodliwie wyglądający chudy młodzian, na pozór bezradnie klęczący na terytorium wroga, otoczony setkami, tysiącami okrutnych d'harańskich żołnierzy, otwarcie i śmiało oświadcza, że zamierza zabić Richarda. Absurdalność tej sytuacji sprawiła, że Kahlan mocno zatrzepotało serce.

Nikt nie jest aż tak szalony.

Już po fakcie uświadomiła sobie, że cofnęła się o krok. Zignorowała pytanie Cary i poświęciła młodzieńcowi całą uwagę.

- A jak chcesz wykonać owo zamierzenie?

- Cóż, planowałem posłużyć się mieczem albo, w razie potrzeby, nożem - odparł bezceremonialnie, a jego uśmiech powrócił, lecz nie był już chłopięcy, oczy zaś patrzyły twardo, co zupełnie nie pasowało do młodzieńczej twarzy. - To dlatego chcę je dostać z powrotem.

- Na pewno nie oddamy ci broni. Pogardliwie wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Mogę go zabić w inny sposób.

- Nie zabijesz Richarda, masz na to moje słowo. Pozostała ci jedynie współpraca z nami i wyjawienie całego twojego planu. Jak się tu dostałeś?

Uśmiechnął się drwiąco.

- Wszedłem. Po prostu wszedłem. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wasi żołnierze nie są zbyt bystrzy.

- Są wystarczająco bystrzy, żeby mieć cię pod mieczami - wtrąciła się Cara.

Zignorował ją. Wpatrywał się w oczy Kahlan.

- A jeśli nie oddamy ci ani miecza, ani noża?

- Wtedy wszystko się pogmatwa i Richard Rahl będzie ogromnie cierpiał.

Imperator Jagang przysłał mnie, bym ofiarował Richardowi łaskę szybkiej śmierci.

Imperator jest litościwym człowiekiem i pragnie zapobiegać nadmiernym cierpieniom. W zasadzie jest pokojowo nastawionym człowiekiem. Jest Nawiedzającym Sny, lecz jednocześnie osobą o nieugiętej woli. Obawiam się, że będę musiał zabić również ciebie, Matko Spowiedniczko, by oszczędzić ci cierpień po tym, co się stanie, jeżeli mi się

teraz przeciwstawisz. Muszę jednak przyznać, że wcale mi się nie podoba pomysł zabicia tak pięknej kobiety. - Uśmiechnął się szerzej. - To marnotrawstwo.

Kahlan stwierdziła, że bardzo ją denerwuje jego pewność siebie. Stwierdzenie, że Nawiedzający Sny jest litościwy, przyprawiło ją o mdłości. Wiedziała swoje.

- Jakie cierpienia? Młodzian rozłożył ręce.

- Jestem tylko ziarnkiem piasku. Imperator nie opowiada mi o swoich planach.

Wysłano mnie, bym wykonał jego rozkazy. A one mówią, że ty i Richard macie być wyeliminowani. Jeśli nie pozwolisz mi go zabić litościwie, Richard zostanie zgładzony. Powiedziano mi, że to nie będzie przyjemne, więc może pozwolisz mi szybko z tym skończyć?

- Chyba śnisz - odezwała się Cara. Więzień spojrzał na Mord-Sith.

- Śnię? Może to ty śnisz. A ja jestem twoim najgorszym sennym koszmarem.

- Ja nie miewam koszmarów - oznajmiła Cara. - Ja je zsyłam.

- Naprawdę? - zakpił. - W tym śmiesznym stroju? A kogóż to właściwie udajesz? Może się tak ubrałaś, żeby przepłaszać ptaki z wiosennych sadzonek?

Kahlan uświadomiła sobie, że młodzian nie wiedział, kim była Mord-Sith.

Zastanawiała się również, jak mogła choć przez chwilę pomyśleć, że jest jeszcze niemal chłopcem - zachowywał się jak ktoś dojrzały i doświadczony. To nie był chłopczek. W powietrzu wisiało niebezpieczeństwo. O dziwo Cara tylko się uśmiechnęła.

Dziewczyna wstrzymała oddech. Zdała sobie sprawę, że więzień stoi, a nie przypominała sobie, by widziała, jak się podnosił z podłogi.

Przesunął wzrokiem i jedna z lamp zgasła. Druga rzucała ostre, migotliwe światło na połowę jego twarzy. Druga połowa pozostawia w cieniu. Czyn ten pokazał Kahlan prawdziwą naturę mężczyzny, prawdziwe zagrożenie.

Ów człowiek dysponował magicznym darem.

Postanowienie Kahlan, by oszczędzić niewinnemu mężczyźnie niepotrzebnej przemocy, ulotniło się nagle, poczuła natomiast przemożną

potrzebę chronienia Richarda. Wysłannik Jaganga dostał swoją szansę, teraz wyzna wszystko, co wie - wyzna to Spowiedniczce.

Musi go jedynie dotknąć swoją mocą i będzie po wszystkim.

Kahlan chodziła wśród ciał tysięcy niewinnych ludzi wymordowanych przez Imperialny Ład. Kiedy zobaczyła w Ebinissii uśmiercone na rozkaz Jaganga kobiety i dzieci, przysięgła Imperialnemu Ładowi bezlitosną zemstę. Ten tu mężczyzna udowodnił, że należy do Imperialnego Ładu, że jest wrogiem wolnych ludzi. Wykonał rozkaz Nawiedzającego Sny.

Dziewczyna skupiła się na znajomej, tkwiącej w jej wnętrzu i zawsze gotowej mocy. Uwolnienie mocy Spowiedniczki nie polegało na zwyczajnym zniesieniu powstrzymujących ją barier. Czyn był szybszy niż myśl. Był to błyskawiczny, instynktowny akt.

żadna ze Spowiedniczek nie znajdowała upodobania w niszczeniu swoją mocą czyjegoś umysłu, ale - w przeciwieństwie do niektórych z nich - Kahlan nie nienawidziła tego, co robiła, tego, do czego się urodziła. Stanowiło to po prostu część jej osobowości. Nie posługiwała się swoim darem w złych zamiarach, lecz po to, by chronić innych. śyła w zgodzie ze sobą, z tym, kim była i co mogła uczynić.

Richard pierwszy dostrzegł, jaka naprawdę była, i polubił ją mimo mocy, którą władała. Nie bał się irracjonalnie nieznanego, nie przerażało go to, kim była.

Przekonał się, jaka jest, i pokochał ją. Razem z jej mocą Spowiedniczki. I tylko dlatego mogli być razem, a moc Kahlan nie zniszczy go, gdy spełni się ich miłość.

Teraz jednak Kahlan zamierzała wykorzystać swoją moc, żeby ochronić Richarda, a moc tylko czekała na uwolnienie. Trzeba jedynie dotknąć owego człowieka i zagrożenie zniknie. Ochoczego służalca imperatora Jaganga spotka kara.

- Jest mój. Zostaw to mnie - oznajmiła dziewczyna, nie spuszczać więźnia z oka i dając ostrzegawczy znak Carze.

Lecz Cara wśliznęła się między nich, kiedy tamten szukał wzrokiem ostatniej lampy, i spoliczkowała go pancerną rękawicą. Kahlan omal nie krzyknęła gniewnie, rozeźlona tym postępkiem.

Rozciągnięty na dywanie więzień usiadł szczerze zdziwiony. Krew ciekła mu z rozciętej dolnej wargi i spływała po brodzie. Zdziwienie zmieniło się w

równie szczerą irytację.

- Jak się nazywasz? - spytała stojąca nad nim Mord-Sith. Kahlan nie mogła uwierzyć, że Cara, która zawsze mówiła, iż boi się magii, rozmyślnie prowokuje kogoś, kto właśnie ujawnił swój magiczny dar.

Mężczyzna odczołgał się od Cary i przykucnął. Patrzył na Kahlan, lecz odezwał się do Mord-Sith:

- Nie mam czasu dla dworskich błaznów.

Uśmiechnął się i spojrzał na lampę. Komnata pogrążyła się w ciemnościach.

Kahlan skoczyła tam, gdzie przed chwilą tkwił. Musi go tylko dotknąć i będzie po wszystkim. Napotkała jedynie powietrze i uderzyła o podłogę. Nie miała pojęcia, w którą stronę uskoczył, bo otaczała ich atramentowa czerń. Sięgała na oślep wokół siebie, starając się go dotknąć. Musi go tylko dotknąć, a nie uchronią go przed nią nawet grube szaty. Złapała czyjeś ramię i na sekundę przed uwolnieniem mocy zorientowała się, że dotyka skózanego uniformu Cary.

- Gdzie jesteś? - warknęła Mord-Sith. - Nie wydostaniesz się. Poddaj się.

Kahlan ruszyła na czworakach przez dywan. Moc nie moc, muszą mieć światło, bo inaczej wpadną w poważne tarapaty. Dotarła do stojącej pod ścianą szafy bibliotecznej i trzymała się jej skraju dopóty, dopóki nie zobaczyła smugi światła sączącego się spod drzwi. Żołnierze walili w drzwi, nawoływali, chcąc wiedzieć, co się dzieje w środku. Dziewczyna podnosiła się chwiejnie, sunąc palcami po framudze w kierunku klamki. Nastąpiła na skraj sukni, potknęła się, poleciała do przodu i z łomotem upadła na łokcie. Coś ciężkiego uderzyło w drzwi w miejscu, w którym przed chwilą stała, i spadło Kahlan na plecy. Mężczyzna zaśmiał się w ciemnościach.

Machnęła rękami, starając się to strząsnąć, i boleśnie uderzyła o ostre kanty rozporek łączących nogi fotela. Z całej siły chwyciła wyściełaną poręcz i odrzuciła fotel.

Usłyszała, jak Cara uderzyła o szafę biblioteczną po przeciwnej stronie komnaty, z jękiem wypuszczając powietrze.

żołnierze dobijali się do drzwi, starając sieje wyważyć. Drzwi ani drgnęły.

W komnacie książki dalej spadały z łomotem na podłogę. Kahlan poderwała się i po omacku poszukała klamki. Uderzyła kłykciami o zimny

metal. Złapała klamkę dłonią. Wrzasnęła, odrzuciło ją do tyłu z nagłym błyskiem i wylądowała na siedzeniu.

Z klamki, niczym z płonącego polana uderzonego pogrzebaczem, uniosły się iskry.

Dziewczyna dotknęła osłony i teraz palce bolały ją i mrowiły. Nic dziwnego, że żołnierze nie mogli otworzyć drzwi. Otrząsnęła się z szoku, wstała i stwierdziła, że widzi trochę dzięki owym powoli spływającym ku podłodze iskierkom.

Nagle również Cara zaczęła widzieć w zalegających komnatę mrokach.

Chwyciła książkę i cisnęła nią w mężczyznę, który stał niemal w środku małego pomieszczenia. Kucnął, uchylając się przed tym pociskiem. Mord-Sith, szybka jak myśl, okręciła się i zaskoczyła go. Kopnęła go w szczękę, aż zadudniło. Mężczyzna zwałił się na plecy. Kahlan szykowała się, by skoczyć ku niemu, zanim zgasną wszystkie iskierki i znów zapanuje ciemność.

- Już po tobie! - warknął wściekle do Cary. - Nie będziesz mi głupio przeszkadzać! Zakosztujesz mojej mocy!

Całą uwagę poświęcił teraz Carze, z czubków palców strzelały mu migotliwe błyski. Kahlan musiała się natychmiast uporać z zagrożeniem, nim znowu stanie się coś złego. Nagle - zanim zdążyła ku niemu skoczyć - rozprostował palce. Z pogardliwym, szyderczym uśmiechem wyrzucił dłoń ku Carze.

Kahlan spodziewała, że Mord-Sith wyląduje na podłodze. Ale to młodzian zgiął się z krzykiem. Usiłował utrzymać się na nogach, lecz padł z wrzaskiem, osłaniając się ramionami, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Komnatę znów wypełniła ciemność.

Kahlan sięgnęła do klamki, licząc na to, że magiczna osłona zniknęła po tym, co Cara zrobiła więźniowi. Złapała za klamkę, bojąc się, że znów poczuje ból. Osłona zniknęła. Matka Spowiedniczka uspokoiła się, nacisnęła klamkę i szarpnięciem otworzyła drzwi. Do mrocznej komnaty wpadło światło, a przynajmniej tyle światła, ile przedostało się zza tłumy żołnierzy. Do wnętrza zajrzały zaniepokojone twarze.

Kahlan wcale nie chciała, by do środka wdarli się żołnierze, którzy zginą, próbując ratować Matkę Spowiedniczkę przed czymś, czego nie pojmowali.

Odepchnęła najbliższych stojących.

- On ma dar! Nie wchodźcie! - Wiedziała, że D'Harańczycy boją się

magii, gdyż często mawiali, że są stalą przeciwko stali, lord Rahl zaś ma być magią przeciwko magii. - Podajcie mi lampę!

Stojący po obu stronach drzwi żołnierze jednocześnie porwali lampy z najbliższych podstawek i podali jej. Kahlan chwyciła jedną z nich i obróciła się ku komnacie, zatraskując drzwi kopnięciem. Nie chciała, żeby weszła jej w drogę zgraja krzepkich, uzbrojonych gwardzistów.

W migotliwym blasku lampy dziewczyna zobaczyła Carę kucającą obok skulonego na purpurowym dywanie młodziana. Biedak osłaniał ramionami brzuch i wymiotował krwią. Mord-Sith oparła przedramiona na kolanach i zachrząścił jej czerwony skórzany uniform. Obracała w palcach Agiel, czekała. W końcu mdłości ustały, a Cara złapała młodziana za włosy. Nachyliła się ku niemu, długi jasny warkocz zsunął się jej z szerokich ramion.

- To był duży błąd. Bardzo duży błąd - powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. - Nigdy nie powinieneś używać swojej magii przeciwko Mord-Sith.

Przez chwilę dobrze ci szło, ale potem pozwoliłeś mi się rozgniewać na tyle, że postanowiłeś się posłużyć swoją magią. I kto się okazał błaznem?

- Co... to... ta... Mord-Sith? - wykrztusił z trudem.

Cara dopóty odchyliła mu do tyłu głowę, dopóki nie zaczął krzyczeć z bólu.

- Twoja najgorsza senna zmora. Zadaniem Mord-Sith jest eliminowanie podobnych do ciebie zagrożeń. Teraz ja władam twoim magicznym darem. Twoja magia należy do mnie, a ty, mój pieszczoszku, nie możesz nic na to poradzić, o czym się wkrótce przekonasz. Powinieneś spróbować mnie udusić, śmiertelnie pobić albo uciec, ale nigdy, przenigdy nie wolno ci było wykorzystać przeciwko mnie magii.

Kiedy tylko posłużysz się magią przeciw Mord-Sith, magia staje się jej własnością.

Kahlan zdrętwiała. To właśnie Mord-Sith uczyniła Richardowi. W ten sposób go pojmała.

Cara przycisnęła Agiel do żeber więźnia. Biedak trząsł się i krzyczał. Przez bluzę przesączył się strumyk krwi.

- Wiedz, że gdy zadaję pytanie - powiedziała Mord-Sith spokojnym, władczym tonem - to oczekuję odpowiedzi. Zrozumiałeś?

Młodzian milczał. Cara poruszyła Agielem. Usłyszawszy trzask pękającego zebra, Kahlan przymknęła oczy. Więzień drgnął i zakrztusił się powietrzem; nie mógł nawet wrzasnąć.

Kahlan wydawało się, że zamieniła się w lód, mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Richard opowiedział jej, że Denna - Mord-Sith, która go pojmała - lubiła łamać mu zebra. Każdy oddech sprawiał wówczas przeraźliwy ból, a krzyki, które natychmiast prowokowała, były straszliwą torturą. No i ofiara stawała się jeszcze bardziej bezradna.

Cara się podniosła.

- Wstań.

Młodzian podniósł się chwiejnie.

- Zaraz się dowiesz, dlaczego się odziewam w krwistoczerwone skóry. - Kobieta wydała gniewny okrzyk i z rozmachem trzasnęła biedaka w twarz pięścią w pancерnej rękawicy. Upadł, jego krew trysnęła na szafę biblioteczną, a Mord-Sith stanęła nad nim okrakiem. - Widzę to, co sobie wyobrażasz - poinformowała go. - Widzę to, co chciałbyś ze mną zrobić. Niegrzeczny chłopaczek. - Ciężko nadepnęła mu na mostek. - To najłagodniejsza z kar, które poznasz za ową myśl. Im szybciej porzucisz wszelkie próby stawiania oporu, tym lepiej. Jasne? - Nachyliła się i szturchnęła go Agielem w brzuch. - Jasne?

Wrzask młodziana sprawił, że Kahlan przeszły lodowaty dreszcz. To, na co patrzyła, przyprawiało ją o mdłości - doświadczyła kiedyś cierpień powodowanych dotknięciem Agiela oraz, co gorsza, wiedziała, że to samo czyniono Richardowi - mimo to jednak nawet nie spróbowała położyć temu kresu. Dała owemu człowiekowi szansę. Zabiłby Richarda, gdyby wszystko poszło po jego myśli. Oznajmił, że i ją zabije, ale to grożące Richardowi niebezpieczeństwo sprawiało, że Kahlan milczała i nie starała się powstrzymać Cary.

- No to do rzeczy - powiedziała tamta z szyderczym uśmiechem i dźgnęła Agielem złamane zebro młodziana. - Jak się nazywasz?

- Marlin Pickard! - Mrugał powiekami, usiłując strząsnąć łzy. Twarz miał pokrytą warstewką potu, dyszał, a w kącikach ust zbierała mu się krwista piana.

Mord-Sith wcisnęła Marlinowi Agiel w pachwinę. Bezradnie wierzgał nogami i zawodził.

- Kiedy następnym razem o coś zapytani, nie każ mi czekać na odpowiedź. I mów do mnie „pani Caro”.

- Caro - odezwała się cicho Kahlan, wciąż widząc Richarda na miejscu tamtego - nie ma potrzeby...

Kobieta obejrzała się przez ramię, jej zimne niebieskie oczy łypnęły gniewnie na dziewczynę. Kahlan odwróciła się i drżącymi palcami otarła łzę spływającą po policzku. Uniosła szkło ściennej lampy i zapaliła ją od tej, którą trzymała w ręce.

Knot zapłonął, Kahlan odstawiła swoją lampę na boczny stolik i osadziła na powrót szkła. Przerazające było to lodowate spojrzenie Mord-Sith. Ze ściśniętym sercem pomyślała, że błagający o litość Richard całymi tygodniami widział jedynie takie zimne oczy. Znowu spojrzała na tamtych dwoje.

- Potrzebne nam są tylko odpowiedzi na nasze pytania, nic więcej.

- I właśnie je wydobywam.

- Rozumiem - przytaknęła Kahlan - ale nie musi przy tym wrzeszczeć. My nie torturujemy ludzi.

- Tortury? Jeszcze nawet nie zaczęłam go torturować. - Cara wyprostowała się i rzuciła okiem na trzęsącego się u jej stóp Marlina. - A gdyby zdołał wcześniej zabić lorda Rahla? Czy wówczas kazałabyś mi go zostawić w spokoju?

- Tak. - Kahlan spojrzała tamtej w oczy. - A potem postąpiłabym z nim jeszcze gorzej. Gorzej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Ale nie skrzywdził Richarda.

Kąciki ust Mord-Sith wygięły się w przebiegłym uśmiechu.

- Miał taki zamiar. Prawo duchów mówi, że zamiar stanowi już winę. To, że mu się nie powiodło, wcale nie zmazuje winy.

- Duchy podkreślają też różnicę między zamiarem a uczynkiem. Chciałam się nim zająć na swój sposób. Czyż chciałaś zignorować moje wyraźne polecenie?

Cara odrzuciła na plecy jasny warkocz.

- Moim zamiarem było chronienie ciebie i lorda Rahla. Udało mi się to.

- Mówiłam, żebyś pozwoliła mi się tym zająć.

- Chwila wahania mogła oznaczać kres dla ciebie... lub dla tych, na których ci zależy. - Cara przez chwilę miała udęconą twarz, lecz szybko

znów przybrała bezlitosną minę. - Oduczyłam się wahania.

- To dlatego go prowokowałaś? Chciałaś, żeby cię zaatakował swoją magią?

Kobieta otarła grzbietem dłoni krew z głębokiego rozcięcia na policzku, pozostałości po tym, jak Marlin ją uderzył i pchnął na szafę biblioteczną. Podeszła do Kahlan.

- Tak. - Patrząc dziewczynie w oczy, zlizwała krew z dłoni. - Mord-Sith tylko wtedy zdobywa władzę nad czymś magicznym darem, kiedy ów ktoś zaatakuje ją za pomocą magii.

- Sądziłam, że boicie się magii.

Cara obciągnęła czerwony skórzany rękaw.

- Boimy się, chyba że ktoś atakuje nas, wykorzystując magię. Wówczas zdobywamy władzę nad jego magicznym darem.

- Zawsze twierdziłaś, że nic nie wiesz o magii, a przecież teraz panujesz nad jego darem. Możesz się posługiwać jego magią?

Mord-Sith spojrzała na jęczącego na podłodze człowieka.

- Nie. Nie mogę korzystać z jego daru tak, jak on to czyni, mogę go jednak zwrócić przeciw niemu samemu. Mogę go krzywdzić za pomocą jego własnej magii. - Zmarszczyła czoło. - Czasami trochę to wyczuwamy, ale nie pojmujemy tego tak jak lord Rahl i dlatego nie możemy się posługiwać darem. Chyba że po to, by zadawać im ból.

- W jaki sposób?

Kahlan nie mogła pogodzić owych sprzeczności. Uderzyło ją, jak bardzo niewzruszona mina Cary przypomina „twarz Spowiedniczki”: wyraz, który nauczyła ją przybierać jej matka, wyraz kryjący uczucia wobec tego, co musiało zostać zrobione.

- Nasze umysły sprzęga magia - wyjaśniła Mord-Sith - więc wiem, co myśli, jeśli dotyczy to skrzywdzenia mnie, stawiania oporu czy sprzeciwiania się moim rozkazom. Dzieje się tak, bo pozostaje to w sprzeczności z moimi życzeniami. A ponieważ nasze umysły sprzęga ich magia, wystarczy sama myśl o sprawieniu pochwyconemu bólu i już cierpi. - Spojrzała na Marlina, a ten nagle ponownie zaczął krzyczeć z przeraźliwego bólu. - Rozumiesz?

- Tak. Daj temu spokój. Jeśli odmówi odpowiedzi, będziesz mogła... zrobić, co trzeba, ale nie zgodzę się na nic, co nie jest konieczne do ochrony

Richarda. - Kahlan odwróciła wzrok od wijącego się w męce Marlina i spojrzała w zimne, niebieskie oczy Cary. - Znałaś Denne? - spytała bezwiednie.

- Każdy znał Denne.

- Czy była tak dobra jak ty w... w dręczeniu ludzi?

- Jak ja? - powtórzyła ze śmiechem Cara. - Nikt nie był w tym tak dobry jak Denna. Właśnie dlatego była ulubienicą Rahla Posępnego. Nie uwierzyłabyś, co potrafiła zrobić człowiekowi. Mogła na przykład... - Zerknęła na Agiel zawieszony na szyi Kahlan, Agiel Denny, i nagle zrozumiała, co się kryło za tym pytaniem. - Ale to było w przeszłości. Łączyła nas więź z Ranieni Posępnym. Robiliśmy to, co nam rozkazał. Teraz jesteśmy związane z Richardem. Nigdy nie zrobimy mu nic złego.

Oddamy życie w obronie lorda Rahla. - Zniżyła głos do szeptu. - Lord Rahl nie tylko zabił Denne, ale i wybaczył jej to, co mu uczyniła.

Kahlan przytaknęła jej.

- On tak. Ale ja nie. Choć rozumiem, że uczyniła to, czego ją nauczono i co jej nakazano, choć jej duch pomógł nam obojgu i pocieszył nas, choć doceniam jej późniejsze poświęcenie się dla nas, to w głębi serca nigdy nie wybaczę jej potworności, jakie zgotowała mężczyźnie, którego kocham.

Mord-Sith długo wpatrywała się w oczy dziewczyny.

- Rozumiem. Ja również bym ci nie wybaczyła, gdybyś kiedykolwiek skrzywdziła lorda Rahla. I nie okazałabym ci litości.

Kahlan odwzajemniła badawcze spojrzenie.

- Ja także. Mówi się, że nie ma straszniejszej śmierci dla Mord-Sith niż zadana dotknięciem Spowiedniczki.

- Tak mi mówiono. - Na usta Cary powoli wypłynął uśmiech.

- Na szczęście jesteśmy po tej samej stronie. Jak powiedziałam, są rzeczy, których i nie chciałabym, i nie mogłabym wybaczyć. Kocham Richarda ponad życie.

- Każda Mord-Sith wie, że największy ból zadają ci, których kochasz.

- Richard nie musi się bać owego bólu. Strażniczka dokładnie rozważała jej słowa.

- Rahl Posępny nigdy nie musiał się bać takiego cierpienia, ponieważ nigdy nie kochał kobiety. Lord Rahl kocha. Przekonałam się, że tam, gdzie w grę wchodzi miłość, wszystko się czasem zmienia.

A więc o to chodziło.

- Nigdy nie mogłabym skrzywdzić Richarda, Caro, podobnie zresztą jak i ty.

Oddałabym za niego życie. Kocham go.

- Ja też, inaczej, ale nie mniej żarliwie - powiedziała Cara. - Lord Rahl dał nam wolność. Inny na jego miejscu kazałby zabić wszystkie Mord-Sith. A on pozwolił nam żyć zgodnie z jego oczekiwaniami. - Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, jej oczy straciły zimny, badawczy wyraz. - Może Richard jako jedyny z nas rozumie prawa dobrych duchów, to że nie możemy prawdziwie kochać, dopóki nie wybaczymy innym najgorszych występków, jakie wobec nas popełnili.

Usłyszawszy te słowa, Kahlan się zarumieniła. Nigdy nie sądziła, że Mord-Sith tak dogłębnie pojmuje istotę współczucia.

- Czy Denna była twoją przyjaciółką? Cara potaknęła.

- I z głębi serca wybaczyłaś Richardowi, że ją zabił?

- Tak, ale to coś innego. Rozumiem, co myślisz o Dennie. Nie potępiam cię za to. Na twoim miejscu miałabym takie sarnę odczucia - powiedziała.

Kahlan zapatrzyła się przed siebie.

- Kiedy powiedziałam Dennie, duchowi Denny, że nie mogę jej wybaczyć, odparła, że rozumie i że już uzyskała jedyne przebaczenie, na którym jej zależało.

Powiedziała mi, że kochała Richarda i że kocha go nawet po śmierci.

Tak jak Richard dostrzegł w Kahlan kobietę ukrytą za magią, tak i w Dennie zobaczył istotę przysłoniętą przerażającą osobowością Mord-Sith. Kahlan rozumiała, co czuła Denna, gdy ktoś potrafił dostrzec jej prawdziwe ja.

- Może w życiu naprawdę liczy się tylko przebaczenie uzyskane od tego, kogo kochasz. Jedynie ono potrafi uleczyć twoje serce i twoją duszę. - Kahlan wpatrywała się w swoje palce sunące po liściu wyrzeźbionym na obrzeżu blatu stolika. - Nigdy nie wybaczę żadnej istocie, która go skrzywdzi.

- A mnie wybaczyłaś?

- Co? - Dziewczyna spojrzała na Carę.

Tamta zacisnęła dłoń na Agielu. Kahlan wiedziała, że i Mord-Sith odczuwa ból, dotykając Agiela - to paradoks bycia dawczynią bólu.

- Że jestem Mord-Sith.

- Dlaczego powinnam ci to wybaczyć? Cara odwróciła wzrok.

- Bo gdyby Rahl Posępny rozkazał mnie, a nie Dennie pojmać Richarda, byłabym równie bezlitosna jak ona. Tak samo postąpiłaby Berdine, Raina i każda z nas.

- Już ci mówiłam, że duchy rozróżniają między tym, co się mogło stać, a tym, co się rzeczywiście stało. Ja postępuję jak one. Nie można cię obarczać odpowiedzialnością za to, co uczynili ci inni, jak i mnie nie można winić za to, że się urodziłam Spowiedniczką, a Richarda za to, że jego ojcem był ten zbrodniarz Rahl Posępny.

Cara w dalszym ciągu me patrzyła na Kahlan.

- Ale czy kiedykolwiek szczerze nam zaufasz?

- Już dowiodłaś swojej wiarygodności zarówno w oczach Richarda, jak i w moich. Nie jesteś Denna, nie ponosisz odpowiedzialności za jej wybory. - Dziewczyna otarła kciukiem krew sączącą się z policzka kobiety. - Gdybym ci nie ufała, Caro, gdybym nie ufała żadnej z was, to czy pozwoliłabym Berdine i Rainie, dwóm spośród was, być teraz sam na sam z Richardem?

Cara znów spojrzała na Agiel Denny.

- Widziałam, w czasie bitwy z Bractwem Czystej Krwi, jak walczysz, żeby ochronić lorda Rahla i mieszkańców miasta. Być Mord-Sith, to rozumieć, że niekiedy trzeba się okazać bezlitosnym. Rozumiesz to, choć nie jesteś Mord-Sith. Jesteś znakomitą strażniczką lorda Rahla. Jesteś jedyną znaną mi kobietą godną tego, żeby nosić Agiel. Moje słowa mogą ci się wydać naganne, lecz uważam, że dla ciebie noszenie Agiela to zaszczyt, bo wiąże się z najgodniejszym celem: chronieniem naszego władcy.

Kahlan szczerze się do niej uśmiechnęła. Rozumiała teraz Carę trochę lepiej niż przedtem. Zastanawiała się, jaka była, nim ją złapano i wytresowano na Mord-Sith. Richard mówił jej, że ta tresura to okropność dalece przewyższająca wszystko, co jemu uczyniono.

- Ja też tak uważam, ponieważ dostałam go od Richarda. Jestem jego obrońcą tak jak i ty. W tym sensie jesteśmy siostrami w Agielu.

Cara uśmiechnęła się aprobująco.

- Czy to oznacza, że dla odmiany będziecie wypełniać nasze polecenia? - spytała Kahlan.

- Zawsze wypełniamy wasze polecenia.

Dziewczyna potrząsnęła głową, uśmiechając się z przymusem. Cara

skinęła głową ku leżącemu na podłodze mężczyźnie.

- Odpowie na twoje pytania, jak to już obiecałam, Matko Spowiedniczko.

Wykorzystam moje umiejętności tylko w takim stopniu, w jakim się to okaże konieczne.

Dziewczyna ścisnęła ramię Mord-Sith, okazując w ten sposób żal i litość, że inni tak przekształcili życie tamtej, narzucili jej odgrywanie tak niewdzięcznej roli.

- Dziękuję, Caro.

Kahlan przeniosła uwagę na Marlina, na sprawę czekającą na wyjaśnienie.

- Spróbujmy ponownie. Co chciałeś uczynić?

Marlin obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Cara trąciła go butem.

- Powiesz prawdę albo zacznę znajdować mojemu Agielowi jakieś miłe, czułe miejsca. Zrozumiano?

- Tak.

Mord-Sith przykucnęła i kołysała biczem przed twarzą leżącego.

- Tak, pani Caro.

Nagła groźba w jej głosie jakby unieważniła to, co przed chwilą mówiła.

Przeraziła nawet Kahlan.

Marlin wytrzeszczył oczy i przełknął ślinę.

- Tak, pani Caro - powtórzył.

- Już lepiej. A teraz odpowiedz na pytanie Matki Spowiedniczki.

- Chciałem uczynić to, o czym już ci mówiłem: zabić Richarda Rahla i ciebie.

- Jak dawno Jagang wydał ci te rozkazy?

- Prawie dwa tygodnie temu.

A więc to tak. Może Jagang zginął w Pałacu Proroków, kiedy Richard zniszczył budowlę. Przynajmniej taką mieli nadzieję. Może wydał ten rozkaz, nim zginął.

- Co jeszcze? - spytała Kahlan.

- Nic. Miałem wykorzystać mój dar, żeby się tu dostać i zabić was oboje. To wszystko.

- Nie okłamuj nas! - Cara kopnęła go w złamane zebro. Kahlan łagodnie odsunęła na bok Mord-Sith i przyklękła przy krztuszącym się, z trudem łapiącym powietrze młodzianie.

- Marlinie, nie myl mojej niechęci do tortur z brakiem zdecydowania. Jeśli nie zaczniesz mówić tego, co chcę usłyszeć, to wybiorę się na długi spacer, a potem na kolację i zostawię cię tu samego z Cara - wyszeptała. - Zostawię cię tu z nią sam na sam, choć jest pomyłona. A potem, kiedy wrócę i okaże się, że nadal chcesz mnie przetrzymać, skorzystam z mojej mocy. Nawet sobie nie wyobrażasz, o ile to będzie gorsze. Cara nawet nie zbliżyła się do tego, co ja mogę uczynić, a przecież potrafi wykorzystywać twoją magię i twój umysł. Ja mogę to zniszczyć. Czy tego właśnie chcesz?

Potrząsnął głową, przyciskając ręce do bolących żeber.

- Nie czyn tego, proszę - błagał, a oczy znów miał pełne łez. - Odpowiem na twoje pytania... ale naprawdę nic nie wiem. Imperator Jagang przychodzi do mnie w snach i mówi mi, co mam robić. Znam cenę nieposłuszeństwa. Robię, co mi nakaze. - Zamilkł i chlipnął. - Kazał mi... przyjść tutaj i zabić was. Powiedział, żebym sobie znalazł żołnierski mundur, oręż i przyszedł was zabić. Czarodziejom i czarodziejkom też każe wypełniać swoje polecenia.

Kahlan zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Marlina. Ponownie wyglądał bardzo młodo. Czegoś tu brakowało, ale nie mogła się zorientować czego. Na pierwszy rzut oka miało to sens - Jagang nasyłał mordercę - lecz w gruncie rzeczy coś się nie zgadzało. Dziewczyna podeszła do stolika z lampą, wsparła się o niego biodrem. Masowała pulsujące skronie, stojąc plecami do Marlina.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Cara, podchodząc ku mej.

- Po prostu rozbolała mnie od tego wszystkiego głowa i tyle - odparła Kahlan.

- Może całus lorda Rahla uleczyłby ten ból głowy. Kahlan zaśmiała się cicho, rozbawiona niepokojem Mord-Sith.

- To by na pewno pomogło. - Machnęła rękami, jakby odpędzała komara, chcąc w ten sposób przegnać wątpliwości. - To nie ma sensu.

- Nie widzisz sensu w tym, że Nawiedzający Sny usiłuje zabić swojego wroga?

- Zastanów się nad tym. - Obejrzała się przez ramię na obejmującego swoje żebra i kołyszącego się na podłodze Marlina, którego oczy, choć pełne przerażenia i patrzące w bok, wciąż przyprawiały ją o dreszcze, po czym odwróciła się ku Carze i zniżyła głos: - Jagang z pewnością wie, że jeden

człowiek, choćby i czarodziej, nie zdoła wykonać takiego rozkazu. Richard rozpoznałby człowieka z magicznym darem, a poza tym jest tu mnóstwo ludzi gotowych natychmiast zabić intruza.

- Lecz i tak dzięki swemu darowi mógłby mieć szansę wykonania rozkazu.

Jaganga nie obeszlaby jego śmierć. Ma wielu innych potulnych służalców.

Kahlan rozmyślała nad tym i rozmyślała, starając się dociec przyczyny dręczących ją wątpliwości.

- Nawet gdyby zdołał zabić kilku dzięki swojej magii, i tak pozostałoby ich zbyt wielu. Cała armia mriswithów nie zdołała zabić Richarda. Potrafi wyczuć zagrożenie w kimś, kto ma magiczny dar. Nie umie rozkazywać swojemu darowi, tak jak ty nie wiesz, jak kontrolować Marlina, chyba że chodzi o zadawanie mu bólu, ale przynajmniej miałby się na bacności. To po prostu nie ma sensu. Jagang nie jest głupi, za tym musi się kryć jeszcze coś. Coś, czego nie dostrzegamy.

Cara splotła dłonie za plecami i głęboko zaczerpnęła powietrza. Odwróciła się.

- Marlinie. - Uniósł głowę, oczy miał czujne. - Jakie zamiary miał Jagang?

- Chciał, żebym zabił Richarda Rahla i Matkę Spowiedniczkę.

- I co jeszcze? - spytała Kahlan. - Czy chodziło o coś jeszcze?

- Nie wiem. - Znów miał łzy w oczach. - Przysięgam. Powiedziałem wam, co mi rozkazał. Miałem zdobyć żołnierski mundur i broń, żebym wyglądał jak wasi ludzie i mógł się do was zbliżyć. Miałem zabić was oboje.

- Zadajemy niewłaściwe pytania. - Kahlan otarła twarz dłonią.

- Nie mam pojęcia, co by się jeszcze mogło za tym kryć. Przyznał się do najgorszego. Wyjawiał nam swój cel. O cóż może jeszcze chodzić?

- Nie wiem, ale wciąż coś mnie niepokoi. - Kahlan westchnęła z rezygnacją. - Może Richard się domyśli. W końcu jest Poszukiwaczem Prawdy. Wydedukuje, o co chodzi. Będzie wiedział, o co zapytać, żeby... - Dziewczyna uniosła nagle głowę, otworzyła szeroko oczy i zrobiła długi krok ku człowiekowi na podłodze. - Czy Jagang kazał ci się również ujawnić, gdy już tu będziesz, Marlinie?

- Tak. Miałem podać powód swego przybycia, jak tylko znajdę się w pałacu.

Kahlan zeszywniała. Złapała ramię Mord-Sith i przyciągnęła ją ku sobie, nie spuszczać Marlina z oka.

- Może nie powinniśmy o tym mówić Richardowi. To zbyt niebezpieczne.

- Mam władzę nad mocą Marlina. Jest bezradny.

Kahlan patrzyła to tu, to tam, prawie nie słysząc, co mówi Cara.

- Musimy go przenieść w bezpieczne miejsce. Ta komnata nie jest odpowiednia. - Przygryzła paznokieć.

- To pomieszczenie jest równie odpowiednie jak każde inne. - Mord-Sith zmarszczyła brwi. - Nie wydostanie się. Jest nieszkodliwy.

Kahlan przestała gryźć paznokieć i wpatrywała się w kołyszącego się na podłodze człowieka.

- Nie. Musimy znaleźć odpowiedniejsze miejsce. Sądę, że popełniliśmy wielki błąd. Sądę, że wpadliśmy w poważne tarapaty.

ROZDZIAŁ 3

Pozwól mi go zabić - poprosiła Cara. - Po prostu dotknę Agielem odpowiednie miejsce i serce Marlina się zatrzyma. Nie będzie cierpieć.

Kahlan po raz pierwszy poważnie zastanowiła się nad tak często powtarzaną prośbą Mord-Sith. Przedtem sama zabijała ludzi i nakazywała wykonywać egzekucje, lecz oparła się pokusie. Musiała to dobrze przemyśleć. Z tego, co wiedziała, Jagangowi mogło chodzić właśnie o to, choć nie pojmowała, co by na tym zyskał.

Jednak ów rozkaz musiał stanowić część jakiegoś planu. Imperator nie był głupi, na pewno wiedział, że Marlin w końcu zostanie pojmany.

- Nie - powiedziała. - Zbyt mało jeszcze wiemy. A to mogłaby być najgorsza ze wszystkich możliwości. Nie wolno nam uczynić niczego, dopóki się nad tym poważnie nie zastanowimy. Już wpadliśmy w bagno, bo pozałowaliśmy czasu, żeby zastanowić się nad tym, w co się wdajemy.

Cara westchnęła, usłyszawszy ponownie odmowę.

- Cóż więc zamierzasz zrobić?

- Sama jeszcze nie wiem. Jagang musiał wiedzieć, że w końcu złapiemy Marlina, a przecież wydał mu ów rozkaz. Dlaczego? Musimy tego dociec. A do tego czasu powinniśmy go umieścić w takim miejscu, z którego nie mógłby uciec i kogoś skrzywdzić.

- On nie może uciec, Matko Spowiedniczko - powiedziała Cara z przesadną cierpliwością. - Panuję nad jego mocą. Wiedz, że potrafię kontrolować osobę, nad której magicznym darem panuję. Mam w tym olbrzymie doświadczenie. Nie może zrobić nic, co by się sprzeciwiało mojej woli. Pozwól, że ci to zademonstruję.

Mord-Sith gwałtownie otworzyła drzwi. Zaskoczeni żołnierze dobyli broni i w milczeniu rozejrzeli się fachowo po komnacie. Kahlan dopiero teraz, przy wpadającym z korytarza świetle, w całej okazałości ujrziała panujący w bibliotece bałagan. Struga krwi plamiła narożnik szafy bibliotecznej. Szkarłatny dywan nasiąkł krwią, gąbczasta czerwona plama sięgała daleko za złoty szlak. Marlin miał zakrwawioną twarz. Bok beżowej bluzy też znaczyła ciemna plama.

- Daj mi swój miecz - nakazała Cara, a jasnowłosy żołnierz bez wahania

podał jej oręż. - Słuchajcie moich słów. Zademonstruję Matce Spowiednicze władzę Mord-Sith. Jeżeli któryś z was sprzeciwi się moim rozkazom, odpowie mi za to - wskazała na Marlina - tak jak on.

Przyjrzeni się ponownie biedakowi leżącemu na podłodze, część żołnierzy skinęła potakująco głowami, reszta głośno potwierdziła swoje posłuszeństwo.

Cara wskazała mieczem Marlina.

- Jeśli uda mu się dotrzeć do drzwi, macie go przepuścić. Odzyska wolność. - Rozległy się pełne sprzeciwu pomruki. - Nie spierajcie się ze mną!

D'harańscy żołnierze zamilkli. Mord-Sith i tak była wystarczająco niebezpieczna, kiedy zaś władała czyjąś magią, nie należało jej już w ogóle wchodzić w drogę. Zajmowała się magią, a oni nie mieli najmniejszej ochoty pchać palców do kotła mrocznych czarów, w którym mieszała rozeźlona Mord-Sith.

Cara podeszła do Marlina i podała mu miecz.

- Weź go.

Marlin się zawahał, ale gdy ostrzegawczo zmarszczyła brwi, złapał rękojeść.

Mord-Sith spojrzała na Kahlan.

- Zawsze pozwalamy naszym więźniom zatrzymać broń. To stałe przypomnienie, że są bezradni, że nawet oręż nic przeciwko nam nie poradzi.

- Wiem. Richard mi powiedział - odparła cicho dziewczyna. Cara gestem nakazała Marlinowi, żeby wstał. Ponieważ uczynił to zbyt - wedle niej - wolno, uderzyła go w złamane żebro.

- Na co czekasz? Wstawaj! Stań, o tam.

Kiedy zszedł z dywanu, odrzuciła kobierzec na bok. Wskazała miejsce na posadzce i pstryknęła palcami. Więzień rączo ruszył ku wskazanemu miejscu, jęcząc z bólu przy każdym kroku. Kobieta złapała go za kark i nachyliła.

- Spluń.

Marlin odkaslnął krew i splunął na podłogę. Mord-Sith wyprostowała go, chwyciła za kołnierz i przyciągnęła do siebie. Zgrzytnęła zębami.

- A teraz posłuchaj. Wiesz, jaki ból potrafię ci zadać, kiedy mi się narazisz.

Chcesz się ponownie o tym przekonać?

Marlin energicznie potrząsnął głową.

- Nie, pani Caro.

- Grzeczny chłopak. Kiedy ci mówię, żebyś coś zrobił, to znaczy, że właśnie tego chcę. Jeśli postąpisz inaczej, jeśli nie wykonasz moich rozkazów, twoja własna magia wykręci ci flaki jak mokłą ścierkę. Ból będzie się nasilał dopóty, dopóki będziesz się sprzeciwiał moim życzeniom. Nie pozwolę, żeby magia cię zabiła, lecz pożałujesz, że się tak nie stanie. Będziesz błagał o śmierć, by uciec przed bólem. A ja nie słucham skamlania moich pieszczoszków o śmierć. Twarz Marlina poszarzała.

- Stań tam, gdzie naplułeś.

Biedak postawił obie stopy na krwawej plamie, a Cara złapała go za brodę i wymierzyła Agiel w jego twarz.

- Chcę, żebyś stał dokładnie tutaj, na krwi, którą wyplułeś, dopóki nie rozkażę inaczej. Nigdy więcej nie spróbujesz skrzywdzić ani mnie, ani nikogo innego. Takie jest moje życzenie. Zrozumiałeś? W pełni pojąłeś moje życzenia?

Skinął potakująco głową na tyle, na ile pozwoliła mu jej dłoń mocno trzymająca go za brodę.

- Tak, pani Caro. Nigdy cię nie skrzywdzę, przysięgam. Chcesz, żebym stał tu, gdzie naplułem, dopóki nie rozkażesz mi inaczej. - Znów miał oczy pełne łez. - Nie poruszę się, przysięgam. Błagam, nie czyn mi nic złego.

Odepchnęła jego twarz.

- Napawasz mnie wstrętem. Mężczyźni, którzy łamią się tak łatwo jak ty, budzą we mnie odrazę. Niektóre dziewczyny trzymały się dłużej pod moim Agielem - mruknęła i wskazała za siebie. - Ci żołnierze nic ci nie zrobią. Nawet nie spróbują cię powstrzymać. Jeżeli wbrew moim życzeniom dotrzesz do drzwi, będziesz wolny i ból zniknie. - Łypnęła gniewnie na gwardzistów. - Słyszeliście, nieprawdaż? Będzie wolny, jeśli zdoła dotrzeć do drzwi. - Żołnierze przytaknęli. - Jeżeli mnie zabije, też będzie wolny.

Tym razem nie potwierdzili, dopóki Cara nie wykrzyczała ponownie owego rozkazu. Gniewnym wzrokiem spozjrzała na Kahlan.

- To dotyczy także ciebie. Jeśli mnie zabije lub dotrze do drzwi, będzie wolny.

Kahlan nie mogła się zgodzić na coś takiego, choćby wydawało się nie

wiadomo jak nieprawdopodobne. Marlin chciał zabić Richarda.

- Dlaczego to robisz?

- Bo musisz zrozumieć. Musisz ufać memu słowu. Dziewczyna odetchnęła z trudem.

- W takim razie rób swoje - powiedziała, nie godząc się na warunki.

Cara odwróciła się tyłem do Marlina i skrzyżowała ramiona.

- Wiesz, czego chcę, mój pieszczošku. Jeśli pragniesz uciec, to masz teraz do tego okazję. Dojdiesz do drzwi i będziesz wolny. Jeśli chcesz mnie zabić za to, co ci uczyniłam, to masz i do tego sposobność - powiedziała i dodała: - A wiesz, chyba jeszcze nie mam dość widoku twojej krwi. Kiedy już skończymy z całą tą bzdurą, zabiorę cię w jakieś ustronne miejsce, gdzie nie będzie Matki Spowiedniczki, która mogłaby się za tobą wstawiać, i przez całe popołudnie, przez całą noc będę cię karać moim Agielem, bo mam na to ochotę. Sprawię, iż pożałujesz, że się urodziłeś. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście, o ile wcześniej nie uciekniesz lub mnie nie zabijesz.

Żołnierze milczeli. Cara czekała z założonymi ramionami, w komnacie panowała dręcząca cisza. Marlin ostrożnie rozejrzał się wokół, popatrzył na żołnierzy, na Kahlan i na plecy Cary. Poruszył palcami na rękojeści miecza, mocniej zacisnął ją w garści. Przymrużył oczy i zastanawiał się.

Wreszcie - wpatrzony w plecy Mord-Sith - zrobił jeden mały krok.

Kahlan wydawało się, że jakaś niewidoczna pałka uderzyła go w brzuch.

Wydał nieokreślony, dziwny dźwięk i zgiął się wpół. Jęknął przeciągle. Stęknął z wysiłku i skoczył ku drzwiom.

Upadł z wrzaskiem na podłogę. Wił się, trzymając oburącz za brzuch.

Rozciągnął się płasko i wyginając z bólu palce, próbował doczołgać do drzwi. Miał jeszcze sporo drogi do przebycia. Każdy zdobyty cal był okupiony coraz straszliwszym bólem. Kahlan drżała, słuchając wrzasków i charczenia Marlina.

Ostatnim desperackim wysiłkiem ponownie chwycił miecz, wstał z trudem, częściowo się wyprostował i uniósł oręż nad głowę. Kahlan zdrętwiała. Nawet gdyby ramiona odmówiły Marlinowi posłuszeństwa, mógł upaść i ciąć Carę. Mord-Sith za bardzo ryzykowała. Gdy mężczyzna zawył i spróbował spuścić miecz na Carę, Kahlan nie wytrzymała i postąpiła krok w jego stronę. Tamta, patrząc na dziewczynę, ostrzegawczo uniosła palec i Matka Spowiedniczka zamarła.

Oręż uderzył o podłogę, a Marlin zgiął się z wrzaskiem, trzymając się za brzuch. Padł, wijąc się jak ryba wyjęta z wody, i z każdą chwilą coraz bardziej cierpiał.

- Co ci powiedziałam, Marlinie? Czego sobie życzę? - spytała spokojnie Cara.

Uchwycił się znaczenia jej słów jak tonący chwyta się rzuconej mu liny.

Przerazonym wzrokiem omiótł podłogę. W końcu to dostrzegł. Poczłogał się do miejsca, na które napluł. Pełził tak szybko, jak mu na to pozwalał szarpający ból. W końcu zdołał się chwiejnie podnieść.

Stał, przyciskając pięści do boku, dalej się trząsał i krzyczał.

- Obie stopy, Marlinie - pouczyła go niedbale.

Opuścił wzrok i dostrzegł, że tylko jedna stopa znajdowała się na plamie. Szarpnięciem postawił na niej drugą.

Przygarbił się i wreszcie zamilkł. Kahlan też jakby się skurczyła wraz z nim.

Marlin zamknął oczy, ciężko dyszał, ociekał potem i trząsał się po przebytej dopiero co męce.

- Rozumiesz?

Cara spojrzała znacząco na Matkę Spowiedniczkę, a ta się nachmurzyła.

Mord-Sith podniosła miecz i zaniósła ku drzwiom. Wszyscy żołnierze cofnęli się o krok. Skierowała ku nim rękojeść. Właściciel opornie go odebrał.

- Jakieś pytania, panowie? - spytała lodowatym tonem. - To doskonale. I przestańcie się dobijać, gdy jestem zajęta - powiedziała, po czym zatrzasnęła im przed nosem ciężkie drzwi.

Przy każdym bolesnym oddechu Marlin to wydymał, to przygryzał dolną wargę. Cara zbliżyła twarz do twarzy więźnia.

- Nie przypominam sobie, żebym ci pozwoliła zamknąć oczy. Czy słyszałeś, jak mówię, że wolno ci je zamknąć?

- Nie, pani Caro - odparł i szeroko otworzył oczy.

- To dlaczego je zamykasz?

- Przepraszam, pani Caro. - Głos mężczyzny zdradzał paniczny strach. - Wybacz mi, proszę. Już tego nie zrobię.

- Caro.

Mord-Sith się odwróciła, jakby zdołała zapomnieć, że Kahlan też jest w

komnacie.

- Tak?

Kahlan przywołała ją skinieniem głowy.

- Musimy porozmawiać.

- Rozumiesz? - spytała Cara, kiedy przyłączyła się do stojącej przy stoliku z lampą dziewczyny. - Rozumiesz, co mam na myśli? Nikogo nie skrzywdzi. Nie ucieknie. Jeszcze nikt nie uciekł Mord-Sith.

- Richard uciekł. - Kahlan zrobiła znaczącą minę, Cara zaś zeszywniała i ze świstem wypuściła powietrze.

- Lord Rahl jest inny. Ten tu nie jest lordem Rahlem. Tysiące razy Mord-Sith udowodniły swoją niezawodność. Tylko jeden lord Rahl zabił swoją panią, żeby odzyskać magiczny dar i uciec.

- Richard udowodnił, że Mord-Sith mimo wszystko nie są niezawodne. Nie obchodzi mnie, ile tysięcy ludzi ujarzmiły, ponieważ to, że jeden zdołał uciec, dowodzi, iż jest to możliwe. Nie wątpię w ciebie, Caro, po prostu nie wolno nam ryzykować. Coś jest nie tak. Dlaczego Jagang miałby rzucać to jagnię w paszczę wilka i jeszcze kazał mu ujawnić, po co przybył?

- Ale...

- Bardzo możliwe, że Jagang zginął, nie żyje, i nie mamy się czego bać. Jeśli jednak żyje i coś się stanie Marlinowi, to Richard za to zapłaci. Jagang pragnie śmierci Eicharda. Czyżbyś była aż tak uparta i narażała lorda Rahla na niebezpieczeństwo po to tylko, żeby zadośćuczynić swojej dumie?

Cara zamyśliła się i podrapała po szyi. Łypnęła przez ramię na stojącego na swojej plwocinie Marlina - oczy miał szeroko otwarte, z czubka nosa ściekały mu krople potu.

- Co zamierzasz zrobić? Ta komnata nie ma okien. Możemy zamknąć i zabarykadować drzwi. Gdzie będzie równie dobrze pilnowany jak tutaj?

Kahlan przycisnęła dłoń do mostka, za którym czuła piekący ból.

- W lochu.

Kahlan zatrzymała się przed żelaznymi drzwiami i splotła palce. Marlin, przypominający przerażonego psiaka, stał cicho w oświetlonym pochodnią korytarzu, otoczony grupą d'harańskich żołnierzy.

- O co chodzi? - spytała Cara. Kahlan drgnęła.

- Słucham?

- Pytałam, o co chodzi. Wyglądasz, jakbyś się bała, że te drzwi cię

pogryzą.

Dziewczyna rozplotła dłonie i zmusiła się, żeby swobodnie opuścić ręce.

- Och, to nic takiego - powiedziała i odwróciła się, po czym zdjęła pęk kluczy z haka wbitego koło drzwi w chropowatą kamienną ścianę.

- Nie okłamuj siostry w Agielu. - Cara zniżyła głos. Kahlan przywołała na usta przepraszający uśmiech.

- W tym lochu skazańcy oczekują na egzekucję. Mam przyrodnią siostrę, Cyrillę. Była królową Galei. Była tutaj, kiedy Aydindril dostało się pod panowanie Imperialnego Ładu, zanim jeszcze Richard oswobodził miasto. Wrzucili ją do jednego lochu wraz z blisko tuzinem morderców.

- Masz przyrodnią siostrę? To znaczy, że wciąż żyje? Kahlan potaknęła, wróciły wspomnienia.

- Wrzucili ją tutaj i zostawili na wiele dni. Księżę Harold, jej brat rodzony, a mój przyrodni, uwolnił Cyrillę, gdy prowadzono ją na szafot, lecz już nigdy nie była taka jak wcześniej. Jakby się zapadła w siebie. Niekiedy, bardzo rzadko, otrząsa się z odrętwienia i nalega, żebym została za nią królową Galei, gdyż jej lud potrzebuje królowej zdolnej mu przewodzić. Zgodziłam się. - Dziewczyna zamilkła na chwilę. - Kiedy odzyskuje przytomność i widzi mężczyzn, krzyczy i nie można jej uspokoić.

Cara stała w milczeniu ze splecionymi za plecami rękoma.

- Mnie też tam wrzucili. - Kahlan wskazała drzwi. Tak zaschło jej w ustach, że dopiero za drugim razem zdołała przełknąć ślinę. - Do tych samych mężczyzn, którzy zgwałcili Cyrillę. - Odegnęła wspomnienia i przelotnie zerknęła na Carę. - Ale mi nie zrobili tego co jej. - Przemilczała, jak niewiele brakowało, żeby historia się powtórzyła.

- Iłu zabiłaś? - Mord-Sith uśmiechnęła się przebiegle.

- Uciekłam, nie tracąc czasu na dokładne liczenie. - Przelotny uśmiezek nie chciał zostać na wargach Kahlan. - Lecz pobyt tam, na dole, sam na sam z tymi bestiami, śmiertelnie mnie przeraził. - Serce dziewczyny waliło jak szalone, chwiała się i nie mogła prosto ustać.

- Może wolałabyś zamknąć Marlina gdzie indziej? - zaproponowała Cara.

- Nie. - Kahlan odetchnęła głęboko. - Przepraszam cię za moje zachowanie Caro. - Spojrzała przelotnie na Marlina. - Coś jest z jego oczami. Coś dziwnego... - Znów patrzyła na Mord-Sith. - Przepraszam. Zwykle nie jestem taka nerwowa. Tak krótko mnie znasz. Zazwyczaj tak się nie lękam.

Po prostu... to chyba dlatego, że ostatnie dni były takie spokojne. Strasznie długo byłam rozdzielona z Richardem, a każda wspólnie spędzona chwila to takie szczęście! Mieliśmy nadzieję, że Jagang zginął, że wojna się skończyła. Mieliśmy nadzieję, że był w Pałacu Proroków, kiedy Richard zniszczył tę budowlę...

- Może istotnie był. Marlin twierdzi, że Jagang wydał mu te rozkazy przed dwoma tygodniami. Lord Rahl mówił, że Jagang chciał zająć pałac, pewnie był ze swoimi oddziałami, kiedy zaatakowały. Na pewno nie żyje.

- Może i tak. Ale tak się boję o Richarda... i to prawdopodobnie wpływa na moją ocenę sytuacji. Wszystko się ułożyło, a ja się boję, że sprawy znów wymkną mi się z rąk.

Cara wzruszyła ramionami, jakby chciała powstrzymać usprawiedliwienia dziewczyny.

- Wiem, co czujesz. Teraz, kiedy lord Rahl dał nam wolność, i my mamy coś, co boimy się utracić. Może dlatego również ja jestem taka nerwowa. - Skinęła dłonią ku drzwiom. - Możemy znaleźć jakieś inne miejsce. Są inne pomieszczenia, które nie obudzą w tobie zbyt bolesnych wspomnień.

- Nie. Przede wszystkim należy chronić Richarda. Loch to najodpowiedniejsze miejsce do odosobnienia więźnia, poza tym jest teraz pusty. Stąd nie można uciec.

Nic mi nie jest.

- Nie można uciec? - Cara zrobiła znaczącą minę. - Przecież ty uciekłaś.

Kahlan zapanowała już nad wspomnieniami i uśmiechnęła się.

Grzbietem dłoni klepnęła brzuch Cary.

- Marlin to nie Matka Spowiedniczka. - Obejrzała się na stojącego w korytarzu Marlina. - Ale jest w nim coś takiego... coś, co mi umyka. Coś osobliwego. Przeraza mnie, a nie powinien, skoro kontrolujesz jego magiczny dar.

- Masz rację, nie powinnaś się niepokoić. Całkowicie go kontroluję. Jeszcze nigdy żaden pieszczoszek nie wymknął mi się spod kontroli. Nigdy.

Cara odebrała Kahlan klucze i otworzyła drzwi. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Z panujących w dole ciemności cuchnęło wilgocią. Woń znów obudziła wspomnienia dziewczyny i Kahlan poczuła, jak się jej kurczy żołądek. Mord-Sith cofnęła się nerwowo.

- Chyba nie ma tam żadnych... żadnych szcurków?

- Szczurów? - Kahlan spojrzała w mroczną czeluść. - Nie ma. Nie mają się tam któreśdy przedostać. Żadnych szczurów. Przekonasz się.

Dziewczyna odwróciła się ku żołnierzom, którzy czekali w korytarzu z Marlinem, i wskazała ruchem dłoni drabinę opartą o ścianę naprzeciwko drzwi.

Przesunęli ją przez drzwi i opuścili na samo dno, a Cara pstryknęła palcami, dając Marlinowi znak, by się zbliżył. Przybiegł bez wahania, nie chcąc uczynić niczego, co by się jej nie spodobało.

- Weź pochodnię i zejź - nakazała mu.

Marlin wyjął pochodnię z zardzewiałego uchwytu i zaczął schodzić po drabinie. Nieco zdziwiona Cara ruszyła za nim w mrok, bo Kahlan i jej wskazała drabinę.

- Sierzancie Collins, proszę tu czekać ze swoimi żołnierzami - powiedziała Matka Spowiedniczka.

- Na pewno tutaj, Matko Spowiedniczko? - zapytał sierżant.

- A masz ochotę znaleźć się tam, na dole, w małym pomieszczeniu w towarzystwie poirytowanej Mord-Sith?

żołnierz wsunął kciuk za pas z bronią i spojrzał w głąb lochu.

- Zaczekamy tutaj, zgodnie z twoim rozkazem.

- Nic się nam nie stanie - powiedziała Kahlan i zaczęła schodzić po drabinie.

Gładkie kamienne bloki dopasowano bez zaprawy tak dokładnie, że nie można by między nie włożyć nawet paznokcia. Dziewczyna spojrzała w dół przez ramię.

Marlin, który trzymał pochodnię, i Cara czekali na nią niemal dwadzieścia stóp niżej.

Kahlan ostrożnie stawiała stopy na szczeblach, nie chcąc przydepnąć skraju sukni i spaść.

- Dlaczego jesteśmy tu razem z nim? - spytała Cara, kiedy Kahlan zeszła z ostatniego szczebla.

Dziewczyna otrzepała dłonie z pyłu. Wzięła od Marlina pochodnię, podeszła do ściany. Wspięła się na palce i umocowała żagiew w jednym z uchwytów.

- Ponieważ kiedy tu szliśmy, postanowiłam, że zanim go tu zostawimy, zapytam go jeszcze o kilka spraw.

Cara spojrzała gniewnie na wysłannika Jaganga i wskazała na podłogę.

- Spluń tutaj. - Odczekała. - A teraz stań na tym. Mężczyzna stanął we wskazanym miejscu, dbając, żeby obie stopy znalazły się na plwocinie. Mord-Sith rozejrzała się po pustym pomieszczeniu, uważnie przyjrzała się zalegającym w kątach cieniom. Kahlan była ciekawa, czy tamta się upewnia, że naprawdę nie ma tu szczurów.

- Marlinie - odezwała się, a on oblizał wargi i czekał na pytanie. - Kiedy dostałeś ostatnie rozkazy od Jaganga?

- Około dwóch tygodni temu, jak ci już mówiłem.

- I od tamtej pory już się z tobą nie kontaktowałem?

- Nie, Matko Spowiedniczko.

- A gdyby nie żył, wiedziałbyś o tym?

- Nie wiem - odparł bez wahania. - Albo do mnie przychodzi, albo nie. A między tymi nawiedzeniami nic o nim nie wiem.

- Jak do ciebie przychodzi?

- W snach.

- I nie śniłeś o nim od tamtej nocy sprzed dwóch tygodni?

- Nie, Matko Spowiedniczko.

Kahlan namyślała się, chodząc od ściany do ściany z syczącą pochodnią.

- Nie rozpoznałeś mnie, kiedy mnie pierwszy raz zobaczyłeś - stwierdziła, a gdy potwierdził skinieniem, spytała: - Czy rozpoznałbyś Richarda?

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- Jak? - Kahlan zmarszczyła brwi. - Skąd go znasz?

- Z Pałacu Proroków. Byłem tam uczniem. Siostra Verna przywiodła Richarda.

Znam go z pałacu.

- Uczeń, z Pałacu Proroków? Więc... ile masz lat?

- Dziewięćdziesiąt trzy, Matko Spowiedniczko.

Nic dziwnego, że wydawał się jej taki dziwny: czasem zachowywał się jak chłopak, a czasem jak dojrzały mężczyzna. To wyjaśniało mądre, rozważne spojrzenie młodzieńczych oczu. Bo jego oczy nie pasowały do młodzieńczego wyglądu postaci.

To na pewno wszystko wyjaśnia.

W Pałacu Proroków uczono chłopców posługiwania się darem.

Starożytna magia wspomagała Siostry Światła - tak zmieniała upływ czasu w pałacu, żeby miały go wystarczająco dużo, by, bez doświadczonych czarodziejów, nauczyć chłopców, jak mają kontrolować swój magiczny dar.

Teraz to wszystko się skończyło. Richard zniszczył i pałac, i proroctwa, żeby nie wpadły w łapy Jaganga. Proroctwa mogłyby mu pomóc w zdobyciu władzy nad światem, a pałac dałby mu setki lat na władanie tymi, których podbił. Kahlan przestała się niepokoić.

- Teraz już wiem, co w nim jest takie dziwne - powiedziała i westchnęła z ulgą.

Cara wciąż była niespokojna.

- Dlaczego ujawniłeś się żołnierzom, kiedy się już znalazłeś w Pałacu Spowiedniczek?

- Imperator Jagang nie wyjaśnia swoich rozkazów, pani Caro.

- Jagang jest ze Starego Świata i na pewno nic nie wie o Mord-Sith - powiedziała Cara do Kahlan. - Chyba się spodziewał, że taki czarodziej jak ten tu Marlin wzbudzi panikę i wywoła zamęt.

Dziewczyna zastanowiła nad owym przypuszczeniem.

- Bardzo możliwe. Jagang ma na usługach Siostry Mroku, więc mógł od nich uzyskać wiadomości o Richardzie. Richard za krótko był w pałacu, żeby się wystarczająco wiele dowiedzieć o swoim darze. Prawdopodobnie Siostry Mroku powiedziały Jagangowi, że Richard nie potrafi się posługiwać swoim magicznym talentem. Richard jest również Poszukiwaczem Prawdy i wie jak wykorzystać Miecz Prawdy, lecz nie ma pojęcia, jak korzystać ze swego daru. Jagang wpadł na pomysł, żeby przysłać czarodzieja, bo a nuż się uda, a jeśli nawet nie... to co z tego? Ma innych.

- Co o tym myślisz, mój pieścioszku? Łzy napłynęły Marlinowi do oczu.

- Nie wiem, pani Caro. Nie wiem. Nic mi nie powiedział. Przysięgam. - Zaczęła mu drzeć broda, a potem również głos. - Ale to całkiem możliwe. Matka Spowiedniczka powiedziała prawdę: on nie dba o to, czy zginiemy, wypełniając zadanie. Nasze życie niewiele dlań znaczy.

- Coś jeszcze? - Cara spojrzała na Kahlan. Dziewczyna potrząsnęła głową.

- W tej chwili już nic nie przychodzi mi na myśl. Sądzę, że to istotnie może być prawda. Wrócimy, gdy to sobie przemyślę. Może wpadną mi do głowy jakieś pytania, które to dodatkowo wyjaśnią.

Cara wymierzyła Agiel w twarz Marlina.

- Masz stać dokładnie w tym miejscu, na swojej płwocinie, aż do naszego powrotu. Nie jest ważne, czy to się stanie za dwie godziny, czy za dwa dni. Jeśli usiądziesz albo dotkniesz podłogi inną częścią ciała niż podeszwy, będziesz tu sam na sam z męką, jaką sprowadzi na ciebie sprzeciwienie się moim życzeniom.

Zrozumiałeś?

Kropla potu skapnęła Marlinowi do oka, zamrugał.

- Tak, pani Caro.

- Caro, czy naprawdę uważasz, że trzeba...

- Tak. Znam swoją pracę. Pozwól mi ją wykonywać. Sama mi przypomniałaś, jak wysoka jest stawka i że nie wolno nam ryzykować.

- W porządku - ustąpiła Matka Spowiedniczka.

Dziewczyna podeszła do drabiny i weszła na pierwszy szczebel. Na drugim się zatrzymała i obejrzała za siebie. Zmarszczyła brwi i zeszła na dno lochu.

- Czy przyszedłeś do Aydindril sam, Marlinie?

- Nie, Matko Spowiedniczko. Cara złapała go za kołnierz bluzy,

- Co takiego?! Przybyłeś z innymi?!

- Tak, pani Caro.

- Z iloma?

- Z jedną osobą, pani Caro. Ona jest Siostrą Mroku. Dłoń Kahlan wylądowała na bluzie obok dłoni Cary.

- Jak się nazywa?!

Marlin, wypłoszony przez obie kobiety, próbował się odrobinę cofnąć, ale nie zdołał, bo krzepko go trzymały.

- Nie znam jej imienia. Przysięgam - zaskomlał.

- Jest Siostrą Mroku, przyszła z pałacu, w którym żyłeś niemal całe stulecie, i nie znasz jej imienia?! - krzyknęła Kahlan.

Marlin oblizał wargi, wodził oczami od jednej do drugiej.

- W Pałacu Proroków były setki Sióstr. Obowiązywały zasady. Mieliśmy przypisane nauczycielki. W pewne miejsca nie wolno nam było chodzić, z niektórymi Siostrami, na przykład z tymi, które zajmowały się administracją, nigdy nie mieliśmy styczności. Przysięgam, że nie znam wszystkich. Widziałem ją przedtem, w pałacu, lecz nie znam jej imienia, a ona mi go nie zdradziła.

- Gdzie teraz jest?!

- Nie wiem! - Marlin trząsł się z przerażenia. - Nie widziałem jej od wielu dni, od kiedy przybyłem do miasta. Kahlan zgrzytnęła zębami.

- A jak wygląda?

Marlin znów oblizał wargi i przeniósł wzrok z Kahlan na Carę i z powrotem.

- Nie wiem. Nie umiem jej opisać. Młoda kobieta. Chyba jeszcze niedawno była nowicjuską. Wygląda tak młodo jak ty, Matko Spowiedniczko. Ładna.

Myślałem, że jest ładna. Ma długie włosy. Długie kasztanowe włosy.

Kahlan i Cara wymieniły spojrzenia.

- Nadine - stwierdziły jednym głosem.

ROZDZIAŁ 4

Pani Caro? - zawołał z dołu Marlin.

Odwróciła się, zaczepiona dłonią o jeden szczebel niżej od Kahlan.

Wyciągnęła rękę z pochodnią.

- Tak?

- Jak mam spać, pani Caro? Jeśli nie wrócisz wieczorem, a ja mam stać, to jak będę spał?

- Jak będziesz spał? To nie moja sprawa. Powiedziałam: nie wolno ci cofnąć stóp z plwociny. Porusz się, usiądź lub połóż, a bardzo tego pożałujesz. Będziesz sam na sam z bólem. Zrozumiano?

- Tak, pani Caro - powiedział słaby głos z zalegających w dole ciemności.

Kahlan znalazła się w korytarzu i wzięła od Cary pochodnię. Mord-Sith mogła się teraz posługiwać przy wspinaczce obiema rękami. Dziewczyna podała pochodnię sierżantowi Collinsowi, któremu najwyraźniej zrobiło się lżej na sercu, kiedy je zobaczył.

- Chciałabym, żebyście tu wszyscy zostali, Collins. Nie otwierajcie drzwi i pod żadnym pozorem nie schodźcie na dół. Nikt nie ma prawa tam zajrzeć.

- Tak jest, Matko Spowiedniczo. - Sierżant Collins zawahał się, a potem spytał: - Więc to niebezpieczne?

Kahlan zrozumiała jego troskę.

- Nie. Cara kontroluje jego moc. Marlin nie może się posłużyć swoją magią. - Spojrzała na żołnierzy blokujących obskurny kamienny korytarz. Prawie setka. - Nie wiem, czy wrócimy tu wieczorem - powiedziała do sierżanta. - Sprowadź tu resztę swoich ludzi i podziel ich na oddziały. Niech się zmieniają na warcie, ale za każdym razem ma ich być tutaj przynajmniej tyłu, ilu jest teraz. Zamknij wszystkie opancerzone drzwi. Przy drzwiach na obu końcach tego korytarza postaw łuczników.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż nie ma potrzeby się niepokoić, bo on nie może się posłużyć swoim magicznym darem.

Kahlan się uśmiechnęła.

- A chciałbyś się tłumaczyć przed Cara, gdyby ktoś się tu wśliznął i podczas jej nieobecności wykradł więźnia sprzed twojego nosa?

Sierżant podrapał się po nie ogolonej brodzie i zerknął na Carę.

- Rozumiem, Matko Spowiedniczko. Nikt nie podejdzie do tych drzwi na odległość strzału z łuku.

- Wciąż mi nie ufasz? - spytała Cara, kiedy odeszły na tyle daleko, że żołnierze nie mogli ich już usłyszeć.

Kahlan uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

- Moim ojcem był król Wyborn. Najpierw ojcem Cyrilli, a potem moim. Był wielkim wojownikiem. Nauczył mnie, że w wypadku więźniów nigdy nie ma dość ostrożności.

Mijały potrzaskującą pochodnię, gdy Cara wzruszyła ramionami.

- W porządku. To nie rani moich uczuć. Lecz panuję nad jego magią. Jest bezradny.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, jak możesz się bać magii i jednocześnie tak dobrze ją kontrolować.

- Już mówiłam, że panuję nad nią tylko wtedy, kiedy on posługuje się swoim darem przeciwko mnie.

- A jak przejmujesz nad nią kontrolę? W jaki sposób możesz jej rozkazywać?

Cara zakołowała Agielem wiszącym na łańcuszku, który opinał jej nadgarstek.

- Sama nie wiem. Po prostu to robimy. W części szkolenia Mord-Sith bierze udział sam mistrz Rahl. To wówczas wpaja nam ową umiejętność. Sądzę, że to nie nasza wewnętrzna magiczna moc, lecz moc nam przekazana.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Czyli w gruncie rzeczy sama nie wiesz, co robisz. A mimo to to działa.

Cara zaczęła czubkami palców o żelazną poręcz w narożniku, okręciła się wokół niej i poszła za Kahlan w górę kamiennych schodów.

- Wcale nie musisz wiedzieć, co robisz, żeby magia zadziałała.

- Co masz na myśli?

- Lord Rahl powiedział nam, że dziecko to magia: magia stworzenia, cud natury. Nie musisz wiedzieć, co robisz, żeby dać mu życie. Pewnego razu dziewczynka, bardzo naiwna czternastolatka, córka jednego z pracowników z Pałacu Ludu w D'Harze, powiedziała mi, że Rahl Posepny, który lubił, gdy nazywano go Ojczulkiem Rahlem, dał jej pączek róży, który rozwinął się w jej dłoni, kiedy Rahl się do niej uśmiechał. Powiedziała, że tak zaszła w ciążę, że

to się stało dzięki jego magii. - Cara zaśmiała się smutno. - Naprawdę uważała, że w ten właśnie sposób zaszła w ciążę. Nigdy jej nie przyszło do głowy, że to dlatego, iż rozłożyła nogi przed Rahlem. Rozumiesz? Dokonała magicznego czynu. Poczęła syna, nie wiedząc nawet, jak do tego naprawdę doszło. Kahlan zatrzymała się w mroku panującym na podeście, złapała Careę za łokieć i zatrzymała.

- Cała rodzina Richarda nie żyje. Rahl Posepny zabił jego ojczyzna, matka zmarła, gdy był jeszcze dzieckiem, a przyrodni brat, Michael, zdradził Richarda...

pozwalając, żeby Denna go pojmała. Richard pokonał Rahla Posepnego i wybaczył Michaelowi to, co ten mu uczynił, jednak kazał go ściąć, bo owa zdrada spowodowała śmierć i mękę ogromnej liczby ludzi. Dobrze wiem, jak wiele znaczy dla Richarda rodzina. Bardzo by się ucieszył, że ma przyrodniego brata. Może pošlemy po niego do pałacu w D'Harze? Richard byłby...

Cara potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- Rahl Posepny wypróbował dziecko i stwierdził, że urodziło się bez daru. A on tak pragnął dziedzica obdarzonego magicznym talentem, natomiast potomków pozbawionych tej cechy uważał za okaleczonych i bezwartościowych.

- Rozumiem. - Na schodach zapanowała cisza. - A dziewczyna... matka?

Cara westchnęła ciężko. Pojęła, że Kahlan chciała wszystko usłyszeć.

- Rahl Posepny się rozgniewał. I to bardzo. Najpierw zmusił dziewczynę, żeby patrzyła, jak... jak morduje jej synka, a potem udusił ją własnymi rękami. Rahl często się denerwował, kiedy nawinął mu się przed oczy pozbawiony daru potomek, i wtedy zabijał takie dziecko.

Kahlan puściła łokieć Mord-Sith.

Cara podniosła oczy; znów były spokojne.

- Kilka Mord-Sith spotkał taki sam los. Na szczęście nigdy nie zaszłam w ciążę, gdy Rahl mnie wybierał dla swojej rozrywki.

- Cieszę się, że Richard uwolnił cię od tej bestii. Że wszystkie was uwolnił - przerwała ciszę Kahlan.

Cara potaknęła, a jej oczy były lodowate. Dziewczyna jeszcze nigdy nie widziała u tamtej takiego spojrzenia.

- Jest dla nas kimś więcej niż tylko lordem Rahlem. Każdy, kto ośmieli się

go skrzywdzić, odpowie za to przed Mord-Sith, odpowie przede mną.

Kahlan nagle pojęła, co oznaczały słowa Cary, że Richard może ją, Kahlan,

„sobie zatrzymać”. Ze strony Mord-Sith było to największe ustępstwo, największa uprzejmość: pozwolić mu zatrzymać tę, którą kochał, choć mogło go to narazić na cierpienia.

- Byłabyś druga w kolejce - odparła. Cara wreszcie się uśmiechnęła.

- Módlmy się do dobrych duchów, byśmy się nigdy nie musiały sprzeczać o prawo pierwszeństwa.

- Mam lepszy pomysł: postarajmy się przede wszystkim, żeby jego nigdy nie spotkało nic złego. Ale kiedy się już tam znajdziemy, pamiętaj, że nie wiemy, kim tak naprawdę jest Nadine. Jeśli to Siostra Mroku, to jest ogromnie niebezpieczną kobietą.

Lecz nie wiemy, czy na pewno nią jest. Równie dobrze może być osobą o wysokiej randze i znaczeniu. A może się okazać po prostu córką bogatego pana z wielkiego rodu. Być może ojciec przegnał jej biednego, pracującego na roli ukochanego i ona go teraz szuka. Nie chcę, żebyś skrzywdziła niewinną osobę. Nie traćmy głowy.

- Nie jestem potworem, Matko Spowiedniczko.

- Wiem. I wcale nie chciałam powiedzieć, że jesteś. Ja tylko nie chcę, żeby pragnienie uchronienia Richarda odebrało nam rozsądek. To dotyczy także mnie. A teraz chodźmy do Sali Posłuchań.

- Po co mamy tam iść? - Cara się nachmurzyła. - Dlaczego nie wprost do komnaty Nadine?

Kahlan ruszyła w górę po dwa stopnie naraz.

- Ponieważ w Pałacu Spowiedniczek jest dwieście osiemdziesiąt osiem komnat gościnnych rozmieszczonych w sześciu skrzydłach. Byłam przedtem rozkojarzona i nie powiedziałam gwardzistom, gdzie ją mają umieścić, więc musimy o to zapytać.

Cara otworzyła ramieniem drzwi u szczytu schodów i weszła w korytarz przed Kahlan. Lubiła sprawdzać, czy wszystko jest w porządku.

- Marne rozwiązanie. Dlaczego tak rozdzielono komnaty gościnne?

- To krótsza droga. - Kahlan wskazała na biegnące w lewo odgałęzienie korytarza, zwolniła, a kiedy dwaj gwardziści przepuścili je, znów przyspieszyła kroku.

Maszerowały po ciemnobłękitnym dywanie. - Komnaty gościnne leżą tak daleko od siebie, gdyż wielu dyplomatów przybywa do pałacu załatwić z Naczelną Radą rozmaite sprawy, więc gdyby umieściło się obok siebie nieodpowiednich przedstawicieli krain, byłoby to nad wyraz nieroztropne. Utrzymywanie pokoju wśród sojuszników to niekiedy delikatna kwestia zapewnienia równowagi. A to wymaga kompromisów.

- Są przecież te wszystkie pałace przy Kings Row, przeznaczone dla reprezentantów poszczególnych krain.

- To część gry - mruknęła cynicznie Kahlan.

Weszły do Sali Posłuchań i wszyscy znów uklęknęli. Kahlan musiała odwzajemnić powitanie i dopiero potem mogła porozmawiać z kapitanem. Powiedział jej, gdzie umieścić Nadine, i dziewczyna już miała się tam udać, gdy ruszył ku niej jeden z chłopców z drużyny Ja'La, który do tej pory czekał cierpliwie wraz z innymi, a teraz zerwał z głowy miękką wełnianą czapkę i potruchtał ku Kahlan. Dostrzegł go kapitan.

- Chce zobaczyć lorda Rahla. Pewno ma nadzieję, że lord przyjdzie obejrzeć następną grę. - Żołnierz uśmiechnął się do siebie. - Powiedziałem mu, że może zaczekać, ale nie mogę obiecać, iż lord Rahl się z nim zobaczy. - Z zażenowaniem poruszył ramionami. - Choć tyle mogłem zrobić. Ja również przyglądałem się wczoraj grze, razem z żołnierzami. Dzięki chłopcu i jego drużynie wygrałem trzy srebrne marki.

Chłopiec mocno ścisnął czapkę w drobnych piąstkach i przyklęknął przed Kahlan po drugiej stronie marmurowej balustrady.

- Matko Spowiedniczko, my byśmy chcieli... jeśli to nie za duży kłopot... my...

- Umilkł, zachłystując się powietrzem.

- Nie bój się. - Dodała mu odwagi uśmiechem. - Jak się nazywasz?

- Yonick, Matko Spowiedniczko.

- Przykro mi, Yonicku, ale Richard nie może teraz obejrzeć gry. Jesteśmy na razie bardzo zajęci. Może jutro. Wasza gra sprawiła nam wiele radości i chętnie zobaczylibyśmy następny mecz, jednak nie dzisiaj. Innego dnia.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Ja nie w tej sprawie. Idzie o mojego brata, Kipa. - Zmiał czapkę. - Zachorował. Zastanawiałem się... czy może lord Rahl nie mógłby przyjść i trochę poczarować, żeby Kip się lepiej poczuł.

Kahlan pocieszająco ścisnęła ramię Yonicka,

- Richard nie robi tego rodzaju czarów, Idź raczej do jednego z uzdrowicieli przy Stentor Street. Powiedz im, że twój brat zachorował, a dadzą ci zioła, które mu pomogą.

Yonick zwiesił głowę.

- Nie mamy pieniędzy na zioła. To dlatego miałem nadzieję... Kip jest naprawdę chory.

Kahlan wyprostowała się i zerknęła na kapitana. Ten popatrzył na nią, a potem na chłopca. Odchrząknął.

- Widziałem wczoraj, jak grasz, Yonicku - wydukał. - Całkiem dobrze. Twoja drużyna była wcale niezła. - Znów spojrzał w oczy Kahlan, sięgnął do kieszeni, wyjął monetę, przechylił się przez balustradę i wcisnął pieniądz w piąstkę chłopca. - Wiem, który to twój brat. On... wspaniale strzelił tego gola. Weź to i kup mu zioła, jak radziła Matka Spowiedniczka.

Yonick wpatrywał się ze zdumieniem w srebrną monetę.

- Słyszałem, że zioła aż tyle nie kosztują Kapitan zbył tę uwagę machnięciem ręki.

- Nie mam innej. Z reszty zafunduj coś swojej drużynie w nagrodę za zwycięstwo. Bierz monetę i zmykaj. Musimy się zająć pałacowymi sprawami.

Chłopiec poderwał się i położył pięść na sercu.

- Tak jest.

- I trenuj wykop - zawołał kapitan za chłopcem biegnącym przez komnatę ku swoim kolegom. - Jest trochę za słaby.

- Dobrze - odkrzyknął przez ramię Yonick. - Dziękuję. Kahlan przyglądała się, jak zwołał przyjaciół i pospiesznie ruszył z nimi ku drzwiom.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, kapitanie...

- Harris. Dziękuję, Matko Spowiedniczko.

- Chodźmy do lady Nadine, Caro.

Kahlan miała nadzieję, że podczas warty kapitana, który się przed nią skłonił, nie wydarzyło się nic szczególnego.

- Czy Nadine próbowała wyjść, kapitanie Nance?

- Nie, Matko Spowiedniczko - odparł, prostując się. - Chyba była wdzięczna, że ktoś zainteresował się jej sprawą. Wyjaśniłem jej, że mogą się przydarzyć jakieś kłopoty i dlatego chcemy, by pozostała w swojej komnacie,

a ona obiecała, że zastosuje się do moich poleceń. - Popatrzył na drzwi. - Powiedziała, że nie chciałaby mnie wpędzić w tarapaty i dlatego uczyni, o co proszę.

- Dziękuję, kapitanie. - Już miała otworzyć drzwi, ale się powstrzymała. - Zabij ją, jeśli wyjdzie z komnaty bez nas. Nie trać czasu na jakiegokolwiek pytania, nie ostrzegaj jej, po prostu daj znak łucznikom, by ją zastrzelili. - Żołnierz zmarszczył brwi, więc Kahlan dodała: - Jeśli wyjdzie jako pierwsza, udowodni tym samym, że włada magią i że nas zabiła.

Kapitan Nance, ze zbielełą twarzą, przyłożył pięść do serca. Zewnętrzny salonik miał czerwony wystrój. Ściany były ciemnopurpurowe, górami zdobił je biały gzyms, dołem - różowa marmurowa listwa. Różowe były również ościeżnice drzwi.

Drewniany parkiet niemal całkowicie pokrywał wielki dywan ze złotymi frędzlami, ozdobiony skomplikowanym wzorem z kwiatów i liści. Ów motyw powtarzał się na złożonych nóżkach stolików o marmurowych blatach i foteli, które obito czerwonym aksamitem. Komnata znajdowała się w głębi pałacu, więc nie było tu okien. Wokół pomieszczenia rozmieszczono dwanaście kinkietów, po ścianach tańczyły więc odblaski światła sączącego się przez ich kryształowe klosze.

Kahlan zawsze uważała, że jest to jeden z najmniej szczęśliwych zestawów kolorystycznych w całym pałacu, lecz niektórzy dyplomaci goszczący w Pałacu Spowiedniczek prosili o tę właśnie komnatę. Uważali, że wprawia ich w nastrój sprzyjający negocjacom. Dziewczyna ze szczególną ostrożnością wysłuchiwała argumentów dyplomatów, którzy wybrali jedną z czerwonych komnat.

W ekstrawaganckim zewnętrznym saloniku nie było Nadine. Drzwi do sypialni były uchylone.

- Zachwycające komnatki - szepnęła Cara. - Mogę je zająć? Kahlan ją uciszyła. Wiedziała, dlaczego Mord-Sith chciała mieć czerwoną komnatę. Ostrożnie pchnęła drzwi do sypialni. Cara zerkała jej przez ramię, a jej oddech łaskotał lewe ucho dziewczyny.

Wystrój sypialni - o ile to możliwe - działał na nerwy jeszcze bardziej niż salonik. Czerwień powtarzała się w dywanach, haftowanej narzucie na łożo, przebogatej kolekcji ozdobnych purpurowych poduch ze złotymi frędzlami, w fantazyjnym obramowaniu kominka wykonanym z różowego marmuru.

Kahlan pomyślała, że gdyby Cara kiedykolwiek chciała się ukryć i miała akurat na sobie czerwony skórzany uniform, to mogłaby po prostu usiąść w tej komnacie i nikt nigdy by jej nie znalazł.

W sypialni paliła się tylko połowa lamp. Na stolikach i na biurku stały czary pełne suszonych płatków róż: ich woń mieszała się z zapachem nafty i w powietrzu unosił się intensywny, mdlący i słodki zarazem zapach.

Gdy skrzypnęły zawiasy, leżąca na łożu kobieta otworzyła oczy, zobaczyła Kahlan i zerwała się. Dziewczyna - gotowa porazić Nadine mocą Spowiedniczki, gdyby dostrzegła najślabszą zapowiedź ataku - instynktownie uniosła ramię, odsuwając Carę z drogi. Napięła mocno mięśnie i wstrzymała oddech. Gdyby owa kobieta władała magią, to Kahlan musiałaby być szybsza od niej.

Nadine pospiesznie przecierała zaspane oczy. Wykonała niezgrabne dworskie dygnięcie i Kahlan już wiedziała, że tamta nie pochodzi z arystokratycznego rodu.

Jednak mogła być przecież Siostrą Mroku. Nadine gapiała się przez chwilę na Carę, potem wygładziła suknię na kształtnych biodrach i odezwała się do Kahlan:

- Wybacz mi, królowo, ale miałam długą podróż i potrzebowałam odpoczynku. Musiałam zasnąć, bo nie usłyszałam twojego pukania. Jestem Nadine Brighton, królowo.

Nadine znów się niezgrabnie skłoniła, a Kahlan szybko przyjrzała się komnacie. Nie skorzystała z miednicy i dzbana. Ręczniki były czyste, porządnie złożone. U stóp łoża stała skromna, zniszczona, wełniana torba podróżna. Jedyne obce przedmioty były szczotka do ubrania i cynowy kubek, umieszczone na przeładowanym ozdobami połączonym stoliku, który stał wraz z obitym czerwonym aksamitem fotelem obok łoża z baldachimem. Pomimo chłodu wczesnej wiosny i wygasłego kominka Nadine nie odrzuciła przykrycia łoża. Może dlatego, pomyślała Kahlan, by się nie zaplątać, gdyby musiała się szybko poderwać. Kahlan nie przeprosiła za to, że weszła bez pukania.

- Matko Spowiedniczko - oznajmiła ostrzegawczym tonem, chcąc dać do zrozumienia, jak potężną i groźną mocą włada. - Królowa to jeden... jeden z rzadziej używanych tytułów. Przede wszystkim jestem znana jako Matka Spowiedniczka.

Nadine się zarumieniła i piegi na zgrabnym nosku oraz na policzkach stały się ledwo widoczne. Wielkie piwne oczy z zażenowaniem spojrzały na podłogę.

Pospiesznie przeczesła palcami kasztanowe włosy, choć wcale nie były w nieładzie.

Nie była tak wysoka jak Kahlan, ale wyglądała na jej rówieśniczkę, no może na o rok młodszą. Była ładną młodą kobietą i nie sprawiała wrażenia niebezpiecznej, lecz świeża buzia i niewinne zachowanie nie uspokoiły Kahlan.

Przeżyte doświadczenia wiele nauczyły Matkę Spowiedniczkę i nie były to miłe lekcje. Marlin - najnowsza z nich - na pierwszy rzut oka wydawał się niezdarnym młodzianem. Piękne oczy tej młodej kobiety nie miały co prawda owego ponadczasowego spojrzenia, które tak niepokoiło Kahlan u Marlina, lecz mimo to wciąż miała się na baczności.

Nadine odwróciła się i szybkimi ruchami rąk zaczęła wygładzać fałdy na narzucie.

- Wybacz mi, Matko Spowiedniczko, wcale nie chciałam zmiąć twojego wspaniałego łoża. Najpierw oczyściłam suknię, żeby nie nanieść pyłu z dróg.

Zamierzałam się położyć na podłodze, ale łoże wyglądało tak zachęcająco, że nie mogłam się powstrzymać. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

- Oczywiście, że nie - odparła Kahlan. - Prosiłam przecież, byś się tu czuła jak u siebie.

Cara wyminęła dziewczynę, zanim ta skończyła mówić. Zdawało się, że wśród Mord-Sith nie było żadnej hierarchii, lecz Berdine i Raina zawsze słuchały poleceń Cary. D'Harańczycy milcząco uznawali wysoki status Mord-Sith, a szczególnie Cary, chociaż Kahlan nigdy nie słyszała żadnego uzasadnienia. Jeśli Cara nakazała „Spluń”, to ludzie pluli.

Nadine wytrzeszczyła oczy i pisnęła, kiedy zobaczyła mknącą ku niej Mord-Sith w czerwonym skórzanym uniformie.

- Caro! - zawołała Kahlan. Cara udała, że nie słyszy.

- Mamy w lochu twojego przyjaciela, Marlina. Wkrótce do niego dołączysz.

Mord-Sith wbiła palec w zagłębienie u podstawy szyi Nadine, zmuszając kobietę, żeby opadła na fotel stojący obok łoża.

- Rety! - wrzasnęła Nadine, łypiąc gniewnie na Carę. - To boli!
Poderwała się z fotela, a Cara zacisnęła na jej szyi dłoń w pancерnej rękawicy.

Poderwała Agiel i wycelowała go w szeroko otwarte piwne oczy.

- Jeszcze nie zaczęłam sprawiać ci bólu.

Kahlan chwyciła warkocz Cary i porządnie szarpnęła.

- Tak czy inaczej musisz się nauczyć słuchać poleceń! Cara, nie puszczając szyi Nadine, odwróciła się zdumiona ku Kahlan.

- Puść ją! Mówiłam, że sama się tym zajmę. Dopóki ona w niczym mi nie zagrazi, masz robić, co kazałam, lub zaczekasz za drzwiami.

Cara puściła Nadine, popychając ją przy tym z powrotem na fotel.

- Ta tutaj to tarapaty. Czuję to. Powinnaś mi pozwolić ją zabić.

Kahlan zacisnęła wargi, a Mord-Sith w końcu przewróciła oczami i niechętnie się odsunęła. Nadine wstała z fotela, tym razem wolniej. Kaszłąc, masowała szyję.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego to robisz? Nic ci nie zrobiłam! Nie tknęłam żadnej z twoich ślicznych rzeczy! Jeszcze nigdy nie widziałam ludzi z takimi paskudnymi manierami.

- Pogroziła Kahlan palcem. - Nie wolno nikogo tak traktować.

- Wprost przeciwnie - odparła Kahlan. - Dzisiaj zjawił się w pałacu niewinnie wyglądający młodzian i również prosił o audiencję u lorda Rahla. Okazało się, że jest nasłanym asasynem. Dzięki tej oto Carze udało się nam go zatrzymać.

- Oooo - oburzenie Nadine osłabło.

- I jeszcze coś - dodała Kahlan. - Wyznał, że ma współpracę: ładną, młodą kobietę z długimi kasztanowymi włosami.

Nadine przestała masować szyję, spojrzała na Carę, a potem znów na Kahlan.

- Hmm. Chyba mogę zrozumieć pomyłkę...

- Ty także chciałaś się zobaczyć z lordem Rahlem. Stąd nasze zdenerwowanie.

Wszyscy staramy się chronić lorda Rahla.

- Rozumiem, że mieliście powody do niepokoju. Nie mam do was pretensji.

- Cara jest jedną z przybocznych strażniczek lorda Rahla. Spodziewam się, że pojmiesz przyczynę jej wojowniczości - powiedziała Kahlan.

Nadine cofnęła dłoń z szyi i oparła ją na biodrze.

- Oczywiście. Coś mi się zdaje, że weszłam prosto w gniazdo os.

- Problem w tym - podjęła Kahlan - iż wcale nas nie przekonałaś, że nie jesteś drugim asasynem. Przekonaj nas o tym natychmiast dla swojego dobra.

Nadine wodziła wzrokiem od jednej do drugiej. Zatrwożyła się.

- Zabójca? Ja? Przecież jestem kobietą.

- Ja też - odezwała się Cara. - I to kobietą, która zamierza plamić tę komnatę twoją krwią dopóty, dopóki nie powiesz nam prawdy.

Dziewczyna okręciła się i złapała krzesło, po czym skierowała jego nogi ku Carze i Kahlan.

- Nie zbliżajcie się! Ostrzegam was, pewnego razu Tommy Lancaster i jego koleżka Lester chcieli się ze mną zabawić i teraz brak im przednich zębów, przez co mają kłopoty z jedzeniem.

- Odstaw krzesło, bo następny posiłek zjesz w świetle duchów - syknęła wściekle Cara.

Nadine upuściła je, jakby się zajęło ogniem. Cofała się i cofała, aż oparła się o ścianę.

- Zostawcie mnie w spokoju! Nic nie zrobiłam! Kahlan łagodnie ujęła ramię Cary i odciągnęła ją.

- Pozwolisz, by zajęła się tym siostra w Agielu? - wyszeptała, unosząc znacząco brew. - Wiem, że powiedziałam: „Dopóki niczym mi nie zagrozi”, ale nie miałam na myśli grożenia krzesłem.

- W porządku. Przynajmniej na razie. - Cara skrzywiła się z irytacją.

Kahlan spojrzała na Nadine.

- Muszę poznać pewne odpowiedzi. Powiedz prawdę, a jeśli rzeczywiście nie masz nic wspólnego z asasynami, to szczerze cię przeproszę i postaram wynagrodzić naszą niegościnnność. Lecz jeśli mnie okłamiesz i zamierzasz skrzywdzić lorda Rahla, to wiedz, że strażę za drzwiami mają rozkaz, by nie wypuścić cię stąd żywej.

Zrozumiałaś?

Przyściśnięta plecami do ściany Nadine potaknęła.

- Prosiłaś o widzenie z lordem Rahlem. Tamta znów potaknęła.

- Dlaczego?

- Idę do mojego ukochanego. Zniknął ostatniej jesieni. Mamy się pobrać i zdążam na spotkanie z nim. - Odgarnęła włosy, które zsunęły się na oczy. - Ale nie wiem, gdzie dokładnie jest. Powiedziano mi, żebym się zobaczyła z lordem Rahlem, a odnajdę narzeczonego. - Oczy Nadine wypełniły się łzami. - To dlatego chciałam się zobaczyć z tym lordem Rahlem. Chciałam go poprosić o pomoc.

- Rozumiem - odezwała się Kahlan. - Rozumiem twoją rozpacz z powodu straty ukochanego. Jak się nazywa twój luby?

Nadine wyciągnęła z rękawa chusteczkę i otarła oczy.

- Richard.

- Richard. A dalej?

- Richard Cypher.

Kahlan z wielkim trudem zmusiła się do zaczerpnięcia powietrza, lecz język odmówił jej posłuszeństwa.

- Kto? - spytała Cara.

- Richard Cypher. Jest leśnym przewodnikiem tam, gdzie mieszkam, w Hartlandzie, to znaczy w Westlandzie, skąd oboje pochodzimy.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że masz go poślubić? - zdołała wreszcie wyszeptać Kahlan, choć wydawało się jej, że cały jej świat rozpada się na kawałki. - Czy on ci to powiedział?

Nadine mięła wilgotną chusteczkę.

- On... zalecał się do mnie... to się rozumiało samo przez się... a potem zniknął. Zjawiła się jakaś kobieta i powiedziała, że ja i on mamy się pobrać.

Twierdziła, że niebo do niej przemówiło. To jakaś mistyczka. Wiedziała wszystko o moim Richardzie. Jaki jest miły, dobry, silny i przystojny. O mnie też. Powiedziała, że moim przeznaczeniem jest wyjść za Richarda, a jego ożenić się ze mną.

- Kobieta? - To tylko zdołała wykrztusić Matka Spowiedniczka.

Nadine przytaknęła.

- Mówiła, że ma na imię Shota.

Kahlan zacisnęła pięści. Odzyskała głos i powiedziała jadowicie:

- Shota. Czy był ktoś wraz z tą kobietą, z tą Shotą?

- Tak. Dziwny mały człowieczek. Z żółtymi oczami. Przerazał mnie, ale ona powiedziała, że jest nieszkodliwy. To Shota mi powiedziała, żebym

przyszła do lorda Rahla. Twierdziła, że lord Rahl pomoże mi odnaleźć Richarda, mojego Richarda.

Kahlan rozpoznała po opisie kompaniona Shoty, Samuela. W głowie dziewczyny huczał głos tej kobiety nazywającej Richarda „moim Richardem”.

Zmusiła się, by powiedzieć spokojnym tonem:

- Poczekaj tu, Nadine, proszę.

- Zaczekam - odparła tamta, odzyskując panowanie nad sobą. - Wszystko w porządku? Wierzysz mi, prawda? Nie kłamałam.

Kahlan nie odpowiedziała, oderwała od Nadine osłupiały wzrok i wyszła z komnaty. Cara ruszyła za nią i zamknęła drzwi. Dziewczyna przystanąła w zewnętrznym saloniku, ledwo widziała przez łyzy.

- Co się stało, Matko Spowiedniczko? - wyszeptała Cara. - Masz twarz równie czerwoną jak mój uniform. Kim jest ta Shota?

- To wiedźma. Cara zdrętwiała.

- I znasz tego Richarda Cyphera?

Kahlan boleśnie ścisnęło się gardło, musiała dwukrotnie przełknąć ślinę.

- Richarda wychowywał ojczym. Nim Richard dowiedział się, że jego prawdziwym ojcem był Rahl Posepny, nosił nazwisko Cypher. Richard Cypher.

ROZDZIAŁ 5

Zabiję ją - wychrypiała zapatrzona w pustkę Kahlan. - Gołymi rękami.

Zaduszę ją!

- Ja się tym zajmę. - Cara spojrzała na drzwi sypialni.

- Lepiej będzie, jeśli to mnie pozwolisz się nią zająć. - Kahlan złapała ramię Cary. - Nie ją. Mówię o Shocie. - Wskazała na drzwi sypialni. - Ona nic nie rozumie.

Nic nie wie o Shocie.

- A ty znasz tę wiedźmę? Dziewczyna gniewnie sapnęła.

- O tak. Znam ją. Od samego początku starała się rozdzielić Richarda i mnie.

- Dlaczego?

Kahlan odwróciła się od drzwi sypialni.

- Nie wiem. Za każdym razem podaje inny powód, ale czasem się boję, że po prostu chce Richarda dla siebie.

- Jak mogłaby zdobyć lorda Rahla, skłaniając go do małżeństwa z tą dziewczyną?

- Cara się nachmurzyła.

- Nie mam pojęcia. - Dziewczyna machnęła ręką. - Zawsze coś knuje.

Nieustannie ściąga na nas kłopoty. - Mocno zacisnęła pięści. - Tym razem jednak się jej nie uda. Ukróczę to jej wtrącanie się, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. A potem Richard i ja weźmiemy ślub - powiedziała i dodała szeptem: - Ukróczę to wtrącanie się, choćbym miała porazić Shotę swoją mocą i posłać ją w zaświaty.

Cara splotła ramiona na piersiach i zastanawiała się nad tym wszystkim.

- A co chcesz zrobić z Nadine? - Niebieskie oczy spojrzały ku sypialni. - Może byłoby lepiej... się jej pozbyć.

Kahlan ścisnęła palcami grzbiet nosa.

- To nie robota Nadine. Ona jest tylko pionkiem w grze Shoty.

- Jednonogi żołnierz może wyrządzić więcej szkody niż bitewny plan generała, jeżeli... - Cara zamilkła i opuściła ramiona. Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała szumiącego w korytarzach wiatru. - Lord Rahl się zbliża.

Mord-Sith miały niesamowitą, choć czasem i denerwującą zdolność

wyczuwania Richarda. Zawdzięczały ją łączącej je z nim więzi. Otworzyły się drzwi i do komnaty weszły Berdine oraz Raina w skórzanych uniformach, które były równie obcisłe jak strój Cary, ale brązowe, a nie czerwone. Obie kobiety były odrobinę niższe od Cary, lecz równie atrakcyjne. Cara miała długie nogi i ani jednego zbędnego grama tłuszczu, z kolei niebieskooka Berdine była bardziej krągła. Swoje długie, faliste, kasztanowe włosy splotła w charakterystyczny dla Mord-Sith warkocz. Również Raina splotła swoje miękkie ciemne włosy. Wszystkie trzy były bezlitosne i pewne siebie.

Bystre, ciemne oczy Rainy natychmiast dostrzegły czerwony strój Cary, ale Mord-Sith nic nie powiedziała. Obie z Berdine miały srogie, oficjalne miny. Stały twarzą do siebie po obu stronach drzwi.

- Oto lord Rahl - powiedziała wyniośle Berdine - Poszukiwacz Prawdy i właściciel Miecza Prawdy, dawca śmierci, władca D'Hary, przywódca Midlandów, wódz plemienia chimer, orędownik wolnych ludzi, bicz na nikczemników - przenikliwe niebieskie oczy spojrzały na Kahlan - oraz narzeczony Matki Spowiedniczki. - Szerokim gestem wskazała drzwi.

Kahlan nie miała pojęcia, o co chodzi. Widziała już Mord-Sith w rozmaitych nastrojach, od groźnego po psotny, lecz pierwszy raz zachowywały się tak ceremonialnie.

Do komnaty wkroczył Richard. Jastrzębie oczy spojrzały w oczy Kahlan. I świat zatrzymał się na chwilę. Byli tylko oni, wpatrzeni w siebie w milczeniu.

Uśmiech wypłynął na usta chłopaka i zajaśniał w jego oczach. Uśmiech bezgranicznej miłości.

Była tylko ona i on. Tylko jego oczy.

A reszta jego postaci...

Kahlan aż otworzyła usta. W zdumieniu przyłożyła dłoń do serca. Od kiedy go znała, nosił wyłącznie skromny strój leśnego przewodnika. Ale teraz...

Dziewczyna rozpoznała jedynie czarne buty. Nowe, czarne, wełniane spodnie były wpuszczone w ich cholewy, opasane rzemieniami nabijanymi srebrnymi blaszkami, na których wryto geometryczne wzory. Na czarną koszulę wdział czarną, rozciętą po bokach tunikę obramowaną złotą taśmą i pokrytą rozmaitymi symbolami.

Przepasany był szerokim skórzanym pasem, na którym wytłoczono srebrne znaki. Po jego bokach zwisały dwie złociste sakiewki. Przez prawe

ramię miał przełożony starodawny pendent podtrzymujący srebrno-złotą pochwę Miecza Prawdy. Na obu nadgarstkach nosił podbite skórą srebrne obręcze z przymocowanymi pierścieniami zdobionymi owymi osobliwymi symbolami. Szerokie ramiona okrywała peleryna utkana ze złotych nici.

Richard wyglądał imponująco i zarazem złowieszczo. Był królewski i nieubłagany. Był władcą królów. Ucieleśnieniem miana, które nadała mu przepowiednia, miana dawcy śmierci.

Kahlan nawet nie podejrzewała, że może być jeszcze przystojniejszy, bardziej władczy i bardziej imponujący niż zwykle. Myliła się.

Dziewczyna poruszała wargami, usiłując coś powiedzieć, a Richard podszedł ku niej. Nachylił się i ucałował jej skroń.

- Znakomicie - stwierdziła Cara. - Potrzebowała tego, ponieważ boli ją głowa.

- Spojrzała wymownie na Kahlan. - Lepiej teraz?

Kahlan, łapiąc z trudem oddech i ledwo słysząc Carę, dotknęła Richarda, jakby chciała sprawdzić, czy jest jawą, czy snem.

- Podoba ci się? - spytał.

- Podoba? Dobrze duchy... - szepnęła.

- Uznaję, że tak. - Zaśmiał się cicho.

Kahlan bardzo chciała, żeby tamte sobie poszły i zostawiły ją z Richardem.

- Ale... co to jest? Skąd to wszystko wzięłeś?

Nie mogła się zmusić, by cofnąć dłoń z piersi chłopaka. Podobało się jej, że czuje, jak on oddycha. Że czuje bicie jego serca. I przyspieszone bicie swojego.

- Cóż, wiedziałem, że chcesz, bym miał nowy strój... Oderwała wzrok od wspaniale odzianego torsu i spojrzała w szare oczy.

- Co? Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

- Twoje piękne oczy mówiły to za ciebie - roześmiał się Richard. - Mówiły to całkiem wyraźnie, kiedy patrzyłaś na mój stary leśny strój.

Kahlan cofnęła się o krok i wskazała wspaniałe szaty.

- Skąd to wszystko wzięłeś?

Richard ujął jej dłoń, a drugą ręką łagodnie uniósł jej głowę i spojrzał w zielone oczy.

- Jesteś taka piękna. Będziesz wspaniale wyglądała w błękitnej szacie

ślubnej.

Chciałem na naszym ślubie wyglądać na godnego Matki Spowiedniczki. Pospiesznie zestawilem ów strój, żeby nie odwlekać naszych zaślubin.

- Szwaczki mu to przygotowały. To miała być niespodzianka. Nigdy jej nie zdradziłam twojej tajemnicy, lordzie Rahlu. Próbowwała ją ze mnie wyciągnąć, ale się nie wygadałam - powiedziała Cara.

- Dziękuję, Caro. - Richard zaśmiał się. - Na pewno nie było to łatwe.

Kahlan śmiała się wraz z nim.

- To przepiękne. Pani Wellington ci to uszyła?

- Nie wszystko. Powiedziałem jej, o co mi chodzi, a ona i inne szwaczki zabrały się do pracy. Uważam, że znakomicie wywiązała się z zadania.

- Pochwalę ją. A może i uściskam. - Kahlan dotknęła peleryny. - To jej dzieło?

Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nie mogę uwierzyć, że ona to zrobiła.

- To akurat nie jej dzieło - przyznał Richard. - Peleryna i kilka innych rzeczy pochodzi z Wieży Czarodzieja.

- Z Wieży Czarodzieja?! Coś tam robił?!

- Gdy byłem tam pierwszy raz, natrafiłem na komnaty, w których niegdyś mieszkali czarodzieje. Wróciłem i dokładniej rzuciłem okiem na ich rzeczy.

- Kiedy to zrobiłeś?

- Kilka dni temu. Kiedy ty byłaś zajęta spotkaniami z wysłannikami naszych nowych sprzymierzeńców.

Kahlan na nowo przyjrzała się szatom i zmarszczyła brwi.

- Tak się ubierali czarodzieje z tamtych czasów? Sądziłam, że zawsze nosili proste szaty.

- Większość z nich. Lecz jeden nosił się właśnie tak.

- Jakież to czarodziej tak się stroił?

- Czarodziej wojny.

- Czarodziej wojny - wyszeptała ze zdumieniem. Richard nie miał co prawda wielkiego pojęcia, jak korzystać ze swojego daru, ale za to był pierwszym od niemal trzech tysięcy lat czarodziejem wojny.

Kahlan miała go już zasypać gradem pytań, lecz przypomniała sobie, że są ważniejsze sprawy do załatwienia. Spochmumiała.

- Ktoś chce się z tobą zobaczyć, Richardzie... - powiedziała, odwracając oczy.

Skrzypnęły drzwi sypialni.

- Richard? - Stojąca w drzwiach Nadine miała w palcach chusteczkę. - Słyszałam głos Richarda.

- Nadine?

- Richard. - Nadine miała oczy równie wielkie jak złote sandariańskie korony.

- Nadine.

Richard uśmiechnął się uprzejmie, a przynajmniej uśmiechnęły się jego usta.

Za to w oczach nie było nawet cienia uśmiechu. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu twarzy chłopaka. Widziała, jak się złości, jak wpada w morderczą wściekłość wywołaną magią Miecza Prawdy, która niebezpiecznie lśniła w jego oczach, a także niebywały spokój, kiedy sprawiał, że biała klinga miecza. W gniewie i zapamiętaniu Richard potrafił wyglądać przerażająco.

Jednakże jeszcze nigdy wyraz jego twarzy nie wystraszył Kahlan tak jak to, co teraz zobaczyła.

To nie była ani mordercza wściekłość, ani niezłomna determinacja. To było coś o wiele gorszego. Spojrzenie i zdawkowy uśmiech wyrażały całkowity brak zainteresowania - i to właśnie było przerażające.

Gorsze byłoby tylko jedno, pomyślała dziewczyna: gdyby to na mnie tak popatrzył. Owo spojrzenie, tak całkowicie pozbawione ciepła, na pewno złamałoby jej serce.

Nadine najwyraźniej nie знаła Richarda tak dobrze jak Kahlan, gdyż dostrzegła tylko uśmiech na jego ustach.

- Och, Richardzie!

Dziewczyna przemknęła przez komnatę i otoczyła mu szyję ramionami.

Wyglądało na to, że gotowa byłaby go objąć również nogami. Kahlan wyciągnęła ramię i zatrzymała Carę, nim ta zdołała uczynić następny krok. Zmusiła się, by zachować spokój i milczenie. Wiedziała, że w tym wypadku - mimo tego, co łączyło ją i Richarda - nie ma nic do powiedzenia. To była jego przeszłość, a choć znała go dobrze, to o części tej przeszłości, przynajmniej tej romansowej, nic nie wiedziała. Aż do tej chwili wydawało się to mało

ważne.

Kahlan milczała, bojąc się, że powie nie to, co trzeba. Jej los był w rękach Richarda i tej pięknej kobiety, która teraz obejmowała go za szyję, a co gorsza - był on chyba znowu w rękach Shoty.

Nadine całowała szyję Richarda, chociaż chłopak próbował się od niej odsuwać. Ujął ją w pasie i odepchnął.

- Co tu robisz, Nadine?

- Szukam cię, głuptasie - powiedziała bez tchu. - Wszyscy się dziwili i martwili, gdy zniknąłeś ostatniej jesieni. Mój ojciec za tobą tęsknił, ja również. Nikt z nas nie wiedział, co się z tobą stało. Zedd też zniknął. Granica zniknęła, a wtedy okazało się, że nie ma ani ciebie, ani Zedda, ani twojego brata. Wiem, że bardzo cię rozstroiła tragiczna śmierć twojego ojca, ale nie spodziewaliśmy się, że uciekniesz - mówiła na jednym oddechu, podekscytowana.

- Och, to bardzo długa historia i jestem pewny, że nie zainteresowałaby cię.

I rzeczywiście, jakby nie słyszała jego słów i paplała dalej:

- Najpierw musiałam się o wszystko zatroszczyć. Musiałam wydusić z Lindy Hamilton obietnicę, że zdobędzie dla taty te zimowe korzenie. Tata był bardzo niezadowolony, że zniknąłeś i nie przynosisz tych specjalnych roślin, które są mu potrzebne, a które ty jeden potrafiłeś znaleźć. Robiłam, co mogłam, lecz nie znam lasów tak dobrze jak ty. A tata ma nadzieję, że Lindy jakoś da sobie z tym radę, dopóki nie sprowadzę cię do domu. No a potem musiałam się zastanowić, co zabrać i jak cię szukać. Tak długo cię szukałam. Przyszłam tu porozmawiać z jakimś lordem Rahlem, łudząc się, że pomoże mi cię odnaleźć. Przenigdy nie sądziłam, że cię zobaczę, zanim z nim porozmawiam.

- To ja jestem lord Rahl.

Tego także nie usłyszała. Odsunęła się i obejrzała go od stóp do głów.

- Czemuś się tak wystroił, Richardzie? Kogo udajesz? Przebierz się. Wracamy do domu. Odnalazłam cię i już wszystko jest w porządku. Raz-dwa będziemy w domu i wszystko wróci do normy. Pobierzemy się i...

- Co takiego?

- Pobierzemy się. - Nadine zamrugnęła powiekami. - Weźmiemy ślub, będziemy mieć dom i w ogóle. Twój stary dom się nie nada, zbudujesz nowy.

Będziemy mieć dzieci. Mnóstwo dzieci. Synów. Wielu synów. Dużych i silnych jak mój Richard. - Uśmiechnęła się. - Kocham cię, mój Richardzie. W końcu się pobierzemy.

Z twarzy Richarda zniknął nawet jego zdawkowy uśmiech i oblicze chłopaka zaczęło się chmurzyć.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Nadine zaśmiała się, po czym pieszczotliwie dotknęła czoła chłopaka. Potem wreszcie rozejrzała się dokoła. Nikt się nawet nie uśmiechał. Śmiech ucichł i Nadine poszukała otuchy w spojrzeniu Richarda.

- Ależ, Richardzie... ty i ja. Tak zawsze miało być. Pobierzemy się. Nareszcie.

Przecież tak się miało stać.

Cara nachyliła się ku Kahlan i szepnęła jej na ucho:

- Trzeba mi było pozwolić ją zabić.

Wściekłe spojrzenie Richarda sprawiło, że uśmieszek zniknął z ust Mord-Sith i krew odpłynęła jej z twarzy. Lord Rahl znów patrzył na Nadine.

- Skąd ten pomysł?

Nadine ponownie przyglądała się jego szatom.

- Okropnie głupio w tym wyglądasz, Richardzie. Czasami się zastanawiam, czy masz choć odrobinę rozsądku. Po co udajesz króla? I skąd masz taki miecz?

Wiem, Richardzie, że nigdy byś niczego nie ukradł, ale przecież nie masz tyle, ile kosztowałby taki oręż. Jeżeli go wygrałeś albo zdobyłeś, możesz go sprzedać, żebyśmy mieli...

Richard złapał dziewczynę za ramiona i potrząsnął nią.

- Nadine, nigdy ani nie byliśmy sobie bliscy, ani tym bardziej zaręczeni. Skąd ten szaleńczy pomysł?! Co ty tu robisz?!

Jego gniew sprawił, że Nadine straciła animusz.

- Przebyłam długą drogę, Richardzie. Nigdy przedtem nie opuszczałam Hartlandu. Miałam ciężką podróż. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Nie liczy się?

Opuściłam dom tylko po to, żeby cię odnaleźć, inaczej nigdy nie rozpoczęłabym tej wędrówki. Kocham cię, Richardzie.

Ulic, jeden z olbrzymich przybocznych gwardzistów Richarda, pochylił się w drzwiach i wszedł do komnaty.

- Jeśli nie jesteś zajęty, lordzie Rahlu, to generał Kerson chciałby z tobą omówić pewną sprawę.

- Za chwilę. - Richard spojrział wściekle na olbrzyma.

- Przekażę mu twoje słowa, lordzie Rahlu - Ulic skłonił się, nie przyzwyczajony ani do takiego spojrzenia, ani do tonu.

Nadine ze zdumieniem patrzyła, jak wielkolud znów pochyła się w drzwiach i znika.

- Lord Rahl? O czym, na dobre duchy, gadał ów człowiek, Richardzie? W jakież to tarapaty się wpakowałeś? Zawsze byłeś taki mądry. Cóżeś zrobił? Czemu oszukujesz tych ludzi? Czemu udajesz kogoś, kim nie jesteś?

Richard trochę się uspokoił, miał znużony głos.

- To długa historia, Nadine, i nie mam ochoty jej teraz opowiadać. Obawiam się, że nie jestem już tą samą osobą... Od dnia, w którym opuściłem dom, minęło sporo czasu. Wiele się wydarzyło. Przykro mi, że niepotrzebnie przebyłaś tak długą drogę, ale to, co kiedyś było między nami...

Kahlan spodziewała się, że spojrzy na nią z zażenowaniem, lecz nie uczynił tego.

Nadine cofnęła się o krok. Popatrzyła na wszystkie zwrócone ku niej twarze: Kahlan, Cary, Berdine, Rainy, i na masywne plecy stojącego w pobliżu drzwi Egana.

Wyrzuciła w górę ręce.

- Co z wami, ludzie?! Myślicie, że kim on niby jest?! To Richard Cypher, mój Richard! Jest leśnym przewodnikiem: nikim! To prosty chłopak z Hartlandu, który udaje kogoś ważnego. Kogoś, kim nie jest! Czy jesteście ślepyimi głupcami?! To mój Richard i mamy się pobrać!

- Wszyscy dobrze wiemy, kim on jest - przerwała wreszcie milczenie Cara. - Za to ty najwyraźniej tego nie wiesz. To lord Rahl, władca D'Hary, pan niegdysiejszych Midlandów. A przynajmniej władca tych, którzy mu się poddali.

Każdy z tu obecnych, a może nawet wszyscy mieszkańcy tego miasta, oddałby życie w jego obronie. Może być pewny nie tylko naszej całkowitej lojalności, ale i tego, że w razie potrzeby bez wahania oddamy za niego życie.

- Możemy być tylko tymi, którymi jesteśmy - powiedział Richard do Nadine. - Nikim mniej i nikim więcej. Pewnego razu usłyszałem to od

bardzo mądrej kobiety.

Nadine szeptem wyraziła niedowierzanie, lecz Kahlan nie dosłyszała jej słów.

Richard otoczył ramieniem jej talię. Z tego delikatnego dotknięcia wyczytała otuchę i miłość i nagle poczuła głębokie współczucie dla owej kobiety, która stała przed nieznanymi i odsłaniała swoje najbardziej osobiste sercowe sprawy.

- Nadine, to jest Kahlan, owa mądra kobieta, o której przed chwilą mówiłem.

Kobieta, którą kocham. Bo kocham Kahlan, a nie ciebie, Nadine. To Kahlan i ja wkrótce się pobierzemy. Niedługo wyjeżdżamy do Błotnych Ludzi, u których weźmiemy ślub według ich obyczajów. I nic na tym świecie tego nie zmieni - powiedział spokojnie.

Nadine bała się oderwać odeń wzrok, jakby się lękała, że wtedy owe słowa okażą się prawdą.

- Błotni Ludzie? A kimże, na dobre duchy, są ci Błotni Ludzie? Brzmi to okropnie. Richardzie, ty... - Zebrała się w sobie, zacisnęła wargi, spojrzała groźnie i pogroziła chłopakowi palcem. - Richardzie Cypher, nie mam pojęcia, w jaką to głupią grę grasz, aleja na to nie pozwolę! Masz mnie posłuchać, przebrzydły głuptasie, i spakować swoje rzeczy! Wracamy do domu!

- Ja jestem w domu, Nadine.

Tym razem nie znalazła kontrargumentu.

- Kto ci naopowiadał, Nadine, o... o tym małżeństwie?

- Mistyczka o imieniu Shota - odparła i straciła całą werwę.

Kahlan zeszywniała, usłyszawszy to imię. To Shota była prawdziwym zagrożeniem. Nieważne, co Nadine mówiła i czego chciała, to właśnie wiedźma miała moc sprowadzania kłopotów.

- Shota! - Richard przesunął dłonią po twarzy. - Shota. Powinienem się był domyślić.

A potem zrobił coś, czego Kahlan w ogóle się nie spodziewała. Zachichotał.

Stał przed przyglądającymi mu się kobietami i odrzuciwszy do tyłu głowę, głośno się śmiał. Jego śmiech sprawił, że stopniały wszelkie obawy Kahlan. To, że Richard po prostu wyśmiał intrygi Shoty, zneutralizowało

groźbę. Dziewczynę przepelniła radość. Chłopak powiedział, że Błotni Ludzie dadzą im ślub, jak oboje tego chcieli, a to, że Shota miała inne plany, zasługiwało wyłącznie na śmiech. Ramię Richarda mocniej objęło talię Kahlan. I ona zaczęła się uśmiechać.

- Przepraszam, Nadine. Nie z ciebie się śmieję. Shota od dawna wypróbowuje na nas swoje sztuczki. Szkoda, że i ciebie w to wplątała, bo to tylko jedna z jej paskudnych sztuczek. Ona jest wiedźmą.

- Wiedźmą? - wyszeptała Nadine. Richard potaknął.

- W przeszłości nabrała nas, ale tym razem jej się to nie uda. Już nie dbam o to, co ona mówi. Nie będę więcej tańczył, jak mi zagra.

Nadine wyglądała na zmieszaną.

- Wiedźma? Magia? Działałam pod wpływem magii? Ale ona twierdziła, że niebo do niej przemówiło.

- Ach tak? Nie dbam o to, nawet jeśli przemówił do niej sam Stwórca.

- Mówiła, że ściga cię wicher. Martwiłam się. Chciałam pomóc.

- Ściga mnie wicher? To coś w jej stylu.

- Ale co z nami... - Nadine odwróciła oczy.

- Nie ma żadnych „nas”, Nadine. - Znów mówił twardym tonem. - Ty wiesz to najlepiej ze wszystkich.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała i z oburzeniem zadarła brodę.

Richard długo się jej przyglądał, jakby zamierzał powiedzieć o wiele więcej, niż w końcu powiedział.

- Niech ci będzie, Nadine.

Kahlan po raz pierwszy poczuła się zażenowana. Wydawało się jej, że nie powinna usłyszeć tej wymiany zdań, czegokolwiek by ona dotyczyła. Richard też czuł się nieswojo.

- Przepraszam cię, Nadine, ale są sprawy, którymi muszę się zająć. Jeżeli chcesz pomocy w powrocie do domu, to zobaczę, co można zrobić. Zadbam, byś miała, co trzeba: konie, żywność, wszystko. Powiedz ludziom w Hartlandzie, że u mnie wszystko dobrze i że serdecznie ich pozdrawiam. - Odwrócił się ku czekającemu Ulicowi. - Jest tutaj generał Kerson?

- Tak, lordzie Rahlu.

Chłopak postąpił krok ku drzwiom.

- Lepiej pójdę sprawdzić, co to za sprawa.

Ale to generał Kerson wszedł do komnaty, kiedy usłyszał swoje nazwisko.

Siwiejący, lecz krzepki i w dobrej kondycji, o głowę niższy od Richarda, wspaniale wyglądał w lśniącym skórzanym mundurze. Na ramionach miał blizny oznaczające rangę. Błyszczące białe wgłębienia prześwitywały przez krótkie rękawy kolczugi. W salucie położył pięść na sercu.

- Muszę z tobą pomówić, lordzie Rahlu.

- Zgoda. Mów.

Generał się zawahał.

- To znaczy, sam na sam, lordzie Rahlu.

Richard nie miał ochoty poświęcać mu przesadnie dużo czasu.

- Tutaj nie ma żadnych szpiegów, Mów.

- Chodzi o żołnierzy, lordzie Rahlu. Wielu z nich choruje.

- Choruje? Co im jest?

- Hmm, lordzie Rahlu, oni... to jest...

- Wykrztuś to wreszcie - powiedział Richard i nachmurzył się.

- Lordzie Rahlu. - Generał spojrzał na kobiety, po czym odchrząknął. - Ponad połowa armii jest, jakby to powiedzieć, rozbrojona. Żołnierze kucają i stękają, osłabieni atakami biegunki.

- Och. - Richard przestał marszczyć czoło. - Współczuję im. Mam nadzieję, że wkrótce im to minie. To ogromnie nieprzyjemne.

- Takie wypadki nie są w armii niczym niezwykłym, ale tym razem jest ich tak dużo, że trzeba temu jakoś zaradzić.

- Zadbaj, by dużo pili, i informuj mnie o wszystkim. Daj mi znać, jak się czują.

- Trzeba coś z tym zrobić, lordzie Rahlu. I to zaraz. Nie możemy tego tak zostawić.

- Ale to nie zakażenie tyfusem plamistym, generale. Generał Kerson splótł dłonie za plecami i głęboko zaczerpnął powietrza dla uspokojenia.

- Zanim generał Reibisch wyruszył na południe, lordzie Rahlu, powiedział nam, że chcesz, by twoi oficerowie donosili ci o tym, co uznają za ważne. Oznajmił nam, że poinformowałeś go, iż możesz się rozgniewać, jeśli nie spodobają ci się nasze słowa, ale że nigdy nie ukarzesz nas za przekazanie naszego zdania. Twierdził, że chcesz je znać, bo mamy większe niż ty doświadczenie w postępowaniu z żołnierzami i w dowodzeniu armią.

Richard potarł dłonią wargi.

- Racja, generale. Więc dlaczego to takie istotne?

- Lordzie Rahlu, jestem jednym z bohaterów z czasów buntu w prowincji Shinavont. To ziemie w D'Harze. Byłem wtedy porucznikiem. Nasz pięciusetosobowy oddział natrafił na siedem tysięcy buntowników obozujących w rzadkim lasku. Zaatakowaliśmy o brzasku i zakończyliśmy rewoltę, nim dzień dobiegł końca. O zachodzie słońca ani jeden buntownik z Shinavontu nie został przy życiu.

- To imponujące, generale.

- Wcale nie. - Kerson wzruszył ramionami. - Prawie wszyscy buntownicy mieli spodnie opuszczone do kostek. Próbowales kiedyś walczyć, kiedy skręcało ci kiszki?

Richard przyznał, że nie próbował.

- Nazywali nas bohaterami, ale nie trzeba być bohaterem, żeby rozwalić czaszkę komuś, kogo biegunka wymęczyła tak bardzo, że ledwo może unieść głowę.

Nie byłem dumny z tego, cośmy zrobili, ale to był nasz obowiązek, więc stłumiliśmy bunt i zapobiegliśmy jeszcze większemu rozlewowi krwi, który z pewnością nastąpiłby, gdyby ci żołnierze byli zdrowi i nam uciekli. Nie mówiąc już o tym, co by zrobili i ilu więcej ludzi by zginęło. Jednak nie udało się im. Pobiliśmy ich, ponieważ zgnębiła ich biegunka i nie mogli się utrzymać na nogach. - Zatoczył krąg ramieniem, wskazując najbliższą okolicę. - Ponad połowa moich żołnierzy choruje. Nie mamy pełnego stanu, gdyż generał Reibisch odmaszerował na południe. Ci, którzy pozostali, nie nadają się do walki. Trzeba coś na to poradzić. Gdyby zaatakowały nas większe siły nieprzyjaciela, znaleźlibyśmy się w opałach. Łatwo nas teraz pokonać.

Moglibyśmy stracić Aydindril. Byłbym wdzięczny za radę, jak położyć kres chorobie.

- Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie? Nie macie uzdrowicieli?

- Nasi uzdrowiciele zajmują się ranami zadanymi orężem. Próbowaliśmy uzyskać pomoc od ziołarzy i uzdrowicieli z Aydindril, ale oni nie mogą się zająć aż tyloma chorymi. - Generał wzruszył ramionami. - Jesteś lordem Rahlem. Sądziłem, że będziesz wiedział, co robić.

- Masz słuszność, ziołarze nie mieliby niczego w aż takiej ilości. - Richard skubał dolną wargę i zastanawiał się. - Czosnek by pomógł, gdyby zjedli go wystarczająco dużo. Czarna borówka też. Wmuś w nich mnóstwo czosnku i

dołóż do tego czarne borówki. Tego nie powinno zabraknąć.

- Czosnek i czarna borówka? - spytał z niedowierzaniem generał. - Nie żartujesz?

- Dziadek nauczył mnie wiele o ziołach, lekarstwach i innych takich rzeczach.

To podziąła, generale, możesz mi wierzyć. Powinni też dostać do picia mnóstwo cierpkiego naparu z kory dębu skalnego. Czosnek, czarne jagody i dębowa herbatka powinny wystarczyć. - Richard obejrzał się przez ramię. - Prawda, Nadine?

Przytaknęła.

- Powinny, ale dobrze byłoby, gdybyś dał im sproszkowany rdest wężownik.

- Myślałem o tym, lecz o tej porze roku nie znajdziemy nigdzie rdestu, a zielarze nie będą mieli go tyle, ile trzeba.

- Proszku nie trzeba znowu aż tak wiele, a najlepiej by pomógł - powiedziała Nadine. - Ilu żołnierzy choruje, panie?

- Ostatni raport mówił o blisko pięćdziesięciu tysiącach. Ale teraz? Któż to wie? - odparł generał.

Nadine uniosła ze zdumieniem brwi, gdy usłyszała tę liczbę.

- Nigdy w życiu nie widziałam tak wiele rdestu. Zestarzeliby się, nim zdołalibyśmy zgromadzić potrzebną ilość. W takim razie Richard ma rację: czosnek, jagody borówki i herbatka dębowa. Dobrze zrobiłaby również herbatka z żywokostu, ale nikt nie będzie miał takiej ilości tego ziele. Najlepszy będzie dąb skalny, chociaż trudno go znaleźć. A jeśli nie będzie kory dębu, w ostateczności wystarczy kalina.

- Nie. Widziałem dęby skalne na wysokich graniach, na północnym wschodzie

- stwierdził Richard.

Generał Kerson poskrobał się po brodzie.

- Co to takiego, ten dąb skalny?

- Rodzaj dębu. Właśnie taki dąb jest potrzebny twoim żołnierzom. Ma żółte łyko, z którego robi się napar.

- Drzewo. Lordzie Rahlu, kierując się wyłącznie dotykiem, potrafię rozróżnić dziesięć rodzajów stali, ale nie odróżnię jednego drzewa od drugiego, nawet gdybym miał dodatkową parę oczu.

- Na pewno są wśród twoich żołnierzy i tacy, którzy znają się na drzewach.

- Richardzie, dębem skalnym nazywamy to drzewo w Hartlandzie - wtrąciła Nadine. - Idąc tu, zbierałam rośliny i korzenie o znanych mi nazwach, ale ludzie, których wtedy spotykałam, nazywali je zupełnie inaczej. Gdyby ci żołnierze napili się naparu nie z tego drzewa, co trzeba, to może by im to i nie zaszkodziło, choć już to byłoby szczęście, ale na pewno by nie pomogło. Czosnek i czarna borówka uleczą im kiszki, lecz potrzebują płynów, żeby uzupełnić te, które stracili. Napar powstrzyma dalszą utratę wody i wspomogę zdrowienie.

- Tak, wiem. - Chłopak przetarł oczy. - Generale, przygotuj oddział. Niech czeka jakieś pięćset wozów i dodatkowo juczne konie, na wypadek gdybyśmy nie mogli tam inaczej dojechać. Wiem, gdzie rosną te drzewa. Zaprowadzę was tam. - Zaśmiał się cicho do siebie. - Kiedy raz zostaniesz przewodnikiem, to już zawsze nim będziesz.

- Żołnierze docenią to, że lord Rahl troszczy się o ich zdrowie - powiedział generał Kerson. - Ja na pewno wysoko to sobie cenię.

- Dziękuję, generale. Przygotuj wszystko, co trzeba, a ja wkrótce dołączę do was w stajniach. Chciałbym się dostać w góry przed zmrokiem. Po tych przełęczach nie należy się włączyć po ciemku, zwłaszcza z wozami. Co prawda jest już niemal pełnia, ale i to niewiele pomoże.

- Będziemy gotowi, nim zdążysz stąd wyjść, lordzie Rahlu. Generał pospiesznie zasalutował i odszedł. Richard znów obdarzył Nadine zdawkowym uśmiechem.

- Dziękuję za pomoc - powiedział, a potem przeniósł uwagę na Mord-Sith w czerwonym skórzanym uniformie.

ROZDZIAŁ 6

Richard chwycił Carę za brodę i uniósł ku sobie jej twarz. Tak obrócił głowę Mord-Sith, żeby lepiej widzieć krwawiące nacięcie na policzku.

- A to skąd?

Puścił ją i Cara zerknęła na Kahlan.

- Pewien mężczyzna odrzucił moje awanse.

- Ach tak. Może zbił go z tropu twój czerwony skórzany strój. - Richard popatrzył na Kahlan. - Co się dzieje? Mamy pałac wypełniony takimi nerwowymi gwardzistami, że krzyknęli nawet na mnie, gdy się zjawiłem. Kompanie łuczników strzegą schodów, a od czasu, kiedy Bractwo Czystej Krwi atakowało Aydindril, nie widziałem tak dużo obnażonej stali. - Znów miał owo charakterystyczne spojrzenie drapieżnego ptaka. - Kto jest w lochu?

- Przecież ci mówiłam, że on się zawsze wszystkiego dowie - szepnęła Cara do Kahlan.

Dziewczyna nakazała Carze, żeby nie wspominała o Marlinie, gdyż obawiała się, że może on w jakiś sposób skrzywdzić Richarda. Jednak wszystko uległo zmianie, kiedy Marlin ujawnił, że jest i drugi asasyn. Teraz musiała powiedzieć Richardowi, że w Aydindril grasuje Siostra Mroku.

- W mieście zjawił się asasyn, który chciał cię zamordować. - Skinieniem głowy wskazała Carę. - A ta oto Czarodziejska Panienska sprowokowała go, żeby posłużył się przeciw niej swoim magicznym darem, i dzięki temu mogła go pojąć.

Wsadziliśmy go do lochu na przechowanie.

Richard łypnął na Carę, a potem rzekł do Kahlan:

- Czarodziejska Panienska, tak? Dlaczego jej na to pozwoliłaś?

- Powiedział, że chciał cię zabić. Cara postanowiła go przesłuchać swoimi metodami.

- Uważasz, że to było konieczne? - spytał Carę. - Mamy tu całą armię. Jeden człowiek nie dotarłby do mnie.

- On chciał również zabić Matkę Spowiedniczkę.

Richard spochmurniał.

- W takim razie mam nadzieję, że nie byłaś zbyt łagodna.

- Nie, nie byłam, lordzie Rahlu - uśmiechnęła się Cara,
- Jest jeszcze coś gorszego, Richardzie - odezwała się Kahlan. - To czarodziej z Pałacu Proroków. Powiedział, że przybył wraz z Siostrą Mroku. Jeszcze jej nie odnaleźliśmy.

- Siostra Mroku. Cudownie. Jak się wam udało odkryć, że ten człowiek jest asasynem?

- Możesz w to wierzyć lub nie, ale sam się ujawnił. Twierdzi, że Jagang posłał go, by zabił i ciebie, i mnie, i że miał rozkaz się ujawnić, gdy tylko znajdzie się w Pałacu Spowiedniczek.

- A zatem Jagang wcale nie wysłał tego człowieka, żeby nas zabił. On nie jest taki głupi. A co miała robić w Aydyndril ta Siostra Mroku? Powiedział, że ona także miała nas zabić, czy też, że przybyła tutaj w jakimś innym celu?

- Wygląda na to, że Marlin nic na ten temat nie wie - odparła Kahlan. - I wierzę mu, zwłaszcza po tym, co spotkało go ze strony Cary.

- Która to z Sióstr? Jak się nazywa?

- Marlin nie znał jej imienia.

- To możliwe - przytaknął Richard. - Jak długo był w mieście, zanim się ujawnił?

- Nie wiem. Przypuszczam, że kilka dni.

- To dlaczego zaraz po przybyciu nie poszedł prosto do pałacu?

- Nie mam pojęcia - odparła Kahlan. - Ja... nie spytałam go o to.

- Jak długo był w towarzystwie owej Siostry? Co tutaj robili?

- Nie wiem. - Kahlan zawahała się. - Nie pomyślałam, żeby go o to zapytać.

- Hmm, skoro był przy niej, to musiała coś do niego mówić. To ona decydowała. Co mu powiedziała?

- Nie wiem.

- Czy ten Marlin widział jeszcze kogoś, gdy był w mieście? Spotkał się z kimś? Gdzie się zatrzymał?

To Poszukiwacz ją przepytywał, nie zaś Richard. Nie podniósł głosu, nie mówił groźnym tonem, a mimo to Kahlan paliły uszy.

- Nie pomyślałam... żeby o to spytać.

- Czym się zajmowali, kiedy byli razem? Czy Siostra miała coś przy sobie?

Czy coś kupiła, coś podniosła, a może rozmawiała z kimś, kto mógł również należeć do ich grupy? Czy rozkazano im zabić jeszcze kogoś?

- Ja... nie...

Richard przeczeszał palcami włosy.

- Nikt nie wysłał asasyna, każąc mu się ujawnić pod drzwiami przyszłej ofiary. Wtedy zginąłby asasyn. Może Jagang nakazał temu człowiekowi zrobić coś przed pojawieniem się w pałacu, a potem, po wykonaniu właściwego zadania, Marlin miał się tu stawić i pozwolić się zabić, tak byśmy nie mogli odkryć, co się dzieje, nim Siostra nie zrealizuje prawdziwego planu. Jagang na pewno nie dbał o to, że zgładzimy jednego z jego pionków. Ma ich całe mnóstwo i nie dba o ludzkie życie.

Kahlan wykręcała sobie palce za plecami. Czuła się okropnie głupio, a zmarszczone czoło Richarda i jego przenikliwe szare oczy wcale nie dodawały jej otuchy.

- Wiedzieliśmy, Richardzie, że jakaś kobieta prosi o posłuchanie u ciebie, dokładnie tak jak mówił Marlin. Nie mieliśmy pojęcia, kim jest Nadine. Więzień nie znał imienia Siostry, ale nam ją opisał. To młoda, ładna kobieta z długimi kasztanowymi włosami. Bałyśmy się, że Nadine może być ową Siostrą i że jest już w pałacu, wśród nas, więc zostawiłyśmy Marlina w lochu, a same natychmiast tu przyszłyśmy, by zająć się Nadine. To było dla nas najważniejsze: powstrzymać Siostrę Mroku, jeśli już znalazła w pałacu. Potem zadamy Marlinowi te wszystkie pytania. Nigdzie się nie wymknie.

Jastrzębie spojrzenie Richarda zmiękło, westchnął w zamyśleniu. W końcu potaknął.

- Dobrze postąpiłaś. Masz rację, pytania były mniej ważne. Przepraszam, powinienem się zorientować, że zrobiłaś to, co było najważniejsze. - Uniósł ostrzegawczo palec. - A tego Marlina zostaw mnie. - Spojrzenie drapieżnego ptaka skierowało się na Carę. - Nie życzę sobie, żebyście obie z Kahlan do niego poszły.

Rozumiesz? Coś by się mogło wydarzyć.

Cara bez wahania oddałaby życie w jego obronie, ale teraz - o czym świadczyło jej gniewne spojrzenie - poczuła się urażona tym, że kwestionuje jej możliwości.

- A czy był niebezpieczny ów wielki, silny mężczyzna, którego Denna prowadziła bezkarnie na smyczy wśród ludzi w Pałacu Ludu w D'Harze? Czyż nie wystarczyło, by po prostu szarpnęła za smycz pieszczoszka, żeby zademonstrować całkowitą władzę, jaką miała nad nim? Czy on się ośmielił

choć odrobinę napiąć smycz?

Owym mężczyzną na smyczy był Richard.

Niebieskie oczy Cary błysnęły oburzeniem, jakby z czystego nieba strzeliła nagle błyskawica. Kahlan spodziewała się, że rozwścieczony Richard dobędzie miecza. On jednak przyglądał się Mord-Sith, jak gdyby obiektywnie wysłuchiwał jej opinii i czekał, czy ma jeszcze coś do dodania. Kahlan była ciekawa, czy Cara bała się, że ją usiecze, czy też powitałaby to z radością.

- Jego moc należy do mnie, lordzie Rahlu. Nic się nie może wydarzyć.

- Jestem pewny, że władasz jego mocą. Nie wątpię w twoje zdolności, Caro, lecz jeśli nie jest to konieczne, nie chcę narażać Kahlan na choćby minimalne ryzyko.

Ty i ja przepytamy Marlina, kiedy wrócę. Powierzyłbym ci swoje życie, ale nie chcę wystawiać Kahlan na ewentualne fatalne zrządzenie losu. Jagang przeoczył zdolności Mord-Sith, gdyż pewnie zbyt mało wie o Nowym Świecie, żeby się orientować, kim one są. Popełnił błąd. A ja chcę mieć pewność, że i my go nie popełnimy. Rozumiesz?

Gdy wrócę, przepytamy Marlina i dowiemy się, co się naprawdę dzieje.

Gniew w oczach Cary zniknął równie nagle, jak się pojawił. Uciszył go spokój Richarda i po chwili zdawało się, że nic się nie wydarzyło. Kahlan niemal nie była pewna, czy Cara istotnie wypowiedziała owe straszliwe słowa. Niemal.

Dziewczyna żałowała, że nie przepytała odpowiednio Marlina, kiedy miała do tego okazję. Richard sprawił, że wydawało się jej to takie proste. Domyślała się, że to niepokój o niego pozbawił ją jasnego osądu. To był błąd. Wiedziała, że nie powinna pozwolić, by troska mąciła jasność myślenia, ponieważ sama może sprowadzić na niego nieszczęście, którego się obawiała.

Richard położył dłoń na szyi Kahlan i pocałował ją w czoło.

- Rad jestem, że nic ci się nie stało. Wystraszyłaś mnie, wbijając sobie do głowy, że narazisz życie w mojej obronie. Nie rób tego więcej, dobrze?

Kahlan się uśmiechnęła. Nic nie obiecała, lecz zmieniła temat.

- Martwię się, że opuszczasz bezpieczny pałac. Nie podoba mi się, że jedziesz w góry, kiedy grasuje tutaj Siostra Mroku.

- Nic mi się nie stanie.

- Ale jest tutaj ambasador Jary i dyplomaci z Grennidonu. Obie krainy mają liczne zawodowe armie. Są również przedstawiciele mniejszych krain: Mardovii, kotliny Pendisan i Togressy. Wszyscy czekają na wieczorne spotkanie z tobą.

Richard wsunął kciuk za szeroki skórzany pas.

- Mogą się poddać tobie. Albo są z nami, albo przeciw nam. Nie muszą mnie widzieć, niech się po prostu zgodzą na nasze warunki.

Kahlan dotknęła jego ramienia.

- Ale to ty jesteś lordem Rahlem, władcą D'Hary. To ty stawiasz żądania.

Oczekują spotkania z tobą.

- W takim razie muszą poczekać do jutrzejszego wieczoru. Pierwszeństwo mają nasi żołnierze. Kerson ma rację, mówiąc, że jeśli nie będą mogli walczyć, to wpadniemy w tarapaty. D'harańska armia jest głównym powodem skłaniającym inne krainy do poddania. Nie wolno nam ujawniać, że osłabła nasza zdolność przewodzenia innym.

- Ale ja nie chcę, żebyśmy się rozstawali - wyszeptała Kahlan.

- Wiem. - Richard się uśmiechnął. - Też tego nie chcę, ale to ważna sprawa.

- Obiecuj, że będziesz na siebie uważał.

- Obiecuję. - Uśmiechnął się szerzej. - A wiesz, że czarodziej zawsze dotrzymuje obietnicy.

- No to wracaj szybko.

- Na pewno. A ty trzymaj się z dala od tego Marlina. - Spojrzał na pozostałych. - Caro, zostaniesz tu z Rainą i Eganem. Przepraszam, Ulic, że na ciebie wrzasnąłem. Wynagrodzę ci to, zabierając ze sobą, żebyś mógł patrzeć na mnie tymi wielkimi niebieskimi oczami i wzbudzać we mnie poczucie winy. Berdine, pojedziesz ze mną, bo wiem, że uprzykrzycie mi życie, jeśli nie zabiorę choć jednej z was.

- Jestem ulubienicą lorda Rahla - powiedziała Berdine i uśmiechnęła się do Nadine.

Nadine była nie tyle pod wrażeniem, ile po prostu oniemiała, podobnie zresztą jak w trakcie poprzedniej rozmowy. W końcu spojrzała wyniośle na Richarda i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Czy i mnie zamierzasz traktować z góry? Czy i mnie powiesz, co mam robić, jak to z radością nakazujesz innym?

Richarda wcale nie rozżościła jej arogancja, jak się spodziewała Kahlan. Sprawiał raczej wrażenie jeszcze bardziej obojętnego.

- Całe mnóstwo ludzi walczy o naszą wolność, o to, żeby powstrzymać Imperialny Ład i nie pozwolić mu podbić Midlandów, D'Hary, a także Westlandu.

Dowodzę tymi, którzy chcą się bić o swoją wolność i o wolność niewinnych ludzi, którzy inaczej popadliby w niewolę. Jestem przywódcą, bo los postawił mnie na ich czele. Nie czynię tego ani dla władzy, ani z upodobania. Czynię to, bo muszę.

Wrogom, potencjalnym lub rzeczywistym, stawiam żądania. Lojalnym wobec mnie wydaję polecenia. Ty, Nadine, nie jesteś ani jednym, ani drugim. Rób, co uważasz za stosowne.

Twarz Nadine okryła się rumieńcem, który zatuszował wszystkie piegi.

Richard uniósł o kilka cali miecz i pozwolił mu opaść, nieświadomie sprawdzając, czy luźno siedzi w pochwie.

- Ulicu, Berdine, weźcie, co trzeba. Spotkamy się w stajniach - powiedział, a potem ujął dłoń Kahlan i pociągnął dziewczynę ku drzwiom. - Muszę porozmawiać z Matką Spowiedniczką. W cztery oczy - dodał.

Richard poprowadził Kahlan korytarzem zatłoczonym przez d'harańskich gwardzistów noszących ciemne skórzane uniformy, kolczugi i błyszczący oręż.

Znaleźli się w pustym bocznym holu. Wciągnął dziewczynę w ocienione miejsce pod srebrną lampą i oparł plecami o ścianę pokrytą boazerią z wiśniowego drewna, któremu czas nadał aksamitne tony. Delikatnie dotknął palcem czubka nosa Kahlan.

- Nie mógłbym odjechać bez pożegnalnego pocałunku.

- Nie chciałeś mnie całować przy dawnej dziewczynie? - Uśmiechnęła się.

- Tylko ciebie kocham. Nigdy żadnej innej nie kochałem. - Twarz chłopaka posmutniała. - Wiedziałybyś, jak to jest, gdyby nagle pojawił się któryś z twoich dawnych chłopaków.

- Nie, nie zrozumiałabym tego.

Na sekundę pobladł, a potem się zaczerwienił.

- Przepraszam. Powiedziałem to bezmyślnie. Dorastające Spowiedniczki nie miały sympatii. Dotknięcie Spowiedniczki niszczyło umysł biedaka, tak że od tej pory było w nim jedynie ślepe oddanie tej, która dotknęła go swoją

mocą. Spowiedniczki zawsze musiały panować nad swoim darem, żeby go przypadkowo nie uwolnić.

Zwykle nie było to trudne, gdyż rodziły się z ową mocą, której siła wzrastała wraz z nimi. Umiejętność jej powstrzymywania stawała się więc czymś równie naturalnym jak oddychanie. Lecz podczas namiętnych uniesień, co przecież było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem, Spowiedniczka traciła nad sobą kontrolę i w szczytowej fazie mimowolnie niszczyła umysł kochanka. Spowiedniczki, choćby nawet tego chciały, nie miały nigdy innych przyjaciół niż swoje współtowarzyszki. Ludzie się ich bali, bali się ich daru. Zwłaszcza mężczyźni lękali się Spowiedniczek i żaden nie chciał się znaleźć w zasięgu ich mocy.

Spowiedniczki nie miewały kochanków.

Spowiedniczka wybierała partnera obdarzonego cechami, które chciałyby widzieć u swojej córki. Kierowała się wyłącznie jego przydatnością na ojca. Nigdy nie decydowała o tym miłość, ponieważ sam akt zniszczyłby osobę, którą kochała. Nikt z własnej woli nie żenił się ze Spowiedniczką. Ta wybierała sobie partnera i porażała go mocą, zanim wzięli ślub. Mężczyźni obawiali się Spowiedniczek, które jeszcze nie miały partnera. Taka kobieta była dla nich niszczycielską siłą, drapieżcą, a oni jej ewentualnym łupem.

Jedynie Richard nie musiał się bać owego daru. Jego bezgraniczna miłość do Kahlan okazała się silniejsza od jej magicznej mocy. Dziewczyna nigdy nie słyszała o Spowiedniczce, która mogła odwzajemnić miłość, jaką darzył ją mężczyzna. Nawet nie marzyła, że w jej życiu ziści się największe z ludzkich pragnień: pragnienie miłości.

Słyszała powiedzenie, że człowiek ma w życiu jedną prawdziwą miłość. W przypadku jej i Richarda było to coś więcej niż powiedzenie: była to bezwzględna, absolutna prawda.

A poza tym Kahlan go po prostu kochała, bezgranicznie i bez względu na wszystko. Czasami nie mogła uwierzyć, że on również ją kochał i że mogli być razem.

- I nigdy o niej nie myślisz? Nigdy nie jesteś ciekaw...? - Przesunęła palcem po skórzanym pendencie.

- Nie. Zналиśmy się z Nadine od dziecka. Jej ojciec, Cecil Brighton, sprzedaje zioła i leki. Od czasu do czasu przynosiłem mu rzadko spotykane rośliny. Dawał mi znać, jeśli czegoś potrzebował, a nie mógł znaleźć. Kiedy

wyruszałem jako przewodnik, przy okazji szukałem tego, czego było mu trzeba. Nadine zawsze pragnęła naśladować ojca, pragnęła wiedzieć, jakie zioła pomagają ludziom, chciała pracować w jego sklepie. Czasem mi towarzyszyła, żeby się nauczyć, jak wynajdywać pewne rośliny.

- Chodziła tylko po to, żeby szukać roślin?

- Hmm, nie. Nie tylko. Ja... czasami odwiedzałem ją i jej rodziców.

Zabierałem ją na przechadzki, nawet jeśli jej ojciec nie prosił mnie o zioła. Ostatniego lata, zanim jeszcze zjawiała się w Hartlandzie, tańczyłem z nią na święcie z okazji przesilenia letniego. Lubiłem ją, ale nigdy nie dawałem jej do zrozumienia, że się z nią ożenię.

Kahlan uśmiechnęła się i uznała, że dość tych wyjaśnień. Zarzuciła Richardowi ramiona na szyję i pocałowała go. Przez krótką chwilę zastanawiała się nad czymś, co powiedział Nadine, nad czymś więcej, co było, potem jednak zawirowało jej w głowie od uścisku jego krzepkich ramion i jego miękkich warg na jej ustach. Język Richarda wśliznął się do ust dziewczyny, a duża dłoń zsunęła po jej plecach i mocno przycisnęła ją do niego. Odepchnęła go po chwili.

- Richardzie, a co z Shotą? Co, jeśli wpędzi nas w kłopoty? - spytała bez tchu.

Zamrugnął powiekami, starając się, by z jego spojrzenia zniknęło pożądanie.

- Do zaświatów z Shotą.

- Ale w przeszłości zawsze kryło się w tym ziarno prawdy. Shota sprawiała tyle kłopotów, ile tylko zdołała, zawsze jednak przemyślała w tym odrobinę prawdy.

Na swój sposób starała się uczynić to, co uczynić należało.

- Nie przeszkodzi nam w pobraniu się.

- Wiem, ale...

- Pobierzemy się, zaraz kiedy wrócę, i tyle. - Przy uśmiechu Richarda bladło nawet słońce. - Chcę się z tobą znaleźć w tym wielkim łożu, które mi ciągle obiecujesz.

- Ale jak się możemy teraz pobrać? Chyba że zrobimy to tutaj. Do Błotnych Ludzi jest daleko. Obiecaliśmy Człowiekowi Ptakowi, Weselan, Savidlinowi i pozostałym, że weźmiemy ślub jako Błotni Ludzie. Chandalen ochraniał mnie w czasie podróży do Aydingril. Zawdzięczam mu życie.

Weselan własnoręcznie uszyła mi wspaniałą błękitną suknię ślubną, i to z tkaniny, na którą pewnie pracowała latami.

Przyjęli nas do siebie. Uczynili Błotnymi Ludźmi. Ponieśli dla nas ofiary. Wielu oddało życie za naszą sprawę. Wiem, że większość kobiet nie marzy o ceremonii ślubnej, podczas której cała wioska półnagich, umazanych błotem ludzi tańczy wokół ognisk, przywołując duchy, żeby przyłączyły się do dwojga z nich, i świętuje całymi dniami przy wtórze owych dziwacznych bębnow podających rytm tancerzom, którzy odgrywają rozmaite historie... Ale takiej ceremonii, odprawionej ze szczerego serca, nigdzie indziej byśmy nie mieli. Nie możemy teraz opuścić Aydındril i wyruszyć w długą podróż do Błotnych Ludzi, dlatego że tego chcemy. Nie możemy zadośćuczynić naszym pragnieniom. Los innych zależy od nas. Trwa wojna.

- Wiem. - Richard łagodnie ucałował jej czoło. - Ja również chcę, żeby to Błotni Ludzie dali nam ślub. I tak się stanie. Wierz mi. Jestem Poszukiwaczem. Wiele o tym myślę. Mam kilka pomysłów. - Westchnął. - Ale teraz muszę jechać. Zadbaj o wszystko, Matko Spowiedniczko. Jutro wrócę. Obiecuję.

Kahlan objęła go tak mocno, że aż zabolęły ją ramiona. W końcu Richard odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Muszę jechać, nim się zacznie ściemniać, bo inaczej żołnierze poturbują się w mroku na przełęczach. - Zawahał się. - Gdyby... gdyby Nadine czegoś potrzebowała, zadbasz, żeby jej to dali? Konia, żywność, inne potrzebne rzeczy. Ona nie jest złą osobą. Nie życzę jej źle. Nie zasługuje na to, co Shota jej zrobiła.

Kahlan potaknęła i wsparła głowę na piersi Richarda. Czuła bicie jego serca.

- Dziękuję, że skompletowałeś ten weselny strój. Jesteś w nim jeszcze przystojniejszy niż zwykle. - Zamknęła oczy, bo znów zabolęły ją słowa, które usłyszała w czerwonej komnacie. - Dlaczego się nie rozzłościłeś, Richardzie, kiedy Cara mówiła te okrutne słowa?

- Ponieważ rozumiem, co uczyniono tym dziewczynom. Byłem w tym samym oszalałym świecie. Nienawiść zniszczyłaby mnie, a ocaliło mnie jedynie to, że szczerze przebaczyłem. Nie chcę, by zniszczyła je nienawiść. Nie chcę, by jakieś słowa zniweczyły to, co próbuję im dać. Chcę, by się nauczyły ufać. Czasami ufność zyskujesz tylko wtedy, kiedy sam ją

ofiarujesz.

- Może twoje działania zaczynają skutkować. Poza tymi okrutnymi słowami Cara powiedziała wcześniej coś, co przekonało mnie, że one to rozumieją. - Kahlan uśmiechnęła się i potraktowała temat Mord-Sith mniej poważnie. - Słyszałam, że byłeś dziś w ogrodzie z Berdine i Rainą i że oswajałeś wiewiórki ziemne.

- Wiewiórki łatwo oswoić. Robiłem coś o wiele trudniejszego: próbowałem oswoić Mord-Sith. - Mówił poważnym tonem, dzięki czemu wydawało się, że myśłami błądzi gdzieś daleko. - Szkoda, że nie widziałaś Berdine i Rainy. Chichotały jak małe dziewczuszki. Widząc to, o mało się nie rozplakałem.

Kahlan uśmiechnęła się do siebie zdziwiona.

- A ja myślałam, że marnujesz czas. Ile Mord-Sith jest w Pałacu Ludu w D'Harze?

- Mnóstwo.

- Mnóstwo. - To była przerażająca myśl. - Przynajmniej nie brakuje i wiewiórek ziemnych.

Pogłaskał Kahlan po włosach, tuląc jej głowę do swojej piersi.

- Kocham cię, Kahlan Amnell. Dziękuję za twoją cierpliwość.

- I ja cię kocham, Richardzie Rahhi. - Zacisnęła dłonie na tunice Richarda i przyłgnęła doń. - Shota wciąż mnie przeraża, Richardzie. Obiecuj, że naprawdę szybko się ze mną ożenisz.

Zaśmiał się gardłowo i cmoknął ją w czubek głowy.

- Kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić. Nie ma żadnej innej. Ani Nadine, ani żadnej innej, przysięgam na mój dar. Ciebie jedną kocham i nie pokocham żadnej innej. Obiecuję.

Kahlan poczuła w uszach szum krwi. Nie o taką obietnicę prosiła.

- Muszę iść - powiedział i odsunął się od niej.

- Ale...

- Co? Muszę iść. - Wyrzwał za róg korytarza.

- Idź. I szybko do mnie wracaj.

Przesłał jej pocałunek i zniknął. Kahlan wsparła ramię o ścianę i patrzyła, jak rozwiana złocista peleryna niknie w głębi korytarza, słuchała jak brzęczą kolczugi i tupią buty gwardzistów, ciągnących tłumnie za Richardem.

ROZDZIAŁ 7

Dwie pozostałe Mord-Sith czekały z Eganem w czerwonej komnacie. Drzwi do sypialni były zamknięte.

- Raino, Eganie, chcę, żebyście poszli z Richardem i chronili go - oznajmiła Kahlan, wchodząc do środka.

- Lord Rahl kazał nam zostać z tobą, Matko Spowiedniczko - zaproponowała Raina.

Kahlan znacząco uniosła brew.

- A od kiedy to wypełniasz rozkazy lorda Rahla, jeśli w grę wchodzi chronienie go?

Raina uśmiechnęła się figlarnie, co było niecodziennym widokiem.

- W porządku. Ale będzie zły, że zostawiliśmy cię samą.

- Mam Carę i wypełniony gwardzistami pałac, który jeszcze dodatkowo otacza wojsko. Zagraża mi co najwyżej to, że jeden z owych wielkoludów nastąpi mi na nogę. Richard ma ze sobą tylko pięciuset żołnierzy, Berdine i Ulica. Martwię się o niego.

- A jeżeli nas odeśle?

- Powiedz mu... powiedz mu... Zaczekaj. - Kahlan podeszła do mahoniowego biurka, wyjęła papier, pióro i atrament. Pochyliła się, zanurzyła pióro w kałamarzu i napisała: „Ciepło się otul i śpij wygodnie. Wiosną w górach jest zimno.

Kocham cię - Kahlan”. Złożyła kartkę i podała ją Rainie. - Jedźcie za nimi w pewnej odległości. Zaczekajcie, aż rozbiją obóz, i dopiero wtedy przekaz mu tę wiadomość.

Powiedz, że mówiłam ci, iż to ważne. Będzie już wieczór, a po ciemku was nie odeśle.

Raina odpięła dwa guziki na boku skórzanego uniformu i wsunęła kartkę między piersi.

- I tak się rozzłości, ale na ciebie.

- Wcale mnie nie przeraża to wielkie chłopisko. - Kahlan się uśmiechnęła.

- Wiem, jak uciszyć jego gniew.

- Zauważyłam. - Raina uśmiechnęła się konspiracyjnie i obejrzała przez ramię na zadowolonego Egana. - W takim razie spełnijmy nasz obowiązek i

przekażmy lordowi Rahlowi wieść od Matki Spowiedniczki. Musimy znaleźć jakieś powolne konie.

Gdy odeszli, Kahlan popatrzyła na czujną Carę i zastukała do drzwi sypialni.

- Wejdz, proszę - powiedział stłumiony głos Nadine. Cara weszła za Kahlan, a ta nie sprzeciwiła się. Wiedziała, że gdyby kazała Mord-Sith zaczekać w saloniku, strażniczka i tak nie posłuchałaby polecenia. Mord-Sith nigdy nie wypełniały poleceń, jeśli uznały, że wymaga tego ochrona Kahlan bądź Richarda.

Nadine przekładała rzeczy w swojej zniszczonej torbie podróżnej. Zaglądała do torby, a gęste włosy okalały nisko zwieszoną głowę, kryjąc twarz. Od czasu do czasu wsuwała pod tę zasłonę chusteczkę.

- Nic ci nie jest, Nadine?

Nadine pociągnęła nosem, ale nie podniosła głowy.

- Jeśli największa idiotka, jaką widziały dobre duchy, może się dobrze czuć, to ja się czuję wręcz wspaniale.

- Shota i ze mnie zrobiła idiotkę. Dobrze wiem, co czujesz.

- Jasne.

- Potrzebujesz czegoś? Richard chce, żebym zadbała, abyś miała wszystko, czego ci trzeba. Troszczy się o ciebie.

- A prosięta potrafią latać. Po prostu chce, żebym się wyniosła z waszych pięknych komnat i wyruszyła do domu.

- To nieprawda, Nadine. Mówi, że jesteś miłą osobą. Nadine w końcu się wyprostowała i odsunęła kryjące twarz kosmyki włosów. Wytarła nos, po czym schowała chusteczkę do kieszeni niebieskiej sukni.

- Przepraszam. Pewnie mnie nienawidzisz. Nie chciałam się tu wdrzeć i porwać ci twojego chłopaka. Nie wiedziałam. Przysięgam, że nie wiedziałam, bo inaczej nigdy bym tego nie zrobiła. Myślałam... Sądziłam, że on chciał... - Słowo

„mnie” utonęło we łzach.

Kahlan wyobraziła sobie, ile znaczyłaby dla niej utrata miłości Richarda, i obudziło się w niej współczucie dla dziewczyny. Uściskała ją na pocieszenie i usadowiła na łożu. Nadine wyjęła z kieszeni chusteczkę i przycisnęła ją do nosa; szlochała. Kahlan usiadła obok niej.

- Może poczułabyś się lepiej, gdybyś opowiedziała mi o wszystkim, o

tobie i o Richardzie? Czasem pomaga, gdy się można przed kimś wygadać.

- Strasznie głupio się czuję. - Nadine złożyła ręce na łonie, starała się opanować łkanie. - To moja wina. Zawsze lubiłam Richarda. Wszyscy go lubili. Jest miły dla każdego. Nigdy przedtem nie widziałam go takim jak dzisiaj. Wydał mi się taki inny.

- Bo pod pewnymi względami jest inny - powiedziała Kahlan. - Zmienił się nawet od ostatniej jesieni, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam. Wiele przeszedł.

Musiał zrezygnować z dawnego życia, a wszystkie wydarzenia ogromnie go doświadczyły. Musiał się nauczyć walczyć, ponieważ inaczej by zginął. Musiał się zmierzyć z wiadomością, że George Cypher nie był jego prawdziwym ojcem.

- George nie był jego ojcem? - zdumiała się Nadine. - No to kto nim był? Ktoś nazwiskiem Rahl?

Kahlan potaknęła.

- Rahl Posepny. Władca D'Hara.

- D'Hara. Dopóki nie zniknęła granica, myślałam, że ta D'Hara to jakieś złe miejsce.

- Bo tak było - odparła Kahlan. - Rahl Posepny był srogim, bezlitosnym władcą, który ujarzmił innych za pomocą tortur i morderstw. Nakazał porwać Richarda i zadręczyć go niemal na śmierć. To brat Richarda, Michael, wydał go Rahlowi Posepnemu.

- Michael? Cóż, właściwie mnie to nie dziwi. Richard kochał Michaela.

Michael to ważna persona, ale ma w sobie coś podłego. Jeśli czegoś chce, to nie patrzy, czy kogoś przy okazji nie skrzywdzi. Choć nikt nie miał odwagi głośno tego powiedzieć, to jestem przekonana, że nikt też nie żałował, kiedy odszedł i już nie wrócił.

- Zginął w walce z Rahlem Posepnym.

I ta wiadomość nie zmartwiła Nadine. Kahlan przemilczała, że to Richard kazał ściąć Michaela za zdradzenie ludzi, których ten miał bronić. Że kazał go zabić za to, iż tak wielu przezeń zginęło.

- Rahl Posepny chciał się posłużyć magią, która oddałaby wszystkich pod jego władzę. Richard uciekł, zabił swojego prawdziwego ojca i uratował nas wszystkich.

Rahl Posepny był czarodziejem.

- Czarodziejem! I Richard go pokonał?

- Tak. Wszyscy mamy u Richarda ogromny dług wdzięczności za to, że ocalił nas przed tym, co jego ojciec chciał sprowadzić na świat. Richard też jest czarodziejem.

Nadine roześmiała się, myśląc, że to żart. Jednak Kahlan nawet się nie uśmiechnęła. Cara stała z kamienną twarzą. Tamta szeroko otworzyła oczy.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Zedd jest jego dziadkiem. I czarodziejem, jak prawdziwy ojciec Richarda. Richard też ma wrodzony dar, ale nie bardzo wie, jak się nim posługiwać.

- Zedd również zniknął.

- Na początku był z nami. Walczył u naszego boku, starając się dopomóc Richardowi, ale niedawno zaginął. Boję się, że zabito go w Wieży Czarodzieja, która wznosi się na zboczu góry ponad Aydindril. Richard nie chce uwierzyć, że Zedd zginął. - Kahlan wzruszyła ramionami. - Może go nie zabito. Staruszek był najbardziej pomysłowym człowiekiem, jakiego w życiu znałam, nie licząc oczywiście Richarda.

Nadine otarła nos chusteczką.

- Richard i ten zwariowany stary byli najlepszymi przyjaciółmi. A więc to jego miał na myśli, kiedy powiedział, że dziadek nauczył go wielu rzeczy o ziołach.

Wszyscy przychodzą po leki do mojego ojca. Wie o nich prawie wszystko i mam nadzieję, że z czasem będę wiedzieć choć połowę tego co on, ale zawsze powtarzał, że chciałby wiedzieć tyle ile stary Zedd. Nie miałam pojęcia, że Zedd to dziadek Richarda.

- Nikt tego nie wiedział, nawet sam Richard. To długa historia. Opowiem ci najważniejsze fragmenty. - Kahlan spojrzała na złożone na podolku dłonie. - Kiedy Richard powstrzymał Rahla Posępnego, Siostry Światła uprowadziły go do Starego Świata, by nauczyć korzystania z magicznego daru. Uwięziły go w Pałacu Proroków, swojej siedzibie okolonej magiczną siecią spowalniającą upływ czasu, i zamierzały trzymać tam przez całe stulecia. Sądziłyśmy, że jest dla nas stracony. Okazało się jednak, że w Pałacu Proroków oprócz Sióstr Światła są również Siostry Mroku, które chciały uwolnić z zaświatów Opiekuna. Próbowaly wykorzystać Richarda do swoich celów, lecz wymknął im się i je powstrzymał. W tym samym czasie zostały

zniszczone Baszty Zatracenia, oddzielające Stary i Nowy Świat. Teraz nie trzymają już one w ryzach imperatora Jaganga z Imperialnego Ładu, który zamierza opanować cały świat. Jagang chce zabić Richarda za to, że psuje mu szyki. Imperator jest potężny i ma liczną armię. Wbrew naszej woli zostaliśmy wciągnięci w walkę o nasz los, naszą wolność i nasze istnienie. A Richard nam w niej przewodzi. Zedd, do czego miał prawo jako Pierwszy Czarodziej, obwołał Richarda Poszukiwaczem Prawdy. To starodawna funkcja, którą ustanowiono przed trzema tysiącami lat, kiedy szalała wielka wojna. To odpowiedzialne zadanie przydziela się w krytycznych chwilach.

Wymaga nienagannej moralności. Poszukiwacz stoi ponad prawem, w zasadzie sam je ustanawia, w czym pomaga mu Miecz Prawdy i jego magiczna siła. Los niekiedy doświadcza nas w nie zawsze dla nas zrozumiały sposób, ale czasem wygląda na to, że szczególnie uwziął się na Richarda.

Nadine patrzyła na dziewczynę szeroko otwartymi oczami. W końcu zamrugła.

- Richard? Czemu Richard? Czemu tkwi w środku tego wszystkiego? Jest tylko leśnym przewodnikiem. Prostym chłopakiem z Hartlandu.

- Kocięta nie stają się bułeczkami, jeśli urodzą się w piekarniku. Pozostają kociętami bez względu na to, gdzie przyjdą na świat, a ich przeznaczeniem, kiedy już dorosną, jest polować na szczury. Richard jest wyjątkowym czarodziejem: czarodziejem wojny. Jest pierwszym od trzech tysięcy lat czarodziejem, który ma zarówno dar magii addytywnej, jak i subtraktywnej. Został naszym przywódcą nie z własnego wyboru, lecz dlatego, że od niego zależy, czy pozostaniemy wolnymi ludźmi. On nie potrafi stać z boku i przyglądać się, kiedy innym dzieje się krzywda.

Nadine odwróciła wzrok.

- Wiem coś o tym. - Mięła w palcach chusteczkę. - Trochę ci przedtem nakłamałam.

- O czym?

- Gdy opowiadałam o Tommym i Lesterze. - Westchnęła. - Dałam do zrozumienia, że to ja wybiłam im przednie zęby. A prawda jest taka, że szłam do Richarda. Mieliśmy poszukać kaliny o liściach podobnych do liści klonu. Tata potrzebował trochę jej łyka, by zrobić wywar dla niemowlęcia, które miało kolkę, lecz akurat skończył mu się cały zapas. Richard wiedział, gdzie rosła taka kalina. Tak więc szłam akurat lasami do domu Richarda,

kiedy nagle natknęłam się na Tommy'ego Lancastera i jego przyjaciela Lestera wracających z polowania na gołębie. Przedtem odrzuciłam awanse Tommy'ego, i to w obecności jego koleżków. Zrobiłam z niego głupka. Chyba nawet dałam mu po buzi i wyzwałam. Kiedy zatem napotkał mnie w lesie, chciał się za tamto zemścić. Kazał Lesterowi mnie przytrzymać, a sam... Ledwo zdążył opuścić spodnie do kolan, jak pojawił się Richard. To go ostudziło. Richard kazał im się wynosić i zagroził, że powie ich ojcom. Jednak Tommy i Lester, zamiast uciec, postanowili wpakować w Richarda kilka strzał na ptaki, żeby nauczyć go, by pilnował swoich spraw. To dlatego obaj nie mają przednich zębów. Richard powiedział im, że to za to, co mi chcieli zrobić. A potem połamał ich cenne cisowe łuki i powiedział, że to za to, co chcieli zrobić jemu. Zagroził Tommy'emu, że jeśli jeszcze raz będzie chciał mi to zrobić, to mu utnie... no wiesz co.

- To bardzo podobne do Richarda, którego znam. - Na usta Kahlan wypłynął uśmiech. - W rzeczywistości aż tak bardzo się chyba nie zmienił. A Tommy i Lester są teraz więksi i brzydsi.

- Pewno tak. - Nadine poruszyła ramieniem i uniosła głowę, bo Cara podała jej cynowy kubek, który napełniła wodą z dzbana stojącego na umywalni. Dziewczyna pociągnęła łyżeczkę. - Nie mogę uwierzyć, że ludzie naprawdę chcą zabić Richarda. Nie mogę uwierzyć, że jest ktoś kto naprawdę chce go zabić. - Skrzywiła się w uśmiešku.

- Nawet Tommy i Lester chcieli mu tylko wybić zęby - Postawiła kubek na kolanie. - Nie wierzę, że jego ojciec chciał go zabić. Mówiłaś, że Rahl Posępny kazał torturować Richarda. Czemu?

Kahlan spojrzała na Carę.

- To już przeszłość. Wolałabym nie budzić tych wspomnień.

- Przepraszam. - Nadine się zarumieniła. - Prawie zapomniałam, że on... i ty...

- Otarła palcami łzy z policzków. - To niesprawiedliwe. Ty - najwyraźniej była sfrustrowana - ty masz wszystko. Masz ten pałac. Nawet nie wiedziałam, że istnieje to wszystko, co tu masz. To wygląda jak widzenie ze świata duchów. A ty masz takie śliczne rzeczy i wspaniałe szaty. W tej sukni wyglądasz jak jeden z dobrych duchów. - Spojrzała Kahlan w oczy. - I jesteś taka piękna. To niesprawiedliwe. Nawet masz śliczne zielone oczy, gdy moje są głupie i piwne. Pewno pałac ciągle otaczają tłumy mężczyzn, którzy cię

pragną. Musisz mieć więcej zalotników, niż inne kobiety mogłyby marzyć. Masz wszystko. Mogłabyś sobie wybrać w Midlandach, kogo tylko byś chciała... a ty wybrałaś chłopaka z mojego kraju.

- Miłość nie zawsze jest sprawiedliwa, ona po prostu jest. A twoje oczy są bardzo ładne. - Kahlan splótła palce i objęła dłońmi kolano. - Co Richard miał na myśli, mówiąc, że nie ma żadnych „nas” i że ty to najlepiej powinnaś wiedzieć?

Nadine zamknęła oczy i odwróciła głowę.

- Hmm, wiele hartlandzkich dziewczyn chciało zdobyć Richarda, nie tylko ja.

Był inny niż wszyscy. Wyjątkowy. Pamiętam, że kiedy miał z dziesięć czy dwanaście lat, wyperswadował dwóm mężczyznom bójkę. Zawsze miał swoje sposoby.

Rozbawił obu i wyszli ze sklepu taty, trzymając się pod rękę. Richard zawsze był wyjątkowy.

- Piętno czarodzieja - odezwała się Kahlan. - Pewno miał dużo dziewczyn?

- Nie, właściwie nie. Dla każdej był miły i uprzejmy, każdej pomagał, ale nigdy się w żadnej nie zakochał. I przez to jeszcze bardziej chciały go usidlić. Nie miał wybranki, żadna nie była jego lubą. Ale mnóstwo z nas, dziewcząt, chciało nią zostać. Po tym jak Tommy i Lester próbowali... chcieli...

- Zgwałcić cię.

- Taaa. Na pewno o to im szło. Nie lubię myśleć, że ktoś naprawdę chciał mi to zrobić. Że ktoś chciał mnie przytrzymać i tak dalej. Ale na pewno to właśnie chcieli zrobić: zgwałcić mnie. Tylko że niektórzy tego tak nie nazywają. Czasem, jak chłopak robi to dziewczynie, mówią, że bierze ją jak swoją, a rodzice powiadają, że to dlatego, bo ona go zachęcała, i żenią ich, zanim jej zrobi dziecko. Znam dziewczyny, co się musiały wydać. Za wielu młodych, przeważnie ze wsi, już zdecydowano, z kim się mają pobrać. No ale czasem chłopakowi się nie podoba narzucona dziewczyna i bierze sobie tę, której pragnie - jak Tommy próbował ze mną - w nadziei, że jak ona zajdzie w ciążę, to będzie musiała za niego wyjść, albo że rodzice ich pożenią, bo już ją zepsuł. Tommy miał się ożenić z chudą Ritą Wellington, ale jej nienawidził. Bywa, że dziewczyna faktycznie zachęca chłopaka, bo nie chce tego, co go dla niej rodzice wybrali. Ale młodzi najczęściej robią to, co im

każą. Choć moi rodzice nigdy za mnie nie decydowali, niektórzy tak właśnie robią. Mówią, że to równie często prowadzi do kłopotów, jak do szczęścia. Moi powiedzieli, że ich zdaniem sama wiem, czego chcę.

Mnóstwo dziewczyn, którym zostawiono wybór, chciało Richarda. Niektóre, tak jak ja, czekały jeszcze długo po tym, jak powinny już być mężatkami i mieć dwójkę czy trójkę dzieciaków. A Richard, kiedy już przeszkodził Tommy'emu, dbał o mnie.

Zaczęło mi się w końcu wydawać, że to nie tylko opieka. Że on naprawdę chce ze mną być. Wyglądało na to, że mnie naprawdę zauważył, że zobaczył we mnie kobietę, a nie dzieciaka, o którego się trzeba troszczyć. Na ostatnim święcie z okazji przesilenia letniego to już byłam tego pewna. Tańczył ze mną częściej niż z innymi dziewczynami. A one zieleniały z zazdrości. Zwłaszcza jak mnie przytulał. I właśnie wtedy zapragnęłam, żeby to on był tym jedynym, tym wybranym. Nikt inny tylko on.

Myślałam, że po święcie wszystko się zmieni, że mi powie, że znaczę dla niego więcej niż kiedykolwiek przedtem. Myślałam, że na poważnie zacznie się do mnie zalecać. Ale tego nie zrobił. - Nadine jedną dłonią przytrzymała między kolanami kubek z wodą, w drugiej miała chusteczkę. - Miałam innych chłopaków, co się chcieli do mnie zalecać, i nie zamierzałam marnować przyszłości, jeśli Richard nigdy nie pójdzie po rozum do głowy, więc postanowiłam trochę nim potrząsnąć.

- Potrząsnąć?

- No - potaknęła Nadine. - Oprócz tamtych łąził też za mną brat Richarda, Michael. Myślałam, że to dlatego, bo zawsze wszystkiego Richardowi zazdrościł. Ale wtedy nie miałam nic przeciwko temu, żeby Michael się do mnie zalecał. Nie znałam go zbyt dobrze, jednak zaczynał już być kimś ważnym. Choć me ma w tym nic złego, myślałam, że Richard będzie zawsze tylko leśnym przewodnikiem. Sama też nie jestem kimś ważnym. A Richard kochał lasy.

- I wciąż kocha. - Kahlan się uśmiechnęła. - Jestem przekonana, że gdyby tylko mógł, z radością pozostałby zwykłym leśnym przewodnikiem. Ale nie może. A co się przydarzyło potem?

- Cóż, wyobrażałam sobie, że jeśli wzbudzę w Richardzie choć ociupinę zazdrości, to może przestanie czekać i wreszcie coś powie. Mama zawsze mówiła, że chłopem czasami trzeba potrząsnąć. No to nim potrząsnęłam. -

Nadine odkaszlnęła. - Tak to urządziłam, żeby mnie przyłapał, jak się całuję z Michaelem. I żeby nie miał wątpliwości, jaką mi to sprawia przyjemność.

Kahlan głęboko zaczerpnęła powietrza i uniosła brwi. Nadine może rzeczywiście dorastała z Richardem, ale z pewnością w ogóle go nie знаła.

- Nawet się nie rozzłościł ani nie był zazdrosny - powiedziała dziewczyna. - Dalej był dla mnie miły i opiekował się mną, ale już nigdy mnie nie odwiedził ani nie zaprosił na spacer. A kiedy próbowałam z nim o tym pogadać i wytłumaczyć, to go to nie interesowało. - Zapatrzyła się przed siebie. - Miał takie oczy jak dziś. Mówiły, że nic go to nie obchodzi. Nie wiedziałam, co znaczy to spojrzenie, dopóki dzisiaj nie zobaczyłam jego oczu. Myślę, że naprawdę mu na mnie zależało i oczekiwał, że będę lojalna, jeśli i mnie na nim zależy. A ja go zdradziłam. - Zagryzała dolną wargę i z trudem oddychała. - Shota powiedziała mi, że Richard się ze mną ożeni, i byłam taka szczęśliwa, że nie chciałam mu uwierzyć, gdy powiedział, że wcale nie. Nie chciałam uwierzyć w to jego spojrzenie i udawałam sama przed sobą, że to nic nie znaczy. Ale znaczy. Znaczy.

- Przykro mi, Nadine - powiedziała delikatnie Kahlan. Nadine wstała i postawiła na stoliku cynowy kubek. Po jej policzkach spływały łzy.

- Wybacz mi, że tak się tu zjawiłam. On kocha ciebie, a nie mnie. Nigdy mnie nie kochał. Gratuluję, Matko Spowiedniczko. Dostałaś dobrego człowieka, co to będzie cię strzegł i opiekował się tobą i zawsze będzie dla ciebie dobry. Wiem, że tak będzie.

Kahlan wstała i pokrzepiająco uścisnęła dłoń dziewczyny.

- Kahlan. Mam na imię Kahlan.

- Kahlan. - Nadine w dalszym ciągu nie patrzyła jej w oczy. - Dobrze całuje?

Zawsze się nad tym zastanawiałam. Jak leżę w łóżku i nie śpię, to zawsze o tym myślę.

- Gdy kochasz kogoś z całego serca, to pocałunki takiej osoby zawsze są cudowne.

- Pewnie tak. Nikt nigdy mnie tak nie pocałował. Tak naprawdę to sprawiały mi przyjemność tylko te pocałunki, o których śniłam. - Wygładziła suknię i próbowała się uspokoić. - Ubieram się tak, bo błękit to ulubiony kolor Richarda. Powinnaś to wiedzieć: najbardziej lubi niebieskie sukienki.

- Wiem - szepnęła Kahlan. Nadine sięgnęła po swoją torbę.

- Sama nie wiem, o czym myślę, rozwodząc się nad tym, co już skończone, a zapominając o swoim fachu.

Poszperała w torbie i wyjęła mały zatkany korkiem kawałek baraniego rogu.

Widniały na nim koła i rysy. Nadine wyciągnęła korek, wsunęła do środka palec, a potem wyciągnęła go ku Carze. Ta się cofnęła.

- Cóż ty robisz?

- To maść z kojącego ból aumu oraz żywokostu i krwawnika, który zatrzymuje krwawienie i sprawia, że rany ładnie się goją. Rana na twoim policzku ciągle krwawi.

Jeśli ta maść nie zatamuje krwawienia, to mam jeszcze naparstnicę, ale to powinno wystarczyć. Tata mówi, że ważne są nie tylko składniki, lecz także ilość każdego z nich. W tym tkwi sekret działania leku.

- Nie potrzebuję tego - upierała się Cara.

- Jesteś bardzo ładna. Chyba nie chcesz mieć blizny, co?

- Mam wiele blizn. Po prostu ich nie widzisz.

- A gdzie są?

Cara spojrzała na nią gniewnie, ale Nadine się nie cofnęła.

- No dobrze - zgodziła się w końcu Mord-Sith. - Zrób użytek z tych swoich ziółek, skoro i tak się wcześniej ode mnie nie odczepisz. Ale nie rozbiorę się, żebyś mogła zobaczyć moje blizny.

Nadine uśmiechnęła się z zadowoleniem i pomazała brązową maścią policzek Cary.

- To ukoji ból, przedtem jednak chwilę będzie piekło. Dopiero potem odczujesz ulgę.

Cara nawet nie mrugnęła. Musiało to zdumieć Nadine, bo przerwała wcieranie maści, spojrzała Mord-Sith w oczy i dopiero po chwili wtarła resztę mazidła. Kiedy skończyła, zakorkowała róg i schowała go do torby. Rozejrzała się po komnacie.

- Nigdy nie widziałam tak wspaniałego pokoju. Dziękuję, że pozwoliłaś mi z niego skorzystać,

- Nie ma sprawy. Potrzebujesz czegoś? Jakichś rzeczy...? Nadine potrząsnęła przecząco głową, ostatni raz wytarła nos i wsunęła chusteczkę do kieszeni.

Przypomniała sobie o kubku, wypila resztę wody i również schowała go

do torby.

- To dość długa podróż, ale zostało mi trochę srebra. Poradzę sobie. - Położyła dłoń na torbie i zapatrzyła się na swoje drżące palce. - Nie sądziłam, że moja wyprawa tak się zakończy. Poleciałam za Richardem i teraz będę pośmiewiskiem Hartlandu. - Przełknęła ślinę. - Co powie tata?

- Czy Shota i jemu powiedziała, że wyjdiesz za Richarda?

- Nie. Wtedy jeszcze się z Shotą nie spotkałam.

- Jak to? Sądziłam, że to ona powiedziała ci, byś tu przybyła, i że za niego wyjdiesz.

- Nooo, to nie było dokładnie tak. - Nadine uśmiechnęła się krzywo.

- Rozumiem. - Kahlan splótła dłonie. - A więc jak to było naprawdę?

- Kiedy to głupio zabrzmiało, zupełnie jakbym była zwariowaną dwunastolatką.

- Opowiedz wszystko, Nadine.

Nadine zastanawiała się chwilę, a potem westchnęła.

- To chyba i tak nie ma znaczenia. Zaczęłam miewać te... nie wiem, jak to nazwać. Widziałam Richarda, a raczej zdawało mi się, że go widzę. Dostrzegałam go kątem oka i odwracałam się, a jego tam nie było. Któregoś dnia chodziłam po lesie, szukając nowych pędów, i zobaczyłam go za drzewem. Zatrzymałam się, lecz jego już tam nie było. Za każdym razem byłam przekonana, że on mnie potrzebuje. Nie wiem, skąd to wiedziałam, ale wiedziałam. Wiedziałam, że to ważne, że ma jakieś kłopoty.

Nigdy w to nie wątpiłam. Powiedziałam rodzicom, że Richard mnie potrzebuje i że muszę mu pomóc. Powiedziałam, że muszę do niego iść.

- I uwierzyli ci? Zawierzyli twoim wizjom? Pozwolili ci odejść?

- Hmm, nigdy im tego nie wyjaśniłam. Powiedziałam po prostu, że Richard przysłał mi wiadomość i że potrzebuje mojej pomocy, więc do niego idę. I chyba dałam im do zrozumienia, że wiem dokąd.

Kahlan zaczęła pojmować, że Nadine niczego nikomu jasno nie tłumaczyła.

- I wtedy zjawiała się Shota?

- Nie. Wtedy odeszłam. Wiedziałam, że Richard mnie potrzebuje, więc wyruszyłam.

- Sama? Zamierzałaś ot tak odejść i szukać go po całych Midlandach?

Nadine z zażenowaniem poruszyła ramionami.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby się zastanowić, jak go znajdę.

Wiedziałam, że mnie potrzebuje i że to ważne, więc wyruszyłam do niego. - Uśmiechnęła się, jakby chciała uspokoić Kahlan. - I przyszedłam prosto do niego: jak strzała do celu. Wszystko poszło, jak trzeba. - Zarumieniła się. - To znaczy poza tym, że tak naprawdę to on mnie nie chce.

- Nadine, czy miewałaś jakieś... dziwne sny? Wtedy albo teraz?

- Dziwne sny? - Nadine odgarnęła grube pasmo włosów. - Nie, nie miałam. To znaczy nie były dziwniejsze niż zwyczajne sny. Po prostu normalne sny.

- A co ci się normalnie śni?

- No wiesz, takie sny, że jesteś znowu mała, zagubiona w lesie i że żadna ścieżka nie prowadzi cię tam, gdzie powinna, albo że nie możesz znaleźć właściwych składników do placka i musisz pójść do jaskini i pożyczyć je od niedźwiedzia, który umie mówić. Coś w tym rodzaju. Zwyczajne sny. Że potrafisz latać albo oddychać pod wodą. Zwariowane rzeczy. Ale zwyczajne sny. Takie jak zawsze. Nic odmiennego.

- Zmieniły się ostatnio?

- Nie. O ile je pamiętam, to są w tym samym guście.

- Rozumiem. Brzmi to zupełnie zwyczajnie. Nadine wyciągnęła z torby pelerynę.

- Lepiej już pójdę. Jak będę miała szczęście, to dotrę do domu na święto wiosny.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Będiesz miała szczęście, jeśli zdążysz na święto przesilenia letniego.

- Na pewno nie - zaśmiała się Nadine. - Droga powrotna nie może trwać dłużej niż podróż tutaj. Ze dwa tygodnie albo coś koło tego. Wyruszyłam zaraz po drugiej kwadrze księżycy, a jeszcze nie ma pełni.

Kahlan wpatrywała się w nią w osłupieniu.

- To dwa tygodnie.

Taka podróż z Westlandu powinna zająć Nadine całe miesiące, zwłaszcza zimą, kiedy wyruszyła. A poza tym musiała jeszcze przecież przejść góry Rang'Shada.

- Twój koń musiał mieć skrzydła.

Nadine się roześmiała. Potem zamilkła i zmarszczyła gładkie czoło.

- Zabawne, że o tym wspomniałaś. Nie mam konia. Szłam piechotą.

- Szłaś pieszo? - powtórzyła z niedowierzaniem Kahlan.

- Tak. Ale od kiedy wyruszyłam, to śni mi się, że lecę na skrzydlatym koniu.

Kahlan musiała poskładać wszystkie fragmenty opowieści Nadine. Starła się domyślić, jak pytałby ją Richard. Czuła się głupio, kiedy chłopak ubrał w słowa te wszystkie pytania, które powinna zadać Marlinowi, ale nawet o tym nie pomyślała.

Załągodził sprawę, mówiąc, że postąpiła właściwie, lecz i tak martwiło ją to, że z Marlina niczego ważnego nie wyciągnęła, kiedy miała do tego okazję.

Spowiedniczki nie musiały się znać na przesłuchiwanie ludzi. Po prostu dotykały określoną osobę swoją mocą, a potem nakazywały odpowiedzieć, czy oskarżony istotnie dopuścił się zbrodni, o którą był obwiniony. - Jeżeli odpowiedź brzmiała „tak”, a zaprzeczano niezwykle rzadko, to musiał wszystko dokładnie opowiedzieć. Nie było to trudne i nie wymagało biegłości. Był to niezawodny sposób pozwalający zadbać, by politycznych odszczepieńców nie oskarżano fałszywie o zbrodnie, których nie popełnili, i nie skazywano ich za nie na śmierć.

Kahlan postanowiła, że lepiej spisze się, przepytując Nadine.

- Kiedy Shota do ciebie przyszła? Do tej pory nic o tym nie powiedziałaś.

- Aaaa. Właściwie to ona do runie nie przyszła. Natknęłam się na nią w górach. Ma ładny pałac, ale nie miałam okazji zobaczyć go od środka. Za krótko tam byłam. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do Richarda.

- Co ci przekazała Shota? Jak brzmiały jej słowa? Co dokładnie powiedziała?

- Niech no się zastanowię... - Nadine dotknęła palcem górnej wargi, przypominała sobie. - Przywitała mnie, poczęstowała herbatą, powiedziała, że czekała na mnie, i usadowiła obok siebie. Kazała Samuelowi zostawić w spokoju moją torbę, jak próbował ją odciągnąć, i stwierdziła, że nie mam się go bać. Spytała, dokąd podróżuję, a ja odparłam, że do mojego Richarda, bo on mnie potrzebuje. Wtedy opowiedziała mi o Richardzie i jego przeszłości to, co i ja wiedziałam. Zdziwiło mnie, że tak dużo o nim wie, ale uznałam, że pewnie go zna. A potem opowiedziała mi o mnie, i to takie rzeczy, których żadną miarą wiedzieć nie mogła. Opowiedziała o moich tęsknotach, pragnieniach i ambicjach. Dowiodła, że chce zostać uzdrowicielką, doskonale znać zioła i ich stosowanie, i inne takie. Wtedy sobie

uświadomiłam, że ona jest mistyczką. Nie pamiętam, jak dokładnie brzmiały jej słowa, kiedy o tym mówiła. Potwierdziła też, że to prawda, że Richard mnie potrzebuje. Mówiła, że mamy się pobrać i że to niebo jej o tym powiedziało. - Nadine odwróciła wzrok od oczu Kahlan. - Byłam taka szczęśliwa. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę aż tak szczęśliwa.

- Niebo. I co jeszcze?

- Potem oznajmiła, że nie chce opóźnić mojej podróży do Richarda.

Powiedziała - cokolwiek to miało znaczyć - Że ściga go wicher i że mam rację, iż Richard mnie potrzebuje. Dodała, że się powinnam spieszyć i że już mam wyruszać.

Życzyła mi szczęścia.

- To wszystko? Musiała coś jeszcze powiedzieć.

- Nie, to wszystko. - Nadine zapięła torbę. - Może z wyjątkiem modlitwy w intencji Richarda, tak przynajmniej sądzę.

- Co masz na myśli? Co powiedziała? Jak dokładnie brzmiały jej słowa?

- Hmm, odwróciła się, by wrócić do pałacu, a ja się zbierałam do odejścia.

Wtedy usłyszałam, jak szepcze: „Oby duchy ulitowały się nad jego duszą”.

Kahlan poczuła, jak jej okryte atlasowymi rękawami ramiona pokrywają się gęsią skórką. O zaczerpnięciu powietrza przypomniała sobie dopiero wtedy, kiedy poczuła piekący ból w piersiach.

- Chyba już za bardzo cię zasmuciłam. - Nadine uniosła torbę. - Lepiej wyruszę w drogę powrotną.

Kahlan rozłożyła ręce.

- A może zostałabyś na jakiś czas, Nadine.

- Dlaczego? - spytała zdeorientowana kobieta. Kahlan desperacko starała się wymyślić jakiś pretekst.

- Chętnie posłuchałabym opowieści z dzieciństwa i młodości Richarda.

Mogłabyś mi opowiedzieć o wszystkich tarapatkach, w jakie wpadał. - Zmusiła się do pełnego zachęty uśmiechu. - Naprawdę chętnie bym posłuchała.

Nadine potrząsnęła odmownie głową.

- Richard by mnie tu nie chciał. Rozzłościłby się, gdyby mnie tu zastał po swoim powrocie. Nie widziałas tego jego spojrzenia.

- Richard na pewno cię nie wyrzuci, Nadine, nie pozwoliwszy kilka dni

odpocząć. On taki nie jest. Powiedział: „Wszystko, czego potrzebuje”. A ja uważam, że najbardziej przyda ci się kilkudniowy odpoczynek.

Nadine raz jeszcze potrząsnęła głową.

- Nie. Już i tak byłaś dla mnie bardziej uprzejma, niż miałam prawo oczekiwać. Ty i Richard stanowicie parę. Wcale nie jestem wam potrzebna. Ale dziękuję za propozycję. Jesteś tak miła, że aż trudno mi w to uwierzyć. Nic dziwnego, że Richard cię kocha. Każda inna kobieta, będąc na twoim miejscu, ogoliłaby mi głowę i odesłała wozem pełnym gnoju.

- Naprawdę chciałabym, żebyś została, Nadine. - Kahlan zwilżyła wargi. - Zostań, proszę. - Usłyszała swój własny głos.

- To by mogło wywołać niesnaski między wami. Nie chcę być ich powodem.

Nie jestem tego rodzaju osobą.

- Nie zapraszałabym cię, gdyby to stanowiło jakiś problem. Zostań.

Przynajmniej kilka dni, dobrze? Możesz mieszkać w tej komnacie, która tak ci się podoba. Ja... naprawdę chciałabym, żebyś została.

Nadine długo wpatrywała się w oczy Kahlan.

- Naprawdę chcesz, żebym została? Naprawdę?

- Tak. - Kahlan czuła, jak paznokcie wbijają się jej w dłoń. - Naprawdę.

- Cóż, prawdę mówiąc, to wcale mi się nie spieszy do domu i do tłumaczenia się moim rodzicom. No dobrze, skoro naprawdę tego chcesz, to zostanę na trochę.

Dziękuję.

Kahlan - choć miała ważne powody, by prosić Nadine o pozostanie w Pałacu Spowiedniczek - czuła się jak lecąca w płomień ćma.

ROZDZIAŁ 8

Kahlan zmusiła się do uśmiechu.

- Wspaniale. Zostań. To... miłe z twojej strony, że się zgodziłaś.

Porozmawiamy sobie. O Richardzie. To znaczy chętnie usłyszę opowieści o tym, jak dorastał. - Dziewczyna zdała sobie sprawę, że to brzmi jak paplanina, i zamilkła.

Nadine promieniała.

- Mogę spać w tym łóżu?

- Nie bądź głuptasem. Oczywiście, że będziesz spała w łóżu. A gdzież by indziej?

- Mam koc, więc mogłabym spać na dywanie, żeby nie...

- Nie. Nie życzą sobie tego. Zaprosiłam cię. Chcę, żebyś się czuła jak w domu, tak samo jak wszyscy inni goście, którzy korzystali z tej komnaty.

- To będę spała na podłodze - zachichotała Nadine. - Bo sypiam na sienniku, który leży na podłodze w tylnym pokoju nad naszym sklepem.

- Tu jednak będziesz spała w łóżu - oznajmiła Kahlan, spojrzała na Carę i dodała: - Potem, jeżeli zechcesz, oprowadzę cię po pałacu, ale teraz się rozpakuj i odpocznij, a my z Cara zajmiemy się pewnymi ważnymi sprawami.

- Jakimi sprawami? - spytała Cara.

Cały czas milczała jak głaz, pomyślała Kahlan, a teraz zebrało się jej na zadawanie pytań.

- Sprawą Marlina.

- Lord Rahl nakazał, byśmy trzymały się z dala od Marlina.

- To asasyn nasłany, żeby zabić Richarda. Są rzeczy, których się muszę dowiedzieć.

- To i ja chcę pójść - wtrąciła się Nadine, spoglądając to na Mord-Sith, to na Kahlan. - Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś chciał kogoś zabić, a zwłaszcza Richarda. Chcę zobaczyć, jak wygląda taka osoba. Chcę mu spojrzeć w oczy.

Kahlan energicznie potrząsnęła głową.

- To nie jest coś, co chciałabyś zobaczyć. Musimy go przesłuchać, a to nie będzie przyjemne.

- Naprawdę? - zainteresowała się radośnie Cara.

- Czemu? Co masz na myśli? - dopytywała się Nadine.

- Dosyć. - Kahlan uniosła palec. - Mówię to dla twego dobra, ponieważ Marlin jest niebezpieczny, i nie chcę, żebyś tam schodziła. Jesteś tutaj gościem. Szanuj, proszę, moje życzenia, dopóki gościsz w moim domu.

- Jasne. - Nadine wpatrywała się w podłogę. - Wybacz mi.

- Poinformuję gwardzistów, że jesteś gościem, więc jeśli będziesz czegoś potrzebować, to powiedz im, a oni zadbają, żeby pomógł ci ktoś ze służby. Za chwilę wrócę i zjemy kolację. A przy kolacji pogadamy sobie.

- Pewnie. - Nadine odwróciła się ku stojącej na łożu torbie. - Nie zamierzałam się wtrącać. Nie chcę przeszkadzać.

Kahlan niepewnie dotknęła ramienia Nadine.

- Nie chciałam, żeby to zabrzmiało, jakbym ci rozkazywała. Po prostu to, że ktoś próbował zamordować Richarda, ogromnie mnie zdenerwowało. Przepraszam, że tak gniewnie zareagowałam. Jesteś naszym gościem. Traktuj, proszę, nasz dom jak swój własny.

- Rozumiem. - Nadine uśmiechnęła się do niej przez ramię. - Dziękuję.

Naprawdę była piękną młodą kobietą. Choć mogła wiele ukrywać. Miała atrakcyjną figurę i twarz oraz prostoduszny charakter. Kahlan łatwo mogła pojąć, dlaczego Nadine budziła sympatię Richarda. Zastanawiała się, jakie zrzędzenie losu sprawiło, że Richard wybrał ją, a nie tamtą. Dziękowała dobremu duchom, że - bez względu na to, jaki był tego powód - tak właśnie się stało, i gorąco się modliła, by tak pozostało. A najbardziej pragnęła, żeby zniknął ów perfidny dar Shoty. Chciała, by ta kusząca, piękna, niebezpieczna kobieta trzymała się z dala od Richarda. Chciała odesłać Nadine. Gdybyż tylko mogła to uczynić.

Powiedziała gwardzistom, że Nadine jest gościem, a potem zeszły z Cara po wyłożonych dywanem schodach zaczynających się w końcu korytarza. Kiedy tylko znalazły się na bogato dekorowanym podeście, Cara złapała dziewczynę za ramię i okręciła ją ku sobie.

- Zwariowałaś?!

- O czym ty mówisz?

Cara zgrzytnęła zębami i nachyliła się ku niej.

- Wiedźma przysłała twojemu mężczyźnie w ślubnym prezencie pannę młodą, a ty ją zapraszasz w gościnę?!

Kahlan potarła kciukiem lśniąca kulę wieńczącą tralkę balustrady.

- Musiałam. To chyba oczywiste?

- Dla mnie jest oczywiste, że powinnaś zrobić to, o czym mówiła ta dziewczka.

Powinnaś ogolić jej głowę i odesłać ją na wozie gnoju.

- Ona również jest ofiarą w tej intrydze. To pionek Shoty.

- Ta dziewczyna odczuwa niechęć do prawdy. I wciąż pragnie twojego mężczyzny. Jeżeli nie widzisz tego w jej oczach, to nie jesteś taka mądra, jak mi się zdawało.

- Ufam Richardowi, Caro. Wiem, że mnie kocha. Richard we wszystkim kieruje się ufnością i lojalnością. Wiem, że moje serce jest przy nim bezpieczne.

Jakby to wyglądało, gdybym postąpiła jak zazdrośnica i odesłała Nadine? Jeżeli nie okażę mu ufności, będzie to znaczyło, że nie cenię jego lojalności wobec mnie. Nie wolno mi ani odrobinę zawieść jego zaufania.

Twarz Cary wcale nie złagodniała.

- Ani trochę mnie to nie przekonuje. Może to i prawda, ale nie dlatego poprosiłaś Nadine, żeby została. Udusiłabyś ją równie chętnie jak ja. Widzę to w twoich zielonych oczach.

Kahlan się uśmiechnęła i starała przejrzeć w ciemnym, mocno wypolerowanym drewnie. Jednak widziała tylko niewyraźne odbicie.

- Trudno jest oszukać siostrę w Agielu. Masz rację. Musiałam zaprosić Nadine, bo coś się dzieje. Coś niebezpiecznego. A niebezpieczeństwo nie zniknie, jeśli ją odprawię.

Mord-Sith odgarnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów.

- Niebezpiecznego? To znaczy co?

- W tym cały problem, że nie wiem. I nawet nie waży się myśleć o skrzywdzeniu jej. Muszę się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje, a Nadine może mi się do tego przydać. Nie mam ochoty szukać potem tej dziewczyny, skoro mogę ją od razu mieć pod ręką. Spójrz na to w ten sposób. Czy byłoby właściwym posunięciem odprawienie Marlina, kiedy zjawił się i oznajmił, że chce zabić Richarda? Czy to rozwiązałoby sprawę? Po co go tu trzymamy? Więzy go, by się dowiedzieć, co się dzieje, oto dlaczego.

Cara potarła maść na policzku, jakby to była smużka brudu.

- Uważam, że sama ściągasz sobie kłopoty na głowę. Kahlan zapiekło

oko, więc zamrugła.

- Wiem. Sama też tak uważam. Aż się prosi o to, i ogromnie tego chcę, żeby odesłać Nadine na najszybszym koniu. Lecz żadnego problemu nie da się tak łatwo rozwiązać, zwłaszcza zaś takiego, za który odpowiada Shota.

- Masz na myśli to, co Shota powiedziała Nadine? To, że wicher ściga lorda Rahla?

- Między innymi. Nie wiem, co to znaczy, ale nie brzmi to jak coś, co Shota sobie uroiła. A gorsza jest jeszcze ta modlitwa więdźmy: „Oby duchy ulitowały się nad jego duszą”. Nic mam pojęcia, co chciała przez to powiedzieć, ale przeraża mnie to. To oraz fakt, że być może popełniam największy błąd w moim życiu. Czyż jednak mam jakiś wybór? Dwoje ludzi pojawia się tego samego dnia. Jeden przychodzi po to, by go zabić, drugi po to, by zań wyjść. Nie wiem, które z tych dwojga jest bardziej niebezpieczne, lecz pojmuję, że żadnego nie można ot tak odprawić. Jeśli ktoś próbuje wbić ci nóż w plecy, to zamykanie oczu nie zapewni ci bezpieczeństwa.

Twarz Cary straciła bezlitosny wyraz Mord-Sith - teraz było to oblicze kobiety, która rozumie obawy drugiej niewiasty.

- Będę strzegła twoich pleców. A jeśli ona wślizgnie się do łóża lorda Rahla, to ją stamtąd wyrzucę, nim on się zorientuje, że tam jest.

- Dziękuję. - Kahlan ścisnęła ramię Cary. - A teraz chodźmy do lochu. Mord-Sith ani drgnęła.

- Lord Rahl powiedział, że nie chce, byś tam wchodziła.

- A od kiedyż to zaczęłaś słuchać jego rozkazów?

- Zawsze słucham jego rozkazów. Zwłaszcza tych, na których wypełnieniu mu zależy. Jak w tym wypadku.

- Doskonale. Zatem popilnujesz Nadine, a ja tam zejść. Kahlan zaczęła się odwracać, ale Cara chwyciła ją za łokieć.

- Lord Rahl nie życzy sobie, żebyś się znalazła w niebezpieczeństwie.

- A ja nie chcę, żeby jemu coś zagroziło. Czułam się jak idiotka, Caro, kiedy Richard pytał mnie o to wszystko, o co my nie wypytałyśmy Marlina. Chcę poznać odpowiedzi na te pytania.

- Lord Rahl powiedział, że sam go wypyta.

- Przecież wróci dopiero jutro wieczorem. A co się wydarzy do tego czasu?

Co, jeśli już się coś dzieje, a wtedy będzie za późno, by to powstrzymać? A

jeżeli Richard zginie, ponieważ usiadłyśmy z założonymi rękami, wypełniając ślepo jego rozkazy? On się boi o mnie i dlatego nie potrafi jasno myśleć. Marlin wie, co się dzieje, i głupotą jest marnować czas, pozwalając narastać zagrożeniu. Pamiętasz, co sama wcześniej powiedziałaś? Przypominasz sobie, jak powiedziałaś, że chwila wahania mogłaby oznaczać twój koniec? Lub kres tych, na których ci zależy?

Cara milczała, lecz z jej twarzy zniknęło napięcie.

- Zależy mi na Richardzie i nie mam ochoty narażać jego życia na niebezpieczeństwo przez swoje wahanie. Zamierzam poznać odpowiedzi na owe pytania.

Mord-Sith uśmiechnęła się wreszcie.

- Podoba mi się twoje rozumowanie, Matko Spowiedniczko. Jesteś moją siostrą w Agielu. Rozkazy były nierozsądne, jeśli nie wręcz głupie. Mord-Sith wypełniają rozkazy lorda Rahla jedynie wtedy, kiedy w grę wchodzi jego męska duma, nie zaś życie. Porozmawiamy sobie z Marlinem i wydobędziemy z niego odpowiedź na każde pytanie, a może i coś jeszcze. Kiedy lord Rahl wróci, będziemy mu mogły podać wszystkie informacje, jakich potrzebuje. Może nawet zlikwidujemy zagrożenie.

Kahlan uderzyła dłonią o kulę wieńczącą tralkę balustrady.

- Oto Cara, jaką znam.

Schodziły poniżej poziomu pięter wyłożonych dywanami i boazerią, w dół, do wąskich, niskich korytarzy oświetlonych wyłącznie lampami, a potem jeszcze niżej, tam gdzie drogę oświetlały już tylko pochodnie. W miarę jak zbliżały się do najniższych poziomów pałacu, powietrze traciło wiosenną lekkość i świeżość, stawało się coraz bardziej stęchłe, a potem cuchnęło wilgotnym, pokrytym pleśnią kamieniem.

Kahlan przemierzała owe ciasne korytarze częściej, niż chciałyby pamiętać. To w lochu przyjmowała spowiedzi skazańców. To tu po raz pierwszy poraziła kogoś swoją mocą: mężczyznę, który zabił córki sąsiada, udreńczywszy je najpierw przerażająco. Podczas każdego z poprzednich pobytów tutaj towarzyszył jej rzecz jasna czarodziej. Teraz szła do więzionego tu czarodzieja.

Kiedy znalazły się na tyle daleko, że oddział żołnierzy strzegących korytarza łączącego dwie klatki schodowe nie mógł już ich usłyszeć, lecz nie skręciły jeszcze w przejście wiodące do lochu, również pełne żołnierzy,

których sama tu ustawiła, Kahlan przystanąła i obejrzała się na Mord-Sith. Cara była pociągającą kobietą, pociągającą, a przy tym groźną, kiedy tak omiatała czujnymi spojrzeniami pusty korytarz.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie, Caro? Ta splotła dłonie za plecami.

- Jesteś siostrą w Agielu. Pytaj.

- Powiedziałaś przedtem, że chwila wahania może oznaczać kres twój lub tych, na których ci zależy. Mówiłaś to z własnego doświadczenia, prawda?

Cara się zatrzymała. Kahlan nawet w słabym blasku skwierczącej pochodni dostrzegła, jak tamta pobladła.

- To istotnie bardzo osobiste pytanie.

- Nie musisz odpowiadać. Nie chcę, żeby to brzmiało jak rozkaz. Po prostu się zastanawiałam i spytałam jak kobieta kobietę. Tyle o mnie wiesz, a ja o tobie mało co, z wyjątkiem tego, że jesteś Mord-Sith.

- Nie zawsze byłam Mord-Sith - wyszeptała Cara. Z jej oczu zniknęła groźba, wyglądała teraz jak wystraszona dziewczynka.

Kahlan była przekonana, że tamta nie widzi już dokoła siebie pustego kamiennego korytarza.

- Chyba nie ma powodu, by to przed tobą taić. Sama mówiłaś, że nie można mnie obwiniać o to, co mi uczyniono. Inni są za to odpowiedzialni. W D'Harze każdego roku wybierano kilka dziewczynek, żeby wytresować je na Mord-Sith. Mówi się, że największe okrucieństwo można wydobyć z tych, którzy mają najłagodniejsze serca. Płacono nagrody za nazwiska dziewczynek, które spełniały niezbędne warunki.

Byłam jeszcze dzieckiem, to jeden z nich, i miałam odpowiednie lata. Zabierano i dziewczynkę, i jej rodziców, ponieważ rodzice są mordowani w trakcie tresury Mord-Sith. Moi rodzice nie wiedzieli, że nasze nazwisko sprzedano łowcom. - Twarz i głos Cary przestały wyrażać jakiegokolwiek uczucia. Stała się tak obojętna, jakby mówiła o ubiegłorocznym plonie buraków. Lecz jej słowa wyrażały wystarczająco wiele. - Byłam z ojcem za domem, zabijaliśmy kurczęta. Kiedy się zjawili, nie miałam pojęcia, o co chodzi. Ale ojciec wiedział. Dostrzegł ich, gdy schodzili ze wzgórza, pośród drzew, i zaskoczył ich. Ich jednak było więcej, niż dojrzał i mógł powstrzymać, więc tylko przez chwilę miał przewagę. Krzyknął do mnie: „Cari, nóż!

Łap nóż, Cari!” Porwałam nóż, bo tak kazał. Trzymał w szachu trzech mężczyzn. Mój ojciec był potężny. Znów krzyknął: „Cari, dźgnij ich! Pchnij ich! Szybko!”- Cara spojrzała Kahlan w oczy. - A ja tylko stałam. Wahałam się. Nie chciałam nikogo zranić. Nikogo pchnąć. Po prostu stałam. Nawet kurczęcia nie mogłam zabić. Ojciec to robił.

Kahlan nie wiedziała, czy Cara podejmie opowieść. Panowała głucha cisza, więc dziewczyna postanowiła, że jeśli tamta wybierze milczenie, to rozmowa na tym się zakończy. Cara odwróciła wzrok od oczu towarzyszki, zapatrzyła się w przeszłość i podjęła:

- Ktoś do mnie podszedł. Nie zapomnę tego do końca życia. Spojrzałam, a tam stała kobieta: piękna kobieta, najpiękniejsza ze wszystkich, jakie widziałam, błękitnooka, z blond włosami zaplecionymi w długi warkocz. Przebijający się przez liście słoneczny blask tańczył iskierkami na jej czerwonym skórzanym uniformie.

Uśmiechnęła się do mnie i wyjęła mi nóż z dłoni. Jej uśmiech nie był miły, był jak uśmiech żmii. Dlatego w myślach zawsze nazywałam ją żmiją. Wyprostowała się i powiedziała: „Czyż to nie słodkie? Mała Cari nikogo nie chce zranić swoim nożem.

To wahanie uczyniło z ciebie Mord-Sith, Caro. Szkolenie już się zaczyna”. - Cara stała tak sztywno, jakby się zamieniła w kamień. - Trzymali mnie w małej izdebce z niewielkim okratowanym prześwitem u dołu drzwi. Nie mogłam się wydostać. Ale szczury mogły się przemykać do środka. Nocą, kiedy nie byłam już w stanie czuwać i zasypiałam, szczury wślizgiwały się do mojej pustej izdebki i gryzły czubki palców rąk i nóg. Żmija zabiła mnie niemal na śmierć za to, że zatykałam kratę. Szczury lubią krew. Ona je ekscytuje. Nauczyłam się spać zwinięta w kłębek, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i przyciśniętymi do brzucha, żeby szczury nie ogryzały mi palców. Zwykle jednak i tak ogryzały mi palce stóp. Próbowалаm zdejmować koszulę i owijać nią stopy, lecz wtedy nie mogłam spać na brzuchu, więc kąsały mi brodawki. Leżenie nago na kamiennej podłodze z rękami przyciśniętymi do brzucha samo w sobie było torturą, ale dzięki temu dłużej nie spałam. Kiedy gryzonie nie mogły się dostać do palców stóp, atakowały inne miejsca: uszy, nos, nogi. Robiły to tak długo, dopóki się nie budziłam i nie zaczynałam ich odpędzać. Nocami słyszałam krzyki innych dziewczynek, również budzonych ukąszeniami szczurów. Zawsze choć jedna z nich płakała i wołała

mamę. Niekiedy uświadamiałam sobie, że słyszę swój głos. Czasami budziłam się, bo szczury drapały mi twarz swoimi małymi pazurkami, a ich wąsiki muskały mi policzki, kiedy przyciskały zimne noski do moich warg, węsząc za jakimś okruszkiem. Przestałam więc zjadać to, co mi przynosili, i zostawiałam na podłodze miskę papki i kromkę chleba w nadziei, że szczury zajmą się moją kolacją i zostawią mnie w spokoju. Lecz nic z tego nie wyszło. Jedzenie tylko przyciągało hordy szczurów, a potem, kiedy już zniknęło... Potem już zawsze zjadałam kolację do ostatniego okruszka, jak tylko śmija mi ją przyniosła. Zdarzało się, że szydziła wtedy ze mnie. Mówiła: „Nie wahaj się, Caro, bo inaczej twoja kolacja dostanie się szczurom”. Wiedziałam, do czego robiła aluzję, mówiąc: „Nie wahaj się”. W ten sposób przypominała mi, co przez to moje wahanie straciłam ja i moi rodzice. Kiedy na moich oczach dręczyli mamę, aż umarła, żmija powiedziała: „Widzisz, Caro, co się dzieje, dlatego że się zawahałaś? Dlatego że byłaś zbyt bojaźliwa?” Uczono nas, że Rahl Posępny to Ojczulek Rahl i że oprócz niego nie mamy innego ojca. Przy trzecim łamaniu, gdy rozkazali, żebym zadnęła na śmierć swojego ojca, żmija rzuciła, bym się nie wahała. I nie zawahałam się. Ojciec błagał o litość. „Proszę cię, Cari - szłochał - nie stań się tym, w kogo cię chcą zmienić”. Ale się nie zawahałam. A potem moim jedynym ojcem był Ojczulek Rahl. - Cara uniosła Agiel i obracała w palcach, wpatrując się weń. - Owym czynem zasłużyłam sobie na Agiel. Ten sam Agiel, którym mnie tresowano. Zasłużyłam na to, by zostać Mord-Sith. - Cara spojrzała Kahlan w oczy, spojrzała tak, jakby patrzyła z wielkiej odległości, z odległości o wiele większej niż dwie stopy, które je dzieliły. Jakby patrzyła z drugiego brzegu szaleństwa. Z krainy obłędu, który inni tam umieścili. Kahlan wydawało się, że i ona zamieniła się w kamień przez to, co dostrzegła w głębi niebieskich oczu tamtej. - I ja byłam żmiją. Stawałam, pocętkowana słonecznym blaskiem, nad młodziutkimi dziewczynkami i wyjmowałam im nóż z dłoni, kiedy się wahały, nie chcąc nikogo zranić, Kahlan zawsze nienawidziła węży. Teraz znienawidziła je jeszcze bardziej. Płakała.

- Tak mi przykro, Caro - wyszeptwała.

Serce pękało jej z żalu. Bardzo chciała objąć serdecznie stojącą przed nią kobietę w czerwonym skórzanym uniformie, lecz nie mogła wykonać najmniejszego ruchu.

Pochodnie skwierczały. Z oddali dobiegały przytłumione odgłosy

rozmów żołnierzy. Ciche echo czyjś śmiechu. Z kamiennego stropu ściekały krople wody i z pluskiem wpadały do małej zielonkawej kałuży. Kahlan słyszała w uszach szum swojej krwi.

- Lord Rahl uwolnił nas od tego.

Kahlan przypomniała sobie, jak Richard opowiadał, że omal się nie rozpląkał, zobaczywszy dwie Mord-Sith chichocące jak małe dziewczynki i karmiące ziarnem wiewiórki ziemne. Rozumiała, jaki postęp oznaczał ów radosny chichot. Richard pojmował obłęd. Kahlan nie miała pojęcia, czy owe kobiety kiedykolwiek się z tego wyleczą, ale jeśli miały na to jakąś szansę, to jedynie dzięki chłopakowi.

Cara znów miała twardą, nieustępliwą minę.

- Przekonajmy się, co też Marlin szykował, żeby skrzywdzić lorda Rahla. Nie oczekuj jednak, że będę łagodna, jeśli zawaha się wyznać wszystkie szczegóły.

Pod czujnym okiem sierżanta Collinsa d'harański żołnierz otworzył żelazne drzwi i cofnął się, jakby zardzewiały zamek był jedyną rzeczą, która chroniła wszystkich mieszkańców pałacu przed czającą się na dole ponurą magią. Dwaj o wiele silniejsi od niego wojacy bez wysiłku przyciągnęli ciężką drabinę. Nim Kahlan zdążyła odciągnąć drzwi, usłyszała zbliżające się kroki i głosy. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli w głąb korytarza.

To była Nadine, którą eskortowało czterech żołnierzy.

Nadine, zacierając dłonie, jakby chciała je rozgrzać, przeszła przez pierścień potężnych, odzianych w skóry gwardzistów.

Kahlan nie odwzajemniła jej promiennego uśmiechu.

- Co ty tu robisz?

- Powiedziałaś, że jestem gościem. Twoje komnaty są co prawda śliczne, ale pragnęłam się wybrać na spacer. Poprosiłam strażników, żeby mi pokazali drogę tutaj.

Chcę zobaczyć tego mordercę.

- Mówiłam, żebyś czekała na górze, w swojej komnacie. Że nie chcę, byś tu schodziła.

Nadine ściągnęła delikatne brwi.

- Zaczynani mieć dość traktowania mnie, jakbym była głupią gęsią. - Uniosła dumnie zgrabny nosek. - Jestem uzdrowicielką. Tam, skąd pochodzę, szanują mnie.

Słuchają tego, co mówię. A kiedy powiem komuś, żeby to zrobił, to robi. Jeśli powiem rajcy, by leżał w łóżu i trzy razy dziennie pił lek, to łyka go trzy razy dziennie i leży, dopóki nie pozwolę mu wstać.

- Nie interesuje mnie, kto tańczy, jak mu zagrasz - oznajmiła Kahlan. - Tutaj masz robić, co ja każę. Zrozumiano?

Nadine zacisnęła usta i wsparła się pod boki.

- Teraz ty posłuchaj. Byłam zmarznięta, głodna i wystraszona. Ludzie, których nawet nie znam, zrobili ze mnie głupka. Dbałam o swoje sprawy, o swoje życie, a wysłano mnie w tę bezcelową podróż i trafiłam tam, gdzie traktują mnie jak zarazę, dziękując w ten sposób za to, że przyszłam pomóc. Wrzeszczeli na mnie ludzie, których nie znam, i upokorzył mnie chłopak, z którym dorastałam. Sądziłam, że wyjdę za mężczyznę, którego pragnęłam, ale ziemia usunęła mi się spod stóp. On mnie nie chce, on pragnie ciebie. Niech więc tak będzie. Teraz zaś ktoś chce zabić człowieka, dla którego przebyłam całą tę drogę, a ty mi mówisz, że to nie moja sprawa! - Nadine pogroziła Kahlan palcem. - Richard Cypher obronił mnie przed Tommym Lancasterem, który chciał mnie wziąć. Gdyby nie Richard, wyszłabym za Tommy'ego. A tak Tommy musiał się ożenić z Ritą Wellington. Gdyby nie Richard, miałabym ciągle podbite oczy. Chodziłabym boso po chałupie Tommy'ego i rodziłabym bachory temu wieprzowi. Tommy śmiał się ze mnie, ponieważ szykowałam zioła, żeby pomagać ludziom. Mówił, że to idiotyczne, by dziewczyna mieszała ziółka, i że mój ojciec powinien mieć chłopaka, skoro chciał, by ktoś pracował w jego sklepie i dotykał ziół, których potrzebowali chorzy. Gdyby nie Richard, nigdy nie zostałabym uzdrowicielką. I choć nie jestem tą, co ma zostać jego żoną, to jeszcze nie znaczy, że o niego nie dbam. Dorastałam z nim. Wciąż jest chłopakiem z moich stron. My dbamy o swoich, jakby należeli do rodziny, nawet jeśli do niej nie należą. Mam prawo wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo mu grozi! Mam prawo zobaczyć, jakież to człowiek z twojego świata chciał zabić chłopaka z moich stron, który mi pomógł!

Kahlan nie miała ochoty na sprzeczkę. Nie miała też ochoty oszczędzać owej dziewczynie tego, co ewentualnie mogła zobaczyć. Patrzyła badawczo w piwne oczy Nadine i zastanawiała się, czy Cara miała rację, mówiąc, że ona ciągle pragnie Richarda. Nawet gdyby tak było, i tak nie wyczytałaby tego z jej oczu.

- Chcesz zobaczyć człowieka, który pragnie zabić mnie i Richarda? - Złapała klamkę i szarpnięciem otworzyła drzwi. - Znakomicie. Twojemu życzeniu stanie się zadość.

Dziewczyna dała znak żołnierzom trzymającym drabinę. Przepchnęli drabinę przez otwarte drzwi, w ciemność, aż uderzyła o podłogę. Kahlan wyszarpnęła z uchwytu pochodnię i wepchnęła ją Carze w dłoń.

- Pokażmy Nadine to, co tak chce zobaczyć.

Cara oceniła zdecydowanie Kahlan - było równie solidne jak skała - i ruszyła w dół po drabinie.

Kahlan zapraszającym gestem uniosła ramię.

- Witaj w moim świecie, Nadine. Witaj w świecie Richarda. Nadine zawahała się tylko przez moment, a potem sapnęła gniewnie i ruszyła w ślad za Cara. Kahlan obejrzała się na gwardzistów.

- Jeśli on ukaże się w drzwiach przed nami, sierżancie Collins, to lepiej, żeby nie uszedł stąd żywy. Chce zabić Richarda.

- Jako d'harański żołnierz przysięgam, Matko Spowiedniczko, że lorda Rahla nie spotka żadna krzywda.

Na znak sierżanta żołnierze dobyli broni, łucznicy nasadzili strzały na cięciwy.

Wielkie dłonie odczepiły od pasów topory bojowe.

Kahlan skinieniem głowy pochwaliła sierżanta, wzięła drugą pochodnię i ruszyła w dół po drabinie.

ROZDZIAŁ 9

Kahlan schodziła w ślad za Nadine; z lochu unosiło się wilgotne, zatechłe powietrze. Dziewczyna trzymała drabinę także tą dłonią, w której miała pochodnię, przez co czuła na policzku żar płomienia, ale za to woń smoły tłumiała odór napływającego z lochu powietrza. Zeszły niżej i chwiejne światło pochodni oświetlało już nie tylko kamienne ściany, lecz również ciemną postać stojącą pośrodku izby.

Cara umocowała żagiew w uchwycie na pokrytej pleśnią kamiennej ścianie.

Kahlan zeszła z drabiny i włożyła swoją pochodnię w uchwyt na przeciwległej ścianie. Nadine stała jak sparaliżowana i wpatrywała się w skuloną, okrytą zaschniętą krwią postać. Kahlan wyminęła ją i stanęła obok Cary. Mord-Sith przyglądała się Marlinowi, ściągając brwi.

Marlin zwiesił głowę, oczy miał zamknięte. Oddychał głęboko, powoli i miarowo.

- Śpi - wyszeptała Cara,

- Śpi? - szepnęła Kahlan. - Jak może spać na stojąco?

- Ja... nie wiem. Zawsze każemy nowym więźniom stać, czasem całymi dniami. Takie stanie bez ruchu, bez słowa, beczynnienie i rozpamiętywanie losu odbiera im stanowczość i wolę walki. To wymyślna i dręcząca tortura. Miewałam więźniów, którzy błagali, żeby ich bić, zamiast kazać im stać godzinami.

Marlin cicho pochrapywał.

- Jak często się zdarza, że zasypiają?

Cara wsparła dłoń na biodrze, drugą otarła usta.

- Usypiali, ale to zawsze ich budziło. Jeśli choć odrobinę odsuną się z miejsca, w którym każę im stać, dopada ich ból. Wcale nie musimy być tutaj, gdyż owo połączenie działa bez względu na to, gdzie się znajdujemy. Jeszcze nigdy nie słyszałam o kimś, kto by zasnął i utrzymał się na nogach.

Kahlan obejrzała się przez ramię i spojrzała za Nadine ku światłu wpadającemu przez otwarte drzwi u szczytu drabiny. Dostrzegła czubki żołnierskich głów, bo żaden gwardzista nie był na tyle odważny, żeby patrzeć w dół, do lochu, w którym mogły się dziać jakieś magiczne sprawy.

- Może to jakiś urok. - Nadine wsunęła głowę między Kahlan i Carę. - Jakiś rodzaj magii.

Wyprostowała się jednak i cofnęła głowę, ponieważ jedyną udzieloną jej odpowiedzią były gniewne spojrzenia.

Cara - bardziej z ciekawości niż po to, by go obudzić - dźgnęła lekko palcem ramię Marlina. Potem dotknęła piersi i brzucha.

- Jest twardy jak skała. Wszystkie mięśnie ma napięte i sztywne.

- Prawdopodobnie dlatego może tak stać. Może to sztuczka, której się nauczył jako czarodziej.

Mord-Sith nie wyglądała na przekonaną. Ledwo dostrzegalnym ruchem nadgarstka, tak nieznamym, że Kahlan o mało go nie przegapiła, umieściła Agiel w dłoni. Jej twarz niczym nie zdradziła bólu, jaki przy tym czuła, a Kahlan wiedziała przecież, że trzymanie bicia w dłoni zawsze go wywołuje. Nigdy go nie zdradzała.

- Nie musisz tego robić. - Dziewczyna złapała Carę za nadgarstek. - Po prostu go obudź. I nie wykorzystuj więzi z jego umysłem, żeby mu zadać ból, chyba że będzie to naprawdę konieczne. Chyba że ci to nakazę.

Cara nie była zadowolona z tego polecenia.

- Uważam, że to konieczne. Nie mogę na to pozwolić. Nie mogę się zawahać w wykorzystaniu kontroli nad nim.

- Między ostrożnością a wahaniem jest wielka różnica, Caro. Ta sprawa z Marlinem od samego początku była ogromnie dziwna. Zbadajmy ją bardzo ostrożnie, stopniowo. Mówiłaś, że nad nim panujesz, więc nie bądź zbyt porywcza. Panujesz nad nim, nieprawdaż?

Na usta Cary wypełził powoli uśmiezek.

- O tak, bez wątpienia. Ale skoro nalegasz, obudzę go tak, jak czasami budzimy naszych pieszczołków.

Mord-Sith zgięła się w pasie, otoczyła lewym ramieniem szyję Marlina, pochyliła głowę i pocałowała go w usta. Kahlan poczuła, że się czerwieni. Wiedziała, że Denna budziła czasami w ten sposób Richarda, a potem znów go torturowała.

Cara cofnęła się, uśmiechając się z kpiącym zadowoleniem. Marlin otworzył oczy jak kot budzący się z drzemki. Jego oczy znowu miały ten sam wyraz: wyraz, który sprawiał, że w Kahlan zamierało serce. Tym razem zobaczyła w nich jeszcze coś. Zobaczyła więcej niż poprzednio. Były to nie

tylko oczy kogoś bardzo wiekowego. Tym razem nie było w nich strachu.

Marlin przyglądał się trzem kobietom ze stoickim spokojem, niespiesznie, z rozmyślną powściągliwością. Przeciągnął się jak kot. Twarz wykrzywił mu obleśny uśmiezek, a zepsucie i nikczemność skaziły jego rysy tak samo, jak krew plami białe lniane płótno.

- No, no. Wróciły moje kochaneczki. - Niepokojące oczy zdawały się widzieć i wiedzieć więcej, niż powinny. - I przywiodły ze sobą nową sukę.

Wcześniej głos Marlina był niemal chłopięcy teraz zaś głęboki i szorstki, zupełnie jakby należał do muskularnego, dwa razy cięższego od niego mężczyzny, mężczyzny o niekwestionowanej potędze i władzy. Kahlan jeszcze nigdy nie słyszała tak groźnego głosu. Cofnęła się o krok, złapała ramię Gary i odciągnęła ją do tyłu.

Marlin się nie poruszył, a mimo to dziewczyna wyczuwała przyczajone niebezpieczeństwo.

- Caro - odezwała się, ciągnąc za sobą również Nadine i nie przestając się cofać - powiedz mi, że nad nim panujesz, że kontrolujesz jego moc.

Cara wpatrywała się w Marlina z otwartymi ustami.

- Co...?

Potem nagle zamachnęła się potężnie. Pięść w pancерnej rękawicy ledwo odchyliła głowę więźnia o kilka cali. A cios powinien go powalić.

Marlin patrzył na nią, uśmiechając się okrwawionymi wargami. Wypluł wybite zęby.

- Ładny cios, kochaneczko - powiedział ochryple. - Ale kontroluję twoje zespolenie z Marlinem.

Cara dźgnęła go Agielem w brzuch. Ciało drgnęło, ramiona zatrzepotały bezradnie, lecz oczy nie straciły morderczego wyrazu, a uśmiezek nie zniknął.

Mord-Sith z własnej woli cofnęła się o dwa kroki.

- Co się dzieje? - wyszeptała Nadine. - Coś nie tak? A zdawało mi się, że mówiliście, iż jest bezradny.

- Wyjdź stąd - szepnęła nagłaco Cara do Kahlan. - Natychmiast. - Spojrzała w górę drabiny. - Powstrzymam go. Zarygluj drzwi.

- Chcecie odejść? - spytał chrapliwie Marlin, gdy ruszyły ku drabinie. - Tak prędko? I to zanim sobie pogawędziliśmy? Z radością wysłuchałem waszych rozmówek. Tyle się nauczyłem. Nic nie wiedziałem o Mord-Sith. Ale

teraz już wiem.

Kahlan przystanąła.

- O czym ty mówisz?

Spojrzenie drapieżcy przesunęło się z Cary na Kahlan.

- Dowiedziałem się o twojej wzruszającej miłości do Richarda Rahla. Ładnie z twojej strony, że ujawniłaś ograniczenia jego daru. Wielu rzeczy się domyślałem, ale ty wszystko potwierdziłaś. Potwierdziłaś moje przypuszczenia, że potrafi rozpoznać osobę z darem i że taka osoba wzbudziłaby jego podejrzenia. Nawet ty zdołałaś dostrzec w oczach Marlina coś niezwykłego.

- Kim jesteś? - spytała Kahlan, ciągnąc Nadine ku drabinie. Marlin zatrząś się od śmiechu.

- Jak to kim? Jestem waszym najgorszym sennym koszmarem, moje kochaneczki.

- Jagang? - wyszeptała z niedowierzaniem Kahlan. - Tak? Jesteś Jagangiem?

Huczący śmiech odbił się grzmiącym echem od kamiennych ścian lochu.

- Przyparłaś mnie do muru. Przyznaję się. Tak, to ja, Nawiedzający Sny we własnej osobie. Pożyczyłem sobie umysł tego biedaczyny, żeby złożyć wam krótką wizytę.

Cara zdzieliła go Agielem w szyję, lecz ramię marionetki odrzuciło ją na bok.

Wróciła niemal natychmiast i uderzyła w nerki, starając się go powalić. Ani drgnął.

Urywanyymi ruchami sięgnął w dół, złapał ją za warkocz i rzucił o ścianę za sobą z taką łatwością, jak gdyby była szmacianą lalką. Kahlan aż drgnęła, usłyszawszy głuchy stuk, z jakim Cara trafiła w kamienny mur. Mord-Sith upadła twarzą na podłogę, krew nasączała jej jasne włosy. Kahlan pchnęła Nadine ku drabinie.

- Uciekaj!

Nadine chwyciła szczebel.

- Co chcesz zrobić?

- Dostyc już widziałam. Zaraz to zakończę.

Kahlan ruszyła po Marlina - Jaganga - tę osobę. Musiała to zakończyć dotknięciem swojej mocy.

Nadine z wrzaskiem przemknęła obok niej, jakby ślizgała się na lodzie. Marlin złapał wymachującą ramionami kobietę, okręcił ją i chwycił za gardło. Nadine, krztusząc się, wytrzeszczyła oczy.

Kahlan stanęła, bo Marlin ostrzegawczo ruszył palcem.

- No, no, no. Bo jej skręcę kark.

Dziewczyna cofnęła się o krok. Nadine chciwie wciągnęła powietrze, gdyż Marlin poluzował chwyt.

- Jedno życie za tych, których w innym wypadku zabijesz? Sądzisz, że Matka Spowiedniczka zawaha się podjąć taką decyzję?

Usłyszawszy jej słowa, Nadine znów się przeraziła i zaczęła szarpać, drapiąc ręce Marlina. Nawet gdyby Marlin nie skręcił jej karku, i tak byłaby stracona, gdy Kahlan dotknęłaby go swoją mocą.

- Może tak, ale czyż nie chcesz wiedzieć, kochaneczko, co tutaj robię? Nie chcesz poznać moich planów względem twego ukochanego, wielkiego lorda Rahla?

Kahlan odwróciła się i krzyknęła ku plamie światła:

- Collins! Zatrzaśnij drzwi! Zarygluj je!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Teraz loch oświetlały jedynie dwie skwierczące pochodnie. Do ich syku dołączyło echo łomotu zatrzaskiwanych wrót.

Kahlan znów patrzyła na Marlina. Nie odrywając od niego oczu, zaczęła powoli okrążyć izbę.

- Czym jesteś? Kim jesteś?

- Prawdę mówiąc, to skomplikowany filozoficzny problem i trudno go wyjaśnić w zrozumiały dla ciebie sposób. Nawiedzający Sny potrafi wśliznąć się w niezliczone szczeliny czasu między myślami, kiedy zanika jaźń określonej osoby.

Wtedy to zamieszkuje jej umysł. Ten, którego widzisz, to Marlin, mój wierny salonowy piesek. Ja zaś jestem pchłą na jego grzbiecie, którą wniósł do twojego domu. Jest nosicielem, którego postanowiłem wykorzystać do... rozmaitych celów.

Nadine biła swojego ciemnościela, co zmusiło go do zaciśnięcia chwytu.

Kahlan wydeła usta i nakazała jej, żeby się uspokoiła. Gdyby się nadal szarpała, udusiłby ją. Dziewczyna znieruchomiała, jakby pojęła bezgłośny nakaz Kahlan, i wreszcie mogła oddychać.

- Twój nosiciel wkrótce będzie martwy - poinformowała go.

- Mogę go bez żalu poświęcić. Lecz, na twoje nieszczęście, szkoda i tak już się dzięki Marlinowi dokonała.

Kahlan zerknęła przelotnie w bok, sprawdzając, jak daleko jest od leżącej twarzą w dół Cary.

- Jak to? Cóż uczynił?

- Marlin spowodował upadek i twój, i Richarda Rahla. Musicie rzecz jasna wycierpieć to, co wam zgotowałem, lecz Marlin tego dokonał. A mnie przypadł przywilej oglądania tego na własne oczy.

- Co uczyniłeś? Co robisz w Aydindril?

- Zabawiam się - zachichotał Jagang. - Wczoraj obserwowałem nawet grę Ja'La. Ty tam byłaś. I Richard Rahl tam był. Widziałem was. Nie spodobało mi się, że zmienił piłkę, że zastąpił ją taką leciutką. Zmienił wszystko w grę dla słabeuszy.

Powinno się w nią grać ciężką piłką. Powinni występować najsilniejsi i najbardziej agresywni zawodnicy odznaczający się prawdziwą wolą zwycięstwa. A wiesz, kochasiu, co znaczy Ja'La?

Kahlan potrząsnęła przecząco głową, zastanawiając się jednocześnie, co mogła zrobić i jakie byłyby tego skutki. Najważniejsze było porażenie go mocą, nim zdoła uciec z lochu, ale najpierw - jeśli mieli zniweczyć jego plany - powinna się jak najwięcej dowiedzieć. Już raz się jej to nie udało. Tym razem nie zawiedzie.

- To w moim ojczystym języku. Pełna, właściwa nazwa brzmi Ja'La dh Jin, co znaczy „Gra o życie”. Nie podobają mi się zmiany wprowadzone przez Richarda.

Kahlan była bardzo blisko Cary.

- A więc wśliznąłeś się do umysłu owego człowieka, by móc się tu zjawić i obejrzeć dzieciaki grające w Ja'La? Sądziłam, że wielki i potężny imperator Jagang ma ważniejsze rzeczy do załatwienia.

- Och, miałem ważniejsze sprawy. O wiele ważniejsze. - Jego uśmiech był straszliwie irytujący. - Myśleliście, że nie żyję. Chciałem, byście się dowiedzieli, że nie udało się wam zabić mnie w Pałacu Proroków. Nawet mnie tam nie było. W owym czasie radowałem się wdziękami pewnej młodej kobiety. Jednej z moich ostatnio pochwyconych niewolnic.

- A zatem żyjesz. Mogłeś powiadomić nas o tym w liście, nie musiałeś się

pakować w te tarapaty. Zjawiłeś się tu z innego powodu. Przybyłeś wraz z Siostrą Mroku.

- Siostra Amelia ma do wykonania niewielkie zadanie, lecz obawiam się, że nie jest już Siostrą Mroku. Złamała przysięgę złożoną Opiekunowi zaświatów, żebym mógł zniszczyć Richarda Rahla.

Kahlan dotknęła stopy Cary.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej, zaraz po tym jak złapaliśmy Marlina? Dlaczego czekałeś aż do tej chwili?

- Cóż, musiałem poczekać, aż Amelia wróci z tym, po co ją wysłałem. Nie lubię ryzykować. Już nie.

- A cóż to takiego ukradła dla ciebie w Aydindril? Jagang zaśmiał się szyderczo.

- Och, nie w Aydindril, kochaneczko. Kahlan przykucnęła obok Mord-Sith.

- Dlaczego przysięga nie wiąże jej już z Opiekunem? Nie, żeby mnie to zmartwiło, ale jestem ciekawa, dlaczego złamała dane słowo?

- Ponieważ postawiłem ją w sytuacji bez wyjścia. Pozwoliłem jej wybrać między odesłaniem do jej władcy, gdzie cierpiałaby przez wieczność w jego bezlitosnych rękach za porażkę w sprawie twojego lubego, a zdradzeniem Opiekuna, dzięki czemu chwilowo mu umknie, co potem tylko wzmoże jego gniew. I, kochaneczko, powinno cię to martwić, ogromnie martwić, gdyż oznacza to upadek Richarda Rahla.

- To czcza pogroźka - z wielkim trudem wykrztusiła Kahlan.

- Nie rzucam czczych pogroźek. - Jagang uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A niby dlaczego się w to wpakowałem? Żeby tu być, jak to się stanie, i żeby ci oznajmić, że to ja, Jagang, ściągnąłem to na ciebie. Nie mogłem ścierpieć, byś myślała, że to zwykły przypadek.

Kahlan poderwała się i gniewnie postąpiła ku niemu.

- Gadaj, łobuzie! Co uczyniłeś?!

Dłoń Marlina skoczyła w górę, palec uniósł się ostrzegawczo. Zacharczała podduszona Nadine.

- Spokojnie, Matko Spowiedniczko, albo pozbawisz się możliwości usłyszenia dalszego ciągu.

Dziewczyna się cofnęła, a Nadine łapczywie wciągnęła powietrze.

- Tak już lepiej, kochaneczko. Jak wiesz, Richard Rahl myślał, że niszcząc

Pałac Proroków, uniemożliwi mi przechwycenie przechowywanej tam wiedzy. - Marlin jak kukiełka zakołysał palcem. - Nic z tego. Proroctwa nie znajdowały się jedynie w Pałacu Proroków. Prorocy przebywali w wielu innych miejscach, tak więc i proroctwa są rozproszone. Dla przykładu przechowuje się je również tutaj, w Wieży Czarodzieja. Są także w Starym Świecie. Znalazłem ich całe mnóstwo, gdy odkopałem starożytne miasto kwitnące za czasów wielkiej wojny. I znalazłem wśród nich przepowiednię mówiącą o tym, co stanie się końcem Richarda Rahla. To nadzwyczaj rzadki rodzaj proroctwa zwany zapętlonym rozgałęzieniem.

Nieodwołalnie stawia ofiarę w sytuacji bez wyjścia. Postanowiłem z niego skorzystać i wprawiłem je w ruch.

Kahlan nie miała najmniejszego pojęcia, o czym on mówi. Przykucnęła pospiesznie i uniosła głowę Cary. Mord-Sith spojrzała gniewnie na dziewczynę.

- Ty idiotko, nic mi nie jest. Zostaw mnie. Wydobądź z niego informacje.

Potem daj sygnał, a ja wykorzystam zespolenie z jego umysłem, żeby go zabić - szepnęła cichutko.

Kahlan puściła głowę Cary i wstała. Zaczęła się powoli wycofywać ku drabinie.

- Mówisz od rzeczy, Jagangu. - Szła szybciej, mając nadzieję, że Jagang pomyśli, iż przekonała się, że Cara nie żyje. Przebyła już połowę drogi ku drabinie, lecz nie zamierzała próbować ucieczki. Chciała go porazić swoją mocą, bez względu na to, czy dotknie to także Nadine, czy nie. - Nic nie wiem o jakimś proroctwie.

Gadasz bez sensu.

- No cóż, kochaneczko, rzecz w tym, że albo Richard Rahl pozwoli szaleć mocom, które wyzwoliłem, i dzięki temu spełni się jedno odgałęzienie proroctwa, a on przy okazji zginie, albo spróbuje powstrzymać to, co zapoczątkował, a tym samym spełni drugie odgałęzienie proroctwa i zostanie zniszczony. Rozumiesz? Nie wygra, bez względu na to, co wybierze. Teraz może zaistnieć tylko jeden lub drugi ciąg zdarzeń, tylko jedno lub drugie rozgałęzienie. Od niego zależy które, ale tak czy owak czeka go zguba.

- Jesteś głupcem. Richard nie wybierze żadnej z tych możliwości.

Jagang ryknął śmiechem.

- Ależ wybierze, wybierze. Przy pomocy Marlina już sprawiłem, że to proroctwo zaczęło się spełniać. I teraz nie ma odwrotu od proroctwa z zapętlonym rozgałęzieniem. Lecz ciesz się złudzeniami, skoro tak wolisz. Upadek będzie przez to jeszcze boleśniejszy.

Kahlan przystanęła.

- Nie wierzę ci.

- Uwierzysz. Oj, uwierzysz.

- Czcze pogrożki! Jaki masz dowód?

- Dowód pojawi się wraz z czerwonym księżycem.

- Nic takiego nie istnieje. Masz w zanadrzu tylko puste słowa. - Kahlan wskazała nań palcem, narastający w niej gniew przepędził obawy. - Chcę, Jagangu, żebyś usłyszał moją pogroźkę, a nie będzie ona czcza. Widziałam ciała kobiet i dzieci, które kazałeś wymordować w Ebinissii, i przysięgłam dozągoną zemstę twojemu Imperialnemu Ładowi. Nawet proroctwo nie powstrzyma nas od zadania ci klęski. - Musiała sprowokować go do ujawnienia owego proroctwa. Gdyby je znali, być może udałoby im się je udaremnić. - A oto moje proroctwo dla ciebie, Jagangu. W przeciwieństwie do twojego można je ubrać w słowa.

Głuchy śmiech imperatora odbił się echem od ścian lochu.

- Moje proroctwo jest fałszywe? Więc pozwól, że ci je ukażę.

Uniosła się jedna z rąk Marlina i w lochu strzeliła błyskawica. Kahlan zakryła uszy, pochyliła się i zgarbiła, chroniąc głowę. W powietrzu z wyciem śmignęły kamienne odłamki. Dziewczyna poczuła ostry ból, gdy jeden z nich rozciął jej ramię, a drugi skaleczył bark. Czuła, jak spływająca po ramieniu krew nasącza rękaw sukni.

Ponad ich głowami tańczyła błyskawica, ryjąc w kamiennej ścianie jakiś napis, który dziewczyna ledwo dostrzegła w oślepiającym świetle. Błyskawica zniknęła, zostawiając powidok. Kurz i dym dławiły Kahlan, huk wciąż ogłuszał.

- Oto i moje proroctwo, kochaneczko.

Dziewczyna podniosła się, zmrużyła oczy i spojrzała na ścianę.

- To jakieś bazgroły. Nic więcej. To nic nie znaczy.

- Skreślono je w górnio d'harańskim. Zapisy mówią, że w ostatniej wojnie pojaliśmy czarodzieja, Proroka, a ponieważ był lojalny wobec dynastii Rahlów, moi przodkowie, ówcześni Nawiedzający Sny, nie mogli wśliznąć

się do jego umysłu.

Torturowali go więc. Mając, pozbawiony połowy wnętrzości, wypowiedział to właśnie proroctwo. Niech Richard Rahl to przetłumaczy. - Nachylił się ku Kahlan z jadowitym uśmieszkiem. - Choć wątpię, czy zechce ci powiedzieć, co znaczą te słowa. - Wycisnął pocałunek na policzku Nadine. - Rozkoszna była ta moja króciutka podróż, lecz obawiam się, że Marlin musi już odejść. Żałujcie, że nie było tu Poszukiwacza z jego mieczem. To by załatwiło sprawę Marlina.

- Caro! - krzyknęła Kahlan, ruszając ku Jagangowi i prosząc w myślach dobre duchy o wybaczenie za to, co uczyni również Nadine.

Cara poderwała się, a Jagang z niewyobrażalną siłą rzucił Nadine. Kobieta z wrzaskiem uderzyła w Kahlan. Dziewczyna stęknęła i padła plecami na kamienną podłogę. Pod powiekami zatańczyły jej iskierki. Nic nie czuła. Bała się, że złamała kręgosłup. Przekręciła się na bok i wtedy czucie powróciło. Towarzyszył mu ból. Z trudem oddychała, z wielkim wysiłkiem usiadła.

Cara, która znajdowała się po przeciwnej stronie lochu, wrzasnęła cienko, przenikliwie. Opadła na kolana, osłoniła uszy i krzyczała.

Kiedy Kahlan i Nadine usiłowały się od siebie uwolnić, Marlin wskoczył na drabinę. Trzymał się jej boków rękami i nogami i sunął w górę zrywami, jak wspinający się na drzewo kot.

Pochodnie zgasty, pogrążając ich wszystkich w ciemnościach, Jagang zaś wspinał się i śmiał. Cara wrzeszczała, jakby rozdierano ją żywcem na kawałki.

Kahlan zdołała w końcu zrzucić z siebie Nadine i ruszyła na czworakach w stronę, z której dobiegał drwiący śmiech imperatora. Czuła, jak rękaw sukni wciąż nasiąka krwią.

Żelazne drzwi runęły na zewnątrz, grzmotnęły o ścianę po przeciwnej stronie korytarza, a echo uderzenia rozbrzmiało w przyległych przejściach. Krzyknął miażdżony wrotami żołnierz. Przez pusty otwór wpadł snop światła i oświetlił drabinę. Kahlan podniosła się z trudem i ruszyła ku niej. Wyciągnęła ramię i poczuła taki ból, że cofnęła się z krzykiem. Sięgnęła i wyszarpnęła ostry kamienny odłamek. Z rany trysnęła krew. Teraz ruszyła po drabinie najszybciej, jak mogła, ścigając Marlina.

Musiała go powstrzymać. Nikt oprócz niej nie mógł tego uczynić.

Richarda nie było, więc jedynie ona była dla tych ludzi kimś, kto potrafił odpowiedzieć magią na magię.

Zranione ramię drżało z wysiłku, Kahlan z trudem trzymała się drabiny.

- Spiesz się! - poganiała ją wspinająca się tuż za nią Nadine. - Bo ucieknie!

Dochodzące z dołu wrzaski Cary szarpały Kahlan nerwy.

Tylko jeden raz, przez ułamki sekundy, Kahlan czuła straszliwy ból, jaki zadaje Agiel. Mord-Sith czuły ów ból za każdym razem, kiedy trzymały w dłoni swój bicz, a mimo to na ich twarzach nie pojawiał się najlżejszy nawet grymas. Mord-Sith żyły w świecie bólu, lata tortur nauczyły je go ignorować.

Kahlan nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co też mogło spowodować, że Mord-Sith tak krzyczała. Nie miała jednak wątpliwości, że to, co działo się z Cara-cokolwiek to było-zabijało ją.

Stopa dziewczyny ześliznęła się ze szczebla i Kahlan boleśnie uderzyła goleniem w wyższy szczebel. Szarpnęła nogą, spiesząc się, żeby dopaść Jaganga.

Wbiła sobie w łydkę długą drzazgę. Zakłęła z bólu i ruszyła w górę. Dotarła do otworu po wyrwanych drzwiach, tam pośliznęła się i upadła na kolana w płataninę trzewi. Sierżant Collins wpatrywał się w nią martwymi oczami. Z jego piersi sterczały białe końce połamanych żeber, wypychając poszarpany skórzany uniform i kolczugę.

Otwarto mu tors od szyi aż po pachwinę.

Na podłodze wiło się w agonii około tuzina żołnierzy. Inni byli cisi i nieruchomi jak śmierć. Z kamiennych ścian sterczały zatopione aż po rękojeści miecze. Obok nich tkwiły topory bojowe, zupełnie jakby je wbito w miękkie drewno.

Żołnierzy powalił wróg władający magią, lecz nie udało mu się ujść bez szwanku: w pobliżu leżało odrąbane powyżej łokcia ramię. Kahlan rozpoznała ramię Marlina. Palce zginały się i prostowały miarowo.

Dziewczyna podniosła się i odwróciła w stronę wyrwy po drzwiach. Złapała Nadine za rękę i pomogła się jej wydostać na korytarz.

- Ostrożnie.

Widok krwawej jatki zaparł Nadine dech w piersiach. Kahlan przestraszyła się, że tamta zemdleje lub wrzaśnie histerycznie. Lecz Nadine nie uczyniła ani jednego, ani drugiego.

Z korytarza po lewej nadbiegali żołnierze, trzymając w dłoniach miecze, topory, piki i łuki. Korytarz po prawej był pusty, cichy i ciemny, tylko w pobliżu świeciła samotna pochodnia. Kahlan ruszyła w prawo. Nadine - co dobrze o niej świadczyło - następowała jej na pięty.

Dobiegające z lochu wrzaski sprawiały, że Matką Spowiedniczką wstrząsały dreszcze.

ROZDZIAŁ 10

Za ostatnią skwierczącą pochodnią korytarz tonął w ciemnościach. Z boku, jak stos bielizny czekającej na zabranie do prania, leżał zwinięty żołnierz. Jego poczemiały miecz leżał pośrodku korytarza, klinga zmieniała się w splątane stalowe strzępy. Kahlan przystanęła i badała głuchą ciszę przed sobą. Nie było nic słyhać ani widać. Marlin mógł być gdziekolwiek, mógł się czaić w każdym odgałęzieniu, kryć się za każdym narożnikiem, czekając z pełnym zadowolenia uśmiechem Jaganga na ustach na sposobność położenia kresu pościgowi.

- Zostań tutaj, Nadine.

- Nie. Już mówiłam, że chronimy swoich. On chce zabić Richarda. Nie pozwolę mu na to. Mam okazję pomóc, to pomogę.

- Masz okazję, by zginać.

- Idę z tobą.

Kahlan nie miała ani czasu, ani ochoty na sprzeczkę. Skoro Nadine i tak zamierza pójść, to niech przynajmniej się na coś przyda. Dziewczyna musiała mieć wolne ręce.

- W takim razie weź tę pochodnię.

Nadine wyszarpnęła pochodnię z uchwytu i czekała.

- Muszę go dotknąć. Jeśli go dotknę, będę mogła go zabić - wyjaśniła jej Kahlan.

- Kogo? Marlina czy Jaganga?

Serce Matki Spowiedniczki biło jak oszalałe.

- Marlina. Jeśli Jagang zdołał wśliznąć się do jego umysłu, to podejrzewam, że może się stamtąd wydostać. Lecz któż to wie? Przynajmniej Jagang zniknie i jeden z jego służalców będzie martwy. To zakończy tę sprawę. Przynajmniej na razie.

- Czy to właśnie usiłowałaś zrobić w lochu? Co miałaś na myśli, mówiąc o wyborze, o jednym życiu poświęconym za wszystkie inne?

Kahlan zatkała jej usta dłonią, wbijając przy tym palce w policzki.

- Posłuchaj mnie. To nie jakiś Tommy Lancaster, który próbuje cię zgwałcić.

To człowiek, który chce zabić nas wszystkich. Muszę go powstrzymać.

Jeśli ktokolwiek będzie go dotykał w momencie, gdy porażę go swoją mocą, zostanie zniszczony wraz z nim. Nie zawaham się, jeżeli będziesz go dotykać ty czy ktoś inny Zrozumiałaś? Nie mogę sobie pozwolić na chwilę wahania. Stawka jest zbyt wielka.

Nadine przytaknęła. Kahlan ją puściła. Energię, którą dawał jej gniew, skierowała na czekające ją zadanie.

Czuła krew kapiącą z palców lewej dłoni. Wątpiła, czy zdołałaby unieść lewe ramię, a prawą rękę musiała mieć wolną, żeby dotknąć Marlina. Nadine może ją wyręczyć w niesieniu pochodni. Kahlan miała nadzieję, że nie popełnia błędów i że Nadine nie zmniejszy tempa marszu. Wydawało się jej, że zabiera ze sobą Nadine z właściwych powodów.

Nadine ujęła prawą dłoń Kahlan i przyłożyła ją do krwawiącego lewego ramienia.

- Nie mamy teraz czasu, by się tym zająć. Uciskaj ranę tak mocno, jak tylko zdołasz, dopóki nie będziesz potrzebować prawej dłoni, bo inaczej stracisz zbyt dużo krwi i nie będziesz mogła zrobić tego, co musisz.

Kahlan, odrobinę zmartwiona, zacisnęła dłoń na ranie.

- Dziękuję. Jeśli chcesz iść, to trzymaj się za mną i tylko oświetlaj drogę.

Skoro żołnierze nie mogą go powstrzymać, to i ty byś nie zdołała. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Jasne. Pójdę tuż za tobą.

- Pamiętaj, co powiedziałam, i nie wchodź mi w drogę. - Kahlan wyciągnęła szyję i spojrzała za Nadine, ku żołnierzom. - Jeśli znajdziecie się w odpowiedniej odległości, wykorzystajcie strzały albo piki, ale trzymajcie się za mną. Zabierzcie więcej pochodni. Musimy go zapędzić w ciasny kąt.

Ruszyła korytarzem, a kilku żołnierzy wróciło po pochodnie. Nadine trzymała żagiew przed sobą i truchtała za Kahlan. Płomień migotał i syczał w rytm ich biegu.

Oświetlając ściany, sufit i podłogę wokół nich, zostawiał falującą plamę blasku w morzu czerni. Podążający z tyłu żołnierze tworzyli własne świetlne wyspy. Biegli, a od ścian odbijały się echem tupot butów i odgłosy ciężkiego oddechu, szcęk żelaza, grzechot kolczug oraz głośny syk płomienia.

A Kahlan wciąż słyszała wrzaski Cary.

Zadyszana dziewczyna zatrzymała się przy rozgałęzieniu korytarza, złapała oddech, spojrzała przed siebie, a potem w korytarz odchodzący w

prawo.

- Tutaj! - Nadine wskazała krew na podłodze. - Tędy poszedł!

Kahlan spojrzała w ciemny korytarz przed nimi. Prowadził ku schodom wiodącym do górnych poziomów pałacu. Korytarz odchodzący w prawo wiódł natomiast pod pałac - do labiryntu składów, opuszczonych teraz, a niegdyś wykorzystywanych pomieszczeń, wydrążonych w skale, na której zbudowano pałac, do przejść umożliwiających sprawdzanie i konserwację fundamentów oraz tuneli odprowadzających wodę cieków napotkanych przez budowniczych. Tunele odpływowe zamykały masywne kamienne kratownice przepuszczające wodę poza pałac, lecz broniące każdemu wstępu do środka.

- Nie - odparła Kahlan. - Tędy, w prawo.

- Ale tu jest krew - zaprotestowała Nadine. - Poszedł tędy.

- Aż do tego miejsca nie natknęliśmy się na ślady krwi. Ta plama to zmyłka.

Ów korytarz prowadzi na górne poziomy pałacu. Jagang poszedł tędy, w prawo, tam gdzie nikogo nie ma.

Kahlan ruszyła w prawo, a Nadine za nią.

- W czym przeszkadzałyby mu obecność ludzi? Przecież zabił albo okaleczył tamtych żołnierzy!

- A oni zdołali odciąć mu ramię. Teraz i Marlin jest ranny. Jagang nie dba o to, czy zabijemy Marlina, czy nie, lecz gdyby udało mu się uciec, mógłby narobić więcej szkody.

- Cóż może uczynić poza ranieniem ludzi? Poza zranieniem tych wszystkich ludzi na górze i żołnierzy?

- Wieża Czarodzieja - odparła Kahlan. - Jagang nie ma innych zdolności magicznych niż możliwość nawiedzania snów, może się jednak posłużyć osobą mającą dar. Chociaż z tego, co do tej pory widziałam, wnoszę, że nie ma zbyt dużego pojęcia o posługiwaniu się magią innych. To, co zrobił w lochu, owo wykorzystanie powietrza i żaru, nie jest zbyt pomysłowe jak na czarodzieja. Imperator wykorzystuje ich moc do najprostszych sztuczek, do rozwiązań siłowych. To działa na naszą korzyść. Gdybym była nim, starałabym się dotrzeć do wieży i wykorzystać ukrytą w niej magię do uczynienia jak największych szkód.

Dziewczyna ruszyła w dół prastarymi, wykutymi w skale schodami,

zbiegając po dwa stopnie naraz. Dotarli do wyboistego, przypominającego tunel korytarza, który rozbiegał się w dwie strony. Kahlan odwróciła się ku wciąż jeszcze zbiegającym po schodach żołnierzom.

- Rozdzielcie się. To najniższy poziom. Sprawdźcie wszystkie kolejne rozgałęzienia, które napotkacie. Dobrze zapamiętajcie, w którą stronę skręcać, bo inaczej moglibyście tu błędzić całymi dniami. Widzieliście, do czego jest zdolny. Jeśli go znajdziecie, nie ryzykujcie i nie starajcie się go pojmać. Zostawcie znaki, żebyśmy wiedzieli, czy się wycofuje, i poślijcie po mnie.

- Jak cię odnajdziemy? - spytał któryś. Kahlan spojrzała w prawo.

- Za każdym razem będę skręcała w prawo, żebyście wiedzieli, gdzie mnie szukać. A teraz się pospieszcie. Sądzę, że zmierza ku pierwszemu wyjściu z pałacu, na jakie natrafi. Nie możemy pozwolić, żeby się wydostał. Jeśli dostanie się do Wieży Czarodzieja, to może przejść przez osłony tam, gdzie ja nie zdołam się dostać.

Dziewczyna, z Nadine i połową żołnierzy, pobiegła wilgotnym korytarzem.

Napotkali kilka od dawna pustych pomieszczeń i trochę innych korytarzy. Przy każdym rozgałęzieniu Kahlan rozdzielała żołnierzy, a sama, wraz z towarzyszącą jej coraz mniejszą grupką, skręcała w prawo.

- Co to takiego ta Wieża Czarodzieja? - spytała Nadine, kiedy tak mknęli przez mrok.

- To potężna forteca, warownia, w której niegdyś mieszkali czarodzieje.

Zbudowano ją wcześniej niż Pałac Spowiedniczek. - Kahlan uniosła dłoń, wskazując pałac nad nimi. - W pradawnych czasach prawie każdy rodził się z darem. Przez ostatnie trzy tysiące lat dar zanikał w rasie ludzkiej.

- A co jest w wieży?

- Dawno opuszczone kwatery mieszkalne, biblioteki, najrozmaitszego przeznaczenia komnaty. Znajduje się tam wiele magicznych przedmiotów. Księgi, oręż i mnóstwo innych rzeczy. Ważne lub niebezpieczne partie wieży chronią osłony.

Ludzie, którzy nie mają daru, nie przejdą przez żadną z nich. Ja urodziłam się z darem, więc mogę przejść przez niektóre osłony, ale nie przez wszystkie. Wieża Czarodzieja jest bardzo rozległa. W porównaniu z nią Pałac Spowiedniczek wygląda jak ciasny domek. Trzy tysiące lat temu,

podczas wielkiej wojny, w wieży mieszkało mnóstwo czarodziejów i ich rodzin. Richard mówi, że miejsce to wypełniały śmiech i życie. W owym czasie czarodzieje władali zarówno magią addytywną, jak i subtraktywną.

- A teraz nie?

- Nie. Jedynie Richard urodził się z darem obu magii. Są w wieży miejsca, które chronią tak potężne osłony, że nie mogę tam dotrzeć ani ja, ani nie mogli czarodzieje, wśród których dorastałam. Istnieją również takie partie, w których nikt nie był od tysiący lat, ponieważ chronią je osłony stworzone przez obie magie. Nikt poza Richardem nie potrafił ich przebyć. Boję się, że Marlin też by to potrafił.

- To musi być jakieś okropne miejsce.

- Spędziłam tam sporo czasu, studiując języki i ucząc się od czarodziejów.

Zawsze myślałam o wieży jak o domu.

- A gdzie są teraz ci czarodzieje? Nie mogliby nam pomóc?

- Zabili się pod koniec ubiegłego lata w czasie wojny z Rahlem Posępnym.

- Sami się zabili! To straszne. Czemu to zrobili?

Kahlan milczała przez chwilę, podczas gdy parli niestrudzenie naprzód w ciemnościach. Wszystko zdawało się snem z jakiegoś innego życia.

- Musieliśmy odnaleźć Pierwszego Czarodzieja, żeby mianował kogoś Poszukiwaczem Prawdy. Tylko on mógł powstrzymać Rahla Posępnego. Pierwszym Czarodziejem był Zedd. Mieszkał w Westlandzie, po drugiej stronie granicy. Granica była połączona z zaświatami, ze światem zmarłych, i nikt nie mógł jej przekroczyć.

Rahl Posępny również szukał Zedda. Potrzeba było mocy wszystkich czarodziejów, żeby mogła się przedostać przez granicę i udać na poszukiwanie Zedda. Gdyby Rahl Posępny pochwycił czarodziejów, mógłby posłużyć się swoją skażoną magią i zmusić ich, by wyznali to, co wiedzieli. Czarodzieje zabili się, bym mogła wypełnić swoje zadanie. Lecz Rahl Posępny i tak zdołał wysłać za mną bojówkę. To wówczas spotkałam Richarda. Obronił mnie.

- Urwisty Wierch? - spytała ze zdumieniem Nadine. - Na dnie przepaści znaleziono czterech martwych wielkoludów. Byli odziani w skórzane uniformy i mieli mnóstwo rozmaitej broni. Nigdy przedtem nikt takich nie

widział.

- To byli oni.

- Co się stało?

Kahlan spojrzała na nią z ukosa.

- Coś podobnego do twojej przygody z Tommym Lancasterem.

- Richard to zrobił? Zabił tych mężczyzn? Kahlan potaknęła.

- Dwóch. Trzeciego dotknęłam swoją mocą i zabił ostatniego.

Najprawdopodobniej byli to pierwsi ludzie, którzy chcieli Richardowi uczynić coś więcej, niż tylko go zabić, kiedy pospieszył komuś z pomocą. Komuś, czyli w tym wypadku mnie. Od owego dnia na Urwistym Wierchu Richard musiał dokonać wielu niełatwych wyborów.

Przez całą wieczność, a przecież nie mogło to być więcej niż piętnaście do dwudziestu minut, szli ciemnymi, zatęchłymi korytarzami. Kamienne bloki były większe, niektóre tak olbrzymie, że sięgały od podłogi do stropu. Nie były obrobione, lecz dopasowano je z taką samą precyzją jak w innych partiach pałacu. W korytarzach panowała również większa wilgoć, miejscami woda ściekała po ścianach i specjalnymi rowkami zlewała się do otworów odprowadzających. Niektóre z tych otworów były zatkane rozmaitymi szczątkami i w tych miejscach tworzyły się płytkie kałuże.

Z otworów korzystały szczury. Piszczwały i uciekały, kiedy zbliżało się światło i dźwięki. Jedne biegły wprost przed siebie, inne znikwały w otworach drenujących.

Kahlan znów pomyślała o Carze, zastanawiając się, czy Mord-Sith jeszcze żyje.

Straszne byłoby, gdyby zmarła, nie zakosztowawszy życia, którego nie omroczył obłąd.

Kompania tyle razy się rozdzielała, że w końcu Kahlan towarzyszyła już tylko Nadine oraz dwaj żołnierze. Przejście było do tego stopnia wąskie, że musieli iść gęsiego. Niski strop zmuszał do stałego pochylania się.

Kahlan nie widziała śladów krwi - Jagang z pewnością wykorzystał swoją władzę nad umysłem Marlina, żeby zatamować krwawienie - lecz w niektórych miejscach pleśń na ścianach była rozmazana. Ściany były tak blisko siebie, a sklepienie tak nisko, że trudno było uniknąć ocierania się o mury. Dziewczyna również ocierała się o ścianę, i to częściej, niż by tego chciała. Kiedy palce zaciskającej ranę dłoni uderzały w obrośniętą pleśnią

kamień, czuła ból w ramieniu.

Marlin czy też Jagang musiał tędy przechodzić i ocierać się o ten sam mur.

Dziewczyna czuła ulgę na myśl, że jest na jego tropie, ale i obawę, że będzie musiała go dopaść.

Zwieńczone łukiem przejście znów się zwęziło, strop znajdował się jeszcze niżej. Musieli iść na mocno ugiętych kolanach. Płomienie pochodni lizały kamienne sklepienie, wiszące tuż nad głowami. Pod nim płynął dym i gryzł ich w oczy.

Korytarz opadał ostro w dół, każde z nich pośliznęło się i upadło niejednym razem.

Nadine otarła łokieć, ale nie puściła pochodni. Kahlan zwolniła, lecz się nie zatrzymała, kiedy jeden z żołnierzy pomagał Nadine wstać. Szybko ją dogonili.

Kahlan usłyszała dobiegający z przodu szum bystrego nurtu.

Wąskie przejście otwierało się na większy, cylindryczny tunel. Woda spływała rwącym strumieniem w tunelu stanowiącym część umieszczonego pod pałacem układu drenażowego. Kahlan przystanąła.

- Co teraz, Matko Spowiedniczko? - spytał jeden z żołnierzy.

- Trzymajmy się planu. Ja pójdę z Nadine z biegiem nurtu, w prawo, a wy obaj w lewo, pod prąd.

- Przecież gdyby chciał się wydostać, poszedłby w prawo - zaproponował żołnierz. - Pomyśli, że wyjdzie tym otworem, którym wypływa woda. Powinniśmy iść z tobą.

- Chyba że wie, iż go ścigamy, i będzie nas chciał skierować w złą stronę.

Obaj idziecie w lewo. Chodź, Nadine.

- Tam? Woda pewno sięga do pasa.

- Powiedziałabym, że trochę wyżej. To odpływ z wiosennych roztopów.

Zazwyczaj głęboki na jedną, dwie stopy. Po drugiej stronie nurtu ułożono kamienie ułatwiające przejście, lecz są teraz pod wodą. Naprzeciwko powinien być kamień pozwalający przejść na drugą stronę.

Kahlan wyciągnęła nogę i postawiła stopę pośrodku nurtu, na płaskim kamieniu znajdującym się tuż pod powierzchnią wody. Potem wysunęła drugą nogę i ostrożnie badała stopą nurt, aż natrafiła na jeden z kamieni pod przeciwległą ścianą.

Podawała Nadine dłoń i pomogła się jej przedostać przez wodę. Kiedy stało się na kamieniu, woda sięgała do kostek, lecz szybko przesączała się poprzez sznurowanie i wypełniała buty. Była lodowata.

- Widzisz? - Głos dziewczyny odbił się echem i miała nadzieję, że nie poniósł się zbyt daleko. - Ale uważaj, bo to nie jest równa ścieżka. Kamienie leżą w pewnej odległości od siebie.

Przeszła na następny kamień i znów podała Nadine dłoń. Dała żołnierzom znak, by ruszyli w górę tunelu. Przekroczyli nurt i zniknęli w mroku. Wkrótce światło ich pochodni zniknęło za zakrętem i Kahlan została z Nadine w mglistym blasku pojedynczego płomienia. Dziewczyna miała nadzieję, że nie zgaśnie on zbyt szybko.

- Bądź teraz ostrożna - powiedziała do swojej towarzyszki. Uzdrowicielka osłoniła dłonią ucho. Grzmot wody zagłuszał słowa. Kahlan przysunęła usta do ucha tamtej i powtórzyła ostrzeżenie. Nie chciała krzyknąć, żeby nie ostrzec Jaganga, gdyby się znajdował w pobliżu.

Nie widziałyby zbyt daleko przed sobą nawet wtedy, gdyby pochodnia dawała jaśniejsze światło. Tunel wił się i skręcał, prowadząc pod ziemią poza pałac. Żeby utrzymać równowagę, Kahlan musiała wspierać się dłonią o zimną, pokrytą pleśnią ścianę. Tu i ówdzie przejście stawało się dość strome, kamienie układały się wówczas wzdłuż porywistego nurtu niczym schody. W powietrzu unosiła się mgiełka kropelek lodowatej wody; przemoczyła je całkowicie.

Nie mogły biec nawet tam, gdzie tunel wiódł poziomo - musiały uważać, by stawiać stopy na kamieniach. Gdyby zmyliły krok, mogłyby sobie skrócić kostkę.

Tunel pełen wody z czającym się gdzieś w pobliżu Jagangiem nie był dobrym miejscem na zranienie nogi. Krew, która znów spływała wzdłuż ramienia Kahlan, przypominała dziewczynie, że i tak jest już ranna. Ale przynajmniej mogła iść.

I wtedy właśnie Nadine pisnęła i wpadła do wody.

- Nie zgub pochodni! - wrzasnęła Kahlan.

Tamta, stojąc po pierś w rwącej wodzie, uniosła pochodnię, chroniąc ją przed zamoczeniem. Kahlan złapała dziewczynę za nadgarstek i starała się przeciwstawić unoszącemu ją bystremu nurtowi. Nie miała się jednak czego złapać drugą ręką.

Zaczepiła obcasami o skraj kamienia, by uchronić się od wpadnięcia do wody.

Nadine wyciągała gwałtownie drugą rękę, szukając któregoś z kamieni. W końcu znalazła i wczepiła się weń. Przy pomocy Kahlan wydostała się z wody.

- O dobre duchy, ależ ta woda jest zimna.

- Ostrzegałam, żebyś była ostrożna!

- Coś złapało mnie za nogę, chyba szczur - wyjaśniła Nadine, chwytając oddech.

- Jestem pewna, że był martwy. Widziałam, jak inne przepływały obok nas.

Teraz już uważaj.

Zakłopotana Nadine skinęła głową. Prąd wody zniósł ją przed Kahlan, więc teraz ona szła pierwsza. Dziewczyna uznała, że i tak nie zdołają się zamienić miejscami, zatem dała jej znak, by szła dalej.

Kobieta zamierzała jej usłuchać, lecz nagle z czarnej głębi wychynęła jakaś wielka postać. Ociekający wodą Marlin złapał Nadine za kostkę swoją jedyną dłonią.

Wrzasnęła i wpadła do atramentowoczarnej wody.

ROZDZIAŁ 11

Zsuwając się do wody, Nadine uderzyła Marlina pochodnią w grzbiet nosa.

Puścił ją i jak oszalały zaczął ocierać oczy z płonącej smoły. Poniósł go nurt.

Kahlan złapała uzdrowicielkę za ramię, w którym trzymała wciąż pochodnię nad powierzchnią wody, i po raz drugi pomogła się jej wydostać na kamień.

Rozplaszczyły się przy ścianie, chciwie chwytając powietrze i trzęsąc się w szoku.

- Przynajmniej teraz wiemy, którą drogą idzie - odezwała się w końcu Kahlan.

Nadine dygotała gwałtownie po kolejnej kąpieli w lodowatej wodzie. Włosy przykleiły się jej do głowy i szyi.

- Nie umiem pływać. Nareszcie wiem, dlaczego nigdy nie chciałam się tego nauczyć. Nnnnie lubię tego.

Kahlan uśmiechnęła się do siebie. Tamta była o wiele odważniejsza, niż się spodziewała. Uśmiech zniknął, kiedy przypomniała sobie, dlaczego Nadine się tu znalazła i kto ją przysłał. Poza tym uświadomiła sobie, że - zaskoczona zasadzką - straciła szansę, by dopaść Jaganga.

- Pozwól, że pójdę pierwsza.

Nadine oburącz ujęła pochodnię. Kahlan chwyciła ją w talii i okręciły się wokół siebie, zamieniając miejscami. Uzdrowicielka była równie zimna jak ryba w zimie. Kahlan nie była wcale o wiele cieplejsza, bo i ona przemierzała lodowate tunele, a zimna woda chlupotała jej wokół kostek. Skostniały jej palce stóp.

- A jeżeli popłynie pod prąd i ucieknie? - spytała Nadine, szcękając zębami.

- Nie sądzę, żeby mu się to udało. Przecież ma tylko jedno ramię. Pewnie trzymał się kamienia, kryjąc twarz tuż nad powierzchnią i czając się na nas.

- Co jeśli znów to zrobi?

- Teraz ja idę pierwsza. To mnie złapie i będzie to ostatnia pomyłka w jego życiu.

- A jeżeli odczeka, aż przejdziesz, i raz jeszcze to mnie złapie?
- Wtedy uderz go mocniej niż poprzednio.
- Grzmotnęłam go tak mocno, jak tylko zdołałam! Kahlan uśmiechnęła się i uspokajająco ścisnęła ramię Nadine.
- Wiem o tym. Dobrze postąpiłaś. Zrobiłaś, co trzeba.

Posuwając się tuż przy ścianie, minęły kilka łagodnych zakrętów i cały czas wypatrywały w wodzie twarzy Marlina. Obie drżały, gdy dostrzegały coś pod powierzchnią, ale zawsze okazywało się, że to jedynie jakieś niesione nurtem szczątki.

Pochodnia syczała coraz bardziej i wyglądało na to, że lada chwila zgaśnie.

Wszystkie kanały odpływowe prowadziły na zewnątrz, a tym szły już dłuższy czas.

Kahlan wiedziała, że tunel musi się wkrótce skończyć. Uświadomiła sobie, że to bardziej nadzieja niż wiedza, bo mimo iż jako dziewczynka chodziła po tych tunelach i kanałach, które wówczas nie były tak wypełnione wodą, i orientowała się, gdzie są, nie znała dokładnego położenia. Pamiętała, że niektóre tunele odpływowe zdawały się ciągnąć bez końca.

Szły naprzód dopóty, dopóki nie zaczął się zmieniać dźwięk wydawany przez rwącą wodę. Kahlan nie bardzo się orientowała, co to oznacza. Przed nimi tunel skręcał w prawo.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała głucho uderzenie, i stanęła. Uniosła rękę, by zatrzymać Nadine i nakazać jej milczenie.

Wilgotne kamienne ściany przed nimi pojaśniały, zaśniły niebieskawo od czegoś, co znajdowało się za zakrętem. Wycie narastało, aż wreszcie stało się głośniejsze niż grzmot wody.

Zza zakrętu wypadła ognista kula. Błękitny i biały ogień wypełniał cały tunel i gnał ku nim z rykiem.

Płynny, kipiący groźbą ogień.

Ogień czarodzieja.

- Wstrzymaj oddech! - krzyknęła Kahlan, łapiąc Nadine za włosy.

Ciągnąc ją ze sobą, zanurkowała tuż przed gniewnie kipiącym ogniem. Woda była tak lodowata, że o mało się nie zachłysnęła. W spienionych odmętach trudno było odróżnić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Kahlan otworzyła oczy i dostrzegła blask szalejącego na powierzchni piekła. Nadine

starła się wynurzyć, więc dziewczyna chwyciła lewą ręką skraj kamienia, żeby się utrzymać pod wodą, i zdrową ręką przytrzymała uzdrowicielkę przy sobie. Tamta, bojąc się, że się utopi, starła się jej wyrwać. W końcu i Kahlan zaczęła się bać.

Wreszcie wszystko pociemniało i Kahlan wynurzyła głowę z wody, wyciągając również Nadine. Tamta krztusiła się i kaszłała, chciwie łapiąc powietrze.

Kosmyki przemoczonych włosów kleiły się im do twarzy.

Tunelem gnała ku nim druga wirująca kula ognia czarodzieja.

- Weź głęboki wdech! - krzyknęła Kahlan.

Sama także głęboko zaczerpnęła powietrza i ponownie zanurkowała, ciągnąc za sobą Nadine. Znalazły się pod wodą w ostatniej chwili. Kahlan wiedziała, że uzdrowicielka wolałaby raczej zginąć w ogniu, niż się utopić, lecz woda była ich jedynym ratunkiem. Ogień czarodzieja płonął z nieubłaganą determinacją, determinacją maga, który go wyczarował.

Nie mogły bez przerwy nurkować. Woda była tak zimna, że Kahlan już się trzęsła i nie potrafiła opanować drżenia. Wiedziała, że taka lodowata kąpiel też może spowodować śmierć, nie mogły zatem pozostać w wodzie - to zabiłoby je równie pewnie jak ogień czarodzieja.

Nie mogły przedostać się do Jaganga przez ogień czarodzieja, który miotał Marlin. Jeśli chciały go dopaść na czas, miały tylko jedną szansę: przedostać się pod ogniem. Pod wodą.

Kahlan opanowała przerażenie wywołane obawą przed tym, że mogła się utopić, upewniła się, że krzepko trzyma Nadine w talii, i odepchnęła się od kamienia, którego do tej pory trzymała się z całych sił.

Poniósł je wartki nurt.

Dziewczyna czuła, jak odbija się od czegoś, jak ociera się o kamień. Uderzyła o coś zranionym ramieniem i mało brakowało, by krzyknęła z bólu, lecz powstrzymała ją świadomość, że wówczas zachłśnie się wodą i straci oddech.

Nieopanowana potrzeba zaczerpnięcia powietrza i dezorientująca czerń zmusiły ją do wynurzenia. Zdrowym ramieniem podtrzymywała mocno Nadine.

Drugą ręką udało się jej chwycić kamień. Miała uczucie, że prąd wyrwie jej ramię ze stawu. Wystawiła głowę nad powierzchnię wody - wokół było

jasno. Niecałe dwadzieścia stóp od niej widniała kamienna kratownica. Przez otwory nad wodą wpadał blask późnego popołudnia.

Kahlan wyciągnęła z wody głowę Nadine, zatykając kobiecie usta.

Na jednym z kamieni w pobliżu kamiennej kratownicy stał zwrócony do nich tyłem Marlin.

Z pleców sterczało mu przynajmniej pół tuzina połamanych strzał. Z tego, jak czarodziej się zachwiał, przechodząc na kolejny kamień, Kahlan wywnioskowała, że już długo nie pożyje. Kikut lewego ramienia nie krwawił. Gdyby tylko mogła liczyć, że umrze, zanim dotrze do Wieży Czarodzieja. Najwyraźniej Jagang poganiał bezlitośnie rannego Marlina. Dziewczyna nie miała pojęcia, czego imperator mógł dokonać, kontrolując umysł czarodzieja, ani jak długo zdoła go utrzymać przy życiu, zdolnego do chodzenia. Nie dbał o życie człowieka, w którym przebywał, i Kahlan wiedziała, że nie będzie go oszczędzał. Chciał tylko zrealizować własne zamysły.

Marlin uniósł dłoń z rozsuniętymi palcami i skierował ją ku kamiennej kratownicy. Kahlan wzrastała wśród czarodziejów, wiedziała więc, że tamten zaklina powietrze. Cały fragment kamiennej kratownicy wyleciał na zewnątrz w chmurze pyłu i odłamków. Do środka wpadło więcej światła.

Woda jeszcze szybciej popłynęła powiększonym nagle ujściem. Zranione ramię Kahlan nie było dość silne i gwałtowny prąd wody oderwał ją od kamienia, którego się trzymała. Nadine też się jej wyśliznęła.

Wleczona przez nurt dziewczyna rozpaczliwie szukała jakiejś rzeczy, której mogłaby się uchwycić, lecz nie znalazła niczego takiego. Zwijała się i wykręcała pod wodą, starając się ucześcić czegoś rękami i nogami. Nie miała okazji zaczerpnąć głęboko powietrza, a poza tym musiała walczyć z paniką wywołaną narastającą potrzebą wzięcia oddechu. Zaczepiła palce o ostry kant głazu na skraju dziury wyrwanej w kratownicy. Woda wciągnęła ją w głąb i uderzyła mocno o dolną część krat. Udało się jej wynurzyć głowę i jedno ramię. Miała wrażenie, że oddycha raczej wodą niż powietrzem.

Kahlan podniosła wzrok. Powitał ją złośliwy uśmiezek Jaganga. Był ledwie kilka stóp od niej.

Gwałtowny nurt przygniatał dziewczynę do pękniętej kratownicy. Nie miała siły, by pokonać napór wody. Próbowwała, lecz nie mogła się dostać do Jaganga. Z trudem ledwie oddychała.

Obejrzała się przez ramię. To, co zobaczyła, sprawiło, że nie zdołała wziąć oddechu, o który tak walczyła. Byli po wschodniej stronie pałacu, tam gdzie znajdowały się wysokie fundamenty. Woda wylewała się z rykiem z kanału odpływowego i rozbijała na skałach dobre pięćdziesiąt stóp poniżej.

- Jak to miło, kochaneczko, że wpadłeś, by zobaczyć moją ucieczkę - zachichotał Jagang.

- Dokąd się wybierasz, Jagangu? - wykrztusiła.

- Chyba wybiorę się do wieży.

Dziewczyna chciała zaczerpnąć powietrza, jednak zamiast tego zachłysnęła się wodą. Zaczęła kaszleć i wypluła ją.

- Po co chcesz się dostać do Wieży Czarodzieja? Co chcesz stamtąd zabrać?

- Łudzisz się, kochaneczko, sądząc, że wygadam się z czymś, co chcę przed tobą zataić.

- Co zrobiłeś Carze?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Uniósł dłoń Marlina. Prąd powietrza rozbił kolejny fragment kratownicy.

Odpadł kamień, którego trzymała się Kahlan. Plecy dziewczyny przejechały po ostrej krawędzi. W ostatniej chwili zdołała o coś zaczepić palce, inaczej prąd wyniósłby ją na zewnątrz. Spojrzała w dół, na skały leżące poniżej pałacu. Spadająca woda grzmiała.

Kahlan desperacko przesuwiała palce po ostrym kamieniu, z całych sił starając się wciągnąć za resztki kratownicy. Panika dodała jej sił i zdołała tego dokonać, lecz nie mogła się dalej przesunąć. Prąd przypierał ją do resztek krat.

- Jakież kłopoty, kochaneczko?

Dziewczyna chciała nań wrzasnąć, ale mogła jedynie walczyć o oddech i o to, żeby nurt nie porwał jej i nie wyrzucił z tunelu. Mięśnie ramion bolały z wysiłku. Nie potrafiła wymyślić niczego, co powstrzymałoby Jaganga. Pomyślała o Richardzie.

Jagang raz jeszcze uniósł dłoń Marlina i rozcapierzył palce. Nadine wynurzyła się z wody tuż za nim. Jedną ręką chwyciła kamienny stopień. W drugiej wciąż trzymała wygaszoną pochodnię. Wyglądała, jak ktoś znajdujący się na granicy szaleństwa. Zamachnęła się potężnie i uderzyła czarodzieja pod kolana.

Pod opanowanym przez Jaganga Marlinem ugięły się nogi i wpadł do wody tuż przed Kahlan. Złapał połamaną kratownicę, zorientował się, co czekało na zewnątrz, i rozpaczliwie starał się wycofać. Najwyraźniej nie spodziewał się, że z tunelu odpływowego nie będzie drogi ucieczki.

Nadine ze wszystkich sił trzymała się kamienia. Kahlan wyciągnęła do tyłu zranione ramię, przepchnęła po wodą lewą dłoń przez otwór w kratownicy i zacisnęła pięść, żeby mieć dobre oparcie. Drugą dłonią złapała Marlina za gardło.

- No, no, no - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Patrzcie no, kogo złowiłam: wielkiego i wszechpotężnego imperatora Jaganga.

Wyszczerzył w uśmiechu połamane zęby.

- Prawdę mówiąc, kochaneczko, złapałaś Marlina - powiedział czarodziej chrapliwym, zuchwałym głosem Jaganga.

- Tak sądzisz? - Kahlan nachyliła się ku jego twarzy. - A wiesz, że magia Spowiedniczki jest szybsza niż myśl? Kiedy już kogoś dotkniemy, nie ma on najmniejszej szansy. Żadnej. Magiczna więź, wynikająca z lojalności wobec Richarda Rahla, broni Nawiedzającemu Sny dostępu do mojego umysłu. Naszym polem bitwy jest umysł Marlina. Myślisz, że moja magia mogłaby zadziałać szybciej niż twoja?

Jak ci się zdaje? Sądzisz, że mogłabym porazić i Marlina, i ciebie?

- Dwa umysły za jednym zamachem? - zapytał szyderczo. - Nie sądzę, kochaneczko.

- Przekonamy się. Może również ciebie dostanę. Może tu i teraz dobiegnie kresu i wojna, i Imperialny Ład.

- Aleś ty głupiutka, kochaneczko. Przeznaczeniem człowieka jest uwolnić ten świat z okowów magii. Gdybyś mogła mnie tu zabić, a nie możesz, i tak nie położyłabyś kresu Imperialnemu Ładowi. Przetrwa każdego człowieka, nawet mnie, bo to walka całej rasy ludzkiej o podporządkowanie sobie naszego świata.

- Naprawdę spodziewasz się, iż uwierzę, że nie robisz tego dla siebie? Dla zdobycia władzy?

- Bynajmniej. Kocham władzę. Ale niesie mnie niepowstrzymana fala zdarzeń.

Ty zaś jesteś głuptasem, który podąża śladem zanikającej wiary w magię.

- Głuptasem, który trzyma cię za gardło. Ciebie, wielkiego Jaganga, który

głosi, że chce, by człowiek zatriumfował nad magią, a jednocześnie sam z niej korzysta!

- Na razie. Lecz kiedy magia zginie, będę tym, który ma dość śmiałości i siły, by rządzić bez niej.

Kahlan zawrzała gniewem. To był człowiek, który nakazał uśmiercić tysiące niewinnych ludzi. Kat Ebinissii. Człowiek, który chciał podbić cały świat.

Człowiek, który chciał zgładzić Richarda.

W ciszy swojego umysłu, w jądrze swojej mocy, gdzie nie było ni chłodu, ni żaru, ni wyczerpania, ni strachu, dziewczyna miała do dyspozycji cały czas świata.

Marlin, którego opanował Jagang, nie próbował uciekać - zresztą i tak by nie zdołał.

Był jej.

Kahlan uczyniła to samo, co czyniła wcześniej niezliczone mnóstwo razy: uwolniła swoją moc.

Przez nieuchwytnie mgnienie czasu coś było inaczej niż zwykle. Napotkała opór tam, gdzie go przedtem nie wyczuwała. Natrafiła na mur.

Moc dziewczyny przedarła się przezeń jak rozpalone żelazo przez szkło.

Magia wdarła się do umysłu Marlina.

Bezgłośny grom.

Ze stropu posypały się kamienne odłamki. Zatańczyły krople wody. Mimo tak wartkiego nurtu we wszystkie strony rozbiegł się pierścień fal, niosąc ze sobą ścianę mgły i pyłu.

Wczepiona w kamień Nadine krzyknęła z bólu, ponieważ znalazła się zbyt blisko uwolnionej magii Spowiedniczki.

Wargi Marlina zwiotczały. Osoba, której umysł zniszczyła Spowiedniczka, stawała się jej posłusznym niewolnikiem. Niewolnikiem pragnącym spełniać jej rozkazy.

Marlin nie wypowiedział słów poddania.

Krew popłynęła z jego uszu i nosa. Rwący nurt kołysał zwisającą bezwładnie głową czarodzieja, a jego martwe oczy wpatrywały się w dal.

Kiedy ręka Marlina zsunęła się z kratownicy, Kahlan puściła jego gardło i woda wywlokła go na zewnątrz. Ciało sługi Jaganga przepłynęło przez połamaną kratownicę i runęło na znajdujące się poniżej skały.

Kahlan wiedziała, że niemal dopadła imperatora. Lecz tylko niemal. Jego myśli, jego zdolności Nawiedzającego Sny były o wiele za szybkie, by mogła go porazić jej moc Spowiedniczki.

- Chwyć moją dłoń! - Nadine wyciągała ku niej rękę. - Nie mogę się tak trzymać przez całą wieczność!

Splotły dłonie. Wykorzystanie mocy pozbawiało Spowiedniczkę sił. Nawet Kahlan, Matka Spowiedniczka obdarzona chyba największą mocą ze wszystkich Spowiedniczek, jakie żyły na świecie, potrzebowała kilku godzin wypoczynku, nim ponownie mogła się posłużyć swoim darem, a odzyskanie pełni sił trwało o wiele dłużej. Dziewczyna była wyczerpana i już nie potrafiła opierać się nurtowi. Bez pomocy Nadine i ona spadłaby na skały.

Kahlan, wspomagana przez uzdrowicielkę, zdołała się wspiąć na kamienie.

Obie wydobyły się z wody, trzęsły się z zimna.

Nadine łkała, przerażona tym, co omal ich nie dopadło. Kahlan była zbyt zmęczona, żeby płakać, ale wiedziała, co czuje tamta.

- Nie dotykałam go, kiedy uwolniłaś moc, a mimo to wydawało mi się, że popękają mi wszystkie stawy. To mi nic... nic mi nie zrobiło, co? Nic magicznego?

Czy i ja umrę?

- Nie, nic ci się nie stało - zapewniła ją Kahlan. - Poczułaś tylko ból, ponieważ byłaś za blisko, nic więcej. Gdybyś go dotykała, stałoby się coś niewyobrażalnie gorszego: twój umysł zostałby zniszczony.

Nadine w milczeniu skinęła głową. Kahlan objęła ją ramieniem i szepnęła na ucho słowa podziękowania. Dziewczyna uśmiechnęła się, jej łzy obeschły.

- Powinnyśmy wracać do Cary. Musimy się pospieszyć - oznajmiła Kahlan.

- Ale jak? Pochodnia zgasła. Na zewnątrz nie ma drogi, a gdy zaczniemy się cofać, wkrótce zrobi się całkiem ciemno. Nie chcę wracać w ciemnościach. To się nie uda, chyba że żołnierze oświetlą nam drogę pochodniami.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Będziemy ciągle skręcać w prawo. Trzeba tylko położyć dłoń na lewej ścianie i iść wzdłuż niej, a znajdziemy drogę powrotną - powiedziała ze znużeniem Kahlan.

Nadine wyrzuciła do przodu rękę, wskazując czerń. Kahlan nie bardzo wiedziała, czy odpowiada jej zadowalanie się ciągłym, jak mi się zdaje” Nadine, ale nie miała innego wyjścia. Trzeba było coś zrobić.

Nadine skrobała paznokciem woskową pieczęć na buteleczce nalewki z passiflory, kiedy coś przysłoniło padający z wyrwanych drzwi snop światła. Ręce Nadine znieruchomiały.

W otworze ukazał się zarys nieruchomej sylwetki; ktoś się im przyglądał.

Potem mężczyzna odwrócił się - jego długa opończa nawet nie zatrzepotała - i zaczął schodzić po drabinie.

W lochu panowała cisza zakłócana jedynie skwierczeniem pochodni. Kahlan gładziła czoło Cary i obserwowała, jak człowiek w opończy z kapturem zmierza na dół.

ROZDZIAŁ 12

Przeraźliwie wolno wracały tunelem odpływowym. Wędrówka na oślep, przesuwanie dłonią po zimnym, oślizłym kamieniu, woda rwąca wokół kostek i nieustanny strach przed możliwością wpadnięcia w porywisty nurt - wszystko to nie było zbyt przyjemne, ale przynajmniej nie musiały się bać, że spod powierzchni wychynie nagle Marlin, złapie je za nogi i wciągnie w toń. W końcu Kahlan usłyszała, że zmienia się odgłos płynącej wody. Trzymała Nadine za rękę i dopóty wysuwała stopę, dopóki nie natrafiła na płaski poprzeczny kamień.

Potem w mrocznym labiryncie tuneli i korytarzy odnaleźli je żołnierze i oświetlali im drogę pochodniami. Otumaniona zmęczeniem Kahlan podążała za chwiejnym blaskiem pochodni, w miarę jak zanurzali się w czarną nicość. Ciężko było stawiać kroki. Dziewczyna marzyła o tym, by się położyć, choćby nawet na tym zimnym, mokrym kamieniu.

Na wyższych poziomach pałacu w korytarzach tłoczyły się setki ponurych żołnierzy. Łucznicy trzymali łuki gotowe do strzału, pozostali mieli w pogotowiu piki, miecze i topory. W ścianach wciąż tkwiła broń wbita aż po rękojeści podczas walki z Marlinem. Kahlan wątpiła, czy coś innego niż magia usunie ów oręż. Zabrano zabitych i rannych, lecz zostały kałuże krwi.

Z lochu nie dobiegały już wrzaski.

Kahlan rozpoznała kapitana Harrisa, który wcześniej był w Sali Posłuchań.

- Czy ktoś zszedł tam, by udzielić jej pomocy, kapitanie?

- Nie, Matko Spowiedniczko.

Nawet nie starał się udawać zakłopotania. D'Harańczycy bali się magii i nie wstydzili się do tego przyznawać. Lord Rahl był magią przeciwko magii, oni zaś stali przeciwko stali. Ot i wszystko.

Kahlan nie mogła się zmusić, by zganić żołnierzy w korytarzu, że zostawili Carę samą. Wykazali odwagę w starciu z Marlinem. Wielu zginęło lub odniosło poważne rany. Zejście do lochu było czymś zupełnie innym niż walka z tym, co się stamtąd wydostało. Według nich, samoobrona była czymś innym niż schodzenie na dół i narażanie się na spotkanie z magią.

Zgodnie z dotyczącą ich częścią umowy d'harańscy żołnierze - stal przeciwko stali - walczyli, nie dbając o własne życie. Oczekiwali, że lord Rahl wykona swoją część, czyli że poradzi sobie z magią.

W pełnych oczekiwania oczach Kahlan wyczytała lęk.

- Asasyn, człowiek, który uciekł z lochu, nie żyje. Już po wszystkim.

Tu i tam rozległy się ciche westchnienia ulgi, lecz pełna niepokoju twarz kapitana uświadomiła Kahlan, że musi okropnie wyglądać.

- Chyba musimy ci sprowadzić jakąś pomoc, Matko Spowiedniczko.

- Później. - Dziewczyna ruszyła ku drabinie, Nadine za nią. - Jak długo milczy, kapitanie?

- Może z godzinę.

- To znaczy, że mniej więcej od momentu śmierci Marlina. Chodź z nami i weź kilku ludzi, żebyśmy mogli wynieść stamtąd Carę.

Mord-Sith tkwiła po drugiej stronie lochu, w pobliżu ściany, tam gdzie Kahlan widziała ją ostatnio. Przyklęknęła po jednej stronie leżącej, Nadine po drugiej, a żołnierze przyświecali im pochodniami.

Cara wstrząsała jakieś konwulsje. Nie krzyczała już, oczy miała zamknięte i trzęsa się tak gwałtownie, że jej ramiona i nogi uderzały o kamienną podłogę.

Krztusiła się swoimi wymiocinami.

Kahlan złapała Carę za ramię i jednym ruchem obróciła ją na bok.

- Otwórz jej usta!

Nadine pochylila się, nacisnęła kciukiem szczękę Cary i odchyliła ją w dół, natomiast drugą dłonią przytrzymała podbródek kobiety, żeby usta się nie zamknęły. Kahlan kilka razy wsuwała palce do ust Cary, aż w końcu je oczyściła.

- Oddychaj! - wrzasnęła. - Oddychaj, Caro! Oddychaj! Nadine biła leżącą w plecy, prowokując bulgotliwe, wilgotne pokąsywanie, krztuszenie się, które ostatecznie zmieniło się we w miarę swobodne oddychanie.

Cara mogła już oddychać, lecz to nie powstrzymało konwulsji. Kahlan czuła się bezradna.

- Lepiej pójdę po swoje rzeczy - oznajmiła Nadine.

- Co jej jest?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. To jakiś paroksyzm. Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale uważam, że musimy to powstrzymać. Może zdołam jej

pomóc. Może znajdę coś w mojej torbie.

- Zaprowadźcie ją, wy dwaj. Zostawcie pochodnię. Nadine i dwaj żołnierze szybko wspięli się po drabinie, lecz najpierw jeden z nich zamocował pochodnię w uchwycie na ścianie.

- Matko Spowiedniczko, przed chwilą w Sali Posłuchań zjawił się członek Raug'Moss - odezwał się kapitan Harris.

- Kto?

- Członek Raug'Moss. Z D'Hary.

- Nie wiem zbyt wiele o D'Harze. Kim oni są?

- To tajemna sekta. Sam nie wiem o nich zbyt wiele. Raug'Moss trzymają się na uboczu i rzadko się ich widuje...

- Do rzeczy. Co on tu robi?

- To arcykapłan Raug'Moss we własnej osobie. Raug'Moss są uzdrowicielami. Twierdzi, że wyczuł, iż nowy lord Rahl stał się władcą D'Hary, i przybył, by ofiarować nowemu panu swoje usługi.

- Uzdrowiciel? Więc nie stój tak i idź po niego. Może zdoła pomóc. Pospiesz się.

Kapitan Harris przyłożył pięść do serca i skoczył ku drabinie.

Kahlan uniosła Carę do pozycji półsiedzącej i przytuliła ją mocno, starając się opanować wstrząsające nią konwulsje. Dziewczyna nie wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić. Nauczono ją sporo o zadawaniu ludziom ran, ale nie nauczono niczego o ich leczeniu. Miała już dość ranienia ludzi. Bardzo pragnęłaby wiedzieć więcej o pomaganiu im. Jak Nadine.

- Trzymaj się, Caro - szeptała, kołysząc w ramionach trzęsącą się kobietę.

- Pomoc nadchodzi. Trzymaj się.

Wzrok Kahlan padł na przeciwległą ścianę. Spoglądały na nią wyryte w kamieniu słowa. Podobnie jak wszystkie Spowiedniczki, znała niemal wszystkie języki w Midlandach, nie miała jednak pojęcia o gornod'harańskim. Gornod'harański był martwym starożytnym językiem i znało go niewielu ludzi.

Richard uczył się gornodTiarańskiego. Tłumaczył z Berdine znaleziony w wieży pamiętnik, który nazywali pamiętnikiem Kolo, a który zapisano w gornod'harańskim podczas wielkiej wojny, trzy tysiące lat temu. On potrafiłby przełożyć wyrytą na ścianie przepowiednię.

Kahlan wolałaby jednak, żeby tego nie potrafił. Nie chciała wiedzieć, o czym mówi prorocstwo. Proroctwa zawsze powodowały jedynie kłopoty. Nie chciała uwierzyć, że Jagang sprowadził na nich jakąś przeraźliwą plagę, lecz nie znajdowała powodu, by wątpić w jego słowa. Przycisnęła policzek do czubka głowy Cary i zamknęła oczy. Nie chciała widzieć prorocstwa i życzyła sobie, aby zniknęło.

Czuła łzy spływające jej po twarzy. Nie chciała, żeby Cara umarła. Nie miała pojęcia, dlaczego darzy tę kobietę aż taką sympatią. Może było tak dlatego, że nikt inny tego do niej nie czuł. Żołnierze nawet nie zeszli na dół, by sprawdzić, dlaczego przestała krzyczeć. Cara udusiłaby się swoimi wymiocinami. Zabiłoby ją coś tak zwyczajnego, nie żadna magia, tylko dlatego, że się bali lub też dlatego, że nikogo nie obchodziło, co się z nią stanie. Nikogo nie interesowało, czy umrze.

- Trzymaj się, Caro. Mnie to obchodzi. - Kahlan odgarnęła Mord-Sith włosy ze spoconego czoła. - Mnie to obchodzi. Chcemy, żebyś żyła.

Dziewczyna mocno obejmowała drżącą kobietę, jakby starała się w ten sposób przekazać jej swoje słowa, swoją troskę. Przyszło jej na myśl, że Mord-Sith aż tak bardzo się od niej nie różni. Również Carę nauczono ranić ludzi.

Gdyby wszystko do tego sprowadzić, Kahlan była bardzo podobna. Korzystała ze swojej mocy, żeby zniszczyć czyjś umysł. Wiedziała, że robi to, by ratować innych, ale i tak było to krzywdzenie ludzi. Mord-Sith wyrządzały ludziom krzywdę, lecz czyniły to, by pomóc swojemu władcy, by chronić jego życie, a przy okazji życie D'Harańczyków.

O drogie duchy, czyżby nie była nikim więcej niż Mord-Sith, którą starała się wydobyć z otchłani obłądu?

Kahlan czuła Agiel zawieszony na szyi - tuląc Carę przyciskała go do piersi.

Czyżby była jej siostrą w Agielu nie tylko z tego jednego powodu?

Czy przejęłaby się, gdyby Nadine zginęła zaraz na początku? Nadine pomagała ludziom, nie trawiła swojego życia na szkodzenie im. Nic dziwnego, że podobała się Richardowi. Łzy popłynęły obficie, więc Kahlan otarła policzki. Bolało ją ramię. Wszystko ją bolało. Tak bardzo chciała, żeby Richard ją przytulił.

Wiedziała, że się rozzłości, jednak w tej chwili strasznie go jej brakowało.

Trzęsąca się Cara urażała bolące ramię, ale Kahlan nie zamierzała jej puścić.

- Trzymaj się, Cari. Nie jesteś sama. Jestem przy tobie. Nie zostawię cię. Obiecuję.

- Lepiej jej choć trochę? - spytała schodząca po drabinie Nadine.

- Nie. Wciąż jest nieprzytomna i trzęsie się tak jak przedtem.

Nadine przyklęknęła, upuściła na podłogę obok Kahlan swoją torbę.

Zgromadzone w niej rzeczy uderzyły o siebie ze stłumionym hałasem.

- Powiedziałam żołnierzom, żeby poczekali na górze. I tak nie możemy jej stąd zabrać, dopóki będzie w tym stanie, a oni tylko by nam przeszkadzali.

Nadine zaczęła wyciągać z torby małe płócienne zawiniątka, skórzane woreczki ze znakami, zakorkowane pojemniczki z rogów, na których też widniały jakieś wydrapane symbole. Sprawdzała pobieżnie oznaczenia, zanim odkładała je na bok.

- Czernieć błękitny - mamrotała do siebie Nadine, zerkając na tajemnicze znaki umieszczone na skórzanych woreczkach. - Nie, to się na nic nie przyda, zresztą musiałaby wypić tego mnóstwo. - Wyjęła następne skórzane woreczki i przytrzymała dłużej w dłoni kolejny z nich. - Perłówka wiecznotrwała. Mocne działanie, ale musielibyśmy jakoś skłonić ją do wdychania tego. - Westchnęła z irytacją. - To się nie nada. - Przyjrzała się naczyniu z rogu. - Bylica pospolita - mruknęła i odłożyła je na bok. - Maruna? - Ten róg odłożyła na podołek przemoczonej sukni. - Tak, bukwica też się może przydać - orzekła, oglądając kolejny pojemniczek i umieściła go obok tego na podołku.

Kahlan wzięła jedno z odłożonych przez Nadine naczyń i odkorkowała je.

Ostry zapach anyżu sprawił, że aż się cofnęła. Zakorkowała pojemnik i odstawiła go.

Podniosła następny. W spatynowanym rogu wryto głęboko dwa koła przekreślone poziomą linią. Dziewczyna poruszyła dobrze dopasowaną drewnianą zatyczkę, starając się ją wyjąć. Nadine wyrwała jej róg.

- Nie rób tego!

- Przepraszam. - Kahlan spojrzała na nią ze zdumieniem. - Nie zamierzałam niczego zabrać. Ja tylko...

- Nie o to chodzi: - Nadine uniosła pojemniczek z dwoma przekreślonymi linią kołami. - To sproszkowany czarcikęsik. Gdybyś nie była

dość ostrożna przy otwieraniu, proszek mógłby się dostać na dłoń lub, co gorsza, na twarz. To silnie działająca substancja, która może na pewien czas unieruchomić człowieka. Po nieostrożnym odkorkowaniu rogu padłabyś na podłogę oślepią, z trudem łapiąca oddech i przekonana, że zaraz umrzesz. Zastanawiałam się, czy nie dać tego Carze i skończyć z tymi drgawkami, paraliżując ją na jakiś czas, ale uznałam, że lepiej tego nie robić. Ten proszek unieruchamia między innymi dlatego, że zakłóca oddychanie.

Człowiekowi wydaje się, że wypala oczy, oślepia. Pali wtedy w nosie, ma się uczucie, że lada moment pęknie serce i nie można oddychać. Jest się bezradnym. Próby zmycia proszku tylko pogarszają sprawę, bo jest tłusty i jedynie się go bardziej rozmazuje.

Tak naprawdę nie czyni żadnej szkody i po krótkim czasie objawy mijają bez śladu, ale najpierw jest się bezwładnym i zupełnie bezradnym. Uznałam, że takie działanie nie przyniosłoby Carze nic dobrego, bo i tak ma kłopoty z oddychaniem. Proszek mógłby jej zaszkodzić, zamiast pomóc.

- Wiesz, co zrobić, żeby jej pomóc? Wiesz, prawda? - spytała Kahlan, starając się, by nie zabrzmiało to podejrzliwie.

Dłoń Nadine zamarła na brzegu torby.

- Hmm... myślę, że wiem. Nie jest to zbyt często spotykana przypadłość, ale słyszałam o niej. Mój ojciec o czymś takim wspominał.

Bynajmniej nie rozproszyło to wątpliwości Kahlan. Nadine znalazła w torbie małą buteleczkę i uniosła ją w blask pochodni. Wyjęła zatyczkę, po czym odwróciła buteleczkę do góry dnem, zatykając palcem.

- Unieś jej głowę.

- Co to takiego? - zapytała Kahlan. Układając odpowiednio Careę, patrzyła, jak Nadine naciera jakąś substancją skronie Mord-Sith.

- Olejek lawendowy. Pomaga przy bólach głowy.

- Coś mi się wydaje, że to nie jest zwyczajny ból głowy.

- Wiem, ale może złagodzi ból, dopóki nie znajdę czegoś innego, i stanie się spokojniejsza. Chyba nie mam niczego, co pomogłoby nie zmieszane z czymś innym.

Muszę spróbować połączyć rozmaite leki. Cały problem w tym, że przy tych konwulsjach nie możemy jej podać żadnych herbatek czy wywarów. Serdecznik i lipa działają kojąco, lecz musiałyby wypić napar z całej filiżanki suszonego ziela. Czarna szanta powstrzymałaby torsję, ale musiałyby

opróżnić pięć kubków dziennie. A poza tym nie mam pojęcia, jak jej dać do wypicia pierwszy kubek, zanim zlikwiduje się te konwulsje. Może uda się jej podać kilka łyków maruny. Ale mam nadzieję, że...

Długie, mokre włosy okalały twarz grzebiącej w torbie Nadine. Wreszcie wyciągnęła małą brązową buteleczkę.

- Tak! Zabrałam to!

- Co to jest?

- Nalewka z passiflory. Mocny środek uspokajający, a także przeciwbólowy.

Słyszałam, jak tata mówił, że to dobrze robi ludziom z nerwową drżączką. Chyba miał na myśli takie konwulsje. Ponieważ to nalewka, możemy jej trochę podać na język, a ona ją połknie.

Cara drżała gwałtownie w ramionach Kahlan. Dziewczyna przytuliła ją jeszcze mocniej i Mord-Sith trochę się uspokoiła.

- To może byłoby dobre w korytarzach, ale kiedy wchodziliśmy do tego kanału odpływowego, przeszliśmy na drugą stronę. Po tamtej stronie nie ma kamieni. Nigdy nie znajdziemy wyjścia.

- Woda opływająca kamień pośrodku tunelu wydaje inny odgłos. Nie zauważyłaś? Ja to zapamiętałam. - Kahlan ujęła dłoń tamtej, chcąc jej dodać odwagi. - Trzeba spróbować. Cara potrzebuje pomocy.

Nadine przez chwilę patrzyła na nią z przerażeniem, a potem powiedziała:

- No dobrze, ale zaczekaj chwilę.

Oddarła z obrębu sukni Kahlan pasmo tkaniny i najlepiej, jak zdołała, obwiązała dziewczynie zranione ramię. Kahlan skrzywiła się, gdy tamta zaciągała supeł.

- No to idziemy - oznajmiła Nadine. - Ale uważaj na siebie, dopóki tego nie zaszyję i nie natrę maścią.

ROZDZIAŁ 13

Nadine przerwała zdrapywanie woskowej pieczęci.

- Kto...?

- To uzdrowiciel - szepnęła Kahlan, obserwując Jak tamten zstępuje równomiernie po drabinie. - Z D'Hary. Powiedziano mi, że przybył ofiarować Richardowi swoje usługi. Wydaje mi się, że to ważna persona.

Nadine zbyła to mruknięciem.

- Co zrobi bez żadnych ziół i innych rzeczy? - Pochyliła się ku dziewczynie, obserwując przybysza. - Przecież nic ze sobą niema.

Kahlan uciszyła ją. Przybysz odwrócił się, kamienny pył zachrząścił pod jego butami, a ów odgłos odbił się echem w zalegającej loch ciszy. Szedł ku nim miarowymi krokami. Pochodnia była na ścianie za nim, więc Kahlan nie widziała rysów twarzy ocienionej kapturem obszernej, sięgającej podłogi opończy z surowego lnu.

Przybysz był tak wysoki jak Richard, miał równie szerokie barki.

- Mord-Sith - powiedział spokojnym, władcym głosem przypominającym głos Richarda.

Wysunął dłoń spod opończy i dał znak. Kahlan spełniła nakaz i ułożyła Carę na plecach na kamiennej podłodze. Tamten z taką uwagą obserwował drgawki Cary, że dziewczyna nie chciała marnować czasu na przedstawianie się.

- Co się jej stało? - spytał z mroku pod kapturem głosem równie mrocznym jak głębokim.

- Kontrolowała mężczyznę, który...

- Miał dar? Była z nim zespolona?

- Tak. Tak właśnie to nazwała - odparła dziewczyna. Mruknął coś, jakby się nad tym zastanawiał.

- Okazało się, że ów człowiek był opętany przez Nawiedzającego Sny...

- Kto to taki ów Nawiedzający Sny?

- Jak zrozumiałam, to osoba, która może się wedrzeć do czyjegoś umysłu, wślizgując się w szczeliny między myślami. W ten sposób zyskuje nad nimi kontrolę.

Potajemnie tkwił w umyśle człowieka, z którym była zespolona. Przybysz

rozważał to przez chwilę.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Zeszliśmy tutaj, żeby przesłuchać owego człowieka...

- Torturować go. Kahlan sapnęła z irytacją.

- Nie. Powiedziałam Carze, że tylko go wypytamy, że postaramy się otrzymać odpowiedzi na nasze pytania. Ten człowiek był asasynem, którego wysłano, żeby zabił lorda Rahla. Gdyby nie odpowiedział na nasze pytania, Cara była gotowa uczynić, co trzeba, żeby owe odpowiedzi uzyskać. Wszystko po to, by chronić lorda Rahla. Ale do tego nie doszło. Przekonałyśmy się, że Nawiedzający Sny kontroluje tego człowieka, panuje nad jego darem. Nawiedzający Sny wykorzystał jego dar, by wyryć na ścianie za tobą słowa przepowiedni.

Uzdrowiciel nie odwrócił się, żeby popatrzeć.

- A co stało się potem?

- Potem zamierzał uciec i zacząć zabijać ludzi. Cara próbowała go zatrzymać...

- Za pomocą zespolenia?

- Tak. Wrzasnęła takim głosem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam, i upadła na podłogę, zatykając uszy. - Kahlan pochyliła głowę. - Ja i ta oto Nadine ruszyliśmy za próbującym uciec więźniem. Na szczęście został zabity. Kiedy wróciliśmy, Cara leżała na podłodze w konwulsjach.

- Nie powinniście zostawiać jej samej. Mogła się zadławić swoimi wymiocinami.

Kahlan zacisnęła wargi i nic nie odpowiedziała. A przybysz stał i obserwował, jak Cara się trzęsie. W końcu dziewczyna nie mogła już tego dłużej wytrzymać.

- To jedna z kobiet z osobistej obstawy lorda Rahla. Jest ważną osobą.

Zamierzasz jej pomóc czy też tylko będziesz tak stać?

- Cicho - nakazał, zajęty innymi myślami. - Nim podejmie się jakiegokolwiek działania, najpierw należy poczynić obserwacje, bo inaczej może z tego wyniknąć więcej szkody niż pożytku.

Kahlan spojrzała gniewnie na osłoniętą postać. W końcu mężczyzna opadł na kolana i przysiadł na piętach. Uniósł wielką dłoń rękę Cary, położył palec między rękawicą a rękawem. Drugą dłoń wskazał leżące na podłodze pojemniczki.

- Co to takiego?

- To moje - odparła Nadine i zadarła brodę. - Jestem uzdrowicielką.

Nie puszczając nadgarstka Cary, przybysz chwycił drugą ręką skórzany worek i przyjrzał się oznakowaniu. Odłożył go, po czym wziął z kolan Nadine dwa rogi.

- Maruna - powiedział, odłożył róg na kolana kobiety i spojrzał na znaki na następnym. - Bukwica. - Również odłożył naczynie. - Nie jesteś uzdrowicielką. Jesteś zielarką - orzekł.

- Jak śmiesz...

- Podałaś jej któryś z twoich leków poza olejkiem lawendowym?

- Jak... Nie miałam czasu, żeby dać jej coś jeszcze.

- To dobrze - oznajmił. - Olejek lawendowy nic jej co prawda nie pomoże, ale przynajmniej nie zaszkodzi.

- Oczywiście, że wiem, iż nie powstrzyma konwulsji. Miał tylko złagodzić ból. Zamierzałam dać jej nalewkę z passiflory.

- Naprawdę? W takim razie całe szczęście, że się w porę zjawiłem.

Nadine skrzyżowała ręce na piersiach.

- A to niby dlaczego?

- Bo nalewka z passiflory najprawdopodobniej by ją zabiła. Nadine wsparła się pięściami pod boki i spojrzała nań z wściekłością.

- Passiflora to mocny środek uspokajający. Prawdopodobnie powstrzymałaby jej konwulsje. Gdybyś się nie wtrącił, już bym ją wyleczyła.

- Czyżby? A zbadałaś jej tętno?

- Nie. - Nadine zamilkła na chwilę. - Bo co? Co by to zmieniło?

- Puls ma słaby, nieregularny, bardzo powolny. Ta kobieta ze wszystkich sił walczy o to, by jej serce nadal biło. Gdybyś jej dała passiflorę, stałoby się, jak twierdziłaś: uspokoiłaby ją. Jej serce by się zatrzymało.

- Ja... nie rozumiem, jak...

- Nawet prosta zielarką powinna zachowywać większą ostrożność, kiedy ma do czynienia z magią.

- Magia. - Nadine spuściła z tonu. - Jestem z Westlandu. Nigdy przedtem nie spotkałam się z magią. Nie miałam pojęcia, że magia jakoś wpływa na zioła.

Przepraszam.

Przybysz zignorował przeprosiny i nakazał:

- Rozepnij guziki i rozchyl górę jej stroju.

- Po co? - spytała Nadine.

- Zrób to! A może wolisz patrzeć, jak umiera? Już długo nie wytrzyma.

Nadine pochyliła się i zaczęła rozpinać rząd małych, czerwonych skórzanych guzików umieszczonych na boku bluzy. Kiedy skończyła, uzdrowiciel dał znać gestem, żeby odchyliła część bluzy. Kobieta spojrzała na Kahlan, która skinęła potakująco głową. Zielarka rozchyliła więc miękki skórzany strój, odsłaniając pierś Cary.

- Czy mogę spytać o twoje imię? - odezwała się Kahlan.

- Drefan - odparł, po czym zamiast spytać o jej imię, przyłożył ucho do piersi Cary i zaczął słuchać.

Przesuwał się wokół leżącej, zmuszając Kahlan do ustąpienia mu z drogi, aż znalazł się u głowy Mord-Sith. Pokrótce obejrzał krwawą ranę za lewym uchem, uznał ją za mało ważną i przystąpił do systematycznego badania nasady szyi. Kahlan widziała jedynie bok kaptura, nie mogła zatem dojrzeć twarzy. Poza tym jedna pochodnia i tak dawała zbyt mało światła.

Drefan pochylił się i wziął piersi Cary w wielkie łapy.

Kahlan zeszywniała.

- Co czynisz?

- Badam ją.

- A więc tak to nazywasz. Przysiadł na piętach i powiedział:

- Dotknij jej piersi.

- Po co?

- Żeby się przekonać, co odkryłem.

Kahlan w końcu odwróciła oczy od cienia pod jego kapturem i dotknęła lewej piersi Cary. Pierś była gorąca, trawiła ją gorączka. Dotknęła drugiej, lecz ta była zimna jak lód. Drefan dał znak i Nadine powtórzyła gesty Kahlan.

- Co to znaczy? - spytała zielarka.

- Wolę wstrzymać się z osądem do chwili, kiedy skończę ją badać, ale to z pewnością nic dobrego.

Drefan przyłożył palce do boku szyi Cary, znów badał tętno. Przesunął kciukami po czole leżącej. Nachylił się i kolejno przyłożył ucho do jej uszu. Powąchał jej oddech. Ostrożnie uniósł głowę Mord-Sith i pokręcił nią. Rozłożył jej ramiona, mocniej rozchylił bluzę uniformu, odsłaniając tors

Cary aż do talii, potem obmacał jej brzuch i dół żeber. Głowę miał schyloną, jakby w wielkim skupieniu, na krótko dotykał czubkami palców barków Cary, obu boków szyi, podstawy czaszki, skroni, kilku miejsc na żebrach i wnętrza dłoni.

Kahlan zaczynała się niecierpliwić. Widziała jedynie dotykanie i ugniatanie. A gdzie leczenie?

- No i?

- Jej aura jest poważnie zakłócona - oznajmił, wpychając bezwstydnie wielką łapę pod czerwoną skórę poniżej talii Cary.

Dziewczyna, osłupiała ze zdumienia, patrzyła, jak ręka Drefana dociera do krocza leżącej. Widziała wyraźnie, jak błędząc pod obcisłym skórzanym uniformem, palce uzdrowiciela zagłębiają się w jej przyrodzenie. Z całej siły uderzyła mężczyznę pięścią w nerw biegnący z boku ramienia. Drefan zwinął się z bólu i z jękiem upadł na bok, kryjąc ramię, w które go uderzyła.

- Mówiłam ci, że to bardzo ważna osoba! Jak śmiesz ją tak obmacywać?! Nie pozwolę na to, rozumiesz?!

- Wcale jej nie obmacywałem - burknął.

- A niby co robiłeś?! - Kahlan wciąż była rozgniewana.

- Próbowałem ustalić, co uczynił jej ten Nawiedzający Sny. W ogromnym stopniu zakłócił jej aurę, przepływ energii, kontrolę umysłu nad ciałem. Precyzyjnie rzecz ujmując, to nie są konwulsje. Ona cierpi na nie kontrolowane skurcze mięśni.

Przed chwilą upewniałem się, czy Nawiedzający Sny nie pobudził tej części jej umysłu, która kontroluje podniecenie. Sprawdzałem, czy nie wprowadził jej aby w stan nieustannego orgazmu. Muszę wiedzieć, jakie blokady i pobudzenia zakłócił, by móc się zorientować, jak to naprawić.

Nadine pochyliła się ku niemu z szeroko otwartymi oczami.

- Magia może sprawić coś takiego? że ktoś ma... bez przerwy...? Drefan przytaknął, poruszając obolałym ramieniem.

- Jeśli praktykujący wie, co robi.

- A ty to potrafisz? - spytała bez tchu.

- Nie. Nie mam ani daru, ani żadnych magicznych zdolności, lecz wiem, jak to leczyć, jeżeli szkoda nie jest zbyt wielka. - Kaptur obrócił się ku Kahlan. - Czy teraz pozwolisz mi działać dalej, czy też wolisz, żeby umarła?

- Kontynuuj. Lecz jeśli jeszcze raz wepchniesz tam łapę, zostaniesz

jednorękim uzdrowicielem.

- Już się dowiedziałem tego, co chciałem wiedzieć. Nadine znów się ku niemu nachyliła.

- Czy ona...? - spytała

- Nie. - Machnął ręką z irytacją. - Zdejmij jej buty. Nadine przesunęła się i wykonała polecenie. Drefan obrócił się nieco ku Kahlan, jakby zerkał na nią spod kaptura.

- Wiesz, jak trafić w ten właśnie nerw na ramieniu, czy też udało ci się to przypadkiem?

Dziewczyna wpatrywała się w mrok pod kapturem, starała się dojrzeć oczy.

Nie mogła.

- Nauczono mnie takich rzeczy, że bym mogła się bronić i w innych celach.

- Jestem pod wrażeniem. Skoro tak dobrze znasz przebieg nerwów, to mogłabyś się nauczyć leczyć, zamiast ranić. - Przeniósł uwagę na Nadine. - Naciśnij trzecią przednią oś tylnego meridianu.

- Co? - zdumiała się Nadine.

- Pomiedzy ścięgnem w dole łydki, z tyłu, a wystającą w bok kością. Naciśnij kciukiem i palcem wskazującym. Na obu kostkach.

Nadine uczyniła, co jej kazano, a Drefan przycisnął małe palce za uszami Cary i kciuki do szczytów jej barków.

- Mocniej, kobieto. - Położył obie dłonie, jedną na drugiej, na mostku Cary.

- Drugi meridian - mruknął.

- Co?

- Przesuń palce pół cala w dół i naciśnij. Obie kostki. - Przesuwał palce po czaszce Mord-Sith, koncentrując się na tym, co czynił. - W porządku. Pierwszy meridian.

- Znów pół cala w dół? - spytała Nadine.

- Tak, tak, szybko.

Ujął łokcie Cary między kciukiem a palcem wskazującym i uniósł je o kilka cali. W końcu przysiadł na piętach i westchnął.

- Zdumiewające. To nic dobrego - mruknął do siebie.

- O co chodzi? Czy to znaczy, że nie możesz jej pomóc? - spytała Kahlan.

Zbył ją machnięciem ręki, jakby był zbyt pochłonięty myślami, żeby odpowiedzieć.

- Odpowiedz - nalegała dziewczyna.

- Jeśli zechcę, byś mi przeszkadzała, kobieto, to cię o to poproszę.

Nadine pochyliła się ku niemu i przechyliła na bok głowę.

- Masz ty pojęcie, do kogo mówisz? - Brodą wskazała Kahlan. Drefan dotykał płatków uszu Cary.

- Sądząc po wyglądzie, to jakaś nachalna sprzątaczką, której przydałaby się kąpiel.

- Dopiero co się kąpałam - rzekła szeptem Kahlan.

- Lepiej okaż trochę szacunku, panie uzdrowicielu. - Nadine znacząco zniżyła głos. - To właścicielka tego pałacu. Calutkiego. Matka Spowiedniczka we własnej osobie.

Drefan przesunął palcem po wewnętrznej stronie ramion Cary.

- Ach tak? To się jej chwali. A teraz bądźcie cicho. Obie.

- Jest również narzeczoną samego lorda Rahla. Ręce Drefana znieruchomiały.

Skamieniał.

- A skoro lord Rahl jest władcą D'Hary, a ty jesteś z D'Hary - podjęła Nadine

- to uważam, że on jest twoim szefem. I gdybym była tobą, okazywałabym więcej respektu przyszłej żonie lorda Rahla. On nie lubi tych, którzy nie szanują kobiet.

Widziałam, jak wybija zęby tym, którzy nie okazują należytego szacunku.

Drefan ani drgnął.

Kahlan uznała, że Nadine przedstawiła rzecz bardzo brutalnie, lecz wątpiła, czy to w ogóle coś da.

- I jeszcze coś - dorzuciła Nadine. - To właśnie ona zabiła asasyina. Magią.

Drefan wreszcie odchrząknął.

- Wybacz mi, o pani...

- Matko Spowiedniczko - poprawiła go Kahlan.

- Pokornie proszę o wybaczenie... Matko Spowiedniczko. Nie wiedziałem. Nie miałem zamiaru...

- Rozumiem - przerwała mu. - Bardziej zajmowało cię leczenie Cary niż

formalności. Mnie też to bardziej obchodzi. Możesz jej pomóc?

- Tak.

- A więc do dzieła.

Natychmiast odwrócił się ku Mord-Sith. Kahlan zmarszczyła brwi i obserwowała, jak kreśli znaki tuż nad ciałem leżącej na wznak Cary. Dłonie Drefana zatrzymywały się czasami, palce drżały z wysiłku, wykonując jakieś niewidoczne zadanie.

Nadine znów skrzyżowała ramiona. Siedziała teraz u stóp leżącej.

- I to nazywasz leczeniem? Moje ziółka lepiej by podziały niż te głupoty, a już na pewno szybciej.

- Głupoty? - Drefan podniósł wzrok. - Tak o tym myślisz? Uważasz, że to jakaś bzdura? Czy się choć odrobinę orientujesz, młoda damo, z czym mamy do czynienia?

- To paroksyzm. Trzeba z tym skończyć, a nie modlić się nad tym.

Uklęknął.

- Jestem arcykapłanem Raug'Moss. Nie mam zwyczaju modlić się za moje uzdrowienia. - Nadine prychnęła szyderczo, a Drefan skinął głową, jakby się na coś zdecydował. - Chcesz zobaczyć, z czym się mierzymy? Chcesz dowodu zrozumiałego dla prostej zielarki?

Nadine łypnęła nań gniewnie.

- Mały dowodzik byłby bardzo wskazany, skoro brak wyników.

- Widziałem róg z bylicą. Podaj mi go. Zakładam, że masz w tej torbie i stoczek. Zapal go i przynieś tutaj.

Nadine podeszła ze świecą do pochodni, żeby ją od niej zapalić, Drefan zaś rozchylił opończę i wyjął z sakwy kilka rzeczy. Nadine podała mu zapaloną świecę.

Nakapał na podłogę roztopionego wosku i wetknął weń świeczkę. Potem sięgnął pod opończę i wyciągnął długi nóż o wąskim ostrzu. Pochylił się i przycisnął jego czubek między piersiami Cary. Ukazała się purpurowa kropla. Uzdrowiciel odłożył nóż, nachylił się nad leżącą i łyżką o długiej ręczce zebrał kroplę krwi. Usiadł na piętach, odkorkował podany przez Nadine róg i nasypał trochę bylicy na krew.

- I ty to nazywasz bylicą? Powinnaś zbierać tylko pokrytą meszkiem spodnią stronę liścia. A tu są całe liście.

- No i co z tego? Przecież to wszystko bylica.

- Ale niskiej jakości. Powinnaś się nauczyć stosować zioła wysokiej jakości.

Tak czy owak, co z ciebie za zielarka?

Nadine spojrzała na niego z oburzeniem.

- I tak działa, jak trzeba. Szukasz pretekstu, by wykręcić się od udowodnienia nam, że wiesz, co czynisz? Próbujesz zrzucić swoje niepowodzenie na jakość bylicy?

- Jakość zieleń aż nadto wystarcza do moich celów, lecz jest zbyt niska do twoich. - Głos Drefana stał się mentorski, jeśli już nie nieuprzejmy. - Następnym razem oczyść zbierane ziele, a przekonasz się, że bardziej pomaga tym, którzy go potrzebują. - Uzdrowiciel nachylił się i trzymał łyżkę nad płomykiem świecy, dopóki bylica się nie zapaliła, uwalniając przy tym sporo dymu i wydając ciężki, piżmowy zapach. Drefan zatoczył dymiącą łyżką koło nad brzuchem Cary. Utworzyła się warstewka dymu. Podał łyżkę Nadine. - Trzymaj to między jej stopami. - Przycisnął palce do skroni i szeptem zaintonował jakąś formułkę. Odsunął ręce od głowy. - A teraz zobaczcie to, co ja dostrzegam i wyczuwam i bez dymu.

Przyłożył kciuki do skroni Cary, a małe palce do boków szyi Mord-Sith.

Gruba warstwa dymu się poderwała.

Kahlan wstrzymała oddech, widząc grube linie dymu wijące się węzowato nad ciałem Cary. Drefan cofnął dłonie i pasma dymu znieruchomiały. Niektóre wyginały się łukowato od mostka kobiety ku jej piersiom, barkom, biodrom i udom. Płatanina linii biegła od górnej części głowy do punktów rozmieszczonych na całym ciele.

Arcykapłan przesunął palcem ponad jedną z nich.

- Widzicie tę? Tę biegnącą od lewej skroni do lewej nogi? Patrzcie. - Przycisnął palce do podstawy czaszki Cary, po lewej stronie, i linia dymu przesunęła się ku prawej nodze. - O właśnie. Tak powinna biec.

- Co to takiego? - spytała ze zdumieniem Kahlan.

- Linie jej meridianów: przepływ jej siły, jej życia. Jej aura. I jeszcze więcej, lecz trudno wara to wyjaśnić w kilku słowach. Ukazałem wam to tak, jak snop słonecznych promieni ujawnia unoszące się w powietrzu drobinki kurzu.

Nadine siedziała jak sparaliżowana z szeroko otwartymi ustami i trzymała dymiącą łyżkę.

- A jak sprawiłeś, że linie się poruszały?
- Wykorzystałem moją energię życiową, by przesłać siłę uzdrawiającą tam, gdzie była potrzebna.

- W takim razie masz magiczną umiejętność - wyszeptała Nadine.

- Nie, to efekt wyuczony. Ściśnij jej kostki tak jak za pierwszym razem.

Nadine odłożyła łyżkę i nacisnęła kostki Cary. Splątane linie biegnące ponad nogami Mord-Sith poruszyły się i rozplatały. Teraz ciągnęły się prościutko od bioder do stóp.

- O właśnie - oznajmił Drefan. - Naprawiłaś linie nóg. Widzisz, już się nie trzęsą.

- Ja to zrobiłam? - niedowierzała Nadine.

- Tak. Ale to było łatwe. Widzisz to? - Wskazał ciągnącą się od głowy Cary splątaną sieć linii. - To najgorsze, co uczynił Nawiedzający Sny. Trzeba to rozplatać.

Te linie wskazują, że Mord-Sith nie może kontrolować swoich mięśni. Nie może mówić, straciła wzrok. Spójrz tutaj. Ta linia biegnie na zewnątrz od jej uszu i zawraca ku czołu. Tylko ona przebiega prawidłowo. Słyszy więc i rozumie, co mówimy, lecz nie może na to zareagować.

Kahlan na chwilę otworzyła usta.

- Słyszysz nas?

- Każde słowo. Bądź pewna, że wie, iż staramy się jej pomóc. A teraz pozwólcie, że się skoncentruję. Wszystko musi zostać zrobione we właściwym porządku, bo inaczej ją stracimy.

- Oczywiście. - Kahlan skinęła przyzwalająco dłońmi. - Rób, co musisz, by ją uzdrowić.

Drefan przystąpił do działania, przyciskał palce lub dłonie do rozmaitych miejsc na ciele Cary. Niekiedy dotykał jej czubkiem noża. Nigdy nie utoczył więcej niż jedną kroplę krwi. Prawie za każdym razem jedna z linii dymu poruszała się i rozplątywała - jedne opadały na ciało Cary, inne wyginały się łukiem na zewnątrz i wracały do punktu, którego Drefan dotykał. Kiedy ścisnął ciało Mord-Sith kciukiem i palcem wskazującym, nie tylko wyrównały się linie ponad jej ramionami, ale Cara jęknęła z ulgą i poruszyła głowę oraz barkami. To była pierwsza reakcja na ich zabiegi. Gdy nakłuł nożem kostki, Mord-Sith zachłysnęła się powietrzem, a potem zaczęła szybko i równomiernie oddychać. Kahlan poczuła ulgę i zarazem nadzieję.

W końcu Drefan okrążył ciało Cary i zajął się jej głową. Naciskał kciukami grzbiet nosa, czoło. Leżąca już nie drżała, nie trzęsła się. Spokojnie, równo oddychała.

Uzdrowiciel dotknął czubkiem noża punktu między brwiami Cary.

- To powinno załatwić sprawę - mruknął do siebie. Niebieskie oczy Cary otworzyły się i poszukały Kahlan.

- Słyszałam twoje słowa - wyszeptała Mord-Sith. - Dziękuję, siostrze.

Kahlan uśmiechnęła się; była już spokojna. Wiedziała, co tamta miała na myśli. Cara słyszała, jak dziewczyna mówiła jej, że nie jest sama.

- Dopadłam Marlina. Cara się uśmiechnęła.

- Jestem dumna, że z tobą służę. żałuję, że niepotrzebnie włożyliście tyle wysiłku w uzdrowienie mnie.

Kahlan zmarszczyła brwi, gdyż nie miała pojęcia, o co chodziło Carze. Mord-Sith odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na pochylonego nad nią Drefana.

- Jak się czujesz? - spytał. - Czy już wszystko w porządku? Cara ściągnęła brwi, zmieszana i zaniepokojona.

- Lord Rahl? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie, jestem Drefan.

Zsunął kaptur. Kahlan i Nadine otworzyły szeroko oczy.

- Ale Rahl Posępny był również moim ojcem. Jestem przyrodnim bratem lorda Rahla.

Kahlan patrzyła nań ze zdumieniem. Był równie wysoki i muskularny jak Richard. Jego włosy były tak samo jasne jak włosy Rahla Posępnego, choć krótsze i nie tak gładkie. Richard miał włosy ciemniejsze i grubsze. Oczy Drefana - przeszywająco błękitne jak Rahla Posępnego, lecz nie szare jak Richarda - też były bystre i przenikliwe niczym oczy drapieżnego ptaka. Rysy twarzy natomiast - równie nieskazitelne jak u Rahla Posępnego. Richard nie odziedziczył owej niesamowitej doskonałości. Drefan bardziej przypominał Rahla Posępnego niż Richarda.

Nikt co prawda nie pomyliłby Drefana z Richardem, lecz każdy bez trudu pojąłby, że byli braćmi.

Kahlan zastanawiała się, dlaczego Cara popełniła taką pomyłkę. Potem zobaczyła Agiel w pięści Mord-Sith. „Lord Rahl” Cary znaczyło zupełnie co innego.

Zdezorientowana, ledwo co odzyskawszy przytomność, Cara patrzyła na pochylonego nad nią Drefana i wcale nie wzięła go za Richarda. Pomyślała, że to Rahl Posępny.

ROZDZIAŁ 14

Głuchą ciszę zakłócało jedynie stukanie paznokcia o gardę miecza. Richard wsparł łokieć drugiej ręki na gładkim blacie stołu, głowę oparł w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym. Twarz miał spokojną, robił, co mógł, by zapanować nad gniewem. Był wściekły. Tym razem przeciągnęli strunę i wiedzieli o tym.

Richard przejrzał w myślach całą listę kar, lecz wszystkie odrzucił - nie dlatego, że były zbyt surowe, ale dlatego, że wiedział, iż nic nie dadzą. W końcu zdecydował się na prawdę. Nie było nic surowszego od prawdy i nic nie mogło do nich lepiej dotrzeć.

Berdine, Raina, Ulic i Egan stali w szeregu przed lordem Rahlem. Stali sztywno, wbijając wzrok w coś ponad jego głowę, a on siedział za stołem w niewielkiej komnacie, w której zwykle spotykał się z ludźmi, czytał i pracował.

W pobliżu stołu wisiał niewielki obraz przedstawiający idylliczne wiejskie sceny, z umieszczonego z tyłu okna wpadały ukośne promienie porannego słońca i zaglądała do komnatki ponura, kamienna Wieża Czarodzieja.

Richard przebywał w Aydindril zaledwie od godziny, a już dowiedział się, co się wydarzyło od poprzedniego wieczoru, gdy wyjechał. Czworo ludzi z jego ochrony wróciło przed świtem. Nakazał im wracać do Aydindril, kiedy tylko Raina i Egan zjawili się nocą w obozie. Nie przypuszczali, że każe im wracać po zmroku. Mylili się. Zwykle bywali bezczelni, lecz tym razem wyraz oczu chłopaka sprawił, że żadne nie ośmieliło się złamać rozkazu.

On sam też wrócił wcześniej, niż zamierzał. Pokazał żołnierzom dęby skalne, powiedział, co mają zbierać, i - zamiast nadzorować ich pracę - ruszył samotnie ku Aydindril, zanim wzeszło słońce. Po tym, co zobaczył nocą, i tak by nie zasnął, no i chciał się znaleźć z powrotem w mieście tak szybko, jak to tylko możliwe.

Richard bębnił palcami po blacie stołu i obserwował, jak cała czwórka się poci. Berdine i Raina miały na sobie uniformy z brązowej skóry, warkocze rozwichrzyły im się trochę podczas pospiesznej jazdy.

Obaj wielcy jasnowłosi żołnierze, Ulic i Egan, odziani byli w stroje ze

skórzanych rzemieni i pasów. Grube płyty skóry ukształtowano tak, by ściśle przylegały do potężnych mięśni olbrzymów. Na napierśnikach widniało ozdobne „R”, symbol dynastii Rahlów, a poniżej dwa skrzyżowane miecze. Tuż nad łokciami mieli złociste pierścienie, nabijane ostrymi jak brzytwa kolcami, służące do walki wręcz.

Takie pierścienie nosiła jedynie przyboczna ochrona lorda Rahla. Były nie tylko bronią, lecz także najwyższą honorową odznaką zdobytą w nie znany Richardowi sposób.

Richard odziedziczył władzę nad ludem, o którym nic nie wiedział, nad ludem mającym tajemnicze dlań obyczaje, ludem, którego nadzieje zaledwie po części pojmował.

Po powrocie cała czwórka również dowiedziała się, co się wydarzyło z Marlinem. Wiedzieli, po co ich wezwano, lecz chłopak jeszcze się do nich nie odezwał. Najpierw usiłował zapanować nad wściekłością.

- Lordzie Rahlu?

- Słucham, Raino?

- Gniewasz się na nas? Gniewasz się, że złamaliśmy twoje rozkazy i pojechaliśmy do ciebie z wiadomością od Matki Spowiedniczki?

Owa wiadomość była tylko pretekstem i wiedzieli o tym równie dobrze jak on.

Kciuk Richarda miarowo bębnił o blat stołu.

- To wszystko. Możecie odejść. Wszyscy.

Stanęli swobodniej, ale żadne nie zamierzało opuścić komnaty.

- Odejść? - zapytała Raina. - Nie chcesz nas ukarać? - Na jej ustach pojawił się uśmiešek. - Może każesz nam przez tydzień czyścić stajnie albo coś w tym rodzaju?

Richard odsunął się od stołu, zgrzytnął zębami. Nie miał nastroju do wysłuchiwania ich szelmowskich uwag. Wstał.

- Nie, Raino, żadnych kar. Możecie odejść.

Obie Mord-Sith się uśmiechnęły. Berdine nachyliła się ku Rainie i szepnęła, ale na tyle głośno, żeby to usłyszał:

- Rozumie, że najlepiej wiemy, jak go chronić. Wszyscy czworo ruszyli ku drzwiom.

- Chcę, byście się czegoś dowiedzieli, zanim odejdziecie - oznajmił Richard, obchodząc stół.

- O co chodzi? - spytała Berdine.

Richard przeszedł przed nimi, zatrzymując się przy tym, by spojrzeć im w oczy.

- Zawiodłem się na was. Raina się skrzywiła.

- Zawiodłeś się na nas? Nie będziesz wrzeszczał ani nas karał, tylko jesteś zawiedziony?

- Tak. Zawiedliście mnie. Sądziłem, że mogę wam ufać. - Odwrócił się. - Ale nie mogę. Żegnam.

Berdine odkaszlnęła.

- Lordzie Rahlu, ja i Ulic pojechaliśmy z tobą na twój rozkaz.

- Tak? Więc gdybyś to ty została tutaj zamiast Rainy, żeby bronić Kahlan, posłuchałabyś i nie ruszyła się stąd? - Nie odpowiedziała. - Liczyłem na was, a sprawiliście, że czuję się jak głupiec, bo wam zaufałem. - Nie krzyczał, poruszał tylko zaciśniętymi w pięści dłońmi. - Gdybym wiedział, że nie mogę wam ufać, sam zadbałbym o ochronę Kahlan.

Richard oparł się ramieniem o framugę okna i zapatrzył w chłodny wiosenny poranek. Stojąca za nim czwórka z zakłopotaniem przestępowała z nogi na nogę.

- Oddalibyśmy za ciebie życie, lordzie Rahlu - powiedziała w końcu Berdine.

Richard odwrócił się ku nim.

- I pozwolilibyście Kahlan umrzeć! - Postarał się mówić spokojniej. - Możecie sobie oddawać za mnie życie. Stosować te wasze sztuczki. Udawać, że robicie coś ważnego. Bawić się w moich strażników. Tylko nie wchodźcie w drogę ani mnie, ani ludziom pomagającym mi powstrzymać Imperialny Ład. - Skinął dłonią ku drzwiom.

- Żegnam.

Berdine i Raina spojrzały na siebie.

- Gdybyś nas potrzebował, lordzie Rahlu, to będziemy w korytarzu.

Richard obrzucił je tak lodowatym spojrzeniem, że zbladły.

- Nie będę was potrzebować. Nie są mi potrzebni ludzie, którym nie mogę ufać.

Berdine przełknęła ślinę.

- Ale...

- Ale co?

Znów przełknęła ślinę.

- A co z pamiętnikiem Kolo? Nie chcesz, żebym ci pomogła w tłumaczeniu?

- Dam sobie radę. Jeszcze coś? Wszyscy potrząsnęli przecząco głowami.

Powoli wychodzili z komnaty. Idąca na końcu Raina zatrzymała się i odwróciła. Jej ciemne oczy patrzyły w podłogę.

- Lordzie Rahlu, czy zabierzesz nas później na karmienie wiewiórek ziemnych?

- Nie mam czasu. Dadzą sobie radę bez nas.

- Ale... a co z Reggiem?

- Z kim?

- Z Reggiem. Brakuje mu końcówki ogonka. On... on siada na mojej dłoni.

Będzie nas wypatrywał.

Richard patrzył na nią przez wypełnioną ciszą wieczność. Sam nie wiedział, czy mają uściskać, czy na nią nawrzeszczyć. Ale już próbował uścisków czy też ich odpowiedników i Kahlan o mało nie zginęła.

- Może innego dnia. żegnam. Raina otarła dłonią czubek nosa.

- Tak, lordzie Rahlu.

Mord-Sith cicho zamknęła za sobą drzwi. Richard przeczesał włosy palcami i padł na krzesło. Jednym palcem kręcił wciąż w kółko pamiętnikiem Kolo i zgrzytał zębami. Kahlan mogła umrzeć, kiedy on szukał drzew. Kahlan mogła umrzeć, bo ludzie, którzy - jak myślał - ją chronili, realizowali własne plany. Aż się wzdrygnął na myśl, co by się stało, gdyby musiał teraz dobyć miecza i gdyby magiczny gniew złączył się z jego wściekłością. Jeszcze nigdy nie był taki rozwścieczony, gdy nie trzymał w dłoni Miecza Prawdy. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby jeszcze dodać do tego magiczny gniew.

Richardowi wciąż nie dawały spokoju słowa proroctwa wrytego na kamiennej ścianie lochu.

Ciche pukanie do drzwi zagłuszyło powtarzaną po raz setny w myślach przepowiednię. To właśnie na owo stukanie chłopak czekał. Wiedział, kto puka.

- Wejdz, Caro.

Do komnatki wśliznęła się wysoka, muskularna, jasnowłosa Mord-Sith.

Zamknęła za sobą drzwi. Głowę miała schyloną, Richard jeszcze nigdy

nie widział Cary tak przygnębionej.

- Mogę z tobą pomówić, lordzie Rahlu?

- Dlaczego się ubrałaś w czerwony skórzany uniform? Przełknęła ślinę, a potem odpowiedziała:

- To... sprawa Mord-Sith, lordzie Rahlu.

Nie poprosił o wyjaśnienie, tak naprawdę nic go ono nie obchodziło. To na Carę czekał. To ona była przyczyną jego wściekłości.

- Rozumiem. Czego chcesz?

Cara podeszła do stołu i stanęła przygarbiona. Miała obandażowaną głowę, lecz Richardowi powiedziano, że nie jest to poważna rana. Czerwone obwódki wokół oczu świadczyły, że Mord-Sith nie spała całą noc.

- Jak się czuje Matka Spowiedniczka?

- Odpoczywała, kiedy ją opuszczałem. Nic jej nie będzie. Jej rany nie były tak poważne, jak mogły być. Ma szczęście, że ocalała życie, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło. Biorąc pod uwagę, że w ogóle nie powinna się tam znaleźć z Marlinem, zwłaszcza że wyraźnie ci oznajmiłem, iż nie życzę sobie, by któraś z was tam schodziła.

Cara zamknęła oczy.

- To wyłącznie moja wina, lordzie Rahlu. To ja ją do tego namówiłam. Ja chciałam przesłuchać Marlina. Próbowала mnie przekonać, żebym tam nie szła, ale ja i tak poszłam. Matka Spowiedniczka zeszła ze mną tylko po to, żeby mnie namówić, bym zostawiła go w spokoju, jak nakazałeś.

Gdyby Richard nie był tak zły, roześmiałby się. Nawet gdyby Kahlan nie wyznała mu prawdy, i tak znalazł ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że usprawiedliwienia Cary to czysty wymysł. Jednak wiedział również, że Cara nie przyłożyła się dostatecznie, by trzymać Kahlan z dala od asasy.

- Sądziłam, że go kontroluję. Myliłam się. Richard pochylił się do przodu.

- Czyż nie powiedziałem wyraźnie, że nie chcę, by któraś z was tam schodziła?

Ramiona Cary zadrżały, potaknęła, nie podnosząc wzroku. Chłopak uderzył pięścią w stół, aż Mord-Sith drgnęła.

- Odpowiedz! Czyż nie powiedziałem wyraźnie, że nie chcę, by któraś z was tam schodziła?

- Powiedziałeś, lordzie Rahlu.

- Czy miałaś jakiegokolwiek wątpliwości co do moich słów?

- Nie, lordzie Rahlu.

Richard odchylił się do tyłu na krześle.

- I to był błąd, Caro. Rozumiesz? Nie popełniłaś go dlatego, że nie miałaś nad nim kontroli, bo to leżało poza twoimi możliwościami. Wybrałaś zejście na dół. I tu popełniłaś błąd. Kocham Kahlan ponad wszystko na tym świecie, ponad wszystko we wszystkich innych światach. Jest dla mnie najcenniejsza. Ufałem, że będziesz ją chronić, że nie pozwolisz jej skrzywdzić.

Promienie słońca przenikające jak przez liście przez cienką wzorzystą firankę kładły się cętkami na czerwonym skórzanym uniformie Cary.

- Lordzie Rahlu - powiedziała Mord-Sith cichutko - w pełni rozumiem ogrom swojej winy oraz to, co to oznacza. Czy mogę cię o coś prosić, lordzie Rahlu?

- A o cóż to?

Osunęła się na kolana i kornie pochyliła do przodu. W obu drżących dłoniach uniosła Agiel.

- Czy mogę wybrać sposób swojej egzekucji?

- Co takiego?

- Mord-Sith ubiera się na czerwono na swoją egzekucję. Jeżeli wcześniej służyła zaszczytnie, to pozwala się jej wybrać sposób egzekucji.

- A co ty byś wybrała?

- Mój Agiel, lordzie Rahlu. Wiem, że cię zawiodłam, że popełniłam niewybaczalne wykroczenie, lecz w przeszłości służyłam z honorem. Pozwól, proszę, żeby uczyniono to moim Agielem. To moja jedyna prośba. Może tego dokonać Berdine lub Raina. One wiedzą jak.

Richard obszedł stół. Oparł się o jego róg i spojrzał na drżącą, skuloną, klęczącą Carę. Skrzyżował ramiona.

- Odmawiam.

Szloch wstrząsnął jej ramionami.

- Mogę zapytać, co... wybiera lord Rahl?

- Spójrz na mnie, Caro - powiedział łagodnie, a ona uniosła zalaną łzami twarz. - Jestem zły, Caro. Ale nigdy, przenigdy, choćbym był nie wiem jak wściekły, nie każę nikogo z was zabić.

- Musisz. Zawiodłam cię. Nie posłuchałam rozkazu nakazującego chronić twoją ukochaną. Popełniłam niewybaczalny błąd.

Richard się uśmiechnął.

- Nie wiem, czy istnieją niewybaczalne błędy. Mogą być niewybaczalne zdrady, ale nie błędy. Gdybyśmy zaczęli skazywać ludzi na śmierć za błędy, to obawiam się, że już dawno bym nie żył. Wciąż je popełniam. Niektóre były całkiem poważne.

Cara potrząsnęła głową, patrząc mu w oczy.

- Mord-Sith wie, kiedy zasłużyła na śmierć. Ja zasłużyłam. - W niebieskich oczach Richard wyczytał twarde jak stal postanowienie. - Albo ty się tym zajmiesz, albo sama to zrobię.

Chłopak stał przez chwilę nieruchomo i rozważał poczucie obowiązku wiążące Mord-Sith. Oceniał obłęd widoczny w jej oczach.

- Chcesz umrzeć, Caro?

- Nie, lordzie Rahlu. Od kiedy zostałeś naszym lordem Rahlem, już nigdy nie chciałam umrzeć. I dlatego właśnie muszę. Bo cię zawiodłam. Mord-Sith żyje i umiera zgodnie z obowiązkiem wobec swojego władcy. Ani ty, ani ja nie możemy zmienić tego, co musi nastąpić. Moje życie dobiegło kresu. Musisz przeprowadzić egzekucję, albo sama to zrobię.

Richard wiedział, że Cara nie chciała wzbudzić w nim litości. Mord-Sith nie udawały. Cara spełni groźbę, jeśli nie zdoła jej jakoś przekonać, by zmieniła zdanie.

Dobrze to rozumiał i dlatego pojął, że ma tylko jedną możliwość. Wykroczył w myślach poza psychiczną normalność i znalazł się w obszarze szaleństwa obejmującym część umysłu tej kobiety, a jak się obawiał, również jego.

Podjął decyzję równie nieuniknioną jak kolejne uderzenie serca.

Dobył miecza. Cicho, charakterystycznie zadźwięczała stalowa klinga.

Ten pozornie prosty akt uwolnił magię oręża. Otworzyły się drzwi wiodące do śmierci. I Richard stracił na chwilę oddech, zupełnie niczym w ostrym powiewie wichru. Wichru budzącego w nim rozszalałą wściekłość.

- Twoim sędzią i katem będzie więc magia - powiedział Carze. Mord-Sith mocno zacisnęła powieki.

- Patrz na mnie!

W chłopaku szalał magiczny gniew, próbował go ponieść. Richard - jak zawsze, kiedy uwalniał magiczną wściekłość - walczył o zachowanie kontroli.

- Masz mi patrzeć w oczy, kiedy cię będę zabijał!

Cara otworzyła oczy. Ściągnęła brwi, płakała. W obliczu niełaski ulotniło się wszystko: dobro, jakie kiedykolwiek uczyniła, dzielność w niebezpieczeństwie, poświęcenie dla obowiązku. Odmówiono jej honorowej, zadanej Agielem śmierci. I dlatego właśnie płakała.

Richard przycisnął ostrze do przedramienia, dał mu pokosztować krwi.

Dotknął ostrzem czoła, dotknął czoła Mieczem Prawdy, zimną stałą, ciepłą krwią.

Wyszeptał prośbę:

- Nie zawieź mnie, mieczu.

Oto osoba, przez której zbytnią pewność siebie, gdyby nie odrobina szczęścia, mógł utracić Kahlan. Mógł wszystko utracić.

Patrzyła, jak unosił miecz. Widziała w oczach chłopaka wściekłość, słuszny gniew. Widziała tańczącą w nich magię.

Widziała tańczącą w nich śmierć.

Tak mocno zaciskał w dłoniach rękojeść, że aż zbieleły mu kłykcie.

Wiedział, że musi zaryzykować, że nie zdoła zmienić wyroku magii. Pozwolił ujść wściekłości na tę kobietę za to, że nie dopełniła obowiązku chronienia Kahlan.

Jej arogancja mogła kosztować Kahlan życie, mogła zniszczyć jego przyszłość, odebrać mu cel i powód do życia. Powierzył jej pieczy to, co miał najdroższego, swoją najukochańszą osobę, a ona zawiodła jego zaufanie, nie wypełniła obowiązku.

Po powrocie mógł stwierdzić, że przez tę klęczącą przed nim kobietę Kahlan nie żyje. Tylko przez nią.

W oczach obojga widniało to samo szaleństwo, oboje wiedzieli, że nie mają innego wyjścia.

Zdecydował, że rozszczepi ją na dwoje.

Żądała tego wściekłość miecza.

Nie poprzestanie na niczym mniejszym.

Wyobraził to sobie.

Dostanie to, czego chce.

Jej krew.

Krzycząc z wściekłości, Richard z całej mocy, jaką dawał mu gniew, opuścił miecz ku twarzy Cary.

Czubek klingi ze świstem przeciął powietrze.

Lśniaca klinga przeszła przez snop słonecznych promieni i Richard zobaczył, jak na chwilę rozbłysła. Zobaczył, jak błyszczą w słońcu, jakby znieruchomiały w przestrzeni, krople jego potu. Mógłby je policzyć. Wiedział, gdzie trafi ją ostrze. Ona również wiedziała, gdzie ją uderzy. Mięśnie chłopaka krzyczały z wysiłku, jego płuca krzyczały z wściekłości.

Klinga zatrzymała się cał przed punktem między oczami Cary, zatrzymała się, jakby natrafiła na nieprzenikliwą ścianę.

Pot ściekał po twarzy Richarda. Drżały mu ramiona. Komnata rozbrzmiewała echem jego pełnego wściekłości krzyku.

W końcu cofnął miecz.

Mord-Sith patrzyła nieruchomymi, szeroko rozwartymi oczami. Z rozchylnych ust wydobywał się urywany, płytki, pospieszny oddech. I cichutki jęk.

- Nie będzie żadnej egzekucji - powiedział ochryple Richard.

- Jak... jak... miecz mógł to uczynić? Jak mógł się tak zatrzymać? - wyszeptała Cara.

- Wybacz, Caro, lecz magia miecza dokonała wyboru. Uznała, że powinnaś żyć. Musisz zaakceptować jej wybór.

Mord-Sith ostatecznie spojrzała mu w oczy.

- Zamierzałeś to uczynić. Zamierzałeś mnie ściąć. Chłopak powoli wsunął miecz do pochwy.

- Tak.

- To dlaczego żyję?

- Bo magia tak zdecydowała. Nie możemy podważać jej wyroku. Musimy go zaakceptować.

Prawdę mówiąc, Richard spodziewał się, że magia miecza nie uczyni Carze krzywdy. Nie pozwoliłaby mu skrzywdzić tej, która była przecież jego sojuszniczką.

Liczył na to.

Ale był cień wątpliwości. Cara, choć niechcący, wciągnęła Kahlan w niebezpieczną sytuację. I Richard nie miał całkowitej pewności, że miecz oszczędzi Mord-Sith. Tak to już bywało z magią Miecza Prawdy: nigdy nie miało się całkowitej pewności.

Wręczając chłopakowi miecz, Zedd poinformował go, że w tym właśnie tkwi całe niebezpieczeństwo. Miecz niszczył wroga i ocalał przyjaciela, lecz

jego magia kierowała się nie prawdą, a odczuciem tego, który władał orężem. Pierwszy Czarodziej uprzedzał, że wątpliwość może się stać powodem śmierci przyjaciela lub umożliwić ucieczkę wrogowi.

Chłopak rozumiał jednak, że jeśli to ma się udać, musi włożyć w ów czyn całą swoją istotę. Inaczej Cara nie uwierzyłaby, że ocaliła ją magia, i przypisałaby to jemu, Richardowi. A wówczas musiałyby postąpić tak, jak zdecydowała i jak było trzeba.

Chłopakowi zdawało się, że wnętrze skręciły mu się w twarde supły.

Drżały pod nim kolana. Znalazł się w okowach lęku i przerażenia, nie miał pewności, że stanie się tak, jak to sobie zaplanował.

Co gorsza, wcale nie był przekonany, czy nie popełnił błędu, ocalając Carę.

Dotknął dłonią jej policzka.

- Miecz Prawdy dokonał wyboru. Uznał, że powinnaś żyć, że powinnaś dostać jeszcze jedną szansę. Musisz zaakceptować tę decyzję.

Cara skinęła głową.

- Tak, lordzie Rahlu.

Pomógł jej wstać z klęczek. Sam ledwo mógł się utrzymać na nogach i zastanawiał się, czy będąc na miejscu Cary, potrafiłby tak płynnie się podnieść i pewnie stanąć.

- W przyszłości będę postępować rozsądniej, lordzie Rahlu. Richard przyciągnął jej głowę do swego ramienia i przez chwilę mocno tulił Carę, tak jak tego pragnął. I ona go objęła.

- Tylko o to cię proszę, Caro.

Ruszyła ku drzwiom, lecz Richard ją zawołał. Odwróciła się.

- I tak musisz ponieść karę.

- Tak, lordzie Rahlu. - Spuściła wzrok.

- Jutro po południu. Będziesz musiała karmić wiewiórki ziemne.

- Lordzie Rahlu? - Spojrzała nań ze zdumieniem.

- Chcesz karmić wiewiórki ziemne?

- Nie, lordzie Rahlu.

- A więc to będzie twoja kara. Przyrowadź Berdine i Rainę. Im również należy się kara.

Richard zamknął za nią drzwi, oparł się o nie i zacisnął powieki. Szaleńczy gniew miecza strawił jego wściekłość. Był pusty i słaby. Drżał tak,

że z trudem stał.

Aż mdliło go na wspomnienie oczu Cary, kiedy z całej siły ciął mieczem, zdecydowany ją zabić. Przygotował się na rozprysk krwi i kości. Krwi i kości Cary.

Osoby, którą lubił.

Uczynił, co musiał, żeby uratować jej życie, lecz jakim kosztem?

W myślach wirowały mu słowa prorocтва i fala mdłości powaliła go na kolana, oblanego zimnym potem i ogarniętego przerażeniem.

ROZDZIAŁ 15

żołnierze, których Richard zostawił wcześniej przed komnatami Matki Spowiedniczki, rozstępowali się przed nim, przykładając w salucie pięść do serca.

Chłopak z roztargnieniem oddawał honory, idąc szybko w rozwianej złocistej pelerynie. Strażnicy skrzyżowali piki, zagradzając przejście trzem Mord-Sith i dwóm wielkim gwardzistom wlokącym się w pewnej odległości za Richardem. Kiedy rozstawiał tu żołnierzy, powiedział im, kogo mają przepuścić. Na bardzo krótkiej liście nie było pięciorga jego strażników.

Richard obejrzał się i dostrzegł, że Agiele tkwiły w pięściach kobiet. Spojrzał Carze w oczy. Trzy Mord-Sith niechętnie opuściły broń.

Pięcioro strażników wycofało się i z własnej woli zajęło posterunki poza linią żołnierzy. Cara dała znak dłonią, a Raina i Ulic pospiesznie zniknęli w korytarzu. Bez wątpienia wysłała ich, żeby obeszlą go dokoła i strzegli drugiego krańca.

Niedaleko komnaty Kahlan Richard zobaczył Nadine siedzącą na krześle o pozłacanych nogach. Wymachiwała nogami jak znudzone dziecko oczekujące wyjścia na dwór, gdzie mogłoby się bawić. Na widok chłopaka poderwała się. Wyglądała czysto i świeżo. Gęste włosy błyszczwały. Richard zmarszczył brwi; jej suknia wydawała się bardziej dopasowana niż poprzedniego dnia. Ściślej przylegała do torsu i bioder kobiety, wydatniej, niż to zapamiętał, podkreślając jej kuszące kształty.

Wiedział, że to ta sama suknia, uznał więc, że tylko mu się tak zdaje. Widok tak kusząco podkreślonych kształtów Nadine przypomniał Richardowi, że był czas...

Nadine pohamowała swój entuzjazm i uśmiechnęła się, nawijając na palec pasemko włosów. Zachwyt jego widokiem malał, w miarę jak Richard się do niej zbliżał. Kiedy przed nią stanął, cofnęła się ku ścianie. Odwróciła wzrok od oczu chłopaka.

- Dzień dobry, Richardzie. Chyba słyszałam, jak ktoś mówił, że już wrócisz.

Byłam. - Wskazała drzwi Kahlan, korzystając z tego pretekstu, by odwrócić wzrok. - Przyszłam zobaczyć, jak Kahlan czuje się tego ranka. Ja...

ja muszę nałożyć nowy okład. Czekałam, żeby już na pewno wstała, i...

- Kahlan opowiedziała mi, jak jej pomogłaś. Dziękuję, Nadine. Doceniam to bardziej, niż ci się zdaje.

Poruszyła ramieniem.

- Oboje jesteśmy hartlandczykami. - W głuchej ciszy skręcała w palcach kosmyk włosów. - Tommy i chuda Rita Wellington pobrali się.

Richard wpatrywał się w czubek jej pochylonej głowy, a zielarka w dalszym ciągu bawiła się pasemkiem włosów.

- Chyba należało się tego spodziewać. Ich rodzice sobie tego życzyli.

Dziewczyna nie podniosła wzroku.

- On ją strasznie tłucze. Pewnego razu musiałam jej dać kataplazmy i zioła, kiedy przez niego krwawiła z... no wiesz. Ludzie mówią, że to nie ich sprawa, i udają, że nie wiedzą, co się dzieje.

Richard nie bardzo wiedział, do czego ona zmierza. Na pewno nie wróci do Hartlandu, żeby wbić Tommy'emu Lancasterowi choć trochę rozumu do głowy.

- No cóż, jeśli nie przestanie, to jej bracia powinni dać mu dobrą nauzkę.

Nadine wciąż nie podnosiła głowy.

- To mogłam być ja. - Odkaszlnęła. - Mogłam wyjść za Tommy'ego i wyplakiwać się teraz każdemu, kto chciałby słuchać, jak... No cóż, to mogłam być ja.

To ja mogłam być w ciąży i zastanawiać się, czy i to dziecko ze mnie wytłucze.

Przyznaję, Richardzie, że mam wobec ciebie dług wdzięczności. A skoro jesteś chłopakiem z Hartlandu i w ogóle... Po prostu chciałam pomóc, gdybyś miał kłopoty.

- Znów poruszyła ramieniem. - Kahlan jest naprawdę miła. Większość kobiet by... jest najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałam. Jest zupełnie inna niż ja.

- Nigdy nie uważałem, że jesteś mi coś winna, Nadine. Postąpiłbym tak samo, gdyby Tommy złapał wtedy jakąś inną samotną dziewczynę. Jestem ci szczerze wdzięczny za to, że pomogłaś Kahlan.

- Oczywiście. Głupia byłam, sądząc, że go powstrzymałeś, bo...

Łzy były tuż-tuż i Richard, który zdał sobie sprawę, że niezbyt dobrze to

wyjaśnił, położył łagodnie dłoń na ramieniu zielarki.

- I ty wyrosłaś na piękną kobietę, Nadine. Zerknęła nań i już zaczynała się uśmiechać.

- Uważasz, że jestem piękna? - Wyglądziła na biodrach niebieską suknię.

- Nie dlatego tańczyłem z tobą na święcie przesilenia letniego, że byłaś ciągle tą małą, niezgrabną Nadine Brighton.

Ponownie nawijała na palec kosmyk włosów.

- Podobał mi się taniec z tobą. Wiesz, na skrzyni na posag wycięłam inicjały

„N. C.” Nadine Cypher.

- Przykro mi, Nadine. Michael nie żyje. Podniosła wzrok, marszcząc przy tym brwi.

- Michael? Nie... to nie jego miałam na myśli. Myślałam o tobie. Richard uznał, że ta rozmowa zaszła za daleko. Miał na głowie o wiele poważniejsze troski.

- Teraz nazywam się Richard Rahl. Nie mogę żyć przeszłością. A moja przyszłość to Kahlan.

Chciał odejść, lecz Nadine chwyciła go za ramię.

- Wybacz. Wiem. I wiem, że popełniłam wielki błąd. To znaczy z Michaeliem.

Richard zdążył się ugryźć w język, zanim palnął jakąś złośliwość. Bo i po co by to było?

- Doceniam to, że pomogłaś Kahlan. Przypuszczam, że chciałabyś już wyruszyć do domu. Powiedz wszystkim, że u mnie dobrze się dzieje. Odwiedzę was, gdy...

- Kahlan zaprosiła mnie na trochę.

Zaskoczyło to chłopaka, gdyż Kahlan nic mu o tym nie powiedziała.

- Ach. I chcesz zostać dzień lub dwa?

- Oczywiście. Z przyjemnością. Nigdy przedtem nie byłam daleko od domu.

Jeśli ci to odpowiada, rzecz jasna. Bo nie chciałabym...

Richard cofnął ramię spod jej dłoni.

- Znakomicie. Skoro cię zaprosiła, to i ja jestem zadowolony. Nadine pojaśniała, zupełnie jakby nie dostrzegła pełnej dezaprobaty miny chłopaka.

- Widziałeś ostatniej nocy księżyc, Richardzie? Wszyscy o tym mówią. Widziałeś? Naprawdę był taki zadziwiający i nadzwyczajny, jak twierdzą?

- O tak, a nawet bardziej - wyszeptał Richard, pochmurniejąc. I odszedł, nim Nadine zdołała jeszcze coś powiedzieć.

Zapukał cicho do drzwi, a te uchylły się, ukazując pulchną kobietę w stroju pokojowej. Różowa twarz wyjrzała przez wąską szczelinę.

- Lord Rahl. Nancy właśnie pomaga się Matce Spowiedniczce ubrać. Za chwilę będzie gotowa.

- Ubrać się! - zawołał do zamykających się drzwi. Szczęknęła zasuwka. - Miała leżeć w łóżu! - wołał do masywnych, ozdobnie rzeźbionych drzwi.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi i uznał, że lepiej zaczekać, niż urządzać jakąś scenę. W pewnej chwili zauważył wyglądającą zza narożnika głowę Nadine. Głowa pospiesznie zniknęła. Richard chodził tam i z powrotem przed drzwiami, aż pulchna kobieta znów je otworzyła - tym razem szeroko - i gestem zaprosiła go do środka.

Wszedł do komnaty z uczuciem, że wkracza do innego świata. Pałac Spowiedniczek był siedzibą wspaniałości, władzy i historii, ale komnaty Matki Spowiedniczki, jak żadna inna jego część, przypominały chłopakowi, że jest tak naprawdę zaledwie leśnym przewodnikiem. Sprawiały, że czuł się nie w swoim żywiole.

Pokoje Matki Spowiedniczki były majestatycznym, pełnym spokoju sanktuarium stosownym dla kobiety, przed którą klękali królowie i królowe. Richard zastanawiał się, czy w ogóle odważyłby się odezwać do Kahlan, gdyby zobaczył tę komnatę, zanim poznał dziewczynę. Nawet teraz czuł się zakłopotany wspomnieniami o tym, jak uczył ją wykopywać korzenie i zastawiać sidła, jak uczył ją tego, nie wiedząc, kim tak naprawdę była.

I uśmiechał się na wspomnienie, z jaką ochotą się tego uczyła. Był wdzięczny, że poznał tę kobietę, nim pojał, jaką funkcję ona pełni i jaką magią włada. Dziękował dobrem duchom za to, że weszła w jego życie, i modlił się do nich, by już na zawsze stanowiła jego część. Bo była dlań wszystkim.

Ogień płonął w trzech marmurowych kominkach salonu Matki Spowiedniczki.

Ciężkie zasłony kryjące wysokie na dziesięć stóp okna rozsunięto tylko

na tyle, by wpuszczaly dość światła przesianego przez przejrzyste firany, żeby nie trzeba było zapalać lamp. Chłopak domyślał się, że jaskrawy słoneczny blask byłby w tym sanktuarium nie na miejscu. W Hartlandzie zbudowano bardzo niewiele domów, które nie zmieściłyby się całe w tej jednej komnacie.

Na błyszczącym, połączonym mahoniowym stoliku stała srebrna taca z herbatą, zupą, sucharkami, plastrami gruszki i ciemnym chlebem. Niczego nie tknięto.

Owy widok przypomniał Richardowi, że od wczoraj nic nie jadł, ale nie pobudził w nim apetytu.

Trzy kobiety w szarych sukniach z białymi koronkowymi kołnierzami i mankietami przyglądały się wyczekująco chłopakowi, jakby czekały, czy ośmieli się bezczelnie wejść do Matki Spowiedniczki, czy też dodatkowo zrobi jeszcze coś skandalicznego. Richard spojrzął na drzwi w przeciwległym krańcu komnaty i z poczucia przyzwoitości spytał o to, co i tak było oczywiste:

- Już ubrana?

Kobieta, która przedtem uchyliła drzwi, poczerwieniała.

- Nie wpuściłabym cię, panie, gdyby nie była.

- Oczywiście. - Bezszelestnie ruszył przez ciemne dywany, wtem jednak zatrzymał się i odwrócił. Wpatrywały się weń jak trzy sowy. - Dziękuję, moje panie.

To wszystko.

Skłoniły się i niechętnie wyszły. Kiedy ostatnia zerknęła na niego przez ramię, nim zamknęła za sobą drzwi, Richard zdał sobie sprawę, że zapewne uznały za najwyższą nieprzyzwoitość fakt, iż narzeczem zostaną sami w sypialni. Tym bardziej że chodziło o Matkę Spowiedniczkę.

Chłopak westchnął z irytacją. Ilekroć znalazł się w pobliżu komnat Matki Spowiedniczki, tylekroć co chwila zjawiał się ktoś ze służby, sprawdzając, czy Kahlan czegoś nie potrzebuje. Richarda wciąż zdumiewała rozmaitość tego, co - według nich - mogło jej być potrzebne. Niekiedy wręcz spodziewał się, że któraś z tamtych kobiet bez ogródek zapyta, czy aby nie trzeba bronić jej cnoty. Z dala od komnat dziewczyny były przyjacielskie i nawet żartowały z nim, jeśli je do tego zachęcił czy pomagał coś przynieść. Za to w jej pomieszczeniach zmieniały się w czujne i zuchwałe sokolice.

W sypialni, pod wyłożoną boazerią ścianą, stało obszerne łóżko. Cztery jego wysokie, ciemne, błyszczące słupki, które podtrzymywały baldachim, wznosiły się niczym kolumny pałacu. Mięśnista, haftowana kapa spływała z boków jak zamrożony barwny wodospad. Na ciemne, przepyszne dywany i kapę w nogach łóżka padał snop promieni słonecznych.

Richard pamiętał, jak Kahlan opisywała mu to łóżko i mówiła, że nie może się doczekać, by znaleźć się w nim z Richardem, kiedy już wezmą ślub. Ogromnie pragnął spocząć z nią, zwłaszcza od owej nocy pomiędzy światami, kiedy to - w szczególnym sensie tego słowa - byli razem, lecz musiał przyznać, że łóżko to go onieśmielało. Obawiał się, że mógłby ją w nim zgubić. Kahlan obiecywała, że z pewnością mu to nie grozi.

Dziewczyna stała przed szeregiem oszklonych drzwi prowadzących na szeroki balkon. Patrzyła przez rozsunięte zasłony poza kamienną balustradę, ku wznoszącej się na stoku góry Wieży Czarodzieja. Widok białej atlasowej sukni opinającej zachwycające kształty i wspaniałych długich włosów sprawił, że Richardowi niemal zapało dech w piersiach. Uznał, że łóżko będzie w sam raz.

Drgnęła, kiedy czule dotknął jej ramienia.

Odwróciła się i uniosła ku niemu rozpromienioną uśmiechem twarz.

- Myślałem, że to Nancy wróciła.

- Jak mogłaś pomyśleć, że to Nancy? Nie wiedziałaś, że to ja?

- Skąd mogłam to wiedzieć?

- Bo tak. - Wzruszył ramionami. - Ja zawsze wiem, kiedy wchodzisz do komnaty. Nie muszę cię widzieć.

- Nie możesz tego wiedzieć. - Kahlan z niedowierzaniem ściągnęła brwi.

- A właśnie, że mogę.

- Jak?

- Bo tylko ty tak pachniesz. Poznaję sposób, w jaki oddychasz, poruszasz się, przystajesz. To wszystko jest właściwe tylko tobie.

- Nie żartujesz? - Mocniej ściągnęła brwi. - Naprawdę? Mówisz poważnie?

- Oczywiście. A ty mnie po tym nie poznajesz?

- Nie. Ale ty większość życia spędziłaś w lasach, obserwując, wachając i nasłuchując. - Wsunęła zdrowe ramię pod ramię chłopaka. - Choć w dalszym ciągu nie wiem, czy ci wierzę.

- Więc sprawdź mnie czasem. - Richard przesunął palcami po jej włosach. - Jak się czujesz? Jak twoje ramię?

- Dobrze. To nie takie groźne. Nie tak jak wtedy, kiedy zranił mnie starszy Toffalar. Pamiętasz? Wtedy było o wiele gorzej.

Richard skinął głową na znak, że pamięta.

- Dlaczego wstałaś z łóżka? Miałaś wypoczywać.

- Przestań. Nic mi nie jest. - Obejrzała go od stóp do głów. - A ty wyglądasz wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że to dla mnie sprawiłeś sobie ten strój. Wyglądasz przewspaniale, lordzie Rahlu.

Richard czule dotknął jej ust. Usiłowała go nakłonić do bardziej namiętnego pocałunku, ale się cofnęła.

- Boję się, że urażę zranione ramię - wyjaśnił.

- Naprawdę nic mi nie jest, Richardzie. Przedtem byłam wyczerpana, gdyż użyłam swojej mocy i wykorzystałam większość sił. W takich wypadkach ludzie mylnie sądzą, że jestem poważniej ranna niż naprawdę.

Długo się jej przyglądał, a potem pocałował tak, jak tego pragnął.

- O wiele lepiej - szepnęła, odsuwając się. - Widziałeś Carę, Richardzie? Tak szybko odszedłeś i spoglądałeś w ten twój charakterystyczny sposób. Nie miałam czasu, żeby naprawdę z tobą porozmawiać. To nie była jej wina.

- Wiem. Powiedziałaś mi.

- Nie krzychałeś na nią, prawda?

- Pogadaliśmy sobie.

- Pogadaliście. - Kahlan przymrużyła oczy. - Co miała do powiedzenia na swoją obronę? Nie próbowała powiedzieć, że była...?

- Co Nadine jeszcze tu robi?

Dziewczyna patrzyła na niego. Złapała go za nadgarstek.

- Jesteś okrwawiony, Richardzie... Twoje ramię... - Wystraszyła się. - Coś ty zrobił, Richardzie? Nie... nie zraniłeś jej, Richardzie, prawda? - Uniosła jego ramię ku światłu. - To wygląda podobnie... podobnie jak wtedy, gdy ty... - Zaciśnęła dłoń na koszuli chłopaka. - Nie zraniłeś jej? Powiedz, że jej nie zraniłeś!

- Chciała, żebym ją zabił. Powiedziała, że albo ja to zrobię, albo sama się zabije. Więc posłużyłem się mieczem jak wtedy, dla starszych Błotnych Ludzi.

- Nic jej nie jest? Nic jej nie jest, prawda?

- Nic a nic.

Zatroskana Kahlan spojrzała mu prosto w oczy.

- A tobie? Wszystko w porządku?

- Bywało, że czułem się lepiej. Dlaczego Nadine wciąż tu jest?

- Została na trochę, ot co. Spotkałeś się już z Drefanem? Chciała oprzeć głowę na jego piersi, lecz Richard ją powstrzymał.

- Co ona tu robi? Dlaczego poprosiłaś, żeby została?

- Musiałam, Richardzie. Nie tak łatwo można się pozbyć kłopotu spowodowanego przez Shotę. Powinieneś to wiedzieć. Zanim zrobimy coś, żeby przeszkodzić knowaniom Shoty, musimy wpierw dowiedzieć się, co się dzieje.

Richard podszedł do oszklonych drzwi i zapatrzył się na wznoszącą się nad miastem górę. Wieża Czarodzieja odwzajemniła spojrzenie.

- Nie podoba mi się to. Ani trochę.

- Mnie też nie - powiedziała stojąca za nim Kahlan. - Ona mi pomogła, Richardzie. Nie sądziłam, że okaże tyle odwagi, lecz okazała. I jej to wszystko zamieszało w głowie. Dzieje się o wiele więcej, niż dostrzegamy, więc musimy zachować jasność myślenia. Nie wolno nam chować głowy w piasek.

Chłopak ciężko westchnął.

- Wciąż mi się to nie podoba, ale punkt dla ciebie, masz rację. Żenię się tylko z bystrymi kobietami.

Usłyszał szelest wygładzanej przez Kahlan sukni. Uspokoił go słodki zapach dziewczyny. - Rozumiem, że e mogła ci się podobać. Jest ładną kobietą, no i uzdrowicielką. To musiało cię zranić.

Wieża jakby wchłaniała blask porannego słońca w swoje czarne ściany.

Powinienem tam pojechać, pomyślał Richard.

- Co mnie musiało zranić?

- Kiedy przyłapałeś ją, całującą się z Michaeliem. Powiedziała, że ją przyłapałeś, jak się całowała z twoim bratem.

Chłopak okręcił się ku niej z osłupiałą miną.

- Co ci powiedziała?

Kahlan wskazała na drzwi, jakby Nadine miała się pojawić i sama to powiedzieć.

- Powiedziała, że przyłapałeś ją, gdy całowała się z twoim bratem.

- Całowała.

- Tak właśnie powiedziała.

Richard przeniósł gniewne spojrzenie na okno.

- Naprawdę?

- Cóż więc robiła? To znaczy, że ich przyłapałeś...

- Kahlan, ostatniej nocy zginęło koło lochu szesnastu żołnierzy, a dwunastu może nie przeżyć tego dnia. Nie mogę ufać moim gwardzistom, że ochronią kobietę, którą kocham. Mamy na karku wiedźmę, która postanowiła sprawiać nam kłopoty.

Jagang przesyła nam wiadomości za pośrednictwem chodzących trupów. Siostra Mroku chodzi sobie gdzieś tutaj swobodnie, a połowa wojska w Aydindril choruje i nie mogłaby walczyć, gdyby musiała. Czekają na nas poselstwa z rozmaitych krain.

Pod strażą oczekuje mnie przyrodni brat, którego w życiu nie widziałem i z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Uważam, że mamy do przedyskutowania o wiele ważniejsze sprawy niż Nadine... niż jej kłopoty z mówieniem prawdy!

Zielone oczy Kahlan przez chwilę wpatrywały się w niego czule.

- Więc to tak. Teraz rozumiem, dlaczego tak na nią patrzyłeś.

- Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś? Nigdy nie pozwól, by piękna kobieta wybierała ci drogę, jeśli ma na oku mężczyznę.

Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nadine nie wybiera za mnie drogi. Miałam swoje powody, by poprosić ją o pozostanie.

- Nadine przyczepia się do tego, czego pragnie, jak gończy ogar do tropu. Ale nie o niej mówię. Mam na myśli Shotę. To ona wskazuje drogę, a ty na nią wstępujesz.

- Musimy się dowiedzieć, dokąd owa droga prowadzi i dlaczego Shota ją wskazała.

Richard znów obrócił się ku przeszklonym drzwiom.

- Chcę wiedzieć, co jeszcze mówił ten Marlin, do którego umysłu przeniknął Jagang. Chcę znać każde słowo. Chcę, byś sobie przypomniała każde jego słowo.

- Dlaczego po prostu na mnie nie nawrzeszczysz?

- Nie zamierzam na ciebie wrzeszczeć. Idąc tam, śmiertelnie mnie

wystraszyłaś. Chcę cię tulić i chronić. Chcę się z tobą ożenić. - Odwrócił się ku niej i zajął w jej zielone oczy. - I chyba mam na to sposób. Chodzi mi o Błotnych Ludzi.

- Naprawdę? - Podeszła bliżej. - Jaki?

- Najpierw powtórz mi to, co mówił Jagang.

Richard z roztargnieniem wpatrywał się w Wieżę Czarodzieja, a Kahlan opowiadała całą historię: jak Jagang mówił, że obserwował grę Ja'La, co w jego ojczystym języku znaczy „Gra o życie”; jak chciał być świadkiem tego, czego dokonał Marlin; jak chciał, by Siostra Amelia wróciła doń, zanim się ujawni; jak znalazł proroctwa inne od tych, które zniszczył Richard; i jak sprawił, że zaczęło się spełniać jedno z nich - proroctwo o zapętlonym rozgałęzieniu.

- To wszystko, co pamiętam - oznajmiła. - Dlaczego się tak wpatrujesz w wieżę?

- Zastanawiam się, po co Siostra Amelia tam poszła. I co Marlin zamierzał tam robić. Domyślasz się może?

- Nie. Jagang nic nie powiedział. Richardzie, widziałeś tę przepowiednię w lochu?

- Tak - odparł i serce mu się ścisnęło.

- No i? Co mówi?

- Nie wiem. Muszę to przetłumaczyć.

- Richardzie Rahlu, może i wiesz, że weszłam do komnaty, choć mnie nie widzisz, ale ja za to wiem, kiedy nie mówisz mi prawdy, i nie muszę w tym celu patrzeć ci w oczy.

Richard nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Proroctwa są o wiele bardziej skomplikowane niż ich tekst. Przecież o tym wiesz. Ich słów nie można brać dosłownie. Poza tym to, że Jagang znalazł proroctwo, wcale nie oznacza, iż potrafił sprawić, by się zaczęło spełniać.

- Hmm, to prawda. Sama mu coś takiego powiedziałam. Odparł mi, że czerwony księżyc przyniesie na to dowód. Niezbyt to prawdopodobne...

Richard obrócił się ku niej.

- Coś ty powiedziała?! Przedtem tego nie mówiłaś. Co Jagang powiedział? Kahlan pobała.

- Zapomniałam... dopiero twoje słowa... Powiedziałam Jagangowi, że nie

wierzę, iż potrafi sprawić, by proroctwo zaczęło się spełniać. Odparł, że dowód pojawi się wraz z czerwonym księżycem. Czy wiesz, co to oznacza, Richardzie?

Chłopakowi język przysechł do podniebienia. Zamrugał powiekami.

- Ostatniej nocy księżyc był czerwony. Całe moje życie spędziłem pod gołym niebem i nigdy nie widziałem czegoś choć trochę podobnego do tego. To było tak, jakby patrzyło się na księżyc przez szklanicę z czerwonym winem. Dostałem gęziej skórki. To dlatego wcześniej wróciłem.

- Co mówi proroctwo, Richardzie? Nie kryj tego przede mną. Chłopak wpatrywał się w nią i próbował wymyślić kłamstwo, w które by uwierzyła. Ale nie potrafił.

- Oto co mówi - wyszeptał. - Wraz z czerwonym księżycem rozszaleje się ogień. Dzierżący miecz patrzeć będzie, jak mrze jego lud. Jeśli niczego nie uczyni, zginie wraz z tymi, których kocha, od żaru, bo tego nieprzyjaciela nie zmoże żadna klinga: czy to wykuta ze stali, czy to stworzona przez magię.

W komnacie aż dzwoniła cisza. Twarz Kahlan była zupełnie biała.

- I co jeszcze? Jagang powiedział, że to proroctwo o zapętlonym rozgałęzieniu. Jak brzmi reszta... - Głos się jej załamał. - Jak brzmi to drugie odgałęzienie? Powiedz mi, Richardzie. Nie okłamuj mnie. To dotyczy nas obojga.

Powiedz, jeżeli mnie kochasz.

O drogie duchy, sprawcie, by usłyszała tylko słowa i nie pojęła, jak się boję.

Pozwólcie, bym przynajmniej tego jej oszczędził, pomyślał chłopak.

Lewą dłoń zacisnął na rękojeści miecza. Wypukłe litery słowa PRAWDA wbiły mu się w ciało. Zamrugał, by wyraźniej widzieć.

Nie okaż strachu, pomyślał.

- By zdusić żywioł, musi poszukać remedium w wichrze. Na tej zaś drodze dosięgnie go błyskawica, albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew.

ROZDZIAŁ 16

Kahlan czuła, jak po jej policzkach spływają łzy.

- Richardzie. - Stłumiła szloch. - Przecież wiesz, Richardzie, że ja nigdy... Chyba nie sądzisz, że mogłabym... przysięgam na życie... musisz mi uwierzyć...

Chłopak porwał ją w ramiona, bo zaczęła niepowstrzymanie łkać.

- Richardzie, nigdy cię nie zdradzę - chlapała, wtulona w jego pierś. - Za nic na tym świecie. Ani po to, żeby ocalić się od wiecznych mąk w zaświatach. Od mąk zadawanych przez Opiekuna.

- Wiem. Przecież wiem. A ty równie dobrze jak ja rozumiesz, że nie można brać dosłownie tekstu przepowiedni. Nie pozwól, żeby te słowa cię zraniły. Tego właśnie chce Jagang. Nawet nie wie, co one znaczą. Wyrył je na ścianie lochu, ponieważ brzmiały jak to, co chciał usłyszeć.

- Ale... ja... - Kahlan nie mogła powstrzymać łez.

- Ciiii. - Duża dłoń Richarda spoczęła na jej głowie, a dziewczyna łkała niepowstrzymanie, odreagowując przerażenie z ubiegłej nocy i panikę wywołaną słowami proroctwa. Nigdy nie płakała w obliczu niebezpieczeństwa, lecz teraz, bezpieczna w ramionach Richarda, nie mogła się opanować. Łzy płynęły równie obficie jak bystry nurt wody w kanale.

- Nie wierz w to, Kahlan. Nie wierz, proszę.

- Ale to znaczy... że ja...

- Posłuchaj. Czy nie mówiłem, byś nie schodziła na dół i nie przepytywała Marlina? Czy nie mówiłem, że sam się tym zajmę po powrocie, że to niebezpieczne i że nie chcę, byś tam szła?

- Tak, ale bałam się o ciebie i chciałam tylko...

- Postąpiłaś wbrew moim życzeniom. Bez względu na to, jakie miałaś po temu powody, postąpiłaś wbrew moim życzeniom, nieprawdaż? - Kiwnęła przytuloną do niego głową. - To może być owa zdrada z proroctwa. Zostałaś ranna, krwawiłaś.

Zdradziłaś mnie i miałaś na sobie krew. Swoją krew.

- Nie nazwałabym tego zdradą. Robiłam to dla ciebie, bo cię kocham i bałam się o ciebie.

- Nie rozumiesz? Słowa proroctwa nie zawsze oznaczają to, co się na

pierwszy rzut oka wydaje. Tam, w Pałacu Proroków w Starym Świecie, i Warren, i Nathan ostrzegali mnie, że tekstów proroczych nie należy brać dosłownie. Słowa są jedynie pośrednio związane z proroczym.

- Ale nie rozumiem, jak...

- Staram się powiedzieć, że to może być bardzo łatwe do wytłumaczenia. Nie pozwól, by przepowiednia zdobyła kontrolę nad twoimi lękami. Nie dopuść do tego.

- Zedd też mi to mówił. Powiedział, że są dotyczące mnie prorocze, których mi nie wyjawia, gdyż ich słowom nie należy wierzyć. Stwierdził, że słusznie postąpiłeś, nie zwracając uwagi na słowa przepowiedni. Ale ta jest inna, Richardzie.

Mówi, że cię zdradzę.

- Już ci powiedziałem, że być może bardzo łatwo to wytłumaczyć.

- Błyskawica wcale nie jest jednoznaczna. Trafienie piorunem to symbol śmierci, a może i wyraźna wskazówka, w jaki sposób zginiesz. Proroctwo mówi, że cię zdradzę i że przez to umrzesz.

- Nie wierzę w to. Kocham cię, Kahlan. Wiem, że to niemożliwe. Nie zdradziłabyś mnie i nie zraniła. Nie mogłabyś.

Kahlan mocno zacisnęła dłonie na koszuli Richarda i chlipnęła.

- To dlatego Shota przysłała Nadine. Chce, żebyś się ożenił z inną, bo wie, że przez mnie umrzesz. Ona próbuje cię przede mną ocalić.

- Już raz tak myślała i okazało się, że się myliła. Pamiętasz? Gdyby wtedy stało się tak, jak chciała, to nie zdołalibyśmy powstrzymać Rahla Posępnego.

Rządziłby teraz nami, gdybyśmy zawierzyli jej odczytywaniu przyszłości. Proroctwo to tak jak słowa Shoty. - Richard odsunął Kahlan od siebie na odległość ramienia, żeby móc jej spojrzeć w oczy. - Kochasz mnie?

Dziewczynę zabolął zraniony bark, ale nie uwolniła się od dłoni Richarda.

- Ponad życie.

- Więc mi zaufaj. Nie pozwolę, by prorocze nas zniszczyło. Obiecuję.

Wszystko dobrze się skończy. Przekonasz się. Za bardzo skupiliśmy się na problemie i dlatego nie możemy myśleć o jego rozwiązaniu.

Kahlan otarła oczy. Richard wydawał się tak pewny swoich racji. Jego pewność uspokoiła ją i dodała jej ducha.

- Masz rację. Przepraszam.

- Chcesz za mnie wyjść?
- Oczywiście, ale nie możemy sobie pozwolić na taką długą podróż...
- Sylfa.
- Co? - zdziwiła się dziewczyna.

- Sylfa z Wieży Czarodzieja. Zastanawiałem się nad tym. Podróżowaliśmy w niej dzięki jej magii do Starego Świata i z powrotem i za każdym razem nie zajęło to nawet całego dnia. Mogę obudzić sylfę i zanieś nas.

- Ale ona zabierze nas do Starego Świata, do Tanimury. A gdzieś w pobliżu Tanimury jest Jagang.

- To i tak o wiele bliżej Błotnych Ludzi niż Aydindril. Poza tym uważam, że sylfa może również dotrzeć do innych miejsc. Pytała mnie, dokąd chcę się dostać. To znaczy, że może znaleźć się w rozmaitych miejscach. Może zanieś nas do miejsca leżącego o wiele bliżej Błotnych Ludzi niż Tanimura.

Kahlan przestała płakać, uradowana możliwością szybkich zaślubin, i spojrzała na wieżę.

- Podróż do Błotnych Ludzi, zaślubiny i powrót zajęłyby nam tylko kilka dni.

Na tak krótko na pewno możemy opuścić Aydindril.

- Na pewno. - Richard uśmiechnął się, stanął za nią i objął ją. Kahlan otarła resztki łez i obróciła się w jego ramionach.

- Jak to jest, że na wszystko znajdziesz sposób?

- Mam ogromną motywację. - Skinął głową w stronę łóża. Rozpromieniona Kahlan właśnie miała go nagrodzić czymś zdecydowanie nieprzyzwoitym, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

I, nie czekając na odpowiedź, uchylił je. Ukazała się głowa Nancy.

- Wszystko w porządku, Matko Spowiedniczko? - Spojrzała znacząco na Richarda.

- Tak. O co chodzi?

- Lady Nadine pyta, czy może zmienić kataplazm.

- Czyżby? - spytała ponuro Kahlan.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Ale jeśli... nie masz teraz na to ochoty, to poproszę ją, żeby zaczekała, aż...

- Przyślij ją tutaj - odezwał się Richard. Nancy się zawahała.

- Trzeba będzie zsunąć górę twojej szaty, Matko Spowiedniczko. Żeby się

dostać do bandaża.

- W porządku - szepnął Richard do Kahlan. - Muszę pogadać z Berdine. Mam dla niej robotę.

- Mam nadzieję, że to nie robótka w stajniach, przy końskim nawozie.

- Nie - uśmiechnął się Richard. - Chcę, żeby popracowała nad pamiętnikiem Kolo.

- Dlaczego?

Cmoknął ją w czubek głowy.

- Bo wiedza to potężna broń. Zamierzam uzbroić się po zęby. - Spojrzał na Nancy. - Pomóc ci przy jej sukni?

Nancy udało się jednocześnie zaczerwienić i przybrać rozeźloną minę.

- To chyba oznacza, że sobie poradzisz. - Odwrócił się od drzwi ku Kahlan. - Zaczekam, aż Nadine skończy, a potem pójdziemy się zobaczyć z tym Drefanem.

Mam dla niego zadanie. Chcę... żebyś ze mną poszła.

Kiedy Richard zamknął za sobą drzwi, Nancy przyglądała krótko obcięte kasztanowe włosy i stanęła za Kahlan, żeby pomóc jej zsunąć górę sukni.

- Już się nie da naprawić tej sukni, którą wczoraj nosiłaś, Matko Spowiedniczko.

- Spodziewałam się tego. - Spowiedniczki miały całą kolekcję identycznych sukien. Wszystkie ubierały się w czerń, a jedynie Matka Spowiedniczka w biel.

Kahlan pomyślała o błękitnej sukni weselnej, którą wkrótce włoży. - Nancy, czy pamiętasz czasy, kiedy twój mąż się do ciebie zalecał?

Nancy znieruchomiała.

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- Więc powinnaś wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy ktoś zniecka wpadał, gdy byliście sami.

Nancy rozluźniła suknię nad barkiem Kahlan.

- Przed ślubem nigdy nie pozwolono mi zostać z nim sam na sam. Matko Spowiedniczko. Byłam młoda i nieświadoma. Rodzice słusznie strzegli mnie przed porywami młodości.

- Jestem dorosłą kobietą, Nancy. I Matką Spowiedniczka. Nie życzę sobie, żebyście ty i inne kobiety zaglądały do mojej komnaty, ilekroć Richard jest ze mną.

Ajjj!

- Przepraszam. To moja wina. Ale to nie uchodzi, Matko Spowiedniczko.

- Ja o tym decyduję.

- Skoro tak sobie życzysz, Matko Spowiedniczko. Kahlan wyciągnęła ramię i Nancy zsunęła rękaw.

- Tak właśnie sobie życzę.

Nancy spojrzała na łożo Matek Spowiedniczek.

- Poczęto cię w tym łożu. Któż to wie, ile Matek Spowiedniczek przed tobą poczęło w tym łożu swoje córki. To odwieczna tradycja. Tylko zameżne Matki Spowiedniczki brały swoich mężczyzn do owego łoża, by począć dziecko.

- I żadna z nich nie czyniła tego z miłości. Nie zostałam poczęta z miłości, Nancy. A moje dziecko będzie, o ile los mi je da.

- Więc tym bardziej powinno się to stać z łaski dobrych duchów, w świętym związku małżeńskim.

Kahlan nie powiedziała, że dobre duchy zabrały ich do miejsca pomiędzy światami, by tam mogli uświęcić swój związek.

- Dobre duchy znają nasze serca. Ani dla mnie, ani dla niego nie ma i nie będzie nikogo innego.

Nancy zajęła się bandażem.

A wy się do tego palicie. Jak moja córka i jej młodzian.

Gdybyż tylko Nancy wiedziała, jak bardzo się palili.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę, żebyś tu znienacka wpadała, kiedy Richard jest ze mną. Wkrótce się pobierzemy. Jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie związani. Kochać kogoś, to nie tylko wskakiwać z nim do łoża. To wzajemna bliskość, chęć przytulenia się. Rozumiesz? Przecież nie mogę całować mojego przyszłego męża, a on nie może koić moich ran, jeśli ty co chwilę tu zaglądasz, nieprawdaż?

- Prawda, Matko Spowiedniczko. Nadine zastukała w otwarte drzwi.

- Mogę wejść?

- Oczywiście, proszę. Połóż torbę na łożu. Już sobie sama poradzę, Nancy, dziękuję.

Nancy z dezaprobatą potrząsnęła głową i zamknęła za sobą drzwi. Nadine usiadła na łożu obok Kahlan i kończyła odwijać bandaż.

- Nadine... to ta sama suknia co wczoraj, prawda?

- Jasne.

- Wydaje się...

Nadine przyjrzała się sobie.

- Panie ją dla mnie wyprały, ale to... Ach, już wiem, o czym mówisz. Podarła się w tunelach, kiedy się skąpałyśmy. Popękał materiał na szwach, więc musiałam go trochę zebrać, żeby ocalić sukienkę. Nie miałam zbyt dużego apetytu, kiedy opuściłam dom, myśląc o... o tym, którą drogę wybrać, zatem trochę schudłam.

Dlatego mogłam zebrać materiał na szwach i uratować sukienkę. Nie jest za ciasna.

Akuratna.

- Żeby podziękować ci za okazaną pomoc, zadbam, byś dostała inną, wygodniejszą suknię.

- Nie. Ta jest dobra.

- Rozumiem.

- Twoja rana wcale nie wygląda gorzej. To znakomicie. - Nadine dokładnie starła starą porcję maści. - Widziałam wychodzącego Richarda. Był zdenerwowany.

Chyba się nie pokłóciliście?

Cierpliwość Kahlan się wyczerpała.

- Nie. Był zdenerwowany z innego powodu.

Nadine przerwała swoje czynności. Sięgnęła do torby i wyjęła róg. Otworzyła go i zapachniało sosnową żywicą. Kahlan się skrzywiła, kiedy tamta dotknęła opatrunku. W końcu zielarka była zadowolona ze swego dzieła i zaczęła ponownie bandażować ramię dziewczyny.

- Nie ma powodu do zakłopotania - powiedziała niedbale. - Kochankowie czasem się sprzeczą. Ale to nie zawsze oznacza rozstanie. Jestem pewna, że koniec końców Richard pójdzie po rozum do głowy.

- Nawiasem mówiąc, powiedziałam mu, że rozumiem to, co was dotyczy.

Ciebie i jego. To, co się wydarzyło. Dlatego był taki zdenerwowany - oznajmiła Kahlan.

- Co masz na myśli? - Nadine wolniej bandażowała jej ranę.

- Powtórzyłam mu twoją opowieść o tym, jak pozwoliłaś się przyłapać na całowaniu z jego bratem. O tym niewielkim „prztyczku”. Pamiętasz?

Nadine owinęła ramię końcówkami bandaża i zadziwiająco prędko i

zręcznie je zawiązała.

- Ach, to.

- Tak, to.

Nadine nie podniosła wzroku. Wsunęła dłoń Kahlan w rękaw. Podciągnęła suknię na ramię dziewczyny i wrzuciła róg do torby.

- To powinno wystarczyć. Potem jeszcze raz zmienię opatrunek.

Kahlan patrzyła, jak tamta złapała torbę i pospieszyła ku drzwiom. Zawołała ją. Kobieta niechętnie przystanęła i odwróciła się.

- Wygląda na to, że mnie okłamałaś. Richard powiedział mi, co się naprawdę wydarzyło.

Purpurowy rumieniec zatarł piegi Nadine. Kahlan wstała i wskazała wyściełane krzesło.

- A może by tak wyjaśnić całą sprawę? Opowiedzieć to z twojego punktu widzenia?

Nadine przez chwilę stała nieruchomo, po czym osunęła się na krzesło. Splotła dłonie na podolku i wbiła w nie wzrok.

- Mówiłam ci, że musiałam nim potrząsnąć.

- To nazywasz potrząśnięciem? Nadine jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- No cóż. - Machnęła ręką. - Wiem, jak chłopcy tracą głowy z... z pożądania.

Uznałam, że to najlepszy sposób, żeby go nakłonić, by... by rościł sobie do mnie prawo.

Kahlan była zażenowana, ale nie okazała tego.

- Chyba byłoby już na to za późno.

- Hmm, niekoniecznie. Kiedy pozwoliłam się przyłapać Richardowi - naga, na Michaelu, zażywająca z nim rozkoszy - byłam zdecydowana złowić jednego lub drugiego. Michael na pewno był dla mnie tylko środkiem do celu.

Kahlan uniosła brwi.

- Jak mogłaś pomyśleć...

- Wszystko sobie obmyśliłam. Richard wejdzie do pokoju za moimi plecami.

Zobaczy mnie na lancy Michaela krzyczącą z rozkoszy, ów widok i moje podniecenie wzbudzą w nim pożądanie. Straci głowę, przestanie nad sobą

panować i też mnie weźmie.

Kahlan patrzyła na nią w osłupieniu.

- I to miało ci pomóc złowić Richarda? Nadine odkaszlnęła.

- No bo pomyślałam sobie, że to się Richardowi spodoba. Już bym się o to postarała. Kiedy zaś znowu by mnie chciał, powiedziałabym nie, a on po tym pierwszym razie tak by mnie pragnął, że by mnie sobie wybrał. Gdyby i Michael mnie chciał, to wybór należałby do mnie, a ja wybrałabym Richarda. Jeśliby Richard już mnie nie chciał, a ja zaszłabym w ciążę, powiedziałabym, że to jego i on by się ze mną ożenił, bo ono by mogło być jego. A gdybym nie zaszła w ciążę i już by mnie nie chciał, to jeszcze zostawał mi Michael. Uznałam, że lepszy on niż żaden.

Kahlan nie miała pojęcia, co się wydarzyło, bo Richard nic jej nie powiedział.

Obawiała się, że Nadine na tym zakończy opowieść. Kahlan nie mogła przyznać, że nie wiedziała, co się potem stało, co gorsza, bała się usłyszeć, jak doskonale powiódł się dziwaczny plan Nadine. W pierwszej wersji - tej z całowaniem - Richard się odwrócił i odszedł. Teraz jednak dziewczyna wiedziała, że to była kłamliwa opowiastka. Patrzyła, jak pulsuje żyłka na szyi Nadine. Skrzyżowała ramiona i czekała.

Nadine w końcu zapanowała nad głosem i mówiła dalej:

- W każdym razie taki miałam plan. Wydawał się całkiem do rzeczy.

Wyobraziłam sobie, że w najlepszym razie zdobędę Richarda, w najgorszym zaś Michaela. Ale nie poszło tak, jak chciałam. Richard wszedł i zdrętwiał.

Uśmiechnęłam się do niego przez ramię i poprosiłam, żeby się do nas przyłączył albo przyszedł potem do mnie, to i z nim się zabawię.

Kahlan wstrzymała oddech.

- I wtedy pierwszy raz zobaczyłam ten wyraz w oczach Richarda. Nie powiedział ani słówka. Po prostu się odwrócił i odszedł. - Nadine wsunęła dłoń pod osłaniające twarz włosy, pociągnęła nosem i otarła go ręką. - Sądziłam, że przynajmniej dostanę Michaela. Ale mnie wyśmiał, jak mu powiedziałam, że sobie mnie oficjalnie wziął. Po prostu mnie wyśmiał. I potem już nigdy nie chciał ze mną być. Dostał, czego chciał, i już mu nie byłam potrzebna. Zajął się innymi dziewczynami.

- Ale jeśli chciałaś... Dlaczego, na drogie duchy, zwyczajnie nie uwiodłaś

Richarda?

- Bo się bałam, że się tego spodziewa i oprze mi się. Nie byłam jedyną dziewczyną, z którą tańczył. Bałam się, że nie zechce, że jeśli zwyczajnie spróbuję go uwieść, to mnie odrzuci, bo będzie się tego spodziewał. Słyszałam pogłoski, że próbowała tego Bess Pratter. I nie udało się jej. Bałam się, że i mnie się nie uda.

Uznałam, że zazdrość lepiej nim potrząśnie. Zdawało mi się, że mój plan go zaskoczy, że Richard straci głowę z zazdrości i z pożądania i że wtedy go dostanę.

Słyszałam, że na chłopów nie ma lepszego sposobu niż zazdrość i pożądanie. - Nadine obiema rękami odgarnęła do tyłu włosy. - Nie mogę uwierzyć, że Richard ci powiedział. Nie sądziłam, że kiedykolwiek komuś o tym powie.

- Bo nie powiedział - wyszeptała Kahlan. - Tylko się we mnie wpatrywał, gdy mu powiedziałam, że twierdzisz, iż przyłapał cię na całowaniu się z jego bratem. Nie opowiedział mi całej historii. Sama to zrobiłaś.

Nadine ukryła twarz w dłoniach.

- Może dorastałaś z Richardem, ale go nie znasz. Drogie duchy, w ogóle nic o nim nie wiesz.

- Ale to się mogło udać. Wcale nie wiesz tak dużo, jak ci się zdaje. Richard to tylko chłopak z Hartlandu, który nigdy niczego nie miał i któremu zakręciło się w głowie od pięknych rzeczy i ludzi spełniających jego rozkazy. I dlatego to się mogło udać. Mogło się udać, bo on po prostu chce tego, co zobaczy. Zwyczajnie chciałam mu pokazać, co mam do zaoferowania.

Kahlan rozboleła głowa. Zamknęła oczy i ścisnęła grzbiet nosa.

- Dobre duchy świadkami, Nadine, że jesteś chyba najgłupszą kobietą, jaką w życiu spotkałam.

Nadine poderwała się z krzesła.

- Uważasz, że jestem aż taka głupia? Kochasz go. Chcesz go. - Dźgnęła się palcem w pierś. - Wiesz, co się tu czuje, jak się go pragnie. I ja go pragnęłam, wcale nie mniej niż ty. Zrobiłabyś to samo, gdybyś musiała. Choć tak dobrze go znasz, zrobiłabyś to samo, gdybyś uznała, że to twoja jedyna szansa. Twoja jedyna szansa! I powiedz mi, że nie zrobiłabyś tego!

- Nie masz pojęcia o miłości, Nadine - powiedziała spokojnie Kahlan. - Miłość to nie branie tego, czego się pragnie, to pragnienie szczęścia dla

ukochanej osoby.

Nadine pochyliła się ku niej z wredną miną.

- Zrobiłabyś to samo co ja, gdybyś musiała!

Kahlan przypomniały się słowa proroctwa: Na tej zaś drodze dosięgnie go błyskawica, albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go...

- Mylisz się, Nadine. Nie zrobiłabym. Za nic na świecie nie zraniłabym Richarda. Za nic. Nim mogłabym go zranić, musiałabym przeżyć samotnie straszliwe cierpienia. I nawet pozwoliłabym ci go mieć, zanim bym go zraniła.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Kahlan patrzyła za spieszącą gniewnie w głąb korytarza Nadine, zatrzymała się przed nią zdyszana, rozpromieniona Berdine.

- Matko Spowiedniczko, lord Rahl chce, żebyśmy całą noc nie spała i wykonała dla niego pewne zadanie. Czyż to nie wspaniale?

- Skoro tak uważasz, Berdine - odparła dziewczyna, przelotnie ściągając brwi.

Uśmiechnięta Mord-Sith pobiegła korytarzem tam, gdzie zniknęła Nadine. W drugim końcu korytarza Richard rozmawiał z grupką żołnierzy. W głębi, za strażnikami, stali Cara i Egan i przyglądali się temu. Gdy Richard dostrzegł Kahlan, zostawił gwardzistów i podszedł do niej. Odczekała, aż znajdzie się dostatecznie blisko, po czym złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Richardzie Rahlu - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Jakież to? - zdumiał się naiwnie.

- Dlaczego w ogóle tańczyłeś z tą dziwką?!

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, Kahlan, żebyś się tak wyrażała. - Richard spojrzał w stronę, gdzie zniknęła Nadine. - Jak ją skłoniłaś, żeby ci powiedziała?

- Podstępem.

Chłopak uśmiechnął się szelmowsko.

- Przekonałaś ją, że opowiedziałem ci całą historię, prawda? Kahlan potaknęła i jego uśmiech jeszcze się rozszerzył.

- Miałem na ciebie zły wpływ - sumitował się.

- Przepraszam, Richardzie, że ją poprosiłam, by została. Nie wiedziałam. Jeśli Shota kiedykolwiek wpadnie mi w ręce, to ją uduszę. Wybacz, że zaprosiłam Nadine.

- Nie ma co wybaczać. Zbyt emocjonalnie do tego podszedłem. Dobrze zrobiłaś, zapraszając ją.

- Na pewno, Richardzie?

- I Shota, i prorocтво wspominają o wicherze. Nadine odgrywa w tym wszystkim jakąś rolę, więc na razie powinna zostać. Może otoczę ją strażą,

żeby nie odeszła.

- Strażnicy nie są potrzebni. Nadine stąd nie odejdzie.

- Taka jesteś tego pewna?

- Sępy nie dają za wygraną. Krążą tak długo, jak długo spodziewają się jakichś kości do obdziobania. - Kahlan spojrzała na pusty korytarz. - Miała czelność powiedzieć mi, że gdybym musiała, zrobiłabym to samo co ona.

- Trochę mi żal Nadine. Ma wiele dobrych cech, ale wątpię, czy kiedykolwiek pozna prawdziwą miłość.

Kahlan czuła podekscytowanie Richarda.

- Jak Michael mógł ci to zrobić? Jak zdołałeś mu wybaczyć?

- Był moim bratem - wyszeptał. - Wybaczyłbym mu wszystko, co uczyniłby przeciwko mnie. Pewnego dnia stanę przed dobrymi duchami, więc nie chcę im dawać powodu do stwierdzenia, że wcale nie byłem lepszy. Nie mogłem mu wybaczyć tego, co zrobił innym.

Kahlan uspokajająco dotknęła jego ramienia.

- Chyba się domyślam, dlaczego chcesz, żebym poszła z tobą do Drefana.

Dobre duchy poddały cię próbie, posłużywszy się Michaeliem. Uważam, że w Drefanie znajdziesz lepszego brata niż tamten. Może jest nieco arogancki, lecz jest uzdrowicielem. Poza tym trudno byłoby znaleźć dwóch równie niegodziwych jak Michael.

- Nadine również jest uzdrowicielką.

- Nie może się jednak równać z Drefanem. Jego talent graniczy z magią.

- Uważasz, że włada magią?

- Nie wydaje mi się, ale nie potrafię tego sprawdzić.

- Będę to wiedział. Jeśli ma magiczny dar, dowiem się o tym.

Gwardziści strzegący komnat Matki Spowiedniczki zaszalutowali, gdy Richard wydał im polecenia. Chłopak ruszył korytarzem, a Kahlan szła u jego boku. Cara jeszcze bardziej się wyprostowała, kiedy się przed nią zatrzymał. Nawet Egan zerknął wyczekująco. Kahlan pomyślała, że Mord-Sith wygląda na zmęczoną i przygnębioną.

- Caro, idę do uzdrowiciela, który ci pomógł. Słyszałem, że to jeszcze jeden nieślubny syn Rahla Posępnego, jak ja. Może byś ze mną poszła? Chętnie widziałbym przy sobie... przyjaciela - odezwał się w końcu.

Cara była bliska łez.

- Skoro sobie tego życzysz, lordzie Rahlu.

- Życzę sobie. Ty też chodź, Eganie. Powiedziałem żołnierzom, Eganie, żeby was przepuszczali. Idź po Rainę i Ulicę i przyprowadź ich do nas.

- Natychmiast, lordzie Rahlu - odparł Egan z rzadko widywanym na jego twarzy uśmiechem.

- Gdzie kazałeś czekać Drefanowi? - spytała Kahlan.

- Powiedziałem gwardzistom, żeby zabrali go do komnaty gościnnej w południowo-wschodnim skrzydle.

- W przeciwległym krańcu pałacu? Dlaczego aż tak daleko? Richard obrzucił ją nieodgadnionym spojrzeniem.

- Ponieważ chciałem, by tam właśnie czekał pod strażą, a poza tym to najdalej od twoich komnat.

Carę wciąż okrywał jej czerwony skórzany uniform, bo nie miała czasu się przebrać. Żołnierze strzegący południowo-wschodniego skrzydła Pałacu Spowiedniczek oddali honory, przykładając pięści do serca, i rozstąpili się przed Kahlan, Richardem, Ulicem, Eganem oraz idącą w brązowym skórzanym uniformie Rainą, lecz na widok Cary cofnęli się jeszcze bardziej. Żaden z D'Harańczyków nie chciał ściągnąć na siebie uwagi Mord-Sith w czerwonej skórze.

Po pospiesznym marszu przez pałac stanęli wreszcie przed drzwiami, których pilnowały skóry, mięśnie i stal. Richard odruchowo uniósł i opuścił miecz, sprawdzając, czy luźno siedzi w pochwie.

- Wydaje mi się, że on jest bardziej wystraszony niż ty - szepnęła doń Kahlan.

- Jest uzdrowicielem. Powiedział, że przyszedł, by ci pomóc.

- I zjawił się z tą pomocą tego samego dnia co Nadine i Marlin. Nie wierzę w taki zbieg okoliczności.

Kahlan rozpoznała ów wyraz oczu Richarda - chłopak wchłaniał magię miecza, nawet go nie dotykając. Każdy cal jego skóry, każde zgrubienie mięśni, każdy płynny ruch świadczyły o przyczaponej, skrytej pod powłoką spokoju śmiertelnej groźbie.

Lord Rahl, bez pukania gwałtownie otworzył drzwi i wszedł do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia. Była to jedna z najskromniejszych komnat gościnnych. Całość umeblowania tworzyły łóżko, mały stół i dwa drewniane krzesła.

Z boku stała jeszcze prosta szafa z pełnego sęków sosnowego drewna.

Niewielki ceglany kominek dawał mało ciepła, powietrze było chłodne i pachnące.

Kahlan trzymała się blisko Richarda, pół kroku za nim, żeby nie stawać na drodze miecza, ale wsparta na lewym ramieniu chłopaka. Ulic i Egan zajęli pozycje po bokach, ich jasne głowy niemal dotykały sufitu. Cara i Raina wysunęły się spoza nich, osłaniając Kahlan i Richarda.

Drefan klęczał przed znajdującym się pod ścianą stolikiem, wokół którego rozstawiono tuziny świec. Usłyszał, że weszli, podniósł się płynnym ruchem i odwrócił ku nim.

Błękitne oczy spoczęły na Richardzie, jakby tylko on sam wszedł do komnaty.

Przyglądali się sobie, zatopieni w myślach, których treści Kahlan nie znała.

A potem Drefan opadł na kolana i dotknął czołem podłogi.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie - wyrecytował modlitwę.

Kahlan ujrzała, jak dwaj wielcy gwardziści i obie Mord-Sith omal nie padli instynktownie na kolana, żeby przyłączyć się do hołdu składanego władcy D'Hary.

Widziała, jak uczynili to w Aydindril d'harańscy żołnierze, całe mnóstwo żołnierzy.

Stała u boku Richarda, kiedy Siostry Światła klęknęły przed nim i przysięgły mu wierność. Chłopak opowiadał jej, że kiedy Rahl Posępny był w Pałacu Ludu w D'Harze, wszyscy dwa razy dziennie na dwie godziny udawali się na place modlitewne i powtarzali te same słowa, dotykając czołem posadzki.

Drefan podniósł się i stanął swobodnie. Ubrany był w otwartą do połowy piersi zdobioną koronkami białą koszulę, w wysokie, sięgające kolan buty i ciemne, obcisłe spodnie, które tak uwydatniały jego męskość, że Kahlan się zarumieniła.

Zmusiła się, by spojrzeć gdzie indziej. Zobaczyła przyczepione do szerokiego skórzanego pasa przynajmniej cztery skórzane sakiewki, zapięte rzeźbionymi kościanymi szpilami. Z ramion uzdrowiciela spływała opończa

z surowego lnu, w której dziewczyna go wcześniej widziała.

Był uderzająco przystojny: mając ten sam wzrost i budowę co Richard, odziedziczył ponadto posągowo piękne rysy Rahla Posępnego. Proste jasne włosy jeszcze bardziej uwydatniały urodę opalonej twarzy. Kahlan nie przestawała się wpatrywać w owo połączenie Richarda i Rahla Posępnego.

- Co to takiego? - zapytał Richard, wskazując na świecę. Drefan nie odrywał od niego błękitnych oczu.

- Modliłem się, lordzie Rahlu. Jednałem się z dobrymi duchami, na wypadek gdybym się miał dziś do nich przyłączyć.

W jego głosie nie było strachu, lecz spokój i pewność siebie. Richard głęboko wciągnął powietrze, a potem je wypuścił.

- Ty zostań, Caro. Raino, Ulicu i Eganie zaczekajcie, proszę, na zewnątrz.
- Popatrzyl na nich, kiedy wychodzili. - Ja najpierw.

Skinęli z powagą głowami. Był to kod stosowany również przez Kahlan: gdyby Richard nie wyszedł pierwszy z komnaty, opuszczający ją Drefan powinien umrzeć.

- Jestem Drefan, lordzie Rahlu. Do twoich usług, jeśli uznasz, zem tego godzien. - Skłonił głowę przed Kahlan. - Matko Spowiedniczko.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o przyłączeniu się do dobrych duchów? - zapytał Richard.

Drefan skrzyżował ręce, chowając je w rozcięciach opończy.

- To cała historia, lordzie Rahlu.

- Nie kryj rąk i opowiedz mi ją. Uzdrowiciel wyjął ręce.

- Wybacz. - Odsunął pelerynę, ukazując nóż o długim, cienkim ostrzu tkwiący w zawieszanej u pasa pochwie, po czym wyciągnął go dwoma palcami, podrzucił i złapał za czubek ostrza. - Wybacz mi. Zamierzałem go odłożyć, nim nadejdiesz.

Nie odwracając się, rzucił nóż przez ramię. Ostrze mocno wbiło się w ścianę.

Drefan pochylił się, wyjął z buta masywniejszy nóż i prostując się, również rzucił go przez ramię, a oręż wbił się w ścianę o cal od pierwszego. Drefan sięgnął za plecy, pod opończę, i wyciągnął nóż o zakrzywionym ostrzu. Ten również, nie patrząc, rzucił za siebie, tak że ostrze utkwilo w ścianie między poprzednimi.

- Jeszcze jakiś oręż? - spytał rzeczowo Richard. Uzdrowiciel rozłożył ręce.

- Dłonie, lordzie Rahlu, i wiedza. Chociaż moje ręce nie byłyby dość szybkie, by poradzić sobie z twoją magią, lordzie Rahlu. Obszukaj mnie, proszę, by upewnić się, że nie mam innej broni.

Richard nie skorzystał z tej propozycji.

- No a opowieść?

- Jestem synem Rahla Posępnego z nieprawego łoża.

- Tak jak i ja.

- Bynajmniej. Ty jesteś dziedzicem Rahla Posępnego, osobą mającą magiczny dar. To znamienna różnica, lordzie Rahlu.

- Magiczny dar? Rahl Posępny zgwałcił moją matkę. Często miałem powody, żeby uważać mój dar za przekleństwo.

Drefan z szacunkiem skłonił głowę.

- To twoje zdanie, lordzie Rahlu. Lecz Rahl Posępny inaczej niż ty patrzył na swoich potomków. Z jego perspektywy istniał dziedzic i pomyłki. Ty jesteś jego dziedzicem, ja jedną z pomyłek. Władca D'Hary nie zwracał uwagi na formalności związane z poczęciem. Kobiety żyły po to... by dawać mu rozkosz i nosić jego potomstwo. Te, które rodziły nieudane owoce, dzieci pozbawione daru, stawały się w jego oczach jedynie nieurodzajną glebą. Nawet twoja matka, już po urodzeniu najwspanialszego owocu, nie znaczyłaby dlań więcej niż ziemia w sadzie. Kahlan ścisnęła rękę Richarda.

- Cara mówiła mi to samo. Powiedziała, że... Rahl Posępny eliminował dzieci, które nie miały daru.

Richard zeszywniał.

- Zabijał moje rodzeństwo?

- Tak, lordzie Rahlu - odezwała się Cara. - Jednak nie czynił tego według jakiegoś planu, lecz raczej z kaprysu albo kiedy był w złym humorze.

- Nic nie wiem o innych jego dzieciach. Do ostatniej jesieni nie zdawałem sobie nawet sprawy, że był moim ojcem. Jak udało ci się przeżyć? - spytał Drefana.

- Moja matka nie była... - Zapytany umilkł, szukając sposobu na delikatne wyjaśnienie tej sprawy. - Nie potraktowano jej równie potwornie jak twoją drogą matkę, lordzie Rahlu. Była kobietą ambitną i chciwą. W naszym ojcu widziała kogoś, kto mógł jej zapewnić wysoki status. Słyszałem, że miała piękną twarz i figurę i że była jedną z tych nielicznych, które regularnie przywoływał do swojego łoża.

Większość kobiet nie dostępowała takiej łaski. Najwyraźniej udawało się jej podtrzymać w nim... apetyt na jej wdzięki. Mówiąc bez ogródek, była wysoce utalentowaną dziwką. Miała nadzieję, że to właśnie ona urodzi mu dziedzica z magicznym darem i że dzięki temu Rahl Posępny spojrzy na nią jeszcze łaskawszym okiem. Nie udało się jej. - Twarz Drefana okryła się rumieńcem. - Urodziła mnie.

- Może w jej oczach było to fiasko, ale nie w oczach dobrych duchów. W ich oczach nie jesteś wart mniej ode mnie - powiedział spokojnie Richard.

Kąciki ust mężczyzny wygięły się w przelotnym uśmiechu.

- Dziękuję, lordzie Rahlu. To wspaniałomyślnie z twojej strony odstąpić dobrym duchom to, co zawsze do nich należało. Nie wszyscy ludzie tak postępują.

Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie - zacytował hołdowniczą formułę.

Drefanowi udawało się zachowywać postawę pełną dwornego szacunku, a zarazem nie zdradzać cienia służalczości. Szczerze, jak się wydawało, okazywał szacunek, nie tracąc przy tym dumnej miny. Był nieskazitelnie uprzejmy i grzeczny, nie tak jak w lochu, niemniej jednak zachowywał się jak Rahl: żadne pokłony nie potrafiły zmniejszyć jego pewności siebie. Również on, podobnie jak Richard, odznaczał się wrodzoną powagą i autorytetem.

- A co się stało potem?

Drefan głęboko zaczerpnął powietrza.

- Gdy byłem jeszcze małym dzieckiem, zaniósł mnie do czarodzieja, żeby sprawdził, czy mam dar. Łudziła się, że pokaże Rahlowi Posępnemu dziedzica z magicznym darem, który da jej bogactwa, pozycję i nieustające uwielbienie władcy D'Hary. Czy wspominałem, że była głupia?

Richard milczał, więc Drefan podjął opowieść.

- Czarodziej przekazał jej złą nowinę: urodziłem się bez daru. Nie stanowiłem dla niej gwarancji łatwego życia, lecz zapowiedź niebezpieczeństwa. Rahl Posępny znany był z tego, że cał po calu wypruwał z takich kobiet wnętrzości.

- Najwyraźniej udało ci się nie przyciągnąć jego uwagi - odezwał się Richard.

- Czemuż to?

- To dzieło mojej drogiej matki. Wiedziała, że być może zdołałaby mnie

wychować i nie zwrócić nigdy na siebie jego uwagi, a może nawet przeżyć, wiedziała też jednak, że byłoby to ciężkie życie, życie w ukryciu, kiedy to każde stukanie do drzwi budziłoby strach. Więc zabrała mnie, jeszcze jako małe dziecko, do odległej osady uzdrowicieli, mając nadzieję, że wychowają mnie potajemnie, bez rozgłosu, tak by mój ojciec się o mnie nie dowiedział i nie zechciał mnie zabić.

- I to musiało być dla niej bardzo trudne - wtrąciła się Kahlan.

Spojrzały na nią przenikliwe błękitne oczy.

- Przepisała sobie na swój smutek silny lek: lulek czarny, a uzdrowiciele dostarczyli jej go.

- Lulek czarny to trucizna - rzekł głucho Richard.

- Tak. Działa szybko, ale na nieszczęście towarzyszy temu przeszywający ból.

- I owi uzdrowiciele dostarczyli jej truciznę? - zdumiał się lord Rahl.

Jastrzębi, ostrzegawczy wzrok Drefana znów spoczął na chłopaku.

- Zadaniem uzdrowiciela jest dostarczyć odpowiedni lek. Niekiedy owym lekiem jest śmierć.

- To się kłóci z moim rozumieniem roli uzdrowiciela - oznajmił Richard, odpowiadając takim samym spojrzeniem.

- Dla konających w męczarniach, którzy nie mają żadnej nadziei na wyzdrowienie, nie ma lepszej pomocy niż skrócenie ich mąk.

- Twoja matka nie umierała bez nadziei na wyzdrowienie.

- Gdyby Rahl Posepny ją odnalazł, cierpiałaby straszliwie. Nie mam pojęcia, co wiesz o naszym ojcu, ale był znany z pomysłowości w zadawaniu bólu i przedłużaniu go. Matka żyła w przerażającym strachu przed takim losem. Przerażenie sprawiło, że niemal straciła rozum. Każdy cień doprowadzał ją do łez. Uzdrowiciele nie mogli uchronić jej przed takim losem, nie mogli uchronić jej przed Rahlem Posepnym. Gdyby Rahl zechciał ją odnaleźć, uczyniłby to. Gdyby została z uzdrowicielami i odnaleziono by ją wśród nich, wymordowałby ich wszystkich za to, że ją ukrywali. Oddała życie, bym ja mógł ocalić swoje.

Trzasnęła pałaca się kłoda i Kahlan drgnęła. Ani Richard, ani Drefan się nie poruszyli.

- Tak mi przykro - wyszeptał Richard. - Dziadek zabrał swoją córkę, a moją matkę do Westlandu, żeby ukryć ją przed Rahlem Posepnym. I on, jak

przypuszczam, wiedział, jakie groziło jej niebezpieczeństwo. Jakie i mnie groziło niebezpieczeństwo.

Drefan wzruszył ramionami.

- Więc ty i ja jesteśmy tacy sami: usunięto nas sprzed oczu ojca. Ciebie jednak by nie zabił.

Richard pokiwał głową.

- Próbował mnie zabić.

- Naprawdę? - zdumiał się Drefan. - Chciał dziedzica mającego magiczny dar i próbował go zabić?

- Nie wiedział, jak i ja, że był moim ojcem. - Richard porzucił ów temat i zajął się bieżącymi sprawami. - A co z tym jednaniem się z dobrymi duchami, na wypadek gdybyś miał dziś do nich dołączyć?

- Uzdrowiciele, którzy mnie wychowywali, nie taili nigdy przede mną, kim jestem. Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze wiedziałem, że jestem synem z nieprawego łoża naszego władcy, Ojczulka Rahla. Zawsze wiedziałem, że w każdej chwili może się pojawić i mnie zabić. Modliłem się co wieczór, dziękując dobrym duchom za kolejny dzień bez mojego ojca i tego, co mógł mi uczynić.

- Czy uzdrowiciele nie bali się, że przybędzie i zgładzi ich razem z tobą za to, że cię ukrywali?

- Może i się bali, ale nigdy nie zwracali na to uwagi. Mówili, iż nie boją się o siebie, bo zawsze mogą powiedzieć, że jestem dzieckiem, które im zostawiono, i że nie wiedzieli, kto jest moim ojcem.

- To musiało być ciężkie życie.

Drefan odwrócił się do nich plecami i przez jakiś czas patrzył na świecę. W końcu znowu zaczął mówić:

- A jednak było to życie. Jedyne, jakie znałem. Lecz wiedziałem, że jestem straszliwie zmęczony przeżywaniem każdego dnia w strachu, że może się zjawić.

- On nie żyje. Nie musisz się go już dłużej bać - powiedział Richard.

- To dlatego tu jestem. Kiedy poczułem, że pękła więź, a później uzyskałem potwierdzenie jego śmierci, uznałem, że mogę przestać się lękać. Od momentu gdy się zjawiłem, pozostawałem pod strażą. Wiedziałem, że nie wolno mi opuścić tej komnaty. Znam opinię o gwardzistach, którymi się otaczasz. Wchodziło to w zakres ryzyka, jakie podjąłem, przybywając tutaj.

Nie wiedziałem, czy i nowy lord Rahl nie zechce mnie przypadkiem usunąć, lecz postanowiłem pozbyć się tego wiszącego nieustannie nade mną wyroku śmierci. Przybyłem ofiarować moje usługi władcy D'Hary, jeśli zechce z nich skorzystać, lub zapłacić życiem za zbrodnię narodzin, jeśli taka będzie jego wola. W taki czy inny sposób to się skończy. Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. - Drefan obrócił się ku Richardowi, w oczach miał łzy. - Decyduj, lordzie Rahlu. Zabij mnie albo mi wybacz. Już sam nie wiem, na czym mi bardziej zależy, ale błagam cię, żebyś to wreszcie zakończył, w taki lub inny sposób.

Pierś Drefana unosiła się w ciężkim oddechu. Richard przyglądał się przyrodniemu bratu w dręczącej ciszy. Kahlan mogła się jedynie domyślać, co Richard myśli, jakie uczucia towarzyszą owym rozmyślaniom o powrocie bolesnych wspomnień, o promyku nadziei na przyszłość.

W końcu chłopak wyciągnął rękę.

- Jestem Richard, Drefanie. Witaj w nowej D'Harze, w D'Harze walczącej o wyzwolenie się od strachu. Walczymy o to, by już nikt, tak jak ty przedtem, nie musiał żyć w lęku.

Obaj mężczyźni chwycili się za nadgarstki. Dłonie mieli równie duże i krzepkie.

- Dziękuję, Richardzie - wyszeptał Drefan.

ROZDZIAŁ 18

Słyszałem, że ocaliłeś Carze życie - odezwał się Richard. - Chcę ci podziękować. To musiała być trudna decyzja, skoro wiedziałeś, że to jedna z moich strażniczek, która mogła cię skrzywdzić... gdyby sprawy przybrały dla ciebie zły obrót.

- Jestem uzdrowicielem. I to właśnie czynię, Richardzie: uzdrawiam.

Obawiam się, że mogę mieć problemy z tym, by odzywać się do ciebie inaczej niż

„lordzie Rahlu”, przynajmniej przez jakiś czas. Czuję więź, która łączy mnie z tobą jako lordem Rahlem.

Chłopak z zażenowaniem poruszył ramionami.

- Wciąż trudno mi się przyzwyczaić do tego, że ludzie tytułują mnie „lordzie Rahlu”. - Przesunął palcem po dolnej wardze. - Czy my... może wiesz... mamy jeszcze jakichś przyrodnych braci albo siostry?

- Jestem pewny, że tak. Niektórzy musieli przeżyć. Dotarły do mnie pogłoski, że mamy młodszą siostrę.

- Siostrę? - Richard się uśmiechnął. - Naprawdę? Siostrę? Jak myślisz, gdzie jest? Wiesz, jak się nazywa?

- Przykro mi, lordzie... Richardzie, ale znam tylko jej imię. Ma na imię Lindie.

Z tego, co mi przekazano, wynika, że jeśli żyje, powinna mieć jakieś czternaście lat Ten, który mi o niej opowiadał, znał wyłącznie jej imię, a poza tym wiedział tylko, że urodziła się w D’Harze, na południowy zachód od Pałacu Ludu.

- Jeszcze coś?

- Obawiam się, że nie. Teraz wiesz tyle samo, ile ja. - Drefan zwrócił się ku Kahlan. - Jak się czujesz? Czy ta zielarka, jakże się ona nazywa, dobrze zszyla ranę?

- Tak - odparła dziewczyna. - Nadine spisała się doskonale. Ramię trochę mi dolega, no i boli mnie głowa. To z pewnością następstwo tego wszystkiego, co się wydarzyło. Ból ramienia nie pozwolił mi się wyspać ubiegłej nocy, ale można się było tego spodziewać. Nic mi nie jest.

Drefan ruszył ku niej i - nim się zorientowała, co chce zrobić - ujął jej

rękę.

Uniósł ją, poruszył i pociągnął ku sobie, za każdym razem pytając, gdzie boli. Kiedy zaspokoił swoją ciekawość, stanął za dziewczyną i złapał palcami obojczyk, przyciskając jednocześnie kciuki do podstawy jej karku. Dziewczynę przeszył ból.

Komnata zawirowała. Drefan nacisnął pod pachą i tylną część barku.

- O właśnie. A jak teraz?

Kahlan poruszyła ramieniem i stwierdziła, że ból bardzo się zmniejszył.

- O wiele lepiej. Dziękuję.

- Nie forsuj go. Trochę stłumiłem ból, lecz ramię musi się wygoić, nim zaczniesz się nim intensywnie posługiwać. Wciąż boli cię głowa?

Kahlan potwierdziła.

- Zobaczmy, czy zdołam coś na to poradzić.

Pociągnął ją za rękę ku stolikowi i usadowił na krześle. Wielka postać Drefana zasłoniła Kahlan przed Richardem.

Uzdrowiciel uniósł ku sobie ręce dziewczyny, po czym zaczął naciskać i przesuwać w palcach skórę między jej kciukami a palcami wskazującymi. Dłonie Kahlan zdawały się takie małe w jego wielkich łapach. Miał ręce podobne do rąk Richarda: duże i silne, choć nie tak stwardniałe. Sprawiał jej ból, zaciskając mocno palce, ale nie poskarżyła się, uznawszy, że Drefan wie, co robi.

Stał tuż przed nią, więc musiała podnieść wzrok, gdyż inaczej patrzyłaby na jego obcisłe spodnie. Kahlan obserwowała dłonie uzdrowiciela ugniatające i masujące jej ręce, patrzyła, jak jego palce uciskają jej ciało. Przypomniła sobie jego łapę na piersiach Cary. Wyraziście przypomniła sobie owe krzepkie palce torujące sobie drogę pod czerwonym uniformem Mord-Sith i docierające pomiędzy jej nogi.

Wciskające się w nią. Gwałtownie wyszarpnęła dłonie.

- Dziękuję, już o wielo lepiej - skłamała.

Uśmiechnął się do niej, patrząc przenikliwymi, jastrzębimi, błękitnymi oczami Rahla.

- Jeszcze nigdy tak szybko nie uleczyłem bólu głowy. Na pewno mniej ci dokucza?

- Tak. To nie był duży ból. Już zniknął. Dziękuję.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - powiedział i długo przyglądał się jej z

uśmieszkiem, aż w końcu odwrócił się ku Richardowi. - Powiedziano mi, iż żenisz się z obecną tu Matką Spowiedniczką. Jesteś zupełnie innym lordem Rahlem niż nasz ojciec. Rahl Posępny nigdy nie rozważał możliwości ożenku. Oczywiście, nigdy nie skusiła go do małżeństwa kobieta tak piękna jak twoja narzeczona. Mogę złożyć gratulacje? Kiedy ślub?

- Wkrótce - wpadła mu w słowo Kahlan, stając obok Richarda.

- To prawda-potwierdził chłopak. - Już wkrótce. Chociaż nie znamy jeszcze dokładnej daty. My... mamy jeszcze do załatwienia kilka spraw. Przydałaby mi się twoja pomoc, Drefanie. Mamy wielu rannych żołnierzy, a niektórzy z nich są w ciężkim stanie. Poranił ich ten sam człowiek, który skrzywdził Carę. Naprawdę byłbym wdzięczny, gdybyś sprawdził, czy możesz im jakoś pomóc.

Drefan, nawet na nie patrząc, wyciągnął ze ściany swoje noże.

- Po to właśnie tu jestem: żeby pomóc - powiedział i ruszył ku drzwiom, lecz Richard złapał go za ramię.

- Lepiej pozwól, żebym to ja pierwszy wyszedł. Dopóki nie zmienię rozkazów, umrzesz, jeśli opuścisz tę komnatę przede mną. Nie chcemy, żeby tak się stało.

Richard ujął ramię Kahlan i obrócił się ku drzwiom, a dziewczyna spojrzała przelotnie w oczy Cary. Drefan mówił wtedy, że Mord-Sith słyszy. Słyszała wszystko, lecz nie mogła zareagować. Musiała słyszeć, jak Kahlan ostrzegła go, by nigdy więcej nie pchał tam łap. Musiała czuć, co robił, ale nie mogła mu w tym przeszkodzić. Owo wspomnienie przywołało rumieniec na policzki Kahlan.

Odwróciła się i kiedy wychodzili z komnaty, objęła Richarda w pasie.

Richard spojrzał w jeden i drugi kraniec cichego korytarza, a gdy nikogo nie dostrzegł, przycisnął Kahlan do wyłożonej boazerią ściany przed jej komnatami i pocałował. Ucieszyła się, że Drefan stłumił wcześniej ból w zranionym ramieniu, bo i tak porządnie zabolalo, kiedy objęła chłopaka za szyję.

Jęknęła. Była zmęczona i ramię wciąż pobołowało, jednak to nie osłabienie czy ból wywołały ów jęk, a pożądanie.

Richard wziął ją w ramiona i odwrócił się tak, że teraz on opierał się plecami o ścianę. Tulił mocno Kahlan, unosząc ją niemal nad podłogę, a jego pocałunek stawał się coraz gorętszy. Jej również. Przygryzła dolną wargę

chłopaka, a potem cofnęła się dla nabrania oddechu.

- Nie mogę uwierzyć, że nie czeka tam na nas Nancy lub jedna z jej kobiet - powiedział.

Zostawił gwardzistów w głębi korytarza, za rogiem. W końcu byli sami - rzadki luksus. Choć Kahlan dorastała otoczona bezustannie ludźmi, teraz męczyła ją ich nieprzerwana obecność. Bardzo cenna okazywała się możliwość bycia po prostu we dwoje.

Musnęła jego wargi językiem i przelotnie pocałowała.

- Nie sądzę, żeby Nancy nam przeszkadzała.

- Naprawdę? - spytał z szelmowskim uśmiechem. - A któż będzie strzegł twojej cnoty, Matko Spowiedniczko?

Dotknęła przelotnie wargami jego ust.

- O dobre duchy, oby nikt. Zaskoczył ją nagłą zmianą tematu.

- Co sądzisz o Drefanie?

Nie była przygotowana, by odpowiedzieć na to pytanie.

- A co ty o nim myślisz?

- Chciałbym mieć brata, któremu mógłbym zaufać. Jest uzdrowicielem.

Chirurg był pod wrażeniem, kiedy Drefan pomógł niektórym żołnierzom. Powiedział, że przynajmniej jeden z nich będzie żył tylko dlatego, że Drefan się nim zajął. Nadine ogromnie interesowała się mieszankami, które nosi w skórzanych mieszkach u pasa.

Podoba mi się myśl, że mam brata, który pomaga ludziom. To najszlachetniejsze z zajęć.

- Uważasz, że ma magiczny dar?

- Nie dostrzegłem w jego oczach niczego, co by o tym świadczyło. A jestem przekonany, że wyczytałbym to. Nie potrafię wytłumaczyć, jak to się dzieje, że dostrzegam czasem, jak magia iskrzy się wokół kogoś, jak widać ją w czyichś oczach.

W wypadku Drefana niczego takiego nie dostrzegłem. Sądzę, że to tylko utalentowany uzdrowiciel. Jestem mu wdzięczny za uratowanie Cary. Tak przynajmniej twierdzi. A co, gdyby sama przywróciła się do zdrowia po tym, jak Marlin umarł i pękło łączące ją z nim zespolenie?

O tym Kahlan nie pomyślała.

- Nie ufasz mu więc?

- Sam nie wiem. Ciągle nie wierzę w zbieg okoliczności - westchnął

zawiedziony. - Kahlan, chcę, żebyś była uczciwa i nie pozwoliła, bym stracił rozsądek tylko dlatego, że jest moim bratem i że chcę mu ufać. Nie okazałem się zbyt biegły w ocenianiu braci. Jeżeli masz powody, by mu nie dowierzać, powiedz mi o tym.

- Dobrze. Masz do tego prawo. Pochylił ku niej głowę.

- Mogłabyś mi na przykład powiedzieć, dlaczego go okłamałaś.

- O co ci chodzi? - nachmurzyła się Kahlan.

- O to, że niby przestała cię boleć głowa. Przecież widzę, że w ogóle ci nie pomógł. Dlaczego mu powiedziałaś, że ci przeszło?

Kahlan przyłożyła dłoń do policzka Richarda.

- Bardzo chciałabym, żebyś miał brata, z którego mógłbyś być dumny, ale chcę, żeby to było autentyczne. Prawdopodobnie twoje słowa o zbiegu okoliczności nakazały mi ostrożność, ot co.

- Na pewno nic innego?

- Na pewno. Mam nadzieję, że obdarzy cię braterską miłością. Modlę się, żeby to był tylko zwykły zbieg okoliczności.

- Ja również.

Kahlan czule ścisnęła ramię chłopaka.

- Wiem, że przypawił o szybsze bicie serca wszystkie pokojowe. A te omdlewające spojrzenia, które spostrzegłam, świadczą, że wkrótce zacnie im łamać serca. Obiecuję, że powiem, jeśli da mi powody do podejrzeń, iż coś jest nie w porządku.

- Dziękuję.

Nie uśmiechnął się, gdy powiedziała, że Drefan podoba się wszystkim kobietom. Richard nigdy nie okazywał zazdrości, nie miał do tego powodu, nawet gdyby nie była Spowiedniczką, lecz istniała przecież ta bolesna historia z Michaelem i Kahlan zdała sobie sprawę, że to zupełnie wystarczało. Pożałowała, że o tym wspomniała.

Znów ją pocałował. Cofnęła się.

- Dlaczego po południu zabrałeś ze sobą Nadine?

- Kogo?

Znów się ku niej pochylił, lecz cofnęła się.

- Nadine. Pamiętasz ją? Kobietę w obcisłej sukni?

- Ach, tę Nadine. Szturchnęła go w żebra.

- Więc zauważyłeś jej suknię. Zmarszczył brwi.

- To dzisiaj się czymś różniła?

- A tak, różniła się. Dlaczego zabrałaś ją ze sobą?

- Ponieważ jest uzdrowicielką. Nie jest zła, ma również dobre cechy. Pomyślałem sobie, że dopóki tu będzie, dopóty może się na coś przydać. Pomyślałem, że lepiej się poczuje, jeśli będzie użyteczna. Kazałem jej sprawdzić, czy żołnierze właściwie przygotowują herbatkę z dębu skalnego, czy jest wystarczająco mocna.

Wydawała się zadowolona, że może pomóc.

Kahlan przypomniała sobie uśmiech Nadine, gdy Richard poprosił ją, żeby z nim poszła. Istotnie, była zadowolona, ale nie tylko z tego, że mogła pomóc. Uśmiech

- tak jak i suknia - był przeznaczony dla chłopaka.

- A więc sądzisz tak jak wszystkie inne kobiety, że Drefan jest przystojny?
- spytał Richard.

Kahlan pomyślała, że Drefan z pewnością nosił zbyt obcisłe spodnie.

Pocałowała Richarda, mając nadzieję, że nie zauważy, jak się zarumieniała, i błędnie tego nie odczyta.

- Kto? - szepnęła rozmarzona.

- Drefan. Przypominasz go sobie? Mężczyzna w obcisłych spodniach.

- Przykro mi, nie pamiętam go - odparła, całując szyję Richarda. Rzeczywiście prawie go nie pamiętała. Pragnęła tylko i wyłącznie Richarda.

W umyśle Kahlan nie było miejsca dla tamtego mężczyzny. Myślała niemal wyłącznie o czasie, jaki spędziła z Richardem w owym dziwnym miejscu pomiędzy światami, gdzie byli razem, naprawdę razem, jak nigdy przedtem i potem. Pragnęła, by to się powtórzyło. By to się natychmiast powtórzyło.

Natarczywość dłoni Richarda i jego warg na szyi dziewczyny świadczyła, że on także jej pragnął, i to równie mocno.

Lecz Kahlan wiedziała dobrze, że Richard nie chce w niczym przypominać swojego ojca. Nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że Kahlan jest tylko tym, czym były kobiety Rahla Posępnego; zabawką władcy D'Hary. To dlatego zawsze pozwalał, by poskramiały go pokojowe. Protestował, ale nigdy nie sprzeciwiał się im, kiedy go przepłaszały.

Trzy Mord-Sith też zawsze się starały, żeby w Kahlan widziano prawdziwą narzeczoną władcy D'Hary. Ilekroć ona i Richard chcieli pójść

wieczorem do jego komnaty, choćby po to tylko, żeby porozmawiać, tylekroć zjawiała się tam Cara albo Raina, albo Berdine z niecierpiącą zwłoki sprawą, która ich rozdzielała. Kiedy Richard się złościł, przypominały mu, że sam nakazał im chronić Matkę Spowiedniczkę, a on nigdy nie cofnął tych rozkazów.

Dzisiaj wszystkie trzy Mord-Sith skrupulatnie przestrzegały jego rozkazów, gdy więc nakazał Carze i Rainie zostać za rogiem, w głębi korytarza, uczyniły to bez sprzeciwu.

Zaślubiny miały się odbyć wkrótce, zatem zdecydowali, że do nich zaczekają, choć już raz byli razem. Ów jedyny raz wydawał się nierealny - wszystko odbyło się w miejscu pomiędzy światami, pozbawionym zarówno ciepła, jak i chłodu, bez źródła światła, bez ziemi, a przecież widzieli i leżeli w mrocznej przestrzeni na tyle solidnej, by ich utrzymać.

Kahlan pamiętała przede wszystkim ich pieśczoć. W owym dziwnym miejscu, dokąd zabrały ich dobre duchy, to oni byli źródłem żaru, światła, czucia.

Teraz czuła ów żar, dotykając piersi i brzucha Richarda. Jego usta sprawiały, że traciła oddech. Chciała, by całował całe jej ciało. I jego też chciała tak całować.

Pragnęła, by znalazł się w jej komnacie.

- Richardzie, zostań ze mną tej nocy - wyszeptała mu do ucha. Jego dłonie sprawiały, że przestawała nad sobą panować.

- Kahlan, myślałem...

- Proszę, Richardzie. Chcę, żebyś znalazł się w moim łóżku. We mnie.

Słowa Kahlan, jej dłonie sprawiały, że topniało zdecydowanie chłopaka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - rozległ się czyjś głos. Richard gwałtownie się wyprostował. Kahlan okręciła się ku owej osobie. Grube dywany stłumiły odgłos kroków Nadine. Nie usłyszeli, jak nadchodziła.

- Nadine - odezwała się Kahlan, łapiąc oddech. - Co...?

Z zażenowaniem splotła dłonie za plecami, zastanawiając się, czy Nadine widziała, gdzie dopiero co były. Za to z pewnością widziała, gdzie były dłonie Richarda. Poczwała, że się czerwieni.

Nadine patrzyła zimno to na nią, to na niego.

- Nie zamierzałam przeszkadzać. Przyszłam zmienić opatrunek. I przeprosić.

- Przeprosić? - spytała Kahlan, wciąż łapczywie chwytając powietrze.

- Tak. Powiedziałam ci wcześniej kilka rzeczy i sądzę, że byłam wtedy trochę... chora. Pomyślałam, że powiedziałam coś, czego nie powinnam. Doszłam do wniosku, że powinnam przeprosić.

- W porządku - stwierdziła dziewczyna. - Rozumiem, jak się wtedy czułaś.

Nadine uniosła brwi i chwyciła torbę.

- Co z opatrunkiem?

- Moje ramię jest w doskonałym stanie. Ale jutro możesz mi zmienić opatrunek. - Kahlan chciała wypełnić czymś dręczącą ciszę. - Drefan niedawno użył swojej uzdrowicielskiej sztuki... i na tę noc to zupełnie wystarczy.

- Oczywiście. - Nadine opuściła torbę. - Więc wy dwoje idziecie do łóża?

- Nadine, dziękuję, że sprawdziłaś, czy Kahlan nic nie trzeba. Dobranoc - odezwał się powściągliwie Richard.

Nadine obrzuciła go chłodnym, gniewnym spojrzeniem.

- Nawet nie czekasz na ślub? Chcesz ją ot tak sobie cisnąć na łóża i wziąć jak dziewczynę napotkaną w lasach? Niezbyt to pasuje do wielkiego i potężnego lorda Rahla. A udawaliście, że jesteście lepsi od nas, zwyczajnych ludzi. - Jeszcze raz łypnęła nań gniewnie, a potem przeniosła wzrok na Kahlan. - Jak już przedtem powiedziałam, on chce tego, co mu się pokaże. Shota opowiadała mi o tobie.

Uważam, że wiesz, jak sprowokować mężczyznę. Wygląda na to, że i ty zrobiłabyś wszystko, byle tylko go dostać. Jak już powiedziałam, nie jesteś ode mnie lepsza.

Odwróciła się i - z torbą w dłoni - odmaszerowała w głąb korytarza.

Milcząc z zażenowania, Richard wraz z Kahlan patrzyli w puste przejście.

- Oto prawda z ust dziwki - powiedziała Kahlan. Richard przesunął dłońmi po twarzy.

- Może ona ma rację.

- Może i ma - przyznała niechętnie.

- No cóż, w takim razie dobranoc. Śpij dobrze.

- Ty również. Będę myśleć o tobie śpiącym w tej niewielkiej gościnnej komnacie.

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Jeszcze się nie położę.

- A dokąd idziesz?

- Och, zamierzałem wziąć zimną kąpiel.

Kahlan chwyciła go za szeroką podbitą skórą obręcz na przegubie.

- Nie wiem, Richardzie, czy to dłużej wytrzymam. Czy pobierzemy się, nim znów się coś przydarzy?

- Obudzimy sylfę, gdy tylko się upewnimy, że wszystko jest w porządku.

Obiecuję. O drogie duchy, obiecuję.

- Co ma być w porządku?

- Gdy przekonamy się, że żołnierze zdrowieją i że pewne inne sprawy układają się dobrze. Chcę się upewnić, że Jagang nie zdołał wprowadzić w czyn swoich gróźb.

Za kilka dni żołnierze powinni wrócić do zdrowia. Tylko kilka dni. Obiecuję.

Kahlan zacisnęła dłonie na palcach Richarda i wpatrzyła się tęsknie w jego szare oczy.

- Kocham cię - szepnęła. - Za kilka dni czy też za wieczność będę twoja.

Jestem twoja na zawsze, czy wypowiedzą nad nami święte słowa, czy też nie.

- W sercach już jesteśmy jednością. Dobre duchy o tym wiedzą. Chcą, byśmy byli razem. Już dały tego dowód i będą nad nami czuwać. Nie martw się, wypowiedzą nad nami święte słowa. - Odszedł kawałek i odwrócił się ku niej, w oczach miał niepokój. - Tak bym chciał, żeby Zedd był na naszym ślubie. O dobre duchy, tak bardzo bym tego chciał. I teraz mógłby tu być i pomóc mi.

Zanim skreślił za róg korytarza, obejrzał się. Kahlan przesłała mu pocałunek.

Potem, powłócząc nogami, weszła do swoich pustych, samotnych komnat i rzuciła się na wielkie łoże. Pomyślała o słowach Nadine: „Shota opowiadała mi o tobie”, i rozplakała się.

- Więc nie będziesz tam... spał tej nocy - powiedziała Cara, kiedy Richard ją mijał.

- A dlaczego sądziłaś, że będę?

- Kazałeś nam czekać za rogiem. - Wzruszyła ramionami.

- Może tylko chciałem pocałować Kahlan na dobranoc i nie dać wam okazji do oceniania moich talentów.

Cara i Raina uśmiechnęły się. Był to pierwszy ich uśmiech, który Richard zobaczył tego dnia.

- Już widziałam, jak całujesz Matkę Spowiedniczkę. Masz niezły talent.

Zawsze jest bez tchu i pragnie następnych pocałunków - oznajmiła Cara.

Richard nie był w radosnym nastroju, ale uśmiechnął się, zadowolony, że one się uśmiechają.

- To nie znaczy, że mam do tego talent, lecz że ona mnie kocha.

- Całowano mnie i widziałam, jak ty całujesz. Uważam, że mam podstawy, by twierdzić, iż masz do tego talent. A teraz obserwowałyśmy cię zza rogu - powiedziała.

Richard poczuł, jak się czerwieni, i starał się przybrać oburzoną minę.

- Nakazałem, byście zostały za rogiem.

- Mamy obowiązek czuwać nad tobą. I dlatego nie możemy cię spuścić z oka.

Nie wolno nam wypełniać takich rozkazów.

Richard potrząsnął głową. Nie potrafił rozgniewać się z powodu złamania rozkazu. Jakże mógłby, skoro ryzykowały narażenie się na jego gniew, byle tylko go chronić? A poza tym nie narażyły w ten sposób Kahlan na niebezpieczeństwo.

- Co myślicie o Drefanie?

- Jest twoim bratem, lordzie Rahlu. Podobieństwo jest uderzające - powiedziała Raina.

- To wiem. Chodzi mi o to, co o nim myślicie.

- Nie znamy go, lordzie Rahlu - odparła Raina.

- Ja też go nie znam. Słuchajcie, wcale się nie rozgniewam, jeśli powiecie, że go nie lubicie. W istocie, bardzo bym chciał wiedzieć, jeśli naprawdę go nie lubicie. A ty, Caro? Co ty o nim myślisz?

Cara wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie całowałam żadnego z was, ale po tym, co widziałam, wołałabym raczej całować ciebie.

Chłopak wsparł się pod boki.

- Co to znaczy?

- Wczoraj byłam ranna i pomógł mi. Lecz nie podoba mi się, że mistrz

Drefan zjawił się akurat teraz, razem z Marlinem i Nadine.

Richard westchnął.

- Mnie również. Prosiłem ludzi, żeby nie oceniali mnie na podstawie tego, kim był mój ojciec, a teraz postępuję tak wobec Drefana. Bardzo chciałbym mu ufać.

Proszę was, żebyście bez lęku przyszły do mnie i powiedziały mi o tym, jeżeli znajdziecie jakiś powód do obaw.

- Hmm, nie podobają mi się jego dłonie - odezwała się Cara.

- Co masz na myśli?

- Ma takie ręce jak Rahl Posępny. Już widziałam, jak pieścił nimi lgnące do niego kobiety. Rahl Posępny też to robił.

Richard wyrzucił ramiona w górę.

- Kiedyż znalazł na to czas? Przez większość dnia był ze mną!

- Zrobił to, gdy rozmawiałeś z żołnierzami i gdy wychodziłeś do nich z Nadine. Nie zajęło mu to dużo czasu. Znalazły go i powiem ci, że jeszcze nigdy nie widziałam, by tyle kobiet się wdzięczyło do jednego mężczyzny. Musisz przyznać, że jest miły dla oka.

Richard nie rozumiał, co w Drefanie jest aż tak pociągającego i miłego dla oka.

- Czy któraś z tych kobiet nie była chętna?

- Nie, lordzie Rahlu - odparła po dłuższej chwili.

- Cóż, widziałem i innych, którzy się tak zachowywali. Część z nich była moimi przyjaciółmi. Lubili kobiety, a one lubiły ich. Dopóki kobiety nie mają nic przeciwko temu, nie będę się do tego wtrącał. Mam na głowie ważniejsze sprawy.

- Jakie?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Jeśli okaże się, że przybył tu z dobrymi intencjami i że chce jedynie pomóc, jak twierdzi, będziesz mógł być z niego dumny, lordzie Rahlu. Twój brat jest ważnym człowiekiem.

- Tak? Jak ważnym?

- Twój brat jest przywódcą sekty uzdrowicieli.

- Tak? Nigdy mi o tym nie mówił.

- Bez wątpienia nie chce się chwalić. D'Harańczycy są pokorni wobec władcy Rahla. Ta zasada kieruje również postępowaniem owej starożytnej

sekty uzdrowicieli.

- Tak sędzę. A więc przewodzi owym uzdrowicielom?

- Tak. Jest arcykapłanem Raug'Moss - potwierdziła Cara.

- Co?! - wyszeptał Richard. - Jak ich nazwałaś?!

- Raug'Moss, lordzie Rahlu.

- Znasz znaczenie tych słów? Cara wzruszyła ramionami.

- Po prostu „uzdrowiciele”, nic więcej. Czy to znaczy dla ciebie coś innego, lordzie Rahlu?

- Gdzie jest Berdine?

- Prawdopodobnie w łóżu.

Richard ruszył korytarzem, rzucając im przez ramię polecenia:

- Rozstaw na noc strażę wokół komnat Kahlan, Caro. Raino, obudź Berdine i poproś, żeby przyszła do mojego gabinetu.

- Teraz, lordzie Rahlu? Tak późno? - spytała Raina.

- Tak. Zrób to, proszę.

Richard wbiegał po dwa stopnie, zmierzając do swojego gabinetu, gdzie czekał pamiętnik Kolo.

W gornod'harańskim „Raug'Moss” znaczyło „Boski Wicher”.

W myślach chłopaka wirowało zarówno przekazane przez Nadine ostrzeżenie Shoty, że „ściga go wicher”, jak i słowa proroctwa wyrzytego na ścianie lochu, które mówiły, że „musi poszukać remedium w wichrze”.

ROZDZIAŁ 19

Tym razem lepiej pozwól mówić mnie - ostrzegła go Ann. - Zrozumiano?

Tak mocno ściągnęła brwi, że Zeddowi zdawało się, iż zaraz się zetkną. Tak bardzo pochyliła się ku niemu, że czuł utrzymującą się w jej oddechu woń kielbaski.

Postukała paznokciem w jego obrożę - kolejne ostrzeżenie, aczkolwiek bez słów.

Zedd niewinnie zatrzepotał powiekami.

- Skoro sobie tego życzysz, niech tak będzie, lecz opowiadając swoje historyjki, zawsze miałem na względzie i twoje dobro, i nasz cel.

- Ależ oczywiście, a twoje inteligentne dowcipy to czysta rozkosz. Zedd uznał, że afektowany uśmiech Ann to już przesada - w zupełności wystarczyłaby sardoniczna pochwała. W takich sprawach istniały powszechnie akceptowane zasady. Ta kobieta naprawdę powinna się nauczyć, gdzie przebiega granica.

Czarodziej spojrział poza Ann i zajął się bieżącymi sprawami. Obrzucił krytycznym wzrokiem słabo oświetlone wejście do oberży. Mieściła się po drugiej stronie ulicy, przy końcu wąskiej, wyłożonej deskami bocznej uliczki. Ponad ową uliczką, która biegła między dwoma sklepami, wisiał niewielki szyld Pod Królewskim Błaznem.

Zedd nie wiedział, jak się nazywa to duże miasto, do którego dotarli już po zmroku, był jednak pewny, że wolałby je ominąć. Widział tu kilka zajazdów, lecz gdyby to od niego zależało, tego tutaj by nie wybrał. Oberża sprawiała wrażenie, jakby postawiono ją po to, by wykorzystać wolne miejsce lub jakby jej właściciele chcieli ją ukryć przed dociekliwością uczciwych ludzi oraz krytycznym okiem władz.

Klientela spowodowała, że Zedd skłaniał się raczej ku drugiemu domysłowi.

Większość mężczyzn wyglądała na najemnych żołnierzy lub rozbójników.

- Nie podoba mi się to - mruknął do siebie.

- Tobie nic się nie podoba. Jesteś najbardziej niemiłym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam - burknęła Ann.

- Dlaczego tak twierdzisz? - szczerze zdumiał się Zedd. - Mówiono mi, że jestem wspaniałym towarzyszem podróży. Zostało nam jeszcze trochę tych kiełbasek?

Ann przewróciła oczami.

- Nie. A co tym razem ci się nie podoba?

Zedd obserwował człowieka, który rozejrzał się w obie strony i dopiero potem podszedł do drzwi przy końcu ciemnej bocznej uliczki.

- Dlaczego Nathan miałby się zatrzymać właśnie tu?

Ann obejrzała się przez ramię i spojrzała na opustoszałą ulicę pokrytą koleinami z zamrzniętego błota. Wsunęła kosmyk włosów w luźno spięty na karku kok.

- Żeby zjeść coś ciepłego i się przespać. - Łypnęła gniewnie na Zedda. - O ile, rzecz jasna, jest tutaj.

- Nauczyłem cię, jak wyczuć magiczne pasemko, dzięki któremu przyczepiłem do niego obłok tropiący. Wyczułaś to pasemko, wyczułaś go.

- To prawda - przyznała Ann. - A kiedy go już w końcu złapaliśmy i wiemy, że jest tutaj, nagle przestało ci się to podobać.

- Otóż to. Nie podoba mi się to - odparł z rezerwą Zedd. Ann ostygła nieco w gniewie, spoważniała.

- Co cię niepokoi?

- Spójrz na szyld. Zobacz, co jest po nazwie. Para kobiecych nóg tworzyła znak V.

Ann odwróciła się i spojrzała na niego, jakby był stuknięty.

- On był zamknięty w Pałacu Proroków przez blisko tysiąc lat, Zeddzie.

- Sama to powiedziałaś, był zamknięty. - Czarodziej postukał się w obrożę zwaną Rada'Han, obrożę, którą sama włożyła mu na szyję, żeby go pojmać i zmusić do wypełniania jej rozkazów. - Nathan z pewnością nie ma ochoty znów mieć obroży na szyi. Pewnie przez setki lat planował, że w razie pomyślnego obrotu wypadków pozbędzie się obroży i ucieknie. Boję się pomyśleć, że mógł pośrednio wpłynąć lub nawet bezpośrednio zmienić przebieg wydarzeń przez proroctwa, by móc sprowadzić odmianę losu, która pozwoliłaby mu się pozbyć obroży. A teraz chcesz, żebym uwierzył, iż poszedł tam sobie na kobiety? Wiedząc, że go ścigasz?

Ann wpatrywała się w niego osłupiała ze zdumienia.

- Czyżbyś twierdził, Zeddzie, że Nathan mógł wpłynąć na wydarzenia

przez proroctwa, by pozbyć się obroży?

Czarodziej spojrział na drogę i potrząsnął głową.

- Ja tylko mówię, że mi się to nie podoba.

- Prawdopodobnie chciał po prostu tego, co mógł tam znaleźć i co by go choć na pewien czas uwolniło od martwienia się o to, czy go złapię. Pragnął damskiego towarzystwa i zlekceważył groźbę, że go tu dopadniemy.

- Znasz Nathana od ponad dziewięćset lat. Ja znam go bardzo krótko. - Zedd nachylił się ku niej i znacząco uniósł brew. - Ale nawet ja mam tyle rozumu w głowie, żeby się na to nie nabrać. Nathan nie jest głupi. To czarodziej o wybitnych zdolnościach. Popelniasz ogromny błąd, nie doceniając go.

Ann przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Masz rację, to może być pułapka. Nathan nie zabiłby mnie, żeby uciec, ale poza tym... Możesz mieć rację.

Zedd teatralnie odchrząknął.

- Zeddzie, schwytanie Nathana to poważna sprawa - powiedziała Ksieni po długim, nieprzyjemnym milczeniu. - Musimy go złapać. W przeszłości, kiedy odkryłyśmy w proroctwach niebezpieczeństwo, pomógł mi, ale przecież nie przestał być Prorokiem. A Prorocy są niebezpieczni. Nie dlatego, że chcą świadomie wywołać kłopoty, lecz ze względu na samą naturę proroctwa.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać. Dobrze znam niebezpieczeństwa wiążące się z proroctwami.

- Zawsze trzymałyśmy Nathana i jemu podobnych w izolacji w Pałacu Proroków z obawy przed katastrofą, którą mogliby spowodować, gdyby pozwolono im swobodnie podróżować. Prorok, który chciałby zaszkodzić, mógłby to z łatwością uczynić. Ale nawet taki Prorok, który nie chce szkodzić, jest niebezpieczny, niebezpieczny nie tylko dla innych, ale i dla siebie, ponieważ ludzie zwykle mszczą się na głoszącym prawdę, jakby ten, który ją zna, odpowiadał za jej urzeczywistnienie.

Osoby o niewyszkolonych umysłach, nie pojmujące magii, a tym bardziej proroctw, nie powinny się stykać z tekstami przepowiedni. Pewnego razu, jak to niekiedy czyniłyśmy na prośbę Nathana, pozwoliłyśmy, by odwiedziła go pewna kobieta.

- Przeprowadzałyście mu prostytutki? - Zedd zmarszczył brwi.

Ann z zażenowaniem poruszyła ramionami.

- Zdawałyśmy sobie sprawę z osamotnienia, na jakie skazało go odosobnienie w pałacu. Nie było to najlepsze rozwiązanie, lecz tak, od czasu do czasu sprowadzałyśmy mu towarzystwo. Nie byłyśmy bez serca.

- Jakież to wspaniałomyślne z waszej strony. Ann odwróciła wzrok.

- Zamykając go w pałacu, zrobiłyśmy tylko to, co musiałyśmy zrobić, lecz współczułyśmy mu. Przecież nie od niego zależało, że urodził się z darem prorokowania. Zawsze go ostrzegaliśmy, by nie zdradzał owym kobietom żadnego proroctwa, ale i tak pewnego razu to zrobił. Owa prostytutka z wrzaskiem uciekła z pałacu. Nigdy się nie dowiedziałyśmy, jak udało się jej zbiec, nim zdołałyśmy ją powstrzymać. Zanim ją odnalazłyśmy, powtórzyła innym słowa proroctwa. Wybuchła wojna domowa. Zginęły tysiące ludzi. Zabijano kobiety i dzieci. Nathan wydaje się niekiedy szaleńcem, osobą niespełna rozumu. Czasami wydaje mi się najbardziej niebezpieczną, a przez to najbardziej niebezpieczną ze wszystkich znanych mi osób. Postrzega świat nie tylko przez to, co widzi dokoła, ale również przez pryzmat proroctw, które nawiedzają jego umysł. Kiedy z nim rozmawiałam, zarzekał się, że nie pamięta proroctwa i że nie sądzi, by powiedział cokolwiek tej młodej kobiecie. O wiele później powiązałam ze sobą kilka proroctw i odkryłam, że wśród dzieci, które wówczas zginęły, był chłopiec wskazany przez przepowiednię jako ten, który będzie władał, wykorzystując tortury i morderstwa. Gdyby zachował życie i dorósł, zginęłyby nieprzeliczone tysiące, lecz Nathan zablokował owo niebezpieczne odgałęzienie proroctwa. Nie mam pojęcia, ile ten człowiek wie, lecz nie chce tego ujawnić. Prorok równie dobrze może wyrządzić wielką szkodę. Prorok, który pożądałby władzy, mógłby zawładnąć światem. Zedd wciąż obserwował drzwi.

- Więc ich zamykacie.

- Tak.

Zedd zdjął jakąś nitkę ze swojej rdzawej szaty. Spojrzał na przysadzistą postać Ann widoczną w przyćmionym świetle.

- Jestem Pierwszym Czarodziejem, Ann. Gdybym tego nie rozumiał, to bym ci nie pomagał.

- Dziękuję - wyszeptała Ksieni.

Zedd rozważył pozostałe możliwości. Nie było ich zbyt wiele.

- Jeśli dobrze cię rozumiem, twierdzisz, że nie wiesz, czy Nathan jest zdrowy na umyśle, i że jeśli nawet jest, to i tak może być niebezpieczny.

- Tak sędzę. Jednak Nathan często pomagał mi oszczędzać ludziom cierpień.

Setki lat temu ostrzegł mnie przed Rahlem Posępnym i powiedział o prorocctwie zapowiadającym narodziny czarodzieja wojny, narodziny Richarda. Razem staraliśmy się żeby dorastał z dala od czyichkolwiek wpływów i żebyś mógł wychować wnuka na człowieka, który wykorzysta swój dar, by pomagać ludziom.

- I za to jestem ci wdzięczny. Ale założyłaś mi obrożę, a to ani trochę mi się nie podoba - oświadczył Zedd.

- Rozumiem. Lecz nie zrobiłam tego z przyjemnością ani też nie jestem z tego dumna. Czasami rozpaczliwa potrzeba zmusza do desperackich czynów. Dobre duchy ostatecznie osądzą moje czyny. Im szybciej schwytam Nathana, tym szybciej zdejmę ci z szyi Rada'Han. Nie więzę cię za jej pomocą i nie zmuszam do pomagania mi dla własnej przyjemności, ale czynię to, co uważam za słuszne i konieczne, ze względu na straszliwe skutki jego pozostawania na wolności.

- I to też mi się nie podoba. - Zedd wskazał kciukiem przez ramię.

Ann nie spojrzała w tamtą stronę, gdyż wiedziała, na co wskazuje czarodziej.

- Co czerwony księżyc ma wspólnego z Nathanem? To osobliwe zjawisko, lecz cóż mają ze sobą wspólnego?

- Wcale nie twierdzę, że to ma coś wspólnego z Nathanem. Po prostu mi się to nie podoba.

Przez ostatnie dni niebo skrywały gęste chmury i noce opóźniały ich poszukiwania, zarówno ze względu na ciemności, jak i na kłopoty z wypatrzeniem obłoku tropiącego, który Zedd posłał za Prorokiem. Na szczęście byli na tyle blisko, żeby móc wyczuć magiczną więź bez konieczności śledzenia obłoku, który miał doprowadzić tropiciela na odległość wystarczającą do jej rozpoznania.

Zedd wiedział, że byli bardzo niedaleko od Nathana: dzieliło ich tylko kilkaset stóp. Bliskość śledzonej osoby sprawiała, że magia zespolenia zaburzała postrzeganie Zedda, jego zdolność osądu za pomocą własnej magii, zwykłą biegłość w posługiwaniu się swoim darem. Sprawiała, że

magia Zedda była niczym ogar na tropie: tak skoncentrowana na poszukiwanej istocie, że ignorowała wszystko poza śladem. I właśnie to niemiłe zaślepienie było jedną z przyczyn niepokoju czarodzieja.

Mógł przerwać zespolenie, ale byłoby to zbyt ryzykowne, nim naprawdę złapałoby Nathana, ponieważ raz zerwane nie mogło być ponownie nawiązane bez fizycznego kontaktu.

Szalejące przez ostatnie dni śnieżycy zmniejszyły tempo ich podróży i uczyniły ją bardzo nieprzyjemną. Tego właśnie dnia chmury wreszcie się rozproszyły, co ucieszyło podróżników, choć dokuczał im lodowaty wiatr. Cieszyli się na wzejście księżyca, bo jego poświata byłaby pomocna w osaczeniu Proroka.

Teraz jednak w milczeniu, osłupiali, obserwowali jego pojawienie się. Bo wzeszedł czerwony.

Z początku podejrzewali, że to efekt zalegającej mgły, lecz gdy księżyc wzniósł się wysoko, Zedd upewnił się, że jego barwa nie ma związku z jakimś niewinnym zjawiskiem atmosferycznym. Co gorsza, wskutek utrzymującego się przez ostatnie dni zachmurzenia czarodziej nie wiedział, od kiedy księżyc stał się czerwony.

- Czy wiesz, Zeddzie, co to oznacza? - spytała wreszcie Ann, przerywając ciężką ciszę.

Ten odwrócił wzrok, udając, że bada mroki.

- A ty wiesz? śyjesz o wiele dłużej ode mnie. Musisz coś wiedzieć o takim znaku.

Słyszał, jak poprawia wełnianą pelerynę.

- Jesteś czarodziejem pierwszego stopnia. Zdaję się na twoje doświadczenie w takich sprawach.

- Tak nagle zaczęłaś cenić moje zdanie?

- Nie przekomarzajmy się na ten temat, Zeddzie. Nigdy co prawda nie widziałam czerwonego księżyca, ale przypominam sobie, że wspomniano o takim zjawisku w starożytnym tekście z czasów wielkiej wojny. Księga nie wyjaśniała, co to oznacza, mówiła jedynie, że to wywołało wielką trwogę.

Zedd przykucnął w cieniu narożnika budynku, za którym się kryli. Wsparł się plecami o oszalowanie ściany i wykonał zapraszający gest. Ann usiadła obok, w głębszym cieniu.

- W Wieży Czarodzieja jest wiele bibliotek, dużych bibliotek. Większość

jest tak obszerna jak krypta z księgami w Pałacu Proroków, a spora część z nich o wiele większa. Jest tam też mnóstwo ksiąg z proroctwami.

W Wieży Czarodzieja przechowywano księgi z proroctwami uważane za tak niebezpieczne, że skrywano je za potężnymi osłonami chroniącymi prywatną enklawę Pierwszego Czarodzieja - Wieżę Pierwszego Czarodzieja. Nie wszyscy starzy czarodzieje w czasach młodości Zedda mogli czytać owe proroctwa. Nawet on sam, choć miał do nich dostęp, od kiedy został Pierwszym Czarodziejem, nie przeczytał wszystkich, te zaś, które studiował, pozbawiły go snu i sprowadziły nań zimne poty.

- Drogie duchy - podjął Zedd - w wieży jest takie mnóstwo ksiąg, że nie przeczytałem nawet wszystkich tytułów. Niegdyś każda biblioteka miała odrębny zespół kustoszy. Każdy z nich znał księgi w swoim sektorze zbiorów. Gdy dawno temu, na długo przed moimi urodzinami, potrzebowano jakiejś odpowiedzi, to zbierali się właśnie owi kustosze. Każdy znał swoje księgi i jeśli były w nich informacje na określony temat, zabierał głos. Dzięki temu stosunkowo szybko odnajdowano odpowiednie tomy lub proroctwa, które mogły pomóc w rozwiązaniu właściwej sprawy. Kiedy byłem bardzo młody, jedynie dwaj czarodzieje działali jako kustosze.

Dwóch ludzi to za mało, żeby wykorzystać zgromadzoną tam wiedzę. Owe księgi zawierają nieprzebrane mnóstwo informacji, lecz znalezienie potrzebnych akurat wiadomości to ogromnie trudne zadanie. Żeby choć zawęzić pole poszukiwań, należy się posługiwać swoim magicznym darem. Ten, kto chce znaleźć w owych bibliotekach jakąś informację, przypomina osobę dryfującą po oceanie i pragnącą napić się wody. Informacji jest nadmiar, a przecież można umrzeć z pragnienia, nim odnajdzie się te właściwe. W czasach mojej młodości wskazano mi najważniejsze księgi z dziedziny historii, magii i prorokowania. Zajmowałem się przede wszystkim studiowaniem tych właśnie dzieł.

- A co z czerwonym księżycem? Co mówiły o tym księgi, które przeczytałeś? - spytała Ann.

- Przypominam sobie, że tylko raz czytałem o czerwonym księżycu. Nie było to jasno i wyraźnie powiedziane, wprost przeciwnie. Powinienem się wówczas bardziej tym zainteresować, ale nie uczyniłem tego. Wtedy poszukiwałem w owych księgach informacji dotyczących ważnych podówczas spraw, spraw realnych, a nie hipotetycznych.

- Co wyczytałeś w tamtej księdze?

- O ile sobie dobrze przypominam, a wcale nie twierdę, że tak właśnie jest, mówiła coś o rozdarciu pomiędzy światami. Napisano w niej, że jeśli przydarzy się takie rozdarcie, to jako ostrzeżenie księżyc będzie czerwony przez trzy noce.

- Trzy noce. Chmury przesłaniały nam niebo, więc to może być nasza trzecia noc. A co, gdyby chmury się nie rozpierchły? Nikt nie zobaczyłby ostrzeżenia.

Zedd zmrużył oczy, starając się sobie przypomnieć, co kiedyś wyczytał.

- Nie... nie, księga mówiła, że ten, do którego skierowane jest ostrzeżenie, będzie widział czerwony księżyc przez wszystkie trzy noce.

- A co dokładnie znaczy takie ostrzeżenie? Przed jakiego rodzaju rozdarciem pomiędzy światami ostrzega?

- Chciałbym to wiedzieć.- Zedd stuknął siwowłosą głową o ścianę. - Kiedy Rahl Posępny otworzył szkatuły Ordenu, Kamień Łez znalazł się w naszym świecie, a Opiekun zaświatów już-już miał się wydostać przez rozdarcie, księżyc wcale nie był czerwony.

- Może zatem czerwony księżyc nie oznacza wcale, że jest jakieś rozdarcie.

Może źle sobie to wszystko przypomniałeś.

- Bardzo możliwe. Najlepiej pamiętam swoje ówczesne myśli. Pamiętam, jak wbijałem sobie do głowy ów czerwony księżyc i nakazywałem zapamiętać ten obraz wraz z myślą, że gdybym kiedyś naprawdę zobaczył taki księżyc, będzie to oznaczało zbliżanie się bardzo poważnych kłopotów, i że od razu muszę się dowiedzieć, co ów znak mówi.

Ann dotknęła ramienia czarodzieja. Nigdy przedtem nie zdobyła się na taki gest współczucia.

- Już niemal złapaliśmy Nathana, Zeddzie. Dopadniemy go tej nocy. A wtedy zdejmę ci z szyi Rada'Han i będziesz mógł pospieszyć do Aydindril, by zająć się tą sprawą. Właściwie wszyscy się tam udamy, gdy tylko schwytamy Nathana. On zrozumie powagę tej sprawy i pomoże nam. Pojedziemy razem z tobą do Aydindril.

Zeddowi co prawda ogromnie się nie podobało, iż ta kobieta nalegała, by pomógł jej schwycić Nathana, rozumiał jednak, że bardzo boi się tego, czego mógłby dokonać wędrujący swobodnie Prorok, oraz że bardzo potrzebuje

jego, Zedda, pomocy. Czasami z trudem podtrzymywał swoje oburzenie. Pojmował, jak rozpaczliwie Ann stara się zapobiec utracie kontroli nad proroctwami wraz z odzyskaniem wolności przez Nathana.

Czarodziej doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, którym byłby dla ludzi kontakt z nie przetworzonym tekstem przepowiedni. Od małego wysłuchiwał pouczeń o tym, jak niebezpieczne może być proroctwo nawet dla czarodzieja.

- Wygląda to na dobry interes. Ja pomogę tobie złapać Nathana, a wy pomożecie mi się dowiedzieć, co oznacza czerwony księżyc.

- No to zawieramy umowę i pracujemy razem z nieprzymuszonej woli. Muszę przyznać, że będzie to miła odmiana.

- Naprawdę? - zaciekawiał się Zedd. - To może zdejmiesz mi tę obrozę?

- Zdejmę. Kiedy tylko pochwycimy Nathana.

- Nathan znaczy dla ciebie więcej, niż chcesz przyznać. Ann milczała przez chwilę.

- To prawda. Pracowaliśmy razem przez setki lat. Może być wcielonym kłopotem, ale ten zawadiaka ma szlachetne serce. - Ściszyła głos i odwróciła głowę, a Zeddowi zdawało się, że otarła oczy. - Jestem bardzo przywiązana do tego niepoprawnego, wspaniałego człowieka.

Zedd wysunął głowę zza rogu i spojrzał na drzwi oberży.

- Wciąż mi się to nie podoba - wyszeptał. - Coś tu jest nie tak, jak powinno.

Bardzo chciałbym wiedzieć co.

- Cóż więc robimy w sprawie Nathana? - spytała w końcu Ann.

- Zdawało mi się, że tym razem ty chcesz mówić.

- Hmm, chyba mnie przekonałeś, że powinniśmy być ostrożni. Jak uważasz, co należy zrobić?

- Pójdę tam sam i poproszę o pokój. Ty zaczekasz na zewnątrz. Jeżeli go znajdę, nim wyjdzie, zaskoczę go i poskromię. Jeśli wyjdzie z gospody, nim go znajdę, lub jeśli... coś się nie powiedzie, to ty go złapiesz.

- Nathan jest czarodziejem, Zeddzie, a ja tylko czarodziejką. Gdyby miał na szyi Rada'Han, z łatwością zapanowałabym nad nim, sęk w tym jednak, że nie ma obroży.

Zedd zastanawiał się nad tym przez chwilę. Nie mogli ryzykować, że im ucieknie. Poza tym Ann mogłoby się stać coś złego. Trudno by im było

znowu odnaleźć Nathana, gdyby dowiedział się, że go śledzą. Mógłby wypatrzeć obłok tropiący i znaleźć sposób, by się go pozbyć. Choć to ostatnie było mało prawdopodobne.

- Masz rację - stwierdził wreszcie. - Rzucę czar przed drzwiami. Jeżeli Nathan wyjdzie, sieć spęta go, a wtedy ty zapniesz mu na szyi tę piekielną obrozę.

- To wygląda na dobry pomysł. Jaką sieć wykorzystasz?

- Sama mówiłaś, że nie możemy ryzykować niepowodzenia. - Zedd w słabym blasku badawczo patrzył Ann w oczy. - Kurczę! Nie mogę uwierzyć, że to robię - mruknął. - Daj mi na chwilę tę obrozę.

Ann sięgnęła pod pelerynę, do przyczepionego do pasa mieszka. Kiedy wyciągnęła rękę, blask czerwonego księżyca zaśnił na matowej powierzchni Rada'Han.

- To ta sama, którą nosił? - spytał Zedd.

- Tak, przez blisko tysiąc lat.

Czarodziej chrząknął. Wziął obrozę w dłonie i pozwolił, by jego magia wniknęła w zimne jarzmo zniewolenia i zmieszała się z magią Rada'Han. Czuł miłe wibracje zaklętej w niej magii addytywnej oraz nieprzyjemne mrowienie jej magii subtraktywnej. Oddał Ann obrozę.

- Zestroiłem czar z jego Rada'Han.

- Jaki czar zamierzasz rzucić? - zapytała podejrzliwie Ksieni. Oceniał stanowczość w jej spojrzeniu.

- Czar ognia. Jeżeli wyjdzie beze mnie... Będziesz miała dwadzieścia uderzeń jego serca, żeby mu to włożyć na szyję, bo inaczej sieć zapłonie.

Jeśli nie zdoła włożyć obroży i tym samym przerwać działania czaru, to Nathan spłonie. Bez Rada'Han na szyi nie zdoła uciec przed takim czarem. Z nią zaś uwolni się od siły czaru, lecz jednocześnie wpadnie w ręce Ann.

Sytuacja bez wyjścia.

Zedd nie podobał się sobie w tym momencie.

Ann głęboko odetchnęła.

- Ale nikt inny z wychodzących nie uruchomi czaru, prawda?

Zedd potrząsnął głową.

- Sprzęgnę go z obłokiem tropiącym. Dzięki temu czar rozpozna Nathana. - Potem ostrzegawczo zniżył głos. - Jeśli nie włożysz mu tego na czas i czar zacznie działać, ucierpią także i inni. Mogą nawet zginąć, jeśli

będą za blisko. Jeżeli z jakiegoś powodu nie zdołasz mu na czas włożyć Rada'Han, to przynajmniej postaraj się stamtąd uciec. Nathan może woleć śmierć od ponownego włożenia na szyję tego jarzma.

ROZDZIAŁ 20

Zedd wszedł do środka spokojnym krokiem, rozejrzał się po ciemnawej izbie i zdał sobie sprawę, że jego rdzawe szaty z czarnymi rękawami i kapturem są tutaj zupełnie nie na miejscu. Łagodne światło lamp uwydatniało po trzy obszywki ze srebrnego brokatu na każdym mankiecie, taśmę złocistego brokatu otaczającą wycięcie przy szyi i takież pionowy pas na przodzie szaty. Bogaty strój przecinał czerwony atlasowy pas spięty złotą klamrą, który okalał talię czarodzieja.

Zeddowi brakowało jego dawnych, skromnych szat, lecz już dawno się ich pozbył, uległszy namowom Adie. Stara czarodziejka wybrała dlań nowe przebranie, choć dla potężnego czarodzieja proste szaty były odpowiednikiem żołnierskiego munduru. Zedd podejrzewał, że Adie po prostu nie podobały się jego dawne stroje i że wołała go w tych nowych. Tęsknił za kościaną babką i smucił się na myśl, jak musiała cierpieć, sądząc, że nie żyje. Prawie wszyscy uważali, że umarł. Kiedy będą mieli trochę czasu, może skłoni Ann do powiadomienia Adie za pomocą książki podróżnej, że wciąż żyje.

Jednak najbardziej żał mu było Richarda. Chłopak go potrzebował. Miał dar, lecz bez odpowiednich wskazówek był równie bezradny jak orle, które wypadło z gniazda. Ale Richard przynajmniej miał Miecz Prawdy, który na razie powinien go uchronić. Zedd zamierzał wtruszyć do wnuka, gdy tylko schwytają Nathana. To nastąpi luz wkrótce, a wtedy będzie mógł pospiesznie ruszyć do Aydindril.

Oberżysta przyjrzał się krzykliwemu strojowi Zedda, zwłaszcza złotej klamrze u pasa. Z kilku przegród, ustawionych przy ścianie po prawej, gapiała się zbieranina stałych bywalców, chudzielców odzianych w kozuchy, podarte skóry i wełniane łachmany. Na pokrytej słomą podłodze stały dwa zbite z desek stoły, czekając na tych, którzy zechcą się posilić lub napić.

- Pokoje są po srebrzaku - oznajmił obojętnie oberżysta. - Towarzystwo to kolejny srebrzak. - Wygląda na to, że mój strój podbija cenę - zauważył Zedd. Tęgi oberżysta uśmiechnął się kącikiem ust i wyciągnął mięsistą, otwartą łapę.

- Cena to cena. Chcesz pokój czy nie? Zedd rzucił mu na dłoń srebrną

monetę.

- Trzecie drzwi na lewo. - Mężczyzna skinął ku korytarzowi w głębi głową porośniętą kręconymi kasztanowymi włosami. - Interesuje cię towarzystwo, stary?

- Musiałbyś się podzielić z zaproszoną damą. Myślałem, że byłbyś zainteresowany trochę większym zyskiem. Dużo większym.

Tamten zrobił zaciekawioną minę i zacisnął ogromną dłoń na srebrnej monecie.

- Niby co?

- Dotarła do mnie wieść, że zatrzymał się tutaj mój drogi, stary przyjaciel.

Jakiś czas go nie widziałem. Gdyby był tu tego wieczoru, a ty skierowałbyś mnie do niego, to ponowne ujście go napełniłoby mnie taką radością i takim szczęściem, że chętnie rozstałbym się ze złotą monetą. Prawdziwą złotą monetą.

Oberżysta znów obejrzał Zedda od stóp do głów.

- Ten twój przyjaciel jakoś się nazywa?

- Cóż, jak wielu innych twoich stałych gości ma pewne kłopoty z imionami.

Raz-dwa je zapomina i musi wymyślać nowe. Lecz mogę ci powiedzieć, że jest wysoki, starawy i ma białe, sięgające ramion włosy - cicho odparł Zedd.

Tamten wypchnął policzek językiem.

- On... jest teraz zajęty.

Zedd wyjął złotą monetę, jednak cofnął ją szybko, kiedy oberżysta wyciągnął po nią dłoń.

- To ty tak twierdzisz. Wolałbym sam sprawdzić, czy jest bardzo zajęty.

- No to jeszcze jeden srebrzak. Zedd zmusił się, by nie wrzasnąć.

- Za co?

- Za czas damy i jej towarzystwo.

- Nie zamierzam korzystać z uprzejmości twojej damy.

- To ty tak twierdzisz. Ale jak ich razem zobaczysz, możesz zmienić zdanie i uznać, że warto spróbować znów rozpalić swoją... młodość. Zabezpieczam się, pobierając zapłatę z góry. Jak mi powie, że tylko się do niej uśmiechnąłeś, dostaniesz z powrotem swojego srebrzaka.

Zedd wiedział, że nie ma na to szans. Wówczas będzie jej słowo przeciwko jego, więc jeśli nawet w jej słowach nie będzie prawdy, to słodko zabrzęczy w nich dodatkowy zysk. Jednak w tym wypadku cena nie grała roli, choćby go nie wiem jak wściekała. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i podał oberżyscie srebrną monetę.

- Ostatnia izba po prawej - rzucił mężczyzna i odwrócił się, po czym spojrzał przez ramię na Zedda. - A w sąsiednim pokoju mamy gościa, co nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzać.

- Nie będę niepokoił twoich gości.

Tamten obdarzył czarodzieja przebiegłym uśmiechem.

- Brzydula z niej, ale i tak zaproponowałem jej towarzystwo bez ekstra dopłaty. A ona mi na to, że jeśli ktoś zakłóci jej odpoczynek, to obedrze mnie żywcem ze skóry. Uwierzyłem w to, bo skoro miała dość odwagi, żeby samotnie tu przyjść...

Jeśli ją obudzisz, nie oddam jej srebrzaka. Wytnę równowartość z twojej skóry.

Zrozumiano?

Zedd potwierdził z roztargnieniem, zastanawiając się, czy nie zamówić czegoś do jedzenia, ponieważ był głodny, lecz z bólem serca odrzucił tę myśl.

- Jest tu jakieś tylne wyjście, na wypadek gdybym... potrzebował zaczerpnąć nocnego powietrza? - Czarodziej nie chciał, żeby Nathan wysliznął się innymi drzwiami. - Zrozumiem, jeśli trzeba będzie za to dodatkowo zapłacić.

- Przylegamy do kuźni. Nie ma innego wyjścia - powiedział oberżysta, odchodząc.

Ostatnia izba po prawej. Tylko jedno wejście. Jedno wyjście. Coś się tu nie zgadzało. Nathan nie byłby tak głupi. A przecież Zedd wyczuwał w powietrzu magię połączenia.

Czarodziej ruszył cicho mrocznym korytarzem, choć powątpiewał, czy Prorok istotnie leży w łóżku. Bacznie nasłuchiwał, czy nie dosłyszyci czegoś niezwykłego, lecz dotarli do niego tylko z wielką wprawą udawane odgłosy namiętności, które wydawała dama w drugim pokoju po lewej.

Koniec korytarza oświetlała pojedyncza świeca stojąca na drewnianej półeczce. Z przedostatniej izby dobiegało ciche pochrapywanie owej odważnej niewiasty, która nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano. Zedd miał

nadzieję, że do tego nie dojdzie i że owa kobieta spokojnie prześpi całą tę sprawę.

Starzec przyłożył ucho do ostatnich drzwi po prawej. Usłyszał cichy, gardłowy śmiech kobiety. Gdyby coś poszło źle, mogła się jej stać krzywda. Gdyby zaś coś poszło bardzo źle, mogłaby nawet stracić życie. Mógł poczekać, lecz z całą pewnością lepiej byłoby zaskoczyć Nathana zajętego czym innym. W końcu i on był czarodziejem, a Zedd nie wiedział, jak bardzo Prorok miałby mu za złe powtórna niewolę. Bo on sam - ogromnie. To przesądziło sprawę. Nie wolno mu było przepuścić nadarzającej się okazji.

Gwałtownie otworzył drzwi i wyrzucił przed siebie ramię, rozpalając powietrze błyskami żaru i ognia.

Naga para w łóżu skuliła się i osłoniła oczy. Zedd ciosem powietrznej pięści zrzucił Nathana z kobiety i legowiska. Kiedy spadający Prorok coś mruczał, wymachując rękami i nogami, czarodziej złapał kobietę za nadgarstek i odrzucił na bok. Zdążyła chwycić prześcieradło. Błyski światła powoli gasły. Nim kobieta zdążyła się owinąć prześcieradłem, Zedd rzucił sieć i unieruchomił ją tam, gdzie stała. Niemal natychmiast rzucił taką samą sieć na mężczyznę leżącego za łóżem, z tym że wplótł w nią zabezpieczenia, które dałyby się tamtemu we znaki, gdyby spróbował rozerwać sieć za pomocą swojej magii. Nie było czasu na uprzejmości i pobłażanie.

Po krótkim uderzeniu o podłogę w mrocznej izbie zapanowała nagle cisza.

Słabo migotał płomień świecy stojącej na umywalni. Zedd poczuł ulgę, że wszystko tak łatwo poszło i że nie musiał wyrzucić krzywdy owej damie. Obszedł łóże, by przyjrzeć się leżącemu na podłodze nieruchomemu mężczyźnie, który jakby skamieniał z ustami otwartymi do krzyku i rękami uniesionymi w obronnym geście.

To nie był Nathan.

Zedd wpatrywał się weń z niedowierzaniem. Wyczuwał przecież w izbie magię zespolenia z obłokiem tropiącym. Wiedział, że to tego człowieka ścigał.

Pochylił się nad mężczyznę.

- Wiem, że słuch masz w porządku, więc posłuchaj bardzo uważnie. Usunę paraliżujący cię czar, ale jeśli wrzaśniesz, rzucę go raz jeszcze i już na zawsze cię tak zostawię. Porządnie się zastanów, nim ośmielisz się zawołać

o pomoc. Jestem, jak się już pewnie domyśliłeś, czarodziejem, więc jeśli mi się narazisz, nikt z tych, którzy tu przyjdą, nie zdoła ci pomóc.

Zedd przesunął dłonią nad leżącym mężczyzną, ściągając zeń sieć czaru.

Tamten odsunął się pod ścianę, lecz milczał. Był starszy, ale nie wyglądał tak staro jak Nathan. Jego włosy były siwe, lecz faliste, a nie proste jak włosy Proroka. Nie były również tak długie. Jednak pobieżny opis, jaki Zedd podał oberżyscie, mógł kazać mu myśleć, że czarodziejowi chodzi o tego właśnie człowieka.

- Kim jesteś? - zapytał Zedd.

- Mam na imię William. A ty jesteś pewnie Zedd. Czarodziej zeszywniał.

- Skąd to wiesz?

- Powiedział mi to facet, którego szukasz. - Wskazał na stojące w pobliżu krzesło. - Pozwolisz, że wciągnę portki? Coś czuję, że tej nocy nie będę ich już więcej zdejmował.

Zedd pochylił lekko głowę w stronę krzesła, dając Williamowi znak, że może to uczynić.

- Wciągaj i odpowiadaj. I nie zapominaj, że jestem czarodziejem. Wiem, kiedy ktoś mnie okłamuje. Zapamiętaj też sobie, że nagle wpadłem w paskudny humor.

Właściwie Zedd trochę blagował, mówiąc, że potrafi wykryć kłamstwo, uznał jednak, że tamten o tym nie wie. Za to mówił prawdę o swoim nastroju.

- Natknąłem się na gościa, którego szukasz. Nie powiedział mi, jak się nazywa. Zaproponował mi... - Podciągając spodnie, William spojrzał na kobietę. - Mogę przy niej mówić?

- Nie o nią się martw. Mną się kłopot. - Zedd zgrzytnął zębami. - Gadaj.

- Hmm, zaofiarował mi... - Zerknął na kobietę: na jej pokrytej zmarszczkami twarzy zastygło zaskoczenie i przestrasz. - Zaproponował mi... sakiewkę, jeśli wyświadczę mu przysługę.

- Jaką przysługę?

- Jeśli zajmę jego miejsce. Kazał, żebym tak długo gnał, jakby ścigał mnie sam Opiekun, aż tu nie dotrę. I powiedział, że jak już tu będę, to mogę zwolnić, odpocząć albo - jak zechcę - się zatrzymać. I że ty mnie dogonisz.

- I tego właśnie chciał?

William zapiął spodnie, opadł na krzesło i zaczął wzuwać buty.

- Mówił, że nie dam rady cię zgubić, że prędzej czy później mnie dogonisz, ale nie chciał, żeby to się stało, zanim tu dotrę. Szybko gnał, to i nie sądziłem, żeś tak blisko, no i postanowiłem zrobić dobry użytek z części zarobku. - William wstał i wsunął ramię w rękaw brązowej wełnianej koszuli. - Powiedział, że mam ci przekazać wiadomość.

- Wiadomość? Jaką wiadomość?

Mężczyzna wsunął koszulę w spodnie, potem sięgnął do kieszeni i wyjął skórzaną sakiewkę. Wyglądała na mocno wypchaną monetami. Otworzył mieszek.

- To jest tutaj, razem z tym, co mi dał. Zedd wyrwał mu sakiewkę.

- Sprawdzę.

W środku znajdowały się przeważnie złote monety, srebrnych było tylko kilka.

Czarodziej wziął w palce jedną ze złotych monet. Wyczuł leciutkie mrowienie magii.

To z pewnością były miedziaki, które Nathan przemienił w złoto, A łudził się, że Prorok nie wie, jak tego dokonać. Zmienianie czegoś w złoto to niebezpieczna magia.

Zedd robił to wyłącznie wtedy, gdy nie miał innego wyjścia. W mieszkaniu poza monetami była również złożona kartka papieru. Czarodziej wyjął ją i obrócił w palcach. Przyglądał się jej bacznie w słabym świetle, szukając jakiejś magicznej pułapki.

- To mi dał. - William wskazał kartkę palcem. - I kazał, żebym ci ją oddał, jak mnie złapiesz.

- Nic więcej? Powiedział ci tylko tyle, że masz mi oddać tę wiadomość?

- Hmm, jak żeśmy się rozjeżdżali, to się zatrzymał, popatrzył na mnie, a potem rzekł: „Powiedz Zeddowi, że to nie to, co sądzi”.

Czarodziej rozważał to przez chwilę.

- W którą stronę pojechał?

- Nie wiem. Byłem konno, a on jeszcze pieszo. Kazał mi jechać i klepnął w zad mego konia, to żem pojechał.

Zedd oddał Williamowi sakiewkę. Patrząc nań jednym okiem, rozprostował kartę. Czytał wiadomość, mrużąc oczy w słabym świetle świecy.

Przepraszam, Ann, lecz mam do załatwienia ważną sprawę. Jedna z

naszych Sióstr zamierza uczynić coś bardzo głupiego. Muszę ją powstrzymać, jeżeli zdołam.

Na wypadek gdybym zginął, chcę, byś wiedziała, że cię kocham, choć coś mi się zdaje, że o tym wiesz. Nie powiedziałbym tego nigdy, gdybym nadal pozostał więźniem. Jeśli, jak się tego spodziewam, księżyc, który wszędzie, będzie czerwony, Zeddzie, będzie to znaczyło, że wszystkim nam zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli przez trzy noce wszędzie czerwony księżyc, będzie to znaczyło, że Jagang odwołał się do proroctwa o zapętłonym rozgałęzieniu. Musisz się udać do skarbu Jocopo. Gdybyś zamiast tego zmarnował cenny czas na pościg za mną, wszyscy zginiemy, a imperator zgarnie łupy. Proroctwo o zapętłonym rozgałęzieniu stawia swoją ofiarę w sytuacji bez wyjścia. Przykro mi, Zeddzie, ale jego ofiarą ma paść Richard. Oby duchy ulitowały się nad jego duszą. Gdybym znał znaczenie owej przepowiedni, to bym ci je podał. Nie znam go jednak - duchy odmówiły mi doń dostępu. Ann, jedź z Zeddem. Będzie mu potrzebna twoja pomoc.

Oby dobre duchy były z wami.

Gdy Zedd zamrugał, chcąc rozjaśnić załzawione spojrzenie, zauważył plamę.

Odwrócił kartę i zorientował się, że to pozostałość wosku. Wiadomość była zapieczętowana, ale nie dostrzegł tego przedtem, gdyż światło było zbyt słabe.

Podniósł wzrok i zobaczył pałkę Williama. Cofnął się, lecz poczuł bolesny cios.

Uderzył ramieniem o podłogę.

William usiadł na nim i przyłożył mu nóż do gardła.

- Gdzie ten skarb Jocopo, stary? Gadaj zaraz albo poderżnę ci gardło!

Izba wirowała i chwiała się, Zedd usiłował nie zemdleć. Dopadły go mdłości.

Oblał się potem. William patrzył nań błędnym wzrokiem.

- Gadaj!

Dźgnął czarodzieja w ramię.

- Gadaj! Gdzie skarb?!

Czyjaś ręka sięgnęła w dół i złapała Williama za włosy. Stała nad nim kobieta w średnim wieku, okryta ciemną peleryną. Zedd nie miał pojęcia,

kim była ani skąd się tu wzięła. Z zadziwiającą siłą odrzuciła mężczyznę do tyłu, tak że uderzył o ścianę obok otwartych drzwi i osunął się na podłogę, po czym szyderczo uśmiechnęła się do Zedda.

- Popełniłeś wielki błąd, stary, pozwalając uciec Nathanowi. Przypuszczałam, że idąc za tą starą babą, dotrę do Proroka, więc dopóty podążałam za wami, dopóki wyczuwałam twoją więź z nim. Cóż jednak znalazłam na końcu tej twojej czarodziejskiej linki? Tego oto starego głupca zamiast Nathana. Teraz zatem muszę cię niemiło potraktować. Chcę Proroka. - Odwróciła się i wyrzuciła ramię ku skamieniałej nagiej kobiecie. W izbie zagrzmiało i z jej wyciągniętej dłoni strzeliła czarna błyskawica. Śmiercionośny błysk przeciął na pół kobietę razem z trzymanym przez nią prześcieradłem. Krew trysnęła na ścianę. Korpus prostytutki runął na podłogę jak część rzeźby. Wnętrznosci wylały się przy tym na podłogę, lecz dolna połowa biedaczki wciąż tkwiła w miejscu jak przymarznięta.

Stojąca nad Zeddem kobieta ponownie spojrzała na czarodzieja. W jej oczach płonęła wściekłość.

- Jeśli chcesz zakosztować magii subtraktywnej, tracąc kawałek po kawałeczku ciało, to tylko daj mi do tego pretekst. A teraz pokaż mi ową wiadomość.

Zedd otworzył dłoń, a ona wyciągnęła rękę. Czarodziej zogniskował otumaniony umysł. Zapalił kartkę, nim zdołała ją pochwycić. Papier spłonął w złocistym płomieniu. Kobieta wrzasnęła z wściekłości i obróciła się ku Williamowi.

- Co to była za wiadomość?! Gadaj, ty glisto!

William, do tej pory odrętwiały z przerażenia, wyskoczył z pokoju i pomknął korytarzem.

Kobieta okręciła się ku Zeddowi, zawirowały tłustawe włosy.

- Wrócę, żeby wszystko z ciebie wyciągnąć. Wszystko wyśpiewasz, nim cię zabiję.

Skoczyła ku drzwiom, a Zedd poczuł, jak osobliwa magiczna mieszanka przedostaje się przez jego pospiesznie postawioną osłonę. Przeraźliwie rozboleła go głowa. Walczył z oślepiającym go bólem i próbował zebrać myśli. Nie był sparalizowany, a mimo to nie potrafił wstać. Wymachiwał w powietrzu rękami i nogami równie nieefektywnie jak przewrócony na grzbiet żółw. Straszliwy ból sprawiał, że czarodziej z trudem zachowywał

świadomość. Przycisnął dłonie do skroni, bo wydawało mu się, że głowa zaraz mu pęknie, jeśli nie będzie jej trzymał.

Słyszał, z jakim trudem łapie oddech.

Powietrzem wstrząsnął nagły grzmot i na chwilę uniósł Zedda nad podłogę.

Pękł dach, oślepiająca błyskawica rozjaśniła izbę, a potworny grzmot niemal zagłuszył huk pękającego drewna i łamiących się belek. Ból zniknął.

Zadziałał czar ognia.

W powietrzu unosiły się tumany pyłu, wokół Zedda bił deszcz dymiących szczątków. Czarodziej zwinął się w kłębek i osłonił głowę, gdyż spadały nań deski i gruz. Wydawało mu się, że to burza gradowa.

Wreszcie zapanowała cisza. Zedd odstłonił głowę i rozejrzał się. Ku jego zdumieniu budynek ciągle stał - o ile można to było tak określić. Zniknęła większa część dachu, dzięki czemu wiatr wywiał kurz w noc. Ściany były podziurawione jak pocięte przez mole gałgany. W pobliżu leżały pokryte zakrzepłą krwią szczątki kobiety.

Czarodziej ocenił swój stan i stwierdził, że biorąc pod uwagę to, co przed chwilą działo się wokół, jest w zadziwiająco dobrej kondycji. Po ciosie pałką Wiliama z rany na głowie sączyła się krew, pulsowało pchnięte nożem ramię, ale poza tym nic mu się nie stało. Wcale nieźle jak na to, co się mogło stać, uznał Zedd.

Na zewnątrz rozległy się jęki. Jakaś kobieta wrzasnęła histerycznie. Zedd słyszał ludzi odrzucających rumowisko i wykrzykujących imiona: szukali rannych lub zabitych.

Nagle ktoś wyrwał kopniakiem drzwi wiszące krzywo na jednym tylko zawiasie. Zedd westchnął z ulgą, bo do izby wpadła znajoma pulchna postać. Na zarumienionej twarzy Ann malowała się troska.

- Zedd! Żyjesz, Zeddzie?!

- Kurczę, kobieto, czyżbym wyglądał na umrzyka?! Ann klękła przy nim.

- Okropnie wyglądasz. Głowa ci krwawi.

Pomogła mu usiąść, jęknął przy tym z bólu.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że żyjesz. Bałem się, że mogłaś się znaleźć zbyt blisko czaru ognia, gdy zapłonął.

Ann rozgarnęła sklezione krwią włosy czarodzieja i obejrzała ranę.

- To nie był Nathan, Zeddzie. Niemal zdołałam mu zapiąć obrozę, kiedy wpadł w sidła czaru. Potem z drzwi wyskoczyła Siostra Roslyn. Rzuciła się na niego, wykrzykując coś o wiadomości. Roslyn jest Siostrą Mroku. Nie widziała mnie. Mam już nie te nogi co kiedyś, lecz biegłam jak dwunastolatka, widząc, że próbuje odczytać czar magią subtraktywną.

- Przypuszczam, że się to nie udało - mruknął Zedd. - Prawdopodobnie nigdy nie zetknęła się z czarem, rzuconym przez Pierwszego Czarodzieja. Ale z pewnością nie rzuciłam aż tak wielkiego czaru. To użycie magii subtraktywnej wzmacnia moc czaru ognia. Tracą przy tym życie niewinni ludzie.

- Przynajmniej straciła je również ta zła kobieta.

- Wylecz mnie, Ann. Potem musimy pomóc ludziom.

- Kim był ten człowiek, Zeddzie? Dlaczego uruchomił czar? Gdzie jest Nathan?

Zedd wyciągnął ramię i otworzył zaciśniętą mocno dłoń. Pozwolił, by ciepło magii wniknęło do popiołów. Czarny popiół zlepił się i jaśniał, aż stał się szary. W końcu resztki zmieniły się w dawną kartkę papieru, a barwa przeszła w jasny brąz.

- Jeszcze nigdy nie w działam, by ktoś uczynił coś takiego - wyszeptała zdumiona Ann.

- Ciesz się, że i Siostra Roslyn tego nie widziała, bo byłibyśmy teraz w jeszcze większych opałach, niż jesteśmy. Bycie Pierwszym Czarodziejem ma swoje dobre strony.

Ann wzięła kartkę z jego dłoni. Kiedy czytała wiadomość od Nathana, miała oczy pełne łez. Zanim skończyła, płakała już.

- Drogi Stwórco - wyszeptała na koniec. Zedd też miał załzawione oczy.

- Istotnie - szepnął w odpowiedzi.

- Co to za skarb Jocopo, Zeddzie? Czarodziej zamrugnął.

- Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedzieć. Dlaczego Nathan każe nam iść i strzec czegoś, a nie mówi, co to takiego?

Na zewnątrz ludzie krzyczeli z bólu i wołali o pomoc. Jakaś ściana albo fragment dachu runęła na ziemię. Mężczyźni przerzucali rumowisko i wykrzykiwali polecenia.

- Nathan zapomina, że różni się od innych. Ty przypominasz sobie rzeczy sprzed kilku dziesięcioleci, on również, a na dokładkę jeszcze to, co

było przed kilkoma stuleciami.

- Szkoda, że nie przekazał nam więcej.

- Musimy to odkryć. Odkryjemy to. Mam kilka pomysłów. - Pogroziła mu palcem. - A ty idziesz ze mną! Idziesz ze mną, rozumiesz?! I nie sprzeczasz się!

Zedd wyciągnął dłoń i rozpiął obrożę.

Ann szeroko otworzyła oczy i rozdziawiła usta.

Czarodziej położył jej na podołku Rada'Han.

- Musimy odnaleźć ten skarb Jocopo, o którym wspomina Nathan. Nie żartuję.

To ogromnie poważna sprawa. Wierzę w to, co napisał w liście. Jesteśmy w wielkich tarapatach. Idę z tobą, lecz tym razem powinniśmy być ostrożniejsi. Musimy zatrzeć magicznie nasz trop.

- Jak zdjąłeś tę obrożę, Zeddzie? - wyszeptła w końcu. - Przecież to niemożliwe.

Zedd spojrzał na nią gniewnie, by nie rozplakać się na wspomnienie proroctwa chwytającego Richarda w pułapkę.

- Jak już mówiłem, bycie Pierwszym Czarodziejem ma swoje dobre strony.

Zaczerwieniła się.

- Czy ty... Od kiedy możesz zdejmować Rada'Han? Zedd wzruszył kościstym ramieniem.

- Kilka dni minęło, nim do tego doszedłem. Od wtedy Po pierwszych dwóch czy trzech dniach.

- To dlaczego wciąż mi towarzyszyłeś? Dlaczego?

- Bo chyba lubię kobiety dokonujące desperackich czynów. Mają charakter. - Zacisnął drżące dłonie w pięści. - Wierzysz we wszystko, co Nathan napisał w tym liście?

- Chciałabym zaprzeczyć. Przykro mi, Zeddzie. - Ann przełknęła ślinę. - Napisał, mając na myśli Kicharda: „Oby duchy ulitowały się nad jego duszą”. Nie powiedział o nich „dobre duchy”, a tylko „duchy”.

Zedd przesunął po twarzy kościstymi palcami.

- Nie wszystkie duchy są dobre. Są i złe. Co wiesz o proroctwach z zapętlonymi rozgałęzieniami? O proroctwie, które narzuca sytuację bez wyjścia?

- W przeciwieństwie do obroży, od takiego proroctwa nie ma ucieczki. Żeby takie proroctwo zaczęło się wypełniać, musi nastąpić wspomniany kataklizm. I to już się stało. Wtedy zaś ów kataklizm się samookreśla, co oznacza, że ofiara może wybierać tylko między jednym a drugim odgałęzieniem przepowiedni. Może jedynie wybrać, jaką drogą... Ale wiesz to na pewno? Jako Pierwszy Czarodziej powinienes to wiedzieć.

- Miałem nadzieję, że powiesz, iż się myliłem - wyszeptał Zedd. - Szkoda, że Nathan nie napisał nam tej przepowiedni.

- I bądź mu wdzięczny, że tego nie uczynił.

ROZDZIAŁ 21

Clarissa z całej siły zacisnęła dłoń na zwietrzałym parapecie okna w kamiennej wieży opactwa. Chciała opanować drżenie. Drugą rękę przycisnęła do łomoczącego serca. Stała jak sparaliżowana, obserwując kotłowanie w mieście i na placu poniżej, gryzący dym palił jej oczy, a nie mogła zamrugać, chyba że się do tego zmusiła.

Hałas był ogłuszający. Najeźdźcy atakowali, wydając bojowe okrzyki oraz wymachując mieczami, toporami i cepami. Stal uderzała o siebie ze szczękiem. W powietrzu świstały strzały. Rżały ogarnięte paniką konie. Z daleka nadlatywały z rykiem kule blasku i płomieni i wybuchały, uderzając w kamienne mury. Przerazający wrogowie dęli w rogi, dobywając z nich ostre dźwięki, ryczeli jak dzikie bestie i wlewali się do miasta przez wyrwy w okalających je murach. Zalewali ulice niepoliczalnym, czarnym mrowiem. Płomienie syczały, wyły, trzeszczały.

Mieszczanie płakali bez wstydu i wyciągali ramiona, błagając o litość. Błagali jeszcze wtedy, gdy przebijano ich mieczami. Clarissa widziała, jak ulicą wleczono za koniem uwiązane na linie okrwawione ciało jednego z członków Zgromadzenia Siedmiu.

Ponad ogłuszający hałas wybijały się przeraźliwe wrzaski kobiet, na oczach których mordowano ich mężów, ojców, braci i dzieci.

Gorący wiatr przynosił wszystkie wonie płonącego miasta: woń smoły i drewna, oliwy i tkanin, skór i mięsa oraz spleciony z nimi duszący zapach krwi, który Clarissa wciągała z każdym oddechem.

Wszystko działo się tak, jak przepowiedział. Clarissa go wyśmiała. Chyba już nigdy w życiu nie będzie potrafiła się roześmiać. Niemal upadła, pomyślawszy, jak niewiele czasu modo jej jeszcze zostać.

Nie. Nie będzie tak myśleć. Tutaj jest bezpieczna. Nie wtargną do opactwa.

Słyszała, jak płacze i krzyczy w panice tłum szukający schronienia w wielkim pomieszczeniu poniżej. To było przecież święte miejsce, w którym czczono Stwórcę i dobre duchy. Nawet dla owych dzikich bestii przelanie krwi w takim sanktuarium byłoby bluźnierstwem.

A przecież powiedział jej, że to uczynią.

Poniżej, na ulicach, zgnieciono opór wojska. Nigdy przedtem obrońcy Renwoldu nie pozwolili, by napastnicy postawili stopę wewnątrz murów. Mówiono, że miasto jest tak bezpieczne, jakby go bronił sam Stwórca. Najeźdźcy próbowali atakować już wcześniej, zawsze jednak odstępowali wykrwawieni i zniechęceni.

żadna horda z Dżicy nie przerwała nigdy murów. Renwold zawsze był bezpieczny.

Tego zaś dnia miasto padło, tak jak on to przepowiedział.

Mieszkańcom nie okazywano litości - była to kara za to, że odmówili wydania bez walki miasta i jego bogactw.

Niektórzy namawiali do poddania się, tłumacząc, że czerwony przez trzy noce księżyc to zły omen. Lecz takich głosów było niewiele, a do tego czasu miasto zawsze było bezpieczne.

Owego dnia odwróciły się od Renwoldu i dobre duchy, i sam Stwórca.

Clarissa nie miała pojęcia, jaka zbrodnia to spowodowała, ale z pewnością musiała być straszliwa, skoro dobre duchy nie okazały ani odrobiny litości.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie opactwa Clarissa widziała, jak mieszkańców Renwoldu spędzano w grupach na ulice, dziedzińce i na targowisko.

Wielu ludzi przygnano mieczami na leżący poniżej plac. Najeźdźcy - w dziwnych ubiorach z nabijanego gwoździemi metalu, w najeżonych kolcami skórzanych pasach i rzemieniach, w wygarbowanych skórkach i futrach - wyglądali dokładnie tak, jak Clarissa wyobrażała sobie barbarzyńców z Dżicy.

Napastnicy zaczęli dzielić mężczyzn, wyłapując tych, których umiejętności i zawody mogły być przydatne: kowali, wytwórców łuków i strzał, piekarzy, piwowarów, rzeźników, młynarzy, stolarzy. Skuwano ich ze sobą łańcuchami i zabierano w niewolę. Starców, młodych chłopców i tych, którzy nie mieli pożytecznego fachu - jak lokaje, oberżyści, urzędnicy, kupcy i żołnierze - na miejscu zabijano. Sztych mieczem w gardło, pchnięcie włócznią w pierś, cios nożem w brzuch, uderzenie cepem w głowę. Każdy sposób mordu był dobry.

Clarissa patrzyła, jak jeden z barbarzyńców bił po głowie leżącego na ziemi człowieka, który na przekór wszystkiemu wciąż żył. Przypomniawszy jej

się rybak dobijający na brzegu zębacza, przypomniały głuche odgłosy uderzeń. Napastnik równie obojętnie uderzał raz za razem w głowę leżącego jak rybak w rybi łeb. Głupi Gus - biedny półgłówek, który biegał na posyłki dla kupców, oberżystów i sklepikarzy, dostając za to nocleg, wikt i wodę do picia - ostatni raz wierzgnął nogami, kiedy jego gruba czaszka pękła wreszcie z trzaskiem.

Clarissa przycisnęła do ust drżące palce, czując, jak podchodzi jej do gardła zawartość żołądka. Połknęła to z powrotem i chciwie chwyciła powietrze.

To się nie dzieje, powiedziała sobie. Po prostu śni. Nieustannie powtarzała sobie w myślach to kłamstwo: to się nie dzieje, to się nie dzieje, to się nie dzieje.

Lecz działo się. O drogi Stwórco, działo się.

Clarissa patrzyła, jak oddzielano kobiety od mężczyzn. Stare natychmiast zabijano. Pozostałe - krzyczące i płaczące za swoimi mężczyznami - spędzano w jedno miejsce. Napastnicy przebierali wśród nich, dzieląc je według wieku i, najwyraźniej, urody.

Roześmiani najeźdźcy przytrzymywali kobiety, a inne z tych bestii systematycznie szły od jednej do drugiej i przebijały im dolną wargę. Potem w otwór wciskano kółko zaciskane zębami żołnierza.

I o tym jej powiedział: że kobiety zostaną naznaczone jak niewolnice. I również za to go wyśmiała. Bo czemuż miałyby go nie wyśmiać? Wydawał się jej równie pomyłony jak głupi Gus, kiedy tak opowiadał o swoich zwariowanych, niedorzecznych, nonsensownych ideach.

Clarissa zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Wyglądało na to, że poszczególnym grupom kobiet założono kółka o różnych kolorach. Jedna z grup starszych kobiet miała obrączki barwy miedzi. Grupce młodszych, które krzyczały i wyrwały się, przebito wargi srebrnymi kółkami. Przestały się szamotać i protestować, kiedy najbardziej zawzięte z nich przebito mieczem. Najbardziej przerażone były, spędzone w mniejsze grupki, najmłodsze i najładniejsze kobiety, które otoczyła zgraja krzepkich agresorów. Te dostały złote kółka. Krew spływała im po brodach, kapiała na wyszukane suknie. Clarissa знаła większość z nich. Trudno było zapomnieć osoby, które cię nieustannie upokarzały. Clarissa - tuż po trzydziestce i niezamężna - była obiektem pogardy dla większości kobiet, a

najokrutniejsze były wobec niej te najmłodsze: spoglądały na nią szyderczo, kiedy przechodziły obok, w rozmowach nazywały ją „starą panną” lub „jędzą”, i to na tyle głośno, by to słyszała.

Clarissa nigdy nie planowała, że w tym wieku nie będzie jeszcze miała męża. Zawsze chciała założyć rodzinę. Nie bardzo wiedziała jak to się stało, że mijający czas życie nie dały jej okazji, aby wyjść za mąż. Nie była brzydka i wcale nie uważała się za brzydulę, ale dobrze wiedziała, że w najlepszym razie jest niezbyt ładna. Figurę miała zadowolającą, była pulchna. Jej twarz nie była ani wykrzywiona, ani pomarszczona, ani groteskowa. Ilekroć spojrzała nocą w mijane okno, tylekroć nie wydawało jej się wcale, że z odbicia patrzy na nią jakaś brzydula. Wiedziała, że nie ma buzi inspirującej do pisania ballad, ale też nie była to twarz budząca odrazę.

Jednak kobiet było o wiele więcej niż mężczyzn do wzięcia i bycie zaledwie niebrzydką nie wystarczało. Ładne, młodsze panny tego nie rozumiały, jako że umizgiwało się do nich całe mnóstwo mężczyzn. Starsze kobiety to pojmowały i były uprzejmiejsze, ale i tak pozostawała w ich oczach nieszczęśnicą i obawiały się okazywać jej jawnie przyjaźń, żeby przypadkiem nie zarazić się od Clarissy owym „czymś”, przez co nie wychodziła za mąż.

Teraz nie zechciałby jej już żaden mężczyzna - była za stara. Baliby się, że jest za stara, żeby dać im synów. Czas złapał ją w pułapkę - samotną, niezamężną. Praca wypełniała jej czas, lecz nigdy nie dawała tyle zadowolenia i szczęścia, ile mogłaby dać rodzina - tak się przynajmniej Clarissie zdawało.

Chociaż kąśliwe słówka owych młodych kobiet czasami bardzo ją raniły i chociaż Clarissa często życzyła im, by i one doświadczyły upokorzenia, nigdy nie chciałyby dla nich czegoś takiego.

Napastnicy ze śmiechem rozdierali staniki pięknych sukien i oglądali młode kobiety jak żywy inwentarz.

- Drogi Stwórco - płakała Clarissa - nie dopuść, by to się działo dlatego, że często życzyłam im upokorzenia. Nigdy nie chciałam, by doświadczyły czegoś takiego. Wybacz mi, drogi Stwórco, że źle im życzyłam. Nie pragnęłam dla nich czegoś takiego, przysięgam na moją duszę.

Clarissa zachłysnęła się oddechem i wychyliła z małego okienka, żeby lepiej widzieć: zgraja najeźdźców biegła z kłodą. Zniknęli pod występem muru. Poczuli, jak budynek zadrżał od głuchego uderzenia. Wrzasnęli

ludzie stłoczeni w obszernym pomieszczeniu pod jej stopami. Kolejne uderzenie. I jeszcze jedno, a po nim trzask pękającego drewna. Pod spodem rozszalało się pandemonium niczym z zaświatów.

Napastnicy pogwałcili świętość opactwa Stwórcy.

Tak jak to zapowiedział Prorok.

Na dole ponownie rozpoczęła się rzeź i Clarissa złapała oburącz sukienkę na wysokości serca. Trzęsa się i nie mogła się opanować. Niechybnie wkrótce wejdą po schodach i znajdą ją.

Co się z nią stanie? Czy naznaczą, wpinając kółko w wargę, i zostanie niewolnicą? Czy będzie miała odwagę walczyć, żeby ją za to zabili, czy raczej się podda?

Nie. Wiedziała, że odpowiedź brzmi „nie”. Chciała żyć. Nie zamierzała dopuścić, by zamordowano ją jak tych ludzi na placu u stóp wieży albo jak biednego głupiego Gusa. Śmierci bała się bardziej niż życia.

Zachłysnęła się oddechem, bo drzwi otwarły się gwałtownie.

Do izdebki wpadł opat.

- Clarisso!

Nie był ani młody, ani silny i ciężko sapał po biegu po schodach. Ciężkie ciemne szaty nie mogły zamaskować korpulentnej sylwetki. Jego okrągła twarz była równie szara jak trzydniowe zwłoki.

- Clarisso! Księgi! - wysapał. - Musimy uciekać. Zabieramy księgi!

Zabierzemy je, a potem ukryjemy!

Clarissa popatrzyła nań ze zdziwieniem. Trzeba dni, by spakować księgi, i kilka wozów, żeby je wywieźć. Tutaj nie było ich gdzie ukryć. Nie było dokąd uciekać. Przez tłumy napastników na pewno nie zdołają się przedrzeć.

To był bezsensowny rozkaz, wynik panicznego strachu.

- Nie mamy którejś uciec, opacie.

Podbiegł ku niej i chwycił jej dłonie. Obliznął wargi. Nerwowo się rozglądał.

- Nie zauważą nas. Będziemy udawać, że zajmujemy się swoimi sprawami.

Nie zaczepią nas.

Nie wiedziała, jak ma rozwiązać te złudzenia, ale i tak nie dano jej do tego okazji. Weszło trzech mężczyzn w zachlapanych krwią garbowanych

skórach i futrach. Byli tacy wielcy, a izdebka taka mała, że wystarczyły im trzy kroki, by znaleźć się przy opacie.

Dwaj mieli tłuste, kręcone, splątane włosy, trzeci natomiast był wygolony do skóry, lecz jego broda była równie gęsta jak brody tamtych. Każdy miał w lewym nozdrzu złote kółko.

Ten wygolony chwycił opata za siwe włosy i szarpnął do tyłu jego głowę. Opat zapiszczał.

- Fach. Masz jakiś fach?

Opat, który miał tak odchyloną głowę, że mógł patrzeć wyłącznie w sufit, rozłożył błagalnie ręce.

- Jestem opatem. Kapłanem. - Oblizał wargi i krzyknął: - I księgi! Opiekuję się księgami!

- Księgi? Gdzie są?

- W bibliotece. - Wskazał na oślep. - Clarissa wie. Ona wam pokaże gdzie. Pracuje tam. Ona wam je pokaże. Dbą o nie.

- No to nie masz fachu?

- Kapłan! Jestem kapłanem! Modłę się do Stwórcy i dobrych duchów, modłę się za was. Przekonacie się. Zanoszę modły. Nie trzeba żadnych darów. Będę się za was modlił. Żadnych darów.

Napastnik z wygoloną głową, spocony i z wężłastymi mięśniami, jeszcze bardziej przechylił do tyłu głowę opata i podciął mu gardło długim nożem. Clarissa poczuła, jak ciepła krew ochlapuje jej twarz. Opat wyzionął ducha przez ogromną ranę.

- Nie potrzeba nam kapłana - powiedział najeźdźca i odrzucił na bok ciało zakonnika.

Clarissa przyglądała się przerażonymi, szeroko otwartymi oczami, jak krew rozlewa się pod ciemnymi szatami opata. Znała go niemal całe życie. Przyprowadził ją tutaj wiele lat temu i zlecał przepisywanie ksiąg, ratując w ten sposób od głodu.

Litował się nad nią, gdyż nie mogła znaleźć męża i poza tym, że umiała czytać, nic nie potrafiła. Niewielu potrafiło czytać, więc umiejętność ta dawała Clarissie chleb.

Jeśli jednak chciała utrzymać robotę i się wyżywić, musiała znosić tłuste łapska i oślinione usta opata. Na początku tak nie było, lecz gdy poznała swoją pracę i poczuła się bezpieczna, mogąc zaspokoić własne potrzeby,

zrozumiała, że musi tolerować rzeczy, które się jej nie podobają.

Dawno temu poprosiła go, żeby przestał, a kiedy nie posłuchał, zagroziła mu.

Oznajmił jej wtedy, że jeżeli wystąpi z tak skandalicznym oskarżeniem przeciw szanowanemu opatowi, zostanie wypędzona. Jak przeżyje poza miastem samotna kobieta? - zapytał ją wówczas. Jak okropne rzeczy będzie musiała wtedy wycierpieć?

Clarissa podejrzewała, że to, czego doznawała, nie było najgorsze. Inni głodowali i duma nie napełniała im żołądków. Niektóre kobiety cierpiały gorsze rzeczy z rąk swoich mężów. Opat przynajmniej nigdy jej nie uderzył.

Nigdy nie życzyła mu źle. Chciała tylko, by zostawił ją w spokoju. Nigdy nie życzyła mu źle. Zabrał ją tutaj, dawał pracę i jedzenie. Inni tylko z niej szydzi.

Brutal z nożem podszedł do niej i wyrwał ze wstrząsu, jakiego doznała po zamordowaniu opata. żołdak wsunął ostrze za pas. Twardymi, pokrwawionymi paluchami złapał Clarissę za brodę i pokręcił jej głowę. Obejrzał ją od stóp do głów i uszczypnął na próbę. Poczwała, jak się rumieni, upokorzona takim traktowaniem.

Wojownik spojrzał na jednego z towarzyszy i rzucił:

- Zakolczykuj ją.

Przez chwilę nie pojmowała. Zaczęły się pod nią trząść kolana, bo zbliżył się jeden z tamtych, a potem zrozumiała, o co mu chodziło. Bała się krzyknąć. Wiedziała, co z nią zrobią, jeśli się będzie opierać. Nie chciała, by jej poderżnęli gardło jak biednemu opatowi albo rozłupali czaszkę jak biednemu głupiemu Gusowi. Drogi Stwórco, nie chciała umierać.

- Jaką, kapitanie Mallack? Łysy spojrzał jej w oczy.

- Srebrną.

Srebro. Nie miedź. Srebro.

Kiedy żołnierz złapał jej dolną wargę, Clarissę ogarnął szaleńczy, bezgłośny śmiech. Ci ludzie, którzy mieli doświadczenie w mierzeniu wartości ciała, właśnie ocenili ją o wiele wyżej niż jej współmieszkańcy. Zrobili z niej niewolnicę, lecz dodali wartości.

Kolec dźgnął wargę Clarissy i z całej siły zdusiła krzyk. Żołnierz dopóty kręcił szpikulcem, dopóki ten nie przebił wargi. Clarissa mrugała powiekami, usiłując dostrzec coś przez łzy.

Nie złoto, mówiła sobie, oczywiście nie złoto, ale i nie miedź. Uznali, że warta jest srebrnego kółka. Jakaś jej część była oburzona taką próżnością. Cóż innego jej teraz zostało?

Cuchnący krwią, potem i sadzą żołnierz przepchnął przez wargę rozgięte srebrne kółko. Jęknęła z bólu. Nachylił się i zacisnął kółko krzywymi, żółtymi zębami.

Kapitan Mallack znów spojrzał jej w oczy, a Clarissa nie otarła ściekającej z brody krwi.

- Teraz jesteś własnością Imperialnego Ładu.

ROZDZIAŁ 22

Clarissa pomyślała, że zaraz zemdleje. Jak człowiek może być czyjąś własnością? Ze wstydem uświadomiła sobie, że z własnej woli znaczyła niewiele więcej dla opata. Na swój sposób był dla niej miły, lecz w zamian uważał ją za swoją własność. Wiedziała, że oni nie będą mili. Wiedziała, co z nią uczynią i że będzie to coś o wiele gorszego niż pijackie, nieudolne awanse opata. Stałowy błysk w oczach tego człowieka powiedział jej, że najeżdźcy bez kłopotu dostają to, czego chcą.

Przynajmniej kółko było srebrne. Nie wiedziała, dlaczego to ma dla niej aż takie znaczenie, ale miało.

- Masz tu księgi - odezwał się kapitan Mallack. - Są wśród nich proroctwa?

Opat powinien trzymać język za zębami, lecz Clarissa nie chciała umierać w obronie ksiąg. Poza tym ci ludzie i tak wszystko by przeszukali i znaleźli je, bo księgi nie były ukryte. W końcu uważano, że miasto obroni się przed najazdem.

- Tak.

- Imperator chce, żeby przynoszono mu wszelkie księgi. Pokażesz nam, gdzie one są.

Clarissa przełknęła ślinę.

- Oczywiście.

- Jak wam idzie, chłopaki? - rozległ się za ich plecami przyjacielski głos. - Wszystko w porządku? Wygląda na to, że trzymacie wszystko w garści.

Trzej żołnierze się odwrócili. W drzwiach stał krzepki starszy mężczyzna.

Gęste, proste, białe włosy sięgały mu do ramion. Ubrany był w wysokie buty, brązowe spodnie, ozdobioną koronkami białą koszulę i rozpiętą ciemnozieloną kamizelę.

Ciężka, ciemnobrązowa peleryna sięgała niemal podłogi. W wiszącej u biodra eleganckiej pochwie tkwił miecz. To był Prorok.

- Kim jesteś? - warknął kapitan Mallack. Prorok obojętnie odrzucił do tyłu pelerynę.

- Jestem mężczyzną, który potrzebuje niewolnicy. - Odepchnął z drogi

jednego z żołnierzy i podszedł do Clarissy. Złapał ją za brodę wielką łapą, pokręcił jej głową. - Ta się nada. Ile za nią chcecie?

Łysy kapitan Mallack chwycił go za koszulę.

- Niewolnice należą do Imperialnego Ładu. Są własnością imperatora.

Prorok spojrzał gniewnie na trzymającą go za koszulę dłoń. Odtrącił ją.

- Uważaj na koszulę, przyjacielu, masz brudne ręce.

- A za chwilę będą okrwawione! Kim jesteś? Jaki masz fach? Jeden z żołnierzy przytknął nóż do żeber Proroka.

- Odpowiedz na pytanie kapitana Mallacka, bo umrzesz. Jaki masz fach?

Prorok zbył pytanie machnięciem ręki.

- Żadnego z was to nie zainteresuje. No to ile za tę niewolnicę? Dobrze zapłacę. Moglibyście, chłopaki, uszczknąć coś i dla siebie. Nigdy nie żałuję nikomu zarobku.

- I tak możemy sobie wziąć, co tylko chcemy. Łupy tylko na nas czekają. - Kapitan rzucił okiem na tego, który założył Clarissie obrączkę. - Zabij go.

Prorok obojętnie powstrzymał ich gestem dłoni.

- Nie chcę was skrzywdzić, chłopaki. - Nachylił się ku ich twarzom. - Może to jeszcze raz rozważycie?

Kapitan Mallack otworzył usta, lecz znieruchomiał. Nie wydał ani jednego dźwięku. Clarissa usłyszała, jak trzem żołnierzom zagulgotało w brzuchach.

Otworzyli szeroko oczy.

- Co się stało? Wszystko w porządku? No to co z moją propozycją, chłopcy?

Ile chcecie za tę tu? - spytał Prorok.

Twarze trzech żołnierzy skrzywiły się w grymasie zażenowania. Clarissa wyczuła nieprzyjemny zapach.

- Cóż - odezwał się nienaturalnym tonem kapitan Mallack. - Myślę... - Skrzywił się. - Musimy już iść.

Prorok się skłonił.

- Dziękuję, chłopcy. A więc idźcie. Przekażcie pozdrowienia mojemu przyjacielowi, imperatorowi Jagangowi, dobrze?

- No to co z nim? - spytał kapitana jeden z żołnierzy, kiedy odchodzili.

- Wkrótce przyjdzie tu ktoś inny i go zabije - odparł zapytany, kiedy wychodzili na ugiętych kolanach.

Prorok odwrócił się ku Clarissie, przestał się uśmiechać i patrzył na nią jastrzębim wzrokiem.

- Przemyślałaś moją propozycję?

Clarissa drżała. Nie była pewna, kogo bardziej się boi: napastników czy Proroka. Najeźdźcy skrzywdziliby ją. Nie miała pojęcia, co uczyni jej Prorok. Mógł jej powiedzieć, jaka czeka ją śmierć. Przecież już powiedział, że zginie całe miasto, i właśnie tak się działo. Bała się, że jeśli on coś powie, to zarazem sprawi, że to się stanie. Prorocy rozkazywali magii.

- Kim jesteś? - wyszeptała. Skłonił się teatralnie.

- Nathan Rahl. Już ci mówiłem, że jestem Prorokiem. Wybacz, że pomiąłem prezentację, ale nie mamy zbyt wiele czasu.

Jego przenikliwe lazurowe oczy przerażały Clarissę, ale spytała:

- Po co ci niewolnice?

- Nie po to co im.

- Nie chcę...

Złapał ją za ramię i przywłókł do okna.

- Spójrz tam. Patrz!

Po raz pierwszy przestała panować nad łzami i rozszlochała się.

- Drogi Stwórco...

- Nie pomoże wam. Teraz już nikt nie może pomóc tym ludziom. Ja mogę pomóc tobie, ale w zamian ty musisz pomóc mnie. Jeżeli nie będę miał z ciebie pożytku, nie zaryzykuję ani swojego życia, ani życia dziesiątków tysięcy innych ludzi.

Znajdę inną osobę, która będzie wolą pójść ze mną, niż tkwić w niewoli u tych bydlaków.

Clarissa zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Czy to będzie niebezpieczne?

- Tak.

- Umrę, pomagając ci?

- Może. A może przeżyjesz. Jeśli umrzesz, to z pewnością zginiesz, czyniąc coś szlachetnego: próbując zapobiec cierpieniom jeszcze gorszym niż te.

- Nie możesz im pomóc? Nie możesz tego powstrzymać?

- Nie. Co się już dzieje, to się dzieje. Co się stało, to się stało. Możemy jedynie starać się zmienić przyszłość, na przeszłość nie mamy wpływu.

Macie pewien wgląd w przyszłe zagrożenia. Niegdyś żył tutaj Prorok i spisał niektóre swoje prorocтва. Nie był żadnym ważnym Prorokiem, lecz zostawił tutaj swoje wizje, a wy, głupcy, widzicie w nich objawienie boskiej woli. Wcale tym nie są. Są zaledwie zapowiedzią możliwości. To to samo, jakbym ci powiedział, że możesz wybrać swoje przeznaczenie. Możesz tu zostać i być dziwką tej armii albo ryzykować życiem, robiąc coś wartościowego.

Krzepko trzymał ją za ramię, a Clarissa drżała.

- Ja... ja się boję. Lazurowe oczy złagodniały.

- Czy pomogłoby ci to, Clarisso, gdybym wyznał, że i ja się boję?

- Ty? Wydajesz się tak pewny siebie.

- Pewny jestem tylko tego, co mogę spróbować uczynić, żeby pomóc. A teraz powinniśmy iść do twoich zbiorów, zanim ci ludzie rzucą okiem na księgi.

Clarissa odwróciła się, rada, że nie musi już patrzeć mu w oczy.

- Tędy. Pokażę drogę.

Poprowadziła go w dół spiralnych schodów zaczynających się w tyle izdebki.

Nie korzystano z nich za często, bo były wąskie i źle się po nich chodziło. Prorok, który zbudował opactwo, był drobnym mężczyzną i te schody zbudowano dla niego.

Dla niej były bardzo wąskie i nie wyobrażała sobie, jak zejdzie po nich Prorok, ale jednak zszedł. Na ciemnym podeście u podnóża schodów zapalił nad dłonią niewielki płomyk. Clarissa przystanęła zdumiona, zastanawiając się, dlaczego ów płomień go nie parzy. Ponaglił ją. Niskie drewniane drzwi prowadziły do krótkiego korytarza.

Schody zaczynające się w jego połowie wiodły do archiwów. Drzwi na końcu korytarza prowadziły do głównego pomieszczenia opactwa. Za tymi drzwiami zamordowano ludzi.

Clarissa zbiegała po dwa stopnie. Nathan złapał ją za ramię, kiedy się pośliznęła, i dzięki temu nie upadła. Zażartował łagodnie, że nie przed takim niebezpieczeństwem ją ostrzegał. W ciemnym pomieszczeniu na dole wyrzucił przed siebie ramię i zapłonęły wszystkie lampy przyłączone do drewnianych kolumn.

Nathan ściągnął brwi, przyglądając się stojącym pod ścianami półkom z książkami.

Przy dwóch solidnych stołach można było czytać i pisać.

Prorok ruszył ku półkom po lewej, a Clarissa w panice starała się wymyślić, gdzie schować się przed żołdakami Imperialnego Ładu. Musi być jakiś schowek.

Najeźdźcy z pewnością prędzej czy później odejdą, a wtedy będzie mogła bezpiecznie stąd wyjść. Bała się Proroka. Czegoś od niej oczekiwał. Nie wiedziała czego, lecz nie sądziła, by miała odwagę to uczynić. Po prostu chciała, żeby zostawił ją w spokoju, samą.

Prorok szedł wzdłuż półek, od czasu do czasu przystawał i brał jakiś tom. Nie otwierał tych ksiąg, tylko rzucał je na stos pośrodku izby, a potem szedł do następnych. Wszystkie księgi, które wybrał, zawierały proroctwa. Nie wyjmował wszystkich ksiąg z proroctwami, ale jedynie one go interesowały.

- Dlaczego ja? - spytała, patrząc nań. - Do czego jestem ci potrzebna?

Zatrzymał się, dotykając palcem dużego, oprawnego w skórę tomu. Popatrzył na nią jak jastrząb na mysz i zdjął księgę z półki. Zaniósł ją do stosu na podłodze, który tworzyło już osiem lub dziewięć tomów, i dorzucił doń, biorąc przy okazji jedną z już odłożonych. Stał przed Clarissą i przekartkował wolumin.

- O, tutaj. Przeczytaj.

Wzięła z jego rąk ciężkie tomisko i przeczytała wskazany fragment: Jeśli ta z kółkiem w wardze pójdzie z własnej woli, to zdoła dotknąć tego, co dawno zawierzono jedynie wichrom.

Dawno zawierzono jedynie wichrom. Sama myśl o czymś tak niepojętym sprawiła, że Clarissa miała ochotę uciec.

- Ta z kółkiem - powiedziała. - Czy to o mnie?

- Jeśli pójdziesz z własnej woli.

- A jeśli postanowię zostać i się ukryć? Co wtedy? Nathan znacząco uniósł brew.

- Wtedy znajdę inną, która chce uciec. Zaproponowałem to najpierw tobie, bo potrafisz czytać. Miałem też swoje powody. Jestem przekonany, że są i inne, które potrafią czytać. Jeżeli będę musiał, znajdę inną.

- A czego „ta z kółkiem” może dotknąć?

Wyjął księgę z jej drżących dłoni i energicznie zamknął.

- Nie próbuj zrozumieć, co znaczą słowa. Wiem, że wy, ludzie, tak czynicie, ale ja jestem Prorokiem i mogę cię zapewnić, a doskonale wiem, co

mówię, że takie zabiegi są daremne. Pomylisz się bez względu na to, co myślisz i czego się obawiasz.

Zdecydowanie Clarissy, żeby z nim pójść, osłabło. Mimo pozornej dobroduszości, z jaką ocalił ją w wieży, Prorok ją przerażał. Człowiek, który wiedział to co on, potrafiłby ją wystraszyć.

Przekłuli jej wargę i założyli srebrne kółko. Nie miedziane. Może to oznaczało, że byłaby lepiej traktowana. Przynajmniej by żyła. Dawaliby jej jeść i pozwalali żyć. Nie musiałyby się bać jakiejś przerażającej, nieznannej śmierci.

Drgnęła, kiedy Nathan wymówił jej imię.

- Clarisso, sprowadź kilku żołnierzy. Powiedz im, że masz ich przyprowadzić na dół, do archiwów - powtórzył.

- Po co? Dlaczego chcesz, żebym ich sprowadziła?

- Rób, co mówię. Powiedz im, że kapitan Mallack rozkazał, byś przyprowadziła ich do ksiąg. Gdybyś miała jakieś kłopoty, przekaż im, że dodał, by

„natychmiast przywlekli swoje nędzne cielska do ksiąg, bo inaczej Nawiedzający Sny złożą im wizytę i pożałują”.

- Ale jak tam pójde...

Zamilkła pod jego twardym spojrzeniem.

- W razie kłopotów powtórz im te słowa i wszystko będzie w porządku.

Sprowadź ich tutaj.

Clarissa otworzyła usta, by zapytać, po co są mu tutaj potrzebni, ale na widok miny Proroka zmieniła zamiar. Pobiegła w górę schodami, rada, iż pozbyła się towarzystwa tego mężczyzny, choć wiedziała, że będzie musiała stawić czoło owym brutalom.

Przystanęła przed drzwiami wielkiego pomieszczenia. Mogłaby uciec.

Pamiętała, że opat to proponował, pamiętała też, że przyszło jej do głowy, iż to okropnie głupi pomysł. Nie było dokąd uciekać. Miała srebrne kółko, może to się na coś przyda. Ci żołnierze na tyle ją ocenili.

Clarissa otworzyła drzwi i zrobiła krok, a potem zamarła z szeroko otwartymi oczami. Dwuskrzydłowe wrota prowadzące na ulicę były wyłamane. Podłogę pokrywały ciała ludzi, którzy szukali schronienia w opactwie. Wielką izbę wypełniali napastnicy. Gwałcili kobiety pośród tych wszystkich okrwawionych zwłok. Clarissa stała jak sparalizowana, z

otwartymi ustami.

żołnierze stali grupkami, czekając na swoją kolejkę. Najliczniejsze grupki otaczały kobiety ze złotymi kółkami. To, co im czyniono, doprowadziło Clarissę do torsji. Zakryła usta i siłą powstrzymała się, żeby nie zwymiotować. Znieruchomiła.

Nie mogła odwrócić oczu od nagiej Mandy Perlin, jednej z owych młodych kobiet, które często jej dokuczały. Manda wyszła za bogatego mężczyznę w średnim wieku, który pożyczal pieniądze i inwestował w towary. Jej mąż, Rupert Perlin, leżał w pobliżu z tak głęboko przeciętym gardłem, że niemal odpadła mu głowa. Żołdacy przytrzymywali skamlącą z przerażenia Mandę. Jej lamenty budziły ich gromki śmiech i tak prawie całkiem zagłuszany przez panujący wokół hałas. Clarissa poczuła napływające do oczu łzy. To nie byli mężczyźni. To były dzikie bestie.

Jeden z żołnierzy złapał Clarissę za włosy, inny podciął jej ramieniem nogę.

Zaśmiali się, kiedy jej krzyk dołączył do innych. Nim upadła na plecy, zadarli jej już suknię.

- Nie! - wrzasnęła.

Śmiali się z niej tak jak tamci z Mandy.

- Nie! Przysłano mnie!

- To doskonale - rzucił któryś. - Miałem już dość czekania na swoją kolej.

Uderzył ją, gdy próbowała odtrącić jego łapy. Bolesny cios ogłuszył Clarissę, zaszumiało jej w uszach.

Miała srebrne kółko. To coś znaczyło. Miała srebrne kółko.

Usłyszała jęk leżącej o jakieś dwie stopy dalej kobiety, kiedy jeden z żołdaków zwałił się jej na plecy. I jej srebrne kółko nie na wiele się zdało.

- Mallack! - wrzasnęła Clarissa. - Kapitan Mallack mnie przysłał!

żołnierz mocniej chwycił ją za włosy i zmiażdżył jej usta pocałunkiem, drapiąc przy tym brudnym, szczeciniastym policzkiem. Przebita warga rozboleła i znów zaczęła krwawić.

- Dzięki dla kapitana Mallacka - powiedział i ugryzł ją w ucho, aż krzyknęła, podczas gdy drugi szarpał jej bieliznę. Clarissa próbowała sobie rozpaczliwie przypomnieć, co Prorok kazał jej powiedzieć.

- Wiadomość! - krzyknęła. - Kapitan Mallack przysłał mnie z wiadomością!

Powiedział, że mam was zaprowadzić do ksiąg. Kazał, żebyście natychmiast przywlekli swoje nędzne cielska do ksiąg, bo inaczej Nawiedzający Sny złoży wam wizytę i pożałujecie.

Żołnierze obrzydliwie zaklęli, złapali ją za włosy i postawili na nogi.

Drżącymi dłońmi wygładziła suknię. Zaśmiali się i jeden wetknął jej rękę między nogi.

- Nie stój tak i nie rozkoszuj się tym, suko. Ruszaj. Pokaż drogę.

Nogi miała jak z waty, więc schodząc po schodach, musiała się trzymać poręczy. Prowadziła sześciu żołnierzy do archiwów, a w pamięci wciąż miała widziane na górze sceny.

Prorok powitał ich w drzwiach, jakby właśnie miał odejść.

- O, jesteście. W samą porę - powiedział zirytowanym tonem i wskazał za siebie, na wnętrze izby. - Wszystko w porządku. Zaczynajcie je pakować, nim coś się wydarzy, bo inaczej imperator zrobi z nas drewno na rozpałkę.

Żołnierze popatrzyli ze zdumieniem. Rozejrzeli się po izbie. Pośrodku - gdzie, jak Clarissa widziała, Prorok układał zdjęte z półek księgi - leżało trochę białego popiołu. Na półkach nie było widać pustych miejsc po zabranych księgach.

- Czuję dym - powiedział jeden z żołnierzy. Prorok uderzył go w głowę.

- Idioto! Pali się połowa miasta. W końcu zaczynasz czuć dym? Do roboty!

Muszę złożyć raport o księgach, które znalazłem.

Jeden z żołnierzy złapał ramię Clarissy, którą Prorok wyprowadzał ze sobą.

- Zostaw ją. Przyda się nam trochę rozrywki. Nathan spojrzał na nich gniewnie.

- Ona jest skrybą, głupcy! Zna wszystkie księgi. Mamy dla niej ważniejszą robotę niż zabawianie takich leniwych niezgułów jak wy. Kiedy już skończycie robotę, to na górze znajdziecie dość kobiet. A może wolicie, żebym powiedział o was kapitanowi Mallackowi?

Co prawda nie bardzo wiedzieli, kim jest Nathan, lecz uznali, że lepiej się wziąć do pracy. Prorok zamknął za sobą drzwi. Popychał przed sobą Clarisę.

Zatrzymała się na schodach - w ciszy, sama z Nathanem - i oparła o poręcz.

Mdliło ją i kręciło się jej w głowie. Dotknął palcami jej policzka.

- Postuchaj, Clarisso. Oddychaj powoli. Myśl. Oddychaj powoli, bo zemdlejesz.

Płakała. Wskazała dłonią izbę, z której sprowadziła żołnierzy.

- Ja... ja widziałam...

- Wiem, co widziałas - powiedział łagodnie. Spoliczkowała go.

- Po co mnie tam wysłałeś?! Wcale nie potrzebowałeś tych żołnierzy!

- Sądzisz, że zdołasz się ukryć. Nic z tego. Zajrzą w każdą dziurę w tym mieście. A kiedy z tym skończą, spalą je i to doszczętnie. Po Renwoldzie nie zostanie kamień na kamieniu.

- Aleja... ja bym mogła... Boję się iść z tobą. Nie chcę umierać.

- Chciałem, byś wiedziała, co by się z tobą stało, gdybyś zdecydowała się pozostać. Jesteś uroczą młodą kobietą, Clarisso. - Wskazał podbródkiem wielką izbę.

- Uwierz mi, nie chcesz tutaj zostać, by doświadczyć tego, co przez następne trzy dni będzie się działo z owymi kobietami i co spotka je potem jako niewolnice Imperialnego Ładu. Uwierz mi, proszę, że na pewno byś tego nie chciała.

- Jak oni mogą robić takie rzeczy? Jak mogą?

- To ohydna wojenna rzeczywistość. Nie ma innych norm jak tylko te, które ustanawia agresor, lub te, które zdoła narzucić zwycięzca. Możesz jedynie z tym walczyć albo się podporządkować.

- Nie mógłbyś... nie mógłbyś jakoś pomóc tym ludziom?

- Nie - wyszeptał. - Mogę pomóc tylko tobie, ale nie będę marnował na to cennego czasu, chyba że jesteś warta tego, by cię uratować. Ci, którzy tu zginęli, mieli szybką śmierć. Okropną, lecz szybką. Całe mnóstwo ludzi, całe masy o wiele liczniejsze niż mieszkańcy tego miasta, czeka straszliwa, bolesna, powolna śmierć.

Tym tu ludziom nie mogę pomóc, ale mogę spróbować pomóc innym. Gdybym nie podjął się tego zadania, cóż warto byłyby wolność i życie? Nadszedł czas, byś zadecydowała, czy chcesz pomóc, jeśli tylko uważasz, że warto zachować ci życie, że jest ono godne duszy, którą dał ci Stwórca.

Przez głowę Clarissy przelatywały chaotyczne obrazy tego, co działo się w wielkiej izbie na górze, na ulicach, w całym jej mieście. Czuła się tak, jakby już była martwa. Jeżeli ma szansę pomóc innym i sama znów żyć, to musi ją

wykorzystać. A innej szansy już nie będzie miała. Wiedziała to.

Otarła łzy z oczu i krew z brody.

- Tak. Pomogę ci. Przysięgam na moją duszę, że uczynię, o co prosisz, jeżeli daje to szansę ocalenia innym życia i szansę zachowania przeze mnie wolności.

- Nawet gdybym prosił, żebyś zrobiła coś, czego się boisz? Nawet gdybyś myślała, że umrzesz, czyniąc to?

- Tak.

Ciepły uśmiech Proroka dodał Clarissie otuchy. Nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i uścisnął pokrzepiająco. Ostatni raz pocieszano ją w ten sposób, kiedy była małym dzieckiem. Rozplakała się.

Nathan położył palce na wardze Clarissy i poczuła ulgę. Strach minął.

Wspomnienia tego, co widziała, utwierdzały ją teraz w postanowieniu, że powinna powstrzymać żołnierzy, którzy to czynili, że nie powinna dopuścić, by skazywali innych na cierpienia. Napęłniła ją nadzieja, że może zdoła uczynić coś ważnego, co również innym ludziom pomoże zachować wolność.

Nathan cofnął dłoń i Clarissa dotknęła wargi. Już nie bolała. Wygoiła się rana wokół kółka.

- Dziękuję, Proroku.

- Nathanie. - Pogładził jej włosy. - Musimy iść. Im dłużej tu zostaniemy, tym większa szansa, że nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Clarissa potakująco skinęła głową.

- Jestem gotowa.

- Jeszcze nie. - Ujął jej twarz w wielkie dłonie. - Żeby się wydostać, musimy przejść przez całe miasto. I tak już za dużo widziałaś. Nie chcę, byś zobaczyła i usłyszała jeszcze więcej. Przynajmniej tego ci oszczędzę.

- Ale nie rozumiem, jak zdołamy się przedostać przez Imperialny Ład.

- Pozwól, że ja się o to zatroszczę. Teraz zaś rzucę na ciebie urok. Stracisz wzrok, żebyś nie zobaczyła niczego więcej z tego, co przytrafiło się twojemu miastu.

Stracisz też słuch, żebyś nie słyszała odgłosów cierpienia i śmierci.

Podejrzewała, iż obawiał się, że ona wpadnie w panikę i że przez to ich złapią.

Może miał rację.

- Skoro tak chcesz, Nathanie. Zrobię, co każesz.

Stał w słabym świetle, dwa stopnie niżej, żeby ich twarze były blisko siebie.

Uśmiechnął się do niej serdecznie. Choć taki stary, był uderzająco przystojnym mężczyzną.

- Wybrałem właściwą kobietę. Dobrze się spiszesz. Modlę się, by dobre duchy w zamian za twoją pomoc dały ci wolność.

Ręka Nathana była jedynym ogniwem łączącym Clarissę ze światem. Nie widziała rzezi. Nie słyszała wrzasków. Nie czuła spalenizny. A przecież wiedziała, że to wszystko dzieje się dokoła niej.

Idąc w tej ciszy, modliła się, by dobre duchy zaopiekowały się duszami tych, którzy tu dzisiaj umarli, i by dodały sił tym, którzy jeszcze zachowali życie.

Nathan prowadził ją wśród rumowisk i żaru płomieni. Mocno przytrzymał za rękę, kiedy potykała się o gruzy. Wydawało się, że całymi godzinami szli przez ruiny rozległego miasta.

Czasami się zatrzymywali, a wtedy traciła łączność z jego dłonią i stała nieruchoma i samotna w swoim milczącym świecie. Nie słyszała ani nie widziała, nie miała więc pojęcia, dlaczego się zatrzymują, podejrzewała jednak, że Nathan przekonywał żołnierzy, by pozwolili im iść dalej. Czasem owe postoje trwały i trwały i serce Clarissy szalało na myśl, przed jakim to niewidocznym niebezpieczeństwem ich bronił. Zdarzało się, że ów postój kończył się tak, iż Prorok otaczał ramieniem jej kibić i zmuszał do biegu.

Pod jego opieką czuła się bezpieczna i spokojna.

Clarissę rozboleły nogi od tego marszu. W końcu Nathan położył jej dłonie na barkach, obrócił i pomógł usiąść. Poczwała pod sobą chłodną trawę.

Nagle odzyskała wzrok, słuch i węch.

Rozciągały się przed nią zielone wzgórza. Rozejrzała się i zobaczyła tylko krajobraz. Ludzi nigdzie nie było widać. Renwoldu również.

Clarissa poczuła słodką ulgę - i to nie tylko dlatego, że umknęła przed rzezią, ale i dlatego, że uciekła od dawnego życia.

Przerażenie tak bardzo przepaliło jej duszę, iż wydawało się jej, że została wrzucona do piekła strachu, skąd wyszła w nowej, lśniącej okrywie, zahartowana na to, co ją czekało.

Cokolwiek miałoby to być, z pewnością nie będzie gorsze niż to, co

czekałoby ją, gdyby została w mieście. Gdyby zdecydowała się zostać, odwróciłaby się od samej siebie i odrzuciła możliwość wspomżenia innych.

Nie wiedziała, co Prorok każe jej zrobić, ale gdyby nie on, nie miałyby żadnego z owych dni wolności.

- Dziękuję, Nathanie, że mnie wybrałeś.

Patrzył przed siebie zadumany i wydawało się, że jej nie usłyszał.

ROZDZIAŁ 23

Siostra Verna spojrzała w stronę tumultu i zobaczyła zwiadowcę, który zeskakiwał ze spienionego konia, nim jeszcze zwierzę zdążyło się zatrzymać.

Zwiadowca z trudem oddychał, zdając raport generałowi. Usłyszawszy go, generał najwyraźniej się rozluźnił. Wesoło dał znak oficerom, by i oni przestali się martwić.

Verna nie słyszała słów żołnierza, ale wiedziała, co mówił. Nie musiała być Prorokiem, żeby wiedzieć, co zwiadowca mógł zobaczyć.

Głupcy. Przecież mu to powiedziała.

Zbliżył się do niej uśmiechnięty generał Reibisch. Stał w kręgu rzucanego przez ogień blasku i jego szarozielone oczy poszukały Vezrny.

- Ksieni! Tutaj jesteś. Dobre nowiny!

Verna, zajęta ważniejszymi sprawami, rozluźniła szal otulający jej ramiona.

- Nic nie mów, generale. Moje Siostry i ja nie chcemy spędzić całej nocy na uspokajaniu zdenerwowanych żołnierzy i rzucaniu uroków, by powiedzieć ci, gdzie uciekli spanikowani ludzie, którzy chcieli się ukryć i czekać na koniec świata.

Podrapał się w rdzawą brodę.

- Hmm, doceniam twoją pomoc, Ksieni, ale nie będziesz musiała tego robić.

Jak zwykle masz rację.

Parsknęła na znak, że sprawdziło się to, co mówiła. Zwiadowca obserwował ze szczytu wzgórza i widział wschód księżyca wcześniej niż oni w dolinie.

- Mój człowiek doniósł, że tego wieczoru księżyc nie wszedł już na czerwoną. Wiem, że mówiłaś mi, iż tak będzie, ale nic na to nie poradzę, że czuję ulgę, wiedząc, iż wszystko wróciło do normy, Ksieni.

Do normy. Też coś.

- Cieszę się, generale, że wreszcie się dobrze wyśpimy. Mam również nadzieję, że twoi ludzie czegoś się nauczyli i dlatego w przyszłości, kiedy powiem im, że zaświaty wcale nas nie połkną, będą bardziej ufać moim

słowom. Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Tak, Ksieni. Ja ci oczywiście wierzyłem, ale niektórzy z żołnierzy są bardziej zabobonni, niż trzeba. Magia ich przeraża.

Verna bardziej pochyliła się ku niemu i zniżyła głos.

- I powinna. Odchrząknął.

- Tak, Ksieni. A teraz lepiej udajmy się na spoczynek.

- Twoi posłańcy jeszcze nie wrócili, prawda?

- Nie. - Generał przesunął palcem po dolnej części blizny, która biegła od jego lewej skroni aż do zuchwy. - Nie sądzę, by dotarli już do Aydindril.

Verna westchnęła. Wolałaby najpierw usłyszeć wieści. To mogłoby jej ułatwić podjęcie decyzji.

- Też tak uważam.

- Co sądzisz, Ksieni? Co nam radzisz? Północ? Zapatrzyła się przed siebie, obserwując, jak iskry unoszą się w mrok, i czując żar ognia na swojej twarzy. Musiała podjąć o wiele ważniejsze decyzje.

- Nie wiem. Richard powiedział mi tak: „Kierujcie się na północ. Spotkacie idącą ku południowi stutysięczną armię d’harańską, która poszukuje Kahlan.

Będziecie się nawzajem wspierać. Powiedz generałowi Reibischowi, że Kahlan jest ze mną, bezpieczna”.

- Bardzo by nam ułatwiło sprawę, gdyby powiedział coś konkretnego.

- Nie powiedział wyraźnie, że mamy ruszyć na północ, z powrotem do Aydindril, ale to się rozumiało samo przez się. Jestem przekonana, iż uważał, że tak właśnie zrobimy. Jednak w takich sprawach z uwagą wysłuchani twojego zdania.

Generał wzruszył ramionami.

- Jestem żołnierzem. Myślę jak żołnierz.

Richard udał się do Tanimury, by ratować Kahlan, i udało mu się zniszczyć Pałac Proroków oraz przechowywane w jego kryptach proroctwa, zanim wpadły one w ręce imperatora Jaganga. Powiedział, że musi natychmiast wracać do Aydindril i że nie ma czasu wyjaśniać, w czym rzecz. Stwierdził, że jedynie on i Kahlan mają magiczny dar umożliwiający taki natychmiastowy powrót. Dodał, że nie może zabrać całej reszty. Powiedział Vernie, żeby poszła na północ, na spotkanie z generałem Reibischem i jego d’harańskim wojskiem.

Generał Reibisch był niechętny powrotowi na północ. Dowodził, że z tak liczną armią, która i tak znalazła się już daleko na południu, strategicznie korzystne byłoby przystopowanie najazdu Nowego Świata, nim obce wojska dotrą do gęsto zaludnionych obszarów.

- Rozumiem twoje motywy, generale, lecz obawiam się, że nie doceniasz zagrożenia. Z informacji, które udało mi się zebrać, wynika, że Imperialny Ład to wojska tak liczne, iż bez najmniejszego trudu zmiażdżą nawet tak dużą armię. Nie wątpię w wyszkolenie twoich żołnierzy, ale sama liczebność Imperialnego Ładu wystarczy, by was połknął. Rozumiem cię, jednak nawet tak duża armia jak twoja nie podoła temu zadaniu, a potem armia ta zniknie i nie będziemy jej już mogli połączyć ze zbieranymi o wiele większymi siłami, które ewentualnie mogłyby się przeciwstawić Ładowi.

Generał uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Mówisz rozsądnie, Ksieni. W czasie swojej służby wysłuchiwałem mnóstwa takich racjonalnych argumentów jak twoje. Cała sprawa w tym, że wojna nie jest racjonalna. Czasem trzeba po prostu korzystać z tego, co zsyłają dobre duchy, i rzucać się w ogień walki.

- Wygląda to na całkiem dobry sposób, żeby się dać unicestwić.

- No cóż, od dawna tak czynię i wciąż żyję. To, że wybierasz spotkanie z wrogiem, nie oznacza wcale, iż musisz się wystawiać na jego ciosy.

- Co masz na myśli? - spytała Verna i spojrzała nań przymrużonymi oczami.

- Już jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Kurierzy podróżują o wiele szybciej niż wojsko. Myślę, że powinniśmy się udać w jakieś bezpieczniejsze, łatwiejsze do obrony miejsce i przyczaić tam, czekając na stosowną chwilę.

- Gdzie?

- Jeśli pójdziemy na wschód, w górzyste partie południowej D'Hary, będziemy w lepszej pozycji do ataku. Znam tamtejsze okolice. Jeśli Imperialny Ład spróbuje się wdrzeć do Nowego Świata przez D'Hare, korzystając z wygodnej drogi doliną rzeki Kern, to my już tam będziemy, by go powstrzymać. W tamtych okolicach będziemy mieć większą szansę. To, że ma się dużo żołnierzy, nie oznacza wcale, że można ich wszystkich jednocześnie wykorzystać. Dolina ma swoją szerokość i tyle.

- A co, jeśli w swej drodze na północ skręcą bardziej na zachód, ominą góry i pospieszą przez Dżicz?

- Wówczas nasza armia może ich zająć od tyłu, a inne nasze siły zostaną wysłane na południe, na spotkanie z wrogiem. Ład będzie musiał rozdzielić swoje siły i walczyć z nami na dwóch frontach. Poza tym to utrudni im przemieszczanie się.

Verna rozważała jego słowa. Czytała o bitwach w starych księgach i pojmowała sens strategii generała. Było to o wiele roztropniejsze, niż się jej z początku zdawało. Ten człowiek był zuchwały, ale nie głupi.

- Kiedy już zajmiemy strategiczne pozycje - podjął generał - będziemy mogli wysłać posłańców do Aydindril i do Pałacu Ludu w D'Harze. Może otrzymamy posiłki z D'Hary i z tych krain Midlandów, które przyłączyły się do nas, a lord Rahl przyśle nam polecenia. Jeżeli Imperialny Ład zaatakuje, my już tam będziemy i dowiemy się o tym. Na wojnie informacja jest cennym towarem.

- Richardowi może się nie spodobać, że się tu czaisz, zamiast wracać do Aydindril.

- Lord Rahl jest rozsądnym człowiekiem...

- Richard rozsądny?! - zaśmiała się Verna. - Nadużywa pan mojej łatwowierności, generale.

Reibisch spojrzał na nią krzywo.

- Jak już mówiłem, lord Rahl jest rozsądnym człowiekiem. Powiedział mi, że mam wyrażać swoje zdanie, o ile uznam, że to ważne. A w tym wypadku tak uważam.

Liczy się z moją opinią w sprawach wojny. Kurierzy już wyruszyli z pismem ode mnie. Jeśli lord Rahl nie zgodzi się z moim zdaniem, powiadomi mnie o tym i rozkaże iść na północ, a ja go usłucham. Dopóki jednak nie będę pewny, że naprawdę tego chce, uważam, iż powinniśmy robić swoją robotę i bronić Nowego Świata przed Imperialnym Ładem. Pytałem cię o zdanie, Ksieni, bo władasz magią. Ja w ogóle się na niej nie znam. Jeżeli ty lub Siostry Światła macie do powiedzenia coś, co pomoże w naszej walce, wysłucham was. Jesteśmy po tej samej stronie, wiesz o tym.

Verna złagodniała.

- Wybacz, generale. Chyba czasem o tym zapominam. - Uśmiechnęła się do niego. - Ostatnie kilka miesięcy wywróciło moje życie do góry nogami.

- Lord Rahl wywrócił do góry nogami cały świat. Wszystko pozmieniał.

- O tak, na pewno. - Verna uśmiechnęła się do siebie i spojrzała w

szarozielone oczy generała. - Twój plan ma sens, a w najgorszym razie opóźni przynajmniej marsz Ładu. Najpierw jednak chciałabym porozmawiać z Warrenem.

On... on ma czasami zadziwiającą intuicję. Tak już jest z czarodziejami.

Generał skinął potakująco głową.

- Magia to nie moja sprawa. Od tego mamy lorda Rahla. I oczywiście ciebie.

Verna stłumiła śmiech wywołany słowami, że Richard włada dla nich magią.

Tam gdzie w grę wchodziła magia, chłopak ledwo sobie radził.

Nie, to nie była do końca prawda: Richard często robił zadziwiające rzeczy, posługując się swoim darem. Cała rzecz w tym, że i jego to zaskakiwało. Ale i tak był jedynym czarodziejem wojny, jaki urodził się od trzech tysięcy lat, i wszystkie ich nadzieje wiązały się z jego przywództwem w wojnie z Imperialnym Ładem.

Richard miał i odwagę, i determinację. Zrobi, co w jego mocy, oni zaś powinni mu pomagać i dbać, by zachował życie.

Generał przestąpił z nogi na nogę i podrapał się pod rękawem kolczugi.

- Ksieni, Imperialny Ład głosi, że chce wykorzenić magię na tym świecie, lecz wszyscy wiemy, że korzystają z magii, żeby nas zniszczyć.

- Istotnie.

Verna wiedziała, że imperator Jagang ma na swoich usługach większość Sióstr Mroku. I młodych czarodziejów także. Poza tym schwycił sporo Sióstr Światła i zapanował nad nimi dzięki swoim umiejętnościom nawiedzania snów. To właśnie ciążyło Vernie, ponieważ jako Ksieni powinna dbać o bezpieczeństwo Sióstr Światła.

A niektóre z jej Sióstr były w łapach Jaganga niebezpiecznym narzędziem.

- Wiedząc, Ksieni, że ich oddziałom będą towarzyszyły osoby władające magią, zastanawiam się, czy mogę liczyć, iż ty i twoje Siostry będziecie dla nich przeciwwagą. Lord Rahl powiedział, że będziemy bezpieczniejsi przy was, a wy przy nas. Uważam, iż chciał przez to powiedzieć, że powinnyście używać swojej magii, by pomóc nam w walce z Imperialnym Ładem.

Verna chciała by myśleć, że generał się myli. Wołała by myśleć, że Siostry Światła, które czynią dzieło Stwórcy, nie będą zmuszone nikogo krzywdzić.

- Nie podoba mi się to, generale Reibisch, obawiam się jednak, że podzielam pańskie zdanie. Jeżeli przegramy tę wojnę, to przegramy wszyscy, a nie tylko nasze wojska na polach bitew. Wszyscy wolni ludzie staną się niewolnikami Ładu. Jeśli Jagang wygra, zgładzi Siostry Światła. Wszyscy musimy walczyć, gdyż inaczej zginiemy. Ład nie zechce tak dogodnie dostosować się do twoich planów, generale.

Może spróbować przemknąć się niepostrzeżenie, może spróbować pójść dalej na zachód, a może i na wschód od ciebie. Siostry mogą się przydać w wykrywaniu manewrów wroga, jeśli ten wkroczy do Nowego Świata i spróbuje się przemknąć.

Nasze Siostry będą wiedziały, czy tamci magicznie osłaniają przed tobą swoje ruchy.

Będziemy twoimi oczami. Gdy przyjdzie do bitwy, wróg może się posłużyć magią, żeby cię pokonać. Użyjemy naszej mocy, by udaremnić tamte czary.

Generał przez chwilę wpatrywał się w płomienie, a potem spojrzał ku szykującym się do snu żołnierzom.

- Dziękuję, Ksieni. Wiem, że ta decyzja nie jest dla ciebie łatwa. Od kiedy jesteście z nami, przekonałem się, że Siostry są łagodnymi kobietami.

Verna zaśmiała się krótko.

- Nie poznałeś nas w ogóle, generale. Wiele rzeczy można powiedzieć o Siostrach Światła, lecz na pewno nie to, że są łagodne. - Poruszyła przegubem i dakra wsunęła się do jej dłoni. Oręż przypominał nóż, ale zamiast ostrza miał ostro zakończony pręt. Verna obróciła dakrę w rękę. - Już musiałam zabijać ludzi. - Z wprawą manewrowała nożem, przesuwając nim po grzbiecie dłoni i w jej wnętrzu, a refleksy ognia odbijały się w srebrnej broni. - Zapewniam cię, generale, że na pewno nie jestem łagodna.

Reibisch uniósł znacząco brew.

- Nóż w tak utalentowanych dłoniach jak twoje to groźna broń, lecz nie dorównuje wojennemu orężowi.

Verna uśmiechnęła się uprzejmie.

- Ta broń jest przepojona śmiertcionośną magią. Uciekaj, jeśli zobaczysz, że ktoś nią w ciebie godzi. Wystarczy, że wbije się w twoje ciało, nawet w mały palec dłoni, a umrzesz, nim zdołasz mrugnąć okiem.

Generał zeszytniał i głęboko wciągnął powietrze.

- Dziękuję za ostrzeżenie. I za pomoc, Ksieni. Cieszę się, że jesteś po naszej stronie.

- Żałuję, że Jagang kontroluje niektóre z naszych Sióstr Światła. Mogą uczynić to samo co ja, a może i więcej. - Dostrzegła, że poblądł, i uspokajająco poklepała go po ramieniu. - Dobranoc, generale Reibisch. Spij dobrze, czerwone księżycy zniknęły.

Verna patrzyła Jak generał idzie od oficera do oficera, rozmawia z nimi, kontroluje żołnierzy i wydaje rozkazy. Kiedy zniknął w mroku, wróciła do swojej siedziby. Zatopiona w myślach, odruchowo wysłała Han i zapaliła świece wewnątrz niewielkiego namiotu, który przygotowali dla niej żołnierze. Księżyc wszedł, więc i Annalina - prawdziwa Ksieni - pewno już czeka.

Verna wyjęła książkę podrózną z sekretnej kieszonki w pasie. Owe książki były magicznie sprzężone tak, że wiadomość zapisywana w jednej pojawiała się jednocześnie w bliźniaczym tomie. Książeczka Ksieni Annaliny była połączona z książeczką Verny. Obecna Ksieni usiadła na kocach i otworzyła swój tom.

Wewnątrz czekała na nią wiadomość. Verna przysunęła bliżej świecę i pochyliła się, żeby w słabym świetle lepiej widzieć tekst.

Mamy tu kłopoty, Verno. W końcu dogoniliśmy Nathana, a przynajmniej tego, kogo za niego uważaliśmy. Okazało się, że ścigany przez nas mężczyzna wcale nie był Nathanem. Prorok nas oszukał. Zniknął, a my nie wiemy, w którą stronę się udał.

Verna westchnęła. Gdy Ann dała jej znać, że lada chwila złapią Proroka, od razu pomyślała, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Nathan zostawił dla nas wiadomość. Jest jeszcze bardziej niepokojąca niż myśl, że on przebywa na wolności. Napisał, że ma ważną sprawę i że jedna z

„naszych Sióstr”, jeśli zdoła, zamierza zrobić coś bardzo głupiego. Nie mamy pojęcia, dokąd się udał. Potwierdził również przekazane przez ciebie słowa Warrena, iż czerwony księżyc oznacza, że Jagang uciekł się do proroctwa o zapętłonym rozgałęzieniu. Nathan oznajmił, że Zedd i ja musimy iść do skarbu Jocopo i że jeżeli zamiast tego zmarnujemy cenny czas na pościg za nim, to wszyscy umrzemy. Wierzę mu. Musimy porozmawiać, Verno. Odpowiedz, jeśli tam jesteś. Będę czekać.

Verna wyjęła rysik z grzbietu książki podróżnej. Wschód księżyca to pora, którą wybrały na porozumiewanie się za pomocą magicznego notesika, kiedy zachodziła taka potrzeba. Pochyliła się jeszcze bardziej i napisała: Jestem, Ann. Co się stało? Nic ci nie jest?

Po chwili w książeczce zaczęły się pojawiać słowa.

To długa historia i nie mam teraz czasu, by ci ją opowiedzieć, ale Nathana ściagała również Siostra Roslyn. Zginęła, a wraz z nią przynajmniej osiemnastu niewinnych ludzi. Nie wiemy na pewno, ilu spłonęło od czaru ognia.

Verna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, czytając, że zginęli ludzie.

Chciała spytać, dlaczego rzucili tak niebezpieczną sieć, lecz zrezygnowała i czytała dalej.

Verno, przede wszystkim musimy się dowiedzieć, czy wiesz, co to takiego ten „skarb Jocopo”. Nathan tego nie wyjaśnił.

Verna przyłożyła palec do ust i przymknęła oczy, starając się sobie przypomnieć. Już słyszała tę nazwę. Przez dwadzieścia lat podróżowała po Nowym Świecie i tam to usłyszała.

Ann, wydaje mi się, że słyszałam, iż Jocopo byli ludem żyjącym gdzieś w Dzicz. O ile sobie dobrze przypominam, wszyscy zostali wytępieni podczas wojny.

Sądzę, że zniszczono wszelkie ślady po nich.

Dzicz, mówisz. Jesteś pewna, Verno, że chodziło o Dzicz?

Tak.

Zaczekaj chwilę, przekażę te wieści Zeddowi.

Mijały minuty, a Verna wpatrywała się w puste miejsce pod linijkami tekstu.

W końcu zaczęły się pojawiać słowa.

Zedd dostał napadu przejawiającego się głośnymi przekleństwami i wymachiwaniem ramionami. Rozwodzi się nad tym, co uczyni Nathanowi. Jestem przekonana, że większość z tych zamierzeń okaże się niemożliwa do spełnienia.

Stwórca karze mnie za to, że uskarżałam mu się na niepoprawność Nathana. I właśnie się dowiaduję, co naprawdę znaczy „niepoprawny”. Dzicz jest bardzo rozległa, Verno.

Orientujesz się, gdzie to w przybliżeniu mogło być?

Nie. Przykro mi. Przypominam sobie, że tylko raz słyszałam o Joco. Gdzieś w południowym Keltonie podziwiałam kiedyś w sklepie ze starożytnościami zabytkową ceramikę. Właściciel utrzymywał, że to dzieło zaginionego ludu z Dżicy.

Nazywał ich Joco. To wszystko, co wiem. Wówczas poszukiwałam Richarda, a nie zaginionych ludów. Zapytam Warrena. Może wie coś z ksiąg.

Dziękuję, Verno. Jeśli się czegoś dowiesz, natychmiast daj mi znać. Czy wiesz, co to za głupia rzecz, którą według Nathana zamierza uczynić Siostra?

Nie. Wszystkie jesteśmy z d'harańską armią. Generał Reibisch chce zostać na południu, żeby pokrzyżować plany Imperialnemu Ładowi, kiedy ten zaatakuje.

Czekamy na wieści od Richarda. Lecz Jagang trzyma w niewoli również Siostry Światła. Któż to wie, do czego może je zmusić? Ann, czy Nathan napisał coś o prorocztwie z zapętłym rozgałęzieniem? Może Warren mógłby pomóc, gdybyś przekazała mi słowa owego prorocztwa.

Nastąpiła przerwa, a potem Ann znów zaczęła pisać.

Nathan nie przekazał nam tekstu. Napisał, że duchy odmówiły mu dostępu do jego znaczenia. Podał jednak, że to Richard padnie ofiarą owego prorocztwa i znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

Verna zachłysnęła się śliną. Rozkaszała się gwałtownie, usiłując usunąć ją z płuc. Załzawionymi oczami ponownie przeczytała ostatnie zdanie. Wreszcie oczyściła płuca i gardło.

Napisałaś „Richard”, Ann. Naprawdę masz na myśli Richarda?

Tak.

Verna zamknęła oczy i wyszeptała modlitwę, walcząc z narastającą paniką.

Potem napisała:

Jeszcze coś?

Na razie nie. Przyda się nam twoja informacja o Joco. Będziemy wiedzieli, o co pytać, i zawężymy pole poszukiwań. Dziękuję. Daj znać, gdy dowiesz się czegoś więcej. Muszę kończyć. Zedd skarży się, że jest śmiertelnie głodny.

A jak sprawy między tobą i Pierwszym Czarodziejem, Ann?

Wspaniale. Nie ma obroży.

Zdjęłaś mu obrożę? Nim znaleźliście Nathana? Dlaczego to zrobiłaś?

To nie ja. Sam ją sobie zdjął.

Verna wytrzeszczyła oczy. Bała się pytać, jak zdołał zrobić coś takiego, więc nie zapytała. Pomyślała, że z całej wiadomości od Ann wynika, iż to drażliwa sprawa.

A mimo to idzie z tobą?

Nie jestem pewna, Verno, kto z kim idzie, lecz oboje pojmujemy groźbę zawartą w ostrzeżeniu Nathana. Nathan nie zawsze jest irracjonalny.

Wiem. Bez wątpienia uśmiecha się teraz do jakiejś kobiety i stara się jej tak zawrócić w głowię by wpadła mu do łóża. Oby Stwórca miał cię w swojej opiece, Ksieni.

Tak naprawdę to Ann była Ksienią, lecz mianowała nią Verne, kiedy wraz z Nathanem upozorowali swoją śmierć i wyruszyli z ważną misją. Do teraz wszyscy myśleli, że Ann i Nathan nie żyją i że Verna jest Ksienią.

Dziękuję, Verno. Jeszcze jedna sprawa. Zedd niepokoi się o Adie. Chce, żebyś wzięła ją na stronę i powiedziała jej, że on żyje i ma się dobrze, lecz jest „w rękach szalonej kobiety”.

Czy chcesz, Ann, bym powiedziała wszystkim Siostron, że żyjesz i że czujesz się dobrze?

Tekst pojawił się dopiero po chwili.

Nie, Verno. Nie teraz. I dla nich, i dla ciebie to lepiej, że jesteś ich Ksienią.

Nieroztropnie byłoby im mówić, że żyję, by zaraz potem - a tak może się zdarzyć zgodnie z tym, co przekazał nam Nathan i co musimy zrobić - to odwoływać i zawiadamiać o mojej śmierci.

Verna zrozumiała. Dzicz to niebezpieczne miejsce. To tam właśnie musiała zabić ludzi. I wcale nie próbowała wyciągnąć z nich informacji - starała się unikać kontaktów z tamtejszymi mieszkańcami. W owym czasie Verna była młoda i porywcza. Ann była niemal tak wiekowa jak Nathan. Była jednak czarodziejką i towarzyszył jej czarodziej. Co prawda Zedd też nie był młody, ale bynajmniej nie był bezradny. A to, że sam zdjął sobie Rada'Han, wiele mówiło o jego zdolnościach.

Nie mów tak, Ann. Uważaj na siebie. Ty i Zedd musicie się ochraniać.

Chcemy, żebyście do nas wrócili.

Dziękuję, dziecko. Dbaj o Siostry Światła, Ksieni. Któż to wie, może

pewnego dnia zechcę je z powrotem wziąć pod swoją pieczę.

Verna uśmiechnęła się, pokrzepiona korespondencją z Ann i jej okazywanym w tak strasznych okolicznościach poczuciem humoru. Chciałaby sama mieć takie poczucie humoru. Uśmiech zgasł, ponieważ przypomniła sobie, co Ann powiedziała jej o Richardzie: że to na niego wskazywało owo straszliwe proroctwo. Pomyślała o ostrzeżeniu Nathana, który twierdził, że jedna z Sióstr zamierza uczynić coś głupiego.

Wolałaby, żeby Nathan był bardziej konkretny. Słowem „głupie” mógł przecież określić niemal wszystko. Verna nie była skłonna wierzyć we wszystko, co powie Prorok, lecz Ann znała go o wiele lepiej niż ona.

Pomyślała o Siostrach przetrzymywanych przez Jaganga. Niektóre były Siostrami Światła, a kilka spośród nich już od czasu nowicjatu należało do najdroższych przyjaciółek Verny. Pięć: Christabel, Amelia, Janet, Phoebe i Verna, razem dorastało w pałacu.

Ksieni mianowała Phoebe jedną ze swoich administratorek. Tylko ona z nimi teraz była. Christabel, najbliższa przyjaciółka Verny, przeszła na stronę Opiekuna zaświatów, została Siostrą Mroku, a teraz przebywała w niewoli u Jaganga. Imperator pochwyił również dwie ostatnie przyjaciółki Verny: Amelię i Janet. Ksieni wiedziała, że Janet pozostała wierna Światłu, lecz nie była pewna co do Amelii. Jeśli wciąż była lojalna...

Siostra przycisnęła drżące palce do ust, myśląc o swoich przyjaciółkach, dwóch Siostrach Światła będących niewolnicami Nawiedzającego Sny.

I to pomogło jej w końcu podjąć decyzję.

Verna zajrzała do namiotu Warrena. Mimowolnie się uśmiechnęła, gdy dostrzegła, że leży w mroku na kocach zatopiony w myślach młodego Proroka.

Uśmiechała się, myśląc, jak bardzo go kocha, i wiedząc, jak on ogromnie kocha ją.

Verna i Warren dorastali w Pałacu Proroków i znali się niemal przez całe życie. Jej dar czarodziejki predestynował ją do pomocy w szkoleniu młodych czarodziejów, Warren zaś miał dar prorokowania. Ich drogi zeszyły się dopiero wtedy, gdy Verna wróciła do pałacu z Richardem. Olbrzymi wpływ chłopaka na pałacowe życie spowodował, że Siostra i Kret zbliżyli się do siebie, a ich przyjaźń rosła.

Ostatecznie zaufali sobie, kiedy Verna została Ksienią, i zaczęli zmagać

się z Siostrami Mroku. To podczas owych zmagania zostali kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Dopiero teraz, po tych wszystkich spędzonych w pałacu latach, naprawdę odnaleźli siebie i miłość. Uśmiech Verny zgasł, gdy pomyślała, co musi powiedzieć Warrenowi.

- Nie śpisz, Warrenie? - szepnęła.

- Nie - odparł cicho.

Weszła do namiotu i powiedziała to, nim zdążył wstać i wziąć ją w ramiona, nim straciła odwagę.

- Podjęłam decyzję, Warrenie. Nie chcę słyszeć twoich sprzeciwów. To zbyt ważne. - Milczał, więc mówiła dalej: - Amelia i Janet są moimi przyjaciółkami. Są Siostrami Światła, które wpadły w ręce wroga, a ja je kocham. Wiem, że zrobiłyby to samo dla mnie. Idę po nie i po wszystkich innych, których zdołam oswobodzić.

- Wiem - wyszeptał.

Wiedział. Cóż to znaczyło? Mrok i przeciągająca się cisza. Verna zmarszczyła brwi. To było niepodobne do Warrena: zawsze sprzeciwiał się czemuś takiemu.

Przygotowała się na jego protesty, ale nie na spokojną zgodę. Posługując się swoją Han, siłą życia i ducha, poprzez którą działał magiczny dar, zapaliła nad dłonią płomyk i przekazała go świecy. Warren siedział zwinięty na kocu z podciągniętymi kolanami i głową opartą na dłoniach. Uklękła przed nim.

- Co się stało, Warrenie?

Uniósł głowę. Niebieskie oczy okalały czerwone obwódki. Twarz miał chorobliwie bladą. Verna złapała go za ramię.

- Źle wyglądasz, Warrenie. Co się stało?

- Verno, właśnie uświadomiłem sobie, że bycie Prorokiem wcale nie jest tak wspaniałe, jak to sobie wyobrażałem - wyszeptał.

Był rówieśnikiem Verny, ale wyglądał młodziej, gdyż pozostał w Pałacu Proroków, pod działaniem uroku opóźniającego starzenie, ona zaś wyruszyła w dwudziestoletnią podróż po Richarda. W tej chwili Warren bynajmniej nie wyglądał tak młodo.

Dopiero niedawno miał swoją pierwszą wizję. Powiedział Vernie, że proroctwo to widzenie zdarzeń, któremu towarzyszą słowa przepowiedni. Zapisuje się właśnie te słowa, lecz prawdziwym proroctwem jest widzenie

zjawisk. Dlatego tylko Prorok może w pełni pojąć prawdziwe znaczenie słów - przywołują one widzenie, przekazane przez innego Proroka. Mało kto o tym wiedział, każdy za to usiłował zrozumieć proroctwo poprzez słowa. Dzięki temu, co usłyszała od Warrena, Verna zdawała już sobie sprawę, że ta metoda była w najlepszym razie nieodpowiednia, a w najgorszym - niebezpieczna. Proroctwa powinny być czytane przez innych Proroków.

Nachmurzyła się.

- Miałeś wizję? Następne proroctwo? Warren pominął to milczeniem i sam zapytał:

- Mamy ze sobą jakąś Rada'Han?

- Tylko te na szyjach młodych czarodziejów, którzy z nami uciekli. Nie było czasu, żeby zabrać dodatkowe. Dlaczego pytasz?

Znów schował głowę w dłoniach. Verna pogroziła mu palcem.

- Warrenie jeśli to jakaś sztuczka, żebym tu z tobą została, to nic z tego.

Słyszysz? Nic z tego. Idę i to sama. To postanowione.

- Muszę iść z tobą, Verno - wyszeptał.

- Nie zgadzam się. To zbyt niebezpieczne. Za bardzo cię kocham. Nie będę narażać na ryzyko jeszcze kogoś oprócz siebie. Jeśli będę musiała, to jako Ksieni nakażę ci, żebyś tutaj został. I zrobię to, Warrenie.

Znów uniósł głowę.

- Umieram, Verno. Poczula lodowaty dreszcz.

- Co takiego?! Warrenie...

- Mam bóle głowy. Wywoływane przez dar.

Siostra zamilkła, porażona śmiertelnością groźbą, jaką zawierały jego słowa.

Siostry Światła zabierały urodzonych z darem chłopców właśnie dlatego, by uratować im życie. Zabiłby ich dar, nad którym nie potrafiliby zapanować. Bóle głowy były oznaką szkód powodowanych przez nie kontrolowany dar. Obroza nie tylko pozwalała Siostrze kontrolować młodych czarodziejów, lecz przede wszystkim dzięki swojej magii chroniła ich życie, dopóki nie nauczyli się panować nad darem.

A Verna zdjęła Warrenowi obrozę o wiele wcześniej, niż to było w zwyczaju.

- Przecież długo się uczyłeś, Warrenie. Wiesz, jak kontrolować swój dar. Już nie potrzebujesz ochrony Rada'Han.

- Może byłaby to prawda, gdybym był zwyczajnym czarodziejem, ale ja mam dar prorokowania. Przez wieki Nathan był jedynym Prorokiem w pałacu. Nie wiemy, jak wrodzony talent oddziałuje na Proroka. Dopiero niedawno miałem swoją pierwszą wizję. To oznacza nowy poziom moich zdolności. A teraz mam bóle głowy.

Verna wpadła w panikę. Rozpłakała się i objęła go.

- Zostanę, Warrenie. Nigdzie nie pójdę. Pomogę ci. Jakoś sobie z tym poradzimy. Może zdejmujemy obrożę jednemu z chłopców i będziecie się nią dzielić.

To mogłoby pomóc. Najpierw to wypróbujemy.

Warren mocno ją przytulił.

- To nic nie da, Verno.

Nagle coś przyszło jej do głowy i odetchnęła z ulgą. To było takie proste.

- Wszystko w porządku, Warrenie. Na pewno. Właśnie uświadomiłam sobie, co możemy zrobić. Posłuchaj.

- Verno, wiem, co...

Uciszyła go. Położyła dłonie na jego ramionach i spojrzała w niebieskie oczy.

Odgarnęła mu do tyłu faliste jasne włosy.

- Posłuchaj, Warrenie. To proste. Siostry powołano, by pomagały chłopcom urodzonym z darem. Dano nam Rada'Han, żebyśmy chroniły ich, dopóki ich nie nauczymy, jak kontrolować dar.

- Wiem o tym wszystkim, Verno, lecz...

- Słuchaj. Mamy obroże, by im pomagać, bo brakuje nam czarodziejów, którzy mogliby uczynić, co trzeba. W przeszłości zazdrośni o swoją wiedzę czarodzieje odmawiali pomocy zrodzonym z darem. Doświadczony czarodziej może się połączyć z twoim umysłem i pokazać ci, jak właściwie ukierunkować zdolności. To jest proste dla czarodzieja, lecz nie dla czarodziejki. Trzeba odwiedzić jakiegoś czarodzieja. - Verna wyjęła z kieszonki w pasie książkę podrózną i podsunęła ją Warrenowi przed oczy. - Mamy czarodzieja. Mamy Zedda. Trzeba tylko porozmawiać z Ann i skłonić ją, by ona i Zedd się z nami spotkali. Zedd może ci pomóc i bóle głowy miną.

Warren patrzył jej w oczy.

- To się nie uda, Verno.

- Nie mów tak. Przecież tego nie wiesz. Nie wiesz tego, Warrenie.

- Owszem, wiem. Miałem kolejną wizję. Verna przysiadła na piętach.

- Miałeś? Jaką?

Warren przycisnął palce do skroni. Widziała, jak bardzo boli go głowa.

Wiedziała, jak straszliwe bóle powoduje dar. Nie zlikwidowane, prowadziły do śmierci.

- Dla odmiany teraz ty mnie wysłuchaj, Verno. Miałem wizję. Słowa nie są ważne, ale znaczenie tak. - Cofnął dłonie od skroni i spojrzał jej w oczy; w tym momencie wydawał się jej bardzo stary. - Musisz uczynić to, co zaplanowałaś, i wyruszyć po uwięzione Siostry. Proroctwo nie mówi, czy ci się to powiedzie, ja jednak muszę iść z tobą. Umrę, jeśli postąpisz inaczej. To rozgałęzione proroctwo, proroctwo typu „albo-albo”.

Verna odkaszlnęła.

- Ale... na pewno musi być coś...

- Nie. Jeżeli zostaną lub spróbuję dotrzeć do Zedda, umrę. Proroctwo nie mówi, czy przeżyję, gdy pójdę z tobą, wskazuje jednak, że to moja jedyna szansa.

Koniec dyskusji. Umrę, jeśli każesz mi zostać. Umrę, jeśli każesz mi dotrzeć do Zedda. Jeśli chcesz, bym miał szansę przeżyć, musisz mnie ze sobą zabrać. Wybieraj, Ksieni.

Verna przełknęła ślinę. Jako Siostra Światła i czarodziejka poznawała po wyraźnych ciemnych cieniach wokół oczu Warrena, że Prorok cierpi na ból głowy wywołany przez magiczny dar. Wiedziała również, że Warren nie okłamywałby jej co do proroctwa. Mógłby wymyślić jakiś podstęp, by z nią pójść, ale nie kłamałby co do proroctwa.

Był Prorokiem. Prorokowanie było jego życiem. A może i śmiercią.

Ujęła jego dłonie.

- Zbierz trochę rzeczy. Weź dwa konie. Muszę najpierw przekazać coś Adie, a potem porozmawiać z moimi doradczyniami i powiedzieć im, co mają czynić, kiedy odjedziemy. - Ucałowała dłoń młodego czarodzieja. - Nie pozwolę ci umrzeć, Warrenie. Za bardzo cię kocham. Wyjedziemy razem. Nie jestem śpiąca. Nie czekajmy do poranka. Możemy wyruszyć za godzinę.

Warren przyciągnął ją do siebie i z wdzięcznością uściskał.

ROZDZIAŁ 24

U kryty w mroku obserwował, jak mężczyzna w średnim wieku zamknął drzwi i stał przez chwilę w ciemnym korytarzu, wpychając w spodnie koszulę na wydatnym brzuchu. Potem mężczyzna zarechotał do siebie, odszedł ciężkim krokiem w głąb korytarza i zniknął na schodach.

Było późno. Do wschodu słońca pozostawało jeszcze kilka godzin. Ściany korytarza pomalowano na czerwono, a świece, które paliły się przed posrebrzaną, odbijającą światło blachą umieszczoną na obu krańcach wąskiego przejścia, prawie nie rozpraszały panującego tu mroku. To właśnie lubił - miękki płaszcz mroków tworzył nastrój do folgowania takim niegodziwym zachciankom.

Rozwiązłości najbardziej pobażano nocą. W ciemnościach.

Przez chwilę stał w ciszy i mroku korytarza, delektując się swoim pożądaniem. To trwało już zbyt długo. Popuścił wodze namiętności i poczuł, jak zaczyna w nim cudownie boleśnie pulsować.

Zamknął usta i oddychał przez nos, by lepiej wyczuć cały wachlarz woni, zarazem ulotnych i trwałych. Cofnął ramiona i wykorzystując mięśnie brzucha, oddychał wolniej i głębiej.

Rozpoznał rozmaite zapachy, od tych, które wnosili tu, a potem zabierali ze sobą mężczyźni, woni ich zawodów: zapachu koni, gliny, pyłu ziaren, lanoliny, którą żołnierze nacierali swoje skórzane uniformy, i oliwy, której używali przy ostrzeniu broni, do silnego aromatu olejku migdałowego oraz odoru zastarzałego brudu i stęchlizny wilgotnego drewna budynku.

Była to uczta dla wszystkich zmysłów i dopiero się zaczynała.

Znów rozejrzał się po korytarzu, sprawdził go uważnie. Z poza żadnych drzwi nie dochodziły odgłosy namiętności. Pora była już zbyt późna, nawet dla takiego zakładu jak ten. Tłusty, brzuchaty mężczyzna był prawdopodobnie ostatnim klientem

- z wyjątkiem jego, rzecz jasna.

Lubił być ostatni. Oczywiście tego, co zaszło przed jego przybyciem, utrzymujące się w powietrzu zapachy obudziły w nim nagły przypływ doznań.

Podniecenie zawsze wyostrzało mu zmysły, więc tym bardziej cenił

wszelkie szczegóły.

Na chwilę zamknął oczy, poczuł, jak narasta w nim pragnienie. Onarnu pomoże. Zaspokoi jego żądzę, ponieważ one właśnie po to tutaj były. Ochoczo się oddawały.

Inni mężczyźni, jak na przykład ów brzuchacz, zwyczajnie rzucali się na kobietę, stękali w chwili spełnienia i było już po wszystkim. Nigdy nie myśleli o tym, co owa kobieta czuje, czego potrzebuje, żeby i ją zaspokoić. Nie byli niczym więcej niż parzącymi się bydlętami, nie mieli pojęcia o szczegółach, które mogą spotęgować szczytowanie obojga. Za bardzo skupiali uwagę na obiekcie swojego pożądania i nie dostrzegali szczegółów otaczającej ich scenerii, które mogłyby wzmocnić doznania.

Bo właśnie to, co ulotne i krótkotrwałe, było źródłem niezwykłych doznań.

Dzięki wyostrzonej percepcji i szczególnemu rodzajowi świadomości mógł złowić takie efemeryczne zdarzenia i na zawsze zapisać je w swojej pamięci, utrwalając tym samym tak szybko przemijającą chwilę spełnienia.

Uszczęśliwiało go to, że potrafił dostrzegać takie rzeczy i że przynajmniej on umiał dać kobietom spełnienie.

W końcu odetchnął dla uspokojenia i cicho ruszył korytarzem, przecinając obszary cienia i słabe promyki światła odbijające się od posrebrzanych blach. Pomyślał, że jeśli bardzo się postara, to może pewnego dnia będzie mógł wyczuć zarówno dotknięcie światła, jak i dotknięcie mroku.

Bez pukania otworzył drzwi, z których wynurzył się brzuchaty mężczyzna, i wszedł do jej pokoju. Z zadowoleniem stwierdził, że jest tu niemal tak ciemno jak w korytarzu. Zamknął za sobą drzwi.

Kobieta akurat podciągała majtki. Rozchyliła kolana i odrobinę przykucnęła, ciasno opinając się bielizną. Wreszcie podniosła błękitne jak niebo oczy, spojrzała nań, spokojnie osłoniła resztę nagiego ciała połami sukni i luźno związała jedwabny pasek.

W powietrzu unosił się zapach rozgrzanych węgli ze stojącej pod łóżkiem szkandeli, słaba, lecz wyraźna woń mydła, lekki aromat pudru i ciężki aromat mdło-słodkich perfum. Nad nimi górował jednak - niczym ciemność nadająca kształt cieniom - przesycający wszystko zapach chuci, podszyty charakterystycznym odorem spermy.

Pokój nie miał okien. Łóżko - zasłane zaplamionymi, wymiętymi prześcieradłami - stało w głębi, w kącie. Nie było zbyt duże, a mimo to zajmowało sporą część pokoju. Pod ścianą, przy wezglowiu, ustawiono niewielki, skromny kuferek z sosnowego drewna, najprawdopodobniej na rzeczy osobiste. Ponad wezglowiem wisiał rysunek przedstawiający splecioną w namiętym uścisku parę.

Nie pozostawiał niczego wyobraźni.

Obok kobiety, za drzwiami, stała rozchwiana umywalnia, a na niej miednica.

Na obrzeżu białej miski widniał nerkowaty odprysk z pęknięciem, które wyglądało jak odchodząca od nerki tętnica, a z brzegu zwisała wciąż jeszcze ociekająca wodą myjka. Mętna woda w naczyniu leciutko uderzała o ścianki. Kobieta dopiero co skończyła się podmywać.

Każda z nich miała swoje zwyczaje. Niektóre nie dbały o to, by się umyć - zwykle były to te starsze, mało pociągające, mało zarabiające i mało staranne.

Zauważył, że młodsze, ładniejsze i droższe kobiety podmywały się po każdej wizycie mężczyzny. Wolał te, które się myły, nim do nich przyszedł, lecz jego żądza i tak w końcu skłaniała go do lekceważenia takich trywialnych szczegółów.

Zastanawiał się, czy nieprofesjonalistki, z którymi był, kiedykolwiek myślały o takich sprawach. Chyba nie. Wątpił, czy inni dumają nad takimi osobliwymi szczegółami. Inni niewiele zastanawiali się nad mozaiką detali.

Zaspokajały go również inne kobiety, kobiety szukające miłości, jednak nie czyniły tego w ten sam sposób. Zawsze chciały rozmawiać, chciały jego zalotów. One pragnęły. On pragnął. W końcu pożądanie brało górę nad tym, co by wolał, i obdarowywał je tym, czego chciały, a dopiero potem zaspokajał swoje potrzeby.

- Myślałam, że już skończyłam na tę noc - powiedziała. Ton jej głosu był jedwabiście gładki, z zabawną impertynencką nutką, lecz bez szczególnego zainteresowania wizytą kolejnego mężczyzny o tak późnej porze.

- Chyba jestem ostatni - odparł, starając się mówić przeproszająco, żeby jej nie zdenerwować. Nie osiągał takiego zaspokojenia, kiedy się złościły, najbardziej zaś lubił, gdy chciały się przypodobać.

- No to niech już będzie - westchnęła.

Wcale jej nie wystraszyło, że jakiś mężczyzna wszedł bez pukania do pokoju, choć była prawie naga. Nie zapytała też o pieniądze. Urzędujący na dole Silas Latherton, uzbrojony w pałkę i długi, zatknięty za pas nóż, dbał o to, by kobiety nie musiały się niczego obawiać. Nie wpuszczał również na górę nikogo, kto od razu nie zapłacił, więc nie musiały się trudzić ściąganiem należności. W ten sposób właśnie on sprawował kontrolę nad wpływami i ich podziałem.

Krótkie, proste blond włosy miała rozczochrane - bez wątpienia przez brzuchacza - ale stwierdził, że jest to ponętne. Wyraźnie zdradzały, co przed chwilą robiła. Nadawały jej kuszący wygląd, wygląd, który bardzo lubił.

Jej ciało było kształtne i jędrne, nogi długie, a piersi wspaniale uformowane - tyle zdążył zobaczyć, nim osłoniła się suknią. Mógł poczekać, bo znów je zobaczy.

Oczekiwanie wzmagalo jego podniecenie. W przeciwieństwie do innych jej mężczyzn nie pragnął wcale szybko z tym skończyć. I tak, kiedy już się to zaczęło, kończyło się o wiele za szybko. Nigdy nie mógł się powstrzymać, gdy to się już zaczęło. Toteż na razie będzie się rozkoszował najdrobniejszymi szczegółami, żeby mocje na zawsze zapamiętać.

Uznał, że jest więcej niż ładna. Jej twarz sprawiała, że mężczyzn paliły obsesyjne wspomnienia, i dlatego wracali nieustannie, by posiąć ją choć na ulotną chwilkę. Pewność siebie kobiety powiedziała mu, iż zdawała sobie z tego sprawę. To, jak często mężczyźni wydawali na nią pieniądze, umacniało tę pewność. Owe rysy - choć wdzięczne i uderzająco piękne - cechowała pewna cierpkość, szorstkość zdradzająca prawdziwy charakter jej pracy. Inni bez wątpienia widzieli jedynie słodką buzię i nigdy tego nie zauważali.

On zauważył. Dostrzegał takie subtelne szczegóły, a tę cechę widywał często.

Była to nikkzemność, której ich ładne buzie nie mogły ukryć przed kimś takim jak on.

- Jesteś nowa? - zapytał, choć wiedział, że tak.

- To mój pierwszy dzień tutaj - odparła, i to też wiedział. - Aydindril jest wystarczająco duże, żeby starczyło klientów i dla mnie, a z takim licznym wojskiem jest jeszcze lepiej. No i mało która ma błękitne oczy. Moje błękitne oczy przypominają d'harańskim żołnierzom o dziewczynach z rodzinnych stron. Przy takiej ilości chłopów kobiety takie jak ja mają większe wzięcie.

- A to zapewnia lepsze zarobki.

Pozwoliła sobie na pełen zadowolenia, znaczący uśmieшек.

- Gdybyś sobie nie mógł na to pozwolić, to by cię tu nie było, więc przestań narzekać.

Chciał tylko podtrzymać rozmowę i przykro mu było, że tak to przyjęła. Ton jej głosu zdradził skrywaną zgryźliwość. Postanowił załagodzić ową irytację.

- Żołnierze mogą się czasem stać brutalni dla takich młodych, pociągających kobiet jak ty. - Błękitne niczym niebo oczy nie zmieniły wyrazu po tym komplemente. Z pewnością słyszała go już tyle razy, że nań zobojętniała. - Cieszę się, że pojawiłaś się u Silasa Lathertona - podjął. - On nie pozwala, by którykolwiek z jego klientów był grubiański dla młodych dam. Pod jego dachem będziesz bezpieczna. Cieszę się, że tu przybyłaś.

- Dziękuję. - W jej głosie nie było ani odrobiny ciepła, przynajmniej jednak zniknęła zeń irytacja. - Dobrze, że klienci znają jego obyczaje. Raz mnie pobito i wcale mi się to nie podobało. Nie dość, że bolało, to jeszcze przez miesiąc nie mogłam pracować.

- To musiało być okropne. Mam na myśli ból. Kiwnęła głową w kierunku łóżka.

- Rozbierzesz się albo co?

Nie odpowiedział, wskazał tylko na jej suknię. Patrzył, jak rozwiązuje atłasowy pasek.

- Niech będzie po twojemu - powiedziała, na tyle rozchylając suknię ruchem ramienia, by go skusić do podjęcia jakichś działań.

- Chciałbym... chciałbym, żeby i tobie sprawiło to przyjemność.

Uniosła znacząco brew.

- O mnie się nie martw, kochasiu. Na pewno będzie mi przyjemnie. Nie wątpię, że mnie zachwycisz. Ale to ty płacisz, więc zatroszczmy się o twoją rozkosz.

Spodobała mu się leciutka nutka sarkazmu w jej głosie. Dobrze zamaskowała ją zmysłowym tonem i inni mogliby ją przegapić, lecz nie on, ponieważ na to właśnie czekał.

Powolutku, jedna po drugiej, położył na stojącej obok niej umywalni cztery małe złote monety. Było to dziesięć razy więcej, niż Silas Latherton zdierał za towarzystwo swoich kobiet, i pewnie ze trzydzieści razy więcej,

niż dawał jej za każdego mężczyznę. Kiedy cofnął rękę, popatrzyła na monety, jakby je sobie przeliczała, upewniając się, że istotnie widzi to, co jej się zdaje. To było mnóstwo pieniędzy.

Spojrzała nań pytająco.

Spodobał mu się błysk zakłopotania w jej oczach. Kobiety takie jak ona rzadko płoszyły się na widok pieniędzy, ona jednak była młoda i prawdopodobnie jeszcze nikt jej tak szczerze nie obdarował. Sprawilo mu przyjemność, że wywarło to na niej aż takie wrażenie. Wiedział, że mało co by tego dokonało.

- Chciałbym, żeby i tobie sprawiło to rozkosz. Chętnie za to zapłacę.

- Za taką forszę, kochasiu, zapamiętasz moje krzyki aż do końca życia.

Tego akurat był pewny.

Obdarzyła go swoim najlepszym uśmiechem i zsunęła suknię. Wpatrując się weń swoimi wielkimi, błękitnymi jak niebo oczami, zawiesiła na oślepie sukienkę na kołku wbitym w drzwi.

Pogładziła jego pierś, a potem objęła go w pasie. Łagodnie, lecz zdecydowanie oparła się o niego jędrnymi piersiami.

- No to czego sobie życzysz, kochasiu? Ładnych śladów po pazurkach na plecach, żeby twoja młoda pani była zazdrosna?

- Nie, nie. Chcę zobaczyć, że i tobie sprawia to rozkosz. Masz taką ładną buzię i figurę. Myślę, że gdy odpowiednio dobrze ci się zapłaci, będziesz się rozkoszować swoją rolą, ot i wszystko. Chcę wiedzieć, że i tobie sprawia to rozkosz - odparł.

Zerknęła kątem oka na monety, a potem uśmiechnęła się do niego.

- Och, sprawi, kochasiu. Obiecuję. Jestem bardzo uzdolnioną dziwką.

- Na to właśnie liczyłem.

- Chcę, by moje wdzięki tak cię oczarowały, żebyś zechciał wrócić do mojego łóżka.

- Jakbyś czytała w moich myślach.

- Mam na imię Rose - wyszeptwała zmysłowym głosem.

- To imię równie piękne jak ty. I równie mało oryginalne.

- A ty? Jak mam cię nazywać, kiedy będziesz mnie regularnie odwiedzać, za czym już tęsknię?

- Spodobało mi się to, które mi już nadałaś. Tak ładnie brzmi w twoich ustach.

Oblizwała wargi.

- Miło mi cię poznać, kochasiu. Wsunął palec pod górny brzeg majtek.

- Mogę je dostać?

Przesunęła dłoń w dół jego brzucha, znakomicie udając przy tym jęk rozkoszy.

- To koniec długiego dnia. Te nie są dość... czyste. Ale mam czyste w skrzyni.

Za swoją zapłatę możesz ich dostać tyle, ile zapragniesz. Kochasiu, możesz dostać nawet wszystkie, jeśli chcesz.

- Te zupełnie wystarczą. Chcę tylko tych. Uśmiechnęła się domyślnie.

- Rozumiem. Lubisz to, co? Przemilczał jej słowa.

- Dlaczego sam mi ich nie zdejmiesz? - drażniła go. - Bierz, za coś zapłacił.

- Chcę patrzeć, jak je zdejmujesz.

Bez wahania spuściła majtki, starając się przy tym uzyskać jak najlepszy efekt.

Znów doń przyłgnęła i patrząc mu w oczy, musnęła nimi jego policzek. Uśmiechnęła się złośliwie i wepchnęła mu majtki w dłoń.

- Masz. Są tylko dla ciebie, kochasiu. Tak jak lubisz, z zapachem Rose.

Przesuwał je w palcach, nadal wyczuwając w nich ciepło jej ciała.

Wyprostowała się na całą wysokość, żeby go pocałować. Gdyby miał mniej rozumu, gdyby nie wiedział, kim jest ta kobieta, mógłby pomyśleć, że pragnie go nad życie.

Lecz dogodzi jej.

- Co mam robić? - spytała szeptem. - Powiedz, a zrobię to dla ciebie. Innym chłopom nigdy tego nie proponowałam. Ale tak mocno cię pragnę. Zrobię wszystko.

Tylko powiedz.

Czuł na jej skórze pot innych mężczyzn. Czuł na niej odór ich chuci.

- A może zostawimy sprawy ich biegowi, Rose?

- Jak sobie życzysz, kochasiu. - Uśmiechnęła się marzycielsko. - Jak sobie życzysz.

Mrugnęła doń, zgarniając z umywalni cztery złote monety. Podeszła do skrzyni, kołysząc prowokująco biodrami, i przykucnęła przed nią. A on się właśnie zastanawiał, czy przykucnie, czy raczej się schyli. Ucieszył go ów

szczegół, pozostałość dawnej skromności.

Wsunęła monety pod ułożone w kuferku ubrania. Przy okazji zauważył małą poduszczkę, ozdobioną odrobiną czerwieni. Zaintrygowało go to. Wydawała się tutaj nie na miejscu.

- Co to takiego? - spytał, wiedząc, że kupił sobie jej cierpliwość.

Uniosła poduszczkę, żeby mógł się jej przyjrzeć. Mała poduszczka, błahostka, ozdoba. Z wyhaftowaną czerwoną różą.

- Zrobiłam to, gdy byłam młodsza. Wypchałam cedrowymi wiórkami, żeby ładnie pachniała. - Czule pogładziła palcami różę. - Moja imienniczka róża. Rosa.

Ojciec dał mi to imię. Był z Nikobarezji. W jego języku Rosa znaczy „róża”. Zawsze nazywał mnie swoją małą Różą i mówił, że rosnę w ogrodzie jego serca.

Zadziwił go ów szczegół. Zachwyciło go, że dowiedział się o niej czegoś tak osobistego. Miał uczucie, jakby już ją posiadał. W żyłach pulsowała mu rozkosz zrodzona z poznania tak drobnych, pozornie nieistotnych rzeczy.

Patrzył, jak chowa w kuferku pamiątkę z przeszłości, i rozmyślał o jej ojcu.

Zastanawiał się, czy ów mężczyzna wiedział, kim była, czy może odpędził ją ze wstrętem i róża zwiędła w jego sercu. Wyobrażał sobie pełną gniewu awanturę.

Myślał o jej matce, o tym, czy zrozumiała, dlaczego wybrała takie życie, i czy opłakiwała utraconą córkę.

Teraz i on odgrywał swoją rolę w jej życiu, w tym, kim była.

- Mogę cię nazywać Rosa? - spytał, kiedy zamykała wieko. - To takie piękne imię.

Obejrzała się nań przez ramię. Patrzyła, jak zwiijał w palcach w ciasną kulkę jej majtki. Wróciła doń, uśmiechając się.

- Teraz jesteś moim wyjątkowym mężczyzną. Innym nigdy nie zdradziłam prawdziwego imienia. Bardzo mi będzie miło słyszeć je z twoich ust.

Serce mu waliło i chwiało się na nogach, opanowany pragnieniem.

- Dziękuję, Roso - wyszeptał i mówił to poważnie. - Tak bardzo chcę cię zadowolić.

- Ręce ci drżą.

Zawsze drżały, dopóki nie zaczął. Wtedy były pewne i niezawodne. Kiedy już zaczniesz, drżenie ustąpi. To tylko oczekiwanie.

- Przepraszam.

Zaśmiała się gardłowo, lubieżnie.

- Nie musisz. Podnieca mnie, żeś taki nerwowy.

Nie był ani trochę zdenerwowany, za to był podniecony. Jej dłonie to wyczuły.

- Chcę cię smakować. - Liznęła go w ucho. - Tej nocy już nikogo nie mam.

Mamy mnóstwo czasu, żeby się tym rozkoszować.

- Wiem. To dlatego chciałem być ostatni - szepnął.

- Tak. Ja też chcę, żeby to trwało. Możesz sprawić, kochasiu, żeby to długo trwało?

- Mogę i sprawię - obiecał. - Potrwa bardzo długo. Zamruczała z zadowoleniem, usłyszawszy tę obietnicę, obróciła się w jego ramionach i przylgnęła doń tyłeczkiem. Wygięła w łuk plecy, wparła głowę w jego pierś i znów jęknęła. Stał z twarzy drwiący uśmiezek i spojrzał w jej błękitne jak niebo oczy.

O tak, była uzdolnioną dziwką.

Przesunął dłonią po jej kręgosłupie, licząc kręgi i wyczuwając przerwy między nimi. Owo dotknięcie sprawiło, że ponagliła go namiętą skargą.

Zakołysała tyłeczkiem i nie trafił w wybrany punkt.

Zachwiała się.

Za drugim razem uderzył nożem w dolną część kręgosłupa, trafił we właściwe miejsce pomiędzy kręgami i przeciął rdzeń.

Otoczył ją ramieniem w pasie i podtrzymał, żeby nie upadła. Tym razem wydała prawdziwy jęk. Nikt nie odróżniłby go od tych, jakie wydawała dla swoich klientów. Inni nie zwracali uwagi na takie szczegóły.

On tak i rozkoszował się różnicą.

Otworzyła usta do krzyku, lecz wtedy wepchnął w nie zwinięte w kulkę jej brudne majtki. Dobrze zgrał to w czasie i krzyk urwał się na samym początku.

Wyszarpnął atłasowy pasek z jej zawieszanej na kołku sukni i cztery razy owinął nim głowę kobiety, żeby knebel nie wypadł jej z ust. Zaciągnął mocno jedną ręką i zębami i mocno zawiązał.

Bardzo chciałby słuchać jej płynących z głębi serca krzyków, ale to

przedwcześnie zakończyłoby ich rozkosz. Uwielbiał wrzaski i krzyki. Zawsze były szczere.

Przycisnął usta do boku jej głowy. We włosach Rosy wyczuwał pot innych mężczyzn.

- Och, Roso, dasz mi tyle rozkoszy. Dasz mi więcej rozkoszy niż jakimkolwiek mężczyźnie przedtem. Chcę, żeby i tobie sprawiło to przyjemność.

Wiem, że zawsze pragnęłaś właśnie tego. Jestem tym, na którego czekałaś. Wreszcie się zjawiłem.

Pozwolił jej osunąć się na podłogę. Nogi Rosy były już teraz bezużyteczne.

Nigdzie nie ucieknie.

Próbowała go uderzyć pięścią w krocze, ale złapał jej drobną piąstkę swoją wielką łapą. Patrzył w szeroko rozwarte, błękitne jak niebo oczy i siłą ją otworzył.

Ujął jej rozwartą dłoń i odgiął w dół, aż trzasnęły kości nadgarstka.

Rękawami sukni związał jej ręce, żeby nie mogła wyjąć knebla. Serce waliło mu jak młotem, kiedy słuchał jej stłumionych lamentów. Knebel sprawiał, że nie rozumiał słów, ale wzmagaly jego podniecenie, bo wyczuwał jej ból.

Szalała w nim burza uczuć. W końcu głosy ucichły i zostawiły go jego żądz.

Nie wiedział, czym były owe głosy, lecz był pewny, że tylko on je słyszał. Ze względu na swój niezwykły intelekt potrafił wyławiać takie ulotne wieści z niebios, ponieważ był niezrównanie spostrzegawczy i zwracał uwagę na szczegóły.

Rosa płakała. Równiutko wyskubane brwi zbiegły się, unosząc w górę pośrodku i żłobiąc czoło równymi bruzdami. Policzył je, bo był kimś wyjątkowym.

Wielkimi, przerażonymi, błękitnymi jak niebo oczami patrzyła, jak się rozbiera i odkłada na bok ubranie. Nie chciał, żeby przesiąkło krwią.

Teraz nóż tkwił pewnie w jego dłoni, ani drgnął. Stał nad nią, nagi i gotowy, by pokazać jej, jak dobrą robotę już dlań wykonała.

A potem zaczął.

ROZDZIAŁ 25

Kahlan i idąca za nią Cara znalazły się u drzwi niewielkiej komnaty, którą Richard wykorzystywał jako swój gabinet, w tym samym czasie co młoda kobieta z krótkimi czarnymi włosami, niosąca małą srebrną tacę z gorącą herbatą. Raina, która wraz z Eganem i LFliŁiem trzymała straż przed owymi drzwiami, ziewnęła.

- Richard prosił o herbatę, Sarah?

Młoda kobieta dygnęła na tyle, na ile pozwalała jej taca.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Kahlan odebrała jej tacę.

- Dobrze, Sarah. Idę do niego, więc zaniosę mu ją. Sarah się zarumieniła i spróbowała przytrzymać tacę.

- Nie powinnaś tego robić, Matko Spowiedniczko.

- Nie bądź głuptasem. Doskonale potrafię przenieść tacę na drodze liczącej z dziesięć stóp.

Kahlan cofnęła się o krok i odebrała tamtej tacę. Kobieta nie wiedziała, co zrobić z rękami, więc się skłoniła.

- Tak, Matko Spowiedniczko - powiedziała i odeszła. Wcale nie była zadowolona, że ktoś wykona za nią tę pracę.

Wyglądała raczej jak ktoś, kto wpadł w zasadzkę i został ograbiony. Sarah, jak większość służby, zazdrośnie pilnowała swoich obowiązków.

- Długo nie spał? - spytała Kahlan Rainę. Mord-Sith spojrzała na nią ponuro.

- Tak. Całą noc. W końcu zeszedłem z posterunku i poszedłem spać. Berdine też całą noc trzymał przy sobie.

Oto przyczyna owego ponurego spojrzenia.

- Jestem pewna, że to była ważna sprawa, ale zobaczę, czy da się go przekonać, by nocą choć trochę się przespał, a przynajmniej pozwolił się przespać Berdine.

- Byłabym za to wdzięczna. Raina wpada w zły humor, gdy Berdine się nie kładzie - mruknęła Cara.

- Berdine potrzebuje snu - powiedziała, broniąc się, Raina.

- Jestem przekonana, że to było ważne, Raino, lecz masz rację: jeżeli ludzie nie będą się wysypiać, to nie będą mu pomocni. Przypomnę o tym

Richardowi, bo czasem tak bardzo pochłania go to, czym się zajmuje, że zapomina o potrzebach innych.

Ciemne oczy Rainy pojaśniały.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko.

Kahlan przytrzymała tacę jedną ręką i nacisnęła klamkę. Cara stanęła obok Rainy i spojrzała za Kahlan, upewniając się, że ta bezpiecznie niesie tacę, a potem zamknęła drzwi.

Richard stał tyłem do wejścia i wyglądał przez okno. Słaby ogień w kominku nie ogrzewał chłodnego powietrza w komnacie.

Kahlan uśmiechnęła się do siebie. Oto zada kłam jego przechwałkom. Nim zdążyła postawić tacę na stoliku i brzęknąć kubkiem o dzbanek, udając służącą, Richard powiedział, nie odwracając się:

- Cieszę się, że przyszedłeś, Kahlan. Dziewczyna zmarszczyła brwi i postawiła tacę.

- Stoisz tyłem do drzwi. Skąd wiedziałeś, że to ja, a nie służąca z herbatą, którą kazałeś sobie przynieść?

Richard odwrócił się ku niej zdumiony.

- Dlaczego miałbym myśleć, że to służąca z herbatą, skoro to tyją przyniosłaś?

- Jej pytanie naprawdę go zaskoczyło.

- Przysięgam, Richardzie, że czasami przyprawiasz mnie o dreszcze.

Uznała, że musiał zobaczyć w oknie jej odbicie. Pocałował ją.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Tak samotnie było bez ciebie.

- Dobrze spałeś?

- Spałem? Ja... chyba nie. Ale przynajmniej zamieszki ustały. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby księżyc znów wzeszedł na czerwono. Nie mogę uwierzyć, że ludzie potrafią się tak rozszaleć z powodu czegoś takiego.

- Musisz jednak przyznać, że to było osobliwe... i przerażające.

- Owszem, było, ale nie skłoniło mnie do biegania z wrzaskiem po ulicach, rozbijania okien i podpalania budynków.

- To dlatego, że jesteś lordem Rahlem i masz więcej rozumu.

- I jestem bardziej zdyscyplinowany. Nie pozwolę ludziom wyrządzać takich szkód, że nie wspomnę już o okaleczaniu niewinnych osób. Jeśli jeszcze raz to się zdarzy, rozkażę żołnierzom natychmiast położyć temu kres. Nie będę czekać, łudząc się, że ludzie zniemacka sami zmądrzeją. Mam

na głowie o wiele ważniejsze sprawy niż dziecinne reakcje na przesady.

Pełen irytacji ton jego głosu ostrzegł Kahlan, że Richard lada chwila straci panowanie nad sobą. Miał mętne oczy. Wiedziała, że jeśli ktoś odmawia sobie snu, to jego cierpliwość szybko się wyczerpuje. Jedna nie przespana noc to jeszcze nic takiego, lecz trzy nie przespane noce z rzędu, to już zupełnie inna sprawa. Miała nadzieję, że to nie wpływa źle na jego ocenę sytuacji.

- Ważniejsze sprawy. Masz na myśli pracę z Berdine? Potaknął. Kahlan naląła herbaty do kubka i podała Richardowi. Patrzył chwilę na kubek, zanim go wziął.

- Powinieneś pozwolić tej biednej kobiecie dłużej się wysypiać, Richardzie.

Na nic ci się nie przyda, jeśli będzie niewyspana.

Łyknął herbaty.

- Wiem. - Odwrócił się ku oknu i ziewnął. - Musiałem ją odesłać do mojej komnaty, żeby się zdrzemnęła. Zaczęła się mylić.

- Ty także powinieneś się przespać, Richardzie.

Patrzył przez okno na masywne kamienne ściany Wieży Czarodzieja, wznoszącej się na zboczu góry.

- Chyba dowiedziałem się, co oznacza czerwony księżyc. Posępny ton głosu chłopaka sprawił, że Kahlan na chwilę umilkła.

- Cóż więc znaczy? - spytała w końcu. Odwrócił się w stronę stolika i odstawił kubek.

- Kazałem Berdine szukać miejsc, w których Kolo używa słowa „moss” albo wspomina o czerwonym księżycu, bo miałem nadzieję, że w ten sposób znajdziemy coś, co nam pomoże.

Richard otworzył leżący na stoliku pamiętnik. Znalazł go w Wieży Czarodzieja, gdzie był zamknięty przez trzy tysiące lat z człowiekiem, który go napisał. Kiedy ukończono baszty oddzielające Stary Świat od Nowego, Kolo pilnował właśnie sylfy, osobliwej istoty mogącej przenosić ludzi na wielkie odległości. Gdy baszty zaczęły działać, czarodziej został zamknięty w owej komnacie - złapany w pułapkę - i tam zmarł. Pamiętnik już raz okazał się nieocenionym źródłem informacji, lecz został napisany w górnod'harańskim, co komplikowało sprawę. Berdine знаła ów język, lecz nie tak starożytny dialekt. Musieli się posłużyć inną książką, którą napisano

w niemal tak samo starożytnym dialekcie górnod'harańskiego - to pomogło im w tłumaczeniu. Richard pamiętał z dzieciństwa jej treść, co ułatwiało Berdine tłumaczenie słów, które z kolei porównywali ze słowami pamiętnika, uzyskując w ten sposób przekład.

W miarę postępu prac Richard coraz lepiej poznawał zarówno miejscowy gornod'harański, jak i jego o wiele starszy dialekt, ale i tak wszystko trwało denerwująco długo.

Kiedy chłopak ponownie sprowadził Kahlan do Aydindril, opowiedział jej, jak wykorzystał uzyskane z pamiętnika informacje, by znaleźć sposób na uratowanie jej.

Mówił, że czasami czyta z łatwością, a potem trafiają się takie miejsca, że i on, i Berdine grzęzną. Powiedział, że niekiedy przeczytanie jednej strony zajmuje mu zaledwie kilka godzin, niekiedy zaś potrzebują całego dnia na zrozumienie jednego zdania.

- Moss? Powiedziałeś, że kazałeś jej szukać słowa „moss”. Co ono oznacza?

Raz jeszcze napił się herbaty i odstawił kubek.

- Moss? W gornod'harańskim znaczy to „wicher”. - Przewrócił stronicę aż do zakładki. - Skoro tłumaczenie pamiętnika zabiera tak wiele czasu, szukamy słów kluczowych, a potem, licząc na szczęście, zajmujemy się zawierającymi je ustępami.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż tłumaczycie strona po stronie, by lepiej wyczuć sposób, w jaki Kolo posługuje się owym językiem.

Richard westchnął z irytacją.

- Nie mam na to czasu, Kahlan. Musieliśmy zmienić metodę. Kahlan wcale się to nie spodobało.

- Powiedziano mi, Richardzie, że twój brat jest arcykapłanem sekty zwanej Raug'Moss. Czy to słowo pochodzi z górnod'harańskiego?

- Taaak. Znaczy „Boski Wicher” - mruknął. Poklepał księgę, najwyraźniej nie mając ochoty o tym dyskutować. - Widzisz? Berdine wyszukała fragment, w którym Kolo pisze o czerwonym księżycu. Był tym naprawdę zaniepokojony. W całej wieży się kotłowało. Pisze, że zostali zdradzeni przez „grupę” i że owa grupa zostanie osądzona za swoje występki. Jeszcze nie mieliśmy czasu, żeby uważniej się temu przyjrzeć. Ale... - Richard przewrócił stronicę, wracając ku początkowi księgi, gdzie włożyli pomiędzy nie swoje

tłumaczenie, i przeczytał Kahlan cały ustęp: „Dzisiaj spełniło się jedno z naszych najgorętszych pragnień, a stało się to dzięki niez mordowanej, genialnej pracy blisko stuosobowej grupy. Ochronione zostało to, czego utraty najbardziej obawialiśmy się w razie naszej klęski. Dziś dotarła do nas wieść o sukcesie i wszyscy w wieży radośnie krzyknęli. Niektórzy sądzili, że to nie będzie możliwe, lecz dokonało się ku zdumieniu wszystkich: Świątynia Wichrów odeszła”.

- Odeszła? Cóż to za Świątynia Wichrów? Dokąd odeszła? - spytała Kahlan.

Richard zatrzasnął księgę.

- Nie wiem. Ale w dalszej części pamiętnika Kolo pisze, że zdradziła ich wszystkich owa grupa, która tego dokonała. Gornod'harański to osobliwy język.

Słowa mają rozmaite znaczenie, zależne od tego, jak się ich używa.

- Większość języków taka jest. Nasz też.

- Owszem, ale w gornod'harańskim słowo, które zwykle ma odmienne znaczenie, w zależności od kontekstu ma nieść wielorakie znaczenia. Nie oddzielisz jednego z nich od całej reszty. To właśnie sprawia, że tłumaczenie jest takie trudne. I tak na przykład w starym proroctwie, które nazywa mnie dawcą śmierci, słowo śmierć ma trzy różne znaczenia w zależności od tego, jak się go użyje: ten, który sprowadza zaświaty, świat zmarłych; ten, który przywołuje duchy, duchy zmarłych; i ten, który jest dawcą śmierci, zadający śmierć. Każde znaczenie jest inne, lecz chodzi o wszystkie trzy. To był klucz. Proroctwo to było w księdze, którą zabraliśmy z Pałacu Proroków. Warren dopiero wtedy mógł je przetłumaczyć, kiedy powiedziałem mu, że chodzi o wszystkie trzy znaczenia. Oznajmił mi, że dzięki temu był pierwszą od tysięcy lat osobą, która poznała prawdziwe znaczenie tekstu przepowiedni, tak jak została ona zapisana.

- A co to ma wspólnego ze Świątynią Wichrów?

- Gdy Kolo pisze „wicher”, to, jak sądzę, ma czasem na myśli zwykły wiatr, a innym razem Świątynię Wichrów. Wydaje mi się, że używa tego słowa jako odniesienia do Świątyni Wichrów

i zarazem jako sposobu na wyróżnienie jej spośród innych świątyń.

Kahlan zmrużyła oczy.

- Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że wieść od Shoty, iż ściga cię

wicher, oznacza w istocie, że w jakiś sposób ściga cię Świątynia Wichrów?

- Nie jestem tego całkiem pewny.

- Wnioskowanie na podstawie jednowyrazowego odnośnika Kolo do Świątyni Wichrów, że Shota mówi o tym samym miejscu, to naprawdę wielki przeskok myślowy, Richardzie.

- Kiedy Kolo pisze o tym, że wszyscy byli poruszeni i że owa grupa miała zostać osądzona, to jakby dawał do zrozumienia, iż wichry mają zdolność postrzegania.

Tym razem Kahlan odkaszlnęła.

- Czyżbyś mi usiłował powiedzieć, Richardzie, iż Kolo twierdzi, że owo miejsce, owa Świątynia Wichrów, jest obdarzona świadomością?

Dziewczyna zastanawiała się, kiedy chłopak ostatnio spał. I czy jasno myśli.

- Powiedziałem, że nie jestem tego pewny

- Ale to właśnie masz na myśli.

- To brzmi... absurdalnie, gdy tak o tym mówisz. W górnodtiarańskim ma to zupełnie inny wydźwięk. Nie potrafię wyjaśnić różnicy, ale ona na pewno istnieje.

Może to po prostu różny poziom językowy.

- Różny poziom językowy czy nie, jak miejsce może mieć zdolność postrzegania? Jak może być świadome?

Richard westchnął.

- Nie wiem. Próbowałem to jakoś wyjaśnić. Jak myślisz, dlaczego całą noc nie spałem?

- Przecież to jest niemożliwe. Spojrzały na nią szare, uparte oczy.

- Wieża Czarodzieja to też miejsce, budowla, a przecież wie, gdy ktoś zakłóca jej spokój. Reaguje na to, zatrzymując taką osobę, a nawet w razie potrzeby zabijając ją, byle tylko żaden nie upoważniony człowiek nie wszedł tam, gdzie nie wolno mu wejść.

Kahlan się skrzywiła.

- To osłony, Richardzie. Czarodzieje postawili je, żeby uchronić od kradzieży ważne lub niebezpieczne rzeczy oraz żeby ludzie nie mogli wejść tam, gdzie może się im przytrafić coś złego.

- Ale działają, choć im się tego nie nakazuje, nieprawdaż?

- Tak samo jak sidła. I wcale przez to nie są świadome. Chodzi ci o to, że

Świątyni Wichrów też strzegą osłony. To właśnie twierdzisz: że ma osłony.

- I tak, i nie. To coś więcej niż jedynie osłony. Osłony tylko chronią przed czymś, gdy tymczasem Kolo mówi o tym w taki sposób, jakby Świątynia Wichrów mogła...bo ja wiem, jakby potrafiła myśleć i podejmować decyzje, kiedy zachodzi taka potrzeba.

- Decydować. Na przykład o czym?

- Kiedy napisał, jak wszyscy przerazili się czerwonego księżycy, to jednocześnie wspomniał, że zdradziła ich grupa, która odesłała Świątynię Wichrów.

- Więc... cóż z tego?

- Więc uważam, że to Świątynia Wichrów sprawiła, iż księżyc stał się czerwony.

Kahlan obserwowała jego oczy, poruszona widocznym w nich przeświadczeniem.

- Nawet nie zapytam, jak coś takiego byłoby możliwe, lecz na razie założmy, że masz rację. Dlaczego Świątynia Wichrów miałyby zmieniać barwę księżycy na czerwoną?

Richard spojrzał jej w oczy.

- Żeby nas ostrzec.

- Przed czym?

- Osłony chronią Wieżę Czarodzieja. Prawie nikt nie może przez nie przejść.

Ja mogę, bo mam właściwy rodzaj magii. Mógłby je pokonać każdy człowiek chcący wyrządzić szkodę, gdyby tylko miał wystarczającą magiczną moc i wiedzę. I co by się wtedy stało?

- Nic. Przeszedłby przez osłony.

- Otóż to. Myślę, że Świątynia Wichrów potrafi więcej. Myślę, że wie, czy ktoś przełamał jej ochronę, i wysłała ostrzeżenie.

- Czerwony księżyc - wyszeptała Kahlan.

- To ma sens.

Czule dotknęła ramienia chłopaka.

- Musisz trochę wypocząć, Richardzie. Nie możesz się opierać wyłącznie na pamiętniku Kolo. To tylko jeden, spisany dawno temu pamiętnik.

Wyszarpnął ramię.

- Nie wiem, gdzie jeszcze można to sprawdzić. Shota powiedziała, że

ściga mnie wichur! Nie muszę spać, by mieć koszmary.

W tym momencie Kahlan domyśliła się, że to nie wieść od Shoty go dręczy.

Chodziło o proroctwo wyryte na ścianie lochu.

Pierwszy wiersz proroctwa mówił: Wraz z czerwonym księżycem rozszaleje się ogień .

Ale naprawdę przerażała ją dalsza część:

By zdusić żywioł, musi poszukać remedium w wichrze. Na tej zaś drodze dosięgnie go błyskawica, albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew.

Uświadomiła sobie, że proroctwo przerażało go bardziej, niż się do tego przyznawał.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Czego?! - ryknął Richard.

Cara otworzyła drzwi i wsunęła do środka głowę.

- Generał Kerson chciałby się z tobą widzieć, lordzie Rahlu. Richard przecesał włosy palcami.

- Wpuść go, Caro.

Zapatrzył się w okno i położył dłoń na ramieniu Kahlan.

- Przepraszam - wyszeptał. - Masz rację. Muszę się przespać. Może Nadine dałaby mi jakichś ziół, bym zasnął. Mój umysł nie pozwala mi spać, kiedy próbuję to zrobić.

Już pręcej pozwoliłaby, żeby Shota mu coś podała. Odpowiedziała czułym dotknięciem, nie dowierzając w tym momencie własnemu głosowi.

Do komnaty wmaszerował promiennie uśmiechnięty generał Kerson.

Przyłożył pięść do serca i zatrzymał się.

- Dzień dobry, lordzie Rahlu. Dzięki tobie jest to naprawdę dobry dzień.

Richard łyknął herbaty.

- A czemuż to?

Generał klepnął Richarda w ramię.

- Żołnierze wyzdrowieli. Podziałało to, co zaordynowałeś: czosnek, czarna borówka i herbatka z dębu skalnego. Znów są zdrowi. Mam armię bystrookich, gotowych do wypełnienia rozkazów żołnierzy. Nawet nie potrafię wyrazić, jak lekko zrobiło mi się na sercu, lordzie Rahlu.

- Twój uśmiech to wyraził, generale. I mnie to cieszy.

- Moich żołnierzy bardzo podniosło na duchu to, że ich nowy lord Rahl włada tak potężną magią, która jest zdolna oddalić od nich śmierć. Każdy z nich chciałby ci postawić piwo i wypić za twoje zdrowie i długie życie.

- To nie była magia. To były po prostu... Podziękuj im za zaproszenie, ale ja...

A co z zamieszkami? Zdarzyły się jeszcze jakieś tej nocy?

Generał Kerson chrząknął lekceważąco.

- To już niemal skończone. Księżyc jest taki jak dawniej i ludzie przestali się bać.

- Znakomicie. To dobre wieści, generale. Dziękuję za raport. Generał przesunął palcem po gładko wygolonej szczęce.

- Jest jeszcze coś, lordzie Rahlu. - Rzucił okiem na Kahlan. - Gdybyśmy mogli porozmawiać... - Westchnął. - Ostatniej nocy zamordowano... kobietę.

- Przykro mi. Czy to ktoś, kogo znałeś?

- Nie, lordzie Rahlu. Była... kobietą, która... przyjmowała pieniądze w zamian za...

- Jeśli próbujesz nam powiedzieć, generale, że była dziwką, to wiedz, że słyszałam już przedtem to słowo. Nie zemdleję, jeżeli usłyszę je raz jeszcze.

- Tak, Matko Spowiedniczko. - Znów spojrział na Richarda. - Znaleziono ją martwą tego ranka.

- Co się z nią stało? Jak ją zabito?

Widać było, że generał czuje się jeszcze bardziej nieswojo.

- Mnóstwo lat oglądałem martwych ludzi. Ale nie pamiętam, kiedy ostatnio wymiotowałem, widząc zwłoki.

Richard położył dłoń na jednej ze skórzanych sakiewek przy swoim szerokim pasie.

- Co jej uczyniono?

Generał spojrział na Kahlan, jakby prosił ją o wybaczenie, po czym ujął Richarda za ramię i odciągnął na bok. Dziewczyna nie słyszała, co szeptał, lecz wyraz twarzy Richarda uświadomił jej, że wołałaby tego nie wiedzieć.

Chłopak podszedł do kominka i zapatrzył się w płomienie.

- Przykro mi. Ale masz przecież masz ludzi, którzy mogą się tym zająć.

Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

Generał skrzywił się i chrząknął.

- Bo, lordzie Rahlu, hmm, hmm, to twój brat ją znalazł. Richard odwrócił

się, minę miał chmurną.

- Co Drefan robił w przybytku prostytutek?

- Sam go o to spytałem, lordzie Rahlu. Nie wygląda mi na kogoś, kto miałby kłopoty. - Generał otarł twarz dłonią. - Zapytałem go, a on odparł, że to jego sprawa, a nie moja, że chce bywać w lupanarze.

Kahlan dostrzegła u Richarda starannie powściągnięty gniew. Chłopak gwałtownie porwał z krzesła swoją utkaną ze złotych nici pelerynę.

- Idziemy. Zaprowadź mnie tam. Zaprowadź mnie tam, gdzie chodzi Drefan.

Chcę porozmawiać z tamtejszymi ludźmi.

Pospiesznie wyszedł z komnaty, a Kahlan i generał Kerson ruszyli za nim.

Dziewczyna złapała go za rękaw i spojrzała na żołnierza.

- Mogłbyś nas na chwilę zostawić, generale?

Oficer odszedł w głąb korytarza, Kahlan zaś pociągnęła Richarda w przeciwną stronę, z dala od Cary, Rainy, Ulica i Egana. Uważała, że w tej chwili chłopak nie powinien patrzeć na coś takiego. A poza tym przyszła doń nie bez powodu.

- Posłowie czekają na spotkanie z nami, Richardzie. Czekają na to od wielu dni.

- Drefan jest moim bratem.

- Jest również dorosłym mężczyzną. Richard potarł oczy.

- Muszę się tym zająć i mam na głowie wiele innych spraw. Mogłabyś porozmawiać z posłami? Powiedz im, że odwołano mnie w ważnej sprawie i że równie dobrze mogą tobie wręczyć akt poddania swoich krain, a wtedy zacnie się koordynować sprawy zarządzania.

- Mogłabym to zrobić. Wiem, że niektórzy z nich woleliby porozmawiać ze mną, a nie z tobą, ponieważ nawet kiedy się poddają, przerażasz ich.

- Przecież nic bym im nie zrobił - zaproponował Richard.

- Przedtem śmiertelnie ich wystraszyłeś, Richardzie, domagając się od nich kapitulacji. Obiecałeś, że doszczętnie ich zniszczysz, jeśli ośmielą się przyłączyć do Imperialnego Ładu. Boją się, że i tak możesz to uczynić, jeśli najdzie cię taki kaprys.

Wyprzedza cię reputacja władcy D'Hary, a ty wzmagasz ich strach. Nie powinieneś oczekiwać, że nagle będą się dobrze czuli w twojej obecności,

tylko dlatego że przystali na twoje warunki.

- W takim razie powiedz im, jaki jestem kochany - szepnął jej na ucho.

- Powiem im, że cieszy cię współpraca z nimi dla naszego wspólnego pokoju i pomyślności - odparła z uśmiechem. - Ufają mi i dlatego wysłuchają mnie. Lecz jest tutaj Tristan Bashkar, minister z Jary, i dwoje wysłanników rodziny panującej Grennidonu. To ważne osobistości z krain, które mają liczne zawodowe wojska.

Oczekują spotkania z tobą. To właśnie oni mogą nie być zadowoleni z poddania się mnie. Zechcą omówić warunki.

- Zatem spraw, by byli zadowoleni.

- Tristan Bashkar nie jest ugrzecznonym panem, lecz twardym negocjatorem, podobnie Leonora i Walter Cholbane'owie z Grennidonu.

- To właśnie jeden z powodów, dla których rozwiązałem konfederację Midlandów: zbyt wielu chce się tu spierać i udawać ważniaków. To już skończone.

Warunki kapitulacji nie podlegają dyskusji. - Richard wsunął kciuk za swój szeroki skórzany pas, miał nieugiętą minę. - Warunki są takie same dla wszystkich. Są sprawiedliwe i nie podlegają dyskusji. Ci ludzie staną po naszej stronie lub przeciwko nam.

Kahlan przesunęła palcem po rękawie czarnej koszuli Richarda, po wypukłościach jego mięśni. Był tak zajęty owym pamiętnikiem. Już bardzo długo nie była w jego ramionach.

- Oczekujesz ode mnie rad, Richardzie. Znam te krainy. Uzyskanie ich zgody nie jest jedynym celem. Trzeba będzie poświęcenia. Potrzebujemy ich pełnego współdziałania w tej wojnie. Jesteś lordem Rahlem, władcą D'Hary. Postawiłeś żądania. Powiedziałeś, że poddanie się, choć bezwarunkowe, nie będzie oznaczało braku szacunku dla ich ludów. Znam tych postów. Oczekują, że zobaczą się z tobą, ponieważ w ten sposób okażesz im szacunek.

- Jesteś Matką Spowiedniczką. W tej oraz w innych sprawach stanowimy jedność. Kierowałaś owymi ludami na długo przed tym, zanim się pojawiłem. Twoja pozycja jest równie wysoka jak moja. Od bardzo dawna miałaś ich szacunek.

Przypomnij im o tym. - Richard rzucił okiem na czekającego generała i na pozostałych. Znów patrzył na Kahlan. - A jeśli chodzi o Drefana, to może i

nie jest to sprawa generała Kersona, lecz moja na pewno. Nie zamierzam dać się oszukać drugiemu bratu. Z tego, co mi powiedziałaś i co powiedzieli mi inni, wynika, że kobiety w pałacu już się do niego wdzięczą. Jeśli złapie coś od tych dziwek, a potem przekaże to tutejszym młodym kobietom... to już jest moja sprawa. Nie chcę, żeby mój brat zakazał chorobami niewinne kobiety, które mu ufają, ponieważ jest moim bratem.

Sarah, młoda kobieta, która niosła Richardowi herbatę, była młoda i ufna. I była jedną z tych, które zostały oczarowane przez Drefana.

Kahlan potarła dłonią plecy chłopaka.

- Rozumiem. Jeśli obiecasz, że się trochę prześpisz, to porozmawiam z posłami. A kiedy znajdziesz na to czas, to i ty się z nimi spotkasz. Muszą czekać, nie mają innego wyboru. Jesteś lordem Rahlem.

Richard nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Kocham cię.

- To się ze mną ożeń.

- Wkrótce. Już wkrótce obudzimy sylfę.

- Uważaj na siebie, Richardzie. Marlin powiedział, że Siostra Mroku, nie pamiętam jej imienia, opuściła Aydindril i wróciła do Jaganga, ale mógł przecież kłamać. Może ona wciąż tutaj jest.

- To Siostra Amelia. A wiesz, że ją pamiętam? Gdy po raz pierwszy zjawiłem się w Pałacu Proroków, była jedną z witających nas przyjaciółek Verny. Oprócz niej wyszły Siostry Phoebe i Janet. Pamiętam, jak Amelia płakała z radości, widząc Verne po tych wszystkich latach.

- A teraz jest u Jaganga. Richard potaknął.

- Verna musi mieć złamane serce. Nie dość, że jej przyjaciółka jest w rękach Jaganga, to jeszcze, co gorsza, została Siostrą Mroku. Choć może Verna o tym nie wie.

- Bądź ostrożny. Mimo tego, co powiedział Jagang, może wciąż grasować w Aydindril.

- Wątpię, czy tu jeszcze jest, lecz będę uważać. - Richard odwrócił się i dał znak Carze. Przybiegła. - Chciałbym, żebyś poszła z Kahlan, Caro. Niech Berdine trochę odpocznie. Zabiorę ze sobą Rainę, Ulica i Egana.

- Dobrze, lordzie Rahlu. Będę jej strzec. Richard się uśmiechnął.

- Wiem o tym, Caro, ale to i tak nie uchroni cię od zasłużonej kary.

Zachowała zimną krew.

- Oczywiście, lordzie Rahlu.
- Jaką karą? - zapytała Kahlan, kiedy chłopak nie mógł już ich usłyszeć.
- niesprawiedliwą, Matko Spowiedniczko.
- To źle. A co to za kara?
- Mam karmić ziarnem jego wiewiórki ziemne. Kahlan stłumiła śmiech.
- To wcale nie brzmi groźnie, Caro. Mord-Sith złapała Agiel w dłoń.
- I dlatego jest niesprawiedliwe, Matko Spowiedniczko.

ROZDZIAŁ 26

Kahlan siedziała samotnie na ozdobnym krześle Matki Spowiedniczki, najwyższym na półkolistym podwyższeniu, pod freskiem przedstawiającym Magdę Searus, pierwszą Matkę Spowiedniczkę, i jej czarodzieja, Merritta. Namalowano ich na kopule wieńczącej przeogromną komnatę Naczelnej Rady. Siedziała i obserwowała posłów zbliżających się ku niej po rozległej marmurowej posadzce.

Ze swojego honorowego miejsca na kopule Magda Searus była świadkiem długiej historii konfederacji Midlandów. Widziała również, jak Richard rozwiązał tę konfederację. Kahlan modliła się, by duch pierwszej Matki Spowiedniczki zrozumiał i zaaprobował jego motywy, gdyż miały one źródło w wielkoduszności chłopaka, choć niektórym mogło się wydawać inaczej.

Cara stała za prawym ramieniem Kahlan. Matka Spowiedniczka zebrała pospiesznie kilku administratorów i poleciła im zająć się sprawami urzędowymi, takimi jak sygnowanie dokumentów związanych z kapitulacją oraz zaleceniami dotyczącymi wymiany handlowej. Przywołała również kilku d'harańskich oficerów, by nadzorowali sprawy dotyczące wojska. Wszyscy oni czekali w milczeniu za jej lewym ramieniem.

Usiłowała skupić się na tym, co musiała powiedzieć i zrobić, lecz trudno jej było myśleć o czym innym niż słowa Richarda o Świątyni Wichrów. Uważał, że Świątynia Wichrów miała świadomość. Wichry ścigały Richarda. Ścigała go Świątynia Wichrów. Zagrożenie czyhało w każdym mrocznym zakamarku jej umysłu.

Kroki posłów i tupot butów eskortujących ich żołnierzy odbijały się echem od marmurowej posadzki ogromnego pomieszczenia i w końcu wyrwały Kahlan z zamyślenia. Zbliżająca się grupa przekraczała jaskrawe snopy promieni słonecznych, które wpadały przez okrągłe okna umieszczone u podstawy kopuły. Kahlan - tak jak ją nauczyła matka - przybrała „twarz Spowiedniczki”, twarz, która niczego nie zdradzała i ukrywała to, co się działo w jej wnętrzu.

Łukowate przejścia otaczające komnatę prowadziły na schody, które wiodły do łóż zabezpieczonych mahoniowymi balustradami. Tego dnia

jednak w łozach nie było żadnych widzów.

Grupa posłów, oskrzydłona d'harańskimi żołnierzami, zatrzymała się przed wspaniałym rzeźbionym stołem. Na przedzie stali Tristan Bashkar z Jary oraz Leonora i Walter Cholbane'owie z Grennidonu. Za nimi czekali ambasadorzy: Seldon z Mardovii, Wexler z kotliny Pendisan i Brumford z Togressy.

Kahlan wiedziała, że Jara i Grennidon, bogate krainy mające liczne zawodowe armie, najprawdopodobniej będą się najbardziej upierać przy zachowaniu swoich przywilejów. W zamian mogły ofiarować poddanie się. Zdawała sobie sprawę, że najpierw musi zachwiać ich pewność siebie. Przez większość życia dziewczyna miała władzę i moc wydawania poleceń - najpierw jako zwykła Spowiedniczka, potem jako Matka Spowiedniczka - więc dobrze się na tym znała. Znała tych ludzi, ich sposób rozumowania. Dla nich poddanie się było do zaakceptowania, o ile będą nadal mogli mieć pierwszeństwo przed niektórymi innymi krainami i dopóki będą pewni niekwestionowanej samodzielności we własnych sprawach.

Obecnie taka postawa była nie do przyjęcia. Nie można było jej tolerować, jeśli chcieli mieć szansę na odniesienie zwycięstwa w wojnie z Imperialnym Ładem.

Kahlan musiała podtrzymać decyzję Richarda i podyktowane przezeń warunki poddania. Zależała od tego przyszłość każdej krainy Midlandów.

Jeżeli nowa konfederacja miała pokonać Imperialny Ład, to nie mogły już dłużej istnieć suwerenne krainy, które kierowałyby się swoimi interesami. Teraz musiały się zjednoczyć, poddać jednej władzy i współdziałać niczym jeden lud, a nie koalicja, która w krytycznej chwili może się rozpaść, otwierając Ładowi drogę do odebrania wszystkim wolności.

- Lord Rahl zajmuje się sprawami naszego wspólnego bezpieczeństwa.

Przybyłam, by w jego zastępstwie wysłuchać waszej decyzji. Wasze słowa zostaną mu dokładnie przekazane. Jako Matka Spowiedniczka, królowa Galei i narzeczona władcy D'Hary mam prawo przemawiać w imieniu imperium D'Hary. Moja decyzja jest równie ostateczna jak decyzja lorda Rahla.

Słowa popłynęły spontanicznie, ale oddały istotę rzeczy - to było imperium D'Hary. Richard był najwyższym władcą, głównym wodzem.

Posłowie skłonili się i wymamrotali, że rozumieją.

Kahlan odwróciła przyjęty porządek załatwiania podobnych spraw, chcąc dać do zrozumienia owym ludziom władzy, że obyczaje panujące w tych komnatach nie będą już dłużej takie jak w przeszłości.

- Zbliź się, proszę, ambasadorze Brumford.

Tristan Bashkar i Leonora Cholbane natychmiast zaczęli protestować.

Dowodzili, że to niesłychane, by pomniejsza kraina wypowiadała się pierwsza.

Uciszył ich gniewny wzrok Kahlan.

- Zabierzecie głos wówczas, gdy poproszę, byście przemówili w imieniu swoich krain. Nie wcześniej. Krainy, które jeszcze się do nas nie przyłączyły i nie zrezygnowały ze swojej suwerenności, nie mają w moich oczach żadnego znaczenia.

Nie oczekujcie, że nadal, jak to było w zwyczaju w przeszłości, w konfederacji Midlandów, będzie wam wybaczana wasza arogancja. Konfederacja Midlandów już nie istnieje. Przebywacie na terytorium imperium D'Hary.

W komnacie Naczelnej Rady zapanowała lodowata cisza. Kahlan była zdruzgotana, gdy po raz pierwszy usłyszała, że Richard - w tej samej komnacie - wygłosił niemal te same słowa do przedstawicieli krain Midlandów. Teraz zrozumiała, że nie ma innej drogi.

Tristan Bashkar i Cholbane'owie, do których się zwróciła, stali z zaczerwienionymi twarzami, lecz milczeli. Kahlan przesunęła wzrok na ambasadora Brumforda, a ten przypomniał sobie jej polecenie i pospiesznie podszedł.

Przyjaźnie usposobiony ambasador Brumford przytrzymał obszerne fioletowe szaty i przyklęknął na kolano, pochylając się w głębokim ukłonie.

- Matko Spowiedniczko, Togressa jest gotowa przyłączyć się do was, do wszystkich wolnych ludów i do przymierza przeciwko tyranii - rzekł, kiedy już się wyprostował.

- Dziękuję, ambasadorze. Witamy Togressę jako pełnoprawnego członka imperium D'Hary. Jej mieszkańcy będą odtąd równi nam wszystkim. Wiemy, że twój lud wypełni swój obowiązek.

- Z pewnością. Dziękuję, Matko Spowiedniczko. Przekaż, proszę, lordowi Rahlowi, że z radością stajemy się częścią D'Hary.

Kahlan uśmiechnęła się doń szczerze.

- Lord Rahl i ja podzielamy waszą radość, ambasadorze Brumford.

Mężczyzna usunął się na bok, a Kahlan przywołała niskiego, krzepkiego, płomiennookiego ambasadora Wexlera z kotliny Pendisan.

- Matko Spowiedniczko - powiedział, wstając i obciągając skórzaną bluzę - kotlina Pendisan jest niewielką krainą i ma mało zbrojnych, lecz jesteśmy dzielnymi wojownikami, o czym mogą zaświadczyć ci, którzy natknęli się na nasze miecze.

Matka Spowiedniczka zawsze z niezmienną odwagą walczyła o nas, my zaś zawsze staliśmy po stronie Midlandów i Matki Spowiedniczki, toteż przywiązujemy do twoich słów wielką wagę. Z największym wobec ciebie szacunkiem zastosujemy się do twojej rady i przyłączymy się do D'Hary. Nasze miecze należą do ciebie i do lorda Rahla. Lud kotliny Pendisan, i to zarówno ci jedynie z ciała i kości, jak i ci, którzy mają magiczne talenty, chce kroczyć w pierwszych szeregach podczas walki z hordą spoza Dżicy, żeby wróg poznał cierpki smak naszej srogości. Od dziś Jeśli taka twoja wola, będziemy znani jako D'Harańczycy z kotliny Pendisan.

Kahlan, poruszona tymi słowami, skłoniła głowę przed ambasadorem Wexlerem. Lud z kotliny Pendisan miał zwyczaj ubierać swoje szczerze myśli w pełne patosu słowa. Pochodzili z niewielkiej krainy, lecz nie można ich było lekceważyć - dumne słowa ambasadora o ich srogości i waleczności nie były czczymi przechwałkami. Gdybyż tylko ich liczebność mogła być równie wielka jak hart ich ducha.

- Nie mogę wam obiecać pierwszych szeregów, ambasadorze, będziemy jednak zaszczyceni, gdy twój lud stanie po naszej stronie w owej walce. Będziemy cenić waszych żołnierzy bez względu na to, w którym szeregu staną do bitwy.

Kahlan zwróciła „twarz Spowiedniczki” ku ambasadorowi Mardovii.

Mieszkańcy Mardovii byli równie dumni i nie mniej waleczni. Musieli tacy być, by utrzymać się przy życiu w małej, niegościnniej krainie pośród Dżicy.

- Zbliź się, proszę, ambasadorze Seldon i ogłoś decyzję Mardovii.

Ambasador Seldon płynnie wysunął się do przodu, ze znużeniem spoglądając na pozostałych. Zgiął się w pasie, a siwe włosy opadły mu na złote galony epoletów czerwonego surduta.

- Matko Spowiedniczko, Zgromadzenie Siedmiu z Mardovii, które zebrało się w naszym macierzystym mieście Renwold, nałożyło na mnie obowiązek odbycia długiej podróży do Aydindril i przekazania decyzji. Zgromadzenie Siedmiu nie ma ani zamiaru, ani ochoty zrzec się władzy nad naszym umiłowanym ludem na rzecz cudzoziemców, czy będą oni z D'Hary, czy z Imperialnego Ładu. Wasza wojna z Imperialnym Ładem nie jest naszą wojną. Zgromadzenie Siedmiu orzekło, iż Mardovia pozostanie suwerenna i neutralna.

W nagłej ciszy rozległ się kaszel stojącego za Kahlan żołnierza. Jego odgłos poniósł się echem wokół wyłożonej marmurem komnaty.

- Ambasadorze Seldon, Mardovia leży na terenach wschodniej Dżicy, niedaleko od Starego Świata. Będziecie wystawieni na ich atak.

- Matko Spowiedniczko, mury okalające nasze macierzyste miasto Renwold wytrzymały próbę czasu. Jak sama powiedziałaś, otaczają nas ludy Dżicy. W przeszłości owe ludy próbowały już nas wytępić. Nikomu nie udało się nawet wyszczerbić murów, a tym bardziej pokonać naszych dzielnych obrońców. Za to rozmaite ludy Dżicy prowadzą teraz z nami handel, Renwold zaś jest handlowym ośrodkiem wschodniej Dżicy w Midlandach i szanują go ci wszyscy, którzy niegdyś chcieli nas podbić. Kahlan nachyliła się ku niemu.

- Ambasadorze, Imperialny Ład to nie plemię z Dżicy. Zmiażdżą was. Czy Zgromadzenie Siedmiu nie ma na tyle rozsądku, by zdać sobie z tego sprawę?

Ambasador Seldon uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Rozumiem twój niepokój, Matko Spowiedniczko, lecz jak już mówiłem, mury Renwoldu obroniły nas w niejednej potrzebie. Bądź pewna, że Renwold nie wpadnie w ręce Imperialnego Ładu. - Mina mu zhardziała. - Ani też nie przyłączy się do nowego sojuszu, który tworzycie z D'Hara. W Dżicy liczebność wojsk niewiele znaczy wobec kamiennych murów. Niedoszli zdobywcy szybko nużą się wyłamywaniem zębów na tak małym kąsku. Nasze niewielkie rozmiary, nasze położenie i nasze mury sprawiają, że szkoda na nas zachodu. Gdybyśmy się do was przyłączyli, narazilibyśmy się na atak, ponieważ stalibyśmy się częścią sił oporu.

Nasza neutralność nie wynika z nieprzyjaznych intencji. Chętnie podejmiemy wymianę handlową zarówno z wami, jak i z Imperialnym

Ładem. Nikomu źle nie życzymy, ale na pewno będziemy się bronić.

- Pozostawiłeś żonę i dzieci w Renwoldzie, ambasadorze Seldon. Nie pojmujesz, że twojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo?

- Moja ukochana żona i dzieci są bezpieczne za murami naszego macierzystego miasta, Matko Spowiedniczko. Nie obawiam się o nich.

- A czy wasze mury oprą się magii? Ład korzysta z usług ludzi obdarzonych magicznymi zdolnościami! Czy tak was upoiła przeszłość, że nie potraficie dostrzec zagrożenia w przyszłości?

Twarz ambasadora poczerwieniała.

- Decyzja Zgromadzenia Siedmiu jest nieodwołalna. Nie obawiamy się o nasze bezpieczeństwo. I my mamy ludzi z magicznym darem, by bronili nas przeciwko magii. Neutralność nie jest dla nikogo zagrożeniem. Może to wy powinniście się modlić do dobrych duchów o litość, skoro mówicie o wojnie. Przemoc zachęca do przemocy.

Kahlan uderzała paznokciami o blat stołu, wszyscy czekali na jej słowa.

Wiedziała, że to nic nie da. Nawet gdyby zdołała przekonać tego człowieka, Zgromadzenie Siedmiu podjęło już decyzję i on tego nie zmieni, choćby i chciał.

- Opuść Aydindril przez końcem dnia, ambasadorze Seldon. Wróć do Zgromadzenia Siedmiu w Renwoldzie i powiedz jego członkom, że D'Hara nie uznaje neutralności. To walka o nasz świat: albo rozkwitnie w Świetle, albo zwiędnie w mrokach tyranii. Lord Rahl postanowił, że nie będzie takich, którzy się nie angażują. Ja ogłosiłam, że nie będzie litości dla Imperialnego Ładu. W tej sprawie jesteśmy zgodni. Albo jesteście z nami, albo przeciwko nam. Imperialny Ład też tak uważa. Przekaż Zgromadzeniu Siedmiu, że Mardovia jest teraz przeciwko nam. Jedno z nas: D'Hara lub Ład, podbije twoją krainę. Zaleć członkom zgromadzenia, by modlili się do dobrych duchów i prosili, abyśmy to my, nie zaś Ład was podbili i zajęli Renwold. Nałożymy ciężkie kary za wasz opór, jednak wasz lud zachowa życie.

Jeżeli to Imperialny Ład ruszy na was pierwszy, wygubi waszych obrońców, a ludzi zamieni w niewolników. Mardovia stanie się cieniem z przeszłości. Pobłażliwy uśmiech ambasadora stał się jeszcze szerszy.

- Nie obawiaj się, Matko Spowiedniczko. Renwold oprze się każdemu przeciwnikowi, nawet Ładowi.

Kahlan obdarzyła go spojrzeniem pełnym tłumionego gniewu.

- Chodziłam wśród trupów w obrębie murów Ebinissii. Zobaczyłam skutki rzezi dokonanej przez Imperialny Ład. Widziałam, co najpierw uczynili żywym. Będę się modlić za biednych ludzi, którzy doświadczą cierpień przez szaleńcze złudzenia Zgromadzenia Siedmiu.

Kahlan dała gniewnie znak gwardzistom, żeby wyprowadzili Seldona z komnaty Naczelnej Rady. Wiedziała, co się stanie z obywatelami Mardovii, jeżeli to Ład pierwszy zaatakuje. Lecz zdawała sobie również sprawę, że Richard nie poświęci życia sprzymierzeńców tylko po to, by zająć Renwold i bronić go. Kraina leżała zbyt daleko. I ona, i wszyscy generałowie odradzaliby to.

Mardovia była stracona. Jej neutralność zwabi Imperialny Ład tak, jak woń krwi przywabia wilki.

Kahlan wchodziła przez bramy w masywnych murach Renwoldu. Te mury były imponujące. Jednakże nie były nie do zdobycia. Ład miał czarodziejów takich jak Marlin. Mury nie oprą się ogniewi czarodzieja, mimo że miasta bronili również ci, którzy mieli magiczne zdolności.

Kahlan przywołała parę wysłanników rodziny panującej Grennidonu, starając się nie myśleć o losie czekającym Mardovie.

- Co postanowił Grennidon? - warknęła.

Walter Cholbane odchrząknął. Przemówiła jego siostra:

- Grennidon, kraina o dużym znaczeniu, kraina rozległych pól, które rodzą...

- Pytałam, co postanowił Grennidon - przerwała jej Kahlan. Leonora zatarła dłonie, oceniając zdecydowanie widoczne w oczach Matki Spowiedniczki.

- Dynastia królewska zdecydowała poddać swoją krainę, Matko Spowiedniczko.

- Dziękuję, Leonoro. Raduje nas to ze względu na was i na wasz lud. Zadbaj, proszę, żeby obecni tu moi oficerowie otrzymali wszelkie niezbędne im informacje umożliwiające włączenie waszej armii pod nasze główne dowództwo.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko - zająknęła się Leonora. - Matko Spowiedniczko, czy nasze wojska pójdą przelewać krew pod murami Renwoldu?

Grennidon znajdował się na północ od Mardovii, stamtąd było

najporęczniejszą atakować, lecz Kahlan wiedziała, że Grennidonowi nie uśmiechałoby się atakowanie partnera handlowego. Co więcej, niektórzy krewni członków Zgromadzenia Siedmiu wżenili się w królewską dynastię Cholbane'ów.

- Nie. Renwold to miasto żywych trupów. Oczyszczą je sępy. Jednak handel z Mardovia jest zakazany. Handlujemy wyłącznie z tymi, którzy się do nas przyłączyli.

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- Matko Spowiedniczko - wtrącił się Walter, brat Leonory - chcielibyśmy przedyskutować z lordem Rahlem niektóre z warunków. Mamy do zaoferowania wartościowe propozycje, pragnęlibyśmy również zwrócić uwagę lorda Rahla na ważne dla nas sprawy.

- Poddanie się jest bezwarunkowe. Nie ma o czym dyskutować. Lord Rahl polecił, bym przypomniawszy wam, że nie będzie żadnych negocjacji. Albo jesteście z nami, albo przeciwko nam. Czy chcecie wycofać propozycję poddania się, zanim podpiszecie dokumenty, i złączyć wasz los z Mardovia?

Walter zacisnął wargi i odetchnął głęboko.

- Nie, Matko Spowiedniczko.

- Dziękuję. Kiedy lord Rahl znajdzie czas, a mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce, z przyjemnością wysłucha tego, co macie do powiedzenia jako wartościowi członkowie imperium D'Hary. Pamiętajcie jedynie, że stanowicie teraz część D'Hary, a on jest jej władcą, panem tego imperium.

Kahlan potraktowała ich z mniejszym respektem niż przedstawiciele dwóch mniejszych krain, którzy zaoferowali poddanie się. Gdyby tego nie uczyniła, mogliby zhardzieć i spowodować kłopoty. Tych dwoje zawsze prosiło o czerwone komnaty.

Walter i Leonora wyraźnie się rozluźnili, gdy Kahlan uzyskała już od nich zgodę. Cholbane'owie bywali do końca uparci i nieustępliwi, kiedy jednak już raz zawarli ugodę i dali słowo, nigdy nie oglądali się za siebie i nie zastanawiali, co mogłoby się zdarzyć w innym wypadku. Ta cecha sprawiała, że układy z nimi były do zniesienia.

- Rozumiemy, Matko Spowiedniczko - powiedział Walter.

- Tak - dorzuciła jego siostra. - I będziemy z niecierpliwością oczekiwać dnia, w którym Imperialny Ład przestanie już zagrażać naszym ludom.

- Dziękuję wam obojgu. Wiem, że to musi być dla was przykre, wiedzcie

jednak, iż radujemy się wielce, że wy i wasz lud znaleźliście się pośród nas.

Walter i Leonora odeszli, żeby podpisać dokumenty i porozmawiać z oficerami, a Kahlan spojrzała na Tristana Bashkara z Jary.

- Co zdecydowała Jara, ministrze Bashkar?

Tristan Bashkar należał do królewskiego rodu Jary. W krainie tej urząd ministra należał do najwyższych stanowisk, które powierzano ludziom godnym zaufania. Spośród tu obecnych jedynie Bashkar mógł, nie wracając do domu na konsultacje, zmienić postanowienia swojej krainy. Gdyby uznał, że ma po temu wystarczające powody, mógłby zmienić zalecenia rodziny królewskiej, a tym samym stanowisko Jary.

Był tuż po czterdziestce, wyglądał znakomicie. Jarańczycy wykorzystywali swoją powierzchowność, by odwrócić uwagę ludzi od bystrych umysłów. Kiedy Bashkar rozbroił już rozmówców swoim uroczym uśmiechem, lśnącymi piwnymi oczami i gładkimi słówkami, naciągał ich na ustępstwa, nim zdążyli się zorientować, że się na nie godzą.

Minister odrzucił z czoła pukiel gęstych ciemnych włosów - było to przyzwyczajenie albo sposób, by zwrócić uwagę na oczy, które często czarowały ludzi. Przeprasząco rozłożył ramiona.

- Obawiam się, Matko Spowiedniczko, że to nie takie łatwe jak proste „tak”

lub „nie”, choć chciałbym cię zapewnić, iż jesteśmy w zgodzie z wielkim imperium D'Hary oraz podziwiamy mądrość lorda Rahla i, oczywiście, twoją również. Zawsze przedkładaliśmy rady Matki Spowiedniczki ponad wszelkie inne.

Kahlan westchnęła.

- Tristanie, nie jestem w nastroju, by znosić twoje zwykłe gierki. Ty i ja toczyliśmy w tych komnatach spory częściej, niż mogę spamiętać. Nie prowokuj mnie dzisiaj. Nie pozwolę na to.

Należący do rodziny królewskiej Bashkar doskonale znał wojenne rzemiosło i w przeszłości wyróżniał się w bitwach. Wysoki, o szerokich ramionach, był bardzo przystojny. Beztroski, figlarny uśmiech maskował każdą pogroźkę, o ile taka była - a czasami się zdarzała. Kahlan nigdy, by posłużyć się tym określeniem, nie odwracała się plecami do Tristana Bashkara. Niedbale rozpiął ciemnobłękitny surdut i wsparł dłoń na biodrze. Ukazał przy tym ozdobny nóż tkwiący w zawieszanej u pasa pochwie.

Kahlan słyszała pogłoski, że w walce Tristan Bashkar wolał się posługiwać nożem niż mieczem. Szeptano również, że czerpał sadystyczną przyjemność z siekania przeciwnika na kawałki.

- Matko Spowiedniczko, przyznaję, że w przeszłości niechętnie ujawniałem nasze prawdziwe stanowisko, by jak najlepiej bronić nasz lud przed chciwością innych krain, tym razem jednak tak nie jest. Patrzymy na całą sytuację...

- Nie ciekawi mnie to. Chcę po prostu wiedzieć, czy jesteście po naszej stronie, czy przeciwko nam. Jeśli opowiecie się przeciwko nam, to daję ci moje słowo, Tristanie, że rankiem nasze wojska wyruszą na królewski pałac w Sandilarze i powrócą albo z bezwarunkową kapitulacją, albo z głowami rodziny królewskiej. W Aydindril jest generał Baldwin z licznym keltońskim wojskiem. Wyślę jego, bo Keltończycy nigdy nie zdradzają swojej królowej i nie ustają w walce, dopóki jej nie zadowolą. Teraz ja jestem królową Keltonu. Chcesz walki z generałem Baldwinem?

- Oczywiście, że nie, Matko Spowiedniczko. Nie chcemy walki, lecz gdybyś tylko zechciała mnie wysłuchać...

Kahlan uderzyła dłonią w stół, uciszając Tristana.

- Kiedy Aydindril było w rękach Imperialnego Ładu, zanim jeszcze Richard je oswobodził, Jara zasiadała w Naczelnej Radzie, była sprzymierzona z Ładem.

- Podobnie jak D'Hara w owym czasie - przypomniawszy jej uprzejmie.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Przeprowadzono mnie przed oblicza członków rady i oskarżono o wszystkie zbrodnie, jakie popełnił Ład. Czarodziej Ranson z Imperialnego Ładu domagał się dla mnie kary śmierci. Doradca z Jary siedział za tym stołem i głosował za ścięciem mnie.

- Matko Spowiedniczko... Wskazała palcem w prawo.

- Siedział dokładnie w tym miejscu i opowiedział się za skazaniem mnie na śmierć. - Spojrzała w piwne oczy Tristana. - Jeżeli się dokładnie przyjrzyysz, to wypatrzyysz tam plamę. Wciąż jeszcze ją widać. Po oswobodzeniu Aydindril Richard zabił owych zdradzieckich doradców. Ta plama jest pamiątką po doradcy z Jary.

Słyszałam, że Richard niemal przeciął go na pół, tak rozgniewała go zdrada, którą popełniono wobec mnie i ludów Midlandów.

Tristan słuchał uprzejmie, nie zdradzając swoich uczuć.

- Doradca z Jary nie wypowiedział się w imieniu rodziny królewskiej, Matko Spowiedniczko. Był marionetką w rękach Imperialnego Ładu.

- Więc się do nas przyłączcie.

- Chcemy tego i taki mieliśmy zamiar. Prawdę mówiąc, upoważniono mnie do przekazania takiej decyzji.

- Czegokolwiek byś chciał, Tristanie, i tak tego nie dostaniesz. Wszystkim zaproponowano to samo i dla nikogo nie będzie specjalnych przywilejów.

- Czy to, że mnie wysłuchasz, można byłoby uznać za specjalny przywilej, Matko Spowiedniczko?

Kahlan westchnęła.

- Mów więc, ale krótko, Tristanie, i pamiętaj, że twój uśmiech nie robi na mnie wrażenia.

I tak się uśmiechnął.

- Jako członek rodziny królewskiej mam i prawo, i pełnomocnictwa, by poddać Jare i przyłączyć się do was. I tego właśnie pragniemy.

- Więc uczyn to.

- Czerwony księżyc wpłynął na zmianę tych planów. Kahlan wyprostowała się na Głównym Krześle.

- A co ma jedno z drugim wspólnego?

- Matko Spowiedniczko, Javas Kedar, nasz doradca czytający z gwiazd, ma wielki wpływ na rodzinę królewską. Sprawdził, co gwiazdy sądzą o naszym poddaniu się, i oznajmił, że są temu przychylnie. Zanim tu wyruszyłem, Javas Kedar powiedział mi, że gdyby zmieniły się okoliczności, gwiazdy dadzą znak, i nakazał, bym wypatrywał owego znaku. Czerwony księżyc sprawił, że zmieniłem plany.

- Księżyc to nie gwiazdy.

- Księżyc też jest na niebie, Matko Spowiedniczko. Javas Kedar wyjaśnia także znaczenia symboli księżycowych.

Kahlan westchnęła, ściskając kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa.

- Czyżbyś chciał, Tristanie, sprowadzić nieszczęście na twój lud, kierując się takimi przesądami?

- Nie, Matko Spowiedniczko. Lecz honor każe mi uszanować wierzenia

mego ludu. Lord Rahl mówił, że kapitulacja nie będzie oznaczała konieczności wyrzeczenia się naszych zwyczajów i wierzeń.

- Masz irytujący zwyczaj pomijania rzeczy, które chcesz zlekceważyć, Tristanie. Richard powiedział, że kraina nie będzie musiała rezygnować ze swoich obyczajów dopóty, dopóki nie będą one powodem niczyjej krzywdy i nie będą łamać żadnych wspólnych dla wszystkich praw. Przekraczasz niebezpieczną granicę.

- Nie mam najmniejszego zamiaru wypaczać jego słów, Matko Spowiedniczko, ani przekraczać jakiegokolwiek granicy. Potrzeba mi jedynie trochę czasu.

- Czasu? Na co?

- Czasu, Matko Spowiedniczko, bym mógł się upewnić, iż czerwony księżyc nie jest znakiem, który przestrzega, że mamy powody obawiać się połączenia z D'Hara. Teraz albo powinienem wrócić do Jary i naradzić się z Javaszem Kedarem, albo też - jeśli byś tak wolała - odczekać tutaj pewien czas, żeby upewnić się, iż czerwony księżyc nie jest sygnałem świadczącym o niebezpieczeństwie.

Kahlan wiedziała, że Jarańczycy, a szczególnie rodzina królewska, żarliwie wierzyli w rady, których udzielano na podstawie obserwacji gwiazd. Choć Tristan ochoczo polował na spódniczki, uciekłby od najpiękniejszej ofiarowującej mu swoje wdzięki kobiety, gdyby wierzył, że gwiazdy są temu przeciwne.

Powrót do Jary, narada z czytającym z gwiazd doradcą i powrót do Aydindril zajęłyby co najmniej miesiąc.

- Jak długo musiałbyś czekać w Aydindril, żeby się uspokoić i z czystym sumieniem poddać swoją krainę?

Bashkar namyślał się przez chwilę.

- Jeśli po tak znamienym znaku Aydindril pozostanie bezpieczne przez kilka tygodni, będę wiedział, że nie była to zapowiedź czegoś złego.

Kahlan zabębniła palcami o blat stołu.

- Masz dwa tygodnie, Tristanie. Ani dnia dłużej.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko. Modłę się, byśmy po dwóch tygodniach mogli zawrzeć układ z D'Hara. - Skłonił się. - Dobrego dnia, Matko Spowiedniczko.

Ufam, że gwiazdy nadal będą dla nas pomyślne. - Cofnął się, lecz znów

odwrócił się ku Kahlan. - Wiesz może, gdzie mógłbym się przez ten czas zatrzymać? Nasz pałac spłonął podczas waszej bitwy z Bractwem Czystej Krwi. Aydindril poniosło też i inne szkody, więc mam teraz kłopoty ze znalezieniem mieszkania.

Kahlan wiedziała, o co mu chodzi: chciał być w pobliżu, żeby móc się przekonać, czy gwiazdy wypowiadają się przeciwko władzy D'Hary. Ten człowiek miał o sobie zbyt wielkie mniemanie, uważał się za bystrzejszego od innych.

- O tak, znam takie miejsce. - Kahlan się uśmiechnęła. - Zostaniesz tutaj, gdzie będziemy cię mogli mieć na oku, dopóki nie upłyną owe dwa tygodnie.

Tristan zapiął swój ciemnobłękitny surdut.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko, za gościnność. Wysoko ją sobie cenię.

- Aha, Tristanie. Skoro masz spędzić ten czas pod moim dachem, jest jeszcze coś. Jeżeli dotkniesz palcem lub czymś innym którejkolwiek z mieszkających i pracujących tu kobiet, to dopilnuję, by ci owo „coś innego” obcięto. Roześmiała się dobrodusznie.

- Nigdy nie sądziłem, Matko Spowiedniczko, że wierzysz w rozsiewane o mnie plotki. Najczęściej niestety muszę się zadowalać płatnymi wdziękami, lecz pochlebia mi, że masz mnie za tak biegłego w sztuce uwodzenia młodych dam.

Gdybym złamał twoje prawa, chciałbym zostać osądzony i poddany karze, którą dla mnie wybrałaś.

Proces.

Richard mówił, że ci, którzy odesłali Świątynię Wichrów, mieli zostać osądzeni. W Wieży Czarodzieja przechowywano zapisy procesów. Ona sama nigdy tych ksiąg nie czytała, lecz opowiadano jej o nich. Może ze sprawozdania z procesu uda im się dowiedzieć, co się stało ze Świątynią Wichrów.

Kahlan patrzyła, jak Tristan Bashkar odchodzi za dwoma gwardzistami, i myślała o Richardzie. Zastanawiała się, czego się dowiedział. Dumiała, czy aby nie straci drugiego brata. Znała większość kobiet pracujących w Pałacu Spowiedniczek.

Pałacowe kobiety szanowały Richarda, uważając go za honorowego człowieka. Nie chciałyby, żeby okazało się, iż padły ofiarą kogoś, kto zdobyłby je, wykorzystując ich zaufanie do chłopaka.

Poczuła współczucie dla ukochanego. Wiedziała, iż miał nadzieję, że Drefan okaże się bratem, z którego można być dumnym. Pragnęła, by arcykapłan nie stał się przyczyną kłopotów. Pamiętała jego dłoń na ciele Cary. Spojrzała na Mord-Sith.

- Trzech nowych sprzymierzeńców, jeden stracony i jeden, który jeszcze musi się zdecydować.

Cara uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Siostra w Agielu powinna umieć porazić strachem ludzkie serca. Słusznie nosisz Agiel, Matko Spowiedniczko. Zdawało mi się, że słyszę, jak grzechoczą uderzającymi o siebie kolanami, idąc tu na trzęsących się nogach.

ROZDZIAŁ 27

żołnierze maszerowali wznoszącą się stromo ulicą przy wtórze szczęku oręża i chrzęstu pancerzy. Wąskie domy, przeważnie trzy - i czteropiętrowe, stały jeden przy drugim, a ich wyższe piętra wystawały przed niższe, tak że szczytowe kondygnacje niemal zasłaniały niebo. To była ponura część miasta.

W całym Aydindril żołnierze wnosili dziękczynne okrzyki na cześć mijającego ich Richarda, życzyli mu zdrowia i długiego życia. Niektórzy chcieli postawić chłopakowi coś do picia. Inni podbiegali, żeby mu się pokłonić i wyrecytować słowa hołdu: „Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Oslania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie”.

Okrzyknęli go wielkim czarodziejem, bo ochronił ich i uleczył. Richard czuł się nieswojo, słysząc te okrzyki. W końcu tylko zalecił im powszechnie znane leki na dolegliwości jelitowe. Nie wykorzystał żadnej magii.

Usiłował wyjaśnić żołnierzom, że nie była to żadna magia i że wyleczyło ich to, co jedli i pili, lecz nie chcieli go słuchać. Oczekiwali, że posłużą się magią i dlatego uznali, iż zadośćuczyni! ich prośbom. W końcu przestał cokolwiek wyjaśniać i tylko ruchem dłoni dziękował za pochwały. Gdyby poszli do zielarza, też by wyzdrowieli, narzekając przy tym na cenę.

Chłopak musiał jednak przyznać, iż doskonale zrobiła mu świadomość, że tym razem pomógł ludziom, zamiast ich ranić. Zorientował się, co musiała czuć Nadine, kurując ludzi swoimi ziołami.

Ostrzegano go, że czarodziej odczuwa potrzebę zachowania równowagi.

Równowaga istniała we wszystkim, a zwłaszcza w magii. Richard nie mógł już jeść mięsa, gdyż mdliło go po nim, i podejrzewał, że w ten sposób dar szukał kompensacji za zabójstwa, które musiał czasem popełnić. Podobała mu się myśl, że pomaganie ludziom było częścią zapłaty za bycie czarodziejem wojny.

Posępni, spieszący za swoimi sprawami ludzie usuwali się na bok ciasnej uliczki, żeby precyzyjnie się obok żołnierzy. Deptali brudny śnieg zalegający wciąż w osłoniętych miejscach. Grupki ponuro wyglądających starszych

chłopców oraz młodych mężczyzn obserwowały ich czujnie i znikwały za rogiem, kiedy Richard wraz z eskortą zbliżali się do nich.

Chłopak machinalnie dotknął zawieszanej u pasa, ozdobionej złotem skórzanej sakiewki. Zawierała biały piasek czarnoksiężnika, który był w niej już, gdy Richard znalazł ów pas w wieży. Piasek czarnoksiężnika powstał z kości czarodziejów, którzy oddali życie przy tworzeniu Baszt Zatracenia, oddzielających Stary Świat od Nowego. Był to rodzaj czystej, wykryształizowanej magii dającej moc wyrysowanym na nim urokom - zarówno dobrym, jak i złym. Odpowiednie zaklęcie wykreślone w białym piasku czarnoksiężnika mogło przywołać Opiekuna.

Richard dotknął też drugiej ozdobionej złotem sakiewki. Ukryty w niej bezpiecznie mały skórzany woreczek zawierał czarny piasek czarnoksiężnika.

Chłopak zebrał go w jednej z baszt. Od kiedy zbudowano Baszty Zatracenia, żaden czarodziej nie zdołał zgromadzić ani odrobiny czarnego piasku, ponieważ z baszty mogła go wziąć jedynie osoba obdarzona magią subtraktywną. Czarny piasek czarnoksiężnika był przeciwieństwem białego i oba się neutralizowały. Jedno ziarenko czarnego piasku mogło skazić zaklęcie wyrysowane w białym, nawet to, które miało przywołać Opiekuna. Richard posłużył się nim, by pokonać ducha Rahla Posępnego i odesłać go w zaświaty. Ksieni Annalina powiedziała chłopakowi, żeby strzegł czarnego piasku jak własnego życia, gdyż jedna jego łyżeczka warta jest kilka królestw. A Richard miał piasku za kilka razy kilka królestw. Dbał, by mały skórzany woreczek zawsze znajdował się w zasięgu jego wzroku i ręki.

Dzieciaki - otulone w poszarpane łachmany, mające chronić je przed chłodem wiosennego dnia - bawiły się w „łap lisa” w ciasno zabudowanej uliczce, biegając od drzwi do drzwi i chichocząc radośnie na myśl, że odnajdą lisa. Zwłaszcza jednak radował je zbliżający się imponujący orszak.

Lecz nawet widok szczęśliwych dzieciaków nie wywołał uśmiechu na twarzy Richarda.

- To tutaj, lordzie Rahlu - powiedział generał Kerson.

Generał wskazał kciukiem drzwi po prawej, wpuszczone na kilka stóp w oszalowanie fasady domu. U ich dołu, tam gdzie były najbardziej zniszczone, łuszczyła się wyblakła czerwona farba. Niewielki szylt głosił: Pensjonat u Lathertona.

Wewnątrz, za rozchwanianym stołem, na którym stała butelka i leżały wyschnięte biszkopty, siedział wielki, krępy mężczyzna. Nie podniósł wzroku na przybyłych. Gapił się przed siebie zaczerwienionymi oczami. Włosy miał rozczochrane, ubranie wymięte. Wyglądał na oszołomionego. Za nim znajdowały się schody, a obok nich wąski, biegnący w mrok korytarz.

- Zamknięte - mruknął.

- To ty jesteś Silas Latherton? - zapytał Richard, patrząc na stos brudnych ubrań i prześcieradeł czekających na pranie: pod ścianą stało sześć pustych dzbanów i leżał stosik myjek.

Mężczyzna spojrział nań ze zdumieniem.

- Tak. A ty kim jesteś? Wyglądasz znajomo.

- Jestem Richard Rahl. Zapewne zauważyłeś moje podobieństwo do brata, Drefana.

- Drefan. - Tamten szeroko otworzył oczy. - Lord Rahl. - Odsuwane krzesło przejechało z hałasem po podłodze i mężczyzna wstał. - Wybacz mi. Nie poznałem cię. Nigdy przedtem cię nie widziałem. Nie miałem pojęcia, że uzdrowiciel to twój brat. Błagam lorda Rahla o wybaczenie...

Silas dopiero teraz zauważył ciemnowłosą Mord-Sith przy jednym boku Richarda, krzepkiego generała przy drugim, stojących za chłopakiem dwóch olbrzymich gwardzistów oraz oddział żołnierzy, wylewający się aż na uliczkę.

Przeczesał palcami tłuste włosy i wyprostował się.

- Pokaż mi pokój, w którym... w którym została zamordowana ta kobieta - rozkazał Richard.

Silas Latherton skłonił się dwa razy, a następnie pospieszył ku schodom, wpychając po drodze koszulę w spodnie. Obejrzawszy się przez ramię, sprawdził, czy Richard idzie za nim, i zaczął wbiegać po dwa stopnie naraz. Schody skrzypieniem i trzeszczeniem protestowały przeciwko jego wadze. W końcu stanął przed drzwiami, mniej więcej w połowie wąskiego korytarza. Czerwone ściany i świece umieszczone tylko na obu jego krańcach sprawiały, że było tu dość ciemno. Cuchnęło.

- To tu, lordzie Rahlu - wyjaśnił.

Chciał otworzyć drzwi, lecz Raina złapała go za kołnierz i odsunęła. Jej ponury wzrok spowodował, że mężczyzna wrósł w podłogę. Takie spojrzenie mogłoby zatrzymać nawet chmurę burzową. Mord-Sith otworzyła drzwi i z

Agielem w dłoni weszła do izdebki przed Richardem. Chłopak odczekał chwilę, aż Raina sprawdzi, czy nie czai się tam żadne niebezpieczeństwo, bo było to łatwiejsze i prostsze niż sprzeciwianie się jej. Silas wpatrywał się w podłogę, a Richard i generał Kerson weszli do pokoju. Ulic z Eganem stanęli przed drzwiami i skrzyżowali muskularne ramiona.

Nie było tam specjalnie na co patrzeć: łóżko, obok niego mały kuferek z sosnowego drewna i umywalnia. Ciemna plama znaczyła podłogę z szorstkich świerkowych desek. Krwawy zaciek sięgał aż pod łóżko i pokrywał niemal całą podłogę.

Richarda to nie zaskoczyło. Generał opowiedział mu, co uczyniono owej kobiecie.

W miednicy woda wymieszała się z krwią. Zwisająca z brzegu naczynia myjka była czerwona. Przed odejściem zabójca zmył z siebie krew. Albo był schludny, albo nie chciał ociekać krwią, przechodząc obok Silasa Lathertona.

Chłopak otworzył sosnowy kuferek. Tylko równiutko złożone ubrania, nic więcej. Zamknął wieko. Oparł dłoń o framugę drzwi.

- Nikt niczego nie słyszał? - Silas potrząsnął głową. - Nikt niczego nie słyszał, choć tak okaleczono tę kobietę, choć odcięto jej piersi i setki razy pchnięto nożem?

Richard uświadomił sobie, że zmęczenie nadaje jego głosowi ostry ton. Jego nastrój też się do tego przyczyniał. Silas przełknął ślinę.

- Zakneblował ją, lordzie Rahlu. I związał ręce. Richard spojrzał nań gniewnie.

- Przecież musiała kopać. Nikt tego nie usłyszał? Gdyby mnie ktoś tak ciał, zakneblowawszy najpierw i związawszy ręce, to przynajmniej przewróciłbym kopniakiem umywalnię. Musiała kopać, starając się zwrócić czyjąś uwagę.

- Niczego nie słyszałem, nawet jeśli kopała. Podobnie kobiety. Przynajmniej nic o tym nie pisnęły, a myślę, że przyszłyby po mnie, gdyby coś takiego usłyszały.

Zawsze mnie wołały, jak się coś działo. Zawsze. Wiedziały, że je obronię.

Richard potarł oczy. Proroctwo nie dawało mu spokoju. Głowa go bolała.

- Sprowadź pozostałe kobiety. Chciałbym z nimi porozmawiać.

- Opuściły mnie po tym, jak... - Silas wykonał nieokreślony gest. - Tylko Bridget została.

Latherton pospieszył w koniec korytarza i zastukał do drzwi. Wyrzała kobieta z rozczochranymi rudymi włosami, ale najpierw coś do niej cicho powiedział. Cofnęła się do pokoju i po chwili wyszła, otulając się kremową suknią. Idąc za Silasem ku Richardowi, pospiesznie zawiązywała pasek.

Tkwiąc w samym środku domu schadzek, Richard coraz bardziej się na siebie złościł. Starał się być obiektywny, a mimo to pozwolił sobie na radość z odnalezienia brata. Zaczynał lubić Drefana. Drefan był uzdrowicielem. Cóż mogłoby być bardziej godne podziwu?

Silas i kobieta skłonili się. Oboje wyglądali tak, jak czuł się Richard: brudni, zmęczeni i źli.

- Słyszałaś coś?

Bridget potrząsnęła głową, oczy miała niespokojne.

- Znałaś kobietę, która zmarła?

- Rose - powiedziała Bridget. - Widziałam ją tylko raz, kilka minut. Akurat wczoraj się zjawiała.

- Czy któreś z was się domyśla, kto mógł ją zabić? Mężczyzna i kobieta wymienili spojrzenia.

- Wiemy, kto to zrobił, lordzie Rahlu - odezwał się Silas głosem nabrzmiewającym gniewem. - To Tłusty Harry.

- Tłusty Harry? Któż to taki? Gdzie możemy go znaleźć? Po raz pierwszy na twarzy Silasa Lathertona odmalował się gniew.

- Nie powinienem był go tu znów wpuszczać. Moje panie go nie lubiły.

- Żadna z nas, dziewczyn, by go więcej nie wzięła - odezwała się Bridget. - Pije, a jak sobie popije, to się robi wredny. Nie musimy tego cierpliwie znosić, skoro wojsko... - Spojrzała na generała i zamilkła. Dokończyła już inaczej: - Teraz mamy dość klientów. Nie musimy znosić takich pijanych łotrów jak Harry.

- Wszystkie panie powiedziały mi, że więcej Harry'ego nie chcą - odezwał się Silas. - Jak przyszedł ostatniej nocy, zrozumiałem, że odmówię. Harry bardzo nalegał i wyglądał na dość trzeźwego, to i spytałem Rose, czy go przyjmie, a ona była nowa i...

- I nie zdawała sobie sprawy, że coś może jej grozić - dokończył Richard.

- To nie było tak - bronił się Silas. - Harry nie wyglądał na pijanego, ale wiedziałem, że inne go nie wezmą - obojętne czy pijanego, czy trzeźwego - więc poprosiłem Rose. Powiedziała, że przydadzą się jej pieniądze. Harry był

jej ostatnim klientem. Znalaziono ją niedługo potem.

- Gdzie możemy spotkać tego Harry'ego? Silas przymrużył oczy.

- W zaświatach, tam gdzie jego miejsce.

- Zabiłeś go?

- Nikt nie widział, kto mu poderżnął tłustą szyję. Nie mam pojęcia, kto to zrobił.

Richard spojrział na długi nóż zatknięty za pas Silasa. Nie potępił tego człowieka. Gdyby złapali Harry'ego, za swoją zbrodnię otrzymałby on taką samą karę, jaką już mu wymierzono. Z tym tylko, że najpierw odbyłby się proces, a mężczyzna wyznałby winę, by mieli pewność, że to istotnie on zabił.

Właśnie dlatego korzystali z usług Spowiedniczek: żeby mieć pewność, iż skazą winowajcę. Zbrodniarz, dotknięty mocą Spowiedniczki, wyznawał wszystkie swoje przestępstwa. Richard bardzo by nie chciał, żeby Kahlan usłyszała, co uczyniono owej kobiecie, owej Rose. A zwłaszcza nie od bydlaka, który to zrobił.

Chłopaka aż mdliło na myśl, że Kahlan musiałaby dotknąć takiego człowieka, człowieka, który zamordował w tak okrutny sposób. Obawiał się, że sam zabiłby Harry'ego, byle tylko Kahlan nie musiała dotykać kogoś takiego.

Wiedział, że dotykała ludzi, którzy wcale nie byli lepsi od Harry'ego. Nie chciał, by kiedykolwiek musiała to znów zrobić. Doskonale zdawał sobie sprawę, jaką przykrość sprawiało jej wysłuchiwanie szczegółowych opowieści o takich zbrodniach.

Bał się nawet pomyśleć, jakie straszliwe wspomnienia prześladowały ją i nawiedzały w snach.

Zmusił się, by przestać o tym myśleć, i spojrział na Bridget.

- Dlaczego zostałam, skoro inne uciekły? Wzruszyła ramionami.

- Niektóre z nich mają dzieci i bały się o nie. Nie winie ich za te strachy, ale zawsze byłyśmy tu bezpieczne. Silas zawsze był dla mnie dobry. W innych domach mnie krzywdzono, tu nigdy. To nie wina Silasa, że jakiś zwariowany morderca to zrobił. On zawsze szanował nasze życzenia, kiedy mówiłyśmy, że nie przyjmujemy więcej jakiegoś mężczyzny.

Richard poczuł, jak mu się ściska żołądek.

- I przyjmowałaś Drefana?

- Jasne. Wszystkie dziewczyny przyjmowały Drefana.
- Wszystkie dziewczyny - powtórzył Richard i zapanował nad gniewem.
- Taa. Wszystkieśmy go przyjmowały. Z wyjątkiem Rose. Ona nigdy nie miała okazji, bo...

- Więc Drefan nie miał... ulubienicy? - Richard łudził się, że jego brat odwiedzał jedną kobietę, która mu się podobała, i że przynajmniej była ona zdrowa.

Bridget zmarszczyła czoło.

- Jakżeż uzdrowiciel może mieć ulubienicę?
- Miałem na myśli to, czy była jakaś, którą sobie upodobał, czy też brał tę, która akurat była wolna?

Kobieta wsunęła palec w płataninę rudych włosów i podrapała się po głowie.

- Coś mi się zdaje, że masz złe zdanie o Drefanie, lordzie Rahlu. On żadnej z nas nigdy nie dotykał... w ten sposób. Przychodził tu tylko po to, żeby uzdrawiać.

- Przychodził, żeby uzdrawiać?

- Taa - odparła Bridget, a Silas potwierdził jej słowa skinieniem głowy. - Połowa dziewczyn złapała jak nie jedno, to drugie. Wysypka, otarcia i takie tam.

Większość z tych, którzy sprzedają zioła lub leki, nie chce pomagać takim jak my, więc musimy żyć z naszymi dolegliwościami. Drefan powiedział, jak się mamy myć.

Dał nam zioła i maści na otarcia. Przedtem przyszedł dwa razy, bardzo późno, jak już skończyłyśmy, żeby nie przeszkadzać nam w zarabianiu na życie. Badał też dzieciaki dziewczyn. Był szczególnie miły dla dzieci. Jedno miało przykry kaszel, ale Drefan coś mu dał i mały wydobrzał. Tego ranka przyszedł naprawdę wcześniej. Zbadał jedną z dziewczyn i poszedł do izby Rose. To wtedy ją znalazł. Wypadł z krzykiem z jej izby, jak to zobaczył - wskazała na podłogę u stóp Richarda - i z wymiotował.

Pognaliśmy do tego korytarza i zobaczyliśmy go tu, jak klęczał i wymiotował.

- Więc nie przychodził tutaj, żeby... żeby... i nigdy... Bridget zaśmiała się rubasznie.

- Zapropnowałam mu to, bez opłaty, ma się rozumieć, za to, że mi

pomógł, i za to, co mi dał. Odparł, że nie po to przyszedł. Powiedział, że po prostu chciał pomóc, bo jest uzdrowicielem. zaproponowałam mu, rozumiesz, a potrafię być bardzo przekonująca. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Ale on odmówił. Ma bardzo miły uśmiech. Zupełnie jak ty, lordzie Rahlu.

- Wejść - rozległo się w odpowiedzi na pukanie Richarda. Drefan klęczał przed świecami ustawionymi na stole pod ścianą. Pochylił głowę i złożył błagalnie dłonie.

- Nam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwał się Richard.

Uzdrowiciel obejrzał się przez ramię i wstał. Jego oczy przypomniały chłopakowi o Rahlu Posępny. Drefan miał takie same błękitne oczy, o takim samym, trudnym do określenia, niepokojącym wyrazie. Richard nie mógł nic na to poradzić, że wytrącały go z równowagi. Niekiedy zdawało mu się, że patrzy na niego sam Rahl Posępny.

Ludzie, którzy żyli w strachu przed Ojczulkiem Rahlem, byli też z pewnością przerażeni, gdy spoglądali w oczy Richarda.

- Co robisz? - zapytał chłopak.

- Modłę się do dobrych duchów, żeby czuwały nad czyjąś duszą.

- Czyją?

Drefan westchnął. Wyglądał na zmęczonego i smutnego.

- Duszą kobiety, która nikogo nie obchodziła.

- Kobiety o imieniu Rose? Drefan potaknął.

- Skąd się o niej dowiedziałeś? - Machnięciem ręki zbył swoje pytanie. - Wybacz, nie pomyślałem. Jesteś lordem Rahlem. Na pewno zawiadamiają cię o takich sprawach.

- Tak, owszem, słyszę o takich sprawach. - Richard dostrzegł w komnacie coś nowego. - Widzę, że postanowiłeś poprawić wystrój.

Drefan dostrzegł, na co patrzy Richard, i podszedł do stojącego przy łożu krzesła. Wrócił z małą poduszczką. Czule przesunął palcami po wyhaftowanej na niej róży.

- To należało do niej. Nie wiedzieli, skąd przybyła, więc Silas, który prowadzi ten przybytek, nalegał, żebym to zabrał w zamian za drobną pomoc, jakiej udzielam tamtejszym kobietom. Nie przyjmuję od nich pieniędzy. Gdyby miały ich w nadmiarze, nie robiłyby tego, co robią.

Richard nie bardzo się na tym znał, lecz owa róża sprawiała wrażenie

kunsztownie wyhaftowanej.

- Sądzisz, że sama to zrobiła? Drefan wzruszył ramionami.

- Tego Silas nie wiedział. Może i tak. A może gdzieś to zobaczyła i kupiła ze względu na różę odpowiadającą jej imieniu.

Wpatrywał się w poduszeczkę i leciutko gładził kciukiem kwiat.

- Dlaczego odwiedzasz takie... takie miejsca, Drefanie? Nie brak ludzi potrzebujących uzdrowiciela. Mamy żołnierzy, którzy zostali ranni przy lochu. Masz wiele do zrobienia. Dlaczego chodzisz do lupanarów?

Drefan przesunął palcem po zielonej łodyżce.

- Zajmuję się również żołnierzami. A tam idę, poświęcając wolny czas, zanim ludzie wstaną i mnie wezwą.

- Ale po co w ogóle tam chodzisz?

We wpatrzonych w różę oczach Drefana pojawiły się łzy.

- Moja matka była dziwką - wyszeptał. - Jestem synem dziwki. Niektóre z tych kobiet mają dzieci. Mógłbym być każdym z dzieciaków. Moja matka, tak jak i Rose, wzięła do łóżka niewłaściwego mężczyznę. Nikt nie znał tej dziewczyny. Nikt nie wiedział, kim była ani skąd przybyła. Nawet nie znam nazwiska i imienia własnej matki, bo nie podała ich uzdrowicielom, z którymi mnie zostawiła. Powiedziała im tylko, że była dziwką.

- Przykro mi. To było idiotyczne pytanie.

- Nie, było całkiem logiczne. Nikt nie dba o te kobiety, to znaczy nikt nie dostrzega w nich człowieka. Mężczyźni, którzy do nich przychodzą, potrafią je pobić do krwi. Zarażają się okropnymi chorobami. Inni ludzie mają je w pogardzie. Zielarze nie życzą sobie, by przychodziły do ich sklepików, bo to im przydaje złej sławy i odstrasza porządnych klientów. Nawet ja nie wiem, jak leczyć wiele z chorób, na które zapadają. Cierpią, skazane na powolną śmierć. Dla pieniędzy. Niektóre piją i mężczyźni płacą im za usługi napitkiem. Są cały czas pijane i nie znają innego stanu.

Inne łudzą się, że znajdą bogatego mężczyznę i zostaną jego kochankami. Łudzą się, że mu się spodoba i zyskają jego łaskę. Jak moja matka. A zamiast tego mają tylko dzieci z nieprawego łóżka, takie jak ja.

Richard czuł wewnętrzny sprzeciw i niesmak. Gotów był uwierzyć, że jego brat jest pozbawionym uczuć oportunistą.

- Jeżeli jakoś ci to pomoże, to pamiętaj, że i ja jestem synem tego drania.

Drefan spojrzał nań i uśmiechnął się.

- Może i pomoże. Ale przynajmniej twoja matka cię kochała. O sobie nie mogę tego powiedzieć. Nawet nie przekazała mi swojego imienia.

- Nie mów tak, Drefanie. Twoja matka cię kochała. Zabrała cię do miejsca, gdzie nic ci nie zagrażało, nieprawdaż?

Tamten potaknął.

- I zostawiła mnie tam, wśród ludzi, których nie znała.

- Zostawiła cię tam, bo musiała to uczynić, żebyś był bezpieczny. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak musiała cierpieć? Czy możesz sobie wyobrazić, jak bolało ją serce, że musi cię zostawić pośród obcych? Musiała cię ogromnie kochać, by zrobić dla ciebie coś takiego.

Drefan się uśmiechnął.

- Mądre słowa, bracie. Mając taki rozum, na pewno wysoko zajdziesz.

Richard odwzajemnił uśmiech.

- Czasem musimy zrobić coś desperackiego, żeby uratować tych, których kochamy. Mam dziadka, który żywi ogromny podziw dla aktów desperacji. Kiedy myślę o twojej matce, to chyba zaczynam rozumieć, o co mu chodzi.

- Masz dziadka?

- To ojciec mojej matki. - Richard odruchowo przesunął palcem po złotych, wypukłych literach słowa PRAWDA na rękojeści swojego miecza. - Jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich miałem zaszczyt poznać. Mama umarła, kiedy byłem mały, a mój ojciec, to znaczy ten, którego uważałem za ojca, często wyruszał na wyprawy kupieckie. Właściwie to Zedd mnie wychował. Chyba jego właśnie najbardziej przypominam.

Zedd miał dar, więc Richard odziedziczył dar nie tylko po Rahlu Posępnym, ale i po Zeddzie. Miał go zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki. Otrzymał go od obu rodów. Richard czerpał otuchę z tego, że w jego żyłach płynie dar przekazany przez dobrego człowieka, a nie tylko dar odziedziczony po Rahlu Posępnym.

- Czy on wciąż żyje?

Richard odwrócił wzrok od błękitnych oczu Drefana, błękitnych oczu Rahla Posępnego.

- Wierzę, że tak. Nie sądzę, by ktokolwiek inny jeszcze w to wierzył, ale ja wierzę. Czasami wydaje mi się, że gdybym przestał w to wierzyć, to on by umarł.

Uzdrowiciel położył dłoń na ramieniu chłopaka.

- Więc nie przestawaj wierzyć, możesz mieć rację. Masz szczęście, że masz rodzinę. Wiem to, bo sam jej nie mam.

- Teraz już masz, Drefanie. Masz przynajmniej brata, a wkrótce będziesz miał też bratową.

- Dziękuję, Richardzie. To bardzo wiele dla mnie znaczy.

- A ty co? Słyszałem, że biega za tobą połowa pałacowych kobiet. Żadna nie wpadła ci w oko?

Drefan uśmiechnął się z rezerwą,

- To tylko dziewczątka. Dziewczątko, którym się zdaje, że wiedzą, czego chcą, i które są pod wrażeniem tego, co w ogóle nie powinno się liczyć. Widziałem, że i do ciebie robią słodkie oczy. Władza przyciąga niektórych ludzi. Takich, jak moja matka.

- Do mnie! Zdawało ci się. Drefan spoważniał.

- Kahlan jest piękna. Szczęśliwiec z ciebie, że dostałeś kobietę o takiej urodzie i tak szlachetnym charakterze. Taka kobieta zjawia się raz w życiu, a i to wyłącznie wtedy, gdy uśmiechną się do ciebie dobre duchy.

- Wiem. Jestem najszczęśliwszym z ludzi. - Richard zapatrzył się w dal, rozmyślając o prorocztwie i o tym, co wyczytał w pamiętniku Kolo. - Życie bez niej nie byłoby nic warte.

Drefan się zaśmiał i klepnął chłopaka w plecy.

- Gdybyś nie był moim bratem, i to dobrym bratem, to bym ci ją ukradł i zatrzymał dla siebie. A w ogóle lepiej uważaj, bo jeszcze mogę jej zapragnąć.

Richard też się uśmiechnął.

- Będę uważał.

Drefan ostrzegawczo pogroził bratu palcem.

- Bądź dla niej dobry.

- Nie potrafiłbym być inny. - Richard szerokim gestem wskazał małą, skromną komnatkę i zmienił temat. - Co ty tu jeszcze robisz? Możemy ci znaleźć o wiele lepsze pokoje.

Drefan rozejrzał się po swojej izbie.

- To królewskie pomieszczenie w porównaniu z moją kwaterą w sekcie.

żyjemy skromnie. I tak z trudem znoszę jego wystawność. - Ściągnął brwi. - Nie jest ważne, w jakim domu mieszkasz. Nie od tego zależy szczęście. Chodzi o twój sposób myślenia, o to, czy się troszczysz o bliźnich, o to, co możesz uczynić, by pomóc innym. Tym, którym nikt oprócz ciebie

nie może pomóc. Richard poprawił obręcz na przegubach. Skóra pociła mu się pod ich skórzaną wyściółką.

- Masz rację, Drefanie.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przyzwyczał się do swojego otoczenia. Od kiedy opuścił Hartland, widział mnóstwo wspaniałych miejsc. Jego własny, pozostawiony w Hartlandzie domek nie był nawet w połowie tak ładny jak ta komnata, a przecież był w nim szczęśliwy. Był szczęśliwy, pracując jako leśny przewodnik. Jednak, jak to powiedział Drefan, należy pomagać tym, którym nikt inny nie zdoła pomóc. Musiał zostać lordem Rahlem. Kahlan pozwalała mu zachować równowagę. Teraz powinien tylko szybko odnaleźć Świątynię Wichrów, nim to wszystko utraci. Przynajmniej miał kobietę, którą kochał bardziej niż, jak to sobie wyobrażał, w ogóle można kochać. Teraz zaś miał również brata.

- Czy wiesz, co znaczy Raug'Moss, Drefanie?

- Uczono mnie, że to w starym górnod'harańskim i że oznacza Boski Wicher.

- Znasz górnod'harański?

Drefan odgarnął do tyłu zniszczone blond włosy.

- Tylko to słowo.

- Słyszałem, że jesteś ich przywódcą i że doskonale się spisales, zostawszy przywódcą społeczności uzdrowicieli.

- To jedyne życie, jakie kiedykolwiek znałem. Być ich arcykapłanem, to znaczy być kimś, kogo ganią, jeżeli sprawy źle się układają. Kiedy nie poprawia się komuś, komu staramy się pomóc, to uzdrowiciele wskazują na mnie i mówią: „On jest naszym wodzem. Z nim pogadajcie”. Być arcykapłanem, to znaczy czytać zapiski i raporty i starać się wyjaśnić oszołomionym krewnym, że jesteśmy jedynie uzdrowicielami i nie możemy cofnąć wyroku Opiekuna. Nazwa jest bardziej imponująca niż rzeczywistość, naprawdę.

- Jestem pewny, że przesadzasz. Napawa mnie dumą, że tak ci się powiodło.

Kim są Raug'Moss? Skąd pochodzą?

- Legenda mówi, że Raug'Moss zostali stworzeni tysiące lat temu przez czarodziejów mających dar uzdrawiania. Dar zaczynał zanikać w ludzkiej rasie, więc czarodzieje, zwłaszcza ci, którzy mieli dar uzdrawiania, trafiali

się coraz rzadziej.

Drefan opowiedział Richardowi, jak zmieniała się społeczność uzdrowicieli Raug'Moss, gdy czarodzieje zaczęli wymierać. Zmartwieni tym, że ich działanie zniknie wraz z nimi, czarodzieje, którzy byli uzdrowicielami, postanowili przyjąć uczniów pozbawionych daru. Z czasem było coraz mniej czarodziejów mogących nadzorować szkolenie, aż wreszcie, dawno temu, zmarł ostatni z nich.

Richardowi przypominało to czytanie pamiętnika Kolo i poznawanie, jak bardzo inna była w dawnych czasach Wieża Czarodzieja, wypełniona czarodziejami i ich rodzinami.

- Teraz nie ma już wśród nas nikogo z darem - powiedział Drefan. - Raug'Moss nauczono wiele o zdrowiu i leczeniu, lecz nie dorównujemy umiejętnościami dawnym czarodziejom, nie mamy magii, która by nam pomagała.

Robimy, co możemy, dzięki naukom, które przekazali nam prawdziwi dawni uzdrowiciele, ale nic ponadto nie możemy zdziałać. To proste i trudne życie, jednak daje zadowolenie, jakiego nie dostarczą wygody.

- Rozumiem. Pomaganie innym to najwspanialsza rzecz na świecie.

Drefan przybrał poważną minę.

- A co z tobą? Jaki masz dar? Jakie umiejętności? Richard odwrócił wzrok od jego oczu. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Urodziłem się jako czarodziej wojny. Nazwano mnie fuer grissa ost drauka, co w gornod'harańskim znaczy „dawca śmierci” - wyszeptał.

W komnacie zapanowała cisza. Richard chrząknął.

- Najpierw bardzo mnie to przerażało, ale potem zacząłem pojmować, że bycie czarodziejem wojny oznacza, iż urodziłem się, by pomagać innym, chroniąc ich przed tymi, którzy zrobiliby z nich niewolników. Przed takimi jak nasz drań ojciec, Rahl Posępny.

- Rozumiem - powiedział w krępującej ciszy Drefan. - Czasem zabić, to najlepiej wykorzystać swoje uzdolnienia. Jak wtedy, kiedy kończy się życie w męce, bez nadziei na wyleczenie, lub kończy się życie tego, który zadawałby innym nieustające męki.

Richard potarł kciukiem srebrne symbole na obręczach opinających jego przeguby.

- Tak. Teraz pojmuję, co przez to rozumiesz. Przedtem tego nie

potrafiłem.

Obaj musimy robić to, co się nam nie podoba, lecz musi być zrobione.

Drefan leciutko się uśmiechnął.

- Niewielu poza moimi uzdrowicielami to rozumie. Cieszę się, że ty to pojąłeś.

Czasem uśmiercenie jest największym miłosierdziem. Uważam na to, komu mówię owe słowa. Dobrze, że mój brat je rozumie.

- Ja myślę to samo o tobie, Drefanie.

Nim Richard zdążył jeszcze coś dodać, przerwało im pukanie do drzwi. Raina wsunęła głowę do komnaty. Długi, ciemny warkocz zsunął się do przodu z jej ramienia.

- Masz chwilę, lordzie Rahlu?

- O co chodzi, Raino?

Przewróciła oczami, wskazując kogoś za sobą.

- Nadine pragnie się z tobą zobaczyć. Wydaje się czymś zaniepokojona i chce rozmawiać wyłącznie z tobą.

Richard dał znak i Raina trochę szerzej uchyliła drzwi. Nadine przepchnęła się do środka, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie Mord-Sith.

- Musisz ze mną pójść, Richardzie. - Obiema rękami ujęła jego dłoń. - Dobrze? Pójdiesz ze mną, Richardzie? Jest ktoś, kto rozpaczliwie pragnie się z tobą zobaczyć.

- Kto?

Wydawała się szczerze poruszona. Pociągnęła go za rękaw.

- Chodź, Richardzie, proszę cię. Chłopak był dalej przezorny.

- Mogę zabrać ze sobą Drefana?

- Jasne. Właśnie miałam cię o to poprosić.

- No to chodźmy, skoro to takie ważne. Mocno złapała go za rękę i pociągnęła za sobą.

ROZDZIAŁ 28

Richard zobaczył nadchodzącą korytarzem Kahlan. Zachmurzyła się, gdy dostrzegła, że Nadine ciągnie go za sobą, trzymając zdecydowanie za rękę. Drefan, Raina, Ulic i Egan podążali za nim, torując sobie drogę wśród spieszącej w obowiązkach pałacowej służby i odbywających patrole żołnierzy. Chłopak popatrzył na Kahlan i wzruszył ramionami.

Nadine obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem i skrzyła w korytarz wiodący ku jej komnacie. Richard zastanawiał się, o co właściwie chodzi. Wyszarpnął dłoń Nadine, ale szedł za nią. Zielarka wyminęła orzechowy stolik, stojący przy ścianie pod starym gobelinem, na którym stadko saren z białymi ogonkami pasło się na tle widocznych w głębi ośnieżonych górskich szczytów. Obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy Richard idzie za nią.

Kahlan i Cara zrównały się z nimi. Kahlan znalazła się tuż obok chłopaka.

- Hmm, czyż to nie ciekawy widok? - odezwała się z tyłu Cara, gładząc swój gruby warkocz.

Richard spojrział na nią gniewnie. Nadine odwróciła się i znów niecierpliwie złapała go za rękę.

- Obiecałeś. Chodź.

- Niczego nie obiecywałem. Powiedziałem, że z tobą pójdę, ale nie, że pobiegnę - poskarżył się.

- Wielki, silny lord Rahl nie może mi dotrzymać kroku? - zakpiła Nadine.

- Leśny przewodnik, którego pamiętam, chodził szybciej niż ty teraz i to nawet wtedy, kiedy na wpół spał.

- Na wpół śpię - mruknął Richard.

- Gwardziści powiedzieli mi, że wróciłeś i poszedłeś do komnaty Drefana - szepnęła chłopakowi Kahlan. - Waśnie szłam tam do ciebie. O co chodzi z Nadine?

W wyszeptanym pytaniu pobrzmiwało zdenerwowanie. Richard dostrzegł, że zerknęła na dłoń Nadine, zaciśniętą na jego rękę.

- Pojęcia nie mam. Chce, żebym się z kimś spotkał.

- I musi cię trzymać za rękę, żebyś to zrobił? - warknęła cicho. Richard znów wyszarpnął dłoń.

Kahlan zerknęła przelotnie na Drefana, który podążał za Cara i Rainą. Ujęła Richarda pod ramię.

- Jak się czujesz? Co... znalazłeś?

Chłopak położył rękę na jej dłoni i lekko ją uściśnął.

- Wszystko w porządku. Nie było tak, jak myślałem. Potem ci opowiem - szepnął.

- A morderca? Czy ktoś go już znalazł?

- Tak, ktoś go znalazł i ukarał śmiercią za tę zbrodnię - odparł Richard. - A co z posłami? Zajęłaś się tym?

Odpowiedź nadeszła dopiero po chwili.

- Poddały się Grennidon, Togressa i kotlina Pendisan. Może dołączyć do nich Jara, ale chcą przez dwa tygodnie czekać na znak z nieba. - Richard zmarszczył brwi.

- Mardovia odmówiła przyłączenia się do nas. Wybrali neutralność.

Chłopak wrósł w podłogę.

- Co takiego?!

Ci, którzy szli z tyłu, omal nań nie wpadli.

- Odmówili poddania się. Oświadczyli, że pozostaną neutralni.

- Ład nie uznaje neutralności. My również. Nie powiedziałaś im o tym?

Twarz Kahlan niczego nie zdradziła.

- Oczywiście, że powiedziałam.

Richard wcale nie chciał na nią wrzasnąć. Był zły na Mardovię, nie na Kahlan.

- Na południu jest generał Reibisch. Może zdążyłby zająć Mardovie, nim Imperialny Ład wybije ich do nogi.

- Dano im szansę, Richardzie. Teraz to już tylko żywe trupy. Nie możemy poświęcać życia naszych żołnierzy i zajmować Mardovii po to tylko, by chronić jej lud. To nie posłużyłoby niczemu dobremu, a jedynie osłabiłoby nasze siły.

Nadine wepchnęła się między nich i obrzuciła Kahlan gniewnym spojrzeniem.

- Rozmawiałaś z tym złym Jagangiem. Wiesz, jaki jest. Ci ludzie umrą, jeśli zostawisz ich Ładowi. Nie obchodzi cię życie niewinnych ludzi. Jesteś bez serca.

Richard dostrzegł kątem oka czerwony błysk, kiedy Cara chwyciła Agiel.

Popchnął Nadine przed siebie.

- Kahlan ma rację. Po prostu trochę potrwało, zanim prawda przebiła się przez moją grubą czaszkę. Mardovia dokonała wyboru. Wybrali własną drogę i muszą nią pójść. A jeżeli chcesz, żebym się z kimś zobaczył, to zaprowadź mnie do tej osoby. Czekają na mnie ważne sprawy.

Nadine zasapała z oburzeniem, odgarnęła za ramię długie, gęste, kasztanowe włosy i pomaszerowała rażno przed siebie. Cara i Raina wbijały gniewne spojrzenia w tył jej głowy. A takie spojrzenie Mord-Sith najczęściej poprzedzało poważne następstwa. Richard prawdopodobnie ocalił właśnie Nadine przed czymś takim.

Pewnego dnia będzie musiał coś zrobić z Shotą. Nim Kahlan się do tego zabierze.

Pochylił się ku Kahlan.

- Przepraszam. Jestem śmiertelnie zmęczony i bezmyślnie zareagowałem.

Dziewczyna ścisnęła mu ramię.

- Obiecywałeś, że się choć trochę prześpisz, pamiętasz?

- Gdy tylko zakończę tę sprawę z Nadine.

Przed drzwiami swojej komnaty Nadine znów chwyciła Richarda za rękę i wciągnęła go do środka. Nim zdążył zaprotestować, zobaczył chłopca siedzącego na czerwonym krześle. Pomyślał, że rozpoznaje w nim jednego z graczy Ja'La, których widział w akcji. Chłopiec trząśnięty od płaczu. Kiedy zobaczył wchodzącego do komnaty Richarda, zeskoczył z krzesła i zerwał z blond głowy miękką wełnianą czapkę. Stał, mnąc czapkę w dłoniach i drżąc wyczekująco; po jego twarzy spływały łzy. Richard przykucnął przed nim.

- Jestem lordem Rahlem. Słyszałem, że chciałeś się ze mną zobaczyć. Jak się nazywasz?

Mały otarł nos. Łzy nadal płynęły.

- Yonick.

- O co chodzi, Yonicku?

Zdołał jedynie wykrztusić „brat” i rozsłochał się. Richard przytulił małego i pocieszał go. Yonick przywarł do niego i szlochał rozpaczliwie. Jego rozpacz rozdzierała serce chłopaka.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi, Yonicku?

- Mój brat jest chory, Ojczulku Rahlu. Naprawdę chory. Richard postawił

chłopca przed sobą.

- Tak? A na co jest chory?

- Nie wiem - wyszochał Yonick. - Kupiliśmy mu zioła. Próbowaliśmy wszystkiego. Jest taki chory. Ciągłe mu się pogarsza. Od tamtej pory, co to pierwszy raz do ciebie przyszedłem.

- Od momentu, kiedy pierwszy raz do mnie przyszedłeś?

- Tak - parsknęła Nadine. - Kilka dni temu przyszedł błagać o twoją pomoc. A ona go odesłała. - Wskazała oskarżycielsko Kahlan.

Dziewczyna spurpurowiała. Poruszyła ustami, ale nie wymówiła ani jednego słowa.

- Ja obchodzi tylko wojsko, prowadzenie wojen i krzywdzenie ludzi. Nie dba o biednego, chorego chłopczyka. Przejęłaby się, gdyby był jakimś wytwornym, ważnym dyplomatą. Nie ma pojęcia, jak to jest być biednym i chorym.

Richard zatrzymał Carę w miejscu jednym gniewnym spojrzeniem. Obrócił się i popatrzył wściekle na Nadine.

- Wystarczy.

Drefan położył dłoń na ramieniu Kahlan.

- Jestem pewny, że miałaś po temu ważny powód. Przecież nie wiedziałaś, jak bardzo chory jest jego brat. Nikt cię nie potępia. - Richard znów spojrzał na chłopca. - Mój brat, Drefan, jest uzdrowicielem, Yonicku. Zaprowadź nas do swojego brata, a zobaczymy, czy zdołamy mu pomóc.

- Mam zioła - dodała Nadine. - I ja wspomogę twego brata, Yonicku. Zrobimy, co w naszej mocy. Obiecujemy.

Yonick otarł oczy.

- Pospieszmy się, proszę. Kip jest naprawdę chory. Kahlan była bliska płaczu.

Richard czule dotknął jej pleców.

Wyczuł, jak drży. Bał się, jak chory może być brat małego, i chciał jej oszczędzić tego widoku. Bał się, że mogłaby czynić sobie wyrzuty.

- Zaczekaj tutaj, a my pójdziemy z Yonickiem. Błysnęły ku niemu załzawione zielone oczy.

- Idę - powiedziała dziewczyna przez zaciśnięte zęby.

Richard poddał się i nie starał się już zapamiętać trasy, którą szli przez płataninę wąskich uliczek oraz krętych zaułków. Sprawdzał jedynie

położenie słońca, żeby orientować się, gdzie mniej więcej jest, gdy Yonick prowadził ich labiryntem budowli i otoczonych murami podwórek, na których wisało pranie.

Kury pierzchały im z drogi, gdacząc i trzepocząc skrzydłami. Na niektórych malutkich, otoczonych murami podwórkach widzieli po kilka kóz lub owiec albo jedną czy dwie świnie. Zwierzęta wyglądały dziwnie wśród tych ciasno stojących budynków.

Ponad głowami przechodniów rozmawiali ze sobą siedzący w oknach mieszkańcy. Niektórzy podpierali się na łokciach i wychylali, by przyrzeć się, kogóż to prowadzi chłopiec, Wywoływali poruszenie. Richard wiedział, że zainteresowanie budzi widok lorda Rahla w czarnym stroju czarodzieja wojny i Matki Spowiedniczki w białej szacie, a nie kompania żołnierzy i dwie Mord-Sith. Żołnierzy było w mieście pełno, ludzie zaś pewnie nie mieli pojęcia, kim były dwie kobiety w brązowych skórzanych uniformach.

Na ulicach i w zaułkach mieszkańcy odciągali na bok wózki z jarzynami, drewnem czy różnymi wyrobami, żeby zrobić im przejście. Inni stawali pod ścianami i przyglądali się, jakby przez ich sąsiedztwo przechodziła zaimprovizowana defilada.

Na skrzyżowaniach żołnierze witali radosnymi okrzykami swojego lorda Rahla i wykrzykiwali podziękowania za uleczenie ich dolegliwości.

Richard mocno trzymał Kahlan za rękę. Od kiedy opuścili pałac, dziewczyna nie powiedziała słowa. Kazał Nadine iść z tyłu, pomiędzy dwiema Mord-Sith. Miał nadzieję, że zielarka będzie umiała trzymać język za zębami.

- O, tam - wskazał Yonick.

Poszli za nim, gdy skręcił z ulicy w wąski zaułek wiodący między kamiennymi ścianami, które tworzyły dolne piętra domów. Ich wyższe piętra były już drewniane. Woda kapiąca z topniejącego w górze śniegu rozchlapała błoto na kamienne ściany na wysokość kilku stóp. Kahlan jedną dłonią trzymała rękę Richarda, drugą zaś unosiła skraj sukni, idąc za nim po ułożonych na błocie deskach.

Yonick zatrzymał przed się drzwiami pod małym prowizorycznym daszkiem.

Z okien po obu stronach wyglądali ludzie. Kiedy Richard znalazł się obok niego, chłopiec otworzył drzwi i pobiegł w górę schodami, nawołując matkę.

Drzwi u szczytu schodów otwały się ze zgrzytem. Na biegnącego po schodach chłopca spojrziała kobieta w brązowej sukni i białym fartuchu.

- To lord Rahl, mamó! Przyprowadziłem lorda Rahla!

- Niech będą dzięki dobrym duchom - powiedziała. Yonick objął ją w talii, a ona położyła mu na plecach spracowaną dłoń. Drugą ręką wskazała przez drzwi na małą izdebkę pełniącą funkcję kuchni, jadalni i wszystkich innych pomieszczeń mieszkalnych.

- Dzięki, żeś przyszedł - wykrztusiła do Richarda i wybuchnęła płaczem, nim zdołała coś jeszcze dodać.

Yonick pobiegł ku tylnej izbie.

- Tędy, lordzie Rahlu.

Richard uściśnął pocieszająco ramię kobiety, wyminął ją i ruszył za Yonickiem. Kahlan wciąż trzymała go za drugą rękę. Drefan i Nadine szli za nimi, a Cara i Raina zamykały pochód. Weszli do sypialni. Yonick został przy drzwiach.

Stojąca na małym stoliku świeczka nie mogła rozproszyc panujących tu ciemności. Obok świeczki stała miska z wodą, leżały też tam nasączone mydlinami gałgany. Reszta izby, w większości zastawiona przez trzy nędzne łóżka, zdawała się czekać aż zgaśnie płomień i zapanuje noc.

Na najdalej ustawionym posłaniu leżała mała postać. Richard, Kahlan, Nadine i Drefan stłoczyli się przy niej, gdy Yonicki jego matka stali na skraju ciemności, podświetleni padającym z za drzwi światłem, i przyglądali się.

Izba cuchnęła gnijącym mięsem.

Drefan odrzucił kaptur swojej lnianej opończy.

- Otwórzcie okiennice, żebyśmy mógł coś zobaczyć.

Cara otworzyła obie, aż oparły się o ścianę, i do izby wpadło światło, ukazując chłopca o blond włosach, przykrytego aż po szyję białym prześcieradłem i kocem.

Bok szyi, tuż nad kocem, miał mocno wybrzuszony. Oddychał nierówno, rżąc.

- Jak ma na imię? - zawołał Drefan do matki.

- Kip - odparła, zawodząc jęklonie. Drefan poklepał małego po ramieniu.

- Jesteśmy tu, żeby ci pomóc, Kipie. Nadine pochyliła się nad nim.

- Tak, Kipie, i raz-dwa cię wyleczymy.

Zasłoniła dłonią nos i usta, chroniąc się przed smrodem, który dławił ich

wszystkich.

Mały nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy. Przepocone włosy przyklejały mu się do czoła.

Drefan zsunął przykrycie aż do talii Kipa, odsłaniając leżące na brzuchu rączki. Czubki palców chłopca były czarne. Uzdrowiciel zeszywniał.

- O drogie duchy - wyszeptał. Przysiadł na piętach, odchylił się do tyłu i dotknął grzbietem dłoni nóg stojących za nim Mord-Sith. - Zabierzcie stąd Richarda - szepnął nagłaco. - Natychmiast go stąd zabierzcie.

Nie zadając zbędnych pytań, Cara i Raina ujęły Richarda pod ramiona i zaczęły go podnosić. Chłopak się im wyrwał.

- Co się dzieje? - zapytał. - O co chodzi?

Drefan przesunął dłonią po wargach. Spojrzał przez ramię na matkę i Yonicka.

Przesunął wzrokiem po pozostałych, aż w końcu zatrzymał wzrok na Richardzie.

Nachylił się ku niemu.

- Ten chłopak zapadł na mór. Richard wpatrywał się w brata.

- Co powinniśmy zrobić, by go wyleczyć?

Drefan znacząco uniósł brew. Odwrócił się ku chłopcu i podniósł małą rączkę.

- Patrz na jego palce. - Czubki były czarne; uzdrowiciel odkrył małego. - Popatrz na palce stóp. - I te były czarne, więc rozpiął chłopcu spodnie. - Spójrz na jego penis. - Żołądź też była czarna.

- To gangrena. Gniją najbardziej zewnętrzne fragmenty ciała. Właśnie dlatego nazwano tę chorobę czarną śmiercią.

Richard odkaszlnął.

- Co możemy dla niego zrobić?

Arcykapłan Raug'Moos był tak zaskoczony, że jeszcze bardziej zniżył głos.

- Czyś słyszał, co powiedziałem, Richardzie? To czarna śmierć. Ludzie czasem zdrowieją z moru, ale nigdy wtedy, gdy jest tak zaawansowany.

- Gdybyśmy do niego prędzej przyszli... - powiedziała z wyrzutem Nadine.

Kahlan tak zacisnęła dłoń na ramieniu Richarda, że aż go zabolalo. Usłyszał, jak powstrzymuje płacz. Spojrzał ze złością na zielarkę, a ona

odwróciła wzrok.

- A wiesz, jak leczyć mór, zielarko? - zadrwił Drefan.

- Nooo, ja... - Nadine zaczerwieniła się i umilkła. Malec z trudem otworzył oczy. Obrócił ku nim głowę.

- Lord... Rahl... - powiedział, oddychając płytko. Richard dotknął jego ramienia.

- Tak, Kipie. Przyszedłem do ciebie. Jestem tutaj. Kip leciutko potaknął.

- Czekałem. - Jego pierś coraz dłużej pozostawała nieruchoma między oddechami.

- Możecie jakoś pomóc? - dobiegło ich od drzwi płaczliwe pytanie. - Jak szybko wyzdrowieje?

Drefan rozpiął kołnierzyk swojej zdobionej koronkami koszuli, nachylając się przy tym ku Richardowi.

- Powiedz chłopcu coś pokrzepiającego, tylko tyle możemy zrobić. Już długo nie pożyje. Pójdę porozmawiać z matką. To część zadania uzdrowiciela.

Drefan wstał i pociągnął za sobą Nadine. Kahlan wspierała się o ramię Richarda. Bał się na nią spojrzeć, żeby się nie rozpląkała. Żeby sam się nie rozpląkał.

- Już wkrótce znów będziesz grał w Ja'La, Kipie. Lada dzień wyzdrowiejesz.

Chętnie przyjdę popatrzeć na kolejne twoje gry. Obiecuję, że przyjdę, i to gdy tylko wyzdrowiejesz.

Twarzyczkę chłopca rozjaśnił słaby uśmiech. Przymknął oczy, a jego żebra opadły w wydechu.

Richard przykucnął i z bijącym sercem czekał, by mały znów nabrał powietrza. Daremnie.

W czekającej cierpliwie na powrót mroku izbie zapanowała cisza. Richard słyszał, skrzypienie kółek ręcznego wózka i dalekie, ochryple wrzaski kruków. W powietrzu unosił się melodyjny śmiech dzieci.

To dziecko już nigdy się nie roześmieje.

Głowa Kahlan opadła na ramię Richarda. Dziewczyna łkała cicho, zaciskając dłoń na rękawie jego koszuli.

Richard sięgnął po prześcieradło, by przykryć małego.

Ręka chłopca powoli uniosła się z jego brzucha. Richard zdrętwiał.

Dłoń sięgnęła do gardła Richarda, czarne palce skurczyły się i śmierć złapała koszulę chłopaka.

Kahlan zamilkła.

Oboje wiedzieli, że chłopczyk nie żyje.

Mała rączka przyciągnęła lorda Rahla. Płuca raz jeszcze wypełniły się powietrzem.

Richard przysunął ucho do martwych ust, choć zjeżyły mu się włosy na karku.

- Ścigają cię wichry - wyszeptało martwe dziecko.

ROZDZIAŁ 29

Richard patrzył oszołomiony, jak Drefan zawija martwego chłopca w prześcieradło. Tylko on i Kahlan widzieli, co się stało, i słyszeli, co powiedział zmarły. W zewnętrznej izdebce łkała żałośnie matka.

Drefan pochylił się ku niemu.

- Richardzie. - Dotknął jego ramienia. - Richardzie.

- Co? - Chłopak się wzdrygnął.

- Co chcesz zrobić?

- Zrobić? O co ci chodzi?

Drefan obejrzał się przez ramię na stojących przy drzwiach.

- Co chcesz powiedzieć o tym ludziom? Chodzi mi o to, że on zmarł na mór.

Chcesz to zachować w sekrecie?

Richard nie potrafił jasno myśleć. Kahlan wychyliła się zza niego.

- W sekrecie? Czemuż mielibyśmy to zataić? Drefan odetchnął głęboko.

- Cóż, słowo „mór” może wywołać panikę. Jeśli powiemy o tym ludziom, to uwierzcie mi, że w pałacu będą o tym wiedzieć, nim tam wrócimy.

- Sądzisz, że i inni się tym zarazili? - spytała. Drefan wzruszył ramionami.

- Wątpię, żeby to był tylko ten jeden przypadek. Musimy pochować lub spalić ciało chłopca, i to natychmiast. Należy spalić pościel, łóżko i wszystko, czego dotykał. Izbę trzeba okadzić.

- Czyż ludzie nie zechcą się dowiedzieć, dlaczego to zrobiono? Czyż nie domyśla się przyczyny? - zapytał Richard.

- Może i tak.

- No to jak można to utrzymać w sekrecie?

- Jesteś lordem Rahlem. Twoje słowo to prawo. Musiałbyś utajnić wszelkie informacje. Aresztować rodzinę i oskarżyć ją o zbrodnię. Trzymać ją pod strażą, dopóki to się nie skończy. Żołnierze musieliby wynieść i spalić ich dobytek oraz zabezpieczyć mieszkanie.

Richard zamknął oczy, nacisnął palcami powieki. Był Poszukiwaczem Prawdy, a nie kimś, kto ją tłumi.

- Nie możemy tego zrobić rodzinie, która właśnie utraciła chłopca. Nie

uczynię tego. Poza tym czyż nie będzie lepiej, jeśli ludzie się dowiedzą? Czyż nie mają prawa wiedzieć, jakie zagraża im niebezpieczeństwo?

Drefan potakująco skinął głową.

- Gdyby to zależało ode mnie, to chciałbym, żeby ludzie wiedzieli. Widziałem mór już wcześniej, w mniejszych miejscowościach. Niektórzy próbowali zataić prawdę, by zapobiec panice, ale sekretu nie dało się utrzymać, gdy ludzie zaczęli umierać.

Richardowi zdawało się, że niebo runęło mu na głowę. Starał się myśleć jasno, lecz wciąż słyszał słowa martwego chłopca: „Ścigają cię wichry”.

- Jeżeli spróbujemy okłamać ludzi, to nie uwierzą już w nic, co im powiemy.

Musimy im powiedzieć prawdę. Mają prawo wiedzieć.

- Zgadzam się z Richardem. Nie powinniśmy oszukiwać ludzi, zwłaszcza że chodzi o coś, co może zagrozić ich życiu - oznajmiła Kahlan.

Drefan skinieniem głowy dał znak, że się z tym zgadza.

- Mamy choć tyle szczęścia, że sprzyja nam pora roku. Mór jest najgorszy podczas letnich upałów. Gdyby to było lato, mógłby się gwałtownie rozszaleć. W chłodnej, wiosennej aurze być może nie zdoła się bardzo rozprzestrzenić. Przy odrobinie szczęścia epidemia będzie niewielka i szybko się skończy.

- Szczęście - mruknął Richard. - Szczęście jest dla marzycieli, a ja niewiem tylko koszmary. Musimy ostrzec ludzi.

Błękitne oczy Drefana spojrzały na każde z nich.

- Rozumiem i zgadzam się. Problem polega na tym, że poza pospiesznym chowaniem zmarłych i paleniem ich rzeczy niewiele można zrobić. Owszem, są i leki, lecz obawiam się, że nie na wiele się przydadzą. Chcę cię również ostrzec, że wieść o morze rozprzestrzenia się jak pożoga.

Richard dostał gęsiej skórki.

Wraz z czerwonym księżycem rozszaleje się ogień.

- Oszczędźcie nas, drogie duchy - wyszeptała Kahlan, myśląc o tym samym co on.

Chłopak się poderwał.

- Yonicku. - Przeszedł przez izbę, żeby chłopiec nie zbliżył się do martwego brata.

- Tak, lordzie Rahlu? - spytał i zmarszczył czoło, starając się powstrzymać łzy.

Richard przyklęknął na jedno kolano, po czym położył dłonie na ramionach chłopca.

- Tak mi przykro, Yonicku. Ale twój brat już nie cierpi. Teraz jest wśród dobrych duchów. Trwa w spokoju i ma nadzieję, że będziemy pamiętać wszystkie dobre chwile, które z nim spędziliśmy, i że nie będziemy się znanadto smucić. Dobre duchy będą nad nim czuwać.

Yonick odgarnął jasne włosy.

- Ale... ja...

- Nie chcę, żebyś miał do siebie pretensje. Nie można było nic zrobić. Nic. Czasami ludzie chorują i nikt z nas nie ma mocy, żeby ich uzdrowić. Teraz też nikt nie mógłby nic poradzić. Nic byśmy nie poradzili nawet wtedy, gdybyś mnie tu sprowadził za pierwszym razem.

- Przecież masz magiczną moc. Richard miał w sercu rozpacz.

- Lecz nie na to - wyszeptał. Na chwilę przytulił Yonicka. W drugiej izdebce matka płakała na ramieniu Rainy. Nadine szykowała dla płaczącej jakieś zioła i udzielała jej pouczeń. Kobieta słuchała, łkała i potakiwała głową wspartą o ramię Rainy. - Potrzebuję twojej pomocy, Yonicku. Muszę zobaczyć pozostałych chłopców z drużyny Ja'La. Mógłbyś mnie do nich zaprowadzić?

Yonick otarł nos rękawem.

- A po co?

- Boję się, że i oni mogli zachorować. Musimy się tego dowiedzieć.

Yonick obejrzał się na matkę; w jego spojrzeniu była troska, którą przemilczał. Richard przywołał gestem Carę.

- Gdzie twój ojciec, Yonicku?

- Jest folusznikiem. Pracuje trzy przecznice dalej, po prawej. Wraca późno z pracy.

Richard wstał.

- Weź kilku żołnierzy, Caro, i sprowadź ojca Yonicka. Powinien być teraz z żoną. Niech dziś i jutro popracuje za niego kilku żołnierzy i niech się jak najlepiej postarają, żeby rodzina nie straciła dochodu. Powiedz Rainie, żeby została tu aż do powrotu mężczyzny. To nie powinno długo potrwać, potem nas dogoni.

U stóp schodów Kahlan złapała Richarda za ramię, przytrzymała i poprosiła Drefana oraz Nadine, by zaczekali na zewnątrz.

Cara poszła po ojca chłopca. Dziewczyna zamknęła drzwi i została sama z Richardem u podstawy słabo oświetlonych schodów. Drżącymi palcami otarta łzy z policzków, ale z zielonych oczu popłynęły nowe.

- Richardzie. - Przełknęła ślinę, z trudem chwytając oddech. - Nie wiedziałam, Richardzie. Był Marlin i Siostra Mroku... nie miałam pojęcia, że brat Yonicka jest aż tak poważnie chory Inaczej nigdy bym...

Richard ostrzegawczo uniósł palec, żeby ją uciszyć, lecz lęk w jej oczach uświadomił mu, że uciszyło ją gniewne spojrzenie.

- Nie waż się potwierdzać usprawiedliwieniami okrutnych kłamstw Nadine.

Znam cię i nigdy nie uwierzyłbym w takie opowiadki. Nigdy.

Kahlan z ulgą zamknęła oczy i przytuliła się do piersi chłopaka.

- To biedne dziecko - załkała.

Przesunął dłonią po jej długich, gęstych włosach.

- Wiem.

- Oboje słyszeliśmy, Richardzie, co chłopiec powiedział już po śmierci.

- To kolejne ostrzeżenie, że zbezczeszczono Świątynię Wichrów. Odsunęła się. Zielone oczy poszukały oczu Richarda.

- Musimy powtórnie wszystko rozważyć, Richardzie. To, co powiedziałeś mi o Świątyni Wichrów, pochodzi tylko z jednego źródła i to nieoficjalnego. To tylko pamiętnik spisywany przez człowieka, który chciał mieć jakieś zajęcie podczas strzeżenia sylfy. Na dodatek przeczytałeś jedynie pewne jego partie, a to jest napisane w bardzo trudnym do tłumaczenia języku. Bardzo możliwe, że opierając się na owym pamiętniku, wyrobiłeś sobie mylne zdanie o Świątyni Wichrów.

- Nie wiem, czy zgodziłbym się...

- Jesteś przeraźliwie zmęczony. Nie potrafisz logicznie myśleć. Teraz oboje znamy prawdę. Świątynia Wichrów wcale nie stara się przesłać ostrzeżenia: ona stara się ciebie zabić.

Richard spojrział na zatroskaną twarz Kahlan i milczał przez chwilę. W oczach dziewczyny dostrzegł nie tylko żal, ale i niepokój. Niepokój o niego.

- Z pamiętnika Kolo bynajmniej coś takiego nie wynika. Na podstawie tego, co przeczytałem, uważani, że czerwony księżyc to ostrzeżenie, iż zbezczeszczono Świątynię Wichrów. Kiedy wcześniej pojawił się czerwony księżyc...

- Kolo napisał, że wszyscy byli poruszeni. Nie tłumaczy tego wzburzenia, prawda? Może chodziło o to, że świątynia próbowała ich zabić. Kolo napisał również, że zdradziła ich grupa, która odesłała Świątynię Wichrów. Spójrz faktom w oczy, Richardzie. Martwy chłopiec dopiero co przekazał pogroźkę od Świątyni Wichrów.

Powiedział: „Ścigają cię wichry”, powiedział, że wichry poluje na ciebie. Polujesz, kiedy chcesz zabić. Świątynia Wichrów cię ściga, poluje na ciebie. Ona próbuje cię zabić.

- Więc dlaczego zabiła chłopca zamiast mnie? Na to Kahlan nie znalazła odpowiedzi.

Błękitne oczy Drefana, błękitne oczy Rahla Posępnego obserwowały w zaułku Richarda i Kahlan, wracających po rzuconych w błoto deskach. W oczach tych przez mgnienie widać było głęboki namysł. Richard domyślał się, że uzdrowiciele powinni być bystrymi obserwatorami, lecz oczy brata sprawiały, iż czasami czuł się, jakby był nagi. Przynajmniej jednak nie dostrzegał w nich magii.

Nadine i Yonick czekali w milczeniu, pełni niepokoju. Richard szepnął do Kahlan, żeby poczekała z Drefanem i Yonickiem. Ujął ramię Nadine.

- Pójdiesz ze mną na chwilkę, Nadine?

- Jasne, Richardzie - powiedziała i uśmiechnęła się doń promiennie.

Pomógł jej wejść do przedsionka. Zamknął drzwi, a ona w tym czasie nerwowo poprawiała włosy. Richard odwrócił się ku uśmiechniętej Nadine i tak mocno pchnął ją na ścianę, że aż straciła oddech. Odsunęła się od muru.

- Richardzie...

Złapał ją za gardło, ponownie rzucił nią o ścianę i przytrzymał.

- My nigdy się nie pobierzemy. - Magia miecza, jego furia, wsączała się w głos chłopaka i krążyła w jego żyłach. - Nigdy się nie pobierzemy. Kocham Kahlan.

Zamierzam się z nią ożenić. Tylko dlatego wciąż jeszcze tu przebywasz, że w jakiś sposób jesteś wplątana w te sprawy. Pozostaniesz tu dopóty, dopóki tego nie zrozumiemy. Mogę ci wybaczyć i wybaczyłem ci to, co mi uczyniłaś, lecz jeśli znów rozmyślnie zrobisz lub powiesz coś bolesnego dla Kahlan, to resztę pobytu w Aydindril spędzisz w lochu. Rozumiesz?!

Nadine dotknęła czule jego ramienia. Uśmiechnęła się wyrozumiale, jakby uznała, że nie w pełni pojął sytuację i trzeba mu ją wyjaśnić.

- Wiem, Richardzie, że jesteś teraz zdenerwowany, bo każdy jest, ale ja tylko starałam się ciebie ostrzec. Nie chciałam, żebyś nie wiedział o tym, co zaszło.

Chciałam, byś poznał prawdę o tym, co ona...

Richard raz jeszcze uderzył nią o ścianę.

- Zrozumiałaś, co powiedziałem?! Nadine przez chwilę obserwowała jego oczy.

- Tak - odparła, jakby wierząc, że nie ma mu co tego tłumaczyć, dopóki nie ochłonie.

To jeszcze bardziej rozwścieczyło Richarda. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad furją, by zdołać wytłumaczyć Nadine, że nie tylko gniew nim kieruje i że powiedział, co naprawdę myśli.

- Wiem, że masz wiele dobrych cech, Nadine. Wiem, że troszczysz się o ludzi.

Tam, w Hartlandzie, byliśmy przyjaciółmi, więc poprzestanę na ostrzeżeniu. Lepiej poważnie potraktuj moje słowa. Szykują się kłopoty. Mnóstwo ludzi będzie potrzebowało pomocy. A ty zawsze chciałaś pomagać ludziom. Teraz masz okazję to uczynić. Mogę skorzystać z twojej pomocy, jednak to Kahlan jest kobietą, którą kocham i z którą zamierzam się ożenić. Nie życzę sobie, byś starała się to zmienić lub próbowała ją ranić. Jeśli choć o tym znów pomyślisz, to znajdę inną zielarkę, która nam pomoże. Jasne?

- Tak, Richardzie. Co tylko chcesz. Obiecuję. Skoro to jej naprawdę pragniesz, to nie będę się wtrącać, nieważne, jak błędne...

Chłopak ostrzegawczo uniósł palec.

- Twoja stopa dotyka linii, Nadine. Przysięgam, że jeśli ją przekroczysz, nie będzie już odwrotu.

- Tak, Richardzie. - Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, cierpliwie i pobłażliwie.

Wyglądała na zadowoloną, że poświęcił jej tyle uwagi. Przypominała Richardowi dziecko, które specjalnie źle się zachowuje, żeby ukochani rodzice je zauważyli. Patrzył na nią gniewnie, dopóki nie przekonał się, że nie odważy się odezwać, i dopiero wtedy otworzył drzwi.

Przykucnięty Drefan pocieszał Yonicka, trzymając dłoń na ramieniu chłopca.

Zielone oczy Kahlan patrzyły, jak Nadine sięga po dłoń Richarda, żeby

wesprzeć się na niej przy wchodzeniu na wąską, rzuconą w błoto deskę.

- Drefanie, muszę z tobą porozmawiać o czymś, co tam powiedziałeś - odezwał się Richard, kiedy do nich dołączył.

Uzdrowiciel pogładził Yonicka po plecach i wstał.

- O czym?

- Po pierwsze o tym, dlaczego chciałeś, żeby Cara i Raina wyprowadziły mnie stamtąd. Chcę wiedzieć dlaczego.

Drefan przez chwilę patrzył na Richarda, a potem spojrział na Yonicka.

Rozchylił pelerynę i zaczepił ją za jedną z wiszących u pasa skórzanych sakiewek.

Otworzył sakiewkę wiszącą na przedzie pasa i wysypał na kawałek papieru trochę jakiegoś proszku. Złożył ów papier i podał chłopcu.

- Mógłbyś to zanieść mamie, Yonicku, zanim pójdziemy do tamtych chłopców? Powiedz jej, żeby przez kilka godzin zaparzała to w gorącej wodzie, a potem precedziła i dała wieczorem tę herbatkę wszystkim domownikom. To doda sił waszej rodzinie.

Yonick spojrział na trzymany w dłoni papier.

- Pewnie. Powiem to mamie i zaraz wracam.

- Nie spiesz się. Zaczekamy na ciebie - rzucił Drefan. Richard patrzył, jak Yonick zamyka drzwi.

- No dobrze, wiem, że chciałeś, bym stamtąd wyszedł, żebym nie zaraził się morem od chorego chłopca. Ale to groziło nam wszystkim, nieprawdaż?

- Tak, lecz nie wiem, w jakim stopniu. Jesteś lordem Rahlem, więc chciałem, żebyś znalazł się tak daleko od zagrożenia, jak to tylko możliwe.

- Jak można się zarazić morem?

Drefan spojrział na Kahlan i Nadine, a potem na Ulica i Egana oraz żołnierzy pilnujących wejścia do zaułka. Głęboko zaczerpnął powietrza.

- Nikt nie wie, w jaki sposób mór przenosi się z jednej osoby na drugą ani czy istotnie tak się szerzy. Są i tacy, którzy wierzą, że to dotyka nas gniew duchów i że to duchy decydują, kogo nim porażą. Inni utrzymują, że to wyziewy zakażają powietrze w danym miejscu, mieście i zagrażają wszystkim. Jeszcze inni twierdzą, że morem można się zarazić jedynie poprzez wdychanie potu chorej osoby. Mogę tylko zakładać, że to tak jak z ogniem: im bliżej niego stoisz, tym większe niebezpieczeństwo ci zagraża. Nie chciałem, żebyś znalazł się zbyt blisko niebezpieczeństwa, ot i wszystko.

Richard był tak zmęczony, że aż go mdliło. Jedynie przerażenie trzymało go na nogach. Kahlan też była blisko chłopca.

- Czyli twierdzisz, że wszyscy mogliśmy się zarazić, i to tylko dlatego, że byliśmy w tym samym domu co ktoś chory.

- To możliwe.

- Lecz rodzina chłopca nie zaraziła się, mimo że mieszkała razem z nim.

Matka się nim zajmowała. Czyż przynajmniej ona nie zaraziłaby się, gdybyś miał rację?

Drefan rozważył słowa brata.

- Kilka razy widziałem izolowane ogniska moru. Pewnego razu, gdy byłem młodym uczniem, poszedłem ze starszym uzdrowicielem do miasta Castaglen Crossing, które nawiedził mór. W nim nauczyłem się większości tego, co wiem o tej chorobie. Zaczęła się, kiedy za mury wjechał kupiec z wozem towaru. Opowiadano, że gdy przyjechał, kaszłał, wymiotował i skarżył się na okropne bóle głowy. Innymi słowy mówiąc, był już chory na mór, nim zjawił się w Castaglen Crossing. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie się zaraził. Może napił się zakażonej wody albo zatrzymał się u chorego farmera, a może to duchy postanowiły porazić go morem. Mieszkańcy miasta, którzy chcieli wyświadczyć zaufanemu kupcowi przysługę, umieścili go w izbie, w której następnego ranka zmarł. Przez pewien czas nic im nie było, więc myśleli, że niebezpieczeństwo minęło. Szybko zapomnieli o człowieku, który zmarł pośród nich. Zamieszanie wywołane chorobą i zgonami sprawiło, że doniesienia bardzo się różniły, lecz po przybyciu na miejsce zdołaliśmy ustalić, iż pierwszy mieszkaniec miasta zachorował na mór jakieś czternaście dni, a według innych po dwudziestu dniach od zjawienia się kupca. Richard zamyślił się, skubiąc dolną wargę.

- Kilka dni temu, podczas rozgrywek Ja'La Kip był w dobrej formie, co mogłoby oznaczać, że tak naprawdę zachorował jakiś czas przedtem.

Richard był szczerze przejęty śmiercią chłopca, a mimo to poczuł wielką ulgę, że jego podejrzenia wydają się mało prawdopodobne. Jeżeli Kip zaraził się morem na długo przed rozgrywkami Ja'La, to Jagang nie miał z tym nic wspólnego. Proroctwo też nie wchodziło w grę.

Ale skąd wówczas to ostrzeżenie, że ścigają go wichry?

- To by również oznaczało, że rodzina zmarłego chłopca może się jeszcze

rozchorować. Na razie są zdrowi, lecz mogą już być zarażeni. Tak jak mieszkańcy Castaglen Crossing - dodał Drefan.

- No to wszyscy mogliśmy to złapać, tylko dlatego, żeśmy byli w jednej izbie z chłopcem. Ten ohydny odór był wywołany przez jego chorobę. Może już zaraziliśmy się morem, wdychając ten smrodliwy zapach, ale dowiemy się tego dopiero za kilka tygodni - odezwała się Nadine.

Drefan łypnął na nią protekcjonalnie.

- Nie mogę zaprzeczyć, że jest to prawdopodobne. Czy zamierzasz uciec, zielarko, i spędzić następne dwa lub trzy tygodnie, przygotowując się na śmierć i rezygnując z tego, co zawsze chciałaś robić?

Nadine zadarła brodę.

- Nie. Jestem uzdrowicielką. I chcę pomagać. Twarz Drefana rozjaśnił jego mądry uśmiech.

- To doskonale. Prawdziwy uzdrowiciel stoi ponad złymi zjawami, które przegania.

- Ona może mieć rację - powiedział Richard. - Niewykluczone, że już się zaraziliśmy.

Drefan uniósł dłoń, odganiając obawy.

- Nie możemy pozwolić, by rządził nami strach. Kiedy byłem w Castaglen Crossing, opiekowałem się wieloma śmiertelnie chorymi ludźmi. Byli tak chorzy jak ten malec. Czynił to również uzdrowiciel, który mnie tam zabrał. I nigdy nie zachorowaliśmy. Nigdy nie potrafiłem wymyślić dla moru żadnego schematu.

Każdego dnia dotykaliśmy chorych i wcale się nie zaraziliśmy. Prawdopodobnie dlatego, że tak często stykaliśmy się z chorymi, więc nasze ciała poznały dobrze zarazę i potrafiły się przed nią bronić. Czasami zapadał na mór ktoś z określonej rodziny, a potem chorowali już wszyscy, nawet ci, którzy nie wchodzili do izby z chorymi. Wszyscy zapadali na mór i umierali. Widziałem, jak w innych domach chorowało jedno lub kilkoro dzieci. Umierały, lecz ich matki, które przecież cały czas się nimi opiekowały, pozostawały zdrowe, podobnie jak reszta domowników.

Richard westchnął z rozpaczą.

- To mało przydatne, Drefanie. Może to, może tamto, czasem tak, czasem nie.

Drefan ze znużeniem przetarł twarz dłonią.

- Po prostu opowiadam, co widziałem, Richardzie. Są ludzie, którzy powiedzieliby ci, że to na pewno to lub tamto. Wkrótce na ulicach pojawiają się osoby sprzedające najwspanialsze leki, jedyne środki zapobiegające morowi. To wszystko szarlatani. Ja mówię uczciwie, że nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Czasami wiedza wykracza poza naszą zdolność rozumienia. Jedną z zasad, którymi kierują się uzdrowiciele, mówi, iż mądry człowiek potrafi przyznać, że jego wiedza i umiejętności mają swoje granice oraz że utrzymywanie, iż tak nie jest, przynosi tylko szkody.

- Oczywiście. - Richard poczuł się głupio, uświadomiwszy sobie, że domagał się jednoznacznych informacji, których przecież nie było. - Masz, oczywiście, rację.

Lepiej znać prawdę, niż łudzić się pięknymi kłamstewkami. - Spojrzał w niebo, sprawdzając położenie słońca, ale zasłaniały je gromadzące się chmury. Zaczął wiać wiatr. Na szczęście nie był gorący. Drefan powiedział, że mór najszybciej szerzy się w czasie upałów. Richard znów popatrzył na brata. - Czy znasz jakieś zioła lub w ogóle coś, co mogłoby zapobiec morowi albo go wyleczyć?

- Standardowym środkiem zapobiegawczym jest okadzanie domów, w których ktoś zachorował. Mówi się, że dym może oczyścić powietrze z wyziewów. Są zioła zalecane do okadzania izb chorych. Powiedziałbym, że to mądra przezorność, ale za bardzo bym na to nie liczył. Istnieją też inne zioła, które mogą złagodzić objawy moru: bóle głowy, zaburzenia żołądkowe i tym podobne, lecz żadne ze znanych mi ziół moru nie wyleczy. Chory tak czy owak umrze, tyle tylko, że zioła złagodzą objawy choroby.

Kahlan dotknęła ramienia Drefana.

- Czy umierają wszyscy, którzy się zarażą? Czy wszystkie takie osoby są zgubione?

Drefan uśmiechnął się do niej pogrzipiająco.

- Nie, niektórzy zdrowieją. Początkowo tylko nieliczni, lecz przy końcu epidemii jest ich więcej. Niekiedy, jeżeli infekcja ograniczy się do górnych partii ciała i jad zostanie usunięty, chory zdrowieje, ale przez resztę życia uskarża się na okrutną metodę leczenia.

Richard dostrzegł wychodzącego z domu Yonicka. Otoczył Kahlan ramieniem w pasie i przyciągnął do siebie.

- Czyli możemy już być zarażeni.

Drefan przez chwilę obserwował oczy brata.

- To całkiem możliwe, ale nie wierzę, by istotnie tak było. Richardowi mocno biło serce, jednak nie był to efekt zarażenia morem. Spowodowały to brak snu i lęk.

- A więc chodźmy do domów pozostałych chłopców i przekonajmy się, co tam znajdziemy. Musimy się dowiedzieć tyle, ile tylko zdołamy.

ROZDZIAŁ 30

Pierwszy chłopiec, do którego zaszli, Mark, był w dobrym zdrowiu. Ucieszył się, gdy zobaczył Yonicka, i dopytywał się, dlaczego przez ostatnie kilka dni nie widział ani jego, ani jego brata, Kipa. Dostojni obcy, którzy pojawili się u drzwi i wypytywali o zdrowie Marka, wystraszyli jego młodą matkę. Richard odczuł ulgę, przekonawszy się, że Mark, który brał udział w grze Ja'La wraz z Yonickiem i jego bratem, jest zdrowy.

Jak dotąd zachorował tylko jeden chłopiec, który grał w Ja'La. Coraz bardziej wyglądało na to, że obawy Richarda co do Jaganga były pochojne. Chłopak poczuł przypływ nadziei.

Yonick opowiedział osłupiałemu koledze o śmierci Kipa, a Richard nakazał matce, by posłała po Drefana, jeżeli rozchoruje się ktoś z rodziny. Opuścił ich dom w o wiele lepszym nastroju.

Drugi chłopiec, Sidney, zmarł rankiem.

Kiedy zaś znaleźli trzeciego chłopca, otulonego w koce i leżącego w tyle jedynej izby, nadzieje Richarda się rozwiały.

Bert był ciężko chory, ale przynajmniej najbardziej zewnętrzne części ciała nie były jeszcze czarne jak u Kipa. Matka chłopca powiedziała im, że syn ma bóle głowy i wymiotuje. Drefan obejrzał małego, a Nadine dała jej zioła.

- Rzuć je na ogień - nakazała matce Berta. - To bylica, koper i jałowiec. Ich dym pomoże przegnać chorobę. Przenieś rozgrzane węgle ku swojemu chłopcu, rzuć na nie szczyptę ziół i kieruj dym w stronę synka, żeby wciągnął w płuca sporą jego ilość. To pomoże wyciągnąć zeń chorobę.

- Uważasz, że to naprawdę pomoże? - szepnął Richard, gdy Nadine ponownie znalazła się u jego boku, przy chorym chłopcu. - Drefan mówi, że nie jest tego pewny.

- Uczono mnie, że to powinno pomóc w ciężkiej chorobie takiej jak mór - odparła cicho. - Ale nigdy przedtem nie widziałam nikogo chorego na mór, to i nie mogę być tego pewna. Tylko to umiem robić, Richardzie. Muszę próbować.

Chłopak, choć przeraźliwie zmęczony i dręczony bólem głowy, bez trudu wyczuł w jej głosie bezradność. Chciała nieść pomoc. A jak powiedział

Drefan, może się to na coś przyda.

Richard obserwował, jak Drefan wyciąga nóż z pochwy u pasa. Uzdrowiciel dał znak Carze i Rainie, które dołączyły do nich po wykonaniu polecenia Richarda, żeby przytrzymały chorego chłopca. Raina jedną ręką złapała małego za brodę, a drugą oparła mu na czole. Cara unieruchomiła jego ramiona. Drefan pewnym ruchem naciął obrzmienie widoczne z boku szyi Berta. Wrzaski dziecka szarpały Richardowi nerwy, wydawało mu się, że nóż tnę jego szyję. Matka chłopca patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami, załamując ręce.

Richard przypomniał sobie słowa Drefana, że jeśli taka osoba przeżyje, przez całe życie będzie się uskarżać na przeraźliwie bolesną terapię. I Bert będzie miał po temu powód.

- Co dałaś matce Kipa? - spytała Kahlan Nadine.

- Dałam jej trochę ziół, żeby okadziła dom. Takie same zioła wręczyłam tej kobiecie - odparła zielarka. - I przygotowałam jej woreczek z szyszkami chmielu, lawendą, krwawnikiem oraz liśćmi melisy. Ma to włożyć w poduszkę, żeby mogła spać. Chociaż i tak nie wiem, czy będzie mogła po... - Odwróciła oczy. - Wiem, że ja bym nie mogła - wyszeptła, jakby do siebie.

- Masz jakieś zioła, które pomogłyby zapobiec morowi? - spytał Richard. - Coś, co sprawiłoby, że ludzie nie zarażaliby się?

Nadine obserwowała, jak Drefan ocierał szyję chłopca z krwi i ropy.

- Przykro mi, Richardzie, ale za mało o tym wiem. Drefan może mieć rację, on chyba mnóstwo wie. Rzeczywiście może nie być ani lekarstwa, ani środka zapobiegawczego.

Richard podszedł do chłopca, przykucnął obok Drefana i patrzył, co robi jego brat.

- Dlaczego to robisz?

Drefan obejrzał się nań, znalazł czyste miejsce na szmatce.

- Jak już mówiłem, czasem chorzy zdrowieją, jeśli się uda ściągnąć chorobę ku głowie i usunąć jad. Muszę tego spróbować.

Uzdrowiciel znów skinął na obie Mord-Sith. Ponownie chwyciły chłopca.

Richard drgnął, patrząc, jak Drefan głębiej wbija nóż w obrzmienie, z którego wypływało więcej krwi i żółtawobiałej cieczy. Bert na szczęście zemdlał. Chłopak otarł pot z czoła. Czuł się bezradny. Miał miecz, który pozwalał bronić się przed atakiem, lecz tutaj miecz nie pomoże. Szkoda, że

mór to coś, z czym nie można walczyć orężem. Za jego plecami Nadine odezwała się do Kahlan cicho, ale tak, żeby Richard to usłyszał:

- Przepraszam cię, Kahlan, za to, co przedtem powiedziałam. Poświęciłam życie pomaganiu innym. Bardzo mnie denerwuje patrzenie, jak ludzie cierpią. To dlatego byłam zła. Nie na ciebie. Wyprowadził mnie z równowagi żal Yonicka i wyładowałam się na tobie. A to przecież nie była twoja wina. Nic nie można było zrobić. Przepraszam cię.

Richard się nie odwrócił. Kahlan nic nie odpowiedziała, ale mogła się przecież uśmiechnąć do Nadine na znak, że przyjmuje przeprosiny.

Jednak Richard wątpił, by to uczyniła.

Znał Kahlan i wiedział, że od innych wymagała tyle samo, ile od siebie.

Przebaczenie nie następowało jedynie dlatego, że ktoś o nie prosił. Przewinienia były dokładnie szacowane i okazywało się, że niektóre nie zasługiwały na wybaczenie.

Zresztą przeprosiny i tak nie były skierowane do Kahlan, lecz do Richarda.

Nadine, niczym skarcone dziecko, zachowywała się najgrzeczniej, jak potrafiła, starając się pokazać mu, jaka potrafi być układna. Czasami jakaś część chłopaka była zadowolona z obecności tej kobiety, choć kiedyś sprawiła mu ból. Przypominała mu o domu, o szczęśliwym dzieciństwie. Była znajomą twarzą z beztroskich czasów. Inna część Richarda niepokoiła się o prawdziwy cel przybycia zielarki. Mimo tego, w co wierzyła, decyzji o zjawieniu się tutaj nie podjęła z własnej woli. Ktoś - lub coś - kierowało jej działaniem. A jeszcze inna część Richarda najchętniej obdarłaby ją żywcem ze skóry.

Opuścili dom Berta i Yonick poprowadził ich brukowanym zaułkiem na podwórze za mieszkaniem rodziny Darby'ego Andersona. Niewielkie podwórze, pokryte błotem wymieszonym z wiórami, było zavalone ścinkami i zrzynkami, kilkoma stosami dłużyc osłoniętych nieprzemakalną tkaniną, starymi zardzewiałymi piłami-poprzecznicami, dwoma stołami roboczymi oraz wypaczonymi, pękniętymi lub wygiętymi deskami, które były oparte o ściany budynków.

Darby rozpoznał Richarda i Kahlan z rozgrywek Ja'La. Zdumiał się, że go odwiedzili. To, że przyszli popatrzeć na grę w Ja'La, było powodem do wielkiej dumy, lecz to, że odwiedzili go w domu, przekraczało najśmielsze

marzenia. Darby energicznie otrzepał z trocin krótkie kasztanowe włosy i brudne robocze ubranie.

Yonick opowiedział Richardowi, że cała rodzina Andersonów - Darby, jego dwie siostry, ich rodzice, dziadkowie i ciotka - mieszka nad warsztatem. Clive Anderson, ojciec Darby'ego, i Erling, dziadek chłopca, wytwarzali krzesła. Obaj mężczyźni usłyszeli gwar i podeszli do szerokich dwuskrzydłowych drzwi, a teraz się kłaniali.

- Wybaczcie nam, Matko Spowiedniczko i lordzie Rahlu, że nie poczyniliśmy żadnych przygotowań, ale nie wiedzieliśmy, że się zjawicie. Kazałbym żonie choć herbatę zrobić. Jesteś my tylko skromnymi ludźmi - powiedział Clive, kiedy Darby go przedstawił.

- Nie kłopotz się niczym, mistrzu Andersonie - pocieszył go Richard. - Przyszliśmy, bo się niepokoiimy o twego syna.

Dziadek Erling postąpił krok ku Darby'emu.

- Co chłopak zbroił?

- Nie o to chodzi - wyjaśnił Richard. - Masz wspaniałego wnuka. Kilka dni temu patrzyliśmy, jak gra w Ja'La. Jeden z chłopców zachorował. Co gorsza, dwaj inni nie żyją.

Darby szeroko otworzył oczy.

- Nie żyją? Którzy?

- Kip - wykrztusił z trudem Yonick.

- I Sidney - dodał Richard. - A Bert jest bardzo chory. Darby był wstrząśnięty.

Dziadek uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

- Mój brat, Drefan - Richard wskazał go gestem - jest uzdrowicielem.

Sprawdzamy wszystkich chłopców z drużyny grającej w Ja'La. Nie wiemy, czy Drefan zdoła pomóc, ale chciałby spróbować.

- Nic mi nie jest - powiedział drżącym głosem Darby. Erling, nie ogolony, kościsty mężczyzna, miał tak połamane zęby, że Richard zastanawiał się, jak gryzie stawę. Zobaczył, że wiatr rozwiewa złocistą pelerynę Richarda i szarpie białą szatą Kahlan, i wskazał na warsztat.

- Może zechcielibyście wejść do środka? Mocno dziś wieje. W środku, pod osłoną, jest cieplej. Jak tak dalej pójdzie, to pewno nocą spadnie śnieg.

Ulic i Egan stanęli w pobliżu tylnej bramy. Żołnierze kręcili się w zaułku.

Richard, Kahlan, Nadine i Drefan weszli do warsztatu. Cara i Raina

wśliznęły się za nimi, ale zostały przy drzwiach.

Na kołkach wbitych w zakurzone ściany wisiały stare krzesła i szablony. We wszystkich kątach były pajęczyny - w lesie osiadałaby na nich rosa, tu osiadały trociny. Na warsztacie leżały sklepane fragmenty krzesel, piła z ostrzem o gęsto ustawionych zębach, rozmaite niniejsze heble oraz dłuta. Na ścianie za warsztatem przymocowano większe heble, na przykład spustniki, młotki i inne narzędzia.

Na podłodze ustawiono częściowo wykończone krzesła, powiązane sznurem lub schnące w specjalnych zaciskach. Kozioł do piłowania podtrzymywał jesionowe polano, które dziadek obrabiał strugiem, zanim goście zjawili się na podwórzu.

Clive, młody mężczyzna o szerokich barkach, wydawał się zadowolony, że jego ojciec przejął inicjatywę.

- Na co chorują te dzieciaki? - spytał Erling Drefana. Drefan odchrząknął, lecz pozwolił odpowiedzieć Richardowi. Chłopak był tak zmęczony, że ledwo trzymał się na nogach.

Wydawało mu się, że śpi i że to wszystko jest jedynie złym snem.

- To mór. Cieszę się, że Darby'emu nic nie dolega. Erling rozdziawił usta.

- Oszczędźcie nas, drogie duchy! Clive pobladł.

- Córki są chore.

Odwrócił się gwałtownie i pobiegł ku schodom, ale przystanął.

- Czy zechcielibyście je obejrzeć, mistrzu Drefanie?

- Oczywiście. Prowadź.

Na górze matka Darby'ego, jego babka i ciotka szykowały paszteciki z mięsem. W kociołku zawieszonym nad paleniskiem gotowały się rzepy i para pokryła wszystkie okna.

Trzy kobiety, zaalarmowane okrzykami Clive'a, czekały pośrodku największej izby. Były zaszokowane widokiem obcych, ale natychmiast się skłoniły, kiedy zobaczyły białą szatę Kahlan. Dziewczyny ubranej w białą szatę Matki Spowiedniczki nie trzeba było przedstawiać nikomu w Aydindril i w niemal całych Midlandach.

- To mistrz Drefan, Hattie. Jest uzdrowicielem i przyszedł obejrzeć dziewczynki.

Hattie - kobieta o krótkich, rudawoblond, obwiązanych chustką włosach - wytarła dłonie w fartuch. Powiodła wzrokiem po wszystkich, którzy tak

nagle zjawili się w jej domu.

- Dziękuję. Tędy proszę.

- Jak się czują? - zapytał Drefan matkę prowadzącą ich do sypialni.

- Beth od wczoraj skarży się, że boli ją głowa - odparła Hattie. - A wcześniej bolał ją brzuch. Zwykle dziecięce choroby i tyle. - W uszach Richarda zabrzmiało to raczej jak błaganie, a nie stwierdzenie faktu. - Dałam jej trochę naparu z czarnej szanty.

- To znakomicie - zapewniła ją Nadine. - Dobrze by też zrobił napar z mięty polnej. Mam trochę tego zióła ze sobą i zostawię ci, na wypadek gdyby tego potrzebowała.

- Dziękuję za uprzejmość - powiedziała Hattie, coraz bardziej zatroskana.

- A druga dziewczynka? - spytał Drefan. Kobieta była już prawie przy drzwiach.

- Lily nie tyle jest chora, ile nie w humorze. Podejrzewam, że chce zwrócić na siebie uwagę, bo starsza siostra dostaje słodkiej herbatki i wszyscy się nią zajmują.

Dzieci takie już są. Ma na nóżkach małe, okrągłe plamy.

Drefan się potknął.

Beth miała gorączkę, ale niezbyt wysoką. Kaszłała, odkrztuszała i skarżyła się na ból głowy. Drefan nie zwracał na nią uwagi. Uważnie obserwował Lily, opatuloną kocami i żywo rozmawiającą ze swoją szmacianą lalką.

Babka skubała kołnierzyk i patrzyła od drzwi, jak Hattie poprawia okrycia Beth. Ciotka otarła czoło dziewczynki wilgotnym płótnem, a Nadine przemawiała do niej pocieszająco. Nadine naprawdę potrafiła być kojąca i życzliwa. Wybierała zioła ze skórzanych woreczków, które wyjmowała z torby, owijała je w kawałki płótna i udzielała wskazówek uważnie słuchającej matce.

Richard i Kahlan podeszli wraz z Drefanem do młodszej dziewczynki. Kahlan przykucnęła i mówiła do niej, zachwycając się śliczną lalką, żeby mała nie wystraszyła się Richarda i Drefana. Lily paplała z Kahlan i rzucała obu mężczyznom wystraszone spojrzenia. Dziewczyna objęła Richarda ramieniem w pasie, by dać dziecku do zrozumienia, że nie trzeba się go bać. Richard zdołał się uśmiechnąć do dziewczuszki.

- Lily, mogłabyś mi pokazać guzki twojej lalki? - zapytał Drefan z udaną wesołością.

Lily odwróciła lalkę główką w dół i wskazała plamki na wewnętrznej stronie jej ud.

- Ma bolaki tu, tu i tu. - Patrzyła na Drefana dużymi, okrągłymi oczami.

- I bolą ją? Potaknęła.

- Mówi „oj”, jak ich dotykam.

- Naprawdę? To źle. Założę się, że raz-dwa wyzdrowieje. - Przykucnął, żeby nie górować za bardzo nad małą, i pociągnął za sobą Kahlan, otoczywszy ją w talii ramieniem. - To moja przyjaciółka Kahlan, Lily. Nie ma za dobrych oczu. Nie widzi guzków na nóżkach twojej lalki. Mogłabyś pokazać Kahlan te na swoich nóżkach?

Nadine wciąż rozmawiała z matką o starszej dziewczynce. Lily spojrzała ku nim.

Kahlan odgarnęła do tyłu włoski małej i jeszcze raz powiedziała, jaka ładna jest lalka. Dziecko się uśmiechnęło. Fascynowały je długie włosy Kahlan.

Dziewczyna pozwoliła małej ich dotknąć.

- Możesz mi pokazać bolaki na swoich nóżkach? - spytała Kahlan.

Lily uniosła białą nocną koszulkę.

- O, takie same jak bolaki mojej lalki.

Na wewnętrznej stronie obu ud widać było kilka ciemnych plamek wielkości monety. Drefan dotknął ich ostrożnie, a Richard wiedział już, że są twarde, Kahlan obciągnęła nocną koszulkę dziewczuszki i okryła jej nóżki kocem, a Drefan poklepał ją po policzku, chwając, jaką to jest grzeczną dziewczynką, i obiecując, że guzki lalki do rana znikną.

- To dobrze, bo one się jej nie podobają - odparła Lily. Erling z roztargnieniem heblował umieszczone na warsztacie siedzenie krzesła. Richard zorientował się, że mężczyzna w ogóle nie zwraca uwagi na to, co robi, i niszczy je. Clive, ustąpiwszy naleganiom chłopaka, został na górze z żoną i córkami.

- Złapały to? - spytał ochryple Erling.

- Obawiam się, że tak. - Drefan pokrzepiająco położył rękę na ramieniu starego.

Stolarz szarpnął strug drżącą dłońią.

- Jak zem był młody, tom mieszkał w Sparlville. I pewnego lata pojawił się mór. Zabrał sporo ludzi. Miałem nadzieję, że już nigdy czegoś takiego nie zobaczę.

- Rozumiem. I ja widziałem, jak mór nawiedza miasta - powiedział łagodnie Drefan.

- To moje jedyne wnuczki. Co możemy zrobić, żeby im pomóc?

- Możecie okadzić dom - zasugerował uzdrowiciel. Erling chrząknął.

- Robiliśmy tak w Sparlville. Kupowaliśmy też lekarstwa i środki zaradcze, ale ludzie i tak umierali.

- Wiem - rzucił Drefan. - Bardzo bym chciał jakoś pomóc, lecz nigdy nie słyszałem o skutecznym leku. Jeśli pamiętasz, by coś pomogło na mór, wtedy gdy byłeś młody, to wypróbuj to. Nie znam przecież wszystkich leków. W najlepszym wypadku to naprawdę pomoże, w najgorszym i tak nie zaszkodzi.

Erling odłożył hebel.

- Niektórzy ludzie palili tego lata ognie, by przepędzić chorobę z krwi. Inni zaś mówili, że letnie upały i gorączka za bardzo rozgrzewają im krew, i próbowali wachlować swoich bliskich, żeby ją ochłodzić. Co byś doradzał?

Drefan potrząsnął głową.

- Przepraszam, ale nie wiem. Słyszałem o ludziach zdrowiejących po zastosowaniu jednej lub drugiej metody, lecz słyszałem i o takich, którzy wtedy umierali. Na niektóre sprawy nie mamy wpływu. Nikt nie umknie spod ręki Opiekunowi, kiedy ten nadchodzi.

Erling potarł podbródek.

- Będę się modlić, żeby dobre duchy oszczędziły dziewczynki. - Głos uwiązał mu w krtani. - Są zbyt dobre, zbyt niewinne, by Opiekun już teraz dotknął ich swoją ręką. Wniosły tak wiele radości do tego domu i tej rodziny.

Drefan znów położył dłoń na ramieniu starca.

- Przykro mi, mistrzu Andersonie, ale Lily ma na ciałku znaki.

Erling wstrzymał oddech i złapał się warsztatu. Drefan się tego spodziewał i zdążył go podtrzymać, kiedy pod Andersonem ugięły się kolana. Pomógł stolarzowi usiąść na kozle.

Kiedy Erling zasłonił dłońmi zalane łzami policzki, Kahlan odwróciła twarz i ukryła ją na ramieniu Richarda. Richard stał jak sparalizowany.

- Co się stało, dziadku? - zawołał ze schodów Darby. Erling stanął o

własnych siłach.

- Nic, chłopcze. Martwię się o twoje siostry i tyle. Starzy ludzie często nie mają rozsądku, ot i wszystko.

Chłopiec zszedł ze schodów, już uspokojony.

- Naprawdę mi przykro z powodu Kipa, Yonicku. Jeśli twój ojciec czegoś potrzebuje, to mój tata na pewno pozwoli mi iść pomóc.

Yonick potakująco skinął głową. I on sprawiał wrażenie oszołomionego.

Richard przykucnął przed chłopcami.

- Czy któryś z was zauważył coś dziwnego podczas gry Ja'La?

- Dziwnego? - zapytał Darby. - Jak co? Richard przeczesał włosy palcami.

- Bo ja wiem. Rozmawialiście z kimś obcym?

- Pewnie - odparł Darby. - Tam było mnóstwo ludzi, których nie znamy.

Żołnierze patrzyli na grę. Masa nie znanych mi ludzi przyszła nam pogratulować, jak wygraliśmy.

- Czy ktoś z nich zwrócił waszą uwagę? Czy w kimś było coś osobliwego?

- Widziałem, jak Kip rozmawiał po grze z mężczyzną i kobietą - odezwał się Yonick. - Pewno mu po prostu gratulowali. Pochylali się do niego, coś mówili i coś mu pokazywali.

- Pokazywali mu coś? Co?

- Żałuję, ale nie widziałem. Mnóstwo żołnierzy poklepywało mnie po plecach i gratulowało - odparł chłopak.

Richard starał się nie wystraszyć chłopców pytaniami, ale musiał się dowiedzieć czegoś konkretnego.

- A jak oni wyglądali?

- Bo ja wiem... - powiedział Yonick. Oczywiście miał pełne łez, bo przypomniał sobie, że brat wtedy żył. - Mężczyzna był młody i chudy. Kobieta też była młoda, ale nie tak jak on. Chyba była ładna. Miała kasztanowe włosy. - Wskazał Nadine. - O, podobne do jej, ale nie takie gęste i długie.

Richard popatrzył na Kahlan. Po jej minie poznał, że obawia się tego samego co on.

- Pamiętam ich - wtrącił się Darby. - Moje siostry też rozmawiały z tym mężczyzną i kobietą.

- Ale żaden z was z nimi nie mówił?

- Nie - odparł Darby, a Yonick potrząsnął głową. - Skakaliśmy z radości, że wygraliśmy grę w obecności lorda Rahla. Gratulowało nam wielu

żołnierzy i mnóstwo ludzi, więc nie rozmawialiśmy z tą dwójką.

Richard ujął dłoń Kahlan.

- Kahlan i ja musimy zadać Beth i Lily kilka pytań. Zaraz wrócimy - powiedział do Drefana.

Weszli po schodach przytuleni, szukając w sobie oparcia. Richard obawiał się tego, co może usłyszeć od dziewczynek.

- Ty je wypytaj. Mnie się boją. Z tobą chętniej porozmawiają - szepnęła do Kahlan.

- Sądzisz, że to mogli być oni?

Richard nie musiał pytać, kogo miała na myśli.

- Sam nie wiem. Ale mówiłaś, iż Jagang twierdził, że obserwował grę Ja'La oczami Marlina. Z Marlinem była Siostra Amelia. Coś tu robili.

Chłopak powiedział trzem kobietom, że chcą o coś zapytać dziewczynki.

Matka, babka i ciotka zajęły się swoją robotą, a on i Kahlan weszli do sypialni.

Richard wątpił, czy kobiety poświęcają więcej uwagi swoim mięsnym pasztecikom niż Erling siedzeniu krzesła, które heblował.

- Lily, pamiętasz, jak patrzyłaś na brata grającego w Ja'La? - spytała Kahlan łagodnie i z uśmiechem młodszą dziewczuszkę.

Zapytana potakująco kiwnęła główką.

- Wygrał. Bardzośmy się cieszyli, że wygrał. Tatko powiedział, że Darby zdobył punkt.

- Tak, my też widzieliśmy, jak gra, i też się cieszyliśmy, że wygrał.

Przypominasz sobie dwoje ludzi, z którymi rozmawiałaś? Mężczyznę i kobietę?

Zmarszczyła brwi.

- Jak mama i tatko krzyczeli z radości? Tych kobietę i mężczyznę?

- Tak. Pamiętasz, co ci powiedzieli?

- Beth trzymała mnie za rękę. Zapytali, czy to z brata się cieszymy.

- To prawda - odezwała się z drugiego łóżka Beth i zamilkła, bo złapał ją atak kaszlu. Po chwili atak minął, a ona złapała oddech i podjęła: - Powiedzieli, że Darby naprawdę dobrze grał. Pokazali nam coś ślicznego.

Richard patrzył na nią uważnie.

- Coś ślicznego?

- Coś błyszczącego w pudełku - dodała Lily.

- Właśnie. Pozwolili Lily i mnie na to popatrzeć - powiedziała Beth.

- Co to było?

Beth zmarszczyła brwi, wysilając obolałą główkę.

- To było... to było... Nie wiem dokładnie, co to było. Tkwiło w pudełku tak czarnym, że nie widziało się jego boków. Ta lśniąca rzecz w środku była śliczna.

Lily potwierdziła energicznym kiwnięciem główki.

- Moja lalka też to widziała. I też pomyślała, że to naprawdę śliczne.

- Czy choć się domyślacie, co to mogło być? Obie potrząsnęły główkami.

- Było w pudełku czarnym jak noc. Kiedy się na to patrzyło, miało się wrażenie, że zagłębia się w mroczną dziurę - powiedział Richard.

Obie dziewczynki potwierdziły.

- To przypomina nocny kamień - szepnęła doń Kahlan. Richard doskonale znał ową czerń. Nie tylko nocny kamień był taki - taka była też zewnętrzna okrywa szkatuł Ordenu. Był to do tego stopnia ponury kolor, że zdawał się wsysać całe światło otoczenia. Z doświadczeń chłopaka wynikało, że ów całkowity brak choćby iskierki światła towarzyszył jedynie niezmiernie groźnym rzeczom. Nocny kamień mógł przyciągnąć istoty z zaświatów, a szkatuły Ordenu zawierały magię, która - jeśli się ją wykorzystano do złych celów - potrafiła zniszczyć świat żywych. Szkatuły mogły otworzyć bramę do zaświatów.

- A w środku było coś błyszczącego - podjął Richard. - Czy to przypominało świecę lub płomyk lampki? Tak to świeciło?

- Kolory. To były śliczne kolory - odezwała się Lily.

- Jak barwny blask. Siedziało na białym piasku - dorzuciła Beth.

Siedziało na białym piasku. Richardowi zjeżyły się włosy na karku.

- Jak duże było to pudełko?

Beth pokazała, że miało niecałą stopę.

- Prawie takie na długość. Ale nie było zbyt grube. Przypominało książkę.

Zupełnie jakby otwierali książkę. Tak, to pudełko przypominało mi książkę.

- A czy na tym piasku w środku były wyrysowane linie? Takie jak te, które rysujesz patyczkiem na ziemi?

Beth przytaknęła i znów dopadł ją duszący kaszel. Kiedy w końcu minął, dyszała, z trudem łapiąc powietrze.

- O, właśnie. Równiutkie linie, całkiem jak wzory. Tak to właśnie wyglądało.

To było pudełko albo duża książka, a jak to otwarli, żeby nam pokazać śliczne kolory, to miało w sobie biały piasek z równiutko narysowanymi liniami. Potem zobaczyłyśmy śliczne kolory.

- Chodzi ci o to, że na piasku coś było? To, co wysyłało barwne światło, tkwiło na piasku?

Beth zamrugła, usiłując sobie przypomnieć.

- Nie... to raczej wyglądało tak, jakby światło wychodziło z piasku. - Opadła na łóżko i przetoczyła na bok, najwyraźniej w ataku bólu.

Bólu wywołanego morem. Czarną śmiercią. Z czarnego pudełka.

Richard delikatnie dotknął jej drobnego ramienia i otulił kocem jęczącą z bólu dziewczynkę.

- Dziękuję, Beth. Odpoczywaj teraz i wracaj do zdrowia. Ale drugiej dziewczynce już nie mógł podziękować. Nie dowierzał swojemu głosowi.

Lily też się położyła. Zmarszczyła brwi.

- Jestem zmęczona - nadąsała się, bliska łez. - Źle się czuję. Zwinęła się w kłębek i włożyła kciuk do buzi. Kahlan otuliła ją i obiecała jej poczęstunek, jak tylko mała wyzdrowieje. Dziecko uśmiechnęło się leciutko w odpowiedzi na jej czuły uśmiech. Zobaczywszy to, Richard też się niemal uśmiechnął. Niemal.

Kiedy opuścili dom Andersonów i znaleźli się w zaułku, Richard odciągnął Drefana na bok.

- Co to za znaki? Mówiłeś dziadkowi, że najmłodsza ma znaki na ciałku.

- Te plamki na jej nóżkach zwiemy znakami.

- A dlaczego stary omal nie umarł ze strachu, gdy usłyszał, że mała je ma?

Drefan odwrócił błękitne oczy.

- Ludzie rozmaicie umierają na mór. Nie wiem, dlaczego tak jest. Wyobrażam sobie, że ma to coś wspólnego z siłą organizmu. Aura każdego człowieka ma odmienną moc i inne słabe punkty. Mór na szczęście rzadko się zdarza, więc nie widziałem na własne oczy wszystkich rodzajów śmierci, jakie powoduje. Część wiedzy, którą dysponuję, zaczerpnąłem z zapisków przechowywanych przez Raug'Moss. Widywałem mór w małych, odosobnionych miejscowościach. W przeszłości, przed wieloma wiekami, zdarzały się wielkie epidemie w dużych miastach. Wyczytałem to z

zapisków. Niektórzy ludzie nagle się rozchorowują: mają bardzo wysoką gorączkę, przeraźliwe bóle głowy, wymioty, palące bóle pleców.

Zanim umrą, szaleją ze strasznego bólu przez wiele dni, a nawet tygodni. Nieliczni zdrowieją. Beth tak choruje. Jeszcze się jej bardzo pogorszy. Widziałem ludzi z taką jak jej chorobą, którzy wyzdrowieli. Ma niewielką szansę. Czasem chorzy wyglądają jak ten pierwszy chłopiec. Czarna śmierć ogarnia ich i trawi ich ciała. Innych dręczą straszliwie bolesne obrzmienia na szyi, pod pachami i w pachwinach. Ogromnie cierpią i w końcu umierają. Bert tak choruje. Jeżeli chorobę uda się skierować ku głowie, przeciąć obrzmienie i usunąć jad, zdarza się, że tacy chorzy zdrowieją.

- A co z Lily? - spytała Kahlan. - Co z tymi znakami, jak je nazwałeś?

- Nigdy przedtem ich nie widziałem, ale czytałem o nich w naszych zapiskach.

Znaki mogą się pojawić na nogach, czasami też na piersi. Ludzie, którzy je mają, rzadko kiedy wiedzą, że są chorzy. Jest tak aż do śmierci. Pewnego dnia ku swemu przerażeniu odkrywają, że mają znaki na ciele, i krótko potem umierają. Ich śmierci nie towarzyszy ból lub jest bardzo niewielki. Lecz wszyscy umierają. Nie przeżył żaden człowiek, który miał znaki. Stary musiał je przedtem widzieć, bo o tym wiedział. Mory, które obserwowałem, zaczynające się równie nagle jak ten tutaj, nigdy nie powodowały znaków. Zapiski mówią, że znaki były charakterystyczne dla najgorszych z wielkich epidemii moru, które zabiły największą liczbę ludzi. Niektórzy uważają, że to widome sygnały śmiertelnego dotyku Opiekuna.

- Przecież Lily jest tylko małą dziewczynką - zaprotestowała Kahlan, jakby jakiegokolwiek argumenty mogły cokolwiek zmienić. - Nie wydaje się aż taka chora.

Czy nie jest możliwe, by...

- Lily nie czuje się dobrze. Znaki na jej nóżkach są w pełni wykształcone.

Umrze przed północą.

- Tej nocy? - zdumiał się Richard.

- Tak. I to najpóźniej. Bardziej prawdopodobne, że w ciągu kilku godzin.

Myślę, że nawet...

Z domu dobiegł ich przenikliwy kobiecy krzyk. Zawarte w nim przerażenie sprawiło, że Richarda przeszył dreszcz. Zamilkli żołnierze

rozmawiający cicho u wylotu zaułka. Słysząc było jedynie warczenie psa z sąsiedniej ulicy.

Z domu dobiegł pełen udręki krzyk mężczyzny. Drefan zamknął oczy.

- A nawet wcześniej, jak miałem właśnie powiedzieć. Kahlan ukryła twarz na ramieniu Richarda. Zacisnęła dłonie na jego koszuli. Chłopakowi wirowało w głowie.

- To tylko dzieci - łkała Kahlan. - Ten drań zabija dzieci! Drefan ściągnął brwi.

- O czym ona mówi?

- Drefanie, sądzę, że te dzieci umierają, bo kilka dni temu na grze Ja'La zjawili się czarodziej i czarodziejka i magicznymi sposobami zaszczepili mór - powiedział Richard i mocniej przytulił drżącą Kahlan.

- To niemożliwe. Żeby ludzie się pochorowali, trzeba więcej czasu.

- To ten sam czarodziej, który niemal doprowadził do śmierci Cary w dniu, w którym się zjawiłeś. Na ścianie w lochu zostawił proroctwo. Pierwsze słowa tej przepowiedni mówią: Wraz z czerwonym księżycem rozszaleje się ogień.

Drefan patrzył na brata pełen wątpliwości.

- Jak można magicznie zaszczepić mór?

- Nie wiem - wyszeptał Richard.

Nie mógł się zmusić do głośnego zacytowania dalszych słów proroctwa: Dzierżący miecz patrzeć będzie, jak mrze jego lud. Jeśli niczego nie uczyni, zginie wraz z tymi, których kocha, od żaru, bo tego nieprzyjaciela nie zmoże żadna klinga: czy to wykuta ze stali, czy to stworzona przez magię.

Kahlan drżała w ramionach Richarda, a on wiedział, że dręczy ją końcowa partia proroctwa.

By zdusić żywioł, musi poszukać remedium w wichrze. Na tej zaś drodze dosięgnie go błyskawica, albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew.

ROZDZIAŁ 31

Na skraju rozległych pałacowych terenów napotkali patrol. D'harańscy żołnierze zatrzymali się i zaszalutowali. Za gwardzistami, na ulicach miasta, spieszący w swoich sprawach ludzie przystawali, żeby pokłonić się Matce Spowiednicze.

Wszystko zdawało się takie jak zwykle, lecz Kahlan wyczuwała ledwo uchwytnie różnice; mężczyźni ładujący baryłki na wozy przyglądali się badawczo mijającym ich ludziom, sklepikarze uważnie patrzyli na klientów, przechodnie omijali rozmawiające grupki. Więcej niż zazwyczaj było takich grupiek rozprawiających ludzi. Nie było słycać śmiechu.

Żołnierze uroczyście zaszalutowali, przykładając pięść do skórzanego pancerza na wysokości serca, a potem uśmiechnęli się do brodu.

- Wiwat, lord Rahl! - zawołali jednym głosem. - Wiwat, lord Rahl!

- Dzięki ci, lordzie Rahl! - zawołał ku nim jeden z nich. - Uleczyłeś nas!

Przywróciłeś nam zdrowie! Dzięki tobie dobrze się czujemy. Niech żyje wielki czarodziej, lord Rahl!

Richard zamarł w pół kroku i nie spojrział ku żołnierzom, a tylko patrzył w ziemię. Peleryna, szarpnięta powiewem wiatru, otuliła chłopaka płynnym złotem.

- Niech żyje lord Rahl! Niech żyje lord Rahl! - przyłączyli się inni.

Richard nie popatrzył na nich, zacisnął jedynie dłonie i ruszył przed siebie.

Kahlan, wsparta na jego ramieniu, przesunęła w dół dłoń, zmusiła go do rozwarcia pięści i splótła palce z jego palcami. Uścisnęła dłoń chłopaka w milczącym znaku zrozumienia i otuchy. Kątem oka dostrzegła Carę, stojącą za Drefanem i Nadine, która gniewnym gestem uciszała patrol i nakazywała żołnierzom pójść własną drogą.

Przed nimi, na widocznym w oddali łagodnym stoku, wznosił się w całej wspaniałości kamiennych kolumn, kolosalnych murów i eleganckich strzelistych iglic ogromny Pałac Spowiedniczek. Jego nieskazitelna biel kontrastowała z ciemniejącym niebem. Nie tylko zachodziło słońce, ale i wiatr gnał mroczne chmury zwiastujące burzę. Przyniósł też kilka płatków śniegu, zwiadowców śnieżycy. Wiosna jeszcze nie zwyciężyła.

Kahlan tak mocno uchwyciła dłoń Richarda, jakby czepiała się życia.

Wyobraźnia podsuwała jej tylko obrazy choroby i śmierci. Widzieli blisko dwanaścioro porażonych morem dzieci. Pobladła twarz Richarda wyglądała niewiele lepiej od sześciu martwych buź, które zobaczyła. Dziewczyinę wszystko bolało.

Powstrzymywanie łez, płaczu i krzyku sprawiło, że dostała skurczu mięśni brzucha.

Powiedziała sobie, iż nie może stracić opanowania i łkać przy matkach, które lękały się, że ich dzieci mogą być jeszcze bardziej chore, niż się im wydawało, lub tak chore, jak dobrze wiedziały, a w co nie chciały uwierzyć. Mnóstwo z nich było niewiele starszych od Kahlan. Były to młode kobiety, zmuszone stawić czoło straszliwej sytuacji i żałośnie błagające dobre duchy, by oszczędziły ich ukochane dzieci.

Dziewczyna nie była pewna, czy na ich miejscu nie czyniłaby tego samego.

Niektórzy rodzice - jak Andersonowie - mogli się zwrócić o radę i oczekiwać pociechy od starszych członków rodziny, lecz część matek była młoda i samotna.

Miały jedynie mężów, niemal chłopców jeszcze, i nikogo, kto dodałby im otuchy.

Kahlan przycisnęła drugą dłoń do obolałego brzucha. Wiedziała, jak strasznie czuł się Richard. Jakie ciężkie brzemie dźwigał na swoich barkach. Powinna być silna dla niego.

Po obu stronach drogi rosły majestatyczne klony, ich nagie gałęzie splatały się ponad głowami idących. Wkrótce pojawią się zielone pąki. Spod tunelu drzew wyszli na wijącą się, wiodącą ku pałacowi promenadę.

Podążający z tyłu Nadine i Drefan rozprawiali szeptem o ziołach i lekach, które należy sprawdzić. Nadine coś proponowała, a Drefan mówił, czy według niego to bezużyteczne, czy też warte wypróbowania. Grzecznie pouczał ją o przebiegu chorób i o powodach załamania się odporności organizmu, co umożliwiałoby zachorowanie.

Kahlan wydawało się, że brat Richarda niemal gardzi chorymi za to, że tak mało troszczyli się o swoje aury i przepływ energii, o których cały czas opowiadał, i że jego zdaniem należało się spodziewać, iż padną ofiarą zarazy oszczędzającej takich jak on, którzy bardziej dbali o swoje ciała.

Podejrzewała, że kogoś z jego wiedzą o leczeniu ludzi muszą irytować osoby, które same sprowadzają na siebie chorobę, jak prostytutki i odwiedzający je mężczyźni. Czuła ulgę, że przynajmniej Drefan nie należał do tych ostatnich.

Dziewczyna nie była pewna, czy niektóre stwierdzenia uzdrowiciela były usprawiedliwione, czy też wynikały z jego arogancji. Ją również denerwowali ludzie narażający swoje zdrowie na niebezpieczeństwo. Gdy była młodsza, rezydował w Aydindril dyplomata, który zawsze chorował po zjedzeniu ciężkich sosów z pewnymi przyprawami. Miał potem kłopoty z oddychaniem. Uwielbiał sosy. Pewnego razu, podczas uroczystej kolacji, objadł się uwielbianym przysmakiem i padł martwy przy stole. Kahlan nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak ów człowiek mógł sam doprowadzić się do śmierci, i trudno jej było go żałować. Prawdę mówiąc, zawsze podczas oficjalnych przyjęć patrzyła na tego mężczyznę z lekceważeniem. Zastanawiała się, czy Drefan nie patrzy tak na niektórych ludzi, zwłaszcza że o wiele więcej wiedział o tym, co wywołuje choroby. Była świadkiem tego, czego dokonał z aurą Cary, wiedziała również, że umysł może niekiedy wpłynąć na przebieg choroby.

Kahlan wiele razy zatrzymywała się w małej miejscowości zwanej Langden, którą zamieszkiwali ogromnie przesądni i zacofani ludzie. Wpływowy miejscowy uzdrowiciel uznał, że bóle głowy tak dokuczające mieszkańcom Langden muszą być wywoływane przez złe duchy, które ich opętały. Nakazał, by cierpiącym na bóle głowy przypalać podeszwy stóp rozpalonym do białości żelazem, żeby przegnać owe złe duchy. Okazało się to zbawienne. Nigdy już żaden mieszkaniec nie został opętany.

Bóle głowy zniknęły.

Gdybyż mór mógł równie łatwo zniknąć.

Gdybyż tylko Nadine mogła równie łatwo zniknąć. Nie mogli jej teraz odesłać, skoro tak wielu ludzi miało wymagać pomocy. Czy się to Kahlan podoba, czy nie, Nadine musi tu zostać dopóty, dopóki to wszystko się nie skończy. Shota mocniej zaciskała Richarda w swoich szponach.

Kahlan nie wiedziała, co Richard powiedział Nadine, lecz mogła to sobie wyobrazić. Zielarka zaczęła się nagle zachowywać z przesadną uprzejmością.

Dziewczyna wiedziała, że przeprosiny tamtej nie były szczere. Richard

pewnie powiedział jej, że jeśli nie przeprosi, to obedrze ją żywcem ze skóry. A częste spojrzenia Cary na Nadine uświadomiły Kahlan, że jej rywalka musi się obawiać nie tylko Richarda.

Richard i Kahlan poprowadzili pozostałych do wnętrza pałacu wśród olbrzymich białych kolumn okalających wejście i przez otwarte drzwi rzeźbione w geometryczne motywy. Przepastny westybul rozjaśniało światło wpadające przez okna z jasnoniebieskimi szybami, umieszczone między lśniącymi kolumnami z białego marmuru, które zwieńczone były złotymi kapitelami, oraz przez tuziny zawieszonych na ścianach lamp.

Po marmurowej posadzce w czarne i białe kwadraty nadchodziła ku nim postać w skórzanym uniformie. Ktoś inny zbliżał się z prawej, od strony komnat gościnnych. Richard przystanął i odwrócił się.

- Czy mógłbyś odszukać generała Kersona, Ulicu? Może jest w d'harańskim dowództwie. Czy ktoś wie, gdzie jest generał Baldwin?

- Prawdopodobnie w Keltońskim Pałacu, przy Kings Row. Mieszka tam od chwili, gdy przybył i pomógł nam pokonać Bractwo Czystej Krwi - odparła Kahlan.

Richard, znużony, potaknął. Dziewczyna pomyślała, że jeszcze nie widziała go w tak fatalnym stanie. Przygaszone oczy patrzyły z poszarzałej twarzy. Chwiał się i mrużył oczy, patrząc na Egan, który stał niespełna dziesięć stóp od niego.

- A, tu jesteś, Eganie. Przyprowadź, proszę, generała Baldwina. Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale możesz popytać.

Egan z zażenowaniem spojrział w stronę Kahlan.

- Chcesz, żebyśmy przyprowadzili jeszcze kogoś, lordzie Rahlu?

- Jeszcze kogoś? Tak. Powiedz im, żeby przyprowadzili swoich oficerów.

Będę w gabinecie. Tam ich przyprowadź.

Ulic i Egan przyłożyli pięści do serca i ruszyli wypełnić polecenia.

Odchodząc, szybkimi gestami przekazali sygnały dwóm Mord-Sith. Cara i Raina natychmiast przysunęły się do Richarda, osłaniając go w chwili, gdy Tristan Bashkar przezornie się zatrzymał.

Berdine zjawiała się od drugiej strony; wbijała wzrok w trzymany w dłoniach otwarty pamiętnik Kolo. Wyglądała na całkowicie zatopioną w tym, co czytała, i zdawało się, że nie dostrzega niczego wokół siebie. Kahlan wyciągnęła rękę i zatrzymała Mord-Sith, nim ta wpadła na Richarda.

Kobieta stanęła chwiejnie jak dryfująca łódź, która uderza o brzeg.

- Matko Spowiedniczo, lordzie Rahlu. - Tristan się pokłonił.

- Kim jesteś? - zapytał Richard.

- Jestem Tristan Bashkar z Jary, lordzie Rahlu. Przypuszczam, że nas sobie nie przedstawiono.

W szarych oczach Richarda zalśniły iskierki życia.

- Więc postanowiłeś się poddać, ministrze Bashkarze?

Tristan miał się już skłonić przy oczekiwanej, oficjalnej prezentacji. Nie spodziewał się, że Richard najpierw o coś zapyta. Odkaslnął i zeszywniał.

Uśmiechnął się.

- Doceniam twoją pobłażliwość, lordzie Rahlu. Matka Spowiedniczka dała mi łaskawie dwa tygodnie na wypatrywanie znaków z gwiazd.

Głos Richarda stał się władczy.

- Rzykujesz, ministrze, że twój lud zobaczy miecze, a nie gwiazdy.

Tristan rozpiął surdut. Kahlan dostrzegła kątem oka, że Agiel natychmiast znalazł się w dłoni Cary. Tristan niczego nie zauważył. Nie spuszczać chłopaka z oka, odsunął do tyłu połę surduta i wsparł dłoń na biodrze. Ów gest ukazał wiszący u pasa nóż. Również Raina chwyciła swój Agiel.

- Jak wyjaśniłem Matce Spowiednicze, lordzie Rahlu, nasz lud z radością oczekiwał przyłączenia się do imperium D'Hary.

- Imperium D'Hary?

- Jesteśmy teraz dość zajęci, Tristanie - wtrąciła się Kahlan. - Już o tym rozmawialiśmy i dostałeś dwa tygodnie. Wybaczysz, że nie możemy ci teraz poświęcić więcej czasu?

Tristan odgarnął do tyłu pukiel włosów, lśniące piwne oczy spojrzały na dziewczynę.

- A więc przejdę do rzeczy. Słyszałem pogłoski, że w Aydindril szaleje mór.

Richard odzyskał nagle swoje gniewne, drapieżne spojrzenie.

- To nie tylko pogłoski. To prawda.

- Jakim niebezpieczeństwem to grozi? Dłoń Richarda spoczęła na rękojeści miecza.

- Jeśli przyłączysz się do Imperialnego Ładu, ministrze, to zapragniesz, żeby to mór cię atakował, a nie ja.

Kahlan rzadko widywała, by dwie osoby już przy pierwszym spotkaniu obdarzyły się tak ogromną i otwartą niechęcią. Wiedziała, że Richard był wyczerpany i w złym nastroju i że po zobaczeniu tylu poważnie chorych lub martwych dzieci nie miał ochoty dyskutować z kimś takim jak Tristan, kto szukał uzasadnienia dla swojej decyzji. Jara też była w Naczelnej Radzie, która skazała ją na śmierć. Choć to nie Tristan głosował za ścięciem Matki Spowiedniczki, uczynił to jednak radca z jego krainy. A Richard zabił owego człowieka.

Dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego Tristan w jednej chwili zmienawidził Richarda, chyba że chodziło o to, iż to on zażądał poddania się Jary. Przypuszczała, że to wystarczający powód i że gdyby była na miejscu Baskhara, prawdopodobnie też by tak zareagowała.

Była przekonana, że obaj mężczyźni lada chwila dobędą broni. Drefan stanął między nimi.

- Jestem Drefan Rahl, arcykapłan Raug'Moss, sekty uzdrowicieli. Mamy pewne doświadczenia z morem. Radzę, byś pozostawał w swojej komnacie i unikał kontaktów z obcymi. A zwłaszcza z prostytutkami. Poza tym powinienes się porządnie wysypiać i pożywnie, zdrowo jeść. To pomoże ci wzmocnić ciało i bronić się przed zarazą. Zamierzam wygłosić nauki do mieszkańców pałacu o chronieniu się przed chorobą. Proszę, byś przyszedł i posłuchał tego. Innych również zapraszam.

Tristan z zapałem słuchał Drefana. Skłonił się, dziękując mu za radę.

- Cenię prawdę, lordzie Rahlu. Człowiek mniejszego formatu spróbowałby mnie zwieść w tej tak poważnej sprawie. Rozumiem, dlaczego jesteś tak zajęty.

Pozegnam się więc, byś mógł się zająć sprawami swoich ludzi.

Berdine wyrosła u boku Richarda, który patrzył gniewnie na odchodzącego ambasadora. Wcześniej tak zaciekle czytała pamiętnik, pomrukując do siebie i ćwicząc wymowę słów w gornod'harańskim, że Kahlan wątpiła, by usłyszała cokolwiek z toczącej się rozmowy.

- Muszę z tobą porozmawiać, lordzie Rahlu - wymamrotała. Richard położył jej dłoń na ramieniu, dając znak, żeby zaczekała.

- Drefanie, Nadine, czy któreś z was ma coś na ból głowy? Na naprawdę paskudny ból głowy?

- Mam zioła, które mogą pomóc - odparła Nadine.

- A ja mam coś lepszego. - Drefan nachylił się ku Richardowi. - To się nazywa sen. Może doświadczyłeś tego w przeszłości?

- Wiem, Drefanie, że przez jakiś czas nie spałem, ale...

- Przez wiele dni i nocy. - Drefan ostrzegawczo uniósł palec. - Jeśli próbujesz maskować następstwa braku snu tak zwanymi lekami, nie oddajesz sobie przysługi.

Ból głowy powróci i to gorszy niż przedtem. Zrujnujesz swoje siły. Nie przydasz się ani sobie, ani nikomu innemu.

- Drefan ma rację - wtrąciła się Kahlan.

Berdine, nie podnosząc wzroku, przewróciła czytaną stronicę.

- Zgadzam się z tym. O wiele lepiej się czuję po tym, jak się trochę przespałam. - Mord-Sith w końcu zauważyła, że wokół niej są ludzie. - Lepiej mi się teraz myśli.

Richard uniósł dłoń i powstrzymał ich nalegania.

- Wiem. I obiecuję, że wkrótce się prześpię. Co mi chciałaś powiedzieć, Berdine?

- Co? - Znów czytała. - Ach, znalazłam, wyczytałam, gdzie jest Świątynia Wichrów.

- Co takiego?! - zdumiał się Richard.

- Myślę o wiele jaśniej, od kiedy się przespałam. Uświadomiłam sobie, że ograniczaliśmy nasze poszukiwania, zwracając uwagę na zbyt małą liczbę kluczowych słów, więc spróbowałam wymyślić, co uczynili w takiej sytuacji dawni czarodzieje. Rozumowałam, że...

Gdzie ona jest?! - ryknął Richard. Berdine w końcu spojrzała na niego i przymrużyła oczy.

- Świątynia Wichrów mieści się na szczycie Góry Czterech Wichrów.

Po raz pierwszy zauważyła Rainę. Uśmiechnęły się do siebie na powitanie, wymieniły czułe spojrzenia.

Kahlan odpowiedziała wzruszeniem ramion na pytający wzrok Richarda.

- To nam nic nie daje, Berdine, chyba że wiesz, gdzie jest ta góra.

Berdine przez chwilę marszczyła gniewnie brwi, potem jednak wykonała przeproszający gest.

- Och, przepraszam. To tłumaczenie. - Znów zmarszczyła brwi. - Tak sądzę.

Richard przesunął dłonią po twarzy.

- Jak Kolo ją nazywa?

Mord-Sith wróciła na poprzednią stronę, obróciła ku niemu książkę i postukała palcem we fragment tekstu. Richard przymrużył oczy.

- Berglendursch ost Kymerosst - przeczytał z pamiętnika Kolo. - Góra Czterech Wichrów.

- Właściwie Berglendursch znaczy więcej niż po prostu góra - powiedziała Berdine. - Berglen to „góra”, a dursch znaczy czasem „skała”, choć może znaczyć również „obdarzony silną wolą”. W tym przypadku wszakże oznacza raczej łańcuch skalistych gór lub wielką górę z głazów. No wiesz, skalistą górę czterech wichrów...

coś w tym rodzaju.

Kahlan przestąpiła z nogi na nogę.

- Góra Kymerosst?

- Tak. - Berdine podrapała się w nos. - To może być to.

- To musi być to - odezwał się Richard, po raz pierwszy od wielu godzin ożywiony nadzieją. - Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Byłam na górze Kymerosst - odparła Kahlan. - Nie ma wątpliwości, że jest tam wietrznie i że jest ona skalista. Na szczycie są jakieś ruiny, ale nie ma tam świątyni.

- Może to ruiny świątyni - zasugerowała Berdine. - Albo sarnę ruiny są świątynią. Nie wiemy, jakich jest rozmiarów. Świątynia może być mała.

- Nie, nie sądzę, żeby w tym wypadku tak było.

- Dlaczego? Co tam jest? Jak to daleko? - wypytywał Richard.

- To niezbyt daleko, na północny wschód stąd. Dzień, najwyżej dwa konnej jazdy. To ogromnie niegościnne miejsce. Choć zdradliwy stary trakt wiedzie na górę, a potem dalej, przebycie Kymerosst uwalnia cię od podróży przez bardzo przykre okolice i oszczędza wielu dni jazdy. Na samym szczycie wznoszą się jakieś stare ruiny. Na oko sądząc, jakieś przybudówki. Widziałam wiele okazałych budowli, więc wiem, że to, co tam pozostało, nie jest głównym korpusem budynku. To przypomina przybudówki Pałacu Spowiedniczek. Między owymi budynkami wiedzie droga odpowiadająca naszej promenadzie.

Richard wsunął kciuk za swój szeroki skórzany pas.

- A dokąd prowadzi ta szeroka droga? Kahlan spojrzała w jego szare oczy.

- Prosto na skraj urwiska. Budynki stoją na skraju urwiska. Pionowe

kamienne skały spadają na jakieś trzy, cztery tysiące stóp.

- Czy w urwisku wycięto jakieś schody? Coś, co wiodłoby do właściwej świątyni?

- Nie rozumiesz, Richardzie. Owe budynki stoją na samej krawędzi przepaści.

Najwyraźniej kiedyś wszystko: droga, budynki i mury, ciągnęło się dalej, bo urywają się ostro na samej krawędzi. Niegdyś musiała tam być dalsza część góry. Teraz zniknęła. Odpadła. Skała runęła lub coś w tym rodzaju. Zniknęło to, co było poza ruinami: główna część budowli i góra.

- To właśnie napisał Kolo. Grupa wróciła, a Świątynia Wichrów zniknęła.
- Richard był zdruzgotany. - Musieli się posłużyć magią, żeby oderwać bok góry i tak pogrzebać Świątynię Wichrów, by nikt jej już nigdy nie odnalazł.

- No cóż, sprawdzę w pamiętniku, czy Kolo pisze coś o Świątyni Wichrów ginącej w osunięciu się górskiego zbocza lub w lawinie - westchnęła Berdine.
Richard potaknął.

- Może jest w nim jeszcze coś na ten temat.

- Czy znajdziesz czas, żeby mi pomóc, lordzie Rahlu, nim się udasz na swój ślub?

W wielkim westybulu zapanowała lodowata cisza.

- Berdine... - Richard poruszał ustami, lecz nie powiedział już ani słowa.

- Słyszałam, że żołnierze wyzdrowieli - dodała Mord-Sith, rzucając przelotne spojrzenie na Kahlan i na chłopaka. - Mówiłeś mi, że ty i Matka Spowiedniczka odjedziecie, żeby wziąć ślub, jak tylko żołnierze wyzdrowieją. I wyzdrowieli. - Uśmiechnęła się - Wiem, że jestem twoją ulubienicą, ale chyba nie zmieniłeś zdania, co? Wystraszyłeś się?

Czekała na odpowiedź, nie widząc, że nikt nie śmieje się z jej żartu.

Richard stał jak sparalizowany. Nie mógł, nie chciał tego powiedzieć. Kahlan wiedziała, że obawia się tych słów, że się boi, iż złamie jej serce.

- Berdine, Richard i ja nie wyjeżdżamy. Wesele jest odwołane. Przynajmniej na razie - odezwała się w głuchej ciszy Kahlan.

Mimo iż dziewczyna wyszeptwała owe słowa, wydawało się, że odbiły się echem od marmurowych ścian, zupełnie jakby je wykrzyczała. Wystudiowana obojętna mina Nadine powiedziała Berdine o wiele więcej, niż powiedziałby jej uśmiech. Tym gorzej, że się nie uśmiechnęła, bo jej wysiłki - choć nikt nie mógłby jej czynić za to wyrzutów - Żeby zapanować

nad wyrazem twarzy, jeszcze bardziej rzuciły się w oczy.

- Ślub jest odwołany? - zdumiała się Berdine. - Dlaczego? Richard wpatrywał się w nią, gdyż nie śmiał spojrzeć na Kahlan.

- Jagang przyniósł do Aydindril mór, Berdine. To o tym mówiła przepowiednia wyryta na ścianie w lochu. Naszym obowiązkiem jest zostać tutaj, a nie... Jak by to wyglądało, gdyby...

Umilkł.

Berdine opuściła dłonie trzymające pamiętnik.

- Tak mi przykro.

ROZDZIAŁ 32

Kahlan patrzyła przez okno na zapadającą noc, na proszący śnieg. Richard siedział za nią, przy biurku, pelerynę ze złotych nici przerzucił przez poręcz krzesła.

Pracował z Berdine nad pamiętnikiem Kolo i czekał na przybycie oficerów. To Berdine mówiła, on zaś pomrukiwał od czasu do czasu, kiedy wyjaśniała, co myśli o znaczeniu danego słowa i dlaczego. Kahlan podejrzewała, że tak straszliwie zmęczony, niewiele pomoże Mord-Sith.

Obejrzała się przez ramię. Nadine i Drefan siedzieli przy kominku. Richard poprosił, by tu przyszli i odpowiedzieli na pytania generałów. Zielarka całą uwagę skupiła na Drefanie i starannie unikała patrzenia na Richarda, a już zwłaszcza na Kahlan. Przypuszczalnie dlatego, żeby dziewczyna nie dostrzegła w jej oczach triumfalnego błysku.

Nie. To nie był triumf Nadine, lecz Shoty. To tylko zwłoka, przełożenie terminu. Do czasu, gdy... gdy co? Gdy zdołają powstrzymać mór? Gdy umrze większość mieszkańców Aydindril? Gdy sami zarażą się morem i umrą, jak zapowiedziało proroctwo?

Kahlan podeszła do Richarda i rozpaczliwie tęskniąc za jego dotykiem, położyła mu dłoń na ramieniu. Na szczęście przykrył ręką jej dłoń.

- To tylko zwłoka - szepnęła mu na ucho. - To niczego nie zmienia, Richardzie. Jedynie trochę opóźnia datę. Obiecuję.

Poklepał jej dłoń i uśmiechnął się.

- Wiem.

Cara otworzyła drzwi i zajrzała do gabinetu.

- Nadchodzą, lordzie Rahlu.

- Dziękuję, Caro. Zostaw otwarte drzwi i powiedz, by weszli.

Raina podpałała leżącą w palenisku kłodę. Oparła się na ramieniu Berdine i pochyliła, żeby zapalić lampę na drugim końcu blatu. Długi ciemny warkocz zsunął się z jej ramienia i połaskotał policzek Berdine. Ta potarła policzek i przelotnie uśmiechnęła się do Rainy.

Raina i Berdine niezmiernie rzadko zwracały na siebie uwagę, tym rzadziej więc dotykały się w obecności innych. Kahlan wiedziała, że ów gest spowodowało to, co Raina dziś widziała. Ona również czuła się osamotniona

i potrzebowała pociechy.

Choć tresura przytłumiła wrażliwość tych kobiet i uczyniła je nieczułymi na męczarnie, w Mord-Sith zaczynały się teraz na nowo budzić ludzkie uczucia.

Dziewczyna wyczytała w ciemnych oczach Rainy, że obserwowanie cierpień i śmierci dzieci bardzo ją poruszyło.

Kahlan usłyszała, jak na korytarzu Cara mówi oficerom, żeby weszli. Pierwszy pojawił się muskularny, siwiejący generał Kerson. Jak zwykle wyglądał imponująco w lśniącym skórzanym uniformie, a kolczuga uwydatniała potężne mięśnie jego ramion. Za nim ukazał się dowódca wojsk keltońskich, krzepki generał Baldwin. Był to starszy już mężczyzna, z siwiejącymi wąsami, które okalały usta i brodę. Jak zawsze wyglądał dystyngowanie w swojej zielonej, podbitej srebrem pelerynie, spiętej na ramieniu dwoma guzami. Przód brązowej bluzy zdobiła tarcza herbowa, na której ukośna czarna linia oddzielała pole żółte od błękitnego. Światło lamp lśniło w ozdobnej klamrze pasa i srebrnej pochwie. Wyglądał dziarsko i groźnie.

Obaj generałowie skłonili się, nim jeszcze do komnaty weszli towarzyszący im oficerowie. W świetle lamp błysnęła skóra pokrytej rzednącymi, siwiejącymi włosami czaszki pochylonego w niskim ukłonie generała Baldwina.

- Moja królowo, lordzie Rahlu - powitał ich.

Kahlan odpowiedziała mu skinieniem głowy, a Richard wstał, odpychając do tyłu krzesło. Berdine przesunęła swoje krzesło, usuwając mu się z drogi. Nie podniosła wzroku. Była przecież Mord-Sith i to bardzo zajęta Mord-Sith.

- Lordzie Rahlu - powitał go generał Kerson, prostując się i przykładając pięść do serca. - Matko Spowiedniczko.

Pokłonili się wszyscy stojący za generałami oficerowie. Richard czekał cierpliwie, aż się to wszystko skończy. Kahlan sądziła, że nie ma wielkiej ochoty mówić.

Oznajmił to bez ogródek:

- Panowie, z przykrością informuję, że w Aydindril panuje zaraza.

- Zaraza? Jaka? - spytał generał Kerson.

- Choroba. Ludzie słabną i umierają. Tego rodzaju zaraza.

- Czarna śmierć - rzucił ponuro Drefan zza pleców Richarda i Kahlan.
Wszyscy wojskowi wstrzymali oddech. Czekali w milczeniu.

- Zaczęła się nie tak dawno temu, więc na szczęście możemy podjąć pewne środki ostrożności. Wiemy, że do tej pory nie było nawet tuzina zachorowań. Nie wiadomo, rzecz jasna, ilu ludzi już się zaraziło i zachoruje. Nie żyje natomiast blisko połowa tych, o których na pewno wiemy, że byli zarażeni. Do rana ta liczba wzrośnie

- powiedział Richard. Generał Kerson odchrząknął.

- Środki ostrożności, lordzie Rahlu? Jakie środki ostrożności można podjąć?

Masz lek dla żołnierzy? Dla mieszkańców miasta?

Richard potarł czoło i wbił wzrok w blat biurka.

- Nie, generale, nie mam leków - wyszeptał.

W komnacie było tak cicho, że wszyscy usłyszeli, co powiedział.

- Cóż więc...?

Richard wziął się w garść.

- Musimy rozdzielić żołnierzy. Rozproszyć ich. Mój brat widywał już zarazę i czytał o wielkich epidemiach z przeszłości. Uważamy, że to możliwe, iż choroba przenosi się z jednej osoby na drugą, tak jak w rodzinach, gdzie najpierw jednego boli gardło, ma zapchany nos lub chore płuca, a potem na to samo zapadają pozostali.

- Słyszałem, że zarazę wywołuje zepsute powietrze - odezwał się jeden ze stojących z tyłu oficerów.

- I mnie mówiono, że to możliwe. Opowiadano mi też, że może ją wywołać wiele innych rzeczy, zła woda, zepsute mięso, przegrzana krew - zgodził się Richard.

- Magia? - spytał któryś. Richard przestąpił z nogi na nogę.

- To także jedna z możliwości. Niektórzy uważają, że może to być sąd duchów nad naszym światem i kara za to, co je razi. Ja sam w to nie wierzę. Tego popołudnia odwiedzałem cierpiące i umierające niewinne dzieci. Nie mogę uwierzyć, by duchy, choćby nie wiem jak z nas niezadowolone, mogły zrobić coś takiego.

Generał Baldwin potarł podbródek.

- A więc co, według ciebie, roznosi zarazę, lordzie Rahlu?

- Nie jestem znawcą w tych sprawach, lecz skłaniam się do wyjaśnień

mojego brata, który mówi, że ta zaraza jest jak każda inna choroba i może się przenosić z osoby na osobę przez bliski kontakt lub unoszące się w powietrzu wonie. To wytłumaczenie wydaje mi się najsensowniejsze, choć to o wiele poważniejsza choroba niż inne. Powiedziano mi, że czarna śmierć niemal zawsze kończy się zgonem. Jeśli rzeczywiście przenosi się z osoby na osobę, to nie możemy zwlekać.

Musimy uczynić, co w naszej mocy, żeby ocalić przed nią nasze wojska. Chcę, by żołnierzy podzielono na mniejsze jednostki.

Generał Kerson rozłożył ręce.

- Dlaczego nie posłuszysz się magią, lordzie Rahlu, i nie uwolnisz miasta od choroby?

Choć nie wyglądał na rozgniewanego, Kahlan dotknęła ramienia Richarda, przypominając mu, żeby się opanował.

- Przykro mi, ale na razie nie wiem, jak magia może uleczyć tę zarazę. I nie mam pojęcia, czy wcześniej jakiś czarodziej zdołał przegnać taką chorobę za jej pomocą. Musisz zrozumieć, generale, że to, iż ktoś włada magią, nie oznacza wcale, że może odeprzeć Opiekuna, gdy nadchodzi czas na dotyk jego dłoni. Gdyby czarodzieje to potrafili, to, zapewniam cię, cmentarze zniknęłyby, bo nie byłoby kogo grzebać. Czarodzieje nie dysponują mocą Stwórcy. W naszym świecie istnieje równowaga. My wszyscy, a zwłaszcza żołnierze, możemy pomagać Opiekunowi siać śmierć, możemy też jednak uczestniczyć w dziele Stwórcy, tworząc życie. Wiemy lepiej od innych, że zadaniem żołnierzy jest chronienie pokoju i życia. Czasem wszakże musimy odebrać życie, żeby powstrzymać wroga, który wyrządziłby większe szkody. I właśnie to się nam pamięta, nie zaś to, że staramy się ratować życie.

Czarodziej też musi zachować harmonię ze światem, w którym żyje. I Stwórca, i Opiekun spełniają swoje role w naszym świecie. Nie jest w mocy zwykłego czarodzieja dyktować im, co się powinno stać. Czarodziej może sprawić, by wydarzenia doprowadziły do określonego celu, na przykład do ślubu, lecz nie może wpływać na Stwórcę tak, by efektem owego ślubu było nowe życie. Czarodziej musi zawsze pamiętać, że działa w naszym świecie, i powinien robić, co w jego mocy, by wspomagać ludzi, tak jak rolnik pomaga sąsiadowi zebrać plony czy ugasić ogień. Są rzeczy, które może uczynić, a ci, którzy nie władają magią - nie. Zupełnie jak krzepki żołnierz może walczyć

ciężkim bojowym toporem, starzec zaś nie. Ale nawet wasze mięśnie nie dokonają tego, do czego nie są przeznaczone: nie przeważą nad zdobytą dzięki doświadczeniu mądrością starego człowieka. On może was pokonać nie dzięki swoim mięśniom, a dzięki swojej wiedzy. Nawet najpotężniejszy czarodziej nie stworzy nowego życia. Dokona tego pozbawiona magii, doświadczenia i mądrości młoda kobieta, lecz nie on. Może w sumie to ona właśnie ma więcej do czynienia z magią niż on. Usiłuję wam wytłumaczyć, że to, iż się urodziłem z darem, wcale nie oznacza, że dar może powstrzymać tę zarazę. Nie możemy oczekiwać, by magia rozwiązywała wszelkie nasze problemy. Dla czarodzieja poznanie granic swojej mocy jest równie ważne, jak dla oficera poznanie możliwości jego żołnierzy. Wielu z was widziało, czego może dokonać mój miecz w walce z nieprzyjacielem. Ale choć to tak groźny oręż, jest bezsilny wobec tego niewidzialnego wroga. Inna magia może się okazać równie bezsilna.

- Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie - generał Kerson zacytował cicho słowa hołdu.

Pozostali słowami i skinieniami głów wyrazili uznanie i zgodę na wyjaśnienia Richarda. Kahlan była zeń dumna, bo przynajmniej ich przekonał. Zastanawiała się, czy przekonał także samego siebie.

- To nie tyle mądrość, ile zwykły zdrowy rozsądek - mruknął chłopak. - Bądźcie jednak pewni - podjął - Że nie oznacza to, iż nie zamierzam poszukać jakiegoś sposobu powstrzymania zarazy. Biorę pod uwagę wszelkie możliwości położenia kresu chorobie. - Położył dłoń na ramieniu Berdine, a Mord-Sith podniosła wzrok. - Berdine pomaga mi czytać stare księgi dawnych czarodziejów, sprawdzając, czy zostawili nam jakieś wskazówki. Jeśli istnieje jakikolwiek magiczny sposób powstrzymania zarazy, to go znajdę. Na razie musimy jednak wykorzystać inne dostępne nam środki, by chronić ludzi. Musimy podzielić wojsko.

- Podzielić i co potem? - spytał generał Kerson.

- Podzielić i wyprowadzić z Aydindril.

Generał Kerson zeszywniał. Ogniwa kolczugi odbijały światło lamp, więc migotał jak zjawa.

- Zostawić Aydindril bez obrony?!

- Nie. Nie bez obrony. Proponuję, żebyśmy podzielili nasze wojska, tak by zaraza miała mniejszą szansę rozprzestrzeniać się wśród żołnierzy, i

przesunęli siły na pozycje wokół miasta. Możemy rozstawić nasze oddziały na wszystkich przełęczach, przy wszystkich drogach i w wiodących ku Aydindril dolinach. Dzięki temu nie zaskoczy nas żaden atak - tłumaczył Richard.

- A jeśli ktoś na nas ruszy? - spytał generał Baldwin. - Te małe, rozstawione w sporych odległościach oddziały mogą nie odeprzeć napaści.

- Rozstawimy czujki i zwiadowców. Zwiększymy ich liczbę, żeby nic nas nie zaskoczyło. Nie sądzę, by tak daleko na północy były już jakieś siły Ładu, jeśli jednak przypuszczają one jakikolwiek atak, zostaniemy ostrzeżeni i szybko zbierzemy wojska.

Nie rozstawimy ich w zbyt dużej odległości, by w razie potrzeby żołnierze mogli bronić miasta. Muszą być wszakże na tyle daleko od siebie, żeby zaraza nie zaatakowała całej armii. Rad usłyszę wasze pomysły, panowie. To jeden z powodów, dla których was tutaj zaprosiłem. Jeżeli macie coś do powiedzenia w którejś z tych spraw, panowie, to mówcie bez obaw.

Podszedł Drefan.

- To należy uczynić szybko. Im prędzej żołnierze stąd odejdą, tym większa szansa, że żaden z nich nie zetknie się z chorobą.

Oficerowie potaknęli i w dalszym ciągu się namyślali.

- Oficerowie, którzy nam dzisiaj towarzyszyli, powinni pozostać w Aydindril - podjął uzdrowiciel. - Mogli się zetknąć z kimś, kto już jest chory. Zróbcie spis wszystkich, z którymi na co dzień współpracują, i ich również odizolujcie w mieście.

- Natychmiast się tym zajmiemy. Jeszcze tego wieczoru - oznajmił generał Kerson.

Richard potaknął.

- Każda grupa naszych wojsk musi się, rzecz jasna, komunikować z innymi, lecz wiadomości wolno przekazywać tylko ustnie. Żadnych podawanych z ręki do ręki pism. Papiery mogą przenosić zarazę. Żołnierze przekazujący rozkazy czy wieści muszą mówić z pewnej odległości. Przynajmniej tak jak my w tej komnacie: ja w jednym końcu, wy w drugim.

- Czy to nie dość dziwaczna ostrożność? - zapytał jeden z oficerów.

- Słyszałem - wtrącił się Drefan - że ludzie zarażeni, lecz jeszcze nie chorujący i dlatego nieświadomi swojej choroby, mają cuchnący zarazą oddech, po którym można ich rozpoznać. - Tamci słuchali z zaciekawieniem.

- Ale wycucie owego odoru wystarczy, byście zarazili się czarną śmiercią, zachorowali i umarli.

Oficerowie zaszeptali między sobą.

- Właśnie dlatego nie chcemy, by posłańcy podchodzili do siebie zbyt blisko - wyjaśnił Richard. - Gdyby któryś z nich był już chory, wolelibyśmy, żeby nie rozsiewał zarazy w innej grupie żołnierzy. Nie ma sensu brnąć przez to wszystko, jeśli nie będziemy skrupulatnie przestrzegać wszelkich ograniczeń. To śmiertelny jad.

Jeżeli zadziałamy szybko, stosując się do tego, co wiemy, możemy ocalić od śmierci wielu ludzi. Jeżeli zaś nie potraktujemy poważnie tych środków ostrożności, to w ciągu kilku tygodni mogą umrzeć niemal wszyscy mieszkańcy miasta i wszyscy nasi żołnierze.

Oficerowie szeptali z powagą i zatroskaniem.

- Przedstawiamy wam najgorszy rozwój wypadków - powiedział Drefan, znów przyciągając ich uważne spojrzenia. - Nie zamierzamy pomniejszać niebezpieczeństwa. Jednak pewne rzeczy działają na naszą korzyść. Najważniejsza jest pogoda. Zarazy, które widziałem i o których czytałem, były najgorsze podczas letnich upałów. Nie sądzę, żeby choroba zdołała się zakorzenić podczas takiej chłodnej pory roku. Mamy choć taką szansę.

Mężczyźni westchnęli, ożyła w nich nadzieja. W Kahlan nie.

- I jeszcze coś - odezwał się Richard, patrząc każdemu z nich w oczy. - Jesteśmy D'Harańczykami. Ludźmi honoru. Nasi żołnierze zachowują się stosownie do tego. Nie życzę sobie, by ktoś z nas mówił ludziom nieprawdę na temat niebezpieczeństwa, opowiadał, że nie ma żadnego ryzyka. Z drugiej strony nie chcę, by ktoś rozmyślnie ich straszył. I tak się dostatecznie wystraszą. Wy też jesteście żołnierzami. To taka sama bitwa, jakby zaatakował nas widzialny wróg. To część naszej roboty. Niektórzy żołnierze muszą pozostać w mieście, żeby pomóc. Może będzie potrzebne wojsko, by zdusić ewentualne rozruchy. Gdyby wybuchły zamieszki podobne do tych, do których doszło po wzejściu czerwonego księżyca, to chcę, żeby natychmiast położono im kres. Użyjcie tylko tyle siły, ile trzeba. Pamiętajcie, że mieszkańcy miasta to nasz lud: jesteśmy ich obrońcami, a nie nadzorcami. Żołnierze będą potrzebni do pomocy w kopaniu grobów. Myślę, że nie zdołamy spalić tak wielu zmarłych, jeśli zaraza rozsiale się w mieście.

- Jak sądzisz, lordzie Rahlu, ilu umrze? - spytał jeden z oficerów.

- Tysiące - odparł Drefan. - Dziesiątki tysięcy. - Błękitne oczy patrzyły na nich wszystkich. - A jeśli pójdzie naprawdę źle, to jeszcze więcej. Czytałem o zarazie, która w trzy miesiące zabiła trzech na czterech mieszkańców miasta, liczącego blisko pół miliona ludzi.

Stojący z tyłu oficer cicho gwizdnął.

- I jeszcze jedno - odezwał się Richard. - Niektórzy ludzie wpadną w panikę.

Będą chcieli uciec z Aydindril, by oddalić od siebie niebezpieczeństwo. Większość zechce pozostać, nie tylko dlatego, że to jedyny dom, jaki znają, ale dlatego, że tu mają cały dobytek i pracę. Nie możemy pozwolić, by ludzie uciekli z miasta i roznieśli zarazę do innych miejscowości w Midlandach czy nawet dalej, do D'Hary.

Chorobę należy ograniczyć do Aydindril. Jeżeli ludzie zechcą uciec z miasta na pobliskie wzgórza, odsuwając się od sąsiadów, których uważają za zarazonych, musimy zrozumieć ich obawy. Należy im pozwolić uciec w najbliższą okolicę, lecz nie dalej. Chcę, by żołnierze z tych rozproszonych oddziałów otoczyli pierścieniem miasto i okolice, chroniąc wszystkie drogi wiodące do i z Aydindril. Mieszkańcy muszą pozostać wewnątrz owego pierścienia. Każdy uciekinier może być zarazony i nie wiedzieć o tym, a więc może narażać na niebezpieczeństwo ludzi z innych miejscowości. W ostateczności wolno użyć siły, żeby nie pozwolić im rozwlec dalej zarazy. Pamiętajcie ciągle, proszę, że nie są to wrogowie, tylko ludzie bojący się o swoje rodziny. Ci, którzy uciekną z miasta, żeby przeczekać plagę, wkrótce pozostaną bez żywności i zaczną głodować. Przypominajcie mieszkańcom, by zabierali żywność, bo w okolicy raczej jej nie znajdą. Będą równie martwi niezależnie od tego, czy zginą z głodu, czy od zarazy. Przypominajcie im o tym i zapowiadajcie, że nie będzie się tolerować plądrowania farm. Nie pozwolimy na anarchię. To chyba wszystko, co miałem do powiedzenia. Macie jakieś pytania?

- Wyruszamy wieczorem, moja królowo i lordzie Rahlu, czy rankiem? - Chciał wiedzieć generał Baldwin. - Gdzie się zatrzymacie?

- Richard i ja nie opuścimy Aydindril - powiedziała Kahlan.

- Co takiego?! Musicie stąd wyjechać. Błagam, byście oboje uciekli przed zarazą. Potrzebujemy was jako przywódców - nalegał generał Baldwin.

- Zbyt późno dowiedzieliśmy się, z czym mamy do czynienia. Możemy być już zarażeni - odparła Kahlan.

- Nie sądzimy, że tak się stało. - Richard starał się uśmierzyć ich obawy. - Lecz ja muszę zostać, by sprawdzić, czy są jakieś magiczne sposoby powstrzymania czarnej śmierci. Będę musiał chodzić do Wieży Czarodzieja. Na wzgórzach na nic byśmy się nie przydali, a ja mógłbym stracić możliwość znalezienia rozwiązania.

Pozostaniemy tutaj i będziemy nadzorować zarządzanie miastem. Drefan jest arcykapłanem uzdrowicieli Raug'Moss z D'Hary. Matka Spowiedniczka i ja nie moglibyśmy się znaleźć w lepszych rękach. On i Nadine też zostaną, żeby pomagać ludziom.

Oficerowie zadawali pytania, roztrząsali problemy żywności i zaopatrzenia, a Kahlan podeszła do okna i patrzyła, jak śnieg oraz wiatr zmieniają się w wiosenną burzę. Richard przemawiał do swoich ludzi niczym dowódca przed bitwą, wpajając im poczucie celu i zagrzewając do czekającej walki. Śmierć rozszaleje się jak w każdej bitwie.

Wbrew nadziejom Drefana, że mór nie rozprzestrzeni się przy tak chłodnej pogodzie, Kahlan wiedziała, iż w tym wypadku będzie inaczej.

To nie była zwyczajna zaraza. To był mór zaszczipiony za pomocą magii. Zaszczepiony przez człowieka, który chciał ich wszystkich zabić.

W lochu Jagang nazwał to Ja'La dh Jin - „Gra o życie”. Imperator był zły, że Richard zmienił piłkę na lżejszą, by wszystkie dzieci, a nie tylko te najsilniejsze i najbrutalniejsze, mogły się cieszyć grą. Jagang zaczął zabijanie od dzieci. To nie był przypadek: to była wiadomość.

To była gra o życie.

Jeśli imperator wygra, taki będzie jego świat, rządzony z takim okrucieństwem.

ROZDZIAŁ 33

Przez następną godzinę oficerowie zadawali pytania, głównie Drefanowi. Obaj generałowie przedstawili Richardowi propozycje dotyczące dowodzenia i logistyki.

Krótko przedyskutowano możliwości, poczyniono plany, przydzielono obowiązki oficerom. Armia miała zacząć przegrupowywanie jeszcze tej nocy. W wojsku było wielu członków Bractwa Czystej Krwi, którzy co prawda poddali się i przysięgli wierność Richardowi, lecz mimo to uznano, że mądrzej będzie ich rozdzielić i wysłać po kilku z każdym oddziałem, niż pozwolić im zostać w grupie. Chłopak zgodził się z tą sugestią.

W końcu wszyscy odeszli, by zająć się swoimi zadaniami, a Richard ciężko opadł na krzesło. Przebył długą drogę od prostego leśnego przewodnika.

Kahlan była z niego dumna.

Otworzyła usta, żeby to powiedzieć, lecz Nadine ubiegła ją.

- Dziękuję - wymamrotał ospale. Zielarka ostrożnie dotknęła jego ramienia.

- Richardzie, zawsze byłeś dla mnie... bo ja wiem... Richardem. Chłopakiem z rodzinnych stron. Leśnym przewodnikiem. Dopiero dzisiaj, zwłaszcza tego wieczoru, w towarzystwie tych imponujących wojaków, po raz pierwszy spojrzałam na ciebie innym wzrokiem. Naprawdę jesteś tym lordem Rahlem.

Richard oparł łokcie na stole, a podbródek na dłoniach.

- Wolałbym być u stóp urwiska, pogrzebany razem ze Świątynią Wichrów.

- Nie bądź głupi - wyszeptała.

Kahlan najeżyła się i podeszła doń. Nadine się odsunęła.

- Musisz się trochę przespać, Richardzie - powiedziała Kahlan. - I to teraz.

Obiecałeś. Musisz zachować dla nas pełnię sił. Jeżeli się nie prześpisz...

- Wiem. - Odepchnął się od stołu i wstał, po czym obrócił się ku Drefanowi i Nadine. - Czy któreś z was ma coś, co sprowadza sen? Próbowałem zasnąć, ale tylko leżę. Mój umysł nie chce się wyciszyć.

- Dysharmonia feng san - oznajmił natychmiast Drefan. - Sam się do tego doprowadzasz, przekraczając granice wytrzymałości swojego ciała. Istnieją pewne granice tego, czego możemy dokonać, i jeśli...

- Wiem, o co ci chodzi, Drefanie - przerwał mu spokojnym tonem Richard - lecz robię tylko to, co muszę. A ty powinienes to zrozumieć. Jagang próbuje zabić nas wszystkich. Co mi to da, że będę pełen wigoru jak wiewiórka na wiosnę, skoro w rezultacie wszyscy pomrzemy?

Drefan chrząknął.

- Rozumiem, ale to ci nie doda sił.

- No to potem się do siebie zabiorę. A co ze snem na tę noc?

- Medytacja - odparł Drefan. - To uspokoi przepływ twojej energii i zacznie przywracać harmonię.

Richard potarł czoło.

- Setkom tysięcy ludzi grozi śmierć, Drefanie, bo Jagang chce zawładnąć całym światem. Pokazał nam, że nie cofnie się przed niczym. Zaczął zabijanie od dzieci. - Chłopak tak zacisnął pięści, że aż zbieleły mu kostki palców. - Zrobił to tylko po to, żeby przesłać mi wieść! Od dzieci! On nie ma sumienia. Ukazuje mi, co zamierza zrobić, żeby zwyciężyć. Żeby zmusić mnie do kapitulacji! Myśli, że to mnie złamie! - Kłykcie Richarda zbieleły, za to twarz spurpurowiała. - Ale się myli.

Przenigdy nie oddam naszych ludzi pod władzę takiego tyrana. Nigdy! Zrobię, co będę musiał, by zwalczyć zarazę! Przysięgam!

W komnacie nagle zapanowała cisza. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała tak rozgniewanego Richarda. Gdy miał w oczach morderczą furię Miecza Prawdy, obiekt jego gniewu był zazwyczaj w zasięgu ręki, budził ów gniew i ściągał go na siebie.

Tym razem był to frustrujący gniew, skierowany przeciw niewidzialnemu wrogowi.

Nie było namacalnego zagrożenia. Nie było czegoś, z czym można było bezpośrednio walczyć. Kahlan widziała, że gniew w oczach Richarda nie był magiczną furią miecza. To była wyłącznie wściekłość samego chłopaka.

Ostatecznie twarz Richarda przybrała normalny wyraz. Przesunął po niej dłonią i odetchnął głęboko. Odzyskał kontrolę nad głosem.

- Jeżeli spróbuję medytować, to tylko znów zobaczę owe chore i martwe dzieci. Nie zniosę tego. Chcę spać i nie śnić.

- Spać i nie śnić? Dręcą cię sny?

- Koszmary. We dnie, na jawie, też je mam, ale są realne.

Nawiedzający Sny nie może wejść do moich snów, lecz znalazł sposób, żeby zsyłać mi koszmary. Błagam was, dobre duchy, zapewnijcie mi trochę spokoju choć w czasie snu.

- To wyraźny objaw dysharmonii feng san - przytaknął sam sobie Drefan.

- Widzę, że będziesz trudnym pacjentem, ale są też po temu powody. - Uzdrowiciel wysunął kościaną szpilę ze skórzanej pętelki i odchylił zamknięcie jednej z zawieszonych u pasa sakiewek. Wyjął kilka skórzanych woreczków. Jeden od razu schował z powrotem. - Nie, to zabije ból, ale raczej nie pomoże zasnąć. - Powąchał inny. - Nie, po tym będziesz wymiotować. - Przeszukał pozostałe sakiewki i na koniec je zamknął. - Obawiam się, że nie zabrałem ze sobą tak powszechnego leku. Zabrałem jedynie te rzadko spotykane.

Richard westchnął.

- Dziękuję, że choć spróbowałaś coś na to poradzić. Drefan spojrział na Nadine. Była wcieloną gorliwością i zaciskała wargi, wniebowzięta tym, co słyszy.

- To, co dałaś matce Yonicka, będzie dla Richarda zbyt słabe - powiedział Drefan. - Masz trochę chmielu?

- Oczywiście. Rzecz jasna, jako nalewkę - odparła, najwyraźniej zachwycona, że ktoś ją wreszcie zapytał.

- Znakomicie - orzekł arcykapłan i klepnął Richarda w plecy. - Pomedytujesz innym razem. Tej nocy raz-dwa zaśniesz. Nadine przygotuje ci lek, a ja zajmę się kontrolowaniem służby i wydawaniem jej zaleceń.

- Ale nie zapomnij medytować - mruknął Richard za odchodzącym bratem.

Berdine została, czytając pamiętnik Kolo, a Nadine, Cara, Raina, Ulic, Egan i Kahlan towarzyszyli Richardowi do jego pobliskiej komnaty. Dwaj potężni gwardziści stanęli na warcie w korytarzu, kobiety weszły wraz z Richardem.

Chłopak zsunął z ramion złocistą pelerynę i rzucił ją na krzesło. Zdjął przez głowę pendent i położył Miecz Prawdy na pelerynie. Ze znużeniem ściągnął przez głowę zdobioną złotem tunikę, po czym zdjął koszulę i został tylko w czarnym podkoszulku bez rękawów.

Nadine obserwowała go kątem oka, odliczając głośno krople kapiące do szklanki z wodą.

Richard opadł na skraj łoża.

- Mogłabyś mi zdjąć buty, Caro? Mord-Sith przewróciła oczami.

- A czy ja wyglądam na lokaja?

Richard się uśmiechnął, więc przykucnęła, by spełnić jego prośbę. Odchylił się do tyłu i oparł na łokciach.

- Powiedz Berdine, że chcę, by odszukała każdą wzmiankę o tej Górze Czterech Wichrów. By sprawdziła, co jeszcze o tym znajdzie.

Cara, kucając u jego stóp, podniosła wzrok.

- Cóż za błyskotliwy pomysł. Założę się, że ona sama nigdy by na to nie wpadła, o mądry i wszechwiedzący panie - powiedziała z kpiącym zachwytem.

- Już dobrze, dobrze. Widzę, że nie jestem do niczego potrzebny. A gdzie mój magiczny napój?

- Właśnie skończyłam - odparła radośnie Nadine. Cara stęknęła i zzuła drugi but.

- Rozepnij spodnie, to je też ściągnę. Richard łypnął na nią gniewnie.

- Dziękuję, sam sobie poradzę.

Cara uśmiechnęła się kpiąco do siebie, a Richard zsunął się z łoża i podszedł do Nadine. Podała mu szklankę wody z nalewką chmielową. Dodała do niej jeszcze czegoś.

- Nie wypij wszystkiego od razu. Dałam pięćdziesiąt kropli. To o wiele więcej, niż potrzebujesz, ale chciałam ci zostawić trochę napoju. Wypij jakąś jedną trzecią, a gdy przebudzisz się w nocy, będziesz mógł wypić łyk lub dwa. Dodałam też trochę waleriany i tarczycy, żebyś zasnął głęboko i bez snów.

Richard wypił połowę mikstury. Skrzywił się.

- Skoro tak paskudnie smakuje, to albo mnie uśpi, albo zabije.

- Będziesz spać jak dziecko. - Nadine uśmiechnęła się doń.

- Słyszałem, że dzieci wcale tak dobrze nie śpią. Zielarka zaśmiała się lekko.

- Będziesz spać, Richardzie, obiecuję. A jeśli obudzisz się zbyt wcześnie, napijesz się jeszcze trochę.

- Dziękuję. - Chłopak usiadł na skraju łoża, przesunął wzrokiem po

czterech kobietach. - Ze spodniami na pewno sam sobie poradzę.

Cara przewróciła oczami i pospieszyła ku drzwiom, skłaniając Nadine, żeby szła przodem. Kahlan cmoknęła Richarda w policzek.

- Połóż się. Za chwilę wrócę, otulę cię i ucałuję na dobranoc. Teraz rozstawię warty.

Raina poszła za Kahlan i zamknęła drzwi. Nadine czekała, kołysząc się na piętach.

- Jak ramię? Potrzebny ci kataplazm?

- Ramię jest w o wiele lepszym stanie. Właściwie już wszystko w porządku.

Ale dziękuję, że zapytałaś - odparła Kahlan.

Dziewczyna splotła dłonie i patrzyła na Nadine. Cara i Raina również spoglądały na nią.

Zielarka powiodła po nich wzrokiem. Spojrzała na Ulica i Egana, którzy też się jej przyglądali.

- No to w porządku. Dobranoc.

- Dobranoc - odparły jednym głosem trzy kobiety. Patrzyły za odchodzącą Nadine.

- W dalszym ciągu uważam, że powinnaś mi pozwolić ją zabić - na wpół szepnęła Cara.

- Jeszcze mogę to zrobić - powiedziała Kahlan i zapukała do drzwi. - Richardzie? Położyłeś się już?

- Tak.

Kahlan otworzyła drzwi, a Cara ruszyła za nią. Dziewczyna się odwróciła.

- Zabawię tam tylko minutkę. Nie sądzę, by w tak krótkim czasie zdołał splamić mój honor.

Cara się nachmurzyła.

- Lord Rahl jest zdolny do wszystkiego.

Raina się roześmiała i klepnęła Carę w ramię, dając jej znak, żeby zostawiła Kahlan w spokoju.

- Nie martwiłabym się tym. Żadne z nas nie jest w odpowiednim nastroju po tym, co dziś zobaczyliśmy - rzuciła Matka Spowiedniczka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Płonęła tylko jedna świeca. Richard był przykryty do pasa. Kahlan usiadła

na skraju łoża, ujęła dłoń chłopaka i przycisnęła ją do serca.

- Jesteś okropnie rozczarowana? - zapytał.

- Pobierzemy się, Richardzie. Czekałam na ciebie całe życie. Jesteśmy razem i tylko to naprawdę się liczy.

Chłopak się uśmiechnął. W zmęczonych oczach zatańczyły mu iskierki.

- No, nie tylko to.

Kahlan nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem. Ucałowała kostki jego palców.

- Dopóki wiesz, że rozumiem - odparła - nie chciałam, byś zasypiał, myśląc, iż pęka mi serce, ponieważ nie możemy się natychmiast pobrać. Pobierzemy się, gdy tylko będziemy mogli to zrobić.

Richard położył drugą dłoń na karku dziewczyny, przyciągnął ją ku sobie i delikatnie pocałował. Oparła rękę na jego nagiej piersi; czuła ciepło jego ciała, rytm oddechu, bicie serca. Gdyby nie była tak zdruzgotana cierpiącymi dziećmi, które tego dnia widziała, i ona poczułaby podobne pragnienie.

- Kocham cię - szepnęła.

- I ja cię kocham, teraz i zawsze - wyszeptał odpowiedź. - Słodkich snów, najmilszy. - Kahlan zdmuchnęła świecę. Cara łypnęła podejrzliwie na zamykającą za sobą drzwi dziewczynę.

- To trwało dwie minuty.

Kahlan zignorowała przytyk Mord-Sith.

- Czy mogłabyś pilnować komnaty Richarda, Raino, zanim pójdziesz spać, a wówczas zostawić tu straż?

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- Po tym nasennym napoju Richard może się nie obudzić w razie niebezpieczeństwa. Ulicu, Eganie, chciałabym, żeby jeden z was był tutaj, gdy Raina pójdzie się przespać.

Ulic skrzyżował swoje potężne ramiona.

- Żaden z nas nie opuści stanowiska, Matko Spowiedniczko, dopóki lord Rahl będzie spać.

Egan wskazał na podłogę pod przeciwległą ścianą.

- W razie potrzeby jeden z nas może się tam zdrzemnąć. Będziemy tu obaj.

Nie martw się o bezpieczeństwo snu lorda Rahla.

- Dziękuję wam. Jeszcze jedno: Nadine pod żadnym pozorem nie wolno

wejść do tej komnaty. Pod żadnym pozorem.

Wszyscy potaknęli z satysfakcją, a Kahlan zwróciła się do jasnowłosej Mord-Sith:

- Idź po Berdine, Caro. Wezmę okrycie. I wy obie też weźcie. Wstrętna pogoda tej nocy.

- A dokąd się wybieramy?

- Spotkamy się w stajniach.

- W stajniach? Po co chcesz tam iść? Przecież to pora kolacji. Cara nigdy nie przełożyłaby sprawy tak błażej jak kolacja nad obowiązek. Była nieufna.

- Więc idź do kuchni po coś, co mogłybyśmy zabrać ze sobą. Cara splótła ręce za plecami.

- Dokąd jedziemy?

- Na przejażdżkę.

- Na przejażdżkę. Dokąd jedziemy, Matko Spowiedniczko?

- Do Wieży Czarodzieja.

Cara i Raina się zdumiały. Zdumienie pierwszej z nich zmieniło się w dezaprobatę.

- Czy lord Rahl wie, że chcesz jechać do wieży?

- Oczywiście, że nie. Gdybym powiedziała mu, dlaczego chcę tam jechać, zaraz zacząłby się upierać, że on też pojedzie. Potrzebuje snu, więc nic mu nie powiedziałam.

- A dlaczego tam jedziemy?

- Bo zniknęła Świątynia Wichrów. Czarodziejom, którzy tego dokonali, wytoczono proces. W Wieży Czarodzieja przechowywane są zapiski ze wszystkich toczących się tam rozpraw. Chcę odnaleźć odpowiednie fragmenty. Jutro, jak już się trochę prześpi, Richard będzie mógł je przeczytać. Może mu się to przydać. - To nawet rozsądne, by jechać do Wieży Czarodzieja po zmroku. Pójdę po Berdine i po prowiant. Spotkamy się w stajniach. Urządzimy sobie piknik - powiedziała Caro z leciutką uszczypliwością.

ROZDZIAŁ 34

Kahlan zamrugała powiekami, strzepując z rzęs płatki śniegu, głębiej nasunęła na czoło kaptur i pomyślała, jaką głupotą było pozostanie w białej szacie Spowiedniczki. Stała w strzemionach, sięgnęła między nogi i podciągnęła do przodu białą szatę, żeby ochronić swoje nagie nogi przed zimnym siodłem. Na szczęście buty miała na tyle wysokie, że niezbędne do usadowienia się w siodle zadarcie sukni nie wystawiło jej łydek na uderzenia wiatru. Cieszyła się, że znów dosiada Nicka, wielkiego bojowego rumaka, którego dostała od galejskich żołnierzy.

Nick był jej starym przyjacielem.

Cara i Berdine czuły się równie nieswojo jak ona, wiedziała jednak, że to dlatego, iż boją się znaleźć w tak przesyconym magią miejscu. Już przedtem były w Wieży Czarodzieja. I nie chciały tam wracać. W stajniach usiłowały odwieść Kahlan od tego zamiaru, lecz przypomniała im o zarazie.

Nick zastrzygł uszami, nim w wirującym śniegu ukazały się ciemne postacie żołnierzy, którzy je okrzyknęli. Kahlan wiedziała, że dotarli do kamiennego mostu.

żołnierze trzymali straż od strony miasta.

Gwardziści schowali miecze, kiedy Cara, która była zadowolona, że ma na kim wyładować zły humor, warknęła na nich.

- Paskudna noc na wyprawę, Matko Spowiedniczko - powiedział jeden z nich, ciesząc się, że może się odezwać do kogoś innego niż Mord-Sith.

- Paskudna noc na pełnienie tu warty - odpowiedziała. Żołnierz obejrzał się przez ramię.

- Okropna jest każda noc spędzona tu, na straży wieży. Kahlan się uśmiechnęła.

- Wieża wygląda ponuro, żołnierzu, lecz nie jest taka zła, jak się wydaje.

- Skoro tak twierdzisz, Matko Spowiedniczko. Ja tam się tak czuję, jakbym trzymał wartę przed samymi zaświatami.

- Nikt nie próbował się przedostać do wieży, prawda?

- Gdyby kto chciał, to byś o tym usłyszała albo znalazła nasze ciała, Matko Spowiedniczko.

Kahlan przynagliła wielkiego rumaka. Nick parsknął i pognął po gładkim

śniegu. Miała do niego zaufanie, więc pozwoliła, by prowadził. Cara oraz Berdine, kołysząc się w siodłach, jechały za nią. W stajniach Cara złapała wędzidło swojego konia i - patrząc mu prosto w oczy - rozkazała, by nie sprawiał jej żadnych kłopotów.

Kahlan miała osobliwe wrażenie, że gniada klacz zrozumiała ostrzeżenie.

Dziewczyna ledwo widziała kamienne mury po bokach mostu. Dobrze, że konie nie dostrzegały ziejącej za nimi przepaści. Wiedziała, że Nick by się nie przestraszył, lecz nie była pewna pozostałych dwóch. Strome skalne ściany spadały w dół na tysiące stóp. Kobiety jechały jedyną drogą prowadzącą do Wieży Czarodzieja.

Nie było innej, chyba że ktoś miał skrzydła.

Olbrzymia wieża - niebotyczne mury z ciemnego kamienia, wały obronne, bastiony, wieże, łączniki i mosty - stapała się w tę śnieżną noc z atramentowoczarnym stokiem góry, na którym ją wzniesiono. Ludzie pozbawieni magicznego daru lub nie pojmujący magii widzieli w niej jawny symbol złowieszczej groźby.

Kahlan wychowała się w Aydindril i była w wieży mnóstwo razy, najczęściej sama. Pozwalano jej chodzić do wieży samotnie nawet wtedy, kiedy była dzieckiem, zresztą innym młodym Spowiedniczkom również. Gdy była mała, czarodzieje łaskotali ją i biegali z nią po korytarzach, śmiejąc się jak i ona. Wieża Czarodzieja była dla niej drugim domem: miłym, bezpiecznym i wygodnym. Wiedziała jednak, że w tym miejscu, jak w każdym domu, istnieją zagrożenia. Dom będzie bezpieczny i wygodny dopóty, dopóki ktoś nie wpadnie na głupi pomysł wejścia prosto w palenisko. W wieży również były miejsca, do których nie należało wchodzić.

Przestała samotnie odwiedzać Wieżę Czarodzieja dopiero wtedy, kiedy podrosła. Dla dorastającej Spowiedniczki samotne wycieczki stają się groźne. A gdy zaczyna przyjmować wyznania, nie powinna udawać się nigdzie bez ochrony swojego czarodzieja.

Starsze Spowiedniczki przysparzają sobie wrogów. Rodzina skazanego rzadko wierzy, że bliski im człowiek popełnił brutalne zbrodnie, winią więc Spowiedniczki o orzeczenie kary śmierci, choć one tylko potwierdzają zasadność owego wyroku.

Zawsze zdarzały się zamachy na życie Spowiedniczek. Wielu - od

zwykłych ludzi poczynając, na królach kończąc - chciało ich śmierci.

- Jak przedostaniemy się przez osłony bez lorda Rahla? - spytała Berdine.
- Przedtem jego magia pozwoliła nam przez nie przejść. Teraz nie pokonamy osłon.

Kahlan uśmiechnęła się uspokajająco do obu Mord-Sith.

- Richard nie miał pojęcia, dokąd szedł. Po prostu przemierzał po omacku wieżę, wiedziony instynktem. Znam takie trasy, na których magia nie jest potrzebna.

Jest tam kilka słabych osłon, które powstrzymałyby zwykłych ludzi, ale te akurat mogę przebyć. A jeśli ja mogę przez nie przejść, to i was przeprowadzę, tak jak Richard przeprowadził was przez mocniejsze osłony: dotykając i przechodząc razem z wami.

Cara mruknęła coś niechętnie. Łudziła się, że osłony je powstrzymają.

- Byłam w wieży tysiące razy, Caro. Tam jest zupełnie bezpiecznie. Pójdziemy tylko do bibliotek. Wy bronicie mnie w świecie otaczającym wieżę, tam ja będę chronić was. Jesteśmy siostrami w Agielu. Nie pozwolę, byście zanadto zbliżyły się do jakichś niebezpiecznych czarów. Ufasz mi?

- Hmm... jesteś siostrą w Agielu. Sądzę, że mogę zaufać siostrze w Agielu.

Przejechały pod opuszczaną kratą i znalazły się na terenie Wieży Czarodzieja.

W obrębie potężnych murów zewnętrznych śnieg topniał, gdy tylko osiadł na ziemi.

Kahlan zsunęła z głowy kaptur. Wewnątrz murów było ciepło i przyjemnie. Strząsnęła śnieg z peleryny i głęboko wciągnęła świeże, pachnące wiosną powietrze - wypełniło płuca dziewczyny znajomym, kojącym aromatem. Nick zarżał wesoło.

Kahlan poprowadziła obie Mord-Sith przez pokryty żwirem i kamiennymi odłamkami odcinek, aż do łukowatego otworu w murze, który wiódł do tunelu pod tą częścią wieży. Jechały długim przejściem, a lampy wiszące u siodła Cary i Berdine rozświetlały pomarańczowym blaskiem kamienne ściany i kolebkowy strop.

- Dlaczego jedziemy akurat tędy? - spytała Cara. - Lord Rahl wprowadził nas do środka przez te duże drzwi, tam, z tyłu.

- Wiem o tym. To jeden z powodów, dla których boicie się tego miejsca. To był bardzo niebezpieczny sposób wejścia do środka. Wprowadzę was tak,

jak sama zazwyczaj wchodziłam. To o wiele lepsze. Przekonacie się. Nie jest to wejście dla gości, lecz korzystali zeń ci, którzy tu żyli i pracowali. Goście wchodzili innymi drzwiami, a tam witał ich doradca, zajmujący się ich sprawami.

Wyjechały z tunelu i trzy konie spojrzały na rozległy, pokryty soczystą trawą wybieg. Wysypana żwirem droga wiodła wzdłuż muru, w którym było główne wejście do wieży, po drugiej zaś stronie miała płot ograniczający wybieg. Jego część po lewej stronie ograniczały mury, a nie płot. W tyle znajdowały się stajnie.

Kahlan zsiadła i otworzyła wrota. Obie Mord-Sith poszły w jej ślady. Zdjęły zwierzętom siodła i uprząż i puściły je na wybieg, gdzie mogły skubać zieloną trawę i brykać na świeżym, ciepłym powietrzu.

Dwanaście szerokich granitowych stopni, wygładzonych i wybrzuszonych przez tysiąclecia, wiodło do znajdującego się w niszy wejścia - do zwykłych, ale ciężkich dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do wnętrza. Cara i Berdine, trzymając lampy, weszły za Kahlan. Światło lamp zniknęło w rozległym westybulu, jedynie słabe płomyki pełgały po kolumnach i łukach.

- Co to takiego? - spytała szeptem Berdine. - Jakbym słyszała wodę płynącą po burzy.

- A nie ma tu przypadkiem... szczurów?

- To fontanna - odparła Kahlan, a jej głos odbił się echem od ścian. - Owszem, Caro, w wieży są szczury, ale nie tam, dokąd was zabieram. Na pewno. Daj mi, proszę, swoją lampę. Pokażę wam ten groźny loch.

Wzięła od Mord-Sith lampę i podeszła do jednej z umieszczonych na ścianie po prawej lamp inicjujących. Kahlan robiła to już tyle razy, że mogła tędy chodzić nawet po ciemku, lecz potrzebny jej był płomyk. Znalazła lampę inicjującą, odchyliła klosz i zapaliła knot od lampy Cary.

Lampa zabłysła, a potem, jedna po drugiej, zapaliły się pozostałe - całe ich setki - parami, jedna po prawej i jedna po lewej. W westybulu robiło się coraz jaśniej, zupełnie jakby ktoś podkręcał knot w dużej lampie.

W kilka sekund w środku było już niemal tak jasno jak w dzień, lampy dawały miękkie, żółto-pomarańczowe światło. Cara i Berdine aż otworzyły usta z podziwu.

Przeszklony strop, znajdujący się setki stóp nad ich głowami, był teraz

ciemny, lecz w dzień wpadało tędy do środka światło i ciepło. Nocą, gdy niebo było czyste, można było zgasić lampy, patrzeć na gwiazdy i pozwalać księżycowej poświacie rozjaśniać westybul.

Pośrodku wyłożonej płytami posadzki wznosiła się fontanna w kształcie liści koniczyny. Woda tryskała na piętnaście stóp z najwyższej misy, następnie spływała kaskadą do coraz szerszych, przypominających muszle mis, by w końcu ściekać przez łuki rozmieszczone równomiernie na dnie najniższej położonej misy do dolnego zbiornika. Otaczająca zbiornik ścianka z nakrapianego białego marmuru była na tyle szeroka, że mogła służyć jako ławka.

Berdine zeszła z jednego z pięciu okalających westybul stopni.

- Jakie to piękne - wyszeptała ze zdumieniem.

Cara przyjrzała się kolumnom z czerwonego marmuru, które podtrzymywały łuki pod galerią, biegnącą wokół owalnego westybulu. Uśmiechała się.

- To zupełnie nie przypomina miejsca, do którego zabrał nas lord Rahl. - Cara się zachmurzyła. - Lampy. To była magia. Tu jest magia. A powiedziałaś, że będziesz nas trzymać z dala od magii.

- Obiecałam, że będę was trzymać z dala od niebezpiecznej magii. Owe lampy też są swego rodzaju osłoną, ale pełnią inną funkcję. Zamiast zatrzymywać ludzi na zewnątrz, witają ich i pomagają wejść. To przyjazny rodzaj magii, Caro.

- Przyjazny. No pewnie.

- Chodźmy dalej, przecież przyszliśmy tutaj w określonym celu. Czeka nas praca.

Kahlan zaprowadziła je do bibliotek eleganckimi, ciepłymi korytarzami, które zupełnie nie przypominały przerażającej trasy, jaką szły przedtem. Napotkały tylko trzy osłony. Magiczny dar Kahlan pozwalał jej je pokonać. Za każdym razem ujmowała dłonie Cary i Berdine i przeprowadzała obie Mord-Sith, choć skarżyły się na mrowienie. Te osłony nie strzegły żadnych niebezpiecznych obszarów, były więc słabsze od innych. A znajdowały się tu przecież i osłony, których Kahlan nie zdołałaby pokonać, jak choćby te, przez które Richard przeprowadził ją do sylfy - mimo iż dziewczyna uważała, że powinny być i inne wiodące tam drogi. Wieży Czarodzieja strzegły także takie zabezpieczenia, które nie zatrzymały Richarda, choć Kahlan nie

słyszała, by poradził sobie z nimi jakikolwiek czarodziej.

Doszły do skrzyżowania z korytarzem, po którego ścianach biegły pasy jasnoróżowego kamienia. Tu i ówdzie znajdowały się wejścia do przepastnych komnat, okolonych wyściełanymi ławami przeznaczonymi do czytania lub rozmów.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami w głębi każdego z takich pomieszczeń usytuowana była biblioteka.

- Byłam tutaj. Pamiętam to - odezwała się Berdine.

- Tak. Richard przyprowadził cię tutaj, ale inną drogą. Kahlan dotarła aż do ósmej komnaty i weszła do mieszczącej się za nią biblioteki. Od swojej lampy zapaliła lampę inicjującą i - tak jak poprzednio - zapłonęły wszystkie pozostałe lampy, wydobywając pomieszczenie z czarnych mroków, budząc je do życia. Podłogi wykonano ze lśniącego drewna, ściany wyłożono boazerią z tej samej dębiny w kolorze miodu. W ścianie naprzeciw drzwi umieszczono okna, które za dnia wpuszczały blask słońca. Roztaczała się z nich wspaniała panorama Aydindril. Teraz Kahlan jedynie czasami dostrzegała poprzez wirujący śnieg światła leżącego w dole miasta.

Dziewczyna szła między stołami do lektury, a rzędami półek, szukając potrzebnych im książek. Tylko w tej jednej komnacie znajdowało się sto czterdzieści pięć wypełnionych tomami szeregów. Stały tu wygodne fotele, w których można było zasiąść do czytania, tej nocy jednak będą im potrzebne stoły, żeby umieścić na nich niezbędne księgi.

- A więc to jest biblioteka. W D'Harze, w Pałacu Ludu, są biblioteki o wiele większe niż ta - odezwała się Cara.

- To zaledwie jedna z dwudziestu sześciu bibliotek. Jedynie z trudem mogę sobie wyobrazić, ile książek znajduje się w Wieży Czarodzieja - powiedziała Kahlan.

- W takim razie jak odnajdziemy te, których szukamy? - spytała Berdine.

- Nie będzie to takie trudne, jak się wydaje. Jeśli chcesz coś odszukać, biblioteki mogą się wydać oszałamiającym labiryntem. Znałam kiedyś czarodzieja, który przez całe życie szukał tu pewnej informacji. Dobrze wiedział, że znajdowała się w jednej z książek, lecz nigdy jej nie znalazł.

- Więc jak my ją odnajdziemy?

- Znajdziemy ją, bo pewne specjalistyczne księgi trzyma się razem. Na przykład księgi omawiające określony język. Mogę wam pokazać tomy

dotyczące poszczególnych języków, gdyż nie traktują o magii i dlatego właśnie są przechowywane w jednym miejscu. Nie mam pojęcia, jak pogrupowano woluminy na temat magii i prorocत्व, o ile w ogóle ustawiono je w jakimś porządku. W tej bibliotece przechowuje się niektóre akta, na przykład akta procesów, które się tutaj odbywały. Nie czytałam ich, ale uczono mnie o tym. - Kahlan zawróciła i wprowadziła je między dwa rzędy półek. Przystanęła niemal w połowie długiego na pięćdziesiąt stóp przejścia. - O, są tutaj. Napisy na grzbietach mówią, że zanotowano je w różnych językach. Znam wszystkie języki oprócz gornod'harańskiego, więc przeszukam spisane w nich księgi. Ty, Caro, weź zapiski poprowadzone w naszych językach, ty zaś, Berdine, te w gornod'harańskim.

Zaczęły zdejmować księgi z półek, zanosić je na stoły i dzielić na trzy sterty.

Było ich o wiele mniej, niż się Kahlan obawiała. Berdine miała zaledwie siedem ksiąg, a Cara piętnaście. Kahlan zgromadziła jedenaście tomów w rozmaitych językach. Berdine trudno będzie tłumaczyć z gornod'harańskiego, lecz Kahlan była biegła w językach i z pewnością zdoła jeszcze pomóc Carze, gdy tylko skończy ze swoimi księgami.

Kahlan zaczęła je przeglądać i szybko przekonała się, że będzie to łatwiejsze, niż sądziła. Każdy proces zaczynał się od wyszczególnienia rodzaju przestępstwa, zatem bez trudu można było odrzucić to wszystko, co nie miało nic wspólnego ze Świątynią Wichrów.

Ludzi oskarżano o najrozmaitsze czyny: od kradzieży czyjegoś ulubionego przedmiotu o niewielkiej wartości do zbrodni. Czarodziejkę obwiniano o rzucenie czaru urzeczenia, lecz okazało się, że jest niewinna. Dwunastoletniemu chłopcu zarzucono, że wywołał bójkę, w której inny chłopiec złamał rękę. Ponieważ napastnik posłużył się magią, by spowodować to złamanie, zawieszono na rok jego szkolenie.

Czarodzieja posądzono o to, że jest nałogowym pijakiem: oskarżono go o to po raz trzeci, gdyż wcześniejsze kary nie odniosły skutku. Uznano go winnym i skazano na śmierć. Wyrok wykonano dwa dni później, gdy wytrzeźwiał.

Pijącym nałogowo czarodziejom nie okazywano pobłażania. Uważano ich za naprawdę niebezpiecznych, bo tacy przecież byli: w amoku mogli wyrządzić mnóstwo szkód i doprowadzić do czyjejś śmierci. Kahlan tylko

raz widziała czarodziejów, którzy się upili.

Sprawozdania z procesów były fascynujące, lecz Kahlan - pamiętając, czego szuka - powstrzymywała się od zaczytywania się w nich. Kartkowała księgi, chcąc odnaleźć w nich wzmiankę o Świątyni Wichrów lub o grupie czarodziejów oskarżonych o przestępstwo. Obie Mord-Sith również szybko przeglądały swoje tomy. Po godzinie Kahlan przewertowała jedenaście ksiąg w rozmaitych językach, Berdine zostały tylko trzy, a Carze - sześć.

- Znalazłyście coś?

Cara zrobiła znaczącą minę.

- Właśnie znalazłam relację o czarodzieju, który zabawiał się zadzieraniem szat przed kobietami na targu przy Stentor Street i nakazywaniem im, by „całowały węża”. Nie miałam pojęcia, że czarodzieje mogą się wplątywać w takie kłopoty.

- To tacy sami ludzie jak inni.

- Wcale nie. Mają magiczny dar - odparła Cara.

- Ja też go mam. A ty coś znalazłaś, Berdine?

- Nie. Tylko zwyczajne przestępstwa.

Kahlan sięgała właśnie pojedna z ksiąg, które zostały Carze, lecz się wstrzymała.

- Byłaś w komnacie z sylfą, Berdine.

Mord-Sith zadrżała teatralnie i wydała dźwięk pełen odrazy.

- Nie przypominaj mi o tym.

Kahlan zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć owo pomieszczenie.

Pamiętała kości Kolo i sylfę, lecz nie bardzo pamiętała, co jeszcze się tam znajdowało.

- Czy były tam jakieś księgi, Berdine?

Mord-Sith przygryzła paznokciec i przymrużyła w zadumie oczy.

- Pamiętam, że na stole znaleźliśmy otwarty pamiętnik Kolo. Były tam też kałamarz i pióro. Przypominam sobie, że kości czarodzieja leżały na podłodze, obok krzesła, a większość jego szat już dawno się rozpadła. Lecz skórzany pas wciąż był na miejscu.

Kahlan przypominała sobie mniej więcej to samo.

- A przypominasz sobie, czy na półkach stały jakieś księgi? Mord-Sith uniosła wzrok ku górze, namyślała się.

- Nie.

- Nie było ich czy nie pamiętasz?

- Nie pamiętam. Lord Rahl bardzo się podekscytował znalezieniem pamiętnika Kolo. Powiedział, że to coś zupełnie innego niż księgi w bibliotece i że czuje, iż to jest właśnie to, czego szukał: coś zupełnie innego. Zaraz potem stamtąd wyszliśmy.

Kahlan wstała.

- Przejrzyjcie resztę tych ksiąg. W tym czasie ja zejść na dół i dla pewności rzucę okiem.

Cara z łomotem odsunęła krzesło i też wstała.

- Idę z tobą.

- Na dole są szczury - rzuciła dziewczyna. Cara, zirytowana, wsparła rękę na biodrze.

- Widziałam już w życiu szczury. Idę z tobą. Kahlan dobrze pamiętała jej opowieść o szczurach.

- Nie trzeba, Caro. W wieży nie musisz mnie chronić. Poza nią tak, lecz tutaj znam zagrożenia lepiej niż ty. Obiecałam, że nie zabiorę cię w pobliże niebezpiecznej magii. A tam, na dole, jest właśnie taka niebezpieczna magia.

- Więc kryje się tam również zagrożenie dla ciebie.

- Nie, ponieważ o tym wiem. A ty nie. Niebezpieczeństwo groziłoby tobie, a nie mnie. Wyrosłam tutaj. Moja matka pozwoliła mi oprowadzać po Wieży Czarodzieja, kiedy byłam małą dziewczynką, bo uczono mnie przy tym o zagrożeniach i o tym, jak ich unikać. Wiem, co robię. Zostań, proszę, z Berdine i skończcie przeglądać księgi. To, co ważne, zaoszczędzi nam czasu. Im szybciej znajdziemy tom, którego szukamy, tym szybciej wrócimy do domu, by czuwać nad Richardem. Takie jest nasze właściwe zadanie.

Cara przestąpiła z nogi na nogę, zachrząsał jej skórzany uniform.

- Wydaje mi się, że znasz tutejsze magiczne zagrożenia o wiele lepiej niż ja. I masz rację, mówiąc, że trzeba jak najszybciej wrócić do domu. Nadine tam jest.

ROZDZIAŁ 35

Kahlan starała się porównać zapamiętany obraz Wieży Czarodzieja z korytarzami, schodami i komnatami, które mijala, schodząc w dół. Szczury popiskiwały i uciekały przed światłem jej lampy.

Z wałów obronnych i przejść na szczycie dziewczyna widywała często wieżę, wznoszącą się nad komnatą Kolo, lecz w samej komnacie znalazła się dopiero wtedy, gdy Richard ją tam zaprowadził. Niestety, chłopak szedł niebezpieczną trasą i pokonywał osłony, których Kahlan samodzielnie nie zdołałaby przebyć.

Była przeświadczona, że do komnaty Kolo musiały prowadzić również inne drogi. W Wieży Czarodzieja znajdowały się i takie rozległe obszary, których nie chroniły żadne osłony Trzeba tylko znaleźć przejście, na którym ich nie postawiono, albo trasę z takimi, przez które przeprowadzi ją jej magiczny dar. Nie znała w ogóle tych części budowli, chronionych przez groźne osłony, które przebyła z Eichardem.

Nigdy przedtem tam nie była, miała jednak całe mnóstwo sposobów, żeby je obejść.

Owe „twarde osłony”, jak zwykli je nazywać czarodzieje, miały najczęściej chronić coś, co było tuż za nimi, nie zaś bronić dostępu do innej części wieży.

Richard przeprowadził ją przez wiele takich komnat: przez składnice groźnej magii, których nigdy wcześniej nie widziała. Ten szlak wiódł szybciej do celu, ale wymagał specyficznej magii.

Jeśli Kahlan miała rację, podejrzewając, że Richard przemierzał labirynt, który tworzyły takie groźne miejsca, a nie po prostu twarde osłony chroniące wieżę, to musiała też istnieć trasa omijająca owe obszary i prowadząca do komnaty pod wieżą.

Z doświadczenia Kahlan wynikało, że Wieża Czarodzieja rządziła się takimi właśnie prawami: jeżeli komnata Kolo ma być niedostępna, będą ją chronić jej własne twarde osłony. Jeśli wszakże dostęp do niej nie był zakazany, to będzie choć jedna droga, którą Kahlan się tam dostanie. Musi ją tylko odnaleźć.

Dziewczyna spędziła w Wieży Czarodzieja wiele czasu, z czego

większość, ucząc się w bibliotekach. Zwiedzała ją, owszem, lecz cała budowla była nieprawdopodobnie rozległa. Ogromna była nie tylko część widoczna z zewnątrz.

Należało pamiętać, że większość konstrukcji ukryto w stoku góry. Zewnętrzne ściany były ledwie szczytem Wieży Czarodzieja, jakby koroną zęba, którego korzeń sięgał głęboko w głąb.

Kahlan przeszła przez pustą, wyciętą w skale komnatę do jednego z korytarzy po drugiej stronie. W całej budowli było mnóstwo pustych komnat. Niektóre z nich - jak ta, którą przecięła - wydawały się jedynie punktami, w których zbiegały się rozmaite korytarze, powiększonymi prawdopodobnie po to, żeby stanowiły punkty odniesienia.

Czworoboczny korytarz wycięto pieczołowicie w skale i wygładzono. Lampa Kahlan oświetlała wyłobione w granicie wstęgi symboli, z okrągłymi polami otoczonymi kłębowskiem linii. Były tak wypolerowane, że aż błyszczały. Każda taka opasująca przejście wstęga oznaczała miejsce usytuowania miękkiej osłony i Kahlan, przechodząc przez nie, czuła mrowienie.

Przed sobą zobaczyła hol rozdzielający się na trzy korytarze. Nim tam dotarła, wokół niej rozbrzęczało się powietrze. Zdołała się zatrzymać dopiero po dwóch krokach. Po każdym z nich narastała wysokość tonu, aż brzęczenie stało się nieprzyjemne. Długie włosy Kahlan uniosły się jej z ramion i pleców i sterczały we wszystkich kierunkach. Wstęga wycięta przed nią w kamieniu natychmiast zaczęła się jarzyć czerwienią.

Cofnęła się kilka kroków i brzęczenie zaczęło cichnąć.

Włosy dziewczyny opadły.

Zakłęła cicho. Bucząca osłona była natarczywym ostrzeżeniem, żeby trzymać się z daleka, a czerwony blask wyznaczał jej położenie. Dźwięk sygnalizował, że wchodzi się w zasięg jej działania.

Niektóre z twardych osłon sprawiały, że powietrze robiło się gęste jak muł, a potem twarde niczym gład. Dzięki temu osoba pozbawiona specyficznego rodzaju magii nie mogła podejść zbyt blisko. Niektóre ostrzegające dźwiękiem osłony nie wzbraniały dostępu, ale niebaczne wejście w nie mogło skończyć się odpadnięciem ciała od kości. Słabsze osłony miały nie dopuścić, by osoby pozbawione magii, a więc i wiedzy, znalazły się zbyt blisko niebezpieczeństwa.

Kahlan zawróciła, uniosła lampę i pospiesznie cofnęła się do komnaty.

Wybrała inny korytarz - biegł mniej więcej w tę stronę, w którą chciała pójść.

Wyglądał znacznie sympatyczniej: pobielane wapnem ściany i strop sprawiały, że lampa świeciła jaśniej i lepiej oświetlała drogę. W białym korytarzu Kahlan nie napotkała żadnej osłony, a po chwili schody sprowadziły ją w głąb Wieży Czarodzieja. Na dole trafiła na kolejny wykuty w skale korytarz, również pozbawiony osłon. Dziewczyna przypominała sobie korytarze, schody, komnaty oraz ciasne tunele i była coraz bardziej pewna, że - odrzucając błędnie wybrane odcinki drogi - istnieje szlak bez osłon, który prowadzi do wieży z komnatą Kolo. Otworzyła drzwi na końcu kamiennego korytarza i weszła na przejście chronione żelazną balustradą. Uniosła przed sobą lampę. Stała na najniższym poziomie wieży.

Przejście okrężało całe pomieszczenie. Wokół wewnętrznych ścian kolosalnej kamiennej wieży wiły się schody, przełamywane w nieregularnych odstępach podestami umieszczonymi przy kolejnych drzwiach. Pośrodku, na dnie wieży, znajdował się zbiornik wypełniony czarną wodą. Tu i ówdzie wystawały z niej skałki.

Po atramentowej powierzchni ślizgały się owady lub muskały ją w locie. Na skałkach, sunąc wzrokiem za Kahlan, wylegiwały się salamandry.

To tutaj ona i Richard walczyli z królową mriswithów. Cuchnące, porozbijane jaja królowej wciąż jeszcze tkwiły na głazach. Na powierzchni wody w dalszym ciągu unosiły się odłamki wyrwanych siłą wybuchu wrót komnaty Kolo. Służyły teraz jako wysepki tłustym, posykanym na intruza robalom.

Po drugiej stronie okrągłego pomieszczenia w dole wieży znajdowało się wejście do komnaty Kolo.

Kahlan pospiesznie dotarła do platformy przed tym pomieszczeniem. Wrota zostały wysadzone razem z framugą. Pozostały po nich tylko osmalone i poszarpane brzegi. Tu i ówdzie kamień był stopiony niczym wosk świecy. Ścianę wieży naprzeciwko drzwi znaczyły krechy sadzy - ślady wyzwolonej mocy, która po raz pierwszy od tysiącleci otworzyła komnatę czarodzieja.

Niszcząc Baszty Zatracenia, Richard zniszczył również przy okazji magiczne pieczęcie zamykające pułapkę Kolo. Trzy tysiące lat temu, w czasie

wielkiej wojny, baszty oddzieliły Stary Świat od Nowego. Zapieczętowały także komnatę z sylfą, a w niej człowieka, który miał nieszczęście pełnić akurat przy niej wartę.

Kahlan weszła do komnaty, w której zmarł czarodziej i w której przebywała sylfa. Pod stopami Matki Spowiedniczki zachrzęściły kamienne odłamki. Cisza aż dzwoniła jej w uszach. Była przygniatająca. Dziewczyna z ulgą słyszała odgłos swoich kroków.

Richard obudził sylfę po tysiącach lat, a ta zaniósła go do Starego Świata, po czym odtransportowała bezpiecznie wraz z Kahlan do Aydindril. Po powrocie chłopak raz jeszcze ją uśpił. Kahlan spędziła w Wieży Czarodzieja tyle lat, a nie wiedziała, że jest tu sylfa. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jakiej magii musieli użyć dawni czarodzieje, by wyczarować taką istotę, a następnie uśpić ją na tak długi czas, i to tak, by mogła się obudzić. Ledwo pojmowała, jaką mocą dysponował Richard, choć nie umiał świadomie korzystać ze swego daru.

Czegóż mogli dokonać za pomocą tak potężnej magii starożytni czarodzieje wojny, którzy znali dobrze swoją moc? Jakąż potwornością musiała być wojna między nimi?

Sama myśl o tym sprawiała, że Kahlan przechodziły dreszcze.

To mogło być coś w rodzaju zarazy, którą właśnie na nich zesłano. Oni potrafiliby dokonać czegoś takiego.

Blask lampy padł na leżące obok krzesła kości Kolo. Pióro i kałamarz wciąż tkwiły na zakurzonej stole. Okrągłą komnatę średnicy około sześćdziesięciu stóp przykrywał sklepiony strop, znajdujący się na wysokości równej niemal przekrojowi pomieszczenia. Pośrodku widniała okrągła kamienna ścianka - jakby krąg studni.

Zajmowała prawie połowę grobowca Kolo. Tu przebywała sylfa. Kahlan wystawiła lampę za obmurowanie studni i rzuciła okiem na opadające w bezdenną czeluść gładkie kamienne ściany ciemnego szybu.

Mury komnaty pokrywały zygzakowate, wypalone smugi, zupełnie jakby szalała tu błyskawica. Był to kolejny efekt magii, którą wyzwolił Richard, niszcząc Baszty Zatracenia, a przy okazji wysadzając drzwi więzienia Kolo. Kahlan szybko obesła komnatę, sprawdzając, czy nie znajdzie tu czegoś, co mogłoby się przydać. W środku były jednak tylko stół, krzesło, zwłoki Kolo i zakurzone półki. Dziewczyna stwierdziła z niezadowoleniem, że nie stały na

nich żadne książki. Znajdowały się tam jedynie trzy jasnoniebieskie, pokryte glazurą zamykane pojemniki, w których kiedyś była zapewne woda lub zupa przeznaczona dla czarodzieja pilnującego sylfy. W białej emaliowanej miseczce tkwiła srebrna łyżka. Na jednej z półek leżała równiutko złożona haftowana serweta. Dziewczyna dotknęła jej i tkanina rozpadła się w proch.

Kahlan pochyliła się niżej, lecz na ostatniej półce znalazła tylko kilka świec i lampę.

Znienacka przeszył ją lodowaty dreszcz. To było ostrzeżenie.

Ktoś się jej przyglądał.

Zdrętwiała i wstrzymała oddech, wmawiając sobie, że to tylko złudzenie.

Zjeżyły się jej włoski na karku. Poczowała gęsią skórkę.

Z całych sił starała się coś usłyszeć. Skurczyła palce stóp. Bała się poruszyć.

Ostrożnie, powoli zrobiła tak potrzebny jej płucom wdech.

Wolno, jak najwolniej - Żeby nic nie było słychać - wyprostowała się odrobinę.

Bała się przesunąć stopy, by kamienne odłamki nie zaskrzypiały jej pod butami.

Instykt nakazywał schronić się za obmurowaniem studni. Stamtąd mogłaby ocenić, czy straszą ją jedynie wytwory jej własnej wyobraźni. Może to tylko szczur.

Kahlan wygięła się, żeby ocenić odległość do kamiennego murku.

Wzdrygnęła się i powstrzymała krzyk.

ROZDZIAŁ 36

Sylfa uniosła srebrzystą twarz ponad krawędź kamiennego murku i obserwowała Kahlan.

W lśniącej metalicznie kobiecej twarzy sylfy, niczym w żywym lustrze, odbijało się światło lampy i komnata. Nie ulegało wątpliwości, dlaczego Kolo pisał o tej istocie „ona”. Sylfa była srebrnym posągiem. Tyle że poruszała się z gracją.

Kahlan przycisnęła dłoń do łomoczącego serca i z trudem chwyciła powietrze, a sylfa przyglądała się jej, jakby była ciekawa, co dziewczyna uczyni. Kolo pisał często w swoim pamiętniku, że „ona” go obserwuje.

- Sylfo... Dlaczego nie śpisz? - wyjąkała. Twarz istoty zmarszczyła się w zdumieniu.

- Pragniesz podróżować? - zapytał osobliwy głos. Usta sylfy nie poruszyły się, gdy mówiła, lecz uśmiechnęła się miło.

- Podróżować? Nie. - Kahlan zrobiła krok ku studni. - Sylfo, Richard kazał ci spać. Byłam tutaj.

- Pan. Zbudził mnie.

- Tak, Richard cię obudził. Podróżował w tobie. Ocalił mnie i wrócił tu ze mną... w tobie.

Kahlan z niejakim wzruszeniem przypomniała sobie to osobliwe doświadczenie. Żeby podróżować w sylfie, należało ją wciągnąć w płuca. Z początku było to przerażające, ale Richard trzymał ją za rękę, więc Kahlan się na to odważyła i przekonała się, jaka to cudowna podróż.

Oddychanie sylfą upajało.

- Pamiętam. Kiedyś byłaś we mnie, pamiętam - powiedziała sylfa.

- A nie pamiętasz, że Richard znów kazał ci spać?

- Obudził mnie z trwającego wieki snu, lecz nie wprowadził ponownie w głęboki i długi sen. Kazał mi odpoczywać, póki nie będę potrzebna.

- Ale myśleliśmy... myśleliśmy, że znów zasnąłaś. Dlaczego teraz nie... wycoczywasz?

- Wyczułam twoją obecność. Przybyłam popatrzeć. Kahlan podeszła do kamiennego murku.

- Sylfo, czy ktoś podróżował w tobie po mnie i po Richardzie?

- Tak. Korzystano ze mnie.

Nagle zrozumienie przeważało nad zdumieniem Kahlan.

- Mężczyzna i kobieta. Oni podróżowali w tobie, prawda? Istota uśmiechnęła się figlarnie, lecz milczała. Kahlan dotknęła palcami kamiennego obramowania studni.

- Kto w tobie podróżował, sylfo?

- Powinnaś wiedzieć, że nigdy nie zdradzam tych, którzy we mnie byli.

- Powinnam wiedzieć? Skąd?

- Podróżowałaś we mnie. Nigdy bym cię nie wydała. Nie zdradzam swoich klientów. Podróżowałaś, więc powinnaś to rozumieć.

Kahlan oblizwała wargi, uzbroiła się w cierpliwość.

- Obawiam się, sylfo, że tak naprawdę nic o tobie nie wiem. Pochodzisz z czasów poprzedzających moje czasy, z innego stulecia. Wiem tylko, że możesz podróżować i że mi wcześniej pomogłaś. Bardzo nam pomogłaś pokonać kilku ogromnie złych ludzi.

- Cieszę się, że byłaś ze mnie zadowolona. A może ponownie chciałabyś się radować podróżą? Pragnęłabyś znów podróżować?

Kahlan przeszył dreszcz. Z pewnością dlatego właśnie Marlin chciał się dostać do Wieży Czarodzieja. On i Siostra Amelia musieli przedostać się sylfą ze Starego Świata do Aydindril. Jagang powiedział, że czekał z ujawnieniem się aż do jej powrotu. Jak inaczej mogłaby doń tak szybko wrócić, nie korzystając z sylfy?

Dziewczyna błagalnie wyciągnęła rękę.

- Sylfo, pewni bardzo źli ludzie... - Zamilkła, wciągnęła powietrze otwartymi ustami i szeroko otworzyła oczy. - Sylfo, wcześniej zabrałaś mnie do Starego Świata - wyszeptała.

- Ach. Znam to miejsce. Pójdź, będziemy podróżować.

- Nie, nie. Nie tam. Możesz podróżować do innych miejsc, sylfo?

- Oczywiście.

- Dokąd?

- Do wielu miejsc. Powinnaś to wiedzieć. Podróżowałaś. Podaj nazwę miejsca, które ci odpowiada, i udamy się tam.

Kahlan nachyliła się ku wabiącej ją, uśmiechniętej srebrnej twarzy.

- Wiedzma. Możesz mnie zabrać do wiedźmy?

- Nie znam takiego miejsca.

- To nie miejsce. To osoba. Mieszka w górach Rang'Shada, w kotlinie Agaden. Możesz się znaleźć w kotlinie Agaden?

- Ach. Bywałam tam.

Kahlan przytknęła do ust drżące palce.

- Pójdź, będziemy podróżować - zachęcała ją sylfa. Jej osobliwy głos odbił się echem od starożytnych kamiennych ścian, po czym dźwięk powoli ucichł i cisza ponownie otuliła wszystko jak powłoka pyłu w komnacie.

Kahlan odkaszlnęła.

- Najpierw muszę coś załatwić. Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę? Poczekasz na mnie?

- Jeśli będę odpoczywać, zawiadam mnie o swojej potrzebie, a zabiorę cię.

Będziesz zadowolona.

- Chodzi ci o to, że jeśli cię tu nie będzie, to powinnam zawołać cię, krzycząc w studnię, ty się zjawisz i udamy się w podróż?

- Tak. Będziemy podróżować.

Kahlan potarła jedną dłoń o drugą i cofnęła się.

- Wróć. Wkrótce wrócę i będziemy podróżować.

- Tak, będziemy podróżować - powtórzyła sylfa, patrząc na cofającą się dziewczynę.

Kahlan porwała lampę, którą postawiła na podłodze w pobliżu półek.

Zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała na unoszącą się w mroku srebrną twarz.

- Wróć. Wkrótce. Będziemy podróżować.

- Tak. Będziemy podróżować - potwierdziła sylfa, a dziewczyna ruszyła biegiem.

Biegła, starając się myśleć, jaką trasę wybiera. Myśli kłębiły się jej w głowie.

Rozważała najrozmaitsze możliwości, a jednocześnie starała się uważnie wybierać drogę, kiedy tak mknęła korytarzami, przemierzała komnaty, gnała w górę po schodach. Do Holu Bibliotecznego Hotarła, nim jeszcze była gotowa. Zadyszana, uświadomiła sobie, że nie może się pokazać Carze i Berdine w takim stanie, bo od razu poznają, że coś się wydarzyło.

Opadła na wyściełaną ławę w pobliżu biblioteki, w której czekały obie Mord-Sith, i opuściła lampę na podłogę. Oparła się o ścianę, rozprostowała

obolałe nogi.

Wachlowała dłonią twarz, chwytając chciwie powietrze i starając się namówić serce, by wolniej biło. Wiedziała, że policzki ma czerwone jak dojrzałe jabłuszka. Nie mogła się tak pokazać tamtym dwóm. Odpoczywając, układała plany i czekała, aż serce się uspokoi, płuca zaczną swobodnie oddychać, a twarz ostygnie.

Shota wiedziała coś o zarazie. Kahlan była tego pewna. Wiedźma powiedziała o Richardzie: „Oby duchy ulitowały się nad jego duszą”, i przysłała Nadine, by wyszła za niego. Dziewczyna doskonale pamiętała obcisłą suknię zielarki, jej kokieteryjne uśmiechy, jej oskarżenia i to, jak przekonywała chłopaka, że ona, Kahlan, jest bez serca. Pamiętała wyraz oczu Nadine, gdy z nim rozmawiała.

Kahlan rozmyślała o tym, co powinna zrobić. Shota jest wiedźmą. Każdy lęka się wiedźmy. Nawet czarodzieje bali się Shoty. Kahlan nigdy niczego jej nie zrobiła, ale to nie powstrzymało Shoty od szkodzenia jej.

Shota mogłaby ją zabić.

Ale tylko wtedy, gdyby Kahlan nie zabiła jej pierwsza.

Przerwa na układanie planów pozwoliła dziewczynie odpocząć. Wstała, wygładziła suknię, głęboko zaczerpnęła powietrza. Przybrała „twarz Spowiedniczki” i weszła do biblioteki, w której czekały obie Mord-Sith.

Cara i Berdine wyjrzały zza rzędu półek. Księgi zniknęły ze stołu. Cara przyjrzała się podejrzliwie Kahlan.

- Dość długo cię nie było.

- Trochę czasu zajęło mi wyszukanie drogi z osłonami, które mogłabym pokonać.

Berdine wyszła zza półek.

- I co? Znalazłaś coś?

- Czy znalazłam? A co? Mord-Sith rozłożyła ręce.

- Księgi. Poszłaś szukać ksiąg.

- Nie. Nie znalazłam. Cara się nachmurzyła.

- Miałaś jakieś problemy?

- Nie. Po prostu jestem poirytowana tym... tym wszystkim. Zarazą i tak dalej.

Denerwuje mnie to, że nie mogę znaleźć niczego, co by pomogło. A wy?

Berdine odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

- Nic. Nic o Świątyni Wichrów ani o grupie, która ją gdzieś tam odesłała.
- Nie rozumiem - powiedziała Kahlan, przede wszystkim do siebie. - Jeżeli był proces, jak napisał Kolo, to powinno się tu znajdować sprawozdanie z niego.

- Przeglądałyśmy inne księgi - odezwała się Berdine - sprawdzając, czy nie pominęłyśmy jakichś sprawozdań z procesów. Ale nic już nie znalazłyśmy. Gdzie jeszcze można by szukać?

Kahlan nie ukrywała rozczarowania. Taka była pewna, że znajdą dla Richarda sprawozdanie z owego procesu.

- Nigdzie. Jeżeli tu go nie ma, to znaczy, że albo w ogóle go nie było, albo zostało zniszczone. Kolo napisał, że w owym czasie w wieży było zamieszanie, więc mogli być zbyt zajęci, żeby sporządzić sprawozdanie.

Berdine pochyliła głowę na ramię.

- Ale mogłybyśmy poszukać, przynajmniej przez część nocy. Kahlan rozejrzała się po bibliotece.

- Nie. To byłaby strata czasu. Lepiej wykorzystasz czas, pracując nad pamiętnikiem Kolo. Skoro nie mamy notatek z postępowania, to najlepiej pomożemy Richardowi, tłumacząc zapiski czarodzieja. Może tam znajdziesz coś ważnego.

W jasno oświetlonej bibliotece zdecydowanie Kahlan zaczęło słabnąć.

Ponownie rozważała swój plan.

- Cóż, w takim razie lepiej już wracajmy. Nie wiadomo, co wymyśliła Nadine.

Jeśli dostanie się do komnaty lorda Rahla, to wargi popękają jej od całowania go, bezbronny we śnie - odezwała się Cara.

Berdine mocno zacisnęła usta i uderzyła Carę w ramię.

- Co z tobą? Matka Spowiedniczka jest naszą siostrą w Agielu. Zdumiona Mord-Sith zamrugała powiekami.

- Wybacz mi. Tylko żartowałam. - Dotknęła ramienia Kahlan. - Wiesz, jeżeli tego zechcesz, zabiję Nadine. Tylko powiedz. Nie martw się, Raina nie wpuści jej do komnaty Richarda.

Dziewczyna otarła łzę z policzka.

- Wiem. To przez to wszystko, co się dzieje... Wiem.

Podjęła decyzję. To może pomóc Richardowi poznać odpowiedź. Może pomóc znaleźć coś, co powstrzyma zarazę. Kahlan wiedziała, że się

usprawiedliwia.

Wiedziała, dlaczego tam idzie.

- Znalazłyście to, czego szukałyście? - spytała Raina zbliżając się do niej kobiety.

- Nie. Nie było żadnego sprawozdania z procesu - odparła Kahlan.

- Przykro mi - powiedziała Raina.

- Czy ktoś próbował go niepokoić? - Kahlan wskazała drzwi.

- Przyszła tu. - Raina uśmiechnęła się szyderczo. - Chciała sprawdzić, co u lorda Rahla. Upewnić się, czy śpi, mówiła.

Kahlan nie musiała pytać, kto to był. Krew w niej zawrzała.

- I wpuściłaś ją?

Raina przywołała na wargi swój posępny uśmiech.

- Wsunęłam głowę do środka, zobaczyłam, że lord Rahl wciąż śpi, i powiedziałam jej to. Nawet nie pozwoliłam jej na niego zerknąć.

- Wspaniale. Ale z pewnością wróci.

Uśmiech Rainy stał się jeszcze szerszy.

- Nie sądzę. Zapowiedziałam jej, że jeśli jeszcze raz przyłapię ją tej nocy w tym korytarzu, to poczuje mój Agiel na gołym tyłku. Odchodząc, nie miała najmniejszej wątpliwości, że mówię poważnie.

Cara się roześmiała. Kahlan nie mogła.

- Już późno, Raino. Może ty i Berdine poszłybyście się trochę przespać. - Kahlan dostrzegła pospieszne spojrzenie na Berdine. - Berdine, tak jak i lord Rahl, musi wypocząć, żeby jutro mogła pracować nad pamiętnikiem Kolo. Wszystkim nam potrzebny jest wypoczynek. Ulic i Egan będą strzec Richarda.

Raina klepnęła Ulica w brzuch grzbietem dłoni.

- Dacie sobie radę, chłopcy? Poradzicie sobie beze mnie? Ulic łypnął gniewnie na Mord-Sith.

- Jesteśmy ochroną lorda Rahla. Jeśli ktoś spróbuje dostać się do jego komnaty, to nie zostawimy z intruza nawet tyle, żeby ci starczyło na jeden kęs.

Raina wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że chłopcy sobie poradzą. Idziemy, Berdine. Czas, żebyś się dla odmiany przespała.

Cara stała obok Kahlan i patrzyła za odchodzącymi korytarzem Mord-

Sith, które spoglądały krytycznym wzrokiem na patrol żołnierzy.

- Masz rację co do wypoczynku. Ty również potrzebujesz snu, Matko Spowiedniczko. Nie wyglądasz dobrze - powiedziała.

- Ja... Najpierw sprawdzę, co u Richarda. Lepiej będzie mi się spało, kiedy się przekonam, że z nim wszystko w porządku. Wrócę za minutę. - Spojrzała twardo na Care, wybijając jej z głowy chęć wejścia wraz z nią do komnaty. - A może i ty poszłabyś się przespać?

Mord-Sith splotła dłonie za plecami.

- Zaczekam.

W komnacie Richarda było ciemno, lecz blask wpadający przez okno pozwalał odnaleźć łoże. Kahlan stała obok niego i słuchała równomiernego oddechu chłopaka. Wiedziała, jak martwiło go to, co się ostatnio wydarzyło. Czuła ten sam ból. Ileż rodzin cierpi tej nocy? Ileż będzie cierpiało następnej i kolejnych?

Przysiadła ostrożnie na skraju łoża, wsunęła ramię pod barki Richarda i z wysiłkiem go uniosła. Wyszeptał we śnie jej imię, ale się nie obudził, gdy oparła go o siebie. Sięgnęła do tyłu i wzięła szklankę z napojem nasennym, przygotowanym przez Nadine. Szklanka wciąż była w połowie pełna. Przytknęła ją do warg Richarda i przechyliła, pozwalając, by mikstura dostała się do jego ust. Poruszył się, lecz przełknął płyn, kiedy ponownie przechyliła naczynie.

- Pij, Richardzie. Pij, najmilszy. To pomoże ci spać - nalegała szeptem.

Pocałowała go w czoło.

Za każdym razem, gdy przelykał, mocniej przechylała szklankę, skłaniając go, by wypił jeszcze więcej. Wypił większość tego, co zostało, i dopiero wtedy Kahlan odstawiła naczynie. Znów wyszeptał jej imię. Przytuliła do piersi jego głowę i przycisnęła policzek do ciemienia: łza stoczyła się jej po grzbiecie nosa i spadła mu na włosy.

- Tak bardzo cię kocham, Richardzie. Nigdy nie zwątp w moją miłość, cokolwiek się stanie - wyszeptała.

Wymruczał coś, z czego nie zrozumiała nic, poza słowem „kocham”. Ułożyła go na poduszkach i wysunęła ramię spod jego barków. Poprawiła przykrycie.

Ucałowała palec i leciutko dotknęła nim jego ust, przekazując mu pocałunek, po czym wyszła z komnaty.

Kiedy szły do komnaty Kahlan, dziewczyna znów powiedziała Carze, że ona również powinna się przespać.

- Nie zostawię cię bez straży - upierała się Mord-Sith.

- I ty potrzebujesz snu, Caro. Cara zerknęła na nią kątem oka.

- Nie zamierzam ponownie zawieść lorda Rahla. - Gdy Kahlan zaczęła protestować, Cara nie dała sobie przerwać i powiedziała: - I postawię przed twoją komnatą żołnierzy. Mogę tu przedrzemać, w razie potrzeby będę pod ręką. To mi wystarczy.

Kahlan musiała coś załatwić, a Mord-Sith nie mogła jej w tym przeszkadzać.

- Widziałas, co się działo z Richardem, gdy za mało spał. Cara zachichotała.

- Mord-Sith są silniejsze od mężczyzn. Poza tym on nie spał od wielu dni, dlatego był taki. A ja spałam ostatniej nocy.

Dziewczyna nie chciała się z nią sprzeczać. Rozpaczliwie starała się wymyślić sposób pokonania tej przeszkody w obcisłym niczym druga skóra uniformie. Cara nie powinna znać jej planów. Siostra w Agielu czy nie, Mord-Sith i tak zdradzi wszystko Richardowi, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. A to była ostatnia rzecz, jakiej sobie Kahlan życzyła. W żadnym wypadku nie chciała, by chłopak dowiedział się, co zamierzała uczynić.

Musiała wymyślić jakiś plan.

- Nie jestem jeszcze gotowa do snu. Trochę chce mi się jeść.

- Wyglądasz na zmęczoną, Matko Spowiedniczko. Potrzebny ci sen, a nie jedzenie. Nie będziesz dobrze spała, jeśli teraz coś zjesz. A chcę, żebyś spała równie dobrze jak lord Rahl. Możesz spać spokojnie, wiedząc, że Nadine do niego nie wejdzie. Wiem doskonale, co powiedziała jej Raina, i zapewniam cię, że nawet taka bezczelna dziewczka ma dość zdrowego rozsądku, by poważnie potraktować to ostrzeżenie. Tej nocy nie masz się czego obawiać i możesz spać spokojnie.

- Czego się boisz, Caro? Poza magią i szczurami. Mord-Sith spojrzała na nią gniewnie.

- Nie lubię szczurów, to prawda, ale się ich nie boję. Kahlan nie uwierzyła w ani jedno słowo. Zaczekała, aż znajdą się wystarczająco daleko, by idący w przeciwnym kierunku patrol nie mógł ich usłyszeć.

- Co budzi w tobie strach? Czego się boisz?

- Niczego.

- Caro - upomniała ją Kahlan - to ja, Kahlan, twoja siostra w Agielu. Każdy się czegoś boi.

- Chciałabym umrzeć w walce, a nie w łóżu, słaba i chora, wydana na łup niewidzialnego wroga. Boję się, że lord Rahl zarazi się morem i zostawi nas bez władcy D'Hary.

- I ja się tego obawiam. Boję się, że zarazi się morem i Richard, i inni, których kocham. Ty, Berdine, Raina, Ulic, Egan i wszyscy, których znam tu, w pałacu - wyszeptała.

- Lord Rahl znajdzie sposób, żeby powstrzymać zarazę. Kahlan odsunęła włosy za ucho.

- Lękasz się, że nie znajdziesz mężczyzny, który cię pokocha? Cara zerknęła na nią z niedowierzaniem.

- Czemuż miałabym się tego obawiać? Wystarczy, że pozwolę jakiemuś mężczyźnie mnie kochać, a uczyni to.

Kahlan przeniosła wzrok z Mord-Sith na kolumny stojące po bokach komnaty, przez którą przechodziły. Słysząc było stąpanie ich butów po marmurowej posadzce.

- Kocham Richarda. Magia Spowiedniczki zniszczy mężczyznę, którego ona kocha... no wiesz, kiedy... będą razem. Richard może odwzajemnić moją miłość tylko dlatego, że jest wyjątkowy, że ma wyjątkowy magiczny dar. Panicznie się boję, że go stracę. Nigdy, przenigdy nie będę chciała innego, ale nawet gdybym zapragnęła, nie mogłabym tego zrobić. Śaden inny mężczyzna nie może mnie kochać, tylko on jeden. Nigdy nie miałabym kogoś innego.

W głosie Cary zabrzmiał ton współczucia.

- Lord Rahl znajdzie sposób, żeby powstrzymać zarazę. Przeszły z marmurowej posadzki na dywany, wyściełające schody, które wiodły ku komnatom Kahlan.

- Panicznie się boję, Caro, że Nadine zabierze mi Richarda.

- Lord Rahl nie dba o nią. Po jego oczach widzę, że Nadine w ogóle go nie interesuje. On widzi tylko ciebie.

Kahlan wchodziła po schodach, sunąc pakami po gładkiej marmurowej balustradzie.

- To wiedźma przysłała Nadine, Caro.

Na to Mord-Sith nie znalazła już odpowiedzi, tu w grę wchodziła magia.

Wreszcie dotarły do drzwi jej komnat i Kahlan się zatrzymała. Spojrzała w niebieskie oczy Cary.

- Czy obiecasz mi coś, Caro? Jako siostra w Agielu?

- Jeżeli będę mogła.

- Tyle się teraz dzieje... i tyle już zła wyrządzono. Czy obiecasz mi, że jeśli...

jeśli coś się stanie, jeśli popełnię błąd, największy błąd ze wszystkich i tylko pogorszę sprawę... czy obiecasz, że to nie ona dostanie Richarda, gdyby nie mógł być mój?

- Cóż by się mogło stać? Lord Rahl kocha ciebie, a nie tę kobietę.

- Wszystko się może zdarzyć. Zaraza, Shota, wszystko. Proszę cię, Caro. Nie mogłabym znieść myśli, że jeśli coś się wydarzy, Nadine zajmie moje miejsce u jego boku. - Kahlan ścisnęła ramię Mord-Sith. - Błagam cię. Obiecujesz?

Cara wpatrywała się w nią bacznie. Mord-Sith nie traktowały niepoważnie swoich obietnic. Kahlan wiedziała, że prosi o coś niezmiernie doniosłego. Prosiła Carę, by ta przysięgła na swoje życie, bo to właśnie znaczyło dla Mord-Sith danie słowa.

Tamta uniosła w pięści Agiel. Ucałowała go.

- Nadine nie zajmie twojego miejsca przy lordzie Rahlu. Przysięgam.

Kahlan jedynie skinęła głową; zabrakło jej słów.

- Prześpij się trochę, Matko Spowiedniczko. Będę tutaj, strzegąc twoich komnat. Nikt nie będzie cię niepokoił. Możesz spać spokojnie, wiedząc, że Nadine nigdy nie zajmie twojego miejsca. Masz na to moje słowo.

- Dziękuję, Caro - szepnęła z wdzięcznością Kahlan. - Naprawdę jesteś siostrą w Agielu. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś chciała, wystarczy jedno słowo.

ROZDZIAŁ 37

Kahlan zdołała wreszcie odesłać Nancy i jej pomocnicę, mówiąc im, że jest wyczerpana i marzy o tym, by się położyć. Odmówiła kąpieli, szczotkowania włosów, masażu i kolacji, lecz nie chcąc wzbudzać podejrzeń kobiety, pozwoliła, by Nancy pomogła jej zdjąć suknię. Wreszcie była sama; rozstała z zamrznięte nagie ramiona.

Przyjrzała się ranie pod opatrunkiem: dobrze się goiła i prawie w ogóle nie bolała. To zasługa Drefana, a i kataplazmy Nadine z pewnością też pomogły.

Dziewczyna narzuciła szlafrok i podeszła do biurka, stojącego przy jednym z kominków. Ciepło było miłe, ale ogrzewało tylko jeden bok Kahlan. Wyjęła z szuflady papier i pióro. Zdjęła srebrną zakrętkę z kałamarza i zaczęła układać w myślach słowa listu.

W końcu zanurzyła pióro w atramencie.

Najdroższy Richardzie.

Muszę zrobić coś ważnego i muszę to zrobić sama. Mówię to z całą powagą.

Mówię to nie tylko dlatego, że cię szanuję, lecz dlatego, że jesteś Poszukiwaczem i chylę głowę przed tym, co czasem czynisz, choć wołałabym, by działało się inaczej.

Pojmuję, że niekiedy muszę pozwolić ci uczynić to, co - twoim zdaniem - uczynić powinienes. Jestem Matką Spowiedniczką, zrozumiesz więc, jak sądzę, że i ja muszę czasami zrobić to, co musi zostać zrobione. To jeden z takich przypadków. Jeśli mnie kochasz, uszanuj, proszę, moje życzenie, nie ingeruj w nie i pozwól mi czynić to, co muszę.

Musiałam oszukać Careę, czego ogromnie żałuję. Nie ma pojęcia o tym, co zamierzam. Nie wie, że odchodzę. Będę bardzo niezadowolona, jeśli ją o to obwinisz.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy wrócę, lecz spodziewam się, że nie będzie mnie przez kilka dni. Robię to, by wyjaśnić naszą sytuację. Błagam, byś zrozumiał i nie gniewał się na mnie - nie mam wyboru.

Podpisano: Matka Spowiedniczka, twoja królowa, twoja ukochana po wsze czasy, na tym świecie i we wszystkich innych - Kahlan.

Kahlan złożyła list i napisała na nim imię chłopaka. Po chwili otworzyła pismo i raz jeszcze przeczytała, by upewnić się, że nie ujawniła niczego, co chciała przed nim zataić. Była zadowolona ze słów „wyjaśnić naszą sytuację”.

Sformułowanie było dostatecznie mgliste, by mogło oznaczać cokolwiek. Miała nadzieję, że naleganie, by Richard się nie wtrącał, nie było zbyt szorstkie.

Dziewczyna przysunęła świecę i rozgrzała czubek wyjętej z szuflady laseczki barwnego wosku do pieczętowania. Patrzyła, jak wosk kapie na list, tworząc czerwone jeziorko, a potem odcisnęła w nim pieczęć Matki Spowiedniczki: bliźniacze błyskawice. Ucałowała list, zdmuchnęła świecę i oparła o nią złożoną kartkę, żeby bez trudu ją zauważyli.

Wcześniej nie wiedziała, dlaczego pieczęć Matki Spowiedniczki tworzyły bliźniacze błyskawice, lecz teraz już to rozumiała. To był symbol Con Dar - Krwawego Gniewu, odwiecznego komponentu magii Spowiedniczek. Tę magię przywoływano tak rzadko, że Kahlan nawet nie słyszała o jej istnieniu, a jej matka umarła, nim zdołała nauczyć córkę, jak przywoływać ją w razie potrzeby.

Dziewczyna zatopiła się instynktownie w Con Dar, gdy spotkała Richarda i zakochała się w nim. Owładnięta Krwawym Gniewem namalowała błyskawicę na obu policzkach, ostrzegając wszystkich, by nie wchodzili jej w drogę. Do Spowiedniczki w Con Dar nie docierają żadne argumenty.

Krwawy Gniew to subtraktywny element magii Spowiedniczki, którym posługiwano się dla dokonania zemsty. Kahlan obudziła go w sobie, kiedy sądziła, że Rahl Posępny zabił Richarda. Ten aspekt magii przywoływano w czyjejś intencji i można go było wykorzystać jedynie po to, by chronić ową osobę. Dziewczyna nie mogła się nim posłużyć w swojej obronie.

Con Dar - podobnie jak moc Spowiedniczki, którą Kahlan zawsze wyczuwała

- tkwił nieustannie w jej wnętrzu. Był tuż pod powierzchnią jak groźna burzowa chmura na horyzoncie. Pojawiał się natychmiast w postaci niszczącej wszystko błękitnej błyskawicy, gdy tylko go potrzebowała, żeby bronić Richarda.

Ten, kto nie miał obu magii - addytywnej i subtraktywnej - nie mógł podróżować w sylfie. Siostry Mroku i czarodzieje, którzy zostali służalcami

Opiekuna, też mogli przywoływać magię subtraktywną.

Kahlan weszła do sypialni. Zdjęła szlafrok i położyła go na łożu. Wysunęła dolną szufladę ozdobnie rzeźbionej komody i szperała w niej, szukając tego, co było jej potrzebne. Znajdowały się tam ubrania, które nosiła podczas swoich podróży. Były o wiele odpowiedniejsze do jej planów niż biała szata Matki Spowiedniczki. Włożyła ciemnozielone spodnie. Wyciągnęła z szuflady i włożyła grubą koszulę, po czym zapięła drżącymi palcami guziki. Wsunęła koszulę w spodnie i zaciągnęła szeroki pas.

Zostawiła sakiewkę. Z dna szuflady wyjęła przedmiot zawinięty w płat białego płótna, położyła go na podłodze i przykucnąwszy, odwinęła materiał.

Wiedziała, co tam jest i jak wygląda, a mimo to poczuła dreszcz, gdy ponownie na to spojrzała.

Na płótnie leżał nóż duchów, który dał jej Chandalen. Broń wykonana z kości ramieniowej jego dziadka. Już raz ocaliła Kahlan życie. Zabiła nim Prindina, człowieka, który był jej przyjacielem, lecz przeszedł na stronę Opiekuna. A przynajmniej sądziła, że go zabiła - nie pamiętała dokładnie, co wydarzyło się tamtego dnia. Znajdowała się wówczas pod działaniem trucizny, którą jej podał. Nie miała pewności, czy to duch dziadka Chandalena jej nie ocalił. Prindin padł na nią, a nóż jakby sam znalazł się w jej dłoni. Przypomniała sobie krew mężczyzny spływającą po nożu i po jej pięści.

Atramentowoczarne krucze pióra układały się wachlarzowato wokół okrągłego końca kości. Kruk był potężnym magicznym duchem Błotnych Ludzi, towarzyszył śmierci.

Dziadek Chandalena szukał pomocy duchów, by ochronić swój lud przed wymordowaniem przez inne plemię z Dżicy, które ogarnęła krwawa wojenna pasja.

Nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało, lecz lud ów doprowadził do rzezi. Dziadek Chandalena zwołał naradę widzących, żeby poprosić duchy o pomoc. Jego plemię było pokojowo nastawione i nie potrafiło się bronić. Duchy nauczyły dziadka Chandalena, jak zabijać Jopopo, i jego pobratymcy stali się Błotnymi Ludźmi. Błotni Ludzie umieli się obronić i wyeliminowali zagrożenie.

Jopopo przestali istnieć.

Dziadek Chandalena nauczył swojego syna, jak być strażnikiem

plemienia, a ten przekazał swoje umiejętności Chandalenowi. Dziewczyna знаła niewielu ludzi, którzy byli równie dobrymi obrońcami swego ludu jak Chandalen. W bitwie z wojskami Imperialnego Ładu był groźny niczym sama śmierć. Podobnie jak Kahlan.

Chandalen nosił nóż duchów, zrobiony z kości dziadka, i drugi - z kości ojca.

Dał dziewczynie nóż wykonany z kości ramieniowej dziadka, by oręż mógł ją chronić.

Istotnie, uczynił to. I może uczyni to ponownie.

Kahlan ze złości uniosła broń.

- Dziadku Chandalena, już raz mi pomogłeś. Broń mnie i teraz.

Ucałowała zaostrzoną kość.

Jeśli ma stawić czoło Shocie, nie może być bezbronna. A lepszego oręża Kahlan by nie znalazła.

Obwiązała ramię bawełnianą opaską i wsunęła za nią nóż. Przylegał ściśle, czarne pióra opadały swobodnie. Był przymocowany do ramienia, a mimo to zadziwiająco łatwo było go dobyć. Kahlan - dążąc na spotkanie z kobietą, której się bała - czuła się o wiele pewniej z nożem, w którym był duch dziadka Chandalena.

Z innej szuflady wyjęła lekką brązową pelerynę. Chętnie wzięłaby grubszą, bo zdarzały się jeszcze wiosenne burze śnieżne, ale przecież nie będzie na nie wciąż narażona. W kotlinie Agaden nie powinno być tak zimno jak w Aydindril.

Liczyła na to, że kolor peleryny pomoże się jej prześliznąć niepostrzeżenie obok gwardzistów, którzy strzegli drogi do Wieży Czarodzieja. Poza tym w tak lekkim okryciu łatwiej jej będzie dobyć noża.

Zastanawiała się, czy mądrze było liczyć, że zdoła wyciągnąć kościany nóż szybciej, niż Shota rzuci urok, i czy taki oręż przyda się przeciwko wiedźmie. Okryła ramiona peleryną. Miała jedynie ów nóż. No i swoją moc Spowiedniczki. Shota wystrzegała się jej mocy, gdyż nikt nie był odporny na dotknięcie Spowiedniczki.

Gdyby Kahlan zdołała dotknąć Shoty, byłby to koniec wiedźmy. Lecz tamta władała magią, która niegdyś nie pozwoliła dziewczynie zbliżyć się na tyle, by mogła wykorzystać swoją moc. Z drugiej strony Kahlan nie musiałaby dotykać Shoty, by zadziały błękitne błyskawice Con Dar.

Dziewczyna westchnęła w duszy: nie mogła przywołać Krwawego Gniewu w swojej obronie. Broniała owymi błyskawicami Richarda, kiedy zaatakował go screeling i kiedy przyszły po niego Siostry Światła.

Nagle coś sobie uświadomiła. Richard kochał ją i chciał poślubić, chciał zawsze być przy niej. Wiedźma przeciwstawiła się jego życzeniom i przysłała mu na żonę Nadine. On tego nie chciał. Nawet jeśli pominąć fakt, że kochał Kahlan, Nadine zraniła go, sprawiła mu ból. Nie chciał z nią być, a jedynie tolerował jej obecność, ponieważ Shota coś knuła, on zaś obawiał się spuścić z oczu owo zagrożenie. Lecz rozpaczliwie nie chciał być zmuszony do poślubienia jej.

Wiedźma raniła jej ukochanego. Właśnie przez nią znalazł się w niebezpieczeństwie. Kahlan mogłaby przywołać Con Dar, żeby bronić Richarda.

Zrobiła to już przedtem, gdy Siostry Światła chciały zabrać go wbrew jego woli.

Mogła wykorzystać błękitne błyskawice, by powstrzymać Shotę. Przed tą magią pani Samuela się nie obroni.

Kahlan wiedziała, jak działa magia. To była magia skryta w jej wnętrzu. I - podobnie jak magia miecza Richarda - działała za pośrednictwem percepcji. Jeśli Kahlan uzna, że ma prawo użyć jej w obronie ukochanego, Con Dar będzie jej powolny. Wiedziała, że Richard nie chce, by Shota go wykorzystywała, kontrolowała i dyktowała mu, jak ma sobie ułożyć życie.

Miała usprawiedliwienie. Wiedźma raniła i krzywdziła Richarda. Con Dar zadziała przeciw niej.

Dziewczyna siedziała przez chwilę na piętach, modląc się do dobrych duchów o radę. Nie chciała myśleć, że robi to dla zemsty lub że wyrusza, by kogoś zamordować. Nie chciała myśleć, że zamierza zabić Shotę. Zastanawiała się, czy aby nie usiłuje usprawiedliwić czegoś, czego usprawiedliwić nie można.

Nie, nie wyruszała z intencją zgładzenia wiedźmy. Chciała się dowiedzieć, o co chodzi w tej sprawie z Nadine i co Shota wie o Świątyni Wichrów.

Lecz jeśli będzie trzeba, zacznie się bronić. Co więcej, zamierzała bronić Richarda przed Shotą, przed jej próbami zrujnowania mu przyszłości. Miała dość bycia obiektem kapryśnego gniewu wiedźmy. Jeśli Shota spróbuje ją

zabić lub narazić Richarda na cierpienia, Kahlan usunie owo zagrożenie.

Już tęskniła za chłopakiem. Od tak dawna walczyli o możliwość bycia razem, a oto go opuszcza. A gdyby to on odchodził? Czy byłaby tak pełna zrozumienia, jak spodziewała się tego po nim?

Myśląc o Richardzie, wysunęła powoli górną szufladę, zawierającą jej najcenniejszą własność. Ze czcią wyjęła swoją błękitną szatę ślubną. Przycisnęła suknię do piersi i rozplakała się, gładząc palcami delikatną tkaninę. Ostrożnie odłożyła strój, zanim splamiły go łzy. Długo stała obok komody, dotykając sukni dłonią. Zamknęła szufladę. Miała zadanie do wykonania. Była Matką Spowiedniczką, czyjej się to podobało, czy nie. Shota mieszkała w Midlandach, toteż była jedną z jej poddanych.

Dziewczyna nie chciała umrzeć i już nigdy nie zobaczyć Richarda, lecz nie mogła dłużej tolerować mieszania się Shoty w ich życie i manipulowania ich przyszłością. Wiedźma przysłała inną kobietę na żonę dla Richarda. Kahlan nie mogła dopuścić, by taki postępek uszedł jej płazem.

Utwierdziła się swoim postanowieniu. Sięgnęła w głąb szafy i zdjęła z kołka zwiniętą linę. Tkwiła tam na wypadek pożaru, by Matka Spowiedniczką mogła uciec przez balkon. Otworzyła przeszklone drzwi - uderzył w nią wiatr i śnieg. Kahlan zmrużyła oczy przed nawałnicą i zatrzasnęła za sobą drzwi. Uniosła kaptur, schowała w nim włosy. Ludzie nie mogą rozpoznać Matki Spowiedniczki, gdyby przypadkiem ktokolwiek wyszedł w taką noc jak ta. Ale przy moście do Wieży Czarodzieja będą przecież gwardziści.

Kahlan pospiesznie zamocowała linę wokół jednej z kamiennych tralek balustrady i zrzuciła ciężki zwój. W tych ciemnościach nie widziała, czy dosięgną!

ziemi. Musiała zawierzyć, że ten, kto umieścił linę na kołku, sprawdził najpierw, czy jest wystarczająco długa. Przerzuciła nogę przez balustradę, uchwyciła oburącz linę i zaczęła się zsuwać.

Kahlan postanowiła iść pieszo. To nie było daleko, a poza tym gdyby wzięła konia, musiałaby go zostawić w wieży, gdzie znaleźliby go i domyślili się, lub puścić wolno, wtedy zaś martwiliby się, co się z nią stało. Koń utrudniłby też niepostrzeżone ominięcie straży czuwającej przy wieży. Dobre duchy zesłały Kahlan wiosenną burzę śnieżną: mogła ją wykorzystać.

Brnęła w głębokim, wilgotnym śniegu i zaczynała się zastanawiać, czy

piesza wędrówka była istotnie takim mądrym pomysłem. Utwierdziła się w swoim postanowieniu. Jeżeli zacznie podważać swoje decyzje, lepiej będzie, gdy od razu zrezygnuje z całej wyprawy.

Większość domów była pozamykana. Napotkała co prawda kilku ludzi, ale za bardzo byli zajęci torowaniem sobie drogi, żeby zwracać uwagę na okrytą kapturem i walczącą z wiatrem postać. A w takich ciemnościach i tak nikt nie wiedziałby, czy owa postać była kobietą czy mężczyzną. Wkrótce znalazła się za miastem, na pustej drodze wiodącej do Wieży Czarodzieja.

Szła drogą i zastanawiała się, jak najlepiej ominąć strażników. Wieży pilnowali d'Tiarańscy żołnierze. Niedocenianie ich zawsze było błędem. Nie powinni mieć okazji, żeby ją rozpoznać. Zaraz złożąliby o tym raport.

Najłatwiej byłoby zabić wartowników, lecz Kahlan nie mogła tego zrobić - teraz byli jej żołnierzami i walczyli za wspólną sprawę z Imperialnym Ładem.

Zgładzenie ich nie wchodziło w rachubę.

Nic dobrego nie przyniosłoby również ogłuszenie ich. To nigdy nie był niezawodny sposób na uciszenie kogoś. Z doświadczenia Kahlan wynikało, że uderzenie kogoś w głowę rzadko daje oczekiwany efekt. Czasem taki człowiek wcale nie traci przytomności i nim zdąży się zrobić coś innego, krzyczy ile tchu w płucach, podnosząc alarm i sprowadzając pozostałych strażników, gotowych zabić napastnika.

Poza tym dziewczyna widziała ludzi, którzy cierpieli i umierali od ciosu w głowę. Nie chciała doprowadzić do czegoś takiego. Uderzyć kogoś w głowę można tylko wtedy, kiedy chce się tę osobę zabić, bo i tak najprawdopodobniej się ją zabije.

Siostra Mroku i Marlin z pewnością posłużyli się magią, by niepostrzeżenie wyminąć gwardzistów. Kahlan nie miała magicznego daru, który by to umożliwił. Jej moc zniszczyłaby ich umysły.

Pozostawało więc użyć podstępów lub potajemnie się przekraść. Wartownicy d'harańscy poznawali wszelkie podstępny i prawdopodobnie znali ich więcej, niż Kahlan mogła sobie wyobrazić.

Czyli pozostało jej przemknąć się ukradkiem. Dziewczyna nie była pewna, gdzie się dokładnie znajduje, lecz coraz bardziej zbliżała się do nich. Wiatr wiał z lewej, zatem trzymała się prawej strony drogi. Szła z wiatrem, pochylając się coraz niżej. Gdy podejdzie jeszcze bliżej, będzie musiała się

czołgać.

Gdyby położyła się na śniegu, rozłożyła wokół siebie pelerynę i odczekała chwilę, śnieg przysypałby jej plecy i ukrył przed wzrokiem żołnierzy. Wtedy musiałaby powolutku pełznąć, a zobaczywszy gwardzistę, leżeć bez ruchu, dopóki nie oddaliliby się. śałowała, że zapomniała o rękawicach.

W końcu uznała, że zbliżyła się najbardziej, jak mogła, i zeszła z prawej strony drogi. Wiedziała, że most będzie najgorszym odcinkiem - stosunkowo wąska przestrzeń, bez możliwości odsunięcia się od żołnierzy. Lecz żołnierze bali się magii wieży i prawdopodobnie nie podchodzili zbyt blisko do mostu. Kiedy widziała ich poprzednio, stali jakieś dwadzieścia, trzydzieści stóp od niego, a w mroku i śniegu widoczność nie jest przecież najlepsza.

Dziewczyna zaczynała wierzyć, że ma szansę niepostrzeżenia ich ominąć.

Śnieg powinien się okazać dostateczną osłoną.

Przed twarzą Kahlan pojawił się miecz i dziewczyna zamarła. Spojrzała na boki - tam też zobaczyła miecze. Kolejny żołnierz przyłożył grot piki do jej karku.

I już po przemknięciu się.

- Kto idzie? - zabrzmiał gruby głos stojącego przed nią gwardzisty.

Kahlan musiała wymyślić nowy plan, i to szybko. Pospiesznie zdecydowała się na odrobinę prawdy, przyprowadzonej ich obawą przed magią.

- Wystraszyłeś mnie niemal na śmierć, kapitanie. To ja. Matka Spowiedniczka.

- Odsłoń głowę. Dziewczyna odrzuciła kaptur.

- Sądziłam, że zdołam się przemknąć niepostrzeżenie obok was, lecz d'harańscy wartownicy są jeszcze lepsi, niż się spodziewałam.

żołnierze opuścili broń, a Kahlan z ulgą poczuła, że pika przestała ją kłuć w kark. W takich przypadkach była śmiertelnością bronią.

- Matka Spowiedniczka! Aleś nas wystraszyła! Co tu robisz po nocy? I na dodatek piechotą?

Kahlan westchnęła z rezygnacją.

- Zbierz wszystkich żołnierzy, to wam wyjaśnię. Kapitan przechylił głowę.

O, tam. Mamy tam budkę, która osłoni cię przed wiatrem. Dziewczyna

poszła z nimi na drugą stronę drogi, gdzie stał prowizoryczny budynek, mający dawać osłonę przed wiatrem i deszczem. Kahlan i sześciu żołnierzy z trudem się tam zmieścili. Nalegali, by zajęła najbardziej suche miejsce, w głębi. Była zadowolona, że nawet podczas burzy śnieżnej nikt nie przemknie się obok d'harańskich żołnierzy, choć wołałaby, żeby jej się to udało. Cała sprawa byłaby wtedy o wiele prostsza. A teraz musi im to jakoś wytłumaczyć. Musi ich przekonać.

- Słuchajcie bardzo uważnie - zaczęła. - Nie mam zbyt wiele czasu. Podróżuję w ważnej misji. Potrzebne mi wasze zaufanie. Was wszystkich. Wiecie o zarazie?

żołnierze chrząknęli i potakująco skinęli głowami. Z niepokojem przestąpili z nogi na nogę.

- Richard, lord Rahl, stara się znaleźć sposób powstrzymania choroby. Nie wiemy, czy to możliwe, ale zdajecie sobie przecież sprawę, że on się nie podda. Zrobi wszystko, co będzie trzeba, by uratować swój lud.

żołnierze znów potakiwali głowami.

- A co to ma...

- Bardzo się spieszę. Lord Rahl teraz śpi. Jest wyczerpany szukaniem sposobu powstrzymania zarazy i leku na nią. Leku, do którego potrzebna jest magia.

żołnierze nieco zeszywnieli. Kapitan potarł brodę.

- Wiemy, że lord Rahl nas nie opuści. Wyleczył mnie parę dni temu.

Kahlan spojrzała we wpatrzone w nią oczy gwardzistów.

- A co, jeśli zaraza dopadnie i lorda Rahla? Dopadnie go, nim znajdzie to, czego szuka? Co wtedy? Wszyscy wówczas pomrzemy, ot co.

Na ich twarzach wyraźnie widać było niepokój. Utrata lorda Rahla to dla D'Harańczyków nieszczęsne wydarzenie. Stawia pod znakiem zapytania ich przyszłość.

- Co należy zrobić, żeby go chronić? - spytał kapitan.

- Tej nocy to zależy od was, żołnierze,

- Co możemy uczynić?

- Lord Rahl mnie kocha. Wszyscy wiecie, jak mnie chroni. Kazał, by te Mord-Sith chodziły za mną krok w krok. Dokądkolwiek idę, posyła ze mną gwardzistów.

Nie chce, żeby padł na mnie choć cień niebezpieczeństwa. I ja nie chcę,

by spotkało go coś złego. A jeśli dopadnie go zaraza? Wtedy wszyscy go stracimy. Być może mam sposób, by pomóc zwalczyć chorobę, nim wszyscy zachorujemy, nim on zachoruje, co mu na pewno grozi.

żołnierze wstrzymali oddech.

- Co mamy zrobić, żeby pomóc? - zapytał kapitan.

- W tym, co robię, ma swój udział magia, bardzo niebezpieczna magia. Jeżeli mi się powiedzie, zdołam ochronić Richarda przed atakiem zarazy. Zdołam ochronić nas wszystkich. Lecz, jak mówię, jest to niebezpieczne. Muszę stąd zniknąć na kilka dni za pomocą magii i przekonać się, czy zdołam pomóc lordowi Rahlowi zwalczyć czarną śmierć. Wiecie, jak on mnie strzeże. Nigdy by mnie nie puścił. Wolałby raczej umrzeć, niż narazić mnie na niebezpieczeństwo. Kiedy chodzi o moje bezpieczeństwo, zupełnie traci rozsądek. Dlatego oszukałam Mord-Sith i pozostałych strażników. Nikt nie wie, dokąd się udaję. Jeśli ktoś się tego dowie, Richard pójdzie za mną i znajdzie się w takim samym niebezpieczeństwie jak ja. I po co? Jeżeli ja zginę, to i on zginie. Jeśli natomiast mi się powiedzie, to nie ma powodu narażać go na niebezpieczeństwo. Chciałam tak to wszystko urządzić, żeby nikt się nie dowiedział, dokąd idę tej nocy, ale jesteście lepsi, chłopcy, niż się tego spodziewałam.

Teraz wszystko zależy od was. Ryzykuję życiem, by chronić lorda Rahla. Jeśli i wy chcecie go chronić, musicie przysiąc, że zachowacie to w tajemnicy. Nawet gdy spojrzy wam prosto w oczy, musicie mu powiedzieć, że nie widzieliście mnie, że nikt tędy nie szedł.

żołnierze szurali stopami, odchrząkiwali i patrzyli jeden na drugiego. Kapitan nerwowo przebierał palcami po rękojeści miecza.

- Jeśli lord Rahl spojrzy nam w oczy i zapyta nas, nie będziemy mogli go okłamać, Matko Spowiedniczko.

Kahlan pochyliła się ku niemu.

- To równie dobrze możecie go na miejscu usieć. Bo to właśnie byście zrobili.

Chcecie narażać na niebezpieczeństwo życie lorda Rahla? Chcecie być odpowiedzialni za jego śmierć?

- Jasne, że nie! Wszyscy byśmy oddali zań życie!

- I ja oddałabym za niego życie. Jeżeli dowie się, co robię, jeśli dowie się, dokąd poszłam tej nocy, to pójdzie za mną. W niczym mi nie pomoże, a

może przez to stracić życie.

Wysunęła rękę spod peleryny i po kolei wymierzyła palec w twarz każdego żołnierza.

- Będziecie odpowiedzialni za narażenie na niebezpieczeństwo życia lorda Rahla. Bez powodu wystawicie go na szwank. Zabijecie go.

Kapitan spojrział w oczy każdemu ze swoich ludzi. Wyprostował się; pocierał dłonią twarz i zastanawiał się.

- Czego od nas żądasz? żebyśmy przysięgli na nasze życie?

- Nie. Chcę, byście przysięgli na życie lorda Rahla - odparła Kahlan.

Kapitan, a za nim żołnierze opadli na jedno kolano.

- Przysięgamy na życie lorda Rahla, że nikomu nie powiemy, iż widzieliśmy cię znów tej nocy. Przysięgniemy, że nikt poza tobą i dwiema Mord-Sith nie poszedł do wieży. - Oficer popatrzył na swoich ludzi. - Przysięgnijcie.

Przysięgli i wstali, a kapitan po ojcowsku położył dłoń na ramieniu Kahlan.

- Nic nie wiem o magii, Matko Spowiedniczko. To sprawa lorda Rahla i nie mam pojęcia, co zamierzasz tej nocy uczynić, ale ciebie również nie chcielibyśmy utracić. Jesteś dla lorda Rahla kimś najważniejszym. Uważaj na siebie, proszę, wypełniając tę misję.

- Dziękuję, kapitanie. Myślę, że jesteście największym niebezpieczeństwem, jakie mogłam napotkać tej nocy. Co będzie jutro, to już inna sprawa.

- Jeśli umrzesz, to nas zwolni z przysięgi. Jeśli umrzesz, będziemy musieli powiedzieć lordowi Rahlowi to, co wiemy. A jeżeli tak się stanie, zostaniemy straceni.

- Nie, kapitanie. Lord Rahl nie uczyniłby czegoś takiego. To dlatego musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby go chronić. Potrzebujemy go, bo gdy go zabraknie, dostaniemy się pod władzę Imperialnego Ładu. Oni nie mają żadnego szacunku dla życia. To oni wywołali zarazę. Wywołali ją wśród dzieci.

Kahlan przełknęła ślinę, wpatrzona w srebrną twarz sylfy.

- Tak, jestem gotowa. Co mam zrobić?

Uniosła się lśniącą srebrną dłoń i dotknęła szczytu kamiennego murku.

- Pójdź do mnie - powiedział głos, odbijając się echem od ścian komnaty.

- Nic nie rób. Ja to uczynię.

Dziewczyna wspięła się na cembrowinę.

- Jesteś pewna, że możesz mnie zabrać do kotliny Agaden?

- Tak. Byłam tam. Będziesz zadowolona. Tego akurat Kahlan wcale nie była pewna.

- Jak długo to potrwa?

Sylfa jakby się zachmurzyła. Kahlan widziała swoje odbicie w lśniącej srebrnej twarzy.

- Jak stąd tam. Tak długo. Jestem wystarczająco długa. Byłam tam.

Dziewczyna westchnęła. Sylfa chyba nie rozumiała, że spała przez trzy tysiące lat. Cóż znaczył dla niej jeden dzień więcej czy mniej?

- Nie powiesz Richardowi, dokąd mnie zabrałaś, prawda? Nie chcę, żeby wiedział.

Srebrna twarz skrzywiła się w przebiegłym uśmiechu.

- Nikt z tych, co mnie znają, nie chce, żeby inni wiedzieli. Nigdy ich nie zdradzam. Bądź spokojna: nikt się nie dowie, co razem robimy. Nikt się nie dowie o naszych miłych tajemnicach.

Na twarzy Kahlan odmalowało się zmieszanie. Miękkie srebrne ramię uniosło się i otoczyło dziewczynę. Trzymało ją mocno w ciepłym uścisku.

- Nie zapominaj, że musisz mną oddychać. Nie bój się. Jeśli będziesz mną oddychać, utrzymam cię przy życiu. A kiedy dotrzemy do tamtego miejsca, wypuścisz mnie z płuc i wciągniesz powietrze. Będziesz tym równie przerażona, jak koniecznością oddychania mną, lecz musisz to uczynić, bo inaczej umrzesz - powiedziała sylfa.

Kahlan potaknęła głową. Oddychała szybko. Kołysała się, przenosząc ciężar ciała z jednej stopy na drugą.

- Pamiętam. - Nie mogła opanować strachu przed przebywaniem bez powietrza. - W porządku, jestem gotowa.

Sylfa już się nie odezwała. Srebrne ramię uniosło łagodnie Kahlan z murku i zanurzyło w srebrzystej pianie. Płuca dziewczyny płonęły. Oczy miała mocno zamknięte. Robiła to już przedtem i wiedziała, że musi zrobić i tym razem, wciąż jednak bała się odetchnąć tym płynnym srebrem. Poprzednio był z nią Richard.

Obecnie była sama i ogarnęła ją panika.

Pomyślała o Shocie, która wybrała Nadine na żonę dla Richarda.

Wypuściła z płuc powietrze i wciągnęła w nie głęboko srebrzystą, jedwabistą sylfę.

Nie było ani ciepła, ani chłodu. Dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła jednocześnie blask i mrok. Wyczuła ruch w pustce, w której nie istniał ciężar. Ruch jednocześnie szybki i powolny, bezwładne unoszenie się i rwący pęd. Płuca wypełniły się słodczą sylfą. Kahlan wydawało się, że sylfa dociera aż do jej duszy. Czas nie miał znaczenia.

To było upojenie.

ROZDZIAŁ 38

Przez ciepły, barwny wir Zedd słyszał głos Ann, wołającej jego imię. Dźwięk płynął z daleka, choć Ksieni stała w pobliżu. Dla tego, kto znajdował się w strumieniu mocy na skałce czarodzieja, głos mógł równie dobrze dochodzić z innego świata. I w pewnym sensie tak było.

Znów rozległ się jej głos: irytujący, natarczywy, nalegający. Zedd zignorował ją i uniósł ramiona w wirującym barwnym snopie blasku. Kształty przed nim wskazywały na obecność duchów. Już niemal kończył.

Nagle ściana mocy zaczęła się załamywać. Rękawy szaty zsunęły się w dół ramion, gdy Zedd uniósł wyżej powykrzywiane ręce, starając się tchnąć więcej siły w magiczne pole i je ustabilizować. Gwałtownie wyciągał wiadro ze studni. Przekonał się, że jest puste.

Zasyczały barwne iskry. Spiralny świetlisty wir pociemniał ponuro. Coraz szybciej się załamywał, opadał bezsilnie.

Zedd ogłupiał.

Całe pracowicie wytworzone połączenie między światem żywych a zaświatami zniknęło z grzmotem, od którego zadrżała ziemia.

Czarodziej zamachał ramionami, bo Ann złapała go za kołnierz i ściągnęła ze skałki. Poleciał do tyłu i oboje upadli na ziemię.

Skałka, pozbawiona ożywiającej ją magii, również zapadła się w sobie. Zedd nie miał z tym nic wspólnego - jego skałka czarodzieja sama z siebie wróciła do stanu bezwładności. Teraz Pierwszy Czarodziej był naprawdę zbity z tropu.

- Kurczę, kobieto! Co to ma znaczyć?!

- Nie wrzeszcz na mnie ty przekorny staruchu. Nie mam pojęcia, dlaczego staram się uratować twoją kościstą osobę.

- Dlaczego się wtrąciłaś? Już prawie kończyłem.

- Wcale się nie wtrąciłam - burknęła.

- Jeśli to nie byłaś ty... - Zedd rzucił okiem ku ciemnym wzgórzom. - Sądysz...?

- Znienacka straciłam więź z moją Han. Próbowałam cię ostrzec, a nie powstrzymać.

- Oooo - powiedział Zedd piskliwie. - To zupełnie co innego. - Przeciągnął

się i chwycił swoją czarodziejską skałkę. - Czemuś mi nie powiedziała? -
Wsunął skałkę do wewnętrznej kieszeni.

Ann badała ciemności.

- Dowiedziałeś się czegoś, nim straciłeś kontakt?

- Nie nawiązałem kontaktu. Spojrzała nań.

- Ty nie... jak to nie nawiązałeś kontaktu?! To co robiłeś przez cały ten czas?!

- Staralem się - odparł Zedd, sięgając po koc. - Coś było nie tak. Nie mogłem się przedrzeć. Zbierz swoje rzeczy. Lepiej się stąd zabierajmy.

Ann wzięła juki i zaczęła upychać ich dobytek.

- Liczyliśmy na to, Zeddzie - powiedziała z troską. - A teraz, kiedy zawiodłeś...

- Nie zawiodłem - parsknął. - To nie moja wina, że się nie udało.

Popchnął ją w kierunku konia, lecz uderzyła go po rękach.

- Dlaczego się nie udało?

- Czerwone księżyce. Obróciła się i wbiła weń wzrok.

- Myślisz...

- Nie jest to coś, co robię często lub niefrasobliwie. Kontakt ze światem duchów nawiązałem zaledwie kilka razy w życiu. Kiedy ojciec dawał mi skałkę, ostrzegł mnie, że można jej używać wyłącznie w najpoważniejszych okolicznościach.

Takie kontakty mogą pomóc wydostać się nieodpowiednim duchom lub, co gorsza, doprowadzić do rozdarcia zasłony. Gdy w przeszłości miewałem kłopoty z nawiązaniem kontaktu, zawsze wynikało to z dysharmonii. Czerwone księżyce ostrzegały właśnie przed dysharmonią.

- Pozostaje nam coraz mniej sposobów. - Wyszarpnęła ramię z krzepkiego chwytu czarodzieja. - Co cię napadło?

Zedd coś mruknął.

- A co to mówiłaś o tym, że nie możesz dotknąć twojej Han?

Ann pogłaskała swojego konia, dając mu poznać, że stoi blisko jego zadu.

Zwierzę pogrzebało przednim kopytem i cicho, radośnie zarżało.

- Kiedy byłeś na skałce, starałam się wyczuć, czy nikogo nie ma w pobliżu. W końcu to Dzicz, a ty urządzałeś taki pokaz z tym światłem. I gdy ponownie sięgnęłam do swojej Han, nagle wydało mi się, że padam na twarz.

Zedd poruszył dłonią, rzucając prosty urok, mający przetoczyć kamień wielkości pięści, który leżał u jego stóp. Nic się jednak nie stało. Czuł się tak, jakby chciał się oprzeć o coś, czego tam nie było. Jakby upadł na twarz. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął szczyptę pyłu zacierającego ślad. Rzucił go w kierunku, z którego przyszli, a wiaterek uniósł pył. Lecz pył nie zamigotał.

- Jesteśmy w tarapatach - wyszeptał. Ann przycupnęła blisko niego.

- Może byś się tak raczył wyrażać konkretnie, hmm?

- Zostaw konie. - Zedd ponownie złapał ją za ramię. - Chodź. Tym razem nie oponowała, kiedy ruszył truchtem, trzymając ją za ramię i zmuszając, by poruszała się w tym samym tempie.

- O co chodzi, Zeddzie? - wyszeptała.

- To Dzicz. - Zatrzymał się, uniósł nos i powąchał powietrze. - Podejrzewam, że to mogą być Nangtongowie. - Wskazał kierunek w bladej księżycowej poświacie. - O tam, w tym parowie. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby się ukryć. Może będziemy się musieli rozdzielić i spróbować uciec w przeciwnych kierunkach.

Podtrzymawał Ann, kiedy ślizgała się na zroszonej trawie lub mokrej glinie stromych zboczy.

- Kim są ci Nangtongowie?

Zedd pierwszy dotarł na dno parowu. Ujął Ksienię w szerokiej talii i pomógł jej zejść. Miała krótkie nogi i nie było jej tak łatwo iść jak jemu. Omal nie wyrócił się pod jej ciężarem, bo nie mógł go magicznie zmniejszyć. Ann chwyciła splątany krzew bodiaku i złapała równowagę.

- Nangtongowie to plemię z Dziczy - odpowiedział szeptem. - Mają własną magię. Nie mogą się nią posługiwać tak jak my naszą, lecz odbiera ona moc innej magii. Tłumi ją niczym deszcz ognisko. I na tym polega cały problem w Dziczy. Żyje tu całkiem sporo ludów, które wyczyniają osobliwe rzeczy, by uniemożliwić ci korzystanie z magii. Są tu również istoty i miejsca, które wpędzają w tarapaty w sposób, jakiego się w ogóle nie spodziewasz. Lepiej trzymać się z dala od Dziczy. To dlatego byłem taki zaniepokojony, gdy Yerna powiedziała, że ci Joco, których skarbu kazał nam szukać Nathan, mieszkali gdzieś w Dziczy. Prorok mógł równie dobrze powiedzieć, byśmy wyciągali rozżarzone węgle z buzującego ognia. W Dziczy wszędzie czyhają niebezpieczeństwa, a Nangtongowie są tylko

jednym z nich.

- A dlaczego sądzisz, że to ci Nangtongowie są powodem twoich kłopotów z magią?

- Większość plemion z Dzikich, które mają takie zdolności, pozbawiłoby mocy tylko nasze magiczne próby, lecz zadziałałby mój pył zacierający ślady. W tym wypadku tak się nie stało. Ze znanych mi plemion tylko Nangtongowie mogą to sprawić.

Ann rozłożyła ramiona, żeby utrzymać równowagę, i poszła za Zeddem po zwałonym pniu. Chmury zasnuły księżyc. Czarodziej był zadowolony z powrotu ciemności, bo pomagały im się ukryć. Niedogodność polegała jednak na tym, że ledwie było widać, gdzie się stawia stopę. Tak samo umiera się, kiedy się upadnie i skreśli kark, jak od trucizny na grocie strzały czy ostrzu dzidy.

- Może udałoby się nam ich przekonać, że jesteśmy przyjacielsko nastawieni - szepnęła idąca z tyłu Ksieni. Trzymała Zedda za szatę, by podążać jego śladem po płaskim brzegu strumienia. - Wciąż się chełpisz, że masz magiczny, miódopłynny język, i zawsze chcesz, bym pozwoliła ci pertraktować. Dlaczego zwyczajnie nie powiesz tym Nangtongom, że szukamy Joco i bylibyśmy im wdzięczni za pomoc?

W wypadku wielu na pierwszy rzut oka kłopotliwych ludzi okazywało się, że są całkiem rozsądni, kiedy z nimi pogadałeś.

Czarodziej odwrócił ku niej głowę, by móc mówić cicho i by mimo to Ann go słyszała.

- Zgadza się z tobą, lecz nie mówię ich językiem, więc nie mogę ich przekonać.

- Skoro ci ludzie są tacy niebezpieczni i wiedziałeś o tym, to dlaczego byłeś na tyle głupi, żeby wejść wprost na nich?

- Wcale nie byłem. Omijałem ich ziemie szerokim łukiem.

- Tak twierdzisz. A wygląda na to, że zablądziłeś.

- Nie, Nangtongowie są na poły koczownikami. Nie mają stałej siedziby, ale trzymają się swoich ziem. A ja omijałem ich ziemie. To prawdopodobnie łowcy biesiady dla ducha.

- Cooo?

Zedd zatrzymał się i przykucnął, badając teren. W bladej poświacie nie dostrzegł nikogo, wyczuł jednak bardzo słabą woń obcego potu.

Niewykluczone, że wiatr przywiał ją z odległości wielu mil.

- Łowcy biesiady dla ducha - powiedział, przybliżając usta do ucha Ann. - To długa historia, ale chodzi o to, że składają ofiary światu duchów. Wierzą, że duch, który właśnie odszedł, zaniesie przodkom pozdrowienia i prośby od Nangtongów, a w zamian za to duchy przodków łaskawie ich potraktują. Grupy łowców polują na to, co można złożyć w ofierze.

- Na ludzi też?

- Czasami. Jeśli im się uda. Nie są zbyt odważni, kiedy napotykają silny opór.

Wtedy raczej uciekają, niż podejmują walkę. Lecz chętnie zgarniają słabych i bezbronnych.

- Na Stwórcę, cóż to za miejsce te Midlandy, że pozwala się tu ludziom na takie rzeczy?! Sądziłam, że jesteście bardziej cywilizowani. Myślałam, że macie ową konfederację, dzięki której każdy w Midlandach działa dla wspólnego dobra.

- Przybywały tu Spowiedniczki i starały się przekonać Nangtongów, żeby nie mordowali ludzi, ale to odosobniony zakątek. Nangtongowie zawsze płaszcą się przed Spowiedniczką, bo jej magia należy do tych nielicznych, na którą ich moc nie ma wpływu. Możliwe, iż dzieje się tak dlatego, że w magii Spowiedniczki jest element subtraktywny.

- To dlaczego, głupcy, zostawiacie tych ludzi samym sobie, skoro wiecie, do czego są zdolni?

Zedd łypnął na nią groźnie w otaczających ich ciemnościach.

- Jednym z powodów zawiązania konfederacji Midlandów była ochrona tych obdarzonych magią ludów, które zostałyby zmasakrowane przez silniejsze krainy.

- Oni nie mają magicznego daru. Sam powiedziałeś, że za pomocą swojej magii nie mogą niczego dokonać.

- Skoro potrafia zneutralizować magię, odebrać jej moc działania, to znaczy, że sami też mają magiczny dar. Ci, którzy są go pozbawieni, nie potrafia czegoś takiego. To jeden ze sposobów samoobrony tego ludu. Obrazowo mówiać, to ich zęby. Kąsają nimi tych obdarzonych potężną magiczną mocą, którzy mogliby ich ujarzmić lub zniszczyć. Zostawiamy w spokoju ludzi i istoty obdarzone magią, bo mają takie samo prawo do życia jak my, lecz staramy się nie dopuścić, żeby mordowali niewinnych ludzi. Nie

każda forma magii może nam odpowiadać, ale nie jesteśmy zwolennikami zabijania istot Stwórcy, by zmienić świat na podobieństwo świata tych, którzy mają największą magiczną moc.

Ann milczała, więc Zedd mówił dalej:

- Są istoty, które mogą być niebezpieczne, jak na przykład chimera, nie wybijamy jednak z tego powodu wszystkich chimer. Pozwalamy im istnieć i żyć własnym życiem, jak to zamierzył Stwórca. Nie do nas należy sądzić mądrość stworzenia. Nangtongowie są ulegli, gdy napotykają silniejszego, lecz mogą być groźni, kiedy sądzą, że to oni są górą. Są swego rodzaju czyścicielami, jak sępy, wilki czy niedźwiedzie. Wyeliminowanie takich istot nie byłoby słuszne. Mają w świecie do odegrania swoją rolę.

Ann zbliżyła się do czarodzieja, żeby móc bez wrzasków dać wyraz swemu niesmakowi.

- A jakaż jest rola Nangtongów?

- Ani nie jestem Stwórcą, Ann, ani z nim nie rozmawiam. Nie roztrząsam decyzji, które podejmuje, tworząc życie i magię. Lecz mam dla niego tyle szacunku, by uznać, że może mieć swoje powody i że nie mnie wyrokować, czy postąpił źle. To już byłaby bezwstydną arogancją. W Midlandach pozwalamy egzystować wszelkim formom stworzenia, a jeśli są niebezpieczne, to po prostu trzymamy się od nich z daleka. A ty, właśnie ty, ze swoimi dogmatycznymi wykładami o twoim rozumieniu Stwórcy, powinnaś sympatyzować z takim poglądem.

W wyszeptanej odpowiedzi Ann pobrzmiwał gniew.

- Do naszych obowiązków należy nauczać takich jak oni pogan, że trzeba mieć wzgląd na inne istoty Stwórcy.

- Powiedz to wilkowi lub niedźwiedziowi. Warknęła jak któreś z owych zwierząt.

- Czarodziejki i czarodzieje powinni być opiekunami magii i chronić ją tak, jak rodzice chronią dziecko. Nie do nas należy decyzja, która z magicznych istot jest na tyle dobra, by mieć prawo do życia. To Jagang uzurpuje sobie prawo do podjęcia takiej decyzji. Uważa, że jesteśmy niebezpieczni i że dla dobra wszystkich powinno się nas zniszczyć. Wygląda na to, że bierzesz stronę imperatora - powiedział Zedd.

- Czyż nie uderzasz pszczoły, która cię żądli?

- Nie powiedziałem, że nie powinniśmy się bronić.

- To dlaczego się nie bronicie i nie eliminujecie takiego zagrożenia? Podczas wojny z Panisem, ojcem Rahla Poępnego, twój lud nazywał cię Wichrem Śmierci.

Wtedy wiedziałeś, jak usuwać zagrożenie.

- Zrobiłem, co musiałem, żeby bronić niewinnych ludzi, których by inaczej wymordowano. Których wówczas mordowano. Jeżeli będę musiał, postąpię tak samo wobec Jaganga. Nangtongowie nie zasłużyli na unicestwienie: nie próbują rządzić innymi za pomocą morderstw, tortur i niewoli. Wierzenia tych ludów mogą nam przynieść szkodę tylko wówczas, gdy jesteśmy na tyle nieuważni, by się wtrącać.

- Są niebezpieczni. Nie powinniście pozwalać, by wciąż wam zagrażali.

Zedd pogroził jej palcem.

- A dlaczego to nie zabiłaś Nathana, by wyeliminować zagrożenie, jakie stanowi?

- Czyżbyś porównywał Proroka z tymi, którzy w imię swoich pogańskich wierzeń składają ofiary z ludzi? Poza tym, mogę cię zapewnić, że jeśli Nathan znów wpadnie mi w ręce, to już ja skieruję go na właściwą drogę!

- Znakomicie. Ale w tej chwili nie czas na teologiczne dyskusje. - Zedd przygładził swoje faliste włosy. - Jeśli nie zamierzasz przekonywać Nangtongów do swoich wierzeń, to zalecałbym, żebyś poszła za moimi wskazówkami i opuściła wraz ze mną ich tereny łowieckie. Ann westchnęła.

- Punkt lub dwa dla ciebie, ewentualnie. Przynajmniej miałaś dobre intencje.

Gestem dała mu znak, by szedł dalej. Zedd podążał wijącą się gardzielią, usiłując nie wchodzić do leniwie płynącego strumienia. Parów prowadził na południowy zachód. Czarodziej wiedział, że powinni tędy wyjść poza ziemie Nangtongów. Miał też nadzieję, że parów ukryje ich ucieczkę. Nangtongowie mieli dzidy i strzały.

Gdy księżyc ukazał się między chmurami i przez chwilę było względnie jasno, Zedd zatrzymał Ann skinieniem i przykucnął, by przyjrzeć się otoczeniu. Dostrzegł jedynie wysokie na jakieś dziesięć stóp ściany parowu, a dalej niemal nagie wzgórza.

Na tych dalej położonych rozrzucone były zagajniki. W znajdującej się przed nimi płytkiej kotlinie strumień wpływał w gęste zarośla. Zedd obrócił się, by powiedzieć Ksieni, że najlepiej będzie ukryć się w tym gąszczu.

Nangtongowie mogą podejrzewać zasadzkę i nie wejdą tam. Księżyc wciąż świecił. Czarodziej zobaczył odcisnięte w błocie bardzo wyraźne ślady tubylców. Zapomniał, że nie może zatrzeć tropu. Wskazał na nie, żeby i Ann je ujrzała. Dała znać gestem, że powinni wydostać się z tego błotnistego parowu.

Ciszę rozdarły dwa dobiegające z oddali kwiki.

- Konie - szepnął Zedd.

Kwik nagle ucichł. Zwierzętom podcięto gardła.

- Kurczę! To były dobre konie. Masz coś, czym mogłabyś się bronić?

Ann poruszyła nadgarstkiem i w jej dłoni znalazła się dakra.

- Mam to. Magia nie zadziała, ale mogę zadawać pchnięcia. A ty co masz?

Zedd uśmiechnął się niewesoło.

- Mój miódopłynny język.

- Może powinniśmy się rozdzielić, nim zginę przez twój oręż. Czarodziej wzruszył ramionami.

- Nie będę miał ci za złe, jeżeli wybierzesz samotną ucieczkę. Musimy załatwić ważną sprawę. Może lepiej byłoby się rozdzielić, tak by przynajmniej jedno z nas miało szansę ją załatwić.

Ann się uśmiechnęła.

- Zwyczajnie chcesz, żeby ominęła mnie cała zabawa. Umkniemy im. Od koni dzieli nas spora odległość. Trzymajmy się razem.

Zedd ścisnął jej ramię.

- Może składają w ofierze wyłącznie dziewice.

- Nie chcę sama umierać.

Czarodziej zaśmiał się cicho i ruszył przed siebie, szukając miejsca, w którym mogliby się wydostać z parowu. W końcu znalazł szczelinę w ścianie. Korzenie powykręcanych krzaków zwisały niczym włosy, więc można się ich było przytrzymać.

Księżyc schował się za gęstą chmurę. Ann i Zedd wspinali się w zupełnej ciemności - powoli, na oślep, wymacując drogę rękami.

Czarodziej słyszał bzykanie owadów i dobiegające z oddali ponure wycie kojota. Tylko te odgłosy zakłócały ciszę i spokój nocy. Może Nangtongowie grzebali w ich pozostawionych przy koniach rzeczach. Dotarł na szczyt i odwrócił się, by pomóc wspiać się Ksieni.

- Nie podnoś się. Albo się poczołgamy, albo przynajmniej mocno

pochylimy.

Ann szeptem wyraziła zgodę. Wydostała się z parowu. Zaczęli się oddalać od jego gardzieli. Zza chmury wyłonił się jasny księżyc.

Naprzeciwko, blokując im drogę, stali półkolem Nangtongowie.

Było ich może dwudziestu. Zedd uznał, że w pobliżu musiało przebywać więcej plemieńców, gdyż grupy łowieckie Nangtongów były liczniejsze.

Byli niezbyt wysocy i prawie nadzy - ciała przepasywali jedynie rzemieniami podtrzymującymi osłonę, która kryła ich męskość. Na szyjach mieli naszyjniki z kostek ludzkich palców, a ich głowy były dokładnie wygolone. Mieli muskularne ramiona i nogi oraz wystające brzuchy. Całe ciała natarli białym popiołem. Dokoła oczu wymalowali czarne obwódki, co nadawało im wygląd ożywionych czaszek.

Zedd i Ann spojrzeli na dzidy, na ich haczykowate metalowe ostrza, które połyskiwały w księżycowej poświacie. Jeden z Nangtongów rzucił jakiś rozkaz.

Czarodziej nie pojął słów, ale nie miał wątpliwości, o co chodziło.

- Zostaw w spokoju dakrę. Jest ich za dużo. Natychmiast nas zabijają. Musimy pozostać przy życiu i coś wymyślić - szepnął do Ann.

Dostrzegł, jak chowa nóż w rękawie. Uśmiechnął się do muru ponurych twarzy.

- Czy któryś z was, chłopcy, wie może, gdzie odnajdziemy Jocopo?

Dzida dźgnęła czarodzieja, a potem zasygnalizowała, że mają wstać. Oboje niechętnie usłuchali. Otoczyli ich Nangtongowie niemal tak wysocy jak Ann, lecz nie sięgający Zeddowi do ramienia - szwargocząc znienacka jeden przez drugiego.

Popychali ich i poszturchiwali. Związali im ręce na plecach.

- Nie omieszkaj mi znów przypomnieć, jaka to mądrość pozostawiać tym poganom swobodę nieoświeconych praktyk - odezwała się Ann.

- Hmm, słyszałem niegdyś od Spowiedniczki, że Nangtongowie są niezłymi kucharzami. Może spróbujemy czegoś nowego i przepysznego.

Ann potknęła się, popychana, lecz złapała równowagę.

- Jestem już za stara, żeby się wałęsać z wariatem - mruknęła ku niebu.

Po godzinie szybkiego marszu dotarli do osady Nangtongów. Tworzyło ją około trzydziestu obszernych, okrągłych namiotów. Niskie namioty przycupnęły tuż przy ziemi, by stanowić jak najmniejszą przeszkodę dla

wiatru. Wyznaczone wysokimi żerdziami zagrody pełne były inwentarza. Rozmawiający ze sobą ludzie - owinięci od stóp do głów gładkim płótnem, tak by nie mogły ich rozpoznać ofiary, mające zanieść ich modły do świata duchów - przyglądali się Zeddowi i Ann, przepędzanym ostrzami dzid przez osadę. Ci, którzy ich schwytali - pokryci białym popiołem i z czarnymi obwódkami wokół oczu - byli łowcami ucharakteryzowanymi na zmarłych. Ofiary nie mogły w nich rozpoznać żywych ludzi.

Zedda brutalnie zatrzymano przed zagrodą, a łowcy rozwiązywali linę na wrotach. Wrota się otworzyły. Wyglądało na to, że przyszła tu za nimi cała osada.

Nangtongowie pohukiwali i krzyczeli na więźniów wpędzanych do zagrody.

Najpewniej chcieli przekazać wieści dwóm duchom, które lada moment udadzą się w zaświaty, tak by zaniósły je ich przodkom.

Zedd i Ann - z wciąż związanymi na plecach rękami - zostali wepchnięci do zagrody i upadli wprost w błoto. Odskokowały od nich jakieś chrząkające stwory. To była zagroda dla świń. Osada musiała stać w tym miejscu przynajmniej przez kilka ostatnich miesięcy, ponieważ zdołały tak zryć ziemię, że zrobiło się bagno. Smród też na to wskazywał.

Łowcy biesiady dla ducha - mniej więcej pięćdziesięciu, jak wywnioskował Zedd - rozdzielili się. Niektórzy wrócili do namiotów w towarzystwie zachwyconych dzieciaków i pobłażliwych kobiet, inni otoczyli zagrodę - stanęli na warcie.

Większość gapiów krzyczała do więźniów, przekazując im wieści dla świata duchów.

- Dlaczego to robicie? - zawołał Zedd do strażników. Skinął głową i pochylił ją ku Ann. - Dlaczego? - Wzruszył ramionami.

Jeden ze strażników zrozumiał. Wykonał dłonią gest naśladujący podcinanie gardła, a potem wskazał na niby-krew płynącą z niby-rany. Dzidą pokazał na księżyc.

- Krwawy księżyc? - spytała szeptem Ann.

- Czerwony księżyc - wyszeptał Zedd i nagle pojał. - Słyszałem, że Spowiedniczki uzyskały od Nangtongów obietnicę, iż nie będą składać ofiar z ludzi.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy jej dotrzymywali, bo wszyscy wciąż

omijali ich dużym łukiem. Czerwony księżyc musiał ich przerazić i przekonać, że świat duchów się gniewa. Prawdopodobnie dlatego złożą nas w ofierze: żeby uspokoić gniewne duchy.

Ann poruszyła się niespokojnie w błocie obok Zedda. Rzuciła mu śmiercionośne spojrzenie.

- Modlę się, by Nathan był w jeszcze gorszej sytuacji niż my.

- A coś to mówiła o wałęsaniu się z wariatem? - spytał z roztargnieniem Zedd.

ROZDZIAŁ 39

I co o tym sądzisz? - spytała Clarissa.

Obróciła się lekko najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Starła się zachowywać naturalnie, choć wcale nie czuła się swobodnie. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, więc splotła je na plecach.

Nathan na wpół leżał we wspaniałym fotelu - wspanialszego Clarissa nigdy w życiu nie widziała - którego siedzenie i oparcie obito tkaniną w brązowe i złote pasy.

Lewą nogę przerzucił niedbale przez rzeźbioną poręcz, łokciem zaś podparł się na drugiej. Brodę wsparł w zadumie o dłoń. Wspaniałej roboty srebrna pochwa miecza opierała się czubkiem o podłogę przed fotelem.

Prorok obdarzył ją pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Myślę, moja droga, że ślicznie wyglądasz.

- Naprawdę? Nie mówisz tego ot tak sobie? Naprawdę ci się podoba? Nie wyglądam... głupio?

Zachichotał.

- O nie, na pewno nie głupio. Raczej zachwycająco.

- Ale czuję się... boja wiem... wyzywająco. Jeszcze nigdy nie widziałam takich wspaniałych sukien, a tym bardziej ich nie przymierzałam.

Nathan wzruszył ramionami.

- Więc najwyższy czas, byś to zrobiła.

Przez osłonięte portierą drzwi wrócił krawiec - chudy, schludny mężczyzna, któremu kosmyk siwych włosów przykrywał łysinę na czubku głowy. Złapał oburącz końce wiszącego na szyi centymetra i zaczął nimi nerwowo kołysać tam i z powrotem.

- Czy pani znajduje, że ta suknia jest do przyjęcia? Clarissa przypomniała sobie pouczenia Nathana, jak się ma zachować. Wygładziła na biodrach wspaniały błękitny atłas.

- Nie jest najlepiej dopasowana...

Krawiec energicznie wysunął język i oblizał wargi.

- Och, pani, gdybym wcześniej wiedział, że zaszczycisz swoją obecnością mój sklep lub gdybyś nadeszła swoje wymiary, bez wątpienia poczyniłbym niezbędne poprawki. - Zerknął na Nathana i znów wysunął język. - Bądź

pewna, pani, że mogę wykonać wszelkie konieczne drobne poprawki. - Krawiec skłonił się Nathanowi. - Co sądzisz, panie? To znaczy, czy trzeba poprawiać, by ci odpowiadała?

Nathan skrzyżował ramiona i wpatrywał się w Clarissę jak rzeźbiarz w powstające dzieło. Mrużył przy tym oczy, wypychał językiem policzek i wydawał dźwięki, jakby nie mógł się zdecydować. Krawiec bawił się nerwowo końcem centymetra.

- Jest trochę za luźna w pasie, jak to już stwierdziła pani.

- Nie obawiaj się, panie - odpowiedział krawiec. Jednym skokiem znalazł się za Clarissa i szarpnął tkaninę. - Widzisz? Wystarczy ścieg lub dwa. Pani ma wspaniałą figurę. Rzadko miewam tu tak zgrabne damy, ale poprawię suknię w parę godzin. Będę niezmiernie zaszczycony, mogąc wykonać robotę jeszcze tej nocy i odesłać strój... Gdzie się zatrzymasz, panie?

Nathan skinął dłonią.

- Muszę poszukać noclegu. Czy mógłbyś mi coś polecić? Krawiec znów się skłonił.

- Najodpowiedniejszym zajazdem w Tanimurze byłby Briar House, panie.

Jeśli sobie życzysz, z przyjemnością wyślę pomocnika, by pobiegł i poczynił przygotowania dla ciebie i... pani.

Nathan wyprostował się w fotelu i wyjął z kieszeni złotą monetę. Cisnął ją krawcowi, po czym rzucił jeszcze dwie.

- Dziękuję, chętnie skorzystam. To bardzo uprzejme z twojej strony. - Zmarszczył czoło w zadumie, a potem rzucił tamtemu kolejną złotą monetę.

- Późno już, ale jestem przekonany, że zdołasz ich przekonać, by aż do naszego przybycia trzymali otwartą jadalnię. Byliśmy w drodze cały dzień i chętnie zjedlibyśmy porządny posiłek. - Pogroził krawcowi palcem. - Pamiętaj, najlepsze komnaty. Nie życzę sobie, żeby wepchnęli mnie do jakiegoś ciasnego chlewika.

- Zapewniam cię, panie, że w Briar House nie ma komnaty, która choć odrobinę przypominałaby chlewik, i to nawet tak wielkiemu panu jak ty. A jakich informacji ma udzielić mój pomocnik względem długości twego pobytu w ich firmie?

Nathan przygładził ząbot.

- Będę tam dopóty, dopóki nie wezwie mnie imperator Jagang, rzecz

jasna.

- Rzecz jasna, panie. A czy podoba ci się suknia, panie? Prorok zaczepił kciuk o kieszonkę kamizelki i pozwolił, by dłoń tak wisiała.

- To się nada na co dzień. Czy masz coś bardziej wyszukanego?

Krawiec uśmiechnął się i skłonił.

- Pozwól, bym przyniósł kilka do wyboru, a pani przymierzy te, które zyskają twoją aprobatę.

- Tak - potwierdził Prorok. - Tak będzie najlepiej. Jestem mężczyzną o dużym doświadczeniu i wyszukanym smaku. I jestem przyzwyczajony do tego, co najlepsze.

Przynieś coś, co mnie olśni.

- Oczywiście, panie. - Krawiec skłonił się dwa razy i wypadł z komnaty.

Kiedy zniknął, Clarissa uśmiechnęła się ze zdziwieniem.

- Nathaniel To najpiękniejsza suknia, jaką widziałam w życiu, a ty chcesz, żeby pokazał coś jeszcze lepszego?

Mężczyzna znacząco uniósł brew.

- Nic nie jest zbyt dobre dla konkubiny imperatora, dla kobiety, która nosi jego dziecię.

Serce jej zatrzepotało, kiedy znów usłyszała te słowa. Gdy patrzyła w lazuruwe oczy Proroka, czasami niemal coś w nich dostrzegała, niemal - przez chwilę

- miała ulotne wrażenie, że Nathan jest szalony. Lecz kiedy jego twarz rozpromieniła się jasnym, pogodnym uśmiechem, dziewczyna topniała z ufności. Był najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Jego odwaga uratowała ją w Renwoldzie przed bestiami z Imperialnego Ładu. A potem, dzięki jego odwadze, wychodzili cało z opresji, które wydawały się jej nie do pokonania.

W tak bezgranicznej odwadze musiała tkwić szczypta szaleństwa.

- Ufam ci, Nathanie, i zrobię, co zechcesz, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, czy to historyjka mająca ułatwić pobyt tutaj, czy też naprawdę planujesz dla mnie takie okropności?

Prorok opuścił nogę z poręczy fotela i podniósł się, rozprostowując na całą imponującą wysokość. Ujął dłoń Clarissy i delikatnie przycisnął do swego serca, jakby była najbardziej kruchym kwiatem. Długie białe włosy zsunęły mu się z ramion, gdy przysunął się bliżej i zajrzał jej w oczy.

- To tylko opowiadka, która pozwoli mi zrealizować moje zamierzenia, Clarisso. Nie ma nic wspólnego z tym, co dostrzegam w przyszłości. Nie zamierzam cię okłamywać i nie taję, że czekają nas niebezpieczne przygody, teraz jednak bądź spokojna i ciesz się tym. Musimy jakiś czas odczekać i chciałbym, by były to dla ciebie radosne chwile, bo ślubowałaś wykonać to, co wykonać musisz. Wierzę, że nie złamiesz danego słowa. Tymczasem zaś niczego bardziej nie pragnę, jak okazać ci życzliwość,

- Czyż jednak nie powinniśmy się tak ukryć, by ludzie nie wiedzieli o nas? Z dala od wszystkich, sami?

- Tak postąpiliby złoczyńcy i niedoświadczeni uciekinierzy. I dlatego ich łapią.

Łapią ich, gdyż budzi to podejrzenia. Ci, którzy ich szukają, zagląдают do wszystkich ciemnych nor, a nigdy nie przychodzi im na myśl, by szukać na widoku. Dopóki musimy się ukrywać, dopóty najbezpieczniej jest wśród ludzi. Ta historyjka jest zbyt absurdalna, by ludzie wątpili w jej prawdziwość. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że ktoś może być na tyle bezczelny, by wymyślić taką opowiadkę, więc nikt też nie będzie w nią wątpił. Poza tym tak naprawdę wcale się nie ukrywamy, bo nikt nas nie ściga. Po prostu nie chcemy, żeby ludzie stali się podejrzliwi. A ukrywanie się wzbudziłoby ich podejrzenia. Clarissa potrząsnęła głową.

- Jesteś wspaniały, Nathanie.

Zerknęła na stanik pięknej sukni, a przynajmniej na to, co mogła dostrzec pod obnażonymi piersiami, które były uniesione tak wysoko, że niemal wypadły z dekoltu. Szarpnęła kościany gorset przylegający do żeber pod biustem. Nigdy przedtem nie nosiła tak dziwacznej i niewygodnej bielizny. Nie mogła pojąć, po co to.

Wyglądziła jedwabną spódnice.

- Ładnie na mnie wygląda? Ale tak naprawdę. Powiedz mi prawdę, Nathanie.

Jestem zwykłą, nieładną kobietą. Czy ta suknia nie wygląda głupio na nieładnej kobiecie?

Czarodziej w zdumieniu uniósł brwi.

- Na nieładnej? Tak uważasz?

- Jasne. Nie jestem idiotką. Wiem, że nie jestem... Prorok uciszył ją gestem.

- Może powinnaś się sobie przyjrzeć.

Odłonił stojące lustro. Byli w komnacie, w której demonstrowano stroje mężczyznom. Udzielając Clarissie wskazówek na temat manier i zasad zachowania, wyjaśnił jej, że w takich pomieszczeniach rzadko korzystano z luster i że nie powinna w nie spoglądać, chyba że ją o to poproszą. W tak ekskluzywnym sklepie liczyło się odbicie w oczach mężczyzny, a nie w lustrze.

Nathan ujął łagodnie łokieć Clarissy i podprowadził ją do zwierciadła.

- Zapomnij o tym, co widzisz w pamięci, a spójrz na to, co widzą inni, gdy patrzą na ciebie.

Palce kobiety nerwowo muskały falbanki wokół talii. Skinęła głową Nathanowi, lecz bała się spojrzeć w lustro i rozczarować tym, co zawsze widziała, patrząc na siebie. Znów dał jej znak. Skrzywiła się leciutko z zażenowania i zerknęła na swoje odbicie.

Aż otworzyła usta.

Nie poznała samej siebie. Nie wyglądała aż tak młodo. Z lustra patrzyła na nią kobieta - nie młoda, płocha kobietka, lecz kobieta w pełnym rozkwicie dojrzałości, elegancka i postawna.

- Nathanie - wyszeptała - moje włosy... moje włosy nie były aż tak długie. Jak wydłużyła je ta kobieta, która czesała mnie tego popołudnia?

- Hmm, to nie ona. Trochę poczarowałem. Uznałem, że będą lepiej wyglądać, jeśli sieje trochę wydłuży. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Nie. Są śliczne - szepnęła.

Jej miękkie kasztanowe włosy ułożono w loczki przeplecione fioletowymi wstążeczkami. Poruszyła głową i loczki zatańczyły we wszystkie strony. Clarissa widziała niegdyś przybyłą do Renwoldu wysoko postawioną kobietę, której tak właśnie ułożono włosy. Tamta miała najpiękniejsze włosy, jakie Clarissa kiedykolwiek widziała. A teraz jej włosy wyglądały dokładnie tak samo.

Przyglądała się swojemu odbiciu. Jej postać była taka... kształtna. Wszystkie te twarde, obcisłe rzeczy pod sukienką wymodelowały jej figurę. Zarumieniła się, ujrzawszy wysoko uniesione, na wpół obnażone piersi.

Wiedziała zawsze, rzecz jasna, że kobiety takie jak Manda Perlin nie są aż tak zgrabne, jak się na pierwszy rzut oka wydawały. Wiedziała, że po zdjęciu szat ich kształty nie różnią się aż tak bardzo od kształtów innych

kobiet, nigdy jednak nie podejrzewała, ile zależy od strojów noszonych przez owe atrakcyjne osoby.

Odbicie w lustrze - w tej sukni, fryzurze i z upudrowaną twarzą - dorównywało każdej z tamtych. Była może trochę starsza, lecz wiek tylko dodawał klasy temu, co widziała. Wcale nie była przygaszona i nieładna, jak zawsze myślała.

A potem zobaczyła kółko w wardze.

Było złote, a nie srebrne.

- Nathanie, co się stało z kółkiem? - wyszeptwała.

- Ach, to. Przecież nie mogłaś być konkubiną samego imperatora, kobietą noszącą pod sercem jego dziedzica, a jednocześnie mieć w wardze srebrne kółko.

Wszyscy wiedzą, że imperator bierze do łóża wyłącznie kobiety ze złotym kółkiem.

Poza tym srebrnym naznaczono cię przez pomyłkę. Od początku powinno być złote. Ci żołnierze musieli być kompletnie ślepi. - Wykonał zamasztysty gest. - Ja zaś, rzecz jasna, mam przenikliwy umysł i bystre spojrzenie. - Wskazał dłonią zwierciadło.

- Popatrz na siebie. Ta kobieta jest zbyt piękna, by nosić kółko innej barwy.

Patrzącej z lustra kobiecie napływały do oczu łzy. Clarissa otarła palcem dolne powieki. Bała się zniszczyć malunek, który tamta kobieta nałożyła jej na twarz, podczas gdy druga układała jej włosy.

- Nie wiem, co powiedzieć, Nathanie. Dokonałeś magicznego czynu.

Zmieniłeś nieładną kobietę w...

- Piękną - dokończył.

- Ale dlaczego? Zrobił dziwny grymas.

- Stuknięta jesteś? Nie mogłem dopuścić, żebyś nieładnie wyglądała. - Wskazał na siebie. - Nikt by nie uwierzył, że tak zabójczo przystojny mężczyzna jak ja mógłby się pokazywać z kobietą, która nie dorównywałaby mu urodą.

Clarissa się uśmiechnęła. Już nie wydawał się jej taki stary jak wtedy, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła. Naprawdę wyglądał zabójczo. Zabójczo i dystygowanie.

- Dziękuję, Nathanie, że wierzysz we mnie nie tylko w jednej sprawie.

- To nie wiara. To wizja tego, czego nie dostrzegali ślepcy. Ale teraz to dostrzegą.

Clarissa zerknęła na portierę, za którą zniknął krawiec.

- Ale to wszystko jest ogromnie kosztowne. Sama tylko suknia to niemal całe moje roczne zarobki. A dochodzą do tego inne rzeczy: mieszkania, powozy, kapelusze, obuwie i kobiety, które mnie malowały i czesały. To wszystko tyle kosztowało. Wydajesz pieniądze jak wypoczywający książę. Jak możesz sobie na to pozwolić?

Nathan znów się przebiegle uśmiechał.

- Jestem dobry w... robieniu pieniędzy. Nigdy nie wydam tego, co mogę zrobić. Nie troszcz się o to, dla mnie to niewiele znaczy.

- Och. - Znów spojrzała w lustro. - Oczywiście. Prorok chrząknął.

- Chodzi mi o to, że jesteś ważniejsza niż jakieś tam złoto. Ludzie są o wiele ważniejsi niż takie sprawy. Nawet ostatniego miedziaka wydałbym z równą beztroską i radością.

Krawiec wrócił wreszcie ze wspaniałymi sukniami i Nathan wybrał kilka do przymiarki. Clarissa z każdym strojem chodziła do ubieralni i przebierała się przy pomocy żony krawca. Nie sądziła, by sama poradziła sobie ze sznurowaniem, zawiązywaniem i zapinaniem owych sukni.

Nathan uśmiechał się na widok każdego stroju, w jakim się pojawiała, i mówił krawcowi, że kupuje. Po upływie godziny wybrał ze sześć sukien i dał mężczyźnie garść złota. W całym swoim życiu Clarissa nie widziała i nawet nie wyobrażała sobie takiego dobrobytu, takiego miejsca, w którym były już gotowe stroje. To jeszcze jeden przykład na to, jak odmieniło się jej życie przy Nathanie. W ten sposób kupowali stroje jedynie ludzie ogromnie bogaci lub królowie.

- Poczynię niezbędne poprawki, panie, i zadbam, by suknie dostarczono do Briar House. - Krawiec łypnął na Clarissę. - Może milord życzy sobie, by kilku z nich nie dopasowywać, żeby pani było wygodnie, kiedy będzie już widać, że nosi dziecię naszego imperatora?

Nathan zbył tę uwagę machnięciem ręki.

- Nie, nie. Chcę, żeby wyglądała jak najlepiej. Szwaczki je popuszczą, gdy będzie to konieczne, albo po prostu kupię nowe.

Clarissa z nagłym zażenowaniem uświadomiła sobie, że krawiec uważa ją za konkubinę nie tylko imperatora, ale i Nathana. Kółko w wardze - choć

złote - oznaczało, że jest tylko niewolnicą. A niewolnica niewiele znaczy dla imperatora, choćby i nosiła jego dziecko lub miała w wardze złote kółko.

Prorok zuchwale opowiadał ludziom, że jest pełnomocnikiem imperatora Jaganga, więc zawzięcie się kłaniali i płaszczyli przed nim. Clarissa była jedynie własnością dzieloną z zaufanym przedstawicielem władcy.

Ukradkowe spojrzenie krawca nagle uświadomiło jej prawdę. W jego oczach była dziwka. Może dziwką w pięknej szacie, może dziwką nie z własnego wyboru, ale jednak dziwką. Ladacznicą, która się bawiła, którą ważny człowiek stroił w piękne szaty i trzymał w najlepszym w mieście zajęździe.

Tylko myśl, że Nathan tak nie uważał, powstrzymała upokorzoną Clarissę od wybiegnięcia ze sklepu.

Robiła sobie wymówki. Czarodziej wymyślił tę historyjkę, żeby ich chronić.

To dzięki tej opowiastce żołnierze, których nieustannie spotykali, nie ciągnęli Clarissy do namiotu. A potępiające spojrzenia, które znosiła, były niczym w porównaniu z tym, co dla niej uczynił, i z szacunkiem, jaki jej zawsze okazywał. Liczyło się tylko to, co myśli Prorok.

Poza tym była przecież przyzwyczajona do nieprzychylnych spojrzeń - w najlepszym razie pełnych współczucia, w najgorszym zaś pogardliwych. Ludzie nigdy nie patrzyli na nią życzliwym wzrokiem, więc niech sobie myślą, co chcą. Ona wiedziała, że czyni coś wartego zachodu, że czyni to dla wartościowego człowieka.

Uniosła dumnie brodę i ruszyła ku drzwiom.

Krawiec znów się skłonił, oni zaś wyszli na ciemną ulicę, gdzie czekał już powóz.

- Dziękuję, lordzie Rahlu. Dziękuję, że pozwoliłeś mi usłużyć imperatorowi na mój skromny sposób. Suknie będą dostarczone przed świtem, masz na to moje słowo.

Nathan odprawił go skinieniem ręki.

Clarissa siedziała naprzeciw Nathana przy niewielkim stole w ciemnawej jadalni eleganckiego Briar House. Teraz zauważała ukradkowe spojrzenia służby.

Wyprostowała się i cofnęła do tyłu ramiona, wystawiając prowokująco

biust na ich spojrzenia. Pomyślała, że w tym przyćmionym świetle świec i pod tym malunkiem na twarzy nie zauważą nawet, jak się czerwieni.

Wino ją rozgrzało, a pieczona kaczka zaspokoila głód. Mimo to nieustannie przynoszono nowe potrawy: drób, wieprzowinę, wołowinę, rozmaite sosy i przystawki. Clarissa tylko skubnęła kilka z nich, bo nie chciała wyglądać na żarłoka.

Poza tym była już syta.

Nathan jadł z apetytem, ale się nie przejadał. Radował się różnymi potrawami, chciał wszystkich spróbować. Służba czuwała przy nim, krojąc mięso, lejąc sosy i przesuważając tace oraz talerze, zupełnie jakby był bezradny. Zachęcał ich, prosił o różne rzeczy, innych odsyłał. Sprawiał wrażenie kogoś bardzo ważnego.

Clarissa domyślała się, że naprawdę był kimś ważnym. Był pełnomocnikiem imperatora, człowiekiem, któremu nie należało się narażać. Każdy chciał, by lord Rahl był zadowolony. Jeżeli jego zadowolenie wiązało się ze spełnianiem życzeń Clarissy, to i tym, rzecz jasna, się zajmowali.

Kobieta poczuła ulgę, gdy w końcu zaprowadzono ich do komnat i Nathan zamknął drzwi. Rozluźniła się; nareszcie nie musiała się zachowywać ani jak dama, ani jak dziwka, a nie była pewna, jak grać te role. Cieszyła się, że uciekła tym wszystkim błędzącym po niej oczom.

Nathan chodził po obu komnatach, oglądając malowane ściany ozdobione złotymi, szerokimi, wypukłymi gzymsami. Bogate dywany o nasyconych barwach zakrywały niemal całą podłogę. Wszędzie stały kanapy i fotele. W jednej z komnat umieszczono kilka stołów: jeden, przy którym można było jeść, inny zaś do pisania, z lekko ukośnym blatem. Na stoliku tym znajdowały się ułożone równiutko arkusze papieru, srebrne pióra oraz napełnione atramentem w rozmaitych kolorach kałamarze ze złotymi korkami.

W drugiej komnacie stało łóżko. Clarissa jeszcze nigdy takiego nie widziała.

Cztery wymyślne kolumny podtrzymywały baldachim z koronki i czerwonej tkaniny zdobionej złotymi deseniami. Kapa pasowała do baldachimu. Było wielkie.

Nie mogła pojąć, po co komu tak obszerne łóżko.

- Hmm - odezwał się Nathan, wracając do komnaty z łóżem - myślę, że chyba ujdzie.

Clarissa zachichotała.

- I król byłby zachwycony, mogąc spać w takiej komnacie, Nathanie.

Skrzywił się lekceważąco.

- Być może, ale ja jestem kimś więcej niż królem. Jestem Prorokiem.

Uśmiech Clarissy zgasł. Spoważniała.

- Tak, naprawdę jesteś kimś więcej niż królem.

Nathan obszedł komnatę, zdmuchując lampy. Zostawił jedynie tę przy łóżu i drugą przy toaletce.

- Prześpię się na kanapie. Ty śpij w łóżu.

- To ja się prześpię na kanapie. Nie byłoby mi wygodnie w takim łóżu. Jestem prostą, nie przyzwyczajoną do takich wygód kobietą. Ty jesteś do tego przyzwyczajony, więc to ty powinieneś spać w łóżu.

Nathan dotknął dłonią jej policzka.

- To się przyzwyczajaj. Nie byłoby mi wygodnie w tym łóżu, gdyby taka urocza dama spała na kanapie. Jestem człowiekiem światowym i takie rzeczy mnie nie niepokoją. - Skłonił się wielkopańsko od drzwi. - Dobrych snów, moja droga. - Zatrzymał się jeszcze, nim całkiem zaniknął drzwi. - Przepraszam, Clarisso, za te spojrzenia, które musisz znosić, i za to, co ludzie mogą sobie o tobie myśleć przez moją opowiastkę.

Naprawdę był dżentelmenem.

- Nie trzeba żadnych przeprosin. To raczej zabawa w udawanie. Zupełnie jakbym grała na scenie.

Zaśmiał się, a w jego lazurowych oczach zatańczyły iskierki. Powiał peleryną.

- To było zabawne, skłonić tych ludzi, by uznali, że jesteśmy kimś innym, niż naprawdę jesteśmy, prawda?

- Dziękuję za wszystko, Nathanie. Sprawiliś, że dziś poczułam się ładna.

- Bo jesteś ładna.

- To tylko te stroje. - Uśmiechnęła się.

- Piękno bierze się z naszego wnętrza. - Przymknął oczy. - Śpij dobrze, Clarisso. Zostawiłem na drzwiach osłonę ochronną, więc nikt nie wejdzie. Czuj się tutaj swobodnie, jesteś bezpieczna. - Ostrożnie zamknął drzwi.

Clarissa, czując wciąż ciepło wina, snuła się po komnacie i oglądała te

wszystkie piękne rzeczy. Musnęła palcami srebrne inkrustacje na małych stolikach przy łożu. Dotykała kryształowych kloszy lamp. Odrzucając kapę, przesunęła dłonią po misternie utkanym materiale. Stała przed toaletką i rozsznurowując stanik sukni, patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Z niechęcią myślała o tym, że musi zdjąć tę suknię i że znów stanie się tylko sobą, choć chętnie pozbyłaby ugniatającego żebra kościanego gorsetu. Rozsznurowała stanik i wreszcie mogła swobodnie odetchnąć.

Zsunęła z ramion górę sukni. Ugniatający ciało spód w dalszym ciągu przytrzymywał suknię na piersiach. Przysiadła na skraju łoża i usiłowała dosięgnąć guzików na plecach. Niektóre były zbyt wysoko. Zirytowana, zaczęła zdejmować nowe buty z miękkiej zamszowej skóry. Zrolowała pończochy i poruszyła palcami stóp, zadowolona, że w końcu są wolne.

Rozmyślała o domu. Przypomniła sobie swoje wygodne, choć niewielkie łóżko. Tęskniła za domem - nie dlatego, że była tam szczęśliwa, lecz dlatego, że był to dom i wszystko, co znała. To luksusowe pomieszczenie wydawało się jej nieprzytulne, zimne. Zimne i przerażające. Nagle poczuła się bardzo samotna.

Pewność siebie Nathana dodawała jej otuchy. Zawsze wiedział, dokąd idzie, co trzeba zrobić i co powiedzieć. Wydawało się, że nigdy nie ma wątpliwości. A Clarissa miała ich całe mnóstwo, kiedy siedziała tak samotna w sypialni.

Dziwne, ale Proroka brakowało jej bardziej niż domu, choć był zaledwie w sąsiedniej komnacie. Teraz on był dla niej domem.

Ruszyła ku drzwiom po puszystym dywanie. Ostrożnie zaskrobała w białą płytę okoloną złocistymi listwami. Odczekała chwilę i znów zastukała.

- Nathanie? - zawołała cicho.

Ponownie zastukała i zawołała jego imię. Odpowiedzi nie było, więc uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Jedyna świeca starała się rozjaśnić mrok. Prorok znów był w transie. Siedział w fotelu i spoglądał przed siebie pustym wzrokiem. Clarissa stała przez chwilę w drzwiach, patrząc, jak oddycha miarowo.

Bardzo się wystraszyła, gdy po raz pierwszy znalazła go w takim stanie - nieruchomego, wpatzonego w dal - ale zapewnił ją, że robi tak niemal przez całe swoje życie. Nie rozgniewał się wtedy, choć nim potrząsnęła, podejrzewając, że stało się coś złego.

Nathan nigdy się na nią nie złościł. Traktował ją uprzejmie i z szacunkiem, jak zawsze tego chciała. Współziomkowie nigdy tak do niej nie podchodzili, a ten obcy obdarzał ją tym sam z siebie.

Clarissa znów zawołała go po imieniu. Prorok zamrugał i spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w rozmyślaniach?

- Nie, nie - odparł i podkreślił to gestem.

- Zastanawiałam się, czy mógłbyś mi pomóc... rozpiąć suknię? Nie mogę dosięgnąć guzików na plecach i jestem w niej uwięziona. Nie chcę się tak kłaść, żeby jej nie zniszczyć.

Nathan poszedł za Clarissą do sypialni. Zdmuchnęła lampę na toalecie, żeby nie czuć zażenowania. Tylko blask lampy przy łożu pozwalał Prorokowi widzieć, co robi. Oburącz uniosła włosy, a jego mocne palce rozpinaty guziki. Dobrze było go mieć blisko siebie.

- Nathanie? - szepnęła, kiedy dotarł do ostatniego guzika, w talii.

Mruknął pytająco w odpowiedzi. Bała się, że zapyta, co tak łomocze, i wtedy będzie mu musiała powiedzieć, że to jej serce. Odwróciła się ku niemu, przytrzymując na piersiach rozpiętą już suknię.

- Nathanie - powiedziała, zbierając całą odwagę i patrząc w jego piękne oczy. - Jestem samotna.

Ściągnął brwi i delikatnie położył wielką dłoń na jej nagim ramieniu.

- Wcale nie, moja droga. Jestem w sąsiedniej komnacie.

- Wiem. Ale chciałam powiedzieć, że jestem samotna w szerszym znaczeniu tego słowa. Jestem samotna... nie wiem, jak to powiedzieć. Gdy jestem sama, zaczynam rozmyślać, co będę musiała zrobić, żeby pomóc tym ludziom, o których mówiłeś, i przychodzą mi do głowy okropne rzeczy. Nim zdołam się powstrzymać, już pocę się ze strachu.

- Często domysły są gorsze niż sam czyn. Po prostu staraj się o tym nie myśleć. Spróbuj cieszyć się wygodą wielkiego łoża i pięknej komnaty. Kto wie, może pewnego dnia będziemy musieli spać w rowie.

Clarissa skinęła potakująco głową. Przestała mu patrzeć w oczy, bo straciłaby odwagę.

- Wiem, Nathanie, że jestem nieładną kobietą, lecz sprawiłeś, że poczułam się jak ktoś wyjątkowy. Jeszcze żaden mężczyzna nie sprawił, że poczułam się ładna i...

pociągająca.

- Jak już powiedziałem...

Położyła mu palce na ustach, chcąc, by umilkł.

- Nathanie, ja naprawdę... - Spojrzała w jego piękne oczy, przełknęła ślinę i powiedziała coś innego, niż zamierzała. - Boję się, że jesteś zbyt zabójczy, bym mogła ci się oprzeć. Czy spędziłbyś ze mną noc w tym wielkim łożu?

Cofnęła palce z jego warg. Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Zabójczy?

- Ogromnie - potwierdziła i skinęła głową. Poczuła, jak zatańczyły loki.

Objął ją w talii, a jej serce zabiło jeszcze szybciej.

- Nic mi nie jesteś winna, Clarisso. Ocaliłem cię od tego, co działo się w Renwoldzie, a ty w zamian obiecałaś, że mi pomożesz. Jesteśmy kwita.

- Wiem. To nie...

Wiedziała, że nie wyraża się jasno. Stała na palcach, objęła go za szyję i przycisnęła usta do jego warg. Przytulił ją mocniej. Poddała się owym ramionom i ustom.

Nathan się cofnął.

- Jestem stary, Clarisso. A ty jesteś młodą kobietą. Nie chciałabyś kogoś tak starego jak ja.

Od jak dawna cierpiała, myśląc, że jest zbyt stara, by kogoś mieć? Jak często czuła się opuszczona, myśląc, że jest za stara? A teraz ten mężczyzna, ten wspaniały, pełen życia, przystojny mężczyzna mówi jej, że jest za młoda.

- Nathanie, chcę żebyś mnie rzucił na łożo, zdarł ze mnie tę wspaniałą, kosztowną suknię i robił ze mną wszystko, czego tylko pragniesz, aż usłyszę śpiew duchów.

Nathan wpatrywał się w nią w milczeniu. W końcu pochylił się, wsunął ramię pod nogi Clarissy i uniósł ją z podłogi. Zaniósł kobietę do łoża, lecz wcale na nie nie rzucił, jak mu to proponowała, tylko ostrożnie położył. Wyciągnął się obok i dotknął jej czoła. Patrzyli sobie w oczy. Pocałował ją czule. Suknia była już rozsznurowana i rozpięta, więc łatwo zsunęła się aż do talii. Clarissa gładziła jego długie białe włosy, patrząc, jak delikatnie całuje jej piersi. Czuła jego gorące wargi. Z jakiegoś powodu uznała to za zadziwiające i cudowne. Namiętne pocałunki sprawiły, że cichutko westchnęła z rozkoszy.

Nathan może i żył dłużej niż ona, lecz w jej oczach wcale nie był starym człowiekiem. Był zabójczo przystojny, odważny i troskliwy i sprawił, że

poczuła się piękna. Kiedy zrzucił szaty, zrozumiała, jak bardzo go pragnie.

Jeszcze żaden mężczyzna nie pieścił jej tak czule, a każdy jego dotyk coraz bardziej wzmagał jej pożądanie.

Usta Nathana zsuwały się coraz niżej i niżej, a każdy pocałunek sprawiał, że wstrzymywała oddech, drżąc w słodkim pożądaniu.

Gdy wreszcie wziął ją w ramiona, całkowicie i bezwstydnie poddała się pragnieniu. Spoczywała jak w kołysce w wielkim łożu z baldachimem i zarazem w gorącym uścisku Proroka. Po krzyku spełnienia usłyszała śpiew duchów.

ROZDZIAŁ 40

Kahlan, niczym pikujący jastrząb, mknęła cicho naprzód, a jednocześnie wisiała w miejscu jak wznoszący się na prądach powietrza orzeł. Blask i cień, żar i chłód, czas i odległość nie miały żadnego znaczenia, a przecież były wszystkim. Za każdym razem, kiedy wciągała żywe srebro w płuca, w głąb duszy, doznawała tego cudownego pomieszania odczuć, wzmaganego słodką obecnością sylfy.

To było upojenie.

I skończyło się z nagłym wybuchem percepcji.

Wzrok dziewczyny poraziło światło. Odgłosy ptaków, wiatru i owadów raniły jej uszy. Wszędzie wokół było mnóstwo drzew ozdobionych festonami mchu, skał inkrustowanych porostami, oplatanych korzeniami i lianami oraz kłębów wilgotnej, ciemnej mgły. Kahlan przeraziła ich wszechobecność.

- Oddychaj - nakazała sylfa.

- Nie. - Sama myśl o tym przerażała dziewczynę.

- Oddychaj - głos sylfy rozbrzmiewał nagłoco w umyśle Kahlan.

Dziewczyna nie chciała, by wyrzucono ją ze spokojnego łona sylfy na ten jaskrawy, hałaśliwy świat.

Przypomniała sobie Richarda, a wraz z nim ciężącą nad nim groźbę.

Przypomniała sobie Shotę.

Wypuściła sylfę z płuc. Żywe srebro spływało z niej, a przecież nie była zmoczona. Wciągnęła głęboko obce, ostre powietrze. Zakryła uszy i zamknęła oczy, a sylfa posadziła ją na obmurowaniu studni.

- Jesteśmy tam, gdzie chciałaś się znaleźć - oznajmiła. Kahlan niechętnie otworzyła oczy i odkryła uszy. Żyjący świat powoli dostrajał się do jej wyobrażenia o nim. Dodające otuchy ramię sylfy zsunęło się z talii dziewczyny.

- Dziękuję, sylfo. To była... przyjemność. Sylfa się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że ci się podobało.

- Mam nadzieję, że długo tu nie zabawię, a zaraz potem musimy wracać.

- Będę gotowa, kiedy znów zechcesz podróżować - powiedziała sylfa, a jej głos poniósł się w mrok. - Zawszem gotowa do podróży, jeśli nie śpię.

Kahlan zwiesiła nogi z kamiennego murku otaczającego studnię sylfy.

Widać było resztki starożytnej budowli, lecz większa jej część osunęła się w wilgotny, zbity las. Dziewczyna zobaczyła resztkę muru, połowę kolumny, jakieś kamienne płyty na ziemi. Wszystko pokrywały liście, korzenie i pnącza.

Nie wiedziała, gdzie dokładnie jest, lecz na pewno znajdowała się w mrocznych lasach okalających dom wiedźmy. Pamiętała, jak szła przez ów niebezpieczny, tajemniczy las, gdy Shota ją pojmała i zabrała do kotliny Agaden, by zwabić tam Richarda.

Poszarpane szczyty gór Rang'Shada osłaniały mroczne lasy, a te - ciemne i niebezpieczne - chroniły z kolei stojący na uboczu pałac Shoty. Owe lasy trzymały ludzi z dala od kotliny Agaden, od domu wiedźmy.

W stojącym, dusznym powietrzu niesły się trzaski, pohukiwania i pokrzykiwania. Kahlan rozmasowała ramiona, choć powietrze było wilgotne i ciepłe.

Chłód był w jej wnętrzu. Przez niewielkie luki w kopule drzew widziała różowy blask nieba. To musiał być świt. Wiedziała, że wstający dzień wcale nie rozjaśni panującego tu mroku. Nawet w najbardziej słoneczny dzień to ponure miejsce było przygnębiająco ciemne.

Kahlan ostrożnie zrobiła krok, obserwując podłoże lasu, wiszące pnącza i unoszącą się mgłę, która skrywała syczące i wydające głośnie wrzaski istoty. Tuż nad powierzchnią stojących, ukrytych w gęstej roślinności rozlewisk widać było jakieś oczy.

Dziewczyna zrobiła kolejny ostrożny krok i zatrzymała się. Uświadomiła sobie, że nie wie, dokąd idzie w tym pozbawionym kierunków lesie. Nie można było w nim określić, gdzie jest północ, południe, wschód i zachód. Las wszędzie wyglądał tak samo.

Zdała też sobie sprawę, że nie wie nawet, czy Shota jest w swoim domostwie.

Ona i Richard ostatni raz widzieli wiedźmę w wiosce Błotnych Ludzi. Wtedy przegnał ją z jej siedziby czarodziej zaprzędany Opiekunowi. Może wiedźmy wcale tu nie było.

Nie, przecież Nadine ją odwiedziła. Shota tu była. Kahlan zrobiła kolejny krok.

Coś złapało kostkę dziewczyny i zważyło ją z nóg. Upadła na plecy z głuchym łupnięciem.

Ciemna, ciężka postać skoczyła jej na pierś, pozbawiając tchu.

Spomiędzy ostrych zębów, pokrytych szarawą gąbczastą papką, wydobył się cuchnący oddech i syk.

- Śliczna panienka.

Kahlan z trudem łapała oddech.

- Samuel! Złaż ze mnie!

Krzepkie paluchy ścisnęły jej lewą pierś. Bezkrwiste wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

- Może Samuel zje śliczną panienkę.

Kahlan wcisnęła czubek kościanego noża w fałdy skóry na karku Samuela.

Złapała jeden z jego długich palców i tak długo odginała do tyłu, aż stwór zaskowyczał i puścił jej pierś. Dźgnęła go nożem w gardło.

- A może nakarmię tobą stworzenia z tamtego bajorka. Co o tym myślisz? Mam ci poderznąć gardło czy też wolisz zejść ze mnie?

Bezwłosa, szara, pokryta plamami głowa cofnęła się. Na dziewczynę łypnęły nienawistnie żółte niczym dwie latarnie w nikłym świetle ślepie. Potwór ostrożnie stoczył się na bok i pozwolił się jej podnieść. Kahlan wciąż celowała w niego kościanym nożem.

Do woskowatej skóry Samuela przylgnęły zeschnięte liście i leśne szczątki.

Uniósł długie ramię i wskazał w ciemną mgłę.

- Pani chce ciebie.

- Skąd wie, że tu jestem?

Groteskowa twarz wykrzywiła się w uśmiechu. Posykiwał.

- Pani wszystko wie. Idź za Samuelem. - Odotoczył się kilka kroków, zatrzymał i obejrzał przez ramię. - Jak pani z tobą skończy, to Samuel cię zje.

- Może mam dla Shoty coś, czego się nie spodziewa. Tym razem popełniła błąd. Kiedy z nią skończę, możesz już nie mieć pani.

Przysadzisty stwór patrzył na nią, zastanawiał się. Skurczył bezkrwiste wargi i zasyczał.

- Twoja pani czeka. Ruszajmy - ponagliła go.

Krępa, bezwłosa postać o długich ramionach ruszyła w końcu przez las.

Unikał niebezpieczeństw, których Kahlan nie dostrzegała, i niechętnie pokazywał, co ma ominąć. Wyciągały się po nią pnącza, które obchodził, ale była za daleko, by mogły ją dosięgnąć. Korzenie, które Samuel omijał łukiem,

usiłowały owinać się wokół kostek Kahlan.

Niska postać, ubrana tylko w podtrzymywane szelkami portki, oglądała się od czasu do czasu przez ramię, upewniając, że Kahlan podąża za nią. Kilka razy Samuel wybuchnął swoim osobliwym, bulgoczącym śmiechem.

Po pewnym czasie weszli na jakiś trakt i wkrótce blask przebijający się przez splątaną masę gałęzi zaczął przybierać na sile. Kahlan szła za odpychającym stworem.

W końcu dotarli na skraj mrocznego lasu będący zarazem skrajem przepaści.

Daleko w dole leżała zielona dolina, w której mieszkała wiedźma. Niepokoju Kahlannie uśmierzyła nawet świadomość, że było to jedno z najpiękniejszych miejsc w całych Midlandach. Kotlinę otaczały potężne, wznoszące się niemal pionowo górskie szczyty. Zaczynające się zielenić drzewa kołysały się w powiewach łagodnego porannego wiatru.

Na pierwszy rzut oka zejście z pionowego urwiska wydawało się niemożliwe, lecz dziewczyna była tu już wcześniej i pamiętała, że w skale wycięto stopnie. Samuel poprowadził ją przez gąszcz krzaków, drzew i porośniętych paprociami gładów do miejsca, którego bez niego raczej by nie znalazła. Ukryty za skałami, drzewami, paprociami i pnączami trakt wiódł na skraj przepaści i ku schodom prowadzącym w dół urwiska.

- Pani. - Samuel wskazał w dół, ku dolinie.

- Wiem. Prowadź.

Poszła za Samuelem w dół urwiska. Część trasy stanowiła wąska ścieżka, lecz większość - tysiące wykutych w urwistej skale stopni. Schody wiły się i schodziły w dół, czasami zawracając spiralą w górę. Daleko w dole, pośrodku kotliny, wśród strumieni, wysokich drzew i falistych pól, wznosił się wdzięczny pałac Shoty. Na wieżach i wieżyczkach, jakby zapowiadając świąteczny dzień, powiewały barwne chorągwie. Kahlan słyszała, jak łopoczą na wietrze. Nie dostrzegała jednak wspaniałości pałacu. Dla niej był to środek pajęczyny, w którym czyhało zagrożenie.

Zagrożenie dla Richarda.

Samuel gnał po schodach, uradowany, że wraca pod opiekuńcze skrzydła swej pani, i bez wątpienia rozmyślał, jaką by tu potrawkę ugotować z Kahlan, kiedy ta z nią skończy.

Kahlan z kolei ledwo dostrzegała pełne nienawiści spojrzenia wielkich

żółtych ślepi. I ona zatraciła się w świecie nienawiści. Shota chciała skrzywdzić Richarda. To była najważniejsza, kluczowa myśl dziewczyny. Wiedźma chciała pozbawić Richarda szczęścia. Chciała, żeby Richard cierpiał. Kahlan czuła, jak narasta w niej gniewna moc, gotowa na jej rozkaz wyeliminować to zagrożenie. Nareszcie znalazła sposób pokonania Shoty. Wiedźma nie mogła obronić się przed magią subtraktywną. Owa magia pokona wszelkie jej osłony.

Kahlan znalazła drogę. Znalazła przejście przez chroniący jej magię labirynt, przejście, które wiodło do samego jądra mocy. Tę stronę jej magii chroniły przykazania określające zasady jej użycia. Ale i tu - jak w chronionej przez osłony Wieży Czarodzieja - można się było przemknąć pośród nich. Dziewczyna odkryła sposób przejścia przez wieżę, a teraz wymyśliła usprawiedliwienie, które pozwoliło prześliznąć się przez labirynt uzasadnień zakazujących posługiwania się ową magią.

Obudziła starożytną magiczną moc, niszczącą potęgę.

Czuła, jak owa moc wzbiera w niej, jak wpływa w jej ramiona. Wokół zaciśniętych pięści dziewczyny pełgał błękitny blask.

Niemal zatraciła się w rozmyślnie wywołanym transie.

Po raz pierwszy nie bała się wiedźmy. Jeśli Shota nie przysięgnie, że zostawi Richarda w spokoju i że pozwoli mu decydować o swoim losie, to nim dzień dobiegnie końca, zmieni się w pył.

Zeszli z urwiska i dziewczyna ruszyła za Samuelem drogą wijącą się wśród porośniętych drzewami wzgórz i zielonych pól. Okalające kotlinę ośnieżone szczyty wychylały się ponad rozproszone obłoki. Słońce wstawało zza szczytów, ciemniał błękit nieba.

Kahlan wydawało się, że płonie w niej moc mogąca zrównać te góry z ziemią.

Niech tylko Shota powie lub uczyni coś niewłaściwego, dowodząc tym, że stanowi zagrożenie dla Richarda, a przestanie istnieć.

Droga wiodła w górę łagodnego stoku, z którego wśród rosnących dalej drzew Kahlan widziała iglice pałacu. Samuel obejrzał się, sprawdzając, czy idzie za nim, lecz dziewczyna nie potrzebowała już przewodnika. Wiedziała, że Shota czeka pośród tych drzew.

Wiedźma była ostatnią osobą, którą Kahlan chciałaby znowu zobaczyć, lecz jeśli nie można było tego uniknąć, niech tym razem spotkanie odbędzie

na jej, Kahlan, warunkach.

Samuel zatrzymał się i wskazał długim palcem.

- Pani. - żółte ślepie łypnęły na Kahlan. - Pani chce ciebie. Dziewczyna ostrzegawczo uniosła dłoń. Wokół palca zatańczyły błękitne ogniki.

- Umrzesz, jeśli wejdiesz mi w drogę lub się wtrącis. Samuel spojrzął na palec, a potem w oczy dziewczyny. Skurczył bezkrwiste wargi, zasyczał i umknął między drzewa.

Kahlan, otoczona kokonem kipiącego magicznego gniewu, schodziła w dół stoku ku czekającej na nią wiedźmie. Wiaterek był wiosenny i ciepły, a dzień jasny i pogodny, lecz dziewczyna nie czuła radości.

Pod osłoną potężnych klonów, jesionów i dębów stał nakryty białym obrusem stół, zastawiony jedzeniem i napojami. Za stołem, na białym marmurowym podwyższeniu o trzech białych płytach, które służyły za stopnie, spoczywał ciężki tron, rzeźbiony w złotolistne liany, węże i inne stwory.

Shota siedziała wygodnie i założywszy niedbale nogę na nogę, obserwowała wiecznie młodymi oczami nadchodzącą Kahlan. Wsparła ramiona na wysokich, rozstawionych szeroko poręczach tronu, jej dłonie dotykały złotych chimer. Te trącały je nosami, jakby domagały się pieśczoły. Przed porannym słońcem osłaniał ją wspaniały baldachim z ciężkiego czerwonego brokatu obszytego złocistymi chwostami, a mimo to jej bujne kasztanowe włosy lśniły, jakby padały na nie snopy słonecznych promieni.

Kahlan zatrzymała się w pobliżu. Twarde, przenikliwe oczy tamtej patrzyły na nią. Błękitna błyskawica domagała się uwolnienia.

Shota stuknęła lakierowanymi paznokciami. Na jej pełnych czerwonych wargach pojawił się uśmiezek samozadowolenia.

- No, no, no - powiedziała swoim aksamitnym głosem. - Nareszcie nadchodzi dziecko asasyn.

- Nie jestem asasynem. Ani dzieckiem. I mam już dość twoich gier - odparła Kahlan.

Shota przestała się uśmiechać. Oparła dłonie na poręczach tronu i wstała.

Lekki wiatr zakołysał fałdami powiewnej szaty utrzymanej we wszystkich odcieniach szarości. Z wdziękiem zeszła po trzech stopniach z marmurowego podestu, nie spuszczaając przy tym Kahlan z oka.

- Spóźniłaś się. - Shota wskazała stół. - Herbata stygnie. Dziewczyna drgnęła, bo z błękitnego nieba strzeliła błyskawica i uderzyła w imbryczek. O dziwo nie rozpadł się.

Shota spojrzała na dłonie Kahlan, a potem znów w jej oczy.

- Teraz powinna być gorąca. Nie zechciałabyś usiąść? Napijemy się herbaty i porozmawiamy.

Kahlan - wiedząc, że Shota dostrzegła złowieszczy błękitny blask - odwzajemniła pełen samozadowolenia uśmiech. Wiedźma odsunęła od stołu krzesło i usiadła. Ponownie zaprosiła dziewczynę gestem.

- Usiądź, proszę. Przypuszczam, że chciałybyś omówić wiele spraw.

Kahlan osunęła się na krzesło, a Shota nalała herbaty, przytrzymując drugą dłonią białą pokrywkę imbryczka. Z filizanek uniosła się para. Napój był naprawdę gorący. Wiedźma podsunęła dziewczynie obramowaną złotem tackę i zaproponowała jej grzanekę. Ta wzięła ostrożnie złocistą, chrupką kromkę, a Shota przysunęła jej miseczkę zmieszanego z miodem masła.

- Czyż to nie jest miłe? - spytała pani Samuela.

- Ogromnie. - Kahlan uśmiechnęła się wbrew sobie. Shota wzięła swój srebrny nóż i posmarowała grzanekę miodowym masłem. Łyknęła herbaty.

- Jedz, dziecko. Morderstwo zawsze najlepiej popełnia się z pełnym żołądkiem.

- Nie przyszłam tu, żeby cię zamordować.

Na usta wiedźmy powrócił szelmowski uśmiech.

- Przypuszczam, że jakoś zdołałaś to przed sobą usprawiedliwić. Zemsta, hmm? Albo samoobrona. Kara? Rekompensata? Sprawiedliwy wyrok? - Uśmiech stał się szerszy, brew się uniosła. - Brak ogłady?

- Przysłałaś Nadine, by wyszła za Richarda.

- Ach. Więc to zazdrość. - Shota odchyliła się do tyłu, upiła herbaty. - Zaczny motyw, gdyby był uzasadniony. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż zazdrość może być okrutnym tyranem.

Kahlan skubała kruchą grzanekę.

- Richard mnie kocha, a ja Kocham jego. Mamy się pobrać.

- Tak, wiem. Sądziłam, że będziesz rozsądniejsza, skoro twierdzisz, że tak go Kochasz.

- Rozsądniejsza?

- Oczywiście. Jeśli kogoś Kochasz, to chcesz, żeby był szczęśliwy. Chcesz

dlań tego, co najlepsze.

- Uszczęśliwię Richarda. On mnie pragnie. Jestem dla niego stworzona.

- Cóż, nie zawsze możemy mieć to, co chcemy, nieprawdaż? Kahlan zlizwała z palców miodowe masło.

- Powiedz, dlaczego chcesz nas zranić? Wiedźma szczerze się zdziwiła.

- Zranić was? Tak uważasz? Sądzisz, że jestem złośliwa?

- A z jakiegoż to innego powodu zawsze starasz się nas rozdzielić i skrzywdzić?

Shota odgryzła mały kęs grzanki. Przez chwilę się zastanawiała.

- Czy zaraza już się rozprzestrzeniła? Filiżanka zamarła w połowie drogi do ust Kahlan.

- Skąd o tym wiesz?

- Jestem wiedźmą. Widzę bieg wypadków. Pozwól, że cię o coś spytam.

Gdybyś odwiedziła chore na mór dziecko i jego matka spytałaby cię, czy ono wyzdrowieje, a ty powiedziałaś jej prawdę, to czy byłabyś winna śmierci tego dziecka jedynie dlatego, że ją przepowiedziałaś?

- Jasne, że nie.

- Ach. Czyli tylko mnie należy osądzać według innych kryteriów.

- Ja cię nie osądzam. Ja tylko chcę, żebyś przestała się mieszać do naszego życia. Do życia Richarda i mojego.

- Posłańca często obwinia się za wieść, którą przynosi.

- Kiedy cię ostatni raz widzieliśmy, Shoto, powiedziałaś, że jeśli powstrzymamy Opiekuna, to będziesz naszą dłużniczką. Prosiłaś, żebym pomogła Richardowi. Powstrzymaliśmy Opiekuna. Drogo nas to kosztowało, lecz uczyniliśmy to. Jesteś nam coś winna.

- Tak, wiem - wyszeptała Shota. - I dlatego przysłałam Nadine.

Kahlan czuła, jak wzmaga się w niej magiczny gniew.

- Dziwny to sposób okazywania wdzięczności, przysłać kogoś, by zrujnował nam życie.

- Nie, dziecko - powiedziała łagodnie Shota. - Patrzysz, ale nie widzisz.

Dziewczyna musiała dowiedzieć się jak najwięcej, żeby pomóc Richardowi, lecz - gdyby zaszła taka potrzeba - broniłaby i jego, i siebie. Toteż dopóki nie zajdzie taka potrzeba, ścierpi ową dziwną rozmowę, jeśli tylko uzyska dzięki niej potrzebne im informacje. A bardzo ich potrzebowali.

- Co masz na myśli? Shota upiła herbaty.

- Czy byłaś z Richardem?

Pytanie zaskoczyło Kahlan, ale szybko odzyskała pewność siebie. Niedbale poruszyła ramieniem.

- Prawdę mówiąc, tak, byłam.

Shota przestała się wpatrywać w herbatę.

- Kłamiesz.

Dziewczyna, ucieszona gniewnym tonem wiedźmy, udała zdumienie.

- To prawda. Nie podoba ci się wiadomość, więc żywisz urazę do posłańca?

Shota przymrużyła oczy. Wbiła wzrok w Kahlan, jakby naciągała cięciwę i nasadzała na nią strzałę.

- Gdzie, Matko Spowiedniczko? Gdzie z nim byłaś? Jawny gniew Shoty sprawił, że Kahlan triumfowała.

- Gdzie? A cóż to za różnica? Czyżbyś z wiedźmy zmieniła się w plotkarkę?

Byłam z nim... w wiadomy sposób i taka jest prawda, czy ci się to podoba, czy nie.

Nie jestem już dziewicą. Byłam z Richardem i to jest najważniejsze.

We wzroku Shoty pojawiła się groźba.

- Gdzie? - powtórzyła.

Ton wiedźmy był tak groźny, że Kahlan zapomniała, iż nie musi się jej bać.

- W miejscu pomiędzy światami - odparła, nagle zażenowana, że musi zdradzać szczegóły. - Zabrały nas tam... dobre duchy - wykrztusiła. - Dobre duchy...

chciały, żebyśmy byli razem.

- Rozumiem. - Oczy Shoty złagodniały, znów się uśmiechała. - Obawiam się, że to się nie liczy.

- Nie liczy się? A cóż to, u licha, znaczy? Byłam z nim. To jest najważniejsze.

Zirytowałaś się, bo to prawda.

- Prawda? Nie byłaś z nim na tym świecie, dziecko. A to jest świat, w którym żyjemy. Nie byłaś z nim tutaj, gdzie to się naprawdę liczy. W naszym świecie wciąż jesteś dziewicą.

- To nonsens.

Shota wzruszyła ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz. Jestem zadowolona, że z nim nie byłaś. Kahlan skrzyżowała ramiona.

- Ten świat czy inny, to nie ma znaczenia. Byłam z nim. Powstrzymana radość sprawiła, że Shota zmarszczyła swoje gładkie czoło.

- Skoro byłaś z nim w miejscu pomiędzy światami, dokąd zabrały was dobre duchy, to dlaczego nie byłaś z nim na tym świecie? Dlaczego nie byłaś z nim, skoro, jak sama twierdzisz, nie jesteś już dziewicą?

Kahlan zamrugała powiekami.

- No bo... ja... my... zwyczajnie uznaliśmy, że lepiej zaczekać do ślubu.

Cichy, radosny śmiech Shoty poszybował w powietrzu poranka.

- Widzisz? Wiesz, że powiedziałam prawdę. - Uniosła filiżankę czubkami palców obu dłoni; pomiędzy każdym łykiem rozlegał się jej słodki śmiech.

Kahlan zawrzała gniewem, wyczuwając, że przegrała spór. Odchyliła się do tyłu i upiła herbaty, starając się przy tym wyglądać na bardzo pewną siebie.

- Jeśli masz ochotę zwodzić się szczegółami, to nie mam nic przeciwko temu.

Wiem, co robiliśmy - oznajmiła. - Nie rozumiem za to, co cię to obchodzi.

Wiedźma spojrzała na nią.

- Ależ rozumiesz, Matko Spowiedniczko. Każda Spowiedniczka rodzi Spowiedniczkę. Gdybyś urodziła jego dziecko, byłby to chłopiec. Mówiłam wam, byście o tym pamiętali, nim będziecie razem. Pożądanie sprawia, że nie myśli się o następstwach. Po tobie ów chłopiec odziedziczyłby moc i byłby Spowiednikiem. Po Richardzie odziedziczyłby zaś magiczny dar. Takie niebezpieczne połączenie jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

Kahlan przemówiła spokojnym, rozsądnym tonem, który zarówno przed Shotą, jaki przed nią samą miał ukryć przerażenie wywołane wróżbą wiedźmy.

- Jesteś bardzo utalentowaną wiedźmą, Shoto, i przyznaję, że możesz wiedzieć, iż to byłby chłopiec. Nie możesz jednak wiedzieć, czy przypominałby większość zrodzonych w przeszłości Spowiedników. Nie wszyscy tacy byli. Nie jesteś Stwórcą i nie wiesz, co on postanowi, jeśli zechce obdarzyć nas dzieckiem.

- W tym wypadku nie muszę widzieć przyszłości. Niemal wszyscy Spowiednicy byli tacy sami. Byli pozbawionymi sumienia bestiami. Moja matka żyła w mrocznych czasach, które sprowadził Spowiednik. Sprowadzilibyście na ten świat nie tylko Spowiednika, ale na dodatek Spowiednika mającego dar. Nawet nie potraficie sobie wyobrazić takiej katastrofy. To z tego właśnie powodu Spowiedniczki nie powinny kochać swoich partnerów. Jeśli Spowiedniczka urodzi chłopca, musi poprosić męża, by zabił dziecko. Kochasz Richarda, więc nie poprosiłabyś go o to.

Ostrzegłam cię, że mam dość siły, by uczynić to, czego ty byś nie uczyniła.

Powiedziałam ci również, że nie będzie w tym nic osobistego.

- Mówisz o odległej przyszłości tak, jakby się już działa, a przecież tak nie jest

- stwierdziła Kahlan. - Wydarzenia nie zawsze przebiegały tak, jak zapowiadałaś. Za to wydarzyło się już coś innego. Żyjesz wciąż, dzięki Richardowi. Mówiłaś, że jeśli mnie i Richardowi uda się scalić zasłonę i ocalić ciebie i innych przed Opiekunem, to zawsze będziesz nam za to wdzięczna.

- I jestem.

Kahlan pochyliła się ku niej.

- I okazujesz swoją wdzięczność, grożąc nie tylko zabiciem mojego dziecka, o ile je urodzę, ale i próbą zabicia mnie, gdy przychodzę prosić cię o pomoc?

Shota zmarszczyła brwi.

- Nie dokonałam zamachu na twoje życie.

- Posłałaś Samuela, żeby na mnie napadł, a potem miałaś czelność zarzucać mi, że zjawiam się gotowa do samoobrony. Ten potworek rzucił mnie na ziemię i zaatakował. Nie wiadomo, co by zrobił, gdybym nie miała broni. To jest twoja wdzięczność? Powiedział, że kiedy już ze mną skończysz, pozwolisz mu mnie zjeść.

A ty oczekujesz, że uwierzę w twoją życzliwość? Ośmielasz się mówić o wdzięczności?

Shota spojrzała na drzewa.

- Samuelu! - Odstawiła filiżankę. - Samuelu! Natychmiast tu przyjdź!

Krępa postać wyskoczyła spośród drzew. Biegła przez trawę, podpierając

się kłykciami. Przybiegł do Shoty i zaczął ocierać się o jej nogi.

- Pani - mrucał z zadowoleniem.

- Co ci powiedziałam o Matce Spowiedniczce, Samuelu?

- Pani kazała Samuelowi po nią iść. Shota spojrzała Kahlan w oczy.

- I co jeszcze?

- Przyprować ją tobie.

- Samuelu! - powiedziała z naciskiem.

- Pani zabroniła ją krzywdzić.

- Zaatakowałeś mnie! - wtrąciła się Kahlan. - Przewróciłeś mnie na ziemię i skoczyłeś na mnie! Powiedziałeś, że mnie zjesz, gdy twoja pani już ze mną skończy.

- Czy to prawda, Samuelu?

- Samuel nie skrzywdził ślicznej panienki - mruknął stwór.

- Czy ona mówi prawdę? Zaatakowałeś ją?

Samuel syknął na Kahlan. Shota stuknęła go palcem w głowę, on zaś natychmiast przypadł jej do nogi.

- Co ci mówiłam, Samuelu? Jakie były moje polecenia?

- Samuel musi przyprować Matkę Spowiedniczkę. Samuelowi nie wolno dotykać Matki Spowiedniczki. Samuelowi nie wolno krzywdzić Matki Spowiedniczki. Samuelowi nie wolno straszyć Matki Spowiedniczki.

Shota zabębniła palcami po blacie stolika.

- A ty byłeś nieposłuszny, Samuelu? Stwór skrył głowę pod rąbkiem jej sukni.

- Natychmiast odpowiedz na moje pytanie, Samuelu. Czy Matka Spowiedniczka powiedziała prawdę?

- Tak, pani - zaskomlał Samuel.

- Bardzo mnie zawiodłeś, Samuelu.

- Samuel żałuje.

- Później o tym porozmawiamy. Teraz odejdz.

Sługa więdźmy odszedł pomiędzy drzewa. Shota znów spojrzała Kahlan w oczy.

- Powiedziałam mu, żeby cię nie krzywdził i nie straszył. Rozumiem, dlaczego byłaś zirytowana i sądziłaś, że mam wobec ciebie złe zamiary. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny. - Nalała Kahlan herbaty. - Widzisz? Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Dziewczyna upiła łyk z pełnej filizanki.

- Samuel to najmniejszy kłopot. Wiem, że chcesz skrzywdzić i mnie, i Richarda, ale już się ciebie nie boję. Nie możesz mi już wyrządzić krzywdy.

- Czyżby? - Shota znów uśmiechała się z zadowoleniem.

- Ostrzegam, byś nie próbowała wykorzystywać przeciw mnie swojej mocy.

- Mojej mocy? I ja, i wszyscy działamy, wykorzystując naszą moc. Oddycham, wykorzystując moją moc.

- Mówię o krzywdzeniu mnie. Jeżeli znów ośmielisz się to zrobić, nie przeżyjesz tej próby.

- Ależ, dziecko, wcale nie zamierzam zrobić ci nic złego, choć ty uważasz oczywiście inaczej.

- Łatwo ci to mówić teraz, gdy wiesz już, że nie możesz tego uczynić.

- Czyżby? A pomyślałaś, że herbata mogła być zatruta?

Kahlan zeszywniała i Shota uśmiechnęła się szerzej.

- Ty...?

- Jasne, że nie. Jak mówiłam, nie zamierzam ci zrobić nic złego. Gdybym chciała, mogłabym to uczynić na wiele sposobów. Mogłabym umieścić żmiję za twoimi piętami. A żmije nie lubią gwałtownych ruchów.

Jeśli Kahlan czegoś nienawidziła, to właśnie węży, i Shota o tym wiedziała.

- Uspokój się, dziecko. Pod twoim krzesłem nie ma żadnego węża. - Shota odgryzła kęs grzanki, a Kahlan odetchnęła.

- Ale chciałaś, bym myślała, że może tam być.

- Chcę, byś pojęła, że pewność siebie może być przesadzona. Jeśli sprawi ci to przyjemność, wiedz, że zawsze uważałam cię za szczególnie niebezpieczną, i to z wielu powodów. Mało mnie obchodzi, że znalazłaś dostęp do drugiej części swojej mocy. Przerażają mnie inne twoje czyny. Przeraża mnie twoje łono. Przeraża mnie twoja arogancka pewność siebie.

Niewiele brakowało, by rozwścieczona Kahlan poderwała się z krzesła, lecz nagle pomyślała o umierających w Aydindril dzieciach. Jak wiele z nich znajdowało się na granicy śmierci i drżało ze strachu o swoje życie, gdy ona sprzeczała się tu z Shotą o prawdziwe i domniemane winy. Wiedźma wiedziała coś o zarazie i o ścigających Richarda wichrach. Cóż znaczyła wobec tego duma Kahlan? Dziewczyna przypomniała też sobie fragment

proroctwa:... tego nieprzyjaciela nie zmoże żadna klinga: czy to wykuta ze stali, czy to stworzona przez magię. Słowna szermierka z Shotą też niczego nie da. Nie służy żadnemu celowi i - co gorsza - nie rozwiązuje żadnego problemu.

Kahlan przyznała się przed sobą, że przybyła tu, by się zemścić. Jej prawdziwym obowiązkiem było pomagać cierpiącym i umierającym ludziom. Czyż uderzenie w Shotę nie posłużyłoby jedynie zaspokojeniu jej dumy? Z uporem przedkładała samą siebie i swoją niepewność nad życie niewinnych ludzi. Była samolubna.

- Zjawiłam się tu, Shoto, z sercem zbolełym z powodu Nadine. Chciałam, byś zostawiła w spokoju mnie i Richarda. Powiedziałaś, że nie życzysz nam nic złego i że zamierzasz pomóc. Ja również chcę pomóc zrozpaczonym i umierającym ludziom. A może byśmy tak, choć na pewien czas, uznały, że obie mówimy prawdę?

Wiedźma spojrzała na nią znad filizanki.

- Cóż za oburzająca myśl.

Kahlan starała się zrationalizować swój strach i gniew. Chciała uderzyć w Shotę, gdyż cierpiała z powodu tego, co uczyniła Nadine. A jeśli to nie była wina wiedźmy? Jeśli Nadine działała na własny rachunek, jak teraz Samuel? Jeśli Shota mówiła prawdę i nie zamierzała nikogo krzywdzić?

Jeżeli istotnie tak było, Kahlan popełniała straszliwy błąd, chcąc zniszczyć wiedźmę.

Dziewczyna przyznała, że Shota miała rację i że umotywowowała sobie chęć zemsty po to tylko, by uzyskać dostęp do śmiertelnej mocy. Nie miała ochoty słuchać tamtej.

Położyła dłonie na stoliku, a Shota popijała herbatę, patrząc, jak blednie i znika błękitna poświata wokół jej dłoni. Kahlan nie wiedziała, czy zdoła znów przywołać ową magię, jeśli wiedźma uderzy, lecz uświadomiła sobie, że nie ma to znaczenia.

Gdyby nie wykonała swojego prawdziwego zadania, byłaby to zbyt wysoka cena za dumę.

Kahlan wyczuwała, że tylko w ten sposób może zdobyć szansę uratowania własnej przyszłości, ocalenia Richarda i niewinnych ludzi w Aydindril. Richard zawsze mówił, że należy myśleć o rozwiązaniu, nie zaś o problemie.

Zawierzy słowu Shoty.

- Zawsze myślałam o tobie jak najgorzej, Shoto - wyszeptała. - Strach był zaledwie jednym z powodów. Tak jak ostrzegałaś, moim tyranem była zazdrość.

Błagam, byś wybaczyła mi moją zawziętość i bezczelność. Wiem, że przedtem próbowałaś pomóc ludziom. Proszę, pomóż teraz mnie. Potrzebuję informacji. Zależy od tego życie wielu ludzi. Porozmawiaj ze mną, proszę. Postaram się przyjąć twoje słowa spokojnie, bez uprzedzeń, wiedząc, że jesteś jedynie posłańcem, a nie przyczyną.

Shota odstawiła filiżankę.

- Gratulacje, Matko Spowiedniczko. Zasłużyłaś na prawo zadawania pytań.

Miej teraz odwagę usłyszeć odpowiedzi, a na pewno będą ci pomocne.

- Przyrzekam, że uczynię, co w mojej mocy - odparła Kahlan.

ROZDZIAŁ 41

Schota dołała im herbaty.

- Co chcesz wiedzieć?

Kahlan sięgnęła po swoją filiżankę.

- Czy wiesz coś o Świątyni Wichrów?

- Nie.

Dziewczyna zastygła z filiżanką w dłoni.

- A powiedziałaś Nadine, że Richarda ścigają wichry.

- Powiedziałam.

- Możesz to wytłumaczyć? Co miałaś na myśli? Shota wykonała nieokreślony gest.

- Nie wiem, w jaki sposób wytłumaczyć kobiecie, która nie jest wiedźmą, jak widzę przepływ czasu, przyszłe zdarzenia. Tobie przypominałoby to chyba wspomnianie. Kiedy myślisz o wydarzeniu lub osobie z przeszłości, wraca do ciebie pamięć. Czasami wyraźnie pamiętasz to, co się zdarzyło. Niektórych rzeczy nie możesz sobie przypomnieć. Ja robię coś podobnego, z tym że dotyczy to przyszłości.

Płynę strumieniem czasu zarówno z prądem, jak i pod prąd. Dla mnie dostrzeganie przyszłości wygląda tak, jak dla ciebie przypomnianie sobie biegu zdarzeń z przeszłości.

- Ale czasem nie mogę sobie czegoś przypomnieć - powiedziała Kahlan.

- Tak samo jest i ze mną. Nie mogę sobie przypomnieć, co stało się z ptakiem, którego moja matka przywoływała, gdy byłam bardzo młoda. Pamiętam, jak siedział na jej palcu, a ona czule doń przemawiała. Nie pamiętam jednak, czy umarł, czy też odleciał. Wyraźnie przypominam sobie inne zdarzenia, jak na przykład śmierć kogoś bliskiego. Pamiętam, z jakiej tkaniny była suknia, którą matka nosiła w dniu swojej śmierci. Nawet dziś mogę ci powiedzieć, jak długa była nitka wysnuta z rękawa.

- Rozumiem. - Kahlan wbiła wzrok w swoją filiżankę. - I ja dobrze pamiętam dzień, w którym umarła moja matka. Pamiętam każdy straszny szczegół, choć chciałabym o tym zapomnieć.

Shota wsparła łokcie na stoliku i splotła palce.

- Przyszłość jest dla mnie czymś podobnym. Nie zawsze widzę miłe

przyszłe wydarzenia, które chciałabym zobaczyć. Niekiedy zaś nie mogę uniknąć spoglądania na to, co budzi we mnie odrazę. Pewne wydarzenia widzę jasno, inne natomiast, choćbym nie wiem jak chciała je zobaczyć, są dla mnie tylko cieniami we mgle.

- A co z wichrami, które ścigają Richarda?

Shota, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, potrząsnęła głową.

- To było niepokojące. Zupełnie jakby narzucono mi czyjaś pamięć. Jakby ktoś wykorzystał mnie do przesłania wiadomości.

- Uważasz, że to była wiadomość? A może było to ostrzeżenie?

Shota zmarszczyła w zadumie czoło.

- I ja się nad tym zastanawiałam. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Przekazałam to przez Nadine, bo uznałam, że Richard powinien o tym wiedzieć w każdym z obu wypadków.

Kahlan potarła czoło.

- Zaraza, Shoto, zaczęła się wśród dzieci, które albo obserwowały grę, albo w nią grały.

- Ja'La.

- Tak. Imperator Jagang...

- Nawiedzający Sny. Kahlan podniosła wzrok.

- Wiesz o nim?

- Od czasu do czasu nawiedza moje wspomnienia z przyszłości. Używa podstępów, by wkraść się do moich snów. Nie pozwolę na to.

- Sądzisz, że to możliwe, by właśnie Nawiedzający Sny przekazał ci tę wieść o ścigających Richarda wichrach?

- Nie. Znam jego sztuczki. Możesz mi wierzyć: to nie była wiadomość od Jaganga. A co z zarazą i grą Ja'La?

- Jagang wykorzystał swój dar nawiedzania snów i wśliznął się do umysłu czarodzieja, którego wysłał, by ten zabił Richarda. Obserwował grę Ja'La. To znaczy, ów czarodziej. Jagang obserwował grę jego oczami. I wściekł się, że Richard tak zmienił zasady, by mogły grać wszystkie dzieci. Zaraza zaczęła się rozprzestrzeniać właśnie wśród tych dzieci. To jedna z przyczyn, dla których sądzimy, że Jagang jest za to odpowiedzialny. Pierwsze dziecko, które odwiedziliśmy, było bliskie śmierci. - Kahlan zamknęła oczy i zasłoniła je palcami, po czym odetchnęła głęboko dla uspokojenia. - Umarło, gdy klęczałam przy nim wraz z Richardem. Był zaledwie małym chłopcem.

Niewinnym chłopcem. Całe jego ciało zżerała zaraza. Musiał straszliwie cierpieć. Zmarł przy nas.

- Tak mi przykro - wyszeptała Shota. Kahlan wzięła się w garść, nim na nią spojrzała.

- Po śmierci mały uniósł rękę i złapał Richarda za koszulę. Wciągnął powietrze w płuca, przyciągnął go do siebie i powiedział: „Ścigają cię wichry”.

Zza stołu dobiegło pełne niepokoju westchnienie.

- A więc miałam rację. To nie było coś, co widziałam, lecz wieść przysłana za moim pośrednictwem.

- Shoto, Richard sądzi, że to znaczy, iż ściga go Świątynia Wichrów. Ma pamiętnik człowieka, który żył w czasie wielkiej wojny, przed trzema tysiącami lat.

Pamiętnik opowiada o tym, jak ówcześni czarodzieje umieścili w Świątyni Wichrów bardzo cenne i zarazem ogromnie niebezpieczne rzeczy, a potem odesłali ją gdzieś.

Shota pochylła się do przodu, marszcząc przy tym brwi.

- Odesłali? Dokąd?

- Nie wiemy. Świątynia Wichrów znajdowała się na szczycie góry Kymermosst.

- Znam to miejsce. Tam nie ma żadnej świątyni, tylko jakieś resztki starych ruin.

Kahlan potaknęła.

- Możliwe, że czarodzieje posłużyli się swoją mocą, by zniszczyć część góry i pogrzebać świątynię pod skalną lawiną. Zniknęła, bez względu na to, co zrobili. Na podstawie tego, co wyczytał w pamiętniku, Richard uznał, że czerwone księżycy były ostrzeżeniem od świątyni. Uważa również, że Świątynię Wichrów określano potocznie słowem „wichry”.

Shota postukała paznokciem w bok filizanki.

- A więc wiadomość mogła pochodzić bezpośrednio od Świątyni Wichrów.

- Myślisz, że to możliwe? Jak budowla mogłaby przesłać wiadomość?

- Ówcześni czarodzieje dokonywali za pomocą magii czynów, które możemy jedynie podziwiać. Potrafili na przykład stworzyć sylfę. Na podstawie tego, co sama wiem, i tego, co mi powiedziałaś, podejrzewałabym,

że Jagangowi w jakiś sposób udało się ukraść ze Świątyni Wichrów coś straszliwie niebezpiecznego i że wykorzystał to do wywołania zarazy.

Kahlan oblała falą lodowatego przerażenia.

- W jaki sposób mógłby czegoś takiego dokonać?

- Jest Nawiedzającym Sny. Ma dostęp do olbrzymiej wiedzy. I wcale nie jest głupi, choć stawia sobie takie okropne cele. Musnął mnie jego umysł, kiedy spałam.

Nocą, gdy poluje. Nie wolno go nie doceniać.

- On chce wykorzystać całą magię, Shoto. Shota znacząco uniosła brew.

- Już ci mówiłam, że odpowiem na twoje pytania. Nie musisz mnie przekonywać, że ta sprawa jest ważna również dla mnie. Jagang, tak jak i Opiekun, stanowi dla mnie zagrożenie. Obiecuje, że zniszczy całą magię, ale korzysta z niej, by tego dokonać.

- Jak jednak mógł wykraść tę zarazę ze Świątyni Wichrów? Uważasz, że to w ogóle możliwe? Naprawdę?

- Mogę cię zapewnić, że zaraza nie zaczęła się samoistnie. Twoje podejrzenie jest słuszne. Zapoczątkowano ją dzięki magii.

- Jak możemy ją powstrzymać?

- Nie znam leku na zarazę, - Shota upiła herbaty i spojrzała na Kahlan. - Lecz jak mogła zacząć się rozprzestrzeniać?

- Magia. - Kahlan zmarszczyła brwi. - Uważasz... uważasz, że skoro magia zapoczątkowała zarazę, to, choć nie wiemy, jak leczyć tę chorobę, magia może ją też zakończyć? Czy to właśnie sugerujesz?

Shota wzruszyła ramionami.

- Nie wiem więcej o wywoływaniu zarazy niż o jej kończeniu. Za to jestem przekonana, że ta choroba pojawiła się dzięki magii. A jeżeli magia ją wznieciła, to można słusznie zakładać, że magia może ją również zakończyć.

Kahlan wyprostowała się na krześle.

- Jest więc nadzieja, że zdołamy powstrzymać zarazę i ocalić ludzi od śmierci.

- Możliwe. Z tego, co wiemy, wynika, że Jagang wykradł ze Świątyni Wichrów magiczny sposób wywoływania zarazy i że świątynia stara się ostrzec Richarda o jej zbezczeszczeniu.

- Dlaczego Richarda?

- A jak myślisz? Co różni Richarda od innych?

Lekki, przebiegły uśmiezek Shoty sprawił, że Kahlan znieruchomiała.

- Jest czarodziejem wojny. Ma dar magii subtraktywnej. To dzięki niemu pokonał ducha Rahla Posepnego i powstrzymał Opiekuna. Jeden Richard włada mocą, dzięki której może pomóc.

- Dobrze to sobie zapamiętaj - szepnęła wiedźma w swoją filizankę.

Kahlan poczuła nagle, że użyto wobec niej podstęp. Odegnęła owo uczucie.

Shota starała się pomóc. Dziewczyna zebrała całą odwagę i zapytała:

- Dlaczego przysłałaś Nadine, Shoto?

- Żeby wyszła za Richarda.

- Dlaczego Nadine?

Shota uśmiechnęła się ze smutkiem. Czekwała na to pytanie.

- Bo go lubię. Chciałam, żeby to był ktoś, kto by go choć trochę wsparł.

Kahlan przełknęła ślinę.

- Ale to ja go wspieram.

- Wiem. Jednak on musi poślubić inną.

- Powiedział ci to bieg przyszłych wydarzeń? Twoja pamięć... przyszłości?

- Shota potaknęła. - To nie był twój pomysł? Nie po to ją przysłałaś, żebym nie mogła za niego wyjść?

- Nie. - Shota odchyliła się na krześle i zapatrzyła na drzewa. - Widziałam, że poślubi inną. Widziałam, jaki ból mu to sprawi. Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby to był ktoś, kogo zna, ktoś, przy kim znajdzie choć trochę pociechy. Chciałam zaoszczędzić mu tyle cierpienia, ile tylko zdołam.

Kahlan nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła się jak wtedy, gdy podczas zmagania z Marlinem walczyła z prądem w kanale odpływowym. Pamiętała napór wody i to, jak jej strumień przycisnął ją do resztek kraty.

- Aleja go kocham. - To jedno zdołała wykrztusić.

- Wiem - szepnęła wiedźma. - To nie ja wpadłam na to, by poślubił inną. Ja mogłam jedynie wpłynąć na to, kto to będzie.

Kahlan ledwo potrafiła oddychać. Odwróciła wzrok od wiecznie młodych oczu Shoty.

- Za to nie miałam żadnego wpływu na to, kto będzie twoim mężem - dodała wiedźma.

- Co?! - Kahlan znów na nią patrzyła. - Co masz na myśli?

- Masz wyjść za męża. I to nie za Richarda. Na to nie miałam żadnego

wpływu.

To nie jest dobry znak.

Dziewczyna była jak ogłuszona.

- O co ci chodzi?

- Są w to wmieszane duchy. Przystąpiły jedynie na niewielkie zmiany.

Natomiast mają swoje powody, żeby reszta zdarzeń pozostała bez zmian. Nie dały mi poznać tych powodów.

Po policzku Kahlan stoczyła się łza.

- Co mam robić, Shoto? Stracę moją jedyną miłość. Choćbym nawet chciała, nie pokocham nigdy innego. Jestem Spowiedniczką.

Wiedźma siedziała nieruchomo i wpatrywała się w Kahlan.

- Dobre duchy zrobiły dla nas, co mogły, pozwalając mi wybrać Richardowi przysłą żonę. Szukałam, lecz nie udało mi się znaleźć żadnej innej kobiety, wobec której okazywałby choć taką odrobinę empatii. To był najlepszy wybór, jakiego mogłam dokonać. Jeśli naprawdę kochasz Richarda, powinnaś szukać pociechy w tym, że dostanie Nadine, kobietę, którą zna i wobec której żywi choć cień cieplejszego uczucia. Może przy takiej kobiecie odnajdzie pewnego dnia szczęście i pokochają.

Kahlan złożyła na kolanach drżące dłonie. Była przybita. Sprzeczek z Shotą niczego nie da. To nie była sprawka wiedźmy, lecz postanowienie duchów.

- Po co to wszystko? Co dobrego przyjdzie mu z tego, że poślubi Nadine? A co mi da to, że wyjdę za kogoś, kogo nie kocham?

- Nie wiem, dziecko. Duchy wybrały za ciebie i Richarda tak, jak rodzice z wielu powodów wybierają małżonków dla swoich dzieci - odparła Shota cichym, pełnym współczucia głosem.

- Jeśli są w to wmieszane duchy, to dlaczego miałyby pragnąć naszego nieszczęścia? Przecież zabrały nas w miejsce, gdzie mogliśmy być razem. - Kahlan walczyła z naporem wodnego nurtu. - Dlaczego teraz miałyby z nami tak postąpić?

- Być może dlatego, że go zdradzisz - wyszeptała wiedźma, patrząc na Kahlan.

Kahlan miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła oddychać. W jej myślach płonęły słowa proroctwa:... albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi.

- Nie! - Zacisnęła pięści. - Nigdy bym go nie zraniła! Nigdy bym go nie zdradziła!

Shota spokojnie popijała herbatę.

- Usiądź, Matko Spowiedniczko.

Kahlan osunęła się na krzesło, z całej siły powstrzymując łzy.

- Mam równie niewielki wpływ na wspomnienia z przyszłości, jak z przeszłości. Mówiłam ci, że powinnaś mieć odwagę poznać odpowiedzi. - Dotknęła palcem skroni dziewczyny. - I to nie tylko tutaj - powiedziała i dotknęła jej serca - ale również tutaj.

Kahlan zmusiła się, by odetchnąć głęboko.

- Wybacz mi. To nie twoja wina. Wiem to. Shota zrobiła znaczącą minę.

- Znakomicie, Matko Spowiedniczko. Nauka akceptacji prawdy to pierwszy krok do zdobycia kontroli nad swoim przeznaczeniem.

- Nie chciałabym, by to zabrzmiało lekceważąco, Shoto, ale widzenie przyszłości nie dostarcza wszystkich odpowiedzi. Kiedyś powiedziałaś mi, że dotknę Richarda swoją mocą. Sądziłam, że to go zniszczy. Usiłowałam się zabić, by twoje słowa się nie ziściły, bym nie mogła mu wyrządzić krzywdy. Richard nie pozwolił mi popełnić samobójstwa. Potem okazało się, że dobrze widziałaś przyszłe zdarzenie, jednak nie dostrzegłaś wszystkiego i stało się inaczej, niż się spodziewaliśmy.

Dotknęłam Richarda moją mocą, lecz ochroniła go jego magia. Dotknięcie nie zrobiło mu krzywdy.

- Nie widziałam skutków tego dotknięcia mocą, a jedynie to, że dotkniesz nią Richarda. Tym razem jest inaczej. Widziałam, jak oboje bierzecie ślub.

Kahlan siedziała jak sparalizowana.

- A kogóż mam poślubić?

- Widzę jedynie mglistą postać. Nie wiem, kto to.

- Powiedziano mi, Shoto, że wizja przyszłych wydarzeń, którą podaje wiedźma, jest rodzajem prorocstwa.

- Kto ci to powiedział?

- Czarodziej, Zedd.

- Czarodzieje - mruknęła Shota. - Nie mają pojęcia, co kryje się w umyśle wiedźmy. Wydaje im się, że wszystko wiedzą.

Kahlan odrzuciła za ramię swoje długie włosy.

- Mamy być wobec siebie uczciwe, Shoto, pamiętasz? Tamta mruknęła cichutko z niezadowolaniem.

- Hmm, sądzę, że w tej sprawie raczej mają rację.

- Proroctwo nie zawsze okazuje się tym, na co wygląda. Niestety można uniknąć lub je pomniejszyć. Sądzisz, że mogę w jakiś sposób zmienić to proroctwo?

- Proroctwo? - Shota się nachmurzyła.

- To, o którym wspomniałaś. Mówiące, że zdradzę Richarda. Mars Shoty zmienił się w wyraz podejrzliwości.

- Czyżby przepowiedziało to również proroctwo?

Kahlan odwróciła oczy przed jej natarczywym spojrzeniem.

- Gdy zjawił się ów czarodziej, którego umysł opanował Jagang, imperator powiedział za jego pośrednictwem, że odwołał się do proroctwa, dzięki któremu Richard wpadnie w pułapkę. Właśnie ono mówi, że zdradzę Richarda.

- Pamiętasz to proroctwo?

Kahlan powiodła palcem po brzegu filiżanki.

- To jedno z owych wspomnień, o których rozmawialiśmy. Takie, o którym wołałybyśmy zapomnieć, lecz nie możemy. Oto ono: Wraz z czerwonym księżycem rozszaleje się ogień. Dzierżący miecz patrzeć będzie, jak mrze jego lud. Jeśli niczego nie uczyni, zginie wraz z tymi, których kocha, od żaru, bo tego nieprzyjaciela nie zmoże żadna klinga: czy to wykuta ze stali, czy to stworzona przez magią. By zdusić żywioł, musi poszukać remedium w wichrze. Na tej zaś drodze dosięgnie go błyskawica, albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew. Shota odchyliła się do tyłu, trzymając w dłoni filiżankę.

- Prawdą jest, jak mówisz, że wydarzenia w proroctwie można zmieniać lub ich unikać, jednak nie dotyczy to proroctwa o zapętłonym rozgałęzieniu. To właśnie jest takie proroctwo, pułapka bez wyjścia, w którą wpada ofiara. Czerwony księżyc dowodzi, że pułapka się zamknęła.

- Przecież musi być jakiś sposób... - Kahlan chwyciła się za włosy. - Co mam robić, Shoto?

- Poślubić innego - wyszeptała wiedźma. - A Richard inną. Taka jest przyszłość, choć nie widzę, co będzie dalej.

- Wiem, że mówisz prawdę, Shoto, ale jak mogę zdradzić Richarda? Ja też mówię prawdę: umarłabym, nim bym go zdradziła. Serce nie pozwoli mi na to. Nie mogłabym.

Shota wygładziła fałdę sukni.

- Pomyśl, Matko Spowiedniczko, a zrozumiesz, że się mylisz. Tak jak wykazałam ci, że mylisz się, sądząc, iż nie zdołam cię już skrzywdzić.

- Jak? Jak mogłabym zrobić coś takiego, skoro wiem, że z żadnego powodu nie dopuściłabym się zdrady?

Shota okazała cierpliwość.

- To wcale nie jest takie trudne, jak sobie z uporem wyobrażasz. A gdybyś tak na przykład wiedziała, że możesz go uratować tylko w jeden sposób: przez zdradę, choć ceną byłaby wtedy utrata jego miłości? Czy poświęciłabyś jego miłość, by uratować mu życie?

Kahlan przełknęła ślinę, by pozbyć się ucisku w gardle.

- Tak. Zdradziłabym go, gdyby miało mu to uratować życie.

- Sama więc widzisz, że to wcale nie jest takie niemożliwe, jak sobie wyobrażałaś.

- Chyba nie - powiedziała słabym głosem Kahlan i przesunęła kilka leżących na stoliku okruchów. - Jaki jest cel tego wszystkiego, Shoto? Dlaczego przyszłość stanowi, że Richard poślubi Nadine, a ja innego? Musi być po temu jakiś powód. To sprzeciwia się wszystkiemu, czego oboje pragniemy, więc musi istnieć jakaś moc, która popycha zdarzenia w tym kierunku.

Shota zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Richarda ściga Świątynia Wichrów. Są w to wmieszane duchy.

Kahlan ukryła twarz w dłoniach.

- Powiedziałaś Nadine: „Oby duchy ulitowały się nad jego duszą”. Co przez to rozumiałaś?

- W zaświatach przebywają nie tylko dobre duchy. A w to są wmieszane wszystkie duchy: dobre i złe.

Dziewczyna nie chciała już dłużej rozmawiać. Rozmowa o burzeniu jej marzeń i snów, jakby to były pionki na planszy do gry, była zbyt bolesna.

- W jakim celu? - szepnęła do siebie.

- Zaraza.

- Co? - Kahlan spojrzała na wiedźmę.

- To ma coś wspólnego z zarazą i z magicznym przedmiotem, który Nawiedzający Sny wykradł ze Świątyni Wichrów.

- Chodzi ci o to, że to może mieć coś wspólnego z naszymi próbami odnalezienia magii, która mogłaby powstrzymać zarazę?

- Wierzę, że tak właśnie jest - powiedziała w końcu wiedźma. - Ty i Richard desperacko szukacie sposobu powstrzymania choroby i ocalenia życia mnóstwa ludzi.

Widzę w przyszłości, że każde z was poślubi innego. Z jakiego innego powodu moglibyście się zdecydować na aż takie poświęcenie?

- Ale dlaczego musielibyśmy...

- Poszukujesz odpowiedzi, której nie mogę udzielić. Nie mogę zmienić tego, co ma się wydarzyć, i nie znam przyczyny owego zdarzenia. Jesteśmy zmuszeni rozważać szansę. Myśl. Gdyby jedynym sposobem ocalenia tych ludzi od śmierci w požodze zarazy było poświęcenie waszego wspólnego życia, gdyby miał to być dowód na to, iż szczerze pragniecie ratować życie innych, to czy uczynilibyście to?

Kahlan położyła drżące dłonie na kolanach, pod stolikiem. Widziała ból w oczach Richarda patrzącego na śmierć tamtego chłopca. Pamiętała swoje cierpienie.

Oboje widzieli niewinne chore dzieci, które miały umrzeć. Ileż jeszcze umrze? Nie potrafiłaby żyć, gdyby odmówiła, wiedząc, że jedynym sposobem uratowania tych dzieci jest poświęcenie, rezygnacja z miłości.

- Jakżeż moglibyśmy odmówić? Nawet gdyby miało nas to zabić? Lecz jak dobre duchy mogą żądać takiej ceny?

Dziewczyna przypomniała sobie nagle ducha Denny, zdejmującego z Richarda piętno Opiekuna i z własnej woli postanawiającego iść za chłopaka na wieczne męki w zaświatach. Nieważne, że okazało się, iż Denna nie musiała stawić czoła takiemu losowi. Myślała, że tak się stanie, i poświęciła swoją duszę dla tego, kogo kochała.

Łagodny wiatr kołysał gałęziami pobliskiego klonu. Słysząc było łopot chorągwi zdobiących wieże pałacu Shoty. W powietrzu wyczuwalny był posmak wiosny. Trawy lśniły świeżą zielenią. Wszędzie dokoła zaczynało się budzić życie. A serce Kahlan zmieniło się w popiół.

- I powiem ci jeszcze coś - odezwała się Shota jakby z wielkiej dali. Kahlan słuchała jej pogrążona w rozpacz. - To nie była ostatnia wiadomość

od wichrów.

Otrzymacie jeszcze jedną, w której księżyc znów odegra ważną rolę. To będzie doniosłe przesłanie. Nie zignorujcie go, nie zlekceważcie. Od owego wydarzenia zależeć będzie przyszłość twoja, Richarda i tych niewinnych ludzi. By pojąć szansę, jaką wam ofiarowano, musicie wykorzystać to wszystko, czego się dowiedzieliście.

- Szansę? Szansę na co? Shota wbiła wzrok w Kahlan.

- Szansę wypełnienia najważniejszego obowiązku. Szansę ocalenia życia ludziom, którzy ufają, że uczynicie to, czego oni uczynić nie mogą.

- Kiedy to nastąpi?

- Wiem tylko, że wkrótce.

Kahlan potaknęła. Zastanawiała się, dlaczego nie płacze. Dotknęło ją największe nieszczęście: utrata Richarda, a mimo to nie płakała. Przypuszczała jednak, że się rozplacze, tyle tylko że nie teraz i nie tutaj. Wpatrywała się w stolik.

- Shoto, starasz się nie dopuścić, byśmy mieli dziecko, prawda? Synka?

- Tak.

- Gdybyśmy mieli syna, usiłowałabyś go zabić?

- Tak.

- Więc skąd mam wiedzieć, czy to nie jest jakiś twój spisek? Spisek zmierzający do tego, byśmy nie mieli dziecka?

- Sercem i umysłem musisz ocenić prawdziwość moich słów.

Kahlan przypomniała sobie słowa umierającego chłopca i prorocstwo. Przez cały czas wiedziała, że nigdy nie poślubi Richarda. To był jedynie nieziszczalny sen.

Gdy była mała, spytała matkę o dorastanie, o ukochanego, męża, dom. Matka stała przed nią piękna, promienna, posągowa - i z „twarzą Spowiedniczki”.

„Spowiedniczki nie znają miłości, Kahlan. Znają wyłącznie obowiązek” - powiedziała.

Richard urodził się jako czarodziej wojny. Urodził się w określonym celu. Przyszedł na świat, by spełnić swój obowiązek.

Dziewczyna patrzyła, jak wiaterek zdmuchuje z blatu kilka okruszków.

- Wierzę ci - wyszeptała. - Chciałabym nie wierzyć, ale wierzę. Mówisz prawdę.

Nie było już nic do dodania. Kahlan wstała. Musiała usztywnić kolana, by utrzymać się na drżących nogach. Usiłowała sobie przypomnieć położenie studni sylfy, lecz umysł odmawiał jej posłuszeństwa.

- Dziękuję za herbatę. - Usłyszała swój własny głos. - To było urocze.

Jeśli Shota odpowiedziała, dziewczyna tego nie dosłyszała.

- Shoto? - Kahlan złapała się oparcia krzesła, by nie upaść. - Mogłabyś mi wskazać właściwy kierunek? Chyba nie pamiętam...

Shota znalazła się przy niej i chwyciła ją pod ramię.

- Odprowadzę cię kawałek, dziecko, żebyś mogła odnaleźć drogę - powiedziała cichym, pełnym współczucia głosem.

W milczeniu szły drogą. Kahlan usiłowała znaleźć pociechę w ciepłym wiosennym poranku. W Aydindril wciąż jeszcze było tak zimno. Kiedy opuszczała miasto, padał śnieg. Ale i tak nie cieszył jej piękny dzień.

Wspinały się po wykutych w skale stopniach, a Kahlan starała się odzyskać poczucie celu. Byłoby cudownie, gdyby ona i Richard zdołali jakoś ocalić tych wszystkich ludzi od zarazy. Większość nie dbałaby o to, co dla nich poświęcili, lecz to w niczym nie umniejszyłoby radości, jaką Kahlan znalazłaby w śmiechu dziecka czy radości matki pewnej bezpieczeństwa swego potomka.

Nadal byłoby po co żyć. Dziewczyna mogłaby wypełnić pustkę radością widzianą w oczach innych ludzi. Uczyniłaby coś, czego nikt inny nie mógłby uczynić.

Ona i Richard nie pozwoliliby Jagangowi krzywdzić ludzi.

Niedaleko krawędzi urwiska Kahlan zatrzymała się na skrócie schodów i obejrzała na kotlinę Agaden. To było naprawdę piękne miejsce - niecka ukryta wśród szczytów potężnych gór. Przypomniała sobie, że Opiekun wysłał czarodzieja i screelinga, by zabili Shotę. Wiedźma ledwo uszła z życiem. Przysięgła, że odzyska dom.

- Cieszę się, że odzyskałaś dom. Raduje mnie to, Shoto. Naprawdę. Kotlina Agaden należy do ciebie.

- Dziękuję, Matko Spowiedniczko.

Kahlan spojrzała w migdałowe oczy wiedźmy.

- Co uczyniłaś czarodziejowi, który cię wypędził?

- To, co zapowiedziałam. Powiesiłam go za kciuki i żywcem odarłam ze skóry. Siedziałam i patrzyłam, jak magia wycieka z jego pozbawionej skóry

ciała. - Shota odwróciła się i wskazała na zieloną kotlinę. - Jego skórą pokryłam siedzisko mego tronu.

Kahlan przypomniała sobie, że wiedźma to właśnie obiecała uczynić. Nic dziwnego, że nawet czarodzieje rzadko ośmielali się zapędzać do kotliny Agaden.

Shota była przeciwnikiem zbyt potężnym nawet dla czarodzieja. I przynajmniej jeden z nich zbyt późno się o tym przekonał.

- Wcale cię za to nie ganię. W końcu to Opiekun przysłał go, żeby cię zabił.

Wiem, jak bardzo się obawiałaś, by Opiekun nie dostał cię w swoje ręce.

- Mam dług wobec ciebie i Richarda. Richard nie pozwolił, by Opiekun dopadł nas wszystkich.

- Cieszę się, Shoto, że czarodziej nie wysłał cię do Opiekuna.

Kahlan naprawdę tak czuła. Wiedziała, że wiedźma jest niebezpieczna, lecz ta była również zdolna do współczucia, czego dziewczyna się nie spodziewała.

- A wiesz, co mi powiedział ten czarodziej? - spytała Shota. - Powiedział, że mi przebacza. Możesz w to uwierzyć? Przebaczył mi. A potem błagał mnie o wybaczenie.

Wiatr zwiął kilka pukli włosów na twarz Kahlan. Odgarnęła je.

- Bardzo to dziwne.

- Nazwał to czwartym prawem magii. Powiedział, że w przebaczeniu tkwi magia, w czwartym prawie. Magia, która uzdrawia. W przebaczeniu, które dajesz, a zwłaszcza w tym, które uzyskujesz.

- Podejrzewam, że służalec Opiekuna powiedziałby wszystko, byle tylko uszło mu na sucho to, co zrobił. Byle móc uciec od ciebie. Mogę zrozumieć, że nie miałaś ochoty mu wybaczyć.

Wiecznie młode oczy Shoty jakby zmroczniały

- Przed słowem „przebaczenie” zapomniał umieścić słowo „szczerze”.

ROZDZIAŁ 42

Kahlan patrzyła, jak wiedźma znika w mrocznym lesie. Pnącza, zwieszające się z niedostępnych gałęzi, sięgały, by musnąć swoją panią, a wici i korzenie ocierały się o jej nogi. Zniknęła we mgle. I zaraz od tamtej strony dobiegły poświstywanie i klekotania jakichś niewidocznych stworzeń.

Dziewczyna odwróciła się ku porośniętemu mchem głązowi, który wskazała jej Shota, i tuż za nim odnalazła studnię sylfy. Srebrzysta twarz uniosła się nad okrągły kamienny murek. Sylfa obserwowała zbliżającą się Kahlan. Matka Spowiedniczka niemal żałowała, że sylfa się pojawiła. Może gdyby nie mogła wrócić, nie wydarzyłaby się żadna z rzeczy, o których się dowiedziała.

Jak spojrzysz w oczy Richardowi i nie zaczniesz krzyczeć z rozpacz? Jak zdoła ciągnąć to wszystko dalej? Jak znajdzie w sobie wolę życia?

- śyczysz sobie podróżować? - spytała sylfa.

- Nie, ale muszę.

Sylfa zachmurzyła się, jakby zdumiona.

- Będę gotowa, jeśli zechcesz podróżować.

Kahlan osunęła się na ziemię, oparła plecami o studnię sylfy i podkuliła nogi.

Ma się tak łatwo poddać? Potulnie podporządkować losowi? Nie miała wyboru.

Myśl o rozwiązaniu, nie o problemie.

Sprawy nie wyglądały tak rozpaczliwie jak tam, w kotlinie. Musi istnieć jakiś sposób, by sobie z tym poradzić. Richard nie ustąpi tak łatwo. Będzie o nią walczył.

Ona będzie walczyła o niego. Kochali się i to było najważniejsze. Kahlan była jak otumaniona. Próbowwała się skupić. Nie może się po prostu poddać. Musi stawić temu czoło z dawną determinacją.

Wiedziała, że wiedźmy zaczarowują ludzi. Nie zawsze robią to złośliwie - po prostu takie już są. Przecież nie ma się wpływu na to, że jest się wysokim lub niskim albo że ma się taką, a nie inną barwę włosów. Wiedźmy czarowały ludzi, bo tak działał ich magiczny talent.

Shota w pewnym stopniu zaczarowała też Richarda. Za pierwszym

razem ocaliła go tylko magia Miecza Prawdy.

Miecz Prawdy.

Richard był Poszukiwaczem. A Poszukiwacz to właśnie robił: rozwiązywał problemy. Kahlan kochała Poszukiwacza. On się tak łatwo nie podda.

Zerwała liść i odrywała od niego małe strzępki, na nowo rozważając to wszystko, co powiedziała jej Shota. W co należało wierzyć? To wszystko zaczynało przypominać sen, z którego się właśnie budziła. Sprawy prawdopodobnie nie wyglądają aż tak beznadziejnie, jak sądziła.

Ojciec zawsze powtarzał jej, żeby się nigdy nie poddawała, żeby walczyła każdym oddechem, do ostatniego tchu, jeśli trzeba. Richard też tak łatwo się nie ugnie. Jeszcze nic się nie skończyło. Przyszłość wciąż była przyszłością i - wbrew temu, co powiedziała Shota - nic jeszcze nie było przesądzone.

Coś ocierało się o jej ramię. Zadumana, trzepnęła to ręką i ponownie zaczęła oddzierać strzępy z dużego liścia. Musi istnieć jakiś sposób rozwiązania tej sprawy.

Raz jeszcze uderzyła się w ramię - palce trafiły w kościany nóż. Był ciepły.

Wyjęła go z opaski i położyła na kolanach. Broń była ciepła. Wydawało się jej, że pulsuje i wibruje. Zrobiła się gorąca, niemal parzyła.

Dziewczyna wielkimi oczami patrzyła, jak unoszą się czarne pióra. Tańczyły, falowały i chwiały się na wietrze. A jej włosy nie. Powietrze stało nieruchomo. Nie było żadnego wiatru.

Kahlan skoczyła na równe nogi.

- Sylfo!

Srebrna twarz sylfy była tuż-tuż. Dziewczyna cofnęła się odrobinę.

- Chcę podróżować, sylfo.

- Pójdź, będziemy podróżować. Gdzie się chcesz udać?

- Błotni Ludzie. Muszę się dostać do Błotnych Ludzi. Półpłynne rysy skrzywiły się w zadumie.

- Nie znam takiego miejsca.

- To nie miejsce. To ludzie. Ludzie - Kahlan uderzyła się w pierś - jakja.

- Znam rozmaitych ludzi, ale nie tych Błotnych Ludzi. Dziewczyna odgarnęła włosy, starała się coś wymyślić.

- śyją w Dziczy.

- Znam w Dziczy rozmaite miejsca. Do którego chcesz podróżować?

Nazwij je, a udamy się tam. Będziesz zadowolona.

- Tam jest płasko. To łąka. Płaska łąka. Nie ma żadnych gór, jak te tutaj. - Kahlan zatoczyła łuk ręką, ale zorientowała się, że sylfa widzi jedynie drzewa.

- Znam kilka takich miejsc.

- Co to za miejsca? Może je rozpoznam.

- Mogę podróżować do miejsca, z którego widać rzekę Callisidrin...

- Na zachód od Callisidrinu. Błotni Ludzie mieszkają dalej na zachód.

- Mogę podróżować do doliny Tondelen, uskoku Harja, równin Kea i Sealan, rozpadliny Herkon, Anderith, Picktonu, skarbu Jocopo...

- Dokąd? Jak brzmiała ostatnia nazwa? - Kahlan знаła większość miejsc wymienionych przez sylfę, jednak znajdowały się dość daleko od Błotnych Ludzi.

- Skarb Jocopo. Chcesz tam podróżować?

Dziewczyna uniosła ciepły kościany nóż: nóż dziadka. Chandalen opowiedział, jak Jocopo wypowiedzieli wojnę Błotnym Ludziom i jak duchy przodków nauczyły jego dziadka sposobów obrony swojego ludu przed Jocopo.

Chandalen mówił, że przed ową wojną handlowali z Jocopo. Plemię musiało żyć niedaleko Błotnych Ludzi.

- Wypowiedz jeszcze raz tę nazwę - nakazała sylfie.

- Skarb Jocopo.

Czarne pióra zatańczyły, zakołysały się. Kahlan wsunęła kościany nóż za opaskę na ramieniu. Skoczyła na kamienny murek.

- Właśnie tam chcę się udać. Chcę podróżować do skarbu Jocopo. Możesz mnie tam zanieść, sylfo?

Srebrne ramię zgarnęło dziewczynę z obmurowania.

- Pójdź. Będziemy podróżować do skarbu Jocopo. Będziesz zadowolona.

Nim Kahlan zapadła się w srebrną pianę, szybko zaczerpnęła powietrza.

Wypuściła je i wciągnęła w płuca sylfę, tym razem jednak - przytłoczona myślami o utracie Richarda, o tym, że chłopak ma poślubić Nadine - nie doznała upojenia.

Zedd rechotał jak obłąkany. Widział Ann do góry nogami. Wysunął język i dmuchnął, wydając długi, ostry dźwięk.

- Nie musisz wcale udawać - burknęła Ksieni. - To przyrodzony stan

twojego umysłu.

Zedd poruszył nogami, jakby próbował maszerować w powietrzu, głową w dół. Krew napływała mu do głowy.

- Chcesz umrzeć z godnością? A może wolałabyś żyć? - spytał.

- Nie będę się bawić w głupka.

- To właściwe słowo: bawić się! Nie siedź tak w błocie. Baw się nim!

Ann nachyliła się i przysunęła głowę do głowy Zedda. Czarodziej stał właśnie na głowie w błocie.

- Chyba nie sądzisz, Zeddzie, że to się uda.

- To twój pomysł. Powiedziałaś, że wałęsas się z wariatem. To twój pomysł, twoja sugestia.

- Nic takiego nie sugerowałam!

- Może i nie sugerowałaś, ale to ty mnie natchnęłaś. Z radością przyznam ci całą zasługę, gdy opowiemy innym tę historię.

- Opowiemy! Po pierwsze, nic z tego nie wyjdzie. Po drugie, aż za dobrze zdaję sobie sprawę, z jakim zachwytem byś to opowiadał. To kolejny powód, który mnie powstrzymuje.

Zedd zawył jak kojot. Usztywnił nogi oraz kręgosłup i opadł niczym powalone drzewo. Błoto obryzgało Ksienię. Z wściekłością otarła je z nosa.

Przy ogrodzeniu z wysokich tyczek stali ponurzy Nangtongowie i obserwowali więźniów, swoje przyszłe ofiary. Zedd i Ann siedzieli w błocie plecami do siebie.

Rozwiązali sznury, które krępowały im nadgarstki. Uzbrojeni w łuki i dzidy strażnicy nie przejęli się tym. Wiedzieli, że więźniowie i tak nie uciekną. Zedd zdawał sobie sprawę, że mieli rację.

O świcie zaczęli przystawać przy chlewie zadowoleni ludzie. Ranek mijał powoli, a tłumek narastał, bo coraz więcej ludzi przystawało, żeby pogadać ze strażnikami i rzucić okiem na wspaniałe ofiary dla duchów. Wszyscy byli najwyraźniej w dobrym nastroju, bo mieli już co złożyć w ofierze duchom. Ukoj się nieszczęśliwe dusze i nic nie zagrozi życiu ludzi.

Teraz widzowie - strażnicy i mieszkańcy osady Nangtongów - wydawali się o wiele mniej zadowoleni. Dotykali płótna osłaniającego ich twarze, sprawdzając, czy się nie zsuwa i dobrze chroni ich rysy. Strażnicy wcierali w twarze i w ciała dodatkowe ilości popiołu. Nigdy dość ostrożności - duchy nie mogą ich rozpoznać.

Zedd wsunął głowę między kolana i pokulał się przez lepkie błoto. Rechotał jak szalony i toczył się wokół przysadzistej postaci Ann.

- Przestań!

Czarodziej rozciągnął się przed nią na wznak w błocie. Rozpostarł w mazi sztywne ręce i nogi.

- Ann, mamy do załatwienia ważną sprawę - szepnął. - Myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy dołożyli starań, by wypełnić owe zadanie na tym świecie, a nie w zaświatach, kiedy już umrzemy.

- Wiem, że im nie pomożemy, jeśli nas zabiją.

- Więc to chyba logiczne, że powinniśmy uciec.

- Pewnie, że tak - mruknęła. - Ale nie wydaje mi się... Zedd padł jej w objęcia.

Skrzywiła się, zde gustowana. Objął ją za szyję ubłoconym ramionami, a ona zmarszczyła nos.

- Jeśli nic nie zrobimy, Ann, to umrzemy. Jeżeli spróbujemy z nimi walczyć, także umrzemy. Nie uciekniemy im, bo nie możemy skorzystać z naszej magii. Jedyne sposob, to przekonać ich, by nas puścili. Nie mówimy ich językiem, a gdyby nawet, pewnie i tak byśmy ich nie przekonali.

- Tak, ale...

- Według mnie, mamy tylko jedną szansę. Muszą uznać, że jesteśmy całkiem zbzikowani. To uświęcona ofiara dla duchów ich przodków. Spójrz na strażników za moimi plecami. Czy wyglądają na uszczęśliwionych?

- Hmm, nie.

- Jeśli uwierzą, że jesteśmy szaleni, to dwa razy się zastanowią, nim złożą nas w ofierze duchom swoich przodków. Czyż takie pomyłone ofiary nie są obelgą dla duchów? Czyż to nie dowód braku szacunku? Musimy sprawić, żeby bali się obrazić duchy ofiarą złożoną z dwojga szalonych ludzi.

- Ależ to... szaleństwo.

- Spójrz na to w ten sposób: ofiara jest jak polityczne małżeństwo między dwoma ludami. Panna młoda to ofiara jednego ludu dla drugiego, który reprezentuje pan młody. To ofiara złożona w nadziei na pokojową i płodną przyszłość. Nowy lud panny młodej traktuje ją z szacunkiem. Jej dawny lud okazuje szacunek panu młodemu i jego plemieniu. To układ symbolizujący jedność, ciągłość i nadzieję na przyszłość. My jesteśmy jak ta ofiarowywana duchom panna młoda. Jak by to wyglądało, gdyby Nangtongowie ofiarowali

im obłąkaną pannę młodą? Czy nie poczułabyś się urażona, gdybyś była jednym z duchów?

- I owszem, gdybyś to ty mi się trafił.

Zedd zawył ku niebu. Ann wzdrygnęła się i odsunęła od niego.

- To nasza jedyna szansa, Ann. - Czarodziej nachylił się bliżej i szeptał jej na ucho: - Jako Pierwszy Czarodziej przyrzekam, że nigdy nikomu nie powiem, co wyprawiałaś. - Odsunął się i uśmiechnął do niej. - Poza tym to zabawne. Pamiętasz, jak cieszyła nas zabawa na dworze, kiedy byliśmy mali? Babranie się w bloku? To było najwspanialsze.

- To się może nie udać.

- A jeśli nawet, to czy nie lepiej umrzeć, spędzając miło ostatni dzień życia, niż siedzieć tak w strachu, chłodzie i brudzie? Czyż nie lepiej zabawić się ten ostatni raz jak dziecko? Rozluźnij się, Ksieni, i przypomnij sobie, jak to jest być dzieckiem.

Zrób wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy. Baw się. Bądź dzieckiem. Ann z poważną miną zastanawiała się nad jego słowami.

- Nikomu nie powiesz?

- Masz na to moje słowo. Baw się z dziecięcym zachwytem, a nikt poza mną, no i poza Nangtongami, rzecz jasna, nigdy się o tym nie dowie.

- To kolejny z twoich aktów desperacji, Zeddzie?

- Nadszedł dla nas czas rozpacz. Bawmy się.

Ann uśmiechnęła się szelmowsko. Tak mocno grzmotnęła Zedda w pierś, że aż padł w błoto. Wybuchnęła śmiechem i wskoczyła na niego. Mocowali się jak dzieciaki i kulali w błocie. Po kilku takich obrotach Ann była już błotnym potworem z rękami, nogami i parą oczu. Kiedy wyła z Zeddem ku niebu, błoto pękło, ukazując jej różowe usta.

Robili z mazi kule i rzucali nimi w świnie. Gonili je. Spadali na wypukłe, twarde grzbiety kwiczących stworzeń i jeździli w kółko dopóty, dopóki biedne zwierzaki nie zwały ich na ziemię. Zedd wątpił, czy przez swoje dziewięćset lat życia Ann kiedykolwiek tak się upaprała.

Gdy bawili się w berka, skacząc na jednej nodze i częściej padając w błoto, niż posuwając się do przodu, czarodziej uświadomił sobie, że inaczej się śmiała.

Ann się bawiła.

Tupali w kałużach. Gonili świnie. Biegali wokół ogrodzenia, grzechocząc

patykami po jego tyczkach.

A potem wpadli na pomysł robienia min do strażników. Namalowali sobie błotem na twarzach cudaczne rysy. Wydawali wszystkie odgłosy, jakie im przyszły na myśl. Skakali, śmiali się i wytykali palcami poważnych Nangtongów.

Ann i Zedd śmiali się tak, że nie mogli się utrzymać na nogach i - jak dwaj pijacy - tarzali się po ziemi, trzymając przy tym za boki.

Hum rósł. Wśród gapiów zaczęły się rozlegać zatroskane szepty.

Ann wetknęła kciuki w uszy i machała palcami, wykrzywając się do patrzących. Zedd stanął na głowie i zaśpiewał te kilka ballad, które znał. Ksieni śmiała się histerycznie, kiedy błędnie wymawiał najważniejsze słowa.

Zedd też zaczął się śmiać, padł w błoto, a Ann padła na niego. Siadła mu na brzuchu, przygniotła do ziemi i łaskotała pod pachami, on zaś ryczał ze śmiechu, z trudem łapał powietrze i łaskotał ją pod żebrami. Żadne z nich nigdy się tak wspaniale nie bawiło. Świnie zbiły się w kacie.

Nagle - kiedy energicznie szukali jedno na drugim najbardziej wrażliwego na łaskotki miejsca - wylano na nich wiadra wody. Podnieśli wzrok. Połało się jeszcze więcej wody.

Zmyto z nich błoto, lecz natychmiast w nie padli. Wymazani popiołem strażnicy chwycili ich pod ramiona i trzymali na ostrzu dzid, podczas gdy inni zmywali z nich maź. Zedd spojrział na Ann, a ona na niego. Wyglądała zabawnie z twarzą wynurzającą się spod warstw błocka. Zachichotał i wykrzywił się do niej.

Odpłaciła mu tym samym. Wojownicy ryknęli.

Zedd wydał policzki, starając się powstrzymać śmiech. Tamci popchnęli ich naprzód, wbijając dzidy w plecy. Przypomniało im to o łaskotkach i oboje zaczęli się śmiać.

I już nie mogli przestać. Niby po co zresztą, skoro i tak mieli być złożeni w ofierze? Mogli się spokojnie śmiać po raz ostatni.

Tłum osłoniętych postaci rozstał się, gdy więźniów wyprowadzono z chlewu.

Zedd, chichocząc, uniósł ramię i pomachał.

- Pomachaj ludziom, Ann.

Zamiast tego zrobiła minę. Zeddowi się to spodobało i poszedł w jej ślady.

Ludzie cofnęli się, jakby ten widok ich przeraził. Niektóre kobiety płakały i zawodziły. Zedd i Ann śmiali się i wytykali je palcami, więc kobiety uciekły z tłumu, chcąc się schować przed szaleńcami.

Wkrótce namioty i gapie zostali z tyłu, bo strażnicy popychali więźniów dzidami, gnając ich przed sobą. Dwie brudne, cuchnące i szczęśliwe przyszłe ofiary znalazły się pośród wzgórz. Za nimi szło trzydziestu pięciu, czterdziestu Nangtongów, łowców biesiady dla duchów, którzy trzymali w pogotowiu łuki i dzidy. Zedd zauważył, iż niektórzy nieśli zawiniątka i prowiant.

Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zul Zorander i Ksieni Annalina Aldurren szli pod strażą, śmiejąc się i zakładając, ile cebul każde potrafi zjeść i nie popłakać się przy tym.

Zedd nie miał pojęcia, dokąd idą, lecz ranek był piękny i znakomicie nadawał się na wędrówkę, nieważne dokąd.

- To dość dziwne, lordzie Rahlu - powiedział porucznik Crawford.

Richard spojrział na rumowisko.

- Co w tym osobliwego?

Porucznik odchylił do tyłu głowę i popatrzył na szczyt skały.

- No, dziwne to. Wychowałem się w urwistych górach, więc przez całe życie widywałem takie miejsca jak te tu. Ale to jest dziwaczne. - Odwrócił się i wskazał ręką. - Widzisz tę tam górę? Wyraźnie widać, skąd zeszła lawina skalna.

Richard osłonił dłonią oczy, chroniąc je przed popołudniowym słońcem. Góra, którą wskazywał porucznik, była poszarpana i - z wyjątkiem najwyższych partii - porośnięta drzewami. Część zwróconej ku nim stromizny odpadła, zostawiając bliznę utworzoną z nagiej skały. U stóp owej blizny leżało rumowisko.

- No i?

- Spójrz na te głazy na dole. To ta część skały, która odpadła od zbocza. - Pokazał rumowisko, na którym stali. - To nie jest takie samo.

Podszedł inny żołnierz i zasalutował, przykładając pięść do serca. Czekał w milczeniu, popatrując ostrożnie na stojących z założonymi rękami Ulica i Egana.

- Nic, lordzie Rahlu - powiedział, kiedy Richard oddał honory. - Nawet kawałeczek kamienia, który byłby obrobiony narzędziami.

- Szukajcie dalej. Spróbujcie na zewnętrznym skraju rumowiska. Wypatrujcie miejsc, gdzie moglibyście wpełznąć pod większe głazy, i tam też sprawdźcie.

żołnierz zasalutował i pospiesznie odszedł. Dzień miał się ku końcowi.

Richard powiedział im, że nie chciałby tu zostać na następny dzień. Wolał wrócić do Aydindril. Kahlan powinna się zjawić z powrotem nocą lub jutro. Chciał tam być.

Jeżeli wróci. Jeżeli wciąż żyje. Oblał się potem na samą tę myśl. Kolana pod nim osłabły. Odegnał ją szybko. Na pewno wróci. Tak właśnie musi się stać. Wróci.

Zmusił się, by o tym nie myśleć, i zajął się bieżącymi sprawami.

- I co o tym sądzisz, poruczniku?

Porucznik Crawford cisnął kamień i patrzył, jak ten odbija się najpierw od jednego głazu, a potem od drugiego. Ostry dźwięk odbił się echem od zbocza za nimi.

- Bardzo możliwe, że to zbocze osunęło się o wiele dawniej. I z czasem zaczęły tu rosnać rośliny, potem obumierać i wytwarzać glebę dla większych roślin.

Te również obumierały i tworzyły jeszcze więcej gleby. Aż zakryła część rumowiska, Richard wiedział, o czym mówi porucznik Crawford. Wiedział, że z czasem las może porosnąć skalne rumowiska. Jeżeli zaczniesz kopać w lesie u podnóża stały, często możesz odnaleźć kości zwałonej góry.

- Nie sądzę, żeby tak było w tym wypadku. Porucznik spojrzał nań.

- Mogę zapytać dlaczego, lordzie Rahlu? Richard popatrzył poprzez uskok na następną górę.

- Spójrz na tamto urwisko. Jego powierzchnia jest szorstka i nierówna, chociaż skalisty stok, jaki pozostał po zejściu lawiny, zwietrzał i nie jest już ostry. Mimo iż część ma ostre krawędzie, czas go wygładził. Woda dostaje się w pęknięcia, zamarza i z czasem odłamuje kolejne fragmenty skał. Można dostrzec te ostrzejsze partie, lecz większość ma wygładzone krawędzie. Wydaje mi się, że to się stało na długo przed utworzeniem tego tutaj osuwiska, a przecież wciąż większość głazów leży u stóp urwiska. Tutaj jest o wiele mniej piargu.

Egan rozplótł ramiona, odgarnął do tyłu blond włosy.

- To może być po prostu ukształtowanie terenu. To urwisko jest

zwrócone na południe, słońce ułatwia wzrost roślin, a tamto patrzy ku północy, więc przeważnie jest zacienione. Las nie będzie tam rósł tak dobrze jak tutaj i dlatego widać więcej piargu.

Egan miał rację.

- Jest jeszcze coś. - Richard odchylił do tyłu głowę i popatrzył na wznoszącą się nad nimi na tysiące stóp stromą skalną ścianę. - Zniknęła połowa tej góry. Tamta w porównaniu z tą to zaledwie lawinka. Spójrzcie na tę górę i spróbujcie sobie wyobrazić, jak wyglądała wcześniej. Rozszczepiono ją od szczytu aż po podstawę, jakby przecięto na pół kłodę. Wszystkie inne góry mają stożkowy kształt. Ta to zaledwie połowa stożka. Nawet jeśli się mylę i nie zniknęła połowa góry, jeśli i przedtem tak wyglądała, to i tak tu, na dole, powinno być całe mnóstwo głazów. To znaczy, jeśli miała taki kształt i odpadło zaledwie dziesięć czy dwadzieścia stóp zbocza, to ze względu na samą jej niebotyczną wysokość powinno tu być olbrzymie rumowisko. Ta skała jest ostra, więc woda mogła odłamać kolejne kamienie. Jednak musiało się to stać nie tak dawno, bo nie widzę żadnych śladów działania czasu. No i nie ma też owej ilości głazów, które powinny się osunąć z tej góry. Nawet jeśli z czasem zakryły je ziemia i las, i tak nie stoimy na jakimś wielkim usypisku.

Porucznik się rozejrzał.

- Masz rację. To jest niemal na poziomie dna uskoku. Pod tym lasem nie ma usypiska, chociaż ponoć odpadła ta skała.

Richard obserwował żołnierzy, którzy szukali wśród głazów i w lesie śladów Świątyni Wichrów. śaden niczego nie znalazł.

- Nie widzę powodu, by wierzyć, że cała ta część góry runęła tutaj.

Ulic i Egan znów skrzyżowali ramiona. Dla nich sprawa była już wyjaśniona.

Porucznik Crawford chrząknął.

- Lordzie Rahlu, skoro tutaj nie ma tamtej połowy góry Kymerosst, to gdzie się podziała?

Richard wymienił z nim długie spojrzenie.

- To właśnie chciałbym wiedzieć. Jeżeli tu jej nie ma, to musi być gdzie indziej.

Jasnowłose porucznik przestąpił z nogi na nogę.

- Przecież nie wstała i nie odeszła stąd, lordzie Rahlu.

Richard przesunął pochwę miecza, żeby mu nie przeszkadzała, i zaczął schodzić ze skał. Zdał sobie sprawę, że przeraża żołnierza, bo sugeruje wydarzenie tracące magią.

- Musiało być tak, jak powiedziałeś, poruczniku. Zawaliła się i zarosła lasem.

Może szczelina między górami była wtedy głębsza, lawina wypełniła ją i nie powstał żaden kopiec.

Pomysł bardzo spodobał się porucznikowi. Był tak solidnie realny.

Richard w to nie wierzył. Płaszczyzna skały wydawała mu się jakaś dziwna.

Była zbyt gładka, zupełnie jakby górę przeciął jakiś olbrzymi miecz. Tak, były i poszarpane partie, ale to tłumaczyły leżące w dole głazy. Wydawało mu się, że góra została odcięta i dokądś zabrana, a lód i woda zrobiły z czasem swoje - odłamały fragmenty gładkiej ściany, przez co stała się bardziej szorstka. Choć nie tak szorstka jak okoliczne skały.

- Mogłoby tak być, lordzie Rahlu - powiedział porucznik. - Chociaż gdyby to była prawda, to świątynia, której szukasz, musiałaby być zakopana głęboko pod ziemią.

Richard szedł ku koniom, a tuż za nim podążali dwaj olbrzymi gwardziści.

- Chcę rzucić okiem na szczyt. Zobaczyć tamte ruiny.

Przy koniach czekał ich przewodnik. Andy Millet mężczyzna w średnim wieku, ubrany był w prosty wełniany strój w zieleniach i brązach. Podobnie zwykł się niegdyś ubierać Richard. Zmierzwił włosy zakrywały mu uszy. Andy był niezmiernie dumny, że sam lord Rahl poprosił, by zaprowadził ich wszystkich ku górze Kyrnermosst. Richard był tym odrobinę zakłopotany. Andy był po prostu pierwszą osobą, która wiedziała, gdzie to jest.

- Chcę zobaczyć ruiny na szczycie, Andy. Mężczyzna podał Richardowi cugle wielkiego deresza.

- Jasne, lordzie Rahlu. Za dużo to tam nie ma, ale i tak z radością ci to pokażę.

Dwaj olbrzymi gwardziści dosiedli lekko koni, które ledwo mogły się poruszać pod takim ciężarem. Richard wskoczył na siodło i wsunął prawą stopę w strzemię.

- Dostaniemy się tam przed zmrokiem? Większość tego wiosennego

śniegu się roztopiła. Szlak powinien być przejezdny.

Andy spojrział na słońce, które już-już miało dotknąć góry.

- Sądząc po tym, jak jeździsz, lordzie Rahlu, będziemy tam na długo przed zmrokiem. O wiele wcześniej. Ważni ludzie zwykle nie każą mi tak gnać. Hamują mnie, A teraz to ja hamuję ciebie.

Richard się uśmiechnął. I on to pamiętał. Zawsze wydawało mu się, że im ważniejszą osobę prowadzi, tym wolniej wędrują.

Kiedy dotarli do ruin, niebo było już naznaczone złotem i czerwienią.

Okoliczne góry leżały w głębokim cieniu. Ruiny lśniły miodowym światłem.

Niegdyś musiały to być piękne budowle, teraz jednak leżały w gruzach i wyglądały na część większej całości, jak to powiedziała Kahlan. Tu i tam na nagim szczycie góry stały wciąż jeszcze resztki murów. Pokrywała je rdza porostów, a nie pnącza i drzewa, jak byłoby to na dole.

Richard zsiadł i podał wodze porucznikowi Crawfordowi. Budowla po lewej stronie szerokiej drogi była duża jak na miary, do których chłopak był przyzwyczajony, lecz maleńka w porównaniu z zamkami i pałacami, które widział po opuszczeniu Westlandu. Drzwi nie było. Zostały resztki framugi, wciąż częściowo pokryte złoceniami. Wszedł i odgłos jego kroków odbił się echem od ścian. W jednej z komnat pozbawionego dachu budynku znajdowała się kamienna ławka. W innej śnieg topniał w fontannie. Wijący się korytarz, którego wypukłe sklepienie w większości się zachowało, poprowadził Richarda obok mnóstwa komnat. Korytarz się rozdzielał, wiodąc - jak podejrzewał chłopak - do komnat znajdujących się w każdym narożniku budowli. Ruszył lewym odgałęzieniem, do komnaty na samym końcu.

Jak wszystkie pomieszczenia po tej stronie, wychodziła na urwisko. Puste otwory ziały w miejscach, w których niegdyś były okna, chroniące wnętrze przed wiatrem i deszczem. Rozciągał się stąd widok na wznoszące się za urwiskiem, błękitniejące w zimmerze góry. Mogli tu czekać na przyjęcie ci, którzy odwiedzali świątynię lub przybywali o coś prosić. Goście mogli podziwiać wspaniałość Świątyni Wichrów. Jeżeli ich odesłano, przynajmniej zabierali ze sobą to wspomnienie.

Richard niemal widział to, co widzieli wszyscy ci, którzy tu niegdyś stali.

Wiedział, że podpowiada mu to jego dar, podobnie jak duchy tych,

którzy przed nim władali Mieczem Prawdy, kierowały nim, gdy korzystał z jego magii.

Kiedy tak stał i patrzył, wyobrażał sobie tuż za skrajem urwiska owo siedlisko wspaniałości i potęgi. To tam właśnie czarodzieje umieścili dla bezpieczeństwa przedmioty przesycone potężną magią. Dawni czarodzieje, a wśród nich i przodkowie Richarda, stali pewno tu, gdzie on teraz, i spoglądali na Świątynię Wichrów.

Chłopak chodził w blednym świetle dokoła budowli. Mijał wspaniałe kolumny, zaglądał do baraków dla straży, do przepięknych niegdyś ogrodowych budowli, dotykał sypiących się murów. Wszystko się waliło, lecz z łatwością mógł sobie wyobrazić, jakie to kiedyś musiało być majestatyczne.

Stanął na środku szerokiej drogi, biegnącej pośród rozpadających się ruin.

Czuł, jak wiatr rozwiewa mu złocistą pelerynę, i starał się zobaczyć to miejsce takie, jakim było w przeszłości. Starał się je wyczuć. Droga jeszcze bardziej niż ruiny dawała mu osobliwe poczucie obecności świątyni. Wiodła kiedyś wprost do Świątyni Wichrów.

Richard szedł szeroką drogą, wyobrażając sobie, że zmierza ku Świątyni Wichrów. Wichrów, które twierdziły, że go ścigają. Minał część muru, przeszedł między pustymi kamiennymi budowlami, wyczuwając niezmienną trwałość owego miejsca, wyczuwając kwitnące tu niegdyś życie.

Lecz dokąd odeszła? Jak ma odnaleźć świątynię? Gdzież jeszcze szukać?

Była tutaj i nawet teraz Richard niemal ją widział. Wyczuwał ją, jakby jego dar ciągnął go naprzód, do domu.

Chłopak zatrzymał się gwałtownie.

Ulic złapał Richarda za jedno ramię, Egan za drugie i odciągnęli go do tyłu.

Opuścił wzrok i stwierdził, że kolejny krok zaprowadziłby go poza skraj urwiska.

Sępy wznosiły się w górze niecałe dwadzieścia stóp od niego.

Chłopakowi zdawało się, że stoi na skraju świata. Widok był oszałamiający.

Zjeżyły mu się włoski na karku.

Poza skrajem u jego stóp powinna leżeć dalsza część drogi. Wiedział, że powinna. Ale tam nie było niczego.

Świątynia Wichrów zniknęła.

ROZDZIAŁ 43

Oddychaj.

Kahlan zrobiła, co jej kazano: wypuściła sylfę z płuc i wciągnęła w nie ostre, chłodne powietrze.

Ogłuszał ją syk pochodni. Własny oddech ranił jej uszy. Teraz jednak wiedziała już, czego się spodziewać, i czekała spokojnie, aż otaczający ją świat stanie się taki jak zawsze.

Ale tym razem było inaczej. A przynajmniej inaczej, niż oczekiwała.

- Gdzie jesteśmy, sylfo? - Jej głos poniósł się echem.

- Tam gdzie chciałaś się udać: przy skarbie Jocopo. Powinnaś być zadowolona, lecz jeśli nie jesteś, to znów spróbujemy.

- Nie, nie. Nie chodzi o to, że nie jestem zadowolona. Po prostu nie tego się spodziewałam.

Znajdowała się w jaskini. Pochodnia była zupełnie inna niż te, do których się przyzwyczaiła. Zawsze był to długi kawałek drewna ze smołowanym końcem, tę natomiast zrobiono z pęku powiązanych razem trzcin. Kiedy zsunęła się z obmurówki studni sylfy i stanęła, strop był tuż nad jej głową.

Dziewczyna wyjęła trzcinową pochodnię ze szczeliny w popękanej skalnej ścianie.

- Wrócę - powiedziała sylfie. - Rozejrzę się i jeśli nie znajdę wyjścia, wrócę i udamy się gdzie indziej. - Uświadomiła sobie, że musiało być jakieś wyjście, bo inaczej nie byłoby pochodni. - Albo wrócę, gdy znajdę to, czego szukam.

- Będę gotowa, kiedy zechcesz podróżować. Znów będziemy podróżować.

Będziesz zadowolona.

Kahlan skinęła potakująco głową ku wpatrzonej w nią srebrnej twarzy, w której odbijało się migotliwe światło pochodni, a potem poszła w głąb jaskini.

Prowadziło stąd tylko jedno wyjście: szeroki, niski korytarz. Ruszyła więc owym wijącym się i skręcającym w ciemnobrązowej skale tunelem. Nie było ani innych korytarzy, ani innych pieczar, parła zatem naprzód.

Korytarz doprowadził ją do obszernego, mającego może pięćdziesiąt lub

sześćdziesiąt stóp średnicy pomieszczenia i dziewczyna pojęła, dlaczego nazywano owo miejsce skarbem Joco. Blask pochodni zamigotał tysiącami złotych ogników.

Komnata była pełna złota.

Część stanowiły nie wygładzone sztaby albo koła, zupełnie jakby płynny metal wiano do pojemników, a potem je rozbito. Proste skrzynie pełne były samorodków.

Inne - wyposażone w uchwyty, tak by mogło je nieść dwóch ludzi - wypełniały połamane złote przedmioty. Stało tam kilka stołów, na których wciąż leżały złote krążki, oraz - wzdłuż jednej ze ścian - półki. Na półkach widać było kilka złotych statuetek, przede wszystkim jednak wypełniały je welinowe zwoje. Kahlan nie zainteresował skarb Joco. Nie traciła czasu na przyglądanie się temu wszystkiemu, ale ruszyła ku korytarzowi po drugiej stronie pomieszczenia.

Była zmartwiona, więc nie chciała zbyt długo tkwić w tym miejscu. Zależało jej, by jak najszybciej dotrzeć do Błotnych Ludzi, lecz gdyby nawet miała ochotę się rozejrzeć, i tak nie mogłaby zostać tu zbyt długo. Powietrze w komnacie cuchnęło tak okropnie, że aż krztusiła się i kaszłała. Obrzydliwy fetor sprawiał, że miała zawroty i zaczynała ją boleć głowa.

Powietrze w korytarzu było lepsze, choć też niezbyt świeże. Kahlan dotknęła kościanego noża - wciąż był ciepły, ale przynajmniej nie tak gorący jak przedtem.

Kręty korytarz zaczął prowadzić pod górę. Ciemna skała zmieniała się w ziemię oszalowaną tu i ówdzie belkami. Nie znalazła żadnych odgałęzień, dopóki nie zaczęła wyczuwać świeżego powietrza. Wówczas jedno przejście odeszło w lewo, a kilka kroków dalej drugie poprowadziło w prawo. Zimne powietrze ciągnęło z korytarza na wprost, zatem poszła tą właśnie drogą.

Gdy wyszła w noc, płomień pochodni zakołysał się i zasyczał. Niebo było usiane migoczącymi gwiazdami. Tuż obok poderwała się jakaś postać. Matka Spowiedniczka cofnęła się kilka kroków do jaskini i rozejrzała, sprawdzając, czy nie czekał tu ktoś jeszcze.

- Matka Spowiedniczka? - zapytał znajomy głos. Dziewczyna zbliżyła się o krok i uniosła pochodnię.

- Chandalen? To ty, Chandalenie?

Muskularna postać wbiegła w krąg blasku. Nie miał koszuli, był

wysmarowany błotem. Do ramion i głowy przywiązał pęczki trawy. Proste czarne włosy pokrywało gęste błoto, jak to było w zwyczaju u łowców. Twarz również umazana była błotem, lecz Kahlan i tak rozpoznała znajomy, szeroki uśmiech.

- Chandalen - powiedziała z westchnieniem ulgi. - Tak się cieszę, że cię widzę, Chandalenie.

- A ja, że widzę ciebie, Matko Spowiedniczko.

Ruszył ku niej, by wymierzyć jej policzek - tradycyjne powitanie Błotnych Ludzi, które wyrażało szacunek dla siły spotkanej osoby. Kahlan wyciągnęła przed siebie ręce, powstrzymując go.

- Nie! Nie zbliżaj się! Zatrzymał się gwałtownie.

- Dlaczego?

- Bo tam, skąd przybywam, w Aydindril, panuje choroba. Nie chcę podchodzić zbyt blisko do żadnego z was, żeby nie zarazić gorączką ani ciebie, ani kogokolwiek z mojego ludu.

Błotni Ludzie istotnie byli jej ludem. Człowiek Ptak i pozostali starsi przyjęli ją i Richarda do plemienia Błotnych Ludzi, więc teraz, choć mieszkali gdzie indziej, oboje byli jego członkami i mieszkańcami wioski.

Zniknęło zadowolenie Chandalena ze spotkania z Kahlan.

- Tu także panuje choroba, Matko Spowiedniczko. Dziewczyna opuściła pochodnię.

- Co takiego?! - wyszeptała.

- Wiele się wydarzyło. Nasi ludzie się boją, a ja nie mogę ich chronić.

Zwołaliśmy naradę widzających. Przybył do nas duch dziadka. Powiedział, że jest wiele problemów. Powiedział, że muszę z tobą porozmawiać i że wyśle ci wieść, byś do nas przyszła.

- Nóż - stwierdziła Kahlan. - Nóż przekazał mi tę wieść. I od razu się zjawiłam.

- Tak. Duch dziadka powiedział nam to tuż przed świtem. Jeden ze starszych wyszedł z domu duchów i przekazał mi, że mam tutaj na ciebie czekać. Jak dotarłaś do nas przez dziurę w ziemi?

- To długa historia. To była magiczna... Chandalenie, nie mam czasu czekać, aż będzie można zwołać drugą naradę widzających i znów rozmawiać z duchami przodków. Mamy kłopoty. Nie mogę czekać trzy dni.

Wyjął pochodnię z dłoni Kahlan. Spod maski z błota wyzierała ponura

twarz.

- Nie trzeba czekać trzy dni. Dziadek oczekuje cię w domu duchów.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Wiedziała, że narada widzących trwa tylko tę jedną noc, na którą została zwołana.

- Jak to możliwe?

- Starsi wciąż siedzą w kręgu. Dziadek nakazał, żeby czekali na ciebie. On też czeka.

- Ilu choruje?

Chandalen uniósł obie dłonie, a potem tylko jedną.

- Ogromnie bolą ich głowy. Opróżniają swoje żołądki, choć nic w nich nie mają. Płoną od gorączki. Niektórym zaczynają czernieć palce dłoni i stóp.

- O drogie duchy - szepnęła do siebie i spytała: - Ilu zmarło?

- Dziś umarło jedno dziecko, tuż przed tym, jak dziadek mnie tu wysłał. Ten chłopiec pierwszy zachorował.

Kahlan też czuła się źle. W głowie jej wirowało. Usiłowała poradzić sobie z tym, co usłyszała. Błotni Ludzie zwykle nie wpuszczają obcych do wioski, a i sami rzadko opuszczają swoje ziemie. Jak to się mogło stać?

- Czy przyszedł ktoś obcy, Chandalenie? Łowca potrząsnął głową.

- Nie dopuścilibyśmy do tego. Obcy sprowadzają kłopoty. - Zastanowił się chwilę. - Ktoś próbował. Ale i tak nie pozwolilibyśmy jej wejść do wioski.

- Jej?

- Tak. Kilkoro dzieci bawiło się w polowanie na łąkach. Podeszła do nich kobieta i spytała, czy może odwiedzić wioskę. Dzieci przybiegły, żeby nam o tym powiedzieć. Ale kiedy zaprowadziłem w tamto miejsce moich łowców, już jej nie znaleźliśmy. Powiedzieliśmy dzieciom, że jeśli znów coś takiego zrobią, to duchy przodków się rozgniewają.

Kahlan bała się pytać, bo lękała się odpowiedzi.

- Chłopiec, który umarł, był wśród tych dzieci, prawda, Chandalenie?

Chandalen przechylił na bok głowę.

- Jesteś mądrą kobietą, Matko Spowiedniczko.

- Nie. Jestem przerażoną kobietą, Chandalenie. Do Aydindril przybyła kobieta i rozmawiała z dziećmi. I one też zaczęły umierać. Czy chłopiec, który zmarł, mówił, że pokazywała mu książkę?

- Jak wyruszyłem z tobą w tamtą podróż, to pokazywałaś mi owe rzeczy, które nazywacie książkami i w których przekazujecie wiedzę, ale nasze

dzieci nie wiedzą o ich istnieniu. Uczymy nasze dzieci z ywym, słowem, tak jak nasi przodkowie uczyli nas. Chłopiec mówił, że kobieta pokazywała mu ładne kolorowe światła. To nie przypomina ksiązek, które pamiętam.

Kahlan położyła dłoń na ramieniu Chandalena. Kiedyś gest ten bardzo by go przeraził, niósł bowiem ze sobą grozę porażenia magią Spowiedniczki, teraz jednak przepłoszył go z innych powodów.

- Mówiłaś, że nie powinniśmy być zbyt blisko.

- Teraz to już nie ma znaczenia - zapewniła go. - Już nie narobię więcej szkody. W Aydindril panuje ta sama choroba co tutaj.

- Przykro mi, Matko Spowiedniczko, że choroba i śmierć nawiedziły także twój dom.

Uścisnęli się po przyjacielsku, dzieląc strachem i smutkiem.

- Co to za miejsce, Chandalenie? Ta jaskinia?

- Kiedyś ci o tym mówiłem. To miejsce ze złym powietrzem i bezwartościowym metalem.

- Więc jesteśmy na północ od twojego domu?

- Na północ i trochę na zachód.

- Ile zajmie powrót do wioski? Chandalen uderzył się pięścią w pierś.

- Chandalen jest silny i szybko biega. Opuściłem wioskę, gdy zachodziło słońce. To zabierze Chandalenowi tylko parę godzin. Nawet po ciemku.

Kahlan patrzyła na zalaną księżycową poświatą łąkę rozciągającą się u stóp niskiego, skalistego wzgórza, na którym stali.

- Księżyc jest wystarczająco jasny, by oświetlić drogę. - Udało się jej uśmiechnąć. - I powinieneś wiedzieć, Chandalenie, że jestem równie silna jak ty.

Łowca odwzajemnił uśmiech. To było wspaniałe, nawet w takich okolicznościach.

- Tak, dobrze pamiętam twoją siłę, Matko Spowiedniczko. Pobiegniemy.

Księżycowa poświata oblewała tajemnicze, pudełkowate zarysy wioski Błotnych Ludzi, zagubionej na mrocznej, porośniętej trawą równinie. W małych okienkach błyszczało kilka światełek. O tak późnej porze na zewnątrz było mało ludzi i Kahlan się z tego cieszyła. Nie chciała widzieć twarzy mieszkańców, strachu i żalu w ich oczach, i uświadamiać sobie, że wielu z nich umrze.

Chandalen poprowadził ją wprost do domu duchów, między wspólnymi

chatami na północnym skraju wioski. Większość tych domostw skupiała się razem, lecz dom duchów stał na uboczu. Blask księżyca odbijał się w dachówkach dachu, który Richard pomógł zrobić Błotnym Ludziom. Pozbawioną okien chatę otaczali pierścieniem strażnicy, łowcy Chandalena.

Przed domem duchów, na niskiej ławeczce, siedział Człowiek Ptak. Długie srebrzystosiwe włosy lśniły w blasku księżyca. Był nagi. Jego twarz i ciało pokrywało białe i czarne błoto z wykreślonymi w nim spiralami i liniami. Wszyscy uczestnicy narady widzących nosili takie malunki, żeby duchy mogły ich dostrzec.

Na ziemi, u stóp Człowieka Ptaka, stały dwa garnuszki - jeden z białym, drugi z czarnym błotem. Po szklistym spojrzeniu Kahlan poznała, że był w transie i że rozmowa na nic się nie przyda. Wiedziała, że na nią czekają. Rozpięła pas.

- Mógłbyś się odwrócić, Chandaleni? Poproś swoich ludzi, żeby uczynili to samo.

Okoliczności pozwalały jedynie na takie uszanowanie jej skromności.

Chandalen wydał swoim ludziom polecenie w rodzimym języku.

- Ja i moi łowcy będziemy strzec domu duchów dopóty, dopóki ty i starsi będziecie w środku - powiedział do Kahlan przez ramię.

Dziewczyna zrzuciła ubranie i stanęła naga w chłodnym nocnym powietrzu.

Człowiek Ptak zaczął ją malować białym i czarnym błotem, by duchy mogły zobaczyć i ją. Przyglądały się temu zaspane kury, siedzące na położonym nieopodal niskim murku. Murku, który wciąż nosił ślady po cięciu miecza Richarda.

Kahlan wiedziała, że musi to uczynić, że musi wejść do środka i porozmawiać z duchami, lecz nie paliła się do tego. Z duchami przodków rozmawiano jedynie w wypadkach najwyższej potrzeby i choć czasem uzyskiwano niezbędne rady, nigdy nie przynosiło to radości.

Człowiek Ptak skończył malować dziewczynę i w milczeniu wprowadził ją do środka. Sześciu starszych siedziało kręgiem wokół ułożonych w centrum koliska czaszek przodków. Przewodnik duchów zajął swoje miejsce; usiadł na podłodze i skrzyżował nogi. Kahlan też usiadła w kręgu, po prawej ręce swego przyjaciela Savidlina, a naprzeciw Człowieka Ptaka. Nie odezwała się do męża Weselan, bo i on był w transie i widział pośrodku

kręgu duchy, których ona jeszcze nie dostrzegała.

Obok Kahlan stał pleciony koszyk. Wiedziała, dlaczego się tu znajduje.

Wzięła go i sięgnęła do wnętrza. Z wahaniem złapała małą czerwoną żabkę duchów i przycisnęła jej grzbiet do ciała pomiędzy piersiami, gdzie było jedyne miejsce wolne od wyrysowanych w błocie linii i kół. Żabi słuź szczywał w skórę. Dziewczyna puściła płaza i ujęła dłonie siedzących po obu jej bokach starszych. Wkrótce poczuła, że pogrąża się w oszołomieniu.

Izba wirowała w zawrotnym tempie. Kahlan została uniesiona ze świata, który znała, i wciągnięta w wir blasku, cienia, zapachu i dźwięku. Czaszki tańczyły wraz z nią.

Czas się rozciągnął podobnie jak w sylfie, lecz nie w równie przyjemny sposób. Było to tak dezorientujące, że aż pot wystąpił jej na czoło.

I sprowadziło ducha.

Przed dziewczyną stała lśniąca postać, choć Kahlan nie przypominała sobie, kiedy duch się zjawił. Po prostu był.

- Dziadku - szepnęła w języku Błotnych Ludzi. Chandalen powiedział, że na naradzie widzących pojawił się jego dziadek, ona jednak rozpoznała go sercem: stał

się przecież jej opiekunem. Czuła powinowactwo z należąca do niego za życia kością.

- Dziecko. - Zadrżała, usłyszawszy nieziemski głos wydobywający się z ust Człowieka Ptaka. - Dziękuję, że posłuchałaś mojego wezwania.

- Czego chcą ode mnie duchy naszych przodków?

Usta Człowieka Ptaka poruszyły się i wydobył się z nich głos ducha.

- Zbeczyszczono to, co w części zostało nam powierzone.

- Powierzone wam? Co zostało wam powierzone?

- Świątynia Wichrów.

Nagie ciało Kahlan pokryło się gęsią skórą. Świątynia Wichrów powierzona duchom? Aż zawirowało jej w głowie. Świat duchów to zaświaty, świat zmarłych. Jak można odesłać do zaświatów coś takiego jak świątynia, która została przecież zbudowana głównie z kamienia?

- Świątynia Wichrów jest w świecie duchów?

- Świątynia Wichrów istnieje po części w świecie zmarłych, po części zaś w świecie żywych. Istnieje jednocześnie w obu tych miejscach, w obu tych światach.

- Jednocześnie w obu miejscach, w obu światach? Jak to możliwe?

Jaśniejąca postać uniosła dłoń.

- Czy drzewo jest stworzeniem ziemi, jak robaki, czy też istotą powietrzną, jak ptaki?

Kahlan wolałaby prostą odpowiedź, ale nie była tak głupia, by sprzeczać się ze zmarłym.

- Zgaduję, szanowny dziadku, że drzewo nie jest z żadnego z owych światów, choć istnieje w obu.

Wydawało się, że duch się uśmiechnął.

- Tak, dziecko - odparł ustami Człowieka Ptaka. - Świątynia Wichrów również.

Kahlan pochyliła się do przodu.

- Chodzi ci o to, dziadku, że Świątynia Wichrów jest jak drzewo? że ma korzenie w tym świecie, a koronę w twoim?

- Istnieje w obu naszych światach.

- A gdzie jest w tym świecie, w świecie żywych?

- Tam gdzie zawsze była, na Górze Czterech Wichrów. Ty znasz to miejsce jako górę Kymerosst.

- Góra Kymerosst - powtórzyła bezbarwnym głosem. - Byłam tam, szanowny dziadku. Nie ma tam już Świątyni Wichrów. Zniknęła.

- Musisz ją odnaleźć.

- Odnaleźć ją? Wygląda to tak, jakby niegdyś tam stała. Jednak ta część góry, na której ją zbudowano, zawałiła się. Świątynia zniknęła, zostały resztki zewnętrznych budowli. Niczego tam nie znajdę. Przykro mi, szanowny dziadku, lecz w naszym świecie korzenie obumarły i rozsypały się.

Duch milczał. Kahlan przestraszyła się, że się rozgniewał.

- Dziecko - powiedział, ale tym razem przemówił sam, pominąwszy usta Człowieka Ptaka. Dźwięk sprawiał taki ból, że Kahlan ledwo mogła go ścierpieć.

Zdawało się jej, że ciało odpadnie jej od kości. - Coś wykradziono wichrom i zabrano do twojego świata. Musisz pomóc Richardowi, bo inaczej umrze cały mój ród w waszym świecie, zginie cały nasz lud.

Kahlan przełknęła ślinę. Jak można ukraść coś ze świata duchów, świata zmarłych, i przynieść do świata żywych?

- Możesz mi pomóc? Możesz powiedzieć coś, co ułatwiłoby mi

odnalezienie Świątyni Wichrów?

- Nie przywołałem cię tu po to, by powiedzieć ci, jak odnaleźć wichry. Drogę do nich pokaże księżyc. Sprowadziłem cię tutaj, byś ujrzała zasięg tego, co zostało uwolnione, i zobaczyła, co się stanie z twoim światem, jeśli się tego nie powstrzyma.

Duch dziadka rozpostarł ramiona. Miękkie światło spływało z nich niczym woda z krawędzi skały. Blask powoli zajmował całe pole widzenia Kahlan, aż wreszcie widziała jedynie białe światło.

Stał się przejrzysty i Kahlan zobaczyła śmierć. Wszędzie były ciała, zakrywały ziemię jak jesienne liście. Zaścielały ulicę tam, gdzie padły. Siedziały na schodach, oparte o poręcze. Leżały w drzwiach i na wozach do wywożenia zwłok. Kahlan zaglądała przez okna, jakby jej wzrok unosił się na ptasich skrzydłach. W domach spoczywały rozkładające się ciała. Widziała je w łóżkach, w fotelach, na korytarzach - rozciągnięte na podłodze lub zwalone jedno na drugie.

Dławił ją smród.

Wzrok dziewczyny pobiegł do miasteczek i miast, które знаła - wszędzie było tak samo. Śmierć zabrała prawie wszystkich, a ich ciała były czarne i gniły, zanim jeszcze umarli. Nieliczni żyjący, których widziała, łkali w nieutulonym żalu.

Wzrok Kahlan powrócił do wioski Błotnych Ludzi. Ujrzała zwłoki ludzi, których znała. Obok wygasłych palenisk leżały martwe matki, które tuliły nieżywe dzieci. Zmarli mężowie obejmowali martwe żony. Tu i ówdzie osieroczone dzieci, z twarzami zalanymi łzami, zawodziły histerycznie przy ciałach nieżyjących rodziców.

Odór był tak okropny, że wyciskał łzy.

Kahlan stłumiła szloch i zamknęła oczy. Nic to nie dało. Widok wszystkich tych martwych ciał wrył się jej w pamięć.

- Oto, co się wydarzy, jeśli nie powstrzyma się tego, co wykradziono wichrom

- powiedział duch.

- Co mogę uczynić? - szepnęła przez łzy.

- Zbezczeszczono wichry. Zabrano to, co zostało nam powierzone. Wichry uznały, że to ty zapłacisz cenę. Przybyłem, by ukazać ci rezultaty owego zbezczeszczenia i błagać cię w imieniu moich żyjących potomków,

byś uczyniła to, o co cię poproszą.

- A jaka jest cena?

- Tego mi nie ukazano, lecz ostrzegam cię, że nie istnieje sposób, by tego uniknąć lub się z tego wykpić. Musi się stać tak, jak zostanie ci objawione, lub wszystko przepadnie. Toteż proszę, byś wstąpiła na ścieżkę, którą ukażą ci wichry.

Inaczej stanie się to wszystko, co ci pokazałem.

Zapłakana Kahlan nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Zrobię to, dziadku - przyrzekła.

- Dziękuję, dziecko. Muszę powiedzieć ci jeszcze jedno. W naszym świecie, gdzie przebywają dusze tych, co odeszli z twojego świata, są ci, którzy trwają w świetle wraz ze Stwórcą, oraz ci, których Opiekun na zawsze odgrodził od blasku Stwórcy.

- Chcesz powiedzieć, że są tam zarówno dobre, jak i złe duchy?

- To zbyt uproszczenie, które niemal przesłania prawdę, lecz wy, w waszym świecie, tylko w ten sposób możecie przybliżyć się do zrozumienia naszego świata. Nasz świat tworzą ci wszyscy, którzy w nim trwają. Wichry muszą wszystkim pozwolić wyznaczyć ścieżkę.

- Czy możesz mi powiedzieć, jak wichrom wykradziono magię?

- Drogą zdrady.

- Kogo zdradzili?

- Opiekuna.

Kahlan aż otworzyła usta. Natychmiast pomyślała o Siostrze Mroku, która była w Aydindril: o Siostrze Amelii. To musiała być ona.

- Siostra Mroku zdradziła swojego pana?

- Przeznaczeniem owej duszy było wejść do Świątyni Wichrów przez Przedzionek Zdrajcy. To jedyny sposób pozwalający dokonać wyłomu w zabezpieczeniach. Pomyślano to jako środek ostrożności. By móc stanąć w Przedсионku Zdrajcy, trzeba całkowicie i nieodwołalnie zdradzić to, w co się wierzy.

Ponieważ takie osoby nieodwołalnie zdradziły swoją sprawę, nie mają już powodu, by wchodzić. Nawiedzający Sny odkrył prorocstwo, które mógł wykorzystać do pogwałcenia swojego wroga, lecz by zaczęło się ono spełniać, potrzebował magii wichrów. Nawiedzający Sny znalazł sposób, by zmusić ową duszę do zdradzenia jej pana, Opiekuna, a jednocześnie pozwalający

wypełnić rozkazy samego Nawiedzającego Sny. Uczynił to, pozwalając jej dochowywać początkowo przysięgi Opiekunowi i odgrywając rolę jej drugiego pana, tego, który ma nad nią władzę wyłącznie w waszym świecie. Potem postawił ją w sytuacji bez wyjścia i zmusił, by zdradziła swego prawdziwego władcę. Mogła stanąć w PrzedSIONKU Zdrajcy, a jej zobowiązania wobec rozkazów Nawiedzającego Sny pozostały nienaruszone. Tym sposobem Nawiedzający Sny zbeczczył wichry i uzyskał to, czego chciał. Lecz ci, którzy odesłali świątynię wichrom, zostawili pewne zabezpieczenia, na wypadek gdyby coś takiego się stało. Czerwony księżyc mówi o uruchomieniu owych zabezpieczeń.

Na dźwięk słowa „zdrada” serce Kahlan zabiło mocno.

- Czy w ten właśnie sposób mamy uzyskać dostęp do wichrów? Duch przyglądał się dziewczynie, jakby badał jej duszę.

- Ta droga została zamknięta, kiedy zbeczczono Świątynię Wichrów, i należy skorzystać z innej. To jednak nie twoja rzecz. Wichry określą swoje wymagania stosownie do zasad zachowania równowagi. A pięć duchów, które strzeże wichrów, wskaże ci zgodnie z tym ścieżkę.

- Jakże budowla może dawać wskazówki, czcigodny dziadku? Mówisz to tak, jakby wichry były żywe.

- - Nie ma mnie już w świecie żywych, a przecież, jeśli mnie przywołacie, mogę przekazać informacje przez zasłonę.

Kahlan aż rozbolała głowa od prób zrozumienia jego słów. Żałowała, że nie ma tu Richarda, by mógł zadawać pytania. Obawiała się, że pominie to, co najistotniejsze.

- Ty, czcigodny dziadku, możesz to uczynić, bo jesteś duchem. Kiedyś żyłeś.

Masz duszę.

Duch zaczął znikać.

- To zdarzenie w siedzibie wichrów naruszyło zasłonę. Naruszyło granicę. Nie mogę dłużej tu pozostać. Odciągają mnie skryny, strzegące granicy pomiędzy światami. Ponieważ zbeczczanie wichrów zakłóciło równowagę, dopóki nie zostanie ona przywrócona, dopóty nie będziemy się mogli pojawiać na naradzie widzących.

Duch był już ledwo widoczny.

- Muszę się dowiedzieć więcej, dziadku. Czy sama zaraza jest magiczna?

Odpowiedź dobiegła z wielkiej odległości.

- - Wichrom przekazano magię o ogromnej mocy. By w pełni z niej korzystać, trzeba rozległej wiedzy. Jednak skorzystano z niej bez zrozumienia tego, co uwolniono, i bez wiedzy o tym, jak to kontrolować. Zarazę wywołano dzięki owej magii tak samo, jak magiczna jest błyskawica wysłana przez czarodzieja. Jeśli jednak błyskawica uderza w wysuszone trawy łąki, to wybuchająca pożoga już magiczna nie jest. Zaraza to właśnie coś takiego. Zaczęła się dzięki magii, lecz teraz jest zwyczajną zarazą, taką jakie zdarzały się już przedtem: uderzającą na oślep, w sposób niemożliwy do przewidzenia, ale podsycaną przez magię.

- Zaraza panuje i w Aydindril, i tutaj. Czy ograniczy się do tych miejsc?

- Nie.

Jagang nie miał pojęcia, co uczynił. Jeżeli pozwoli chorobie szaleć bez żadnej kontroli, ta może zabić i jego.

- Panuje już w innych miejscach, jak mi to ukazałeś? Wywołano ją również i w innych miejscach?

Słabiutki blask ducha zniknął jak zdmuchnięty słaby płomyk lampy.

- Tak. - Do dziewczyny doleciał odległy, cichy szept.

A mieli nadzieję, że zdołają zatrzymać zarazę w Aydindril. Nic z tego. Całe Midlandy, cały Nowy Świat mógł zostać strawiony przez pożogę wywołaną iskierką magii ze Świątyni Wichrów.

Pośrodku kręgu, w miejscu, gdzie stał duch, powietrze zawiroowało, gdy zniknął w zaświatach.

W oddali, w zaświatach, Kahlan usłyszała echo cichego śmiechu innego ducha. Złowrogi chichot sprawił, że ścierpła jej skóra.

Matka Spowiedniczka otrząsnęła się z transu; starsi otaczali ją kręgiem. Byli bardziej przyzwyczajeni do owego dziwnego stanu - dziewczynie wciąż jeszcze kręciło się w głowie. Miała mdłości. Starszy Breginderin wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać. Ujęła ją i jednocześnie dostrzegła na nogach starszego, pod malowidłami z białego i czarnego błota, znaki moru. Spojrzała na jego twarz, na miły, mający dodać jej otuchy uśmiech. Nie przeżyje dnia.

Był tu również jej przyjaciel Savidlin. Podawał Kahlan ubranie. Mimo pokrywających ją wykreślonych w błocie symboli dziewczyna niespodziewanie poczuła się przeraźliwie naga. Zaczęła wkładać strój,

starając się przy tym nie zdradzić swojego zażenowania. Jednocześnie besztła się za takie doczesne troski i w obliczu zagrażającej wszystkim katastrofy. Narada widzających miała służyć przywołaniu duchów zmarłych, nie było więc ważne, czy się jest kobietą, czy mężczyzną. Ale i tak była jedyną kobietą w tym gronie.

- Dziękuję za przybycie, Matko Spowiedniczko - powiedział Człowiek Ptak. - Wiemy, że twoje odwiedziny nie są tymi radosnymi, których sobie wszyscy życzymy.

- To prawda - szepnęła Kahlan. - Nie są. Moje serce śpiewa z radości, że znów ujrzałam mój lud, lecz ową pieśń tłumi smutek. Wiecie dobrze, szanowni starsi, że Richard i ja uczynimy wszystko, co będziemy musieli. Nie spoczniemy dopóty, dopóki tego nie powstrzymamy.

- Myślisz, że zdołacie powstrzymać coś takiego jak gorączka? - spytał Surin.

Savidlin położył dłoń na ramieniu Kahlan, która akurat zapinała koszulę.

- Matka Spowiedniczka i Richard Popędliwy już nam kiedyś pomogli. Znamy ich serca. Nasz przodek powiedział, że to gorączka wywołana za pomocą magii.

Matka Spowiedniczka i Poszukiwacz mają wielką magiczną moc. Uczynią to, co będą musieli.

- Savidlin ma rację. Zrobimy, co będzie trzeba. Savidlin uśmiechnął się do niej.

- A potem, kiedy już z tym skończycie, powrócicie do swojego ludu i do swojego domu i pobierzecie się, jak zamierzaliście? Moja żona, Weselan, pragnie zobaczyć swoją przyjaciółkę, Matkę Spowiedniczkę, biorącą ślub w sukni, którą dla niej uszyła.

Kahlan stłumiła szloch.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niczego bym sobie bardziej nie życzyła, niż ujrzeć cały nasz lud w zdrowiu.

- Jesteś wielką przyjaciółką naszego ludu, dziecko. Oczekujemy z niecierpliwością waszego ślubu. Obyście uporali się już wreszcie z tymi sprawami duchów i magii - odezwał się Człowiek Ptak.

Kahlan popatrzyła w oczy obserwujących ją starszych. Nie przypuszczała, by ci mężczyźni również doświadczyli wizji śmierci, którą jej ukazano, by poznali prawdziwą naturę i rozmiary epidemii. Wszyscy widzieli już ataki

gorączki, lecz nigdy nie spotkali się z czymś takim jak ta zaraza.

- Szanowni starsi, jeśli się nam nie uda... jeżeli my... - Głos ją zawiódł.

Człowiek Ptak pospieszył jej z pomocą.

- Jeśli się wam nie uda, dziecko, będziemy wiedzieć, że to nie dlatego, żeście nie uczynili wszystkiego, co trzeba. Wiemy, że jeśli jest tylko jakiś sposób, to uczynicie wszystko, by go odnaleźć. Wierzymy w was.

- Dziękuję - wyszeptała.

Łzy przesłaniały jej wzrok. Zmusiła się, by dumnie i prosto trzymać głowę.

Gdyby pokazała, że się boi, jedynie przeraziłaby tych ludzi.

- Musisz wyjść za Richarda Popędliwego, Kahlan. - Człowiek Ptak zaśmiał się cicho, jakby próbował ją rozweselić. - Już raz udało mu się uniknąć zaślubin z Błotną Kobieta, które dla niego zaplanowałem. I jeśli będę miał coś do powiedzenia, to nie uniknie zaślubin z tobą. Musi się ożenić z Błotną Kobieta.

Kahlan była zbyt odrętwiała, żeby odwzajemnić uśmiech.

- Zostaniesz przez resztę nocy? - zapytał Savidlin. - Weselan ucieszyłby twój widok.

- Wybaczcie mi, szanowni starsi, lecz jeśli mam ocalić nasz lud, to muszę natychmiast wracać. Muszę się spotkać z Richardem i powiedzieć mu, czego się dowiedziałam przy waszej pomocy.

ROZDZIAŁ 44

Na wąską, pustą uliczkę wyszła jakaś kobieta. Musiał się zatrzymać albo z nią zderzyć. Pod szalem miała cienką suknię. Chłodne nocne powietrze sprawiło, że skurczyły się brodawki jej piersi. Zrozumiał, że pod suknią nie nosi żadnej bielizny.

Uznała, że to do niej się uśmiechnął. Myliła się. Rozbawiło go to, jak czasami, kiedy tego najmniej oczekuje, nadarza mu się sposobność. Domyślał się, że to jego niezwykła natura sprowadza takie wydarzenia. Był zawsze gotów obrócić je na swoją korzyść, czy się ich spodziewał, czy też nie.

Kobieta odwzajemniła uśmiech i przesunęła dłonią po jego torsie. Pogładziła palcem podbródek mężczyzny.

- Witaj, kochasiu. Chcesz się trochę zabawić?

Nie była pociągająca, lecz ów niespodziewany, a szczęśliwy traf natychmiast obudził w nim pragnienie. Wiedział, w czym rzecz. Poznał to po sposobie, w jaki stanęła tuż przy nim, by przyciągnąć jego uwagę. Wcześniej zdarzały mu się już takie spotkania. Prawdę mówiąc, bywało, że sam ich szukał. To było zawsze większe wyzwanie. A owo wyzwanie dawało wprost niewiarygodne spełnienie.

Sytuacja nie była idealna: istniały znaczne niedogodności. Nie mógł na przykład dopuścić, by jej wrzaski przyciągnęły czyjąś uwagę, ale nawet w tym wypadku zdołałby zaznać przyjemności. Jego zmysły wyostrzyły się. Od razu zaczął zapamiętywać szczegóły, jak choćby chłonąca deszcz suchą ziemię.

Pozwolił, by ogarnęło go pożądanie.

- Nooo - powiedział przeciągle - a masz jakąś izbę? - Wiedział, że nie ma. Wiedział, w czym rzecz.

Kobieta oparła się nadgarstkiem o jego ramię.

- Nie trzeba żadnej izby, kochasiu. Wystarczy połówka srebrzaka.

Najdyskretniej, jak to było możliwe, omiótł wzrokiem pobliskie domy.

Wszystkie okna były ciemne. Tylko w oddali w mokrym kamieniu odbijało się kilka świateł. To był rejon magazynów - w tych budynkach nikt nie mieszkał. W pobliżu nie powinno być wielu ludzi, chyba tylko przechodnie tacy jak on. Wiedział jednak, że ostrożność musi zapanować

nad żądzą.

- Trochę za zimno, żeby się tak rozbierać na bruku, nie?

Kobieta przytknęła dłoń do jego policzka. Chciała, żeby skupił na niej całą uwagę. Drugą ręką dotknęła jego krocza i zamruczała jak kotka, zadowolona z tego, co tam wyczuła.

- Nie martw się, kochasiu. Za pół srebrzaka będę miała dla niego ciepłutkie miejsce.

Radowała go ta gra. Zbyt długo był jej pozbawiony. Przybrał dla owej kobiety swoją najniewinniejszą minę, minę kogoś zupełnie niedoświadczonego.

- Boja wiem. To mi się wydaje takie jakieś brutalne. Najbardziej lubię, jak młoda dama też ma się czas nacieszyć.

- Och, nacieszę się, kochasiu. Chyba nie sądzisz, że robię to tylko dla połówki srebrzaka, co? Jasne, że nie. Lubię to. Mam z tego przyjemność.

Cofała się ku drzwiom, z których wyszła. Pozwolił, by prowadziła go za sobą, trzymając palce na jego karku.

- Nie noszę przy sobie takich drobnych. - Widział, jak jej oczy rozbłysły ze szczęścia. Miała się jednak przekonać, że tej nocy jej szczęście okaże się pechem.

- Nie nosisz? - zapytała, jakby chciała wycofać swoją ofertę, teraz gdy usidliła go już kuszącymi rozmyślaniami o tym, co mu proponowała. - Cóż, dama musi zarobić na życie. Chyba powinnam się przejść i sprawdzić, czy...

- Najdrobniejsza moneta, jaką mam, to srebrzak. Ale chętnie dam ci całego srebrzaka, jeśli nie będziesz się spieszyć i zaznasz rozkoszy. Lubię, kiedy to daje rozkosz takim ładnym, młodym damom jak ty. To właśnie sprawia mi przyjemność.

- Cóż za kochaś - powiedziała z niezręcznym, przesadnym zachwytem, odbierając podawaną jej srebrną monetę.

Cuchnęła. Uśmiech nie dodał jej twarzy urody, lecz mężczyzna delektował się szczegółami: szorstkimi włosami, wonią jej ciała, garbatym nosem, małymi oczami.

Była pospolita. Człowiek jego pokroju nie był przyzwyczajony do takich kobiet, ale i z tego można było czerpać pewne przyjemności.

Słuchał uważnie i obserwował ją. Inne szczegóły były może nawet jeszcze ważniejsze, jeśli chciał pełnego zaspokojenia.

Cofnęła się do płytkiej wnęki z drzwiami i usiadła na stojącym tam krześle.

Miejsca było akurat tyle, żeby się oboje zmieścili. Stał przed kobietą, plecami do uliczki.

Denerwowało go, że uważa go za tak nieświadomego, głupiego i porywczego.

Wkrótce przekona się, jak bardzo się pomyliła.

Złożyła pocałunek na właściwym miejscu jego spodni, gmerała przy klamrze pasa. To by nie trwało długo. Nie chciała, by zajęło jej to zbyt wiele czasu.

Zamierzała szybko przenieść się w inne miejsce i zgarnąć w mroku nocy tyle monet, ile tylko zdoła.

Nim zdążyła mu rozpiąć spodnie, ujął łagodnie jej nadgarstki. Spodnie wokół kolan tylko by mu przeszkadzały. Tylko by przeszkadzały.

Uśmiechnęła się do niego. Była najwyraźniej zdumiona, ale i pewna, że urzeka go tym uśmiechem. Nie będzie musiał tego długo znosić. To stanie się już wkrótce.

Było wystarczająco ciemno. Zbyt ciemno, żeby dostrzec, co będzie robił.

Ludzie i tak zobaczą to, czego się spodziewają.

Wciąż jeszcze uśmiechała się do niego. Nim jednak miała czas zapytać, chwycił ją za szyję drugą ręką. Pomyślała, że po prostu chce ją przytrzymać, gdy będzie wykonywała swoją usługę.

Odchyliła głowę do tyłu dokładnie tak, jak było trzeba.

Stęknął leciutko z wysiłku i zmiażdżył jej kciukiem tchawicę.

Uśmiech przeniósł się na jego twarz. Odgłos dławienia nie od razu wzbudzi podejrzenia. Ludzie usłyszą to, co spodziewają się usłyszeć, tak jak zobaczą to, co spodziewają się zobaczyć, Pochylił się nad nią, żeby wszystko wyglądało tak, jak powinno, i wyduszał z niej życie.

- Niespodzianka - szepnął w jej wytrzeszczone oczy.

Rozkoszował się jej przerażoną miną, rozkoszował się twarzą duszonej osoby.

Jej ramiona stały się bezwładne, więc pozwolił im opaść i złapał ją za włosy, żeby się nie osunęła. Oparł głowę kobiety na swoim udzie, by wygodniej było mu ją podtrzymywać, i czekał.

Minęło zaledwie kilka sekund, gdy usłyszał zbliżające się z tyłu ostrożne

kroki. Nadchodziło kilku ludzi - tak jak się tego spodziewał. Wiedział, o co w tym wszystkim chodziło. To miał być rozbój.

Jeszcze kilka sekund i byli tuż-tuż. Dla niego czas rozciągnął się w oczekiwaniu, wypełnił szczegółami działającymi na wzrok, słuch i węch. Był najniezwyklejszym z ludzi. Panem czasu. Panem życia. Panem śmierci.

A teraz nadszedł czas na dalszy ciąg przyjemności.

Podłożył kolano pod kręgosłup kobiety i szybkim szarpnięciem złamał jej kark. Obrócił się, pchnął nożem człowieka, który był tuż za nim, i rozplątał go od pachwiny aż po mostek. Ominął go, unikając wypływających na uliczkę jelit.

Spodziewał się jeszcze jednego napastnika. A byli dwaj. Kobieta jej pokroju miała zazwyczaj ze sobą dwóch ludzi, którzy okradali złowionego przez nią mężczyznę. Nigdy przedtem nie widział trzech. Nieoczekiwane niebezpieczeństwo sprawiło, że poczuł dreszcz niezdrowej żądz.

Drugi mężczyzna, ten po prawej, zamachnął się. Dostrzegłszy w jego dłoni nóż, pan życia cofnął się o krok i uniknął ostrza. Zbliżył się trzeci, lecz pan śmierci kopnął go w punkt u podstawy mostka. Tamten uderzył o ścianę i jęcząc z bólu, osunął się na kolana. Nie mógł złapać tchu.

Napastnik stojący z prawej zdrętwiał. Teraz byli już tylko oni dwaj. Miał twarz chłopca. Dopiero wchodził w wiek męski. Poderwał się z chłopięcą odwagą i zaczął uciekać.

Pan czasu uśmiechnął się. Kiedy uciekali, najlepszym celem była głowa.

Głowa pozostawała prawie nieruchoma, podczas gdy ramiona i nogi gwałtownie się poruszały. Swoją cel, głowę, widział jako nieruchomy punkt. Rzucił nożem. Chłopak biegł tak szybko, jak szybko niosły go pracujące energicznie nogi. Lecz nóż był szybszy i ze stukiem trafił w cel. Młody złodziej natychmiast padł na ziemię.

Trzeci mężczyzna podnosił się z kolan. Był starszy, muskularny, ciężki i wściekły. Znakomicie.

Wymierzony z boku kopniak złamał ostatniemu żyjącemu złodziejowi nos.

Mężczyzna zawył z wściekłości i bólu i skoczył naprzód. Pan śmierci dostrzegł błysk stali i uskoczył w bok, podstawiając przy tym nogę bandycie. Napastnik upadł. To wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. I było wspaniałe - towarzysz kobiety był niczym niebezpieczny, rozszalały, atakujący wściekle

byk.

Zapisywał w pamięci szczegóły: ubranie złodzieja; małe rozdarcie kaftana na plecach; zaczątek łysiny, w którym odbijało się odległe światelko; kręcone, tłustawe włosy; brakujący fragment małżowiny; sposób, w jaki upadł, kiedy dostał kopniaka.

Gdy wykręcał tamtemu ramię, zauważył krew. A na krew zawsze bardzo zwracał uwagę. Zdziwiło go to. Nie skaleczył napastnika - jeszcze. Nie była to też krew ze zmiążdżonego nosa mężczyzny.

Rzadko trafiał mu się taki dreszcz zdziwienia, o jaki przyprawiło go owo nieoczekiwane krwawienie.

Uświadomił sobie, że mężczyzna krzyczy z bólu. Wrzasnął jeszcze głośniejsze, kiedy ramię wyskoczyło mu ze stawu. Skoczył złodziejowi na plecy i uderzył go w głowę nasadą dłoni. Wybił mu zęby o bruk i uciszył. Złapał bandytę za tłustawe włosy i odgiął do tyłu jego głowę. Nasłuchiwał bolesnych chrapnięć.

- Rozbój to niebezpieczne zajęcie. Czas, byś za nie zapłacił.

- Nic by my ci nie zrobili - wymamrotał tamten. - Tylko by my cię okradli, draniu.

- Draniu?!

Wolno, dokładnie, radując się najdrobniejszymi szczegółami, podciął rzucającemu się jak ryba złodziejowi gardło.

Jakąż niespodziewaną rozkosz przyniosła mu ta noc! Uniósł ręce, zgiął palce i wchłaniał powoli z powietrza kwintesencję śmierci. Chwytał jej jedwabistą obecność, w miarę jak unosiła się w mrok.

Był dopełnieniem ich życia. Przeciwwagą. Był śmiercią. Delektował się, widząc w ich oczach, że są tego świadomi. Największą przyjemność sprawiało mu pławienie się w owym spojrzeniu, owej świadomości... owym przerażeniu. To dawało mu satysfakcję. Poczucie spełnienia.

Stał, rozkoszując się słodkawym zapachem krwi. Żałował, że nie trwało to dłużej. Żałował, że nie mógł długo radować się wrzaskami. Wrzaski go upajały.

Łaknął ich, pragnął, pożywał. Dawały mu zadowolenie, poczucie spełnienia.

Potrzebował wrzasków: nie ich dźwięku, bo często kneblował swoje partnerki, lecz prób ich wydawania i tego, co odzwierciedlały. Potrzebował

paniki.

Teraz zaś nie mógł rozkoszować się leniwie panicznymi krzykami i nie doznał spełnienia, nie nasycił żądy.

Przemknął się uliczką i stwierdził, że oko miał równie ostre jak nóż, który trafił w cel. Chłopiec leżał na boku. Jakże rozkosznie wyglądał z tym nożem wbitym po rękę w tył głowy i czubkiem ostrza sterczącym z czoła, ociupinkę w bok od centralnego punktu!

Pogrążony w morzu wrażeń uświadomił sobie, że czuje całkiem nowe: ból.

Zaskoczony, obejrzał ramię i odkrył źródło, z którego nieoczekiwanie wypłynęła krew. Na zewnętrznej stronie prawego przedramienia miał głębokie, długie na jakieś sześć cali cięcie. Było naprawdę głębokie. Wymagało szycia.

Przyjemność, która płynęła z tak niespodziewanego zdarzenia, sprawiła, że na chwilę stracił oddech.

Niebezpieczeństwo, śmierć i rana - wszystko to jednej nocy, podczas jednego przypadkowego spotkania. Niemal nadmiar.

Głosy miały rację, każąc mu iść do Aydindril.

Ale i tak nie dostał tym razem tego, czego pragnął. Nie zaznał trwającego wieczność przerażenia, starannego nacinania i krojenia, upojenia krwią. Nie zaznał zadawania trwającego bez końca, przeszywającego bólu i końcowej orgii szaleńczego kłucia nożem.

Lecz nieziemskie głosy obiecały mu to wszystko, obiecały mu ostateczne zwycięstwo, największe zadośćuczynienie i najcudowniejszą partnerkę.

Obiecały mu najwspanialszą orgię rozkoszy. Obiecały mu Matkę Spowiedniczkę. Nadchodził jego czas. Nadchodził jej czas. Już wkrótce.

Verna położyła na czole Warrena wilgotne płótno. Otworzył oczy, a ona odetchnęła z ulgą.

- Jak się czujesz?

Spróbował usiąść, lecz położyła mu dłoń na piersi i stanowczo pchnęła na siano.

- Leż i odpoczywaj.

Skrzywił się z bólu, po czym oblizwał wargi.

- Chcę pić.

Ksieni odwróciła się i wyjęła czerpak z wiadra. Przysunęła go do ust

Proroka.

Ujął czerpak w dłonie i łapczywie wypił całą wodę. Potem chciwie chwycił powietrze.

- Jeszcze.

Siostra Światła napełniła czerpak i pozwoliła Warrenowi wypić całą zawartość. Uśmiechnęła się do niego.

- Cieszę się, że się ocknąłeś.

Z wysiłkiem odwzajemnił uśmiech.

- I ja się cieszę, że się ocknąłem. Jak długo tym razem byłem nieprzytomny?

Wzruszyła ramionami, niby to lekceważąc jego zatroskanie.

- Kilka godzin.

Warren rozejrzył się po wnętrzu stodoły. Verna uniosła lampę, żeby widział wyraźniej. Deszcz stukał o dach, przez co w środku wydawało się przytulnie. Ksieni odstawiła lampę i oparła się na łokciu obok chłopaka.

- Niezbyt luksusowa kwatera, ale przynajmniej sucha.

Kiedy znaleźli farmę, Warren był prawie nieprzytomny. Rodzina, która tu mieszkała, odniosła się do nich życzliwie. Siostra nie chciała zmuszać tych ludzi, by spali we własnej stodole, toteż odmówiła noclegu w ich łóżkach.

Podczas swojej dwudziestoletniej podróży Verna często sypiała w podobnych miejscach i uważała taki nocleg za całkiem miły, choć nieco prymitywny. Lubiła woń siana. W trakcie wędrówki sądziła, że go nienawidzi, jednak zmieniła zdanie po powrocie do klasztornej życia w Pałacu Proroków i przekonała się, że tęskni za wonią siana, ziemi, trawy i oczyszczonego przez deszcz powietrza.

Warren delikatnie położył rękę na jej dłoniach.

- Przykro mi, Verno, że aż tak bardzo spowalniając naszą podróż.

Kobieta się uśmiechnęła. Przypomniała sobie czas, kiedy jej niecierpliwość sprawiłaby, że byłaby poirytowana i chodziłaby tam i z powrotem. Warren i jego miłość ujawniły spokojniejszą część jej natury. Był dla niej ważny. Był dla niej wszystkim. Odgarnęła mu do tyłu kręcone blond włosy i pocałowała w czoło.

- Bzdura. I tak musielibyśmy się zatrzymać na noc. W deszczu podróż byłaby powolna i nieprzyjemna. Dobry wypoczynek pozwoli na szybszy marsz. Możesz mi wierzyć, mam spore doświadczenie w takich sprawach.

- Ale czuję się taki... bezużyteczny.

- Jesteś Prorokiem. Dzięki temu mamy ogromnie użyteczne informacje. I zaoszczędziło nam to wielodniowego podróżowania w złym kierunku.

Udręczone niebieskie oczy Warrena spojrzały na krokwie.

- Bóle głowy stają się coraz częstsze. Ze strachem myślę, że mogę się już nie obudzić, gdy zamknę oczy.

Po raz pierwszy tej nocy Verna spojrzała nań groźnie.

- Nie chcę tego słuchać, Warrenie. Uda się nam. Zawahał się, bo nie chciał się z nią sprzeczać.

- Skoro tak mówisz, Verno. Ale coraz bardziej opóźniam podróż.

- Zajęłam się tym.

- Tak? Co zrobiłaś?

- Wynajęłam transport. Przynajmniej na część drogi.

- Przecież mówiłaś, Verno, że nie chcesz wynajmować powozu, bo to zwróci na nas uwagę. Mówiłaś, że nie chcesz ryzykować, by ktoś nas rozpoznał, i że nie życzysz sobie, by wścibscy ludzie dopytywali się, kto jedzie owym powozem.

- To nie powóz. I nie zamierzam wysłuchiwać protestów. Zapłaciłam temu farmerowi, żeby podwiózł nas na południe swoim wozem do siana. Powiedział, że będziemy mogli leżeć w tyle i że sobie odpoczniesz. Przykryje nas sianem, byśmy nie musieli się martwić ludzką ciekawością.

Warren zmarszczył brwi.

- Dlaczego chce to dla nas zrobić?

- Dobrze mu zapłaciłam. A poza tym on i jego rodzina są wierni Światłu.

Szanuje Siostry Światła.

Warren opadł na siano.

- Hmm, to brzmi całkiem nieźle. Jesteś pewna, że robi to z własnej woli? Nie przycisnęłaś go troszkę?

- I tak jedzie.

- Naprawdę? Dlaczego? Verna westchnęła.

- Ma chorą córeczkę. Dwunastoletnią. Chce się wybrać po jakiś lek dla niej.

Warren spojrzał na nią podejrzliwie.

- Dlaczego nie uzdrowiłaś małej? Verna wytrzymała jego spojrzenie.

- Próbowałam. Ale nie mogłam. Ma wysoką gorączkę, skurcze i wymioty.

Robiłam, co w mojej mocy. Dałabym wszystko, byle tylko móc wyleczyć to biedne dziecko, ulżyć jego cierpieniom, lecz nie mogłam.

- Domyślasz się dlaczego?

Verna ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Dar nie leczy wszystkiego, Warrenie. Wiesz o tym. Pomogłabym jej, gdyby miała złamaną kość. Mogłabym jej pomóc w wielu chorobach, ale w wypadku gorączki dar ma ograniczone działanie.

Warren odwrócił wzrok.

- To niesprawiedliwe. Ofiarowują nam pomoc, a my nic dla nich nie możemy zrobić.

- Wiem - szepnęła Verna.

Przez pewien czas słuchała bijącego o dach deszczu.

- Przynajmniej mogłam zmniejszyć bóle brzucha. Będzie jej trochę lżej.

- To dobrze. Dobrze, że można było zrobić chociaż tyle. - Warren skubał źdźbło. - Udało ci się skontaktować z Ksienią Annaliną? Zostawiła wiadomość w książce podróźnej?

Verna starała się nie zdradzić swojego niepokoju.

- Nie. Ani nie odpowiedziała na moje wieści, ani nie przekazała własnych.

Pewnie jest zajęta. Nie ma czasu zajmować się naszymi małymi sprawami. Odezwie się, gdy będzie miała czas.

Warren przytaknął. Verna zdmuchnęła lampę. Przytuliła się do niego i oparła czoło o jego ramię. Położyła ramię na piersi Warrena.

- Lepiej już śpijmy. O świcie ruszamy.

- Kocham cię, Verno. Chcę, żebyś to wiedziała, na wypadek gdybym zmarł we śnie.

W odpowiedzi Verna pogłaskała go po policzku.

Clarissa przetarła zaspane oczy. Wokół obrzeża ciężkich, ciemnozielonych kotar przesączał się blask świtu. Usiadła na łożu. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek obudzi się w tak znakomitym nastroju. Pochyliła się, żeby powiedzieć to Nathanowi.

Proroka nie było przy niej.

Znów usiadła i zwiesiła nogi z łoża. Gdy stanęła, jej mięśnie zaprotestowały: bolały ją po nocnych wyczynach. Uśmiechnęła się, przypominając sobie przyczyny tego lekkiego bólu. Nawet nie podejrzewała,

że obolałe mięśnie mogą sprawiać taką przyjemność.

Narzuciła śliczny różowy szlafroczek, który kupił jej Nathan. Poprawiła falbanki wokół szyi, zawiązała różowy jedwabny pasek. Poruszała palcami stóp zagłębionymi w grubym dywanie i rozkoszowała się tym.

Prorok siedział przy stoliku do pisania. Był zajęty listem. Uśmiechnął się do Clarissy, kiedy stanęła w drzwiach.

- Dobrze spałaś?

Na wpeł przymknęła oczy i westchnęła.

- Taaak. - Uśmiechnęła się. - Przynajmniej wtedy, gdy mogłam zasnąć.

Nathan mrugnął do niej. Zanurzył pióro w kałamarzu z błękitnym atramentem i wrócił do pisania. Clarissa stanęła za nim, położyła mu dłonie na ramionach. Miał na sobie tylko spodnie. Zaczęła masować kciukami mięśnie u podstawy jego karku.

Zamruczał gardłowo, więc nie przerywała masażu. Lubiła słuchać jego pomruków zadowolenia, a jeszcze bardziej - być ich przyczyną.

Masując mięśnie jego ramion, zerknęła na to, co pisał. Były to rozkazy przesunięcia wojsk do miejsc, o których nigdy nie słyszała. Prorok pisał dalej, przypominając generałowi o więzi łączącej go z lordem Rahlem i o straszliwych następstwach, jakie mu grożą, gdyby o tym zapomniał. Ton listu był równie władczy jak ton głosu stosowany wówczas, gdy oczekiwał, że ludzie będą go traktować jak ważną osobistość, którą przecież był. Podpisał list słowami „Lord Rahl”.

Clarissa nachyliła się, wtuliła nos w jego szyję i leciutko ugryzła go w ucho.

- Ostatnia noc była bardziej niż cudowna, Nathanie. Była magiczna. Byłeś wspaniały. Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Magiczna. A tak, było w tym też trochę magii. Jestem starym człowiekiem, więc muszę wykorzystywać wszystkie swoje dary.

Przeczesała mu włosy palcami.

- Starym człowiekiem? Wcale tak nie uważam, Nathanie. Mam nadzieję, że dogodziłam ci choć w połowie tak jak ty mnie.

Roześmiał się i złożył list.

- Widzę, że udało mi się za tobą nadażyć. - Wsunął dłoń pod szlafrok Clarissy i uszczypnął ją w goły pośladek. Podskoczyła z piskiem. - Noc z taką

piękną i kochającą kobietą to jeden z najwspanialszych momentów mojego życia. Przytuliła jego głowę do swoich piersi.

- Wciąż żyjemy. Nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli jeszcze przeżyć kilku takich najwspanialszych momentów.

Szelmowski uśmiezek Proroka jeszcze bardziej się rozszerzył. Nathan znów położył dłoń na jej gołym pośladku i ścisnął go. Oczy błysnęły mu pożądliwie.

- Pozwól, że najpierw uporam się z tą sprawą, a potem zrobimy właściwy użytek z tego wielkiego łoża.

Małą miedzianą łyżeczką zaczerpnął z pudełka okruszków czerwonego wosku i wysypał je na złożony list.

- Nathan, głuptasie, powinienesz wylać na list stopiony wosk. Uniósł brew.

- Powinnaś już wiedzieć, moja droga, że mój sposób jest lepszy.

Clarissa zaśmiała się gardłowo.

- Bez wątpienia.

Nathan zatoczył palcem koło nad okruskami wosku. Z palca na wosk spłynęły iskry blasku. Okruszki przez chwilę jaśniały, a potem stopiły się i zamieniły w czerwoną plamę. Clarissa westchnęła z zachwytem. Prorok był nie kończącym się zadziwieniem. Poczwała, jak rumieni się na wspomnienie innej magii jego palców.

Pochyliła się i szepnęła mu cicho i czule do ucha:

- Chcę, żebyś ty i twój magiczny palec znów znalazł się ze mną w łożu, lordzie Rahlu.

Nathan uniósł magiczny palec w wieszczym geście.

- I tak się stanie, moja droga, gdy tylko wysłę ów list.

Znów poruszył palcem nad listem, a ten uniósł się w powietrze. Clarissa otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. List sunął w powietrzu przed idącym ku drzwiom Nathanem. Prorok teatralnie poruszył drugą ręką i drzwi się otworzyły.

żołnierz, który siedział na podłodze, naprzeciw drzwi, podniósł się.

Zasalutował, przykładając pięść do serca.

Nathan, tylko w spodniach i z sięgającymi ramion białymi włosami, wyglądał jak szaleniec. Clarissa wiedziała, że nie był szalony, lecz zdawała sobie sprawę, iż - kiedy tak stał, wielki i władczy - musiał na takiego

wyglądać w oczach innych ludzi.

Ludzie bali się Nathana. Poznawała to po wyrazie ich oczu. Rozumiała ich strach, bo pamiętała, jak sama się go bała, nim zdążyła go lepiej poznać. Teraz jedynie z trudem przypominała sobie, jak bardzo olbrzymi Prorok ją przerażał. Kiedy patrzył na ludzi swoimi lazurowymi oczami i z irytacją marszczył brwi, to mógłby - zdaniem Clarissy - zmusić do ucieczki całą armię.

Nathan wyciągnął przed siebie ramię i list pofrunął do srogiego żołnierza.

- Pamiętasz wszystkie moje instrukcje, Walsh, prawda? żołnierz złapał pismo i schował je pod bluzę. Był pełen szacunku, lecz Nathan wcale go nie onieśmiał.

- Jasne. Powinieneś mnie na tyle znać, Nathanie. Prorok stał się nieco mniej wyniosły, podrapał się w głowę.

- Chyba powinienem.

Clarissa zastanawiała się, gdzie też znalazł owego żołnierza i kiedy zdążył wydać mu instrukcje. Uznała, że musiał na chwilę wyjść, gdy spała.

Ów żołnierz różnił się trochę od większości tych, których widziała. Miał podróżną pelerynę, skórzane sakwy u pasa, a jego mundur był o wiele lepszej jakości niż mundury zawodowych żołnierzy, których zwykle widywała. Jego miecz był krótszy, a nóż dłuższy. No i nie był niski. Był równie wielki jak Nathan, ale sposób bycia czarodzieja sprawiał, że wydawał się on Clarissie wyższy od wszystkich.

- Oddaj list generałowi Reibischowi - powiedział Prorok. - I pamiętaj, że jeśli któraś z tych Sióstr zacznie cię wypytywać, masz je ostrzec przed tym, co mówiłem, i powiedzieć, że lord Rahl kazał ci trzymać język za zębami. To im zamknie usta.

żołnierz uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Rozumiem... lordzie Rahlu. Nathan potaknął.

- Znakomicie. A co z innymi? Walsh wykonał nieokreślony gest.

- Bollesdun będzie w pobliżu i powie ci wszystko, czego się dowie. Jestem niemal całkiem pewny, że to był jedynie korpus ekspedycyjny Jaganga, ale Bollesdun ma się co do tego upewnić. Był liczny, owszem, ale niezbyt liczny w porównaniu z główną armią. Nie znalazłem żadnego dowodu na to, że podstawowe siły imperatora stacjonujące niedaleko portu Grafan ruszyły na

północ. Z tego, co słyszałem, wynika, że Jagang siedzi spokojnie i czeka na coś. Nie wiem na co, lecz nie popędzi swoich wojsk na północ, do Nowego Świata.

- Wojska, które widziałem, weszły głęboko do Nowego Świata.

- W dalszym ciągu uważam, że był to tylko korpus ekspedycyjny. Jagang jest cierpliwy. Opanowanie i zjednoczenie Starego Świata pod swoją władzą zabrało mu całe lata. Stosował bardzo podobną taktykę: wysyłał korpus ekspedycyjny, by ten zajął najważniejsze miasto albo przejął różnego rodzaju informacje, przede wszystkim księgi i akta. Ci żołnierze są celowo brutalni, lecz mają zdobywać księgi. Odsyłają wszystko, co uda im się przechwycić, i czekają na rozkazy Jaganga, który wskazuje, gdzie mają się następnie zapędzić. Bollesdun ma kilku ludzi, którzy to sprawdzają, ale muszą być ostrożni, więc zajmie im to trochę czasu. Spędzaj zatem mile czas oczekiwania. Nathan gładził podbródek i zastanawiał się.

- Taaak, wyobrażam sobie, że Jagang nie pali się jeszcze, by wysłać armię do Nowego Świata. - Znów patrzył na Walsha. - Lepiej już ruszaj.

Walsh potaknął. Spojrzał przelotnie na Clarissę, potem znów na Nathana i leciutko się uśmiechnął.

- Bratnia dusza. Nathan zaśmiał się cicho.

- Sprawy serca to jeden z dziwów natury.

Sposób, w jaki Prorok to powiedział, sprawił, że serce Clarissy wezbrało dumą. Szczyciła się, że zaliczył ją do swoich sercowych spraw.

- Będziesz ostrożny w tym gnieździe szcurów, Nathanie, co? I nie chcę słyszeć, że nie masz oczu z tyłu głowy. - Poklepał się po bluzie w miejscu, gdzie schował pismo. - A zwłaszcza nie wtedy, gdy dostarczę ten list.

- Będę ostrożny, chłopcze. Tylko na pewno doręcz to pismo.

- Masz na to moje słowo.

Nathan zakończył tę sprawę, zamknął drzwi i spojrzał na Clarissę. Oczy mu błyszczały. Pożądliwie. Znów uśmiechał się szelmowsko.

- Nareszcie sami, moja droga.

Clarissa pisnęła i umknęła do łóża, udając przerażenie.

ROZDZIAŁ 45

Jak myślisz, co się dzieje? - spytała Ann.

Zedd zadarł głowę, starając się coś zobaczyć, lecz trudno było wypatrzeć cokolwiek przez otaczającą ich ścianę nóg. Łowcy duchów Nangtongów warknęli jakieś rozkazy, których czarodziej nie zrozumiał, ale kilka dzid oparło się o jego ramiona, przekazując jednoznaczne polecenie, żeby lepiej tkwił bez ruchu.

Zedd i Ann spoczywali na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, strzeżeni przez krąg Nangtongów, reszta łowców siedziała natomiast w pewnej odległości i prowadziła rozmowy z grupą Si Doaków.

- Są zbyt daleko, bym mógł coś usłyszeć, ale nawet gdyby byli bliżej, niewiele by to dało. Znam zaledwie kilka słów w języku Si Doaków.

Ann zerwała długie źdźbło trawy i owinęła je wokół palca. Nie spojrzała na Zedda. Nie chcieli wzbudzać w swoich porywaczach podejrzeń, że są zdrowi na umyśle i zdolni do knucia spisków.

Zachichotała piskliwie dla zachowania pozorów.

- Co wiesz o tych Si Doakach?

Zedd zamachał ramionami jak zbierający się do odlotu ptak.

- Wiem, że nie składają ofiar z ludzi.

Jeden ze strażników uderzył czarodzieja w czoło drzewcem dzidy, jakby chciał mu wybić z głowy wszelkie myśli o odlocie. Zedd ryknął śmiechem, choć miał wielką ochotę zakląć.

Ann zerknęła nań kątem oka.

- Zaczynasz się zastanawiać, czy istotnie należy pozwalać Nangtongom żyć, jak chcą?

Pierwszy Czarodziej się uśmiechnął.

- Gdybym chciał im pozwolić robić, co chcą, to bylibyśmy już w świecie duchów. To, że pozwalasz żyć wilkom, nie oznacza wcale, iż mogą zjadać twoje stada.

Mruknęła, przyznając mu rację.

W oddali, w pobliżu łagodnego wzniesienia, trwały negocjacje. Około dziesięciu Nangtongów i tyłuż Si Doaków siedziało w kręgu ze skrzyżowanymi nogami. Nangtongowie wyliczali coś głośno, wymachując

przesadnie ramionami.

Wskazywali na Zedda. Przemawiali niezrozumiale, lecz z głębi serca. Zedd pochylił się ku Ksieni i wyszeptał:

- O ile wiem, Si Doakowie są nastawieni dość pokojowo. Nigdy nie słyszałem, żeby wywoływali wojny lub używali siły przeciwko sąsiadom, nawet tym słabszym od nich. Ale w sprawach handlowych nie znają litości. Większość ludów z tych okolic Dżicy wolałaby się raczej układać z wilkiem. Inne ludy uczą swoją młodzież walki, Si Doakowie natomiast sztuki dobijania targu.

Ann spojrzała w innym kierunku, jakby straciła całe zainteresowanie sprawą.

- Co sprawia, że są w tym tacy dobrzy?

Zedd rzucił okiem na strażników. Wszyscy obserwowali targi i nie zwracali uwagi na swoich bezbronnych więźniów.

- Odznaczają się rzadką umiejętnością: potrafią odstąpić od pertraktacji. Inni się przy czymś upierają i raz-dwa zaczynają się godzić na mniej, byle tylko dobić targu. Si Doakowie tak nie postępują. Oni po prostu odchodzą. Kiedy trzeba, bez żalu rezygnują i wracają do innych zajęć.

Jeden z Si Doaków, mężczyzna w króliczej skórce na głowie, klepnął leżącą w środku kręgu górę koców. Wskazał na niewielkie stadko kóz i zaproponował - tak zrozumiał Zedd - dwa zwierzęta.

Oferta rozwścieczyła Nangtongów. Ich główny negocjator skoczył na równe nogi i kilkakrotnie dźgnął dzidą niebo, najwyraźniej wyrażając w ten sposób oburzenie niską ceną. Zedd zauważył jednak, że nie odszedł. To była honorowa sprawa - Nangtongowie zbyt dużo w to włożyli.

Czarodziej trącił Ann łokciem. Odrzucił do tyłu głowę i zawył jak kojot.

Ksieni pojęła zachętę i przyłączyła się do niego. Oboje skowyczeli i ujadali najgłośniej, jak tylko mogli.

Negocjatorzy zamilkli i wpatrzyli się w więźniów. Główny negocjator Nangtongów z powrotem usiadł.

Uderzenia w głowę uciszyły i Zedda, i Ann. Rozmowy zostały wznowione.

Jeden z Nangtongów poszedł dokładniej obejrzeć kozy.

Zedd podrapał się po ramieniu. Suche błoto zaczynało mu przeszkadzać.

Byłoby chyba jednak jeszcze gorzej, gdyby wycięto mu serce, odcięto

głowę czy też uczyniono cokolwiek z tego, co Nangtongowie robią składanym w ofierze.

- Jeść mi się chce. Przez cały dzień nie dali nam nic do jedzenia. Już prawie połowa popołudnia, a nie nakarmili nas - mruknął czarodziej.

Warknął na strażników, żeby okazać im swoje niezadowolenie. Negocjatorzy znów na chwilę umilkli i spojrzeli na więźniów. Wszyscy Si Doakowie skrzyżowali ramiona i bez słowa wpatrywali się w Nangtongów.

Nangtongowie szybko wznowili pertraktacje, zmieniając przy tym ton głosu.

Stali się pojednawczy. Niedbałą paplaninę przerywał zduszony śmiech. Odpowiedź Si Doaków była krótka i zwięzła. Ten z króliczą skórką na głowie wskazał na popołudniowe słońce, a potem wyciągnął rękę w stronę swojego domu.

Główny negocjator Nangtongów zdjął koc ze stosu w centrum koliska i przyjrzał mu się z niechętnym podziwem. Podał koc swoim pobratymcom.

Kiwnięciami głów wyrazili uznanie dla jego wartości, jakby ją właśnie teraz odkryli.

Nangtong, którego wysłano, by przyjrzał się kozom, powrócił z dwoma zwierzętami.

Pokazał je swoim, a oni aż zapiali z zachwytu, jak gdyby po raz pierwszy uświadomili sobie, że kozy były o wiele wspanialsze, niż im się początkowo wydawało. Jak gdyby nie były to wcale wychudzone zwierzaki, które spodziewali się ujrzeć.

Nangtongowie zdecydowali najwyraźniej, że bez względu na wszystko nie chcą wracać do osady z więźniami. Jakikolwiek towary były lepsze niż dwoje szalonych ludzi. Przecież nie mogli wysłać duchom wariatów. Każda zamiana byłaby dobra, zwłaszcza w obliczu gwałtownie zmniejszającego się zainteresowania Si Doaków.

Si Doakowie zachowywali kamienne twarze. Nangtongowie popełnili błąd: zdradzili chęć sprzedania „towaru”. A Si Doakowie nikogo tak nie cenili, jak tych, którzy są zdecydowani wymienić swój towar.

Nagle uzgodniono cenę, choć Zedd nie wiedział jaką. Przywódcy Si Doaków i Nangtongów wstali, skrzyżowali zgięte w łokciach ramiona i trzy razy okręcili się dokoła. Kiedy się puścili, obie grupy zaczęły rozmawiać z zadowoleniem. Dobito targu.

Nangtongowie zaczęli zbierać koce, spętali kozy. Si Doakowie ruszyli po swój nabytek. Strażnicy stuknęli Zedda i Ann w głowy, najwyraźniej ostrzegając, żeby nie uniemożliwili wymiany.

Czarodziej nie miał najmniejszej ochoty zrywać ich umowy. Si Doakowie nie składali ludzi w ofierze. No i - zgodnie z tym, co wiedział - byli łagodnym ludem: najsurowszą karą wymierzaną temu, kto dopuścił się ciężkiego występku, było wygnanie. Często wygnany Si Doak umierał z głodu, cierpiąc ogromnie z powodu pozbawienia go jedynego domu, jaki znał. Niegrzeczne dziecko natychmiast przywoływano do porządku, nie dostrzegając go przez cały dzień. Dla dziecka Si Doaków była to straszliwa kara i potem przez długi czas nie sprawiało najmniejszych kłopotów.

Zedd i Ann nie byli rzecz jasna członkami społeczności Si Doaków, więc było bardzo prawdopodobne, że nie zostaną potraktowani tak ulgowo.

Czarodziej nachylił się ku Ann i szepnął:

- Nie sądzę, by ci ludzie chcieli nam zrobić coś złego. Wiedz jednak, że jeśli nie zechcą nas zabrać, to Nangtongowie mogą nam zwyczajnie poderżnąć gardło, byle tylko nie narażać się na upokarzający powrót z dwoma wariatami.

- Najpierw każesz mi się bawić w błocie, a teraz chcesz, żebym była grzeczną dziewczynką?

Zedda rozbawił jej sarkazm.

- Tylko dopóty, dopóki nasi nowi właściciele nie zabiorą nas od dawnych.

Starszy Si Doaków, ten z króliczą skórką na głowie, przykucnął przed nowymi nabytkami. Dotknął ramienia Zedda, ocenił jego mięśnie. Mruknął zde gustowany.

Potem dotknął ramienia Ann i zamruczał z zadowoleniem.

Ann spojrzała znacząco na Zedda.

- Wygląda na to, że wydają im się miłsza niż kościsty staruch.

Czarodziej się uśmiechnął.

- Myślę, że uznali cię za lepsze zwierzę robocze. Przydzielą cię do ciężkiej roboty.

Z twarzy Ann zniknęło zadowolenie.

- Co masz na myśli?

Zedd ją uciszył. Obok starszego przykucnął jeszcze jeden Si Doak. Do głowy miał przymocowane rogi kozła, a na bluzie ze skóry kozła miał ze sto

naszyjników.

Jedne sięgały mu aż do krocza, inne ciasno okalały szyję, pozostałe zaś miały pośrednią długość. Wykonano je z zębów, koralików, kości, skorup naczyń, metalowych krążków, złotych monet, małych skórzanych woreczków i rzeźbionych amuletów. Mężczyzna był szamanem Si Doaków.

Szaman ujął dłoń Zedda i delikatnie wyprostował mu ramię. Puścił je. Zedd pozwolił ręce opaść. Mężczyzna zaszwargotał z dezaprobatą i czarodziej zrozumiał, że powinien był utrzymać ramię w nadanej pozycji. Nie zdradził się, że rozumie trochę z tego, co do niego mówiono, tylko pozwolił szamanowi znów unieść swoje ramię i dać mu znak, by trzymał je w takiej pozycji.

Nangtongowie wciąż celowali dzidami w dwoje więźniów, szaman zaś wyjmował z jednego ze skórzanych woreczków na piersi długie, zwinięte źdźbła trawy. Śpiewał coś, owijając jednocześnie trawę wokół nadgarstka Zedda. Potem owinął źdźbła wokół drugiego nadgarstka czarodzieja, a na koniec uczynił to samo z Ann.

- Wiesz, co on robi? - spytała Ksieni.

- Związuje naszą magię. Nangtongowie nie muszą nic robić, by pozbawić nas magii. Si Doakowie za to muszą skorzystać ze swojego daru, żeby stłumić naszą moc.

Ów szaman jest magicznym człowiekiem. Ma dar. Jest kimś w rodzaju czarodzieja Si Doaków. - Zedd spojrzał na nią kątem oka. - A może wołałabyś powiedzieć, że jest jak Siostry Światła i ich obroże? I że nie będziemy mogli zdjąć tej trawy, tak jak nie można zdjąć obroży?

Kiedy więźniowie mieli już obwiązane trawą nadgarstki, Nangtongowie cofnęli dzidy, zabrali swoją część koców oraz dwie kozy i pospiesznie zniknęli.

Starszy Si Doaków, ten z króliczą skórką na głowie, pochylił się ku Zeddowi i powiedział coś. Czarodziej zmarszczył brwi i wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie, a tamten wykonał kilka ruchów, które najwyraźniej właśnie przyszły mu do głowy. Odgrywał robotę do wykonania i pory roku: kopanie ziemi i sadzenie, letni skwar i chłód zimy. Zedd nie rozumiał zbyt wiele, trochę jednak pojął.

- Uważam, że ci chłopcy wybawili nas od śmierci - zwrócił się do Ann. - Mamy im służyć przez jakieś dwa lata, żeby mogli odzyskać to, co za nas

zapłacili, i dostać jeszcze jakąś rekompensatę za trudy, które ponieśli.

- Sprzedano nas w niewolę?

- Na to wygląda. Ale tylko na dwa lata. Bardzo to wielkoduszne z ich strony, zwłaszcza że Nangtongowie mieli nas zabić.

- Może moglibyśmy się jakoś wykupić.

- Si Doakowie uważają, że mamy wobec nich dług osobisty i że możemy go jedynie odpracować. Według nich, musimy poświęcić część życia, które nam zwrócili, by okazać im wdzięczność. I by sprzątać po nich.

- Sprzątać? Mamy czyścić podłogi, żeby spłacić dług?

- Sądzę, że chcą, byśmy gotowali, dzwigali różne rzeczy, doglądali ich zwierząt i tak dalej.

Jakby na potwierdzenie tych słów Si Doakowie zaczęli zdejmować przez głowę rzemienie, na których nosili bukłaki, i podawać je Zeddowi oraz Ann.

- Czego chcą? - spytała. Zedd zrobił znaczącą minę.

- Chcą, byśmy nieśli ich wodę.

Pojawili się jeszcze trzej Si Doakowie z resztą koców. Rozdzielili je i podali nowym tragarzom.

- Czyżbyś chciał mi wmówić, że Pierwszy Czarodziej Midlandów i Ksieni Sióstr Światła zostali sprzedani w niewolę za kilka koców i dwie kozy?! - burknęła Ann.

Zedd, popchnięty z tyłu, zachwiał się i ruszył za odchodzącymi Si Doakami.

- Rozumiem, co masz na myśli. Po raz pierwszy Si Doakowie przepłacili - powiedział przez ramię do Ann.

Zedd potknął się i upuścił połowę swoich bukłaków. Złapał równowagę, nadeptując przy tym na bukłak, który zawadził o kolczasty krzak jagód. Czarodziej pochylił się, żeby podnieść bukłaki. Niesione przez niego koce wpadły do kałuży utworzonej przez wodę z rozerwanego naczynia. Zbierał bukłaki i - by utrzymać równowagę - podparł się kolanem. Rozgniół jagody pod kocem.

- Och. - Pomachał przepraszająco do Si Doaków. - Bardzo mi przykro.

Si Doakowie skakali wokół z podnieceniem, domagając się, żeby podniósł wszystko za jednym zamachem. Właściciel rozdartego kolcem bukłaka wskazywał gniewnie na swoją zniszczoną własność i domagał się rekompensaty.

- Przecież powiedziałem, że przepraszam - protestował Zedd, choć nie mogli go zrozumieć. Pochylił się, żeby podnieść wilgotne koce. Uniósł jeden i rozpostarł go.

- O rany. Popatrz no tylko. Nigdy już nie spierzemy tych plam.

ROZDZIAŁ 46

Miałeś ciężką podróż, lordzie Rahlu - powiedziała Berdine. - Uważam, że powinieneś odpocząć. Trzeba wracać, żebyś mógł odpocząć.

Masywny wał obronny, oświetlony miodowym blaskiem wiszącego nisko słońca, rozciągał się przed ich trójką niczym szeroka droga. Richard chciał opuścić wieżę przed zmrokiem. Nie dlatego, by światło dnia mogło go ocalić od działania niebezpiecznej magii, lecz dlatego, że przebywanie w Wieży Czarodzieja po zmroku wydawało się gorsze niż za dnia.

Raina przechyliła cię za nim i powiedziała:

- To był twój pomysł, Berdine.

- Mój?! Nigdy czegoś takiego nie proponowałam!

- Uciszcie się, obie - mruknął Richard.

Oceniał dotyk magii na swojej skórze. Przeszli długim wałem obronnym połowę drogi dzielącej ich od prywatnej enklawy Pierwszego Czarodzieja i dopiero wtedy Richard wyczuł na skórze mrowienie magii. Obie Mord-Sith zawahały się, gdy poczuły dotknięcie mocy.

Kahlan opowiadała mu o tym miejscu, o prywatnej enklawie Pierwszego Czarodzieja. Mówiła, że zwykła przychodzić na ów wał obronny, bo roztacza się zeń przepiękny widok na Aydindril - i rzeczywiście tak było - mówiła też jednak, że jest tu magia potężnych osłon. Osłony te nie dopuszczają nikogo do tego małego zakątka Wieży Czarodzieja - do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Kahlan zdradziła też Richardowi, że za jej pobytu tutaj nie było nigdy czarodzieja, który miałby dość mocy, by przejść przez te osłony. Czarodzieje próbowali, lecz bez skutku. Czarodzieje żyjący i pracujący w wieży, gdy Kahlan dorastała, nie mieli po prostu magicznej mocy niezbędnej, żeby wejść do Wieży Pierwszego Czarodzieja. Zedd był Pierwszym Czarodziejem i od czasu, kiedy opuścił Midlandy przed przyjściem na świat Richarda i Kahlan, nikt nie był w jego prywatnej enklawie.

Dziewczyna mówiła też, że owe osłony nasilały swoje działanie, w miarę jak się do nich podchodziło, i że włosy zaczynały sterczeć na wszystkie strony oraz trudno było oddychać. Ostrzegła również, iż jeśli określona osoba nie ma wystarczająco silnej magicznej mocy, to zbliżenie się do tych

osłon może być śmiertelnie groźne. Richard w najmniejszym stopniu nie lekceważył tego, co od niej usłyszał, lecz musiał się tam dostać.

Kahlan powiedziała mu także, że aby wejść, trzeba położyć dłoń na chłodnej metalowej płytce umieszczonej obok drzwi, i że nie zdołał uczynić tego żaden ze znanych jej czarodziejów. Richard zetknął się z podobnymi osłonami w Pałacu Proroków, gdzie też trzeba było przykładać dłoń do metalowej płytki, ale tamte - o ile wiedział - nie groziły śmiercią. Potrafił przechodzić przez osłony w Pałacu Proroków i te osłony w Wieży Czarodzieja, które wymagały magii, jaką dysponował, doszedł więc do wniosku, że może uda mu się pokonać i tę. Musiał się dostać do środka.

Berdine rozmasowała ramiona, zaniepokojona magicznym mrowieniem.

- Na pewno nie jesteś zmęczony? Cały czas byliśmy w siodle.

- To nie była wcale ciężka przejażdżka. Nie jestem zmęczony - odparł Richard.

Był zbyt zmartwiony, żeby odpoczywać. Myślał, że Kahlan zdąży już wrócić.

Był pewny, że znajdzie ją w domu, gdy wróci z góry Kymerosst. Powinna już powrócić.

Ale nie wróciła.

Będzie czekał na nią tylko do rana.

- W dalszym ciągu uważam, że nie powinniśmy tego robić - mruknęła Berdine. - Jak twoja stopa? Chyba nie powinieneś jej obciążać.

Richard w końcu spojrzał na nią. Tuliła się do jego lewego boku, a Raina do prawego. Obie trzymały w dłoni Agiel.

- Z moją stopą wszystko w porządku, dziękuję. - Poruszył się, odsuwając je nieco, by móc swobodniej oddychać. - Jest mi potrzebna tylko jedna z was. Nie stracisz twarzy, jeśli będziesz wolała tu pozostać. Raina może iść, jeśli ty nie chcesz.

Berdine łypnęła nań gniewnie.

- Wcale nie powiedziałam, że nie idę. Powiedziałam, że nie powinieneś tego robić.

- Muszę. Nigdzie tego nie było, więc musi być tutaj. Mówiono mi, że w Wieży Pierwszego Czarodzieja przechowuje się ważne rzeczy, których absolutnie nikt nie powinien zobaczyć.

Berdine poruszyła ramionami, rozluźniając mięśnie.

- Skoro upierasz się, by tam pójść, to i ja idę. Nie pozwolę, żebyś wszedł tam beze mnie.

- Raino, nie potrzebuję was obu. Wolisz tutaj zaczekać? - spytał Richard.

W odpowiedzi Raina obrzuciła go mrocznym, gniewnym spojrzeniem Mord-Sith.

- No to w porządku. A teraz słuchajcie uważnie. Zdaję sobie sprawę, że te osłony są niebezpieczne, ale to wszystko, co o nich wiem. Mogą być zupełnie inne niż te, przez które was przeprowadzałem. Muszę dotknąć tej metalowej płytki w ścianie.

Chcę, byście tu poczekały, a ja pójde i sprawdzę, czy moja magia wystarczy, żeby otworzyć drzwi. Jeśli się otworzą, podejdziecie.

- Ale to nie podstęp, co? - spytała Raina. - Już nas kiedyś oszukałeś, żebyśmy nie weszły tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo. Mord-Sith nie lękają się niebezpieczeństw.

Wiatr uniósł utkaną ze złotych nici pelerynę Richarda.

- Nie, Raino, to nie jest podstęp. To ważne, lecz nie chcę, by któraś z was bez potrzeby ryzykowała życiem. Obiecuję, że pójdziecie ze mną, jeżeli otworzę drzwi.

Zadowolone?

Obie potaknęły. Chłopak z uznaniem uścisnął każdej z nich ramię. Poprawił roztargnionym ruchem metalowe obręcze na nadgarstkach, wpatrując się przy tym w wielki bastion oczekujący nań u końca wału obronnego.

Kiedy ruszył ku Wieży Pierwszego Czarodzieja, uderzył w niego zimny wiatr.

Czuł napór osłony, przypominający napór wody, kiedy nurkuje się na dno stawu.

Posuwał się naprzód, czując, jak jeżą mu się włoski na karku. Napór utrudniał oddychanie, zupełnie tak, jak tego doświadczyła Kahlan.

Po obu stronach zdobionych złotem drzwi stało sześć olbrzymich czerwonych kamiennych kolumn, które podtrzymywały entablature z ciemnego kamienia.

Architrav zdobiły mosiężne płyty. Gdy Richard znalazł się bliżej, rozpoznał niektóre symbole: takie same widniały na jego pasie, obręczach

opinających przeguby i na srebrnych blaszkach rzemieni butów. Fryz ozdobiono metalowymi krążkami, na których widać było bardziej koliste symbole. Symbole w kształcie linii, które odpowiadały tym na srebrnych ozdobach stroju Richarda, wyryto w kamiennym gzymsie.

Widok znanych znaków dodał Richardowi pewności siebie, choć chłopak nie znał ich znaczenia. Nosił te symbole z poczucia obowiązku, odpowiedzialności i z tytułu należnego mu prawa. Po to się urodził - tyle wiedział. Nie wiedział jednak dlaczego. I choćby bardzo chciał, nie mógł nic na to poradzić. Był czarodziejem wojny.

Chłopak - skupiony na nieprzyjemnym naporze i mrowieniu osłon - nie zauważył nawet, kiedy dotarł do drzwi. Były wysokie na prawie dwanaście stóp, szerokie na dobre cztery, obłożone złotem i ozdobione takimi samymi symbolami.

W samym centrum widniał najbardziej wyróżniający się spośród wszystkich symboli, które zdobiły strój Richarda: dwa schematyczne trójkąty, wokół których i przez które wiała się podwójna linia. Chłopak położył lewą dłoń na rękojeści miecza, prawą zaś powiodł po owych symbolach, po ich owalnym, falistym obrzeżu.

Dotykanie symboli, wodzenie po nich palcami sprawiło, że zrozumiał. Duchy tych, którzy władali przed nim Mieczem Prawdy, przekazały mu swoją wiedzę, gdy nim walczył. Nie zawsze wszakże ubierały ową wiedzę w słowa - w ogniu walki przeważnie nie było na to czasu.

Niekiedy objawiało się to Richardowi w obrazach, symbolach: w tych symbolach.

Te na drzwiach i na obręczach opinających jego przeguby oznaczały taniec w walce z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Przekazywały sens ruchów owego tańca, ruchów pozbawionych określonej formy.

Taniec ze śmiercią.

To miało sens. Nosił strój czarodzieja wojny. Z pamiętnika Kolo dowiedział się, że w tamtych czasach Pierwszy Czarodziej, człowiek imieniem Baraccus, też był czarodziejem wojny, podobnie jak on sam. Krawiec malował na swojej witrynie nożyce, na szyldzie tawerny widniał kufel, kowal przybijał nad wejściem podkowę, a wytwórca broni eksponował noże. Owe symbole również były oznaką jego fachu: sprowadzania śmierci.

Richard uświadomił sobie, że jego strach zniknął. Stał w Wieży

Czarodzieja, która zawsze straszliwie działała mu na nerwy, stał przed wejściem do najbardziej chronionego w niej miejsca - i był spokojny.

Dotknął promienistej gwiazdy na drzwiach. To było zalecenie.

Patrz na wszystko jednocześnie, nigdy nie skupiaj wzroku na jednej rzeczy.

Takie było znaczenie tego symbolu: patrz na wszystko jednocześnie, nie skupiaj wzroku na jednej rzeczy - nie pozwalaj, by wróg kierował twoim spojrzeniem, bo ujrzysz to, co on chce ci ukazać. Runie na ciebie, gdy będziesz zdezorientowany, wypatrując jego ataku, i przegrasz. Powinieneś obejmować wzrokiem wszystko naraz, nigdy go na niczym nie zatrzymując, nawet gdy tniesz mieczem. Instyktownie wyczuwaj ruchy wroga, nie czekaj, aż je ujrzysz. Tańczyć ze śmiercią, to znaczy wiedzieć o mieczu wroga i jego szybkości bez oczekiwania, aż się go ujrzy. Tańczyć ze śmiercią, to znaczy stanowić jedność z wrogiem bez wpatrywania się weń - dzięki temu można go zabić. Taniec ze śmiercią to konieczność zabijania, którą akceptuje się sercem i duszą. Taniec ze śmiercią oznacza, że stałeś się wcieleniem śmierci, która przybyła, żeby zlikwidować wroga.

- Lordzie Rahlu? - Z wału obronnego dobiegł go głos Berdine.

- Co? Co się stało? - Richard obejrzał się ku niej przez ramię. Berdine przestąpiła z nogi na nogę.

- Nic ci nie jest? Tak długo tam stoisz i wpatrujesz się w drzwi. Nic ci się nie stało?

Richard przetarł twarz dłonią.

- Nie. Wszystko w porządku. Ja tylko... tylko patrzyłem na symbole na drzwiach, ot co.

Odwrócił się i nie patrząc, przycisnął dłoń do chłodnej metalowej płytki osadzonej w gładkiej ścianie z szarego granitu. Kahlan mówiła mu, że twierdzono, iż dotknięcie owej metalowej płytki przypomina dotykanie lodowatego, martwego serca samego Opiekuna.

Metalowa płytka się rozgrzała. Złote drzwi rozwarły się cicho.

Z wnętrza wypłynęło przyćmione światło. Richard ostrożnie stanął w progu.

Przyćmione światło stopniowo jaśniało, jakby ktoś podkręcał knot lampy. Kolejny krok i pojaśniało jeszcze bardziej.

Chłopak przeszukał wnętrze wzrokiem i dał znak czekającym Mord-Sith,

żeby podeszły. Najwyraźniej zniknęła magia broniąca dostępu, gdyż Berdine i Raina bez żadnych kłopotów znalazły się przy Richardzie.

- To wcale nie było takie groźne. Nic nie czułam - stwierdziła Raina.

- Jak dotąd wszystko jest w porządku - powiedział Richard. Wewnątrz, pod ścianą z lewej i z prawej strony, na zielonych marmurowych postumentach tkwiły szklane kule o średnicy równej szerokości dłoni. Richard już przedtem, w niżej położonych partiach wieży, widział podobne szklane kule. I te, i tamte dostarczały światła.

Przepastne wnętrze Wieży Pierwszego Czarodzieja ozdobiono wspaniąłą kamieniarską robotą. Ustawione w kwadrat cztery kolumny z lśniącego czarnego marmuru o średnicy co najmniej dziesięciu stóp każda podtrzymywały łuki tuż pod zewnętrznym obrzeżem środkowej kopuły, którą otaczał pierścień okien. Między każdą parą kolumn od rozległego centralnego westybulu odchodziło boczne skrzydło.

Richard zauważył, że w kamieniu powtarzały się te same pięciopalczaste liście, które wyryto na złotych kapitelach czarnych marmurowych kolumn. Marmur ten był tak wypolerowany, że wszystko odbijało się w nim jak w lustrze.

Świece tkwiły we wspaniąłej roboty kinkietach z kutego żelaza. Te również zdobiły pięciopalczaste liście. Centralną część posadzki okalały wspaniąłe żelazne balustrady.

Nie była to ponura nora, jakiej spodziewał się chłopak. Wspaniałość owego miejsca dorównywała pałacom, które do tej pory widywał. Było tak piękne, że aż zaniemówił.

Będące holem wejściowym skrzydło, w którym wszyscy stali, było najmniejsze z całej czwórki. Po obu stronach przejścia, którego posadzkę z nakrapianego złotem ciemnobrązowego marmuru wyłożono długim czerwonym dywanem, ustawiono wysokie na sześć stóp białe marmurowe postumenty. Gdyby Richard usiłował objąć jeden z nich, nie zetknąłby nawet palców. Jednakże odległość trzydziestu stóp dzieląca je od żebrowanego sklepienia sprawiała, że wydawały się niewielkie.

Na kilku postumentach leżały przedmioty, z których część Richard rozpoznał: ozdobne noże, brosze i złote łańcuchy z drogimi kamieniami, srebrny kielich, czary z filigranu oraz wspaniąłe szkatuły. Jedne spoczywały na serwetach ozdobionych złotym lub srebrnym haftem, inne na

podstawkach zrobionych z narośli oderwanych z pni drzew.

Na pewnych postumentach spoczywały powyginane twory, które niczego Richardowi nie przypominały. Mógłby przysiąc, że zmieniały kształt, kiedy na nie spoglądał. Uznał, że najlepiej będzie nie patrzeć wprost na takie magiczne przedmioty, i ostrzegł obie Mord-Sith.

Przeciwnie skrzydło, za środkową partią westybulu biegnącą pod olbrzymią kopułą, kończyło się zaokrąglonym u góry, wysokim na jakieś trzydzieści stóp oknem.

Przed oknem znajdował się wielki stół, zastawiony najrozmaitszymi przedmiotami: szklanymi dzbanami, czarami i zwiniętymi rurkami. Stał też na nim ciężki, lecz bynajmniej nie zdobny kandelabr, który pokrywał odwieczny воск. Obok leżały sterty zwojów, kilka ludzkich czaszek oraz zbieranina niewielkich przedmiotów, których Richard nie rozpoznawał z takiej odległości. Podłoga wokół stołu również była zavalona różnymi rzeczami; część z nich tworzyła wsparte o mebel stosy.

Skrzydło po prawej było ciemne. Samo spojrzenie w tamtym kierunku sprawiło, że chłopak poczuł się nieswojo. Zrozumiał ostrzeżenie i popatrzył w lewo.

Zobaczył księgi. Tysiące ksiąg.

- O tam - rzekł, wskazując lewe skrzydło. - To po to tu przyszliśmy.

Pamiętajcie, co wam mówiłem. Niczego nie dotykajcie. - Spojrzał na rozglądające się wielkimi oczami Mord-Sith. - Mówię poważnie. Nie mam pojęcia, jak mógłbym was uratować, gdybyście wpadły w tarapaty, dotknąwszy tutaj czegoś.

Spojrzały nań dwie pary oczu.

- Pamiętamy - powiedziała Berdine.

- Nie jesteśmy takie głupie, żeby prowokować magię. Tylko się rozglądamy.

Niczego nie dotkniemy - dodała Raina.

- To doskonale. Ale proponuję, żebyście nawet nie patrzyły na nic, na co nie musimy patrzeć. Z tego, co wiem, nawet zwykłe spojrzenie na niektóre rzeczy może wyzwolić ich magiczną moc.

- Tak sądzisz? - spytała ze zdumieniem Raina.

- Myślę, że wołałbym się o tym nie przekonać, gdy już będzie za późno.

Idziemy. Załatwmy naszą sprawę i znikajmy stąd.

Dziwne: choć Richard wypowiedział owe słowa i był przekonany, że brzmiały rozsądnie, wcale nie miał ochoty stąd odchodzić. Wiedział, że miejsce to może być niebezpieczne, a mimo to Wieża Pierwszego Czarodzieja spodobała mu się.

- Lord Rahl boi się magii tak samo jak my - powiedziała Berdine i uśmiechnęła się kpiąco.

- Mylisz się, Berdine. O magii wiem niewiele - ruszył po czerwonym dywanie

- a boję się jej bardziej niż wy.

Dziesięć szerokich stopni na końcu przejścia wiodło do centralnego obszaru westybulu. Była to rozległa przestrzeń pełna marmuru - pośrodku kremowego, na obrzeżach zaś brązowego. Kiedy Richard dotarł do ostatniego stopnia i jego stopa dotknęła marmurowej podłogi, podłoga zaczęła lśnić i buczeć. Chłopak pospiesznie wycofał się na czerwony dywan i lśnienie zniknęło.

- Co teraz? - spytała Raina.

Richard siłą odgiął palce, które wbiła mu w ramię.

- Czy któraś z was dotknęła podłogi? - Obie potrząsnęły głową. - Spróbujcie.

Richard czekał na stopniu, a Berdine ostrożnie próbowała stanąć na marmurze.

Cofnęła stopę.

- Nie mogę. Coś zatrzymuje moją stopę, nim zdołam dotknąć nią podłogi.

Chłopak ponownie zszedł na marmur, a podłoga znów załśniła i zaczęła buczeć.

- Więc to musi być jakaś osłona. Weź mnie za rękę i spróbuj raz jeszcze.

Gdy Berdine trzymała Richarda za rękę, mogła stanąć obok niego na marmurowej podłodze. Raina ujęła drugą dłoń chłopaka i również stanęła obok.

- Skoro to jakaś osłona, to nie puszczajcie moich rąk dopóty, dopóki tędy nie przejdziemy. Nie wiemy, co mogłoby się stać. Mogłybyście się nawet usmażyć jak boczek na patelni.

Mocniej chwyciły jego dłonie. Kiedy weszli na stopnie prowadzące do skrzydła z księgami, podłoga umilkła. Gdyby Richard nie trzymał obu Mord-

Sith za ręce w drodze powrotnej, wpadłyby w pułapkę, nie mogąc wrócić przez buczącą i lśniąca podłogę.

Skrzydło z księgami nie było taką biblioteką, jakiej się Richard spodziewał.

Stały tu, owszem, szeregi półek, lecz panował na nich niefrasobliwy bałagan. Księgi poustawiano byle jak. Kawałki skały służyły jako podpórki tym nielicznym woluminom, które ustawiono pionowo. Tu i ówdzie widać było całe stosy tomów, które ktoś zdjął z półek i tak już zostawił. Większość była zamknięta, lecz całkiem sporo otwarto i zostawiono leżące grzbietem do góry lub do dołu. Jednak nie to stanowiło największą niespodziankę.

Całą - tak się przynajmniej zdawało - podłogę zajmowały sterty ksiąg.

Niektóre nie były zbyt wysokie, wyrastały może na trzy albo cztery stopy, za to większość wyglądała jak prawdziwe kolumny: niektóre osiągały wysokość dwunastu, a może nawet czternastu stóp. Sprawiały wrażenie, jakby miały runąć muśnięte oddechem. Te kolumny ksiąg tworzyły labirynt. Richard nie pojmował, dlaczego wszystkie te tomy stłoczono w takim nieładzie, i tajemnica owa sprawiła, że zrobiło mu się gorąco. Położył dłonie na ramionach kobiet.

- Wiem od dziadka, że w Wieży Czarodzieja są niebywale niebezpieczne księgi. Kahlan mówiła, że najniebezpieczniejsze spośród nich przechowuje się właśnie tutaj, tak by nikt nie mógł się do nich dostać. Nie potrafili tego nawet ci czarodzieje, których znała.

Berdine obrzuciła go spojrzeniem.

- Czy to znaczy, że uważasz, iż księgi same z siebie mogą być już niebezpieczne? Nie ich treść, a one same?

Richard przypomniał sobie opis księgi, którą Siostra Amelia wykorzystała do zapoczątkowania zarazy.

- Nie jestem tego pewny, ale lepiej będzie, jeśli tak właśnie je potraktujemy.

Patrzcie, lecz nie dotykajcie ich.

Berdine z niepokojem zmarszczyła brwi.

- Już z tego miejsca widzę tysiące ksiąg, lordzie Rahlu, a przecież dalej musi ich być jeszcze więcej. Poszukiwania tej, której potrzebujemy, o ile w ogóle tu jest, zajmą nam całe tygodnie.

Richard głęboko zaczerpnął powietrza. Berdine miała rację. Nie

spodziewał się, że znajdzie tutaj aż tak wiele woluminów. Sądził, że większość była w bibliotekach i że tutaj znajdzie zaledwie kilka.

- Skoro chcesz stąd wyjść przed zmierzchem, to nie mamy zbyt wiele czasu.

Równie dobrze moglibyśmy wrócić tutaj jutro i zacząć od samiotkiego rana - odezwała się Raina.

Chłopaka zaczynało przerażać czekające go tu zadanie.

- No to zostaniemy po zmroku. Nawet i całą noc, jeśli będzie trzeba.

Raina obróciła Agiel w palcach.

- Skoro taka twoja wola, lordzie Rahlu.

Richard stal i patrzył na gąszcz ksiąg. Serce w nim zamarło. Potrzebował informacji, a nie poszukiwania igły w stogu siana. Gdybyż tylko mógł się posłużyć swoim magicznym darem, by odnaleźć ową igłę. Odruchowo poprawił obręcze na przegubach. Pod palcami wyczuł promienistą gwiazdę.

Patrz, nie skupiając wzroku.

- Mam pomysł. Zaczekajcie tutaj. Zaraz wracam - oznajmił.

Wrócił do postumentów. Podeszedł do tego, na którym na sporym czworokącie czarnego płótna stała czara z rżniętego kryształu.

- I co to da? - spytała Raina, gdy wrócił z owym kawałkiem materiału.

- Zbyt dużo tu rzeczy, na które można patrzeć. Zrobię z tego przepaskę na oczy, żeby nie widzieć tego wszystkiego, czego nie chcę zobaczyć.

Na twarzy Berdine odmalowało się niedowierzenie.

- Jeśli zawiążesz sobie oczy, to jak wypatrzysz księgę, której szukamy?

- Za pomocą magicznego daru. Pozwolę, by mnie prowadził. Czasami tak właśnie działa: poprzez potrzebę. Te wszystkie księgi wprowadzają zbyt duże zamieszanie. Gdy zawiążę sobie oczy, nie zobaczę ich i będę mógł wyczuć tę, której szukam. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Raina powiodła wzrokiem po tomach.

- Cóż, jesteś lordem Rahlem. Masz magiczny dar. Jeśli to oszczędzi nam spędzenia tutaj nocy, to próbuj.

Richard zasłonił oczy płótnem i zaczął zawiązywać zaimprovizowaną przepaskę.

- Prowadźcie mnie i dbajcie, żebym niczego nie dotknął. I pamiętajcie, że i wy macie niczego nie dotykać.

- O nas się nie martw, lordzie Rahlu. Nie zamierzamy niczego dotykać -

powiedziała Raina.

Richard zawiązał przepaskę i poruszył kilka razy głową, sprawdzając, czy istotnie niczego nie widzi. Potarł palcem promienistą gwiazdę z obręczy na nadgarstku.

Jego świat stał się czarny jak smoła. Poszukał wewnętrznego spokoju, wewnętrznego ogniska wyciszenia - miejsca, w którym spoczywał jego magiczny dar.

Jeśli zaraz zapoczątkowano dzięki magii ze Świątyni Wichrów, to może mają szansę ją powstrzymać. Jeśli nic nie zrobi, umrą niezliczone tysiące ludzi.

Potrzebował owej księgi.

Pomyślał o chłopcu, którego śmierć widział. O małej dziewczynce, Lily, która opowiedziała mu, jak Siostra Mroku pokazała jej książkę. W ten sposób zaczęła się zaraza. Wiedział, że tak było.

To kochane dziecko miało na ciele znaki choroby. Richard nie pytał o to, wiedział jednak, że musiała już umrzeć. Nie potrafił się zmusić, by zapytać o Lily.

Potrzebował tej księgi.

Wysunął naprzód stopę.

- Szturchnijcie mnie palcami, gdybym miał na coś wpaść. Starajcie się nie mówić, lecz jeśli będziecie się musiały odezwać, uczynicie to bez strachu.

Ruszył przed siebie, czując delikatne dotknięcia palców obu Mord-Sith.

Prowadziły go owym dotykiem i chroniły przed zderzeniem ze stertami ksiąg, w których labiryncie błądził.

Richard nie wiedział, co właściwie powinien wyczuć. Nie wiedział, co tak naprawdę go prowadzi: magia, przeczucie czy też wyobraźnia. Chodził tam i z powrotem między półkami, prześlizgiwał się między stosami ksiąg i obawiał się tylko, że kieruje nim jedynie wyobraźnia. Starał się nie zwracać uwagi na to, co sprawiało, że jego myśli błądziły.

Starał się skoncentrować na księdze i pragnieniu odnalezienia jej.

Myślenie o chorych dzieciach sprawiało, że łatwiej mu się było skoncentrować. Potrzebowały go. Były bezbronne.

Chłopak zatrzymał się gwałtownie. Zastanawiał się dlaczego. Skręcił w lewo, choć spodziewał się, że skręci w prawo. Musiał zadziałać jego magiczny dar. Ta myśl sprawiła, że się zdekongentrował. Ponownie skupił

uwagę.

Obie Mord-Sith mocno chwyciły go za ramię i zatrzymały. Zrozumiał. Jeszcze jeden krok i wpadłby na stertę ksiąg.

Właśnie się zastanawiał, w którą stronę się zwrócić, gdy przykucnął. Jego ramię samo się uniosło. Wyciągnął rękę.

- Ostrożnie. To duża, nieregularna sterta. Ostrożnie, bo ją przewrócisz - szepnęła Berdine.

Richard skinął tylko potakująco głową, nie chcąc się rozpraszać mówieniem.

Koncentrował się i starał wyczuć potrzebną mu księgę. Czuł, że jest blisko. Jego palce muskały lekko księgi, przesuwając się ku dołowi sterty i dotykając opraw jednych ksiąg i kart innych, tych ułożonych odwrotnie.

Palce chłopaka zatrzymały się na oprawie jednego z woluminów.

- To ta. - Poklepał oprawny w skórę tom. - Ta. Co tu napisano: Berdine wsparła się dłonią o udo Richarda, nachyliła się i powiedziała:

- To w górnod'harańskim. Coś o Świątyni Wichrów. Tagenricht ost fuer Mosst Verlaschendreck nich Greschlechten.

- Śledztwo i proces w sprawie Świątyni Wichrów - przetłumaczył szepem Richard. - Znaleźliśmy to.

ROZDZIAŁ 47

Oddychaj - nakazała sylfa.

Kahlan pozbyła się z płuc żywego srebra i zaczerpnęła obcego powietrza.

Wokół niej wirował mglisty świat studni sylfy usytuowanej głęboko we wnętrzu wieży. Wreszcie kamienne ściany i podłoga znieruchomiały. Kopuła nad głową wirowała, coraz wolniej.

W komnacie sylfy czekała niespodzianka.

Na krześle, odchyłona do tyłu i z nogami opartymi o blat stołu, spoczywała postać w czerwonym skórzanym uniformie. Kahlan usiadła, zwiesiła nogi z kamiennego murku i starała się przyjść do siebie.

Przednie nogi krzesła stuknęły o podłogę.

- No, no, no. W końcu wróciła zabłąkana Matka Spowiedniczka.

Kahlan zeskoczyła na podłogę. Ledwo utrzymała się na nogach, bo podłoga chwiała się i kołysała.

- Co ty tu robisz, Caro? Cara złapała ją za ramię.

- Lepiej usiądź i zaczekaj, aż będziesz mogła stanąć.

- Nic mi nie jest. - Kahlan obejrzała się przez ramię na widoczną z tyłu srebrzystą twarz. - Dziękuję, sylfo.

- Chcesz podróżować? - Niesamowity głos sylfy długo odbijał się echem od ścian i kopuły.

- Nie, chwilowo mam dosyć podróżowania. Zamierzam tutaj zostać.

- Gdy zechcesz podróżować, przywołaj mnie i będziesz podróżować. Będziesz zadowolona.

- Bo ja wiem - mruknęła Kahlan, kiedy sylfa osuwała się w swoją studnię.

- Niesamowite towarzystwo. I mnie zapraszała do podróży, a potem oznajmiła, że nie mam potrzebnej do tego magii. Pojawia się i wpatruje we mnie z tym osobliwym uśmiechem - powiedziała Cara

- Co tutaj robisz, Caro?

Mord-Sith oparła Kahlan plecami o studnię sylfy. Potrząsnęła głową i obrzuciła dziewczynę najdziwniejszym ze spojrzeń.

- Kiedy lord Rahl przeczytał twój list, raz-dwa domyślił się, co zrobiłaś.

Berdine opowiedziała mu, jak nas tu przyprowadziłaś, żeby poszukać księgi z opisami procesów. Zjawił się tutaj, lecz sylfa nie chciała mu

powiedzieć, dokąd cię zaniósł.

Lord Rahl oznajmił, że skoro już wie, iż sylfa nie śpi, jak tego oczekiwał, to nie można jej zostawiać samej. Powiedział, że mogą się tędy przedostać inni, jak ta Siostra i Marlin.

Kahlan w ogóle o tym nie pomyślała. Nie pomyślała, że kolejny służalec Jaganga może się zjawić w Aydindril za pośrednictwem sylfy. Wyglądało na to, że sylfa nie ma pojęcia, co to lojalność. Będzie podróżować z każdym, kto ma odpowiedni magiczny dar.

- I Richard cię tu zostawił?

- Powiedział, że nie może tu tkwić cały czas i pilnować sylfy. - Cara dumnie uniosła podbródek. - Oznajmił, że studni cały czas powinna pilnować Mord-Sith, ponieważ możemy powstrzymać ludzi z magicznym darem. Lord Rahl zawsze korzystał z pomocy Mord-Sith, które strzegły go przed magią.

Starożytni czarodzieje najwyraźniej mieli z sylfą ten sam problem i dlatego niektórzy z nich, jak Kolo, pełnili przy niej wartę. Kolo pisał, że wróg czasem zjawiał się znienacka za pośrednictwem sylfy i że nieszczęściu zapobiegało tylko szybkie przeciwdziałanie tego, kto pełnił wartę.

- Chcesz powiedzieć, że cię tu przywiódł i zostawił?

- Nie. Całe godziny strawił na odnalezienie drogi pozbawionej magicznych osłon, tak byśmy mogły same tutaj przychodzić. Nie chciał przyprowadzać nas tu na wartę, nie chciał też, byśmy tkwiły tu jak w pułapce. Musimy się zmieniać co jakiś czas. Nie podoba mi się to, bo powinniśmy być w pobliżu lorda Rahla i chronić go, a nie to... to srebrne coś. Ale zgodziłam się, bo uznałam, że również w ten sposób chronimy lorda Rahla.

Kahlan w końcu stanęła pewnie na nogach.

- Gdybyśmy wiedzieli, że sylfa nie śpi i cały czas jej strzegli, Marlin nie mógłby się tu zjawić, by podjąć próbę zamordowania Richarda, a Siostra nie mogłaby wywołać zarazy.

Kahlan poczuła bolesny żal. Mogli zapobiec temu wszystkiemu. Jej ludowi, jej światu, jej miłości nie zagrażałyby te okropne rzeczy, o których się dowiedziała.

Świadomość bezpowrotnie utraconej szansy sprawiła, że dziewczynie zrobiło się słabo.

- Lord Rahl chciał też, żebyśmy czekały na twój powrót od wiedźmy. To na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy.

- Richard wiedział, dokąd się udałam?

- Sylfa nie chciała mu powiedzieć, on jednak oznajmił, że i tak to wie. Mówił, że wyruszyłaś do wiedźmy.

- Wiedział i nie pognał za mną?

Cara przerzuciła do przodu swój długi jasny warkocz.

- Mnie też to zdziwiło. Zapytałam, dlaczego nie biegnie za tobą. Powiedział, że cię kocha, ale nie jest twoim właścicielem.

- Naprawdę? Richard tak powiedział?

- Tak. - Na ustach Cary pojawił się uśmiezek. - Dobrze go szkolisz, Matko Spowiedniczko. Pochwalam to. A potem kopnął fotel. Myślę, że zranił się w stopę, lecz zaprzecza temu.

- Więc Richard jest na mnie zły? Cara przewróciła oczami.

- Rozmawiamy o Richardzie, Matko Spowiedniczko. O szalenie kochającym cię mężczyźnie. Nie rozgniewałby się na ciebie nawet wtedy, gdybyś kazała mu się ożenić z Nadine.

Kahlan znów poczuła ukłucie bólu.

- Dlaczego to powiedziałaś? Cara zmarszczyła brwi.

- Chodziło mi o to, że nigdy, choćby nie wiem co, nie rozżłości się na ciebie.

A ty miałaś się roześmiać, nie zaś podskoczyć, jakbym cię szturchnęła Agielem. On cię kocha, Matko Spowiedniczko. Jest straszliwie zmartwiony, ale się na ciebie nie gniewa.

- A to kopnięcie fotela?

Mord-Sith pogładziła swój jasny warkocz i ponownie się uśmiechnęła.

- Twierdzi, że fotel go sprowokował.

- Rozumiem. - Kahlan jakoś nie mogła znaleźć upodobania w poczuciu humoru Cary. - Jak długo mnie nie było?

- Około dwóch dni. Oczekuję wyjaśnień, jak udało ci się prześliznąć obok dliarańskiego posterunku przy moście.

- Sypał śnieg, nie zauważyli mnie.

Cara najwyraźniej w to nie uwierzyła. Znów obdarzyła Kahlan osobliwym spojrzeniem.

- Zabiłaś wiedźmę?

- Nie. - Dziewczyna zmieniła temat. - Co Richard robił, gdy mnie nie było?

- Najpierw poprosił sylfę, żeby zabrała go do Świątyni Wichrów, ale powiedziała, że nie zna takiego miejsca i nie może go tam zabrać, więc pojechał na górę Kymerosst...

- Był tam? - Kahlan złapała ramię Cary. - I co znalazł?

- Nic. Powiedział, że nic nie znalazł. Powiedział, że jeżeli kiedyś była tam Świątynia Wichrów, to teraz zniknęła.

Kahlan puściła ramię Mord-Sith.

- Pojechał na górę Kymerosst i już wrócił?

- Znasz lorda Rahla: jak sobie coś wbije do głowy, to za tym gna. Żołnierze, którzy z nim byli, mówią, że jechali co koń wyskoczy Mało spali i byli w siodle przez większość nocy. Lord Rahl spodziewał się, że przybędziesz ubiegłej nocy i chciał wrócić dla ciebie. Kiedy nie zjawiłaś się w terminie, którego oczekiwał, niepokoił się i miotał, ale nie poleciał za tobą. Ile razy miał już zmienić swoje postanowienie, czytał od nowa twój list i znów zaczynał chodzić tam i z powrotem.

- Mój list był chyba zbyt stanowczy. - Kahlan wbiła wzrok w podłogę.

- Lord Rahl mi go pokazał. - Cara miała nieprzeniknioną twarz. - Mężczyzn trzeba czasem postraszyć, bo inaczej zaczynają myśleć, że to oni o wszystkim decydują. Swoimi pogroźkami wybiłaś mu z głowy ten pomysł.

- Wcale mu nie groziłam. - Kahlan pomyślała, że chyba za bardzo się tłumaczy.

Mord-Sith przez chwilę patrzyła dziewczynie w oczy.

- Chyba masz rację. To jednak fotel musiał sprowokować lorda Rahla.

Zupełnie tak, jak mi to powiedział.

- Zrobiłam to, co musiałam. Richard powinien to zrozumieć. Chyba lepiej pójść do niego i mu to wytłumaczę.

Cara wskazała drzwi.

- Rozminęliście się. Dopiero co tu był.

- Przyszedł sprawdzić, czy wróciłam? Musi się strasznie niepokoić.

- Berdine powiedziała mu o księdze, której szukałyście. Zjawił się tutaj i znalazł ją.

Kahlan zamrugnęła ze zdumieniem.

- Znalazł ją? Przecież tak długo jej szukałyśmy. Nie było jej tutaj. Jak ją

znalazł?

- Poszedł do, jak to nazwał, enklawy Pierwszego Czarodzieja i tam ją znalazł.

Dziewczyna aż otworzyła usta.

- Poszedł tam? Poszedł do Wieży Pierwszego Czarodzieja?! Sam, beze mnie?

Nie powinien tam chodzić! To niebezpieczne miejsce!

- Istotnie. - Cara skrzyżowała ramiona. - A tobie, rzecz jasna, nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby pognać samotnie w jakieś niebezpieczne miejsce. Skoro jesteś tak ostrożna i nieskora do popełniania takich szaleństw, to może powinnaś zganić lorda Rahla za ów impulsywny postępek?

Echo głosu Mord-Sith odbijało się długo od ścian pomieszczenia, aż wreszcie umilkło. Kahlan zrozumiała. Chociaż Richard zrobił, jak chciała, i nie ruszył za nią, spróbowała tego Cara. Mimo iż nie lubiła magii, Mord-Sith spróbowała podążyć za Kahlan, by ją chronić.

- Caro, przepraszam, że i ciebie oszukałam - powiedziała dziewczyna potulnie.

Mord-Sith wzruszyła ramionami, lecz nie zdradziła, co czuje.

- Jestem tylko strażniczką. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

- Owszem, mam. Nie jesteś „tylko strażniczką”. Możesz być w naszej ochronie, ale jesteś ktmś więcej. Uważam cię za przyjaciółkę. Jesteś moją siostrą w Agielu. Powinnam ci powiedzieć, co chcę zrobić, ale bałam się, że gdybym ci to zdradziła, Richard rozżłościłby się na ciebie, że mnie nie powstrzymałaś. Nie chciałam tego.

Cara milczała. Wciąż miała nieprzeniknioną twarz. Kahlan przerwała nieprzyjemną ciszę.

- Przepraszam, Caro. Chyba bałam się, że będziesz się starała mnie powstrzymać. Oszukałam cię. Jesteś moją siostrą w Agielu, więc powinnam ci była zaufać i wtajemniczyć w swoje plany. Źle postąpiłam, Caro. Błagam, żebyś mi wybaczyła.

Twarz Mord-Sith wreszcie rozjaśniła się uśmiechem.

- Jesteśmy siostrami w Agielu. Wybaczam ci. Kahlan zmusiła się do uśmiechu.

- Jak sądzisz, Richard będzie taki wyrozumiały jak ty? Mord-Sith mruknęła z rozbawieniem.

- Masz lepsze sposoby, by przekonać go, żeby ci wybaczył. Nietrudno stopić gniew mężczyzny.

- Szkoda, że nie przynoszę dobrych wieści, które przywołałyby jego uśmiech. - Dziewczyna przystanęła w drzwiach. - Co porabiała Nadine, kiedy mnie nie było?

- Przez większość czasu tkwiłam tutaj, strzegąc sylfy, ale wiem, że dawała służbie zioła, które miały ich chronić i którymi miano okadzać pałac. Całe szczęście, że pałac jest głównie z kamienia, bo spaliliby go na popiół. Naradzała się z Drefanem i pomagała mu w rozmowach z tymi, którzy przychodzili po radę. Lord Rahl poprosił ją, by odwiedziła zielarzy i upewniła się, że nie są chciwi zysku i nie będą oszukiwać ludzi lękających się o swoje życie. Najrozmaitsi szarlatani mnożą się w mieście równie szybko jak grzyby po deszczu. Nadine składa też lordowi Rahlowi raporty, lecz przez większość czasu go nie było. Ponieważ jest ogromnie zajęta pomaganiem ludziom, spotkania po jego powrocie trwały bardzo krótko.

Kahlan uderzyła pięścią o framugę drzwi.

- Dziękuję, Caro. - Spojrzała w niebieskie oczy tamtej. - Tu są szczury. Nie trapi cię to?

- Są gorsze rzeczy od szczurów.

- Istotnie - wyszeptała Kahlan.

ROZDZIAŁ 48

Było już późno i ludzie na ulicach nie rozpoznali jej w mroku. Nie towarzyszyła jej zwykła eskorta, więc nie mieli powodu, by się jej przyglądać. Nie mieli powodu podejrzewać, że oto idzie wśród nich Matka Spowiedniczka. I dobrze: byli tacy, którzy źle życzyli Matce Spowiednicze. Przechodnie starali się raczej do niej nie zbliżać - tak jak i do siebie nawzajem - Żeby uniknąć zarazy.

Tak jak mówiła Cara, wszędzie pełno było szarlatanów, którzy zachwalali eliksiry mające chronić przed czarną śmiercią lub uleczyć już porażonych nią najbliższych. Inni przemierzali ulice z tacami pełnymi magicznych amuletów. Kahlan przypomniała sobie, że niedawno widziała tych samych ludzi sprzedających te same amulety. Wtedy reklamowali je jako środki ułatwiające znalezienie męża lub żony albo umożliwiające oczarowanie niewiernego współmałżonka. Stare kobiety sprzedawały z małych wózków lub prostych drewnianych kramików rzeźbione urocze plakietki. Zawieszane nad drzwiami domu miały nie dopuścić zarazy do środka. Chociaż było tak późno, interes kwitł. Nawet sprzedawcy mięsa i płodów rolnych wychwalali zdrowotne zalety swoich towarów i ich walory pozwalające zachować zdrowie, pod warunkiem oczywiście, że jadać się będzie te produkty regularnie.

Kahlan mogłaby wysłać żołnierzy, by położyli kres niektórym z tych oszustw, wiedziała jednak, że taka interwencja spotkałaby się prawdopodobnie z wrogim przyjęciem ze strony niektórych kupujących. Gdyby spróbowała wykorzystać wojsko do powstrzymania podobnych głupich praktyk, zdesperowani ludzie mogliby dojść do wniosku, że będący u władzy chcą odebrać im możliwość leczenia się, tak by przyzwoici, ciężko pracujący ludzie zapadli na zarazę. Wielu ludzi wierzyło - wbrew zdrowemu rozsądkowi lub mimo dowodów, że jest wprost przeciwnie - iż ci, którzy sprawują władzę, zawsze chcą ich skrzywdzić. Gdyby tak znali prawdę...

Gdyby Kahlan zakazała sprzedaży tego wszystkiego, owe „leki” byłyby sprzedawane potajemnie i po o wiele wyższej cenie. Bez względu na to, jak uskarżano by się na ich działanie, najdrobniejsze zalety owych „medykamentów” były natychmiast rozdmuchiwane.

Pierwsze prawo magii: ludzie uwierzą w każde kłamstwo albo dlatego, że chcą wierzyć, iż to prawda, albo dlatego, że boją się, iż to prawda. Mieszkańcy Aydindril już byli zdesperowani, a ich rozpacz miała się jeszcze zwiększyć. Wielu chciało wierzyć.

Kahlan próbowała sobie wyobrazić, co zrobiłaby, gdyby Richard zapadł na mór. Czy byłaby na tyle zrozpaczona, by uwierzyć w takie oszustwo i wbrew wszystkiemu mieć nadzieję, że to go uleczy? Niekiedy ludziom pozostawała jedynie nadzieja. Kahlan nie potrafiłaby im jej odebrać - nawet tak bezpodstawnej. Mieli wyłącznie nadzieję i mogli działać tylko zgodnie z tym, co ona im podpowie.

Dziewczyna szła wśród dobrze sobie znanych wspaniałości Pałacu Spowiedniczek. Zmierzała do Richarda. Przystanąła obok otwartych dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do rozległej komnaty, w której odbywały się oficjalne przyjęcia. Od centrum granitowej posadzki rozbiegały się promienie ułożone z jaśniejszego i ciemniejszego kamienia. Lamy, stojące na podstawach z wiśniowego drewna, dawały łagodne światło. Na stole, który służył zwykle do serwowania gościom różnych przekąsek, stały teraz szeregi świec.

Uwagę dziewczyny przyciągnął głos Drefana. Arcykapłan stał po prawej, przed stołem ze świecami, i przemawiał do jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób. Ludzie ci siedzieli przed nim na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i ze skupieniem słuchali, jak opowiadał o sposobach zachowania zdrowia i utrzymywania ciała w dobrej kondycji dzięki łączności z wewnętrznym „ja”.

Większość z roztargnieniem kiwała głowami, słuchając Drefana, który wyjaśniał, jak - kalając ciała niezdrowymi myślami i czynkami - umożliwia się atak chorobie. Mówił, że Stwórca obdarzył ludzi zdolnością zwalczania takich rzeczy jak zaraza, jeśli tylko będą żyć w zgodzie z naturą, jedząc odpowiednie pożywienie, które wzmocni aurę chroniącą ciało, i świadomie kierując moc rozmaitych pól energii do ich właściwych zadań, które zapewniają harmonijne funkcjonowanie całości.

Wiele z tego, co mówił Drefan, było całkiem sensowne. Twierdził, że nie należy jeść pokarmów, po których boli cię głowa, bo zakłócają zdolność umysłu do regulowania funkcjonowania ciała. Wskazywał, że nie należy jeść pokarmów, po których masz bóle i kurcze brzucha, bo źle wpływają na

zdolność trawienia właściwych, niezbędnych ciału pokarmów. Udowadniał, że nie wolno jeść ciężko strawnych potraw tuż przed snem, bo nie pozwalają ciału na wypoczynek, który jest konieczny, żeby ludzie byli silni. Drefan opowiadał także, jak to wszystko niszczy aurę, która daje siłę i chroni zdrowie.

Ludzie otwarcie zachwycali się tym, że Drefan potrafił im to tak prosto i przystępnie wytłumaczyć. Mówili, że wcześniej byli niczym ślepcy, a teraz po raz pierwszy przejrzeni na oczy. Wpatrzeni w niego, słuchali, jak mówi, że ludzie mają w sobie moc kontrolowania własnych ciał i że choroba może ich dopaść jedynie wtedy, kiedy jej na to pozwolą. Mówił o ziołach i pokarmach, które oczyszczają ciało z trucizn i zapewniają ludziom - chyba pierwszy raz od narodzin - najprawdziwsze zdrowie.

Owi ludzie nie słuchali brata lorda Rahla. Oni słuchali Drefana Rahla, arcykapłana Raug'Moss.

Wszyscy wykonali zalecenie arcykapłana, kiedy nakazał im zamknąć oczy i wziąć wdech życia i zdrowia - wciągnąć ową energię przez nos - aż do najgłębszych zakątków, wykorzystując do tego mięśnie w dole brzucha. Wyjaśniał, jak pozwolić, by owa energia wniknęła głęboko, do źródła siły aury każdego z nich. Jak pozwolić, by odciągnęła jady z najdalszych, najmroczniejszych zakątków ich istoty, jak wytchnąć je przez usta i zastąpić odświeżającym oddechem życia, ponownie wciągany przez nos.

Kahlan uważała, że stało się lepiej, iż przyszli do Drefana po radę, która może im pomóc, a przynajmniej z pewnością nie zaszkodzi, niż gdyby mieli wydawać oszczędności, kupując od ulicznych handlarzy fałszywą nadzieję. Dbanie o potrzeby ciała przez, na przykład, spożywanie zdrowych pokarmów może przynieść tylko korzyści.

Kiedy powoli i głęboko wciągali powietrze przez nos, Drefan odwrócił głowę i wbił w Kahlan swoje oczy Rahla Pośpnego, jakby cały czas wiedział, że ona tam stoi. Obdarzył ją życzliwym uśmiechem, który zapalił ogniki w jego błękitnych oczach. Pojmowała, dlaczego ci ludzie mu ufali. Odwzajemniła uśmiech.

Dziewczyna przypomniała sobie rozmowę z Shotą o tym, jak trudno się pozbyć niemiłych wspomnień. Szkoda, że nie mogła zapomnieć o dłoni Drefana między nogami Cary.

Brat Richarda starał się pomóc ludziom. Robił, co w jego mocy, żeby

powstrzymać zarazę. Był wspaniałym uzdrowicielem, arcykapłanem Raug'Moss.

Dziewczyna próbowała zastąpić wspomnienie ręki Drefana, pchającej się między nogi Cary, obrazem arcykapłana pocieszającego chore dzieci.

Wyjaśnił wówczas, dlaczego tak postąpił. Uratował Carze życie. Mord-Sith najpierw krzyczała z bólu, po czym straciła przytomność, a Drefan przywrócił ją do życia. Richard, podobnie jak inni, znajdował w Drefanie pociechę. Kahlan odwróciła wzrok od arcykapłana i ruszyła na poszukiwanie ukochanego.

Gdy przechodziła przed galerią, na górze zatrzymał się Tristan Bashkar, ambasador Jary. Mieszkał w Pałacu Spowiedniczek, czekając na znaki z gwiazd, kolejne słowa z niebios, nim ostatecznie zdecyduje się poddać swoją krainę D'Harze.

Zgodnie ze swoim zwyczajem, odchylił poję surduta i wsparł dłoń na biodrze. Ten gest odsłaniał nóż zatknięty za pas. Czasami, rozmawiając z kimś, Tristan wspierał stopę na krześle lub na podnóżku i niedbale opierał rękę na kolanie. Ci, z którymi rozmawiał, mieli wówczas okazję zobaczyć nóż zatknięty za cholewę buta.

Im dłużej Kahlan widywała Bashkara, obserwującego ją swoimi sprytnymi oczami, tym bardziej drażniła ją jego obecność w pałacu. Nie знаła nikogo, kto zachowywałby się dziecinniej niż on.

Tristan patrzył w milczeniu, jak spieszyła swoją drogą. Dziewczyna była rada, że stał na galerii, ponieważ nie musiała marnować czasu na przekomarżanie się z nim.

Ulic i Egan obrzucili Kahlan dziwnym spojrzeniem, gdy przywitała się z nimi na chwilę przed tym, nim wśliznęła się do małej komnaty, w której Richard czytywał pamiętnik Kolo. Chłopak siedział z głową wspartą na dłoniach. Wsunął palce w czuprynę i czytał inną księgę. Stojące na stole dwie świece i lampa dostarczały mu światła, przytulną komnatę rozgrzewały płonące w kominku brzoźowe szczapy.

Peleryna leżała na stojącym w pobliżu krześle, lecz Richard miał u boku miecz.

Chłopak podniósł wzrok. Zobaczył Kahlan i poderwał się na równe nogi. Bez tkanej ze złotych nici peleryny wyglądał jak przesuwający się przez komnatę wielki czarny cień. Nim zdążył się odezwać, Kahlan padła mu w

ramiona. Objęła go i przytuliła policzek do jego torsu.

- Nie krzycz na mnie, Richardzie, proszę. Przytul mnie. - Dławiła się łzami. - Nic nie mów, proszę, tylko mnie przytul.

Cóż to za rozkosz, być znowu przy nim. Nigdy nie przestawało jej dziwić, że tak ogromnie go kocha i pragnie.

Ramiona Richarda zamknęły Kahlan w bezpiecznym schronieniu. Słuchała potrzaskiwania ognia i bicia serca chłopaka. W bezpiecznym azylu jego ramion mogła sobie niemal wyobrazić, że wszystko jest w porządku i że czeka ich wspólna przyszłość.

Przypomniła sobie słowa matki; „Spowiedniczki nie znają miłości, Kahlan.

Znają wyłącznie obowiązek”.

Zacisnęła dłonie na czarnej koszuli Richarda i bezskutecznie próbowała powstrzymać łzy. Tulił ją i głaskał jej włosy. Poprosiła, żeby ją tulił i nic nie mówił - i to właśnie robił. Czuła się przez to jeszcze gorzej.

Musiał mieć jakieś pytania. Na pewno chciał jej coś powiedzieć. Na pewno chciał jej powiedzieć, jaką ulgę poczuł, zobaczywszy, że bezpiecznie wróciła; jak ogromnie się o nią martwił; zapytać, gdzie była i czego się dowiedziała; opowiedzieć, co sam odkrył; wrzasnąć na nią. Lecz nie zrobił tego. Bez sprzeciwu uczynił to, o co prosiła: jej pragnienia były dlań ważniejsze niż jego.

Jak będzie żyć bez jego miłości? Jak będzie mogła oddychać? Jak zdoła dotrzeć do czasu, kiedy się wreszcie zestarzeje, będzie mogła zakończyć swoje obowiązki i umrzeć?

- Richardzie... przepraszam, że w liście było tyle pogrózek. Przysięgam, że nie chciałam ci grozić. Ja tylko chciałam, żebyś był bezpieczny. Przepraszam, jeśli cię zraniłam.

Przycisnął ją trochę mocniej i pocałował w czubek głowy. Kahlan pragnęła umrzeć - właśnie teraz, w jego ramionach - nie musieć wypełnić obowiązku, nie musieć stawić czoła nieodwołalnej przyszłości, nieodwracalnej stracie ukochanego.

- Jak twoja stopa? - spytała.

- Moja stopa?

- Cara mówiła, że zraniłeś ją, kopiąc w fotel.

- Ach, to. W porządku. Fotel zmarł, ale chyba nie cierpiał. Kahlan, wbrew

wszystkiemu, roześmiała się. Spojrzała przez łzy na łagodny uśmiech Richarda.

- Twój uścisk wrócił mi siły. Teraz możesz na mnie nakrzyczeć.

On jednak pocałował ją. Ramiona chłopaka uniosły Kahlan w upojenie, któremu nie dorównywało ani odrobinę nawet oddychanie sylfą.

- Więc cóż miały do powiedzenia duchy naszych przodków? - spytał wreszcie.

- Naszych przodków... Skąd wiesz, że byłam u Błotnych Ludzi?

Richard był nieco skonsternowany.

- Kahlan, przecież masz pomalowaną twarz, żeby duchy przodków mogły cię zobaczyć podczas narady widzających. Myślałaś, że tego nie zauważę?

Dziewczyna dotknęła palcami czoła i policzków.

- Tak się spieszyłam, że w ogóle o tym nie pomyślałam. Nic dziwnego, że ludzie tak osobliwie na mnie patrzyli.

Kiedy mknęła przez pałac, szukając Richarda, aż trzy służące zaproponowały, że przygotowują jej kąpiel. Pewnie wszyscy myśleli, że oszalała.

Richard spoważniał, objął ją w talii.

- I co miały do powiedzenia duchy naszych przodków?

Kahlan uzbroiła się w męstwo. Pochyliła głowę, wskazując przymocowany do ramienia kościany nóż.

- Przywołał mnie duch dziadka. Zrobił to za pośrednictwem noża ze swojej kości. Chciał ze mną rozmawiać. Powiedział, że zaraza nie ogranicza się do Aydindril. Szaleje w całych Midlandach.

Richard zeszywniał.

- Uważasz, że tak jest istotnie?

- Starszy Breginderin miał na nogach jej znaki. Prawdopodobnie już nie żyje.

Niektóre dzieci opowiadały, że w pobliżu wioski Błotnych Ludzi widziały kobietę.

Pokazywała im coś z barwnym światłem. Lily też mówiła, że widziała coś takiego.

Jedno z owych dzieci już nie żyje. Była tam Siostra Amelia.

- Drogie duchy - wyszeptał Richard.

- Jest coraz gorzej. Duch ukazał mi inne miejsca w Midlandach, które znam.

Powiedział, że i tam szerzy się czarna śmierć. Ukazał mi również, co się stanie, jeśli zaraza nie zostanie powstrzymana. Po kraju będzie grasować śmierć. Niewielu przeżyje. Duch wyjaśnił, że chorobę zapoczątkowała magia wykradziona ze Świątyni Wichrów, dodał jednak, iż sama w sobie zaraza nie jest magiczna. Jagang posłużył się magią potężniejszą, niż się spodziewał. Jeśli nikt jej nie powstrzyma, czarna śmierć zaatakuje także Stary Świat.

- Niewielka to pociecha. Czy duch powiedział ci, w jaki sposób Jagang wykradł ową magię ze Świątyni Wichrów?

Kahlan potaknęła i odwróciła wzrok.

- Miałeś rację co do czerwonych księżyców. To było ostrzeżenie, że Świątynia Wichrów została zbezczeszczona.

Kahlan opowiedziała Richardowi o PrzedSIONKU Zdrajcy i o tym, jak Siostra Amelia zdołała przejść ową drogą. Najlepiej jak pamiętała, zrelacjonowała resztę spotkania z duchem dziadka Chandalena, mówiąc też o na poły świadomej świątyni, co Richard już i tak podejrzewał.

Chłopak oparł dłoń o obramowanie kominka i zapatrzył się w ogień. Skubał dolną wargę i słuchał cierpliwie.

Kahlan powtórzyła słowa ducha o tym, że jeśli chcą powstrzymać zarazę, muszą pójść do Świątyni Wichrów, która istnieje jednocześnie w obu światach, i o tym, że są w to wmieszane zarówno dobre, jak i złe duchy, które mogą wypowiadać swoje zdanie.

- Czy duch przodka mógł ci dać jakieś wskazówki co do tego, jak mamy się dostać do Świątyni Wichrów?

- Nie. W gruncie rzeczy ta sprawa go nie interesowała. Oznajmił, że świątynia sama wyjawi, co należy zrobić. Shota powiedziała to samo.

Richard, zatopiony w myślach, skinął potakująco głową, rozważając słowa Kahlan. Dziewczyna wykręcała sobie palce i czekała.

- A co z Shotą? - spytał w końcu. - Co się z nią stało? Kahlan się zawahała.

Wiedziała, że musi mu powiedzieć chociaż część prawdy, lecz nie miała ochoty powtarzać słów wiedzmy.

- Nie wierzę, Richardzie, żeby Shota zamierzała sprawiać kłopoty.

Chłopak obejrzał się na nią przez ramię.

- Przysłała mi Nadine na żonę, a ty tego nie uważasz za kłopot?

Kahlan odkaszlnęła.

- Prawdę mówiąc, to nie Shota przysłała Nadine. - Richard nie spuszczał

z niej jastrzębiego wzroku, więc mówiła dalej: - Wieść o ścigających cię wichrach to nie jej pomysł. To Świątynia Wichrów przysłała ci wiadomość za jej pośrednictwem, tak jak przysłała wieść przez zmarłego chłopca. Shota nie stara się nas skrzywdzić.

Richard spochmurniał.

- Co jeszcze powiedziała ci wiedźma?

Kahlan splotła palce za plecami. Odwróciła wzrok od jego przenikliwych, gniewnych oczu.

- Udałam się tam, Richardzie, żeby skończyć z jej wtrącaniem się w nasze sprawy. Przygotowałam się na to, że zabiję ją, jeśli zagrozi tobie lub spróbuje mnie skrzywdzić. Miałam o niej jak najgorsze zdanie. Naprawdę. Byłam przekonana, że próbuje nas skrzywdzić. Rozmawiałam z nią. Naprawdę rozmawiałam. Shota nie jest tak... złośliwa, jak sądziłam. Przyznała, że nie chce, byśmy mieli dziecko, ale powiedziała też, że nie zależy jej, by nas rozdzielić. Potrafi widzieć przyszłość i po prostu mówi nam, co widzi. Próbuje ci pomóc. W tej sprawie jest jedynie posłańcem.

Nie kieruje owymi wydarzeniami. Powiedziała to samo co duch przodka: że zarazę wywołano dzięki magii.

Trzy kroki i Richard był przy niej. Złapał Kahlan za ramiona.

- Przysłała mi Nadine na żonę! Przysłała Nadine, żeby nas rozdzielić! Próbuje wbić między nas klin, a ty dałaś się nabrać na jej sztuczki?!

Kahlan się cofnęła.

- Nie, Richardzie. Pojmujesz to równie błędnie, jak ja przedtem. Duchy przysłały ci narzeczoną. Shota mogła jedynie wpłynąć na to, kim ona będzie.

Wykorzystała tę możliwość i postarała się, żeby to była Nadine. Wiedźma twierdzi, że zobaczyła, iż poślubisz pannę młodą przyslaną ci przez duchy, dlatego chciała, by to był ktoś, kogo znasz. Po prostu starała się zaoszczędzić ci zbyt wielkiego bólu.

- I ty jej wierzysz? Czyś ty oszalała?!

- Ramię mnie boli, Richardzie. Puścił ją.

- Przepraszam - mruknął i cofnął się ku kominkowi. Widziała, jak napinały mu się mięśnie żuchwy, kiedy zagryzał zęby.

- Mówiłaś, że usłyszałaś od niej to samo co od ducha przodka. Pamiętasz jej słowa?

Kahlan z szaleńczym pośpiechem starała się oddzielić to, co musiała mu

powiedzieć, od tego, co chciała przed nim zataić. Zdawała sobie sprawę, jak nieroztropnie postępuje ten, kto próbuje ukryć informacje przed Richardem, tłumaczyła sobie jednak, że jeśli będzie musiała, zawsze zdąży mu wszystko powiedzieć. Gdyby jednak udało się choć trochę przed nim ukryć...

- Shota twierdzi, że wichry prześlą nam jeszcze wiadomość. Twierdzi, że dostaniemy kolejną wieść i to również związaną z księżycem.

- Księżyc będzie miał z tym coś wspólnego? Jak?

- Nie wiem. Zarówno dla ducha, jak i dla niej „jak” nie wydawało się ważne.

Powiedziała, że ta wieść od księżyca będzie „doniosłym przesłaniem”. Tak to określiła. Ostrzegła, że nie wolno nam go zignorować albo zlekceważyć.

- Tak twierdzi, hmm. A powiedziała dlaczego właściwie?

- Powiedziała, że od tego wydarzenia zależeć będzie przyszłość twoja, moja i tych wszystkich niewinnych ludzi. Zdradziła, że będzie to nasza jedyna szansa, byśmy mogli wypełnić obowiązek ocalenia życia tych, którzy ufają, iż uczynimy to, czego oni uczynić nie mogą.

Richard obrócił się ku niej. Poczula się tak, jakby spojrzała na nią sama śmierć. Jego oczy miały ten sam wyraz co oczy Drefana. Co oczy Rahla Posępnego.

- Powiedziała ci jeszcze coś. Coś, co ukrywasz. Co? - warknął.

To nie Richard mówił, lecz Poszukiwacz. W jednej chwili pojęła, dlaczego tak bardzo obawiano się Poszukiwacza: był ucieleśnieniem prawa. Szare oczy patrzyły wprost w jej wnętrze.

- Richardzie, nie pytaj, proszę - wyszeptała. Gniewne spojrzenie sięgnęło aż do dna jej duszy.

- Co jeszcze ci powiedziała?

Kahlan przełknęła ślinę. Przerażenie sprawiało, że z trudem oddychała. Czuła, jak gorące łzy spływają po jej policzkach.

- Shota widziała przyszłość. - Usłyszała swój głos, chociaż zamierzała milczeć. - Zobaczyła, że poślubisz inną. Wykorzystała swój wpływ, byś mógł poślubić kogoś, kogo znasz. - Gniewne spojrzenie Poszukiwacza zmusiło ją do zdradzenia reszty. - Nie mogła jednak wpłynąć na to, kogo ja poślubię. Bo i ja kogoś pojmem. I to nie ty zostaniesz moim mężem.

Richard skamieniał na chwilę - wzbierała w nim burza. Zdarł pendent

przez głowę i rzucił wraz z tkwiącym w pochwie mieczem na najbliższe krzesło.

- Co robisz, Richardzie?

Już szedł. Ku drzwiom. Kahlan zagroziła mu drogę. Czuła się zupełnie tak, jakby stanęła przed rozwścieczoną górą.

- Co chcesz zrobić, Richardzie?

Pochwyił ją w talii, podniósł i odstawił na bok, jakby była dzieckiem, które stanęło mu na drodze.

- Zamierzam ją zabić.

Kahlan objęła go z tyłu w pasie i próbowała zatrzymać. Jakby próbował go powstrzymać komar. Zostawiał miecz, bo nie mógłby podróżować w sylfie z magicznym Mieczem Prawdy.

- Richardzie! Richardzie, zatrzymaj się, proszę! Zatrzymaj się, jeśli mnie kochasz!

Stanął i spojrzał na nią gniewnym wzrokiem. Jego głos zabrzmiał jak trzask gromu.

- Słucham?

- Sądzisz, że jestem głupia, Richardzie?

- Oczywiście, że nie.

- Więc wierzysz, że chcę poślubić innego?

- Nie.

- Musisz mnie wysłuchać, Richardzie. Shota powiedziała, że widziała przyszłość. Ona nie tworzy przyszłości, ona tylko ją widzi. Powiedziała mi o tym, żeby nam to jakoś pomogło.

- Już otrzymałem od niej „pomoc” i wystarczy. Więcej nie chcę. Tym razem Shota przesadziła. To był ostatni raz.

- Musimy się zastanowić, co robić, Richardzie. Musimy uczynić, co w naszej mocy, żeby powstrzymać zarazę. Widziałeś te chore, umierające dzieci. Duch dziadka Chandalena pokazał mi niezliczone martwe dzieci, mnóstwo martwych ludzi. Oto jaka będzie przyszłość, jeśli to zrobisz. Chcesz, żeby te dzieci i ich rodzice umarli, bo nie chciałeś posłużyć się rozumem?

Chłopak zaciskał w dłoni ozdobę kunsztownego naszyjnika. Kahlan uświadomiła sobie, że nigdy przedtem go nie widziała.

Richard nie miał u boku miecza, a mimo to powodowała nim magia

oreża.

Przepętniał go morderczy gniew. W jego oczach tańczyła śmierć.

- Nie dbam o to, co mówi Shota. Nie poślubię Nadine. Ani nie będę spokojnie patrzeć, jak ty...

- Wiem - wyszeptała. - Wiem, co czujesz, Richardzie. Myślisz, że ze mną jest inaczej? Ale rusz głową. W ten sposób nie można zmienić tego, o czym mówi Shota.

Wcześniej zawsze mówiłeś, że przyszłość się jeszcze nie stała i że w działaniu nie powinniśmy się kierować słowami wiedźmy. Zawsze powtarzałeś, że nie możemy wierzyć jej słowom, że nie możemy pozwalać, by decydowała o naszym postępowaniu.

W oczach Richarda płonął morderczy gniew.

- Uwierzyłaś jej.

Kahlan odetchnęła głęboko dla uspokojenia i starała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Wierzę, że widziała przyszłość. Pamiętasz, Richardzie, jak powiedziała, że dotknę cię moją mocą? Sam wiesz, co z tego wyniknęło. Miała rację, ale nie było to owo nieszczęsne zdarzenie, którego się obawiałam. To nas złączyło, umożliwiło naszą miłość.

- Jak twój ślub z innym może nam wyjść na dobre?

Kahlan uświadomiła nagle sobie, w czym rzecz: był zazdrosny. Nigdy przedtem nie widziała go owładniętego taką zazdrością. A to właśnie było to - szaleńcza zazdrość.

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że wiem. - Kahlan złapała go za szerokie barki. - Kocham cię, Richardzie, i to cała prawda. Nigdy nie pokocham nikogo innego. Wierzysz mi, prawda? Wierzę w twoją miłość do mnie i wiem, że nie kochasz Nadine. Nie wierzysz mi? Nie masz do mnie zaufania?

Richard wyraźnie się uspokoił.

- Oczywiście, że tak. Ufam ci. - W jego oczach frustracja zastąpiła gniew, wypuścił z dłoni amulet. - Ale...

- Ale nic. Kochamy się i to jest najważniejsze. Musimy sobie ufać, cokolwiek się stanie. Jeżeli sobie nie zaufamy, będzie po nas.

W końcu wziął ją w ramiona. Rozumiała jego udrękę. Ona także cierpiała i to bardziej niż on, bo nie wierzyła, że istnieje sposób obejścia przepowiedni

Shoty.

Kahlan uniosła osobliwy amulet zawieszony na szyi Richarda. Pośrodku - otoczony zawiłymi złotymi i srebrnymi liniami - widniał rubin w kształcie łzy. Był wielkości paznokcia jej kciuka.

- Co to jest, Richardzie? Skąd to masz? Wyjął amulet z jej palców i spojrzał nań.

- To symbol, jak pozostałe z mojego stroju. Znalazłem go w wieży.

- W Wieży Pierwszego Czarodzieja?

- Tak. To była część jego ubioru. Reszty nie ma, lecz ten amulet pozostał. Ten, który nosił ów amulet, był Pierwszym Czarodziejem w czasach Kolo. Nazywał się Baraccus.

- Cara powiedziała mi, że znalazłeś sprawozdanie z procesu. Jak jest w Wieży Pierwszego Czarodzieja?

Richard zapatrzył się przed siebie.

- Jest... pięknie. Nie chciało mi się stamtąd wyjść.

- Dowiedziałeś się już czegoś z owej książki?

- Nie. Spisano ją w gornod'harańskim. Berdine pracuje nad pamiętnikiem Kolo, a ja nad tą książką. Na tłumaczenie miałem zaledwie około godziny. Nie zrobiłem wiele, bo za bardzo martwiłem się o ciebie, żeby zająć się czymś innym.

Kahlan dotknęła amuletu zawieszzonego na szyi chłopaka.

- Wiesz, co oznacza ów symbol?

- Tak. Rubin symbolizuje kroplę krwi. To symboliczne przedstawienie pierwotnego, najważniejszego prawa.

- Najważniejszego prawa?

Głos Richarda zmienił się, zupełnie jakby chłopak mówił bardziej do siebie niż do niej.

- To znaczy tylko jedno i zarazem wszystko: uderzaj. Kiedy już musisz walczyć, uderzaj. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Uderzaj. To twój obowiązek, twój cel, twój przymus. Nie ma ważniejszego prawa, nie ma ważniejszego zobowiązania. Uderzaj. - Mówił, a jego głos przejął Kahlan chłodem aż do szpiku kości. - Linie to odwzorowanie tańca. Uderzaj z pustki, a nie z chaosu. Uderzaj wroga tak szybko i tak bezpośrednio, jak to tylko możliwe. Uderzaj pewnie. Uderzaj zdecydowanie i śmiało. Uderzaj w jego moc. Wykorzystuj luki w jego obronie.

Uderzaj weń. Uderzaj bezwzględnie. Nie pozwól mu na chwilę oddechu.
Miażdż go.

Uderzaj bezlitośnie aż w głąb jego ducha. To przeciwwaga życia: śmierć.
To taniec ze śmiercią. To prawo, według którego musi żyć czarodziej wojny
albo umrze.

ROZDZIAŁ 49

Clarissa siedziała z podkulonymi nogami w fotelu i obszywała rąbek nowej sukni, którą kupił jej Nathan... Chciał, by zrobiła to szwaczka, Clarissa nalegała jednak, żeby mogła sama się tym zająć - głównie dlatego, by mieć coś do roboty.

Nathan uśmiechnął się i powiedział, że skoro sama chce to zrobić, to nie będzie się sprzeciwiał. Clarissa nie miała pojęcia, co pocnie z tymi wszystkimi sukniami, które jej kupował. Mówiła mu, że już wystarczy, ale on kupował dalej.

Prorok wrócił od drzwi po długiej dyskusji z żołnierzem nazwiskiem Bollesdun. Rozmawiali o ruchach korpusu ekspedycyjnego Jaganga. Clarissa dowiedziała się, że to właśnie owi żołnierze zaatakowali jej rodzinny Renwold.

Próbowała nie przysłuchiwać się naradom Nathana z jego przyjaciółmi żołnierzami, którzy wpadali do nich od czasu do czasu.

Nie lubiła wspominać koszmaru z Renwoldu. Czarodziej powiedział jej, że chce położyć kres zabijaniu, by nie było już takich rzezi, jaka zdarzyła się w jej mieście. Nazywał to marnotrawieniem życia.

Clarissa dotknęła nogi Nathana, gdy Prorok do niej podszedł.

- Mogłabym w czymś pomóc?

Zwrócił na nią swoje lazurowe oczy i długo się jej przyglądał.

- Nie, jeszcze nie. Muszę napisać list. Spodziewam się wkrótce odwiedzin.

Kiedy tamci nadejdą, nie wchodź do sypialni, żeby otworzyć drzwi. Zostań tutaj. Nie chcę, by cię zobaczyli. Nie masz magicznego daru, więc nie dowiedzą się, że tutaj jesteś.

Clarissa wychwyciła w jego głosie nutę niepokoju.

- Myślisz, że mogą być przez nich kłopoty? Chyba nie spróbują ci zrobić nic złego?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- To byłaby ostatnia pomyłka w ich życiu. Zastawiłem wokół tego miejsca tyle pułapek, że i sam Opiekun nie odważyłby się pojmać mnie tutaj. - Mrugnął do niej, by dodać jej otuchy. - Jeśli chcesz, możesz patrzeć przez

dziurkę od klucza. Dobrze byłoby, gdybyś zapamiętała twarze tych ludzi. To może ci się przydać. Są niebezpieczni.

Clarissie aż żołądek ścisnął się z niepokoju. Zaczęła haftować wokół rąbka sukni małe listki i wijącą się łądygę. Uznała, że tak będzie ładnie, no i chciała mieć jakieś zajęcie, dopóki Nathan nie napisze listu. Wreszcie skończył, założył ręce za plecy i zaczął chodzić po komnacie.

W końcu rozległo się stukanie i Nathan spojrział w stronę sypialni, gdzie były drzwi wiodące na korytarz. Obrócił się ku Clarissie i położył palec na ustach. Skinęła głową. Poszedł otworzyć drzwi, zamykając po drodze salonik. Clarissa odłożyła szycie i klęknęła przy drzwiach, żeby spoglądać przez dziurkę od klucza. Dobrze widziała drzwi, które Nathan właśnie otworzył. W korytarzu stały dwie atrakcyjne kobiety, prawie w jej wieku. Za nimi sterczeli dwaj młodzieńcy. Groźny mars na twarzach obu kobiet mógłby przerazić nawet najodważniejszego człowieka.

Clarissa stwierdziła ze zdumieniem, że obie mają w dolnej wardze złote kółko

- takie samo jak jej.

- No, no, no - powiedziała pogardliwie jedna z kobiet. - Czyż to aby nie Prorok we własnej osobie? Sądziłyśmy, że to najprawdopodobniej ty, Nathanie, wtykasz nos w nie swoje sprawy.

Nathan uśmiechnął się i zgiął w pasie.

- Siostró Jodelle. Siostró Willamino. Jak miło znów was widzieć. Mówcie do mnie lordzie Rahlu. Ty również, Siostró Jodelle.

- Lord Rahl - odezwała się kpiąco Siostra Jodelle. - Tak właśnie słyszałyśmy.

Prorok pomachał na powitanie dwóm mężczyznom stojącym za owymi kobietami.

- Vincent! Pierce! Jak miło znów widzieć młodych czarodziejów. Wciąż próbujecie opanować wieszczenie? Przyszliście po rady? Może na małą lekcję?

- Czy to cię aby nie przerasta, stary? - spytał jeden z młodzieńców.

Rozbawienie Nathana natychmiast się ulotniło. Poruszył palcem, a młodzian wrzasnął i padł na podłogę.

- Ostrzegalem, Pierce, że dla ciebie jestem lordem Rahlem. - Głos Nathana pobrzmiwał tak straszliwą groźbą, jakiej Clarissa jeszcze nigdy w

nim nie słyszała. - Nie wystawiaj mnie więcej na próbę.

Siostra Willamina obrzuciła Pierce'a gniewnym spojrzeniem i gdy z trudem się podnosił, udzieliła mu szeptem ostrej reprimendy. Nathan uczynił zapraszający gest.

- Może byście tak weszły, moje panie? Wraz ze swoimi chłopcami, oczywiście.

Clarissa wcale nie uważała, że wyglądają na chłopców, jak określił ich Nathan. Jej zdaniem, byli dobrze po dwudziestce, jeśli nie starsi.

Cała czwórka weszła ostrożnie do komnaty i stanęła w grupce, splatając przed sobą dłonie. Nathan zamknął drzwi.

- Dość to ryzykowne, Na... lordzie Rahlu, pozwolić nam czworgu podejść tak blisko - odezwała się Siostra Jodelle. - Nie podejrzewałam, że będziesz taki nieostrożny, skoro udało ci się przekonać jakąś słabą na umyśle Siostrę, by ulitowała się nad tobą i zdjęła ci Rada'Han.

Nathan uderzył się dłonią w kolano i ryknął śmiechem. Nikt z tamtej czwórki nawet się nie uśmiechnął.

- Ryzykowne? - spytał, kiedy przestał się śmiać. - A czego miałbym się obawiać ze strony wam podobnych? Chcę tylko, byście wiedzieli, że sam zdjąłem sobie Rada'Han. Uważam, że powinienem was poinformować, iż gdy w swej głupocie woleliście widzieć we mnie starego wariata, ja badałem sprawy dla was całkowicie niedostępne. Kiedy wy, wszystkie Siostry...

- Do rzeczy - burknęła Siostra Jodelle. Nathan uniósł palec.

- Rzecz w tym, moi mili, że nie mam złych zamiarów ani wobec was, ani wobec waszego wodza. Mogę jednak utkać sieci, których nie tylko nie zrozumiecie, ale i nie będziecie się potrafili przed nimi obronić. Oczywiście w wypadku, gdybyście chcieli mnie skrzywdzić. Jestem na przykład przekonany, że wykryliście proste osłony, które porozmieszczałem tu i tam, lecz pod tym, co potraficie wyczuć, kryje się o wiele więcej. Gdybyście...

Siostra Jodelle straciła cierpliwość i ponownie mu przerwała:

- Nie przyszliśmy tutaj, żeby słuchać głędzenia zgrzybiałego starca. Uważasz nas za głupców? Wykryliśmy ową rozrzewniającą magię, którą z taką dumą oplotłeś to miejsce, i mogę cię zapewnić, że nie ma w tym niczego, czego każde z nas w pojedynkę z łatwością nie rozniosłoby w pył, zajadając przy tym ze smakiem miskę zupy.

Vincent odsunął na bok obie Siostry.

- Nie zamierzam dłużej słuchać tego starego wychudzonego osła. Zawsze był zarozumiały. Czas, by się przekonał, z kim ma do czynienia!

Młody czarodziej uniósł ręce, tymczasem Nathan nie próbował wcale się bronić. Clarissa wytrzeszczyła oczy z przerażenia, bo młodzian zakrzywił palce, a na jego twarzy odmalowała się nienawiść. Z dłoni Vincenta trysnęło ku Nathanowi światło i Clarissa w panice zasłoniła usta.

Powietrze rozdarł jękliwy dźwięk. Światło sunące ku Prorokowi rozprysnęło się. Rozległ się grzmot, od którego zadrżała podłoga, i cała komnata rozbłysła ogniem.

Dźwięk i blask zniknęły, a wraz z nimi również Vincent.

Clarissa ujrzała mały stosik białego popiołu, leżący tam, gdzie przed chwilą stał niedoświadczony czarodziej.

Nathan podszedł do ściany i wyjął zza kotary miotłę. Otworzył drzwi, po czym wymiótł popiół na korytarz.

- Dziękuję za wizytę, Vincencie. Szkoda, że musisz już iść. Pozwól, że cię wyprowadzę.

Szerokim zamachem szczotki Nathan wymiótł na korytarz resztkę białego popiołu, wzbijając przy tym małą chmurkę pyłu. Zamknął drzwi i obrócił się ku wpatrzonej weń trójce.

- Jak już powiedziałem, popełnicie ostatnią w swoim życiu pomyłkę, jeśli mnie nie docenicie lub zbyt nisko oszacujecie to, do czego waszym zdaniem jestem zdolny. Wasze małe mózgi nie potrafiłyby tego pojąć nawet wtedy, gdybym wam to zademonstrował. - Nathan ściągnął brwi w sposób, który przerażał nawet Clarissę. - A teraz okażcie należny szacunek i pokłońcie się lordowi Rahlowi.

Troje ludzi skłoniło się niechętnie, przyklękając na jedno kolano.

- Czego chcesz? - zapyła Siostra Jodelle, kiedy już wstała. Jej głos trochę złagodniał.

- Możecie powiadomić Jaganga, że interesuje mnie pokój.

- Pokój? - Siostra Jodelle odgarnęła do tyłu kosmyki swoich ciemnych włosów. - A jakież to stanowisko zajmujesz, że możesz proponować coś takiego?

Nathan dumnie zadarł brodę.

- Jestem lordem Rahlem. Wkrótce będę władcą D'Hary. Będę władał Nowym Światem. A Jagang jest przecież wplątany w wojnę z Nowym

Światem.

Siostra Jodelle przymrużyła oczy.

- Dlaczego twierdzisz, że wkrótce będziesz władcą D'Hary?

- Powiedz imperatorowi, że jego śmiały plan już niedługo może zakończyć się powodzeniem. Lada chwila wyeliminuje obecnego lorda Rahla. Lecz Jagang popełnił błąd. Zapomniał o mnie.

- Ale... ale... ty nie jesteś lordem Rahlem - wybełkotała Siostra Jodelle.

Prorok pochylił się ku nim z przebiegłym uśmiechem.

- Jeśli Jagangowi się powiedzie, a jako Prorok przepowiadam, że tak się stanie, to będę lordem Rahlem. Jestem Rahlem i mam wrodzony dar. Wszyscy D'Harańczycy będą związani ze mną. A jak wiecie, owa więź nie pozwala, by Nawiedzający Sny wykorzystał swoje uzdolnienia do zajęcia Nowego Świata. Jagang popełnił błąd. - Uderzył Pierce'a w głowę. - Korzystał z usług Proroków dyletantów, jak ta bezmózga kijanka. Pierce spurpurowiał.

- Nie jestem Prorokiem dyletantem! Nathan spojrzał na niego z pogardą.

- Czyżby? To dlaczego nie ostrzegłeś Jaganga, że jeśli posłuży się proroctwem, by wyeliminować Richarda Rahla, to wpadnie w jeszcze gorsze tarapaty, bo wówczas ja zostanę lordem Rahlem, władcą D'Hary i większości silnych krain w Nowym Świecie? Ostrzegłeś go przed tym? Richard może i jest zdeterminowany, ale nie wie nic o magii, podczas gdy ja wiem o niej bardzo wiele. Naprawdę bardzo wiele. - Wyprostował się jeszcze bardziej i spojrzał z góry na Pierce'a. - Spytaj Vincenta. Prawdziwy Prorok wyczułby groźbę czającą się pod tymi prostymi osłonami i czekającą tylko na bodziec wywołany czyimś atakiem. A ty co?

Siostra Willamina odepchnęła Pierce'a do tyłu. Clarissa uznała, że zrobiła to w samą porę, bo wyglądało na to, iż Nathan ma ochotę sprawić, by na podłodze znalazła się druga kupka białego popiołu.

- Czego chcesz, lordzie Rahlu? - spytała Willamina.

- Albo Jagang zgodzi się na moje warunki, albo ściągnie sobie na kark prawdziwe kłopoty. O wiele gorsze niż Richard Rahl.

- Warunki? - Siostra Jodelle wymówiła przeciągle to słowo.

- Obecny lord Rahl jest młodym idealistą i nigdy nie podda się imperatorowi.

Ja zaś jestem i starszy, i mądrzejszy. Rozumiem, jakim szaleństwem byłaby wojna, która pozbawiłaby życia niezliczone rzesze ludzi. I po cóż?

Tylko po to, żeby ustalić, kto jest najważniejszy? Richard jest młodym głupcem, który nie wie, jak wykorzystać swoją moc. Ja nim nie jestem i - o czym się przekonaliście - wiem, jak się posługiwać moim magicznym darem. Zamierzam wziąć pod uwagę możliwość oddania Jagangowi tak przezeń upragnionej władzy nad Nowym Światem.

- A co w zamian?

Nathan niedbale machnął ręką.

- A w zamian za pomoc chcę dla siebie trochę łupów. Władzy nad D'Hara.

Oczywiście pod zwierzchnictwem Jaganga. Byłbym jego człowiekiem zajmującym się sprawami D'Hary. Tylko on byłby wyższy rangą ode mnie. Uważam, że to uczciwa propozycja.

Młody Pierce wciąż był blady jak płótno i starał się skryć za kobietami. Za to obie Siostry nagle zaczęły wyglądać na nieco mniej niezadowolone. Na ich ustach pojawił się wyrachowany uśmiezek.

- Skąd Jagang ma wiedzieć, że może ci zaufać?

- Zaufać? Czy on uważa, że jestem tak głupi jak młody lord Rahl, który włada teraz Nowym Światem? Widziałem, co uczyniono z Renwoldem. Gdybym nie rządził D'Hara po myśli Jaganga, płacąc mu sowity haracz, zawsze może nadciągnąć i spróbować nas zmiażdżyć. Wojny są bardzo kosztowne. Wolę te bogactwa zachować dla siebie.

Siostra Jodelle uśmiechnęła się uprzejmie.

- A tymczasem? Skąd mamy wiedzieć, że mówisz poważnie?

- Pragniecie dowodów? - Nathan tarł podbródek, zapatrzony w sufit. - Na północ stąd znajdują się wojska D'Hary, blisko sto tysięcy żołnierzy. Nie odnajdziecie ich bez mojej pomocy dopóty, dopóki nie napadną na korpus ekspedycyjny Jaganga.

Kiedy imperator wyeliminuje obecnego lorda Rahl, więź łącząca owe wojska z lordem Rahlem przeniesie się na mnie. Staną się lojalni wobec mnie. Gdy tylko się to stanie, przyłączę owych żołnierzy do wojsk Jaganga, a nawet dam mu jeszcze więcej wojaków. D'Harańczycy mają długą tradycję walk o łupy. Doskonale wpasują się w armię imperatora.

- Poddanie wojsk - powiedziała z namysłem Siostra Jodelle.

- Same wiecie, moje dobre Siostry, że Jagang stara się wykorzystać proroctwo, by wygrać tę wojnę. I tu popełnił błąd: korzysta z usług czarodziejów, którzy nie są prawdziwymi Prorokami. Mógłbym również

służyć radami prawdziwego, doświadczonego Proroka. W przeciwnym razie będzie miał wroga w prawdziwym Proroku, a do pomocy jedynie Proroków dyletantów. A pomoc tychże dyletantów wpędziła go w owe... kłopoty, nieprawdaż? Wyciągnę go z nich za drobną, nieznaczną część łupów. Jestem przekonany, że zrozumiecie, iż po tych wszystkich latach spędzonych pod waszą, Siostry, opieką zamierzam wykorzystać czas, który mi pozostał, na radowanie się przyjemnościami życia. Dzięki mojej pomocy Nowy Świat nie stawi większego oporu, niż stawił Renwold. Lecz jeśli Jagang postąpi nierozsądnie, to kto wie, Nowy Świat może nawet wygrać, mając po swojej stronie prawdziwego Proroka.

Siostra Jodelle patrzyła badawczo w oczy Nathana.

- Tak. Rozumiem, o co ci chodzi. Prorok podał im list.

- Proszę. Przekażcie to Jagangowi. To moje propozycje i warunki, na jakich poddam Nowy Świat, Jak mówiłem, jestem przekonany, że wydam mu się rozsądniejszy niż obecny lord Rahl. Wiem, że wojna nie przynosi żadnych korzyści.

Nie ma znaczenia, większego znaczenia, kto jest przywódcą. Dlaczegoż setki tysięcy ludzi miałyby umierać tylko po to, żeby wyłonić najwyższego władcę?

Obie Siostry rozejrzały się po luksusowej komnacie i konspiracyjnie uśmiechnęły się do Nathana.

- Ty podstępny staruchu. A my przez cały ten czas myślałyśmy, że jesteś starym głupcem, który żyje sobie w swoich apartamentach. Dobrze, lordzie Rahlu, przekazemy to imperatorowi Jagangowi. Sądzę, że ogromnie go to zainteresuje.

Gdyby obecny lord Rahl był równie rozsądny, nie wpadłby w takie tarapaty - powiedziała Siostra Jodelle.

- Przez te wszystkie lata miałem czas wszystko przemyśleć. Siostra Jodelle odwróciła się od drzwi.

- Nie mogę się wypowiadać za imperatora Jaganga, lordzie Rahlu, ale sądzą, że te wieści bardzo go ucieszą. Uważam, że możemy śmiało oczekiwać końca wojny i zwycięstwa, po którym Jagang zostanie przywódcą wszystkich ludów.

- Ja tylko chcę, żeby ustało zabijanie. To wyjdzie na korzyść nam wszystkim, Siostro. Aha, powiedzcie też Jagangowi, że przykro mi z powodu

Vincenta, ale ten chłopak i tak dobrze mu nie służył.

Siostra Jodelle wzruszyła ramionami.

- Masz rację, lordzie Rahlu, nie służył dobrze.

ROZDZIAŁ 50

Richard wspierał czoło o wnętrze dłoni. Przeczesał włosy palcami. Podniósł wzrok, bo usłyszał, że ktoś wchodzi do komnaty. To była Kahlan.

Jej uśmiech, błyszczące zielone oczy, wspaniałe, gęste długie włosy i uroda sprawiły, że serce w nim urosło. Zdumiewał się jej pięknem i tym, że go kochała.

Nigdy się nie spodziewał, że znajdzie tak wielkie poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała mu ta miłość. Zawsze wyobrażał sobie, że się w kimś zakocha, ale nie sądził, że to wniesie w jego duszę taki spokój i da mu takie poczucie bezpieczeństwa.

Jeżeli Shota kiedykolwiek spróbuje zniszczyć owo poczucie bezpieczeństwa...

Kahlan niosła parującą miseczkę.

- Pomyślałam, że może byś coś zjadł. Siedzisz nad tym od kilku dni. Uważam, że przydałoby ci się trochę więcej snu.

Richard spojrział na dużą białą miseczkę w jej dłoniach.

- Dziękuję. Zmarszczyła brwi.

- Co się stało, Richardzie? Jesteś taki blady. Odchylił się na oparcie fotela i westchnął.

- Trochę źle się czuję. Teraz zbladła Kahlan.

- Źle się czujesz? Richardzie, to nie...

- Nie, to nie to. To przez tę księgę o śledztwie i procesie w sprawie Świątyni Wichrów. Niemal żałuję, że ją znalazłem.

Kahlan pochyliła się i postawiła miseczkę.

- Proszę. Zjedz trochę.

- Co to? - spytał, patrząc, jak unoszą się i opadają jej piersi odsłonięte częściowo przez dekolt szaty Spowiedniczki.

- Gęsty kleik z soczewicy. Zjedz trochę. Czego się dowiedziałeś?

Richard chuchał na łyżkę, by ostudzić papkę.

- Jeszcze zbyt dużo nie przetłumaczyłem, bo to zabiera okropnie dużo czasu, ale z tego, co przeczytałem, wynika, że ci ludzie, ci czarodzieje... że... że zabili wszystkich czarodziejów, którzy odesłali Świątynię Wichrów. Nazywali ich grupą świątyni. Prawie stu mężczyzn. - Przeciągnął palcem po

gardle. Kahlan przysiadła naprzeciw chłopaka na skraju stołu.

- Co uczynili, że zasłużyli na śmierć? Richard zamieszał kleik z soczewicy.

- Po pierwsze, zostawili dostęp do Świątyni Wichrów, jak im nakazano, lecz tak utrudnili wejście, że gdy tamci chcieli wrócić po magię niezbędną podczas wojny, nie mogli dostać się do środka.

- Kolo pisał, że pojawiły się czerwone księżycy, czyli ostrzeżenie wysłane przez świątynię. Chodzi ci o to, że dawni czarodzieje nie mogli zareagować na to ostrzeżenie?

- To nie tak działało. Oni się tam dostali. - Z emfazą machnął łyżką. - I to właśnie była przyczyna pojawienia się czerwonego księżyca. Nie udało im się natomiast druga próba dotarcia do świątyni, którą podjęli po tym, jak ukazały się czerwone księżycy „sprowadzone” przez pierwszą wysłaną tam osobę.

Richard zjadł kolejną łyżkę papki, a Kahlan pochyliła się ku niemu.

- Ale ta pierwsza osoba dostała się do środka?

- O tak, udało mu się wejść. I w tym cały problem. Kahlan potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem.

Chłopak odłożył łyżkę i odchylił się na oparcie fotela. Spojrzał jej w oczy.

- Grupa świątyni, czyli ci, którzy odesłali Świątynię Wichrów, to jednocześnie ci sami czarodzieje, którzy umieścili w niej magiczne twory. Wiesz o niektórych przerażających magicznych istotach, które stworzono podczas tamtej wojny? O istotach stworzonych z ludzi? Jak na przykład mriswithy? Jak Nawiedzający Sny?

Ludzie z Nowego Świata walczyli z wrogami ze Starego Świata, którzy, podobnie jak dzisiaj Jagang, chcieli wyeliminować magię. Owi czarodzieje, którzy umieścili magiczne istoty w bezpiecznym schronieniu świątyni, sympatyzowali z chcącymi wyeliminować magię wrogami ze Starego Świata. Uważali, że wykorzystywanie ludzi do tworzenia owych straszliwych rodzajów broni było równie złe, jak część tego, przeciwko czemu walczyli.

Zafascynowana tymi słowami Kahlan pochyliła się ku Richardowi.

- Chcesz powiedzieć, że przeszli na stronę wroga? że tak naprawdę działali na rzecz ludzi ze Starego Świata, by wyeliminować magię?

- Nie. Nie chodziło im o to, by pokonać Nowy Świat lub zniszczyć całą

magię.

Oni po prostu byli zdania, że w przeciwieństwie do czarodziejów z Wieży Czarodzieja widzą całą tę sprawę o wiele szerzej, nie tylko jako wojnę. Szukali pośredniej drogi. Uznali, że wojny i powodowane przez nie zło są w pewnym stopniu związane z niewłaściwym stosowaniem magii. Postanowili, że coś trzeba z tym zrobić.

Kahlan założyła za ucho pasemko włosów.

- Zrobić? Ale co?

- Wiesz, że w wieży było mnóstwo czarodziejów? że mieli dar obu magii? że dawni czarodzieje mieli o wiele większą moc, niż ma dzisiaj nawet Zedd, Pierwszy Czarodziej? że ludzie z darem rodzą się coraz rzadziej? Myślę, że owi czarodzieje wykorzystali Świątynię Wichrów, by usunąć z tego świata część magicznej mocy.

Zapieczętowali ją w zaświatach, skąd, tak to pojmowali, nie można użyć jej do wyrządzania szkody na tym świecie.

Kahlan przycisnęła dłoń do piersi.

- Drogie duchy. Kto dał im prawo podjąć taką decyzję? Nie są Stwórcą, który dał nam wszystko, w tym również magię.

Richard się uśmiechnął.

- Prowadzący śledztwo powiedział to samo. Chciał dokładnie wiedzieć, co uczynili.

- A dowiedziałeś się tego?

- Nie przetłumaczyłem jeszcze zbyt wiele i nie mam pojęcia, w jaki sposób działała magia, ale wydaje mi się, że grupa świątyni zablokowała subtraktywną część magicznej mocy czarodziejów. To właśnie magię subtraktywną wykorzystywano do zmieniania ludzi w broń. Za jej pomocą odbierano tym ludziom część ich „ja”

niepotrzebną czarodziejom, a potem, używając magii addytywnej, dodawano to, co pozwalało wykorzystać ich jako oręż.

- A co z tobą? Przecież urodziłeś się z darem obu magii. Skoro zablokowano moc, to jak wytłumaczyć twój dar? I moja moc Spowiedniczki ma element magii subtraktywnej. Rahl Pośepny korzystał z magii subtraktywnej, niektóre Siostry też to czynią. Nawet dziś istnieją stworzenia, których dar obejmuje również tę magię.

Richard przetarł dłonią twarz.

- Nie wiem. Nie jestem nawet całkiem pewny tego, co powiedziałem.

Większość księgi czeka na przetłumaczenie. Dopiero co wziąłem się do pracy. I wcale nie mam pewności, czy nawet przetłumaczenie całości dostarczy nam odpowiedzi, których szukamy. To było śledztwo i proces, a nie lekcja historii dla mnie. W tamtych czasach wszyscy o tym wiedzieli. Nie musieli tego nikomu wyjaśniać. Zaczynam podejrzewać, że grupa świątyni zapobiegła przekazywaniu magii subtraktywnej potomkom czarodziejów. Twoja magiczna moc nie została przekazana przez czarodzieja i prawdopodobnie dlatego jest nienaruszona. Rahl Posepny nauczył się nią posługiwać, bo nie urodził się z tym darem. Na tym zapewne polega różnica. Może źle ocenili zakłócenie równowagi. Jakże spowodowało odebranie magii subtraktywnej tym, którzy urodzili się z darem, i nie przewidzieli, że coraz rzadziej będą się rodziły dzieci mające magiczny dar. A może wiedzieli o tym. Może właśnie tego chcieli. I może właśnie dlatego wykonano na nich wyrok śmierci.

- A co z czerwonymi księżycami?

- Kiedy najważniejsi czarodzieje dowiedzieli się o tym, wysłali kogoś, żeby odwrócił to, co uczynili tamci. Potrzebny był im ktoś obdarzony przeogromną mocą, ktoś strasznie zdeterminowany, ktoś, kto miał nadzieję odnieść sukces. Wysłali najzagorzalszego rzecznika magii, największego fanatyka: Naczelnego Prokuratora i potężnego czarodzieja - Lothaina. Wysłali go do Świątyni Wichrów, żeby naprawił szkodę.

Kahlan przygryzła dolną wargę.

- I co się wydarzyło?

- Dostał się tam przez Przdسیونek Zdrajcy, jak mi mówiłaś. I stało się tak, jak powiedziałaś: Lothain wszedł do środka i uczyniwszy to, zdradził ich. Nie bardzo wiem, co zrobił, bo wiele z tych słów odnosi się do specyficznej magii, której nie rozumiem. Jednak z tego, co pojąłem, wynika, że wzmocnił to, co zrobili czarodzieje, którzy odesłali świątynię. Ba, sprawił nawet, że stało się to jeszcze gorsze. Zdradził sojuszników z Nowego Świata. Ponieważ musiał zmienić sposób, w jaki Świątynia Wichrów zatrzymywała magię subtraktywną, świątynia wysłała ostrzeżenie w postaci czerwonych księżyców. Kiedy odebrano ten sygnał i wołanie o pomoc, wysłano czarodzieja. Czarodzieje byli zadowoleni, że Świątynia Wichrów przesyła wołanie o pomoc, gdyż oznaczało to, że nie muszą wchodzić przez

Przedsiónek Zdrajcy. Łudzili się, iż będą się mogli dostać do środka i w końcu naprawić szkody. Ów czarodziej nigdy nie wrócił. Wysłali następnego, potężniejszego i bardziej doświadczonego. I ten nigdy nie wrócił. W końcu, wobec powagi sytuacji, do Świątyni Wichrów udał się sam Pierwszy Czarodziej. - Richard uniósł amulet. - Baraccus.

- Baraccus - szepnęła zadziwiona Kahlan. - Dotarł do świątyni?

- Nigdy nie zdobyli pewności. - Richard przesunął kciuk po skraju stołu. - Baraccus wrócił w stanie zamroczenia. Poszli za nim, lecz nie reagował ani na to, co mówili, ani na to, co robili. Udał się do Wieży Pierwszego Czarodzieja, do swojego zacisza, i zostawił tam to. - Chłopak raz jeszcze podniósł amulet i pokazał go Kahlan.

- Wyszedł stamtąd, zdjął resztę stroju, tego, który teraz noszę, a potem dotarł na skraj wału obronnego i skoczył w przepaść, na spotkanie śmierci.

Kahlan siedziała nieruchomo, a Richard chrząknął i postarał się zapanować nad głosem, nim wrócił do opowieści:

- Po tym wypadku czarodzieje nie ponawiali już prób dostania się do Świątyni Wichrów w odpowiedzi na zew czerwonych księżyców. Uznali to za niemożliwe.

Nigdy nie udało im się naprawić szkody wyrządzonej przez grupę świątyni, a następnie przez Lothaina.

Zapatrzył się przed siebie, a Kahlan obserwowała go z kamienną twarzą.

- Jak się tego dowiedzieli?

Dłoń Richarda zacisnęła się wokół amuletu.

- Posłużyli się Spowiedniczką. Magdą Searus. Pierwszą Matką Spowiedniczką we własnej osobie.

- Żyła w tamtych czasach? W czasie tamtej wojny? Nie wiedziałam o tym.

Richard rozmasował palcami zmarszczone czoło.

- Lothain nie powiedziałby im, co zrobił. Czarodzieje, którzy prowadzili proces, nakazali stworzyć Spowiedniczki. Pierwszą była Magda Searus. Wiedzieli, że torturami nie wydobędą z Lothaina prawdy, wzięli więc ową kobietę, Magdę Searus, stworzyli moc Spowiedniczek i wsaczyli ją w nią. Dotknęła Lothaina swoją mocą i wydobyla zeń prawdę. Wyznał, co uczyniła grupa świątyni i co uczynił on sam. - Richard odwrócił wzrok od jej zielonych oczu. - Czarodziej, który uczynił to Magdzie Searus, który stworzył moc Spowiedniczek, nazywał się Merritt. Trybunał był tak zadowolony ze

skutków działań Merritta, że wydał rozkaz tworzenia Spowiedniczek i przypisywania im czarodziejów, którzy mieli je strzec. W rewanżu za życie Magdy Searus, za obowiązek, na którego wypełnienie skazał ją i potomstwo wszystkich Spowiedniczek, Merritt został jej obrońcą, jej czarodziejem.

W komnacie zapanowała cisza. Kahlan przybrała „twarz Spowiedniczki”, która nie ukazywała jej uczuć. Jednak Richard nie musiał widzieć wyrazu twarzy dziewczyny, by wiedzieć, co czuła. Przysunął sobie miseczkę i zjadł trochę papki z soczewicy. Znacznie wystygła.

- Richardzie, jeśli ci czarodzieje, z całą swoją mocą, z całą swoją wiedzą... jeśli nawet oni nie mogli się dostać do Świątyni Wichrów, kiedy wysyłała jako ostrzeżenie czerwone księżycy, to... - wyszeptała w końcu Kahlan.

Umilkła, a Richard dokończył:

- To jak ja mogę mieć nadzieję, że mi się to uda? Zapanowała nieprzyjemna cisza. Richard jad! papkę.

- Jeśli nie dostaniemy się do świątyni, Richardzie, to wydarzy się to wszystko, co ukazały mi duchy. Śmierć przetoczy się przez kraj. Umrą nieprzeliczone rzesze ludzi - powiedziała cicho Kahlan.

Mało brakowało, by Richard zerwał się na równe nogi i wrzasnął, że wie o tym. Mało brakowało, by wrzasnął, pytając, czego od niego oczekuje. Przełknął jednak owe wrzaski z daniem z soczewicy.

- Wiem - wyszeptał. I dalej jadł w milczeniu. Kiedy skończył i był pewny, że odzyskał panowanie nad sobą, wrócił do opowieści: - Jeden z członków grupy świątyni, czarodziej Ricker, złożył oświadczenie, zanim go stracili. - Richard wyciągnął ze stosu kartę z tłumaczeniem i przeczytał Kahlan: - „Nie mogę dłużej apróbować tego, co czynimy za pomocą naszego daru. Nikt z nas nie jest ani Stwórcą, ani Opiekunem. Nawet prostytutka ma prawo przeżyć życie po swojemu”.

- O czym on mówił? - spytała Kahlan.

- Sądzę, że gdy czarodzieje wykorzystywali ludzi i niszczyli ich, by powołać istoty potrzebne na wojnie, wybierali do tego tych, którzy w ten czy inny sposób sprawiali kłopoty. Takich, których bez żalu mogli zniszczyć. Słyszałem, że czarodziej musi wykorzystywać ludzi. Wątpię, czy ci, którzy to mówili, znali ohydłą genezę owej maksymy. - Dostrzegł w jej oczach przerażenie.

- Więc na podstawie tego, co wyczytałeś, Richardzie, uważasz, że to

niemożliwe? Myślisz, że nic nie możemy zrobić?

Richard nie wiedział, co powiedzieć. Położył rękę na dłoni Kahlan.

- Członkowie grupy świątyni, nim zostali straceni, powiedzieli we własnej obronie, że nie zapieczętowali na dobre świątyni, co z łatwością mogli uczynić, lecz że zostawili możliwość reakcji na zew. Zdradzili, że wciąż można się do niej dostać, jeśli tylko potrzeba będzie wystarczająco przemożna. Dostanę się tam, Kahlan.

Przysięgam.

W jej pięknych oczach na moment pojawiła się ulga, lecz potem wróciło owo przerażone spojrzenie. Richard wiedział, o czym myślała. I on myślał o tym samym, czytając o szaleństwie, jakim była wojna, i o tym, co ludzie sobie czynili nawzajem.

- My nie korzystamy z magii, Kahlan, żeby niszczyć ludzi dla naszych celów.

My korzystamy z magii, by walczyć z tym, co zabija bezbronne dzieci. Walczymy o wyzwolenie od przerażenia i zabijania.

Uścisnęła jego dłoń i leciutko się uśmiechnęła.

Oboje podnieśli wzrok, kiedy usłyszeli pukanie do otwartych drzwi.

To był Drefan.

- Mogę wejść? W niczym nie przeszkadzam?

- Nie. Wejdz - odparł Richard.

- Chciałem cię zawiadomić, że rozkazałem użyć wozów, jak tego chciałeś. Już do tego doszło.

Richard rozmasował czoło palcami.

- Ilu?

- Jeżeli spłynęły już wszystkie raporty, to ostatniej nocy trochę ponad trzy setki. Tak jak podejrzewałeś, ludzie nie dają sobie rady z taką liczbą zmarłych, a przecież zwiększa się ona z każdym dniem.

Richard potaknął,

- Nie możemy pozwolić, by zmarli czekali. Gdybyśmy pozwolili im gnić na powietrzu, zaraza mogłaby się rozprzestrzenić jeszcze szybciej. Muszą być pochowani natychmiast po śmierci. Powiedz ludziom, żeby owe wozy wyruszyły natychmiast, jak je zorganizują. Daję im czas do zachodu słońca.

- Już im to powiedziałem. Tak jak mówisz, nie możemy pozostawiać na łasce losu ciał zmarłych na zarazę. To by tylko pogorszyło sprawę.

- Czy czarna śmierć może się jeszcze nasilić? - spytał Richard.

Drefan nie odpowiedział.

- Przepraszam - rzucił Richard. - To było zbędne pytanie. Znalazłeś coś, co choć trochę pomaga?

Arcykapłan obciągnął rękawy swojej białej koszuli.

- Nie ma leku na zarazę, Richardzie. Przynajmniej ja nie znam żadnego.

Zachowanie zdrowia to jedyna nadzieja. A jeśli już o to chodzi, to z pewnością siedzenie tutaj przez cały dzień i większość nocy nie jest zdrowe. Znów za rnało śpisz. Widzę to po twoich oczach. Przestrzegałem cię już przed tym. Powinieneś się przespacerować, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Richard miał serdecznie dość prób tłumaczenia księgi oraz tego, czego się dowiadywał, gdy próby te się udawały. Zamknął księgę i odsunął fotel.

- I tak nic z tego. Chodźmy się przejść, jak proponujesz. - Przeciągnął się i ziewnął. - A czym ty się zajmowałaś, kiedy tkwiłem tak zamknięty w tej dusznej komnacie? - zapytał Kahlan.

Dziewczyna zerknęła ukradkiem na Drefana.

- Ja... pomagałam Drefanowi i Nadine.

- Pomagałaś? W czym?

Brat Richarda wygładził koronkowy przód koszuli.

- Kahlan pomagała w opiece nad służbą. Niektórzy z nich są... chorzy.

Richard oderwał wzrok od oczu Kahlan i spojrzał na Drefana.

- Zaraza jest w pałacu?

- Obawiam się, że tak. Zachorowało szesnastu ludzi. Kilka przypadków to zwyczajne choroby, lecz reszta...

Richard westchnął ciężko.

- Rozumiem.

Raina trzymała wartę przed komnatą chłopaka. Wyprostowała się sztywno, gdy wyszedł na korytarz.

- Idziemy się przejść, Raino. Lepiej chodź z nami, bo inaczej nasłucham się od Cary.

Raina uśmiechnęła się i odgarnęła do tyłu kosmyk ciemnych włosów.

Wiedziała, że Richard ma rację, i wyraźnie była zadowolona, że sam to zaproponował.

- Nie chciałam ci przeszkadzać, kiedy pracowałaś, lordzie Rahlu, ale zjawił się z raportem kapitan straży miejskiej - powiedziała.

- Wiem. Słyszałem. Ostatniej nocy zmarło trzystu ludzi. Raina przestąpiła z nogi na nogę, zatrzeszczał skórzany uniform.

- To także, ale chcieli, żebym ci przekazała, iż ostatniej nocy znaleźli kolejną kobietę. Była pocięta jak tamte cztery.

Richard zamknął oczy i przesunął dłonią po ustach. Spostrzegł, że zapomniał się ogolić.

- Drogie duchy. Czyż za mało ludzi umiera, by jeszcze jakiś szaleniec musiał zabijać?

- Czy to była prostytutka jak tamte? - spytał Drefan.

- Kapitan mówił, że prawie na pewno tak. Arcykapłan potrząsnął z niesmakiem głową.

- A łudziliśmy się, że wystraszy się jeżeli nie przyłapania, to zachorowania.

Zaraza szaleje wśród prostytutek znacznie mocniej niż wśród innych warstw.

Richard dostrzegł nadchodzącą korytarzem Berdine.

- Bardzo chciałbym zrobić coś w tej sprawie, ale mamy większe zmartwienia.

- Spojrzał na Rainę. - Kiedy wrócimy, powiedz kapitanowi, że chcę, by jego ludzie rozgłosili wśród owych kobiet, że w Aydindril grasuje morderca i że dla ich bezpieczeństwa byłoby lepiej, gdyby choć na krótko porzuciły swoją profesję. Jestem przekonany, że żołnierze wiedzą, gdzie odszukać prostytutki - dodał szeptem. - Niech od razu zaczną to rozgłaszać. Jeśli owe kobiety nie przestaną się sprzedawać, to mogą się znaleźć w towarzystwie nieodpowiedniego klienta. Ostatniego w życiu klienta. - Richard odczekał, aż Berdine do nich dołączy. - Czy aby nie powinnaś być w wieży i pilnować sylfy? - zapytał. Berdine wzruszyła ramionami.

- Poszłam tam, by zastąpić Careę, ale powiedziała, że chce zostać na następną zmianę.

Richard przeczesał palcami włosy.

- Dlaczego?

Berdine znów wzruszyła ramionami.

- Tego mi nie powiedziała. Kahlan ujęła go za ramię.

- Myślę, że to szczury.

- Co takiego?

- Uważam, że chce sobie coś udowodnić. - Dziewczyna wahała się przez chwilę. - Cara nie lubi szczurów.

- Ja jej za to nie ganię - mruknęła Raina.

- Ohydne stwory. I ja jej nie ganię - wtrącił się Drefan.

- Jeżeli któreś z was będzie jej dokuczać z tego powodu, to będzie mieć ze mną do czynienia - ostrzegła ich Kahlan. - Oczywiście po tym, jak Cara już z tą osobą skończy. To nie jest zabawne.

Nikt nie miał ochoty sprzeciwić się Kahlan czy też upierać się, że to jednak zabawne.

- Dokąd idziecie? - spytała Berdine.

- Na przechadzkę - odparł Richard. - Siedziałaś chyba równie długo jak ja.

Możesz iść z nami, jeśli chcesz.

Nadine wyszła zza narożnika i dostrzegła ich.

- Co się dzieje?

- Nic - odparł Richard. - Co u ciebie, Nadine? Zielarka się uśmiechnęła.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Okadzałam pokoje chorych, jak prosił Drefan.

- Właśnie wybieramy się na przechadzkę - odezwała się Kahlan. - Ciężko pracowałaś, Nadine. Może byś z nami poszła?

Richard spojrzał chmurnie na Matkę Spowiedniczkę. Nie patrzyła nań. Nadine przez chwilę wpatrywała się w oczy dziewczyny.

- Oczywiście. Bardzo chętnie.

Cała szóstka przemierzała marmurowe korytarze, mijając wspaniałe gobeliny i eleganckie meble. Stawiali stopy na przepysznych kobiercach, posuwając się ku głównemu wejściu do pałacu. Richard widział, że służba jest wstrząśnięta. Niektórzy płakali, wykonując swoje obowiązki.

Zanim dotarli do drzwi, spotkali Tristana Bashkara. Richard nie był w nastroju do rozmowy z ambasadorem Jary. Tristan stanął przed nimi. Tym razem nie uda się go wyminąć.

- Matko Spowiedniczko, lordzie Rahlu. - Tristan skłonił przed nimi głowę. - Cieszę się, że na was wpadłem.

- Czego chcesz, Tristanie? - spytała obojętnie Kahlan. Kiedy mówiła, wpatrywał się w rowek między jej piersiami, a teraz spojrzał na Richarda.

- Chciałbym wiedzieć...

- Przyszedłeś, żeby zaofiarować poddanie się Jary? - przerwał mu Richard.

Tristan odchylił połę surduta i wsparł dłoń na biodrze.

- Jeszcze nie upłynął czas, jaki mi przyznano. Chodzi mi o tę zarazę. Jesteś lordem Rahlem. Masz wszystkim zarządzać. Chcę wiedzieć, co zamierzasz uczynić w sprawie czarnej śmierci.

Richard się opanował.

- Co tylko zdołamy - odparł. Tristan znów spojrzał na piersi Kahlan.

- Hmm, jestem przekonany, iż zrozumiesz, że potrzebuję gwarancji. - Przeniósł wzrok na Richarda i uśmiechnął się przebiegle. - W końcu jak mógłbym z czystym sumieniem poddać kraj człowiekowi, który przygląda się temu? co może się okazać największym kataklizmem w historii Midlandów? Bez obrazy. Niebiosa przekazują mi słowa prawdy. Jestem przekonany, że rozumiesz moją sytuację.

Richard pochylił się ku pompatycznemu ambasadorowi.

- Twój czas gwałtownie się kurczy, ambasadorze. Lepiej bądź wkrótce gotów poddać Jare, bo inaczej zajmę się tym na mój sposób. A teraz wybac, że pójdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza. Coś tu nagle zaczęło cuchnąć.

Tristan Bashkar spochmurniał.

Kiedy jego wzrok raz jeszcze spoczął na Kahlan, Richard wyszarpnął nóż z pochwy przytroczonej u pasa. Uczynił to tak szybko, że Tristan nie zdążył nawet mrugnąć. Wszyscy zamarli.

Chłopak przycisnął czubek ostrza do piersi Tristana.

- Wytnę ci serce, jeśli jeszcze choć raz zobaczę, że twoje lubieżne ślepia spoczywają nie na twarzy Kahlan, a na innym fragmencie jej ciała.

Odwrócił się i cisnął nożem, wbijając go w dębową kulę na szczycie pobliskiej tralki. Stuk odbił się echem w korytarzach. Nie czekając na odpowiedź, Richard ujął ramię Kahlan i odszedł tak szybko, że aż rozwiała się jego złocista peleryna. Twarz Kahlan była purpurowa. Obie Mord-Sith ruszyły za nimi, szeroko się uśmiechając.

Drefan też się uśmiechał. Jedynie Nadine nie zareagowała.

ROZDZIAŁ 51

Richard prowadził ich brukowaną uliczką; w oddali warknął pies. Zatrzymali się przed niewielkim podwórkiem za domem rodziny Andersonów. Podwórko wciąż było zawałone ścinkami i zrzynkami drewna, wiórami, stertami dłużyc; stały tam również oba stoły robocze. Nie było za to słyhać ani rozmów, ani odgłosów pracy.

Chłopak otworzył bramę i ruszył przez zagracony teren. W warsztacie również panowała cisza. Nikt nie zareagował na pukanie. Richard otworzył jedno skrzydło drzwi i zawołał. Nikt nie odpowiedział.

- Clive! Darby! Erling? Jest tam kto? - zawołał ponownie. Na kołkach wbitych w zakurzone ściany wisiały wciąż stare krzesła i szablony, ze wszystkich kątów zwieszały się jak dawniej pajęczyny. Na górze nie pachniało już pasztecikami i gotującą się rzepą, jak podczas ich poprzednich odwiedzin w domu Andersonów.

Czuć było natomiast ciężki zaduch śmierci.

Na jednym ze zrobionych przez siebie krzesel siedział Clive Anderson. Był martwy. Trzymał w ramionach sztywne ciało żony.

Richard znieruchomiał na ten widok. Usłyszał za sobą pełen bólu krzyk Kahlan.

Drefan zajrzał do sypialni. Wkrótce wrócił i potrząsnął głową.

Richard wpatrywał się w martwych małżonków. Usiłował sobie wyobrazić cierpienia Clive'a, który - chory na mór - siedział, trzymając w ramionach ciało żony, i tulił swoje martwe sny i nadzieje.

Drefan wsunął dłoń pod ramię chłopaka i odciągnął go.

- Tu już nic nie można zrobić, Richardzie. Lepiej przyślijmy wóz, żeby zabrał ciała.

Zapłakana Kahlan wtuliła twarz w ramię Richarda. Chłopak widział smutek na obliczach Rainy i Berdine. Widział, jak ich dłonie stykają się, a palce splatają w ukradkowym, dodającym otuchy dotknięciu. Nadine odwróciła od nich wszystkich wzrok. Richardowi zrobiło się jej nagle żal: była wśród nich samotna. Na szczęście Drefan pocieszył zielarkę, kładąc jej dłoń na ramieniu.

W izbie aż dzwoniła żałobna cisza. Kiedy schodzili po schodach, Richard

tulił do siebie Kahlan. Reszta podążała za nimi. Odetchnął dopiero wtedy, gdy dotarli do warsztatu. Zaduch na górze niemal go udusił.

Akurat wtedy pojawił się Erling, dziadek. Wytrzeszczył oczy na sześcioro ludzi stojących w jego warsztacie.

- Przepraszam, Erlingu - powiedział Richard. - Nie zamierzaliśmy nachodzić twojego domu. Przyszliśmy, żeby sprawdzić. Przyszliśmy...

Mężczyzna skinął obojętnie głową.

- Mój chłopak umarł. I Hattie. Musiałem... wyjść. Nie dałbym rady sam ich zanieść.

- Zaraz przyślemy wóz. Na sąsiedniej ulicy są żołnierze. Przyjdą, żeby ci pomóc.

Erling znów skinął głową.

- To byłoby uprzejme z twojej strony.

- A... pozostali? Czy oni...

Starzec podniósł nabiegłe krwią oczy.

- Moja żona, córka, syn, jego żona, Darby, mała Lily: wszyscy nie żyją. - Poruszał ustami, a w oczach zbierały mu łzy. - Beth wyzdrowiała. Znowu jest zdrowa. Nie mógłbym się nią zajmować. Zaprowadziłem ją do siostry Hattie. Tam, jak na razie, wszyscy są zdrowi.

Richard położył łagodnie dłoń na ramieniu Erlinga.

- Tak mi przykro. Drogie duchy, tak bardzo mi przykro. Starzec skinął głową.

- Dziękuję. - Odchrząknął. - Tak długo już żyję. To powinienem być ja, a nie młodzi. Duchy nie były sprawiedliwe. Nie były.

- Wiem. Są teraz w krainie spokoju. Wszyscy tam pójdziemy, wcześniej lub później. I znów będą z tobą - powiedział Richard.

Upewnili się, czy Erlingowi czegoś nie potrzeba, i wyszli na uliczkę. Tam przystanąli, żeby zebrać myśli.

- Raino, pobiegnij, proszę, na sąsiednią ulicę, gdzie widzieliśmy żołnierzy.

Przyprowadź ich tutaj. Powiedz, żeby zabrali ciała z domu Andersonów - zarządził Richard.

- Tak jest - odparła i pobiegła, a za nią płynął w powietrzu jej ciemny warkocz.

- Nie wiem, co robić - wyszeptał chłopak. - Co można zrobić dla kogoś,

kto właśnie stracił całą rodzinę? Wszystkich, których kochał? Czułem się strasznie głupio. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Drefan uściskał ramię brata.

- Powiedziałeś, co było trzeba, Richardzie. Naprawdę.

- Twoje słowa dodały mi otuchy, Richardzie. Nic więcej nie mogłem zrobić - odezwała się Nadine.

- Nic więcej nie mogłem zrobić - powtórzył zapatrzone przed siebie chłopak.

Kahlan ścisnęła mu dłoń. Również ręka Berdine dotknęła jego dłoni.

Pochwycił ją i stali tak we troje, złączeni odczuwanym żalem.

Richard chodził tam i z powrotem, czekając na powrót Rainy Słońce niemal już zaszło. Nim wrócić do pałacu, zapadnie zmrok. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to poczekać na pomoc dla Erlinga. Zaczekać na żołnierzy, którzy wyniosą z domu ciała jego syna i synowej.

Kahlan i Berdine stały blisko siebie, oparte o ścianę obok podwórka Andersonów. Drefan - ze splecionymi na plecach rękami, zatopiony w myślach - przechadzał się trochę dalej po uliczce. Nadine stała samotnie po przeciwnej jej stronie. Opierała się o oszalowaną ścianę.

Richard chodził i rozmyślał o Świątyni Wichrów, o magii wykradzonej na rozkaz Jaganga. Nie mógł wymyślić żadnego sposobu, który pozwoliłby zatrzymać tę masakrę. Krew w nim zawrzała, gdy przypomniał sobie błędzące po Kahlan oczy Tristana Bashkara. Zatrzymał się. Podniósł głowę. Za nim była Nadine. Opanowało go niesamowite odczucie.

Zjeżyły mu się włoski na karku.

Okręcił się, słysząc świst powietrza.

Świat zwolnił. Dźwięki się rozciągnęły. Wydawało mu się, że płynie.

Powietrze było gęste niczym szlam. Tamci zdawali mu się nieruchomi jak posągi.

Panował nad czasem.

Dryfował przed siebie, wyciągnąwszy do przodu ramię. Panował nad gęstością powietrza. W niesamowitej ciszy słyszał śpiew piór. Słyszał syk grotu.

Panował nad czasem.

Przerazone mrugnięcie powiek Nadine rozciągnęło się na całą wieczność.

Zacisnął dłoń.

Świat nagle stał się taki jak zawsze.

Richard zaciskał w pięści strzałę.

Grot był niecałe trzy cale od szeroko otwartych oczu zdelarki.

Jeszcze ułamek sekundy i byłoby po niej. Ów ułamek sekundy był dla Richarda godziną.

- Jak złapałeś tę strzałę, Richardzie? - wysapała Nadine. - Chyba rozumiesz, że aż mi skóra ścierpła. Ale wcale nie narzekam - dodała pospiesznie.

Drefan stał tuż obok z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Jakżeś to zrobił? - wyszeptał.

- Jestem czarodziejem, pamiętasz? - odparł Richard, odwracając się i spoglądając w kierunku, z którego nadleciała strzała. Wydało mu się, że dostrzegł jakiś ruch.

Kahlan objęła drżącą Nadine.

- Nic ci nie jest?

Nadine skinęła głową i ponieważ wrzasnęła z przerażenia. Kahlan przytuliła ją mocniej, dodając otuchy.

Richard wbił wzrok w owo poruszenie, złamał strzałę i ruszył biegiem.

Berdine pomknęła za nim. Obrócił ku niej głowę i nie zatrzymując się, krzyknął:

- Znajdź jakichś żołnierzy! Chcę, żeby otoczyli cały ten obszar! Chcę, by go pojmano!

Berdine ruszyła szukać żołnierzy. Richard mknął jak wiatr. Ogarnęła go wściekłość. Ktoś chciał zabić Nadine.

W owej chwili zielarka nie była kobietą, którą Shota przysłała mu na żonę.

Nie była kobietą, która sprawiała mu kłopoty. W owej chwili była dlań starą przyjaciółką z rodzinnych stron. Chłopaka opanowała magiczna furia.

Przemykały mijane w pędzie domy. Warczały psy, które zostawiał za sobą w biegu. Przechodnie krzyczeli i uskakiwali na boki. Jakaś kobieta wrzasnęła, przyciskając się do niewielkiego, pochylonego składziku.

Richard przeskoczył niski płotek, za którym dojrzał owo poruszenie. Jeszcze w powietrzu dobył miecza. Zabrzmiał charakterystyczny szcęk stali.

Wylądował, przetoczył się i poderwał na nogi, trzymając oburącz

obnażoną klingę. Znalazł się oko w oko z białą kozą. Nie było tu nikogo. Łuk leżał na ziemi między płotem a szopą dla kozy.

Rozejrzył się we wszystkie strony. Na sznurach wisiały prześcieradła i koszule. Na balkonie, ponad kołyszącym się na wietrze praniem, stała kobieta z włosami obwiązany niebieską przepaską.

Chłopak wsunął miecz do pochwy i zrobił tubę z dłoni.

- Widziałaś tu jakiegoś człowieka? - wrzasnął. Wskazała na prawo.

- Widziałam, jak ktoś uciekał w tamtą stronę - zawołała.

Richard rzucił się we wskazanym kierunku. Uliczka się zwężała. Za tunelem między domami znajdowało się przejście na ulicę. Spojrzył w obie strony. Złapał za ramię jakąś młodą kobietę.

- Wybiegł stąd mężczyzna. W którą stronę ruszył? Wystraszona kobieta próbowała się wyrwać, przytrzymując jednocześnie drugą ręką kapelusz.

- Tu wszędzie pełno ludzi. Jaki mężczyzna?

Richard puścił jej ramię. W górze ulicy, po swojej lewej, dostrzegł człowieka podnoszącego przewrócony ręczny wózek pełen świeżej zieleniny. Kiedy zdyszany Richard zatrzymał się przy nim, handlarz podniósł na niego wzrok.

- Jak wyglądał? Jak wyglądał mężczyzna, który tędy przebiegł? Zapytany poprawił kapelusz o szerokim rondzie.

- Nie mam pojęcia. Szukałem dobrego miejsca. Usłyszałem stuk przewracanego wózka i zobaczyłem ciemną postać. Biegła w tamtą stronę.

Richard pognał przed siebie. Stara część miasta tworzyła labirynt zaułków, ulic i krętych pasaży. Chłopak orientował się w kierunkach jedynie dzięki złocistemu blaskowi na zachodnim niebie. Ścigany nie musiał wcale umykać w jakimś określonym kierunku. Prawdopodobnie po prostu biegł, starając się uciec jak najdalej.

Richard natrafił na patrol złożony z dwunastu żołnierzy. Przemówił, nim zdążyli zaszalutować.

- Przebiegł tędy mężczyzna. Czy któryś z was go widział?

- Nie widzieliśmy żadnego biegnącego. Jak wyglądał?

- Nie wiem. Strzelił do nas z łuku i uciekł. Chcę, żeby go odnaleziono.

Rozdzielcie się i zaczniacie szukać.

Nim zdążyli wykonać rozkaz, nadbiegła Raina z dobrą pięćdziesiątką gwardzistów.

- Widziałeś, dokąd pobiegł? - spytała, z trudem łapiąc oddech.
- Nie. Zgubiłem go gdzieś tutaj. Chcę, żebyście się rozproszyli i odszukali go.

Odezwał się jeden z żołnierzy, sierżant:

- Lordzie Rahlu, jeśli ktoś chce uciec, to biegnąc, rzuca się w oczy. Jeśli ma choć odrobinę rozsądku, to znika za rogiem i spokojnie odchodzi.

Na dowód sierżant wskazał ulicę. Było tam mnóstwo ludzi spieszących za swoimi sprawami. Duża część przyglądała się poruszeniu na ich ulicy. Wielu mogło być owym mężczyzną, którego ścigał Richard.

- Jakakolwiek wskazówka, jak ów asasyn mógł wyglądać? Chłopak potrząsnął z irytacją głową.

- Nie zdążyłem rzucić na niego okiem. - Przeczesał palcami włosy, starał się uspokoić oddech. - Rozdzielcie się. Połowa niech wraca w stronę, z której przyszliśmy. Przepytajcie każdego, na kogo natraficie. Może ktoś widział go, jak biegł. Teraz może już iść spokojnym krokiem, lecz biegł, zanim tu dotarł.

Raina, trzymając w dłoni Agiel, stanęła tuż przy nim.

- Reszta pójdzie ze mną. Zbierzemy jeszcze trochę ludzi. Chcę, żeby poszukiwania nie ustawały. Może natrafimy na kogoś idącego, kto spanikuje i spróbuje uciec. Jeżeli tak, to chcę go mieć. Żywego - zarządził Richard.

Kiedy wrócili do Pałacu Spowiedniczek, była już późna noc. Żołnierze zostali już zaalarmowani. Stali z mieczami i toporami bojowymi w dłoniach, z nasadzonymi na cięciwy strzałami, z nastawionymi groźnie pikami. Inni patrolowali rozległe pałacowe tereny. Nawet mysz nie umknęłaby ich wytężonej uwadze.

Kahlan, Berdine, Raina, Drefan i Nadine towarzyszyli Richardowi w drodze do sali zgromadzeń. Czekał tam na nich, przechadzając się z założonymi na plecach rękami, Tristan Bashkar. Kiedy usłyszał, że nadchodzą, zatrzymał się i spojrzał w ich stronę.

Richard też stanął i patrzył, jak zbliża się doń pełen skruchy ambasador.

Eskorta chłopaka stanęła tuż za nim, jedynie Kahlan została u jego boku. Tristan uniósł rękę i pozdrowił ich.

- Czy mogę zamienić z tobą słowo, lordzie Rahlu? Richard obrzucił go spojrzeniem i zauważył, że tym razem Tristan nie wsparł dłoni na biodrze i nie zaprezentował swojego ozdobnego noża. Chłopak uniósł palec.

- Jedną chwilę.

Obrócił się ku swoim towarzyszom.

- Już późno. Czeka nas mnóstwo pracy, więc chcę, żebyście odpoczęli.

Berdine, chciałbym, żebyś pojechała do Wieży Czarodzieja i tej nocy trzymała wartę razem z Cara.

- Mamy obie trzymać wartę? - Berdine zmarszczyła brwi.

- Czyż nie tak właśnie powiedziałem? - Richard spojrział na nią groźnie. - Nie chcę najmniejszego ryzyka, zwłaszcza wobec tych nowych kłopotów.

- Więc ja będę strzegła komnaty Matki Spowiedniczki - powiedziała Raina.

- Nie. Chcę, żebyś strzegła komnaty Nadine. To ją zaatakowano.

- Tak jest, lordzie Rahlu - wykrztusiła Mord-Sith. - Zadbam o to, by żołnierze strzegli komnaty Matki Spowiedniczki.

- Gdybym chciał, by żołnierze kręcili się w pobliżu komnaty Kahlan, to bym ci chyba o tym powiedział, nieprawdaż? - Twarz Rainy poczerwieniała. - Wszyscy żołnierze mają wykonywać swoją robotę, patrolując wejścia, tereny pałacowe i okolicę. Wszyscy! Niebezpieczeństwo czai się na zewnątrz, a nie w środku. W pałacu Kahlan jest całkowicie bezpieczna. Nie życzę sobie, by gwardziści, którzy powinni strzec pałacu od zewnątrz, siedzieli na czterech literach przy komnacie Matki Spowiedniczki. Nie życzę sobie tego, słyszysz?!

- Ale, lordzie Rahlu...

- Nie sprzeciwiaj mi się. Nie jestem w odpowiednim nastroju. Kahlan dotknęła jego ramienia.

- Richardzie, jesteś pewny, że... - szepnęła.

- Ktoś próbował zabić Nadine. Prawie mu się to udało. A może któreś z was tego nie pojęło? Więcej nie będę ryzykował. Chcę, żeby ją chroniono, i nie życzę sobie żadnych protestów. Drefanie, masz natychmiast zacząć nosić miecz u boku.

Uzdrowiciele są zagrożeni.

Wszyscy bez słowa wpatrywali się w podłogę.

- Znakomicie. - Richard przeniósł gniewny wzrok na Tristana. - O co chodzi?

Ambasador rozłożył ręce.

- Ja tylko chciałem przeprosić, lordzie Rahlu. Rozumiem, że wydałem się niezuchy, lecz martwiłem się o ludzi, którzy tutaj chorują i umierają. To mi ogromnie rozstroiło nerwy. Nie chciałem wywołać żadnych zadrażeń

między nami. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Richard patrzył badawczo w oczy Bashkara.

- Tak, oczywiście. Przeprosiny przyjęte. Ja także przepraszam, że się uniosłem. Byłem nieco rozdrażniony. - Richard położył dłoń na ramieniu Nadine. - Ktoś próbował zabić jedną z moich uzdrowicielek, osobę niosącą pomoc innym.

Ludzie zaczynają obwiniać uzdrowicieli o to, że zaraza wciąż się szerzy. Nie pozwolę, by coś złego spotkało ludzi, którzy robią, co w ich mocy, żeby nieść pomoc.

- Tak, oczywiście. To wielce uprzejme z twojej strony, że przyjąłeś moje przeprosiny. Dziękuję, lordzie Rahlu.

- Pamiętaj, ambasadorze, że jutro dobiega końca dany ci czas. Tristan się skłonił.

- Zdaję sobie z tego sprawę i jutro poznasz moją decyzję, lordzie Rahlu. Masz na to moje słowo. Dobranoc.

Richard odwrócił się ku pozostałym.

- Jutro czeka nas mnóstwo pracy. Już późno. Musimy się trochę przespać, o czym nieustannie przypomina mi Drefan. Wydałem wam polecenia. Jakies pytania?

Każdy w milczeniu potrząsnął głową.

Dwie godziny po tym, jak wrócili do pałacu i Richard kazał im iść spać, Kahlan wydało się, że coś poruszyło się w jej komnacie.

Przyścienna lampa była mocno skrecona. Chmury kryły księżyc, więc przez szyby drzwi balkonowych nie wpadało do komnaty żadne światło. Grube dywany tłumili echo ewentualnych kroków. Jedynie słabiutkie światło lampy padło na postać, którą - jak się Kahlan zdawało - dostrzegła.

Kolejny ruch - niewyraźne poruszenie. Dziewczyna nie widziała, by ktoś wchodził do komnaty. To z pewnością tylko jej wyobraźnia. Miniony dzień tak ją rozstroił.

Następny cichy krok i już nie było wątpliwości: ktoś był w jej komnacie. Ktoś podkładał się coraz bliżej łoża. Poruszał się ukradkiem, ostrożnie, lecz zadziwiająco szybko dotarł do celu.

Kahlan nawet nie drgnęła, kiedy w nikłym świetle lampy dostrzegła błysk noża. Wstrzymała oddech.

Krzepkie ramię z nienawiścią dźgało nożem jej łoże. Unosiło się i

opadało, uderzając raz za razem.

Richard pchnął palcem drzwi balkonu. Otwarły się cicho na naoliwionych zawiasach. Berdine prześliznęła się przez komnatę, gdy tylko dał jej znak. Kiedy była już na miejscu, chłopak stuknął raz w szybę. Mord-Sith podkręciła knot lampy.

Obok łoża Kahlan znieruchomiał Tristan Bashkar - z nożem w dłoni, zadyszany z wysiłku, przyłapany na gorącym uczynku.

- Odłóż nóż, ambasadorze - powiedział spokojnie Richard. Tristan obrócił nóż w palcach, chwytając go za ostrze - szykował się do rzutu.

Natychmiast powaliło go dotknięcie Agielem w kark. Berdine podparła się biczem o jego ramię, pochyliła i podniosła nóż. Bashkar zawył z bólu.

Mord-Sith podniosła się i pokazała trzy noże.

- Miałeś rację, Richardzie - odezwał się z tyłu Drefan.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Nadine, wchodząc w krąg światła lampy.

- Więc uwierz - oznajmił generał Kerson, wsuwając się z balkonu do komnaty.

- Stwierdzam, że Tristan Bashkar stracił swój immunitet dyplomatyczny.

Richard wsunął w usta dwa palce i gwizdnął. Przez drzwi wpadła Raina, wiodąc za sobą liczną grupę uzbrojonych po zęby d'harańskich żołnierzy. Dwaj z nich zapalili resztę lamp.

Chłopak wsunął kciuki za pas, stanął obok Kahlan - wielka czarna postać ze złotymi naszywkami na tunice, srebrnymi ozdobami, sprzączkami i obręczami na przegubach - i patrzył, jak gwardziści stawiają Tristana na nogi.

- Miałeś rację, Richardzie. Zaatakował Nadine, żeby odciągnąć ode mnie strażę. Cały czas chodziło mu o mnie - powiedziała Kahlan.

A przez chwilę podejrzewała, że stracił rozum. Swoim zachowaniem zwiódł wszystkich, nawet Tristana.

- Dziękuję, że mi uwierzyłaś - szepnął.

Gdy po raz pierwszy powiedział jej, co zamierza uczynić, Kahlan podejrzewała, że oskarża Tristana ze względu na wcześniejsze zajście. Przemilczała to, lecz zastanawiała się, czy chłopak nie działa pod wpływem zazdrości.

Już dwa razy okazał zazdrość, od kiedy powiedziała mu, co usłyszała z

ust Shota. A nigdy wcześniej tego nie robił. Nie miał żadnego powodu, lecz słowa wiedźmy dźwięczały mu w pamięci, siejąc zwątpienie.

Ilekoć Kahlan spojrzała na Nadine, rozumiała odczucia Richarda. Ile razy zielarka stała zbyt blisko jej ukochanego, tyle razy Kahlan czuła szarpiącą zazdrość.

Wiedziała, że Shota i duch powiedzieli jej prawdę. Wiedziała, że nie dostanie Richarda. Jej umysł próbował to zracjonalizować, wykazać, że to się uda, że będą razem, ale serce wiedziało swoje. Richard poślubi Nadine, a ona sama poślubi innego.

Chłopak nie chciał w to uwierzyć. A przynajmniej mówił, że nie chce.

Zastanawiała się nad tym.

Kahlan widziała w wyobraźni siedzącego na krześle martwego Clive'a Andersona, który trzymał w objęciach swoją martwą żonę. Czymże było nieszczęśliwe małżeństwo w porównaniu z tragedią, jaka spotkała rodzinę Andersonów i wiele jeszcze innych rodzin? Czyż nie warto zapłacić tej ceny, jeśli powstrzyma to przeraźliwe cierpienia i zgony?

Nadine przysunęła się do Richarda z drugiej strony.

- Byłabym martwa, czy chciał odciągnąć straż od Kahlan, czy nie. Dziękuję, Richardzie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego jak ta sztuczka ze strzałą, którą złapałeś tuż przed moją twarzą.

Richard uściśnął ją jednym ramieniem.

- Dziękowałaś mi już wiele razy, Nadine. Ty również zrobiłabyś to samo dla mnie.

Kahlan znów poczuła ukłucie zazdrości. Stłumiła je. Jak powiedziała Shota: jeśli kocha Richarda, powinna chcieć, żeby to był ktoś, kogo on zna.

- A gdyby mnie zabił? To znaczy, gdyby mnie zabił, choć chciał tylko odciągnąć straż od Kahlan? Co by mu to dało?

- Wie, że mam dar, i na to właśnie liczył. Gdyby zdołał cię zabić, to reszta planu i tak mogłaby się powieść. A może spróbowaliby czegoś podobnego z Drefanem, by umocnić nasze podejrzenia, że celem są uzdrowiciele, nie zaś Kahlan.

- Dlaczego zwyczajnie nie strzelił z łuku do Kahlan? Richard obserwował jednostronną potyczkę po drugiej stronie łóżka Kahlan.

- Bo lubi się posługiwać tym swoim nożem. Chce czuć, że zabija.

Te słowa sprawiły, że Kahlan poczuła zimny dreszcz. Znała Tristana -

Richard mógł mieć rację. Bashkar mógłby czerpać z tego przyjemność.

Żołnierze wykręcili Bahkarowi ramiona i postawili go na nogi. Wciąż pałał chęcią walki, ale tamci mieli olbrzymią przewagę. Komnata wypełniła się gwardzistami, zapalono kolejne lampy.

Kahlan była zażenowana tym tłumem w jej sypialni. Podejrzewała, że to dlatego, iż komnaty Matki Spowiedniczki były zawsze prywatnym sanktuarium.

Bezpiecznym azylem.

I do owego sanktuarium wtargnął człowiek, który chciał ją zasztyletować.

- O co tu chodzi? - krzyknął Tristan.

- Och, po prostu chcieliśmy popatrzeć, jak ktoś dźga nożem wypchaną pakułami nocną koszulę - poinformował go Richard.

Generał Kerson przeszukał więźnia, by upewnić się, że Berdine znalazła całą broń. Potem spojrzał na Richarda.

- Co mamy zrobić, lordzie Rahlu.

- Zetnij mu głowę. Kahlan była wstrząśnięta.

- Nie możesz tego uczynić, Richardzie.

- Widziałaś go. Myślał, że cię zabija.

- Ale tego nie zrobił. Uderzał nożem w puste łóżko. Duchy odróżniają chęć od uczynku.

- Próbował też zabić Nadine.

- Niczego takiego nie próbowałem! To nie byłem ja! Ja nawet nie wychodziłem wieczorem z pałacu! - krzyczał Tristan.

Richard spojrzał nań z zimną wściekłością.

- Masz na kolanach białą sierść. Białą kozią sierść. Klęczałeś pod płotem, gdy napinałeś łuk i mierzyłeś. To wtedy oblepiłeś się kozią sierścią.

Kahlan spojrzała na nogi Bashkara - Richard miał rację.

- Jesteś szalony! Nie zrobiłem tego!

- Richardzie, Nadine też nie zabił. Może i próbował, ale tego nie zrobił. Nie możesz kazać go stracić za zamiary - odezwała się Kahlan.

Richard zacisnął pięść na wiszącym na jego piersi amulecie przedstawiającym taniec ze śmiercią. Żadnej litości. Wzrok generała przesunął się z Kahlan na Richarda.

- Lordzie Rahlu?

- Richardzie, nie możesz - nalegała Kahlan. Richard spojrział gniewnie na Tristana.

- Zabił te kobiety. Pociął je swoim eleganckim nożem. Lubisz kroić ludzi, prawda, Tristanie?

- O czym ty mówisz?! Nigdy nikogo nie zabiłem! Chyba że na wojnie!

- Nie zabiłeś i nie próbowałeś zabić Kahlan, i nie próbowałeś zabić Nadine, i nie masz na spodniach białej koziej sierści - powiedział chłopak.

Przerazone piwne oczy Tristana spojrzały na Kahlan.

- Nie zabiłem ani ciebie, Matko Spowiedniczko, ani jej. Sama powiedziałaś, że duchy odróżniają chęć od uczynku. Nikogo nie zabiłem. Nie pozwól mu tego uczynić!

Kahlan przypomniała sobie pogłoski krążące o Tristanie. Plotki mówiły, że w bitwie używał noża zamiast miecza i że czerpał sadystyczną rozkosz z cięcia ludzi.

Owe kobiety zabito dla sadystycznej rozkoszy.

- Cóż to mi mówiłeś, Tristanie? że często korzystasz z czaru monet, żeby zdobyć kobiece towarzystwo? I że jeśli złamiesz nasze prawa, to poddasz się naszym karom?

- A co z procesem? Nikogo nie zabiłem! Intencja to nie to samo co czyn!

- A co zamierzałeś zrobić, Tristanie? - zapytał Richard. - Dlaczego chciałeś zabić Kahlan?

- Nie dlatego, że sam tego chciałem. Nie robiłem tego dla przyjemności, jak uważacie, ale żeby ocalić ludzkie życie.

Richard uniósł znacząco brew.

- Zabić, żeby ratować życie ludzi?

- Zabijaliście ludzi. Nie dla przyjemności zabijania, ale żeby ocalić życie niewinnych ludzi. Jestem winny tego samego: próby ocalenia życia niewinnych ludzi.

Imperialny Ład przysłał posłów do królewskiego pałacu w Sandilarze. Powiedzieli, że mamy się do nich przyłączyć, bo inaczej zginiemy. Javas Kedar, nasz doradca czytający z gwiazd, powiedział, że musimy obserwować niebo i odczytać znak. Kiedy nadeszły czerwone księżycy i zaczęła się zaraza, zrozumiałem, co to oznacza. Miałem zabić Matkę Spowiedniczkę, żeby zdobyć łaskę Imperialnego Ładu. Miałem to zrobić, żeby i na nas nie zesłali czarnej śmierci. Próbowałem jedynie ocalić mój lud.

Richard popatrzył na Kahlan.

- Jak daleko jest do Sandilaru?

- Miesiąc w obie strony. Może kilka dni mniej. Chłopak spojrzął na generała.

- Zbierz kilku oficerów, żeby przejęli dowództwo nad armią i stolicą Jary.

Każ, by zawieźli głowę Tristana rodzinie królewskiej i powiedzieli, że został stracony za próbę zabicia Matki Spowiedniczki. Oficerowie mają zaproponować Jarze przyłączenie się do D'Hary na pokojowych, już raz zaoferowanych warunkach. To miesiąc, tam i z powrotem. Sam król ma przybyć z dokumentami o poddaniu się Jary.

Od jutra za miesiąc oczekuję jego i wysłanej po niego eskorty D'Harańczyków.

Powiedz królowi, że jeśli się nie poddadzą i nasi ludzie nie wrócą bezpiecznie, to osobiście przybędę do Sandilaru na czele wojska i pozbawię głowy wszystkich członków rodziny królewskiej. Potem podbijemy Jare i zajmiemy stolicę. A nie będzie to przyjacielska okupacja. Generał Kerson przyłożył pięść do serca.

- Stanie się, jak nakazałeś, lordzie Rahlu.

- Richardzie, a jeśli on mówi prawdę? Jeśli nie zabił tych kobiet? Mogłabym go dotknąć mocą Spowiedniczki i poznałybyśmy prawdę - wyszeptała Kahlan.

- Nie! Nie pozwolę, żebyś go dotknęła i usłyszała, co zrobił tym kobietom. To potwór. Nie chcę, żebyś go dotykała.

- A co, jeśli mówi prawdę? Jeśli nie zabił tych kobiet? Richard znów zacisnął dłoń na amulecie.

- Nie skazuję go na śmierć za zamordowanie tamtych kobiet. Próbował cię zabić. Widziałem to. Jeśli o mnie chodzi, to zamiar jest tym samym co czyn. Zapłaci za zamiar tak samo, jak zapłaciłby za czyn. - Chłopak przeniósł gniewny, mroczny wzrok na żołnierzy. - Tylko ostatniej nocy zmarło na zarazę trzystu ludzi. On przyłączyłby się do morderców, którzy są temu winni. Chcę, żeby skoro świt żołnierze wyruszyli do Jary i zabrali ze sobą jego głowę. Dostaliście rozkazy.

Zabierzcie go stąd.

ROZDZIAŁ 52

Kahlan zobaczyła nadchodzącego z przeciwka Drefana i postawiła kosz z czystymi bandażami i kawałkami płótna. Arcykapłan wciąż nosił u boku miecz, choć Richard nakazał to tylko po to, by przekonać Tristana, że jego plan się powiódł. Może nie był to taki zły pomysł. Niektórzy ludzie zaczęli się oburzać na uzdrowicieli, bo ci byli przeciwni maściom i lekom sprzedawanym na ulicach. Dziewczyna odgarnęła do tyłu włosy.

- Jak się czują?

Drefan westchnął i spojrzał za siebie na korytarz.

- Jedna osoba zmarła w nocy. Większość jest w gorszym stanie. Od dziś mamy sześciu nowych.

- Drogie duchy, co z nami będzie? - wyszeptała. Drefan uniósł jej brodę.

- Wytrwamy. Kahlan potaknęła.

- Skoro choruje coraz więcej służby, Drefanie, i już tak wielu zmarło, to co daje ten piekielny dym? Już mnie mdli od wdychania go.

- Dym nie pomaga na zarazę. Kahlan aż zamrugnęła powiekami.

- To po co wciąż okadzamy pałac? Drefan uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ludzie sądzą, że zapobiega roznoszeniu się choroby. Dodaje im otuchy fakt, że coś robimy i że jest jakaś nadzieja. Jeśli przestaniemy wszystko okadzać, pomyślą, że nie ma już żadnej nadziei.

- A jest? Jest jakaś nadzieja?

- Nie wiem - wyszeptał.

- Znasz już raport z ostatniej nocy? Skinął głową.

- Przez ostatni tydzień stale rosła liczba zmarłych. Tej nocy zmarło ponad sześciuset ludzi.

Przygnębiona dziewczyna odwróciła wzrok.

- Żebyśmy tak mogli coś na to poradzić.

Shota mówiła, że sposób sam się objawi. Duch powiedział to samo. Kahlan nie mogła znieść myśli, że utraci Richarda, a jednocześnie nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią tylu ludzi.

- Idę na zwykły obchód miasta - powiedział Drefan. Dziewczyna złapała go za ramię. Wzdrygnął się. Jako Spowiedniczka była przyzwyczajona do takiej reakcji.

Cofnęła dłoń.

- Wiem, że nie możesz nic zrobić, by to powstrzymać, ale i tak dziękuję ci za pomoc. Twoje słowa dają nadzieję żyjącym.

- Słowa to najlepszy lek uzdrowiciela. W większości przypadków tylko tak możemy pomóc. Większość ludzi sądzi, że bycie uzdrowicielem oznacza leczenie ludzi. A to zazwyczaj rzadko się zdarza. Już dawno nauczyłem się, że bycie uzdrowicielem równa się życiu z bólem i cierpieniem.

- Jak Richard? Widziałeś go tego ranka?

- Jest w swoim gabinecie. Dobrze wygląda. Przekonałem go, żeby się trochę przespał.

- To dobrze. Potrzebował wypoczynku. Błękitne oczy Drefana spojrzały w oczy Kahlan.

- Zrobił z owym człowiekiem to, co musiał, wiem jednak, jak mu to trudno przyszło, choć wydawał się taki stanowczy. Richardowi nie przychodzi łatwo zabić człowieka, choćby ten nawet stukrotnie na to zasłużył.

- Wiem - odparła. - Wiem, jak ciężko przeżywa skazanie kogoś na śmierć. I ja musiałam kiedyś to robić. W czasie pokoju masz luksus wydawania rozkazów, lecz w czasie wojny musisz działać. Wahanie oznacza śmierć.

- A powiedziałaś to Richardowi? Kahlan się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Wie, że uczynił to, co musiał, i że my, bliscy mu, rozumiemy to.

Na jego miejscu postąpiłabym tak samo. I powiedziałam mu to.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę kobietę, która będzie choć w połowie tak silna jak ty - powiedział Drefan i uśmiechnął się. - Że nie wspomnę już o twojej urodzie. Cóż, muszę iść.

Kahlan patrzyła, jak odchodzi. Jego spodnie w dalszym ciągu były zbyt obcisłe. Zarumieniła się na tę myśl i wróciła do swoich zajęć.

Nadine była w sali dla chorych i pielęgnowała ludzi zajmujących dwa rzędy łóżek. Stało ich tam dwadzieścia: wszystkie były zajęte, kilku chorych leżało na kocach na podłodze. Chorzy zajmowali również inne sale.

- Dziękuję - powiedziała zielarka, gdy Kahlan postawiła kosz z czystymi opatrunkami.

Nadine sypała w kubki zioła i przygotowywała herbatki. Inne kobiety zmieniały prześcieradła, oczyszczały i owijały otwarte wrzody, poły

pacjentów herbatką.

Nadine wyjęła z kosza kawałek płótna, zamoczyła go w misie z wodą, wykręciła i położyła na czole jęczącej kobiety. Poklepała ją po ramieniu.

- I jak teraz, kochana?

Ta jedynie słabo się uśmiechnęła i skinęła głową. Kahlan zajęła się innymi.

Ocierała chłodnym wilgotnym płótnem spocone twarze i dodawała chorym otuchy.

- Mogłabyś być uzdrowicielką - powiedziała Nadine, przystając przy niej.

- Masz takie łagodne ręce.

- Tylko to potrafię. Nie mogłabym nikogo wyleczyć. Nadine nachyliła się ku niej.

- A myślisz, że ja mogę? Kahlan rozejrzała się po sali.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Ale ty przynajmniej zdecydowałaś się poświęcić życie pomaganiu innym. Moje życie to obowiązek. Walka.

- Co masz na myśli?

- Tak naprawdę jestem żołnierzem. Moim obowiązkiem jest ranić jednych, żeby móc ocalić innych. Ludzie tacy jak ty leczą tych, którzy zostają, kiedy ludzie tacy jak ja kończą walkę.

Zielarka stanęła tuż przy Kahlan.

- Czasem chciałabym być żołnierzem i walczyć o zakończenie cierpień, żeby uzdrowiciele nie musieli się opiekować tak wieloma rannymi.

Kahlan musiała w końcu stamtąd wyjść. Nie mogła znieść zaduchu i mdliło ją od dymu. Nadine też miała dość, więc poszła z nią. Osunęły się po ścianie i usiadły na podłodze.

- Czuję się taka bezradna - powiedziała Nadine. - Tam, w rodzinnych stronach, jak kogoś bolała głowa, to mu coś na to dawałam i czuł się lepiej. Jak kobieta była w ciąży, to dawałam jej coś na żołądek lub pomagałam przy porodzie. Wydaje mi się, że zawsze pomagałam ludziom. Ale tu jest inaczej. Wszystko, co mogę zrobić, to pocieszać ludzi, którzy umierają, i cały czas się zastanawiać, czy to nie ja będę tak jutro leżeć. Nie mam pojęć, jak im pomóc. Czuję się kompletnie bezużyteczna.

Wolałabym pomagać ludziom, a nie patrzeć na ich śmierć.

- Wiem. O wiele większą satysfakcję musiała dawać pomoc przy rodzeniu dziecka - szepnęła Kahlan.

Zielarka, zadumana, patrzyła w dal.

- Czasami taka kobieta mówiła mi, iż wydawało się jej, że to nigdy nie nadejdzie, że to wydaje się nierealne. Czekwała, wiedząc, że to się stanie, lecz tak naprawdę nigdy w to nie wierzyła, przerażona opowieściami o tym, jakie to ciężkie.

Czekwała, lękając się bólu. Czasami kobiety myślą, że wszystko się zmieni, że obudzą się pewnego dnia i nie będą już w ciąży. A potem dziecko chciało się wydostać. I nagle kobieta wpadała w panikę. Czas nadchodzi. Była przerażona, że to się naprawdę dzieje. Zdarzało się, że krzyczała właśnie z tego przerażenia, ze strachu przed bólem.

To wtedy mogłam im pomóc. Byłam przy nich. Zapewniałam, że wszystko pójdzie, jak trzeba. Niektóre z nich dopiero wówczas naprawdę wierzyły, że to się dzieje.

Myślę, że to całkiem normalne, iż ludzie boją się tak głębokiej zmiany w życiu.

Niektóre były nieszczęśliwe i przerażone, dopóki nie nadszedł ów dzień, dopóki to się skończyło.

Siedziały razem w cichym korytarzu, odpoczywając i nasłuchując jęków dobiegających z sali dla chorych.

- Wciąż myślisz, Nadine, że wyjdiesz za Richarda? Tamta spojrzała na nią przelotnie, podrapała się w piegowaty nos i nic nie odpowiedziała.

- Nie pytam, żeby... żeby się kłócić. Ale mówiłaś, że możesz skończyć na którymś z tych łóżek. Tak sobie pomyślałam... że i mnie może się to przytrafić. Że mogę zapaść na mór i w ogóle.

Nadine obserwowała ją.

- Nie zachorujesz. Nie mów tak. Nie złapiesz moru. Kahlan przesunęła paznokciem po łączeniu płyt podłogi.

- Ale mogłabym. Po prostu zastanawiałam się, co byłoby z Richardem, gdybym zachorowała. Byłby samotny.

- Co ty mówisz?

Dziewczyna spojrzała w łagodne piwne oczy Nadine.

- Jeżeli z jakiegoś powodu to ty wyjdiesz za niego, a nie ja, to będziesz dla niego dobra? Zawsze będziesz dla niego dobra?

Uzdrowicielka przeknęła ślinę.

- Pewnie, że tak.

- Mówię poważnie, Nadine. Tak wiele się dzieje. Chcę wiedzieć, że nigdy go nie skrzywdzisz.

- Nigdy nie skrzywdzę Richarda.

- Ale przedtem go skrzywdziłaś.

Nadine odwróciła twarz i podrapała się w ramię.

- To co innego. Chciałam go zdobyć. Wszystko bym zrobiła, byle tylko był ze mną. Już ci to tłumaczyłam.

- Wiem. - Kahlan wyjęła kamyk ze szczeliny między płytami podłogi. - Ale jeśli coś się stanie i okaże się, że to ty... ty masz za niego wyjść, to chcę być pewna, że już nigdy więcej nie zrobisz mu czegoś takiego. Chcę usłyszeć od ciebie, że nigdy, przenigdy nie skrzywdzisz Richarda. Że go nie zranisz.

Nadine przez chwilę patrzyła Kahlan w oczy, a potem odwróciła wzrok.

- Jeśli kiedykolwiek będę z Richardem, to uczynię go najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Będę dbać o niego lepiej, niż jakakolwiek kobieta dbała o mężczyznę. Będę go kochać mocniej niż... zrobię, co w mojej mocy, żeby był szczęśliwy.

Kahlan poczuła znajomy ból. Wytrzymała to.

- Przysięgasz?

- Tak.

Matka Spowiedniczka odwróciła wzrok i otarła oczy.

- Dziękuję, Nadine. To właśnie chciałam wiedzieć.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Dziewczyna odchrząknęła.

- Jak już mówiłam, boję się, że mogę zachorować na mór. Jeżeli coś się stanie, to łatwiej to zniosę, wiedząc, że jest ktoś, kto zaopiekuje się Richardem.

- O ile wiem, to Richard doskonale sam sobie radzi. Wiesz, że on gotuje o wiele lepiej niż ja?

Kahlan się roześmiała. Nadine też.

- Czy to prawda? - spytała Kahlan. - Cóż, jeśli chodzi o Richarda, kobieta może jedynie mieć nadzieję, że on pozwoli sobie towarzyszyć.

- Lordzie Rahlu!

Richard się odwrócił - nawoływał go generał Kerson. Puścił dłoń Kahlan. Cara natychmiast stanęła tuż za dziewczyną.

- O co chodzi, generale?

Generał przystanął, pomachał listem. Z tyłu, wraz ze zwykłą strażą

generała, szedł zakurzony; zmęczony żołnierz.

- Wieści z południa od generała Reibischa i jego armii. - Generał wskazał żołnierza. - Grissom właśnie przyjechał.

Richard spojrzął na dyszącego wciąż żołnierza. Jeszcze cuchnął koniem.

Pomyślał, że też wolałby cuchnąć koniem i galopować po okolicy, niż całymi dniami siedzieć w gabinecie, tłumacząc zapiski z procesu i egzekucji. Zdawało mu się, że czułby się zupełnie inaczej, gdyby owe trudy coś mu dawały. Złamał pieczęć i otworzył list. Kiedy skończył czytać, podał go Kahlan.

- Rzuć okiem. - Kahlan czytała, a Richard zajął się posłańcem. - Jak się wiedzie naszej armii na południu?

- Kiedy odjeżdżałem, szło im znakomicie, lordzie Rahlu - odparł Grissom. - Przyłączyły się do nas Siostry Światła i powiedziały, że to ty im to nakazałeś. Są z naszymi żołnierzami. Czekamy na rozkazy.

List mówił to samo. Gdy Kahlan skończyła czytać, Richard podał pismo generałowi Kersonowi. Generał czytał i odruchowo mierzwił siwiejące włosy.

Skończył i spojrzął na chłopaka.

- Co o tym myślisz, lordzie Rahlu?

- Całkiem sensowne. Nie sądzę, byśmy powinni teraz ściągać tych żołnierzy na północ. Jak twierdzi generał Reibisch, w swoim leżu natychmiast zorientują się, jeżeli Imperialny Ład wedrze się głęboko na tereny Nowego Świata. A ty co na to? - spytał Richard, podając list Carze.

Generał podciągnął spodnie.

- Zgadzam się z Reibischem. Na jego miejscu zrobiłbym to samo. Skoro już tam jest, to dlaczego tego nie wykorzystać? Jak pisze, lepiej wiedzieć, co knuje Ład.

A jeżeli wróg ruszy na północ, żeby nas zaatakować, będzie mógł kąsać mu tyłek. - Drgnął. - Przepraszam, Matko Spowiedniczko.

Kahlan się uśmiechnęła.

- Mój ojciec był żołnierzem, generale, zanim został królem. To przywołuje wspomnienia. - Nie powiedziała, czy dobre, czy też złe. - Zgadzam się również z tym, że stacjonująca tam armia daje nam strategiczne korzyści.

Cara oddała list Richardowi.

- Ma rację w jeszcze jednej sprawie. Jeżeli stamtąd odejdzie, a Imperialny

Ład ruszy na północny wschód, to nikt nie przeszkodzi im wdrzeć się do D'Hary. Nawet byśmy o tym nie wiedzieli. Ta część D'Hary jest słabo zaludniona. Ład mógłby iść na północ, a my dowiedzielibyśmy się o tym, gdyby skręcił na zachód, ku Midlandom.

- Chyba, że parliby wprost ku Pałacowi Ludu - odezwał się generał.

- Atak na serce D'Hary byłby fatalną pomyłką - powiedziała Cara. - Naczelną dowódca Trimack z Pierwszej Kompanii Gwardii Pałacowej pokazałby wrogowi, dlaczego żadna armia nigdy nie zdołała zaatakować pałacu i dlaczego nie pozostawał ani jeden żołnierz, który mógłby opowiadać o krwawej rzezi. Konnica rozniosłaby ich na strzępy na równinach Azrith.

- Ma rację - potwierdził generał. - Jeśli wróg tam pójdzie, to sępy będą miały ucztę. Już Trimack o to zadba. Jeżeli zaś ruszą przez D'Hare na północny wschód, to nas oskrzydlą. Lepiej, żeby generał Reibisch strzegł wrót.

Richard miał jeszcze jeden powód, dla którego lepiej byłoby, gdyby armia generała Reibischa została na południu.

- Czy mogę o coś zapytać, lordzie Rahlu? - odezwał się posłaniec.

- Oczywiście. O co chodzi?

Grissom nerwowo manewrował dłonią koło rękojeści swojego krótkiego miecza.

- Co się dzieje w mieście? Widziałem mężczyzn ciągnących wozy ze zwłokami i ludzi chodzących ulicami i wołających, żeby przyszli po ich zmarłych.

Richard głęboko zaczerpnął powietrza.

- To kolejny powód, dla którego generał Reibisch powinien zostać na południu. W Midlandach szaleje zaraza. Ostatniej nocy zmarło siedmuset pięćdziesięciu ludzi,

- Chronicie nas, dobre duchy - Grissom otarł dłonie o biodra. - Bałem się, że to coś takiego.

- Chcę, żebyś zaniósł moją odpowiedź generałowi Reibischowi. Wolę, żebyś i jemu nie zawiózł zarazy, dlatego wiadomość przekażesz ustnie. Nie zbliżaj się do żadnego z jego żołnierzy ani w ogóle do nikogo. Podejdź jedynie na tyle blisko, żeby cię słyszeli. Kiedy dotrzesz do wart, powiedz, by przekazali wiadomość generałowi.

Przekaż mu, że uważam jego argumenty za rozsądne. Zgadza się z nim

całe dowództwo. Powiedz, żeby realizował swoje plany i informował nas. Skoro byłeś tutaj, nie możesz z nimi pozostać. Gdy przekażesz już wiadomość, wrócisz tutaj.

Pojedzie z tobą odpowiednio liczny patrol, żebyś na pewno zastosował się do naszych instrukcji, a potem wszyscy wrócicie.

Grissom zasalutował, przykładając pięść do serca.

- Będzie, jak rozkazałeś, lordzie Rahlu.

- Chciałbym pozwolić ci wrócić do swoich, żołnierzu, ale staramy się, by zaraza nie zaatakowała armii. Nasi ludzie są rozproszeni wokół miasta, żeby nie zachorowali. To też możesz im powiedzieć.

Generał Kerson podrapał się po policzku.

- Muszę z tobą o tym pomówić, lordzie Rahlu. Dopiero co sam się dowiedziałem.

Richard się nachmurzył, widząc niespokojną minę generała.

- Co się stało?

- Hmm, cóż, zaraza dopadła też naszych ludzi. Richardowi serce podeszło do gardła.

- Który pułk?

Generał przesunął dłonią po ustach.

- Wszystkie, lordzie Rahlu. Wygląda na to, że prostytutki odwiedzały obozy.

Kobiety uznały, że to bezpieczniejsze niż kupczenie sobą w mieście, zwłaszcza przy tych morderstwach. Nie mam pojęcia, jak się przenosi ta zaraza, lecz Drefan powiedział, że to mogła być przyczyna zakażenia.

Richard ścisnął skronie kciukami i palcami wskazującymi. Chciał dać za wygraną. Chciał tylko usiąść na podłodze i dać za wygraną.

- Nie powinienem skazywać Tristana Bashkara na śmierć. Powinienem mu pozwolić zabić te wszystkie baby. Dzięki temu ocalałoby tylu ludzi. Gdybym to przewidział, sam bym je wymordował.

Poczuł współczujące dotknięcie dłoni Kahlan.

- Drogie duchy - wyszeptał, bo żadne inne słowa nie przychodziły mu na myśl.

- Drogie duchy, cóż my sobie czynimy? Te kobiety niechcący pomogły Jagangowi.

- Chcesz, żeby je stracono, lordzie Rahlu? - spytał generał Kerson.

- Nie - odparł spokojnie Richard. - Zło już się dokonało. Zgładzenie ich nic by już nie dało. To nie była świadoma chęć wyrządzenia szkody. One po prostu chciały zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Chłopak przypomniał sobie słowa, jakie wypowiedział jeden z członków grupy świątyni, nim go stracono: „Nie mogę dłużej apróbować tego, co czynimy za pomocą naszego daru. Nikt z nas nie jest ani Stwórcą, ani Opiekunem. Nawet prostytutka ma prawo przeżyć życie po swojemu”.

- Grissom, zbierz patrol i jak tylko się pożywisz i trochę wypoczniesz, ruszaj z wieścią ode mnie do generała Reibischa.

Grissom znów zasalutował.

- Tak jest, lordzie Rahlu. Wezmę trochę żywności i zapasów i za godzinę wyruszam.

Richard skinął głową. Poślaniec odszedł.

- Lordzie Rahlu, jeżeli to już wszystko, to wrócę do swoich obowiązków - odezwał się generał.

- Jeszcze jedno, generale. Wyprowadź z obozów chorych żołnierzy. Załóż dla nich oddzielny obóz. Może uda się nam ograniczyć rozmiary zarazy. A nawet powstrzymać ją. I nie życzę sobie żadnych prostytutek w obozach. Ani jednej. Może dzięki temu czarna śmierć się tak nie rozszaleje. Nakaz tym kobietom, by się trzymały się z dala, bo inaczej czeka je kara śmierci. Niech wartownikom towarzyszą łucznicy.

Gdyby mimo wszystko starały się zbliżyć, mają je zastrzelić.

Generał westchnął ciężko.

- Rozumiem, lordzie Rahlu. Oddzielę też ludzi, którzy byli z owymi kobietami, i każę im opiekować się chorymi żołnierzami.

- Dobry pomysł.

Richard otoczył ramieniem talię Kahlan i patrzył, jak generał oraz jego ochrona spieszą do swoich zajęć.

- Czemuż wcześniej o tym nie pomyślałem? Gdybym na to wpadł, może udałoby mi się ustrzec żołnierzy od zarazy.

Kahlan nie miała na to odpowiedzi.

- Idę do sylfy, lordzie Rahlu, by zluzować Berdine - powiedziała Cara.

- Pójdę z tobą. Chcę się dowiedzieć, czy Berdine wyczytała coś z pamiętnika Kolo. Poza tym muszę się stąd choć na chwilę wydostać. Ty też pójdiesz? - spytał Kahlan.

Mocniej objęła go ramieniem.

- Z przyjemnością.

Berdine czytała pochylona nad pamiętnikiem Kolo. Sylfa spojrzała ku Richardowi, zanim uczyniła to Mord-Sith.

- Chcesz podróżować, panie? Będziesz zadowolony.

- Nie - odparł Richard, kiedy umilkło echo jej niesamowitego głosu. -
Dziękuję, sylfo, ale nie teraz.

Berdine odchyliła się do tyłu, przeciągnęła i ziewnęła.

- Cieszę się, że cię widzę, Caro. Nie mogę czuwać już ani chwili dłużej.

- Wygląda na to, że przydałoby ci się trochę snu,

- Coś nowego? - Richard wskazał leżący przed nią pamiętnik. Berdine wstała i zerknęła na sylfę. Wzięła ze stołu zapiski Kolo, a następnie podała mu. Pochyliła się ku Richardowi i zniżyła głos.

- Pamiętasz te słowa, które mi powtórzyłeś? Te, które wypowiedział ów skazany na śmierć? że nawet uprzykrzona... kobieta ma prawo do życia?

Richard wiedział, o czym mówi Berdine.

- Tak. Chodzi ci o czarodzieja Rickera.

- Otóż to. Kolo pokrótce o tym wspomina. - Postukała w pamiętnik. -
Przeczytaj to.

Chłopak przez chwilę wpatrywał się w zdanie, nim przetłumaczył je w myślach: „Uprzykrzona prostytutka Rickera obserwuje mnie, kiedy tu siedzę i rozmyślam o szkodzie wyrządzonej przez grupę. Dzisiaj słyszałem, że utraciliśmy Lothaina. Ricker miał swój odwet”.

- Wiesz, co to za Lothain? - spytała Berdine.

- Był Naczelnym Prokuratorem w procesie Świątyni Wichrów. Tym, który poszedł naprawić szkodę wyrządzoną przez grupę. - Richard spojrzał w bok. Sylfa go obserwowała. Podszedł bliżej. Nigdy mu to nie przyszło na myśl. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? - Sylfo.

- Tak, panie? Chcesz podróżować? Pójdź. Będziesz zadowolony.

Richard podszedł bliżej.

- Nie, nie chcę podróżować, ale chciałbym z tobą porozmawiać. Pamiętasz owe dzieje, długi czas temu, kiedy szalała wielka wojna?

- Długi? Jestem wystarczająco długa, żeby podróżować. Powiedz, dokąd się chcesz udać. Będziesz zadowolony.

- Nie, nie chodzi mi o podróżowanie. Pamiętasz jakieś imiona?

- Imiona?
- Imiona. Pamiętasz Rickera? Srebrna twarz pozostała bez wyrazu.
- Nigdy nie zdradzam swoich klientów.
- Byłaś kiedyś człowiekiem, sylfo, prawda? Takim jak ja?
- Nie - odparła i uśmiechnęła się. Richard położył dłoń na ramieniu Kahlan.

- Takim jak ona?
Sylfa uśmiechnęła się szerzej.
- Tak. Byłam dziwką jak ona. Kahlan odchrząknęła.
- Richard chciał zapytać, czy byłaś kobietą, sylfo.
- Tak. Kobietą też byłam.
- Jak się nazywałaś? - spytał Richard.
- Nazywałam? - zdziwiła się sylfa. - Jestem sylfa.
- Kto cię przemienił w sylfę?
- Niektórzy z moich klientów.
- Dlaczego? Dlaczego zmienili cię w sylfę?
- Bo nigdy nie ujawniam swoich klientów.
- Mogłabyś to jaśniej wytłumaczyć, sylfo?
- Moimi klientami byli niektórzy czarodzieje z tej budowli. Najpotężniejsi z nich. Byłam bardzo ekskluzywną i bardzo kosztowną dziwką. Wielu czarodziejów rywalizowało o władzę. Część próbowała mnie wykorzystać do usunięcia kilku tych, którzy byli moimi klientami. Jeszcze inni chcieli mnie użyć do swoich rozkoszy, lecz nie tego rodzaju rozkoszy, jakie oferowałam. Nigdy nie ujawniam moich klientów.

- Chcesz powiedzieć, że doznaliby zadowolenia, gdybyś ujawniła im imiona czarodziejów, którzy cię odwiedzali, i opowiedziała coś o owych wizytach?

- Tak. Moi klienci bali się, że inni mogą mnie wykorzystać do tej przyjemności, i dlatego przemienili mnie w sylfę.

Richard się odwrócił. Przeczesał włosy palcami. Walczyli z wrogiem, a jednocześnie walczyli ze sobą. Kiedy wreszcie się opanował, spojrzał ponownie na piękną srebrną twarz.

- Ci ludzie już nie żyją, sylfo. Nie żyje również nikt, kto ich znał. Nie ma już rywalizujących o władzę czarodziejów. Czy mogłabyś mi powiedzieć trochę więcej?

- Stworzyli mnie i powiedzieli, że dopóki będą żyli, dopóty nie będę mogła wymówić ich imion. Oznajmili, że ich moc temu zapobiegnie. Jeśli to prawda, że ich duchy odeszły z tego świata, to nie ma to już znaczenia i będę mogła wymówić ich imiona.

- Jednym z twoich klientów był ów Lothain, prawda? A tamten drugi czarodziej, Ricker, uważał go za hipokrytę.

- Lothain. - Srebrna twarz zmięła. Sylfa jakby badała owo imię. - Przyszedł do mnie czarodziej Ricker i powiedział, że ten człowiek, Lothain, jest Naczelnym Prokuratorem i podstępna bestią, która zwróci się przeciwko mnie. Chciał mojej pomocy w usunięciu Lothaina. Odmówiłam wyjawienia imion moich klientów.

- A słowa Rickera okazały się prawdą - powiedział Richard w ciszy, która zapadła. - Lothain zwrócił się przeciw tobie i zmienił cię w sylfę, żebyś nie mogła zeznawać na jego niekorzyść.

- Tak. Mówiłam Lothainowi, że nie zdradzam moich klientów. Powiedziałam, że nie musi się bać, iż przemówię. Odparł, że to bez znaczenia i że jestem tylko dziwką, więc świat nie będzie za mną tęsknił. Wykręcił mi ramię i skrzywdził mnie.

Wykorzystał mnie dla swojej przyjemności bez mojej zgody. Kiedy skończył, roześmiał się i wtedy w moim umyśle rozbłysło światło. Ricker przyszedł do mnie potem i powiedział, że skończy z Lothainem i podobnymi mu czarodziejami. Łkał na obrzeżu mojej studni i mówił, że żałuje tego, co mi uczynili. Powiedział, że nie pozwoli, by magia w dalszym ciągu niszczyła ludzi.

- Byłaś smutna? Czy zasmuciła cię przemiana w sylfę? - spytała Berdine.

- Odebrali mi zdolność smucenia się, kiedy mnie przemienili.

- Czy odebrali ci również szczęście? - wyszeptała Kahlan.

- Zostawili mi jedynie obowiązek.

Lecz nawet i w tym popełnili błąd. By móc ją wykorzystywać, zostawili część jej dawnego ja. Owa część ulegnie każdemu, kto zapłaci żadaną cenę, czyli będzie miał magiczny dar. I przez to sami złapali się w pułapkę. Wykorzystywali ją, ale musieli jej pilnować, bo ofiarowywała się każdemu - nawet nieprzyjacielowi - jeśli tylko miał wymagane cechy.

- Tak mi przykro, sylfo, że my, czarodzieje, tak z tobą postąpiliśmy. Tamci nie mieli do tego prawa. Tak mi przykro - powiedział Richard.

Sylfa się uśmiechnęła.

- Czarodziej Ricker powiedział mi, że jeśli któryś z panów wypowie do mnie te słowa, to ja powinnam mu odpowiedzieć tak: „Lewa garda przed wejściem. Prawa garda przed wyjściem. Chroń swoje serce przed skamienieniem”.

- Co to znaczy?

- Nie wyjaśnił mi owych słów.

Richardowi zrobiło się słabo. Czyżby mieli umrzeć z powodu toczącej się przed trzema tysiącami lat walki o władzę? Może Jagang miał rację, może nie było już dłużej miejsca dla magii na tym świecie.

Chłopak obrócił się ku kobietom.

- Berdine, musisz się trochę przespać. Raina powinna wstać wcześniej i zluzować Carę. I ona musi się przespać. Postawcie straż przed komnatami Kahlan i odpocznijcie choć trochę. Ja także mam już dosyć dzisiejszego dnia.

Richard spał głęboko, kiedy ktoś go obudził. Usiadł i zaczął przecierać oczy, usiłując oprzytomnieć w panice.

- Co to? Co się dzieje? - Wydawało mu się, że jego głos chrzęści jak żwir.

- Lordzie Rahlu? Obudziłeś się? - spytał zapłakany głos. Spojrzał zmrużonymi oczami na postać trzymającą lampę.

Z początku nie mógł się zorientować, kto to jest.

- Berdine?

Przedtem zawsze widywał ją wyłącznie w skórzanym uniformie. Teraz stała w jego komnacie w białej nocnej koszuli. Włosy miała rozpuszczone. A wcześniej zawsze widywał ją z włosami splecionymi w warkocz. To był dziwny widok.

Richard zwiesił nogi z brzegu łoża i wciągnął spodnie.

- Co się dzieje, Berdine? Co cię złego spotkało? Rozmazała spływające jej po twarzy łzy.

- Chodź ze mną, lordzie Rahlu, proszę - załkała. - Raina jest chora.

ROZDZIAŁ 53

Warren wyciągnął wymachującą ramionami kobietę w ciemność, a Verna, najciszej jak mogła, zamknęła drzwi. Dłoń młodzieńca równie mocno zaciskała usta owej kobiety, jak rzucona przez niego sieć spowijała jej dar. Siostra Verna nie potrafiłaby tak dobrze jak on kontrolować magicznego daru tamtej. Dar czarodzieja był o wiele potężniejszy niż dar czarodziejki, nawet jeśli była to Verna.

Siostra Światła zapaliła mały płomyk nad obróconą wnętrzem ku górze dłonią.

Oczy schwytej otwarły się szeroko, a potem wypełniły łzami.

- Tak, Janet, to ja, Verna. Jeżeli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć, co wydałoby nas, Warren cię uwolni.

Janet energicznie potaknęła głową. W drugiej dłoni, poza zasięgiem wzroku tamtej, Verna trzymała dakrę, na wypadek gdyby coś się stało. Skinęła głową Prorokowi, dając mu tym znak, by uwolnił młodą kobietę.

Uwolniona dziewczyna rzuciła się Vernie na szyję. Płakała cicho z radości.

Warren zapalił nad dłonią płomyk, żeby mogli widzieć w tych ciemnościach. Maleńka izdebka - podobnie jak reszta fortecy - zbudowana była z potężnych bloków ciemnego kamienia. Biaława woda przesączała się przez niektóre złączenia kamienia, zostawiając na ścianach skorupiaste nacieki.

- Och, Verno, nie masz pojęcia, jaka to radość znów zobaczyć twoją twarz - wyszeptała Janet.

Verna objęła drżącą kobietę, która wczepiła się w jej pelerynę i cicho płakała.

Wciąż trzymała w dłoni dakrę, za plecami Janet.

Janet ucałowała swój serdeczny palec w starodawnym geście błagania Stwórcy o opiekę. Verna - choć była prawie pewna, że Janet pozostała wierna Światłu - z ulgą przyjęła to potwierdzenie.

Siostra Mroku przysięgała Opiekunowi zaświatów i nigdy nie ucałowałaby swojego serdecznego palca, bo to symbolizowało zrękowiny ze Stwórcą.

Pocałunek ów był jedyną rzeczą, jakiej Siostra Mroku nie mogłaby uczynić.

Siostra Mroku nie mogłaby ukryć swojej lojalności wobec prawdziwego władcy, Opiekuna, całując swój serdeczny palec, gdyż gest ten wzbudziłby gniew jej mrocznego pana.

Janet obejrzała się na Warrena, a w tym czasie Verna wsunęła dakrę do rękawa. Wymienili uśmiechy.

Verna i Warren przyjrzeni się dziwaczemu ubiorowi Janet. Była bosa. Luźny, ściągnięty w pasie białym sznurem strój okrywał ją od kostek po szyję i po nadgarstki, lecz był tak przejrzysty, że równie dobrze mogłaby być naga.

Verna skubnęła palcami przejrzystą materię.

- Dlaczego, na Stwórcę, tak się ubrałaś? Janet przyjrzała się sobie.

- Jagang każe się tak ubierać wszystkim swoim niewolnicom. Za chwilę przestaniecie na to zwracać uwagę.

- Rozumiem.

Verna zauważyła, że Warren robi, co może, by odwrócić oczy.

- Co tu robisz, Verno? - spytała poważnym tonem Janet. Ksieni uśmiechnęła się i uszczypnęła ją w policzek.

- Zjawiłam się, żeby cię stąd zabrać. Żeby cię uwolnić. Jesteśmy przyjaciółkami. Myślałaś, że cię tu zostawię?

Tamta zamrugła ze zdziwienia.

- Ksieni pozwoliła ci przybyć tu po mnie?

Verna uniosła rękę, pokazując przyjaciółce pierścień Ksieni z promienistym słońcem.

- To ja jestem Ksienią.

Janet rozdziawiła usta. Padła na podłogę i zaczęła całować rąbek sukni Verny.

Ta złapała ją za ramię i zmusiła do powstania.

- Przestań. Nie czas na to.

- Ale... ale jak? Co się stało? Jak to możliwe? Co się stało?

- Te sieci długo nie wytrzymają, Verno - ostrzegł ją szeptem Warren. - I tak za bardzo przedłużyliśmy już nasze powitanie.

- Posłuchaj, Janet. Porozmawiamy później, gdy już cię stąd wydostaniemy. To, co mamy tu zrobić, zostawia nam niewiele czasu na wydostanie się z tego miejsca.

Pobyt tutaj jest dla nas niebezpieczny.

- Pewnie - odparła Janet. - Powinnaś, Ksieni...

- Verno. Jesteśmy przyjaciółkami. Dalej mów do mnie „Verno”.

- Jak, na Stwórcę, dostałaś się do fortecy Jaganga, Verno? Musisz natychmiast stąd uciekać. Jeśli cię znajdą...

Verna nachmurzyła się i dotknęła kółka w dolnej wardze Janet.

- Co to takiego? Kobieta pobladła.

- To znak, że jestem jedną z niewolnic imperatora. - Zaczęła się trząść. - Ratuj się, Verno. Uciekaj. Musisz uciec! - szepnęła nagłaco.

- Zgadzam się z nią - szepnął przez zaciśnięte zęby Warren. - Chodźmy!

Verna odrzuciła z ramion pelerynę.

- Wiem. Możemy iść, skoro jesteś z nami.

- O drogi Stwórcu! Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym pójść z wami, ale jeśli to zrobię... to nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co Jagang mi uczyni. O drogi Stwórcu, nawet sobie tego nie zdołasz wyobrazić, Verno.

Rozpłakała się na samą myśl o tym. Verna przytuliła ją na chwilę.

- Posłuchaj mnie, Janet. Jestem twoją przyjaciółką i wiesz, że nie okłamałabym cię. - Odczekała, aż tamta potaknęła. - Istnieje sposób, by utrzymać Nawiedzającego Sny z dala od twojego umysłu.

Janet złapała Verne za ramiona.

- Verno, nie dręcz mnie próżną nadzieją! Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym ci uwierzyć, wiem jednak...

- To prawda. Posłuchaj, Janet. Teraz jestem Ksienią. Nie uważasz, że Jagang zapanowałby również nade mną, gdyby mógł? A niby dlaczego nie ma władzy nad innymi? Bo nie może, oto dlaczego.

Janet znów się trzęsła, po jej policzkach spływały łzy. Warren położył dłoń na jej plecach.

- Verna mówi prawdę, Siostrze Janet. Jagang nie może wśliznąć się do naszych umysłów. Chodź z nami, a będziesz bezpieczna. Pospieszmy się.

- Jak? - wyszeptała Janet. Verna nachyliła się ku niej.

- Pamiętaj Richarda?

- Oczywiście. Wcielony urok i kłopoty w jednej osobie. Verna się uśmiechnęła, bo oddawało to istotę rzeczy.

- Ma dar i dlatego wyruszyłam go szukać, lecz jest jeszcze coś. Urodził się z darem obu magii. A co więcej, jest Rahlem. Przed trzema tysiącami lat, w

czasie wielkiej wojny, przodek Richarda wymyślił magiczny sposób uniemożliwiający Nawiedzającym Sny wślizgiwanie się do umysłów ludzi. Ową magiczną więź dziedziczy się przez mających dar potomków.

Janet mocniej zacisnęła dłonie na sukni Verny.

- Jak? Jak to działa? Verna się uśmiechnęła.

- To tak proste, że aż trudno w to uwierzyć. Najpotężniejsza magia czasem taka właśnie jest. Trzeba jedynie przysiąc mu wierność w swoim sercu, a jego magia ochroni cię przed Nawiedzającym Sny. Dopóki Richard żyje i jest na tym świecie, Jagang nigdy już się nie wśliznie do twego umysłu.

- Przysięgam wierność Richardowi i uwalniam się od Jaganga? Verna skinęła głową osłupiałej Janet.

- Tak jest.

- Co mam zrobić?

Ksieni ostrzegawczo uniosła palec, uprzedzając sprzeciwy Warrena. Uklękła, pociągając za sobą Janet.

- Powtarzaj za mną te słowa i weź je sobie do serca. Richard jest czarodziejem wojny i dowodzi nami w walce przeciw Jagangowi. Całym sercem wierzymy w Richarda, w jego serce. Powtórz za mną słowa i uwierz, a będziesz wolna.

Janet skinęła głową i złożyła dłonie do modlitwy. Po jej policzkach płynęły łzy. Verna wyszeptała słowa hołdu, robiąc przerwy, żeby Janet mogła za nią powtarzać.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Janet powtarzała szeptem za Verna.

- Jesteś wolna, moja przyjaciółko. - Siostra Światła pocałowała Janet w policzek. - A teraz się pospieszmy i znikajmy stąd.

- A co z pozostałymi? - Janet złapała Verne za rękaw. Kobieta się zawahała.

- Niczego bardziej bym nie pragnęła, Janet, niż ocalić resztę naszych Sióstr, lecz teraz nie mogę tego zrobić. Później postaramy się do nich dostać. Gdybyśmy teraz spróbowali, Jagang dopadłby nas. Przyszłam po ciebie, bo jesteś moją przyjaciółką i kocham cię. W pięć przysięgałyśmy bronić jedna

drugą. Phoebe już jest z nami. Tylko ciebie brakowało. Ogromnie chciałabym wyzwolić także resztę naszych Sióstr, ale trzeba to zostawić na później. Obiecuję, że nie zapomnę o nich i nie zostawię ich tak, teraz jednak musimy z tego zrezygnować. Nie możemy zrobić wszystkiego od razu.

Janet pochyliła głowę, wpatrzyła się w podłogę.

- Jagang zabił Christabel. Widziałam to na własne oczy. Dotąd słyszę w sennych koszmarach jej wrzaski. Słyszę jej wrzaski i widzę Jaganga.

Vernie zdawało się, że otrzymała cios prosto w żołądek. Christabel była jej najlepszą przyjaciółką. Nie chciała znać szczegółów. Christabel przeszła na stronę Opiekuna.

- To dlatego muszę cię stąd zabrać, Janet. Nawiedzają mnie koszmary o tym, co imperator ci uczynił, i boję się o ciebie.

Janet uniosła głowę.

- A co z Amelią? Była jedną z naszej piątki. Nie możemy jej zostawić.

Verna spojrzała na nią twardo.

- Amelia jest Siostrą Mroku.

- Już nie - odparła Janet.

- Co takiego?! - wyszeptała Verna. Warren nachylił się ku nim.

- Jeśli już raz przysięgniesz Opiekunowi, nie możesz tego zmienić. Nie wierz jej słowom, Siostrze Janet. A teraz zabierajmy się stąd. Amelia oddała się Opiekunowi.

Janet potrząsnęła głową.

- To już nieaktualne. Jagang wysłał ją z jakąś misją. Wchodziła tam w grę magia i Amelia musiała zdradzić Opiekuna, żeby wykonać swoje zadanie.

- Niemożliwe - powiedziała Verna.

- Ale prawdziwe - upierała się Janet. - Już wróciła. Odnowiła swoją przysięgę wobec Stwórcy. Rozmawiałam z nią. Siedzi i łka, przez pół nocy całując swój serdeczny palec i modląc się do Stwórcy.

Verna nachyliła się bliżej i spojrzała tamtej w oczy.

- Wysłuchaj mnie, Janet. Widziałaś, jak całuje swój serdeczny palec?

Widziałaś to na własne oczy? Jesteś absolutnie pewna, że nie całowała żadnego innego palca?

- Siedziałam przy niej i starałam się ją pocieszyć. Obserwowałam ją. - Janet ucałowała własny palec i wyszeptała prośbę, by poraził ją piorun, jeżeli kłamie.

- Ot tak? Siedzi i całuje swój palec?

- Tak. Całuje swój palec, płacze i modli się, by Stwórca zesłał na nią śmierć za okropieństwo, jakiego się dopuściła.

- Cóż takiego uczyniła?

- Nie wiem. Kiedy pytam, szaleńczo krzyczy i łka. Jagang nie pozwoli, żeby się sama zabiła. Kontroluje jej umysł, tak jak umysły nas wszystkich. Żadnej z nas nie pozwoli się zabić: musimy mu służyć. Nie możemy tu zostawić Amelii, Verno.

Musimy ją ze sobą zabrać. Nie zostawię jej tutaj. Jestem jej jedyną pociechą na tym świecie. To, co Jagang jej robi...

Verna się odwróciła. Serce pękało jej na myśl o pozostawieniu Amelii, jeśli istotnie porzuciła Opiekuna. Cała ich piątka była grupą najlepszych przyjaciółek od blisko stu pięćdziesięciu lat. Były przyjaciółkami od czasu nowicjatu.

Życie Siostry Światła było trudne. Przysięgały, że zawsze będą się wzajemnie bronić.

- Verno, ona znów jest jedną z nas. Jest Siostrą Światła. Jest jedną z naszej piątki. Proszę cię, Verno. Wolę raczej zostać z nią, niż pozostawić ją tu samą.

Verna ponownie spojrzała w przerażone oczy przyjaciółki.

- Musimy go nazywać Ekscelencją, Verno - powiedziała drżącym szeptem Janet. - A jeśli z jakiegokolwiek powodu mu się narazimy, musimy przez tydzień służyć w namiotach.

Warren z naciskiem wymówił imię Verny. Gestem dała mu znać, żeby milczał.

- W namiotach? O czym ty mówisz? Oczy Janet znów wezbrały łzami.

- Oddaje nas na tydzień swoim żołnierzom. Mamy złote kółka, więc nas nie zabijają, bo te ze złotymi kółkami należą do Jaganga, ale mogą z nami robić, co tylko chcą. Przez cały tydzień przesyłają nas z namiotu do namiotu. Nawet stare Siostry są odsyłane do namiotów. Jagang nazywa to lekcją dyscypliny, którą każda musi przejść.

- Janet osunęła się na kolana i łkała spazmatycznie, zasłaniając usta obiema rękami.

Verna przysiadła obok niej i przytuliła ją. - Nie wiesz, co żołnierze Jaganga z nami robią - załkała Janet. - Nie wiesz, Verno!

- Rozumiem - wyszeptała Ksieni. - Uspokój się. Już wszystko dobrze. Zabierzemy cię stąd.

Janet potrząsnęła głową wtuloną w ramię Verny.

- Nie zostawię tu Amelii. Ma tylko mnie. Jestem Siostrą Światła. Stwórca nigdy by mi nie wybaczył, gdybym ją opuściła. Jeżeli ją zostawię, sprzeniewierzę się obowiązkowi wobec Stwórcy. Jest moją przyjaciółką. Wróciła do Światła. Wróciła do Stwórcy. Jagang znów wysłał ją do namiotów. Oszaleje, jeśli mnie tu nie będzie, kiedy stamtąd wróci. Nikt inny się nią nie zaopiekuje. Siostry Mroku się do niej nie zbliżą, a Siostry Światła jej nie wybaczą. Jestem jej jedyną przyjaciółką. Ja jedna jej wybaczyłam i zaakceptowałam jej powrót do Światła. Gdy wróci, będzie straszliwie okrwawiona. Nie masz pojęcia, jacy są żołnierze Jaganga. Kiedy któraś z nas wraca z namiotów, Jagang pozwala nam wykorzystywać dar wyłącznie do leczenia połamanych kości. Mówi, że to część lekcji, że po śmierci nasze dusze mogą sobie należeć do Stwórcy, lecz za życia on, Jagang, panuje nad naszymi ciałami. Kiedy wracamy, dar leczy nasze połamane kości, ale aż do powrotu musimy znosić ów straszliwy ból i całą resztę. Jeżeli mnie tu nie będzie, to nikt nie wyleczy jej kości i nie pocieszy - Janet była bliska hysterii. - Nie pójdę bez Amelii.

Verna miała mdłości i zawroty głowy. Serce waliło jej ze strachu, a żółć podchodziła do gardła.

- Jak to znosicie? - spytała łamiącym się głosem.

- Jesteśmy Siostrami Światła. Musimy znosić to dla chwały Stwórcy.

Verna spojrzała w niespokojne oczy Warrena.

- Wiesz, gdzie moglibyśmy ją znaleźć? Może dałoby się ją odnaleźć i zabrać.

Janet potrząsnęła głową.

- Przechodzimy z namiotu do namiotu. Może być gdziekolwiek. Armia rozłożyła się obozem na całe mile w każdym kierunku. Niedawno przysłano nową partię branek. Wszędzie słychać krzyki, więc nie można się kierować jedynie nimi.

Poza tym, jeśli wejdziemy pomiędzy namioty, nie minie pięć minut, jak wciągną nas do środka.

- Kiedy? Kiedy wróci Amelia? - spytała Verna.

- Za pięć dni, ale dzień albo dwa potem nie będzie jeszcze mogła iść.

Verna powściągnęła wściekłość.

- Nie ma żadnego powodu, bym nie mogła wykorzystać mojego daru do wyleczenia jej, i to natychmiast, gdy wróci.

Janet spojrzała na nią.

- To prawda. Więc za pięć dni. Jutro w nocy będzie pełnia. Czwarty dzień po pełni księżyca.

- Będziecie mogli stąd wyjść? żeby się z nami spotkać? Chyba nie uda się nam już tutaj dostać.

- Niezbyt daleko. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak udało się wam dostać aż tutaj.

Verna uśmiechnęła się do niej cierpko.

- Nie bez powodu jestem Ksienią. A i Warren mi pomógł. Wrócimy cztery noce po pełni księżyca.

- Jeszcze jedno, Verno. Jeśli Jagang nie będzie mógł się wśliznąć do moich snów, zorientuje się, że coś jest nie tak.

Verna przycisnęła dłonie do twarzy.

- Ale już przysięgłaś. Nie możesz się wycofać, bo to by nic nie znaczyło. Już oddałaś swoje serce Richardowi.

- Więc muszę być ostrożna.

- Poradzisz sobie?

Janet przytknęła palce do ust.

- A mam inny wybór? Muszę. Verna podała jej swoją dakrę.

- Weź to. Przynajmniej będziesz się miała czym bronić. Janet odepchnęła dakrę, jakby to była trucizna.

- Gdyby mnie z tym przyłapano, wylądowałabym na rok w namiotach.

- Cóż, w takim razie możesz się teraz chociaż posługiwać swoim darem, skoro Jagang nie zdoła wśliznąć się do twojego umysłu, by temu zapobiec.

- To by nic dobrego nie dało. Jagang całkowicie kontroluje tych, którzy mają dar i są tutaj: Siostry i czarodziejów. Gdybym spróbowała użyć swojego daru przeciwko nim, nie miałabym najmniejszej szansy.

- Wiem. To dlatego nie możemy od razu zabrać również tamtych. Nigdy by się to nam nie udało. Siostry Mroku walczyłyby z nami i rozniosłyby nas w proch swoją magią subtraktywną. - Verna zacisnęła wargi. - Nie zmienisz decyzji, Janet?

- Gdybym nie pomogła Siostrze w okrutnej potrzebie, to cóż warta byłaby

moja przysięga jako Siostry Światła? Jedna powróciła do nas od Opiekuna, więc może powie nam, jak ściągnąć z powrotem pozostałe.

Verna nigdy o tym nie pomyślała. Warren dawał jej niecierpliwie znaki spojrzemiami. Widziała, jak zaciska zęby.

Janet też to widziała. Złapała Verne za ramiona, ucałowała w oba policzki.

Odwróciła się i uściskała Warrena.

- Verno? uciekajcie stąd, proszę, nim będzie za późno. Na pewno wytrzymam pięć dni. Wiem, jak się gnić i płaszczyć przed Jagangiem. Był bardzo zajęty. Może uda mi się przez ten czas nie pokazywać mu na oczy.

- Dobrze. A gdzie mam czekać? Przyszliśmy wybrzeżem do portu Grafan, więc nie znam okolicy.

- Wybrzeżem? W takim razie musieliście minąć domek straży w pobliżu basenu portowego.

- Tak, widziałam ten budynek, ale byli tam wartownicy. Janet nachyliła się ku niej.

- Sama mówiłaś, że nic cię nie powstrzyma od użycia daru. Warta zmienia się o zachodzie. Poczekaj na zmianę, a potem ich ucisz. Będziesz miała gdzie bezpiecznie przeczekać do świtu. A nocą zjawię się z Amelią.

- A zatem w domku straży. Czwartej nocy po pełni księżyca. Janet uścisnęła ją krótko.

- Pięć nocy i jesteśmy wolne. Pospieszcie się. Uciekajcie stąd. Warren złapał ramię Verny i wyciągnął ją przez drzwi.

ROZDZIAŁ 54

Richard zbudził się tuż przed świtem i już wkrótce stał przed swoją sypialnią, czytając poranny raport. Po raz pierwszy liczba zmarłych jednej nocy przekroczyła tysiąc. Tysiąc tragedii w ciągu jednej nocy.

Stojący w pobliżu Ulic zapytał o liczbę zgonów. To była rzadkość - pytający o coś Ulic. Richard nie mógł mówić. Podał mu raport. Gwardzista odczytał liczbę i westchnął ciężko.

Miasto było pogrążone w chaosie. Handel szwankował i było coraz trudniej o żywność. O drewno - używane zarówno do ogrzewania, jak i do gotowania - również.

Trudno było zdobyć cokolwiek, bo ludzie albo obawiali się przywozić swoje towary do miasta, albo porzucili domy i uciekli, albo też poumierali.

Nie brakowało tylko sprzedawanych na ulicach specyfików.

Richard, idąc do swojego gabinetu, przystanął przed długim gobelinem przedstawiającym miejskie targowisko. Cień chłopaka zatrzymał się cicho tuż za nim.

Richarda aż zemdlilo na myśl, że ma wrócić do tłumaczenia księgi. Niczego nowego w niej nie znajdował. Ugrzązł na długim opisie dochodzenia na temat konszachtów, jakie czarodziej Ricker miał z pewnym ludem - Andolianami. To było nudne i mało sensowne.

Richard nie mógł tak rano zasiąść do tłumaczenia księgi. Poza tym ogromnie martwił się o Rainę. Bardzo się jej pogorszyło przez ostatni tydzień. Nic nie można było dla niej zrobić - podobnie jak dla tysiąca ludzi, którzy zmarli ostatniej nocy.

Shota powiedziała Kahlan, że Świątynia Wichrów prześle kolejną wieść, że wskaże, jak się do niej dostać. Duch mówił to samo. Czemuż nie nadeszła żadna wieść? Czy wszyscy umrą, zanim wichry znów się odezwą?

Richard wyjrzał przez wschodnie okno i zobaczył pierwsze promienie słońca wydobywające się spomiędzy gór. Wcześniej widział, jak od zachodu nadciągają chmury, więc zdawał sobie sprawę, że tej nocy nie zobaczą pełni księżyca.

Poszedł w stronę komnat Kahlan. Chciał zobaczyć jej twarz, zobaczyć coś, co dodałoby mu otuchy. Ulic przystanął obok Egana w narożniku

korytarza. Egan towarzyszył tej nocy straży przed komnatami Kahlan.

Nancy, która akurat wychodziła, powitała Richarda.

- Czy Kahlan już wstała?

Nancy zamknęła za sobą drzwi i spojrzała w głąb korytarza, na Ulica i Egana.

Byli za daleko, żeby mogli usłyszeć.

- Tak, lordzie Rahlu. Tego ranka jest trochę powolna. Nie czuje się dobrze.

Richard złapał Nancy za ramię. Pomyślał, że przez ostatnie kilka dni Kahlan nie wyglądała najlepiej, lecz zbywała zdecydowanie jego troskliwe pytania. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Co się stało? Czy ona... zachorowała? Ona nie...

- Nie, nie - wyjaśniła Nancy, zdając sobie nagle sprawę, że śmiertelnie go wystraszyła. - Nic w tym rodzaju.

- No to o co chodzi? - dopytywał się natarczywie. Kobieta poklepała dół brzucha, pochyliła się ku chłopakowi i zniżyła głos do najcichszego szeptu.

- To tylko jej księżycowy cykl. Za kilka dni będzie po wszystkim. Nic bym nie powiedziała, rozumie się, ale nie chciałabym, żebyś się zamartwiał na śmierć ze względu na tę szalejącą zarazę i w ogóle. Tylko jej nie zdradź, że ci powiedziałam, bo mi głowę urwie.

Richard westchnął i uśmiechnął się z ulgą. Z wdzięcznością uściskał dłoń Nancy.

- Oczywiście, że nie powiem. Dziękuję, Nancy. Nawet nie wiesz, jaką sprawiłaś mi ulgę. Nie zniósłbym, gdyby ona...

Służka dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się serdecznie.

- Wiem. I tylko dlatego ci to powiedziałam.

Odeszła w głąb korytarza, a Richard zapukał do drzwi. Kahlan właśnie miała je otworzyć i zdumiała się, zobaczywszy go. Uśmiechnęła się do niego.

- Myliłam się.

- W czym?

- Jesteś jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętałam. Richard się uśmiechnął.

Dodała mu otuchy. Wspięła się na palce, a on pocałował ją.

- Idę sprawdzić, co z Rainą. - Ujął dłoń dziewczyny. - Pójdiesz ze mną?

Skinęła głową, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Berdine spotkała się z

nimi w pobliżu komnaty, którą dzieliła z Rainą. Oczy miała czerwone i podkrążone. Ubrana była w czerwony uniform. Richard nie spytał dlaczego.

- Proszę, lordzie Rahlu... Raina pyta o ciebie. Chłopak otoczył ramieniem jej barki.

- Właśnie do niej idziemy.

Nie spytał Berdine, jak się czuje. Widać było, że jest chora ze zmartwienia.

- Niektórzy ludzie zdrowieją z zarazy, Berdine. Nikt nie jest silniejszy od Rainy. Jest Mord-Sith. Będzie jedną z tych, którzy wydobrzeli.

Berdine sztywno skinęła głową.

Raina leżała na łożu. Miała na sobie czerwony uniform. Stając w drzwiach, Richard nachylił się ku Berdine i zapytał:

- Dlaczego jest ubrana?

Nie zadał narzucającego się pytania, dlaczego jest odziana w czerwony uniform.

Berdine wczepiła się w jego ramię.

- Prosiła, żebym ją ubrała w czerwony uniform Mord-Sith - stłumiła jęk - na ostatnią walkę.

Richard uklęknął przy łożu. Raina spojrzała nań półotwartymi oczami. Jej twarz ociekała potem, a wargi drżały. Chwyciła Richarda za ramię.

- Lordzie Rahlu... zabierzesz mnie na dwór, żebym mogła zobaczyć Reggiego?

- Reggiego?

- Wiewiórki ziemne... proszę, zabierz mnie tam, żebym mogła nakarmić Reggiego. To ten, któremu brakuje koniuszka ogona.

Uśmiechnął się do niej, choć serce mu pękało.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

Wziął ją na ręce. Bardzo schudła. Po prawdzie, niemal nic nie ważyła.

Richard niósł Rainę korytarzami. Objęła go za szyję bardzo słabym ramieniem i przytuliła głowę do jego ramienia. Berdine szła obok, trzymając jej drugą dłoń.

Kahlan podążała przy drugim boku Richarda. Z tyłu maszerowali Ulic i Egan.

Napotykanii żołnierze w milczeniu ustępowali im z drogi i salutowali, przykładając pięść do serca.

Kiedy już wyszli z pałacu, Richard usiadł na kamiennym podwórku, trzymając Rainę na kolanach. Berdine przysiadła na piętach przy głowie chorej Mord-Sith, a Kahlan spoczęła po drugiej stronie chłopaka. Ulic i Egan stali tuż za nimi z rękami splecionymi na plecach. Richard spostrzegł, jak po ich kamiennych twarzach spłynęło kilka łez.

- O tam. - Chłopak wskazał Kahlan brodą kierunek. - Podaj mi to pudełko.

Kahlan odwróciła się i zobaczyła, o co mu chodzi. Trzymał ziarna w pudełku leżącym pod kamienną ławką. Zdjęła przykrywkę i podała mu naczynie.

Richard nabrał garść ziaren i wysypał trochę na ziemię przed nimi. Resztę wsypał w kościstą dłoń Rainy.

Wkrótce przez trawnik przydreptały dwie wiewiórki ziemne. Richard karmił je na tyle długo, że zrozumiały, iż pojawienie się ludzi oznacza pożywienie. Napychały ziamami policzki, trajkocząc coś od czasu do czasu i usiłując się nawzajem przepędzić.

Raina patrzyła na to półotwartymi oczami.

Jej Agiel kołysał się na łańcuszku opasującym przegub dłoni, którą trzymała Berdine.

Oba zwierzątka, z policzkami wypchanymi ziarnem, pognały do swoich nerek, żeby ukryć zdobycz.

Raina wyciągnęła ramię i położyła dłoń na kamiennych płytach podwórca.

Otworzyła palce. Oddychała płytko, chrapliwie.

Berdine czule głaskała jej czoło.

Spod krzaka wynurzyła się jeszcze jedna wiewiórka ziemna. Zwierzątko przebyło połowę drogi ku nim, znieruchomiło, wietrząc, czy nie ma niebezpieczeństwa, i resztę drogi przebyło biegiem. Brakowało mu koniuszka ogonka.

- Reggie - wyszeptała cichutko Raina.

Uśmiechnęła się, gdy Reggie wdrapał się na otwartą dłoń. Rozsiadł się, opierając łapki o jej palce, i wpychał języczkiem ziarna do pyszczka. Przerwał, wyprostował się i poprawił języczkiem rozmieszczenie ziaren w pyszczku.

Zadowolony, znów opadł na cztery łapki.

Raina zachichotała cichutko.

Berdine pocałowała ją w czoło.

- Kocham cię, Raino - wyszeptała.

- Kocham cię, Berdine.

Richard poczuł, jak wiotczeją mięśnie Rainy. Umarła w jego ramionach, podczas gdy Reggie siedział na jej dłoni i wyjadał ziarna.

ROZDZIAŁ 55

Richard siedział w swoim gabinecie, a Kahlan stała za nim, obejmując go ramionami za szyję. Przytuliła policzek do czubka jego głowy i płakała. Richard przesuwając w palcach Agiel Rainy. Berdine powiedziała, że Raina chciała, by go wziął.

Berdine poprosiła, by pozwolił jej pójść do Wieży Czarodzieja. Chciała zawiadomić o wszystkim Careę. Spytała również, czy mogłaby zastąpić Careę w czuwaniu nad sylfą, bo ta była tam przez ostatnie trzy dni. Richard odparł, że może robić, co zechce, tak długo, jak zechce, i że jeśli chce, by on za nią czuwał przy sylfie albo poszedł tam i siedział przy niej, to robi to. Powiedziała, że na razie woli być sama.

- Dlaczego świątynia nie przysłała wieści?

- Nie wiem. - Kahlan wygładziła mu włosy.

- Co zrobimy? - spytał, ale nie oczekiwał odpowiedzi. - Nie mam pojęcia, co robić.

Kahlan rozmasowała mu barki.

- Uważasz, że dowiesz się czegoś z zapisu procesu?

- Równie dobrze dopiero ostatnia linijka tłumaczenia może mi dostarczyć informacji, której szukam i którą mógłbym wykorzystać. - Z wolna potrząsnął głową.

- Wszyscy pomrzemy na długo przedtem, nim zdążę dotrzeć do ostatniej linijki. - Richard zawiesił Agiel Rainy obok amuletu. Czerwony kolor bicia pasował do czerwieni rubinu. Przez chwilę panowało milczenie, a potem chłopak powiedział: - Jagang wygra.

Kahlan odwróciła ku sobie jego głowę.

- Nie mów tak. Nie mów tak, proszę. Zmusił się do uśmiechu.

- Masz rację. Pokonamy go.

Ktoś zapukał do drzwi. Richard zapytał, kto to, i Ulic wsunął głowę do środka.

- Lordzie Rahlu, generał Kerson pyta, czy mógłbyś z nim zamienić słówko.

Kahlan poklepała chłopaka po ramieniu.

- Pójdę powiedzieć Drefanowi i Nadine o Rainie. Richard odprowadził ją

do drzwi. Na zewnątrz czekał generał Kerson, jak zwykle z plikiem raportów.

- Za kilka minut cię dogonię - powiedział.

Został, by wysłuchać raportów generała, a Egan ruszył za Kahlan. Dziwnie się czuła, strzeżona wyłącznie przez Egana, bez Mord-Sith. Jedna z nich zawsze była gdzieś w pobliżu.

- Matko Spowiedniczko, jacyś ludzie zjawili się właśnie w pałacu i chcą się widzieć z tobą i z lordem Rahlem. Powiedziałem im, że jesteście zajęci. Nie chciałem obarczać tym lorda Rahla - odezwał się Egan.

- W obecnej sytuacji Sala Posłuchań musi być pełna ludzi, którzy chcą się z nami zobaczyć.

- Oni nie są w Sali Posłuchań. Straż zatrzymała ich, gdy weszli do jednego z salonów. Nie są tak aroganccy jak niektórzy z posłów, których widziałem, ale są natarczywi i to w osobliwy sposób.

Kahlan spojrzała chmurnie na wielkiego jasnowłosego D'Harańczyka.

- Powiedzieli, kim są? Dowiedziałeś się przynajmniej tego?

- Powiedzieli, że są Andolianami.

Kahlan zatrzymała się gwałtownie i złapała potężne ramię Egana.

- Andolianie! I straż ich wpuściły? Wpuściły Andolianów do pałacu?

Egan ściągnął brwi.

- Nie słyszałem, jak się tu dostali. Słyszałem tylko, że są tutaj. Czy to źle, Matko Spowiedniczko?

Już miał dłoń na rękojeści miecza.

- Nie, to nie to. Po prostu... drogie duchy, jak ci wytłumaczyć, kim są Andolianie?! - Szukała właściwych słów. - Oni nie są... w pełni ludźmi.

- Co masz na myśli?

- W Midlandach żyją magiczne istoty. A także ludzie, którzy mają magiczny dar. Czasami trudno dokładnie powiedzieć, kto jest kim. Niektórzy ludzie z magicznym darem są po części istotami magicznymi, tak właśnie jak Andolianie.

- Magiczne istoty? - spytał Egan z wyraźnym niesmakiem. - Są niebezpieczni?

Kahlan westchnęła, zmieniła kierunek i ruszyła ku sali przyjęć.

- Właściwie nie. A przynajmniej nie zazwyczaj. Nie są, jeżeli wiesz, jak z nimi postępować. O Andolianach mało wiadomo. Zostawiamy ich w spokoju.

Większość ludzi w Midlandach ogromnie ich nie lubi. Andolianie uwielbiają kraść. Nie robią tego dlatego, że określona rzecz jest wiele warta, lecz dlatego, że pewne przedmioty ich fascynują. Przeważnie są to błyszczące rzeczy. Kawałek szkła, sztuka złota, guzik to dla nich jedno i to samo. Ludzie nie lubią ich, bo wyglądają jak ty czyja, więc wszyscy myślą, że powinni się zachowywać jak ludzie, lecz oni nie są w pełni ludźmi.

Pojawiają się tu czy tam ze zwykłej ciekawości. Nie wpuszczamy ich do pałacu, bo powodują zniszczenia. Lepiej trzymać ich na zewnątrz. Jeśli spróbujesz ich zdyscyplinować, to przy swojej magii mogą się stać niemili. Bardzo niemili.

- Może kazać żołnierzom, żeby się ich pozbyli.

- Nie. To by się mogło źle skończyć. Kontakty z nimi wymagają przestrzegania specjalnej etykiety. Na szczęście ją znam. Pozbędę się ich.

- Jak?

- Andolianie lubią przynosić wieści. To właśnie lubią najbardziej. O wiele bardziej niż błyszczące przedmioty. Uwielbiają przekazywać ludziom wiadomości.

Podaję, że udział w sprawach ludzi pozwala im czuć większy związek z ludzką częścią ich istoty. Niektórzy Midlandczycy wykorzystują ich do tego. Andolianie przekazują wieści o wiele sumienniejsze niż jakikolwiek kurier. Uczynią to w zamian za błyszczący guzik, a nawet bez żadnego wynagrodzenia. Żyją po to, by przynosić wieści. Muszę tylko dać im jakąś wiadomość do dostarczenia i znikną, żeby wykonać to zadanie. To najprostszy sposób, by się ich pozbyć.

- Czy to pozwoli pozbyć się ich wszystkich? - zapytał Egan, drapiąc się po głowie.

- Wszystkich? Na drogę duchy, tylko mi nie mów, że jest ich więcej niż para.

- Siedmioro. Sześć jednakowo wyglądających kobiet i jeden mężczyzna.

Kahlan zmyliła krok.

- Nie wierzę. To musiałby być legat Rishi i sześć jego żon, które są siostrami.

Wszystkie sześć sióstr pochodzi z jednego... miotu.

Andolianie wierzyli, że tylko sześć kobiet z jednego miotu może być żonami legata. Kahlan kręciło się w głowie. Usiłowała się skupić mimo

rozpaczy wywołanej śmiercią Rainy, wszystkimi tymi śmierciami. Musiała wymyślić, dokąd wysłać Andolianów i z jaką wieścią.

Może wymyśli coś na temat zarazy. Mogła ich wysłać w dowolne miejsce z ostrzeżeniem o zarazie. Może do Dziczy. Większość ludów z Dziczy lepiej tolerowało Andolianów niż pozostali mieszkańcy Midlandów.

Korytarze wokół sali przyjęć wypełniał tłum uzbrojonych po zęby gwardzistów. Dwaj żołnierze z pikami, widząc zbliżających się Kahlan i Egana, otworzyli wysokie mahoniowe drzwi.

Andolianie czekali w jednej z najmniejszych, pozbawionej okien sali przyjęć.

Pod ciemnymi ścianami stały granitowe postumenty podtrzymujące rozmaite, najczęściej wykonane z jasnego marmuru rzeźby - od popiersi władców po podobizny farmerów i figurki wołów. Postumenty oddzielały przylegające do ścian półkolumny z ciemnofioletowego marmuru. Z tyłu, za każdą rzeźbą, wisiała ozdobna bordowa draperia, rozdzielająca się i przymocowana do bocznych półkolumn. Sprawiało to takie wrażenie, jakby poszczególne rzeźby były wystawione na scenie, przy rozchylonej kurtynie.

Na srebrnych łańcuchach wisiały cztery grona ozdobnych lamp z kryształowymi kloszami. Ciemny wystrój wnętrza powodował, że owe skupiska lamp nie mogły zbyt rozjaśnić mrocznego pomieszczenia. Na czarnej marmurowej posadzce stały trzy masywne ciemne stoły.

Andolianie stali przy jednym z nich. Siostry były wysokie i smukłe, a Kahlan nie mogła odróżnić jednej od drugiej. Włosy miały ufarbowane na jaskrawo-pomarańczowy kolor - używały do tego jagód modrzewnicy, która rosła w ich rodzinnych stronach. Andolianie mieszkali dość daleko, przebyły więc długą drogę, by dostać się do Aydindril. Ich duże, okrągłe, czarne oczy obserwowały zbliżającą się Kahlan. Pomarańczowe włosy, zaplecione w setki warkoczyków, wyglądały jak peruki z wełny. W owe warkoczyki wplotły niewielkie błyszczące przedmioty. Były w nich guziki, kawałki metalu, złote i srebrne monety, małe fragmenty szkła, odłamki obsydianu - wszystko, co się dostatecznie mocno błyszczało. Wszystkie kobiety miały na sobie proste, lecz eleganckie białe szaty z lśniącego atłasu. Mimo tego, co Kahlan wiedziała o Andolianach - że zwykła burza sprawiała, iż z piskiem szukali schronienia pod krzakiem lub w ziemnej norze - wyglądały godnie i szlachetnie. Uznała, że to całkiem naturalne: w końcu były przecież żonami

legata, przywódcy Andolianów.

Sam legat był niższy od swoich żon i o wiele starszy. Gdyby nie okrągłe czarne oczy, wyglądałby jak każdy inny dystyngowany, trochę krępy dygnitarz.

Błyszczącą łysinę okalał wianuszek siwych włosów. W łysinę wtarto jakiś tłuszcz, żeby lśniła. Przywdział strój podobny do szat żon, lecz wykonany ze złocistej tkaniny i ozdobiony pasami z naszytych błyszczących przedmiotów. Na każdym palcu miał co najmniej jeden pierścień. Dzięki wszystkim tym błyszczącym rzeczom wyglądał z daleka na bogacza. Z bliska natomiast przypominał zwariowanego żebraka, który grzebał w stercie odpadków i wyciągał bezwartościowe śmieci, wyrzucone przez normalnych ludzi.

Legat Rishi miał oczy z czerwonymi obwódkami i ospałe spojrzenie.

Uśmiechał się głupekowato i chwiał na nogach. Kahlan rzadko go widywała, lecz nie pamiętała go w takim stanie.

Sześć sióstr ustawiło się rzędkiem przed legatem. Wyprostowały się sztywno, wypięły dumnie piersi.

- Księżyc jest nam wspólny - powiedziała jedna z nich.

- Księżyc jest nam wspólny. - Kahlan odwzajemniła tradycyjne powitanie andoliańskich kobiet. Kończąca się przypadłość przypominała jej, że powitanie to ma więcej niż jedno znaczenie.

Następnie pozostałe Andolanki powtórzyły kolejno pozdrowienie. Kahlan dostała dreszczy, patrząc, jak mrugają obserwujące ją ich okrągłe czarne oczy. Po oficjalnym powitaniu podzieliły się na dwie grupy i stanęły po bokach męża.

Legat uniósł rękę jak król witający tłum. Uśmiechnął się kretyńsko. Kahlan zdumiało takie dziwaczne zachowanie, choć po prawdzie nie była pewna, czy w wypadku Andolanina jest ono istotnie dziwaczne.

- Słońce jest nam wspólne - wybełkotał.

- Słońce jest nam wspólne - odparła Kahlan, on jednak zignorował ją, zajęty czymś poza nią.

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła nadchodzącego Richarda. Wyglądało na to, że był dość rozzłoszczony.

- Co jest z tym księżycem? - spytał, zatrzymując się obok niej. Wzięła go za rękę.

- Richardzie, oto legat Rishi i jego żony. Są Andolianami. Właśnie

wymieniliśmy słowa ich tradycyjnego powitania - powiedziała ostrzegawczo.
- Ach, rozumiem. - Rozluźnił się trochę. - Kiedy powiedzieli coś o księżycu, pomyślałem...

Nagle krew odpłynęła mu z twarzy.

- Andolianie - szepnął do siebie. - Czarodziej Ricker miał jakieś sprawy z Andolianami... - Zatonął w myślach.

- Słońce jest nam wspólne - rzekł legat Rishi, szczerząc zęby w uśmiechu.
- Kobietom wspólny jest księżyc. Kobięcie i mężczyźni wspólne jest słońce, ale nie księżyc.

Richard potarł czoło. Wyglądał na oszołomionego i pogrążonego we wspomnieniach. Kahlan uścisnęła mu dłoń - miała nadzieję, że zrozumie ów znak i pozwoli się jej zająć gośćmi. Zwróciła się do legata:

- Legacie Rishi, chciałabym, abyś...

- Nasz mąż pił napoje, które wprawiają go w stan szczęśliwości - powiedziała jedna z żon, jakby to była fascynująca wiadomość. - Dał za nie niektóre ze swoich skarbów. - Zrobiła zakłopotaną minę. - Przez te napoje staje się powolniejszy, inaczej bylibyśmy tu wcześniej.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś - odparła Kahlan. Andolianinowi należało zawsze dziękować za każdą informację o sobie, jakiej udzielił z własnej woli, gdyż była ona traktowana jako dar.

Kahlan ponownie skierowała uwagę na legata.

- Legacie Rishi, chciałabym, żebyś zaniósł w moim imieniu bardzo ważną wiadomość.

- Przepraszam, ale nie możemy przenosić wieści od ciebie - odparł legat.

Kahlan osłupiała. Jeszcze nigdy nie słyszała, by któryś z Andolian odmówił przekazania wiadomości.

- Ale dlaczego nie możecie?!

Jedna z sześciu żon nachyliła się ku dziewczynie.

- Bo już niesiemy ogromnie ważną wieść.

- Tak?!

Andolianka zamrugnęła powiekami okrywającymi wielkie czarne oczy.

- Tak. To największy ze wszystkich zaszczytów. Mąż niesie wieść od księżycyca.

- Cooo?! - wyszeptał Richard, unosząc głowę.

- Księżyc przesyła wieść od wichrów - dał się słyszeć pijacki bełkot legata.

Kahlan zdawało się, że świat znieruchomiał.

- Bylibyśmy tu szybciej, ale mąż musiał się wiele razy zatrzymywać i pić napój dający mu szczęśliwość.

Kahlan poczuła lodowaty dreszcz przerażenia.

- Bylibyśmy tu szybciej - powtórzył Richard. - Wszyscy ci ludzie umierali, a ty piłeś?! - Jego głos miał siłę gromu. - Raina umarła, bo ty się upijałeś?! - Zadał legatowi taki cios pięścią, że biedak przeleciał przez stół. - Ludzie umierają, a ty się upijasz!!! - ryknął.

- Nie, Richardzie! - wrzasnęła Kahlan. - On włada magią!

Dziewczyna dostrzegła z boku błysk czerwieni. Cara nadbiegła ile sił w nogach, skoczyła przez stół i przewróciła Richarda na podłogę.

Podniósł się rozwścieczony legat Rishi. Miał zakrwawione usta. Krew kapłała mu z brody. W górę jego rąk płynęły falujące rozbłyski blasku i ciemności i gromadziły się na piersi. Skupiał swoją magię, szykując się do uderzenia nią w Richarda. Chłopak sięgnął po miecz.

Cara znów odepchnęła Richarda, skoczyła na legata i uderzyła go w zakrwawione usta. Rishi okręcił się i skierował swój gniew przeciw niej. Mord-Sith - szybka jak kot - zaszła go z boku, po czym znów uderzyła, odwracając jego uwagę od Richarda.

Legat poraził ją swoją magiczną mocą.

Rozległ się głuchy grzmot i jednocześnie zafalował czas. Rishi jęknął z bólu i upadł. Cara spadła nań, zanim zdążył dotknąć podłogi i wcisnęła mu Agiel w gardło.

- Teraz jesteś mój. Teraz twoja magia należy do mnie - krzyknęła, gdy dusił się w straszliwym bólu.

- Caro! Nie zabijaj go! - wrzasnęła Kahlan.

Sześć sióstr zbiło się w drżącą ze strachu, kucającą grupkę. Kahlan zapewniała je, że nie stanie się im żadna krzywda.

- Nie sprawiaj mu bólu, Caro - powiedziała Kahlan. - On przyniósł wieść od Świątyni Wichrów.

Mord-Sith uniosła głowę. Oczy miała pełne niepokoju.

- Wiem. Dotarła doń dzięki magii. A jego magia należy teraz do mnie. Wieść, którą niesie, jest wtopiona w jego magię.

Richard zrezygnował z wyciągania miecza z pochwy.

- Chcesz powiedzieć, że poznałaś tę wiadomość? Cara potaknęła. Jej

niebieskie oczy wypełniły się łzami.

- Tak. Dzielę z nim jego magię, a więc i znajomość owej wieści.

- Ulicu, Eganie, odprawcie żołnierzy. Zamknijcie drzwi. Nie pozwólcie nikomu wejść - rozkazał Richard.

Ulic i Egan przynaglali żołnierzy do odejścia, a chłopak złapał legata za szaty tuż przy gardle i podniósł z podłogi. Cisnął go na krzesło. Patrzył z góry na spotulniałego nagle, zadyszanego przywódcę Andolian. Oddychając ciężko, zacisnął w dłoni amulet oraz Agiel Rainy i wycelował je w twarz Rishiego.

- No to wysłuchajmy wieści. I lepiej jej nie przekręć. Zmarły już tysiące ludzi, bo opóźniłeś swoje przybycie, żeby się upijać.

Richard podniósł wzrok. Odezwał się nie tylko legat, ale i Cara. Mówiła wraz z nim.

- I ty znasz tę wieść, Caro? Tak jak on? Cara była równie zdumiona jak Richard.

- To... to mi się objawiło tak jak i jemu. Wiedziałam tylko, że niesie wiadomość. Nie znał jej treści, dopóki nie wypowiedział słów. Poznałam ją w tym samym czasie co on.

- Dla kogo jest owa wieść? Kahlan wiedziała.

- Dla czarodzieja Richarda Rahla i Matki Spowiedniczki Kahlan Amnell - powiedzieli chórem legat i Cara.

- Jak brzmi wiadomość? - spytał Richard.

Kahlan wiedziała. Podeszła do chłopaka, ujęła w dłonie jego rękę i trzymała z całych sił.

W komnacie byli tylko Richard, Kahlan, Cara, legat Rishi i sześć jego żon, które kulily się pod stołem. Wszystkie lampy pociemniały, jakby ktoś przykręcił im knoty. Padało na nich niesamowite, migotliwe światło.

Legat Rishi miał pobladłą twarz i sprawiał wrażenie, jakby wpadł w trans.

Wstał z krzesła; krew w dalszym ciągu ściekała mu z brody. Jego ramię uniosło się i wskazało Richarda. Tym razem przemówił tylko on.

- Wichry wzywają cię, czarodzieju Richardzie Rahlu. Wichrom ukradziono magię i wykorzystano ją na tym świecie do czynienia szkód. By wejść do Świątyni Wichrów, musisz zawrzeć ślub. Twoją żoną ma zostać Nadine Brighton.

Richard, nie mogąc wykrztusić słowa, przyciągnął oburącz dłoń Kahlan do swojego serca.

Z kolei uniosło się ramię Cary i wskazało Kahlan. Tym razem przemówiła tylko ona - lodowatym, nieczułym głosem.

- Wichry wzywają cię, Matko Spowiedniczko Kahlan Amnell. Wichrom ukradziono magię i wykorzystano ją na tym świecie do czynienia szkód. Musisz zawrzeć ślub, żeby pomóc czarodziejowi Richardowi Rahlowi wejść do Świątyni Wichrów. Twoim mężem ma być Drefan Rahl.

Richard osunął się na kolana. Kahlan obok niego. Spodziewała się, że coś poczuje, a była jak odrętwiała. Wydawało się, że to sen.

O Sądziła, że to już nigdy nie nastąpi. A właśnie się działo, i to wiele za szybko, zupełnie jakby spadała za krawędź urwiska starała się ucześcić czegoś dłonią.

Nic nie powstrzymało jej upadku, leciała w lodowatą czerń.

To już koniec. Wszystko się skończyło. Jej życie, jej marzenia, jej przyszłość, jej radość - wszystko się skończyło. Teraz trzeba to tylko przetrwać, aż do końca.

Richard uniósł ku Carze twarz szarą jak popiół.

- Proszę cię, Caro. Błagam cię: nie rób nam tego. - Głos mu się załamał. - Na drogie duchy, Caro, nie rób nam tego.

Cara patrzyła nań zimnymi niebieskimi oczami.

- Nie robię wam tego. Ja tylko przekazuję wiadomość od wichrów. Jeżeli chcesz wejść do Świątyni Wichrów, to oboje musicie na to przystać.

- Dlaczego Kahlan musi wyjść za męża?

- Wichry żądają dziewiczej panny młodej.

Richard przelotnie spojrzał na Kahlan. Znów patrzył na Carę.

- Ona nie jest dziewicą.

- Tak, jest nią - odparła Cara.

- Nie! Nie jest!

Kahlan dotknęła czołem policzka Richarda, objęła go za szyję i przytuliła się doń.

- Jestem, Richardzie - wyszeptała. - Na tym świecie jestem. Shota powiedziała mi, że o to właśnie chodziło duchom. Na tym świecie, w naszym świecie, w świecie istot żywych, jestem dziewicą. Byliśmy razem w innym świecie. Tutaj nie ma to znaczenia.

- To jakieś wariactwo. Zupelne szaleństwo - szepnął ochryple.

- To spełnia warunki wichrów - powiedziała Cara.

- To jedyna szansa, jaka zostanie wam ofiarowana. Jeśli ją odrzucicie, dobiegnie kresu obowiązek wichrów, by naprawić szkody - odezwał się legat.

- Proszę cię, Caro. Proszę... nie rób tego. Musi być jakiś inny sposób - wyszeptał Richard.

- To jedyna droga. - Odziana w czerwony uniform Cara górowała nad nimi. - Od was zależy, czy naprawicie szkody. Musicie wyrazić zgodę. Jeżeli nie odpowiecie na zew, ten już się nie powtórzy i uwolniona magia będzie swobodnie szaleć.

- Wichry chcą znać waszą odpowiedź. Oboje musicie się dobrowolnie na to zgodzić. To musi być prawdziwe pod każdym względem małżeństwo. Na całe życie.

Musicie być w nim uczciwi i wierni tym, których poślubicie - powiedział legat.

- Przekazuję prawdziwe słowa wichrów. Jak brzmi wasza odpowiedź? - spytała lodowatym głosem Cara.

Kahlan spojrzała przez łzy w oczy Richarda. Widziała, jak wszystko w nim umiera.

- To nasz obowiązek. Tylko my możemy ocalić owych ludzi, ale powiem „nie”, jeśli tego chcesz, Richardzie.

- Ileż jeszcze Rain musi umrzeć w moich ramionach? Nie mógłbym prosić, byś wybrała mnie za cenę czyjegoś życia.

Kahlan stłumiła jęk.

- Czy jest coś... czy wiesz, co moglibyśmy zrobić, żeby powstrzymać zarazę?

Richard potrząsnął głową.

- Przepraszam. Zawiodłem cię. Nie znalazłem sposobu, by to obejść.

- Nie zawiodłeś mnie, Richardzie. Nie mogłabym znieść myśli, że jesteśmy przyczyną kolejnych śmierci. Takich jak dzisiejsza śmierć Rainy. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Tak bardzo cię kocham, Richardzie.

Wielka dłoń chłopaka przytuliła głowę Kahlan.

- Więc się zgadzamy. Musimy to uczynić.

Richard wstał, podnosząc jednocześnie Kahlan. Tak wiele chciała mu powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Kiedy spojrzała w oczy chłopaka,

zrozumiała, że żadne słowa nie są potrzebne.

Spojrzeni na Carę i legata.

- Zgadzam się. Poślubię Nadine.

- Zgadzam się. Poślubię Drefana.

Kahlan rozplakała się i padła Richardowi w ramiona. Łkała w śmiertelnej udreće. Richard przytulił ją ze wszystkich sił. Cara i legat znaleźli się nagle tuż przy nich. Rozdzielali ich.

- Każde z was jest przyręczone innemu. Teraz nie wolno wam już tego robić.

Musicie być wierni swoim partnerom - powiedziała Cara.

Kahlan spojrzała, omijając wzrokiem legata, w oczy Richarda. Każde z nich wiedziało, że obejmują się po raz ostatni. W tym momencie zawalił się jej świat.

ROZDZIAŁ 56

Legat i Cara siedzieli pomiędzy Richardem i Kahlan. Dziewczyna usłyszała, jak otwierają się drzwi. To byli Nadine i Drefan. Ulic wpuścił ich i zamknął wrota.

Richard wstał i przeczesał włosy palcami. Kahlan wołała jeszcze nie wystawiać na próbę wytrzymałości swoich nóg. Wszystko przeciekło jej przez palce.

Wszystko przepadło na rzecz obowiązku.

Nadine przyjrzała się wszystkim przebywającym w komnacie: legatowi, jego sześciu żonom, Kahlan, Carze i - na koniec - Richardowi, który powolutku szedł ku niej.

Chłopak wbił wzrok w podłogę.

- Oboje wiecie, że zarazę rozpętano za pomocą magii. Mówiłem wam, że magię tę wykradzono ze Świątyni Wichrów. Świątynia postawiła warunki, które muszę spełnić, jeśli chcę się do niej dostać i powstrzymać czarną śmierć. Świątynia żąda, byśmy wraz z Kahlan zawarli małżeństwa. Wskazała, kogo mamy poślubić.

Przykro mi, że jesteście oboje... w to zamieszam. Nie wiem, dlaczego tak się stało.

Świątynia nie wyjaśniła tego. Przekazała tylko, że to jedyna szansa powstrzymania moru. Nie mogę żadnego z was zmusić do udziału w tym. Mogę wyłącznie prosić, byście się zgodzili. - Richard chrząknął i zapanował nad głosem. Ujął dłoń Nadine.

Nie mógł jej spojrzeć w oczy. - Czy wyjdiesz za mnie, Nadine?

Nadine natychmiast spojrzała na Kahlan. Dziewczyna przybrała „twarz Spowiedniczki”, tak jak nauczyła ją matka. Wypełniała obowiązek, jak uczyła ją matka.

Zielarka popatrzyła na pozostałych, a potem znów na czubek głowy chłopaka.

- Kochasz mnie, Richardzie? W końcu spojrzał jej w oczy.

- Nie. Przykro mi, Nadine, ale nie. Nie kocham cię. Odpowiedź nie zaskoczyła jej. Kahlan była pewna, że tamta spodziewała się tego.

- Wyjdę za ciebie, Richardzie. Uszczęśliwię cię. Przekonasz się. I z

czasem mnie pokochasz.

- Nie, Nadine. Nie pokocham cię. Skoro się na to godzisz, będziemy mężem i żoną i będę ci wierny, lecz moje serce zawsze będzie należało do Kahlan. Przykro mi, że mówię tak szorstkie słowa, prosząc cię o rękę, ale nie chcę cię zwodzić - wyszeptał Richard.

Nadine zastanawiała się przez chwilę.

- Cóż, wiele małżeństw jest zaaranżowanych, a mimo to dobrych. - Uśmiechnęła się do niego. Kahlan uznała, że to współczujący uśmiech. - To małżeństwo zaaranżowały duchy. A to coś oznacza. Wyjdę za ciebie, Richardzie.

Chłopak obejrzał się na Kahlan. Teraz jej kolej. W martwych szarych oczach dostrzegła jakiś błysk - wściekłość.

Wiedziała, że jemu - tak jak i jej - pęka serce.

Znalazła się przed Drefanem, sama nie wiedząc, jak i kiedy. Spróbowała się odezwać, lecz nie mogła. Po prostu nie mogła. Spróbowała raz jeszcze.

- Drefanie... czy zostaniesz... moim mężem?

Błękitne oczy, takie same jak u Rahla Posępnego, patrzyły na nią obojętnie. Z jakiegoś powodu przypomniła sobie jego dłoń między nogami Cary i omal nie zwymiotowała.

- Jak powiedziała Nadine, mogłoby mnie spotkać coś gorszego niż małżeństwo zaaranżowane przez duchy. Nie sądzę, by istniała najmniejsza szansa, że mnie kiedykolwiek pokochasz?

Kahlan drżały usta, patrzyła w podłogę. Nie mogła wydobyć głosu.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Cóż, trudno. I tak może nam być nieźle. Uczynię to. Poślubię cię, Kahlan.

Dziewczyna była zadowolona, że nigdy nie powiedziała Richardowi, co Drefan zrobił Carze. Gdyby to uczyniła, Richard - słysząc, jak Drefan mówi, że ją poślubi - mógłby stracić panowanie nad sobą i dobyć miecza.

Cara i legat wysunęli się naprzód.

- A więc postanowione - oznajmili jednym głosem. - Wichry cieszą się, że wyraziliście zgodę.

- Kiedy?- spytał ochryple Richard.- Kiedy my... kiedy? I kiedy dostanę się do Świątyni Wichrów? Ludzie umierają. Muszę pomóc wichrom położyć temu kres.

- Tej nocy - odparli jednym głosem Mord-Sith i legat. - Natychmiast wyruszamy na górę Kymermosst. Zostaniecie zaślubieni tej nocy, gdy tylko tam dotrzemy.

Kahlan nie zapytała, jak dostaną się do budowli, której już nie było. Tak naprawdę nic jej to nie obchodziło. Ważne było jedynie to, że zostaną zaślubieni jeszcze tej nocy.

- Przykro mi z powodu Rainy - powiedziała Nadine do Richarda. - Jak Berdine?

- Nie najlepiej. Jest w wieży. - Richard spojrzał na Carę. - Będziemy się tam mogli zatrzymać po drodze? Muszę jej powiedzieć, co się wydarzyło. Powinna pilnować sylfy aż do mojego powrotu. Muszę jej powiedzieć.

- A ja chciałabym dać jej coś na poprawę samopoczucia wtrąciła Nadine.

- Pozwolono to uczynić - oznajmiła Cara owym strasznym, lodowatym głosem.

Berdine aż zmartwiała z przerażenia, kiedy Richard jej powiedział. Objęła go i szlochała z żalu nad nimi i nad sobą. Sylfa patrzyła na nich ze swojej studni, krzywiąc się ze zdumieniem.

Nadine mieszała różności z woreczków trzymanyh w dużej torbie i pouczała Berdine, kiedy ma je zażywać. Obiecywała, że pomogą Mord-Sith przetrwać żal.

Richard starał się powiedzieć Berdine o wszystkim, co według niego mogłoby się jej przydać.

Kahlan niemal czuła nurt upływającego czasu i coraz głębiej zapadała się w czarną czeluść.

- Musimy ruszać - Cara przerwała to spotkanie. - Musimy jechać, co koń wyskoczy, żeby zdążyć przed wschodem księżyca w pełni.

- Jak odnajdę Świątynię Wichrów? - zapytał Richard.

- To nie ty odnajdziesz Świątynię Wichrów. To Świątynia Wichrów odnajdzie ciebie, jeśli zostaną spełnione jej żądania - wyjaśniła Cara.

Nadine pokazała Richardowi ciężką torbę.

- Mogę to tutaj zostawić? Ciężko to nieść, a skoro i tak wracamy...

- Oczywiście - odparł bezbarwnym głosem.

Gdy wracali do koni, Kahlan musiała podążać u boku Drefana, za Richardem.

Idąca obok Richarda Nadine dotknęła jego pleców. Starła się bardzo

powściągnąć radość ze zwycięstwa, lecz owo dotknięcie miało oznaczać: „on jest teraz mój”.

U wylotu drogi do Wieży Czarodzieja, kiedy zostawiali już miasto za sobą - Kahlan słyszała, jak prowadzący wozy nawołują mieszkańców, żeby wynosili swoich zmarłych. Skończą się cierpienia i śmierć z powodu zarazy, umilkną owe nawoływania. Już wkrótce. Tylko w tym znajdowała odrobinę pociechy. Będą żyć i dzieci, i ich rodzice.

Gdybyż tylko zdarzyło się to w sam czas dla Rainy. Berdine tego nie powiedziała, lecz Kahlan wiedziała, że tak myśli.

Richard rozkazał swojej gwardii, by została w Ayndindril. Kiedy Ulic i Egan zobaczyli wyraz jego twarzy, nie protestowali. Na górę Kymermosst pojechali jedynie Richard i Nadine, Kahlan i Drefan, Cara oraz legat i sześć jego żon.

Kahlan nie miała pojęcia, jak to będzie, jak uda się dostać do Świątyni Wichrów. Richard też tego nie wiedział. W ogóle jej to nie interesowało. Mogła myśleć tylko o tym, że Richard poślubi Nadine. I była pewna, że chłopak myślał tylko o tym, iż ona wyjdzie za Drefana.

Arcykapłan opowiadał podczas jazdy rozmaite historie, starając się zaciekawić wszystkich i dodać im otuchy. Kahlan niewiele z tego słyszała. Obserwowała plecy Richarda i pragnęła wyłącznie jednego: patrzeć, kiedy on na nią spojrzy, co czynił od czasu do czasu.

Nie mogła na niego nie patrzeć, choć ilekroć napotkała jego oczy, zdawało się jej, że rozżarzony nóż wbija się jej prosto w serce.

Nie cieszyła jej górską okolica, przez którą jechali. Nie cieszyła jej ani zielona trawa, ani rozwijające się paprocie, ani pączkujące drzewa. Dzień był ciepły jak na wiosenną pogodę, ale na niebie wisiały ciemne chmury. Przed wieczorem może być burza, pomyślała. Andolianie kulili się ze strachu, ilekroć spojrzeli w górę.

Kahlan otuliła się szczelniej peleryną. Pomyślała o zostawionej w pałacu błękitnej szacie weselnej, którą zamierzała włożyć na ślub z Richardem.

Stwierdziła, że zaczyna się na niego złościć. Skusił ją do myślenia, że mogłaby kochać, że mogłaby zaznać szczęścia. Skusił ją, by zapomniała, że ma wyłącznie obowiązki. Skusił ją, by go pokochała.

Kiedy uświadomiła sobie, że jest na niego zła, znów cicho zapłakała. Przecież to spotykało nie tylko ją - jego również. Cierpieli wspólnie.

Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z nim. Zdawało się jej, że już tak dawno uciekała przed asasynami Rahla Poępnego i Richard jej pomógł. Rozmyślała o wszystkim, co razem robili: o tym, jak stała na straży, kiedy on spał i patrzyła nań, wyobrażając sobie, że jest zwykłą kobietą, która może się zakochać, a nie Spowiedniczką, zmuszoną ukrywać swe uczucia i wieść życie pozbawione miłości, za to poświęcone obowiązkowi.

A przecież Richard znalazł sposób, żeby i ona, Spowiedniczką, mogła kochać.

A teraz to wszystko legło w gruzach.

Czemuż duchy im to czyniły? Odpowiedź nadeszła, kiedy Kahlan przypomniała sobie rozmowę z Shotą i z duchem. Istniały nie tylko dobre duchy - były też te złe. Złe duchy miały w tym swój udział. To one chciały, żeby tak się stało.

To one żądały takiej ceny za wejście do świątyni.

Duchy, które żądały takiej ceny, były bardziej niż złe.

Późnym rankiem zatrzymali się, żeby coś zjeść i dać wypocząć koniom.

Nadine i Drefan gadali z pełnymi ustami. Żony karmiły legata. Bardzo mu przeszkadzała zraniona warga. Ocierały nogi o jego nogi i chichotały, gdy brał pokarm z ich palców. Same jadły w przerwach między karmieniem go. Cara posilała się w milczeniu. Kahlan nie zauważyła, co każde z nich jadło.

Ona i Richard nie posilali się. Siedzieli na nasłonecznionych kamieniach jak posągi, milczący, odrętwiali, zapatrzeni w pustkę.

Kiedy tamci skończyli posiłek, Richard patrzył, jak znów dosiadają koni. Choć nikt inny tego nie zauważył, dostrzegła w jego oczach tłącą się wściekłość. Duchy wybrały Drefana, żeby go zranił. Nie mogły zrobić nic gorszego.

- Jak ramię? - spytała Nadine Drefana, gdy ruszyli. Drefan uniósł je i poruszył palcami.

- Prawie jak nowe.

Kahlan nie zwróciła uwagi na tę ich rozmowę. Paplali cały ranek. Ledwo to zauważała, zatopiona w swoim milczącym świecie.

- Co ci się stało w ramię, mistrzu Drefanie? - spytała jedna z sześciu siostr.

- Och, pewnemu łotrowi nie spodobał się mój sposób oczyszczania

świata z choroby.

Zamrugały doń wielkie czarne oczy.

- I co ci zrobił?

Drefan wyprostował się dumnie w siodle.

- Ciął mnie nożem. Chciał mnie zabić, ta nędzna szumowina.

- Dlaczego mu się nie udało? Drefan zbył incydent butnym gestem.

- Kiedy tylko pokazałem mu trochę stali, to umknął, ratując życie.

- Zszyłam mu ranę. A była głęboka - wyjawiała Nadine zdumionym siostrom.

Drefan rzucił jej takie spojrzenie, że aż skuliła się w siodle.

- Przecież ci mówiłem, Nadine, że to drobnostka. Nie życzę sobie litości. Tylu ludzi cierpi o wiele bardziej niż ja. - Złagodniał, dostrzegłszy jej wystraszoną minę. - Dobrze się spisałaś. Równie dobrze jak któryś z moich uzdrowicieli. Dobrze się spisałaś i doceniam to.

Nadine się uśmiechnęła.

Drefan postawił kaptur swojej opończy.

Dobre duchy, to ma być mój mąż. Mój partner na resztę życia, pomyślała Kahlan.

Dopóki nie umrze i nie połączy się znów z Richardem. Słodka śmierć nigdy nie będzie zbyt prędką.

Clarissa zatarła spocone dłonie. Zerknęła przez dziurkę od klucza i słuchała, jak Nathan rozmawia z Siostrami w sąsiedniej komnacie.

- Jestem pewna, że zrozumiesz, lordzie Rahlu - powiedziała Siostra Jodelle. - To również dla twojego bezpieczeństwa.

Nathan zachichotał.

- Jak to uprzejmie ze strony imperatora, że dba o moje dobro.

- Jeśli, jak twierdzisz, Richard Rahl zostanie tej nocy wyeliminowany, to nie masz się o co martwić. Przyniesiemy to później. To powinno cię zadowolić.

Prorok obrzucił je gniewnym spojrzeniem.

- Mówiłem wam, że plan Jaganga się powiódł. Tej nocy Richard Rahl zostanie usunięty. Po dzisiejszej nocy pojmiecie, że nie należy we mnie wątpić.

Clarissa musiała się wygiąć, by dojrzeć Nathana przez dziurkę od klucza, bo w zadumie odwrócił się od obu Sióstr. Znów na nie spojrział.

- I zgodził się na całą resztę?

- Na wszystko - zapewniła go Siostra Willamina. - Ciesz się, że będziesz jego pełnomocnikiem w D'Harze, i z radością przystaje na twoją propozycję pomocy w studiowaniu ksiąg z prorocत्वami, które przez lata zebrał.

Nathan chrząknął.

- Gdzież one są? Nie wiem, czy dam się nakłonić do podróżowania tu i tam po Starym Świecie po to tylko, by rzucić okiem na jakieś bezwartościowe tomy. W końcu mam sprawy w D'Harze. Będę musiał umocnić swój autorytet jako nowy lord Rahl.

- Jego Ekscelencja przewidział, że to może być dla ciebie uciążliwe, i dlatego proponuje, że jego czarodzieje wybiorą interesujące teksty i przyślą je tobie do przeanalizowania.

Clarissa wiedziała, co Siostra ma na myśli. Nim się zjawili, Nathan powiedział jej, że prawdopodobnie nie dadzą mu rzucić okiem na prorocत्वa, które zebrał Jagang, oraz że jeszcze mniej prawdopodobne jest, by powiedziano mu, gdzie imperator je przechowuje. Jagang wolałby, żeby Nathan dostawał tylko wyselekcjonowane, przejrzone uprzednio przez innych tomy.

W końcu Nathan skierował całą uwagę na Siostry.

- W odpowiednim czasie, w odpowiednim czasie. Kiedy wspólnie popracujemy, weźmiemy w ryzy Nowy Świat i zaczniemy sobie w pełni ufać, przystanę z radością na wizyty salonowych piesków Jaganga. Lecz dopóki to nie nastąpi, dopóty nie mam ochoty zdradzać tym z darem dokładnego miejsca mego pobytu i ufam, że imperator to pojmie. Dlatego też natychmiast stąd odjadę.

Siostra Jodelle westchnęła.

- Jak już mówiłam, z radością każe ci je dostarczyć. Powinieneś jednak zrozumieć, że może mieć wątpliwości, czy pozwolić zbliżyć się do nich zbyt blisko czarodziejowi o twojej mocy. Czarodziejowi, którego umysł jest dlań tajemnicą.

Mimo że gorąco pragnie porozumienia, jest człowiekiem ostrożnym.

- Podobnie jak ja - rzekł Nathan. - Dlatego nie mogę pozwolić, by księgi dostarczono do mnie. Przyjęcie was tutaj to ostatnie ryzyko, na jakie sobie pozwoliłem. A tymczasem chcę dostać tę księgę. Dopóki jej nie mam, nie wiem, czy podróż do D'Hary jest dla mnie bezpieczna.

- Jego Ekscelencja to rozumie i nie ma zastrzeżeń co do spełnienia twojego życzenia. Jego plany wkrótce się dopełnią i dlatego nie potrzebuje już owej księgi.

Poza tym świat bez ludzi, którzy mogą dlań pracować, nie byłby wiele wart. Księga działa jedynie w rękach Siostry Amelii, bo to ona poszła po nią do Świątyni Wichrów.

Jego Ekscelencja proponuje ci albo księgę, albo Siostrę Amelię. Jeśli zechcesz, przyślemy ją do ciebie.

- A zatem Jagang chce wiedzieć, gdzie jestem? O nie, Siostrze. Biorę księgę.

- I to odpowiada Jego Ekscelencji. Przyślemy księgę lub ktoś spotka się z tobą i przekaze ci ją. Imperator nie zgadza się tylko na to, żebyś sam po nią przyszedł. To z powodów bezpieczeństwa, jak już wyjaśniałyśmy.

Nathan zastanawiał się, pocierając dół policzka.

- A gdybym tak ja wysłał kogoś z wami? Umyślnego, który ma na względzie moje sprawy? Kogoś lojalnego wobec mnie, bym nie musiał się obawiać, że Jagang wkradnie się do umysłu tej osoby i dowie się, gdzie jestem? Kogoś, kto nie ma daru?

Nie musiałby się ich lękać.

- Kogoś, kto nie ma daru? - Siostra Jodelle namyślała się przez chwilę. -1
mogłybyśmy ich sprawdzić bez twoich osłon, by upewnić się, że naprawdę nie mają daru?

- Oczywiście. Chcę, by stosunki z Jagangiem były korzystne dla nas obu. Nie wystawiałbym ich na szwank, próbując go oszukać. Pragnę wzmocnić zaufanie, nie zaś je zniszczyć. - Nathan przerwał, odkaszlnął. - Ale rozumiecie chyba, że ta osoba jest dla mnie... cenna. Jeżeli cokolwiek się jej przytrafi, przyjmę to jak najgorzej.

Obie Siostry się uśmiechnęły.

- Ona. Ależ oczywiście - odezwała się Siostra Willamina.

- Och, Nathanie. - Siostra Jodelle zakołysała się na piętach i uśmiechnęła.

- Naprawdę radowałaś się wolnością.

- Mówię zupełnie poważnie - oznajmił spokojnie Nathan. - Jeśli coś jej się stanie, to całe porozumienie straci ważność. Posyłam ją w dowód zaufania do Jaganga, w dowód zaufania w nasz układ. Robię pierwszy ufny krok, by imperator wiedział, że jestem szczerzy.

- Rozumiemy, Nathanie - odezwała się już poważniej Siostra Jodelle. - Nie spotka jej nic złego.

- Pragnę, by w momencie, gdy odjedzie już z księgą, eskortowano ją do bezpiecznego miejsca, poza liniami wojsk Jaganga, a potem pozwolono ruszyć samotnie w dalszą drogę. Będę wiedzieć, czy jest śledzona. Jeżeli ktoś za nią pójdzie, spojrzę na to złym okiem i potraktuję jako dowód wrogości wobec mnie i zamach na moje życie.

Siostra Jodelle skinęła głową.

- To zrozumiałe i bardzo rozsądne. Pójdzie z nami, weźmie księgę, a potem bezpiecznie wróci do ciebie, nie śledzona, i wszyscy będziemy zadowoleni.

- Doskonale - orzekł stanowczo Prorok, jakby dobijał targu. - Po tej nocy Jagang pozbędzie się Richarda Rahla. Kiedy będę miał w garści księgę, poddam stacjonujące na południu wojska korpusowi ekspedycyjnemu Jaganga, czyli dopełnię mojej części umowy.

Siostra Jodelle się skłoniła.

- Zawarliśmy porozumienie, lordzie Rahlu. Jego Ekscelencja pragnie cię powitać w imperium jako drugiego po sobie.

Nathan zwrócił się ku drzwiom, za którymi klęczała Clarissa. Skoczyła na równe nogi i pobiegła pod najdalsze okno. Odsunęła dłoń firanki i udawała, że wygląda na zewnątrz. Usłyszała, jak otwierają się drzwi.

- Clarisso - zawołał.

Obróciła się ku stojącemu w drzwiach Prorokowi, który trzymał dłoń na klamce. Za nim widziała bacznie obserwujące ją Siostry.

- Tak, Nathanie? Życzysz sobie czegoś?

- Tak, Clarisso. Chciałbym, byś udała się dla mnie w krótką podróż.

Życzyłbym sobie, abyś poszła z dwiema moimi przyjaciółkami.

Clarissa obeszła stolik do pisania i ruszyła za Nathanem do sąsiedniej komnaty. Prorok przedstawił ją obu Siostrom.

Kobiety uśmiechały się znacząco, z zadowoleniem. Spojrzały na jej piersi, a potem na siebie. Clarissa miała uczucie, że znów uznano ją za dziwkę.

- Natychmiast udasz się z tymi damami, Clarisso. Gdy dotrzecie do celu, dadzą ci księgę. Wrócisz z nią. Pamiętaj, jak ci mówiłem, dokąd mieliśmy się jutro udać?

- Tak, Nathanie.

- Gdy będziesz już miała księgę, dołączysz tam do mnie. Nikt, ale to nikt nie ma prawa wiedzieć, gdzie się ponownie spotkamy. Zrozumiałaś?

- Tak, Nathanie.

- Pójdę postarać się o konia dla niej - odezwała się Siostra Willamina.

- Konia? - Clarissie zabrakło tchu. - Nigdy w życiu nie jeździłam konno. Nie umiem dosiadać konia.

Prorok nakazał im gestem cierpliwość wobec tej przeszkody w ich planach.

- Mam powóz. Każę go podstawić i Clarissa może nim pojechać. Czy to wszystkich zadowala?

Siostra Jodelle wzruszyła ramionami.

- Konie czy powóz to nam nie robi różnicy, jeśli tylko najpierw będziemy mogły sprawdzić, czy na pewno nie ma daru.

- A sprawdzajcie sobie, ile chcecie. Ja w tym czasie każę podstawić powóz, a potem Clarissa spakuje kilka rzeczy.

- Zgoda.

- Dobrze. A więc postanowione. - Nathan odwrócił się ku Clarissie, stając plecami do obu Sióstr. - To nie potrwa długo, moja droga, i znów będziemy razem. - Poprawił medalionik wiszący na delikatnym złotym łańcuszku i spojrzał jej w oczy. - Będę na ciebie czekać. Powiedziałem tym moim przyjaciółkom, że jeśli coś ci się stanie, to będę bardziej niż nieszczęśliwy.

Clarissa wpatrywała się w jego cudowne oczy.

- Dziękuję, Nathanie. Przywiozę ci tę księgę, jak sobie tego życzysz.

Prorok pocałował ją w policzek.

- Dziękuję, moja droga. To miłe z twojej strony. A więc bezpiecznej podróży.

ROZDZIAŁ 57

Na wierzchołku góry Kymermosst panował niesamowity spokój, choć zapadał zmrok i niebo zasnuwały chmury. Andolianie z niepokojem zerkali w niebo. Kahlan patrzyła, jak Richard zsiada z konia. Tkana ze złotych nici peleryna wisiała nieruchomo w nienaturalnie spokojnym powietrzu. Drefan podał jej dłoń, by pomóc przy zsiadaniu. Udała, że tego nie zauważyła.

W blednym świetle ruiny przybrały widmowe kształty, wyglądały jak kości dawno wymarłego monstrum, czekającego na powrót do życia i połknięcie Kahlan.

Była noc pełni księżyca, lecz nie będzie on widoczny zza zasnuwających niebo ołowianych chmur. Kiedy zgasną ostatnie blaski dnia, na porzuconym przez wszystkich szczycie zapanuje czarna noc.

Nadine stała obok Richarda, który wpatrywał się w skraj urwiska. Drefan stał w pobliżu - nie chciał sprawiać wrażenia zbyt natarczywego wobec kobiety, która wkrótce zostanie jego żoną, nie chciał też jednak jej ignorować. Podobnie jak Nadine, nie widział w tym kresu swojego szczęścia.

Konie spętano i uwiązano, a Cara i legat zaprowadzili młodych do walącej się ogrodowej, kolistej budowli, którą tworzyły po jednej stronie łukowato wygięte kamienne ławy, po drugiej zaś połamane kolumny. Górnej części przeważnie brakowało, łączyła jedynie cztery z dziesięciu kolumn.

W gasnącym świetle Kahlan widziała w dali ostro ucięty brzeg urwiska i czarne sylwety wznoszących się poza nim gór. Gdzieś tam znajdowała się Świątynia Wichrów.

Kazano usiąść Kahlan obok Drefana na jednej z wygiętych kamiennych ław.

Richard siedział przy Nadine dwie ławy dalej. Dziewczyna spojrzała ku niemu i przekonała się, że i on na nią patrzy, ale potem Drefan pochylił się do przodu i zasłonił jej ukochanego. Skierowała uwagę na stojących przed nimi legata i Mord-Sith. Sześć sióstr stało za mężem.

- Zebraliśmy się tutaj - powiedzieli jednym głosem Rishi i Cara - Żeby zaślubić Richarda Rahla z Nadine Brighton oraz Kahlan Amnell z Drefanem Rahlem. To najpoważniejszy obrządek: wiąże solennymi ślubami i łączy małżonków na całe życie. To małżeństwo jest aprobowane i poświadczane

przez same duchy.

Kahlan wpatrywała się w zielsko wyrastające ze szczelin rozpadających się kamiennych płyt posadzki i prawie nie słuchała słów o lojalności, wierności i obowiązku. Było tak ciepło i parno, że ledwo mogła oddychać. Biała szata Matki Spowiedniczki przykleiła się jej do pleców. Pot ściekał jej między piersiami.

Dziewczyna podniosła głowę, bo Drefan ujął ją za ramię i podnosił z ławy.

- Co? Co się dzieje?

- Już czas - powiedział. - Chodź.

A potem stała wraz z nim przed legatem i Mord-Sith. Trzy żony Rishiego stały u drugiego boku Kahlan jako jej asysta. Spojrzała dalej: Richard stał obok Nadine, a pozostałe trzy żony legata stanowiły jej asystę. Nadine się uśmiechała.

- Jeśli kto zna przyczynę, dla której owe małżeństwa nie mogą być zawarte, to niech przemówi teraz, bo skoro się dopełnią, nie będą mogły zostać zerwane.

- Ja znam - odezwał się Richard.

- Wymień ją - wezwał go legat.

- Wichry powiedziały, że to ma się stać z naszej wolnej woli. A tak nie jest.

Zostaliśmy do tego zmuszeni. Oznajmiono nam, że jeśli tego nie uczynimy, ludzie będą umierać. Nie robię tego z własnej woli, robię to wyłącznie dlatego, by ocalić życie owym ludziom.

- Czy pragniesz ocalić życie ludzi, którzy umrą, jeśli nie powstrzyma się magii wykradzonej ze Świątyni Wichrów? - zapytał legat.

- Oczywiście, że tego pragnę.

- Ten ślub jest częścią owych starań. Jeśli go nie weźmiesz, oni umrą.

Pragniesz ich ocalić. Zdaniem duchów oznacza to, że godzisz się na ślub z własnej woli. Jeżeli chcesz wycofać swoją zgodę, musisz to uczynić teraz, zanim przyrzekniesz. Potem nie będziesz już mógł zmienić zdania.

Zapanowało ciężkie milczenie.

Kahlan osuwała się bezradnie w czarną czeluść. To wszystko działo się zbyt szybko. Zbyt szybko, aby mogła oddychać.

- Jeśli mam to uczynić, to chcę pomówić z Richardem. W cztery oczy -

odezwiała się Kahlan.

Legat i Mord-Sith wpatrywali się w nią przez chwilę.

- Więc się pośpieszcie. Nie ma zbyt wiele czasu. Księżyc wschodzi - odezwali się jednym głosem.

Odeszli na tyle daleko, by Kahlan mogła być pewna, że nikt z tamtych nie usłyszy. Stała tuż przed nim.

Chciała, żeby Richard ich przed tym ocalił. Musiał ich ocalić. Musiał natychmiast coś zrobić, bo inaczej będzie za późno.

- Nie mamy czasu, Richardzie. Jest jakiś sposób? Czy przychodzi ci na myśl coś, co by to powstrzymało? Coś, żebyśmy mogli ocalić owych ludzi i nie musieli przez to przechodzić?

Richard stał tuż przy niej, a przecież zarazem na drugim krańcu świata.

- Przykro mi. Nie znam żadnego innego rozwiązania. Wybacz mi. Zawiodłem cię - wyszeptał.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie zawiodłeś mnie. Nigdy tak nie myśl, Richardzie. Boja tak nie myślę.

Duchy uniemożliwiły nam zwycięstwo. One tego pragną i postawiły nas w sytuacji bez wyjścia. Lecz jeśli to uczynimy, przynajmniej Jagang nie wygra. To jest ważniejsze. Ilu podobnych nam zakochanych będzie mogło teraz zachować życie, doczekać się szczęścia, mieć dzieci, bo my tej nocy poświęcimy się dla nich?

Richard uśmiechnął się owym uśmiechem, od którego topniało jej serce.

- To jeden z powodów, dla których tak bardzo cię kocham: twoja żarliwość.

Nawet gdybym miał cię już nie zobaczyć, dzięki tobie właśnie poznałem prawdziwe szczęście. Prawdziwą miłość. Ilu nigdy nie doświadczy nawet odrobiny tego?

Kahlan przełknęła ślinę.

- Richardzie, jeśli to zrobimy, będziemy musieli być wierni naszemu przyrzeczeniu, prawda? Czy mimo to... czasem... nie moglibyśmy być razem?

Drżenie jego ust i łzy w oczach były wystarczającą odpowiedzią. Nim zdążyli paść sobie w ramiona, Cara stanęła pomiędzy nimi.

- Już czas. Jakie są wasze życzenia?

- Mam ich całe mnóstwo - odparł jadowicie Richard. - Które chcesz

najpierw poznać?

- Wichry chcą wiedzieć, czy uczynicie to, czy też nie.

- Uczynimy. Ale niech duchy wiedzą, że się zemścę - warknął Richard.

- Duchy czynią jedyną rzecz, jaką mogą uczynić, żeby położyć kres śmierci, którą powoduje to, co zostało im wykradzione - powiedziała Cara z nagłym współczuciem, lecz wciąż owym niesamowitym głosem, który świadczył, że to nie ona mówiła, a wichry. - Nie robią tego ze złej woli.

- Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że martwy jest martwy, bez względu na to, jak umarł - odezwał się Richard.

Buntowniczo ujął dłoń Kahlan i wrócili do kamiennego kręgu, gdzie każde z nich zajęło miejsce przy boku wybrańca.

Kahlan stała obok Drefana z „twarzą Spowiedniczki”. Bardzo współczuła Richardowi - jego nie uczono jak panować dla obowiązku nad uczuciami, tęsknotami i pragnieniami. Ona miała całe życie, by przygotować się na tę udrękę. On zaś miał całe życie, by przygotować się na coś przeciwnego, spodziewając się, że znajdzie szczęście. Kahlan tak krótko czuła ciepło owego płomienia.

Z rozmysłem zignorowała słowa wypowiedane do Nadine i Drefana - słowa o lojalności i oddaniu współmałżonkowi. Skupiła natomiast wszystkie myśli na Richardzie, mając nadzieję, że przekaże mu choć trochę siły, mając nadzieję, że chłopak zdoła przez to przebrnąć i że dzięki temu uda się im ocalić зараżonych i powstrzymać mór. Richard musiał się jeszcze dostać do Świątyni Wichrów.

Potrzebował sił.

Ceremonia wkrótce się zakończy i powrócą do Aydindril. A może będą jeszcze musieli zaczekać, aż Richard dotrze do świątyni i zrobi, co trzeba. Tak czy owak, już wkrótce będzie po wszystkim i Kahlan będzie wracać do domu, do miejsca, w którym dorastała, do pełnienia obowiązków, do których została zrodzona.

- Tak czy nie? - usłyszała głos legata.

- Co? - Kahlan podniosła wzrok.

Legat spojrział na groźne chmury i sapnął.

- Czy przysięgasz poważać owego mężczyznę, być mu posłuszną jako panu twego domu, zaspokajając jego potrzeby w zdrowiu i w chorobie i być mu wierną żoną aż do śmierci?

Kahlan spojrzała na Drefana. Zastanawiała się, co on przysiągł.

- Przysięgam wszystko, czego się ode mnie wymaga, żeby powstrzymać zarazę.

- Tak czy nie?

Dziewczyna westchnęła gniewnie.

- Czy tego wymaga się ode mnie, by powstrzymać wykradzioną wichrom magię od zabijania ludzi?

- Tak.

Kahlan złożyła w myślach przysięgę Richardowi, a nie Drefanowi. Słowa mogły sobie być dla Drefana, lecz jej serce będzie zawsze należało do Richarda.

Zacisnęła pięści.

- Więc tak, przysięgam uczynić wszystko, czego trzeba, żeby powstrzymać zarazę. Przysięgam tylko tyle, ile się ode mnie wymaga, i ani odrobiny więcej.

- Mocą duchów i zgodnie z intencjami duchów ogłaszam was mężem i żoną.

Nagły ból sprawił, że Kahlan zgięła się w pół. Zdawało się jej, że coś rozdziera jej wnętrzności. Spróbowała nabrać powietrza. Nie mogła. Przed otwartymi szeroko oczami widziała wirujące barwne plamy.

Drefan otoczył ramieniem jej kibić.

- Co się stało? Co ci jest, Kahlan?

Nogi się pod nią ugięły, lecz ją podtrzymał.

- To duchy. Zablockowały jej moc. Ma być w tym małżeństwie jak każda zamężna kobieta. Jej moc by temu przeszkodziła - powiedzieli chórem Cara i Rishi.

- Nie możecie tego uczynić! Będzie bezbronna! Nie możecie odebrać jej mocy! - krzyknął Richard.

- Nie odebrano jej mocy, a tylko zablokowano, by nie mogła jej użyć, nim nie dopełni ślubów złożonych mężowi, Drefanowi Rahlowi. Dokonało się. Teraz ty przysięgniesz albo stracisz szansę dopomożenia wichrom - powiedzieli jednym głosem legat i Mord-Sith.

Kahlan wpatrywała się w ziemię, czując pustkę między swoim umysłem i mocą. Słuchała podobnych słów, wypowiedzianych przed Richardem. Nie usłyszała jego odpowiedzi, lecz musiał powiedzieć to, czego od niego

żądano, bo legat ogłosił jego i Nadine mężem i żoną.

Odebrali jej nie tylko miłość, ale i moc Spowiedniczki - to była cena wejścia do świątyni. Owa pustka wciągała ją. Poczucie straty, głębokie i nagłe, przesłoniło jej umysł czernią ciemniejszą od zapadającej nocy.

- Lepiej usiądź. - Drefan ujął ją pod ramię. - Jako uzdrowiciel nawet w tym świetle dostrzegam, że nie czujesz się dobrze.

Kahlan pozwoliła, by podprowadził ją ku kamiennej ławie i pomógł usiąść.

- Twoja żona wydobrzeje - oznajmił legat. Spojrzał na kłębiące się chmury. - Chodźcie ze mną, Richardzie Rahlu i Drefanie Rahlu.

- Dokąd idziemy? - chciał wiedzieć Richard.

- Idziemy przygotować was do skonsumowania małżeństwa.

Kahlan uniosła głowę. Nawet w tych mrokach widziała, że Richard z trudem hamuje wybuch wściekłości. Rękę miał na rękojeści miecza.

Drefan współczująco rozmasował Kahlan plecy.

- Wydobrzejesz. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się, zaopiekuję się tobą, tak jak obiecałem.

- Dziękuję, Drefanie - zdołała wykrztusić udręczona dziewczyna.

Arcykapłan zostawił ją i podszedł do Richarda. Złapał go za ramię, pochylił się ku niemu i coś szeptał. Kahlan widziała, jak Richard oburącz przeczesuje włosy i od czasu do czasu kiwa głową. To, co Drefan mówił, najwyraźniej uspokajało chłopaka.

Bracia odsunęli się od siebie. Legat i Mord-Sith spojrzeli na Kahlan i Nadine.

- Wy dwie zaczekajcie tutaj.

Kahlan skuliła się na kamiennej ławie, a Richarda i Drefana poprowadzono w mroku ku urwisku, ku dwom budynkom stojącym po obu stronach drogi urywającej się gwałtownie na skraju przepaści. Było już tak ciemno, że dziewczyna ledwo dostrzegła twarz Nadine, która usiadła obok niej. Sześć siostr poszło ku koniom, ssąc palce i patrząc w niebo.

- Przykro mi. Z powodu magii. Nie wiedziałam, że ci to zrobią. Teraz będziesz chyba jak każda inna kobieta.

- Chyba tak.

- Kahlan, nie będę cię okłamywać, mówiąc, że jest mi przykro, iż to ja wyszłam za Richarda, wiedz jednak, że uczynię wszystko, by go uszczęśliwić

- powiedziała zielarka.

- Nie rozumiesz, Nadine? Choćbyś była słodka jak cukier albo gorzka jak piołun, to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia. On tak cierpi, że choćbyś nie wiem co złego zrobiła, i tak byłoby to jak użądlenie osy po ścięciu głowy.

Nadine zachichotała niespokojnie.

- Richard przekona się, że znam maść na użądlenie osy. Ja...

- Już mi obiecałaś, że będziesz dla niego dobra, Nadine. Doceniam to, lecz w tej chwili nie mam ochoty słuchać szczegółowej opowieści o tym, jak dobra zamierzasz być.

- Pewnie. Rozumiem. - Nadine stuknęła palcami o kamienną ławę. - Nie tak wyobrażałam sobie swoje zaślubiny.

- Ja również.

- Może jednak uda mi się sprawić, by reszta była taka, jak myślałam. - Głos Nadine stał się zimny i mściwy. - Przez ciebie czułam się jak idiotka, pragnąc Richarda i myśląc, że może być mój. Zabrałaś całą radość mojemu ślubowi, ale i ty nie zaznasz przyjemności z tego, co będzie potem.

- Przykro mi, Nadine, iż myślałaś, że ja...

- Teraz, kiedy jest już mój, zamierzam pokazać mu, jak kobieta może się przypodobać mężczyźnie. Przekona się. Przekona się, że mogę być dla niego równie odpowiednią kobietą jak ty. Myślisz, że nie mogę, ale mogę. - Nadine pochyliła się bliżej. - Nim noc się skończy, sprawię, że zawiruje mu w głowie. Wtedy zobaczymy, która z nas jest lepsza i czy tak bardzo będzie mu ciebie brakowało. Gdy będziesz leżeć z bratem Richarda, nasłuchuj dobrze, a usłyszysz, jak krzyczę z rozkoszy.

Rozkoszy, którą daje mi Richard. Nie tobie, a mnie!

Zielarka odeszła zirytowana, stanęła i skrzyżowała ramiona. Kahlan ukryła twarz w dłoniach. Duchy nie zadowolily się zniszczeniem jej - musiały jeszcze obrócić zatopiony w ranie nóż.

Wrócili Cara i Rishi.

- Już czas - powiedzieli jednym głosem.

Kahlan podniosła się sztywno i stała, czekając, żeby jej powiedziano, co ma dalej robić. Legat popatrzył na Mord-Sith.

- Wkrótce wybuchnie burza. - Spojrzał w ciemności. - Ja i moje żony musimy odjechać z tej góry. - Złapał ramię Cary. - Wichry mówią do ciebie

tak samo jak do mnie. Możesz je zaprowadzić?

- Tak. To już prawie dokonane. Mogę to zakończyć. Wichry przekażą wieść za moim pośrednictwem równie dobrze jak za twoim - odparła Cara.

Legat odszedł pospiesznie w mrok, nie dodając już ani słowa. Mocne palce Cary ujęły ramię Kahlan.

- Pójdź ze mną - powiedziała lodowatym tonem wichrów. Kahlan wbiła obcas w ziemię.

- Błagam cię, Caro. Nie mogę.

- Możesz i pójdziesz, bo inaczej przeminie okazja i zaraza będzie wciąż szaleć.

Kahlan wciąż się opierała.

- Nie. Nie rozumiesz. Nie mogę. Mam mój miesięczny czas. Jeszcze się nie skończył. Nie mogę... tego zrobić. Nie teraz.

Cara zbliżyła swą ponurą, gniewną twarz.

- To ci nie przeszkodzi w skonsumowaniu małżeństwa. Uczynisz to albo przepadnie nadzieja powstrzymania czarnej śmierci. Sprawa nie jest jeszcze skończona. Musisz mieć w tym swój udział, pofolgować sobie. To musi się stać teraz.

Tej nocy. A może wolisz, żeby śmierć dalej szalała niepowstrzymanie?

Cara, mając po bokach Nadine i Kahlan, poprowadziła je drogą przez mroki ku skrajowi przepaści.

Stojąc w czarnej nocy nad skrajem urwiska, Kahlan czuła się odrętwiała i zagubiona. Nie wiedziała, jak dawno temu Cara odeszła z Nadine, prowadząc ją do Richarda, do walącego się budynku po prawej. Znów poczuła dłoń Cary pod swoim ramieniem.

- Tędy - powiedział lodowaty głos.

Pozwoliła prowadzić się ku ruinom po lewej. Mało co widziała. Cara, prowadzona przez wichry, bez trudu pokonywała korytarze i komnaty walącej się budowli.

Dotarły do drzwi. Kahlan dostrzegła oparty o ścianę miecz Drefana. Dotknęła palcami obciążonej skórą rękójści. Wewnątrz widziała jedynie prostokąty, w których niegdyś znajdowały się okna. Za nimi był skraj urwiska i pustka, tam gdzie stała kiedyś Świątynia Wichrów.

- Oto twoja żona - oznajmiła Mord-Sith komuś w komnacie owym strasznym, lodowatym głosem. - Oto twój mąż - powiedziała do Kahlan. - To

małżeństwo musi zostać skonsumowane. Musicie to spełnić, to teraz wasz obowiązek. Wichry mają swoje wymagania. Nie wolno wam o nic pytać. Nie wolno wam mówić. Wichry mają swoje powody, a wy nie musicie ich znać. Macie być posłuszni, jeśli chcecie powstrzymać zarazę. Próba staje się coraz cięższa. Musicie teraz zlec jak mąż i żona.

Jeśli któreś z was wypowie choć jedno słowo, próba skończy się i nie uzyskacie dostępu do Świątyni Wichrów. Nie będzie odwołania. Wykradziona magia będzie szaleć i siać śmierć. Wichry objawią się dopiero wówczas, gdy dopełnicie warunków skonsumowania małżeństwa. Dopiero po objawieniu się wichrów, a nie będziecie mieć wątpliwości, że to nastąpiło, możecie do siebie przemówić. Nie wcześniej.

Cara obróciła Kahlan i pomogła się jej rozebrać. Dziewczynie nie było trudno zachować milczenie - nie miała nic do powiedzenia.

Poczuła na nagiej skórze dotknięcie nocnego powietrza. Spojrzała na miecz Drefana i pomyślała, że zawsze może go zwrócić przeciw sobie, gdy będzie już po wszystkim. A jeśli jej na to nie pozwolą, to jest jeszcze skraj urwiska.

Cara złapała Kahlan za nadgarstek i poprowadziła naprzód. Potem zmusiła ją, by uklękła i nachylała się dopóty, dopóki nie wyczuła brzegu siennika.

- Czeka tu na ciebie twój mąż. Idź do niego. Kahlan słyszała, jak cichły w oddali kroki Cary. Została sama z Drefanem.

ROZDZIAŁ 58

Kahlan przesuwiała dłonią po sienniku, aż dotknęła owłosionej nogi Drefana.

Odsunęła się i położyła obok niego. Na słomie leżał jakiś koc - przynajmniej było wygodniej niż na gołym drewnie. Przynajmniej nie gniotło jej w plecy.

Leżała na pościeli, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczami.

Dostrzegła jedynie ledwo widoczne otwory, w których niegdyś były okna. Z wysiłkiem zapanowała nad oddechem, ale nie miała żadnej władzy nad oszalałym tętnem.

To nie jest ta najgorsza rzecz, tłumaczyła sobie. To nie jest najgorsza rzecz na świecie. Wcale nie. To nie jest gwałt. Właśnie.

Po jakimś czasie poczuła na swoim brzuchu dłoń Drefana. Odepchnęła ją, tłumiąc krzyk.

Nie powinnam tego robić, napomniała się. Czymże była dłoń w porównaniu z zarazą? Iluż ludzi, straszliwie cierpiących przez zarazę ludzi chętnie by się z nią zamieniło? Delikatna dłoń nie jest wcale tym najgorszym.

Dłoń Drefana znalazła rękę Kahlan i starała się ją uspokajająco uścisnąć.

Dziewczyna wyszarpnęła rękę, jakby to było dotknięcie węża. Nie przyrzekała, że będzie go trzymać za rękę. Zgodziła się być jego żoną, ale nie musiała go trzymać za rękę.

Zapamiętała próbowała przywołać się do porządku. Richard musiał się dostać do Świątyni Wichrów. A Świątynia Wichrów tego właśnie żądała za umożliwienie wejścia do niej. Duch dziadka Chandalena ostrzegał, że Kahlan nie wolno się uchylić od obowiązku. Aż za dobrze pamiętała jego słowa: „Nie ukazano mi, jaka będzie cena, lecz ostrzegam cię, że nie istnieje sposób, by tego uniknąć lub się z tego wykpić.

Musi się stać tak, jak zostanie ci objawione, lub wszystko przepadnie. Toteż proszę, byś wstąpiła na ścieżkę, którą ukazał ci wichry. Inaczej bowiem stanie się to wszystko, co ci pokazałem”.

Dziewczyna przypomniała sobie sceny zbiorowej śmierci, które ukazał jej duch. Jeżeli nie zrobi tego, czego wymagają wichry, owe sceny staną się

rzeczywistością.

Musi pozwolić na to Drefanowi. Odwlekanie niczego nie ułatwi.

Dla Drefana to nie będzie łatwe. Wcale nie będzie łatwe, skoro odpychała wszelkie próby okazania czułości. To ją tylko na nowo rozżłościło. Nie chciała od niego czułości.

A czego chciała? żeby był brutalny? Oczywiście, że musi mu pozwolić na pieszczoty. Jakże mógłby to zrobić, gdyby nie pozwoliła mu się dotknąć? Richard musi się dostać do Świątyni Wichrów, więc ona musi pozwolić na to Drefanowi.

Kahlan wyciągnęła rękę i ujęła nadgarstek Drefana. Umieściła jego dłoń tam, gdzie usiłował ją wcześniej położyć - na swoim brzuchu. Puściła jego dłoń. Nie cofnął jej.

Na co czekał? Chciała krzyknąć, żeby wreszcie zaczął i zrobił, co trzeba, i żeby już było po wszystkim. Żeby wziął to, co z serca - choć nie ze ślubów - należało do jego brata.

Leżała z dłonią Drefana spoczywającą na swoim brzuchu i wsłuchiwała się w głuchą ciszę nocy. Uświadomiła sobie, że nasłuchuje dźwięków dochodzących od Nadine i Richarda. Zacisnęła mocno powieki.

Dłoń Drefana przesunęła się na jej pierś. Zacisnęła w pięści leżące u boków dłonie i zmusiła się do bezruchu. Musiała mu pozwolić. Starła się myśleć o czymś innym. Recytowała w pamięci dawne lekcje języków i usiłowała nie zwracać uwagi na jego dłoń. Ale nie mogła.

Był delikatny, lecz dla niej nie stanowiło to żadnej pociechy. Nawet jego dotyk był gwałtem. I największa delikatność niczego nie zmieniała, nie dawała mu do niczego prawa. To, że był teraz jej mężem, nie miało dla niej znaczenia. Jej serce wiedziało, że tak nie powinno być i że to gwałt.

Krzyknęła na siebie w myślach. Zachowuje się gorzej niż małe dziecko. Jest Matką Spowiedniczką i stawiała czoło gorszym rzeczom, o wiele gorszym niż mężczyzna, do którego nie żywiła uczuć pozwalających na taką bliskość i na taką intymność.

Ale nie była już przecież Matką Spowiedniczką: Świątynia Wichrów i duchy odebrały jej i to.

Kahlan wciągnęła powietrze i mocno zacisnęła usta, bo ręka Drefana zsunęła się w dół jej brzucha i w końcu sięgnęła między nogi. Pamiętała, jak arcykapłan zrobił to Carze. Teraz robił to samo jej.

Nienawidziła go. Poślubiono ją człowiekowi, którego nienawidziła.

Cara to czuła, tak samo jak czuła to teraz Kahlan. Jednak Mord-Sith nie zachowywałyby się jak dziecko. Nie byłaby taka niemądra. Kahlan pozwoliła dłoni Drefana czynić, co chciała.

Wszystko to po to, by uratować życie ludzi. Musiała ocalić tych niewinnych ludzi od zarazy zesłanej przez Jaganga. Nikt prócz niej ich nie ocali. To jej obowiązek.

Drefan podniósł się nagle. Ciemna postać pochyliła się nad Kahlan. Ostrożnie rozepchnął jej uda kolanem, skłaniając, żeby rozchyliła nogi. Wkrótce będzie po wszystkim, powiedziała sobie, kiedy wsunął między jej nogi drugie kolano.

Potężna postać zawisła nad nią. Był wielki, równie wielki jak Richard.

Wystraszyła się, że ją przygniecie, lecz nie doszło do tego. Podparł się na łokciach, by jej nie urazić. Zachowywał się delikatnie, a ona tylko wszystko mu utrudniała. Musiał to zrobić, ona zaś musiała mu na to pozwolić.

Kahlan się skrzywiła. Nie była gotowa. Wstrzymała oddech. Już było za późno, by nie być gotową. Drefan tam był. Przygryzła dolną wargę i skrzywiła się z bólu.

Czuła się tak bezradna jak jeszcze nigdy w życiu. Poślubiono ją Drefanowi, a nie Richardowi, i to Drefan, a nie Richard ją brał. Wszystko było stracone.

Kahlan zacisnęła mocno powieki i przycisnęła pięści do swoich ramion, tymczasem on się w niej poruszał. Z kącików jej oczu płynęły łzy. Płakała cichutko i nos jej się zapchał. Musiała otworzyć usta, żeby móc oddychać. Chciała zawodzić z rozpacz, jednak musiała sobie przypominać, że powinna oddychać. Bez przerwy wstrzymywała oddech.

To trwało dłużej, niż liczyła, lecz krócej, niż się obawiała.

Wreszcie Drefan skończył i stoczył się z niej. Leżał na plecach. Wykonał swoje zadanie, ale wyglądało na to, że nie znalazł w tym przyjemności. Kahlan sprawiło ulgę, że się tym nie uradował. Leżał, odpoczywając, a ona wreszcie wypuściła powietrze z płuc. Już po wszystkim.

Powiedziała sobie, że to nie było takie złe. W gruncie rzeczy to było nic. Mało co czuła. Głupio się opierała, a oto było już po wszystkim. To nie było takie złe, jak się obawiała. To naprawdę było nic.

Ale było. I coś czuła. Czuła się skalana.

Drefan wyciągnął ku niej rękę. Jego palce łagodnie, ze współczuciem starły łzę z jej policzka. Odepchnęła dłoń mężczyzny.

Nie chciała jego współczucia. Nie chciała, żeby jej dotykał. Przystała tylko na to, by skonsumował małżeństwo, a nie na to, by jej dotykał. Dotyk, pieszczoty nie były tym, na co się zgodziła.

Przypomniła sobie chwile z Richardem. Przypomniła sobie, jak go pragnęła.

Przypomniła sobie swoją namiętność, to jak krzyczała z rozkoszy.

Czemuż to było takie inne?

Bo nie kochała Drefana, oto dlaczego. Było w nim coś, czego nie cierpiała, i nie chodziło tylko o wspomnienie jego dłoni na Carze. Było w nim coś nieszczerzego, coś oszukańczego. Dostrzegła w jego oczach przebiegłość, choć przedtem sobie tego nie uświadamiała.

Zastanawiała się, skąd brały się te myśli. Dopiero co dopełnił ich małżeństwa i uczynił to najdelikatniej, jak zdołał. Z łatwością mógł zrobić, co tylko by zechciał, bo przecież duchy zablokowały jej moc. Nie mogłaby go powstrzymać. A przecież próbował być współczujący i pełen zrozumienia.

I tak była zdziwiona, że to aż tak różniło się od chwil spędzonych z Richardem. Dałaby prawie wszystko, żeby znów doznać tamtej rozkoszy. Tęskniła za tamtym spełnieniem, za tamtym zaspokojeniem. Ukojeniem zmysłów.

Oddech Drefana wreszcie się uspokoił. Kahlan leżała obok niego w ciemnościach, leżała obok swojego męża i czekała. Czemuż nie pojawiała się Świątynia Wichrów? Przecież dopełniła tego, co jej nakazano.

Ale może Richard tego nie dopełnił. Kahlan zastanawiała się, czy mógłby. W końcu ona musiała tylko leżeć, a Richard musiał być podniecony. Jak mógłby zapragnąć Nadine, wiedząc, że jego brat czyni wedle swojej woli z kobietą, którą on kocha?

Dziewczyna widziała ów wyraz oczu Richarda: dziką zazdrość na samą wzmiankę o tym, co powiedziała Shota: że Kahlan poślubi innego. Nigdy przedtem nie widziała takiego wyrazu w jego oczach, no i wówczas nie miał do tego żadnego powodu. Jednak teraz już miał.

Nie, Nadine zadba, by Richard zrobił, co trzeba. Jeśli Kahlan mogła być czegoś pewna, to było to właśnie pragnienie Nadine, by dopełnić owego małżeństwa.

Zielarka była piękną kobietą. I wprost się do tego paliła. Jak Richard mógłby jej nie zapragnąć? Wiedział, że musi to zrobić. Nie będzie miał powodu, by opierać się jej natarczywości. Może uzna to za odwet na bracie, Michaelu, który wziął Nadine. Może dzięki temu przez to przejdzie.

Kahlan wiedziała, że tamta przeżywa teraz najpiękniejsze chwile w swoim życiu. To były marzenia Nadine.

To był koszmar Kahlan.

Ciemne niebo, które ledwo dostrzegała za oknem, zdawało się wrzeć, tak jak przez cały dzień i całą noc. Powietrze pozostawało zupełnie nieruchome i lepkie.

Burza nie wybuchwała. Zagrażała, lecz nie nadciągała.

Kahlan przycisnęła nadgarstek do czoła i odpoczywała, czekając. Nogi ją bolały - uświadomiła sobie, że to dlatego, iż z całej siły zaciska kolana. Rozluźniła mięśnie. Drefan wypełnił swój obowiązek. Skończył. Było już po wszystkim. Mogła odetchnąć.

Zacisnęła powieki, bo przez noc napłynął z daleka śmiech Nadine. Kobieta była równie dobra, jak mówiła. Czy Richard musiał sprawić, że się śmiała? Nie mógł po prostu dopełnić obowiązku? Nie, to nie Richard sprawił, że Nadine się śmiała. Ona śmiała się dla Kahlan.

Noc ciągnęła się bez końca. Gdzież ta Świątynia Wichrów? Drefan już nie próbował dotknąć Kahlan i była mu za to wdzięczna. Leżał na plecach i czekał razem z nią.

Mijała godzina za godziną i nic się nie zmieniało. Kahlan przysypiała od czasu do czasu. Gardłowy śmiech Nadine gwałtownie ją budził.

Pragnęła spoliczkować Richarda. Jak długo będzie to przeciągał? Do tej pory mógł mieć Nadine już ze trzy razy. Może i miał. Może dalej próbował, skoro Świątynia Wichrów się nie pojawiła. Nadine z pewnością była zadowolona. Kahlan poczuła, jak palą ją policzki.

Drefan leżał obok niej, milczał. Wichry zabroniły im rozmawiać. Domyślała się, że śmiech Nadine się nie liczył, bo nie wymawiała żadnych słów. Jej śmiech i tak mówił aż za dużo.

Westchnęła. Wichry się pojawiają, wcześniej czy później. Wszyscy wypełnili ich życzenia. Czy ona sama również?

Co to powiedziała Cara?

„Musisz mieć w tym swój udział, pofolgować sobie”.

Drefan sobie pofolgował. Był zaspokojony. Nadine też z pewnością sobie folgowała. Podobnie Richard.

Kahlan nie. Ona sobie nie pofolgowała.

Odpędziła tę myśl. To musi być coś innego. Może wichry zwyczajnie czekały, aż Nadine będzie miała dość. To by się zgadzało ze wszystkim, co uczyniła Świątynia Wichrów, szykując udrękę dla Richarda i Kahlan. Każąc im cierpieć.

Noc ciągnęła się bez końca, a dziewczyna rozważała słowa Cary o folgowaniu sobie i wspominała chwile spędzone z Richardem w miejscu pomiędzy światami.

Doznała wtedy tej samej rozkoszy, którą teraz czuła owa kobieta: dała upust nie tylko miłości, ale i żądzy.

Ostatnio Kahlan była ogromnie sfrustrowana czekaniem na Richarda.

Czekaniem na to, by z nim być, czekaniem na ową bliskość, na zaślubiny z nim, by mogli w końcu być razem jak mąż i żona. Czekaniem na ponowne doznanie tamtego spełnienia. Zdawało się tuż-tuż, była tak blisko, tak na nie gotowa - a potem wszystko przepadło, zniweczyło jej nadzieje, pozostawiło nie spełnione pragnienia.

Teraz, po raz pierwszy w życiu, nie zależała od swojej mocy Spowiedniczki i mogła zaznać rozkoszy z mężczyzną - nie z miłości, a po prostu po to, by zaspokoić pożądanie. Mogła się cieszyć tym, czym cieszyły się inne kobiety. Oto leżała obok swojego męża, całkiem pociągającego mężczyzny, i dręczyła się, pragnąc Richarda.

Czyż miała przeżyć resztę życia, odmawiając sobie jego uroków, z których mogłaby teraz swobodnie korzystać?

Ale przecież nie kochała Drefana. A namiętność bez miłości była pozbawiona treści.

Jednak w dalszym ciągu była to namiętność - może nie idealna, lecz przynajmniej dająca zaspokojenie. Duchy zabrały jej wszystko inne. Zabrały jej Richarda, jedyną osobę, której naprawdę pragnęła. Czy pozwoli, by odebrały jej też zwyczajną rozkosz?

Cóż innego jej teraz pozostało?

To był jej mąż. Musiała przeżyć z nim resztę swego życia. Czyż ma to być życie bez choćby niewielkiego spełnienia tłumionych pragnień? Czyż nie ma prawa przynajmniej do tego, skoro tak wiele poświęciła? Wszystko inne jej

odebrali: jedyną w życiu miłość, moc Spowiedniczki.

„Musisz mieć w tym swój udział, pofolgować sobie”.

A jeśli to dlatego wichry się nie pojawiły? Dlatego, że nie pofolgowała sobie?

Drefan przetoczył się na brzuch i westchnął. I jego frustrowało to oczekiwanie.

A może pielęgnował swoje aury?

Kahlan pomyślała o przyciasnych spodniach arcykapłana i o tym, jak przyłapała się na patrzeniu na nie. Drefan był przystojny - był zbudowany równie dobrze jak Richard. Był jej mężem.

Gniew na duchy - za to, że wszystko jej odebrały - sprawił w końcu, iż w Kahlan coś pękło. Miała tylko to. Miała prawo do tej odrobiny, do fizycznej przyjemności.

Drefan podskoczył, kiedy dotknęła dłonią jego pleców. Przesunęła dłonią po mięśniach i uspokoił się. Wyczuwała palcami ich zarys, jak to czyniła z mięśniami Richarda. Wyczuwała jego kształt. Odetchnęła głęboko i pozwoliła sobie na wszystko.

Dłoń Kahlan przesunęła się w dół pleców Drefana. Dziewczyna zacisnęła zęby i chwyciła go za pośladki. Były równie jędrne, jak wyglądały na to w tych jego przyciasnych spodniach. Uznała, że miała szczęście - duchy mogły się uprzeć, by wyszła za jakiegoś odpychającego typu. Zamiast tego przeznaczyły jej na męża Drefana, a on z pewnością nie był odpychający. Nie był tak przystojny jak jego brat, bo żaden nie był w jej oczach tak przystojny jak Richard, lecz kobiety zawsze wdzięczyły się do Drefana. A teraz był jej mężem. Przyrzekł, że będzie wobec niej lojalny. Ona przysięgła, że będzie lojalna wobec niego.

To była jedyna przyjemność, na jaką jej pozwolono. To było wszystko, co duchy jej zostawiły. Przynajmniej to może mieć - mieć to, do czego ma prawo.

Uchwyciła biodro Drefana i obróciła go ku sobie. Położyła nogę na jego nogach i bładziła dłonią po jego torsie. Drefan nie reagował. Może był zaskoczony tą zmianą w jej zachowaniu. Może był zakłopotany. Musi go „odkłopotać”. Delikatnie ścisnęła w palcach jego brodawkę, a potem przesunęła dłoń po jego płaskim brzuchu i jeszcze niżej.

Przekonała się, że nie był gotowy. Jeśli chce zaznać rozkoszy, musi to

zmienić.

Najpierw całowała jego tors, a później brzuch. Schodziła coraz niżej. Zdawało się jej, że wolniej oddycha. Poczowała gniew, że on nie chce zrozumieć. Miała dość odmawiania sobie wszystkiego, skoro nikt inny tego nie czynił.

Uznała, że jeśli chce doznać zaspokojenia, to sama musi zadbać, by dostała to, czego pragnie. Nikt jej tego nie da - sama musi to sobie wziąć. Język i pocałunki Kahlan przebyły resztę drogi w dół twardego brzucha Drefana.

Wzięła go w usta i poczuła smak własnej krwi. Zmusiła się, by go zignorować.

Przynagłała go do działania.

Początkowo myślała, że nic z tego nie będzie, lecz osiągnęła swój cel, gdy zatraciła się w lubieżności. Zareagował równie mocno jak przedtem.

Nim Drefan był w pełni gotowy, Kahlan ogarnęło pożądanie. Kiedy już postanowiła zaznać rozkoszy, stała się natarczywa. Brat Richarda był teraz jej mężem.

Miał obowiązek zaspokajać także jej potrzeby, nie tylko swoje.

Aż wirowało jej w głowie od chęci zaznania rozkoszy. Nie miało już dla niej znaczenia, że to był Drefan. Wyobraziła sobie, że jest z Richardem. Na tę myśl jęknęła z pożądania i dosiadła go.

Tym razem była gotowa na przyjęcie go. Tym razem pragnęła go. Wyrzuciła z myśli świadomość, że to Drefan, i wyobrażała sobie, że jest z Richardem. Ponieważ nie mogła widzieć błękitnych oczu Drefana, nie było trudno uznać, że to Richard.

Przypomniała sobie, co robiła z ukochanym, i zrobiła to samo. Na nowo przeżywała w wyobraźni tamte chwile. Otworzyła usta. Z trudem chwyciła powietrze.

Pot spływał po jej ciele, gdy tak się na nim poruszała.

Teraz i Drefan z trudem oddychał. Kahlan pragnęła uwolnić się od całej frustracji, która tak długo w niej narastała - za każdym razem, kiedy całowała Richarda i pragnęła uczynić coś więcej, za każdym razem, kiedy on jej dotykał, a ona pragnęła, by na tym nie poprzestał. I teraz nie poprzestawał.

Pochyliła się, żeby go pocałować. Drefan odwrócił twarz, więc podsunęła

mu ramię pod głowę, uniosła ją i przycisnęła do swoich piersi. Miał rozpaloną twarz.

Podniecał ją dotyk jego nie ogolonej skóry, kiedy tak poruszała się na nim w górę i w dół. To jeszcze bardziej rozpalało jej namiętność.

Już miała krzyknąć, by zrobił użytek z dłoni, kiedy przypomniała sobie, że nie wolno jej powiedzieć ni słowa. Złapała go za nadgarstek i położyła jedną rękę tam, gdzie chciała ją czuć, a potem drugą z tyłu, żeby podtrzymywał jej pośladki i żeby mogła sobie wyobrazić, że to Richard ją trzyma, że to Richard jej pragnie. Chciała, by chwycił ją obiema wielkimi dłońmi, kiedy się tak poruszała.

Po raz pierwszy od czasu, gdy była z Richardem, poczuła dziką rozkosz, wyuzdaną żądzę, dzikie, rozszalone pożądanie. Już jej nie obchodziło, że to Drefan.

Pragnęła tylko zaspokojenia.

I nadeszło gwałtownym, oszalamiającym dreszczem. Zachłysnęła się oddechem. Nogi jej stężały, palce stóp zeszywniały. Padła na arcykapłana, czując ogarniającą ją falę spełnienia. Poddawała się temu całkowicie. Znów gwałtownie wciągnęła powietrze, a drugi krzyk złączył się z echem pierwszego. Zdawało się, że trwa to całą wieczność, było niemal nie do zniesienia. Minęło wraz z ostatnim dreszczem. Wreszcie było po wszystkim.

Przez jedną krótką chwilę była wolna. Nie było zarazy, umierających ludzi, odpowiedzialności, obowiązku, ślubu z Drefanem, Nadine. Przez tę jedną chwilę była wolna od tego wszystkiego i pełna zadowolenia. Przez tę jedną chwilę sercem i pragnieniem złączyła się z Richardem.

Kahlan osunęła się obok Drefana. Uspokajała przyspieszony oddech, odganiała z twarzy wilgotne włosy. Dotarło do niej, że tym razem to on nie doznał żadnej satysfakcji. Nic jej to nie obchodziło. Ona doznała. I w tym momencie liczyło się jedynie to: jej słodka ulga.

Przez jedną cudowną chwilę była wolna, była ze swoim ukochanym, choć tylko w wyobraźni. Uświadomiła sobie, że łka z radości, jaką jej to dało.

Leżała na boku, odwrócona plecami do Drefana i uspokajała się. Otarła z twarzy łzy rozkoszy. Zniknęło pożądanie i nieoczekiwanie poczuła wstyd.

Drogie duchy, cóż właśnie zrobiła? Pozwoliła sobie na chwilę zadowolenia, ot co. Potrzebowała chwili wolności. Więc dlaczego nagle poczuła się taka zbrukana?

Gdzieś daleko rozległ się grzmot. Zamigotała błyskawica. Kahlan spojrzała ku oknom. Kłębiące się chmury rozdarł kolejny błysk, już bliższy, i na krótko oświetlił szczyt góry.

Z drugiej budowli doleciał przeciągły krzyk Nadine. Kahlan wyrzuciła to ze świadomości. Choć krzyk rywalki zranił jej serce, to przynajmniej nie sfrustrował tak jak poprzednio.

Rozległy się trzy dalsze krzyki Nadine. Krótkie, przeraźliwe, nagłe. Kahlan zasłoniła uszy rękami. Nadine zdobyła to, czego chciała, nie mogłaby się zatem wreszcie uspokoić?

Znienacka, jakby otwały się wielkie wrota, powiał wiatr. Powietrzem wstrząsnął huk, jakby schodziła lawina. Budowla się zatrzęsała. Cała góra zadrzała.

Kahlan uniosła się na łokciach i popatrzyła w okna. Kłębiące się chmury przecięła kolejna błyskawica. Grom odbił się echem wśród gór. Błyskawice uderzały coraz bliżej.

Pojawiała się Świątynia Wichrów - Kahlan nie miała co do tego wątpliwości.

To znów skierowało jej myśli ku Richardowi, bo świątynia pojawiała się dla niego.

Poczuła nagły wstyd. Jakżeż mogła tak łatwo zaprzeć się swego serca? Jakżeż mogła zaznać takiej rozkoszy z innym mężczyzną? O czym myślała?

Przez całe swoje życie nie czuła się tak zbrukana jak teraz. Z Richardem czuła się cudownie. A teraz z każdą chwilą coraz gorzej. On nigdy by tego nie zrozumiał, gdyby się kiedykolwiek dowiedział.

Nigdy się nie dowie. No bo jak? Chyba że Drefan mu powie. Kahlan tłukło się serce. Pomyślała o przebiegłości, którą - jak się jej zdawało - dostrzegała w oczach arcykapłana. Nie, on nie powie Richardowi.

A jeśli jednak powie?

Nagle w pobliżu zamigotała błyskawica i Kahlan usiadła. Zobaczyła coś za oknem - jakąś budowlę. Nie było najmniejszej wątpliwości: wszystko działo się tak jak zapowiedziały wichry. Już mogła mówić.

Obróciła się ku Drefanowi. Musiała sobie zagwarantować jego milczenie w tej sprawie, zanim stąd wyjdą. Gdyby Richard się kiedykolwiek dowiedział...

Wiatr uderzył w szczyt góry. Huknął grzmot. Wyciągnęła w mroku rękę i

złapała go za ramię.

- Posłuchaj, Drefanie. Musisz mi coś obiecać. Nigdy nie wolno ci opowiadać o tym, co się właśnie wydarzyło, co z tobą robiłam. - Mocniej zacisnęła dłoń, wbiła mu paznokcie w ramię. - Przez resztę życia będę robiła, co mi każesz, ale musisz obiecać, że nigdy o tym nie powiesz - błyskawice rozświetliły komnatę - Richardowi...

Huknął grzmot, od którego zadrżała ziemia. Pod chmurami przemknęła błyskawica, rozświetlając komnatę jaskrawym blaskiem.

Na Kahlan patrzyły szare oczy.

- Myślę, że „Richard” już wie.

Kahlan krzyknęła.

ROZDZIAŁ 59

Zamarła. W jej głowie kłębiły się przerażone myśli. Jej krzyk znów rozdarł noc; był głośniejszy od huku gromu. Nie mogła mrugnąć. Nie mogła oderwać oczu od twarzy Richarda.

Nie potrafiła zrozumieć, nie potrafiła tego pojąć, świat stanął na głowie. W głowie jej wirowało, nie była w stanie myśleć.

Błyskawica ponownie rozjaśniła komnatę i Kahlan wiedziała tylko jedno: to był Richard, a nie Drefan.

Jeszcze nigdy wyraz twarzy chłopaka nie przeraził jej tak jak teraz. W jego oczach nie było nic. Ani gniewu, ani morderczego zapamiętania, ani determinacji, ani spokojnej powagi, ani zazdrości, ani nawet całkowitego braku zainteresowania.

W jego szarych oczach nie było... duszy. Ani serca.

Kahlan przycisnęła do ust drżące dłonie. Cofała się, aż w końcu uderzyła plecami o kamienną ścianę.

Od pierwszej chwili wiedział, że to właśnie ona weszła do komnaty. On zawsze wiedział, kiedy to ona wchodziła do komnaty. Cały czas wiedział, że to ona - już od pierwszej chwili, kiedy Cara ją tu wprowadziła.

Wiedział. Usiłował ścisnąć jej dłoń, żeby dodać jej otuchy, żeby dać się poznać. A ona odepchnęła jego rękę. Był tak delikatny, jak tylko mógł. Potem próbował otrzeć jej łzy. Raz jeszcze odepchnęła jego dłoń. Nie pozwoliła, by dał jej do zrozumienia, że to on.

Kahlan osunęła się na podłogę, lamentując z przerażenia.

- Nie! Drogie duchy, nie!

Richard nie podbiegł do niej, nie pocieszył, nie krzyknął. Podeszedł do swojego ubrania, które leżało w pobliżu drzwi, i zaczął się ubierać.

Dziewczyna rzuciła się do swoich szat. Gwałtownie wciągała bieliznę, nagle upokorzona swoją nagością, która przypominała jej, co przed chwilą zrobiła.

Podniosła suknię. Zamarła na moment, płakała. Wysunęła rękę przez drzwi i wciągnęła miecz wraz z pochwą. Przyglądała się mu. Miał obciągniętą skórą rękojęść

- tak jak to zapamiętała - a nie oplecioną złotą i srebrną nicią gardę. To

nie był Miecz Prawdy, oręż Richarda. To była broń Drefana.

Gdy Richard podniósł z podłogi spodnie, Kahlan chwyciła go za nadgarstek.

- Skąd... przecież to miecz Drefana, nie twój. To miecz Drefana!

Zabrał jej miecz i oparł go o ścianę.

- Odebrali ci twoją moc. Nie możesz się sama bronić. Teraz Drefan będzie przy tobie, a nie ja. Dałem mu Miecz Prawdy, żeby mógł cię chronić. - Wreszcie spojrzał jej w oczy. - Sądzę, że ten równie łatwo odnajdzie prawdę jak tamten.

Wsunął nogę w nogawkę. Kahlan znów złapała go za ramię.

- Nie rozumiesz, Richardzie? To byłeś ty. To ty tu ze mną byłeś, a nie Drefan.

Duchy odróżniają intencję od uczynku. To nie był on. To przez cały czas byłeś ty!

Wyszarpnął ramię. Duchy może i rozróżniały, ale nie on. Dla Richarda intencja była tym samym co czyn.

- Nie rozumiesz, Richardzie. To nie było to, co myślisz. Obrzucił ją tak wściekłym spojrzeniem, że aż cofnęła się o krok. Czekał, a ona stała jak posąg, nie mogąc znaleźć słów, by mu to wytłumaczyć. Znow zaczął się ubierać.

Dziewczyna włożyła białą szatę Spowiedniczki. Błyskawice uderzały coraz bliżej. Podczas niektórych błysków dostrzegła olbrzymią budowlę wznoszącą się na skraju urwiska. Świątynię Wichrów. Błysk gasł, świątynia znikwała, a Kahlan ponownie widziała odległe góry, oświetlone bijącymi tam piorunami.

- Richardzie - załkała, kiedy wciągał but - odezwij się do mnie, proszę.

Powiedz coś. Każ mi się wytłumaczyć. Powiedz, że nie ma żadnego wytłumaczenia.

Wrzaśnij na mnie. Nazwij mnie dziwką. Powiedz, że mnie nienawidzisz. Uderz mnie.

Zrób coś! Nie ignoruj mnie!

Odwrócił się i podniósł czarny podkoszulek bez rękawów. Wciągał go przez głowę, a Kahlan złapała jego czarną koszulę i przycisnęła ją do piersi w nadziei, że przeszkodzi mu w ubieraniu.

- Richardzie, błagam! Kocham cię!

Znów spojrzał jej w oczy. Pomyślała, że zamierza coś powiedzieć, ale odwrócił się i włożył pas ze skórzanymi sakiewkami. Na przegubach zatrzasnął obręcz.

Kahlan tuliła do piersi jego koszulę, trzęsąc się i patrząc, jak zapina pas. Nie wiedziała, co robić. Richard przypasał miecz Drefana.

- Odezwij się do mnie, Richardzie. Proszę. Powiedz coś. To sprawka duchów.

Czy pamiętasz, jak ci mówiłam, co powiedział mi duch dziadka? „Duchy zdecydowały, że ty jesteś zapłatą za wejście”. To one nam to zrobiły!

Spojrzał na nią raz jeszcze. Zgasła intensywność spojrzenia. Zorientował się, że nie odda mu koszuli, i narzucił na ramiona złocistą pelerynę. Zwrócił się w stronę drzwi. Kahlan oburącz złapała go za ramię i obróciła ku sobie.

- Kocham cię, Richardzie. Musisz mi uwierzyć. Potem ci to wszystko wytłumaczę, a na razie musisz mi uwierzyć. Kocham cię. Nie kogoś innego. Moje serce należy wyłącznie do ciebie. Drogie duchy, uwierz mi, proszę.

Chłopak zacisnął dłoń na brodzie Kahlan i przesunął palcem po jej wargach.

Uniósł ów palec, by zobaczyła go w pandemonium błyskawic.

- „...albowiem ta, która chodzi w bieli, jego ukochana, zdradzi go poprzez krew”.

Te słowa rozdarły jej serce.

Richard odszedł ku drzwiom, a Kahlan stłumiła krzyk jego koszulą. Uczyniła to, czego - jak przysięgała - nigdy nie miała uczynić: zdradziła go. Gorszej zdrady nie mogło już być. Ta zdrada zniszczyła mu serce.

Krzycząc histerycznie, wypadła za Richardem w rozszałą noc. Musiała coś zrobić, uleczyć to serce. Nie mogła pozwolić, by znosił ból, który mu zadała. Kochała go nad życie, a uczyniła mu to, co najgorsze.

Wicher wył ponad górą. Widziała ciemną postać Richarda, jego nagie ramiona. Oświeślały go błyskawice, gdy szedł ku drodze.

Dotarł do jej końca, na skraj urwiska. Kahlan rzuciła się na niego i zatrzymała siłą.

Niebo przecinały szalejące błyskawice. Wszystko dokoła trzęsło się od huku gromów. Oślepiająca błyskawica i zaraz ogłuszający huk. Kiedy uderzały najpotężniejsze błyskawice, za skrajem przepaści pojawiała się Świątynia Wichrów - ale tylko wtedy. Między błyskawicami była tam jedynie

pusta przestrzeń.

- Co chcesz zrobić, Richardzie?

- Powstrzymać zarazę.

- Kiedy wrócisz? Poczekam tutaj. Kiedy wrócisz? Długo patrzył jej w oczy. Wokół nich szalała burza.

- Nie mam po co wracać. Kahlan się go uczepiła.

- Musisz wrócić, Richardzie. Wróć. Będę tu czekać. Kocham cię. Drogie duchy, potrzebuję cię. Musisz do mnie wrócić, Richardzie!

- Masz męża. Przysięgałaś mu i... wszystko oddałaś.

- Nie zostawiaj mnie, Richardzie - jęczała bliska hysterii. - Nigdy ci nie wybaczę, jeśli nie wrócisz.

Chłopak odwrócił się ku skrajowi przepaści.

- Masz żonę, Richardzie! Musisz wrócić! Grom wstrząsnął górą.

Obejrzał się przez ramię.

- Nadine nie żyje. Przysięga już mnie z nią nie wiąże. Ty masz męża, któremu przysięgałaś. Nie mam po co wracać.

Potężne błyskawice uderzyły w drogę za krawędzią przepaści i ukazały Świątynię Wichrów.

Richard, w rozwianej złocistej pelerynie, skoczył w błyskawicę.

- Richardzie! Jestem tutaj! Dla ciebie! Znajdziemy jakieś wyjście! Wróć do mnie, proszę!

Ostry błysk zgasł, świątynia zniknęła. Kolejny błysk i potężne wieżyce wróciły na chwilę, tym razem słabiej widoczne, a po chwili znów zniknęły.

Dziewczyna padła na ziemię, tuląc do siebie czarną koszulę Richarda.

Zniszczyła go.

Kątem oka dostrzegła smugę czerwieni. To Cara biegła ku urwisku. Skoczyła w chwili, gdy następna błyskawica przywróciła Świątynię Wichrów światu żywych.

Wylądowała na powietrznej drodze, kiedy jednak błyskawica zgasła, zniknęła i Świątynia Wichrów, i Richard, i Cara.

Zrozpaczona Kahlan patrzyła w milczeniu na szalejącą burzę, dostrzegając od czasu do czasu zjawę olbrzymiej świątyni z innego świata. Budowla już nigdy nie wydawała się dostatecznie materialna, inaczej bowiem dziewczyna skoczyłaby.

Powinna skoczyć. Nie mogła pojąć, dlaczego tego nie zrobiła. Dlaczego

po prostu stała?

Bo Richard jej nie chciał. Zdradziła go.

Jak mógł jej to zrobić? Powiedział, że zawsze będzie ją kochać. Że będą razem w innym świecie. Obiecywał. Przysięgał wieczną miłość.

Ona też, a zdradziła go.

Kahlan posłyszała wśród burzy odległy śmiech. Złośliwy chichot sprawił, że ścierpła jej skóra.

Podszedł do niej Drefan. Był sam.

- Gdzie Nadine? - spytała Kahlan. Drefan odkaszlnął.

- Wrzasnęła, kiedy zobaczyła w świetle błyskawicy, że to ja, a nie Richard.

Oszalała i skoczyła w przepaść.

Kahlan wpatrywała się w niego. Richard wiedział. Oznajmił jej, że Nadine nie żyje. Był czarodziejem. I to widziała pod koniec w jego oczach, zanim skoczył.

Widziała w jego oczach magię.

- Gdzie Richard?

Kahlan zapatrzyła się w pustą przestrzeń, w czarną ścianę nocy.

- Odszedł.

W niesamowitej ciszy, jaka panowała na drodze ku Świątyni Wichrów, Richard dobył miecza. Przez chwilę zdumiało go zupełnie obce odczucie, potem jednak przypomniał sobie, czyj to miecz.

Już nie był Poszukiwaczem Prawdy. Poznał wszystkie prawdy, które mógł znieść.

Było tutaj światło, choć nie panował ani dzień, ani noc. To nie przypominało blasku słońca - raczej światło dnia przy całkowicie zachmurzonym niebie, bez żadnej wskazówki, gdzie właściwie znajduje się słońce. Richard wiedział jednak, że w tym miejscu nie było żadnego słońca. To nie był świat żywych.

Był w części zaświatów, odosobnionym, ponurym i odległym zakątku świata zmarłych. Wyglądało to tak, jakby czarodzieje znaleźli ustronny zakątek, w którym ukryli Świątynię Wichrów. Podobnie ukryto ją również w świecie istot żywych.

Przed nim wznosiły się ciemne mury ogromnej Świątyni Wichrów, bliźniacze wieże strzelały w smugi mgły. Był tutaj cały stok góry Kymermosst - cała część, której brakowało w świecie żywych.

Richard wiedział, dokąd idzie. Wiedział więcej, niż kiedykolwiek przedtem.

Jego umysł nasycił się wiedzą. Był czarodziejem wojny. Świątynia Wichrów otworzyła słuchę w jego umyśle. Przekazywała mu wszystko, co powinien wiedzieć, a nawet o wiele więcej.

Miał uczucie, że po raz pierwszy odzyskał świadomość.

To rekompensata za żadaną cenę.

- Lordzie Rahlu!

Podbiegła do niego zadyszana Cara. Przyjęła obronną postawę i zacisnęła Agiel w dłoni. Jej bicz na nic się tu nie przyda. I w świecie żywych będzie już bezużyteczny.

Richard obrócił się ku wichrom i ruszył przed siebie. To nie było daleko.

Wcale nie było daleko. Znał drogę do środka.

- Wracaj do domu, Caro. Tu nie jest twoje miejsce.

- Co się stało, lordzie Rahlu? Ja...

- Wracaj do domu.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i ruszyła przed nim, by usunąć mu z drogi ewentualne niebezpieczeństwa. Nie miała pojęcia o tutejszych zagrożeniach.

- Jestem Mord-Sith. Jestem tutaj, żeby chronić lorda Rahla.

- Nie jestem już lordem Rahlem - wyszeptał.

Cara spojrzała na stojące przy wejściu potężne kolumny z czarnego kamienia.

Obok nich - na murach z atramentowoczarnego kamienia opasanych u góry wstęgą koloru miedzi - znieruchomiłe niczym posągi z kruczoczarnego granitu stały skrzynie, strażnicy granicy między światami. Znieruchomiłe jedynie dla oczu Cary, ale nie dla oczu Richarda.

Mord-Sith uniosła dłoń i zatrzymała go, a sama zajrzała w pasaż prowadzący do odległego wejścia. Wypatrywała niebezpieczeństwa. U ich stóp leżały kości.

- Co to za budowla, lordzie Rahlu?

- Nie możesz tam wejść, Caro.

- Dlaczego?

Richard odwrócił się i spojrzał na drogę, którą tu przyszedł, na wszystko, co za sobą zostawiał. Patrzył na pustkę.

- Bo to PrzedSIONEK Zdrajcy.

Popatrzył na bliźniacze skrin, strażników, którzy na drodze u swych stóp zostawili kości dwóch czarodziejów. Dobrze pamiętał wiadomość, którą sylfa przekazała mu od czarodzieja Rickera: „Lewa garda przed wejściem”. Dopiero teraz zrozumiał dokładnie, co ona oznacza.

Uniósł lewe ramię i wysunął pięść ku skrinowi znajdującemu się na murze po prawej. Owo zdanie powiedziało mu, którym ramieniem się posłużyć i przed którym skrinem się zasłonić. Podniesienie niewłaściwego ramienia zamknęłoby przed nim wejście do owego miejsca w świecie zmarłych. Jedna z pułapek, jakie Ricker zastawił na wroga.

Rozgrzała się obręcz na przegubie Richarda. Skórzana wyściółka chroniła jego ciało przed mocą zogniskowaną w opasce. Pięść otoczyła zielona poświata. Skrin po prawej, do którego Richard skierował ów znak wrodzonej władzy, zajaśniał jak jego pięść i znieruchomiał, żeby chłopak mógł wejść.

Richard spojrział na strażnika z kruczoczarne go granitu, który stał po jego lewej stronie. Zawołał jego imię. Stwór zareagował na nosowy dźwięk. Czarny kamień zachrząścił i skruszył się, gdy skrin obrócił się ku swojemu panu. Strażnik zaświatów znieruchomiał, czekając na polecenie.

Chłopak znów wymówił jego imię, uniósł ramię i wskazał Carę.

- Ona tu nie przynależy. Odprowadź ją do świata żywych. Nie zrób jej krzywdy. Potem wróć na swój posterunek.

Skrin zeskoczył z muru i stanął między Richardem a Carą.

- Lordzie Rahlu! Kiedy wrócisz do domu? Richard spojrział w niebieskie oczy Mord-Sith.

- Jestem w domu.

Błysnęło światło i cichy grom wstrząsnął niemym przedSIONKIEM, kiedy skrin zniknął, unosząc Carę na powrót do świata żywych.

Richard ponownie zwrócił się ku wichrom. Cztery wichry i widzący patrzyli ze swego miejsca na murze. Chłopak przyjrzał się złotym runom wyrytym po obu stronach wejścia do przedSIONKA. Odczytał wieści i ostrzeżenia umieszczone tutaj przez czarodziejów z dawnych czasów.

Peleryna Richarda powiewała w owym świecie bez wiatru - była sygnalizatorem w owym miejscu z wirami mocy i nurtami energii - a on szedł wprost przed siebie, do PrzedSIONKA Zdrajcy.

Przed Kahlan uderzyła nagle błyskawica i dziewczyna zasłoniła twarz ramieniem. Na chwilę znów ukazała się droga do Świątyni Wichrów. Dziewczyna widziała w oddali plecy Richarda, wchodzącego śmiało w jakieś przejście.

Cara upadła u stóp Kahlan na drogę, tuż nad skrajem urwiska.

Świątynia i Richard zniknęli przy wtórze huku gromu.

Mord-Sith poderwała się na nogi. Z dziką wściekłością złapała Kahlan za ramiona.

- Coś ty zrobiła?!

Kahlan zbyt cierpiała, żeby odpowiedzieć. Wpatrywała się w ziemię.

- Coś uczyniła, Matko Spowiedniczko?! Wszystko dla ciebie ułożyłam. Co mu zrobiłaś?

- Co ty zrobiłaś? - Kahlan uniosła głowę.

- Przysięgałam. Jesteśmy siostrami w Agielu. Przysięgam ci, że jeśli coś się stanie, coś pójdzie źle, to zadbam, żebyś to ty była z Richardem, a nie Nadine.

Kahlan aż otworzyła usta.

- Coś ty zrobiła, Caro?!

- To, co chciałaś! Przekazywałam słowa wichrów, tak jak mi się objawiały, lecz prowadząc ciebie i Nadine do budynków, podmieniłam was. Nadine zaprowadziłam do Drefana, a ciebie do lorda Rahla. Chciałam, żebyś była z mężczyzną, którego prawdziwie kochasz. Zaprowadziłam cię do Richarda! Nie ufałaś mi? Nie wierzyłaś we mnie?

Kahlan padła jej w ramiona.

- Tak mi przykro, Caro. Powinnam ci zaufać. O drogie duchy, powinnam ci zawierzyć.

- Lord Rahl powiedział, że wchodzi do PrzedSIONKA Zdrajcy. Spytałam, kiedy wróci do domu, a on odparł, że jest w domu. Nie chce wracać! Coś ty zrobiła?!

- PrzedSIONEK Zdrajcy... - Kahlan osunęła się na ziemię. - Dopełniłam proroctwo. Pomogłam Richardowi dostać się do Świątyni Wichrów. Pomogłam mu powstrzymać zarazę. I robiąc to, zniszczyłam go. I robiąc to, zniszczyłam siebie.

- Uczyniłaś nie tylko to - wyszeptała Cara.

- Co masz na myśli?

Cara uniosła dłoń z Agielem.

- Mój Agiel. Stracił moc. Moc Mord-Sith ujawnia się jedynie wtedy, gdy działa więź z naszym lordem Rahlem. Istnieje po to, żeby chronić lorda Rahla. Więź nie istnieje, gdy brak lorda Rahla. Straciłam swoją moc.

- Teraz ja jestem lordem Rahlem - powiedział Drefan, stając za Kahlan.

- Nie jesteś lordem Rahlem. Nie masz daru - parsknęła pogardliwie Cara. Arcykapłan wytrzymał jej gniewne spojrzenie.

- Jestem jedynym lordem Rahlem, jakiego teraz macie. Ktoś musi zadbać o całość imperium D'Hary.

Kahlan przytuliła do siebie koszulę Richarda.

- Jestem Matką Spowiedniczką. Zadbam o całość konfederacji.

- Ty, moja droga, również straciłaś swoją moc. Nie jesteś już Spowiedniczką, a tym bardziej Matką Spowiedniczką. - Złapał Kahlan pod ramię i tak mocno zacisnął palce, że zabolalo, gdy podnosił ją z ziemi. - Teraz jesteś moją żoną i zrobisz, co ci każę. Przysięgłaś, że będziesz mi posłuszna.

Cara chciała odepchnąć Drefana od Kahlan, lecz tak mocno uderzył ją w twarz, że upadła.

- A ty, Caro, jesteś teraz bezzębną zmiją. Jeśli zamierzasz kręcić się w pobliżu, to także będziesz musiała mnie słuchać. Jeśli zaś nie, to nie jesteś mi już potrzebna. Jak na razie tylko my wiemy, że twój Agiel stracił moc. I niech tak zostanie. Będziesz mnie strzec jak każdego lorda Rahla.

Mord-Sith spojrziała nań jadowicie i otarła krew z warg.

- Nie jesteś lordem Rahlem.

- Nie? - Uniósł Miecz Prawdy, oręż Richarda, i na powrót wsunął do pochwy.

- Cóż, teraz jestem również Poszukiwaczem.

- Poszukiwaczem też nie jesteś. Poszukiwaczem jest Richard - burknęła Kahlan.

- Richard? Richarda już nie ma. Teraz ja jestem i lordem Rahlem, i Poszukiwaczem. - Drefan przycisnął do siebie ramię Kahlan. Oczy podobne do oczu Rahla Posępnego patrzyły natarczywie w oczy dziewczyny. - Ty zaś jesteś moją żoną.

A właściwie będziesz nią, gdy skonsumujemy nasze małżeństwo. Lecz tu ani czas na to, ani miejsce. Musimy wracać. Czeka na nas robota.

- Nigdy. Jeśli kiedykolwiek mnie dotkniesz, poderżnę ci gardło.

- Przysięgałaś przed duchami. Zrobisz to, co przysięgałaś zrobić. - Drefan się uśmiechnął. - Jesteś dziwką. Spodoba ci się to. Chcę, żebyś się tym radowała, żebyś zaznała rozkoszy. Naprawdę chcę,

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Nie jestem dziwką, a zwłaszcza twoją!
Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Czyżby? To dlaczego zdradziłaś Richarda? Dlaczego odszedł, nawet się za siebie nie oglądając? Podejrzewam, że radowałaś się tym, sądząc, iż jesteś ze mną.

Twierdę, że Richard wreszcie zobaczył w tobie dziwkę, którą jesteś. I na pewno zaznasz rozkoszy, kiedy to naprawdę będę ja, przyrzekam. Podobnie jak ja.

ROZDZIAŁ 60

Verna potrząsnęła ostrożnie Warrenem.

- Zbudź się. Ktoś nadchodzi. Warren przetarł oczy.

- Nie śpię.

Siostra Światła popatrzyła na pozostałe okna, by upewnić się, że martwi strażnicy wciąż w nich stoją. Urządzili to w ten sposób, by wyglądało na to, że czuwają. Stojąca na stole lampa dawała akurat tyle światła, żeby ci na zewnątrz zobaczyli w oknach strażników. Ją i Warrena też byliby widać, więc trzymali się z dala od okien.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Lepiej. Chyba już w porządku.

Wcześniej był nieprzytomny. Wywoływane przez dar bóle głowy przychodziły w coraz krótszych odstępach czasu. Verna nie wiedziała, jak mu pomóc. Nie wiedziała, ile jeszcze czasu upłynie, nim dar go zabije. Jedyne, co mogła wymyślić, to skrupulatnie realizować swój plan. Warren mówił, że wie z proroctwa, iż jedyną jego szansą jest być przy niej.

Za oknem, w mroku, Verna dostrzegła zbliżające się drogą dwie postacie. Na widocznych w oddali wzgórzach płonęły tysiące ognisk i okolica wyglądała jak olbrzymie jezioro, w którym odbija się usiane gwiazdami niebo.

Ksieni wzdrygnęła się na myśl o setkach tysięcy brutalni mieszkających w owych namiotach. Im szybciej opuszczą to miejsce, tym lepiej. Cieszyła się, że nie idą już do fortecy Jaganga. Drugi raz nie zdołaliby się już posłużyć owym rodzajem magii. Uroki Warrena nie oszukałyby powtórnie straży.

Na szczęście wystarczył jeden pobyt. Tym razem to jej przyjaciółki, Janet i Amelia, przychodziły do niej i Warrena. O ile to rzeczywiście one się zbliżały.

To musiały być one. Przecież była czwarta noc po pełni księżyca. To tej właśnie nocy mieli się spotkać. Janet mówiła, że Amelia powinna już wrócić z namiotów.

Verna bała się nawet myśleć, w jakim stanie może być Amelia.

Prawdopodobnie trzeba będzie ją uzdrowić. Ksieni miała nadzieję, że to nie zajmie zbyt dużo czasu - świt był już blisko.

Ona i Warren spali na zmianę. Musieli być wypoczęci, bo czekała ich długa droga powrotna do generała Reibischa i jego wojsk. Verna chciała stąd odejść jak najdalej, na wypadek gdyby w fortecy podniesiono alarm.

Miała nadzieję, że Janet powiedziała już Amelii o więzi z Richardem i że nie będzie trzeba tracić na to czasu. Gdy tylko Amelia przysięgnie Richardowi, więź również ją ochroni przed Nawiedzającym Sny. Wtedy będą mogli uciec.

Verna ogromnie pragnęła ocalić pozostałe Siostry, wiedziała jednak, że zbyt pewność siebie to prosta droga do przegranej. W trakcie swojej dwudziestoletniej podróży, z dala od klasztornej życia w Pałacu Proroków, nauczyła się, że w świecie Siostra powinna ostrożnie i dokładnie wypełniać swoje zadanie, jeśli chce, by się jej powiodło. Uratowanie reszty Sióstr byłoby ogromnie niebezpieczne i trudne, więc gdyby Verna dała się złapać przy próbie wyprowadzenia stąd ich wszystkich za jednym razem, nic by na tym nie skorzystały. Należy znać swoje ograniczenia i działać krok po kroku. W odpowiednim czasie bezpiecznie wyprowadzi pozostałe Siostry z siedziby Nawiedzającego Sny.

Teraz najważniejszą sprawą było zabrać stąd obie jej przyjaciółki, wydobyć od nich informacje, które ułatwiłyby ocalenie pozostałych, i zdobyć jakąś pomoc dla Warrena. Bez czarodzieja ich sprawa byłaby wystawiona na szwank. Warren był Prorokiem, którego talent właśnie się ujawniał - o ile ów talent go nie zabije, nim zdołają zapewnić mu pomoc, jakiej potrzebował.

Jeden krok naraz, upomniała się Verna. Bądź ostrożna i myśl, bo to najlepsza gwarancja powodzenia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Verna uchyliła je i wyjrzała, a Warren zawołał jak strażnik, żeby powiedzieli, kim są.

- Dwie niewolnice Jego Eksceleencji, Siostra Janet i Siostra Amelia.

Ksieni otworzyła drzwi, złapała najpierw jedną za pelerynę i wciągnęła do środka, a potem to samo zrobiła z drugą. Przycisnęła kobiety do ściany, żeby nie było ich widać przez okna.

- Dzięki ci, Stwórco - westchnęła. - Już myślałam, że nigdy się nie zjawicie.

Janet i Amelia stały z szeroko otwartymi oczami i drżały jak wystraszone króliki. Twarz Siostry Amelii była podrapana, pocięta i opuchnięta.

Warren podszedł do Verny. Ujęła jego dłoń i patrzyła to na jedną

pobladła twarz, to na drugą. Serce ją bolało z powodu tak widocznego cierpienia Amelii. Lecz w oczach tamtej było coś jeszcze: przerażenie.

- Co złego się stało? - wyszeptała.

- Okłamałaś nas - szepnęła zbolalym tonem Janet.

- O czym ty mówisz?!

- Więż. Więż, która miała nas chronić przed Jego Ekscelencją. Powiedziałam o tym Amelii. Przysięgła Richardowi, jak i mnie kazałaś.

Verna zmarszczyła brwi i pochyliła się ku niej.

- O czym ty mówisz, na Stwórcę? Przecież powiedziałam, że to nie pozwoli wnikać Jagangowi do twojego umysłu.

Janet z wolna potrząsnęła głową.

- Nie, Verno, to nie uchroni nas przed nim. Nie uchroni ani mojego umysłu, ani Amelii... ani Warrena... ani twojego.

Verna dotknęła pocieszająco ramienia Janet, starając się uspokoić wystraszoną kobietę.

- Ależ tak, Janet, uchroni. Musisz jedynie uwierzyć, a będziesz chroniona.

Janet znów potrząsnęła głową.

- Jagang był w moim umyśle, nim złożyłam przysięgę Richardowi. Znał moje myśli. Wiedział, co mi powiedziałaś. Wiedział wszystko.

Verna w przerażeniu zakryła usta dłonią. Takiej możliwości nie wzięła pod uwagę.

- Ale przecież przysięgłaś. To cię teraz strzeże. Kobieta znów przecząco potrząsnęła głową.

- Owszem, strzegło pierwszego dnia. Lecz cztery dni później, w noc pełni księżyca, Jego Ekscelencja wrócił do mego umysłu. Nie wiedziałam o tym.

Powiedziałam Amelii o przysiędze. Przysięgła tak samo jak ja. Sądziłyśmy, że jesteśmy bezpieczne. Myślałyśmy, że gdy wrócisz, to z tobą uciekniemy.

- Ależ tak. Zaraz wszyscy uciekniemy - zapewniła ją Verna.

- Żadne z nas nie ucieknie, Verno. Jagang cię dopadł. Warrena też. Powiedział nam, że wśliznął się do waszych umysłów, kiedy spaliście, pierwszej nocy po pełni księżyca. - W oczach Janet pojawiły się łzy. - Tak mi przykro, Verno. Nigdy nie powinnaś tu przychodzić, żeby mnie ratować. Oboje straciecie przez to wolność.

Ksieni uśmiechnęła się do niej, choć narastał w niej strach.

- To niemożliwe, Janet. Chroni nas więź.

- Chroniłaby - odezwała się tamta głosem, który nagle stał się ochryply i złowieszczy - gdyby Richard Rahl wciąż żył. Ale cztery noce temu, w pełni księżyca, Richard Rahl odszedł ze świata żywych. Po twarzy Janet płynęły łzy, a mimo to roześmiała się gromkim, dudniącym śmiechem. Verna nie mogła oddychać.

- Richard... nie... żyje?

Warren złapał się za głowę i krzyknął w udręce:

- Nie! Nie!

Verna chwyciła go, gdy osuwał się na podłogę.

- Warrenie! Co się stało?

- Jego Ekscelencja... Jego Ekscelencja ma dla mnie polecenia.

- Polecenia? Co ci jest, Warrenie? Co się dzieje?

- Jego Ekscelencja ma nowego Proroka! - krzyknął Warren. - Usuń ból, proszę! Będę ci służyć! Będę wypełniać rozkazy!

Verna przykucnęła obok niego.

- Warrenie!

Zdawało się jej, że w jej czaszkę wbił się rozżarzony do białości metalowy pręt. Z krzykiem chwyciła się za głowę. Przez całe sto pięćdziesiąt sześć lat życia nic nie przygotowało jej na tak przeraźliwy ból, jaki nagle eksplodował w jej umyśle.

Pokój poczerniał. Poczowała, jak uderza twarzą o podłogę. Ramiona i nogi drgały jej w straszliwej męce. A wśród palącej udręki - niczym płomienie w ruinach - tańczył złowrogi śmiech.

Verna modliła się do Stwórcy, by pozwolił jej zemdleć. Jej modły nie zostały wysłuchane.

Nad sobą usłyszała głos. Głos Janet.

- Tak mi przykro, Verno. Nie powinniście się tu zjawiać, by próbować nas uratować. Teraz będziecie służyć Jego Ekscelencji jako niewolnicy.

Ta blondynka, Cara, towarzyszyła mu do sali przyjęć. Trzymała się trzy kroki z tyłu - jak nakazał. Zawsze nosiła teraz czerwony skórzany uniform - jak nakazał.

Podobało mu się, że w obcisłych czerwonych skórzanych uniformach wyglądały jak unurzane we krwi. Jedna z nich nieustannie była przy nim niczym krwistoczerwona zapowiedź czekającej go rozkosznej i krwawej

orgii.

Gdy obejrzał się przez ramię, odwróciła niebieskie oczy. Wiedział, że została tylko dlatego, by przebywać w pobliżu Kahlan. Odpowiadało mu to. Liczyło się, że została. Teraz była nieszkodliwa, ale lepiej wyglądało, gdy lord Rahl miał eskortę złożoną z takich jak ona. To była odpowiednia oprawa dla jego stanowiska.

A teraz on był lordem Rahlem - tak jak obiecały mu to szeptu z przestworzy.

On jeden miał umysł pozwalający słyszeć owe głosy, mądrość, by ich wysłuchać, i bystrość, by ich pójść za ich radą. Dzięki temu zatriumfował. Dbałość o szczegóły się opłacała. Jego nadzwyczajna wnikliwość wyniosła go na najwyższe stanowisko, na które zawsze zasługiwał. Jego darem był geniusz i będzie mu służył o wiele lepiej niż jakaś tam magia.

Był ponad innymi ludźmi, i to nie bez przyczyny. Przewyższał ich: był człowiekiem o wyjątkowej zdolności pojmowania, instynkcie i wysokiej etyce, człowiekiem nie dającym się zwieść pokrętnym wymówkom, jakimi kobiety tłumaczyły swoje prostackie rozkosze.

Upajały go własne zalety.

Kiedy wszedł do komnaty, Kahlan podniosła wzrok. Jej twarz była obojętna.

Niemal stale miała taką minę. To tylko ona sądziła, że jej twarz nic nie wyraża. On widział na niej najrozmaitsze uczucia. W czarownych rysach dostrzegał przepływ emocji, które starała się ukryć.

Widział, jak na niego patrzyła. W przeszłości pochwyił spojrzenia, jakie rzucała na jego ciało. Wiedział: pragnęła go. Pożądała go. Chciała, żeby jej dał rozkosz.

To, że próbowała temu zaprzeczyć, jeszcze bardziej go ekscytowało. To, że swoje pożądanie kryła za szorstkimi słowami, jedynie je potwierdzało. Udawany wstręt tylko ukazywał mu niesłychane nasilenie jej pragnienia.

Gdy ulegnie wreszcie swej żądzy, oczekiwanie, abstynencja i tęsknota sprawią, że odkładane spełnienie będzie tym wspanialsze. Wtedy nareszcie da jej to, czego ona tak pragnie. Wtedy usłyszy jej krzyki.

Skłonił się stojący przy Kahlan generał.

- Dobry dzień, lordzie Rahu.

- O co chodzi? - spytał. Nie lubił, kiedy żołnierze zwracali się do Kahlan,

zamiast najpierw powiadomić lorda Rahla.

- To zwykły poranny raport, Drefanie - odparła Kahlan tym swoim apatycznym głosem.

- Więc dlaczego mnie nie poinformowano? Raporty powinny docierać najpierw do lorda Rahla.

Generał Kerson zerknął ukradkiem na Kahlan. Znów się skłonił.

- Jak sobie życzysz, lordzie Rahlu. Po prostu sądziłem...

- To ja myślę. Ty wojujesz. Generał odchrząknął.

- Tak jest, lordzie Rahlu.

- Cóż więc mówią poranne raporty?

Generał raz jeszcze spojrział na Kahlan. Drefan pochwycił delikatne skinienie.

Jakby generał potrzebował przyzwolenia żony lorda Rahla, by złożyć raport.

Arcykapłan, jak zawsze, puścił to płazem. Bawiły go jej gierki, to, że sądziła, iż on nic nie widzi. Rozśmieszało go to.

- Zaraza prawie się skończyła, lordzie Rahlu.

- Co to znaczy „prawie”? Zechciej uściślić. Taki brak precyzji uzdrowicielowi na nic się przyda.

- Przez ostatni tydzień liczba zgonów spowodowanych przez mór spadła do trzech potwierdzonych przypadków z ostatniej nocy. Wyzdrowieli prawie wszyscy, którzy chorowali, kiedy odszedł lord... - Generał zamilkł i poprawił się: - Kiedy odszedł Richard. Cokolwiek Richard zrobił...

- Mój brat umarł, oto co zrobił. Ja jestem uzdrowicielem. I koniec zarazy to moje dzieło.

Kahlan nie zdołała zachować spokoju. Na jej twarzy odmalowała się wściekłość, nad którą wspaniale panowała. Ciekaw był, jak się zmieni ta twarz, gdy wyrazi ból i przerażenie. Dowie się tego, kiedyś.

- Richard poszedł do Świątyni Wichrów. Poświęcił się, by ocalić innych.

Richard! Nie ty, Drefanie, ale Richard!

Drefan zbył jej słowa lekceważącym machnięciem ręki.

- Bzdura. Co Richard wiedział o uzdrawianiu? To ja jestem uzdrowicielem. To lord Rahl ocalił swój lud od zarazy. - Wskazał na generała. - A ty lepiej zadbaj, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Kahlan znów leciutko skinęła głową Kersonowi.

- Tak jest, lordzie Rahlu. Osobiście dopilnuję, żeby wszyscy dowiedzieli się, iż to lord Rahl we własnej osobie powstrzymał zarazę - odparł żołnierz.

Dwuznaczna odpowiedź generała przywołała na twarz Kahlan cień uśmiechu.

Drefan udał, że niczego nie zauważył. Miał ważniejsze sprawy niż brak szacunku, który okazywała mu żona.

- O czym jeszcze chcesz mi donieść, generale?

- Hmm, lordzie Rahlu, wygląda na to, że niektórych naszych oddziałów... brakuje.

- Brakuje? Jak może brakować oddziałów wojska? Chcę, żeby je odnaleziono.

Musimy mieć całą armię, żeby bronić się przed Imperialnym Ładem. Nie chcę, by imperium D'Hary zostało pokonane przez Imperialny Ład tylko dlatego, że moi oficerowie nie potrafią utrzymać dyscypliny!

- Tak jest, lordzie Rahlu. Już wysłałem zwiadowców, żeby odnaleźli oddziały, które... wywędrawały ze swoich pozycji.

- To więź, Drefanie. D'Harańczyków nie łączy z tobą żadna więź. Armia się rozpada i błąka bez celu, bo utraciła więź, utraciła swojego przywódcę. Nie wiedzą, co robić. Są bez lorda Rahla... - odezwała się Kahlan.

Uderzył ją. Przykry odgłos rozległ się echem w komnacie.

- Wstawaj! - Zaczekał, aż się podniesie. - Nie pozwolę własnej żonie na taką bezczelność! Zrozumiałaś?!

Kahlan zacisnęła palcami nos, starając się powstrzymać krwotok. Purpurowy strumyk przeciekał jej jednak przez palce, spływał na wargi i brodę. Widok ten niemal pozbawił go tchu. Widok okrwawionej Matki Spowiedniczki sprawił, że zatrzęśły mu się ręce. Zatęsknił za użyciem noża, za widokiem jej okrwawionego ciała, za jej wrzaskami, za jej przerażeniem.

Lecz zaczeka, aż zacznie go o to błagać. Tak jak Nadine, Nacieszył się perwersyjnymi zachciankami zielarki. Nim zrzucił ją z urwiska - wciąż jeszcze żyjącą, by, spadając, mogła rozmyślać nad swoim nikczemnym charakterem - rozkoszował się jej zdumieniem, jej przerażeniem, jej śmiertelną udręką. To go zaspokoilo - na razie.

Może zaczekać, aż znów - jak pierwszej nocy - ujawni się zepsucie moralne Matki Spowiedniczki. Richard musiał być przerażony, gdy odkrył, jak gorąco pragnęła jego brata, gdy odkrył, że kobieta, którą kochał, była

równie nieczysta jak każda dziwka. Biedny, niewinny, głupi Richard. Nawet się nie obejrzał, kiedy odchodził.

Drefan mógł zaczekać. Potrzebowała czasu, by otrząsnąć się z szoku, który przyszedł, gdy zrozumiała, że stała się przyczyną śmierci Richarda. Drefan mógł zaczekać. To nie potrwa długo - tak mocno go pragnęła.

Pochwyił Kahlan w ramiona.

- Wybacz mi, żono. Nie chciałem cię zranić. Wybacz mi, błagam. Martwiłem się o nasze bezpieczeństwo, któremu zagraża Ład, i zdenerwowałem tym, że ci mało warci żołnierze nie wykonują rozkazów, przez co jeszcze bardziej nas wszystkich narażają.

Kahlan wysunęła się z jego ramion.

- Rozumiem.

Tak źle kłamała. Kątem oka widział gotową do skoku postać w czerwonej skórze. Jeśli skoczy, to ją zakłuje. Jeśli nie, to i tak mu się przyda.

Kahlan dała Carze ostrzegawczy znak. Mord-Sith niechętnie się uspokoiła.

Sądziła, że jest tak przebiegła, iż Drefan nie dostrzega, jak daje ludziom znaki i polecenia. Na razie to nie miało znaczenia.

- Generale Kerson, chcę, żeby odnaleziono owe bezpańskie oddziały. W armii powinna panować dyscyplina, bo inaczej przegramy z Ładem. Gdy je odnajdziecie, należy stracić oficerów - odezwał się Drefan.

- Co takiego?! Chcesz, żebym stracił moich ludzi za to, że stracili więź...

- Chcę, żebyś ich stracił za zdradę. Kiedy reszta żołnierzy dowie się, że nie będę tolerować takiego lekceważenia obowiązków, to dwa razy pomyśli, zanim przyłączy się do naszego wroga.

- Naszego wroga, lordzie Rahlu?

- Oczywiście. Jeśli nie wypełniają ciężącego na D'Harańczykach obowiązku, nie służą i nie chronią imperium D'Hary, że nie wspomnę już o ich lordzie Rahlu, to znaczy, że wspomagają wroga. A to czyni z nich zdrajców! Wystawia na niebezpieczeństwo życie mojej żony! - Przesunął palcami po wypukłych złotych literach na rękojeści Miecza Prawdy - jego miecza. Ów oręż należał mu się z prawa.

- Czy masz coś jeszcze do powiedzenia? Generał i Kahlan skrycie wymienili spojrzenia.

- Nie, lordzie Rahlu.

- Znakomicie. To już wszystko. Możesz odejść. - Obrócił się ku Kahlan i podał jej ramię. - Chodź, moja droga. Zjemy razem śniadanie.

ROZDZIAŁ 61

Oszołomiony Richard zszedł z tronu czarodzieja w Sali Wichrów. Usłyszał echo własnych kroków. Tron czarodzieja prawnie mu się należał: był jedynym czarodziejem wojny, jedynym czarodziejem mającym dar obu magii - addytywnej i subtraktywnej.

Wnętrze Świątyni Wichrów było przeogromne. Niemal ponad wszelkie wyobrażenie. W owym cichym miejscu nie rozlegał się żaden dźwięk, chyba że Richard go wywołał lub zechciał powołać do istnienia.

Pod łukowym, zawieszonym na olbrzymiej wysokości sklepieniem, mogłyby szybować orły i nawet nie zauważyłyby, że są zamknięte w budowlu. Gdyby były tu sokoły, mogłyby się wzbijać wysoko, a potem pikować, i czułyby się jak na swobodzie.

Masywne filary podtrzymywały ściany wznoszące się ku odległemu sklepieniu. Umieszczone w bocznych ścianach wielkie okna wpuszczały do wnętrza wszechobecne rozproszone światło.

Richard mógł przynajmniej widzieć te boczne ściany. Odległy kraniec sali nikał mu po prostu z oczu, rozmywał się w mgiele.

Prawie wszystko - posadzka, filary, ściany i strop - miało barwę bladej popołudniowej mgły. Odnosiło się wrażenie, że są stworzone z przymglonego blasku.

Richard był jak drobina piasku w rozległym kanionie. Mimo to budowla miała skończone rozmiary, w przeciwieństwie do krainy, w której się znajdowała.

Przedtem chłopak byłby oszołomiony i przerażony. Teraz nie. Teraz był jak odrętwiały.

Czas nie miał tu żadnego znaczenia poza tym, jakie nadawał mu Richard. Nie miał się jak zakotwiczyć w wieczności. Chłopak mógłby tu tkwić wiek, nie zaś kilka tygodni, i jedynie on zauważyłby różnicę - a i to tylko wtedy, gdyby tego zapragnął.

Życie niewiele tu znaczyło: było pojęciem tak odległym jak drugi kraniec wieczności.

Również to pojęcie Richard przyniósł ze sobą. A przecież Świątynia Wichrów miała świadomość i chroniła go w swym kamiennym wnętrzu,

dziele dawnych czarodziejów.

Szedł przez salę, mijając znajdujące się pod każdym łukiem wnęki obrzeżone po bokach filarami. W każdej wnęce znajdował się magiczny przedmiot, który umieszczono tam dla bezpieczeństwa. Każdy z nich wysłano tutaj ze świata istot żywych dla bezpieczeństwa owego świata.

Richard znał przeznaczenie większości z owych przedmiotów i mógłby się nimi posłużyć. Wiedział, jak bardzo są niebezpieczne, i rozumiał, dlaczego niektórzy chcieli je tu odizolować po wsze czasy. Wiedza wichrów należała teraz do niego.

To dzięki niej powstrzymał zarazę. Nie miał księgi, którą wykorzystano, by wywołać mór, lecz nie musiał mieć tego dzieła, by odebrać mu moc. Wykradzono je ze świątyni, więc wciąż było posłuszne wichrom. Trzeba było jedynie nadać inny kierunek płynącemu od wichrów nurtowi mocy, który umożliwiał magii księgi działanie w świecie istot żywych. Prawdę mówiąc, było to tak proste, że Richard zawstydził się, iż nie wpadł na to wcześniej. Tysiące ludzi umarło z powodu jego niewiedzy. Gdyby wówczas wiedział to co teraz, rzuciłby po prostu magiczną sieć uplecioną z obu „stron” swojego daru i Jagang nie miałby żadnego pożytku z księgi.

Tylu ludzi umarło, a to było takie proste.

Lecz przynajmniej - zanim przerwał nurt magii - mógł wykorzystać swoje zdolności uzdrowicielskie i wyleczyć większość tych, którzy się już zarazili.

Przynajmniej zaraza dobiegła kresu.

I tylko wszystko stracił, wszystkim za to zapłacił. Ale jakaż to cena za te wszystkie życia. Jakaż cenę ustaliły duchy. W istocie, jakaż cenę.

Nadine kosztowało to życie. Głęboko jej współczuł.

Wyeliminowałby również Jaganga i zagrożenie ze strony Starego Świata, ale nie mógł tego uczynić z owego miejsca. Tam był świat istot żywych, więc mógł tylko oddziaływać na przedmioty, które zabrano stąd do owego świata, i na szkody, jakie tam wyrządziły.

Za to dotarł do jądra mocy owej budowli: nie będzie już wejścia przez Przedsiónek Zdrajcy. Jagang nie powtórzy takiego wyczynu.

Richard przystanął. Dobył miecza. Miecza Drefana. Trzymał go w dłoniach i przyglądał mu się, obserwując, jak odbija światło. To nie był jego miecz - nie był to Miecz Prawdy. Pozwolił woli płynąć z samej istoty swojego

„ja” i nieść wrodzoną mu magiczną moc. Dar zjawił się równie łatwo jak westchnienie, choć przedtem musiał się ciężko trudzić, by wykorzystać choćby niewielką część swojej mocy.

Umysł chłopaka kierował wszystkim i harmonizował wszelkie elementy, dopóki miecz w dłoniach Richarda nie przemienił się w bliźniaczą podobiznę tak dobrze mu znanego oręża. Trzymał w dłoniach duplikat Miecza Prawdy, choć nie towarzyszyły temu zwykle wrażenia kontaktu z duchami tych, którzy przed nim władali jego prawdziwym orężem. Jednak pod każdym innym względem był to ten sam miecz. Miał tę samą moc, tę samą magię.

Podczas prób sporządzenia Miecza Prawdy umierali czarodzieje, aż wreszcie pewnym z nich się to udało. A wówczas owa wiedza znalazła się tutaj i - jak wszelkie przechowywane tu umiejętności - należała teraz do Richarda.

Złapał za rękojeść i uniósł klingę wysoko w górę. Pozwolił, by wtargnęła weń magia, gniew miecza, by się w nim rozszalały - zrobił to tylko po to, by cokolwiek poczuć. Nawet i gniew, bo to już było coś.

Lecz nie potrzebował miecza. Gniew zgasł, zastąpiła go pustka.

Rzucił miecz wysoko w powietrze i zostawił go tam, wirującego powoli na łożu z energii. Jednym impulsem mocy rozbił stworzony przez siebie oręż w chmurę metalicznego pyłu, a kolejną myślą usunął ów pył w niebyt.

Znów czuł pustkę. I samotność.

Odwrócił się, wyczuwszy czyjaś obecność. Kolejny duch. Od czasu do czasu przychodziły się z nim zobaczyć, porozmawiać, spróbować nakłonić go, by powrócił do swojego świata, zanim będzie za późno, zanim zgubi ślad powrotny do świata istot żywych.

Ten duch sprawił, że wstrząśnięty Richard wrósł w posadzkę.

Wyglądał jak Kahlan.

Unosiła się przed nim wiotka, jaśniejąca zjawą. Promieniowała poświatą równie bladą jak wszystko w tym miejscu, ale za to intensywniejszą. Była też wyraźniejsza.

Wyglądała jak Kahlan. Serce Richarda - po raz pierwszy od tygodni - mocniej zabiło.

- Kahlan? Umarłaś? Jesteś teraz duchem?

- Nie - odparł duch. - Jestem matką Kahlan.

Richard znów zobojeźniał. Odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Czego chcesz?

Duch podążał za nim. Podobnie czyniły niekiedy i inne duchy, zainkierowane nim, bo pewnie był ciekawostką w ich świecie.

- Przyniosłam ci coś - powiedział duch. Chłopak się odwrócił.

- Co?

Wyciągnęła ku niemu różę. Zieleń łodygi i czerwień płatków zdumiewały w tym pozbawionym barw świecie. Była to odrobina przyjemności dla jego oczu. Woń kwiatu wypełniła mu nozdrza przyjemnym aromatem. Prawie nie pamiętał już, jaką przyjemność sprawiają kwiaty.

- Co mam z tym zrobić?

Duch wciąż podawał mu różę, nalegając, by Richard wziął kwiat. Nie bał się duchów, które przychodziły go odwiedzić. Nie mogły mu uczynić nic złego nawet te, które go nienawidziły. Wiedział, jak się bronić.

Wziął różę.

- Dziękuję. Wetknął łodygę za pas.

Odwrócił się i poszedł dalej. Duch matki Kahlan ruszył za nim. Nie miał ochoty spoglądać jej w twarz. Była co prawda duchem, a poświata sprawiała, że jej rysy nie były zbyt wyraźne, lecz i tak za bardzo przypominała Kahlan.

- Mogę z tobą porozmawiać, Richardzie?

Kroki chłopaka rozlegały się echem w olbrzymiej sali.

- Jeżeli chcesz.

- Chcę ci opowiedzieć o mojej córce, Kahlan. Czarodziej wojny zatrzymał się i odwrócił ku duchowi.

- Po co?

- Ponieważ jest częścią mnie. Pochodzi z mojego ciała, jak ty z ciała twojej matki. Kahlan to moje połączenie ze światem istot żywych, gdzie niegdyś byłam. I dokąd ty musisz powrócić.

Richard znów ruszył przed siebie.

- Jestem w domu. Nie zamierzam wracać do tamtego przykrego świata. Jeśli chcesz, bym zaniósł wieść twojej córce, to przepraszam, ale nie mogę tego zrobić.

Zostaw mnie.

Uniósł dłoń, chcąc przepędzić ją z sali, lecz wyciągnęła rękę, błagając go, by nie robił użytku ze swojej mocy.

- Nie chcę, żebyś zanosił wiadomość. Kahlan wie, że ją Kocham. Chcę z tobą porozmawiać.

- Dlaczego?

- Z powodu tego, co uczyniłam Kahlan.

- Uczyniłaś jej? Co jej uczyniłaś?

- Wpołam jej poczucie obowiązku. „Spowiedniczki nie znają miłości, Kahlan.

Znają wyłącznie obowiązek”. Tak jej mówiłam. Ku mojemu wstydnowi, nigdy nie wyjaśniłam jej, co przez to rozumiałam. Obawiam się, że zatrulałam jej tym życie.

Kahlan, bardziej niż którakolwiek ze znanych mi Spowiedniczek, chciała żyć pełnią życia, rozkoszować się nim. Obowiązek odebrał jej wiele. To dlatego jest tak dobrą opiekunką swojego ludu. Chce, żeby ludzie mogli się cieszyć życiem, ponieważ jasno widzi, z czego sama musiała zrezygnować. Pozostało jej radowanie się niewielkimi przyjemnościami.

- Do czego zmierzasz?

- Nie cieszysz się życiem, Richardzie?

Poszedł sobie.

- Pojmuję istotę obowiązku. Urodziłem się, żeby go wypełnić. Ale teraz już z tym skończyłem. Skończyłem ze wszystkim.

- I ty opacznie pojmujesz moje słowa o obowiązku. Dla osoby, która się naprawdę doń urodziła, to rodzaj miłości, dzięki której wszystko jest możliwe.

Obowiązek nie zawsze oznacza rezygnację z pewnych spraw. Może również polegać na dzieleniu się nimi z kimś innym. Obowiązek to nie tylko brzemię. Wypełniasz go najlepiej, kiedy Kochasz. Nie wróciłbyś do niej, Richardzie? Ona cię potrzebuje.

- Kahlan ma teraz męża. Nie ma dla mnie miejsca w jej życiu.

- Masz swoje miejsce w jej sercu.

- Kahlan powiedziała, że nigdy mi nie wybaczy.

- Richardzie, czy nigdy nie powiedziałeś czegoś, czego tak naprawdę nie myślałeś? Nie powiedziałeś czegoś takiego w desperacji? Nigdy nie chciałeś cofnąć wypowiedzianych słów?

- Nie mogę do niej wrócić. Jest zaślubiona innemu. Przysięgła mu i... Nie wrócę.

- Choć oddano ją innemu, choć nie możesz z nią być, choć łamie ci serce świadomość, że nie możesz jej mieć, to czy nie kochasz jej wystarczająco mocno, by uleczyć jej serce? By wlać w jej serce otuchę? Czy w tej twojej miłości liczysz się wyłącznie ty, a ona wcale?

Richard obrzucił ducha gniewnym spojrzeniem.

- Odnalazła szczęście podczas mojej nieobecności. Niczego ode mnie nie potrzebuje.

- Czy róża cię uradowała, Richardzie? Ruszył przed siebie.

- Tak. Jest bardzo ładna, dziękuję.

- I zastanowisz się teraz nad powrotem?

Chłopak obrócił się gwałtownie ku duchowi matki Kahlan.

- Dziękuję za różę. A oto tysiące innych w zamian, byś nie mogła powiedzieć, że jestem ci coś winny.

Wyrzucił przed siebie dłoń i powietrze wypełniło się różami. Ich płatki wirowały w czerwonej zawierusze.

- śałuję, że nie potrafiłam sprawić, byś zrozumiał, Richardzie. Widzę, że tylko sprawiłam ci ból. Opuszczę cię.

Zniknęła. Zasłana czerwonymi płatkami posadzka wyglądała jak zalana krwią.

Chłopak osunął się na podłogę, nie miał siły stać. Już wkrótce zostanie jednym z nich, duchem, i nie będzie musiał cierpieć w owej otchłani pomiędzy światami.

Znajdował pokarm, kiedy go potrzebował, spał, kiedy chciał, lecz nie mógł tutaj żyć w nieskończoność. To nie był świat istot żywych.

Wkrótce będzie jednym z nich i skończy się pustka, w którą zmieniło się jego życie.

Kahlan wypełniała kiedyś tę pustkę. Kiedyś była dla niego wszystkim. Wierzył jej. Myślał, że jego serce jest przy niej bezpieczne. Wyobrażał sobie więcej, niż naprawdę było. Jak mógł być aż takim głupcem? Czy to było jedynie złudzenie?

Podniósł głowę. Rozejrzał się po sali. Przejrzał w myślach listę przechowywanych tu przedmiotów. Kaskada widzenia. Była tutaj. Wiedział, jak się nią posłużyć.

Wstał i przeszedł przez salę. Pomiedzy dwoma filarami znalazł kamienny przedmiot. Dwie misy były ustawione jedna nad drugą: dolna

sięgała do pasa, górna znajdowała się tuż nad jego głową. Każde z naczyń miało kształt długiego prostokąta.

W połyskującym, szaroczarным kamieniu wycięto ozdobne symbole mocy i zaleceń.

Dolną misę wypełniał aż po wręby srebrzysty płyn, który - choć Richard wiedział, że było to coś zupełnie innego - przypominał materię sylfy. Wziął z półki srebrny dzban i zanurzył w dolnej misie. Przelewał jej zawartość, aż górne naczynie wypełniło się po brzegi srebrzystym płynem. Pochylił się nad dolną misą, by położyć dłonie na umieszczonych z boków symbolach. Odczytał starodawne słowa, które widział przed sobą, przyciskając dłonie do odpowiednich znaków. Kiedy już je wypowiedział, zogniskował uwagę na osobie, którą chciał zobaczyć. Jednocześnie słabym strumieniem mocy uwolnił płyn z górnej misy.

Spływając z całej krawędzi górnej misy, srebrzysty płyn utworzył przed twarzą Richarda cienką srebrną taflę. I w owej kaskadzie Richard zobaczył osobę, którą przywołał w pamięci. Zobaczył Kahlan.

Na jej widok ścisnęło mu się serce. Niemal przestał oddychać, o mało nie wykrzyknął jej imienia.

Była w białej szacie Spowiedniczki. Znajome rysy sprawiły, że poczuł bolesną tęsknotę. Była w Pałacu Spowiedniczek, w pobliżu swoich komnat, swojej sypialni.

Panowała tam noc. Richard patrzył, jak Kahlan przystaje przed drzwiami, i czuł, jak tłucze się w nim serce.

Drefan stanął za jej plecami. Położył dłonie na jej barkach, ścisnął je i nachylił się do ucha dziewczyny.

- Kahlan, moja żono, moja ukochana. Chcesz pójść do łóżka? Miałem ciężki dzień. Z utęsknieniem czekałem na noc twojej lubieżnej namiętności.

Richard cofnął dłonie. Cofał się chwiejnie, podnosząc pięści. Kaskada widzenia pękła. Ciężkie kamienne odłamki leciały przed jęzorami płomienia i dymem. Przemknęły ze świstem przez salę i zniknęły w oddali. Wielkie bryły kamienia poleciały z jękiem w górę, unoszone przez szalejący żywioł, a potem runęły w dół i rozbiły się na niewielkie fragmenty i pył. Srebrzysty płyn zalał posadzkę.

W każdej jego kropli i kałuży Richard widział twarz Kahlan.

Odwrócił się i odszedł sztywno. Płomień uderzył w posadzkę i zamienił

każdą kropelkę w parę, lecz chłopak wciąż widział jej twarz w najdelikatniejszej mgiełce.

Wyrzucił w górę pięści. Za jego plecami zniknęły, rozwiały się w nicość wszelkie kropelki i najdrobniejsze nawet smużki mgły.

Oszołomiony chłopak osunął się na posadzkę pośrodku sali i zapatrzył w pustkę.

Rozległ się złośliwy chichot. Richard wiedział, kto to. Wrócił jego ojciec, żeby znów go dręczyć.

- O co chodzi, synu? - zasyczał urągliwie Rahl Posępny. - Nie zadowala cię mąż, którego wybrałem dla twojej ukochanej? Mój syn, moja krew i moje ciało. Mój syn, Drefan, ożeniony z Matką Spowiedniczką. Ja uważam to za znakomity wybór. To dobry chłopak. Ona też wydaje się zadowolona. Ale to już wiesz, nieprawdaż?

Powinieneś się cieszyć, że ją to zadowala. I to jak zadowala.

Śmiech Rahl'a Posępnego zadudnił w sali.

Richard nie zadał sobie trudu przepędzenia stojącej nad nim świetlistej zjawy.

Jakież to miało znaczenie?

- I cóż odpowiesz, żono? Czy czeka nas noc dzikiej namiętności? Tej, którą ofiarowałaś mojemu bratu, gdy sądziłaś, że to ja?

Kahlan z całej siły uderzyła Drefana łokciem w mostek. Tego się nie spodziewał. Zgiął się z bólu i nie mógł złapać oddechu.

- Ostrzegałam cię, Drefanie, że poderżnę ci gardło, jeżeli mnie dotkniesz.

Zdażyła schować się do pokoju, zatrzasnąć za sobą drzwi i zasunąć zasuwę, nim na tyle przyszedł do siebie, by się śmiać z jej gniewu i urągliwie straszyć użyciem siły.

Kahlan stała drżąca w niemal zupełnych ciemnościach. Wyczuła coś. Przez chwilę zdawało się jej, że jest przy niej Richard. O mało go nie zawołała, nie wykrzyczała, że go kocha.

Złamana cierpieniem, przycisnęła ręce do brzucha. Czy kiedykolwiek przestanie o nim myśleć?

Richard nigdy nie wróci.

Stąpając po grubych dywanach, minęła salonik i weszła do sypialni. Ktoś przed nią stanął, więc przyjęła obronną pozycję.

- Przepraszam. Nie chciałam cię wystraszyć - szepnęła Berdine.

Kahlan westchnęła, rozluźniła zaciśnięte w pięści dłonie i wyprostowała się.

- Berdine. - Objęła ją. - Tak się cieszę, że cię widzę, Berdine. Co z tobą? Berdine rozpaczliwie tuliła się do Kahlan, pragnąc pocieszenia.

- To już kilka tygodni, a wydaje się, że Raina umarła dopiero wczoraj. Taka jestem na nią zła, że mnie zostawiła. A jak się na nią rozzłoszczę, to płacę, bo ogromnie mi jej brakuje. śłyaby, gdyby wytrzymała jeszcze kilka dni. Tylko kilka dni.

- Wiem, wiem - wyszeptała Kahlan. Odsunęła się od Berdine i zapytała cicho:

- Co tutaj robisz? Sądziłam, że poszłaś do wieży, by zmienić Carę.

- Zrobiłam tak, ale musiałam wrócić i porozmawiać z tobą.

- To znaczy, że nikt nie pilnuje sylfy? - Berdine potaknęła. - Nie możemy jej zostawiać samej, Berdine. Nie będziemy wiedzieć, czy ktoś nie wśliznął się do Aydindril z niebezpieczną magią. To właśnie...

Berdine ją uciszyła.

- Wiem. Ale to też jest ważne. Poza tym jaka to właściwie różnica? Cara i ja utraciliśmy moc. Teraz już nie powstrzymamy nikogo z magicznym darem, gdyby ktoś taki przybył przez sylfę. Muszę z tobą pomówić, Matko Spowiedniczko, a za dnia nigdy mi się to nie uda, bo Drefan wciąż się gdzieś kręci.

- Nie pozwól, by usłyszał, że nazywasz go inaczej niż „lord Rahl”, bo w przeciwnym wypadku...

- On nie jest lordem Rahlem. Nie jest, Matko Spowiedniczko.

- Wiem. Ale tylko takiego lorda Rahla mamy. Berdine spojrzała na Kahlan w oczy.

- Rozmawialiśmy z Cara. Uznałyśmy, że powinniśmy go zabić. Chcemy, żebyś nam pomogła.

- Nie możemy tego zrobić. - Kahlan złapała Berdine za ramię. - Nie możemy.

- Oczywiście, że możemy. Ukryjemy się na balkonie, ty sprawisz, żeby się rozebrał, dzięki czemu nie będzie miał pod ręką tych swoich noży, a kiedy... postarasz się go rozproszyć, wpadniemy i skończymy z nim.

- Nie możemy tego zrobić, Berdine.

- No dobrze, skoro nie podoba ci się ten plan, to z łatwością obmyślimy

inny.

Cała rzecz w tym, że musimy go zabić.

- Nie. Cała rzecz w tym, że nie możemy go zabić. Berdine spojrzała na nią gniewnie.

- Chcesz być żoną tej świni? Wcześniej czy później zaczniesz się domagać swoich mężowskich praw.

- Posłuchaj, Berdine. Nawet jeśli to zrobi, będę zmuszona to znieść.

Wytrzymam i gwałt. Jeśli to ocali życie ludzi. Nie możemy zabić Drefana. Jest jedynym lordem Rahlem, jakiego mamy. I tylko on zapobiega rozsypce armii, dopóki nie wymyślimy na to jakiegoś innego sposobu. Teraz są zdezorientowani jego brutalnym postępowaniem. D'Harańczycy są przyzwyczajeni do postępowania zgodnie z życzeniami lorda Rahla. Drefan zachowuje się tak, jakby był lordem Rahlem, i na razie żołnierze drapią się w głowy, zastanawiając, czy nim jest, czy też nie.

- Nie jest - upierała się Mord-Sith.

- Oczywiście, ale w tej chwili tylko on trzyma to wszystko razem. Jeżeli armia się rozpadnie, to Imperialny Ład przetoczy się przez Midlandy. Drefan przynajmniej do tego się przydaje.

- Ale ty jesteś Matką Spowiedniczką. Generał Kerson jest wierny tobie. Jest tu wciąż ze względu na ciebie, choć więź już nie istnieje. Większość oficerów również.

Są tu ze względu na ciebie, a nie ze względu na Drefana. Możesz to wszystko trzymać w garści równie dobrze jak on. Może by się to udało.

- A może nie. Mogę nie lubić Drefana, ale nie zrobił nic takiego, za co zasługiwałby na śmierć. Nie podobają mi się jego metody, lecz robi, co w jego mocy, by utrzymać spójność. Wspólnie, on i ja, zdołamy może zachować jedność wszystkich krain.

Berdine jeszcze bliżej przysunęła głowę.

- Dobrze wiesz, że to tak nie będzie trwać. Kahlan otarła dłonią twarz.

- Drefan jest moim mężem, Berdine. Przysięgałam mu.

- Przysięgałaś? To dlaczego nie wpuściłaś go do łóżka? Dziewczyna otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mogła znaleźć słów.

- Z powodu lorda Rahla, prawda? W dalszym ciągu myślisz, że wróci, nieprawdaż? Chcesz, żeby wrócił.

Kahlan przycisnęła palce do warg. Odwróciła się.

- Gdyby Richard chciał wrócić, już by tu był.
- Może tu chodzi o zarazę, może jeszcze nie skończył eliminować magii, która wywołuje mór. Może wróci, kiedy już z tym skończy.
Kahlan objęła się ramionami. Wiedziała, że nie w tym rzecz.
- Chcesz, żeby wrócił, prawda, Matko Spowiedniczko?
- Wysłałam za Drefana. Mam męża.
- Nie o to cię pytałam. Chcesz, żeby wrócił. Musisz pragnąć, żeby wrócił.
Kahlan potrząsnęła głową.
- Mówił, że zawsze będzie mnie kochać. Że jego serce będzie zawsze należeć do mnie. Obiecywał. - Kahlan stłumiła rozpacz. - Poszedł sobie. Może go... zraniłam, ale gdyby naprawdę mnie kochał, nie zrobiłby mi tego. Dałby mi szansę...
- Ale wciąż pragniesz, żeby wrócił.
- Nie. Nie chcę drugi raz tak cierpieć. Już nigdy nie chcę się narażać na takie cierpienia. I w ogóle źle postąpiłam, pozwalając sobie zakochać się w nim. - Znowu potrząsnęła głową. - Nie chcę, żeby wracał.
- Nie wierzę ci. Jesteś po prostu wytrącona z równowagi, tak jak ja z powodu śmierci Rainy. Ale gdyby Raina wróciła, wybaczyłabym jej to, że umarła, i w mgnieniu oka przyjąłabym ją z powrotem.
- A ja Richarda nie. Już nigdy nie powierzę mu mojego serca. Nie miał prawa tak mnie zranić, bez względu na to, co zrobiłam. Najpierw obiecywał, że będzie mnie kochać, choćby nie wiem co, a potem sobie poszedł. Zawiódł mnie w tej próbie.
Nigdy nie podejrzewałam, że aż tak mnie zrani. Sądziłam, że bez względu na wszystko moje serce jest przy nim bezpieczne. Ale tak nie było.
Berdine odwróciła Kahlan ku sobie i chwyciła ją za ramiona.
- Wcale tak nie myślisz, Matko Spowiedniczko. O nie. Ufność działa w obie strony. Jeśli prawdziwie go kochasz, to musisz mu ufać bez względu na wszystko, tak jak oczekujesz, że on będzie ufał tobie.
Z oczu Kahlan trysnęły łzy.
- Nie mogę, Berdine. To tak boli. Nie chcę znowu przez to przechodzić. Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Minęły już całe tygodnie. Zaraza dawno się skończyła.
Richard nigdy nie wróci.
- Nie wiem co prawda, co się stało tam, na górze, lecz spytaj sama siebie,

co byś czuła, gdybyś była na jego miejscu.

- Nie pomyślałaś, że pytam się o to co chwilę, każdego dnia? Wiem, co bym poczuła. Poczulałabym się zdradzona. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym była nim. Nienawidziłabym się tak, jak on nienawidzi mnie.

- Nie, to nieprawda. On cię nie nienawidzi. Lord Rahl może być zdezorientowany, zraniony, ale nigdy nie potrafiłby cię znienawidzić - uspokajała ją Berdine.

- Ale nienawidzi. Nienawidzi mnie za to, co uczyniłam. I to kolejny powód, dla którego już bym go nie chciała: za bardzo go skrzywdziłam. Jak mogłabym znów spojrzeć mu w oczy? Nie mogłabym. Nigdy nie mogłabym go poprosić, by raz jeszcze mi zaufał.

Berdine przytuliła Kahlan.

- Nie zamykaj swojego serca, Kahlan. Nie rób tego, proszę. Jesteś siostrą w Agielu. I jako twoja siostra proszę, żebyś tego nie robiła. - To i tak nie ma znaczenia - wyszeptała Kahlan. - I tak nie mogłabym z nim być, bez względu na to, co bym myślała, czego bym sobie życzyła, na co bym miała nadzieję. Muszę o nim zapomnieć. Duchy zmusiły mnie do poślubienia Drefana. Przysięgam Drefanowi i duchom, żeby ocalić życie ludziom. Muszę uszanować tę przysięgę. Richard również.

ROZDZIAŁ 62

Obudź go! - rozkazał głos w jej głowie.

Verna krzyknęła. Zdawało się jej, że obsiadły ją osy i żądlą ją wszystkie naraz.

Szaleńczo biła się po rękach, barkach, nogach i twarzy. Krzyczała z przerażenia i uderzała, uderzała, uderzała.

- Obudź go! - powtórzył głos w jej głowie. Głos Jego Ekscelencji.

Verna wyszarpnęła ściereczkę z wiadra i odwróciła głowę Warrena. Leżał na stole, nieprzytomny. Przyciskała wilgotne płótno do jego policzków i czoła. Drżącymi palcami odgarnęła mu do tyłu włosy. Krótco był nieprzytomny, więc pewnie dość łatwo go wybudzi.

- Warrenie! Obudź się, Warrenie! Warrenie!

Jęczał w malignie. Przycisnęła wilgotne płótno do jego ust, a drugą dłonią masowała mu plecy. Pocałowała go w policzek. Serce jej pękało, że tak cierpi.

Sprawiał to nie tylko ból zadawany przez Nawiedzającego Sny, ale i dar, nad którym nie miał kontroli. Przycisnęła palce do karku Proroka i wsączyła weń ciepły strumień swojej Han. Miała nadzieję, że to mu doda sił, sprawi, że odzyska przytomność.

- Warrenie, obudź się, proszę. Obudź się, zrób to dla mnie, bo inaczej Jego Ekscelencja się rozgniewa. Błagam cię, Warrenie - szlochała.

Twarz miała zalaną łzami. Nic jej to nie obchodziło. Musi tylko obudzić Warrena, bo inaczej Jego Ekscelencja sprowadzi na nich cierpienie. Nigdy nie wiedziała, że opór może być tak bezskuteczny. Nigdy się nie spodziewała, że tak łatwo można skłonić ją do zdradzenia wszystkiego, w co wierzyła.

Nawet nie mogła się zabić, by chronić tych, których kochała. Próbowwała. O tak, próbowała. Ale on na to nie pozwolił. Chciał, by żyli i służyli mu. Pragnął wykorzystywać ich magiczne dary.

Teraz wiedziała, że to musi być prawda: Richard pewnie nie żyje. Więź z nim została zerwana i nie mieli ochrony przed Nawiedzającym Sny. Wdzierał się do jej umysłu, kiedy tylko zapragnął. Jagang z przerażającą łatwością nakłaniał ją do spełniania swoich życzeń. Zupełnie jakby nie mogła

kontrolować swoich najprostszych działań. Jeśli imperator tak chciał, unosiło się ramię Verny, a ona mogła się temu jedynie przyglądać. Kontrolował jej korzystanie z Han. Więż nie istniała, zatem Siostra była bezsilna.

Warren znów jęknął. Wreszcie się poruszył. Tylko Ksieni potrafiła go ocucić, gdy dar odbierał mu świadomość. Jedynie dlatego Jagang nie odesłał jej do namiotów.

Tylko związek uczuciowy z Verną sprawiał, że Warren odzyskiwał przytomność. Siostra Światła wiedziała, że budzenie go, kiedy dar odbierał mu przytomność, było szkodliwe - dar robił to dlatego, by Warren wytrzymał, aż uzyska właściwą pomoc - lecz nie miała wyboru. Wykorzystywała ich miłość, by go obudzić, i przez to przybliżała go do śmierci. Ale Jagang nie dbał o to, dopóki Prorok robił, co mu kazano.

- Przepraszam. Ja... nie mógłbym... - wymamrotał Warren.

- Wiem - pocieszała go - wiem. Obudź się, Warrenie. Jego Ekscelencja życzy sobie, byśmy nie przerywali pracy. Musimy pracować.

- Ja... nie mogę. Nie mogę, Verno. Moja głowa...

- Proszę, Warrenie. - Ksieni nie panowała nad łzami. Ból uządleń tysięcy os nie pozwalał spokojnie stać, bez przerwy się wzdrygała. - Wiesz przecież, co on nam robi, Warrenie. Musisz wrócić do ksiąg. Przyniosę je. Tylko powiedz, które są ci potrzebne. Przyniosę je.

Potaknął i zmusił się, żeby usiąść. Ożywiał się powoli. Verna przysunęła bliżej lampę i podkręciła knot. Przysunęła księgę, którą czytał, gdy zemdłał, i poklepała stronicę.

- O tutaj, Warrenie. Tutaj. Tu czytałeś. Jego Ekscelencja chce wiedzieć, co to znaczy.

Młodzieniec przycisnął pięści do skroni.

- Nie wiem! Nie wiem, Wasza Ekscelencjo. Nie mogę dowolnie przywoływać wizji prorocstwa. Jeszcze nie jestem Prorokiem. Dopiero się nim staję. - Krzyknął, skręcał się na krześle. - Postaram się! Postaram! Pozwól mi spróbować! - Udręka zniknęła, pozostawiając Warrena bez tchu. Pochylił się nad księgą, oblizał wargi.

Drżącymi palcami wodził po linijkach tekstu, liniulkach prorocstwa. - Opiekuńcza przeszłość - mruczał pod nosem. - Opiekuńcza przeszłość niesie tę samą niełaskę, lecz przemieniona na nowy użytek, dla nowego pana... O

drogi Stwórco, nie wiem, co to oznacza. Pozwól, by spłynęła na mnie wizja.

Powóz się zatrzymał i Clarissa wyjrzała w ciemność. W powietrzu wisiał pył.

Tuż za okienkiem wznosiła się kamienna forteca. Było ciemno i nie widziała całej budowli, ale to, co zobaczyła, i tak wystarczyło, by jej serce zaczęło mocno bić.

Czekała, splatając palce, dopóki żołnierz nie otworzył drzwiczek.

- To już tutaj, Clarisso - Wyszeptał.

Wsparła się na jego ręce i wysiadła w czarną noc.

- Dziękuję, Walsh.

Drugi z przyjaciół Nathana, Bollesdun, siedział na koźle i mocno trzymał lejce.

- Teraz szybko - pouczył ją Walsh. - Nathan powiedział, żebyś nie zostawała tam dłużej niż kilka minut. Gdyby coś się stało, my dwaj nie damy rady cię odbić.

Wiedziała, że to prawda. Minęli tak wiele namiotów, że ich mnogość wprowadziła ją w osłupienie. Oddziały, które zdobyły Renwold, były niczym w porównaniu z tą liczbą żołnierzy.

Clarissa postawiła kaptur peleryny.

- Nie martw się, nie jestem tak głupia, by się tam ościagać. Nathan powiedział mi, co robić.

Zacisnęła dłonią pelerynę. Obiecała Nathanowi. On tak wiele dla niej zrobił.

Ocalił jej życie. Musi to dla niego uczynić. Zrobi to, żeby inni nie umierali.

Była przerażona, ale dla Proroka zrobi wszystko. Na całym świecie nie było lepszego od niego człowieka. Ani uprzejmiejszego, bardziej współczującego, dzielniejszego.

Przeszła obok Walsha pod podnoszoną żelazną kratą, potem dojściem przykrytym beczkowatym dachem. Przy posykującej pochodni stali dwaj strażnicy w okryciach ze skór. Byli obwieszani groźnie wyglądającym orężem.

Clarissa szczelnie otulała się peleryną, kaptur miała zsunięty do przodu.

Pochylała głowę, by strażnicy nie zdołali zobaczyć jej twarzy. Pozwoliła - tak, jak jej kazano - Żeby Walsh mówił.

Walsh wskazał ją gestem.

- Posłanka od pełnomocnika Jego Ekscelencji, lorda Rahla - oznajmił burkliwie, jakby niezadowolony, że to zadanie przypadło właśnie jemu.

Brodaty strażnik chrząknął.

- Tak mi i powiedziano. - Wskazał palcem drzwi. - Właźcie. Ktoś tam ma na was czekać.

Walsh poprawił pas z bronią.

- Znakomicie. Muszę ją odwiedzić jeszcze tej nocy. Możesz w to uwierzyć? Nie pozwolą nawet zaczekać do rana. Ten lord Rahl jest okropnie wymagający.

Strażnik pomrukiem wyraził swoje zrozumienie dla uciążliwości nocnej służby.

- A - dorzucił Walsh, jakby sobie przypomniał - lord Rahl pragnie też wiedzieć, czyjego posłanka mogłaby przekazać od niego ukłony Jego Ekscelencji.

Strażnik wzruszył ramionami.

- Nic z tego. Jagang wyjechał rankiem. Prawie wszystkich ze sobą zabrał. Zostawił tylko paru, żeby dbali o jego sprawy.

Clarissa była rozczarowana. Nathan miał nadzieję, że imperator tu będzie, ale powiedział też, że to tylko jego życzenia, bo Jagang prawdopodobnie okaże się na to za sprytny. Nawiedzający Sny nie był istotą skłoną ryzykować życie i narażać się na kontakt z nieznanymi możliwościami czarodzieja tak potężnego jak Nathan.

Walsh złapał Clarissę za ramię i popchnął ją naprzód, a jednocześnie przyjacielsko klepnął strażnika.

- Dzięki.

- Taa, idźcie korytarzem. Jedna z kobiet czeka na was. Jak ją ostatnio widziałem, to chodziła przy drugich pochodniach.

Walsh i Bollesdun byli żołnierzami Imperialnego Ładu, więc doskonale porozumiewali się z innymi wojakami, a ci nie czynili im żadnych wstrętów. Kobieta bała się myśleć, co by się z nią stało bez tych dwóch, gdy żołnierze zatrzymywali powóz, chcąc zapytać o cel podróży. Walsh i Bollesdun bez trudu przeprowadzali ją przez punkty kontrolne.

Clarissa aż nazbyt dobrze pamiętała, co przytrafiło się kobietom w Renwoldzie. Wciąż miała koszmary o tym, co robili z Mandą Perlin - a

widziała to na własne oczy - kiedy wojska Imperialnego Ładu zajęły miasto. I to tuż obok zamordowanego męża Mandy, Ruperta.

Odgłos ich pospiesznych kroków odbijał się echem w kamiennym korytarzu.

Było tu ciemno i wilgotno. Panowała przygnębiająca atmosfera. Clarissa dostrzegła zaledwie kilka drewnianych ław. To była budowla dla żołnierzy, nie na mieszkania dla rodzin.

Kobieta czekała - jak to zapowiedział strażnik - w pobliżu drugiego zestawu pochodni.

- O co chodzi? - spytała.

Clarissa zatrzymała się i w świetle łuczyw zobaczyła, że twarz tamtej jest okropnie pokiereszowana. Miała strasznie wyglądające nacięcia i zadrapania. Połowa dolnej wargi spuchła tak bardzo, że była dwa razy grubsza niż normalnie. Nawet Walsh się cofnął, gdy dobrze się jej przyjrzał.

- Mam się spotkać z Siostrą Amelią. Przysłała mnie pełnomocnik Jego Eksceleencji.

Kobieta najwyraźniej poczuła ulgę.

- Dobrze. To ja jestem Siostra Amelia. Mam tę księgę. Obym jej już nigdy nie ujrzała.

- Pełnomocnik Jego Eksceleencji nakazał również, bym przekazała wyrazy szacunku jego znajomej. Chodzi o Siostrę Verne. Jest tutaj?

- Nie wiem, czy powinnam...

- Jeżeli nie będzie mi się wolno z nią zobaczyć, Jego Ekscelencja będzie bardzo niezadowolony. Będzie zły, kiedy się dowie, że prośba jego pełnomocnika została tak nieuprzejmie załatwiona przez jedną z niewolnic. Ja także jestem niewolnicą, która służy Jego Eksceleencji, i mogę cię zapewnić, że nie wezmę tej winy na siebie.

Clarissa czuła się głupio, wypowiadając owe słowa, lecz - tak jak zapowiedział Nathan - odniosły magiczny skutek.

Siostra Amelia utkwiała wzrok w złotym kółku przeciągniętym przez wargę Clarissy. Przestała się wahać.

- Ależ oczywiście. Pozwólcie za mną. I tak tam właśnie jest przechowywana księga.

Clarissa - z Walshem u boku, który trzymał dłoń na rękojeści miecza - poszła za Siostrą Amelią w głąb mrocznej fortecy. Ruszyli długim

korytarzem, a potem skręcili. Clarissa uważnie patrzyła, którądy idą, żeby w razie potrzeby nie pomylić drogi i nie zabłądzić tu.

Siostra Amelia zatrzymała się przed drzwiami, zerknęła przelotnie na Clarissę, a potem uniosła skobel i wprowadziła ich do środka. W izbie byli kobieta i mężczyzna: on siedział przy stole z desek i studiował jakąś księgę, ona patrzyła mu przez ramię na to, co czytał.

Kobieta podniosła wzrok. Była trochę starsza od Clarissy, atrakcyjna, z kręconymi kasztanowymi włosami. Wydała się jej władcą osobą, którą zdruzgotały upokorzenia. Sprawiała wrażenie kogoś śmiertelnie udęconego. Clarissa nie wiedziała, czy było to cierpienie fizyczne czy emocjonalne.

- To Verna. - Wskazała na tamtą Siostra Amelia.

Verna się wyprostowała. Miała w wardze złote kółko, jak Siostra Mroku i Clarissa. Mężczyzna ze zmierzwionymi kręconymi blond włosami nie podniósł wzroku. Pochłonięty był tym, co zgłębiał.

- Rada jestem z poznania ciebie - powiedziała Clarissa. Verna obróciła się ku owemu mężczyźnie i księdze, którą czytał.

Clarissa odrzuciła z głowy kaptur i spojrzała na Siostrę Amelię.

- Księga?

- Oczywiście. - Siostra Amelia skłoniła się. - Jest tutaj.

Pospieszyła ku półce. Izba nie była duża. Na jednej z kamiennych ścian wisiała toporna półka. Ustawiono na niej może z setkę książek. Nathan miał nadzieję, że będzie ich o wiele więcej. Spodziewał się jednak, że Jagang nie zgromadzi zbyt wielu cennych łupów w jednym miejscu.

Siostra Amelia zdjęła tom z półki i położyła na stole. Nawet dotykanie owej księgi było dla niej przykre.

- Oto i ona.

Okładka była taka, jak ją opisał Prorok - osobliwa czerń, która jakby wchłaniała światło izby Clarissa odchyliła okładkę.

- Co czynisz?! - krzyknęła Siostra Amelia, podchodząc ku niej.

Clarissa spojrzała na nią.

- Pouczono mnie, jak się upewnić, czy to właściwa księga. Zostaw to mnie, proszę.

Siostra Mroku cofnęła się i splotła dłonie.

- Skoro tak, niech tak będzie. Lecz mogę cię zapewnić, że to na pewno ta

księga. Ta, której przekazanie uzgodniono z Jego Ekszelencją.

Wysłanniczka Proroka ostrożnie odwróciła pierwszą stronicę, a Siostra Amelia nerwowo oblizywała wargi. Verna obserwowała wszystko kątem oka.

Clarissa sięgnęła pod pelerynę i wyciągnęła mały skórzany worek z proszkiem, który dostała od Nathana. Posypała proszkiem otwartą stronicę. Zaczęły się pojawiać słowa: Czarodziej Kicker oddał to wichrom.

To po tę księgę przybyła. Nathan nie znał imienia czarodzieja, ale zapowiedział, że powinno być „oddał to wichrom” i imię. Zamknęła tom.

- Zechciej nas na chwilę zostawić samych, Siostrzo Amelio. Tamta skłoniła się i pospiesznie wyszła.

Verna znów się wyprostowała i zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

- Czy mogę zobaczyć twój pierścień?

- Mój pierścień? - Ksieni westchnęła w końcu i wyciągnęła rękę, pokazując Clarissie pierścień umieszczony na trzecim palcu. Widniało na nim promieniste słońce, jak zapowiedział Nathan. - Dlaczego chcesz zobaczyć... - Po raz pierwszy zauważyła żołnierza. Szeroko otworzyła oczy, szturchnęła Warrena w ramię i powiedziała: - Walsh?

Warren podniósł głowę. Walsh się uśmiechnął.

- Jak ci się wiedzie, Ksieni? A tobie, Warrenie?

- Nie za dobrze.

Clarissa zbliżyła się do nich. Ten mężczyzna, Warren, wyglądał na zaintrygowanego.

- Lord Rahl wysłał mnie po tę księgę. - Spojrzała znacząco na Verne i Warrena. - Łączy mnie więź z lordem Rahlem.

- Richard nie żyje - szepnęła głucho Verna.

- Wiem. Ale mnie jednak przysłał lord Rahl. Nathan Rahl, władca D'Hary. Chciał, żebym przekazała pozdrowienia od niego.

Verna otworzyła usta. Warren skoczył na równe nogi, a krzesło, na którym siedział, poleciało do tyłu.

- Rozumiecie? - spytała ostrożnie Clarissa. - Jeśli tak, to lepiej się pospieszcie.

- Ale Nathan, nie moglibyśmy...

- Cóż, muszę wracać do lorda Rahl a. Czeka na mnie. Mam powóz i powinnam natychmiast wyjechać - powiedziała Clarissa.

Verna spojrzała na Walsha. Skinął jej głową. Padła na kolana, złapała w garść fioletową szatę Warrena i jednym szarpnięciem pociągnęła go w dół.

- Zrób to, Warrenie! - Złożyła dłonie, skłoniła głowę i wypowiedziała słowa hołdu: - Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Warren wymawiał te słowa w ślad za nią.

Siostra Światła klęczała przez chwilę nieruchomo, ze złożonymi w modlitewnym geście rękami. Nagle krzyknęła z radości. Zaśmiała się jak szalona.

- Dzięki ci, Stwórco! Moje modły zostały wysłuchane! Jestem wolna!

Odszedł! Czuję, że zniknął z mojego umysłu!

Clarissa westchnęła z ulgą. Nathan ostrzegał ją, że jeśli Verna nie wypowie słów hołdu, będzie musiała tam umrzeć.

Verna i Warren obejmowali się i płakali z radości. Clarissa skłoniła ich, by podnieśli się z klęczek.

- Musimy stąd odejść, ale najpierw powinnam wypełnić jeszcze jedno życzenie lorda Rahla i poszukać kilku ksiąg.

- Ksiąg? - zapytał Warren. - Jakich ksiąg?

- Bliźniaczy szczyt, Siedem prac Sellerona, Księga odwrócenia i podwojenia, Dwanaście słów uzasadnienia.

Warren spojrzał na tom leżący na stole.

- Dwanaście słów to ta księga. Coś mi się zdaje, że widziałem też i inne.

Clarissa podeszła do półek.

- Pomóż mi szukać. Nathan chce wiedzieć, czy są tutaj. Musi wiedzieć.

Czytali tytuły na grzbietach. Niektóre księgi musieli zdejmować z półek, bo nie miały owych tytułów. Nie znaleźli jedynie Księgi odwrócenia i podwojenia.

Wysłanniczka Proroka otrzepała dłonie z kurzu.

- To wystarczy. Nathan mówił, że może ich tu wszystkich nie być. Brakuje tylko jednej, a to lepiej, niż mogliśmy się spodziewać.

- O co chodzi Nathanowi z tymi księgami? - zapytał Warren.

- Nie chce, żeby Jagang je miał. Mówi, że są niebezpieczne, zwłaszcza w rękach imperatora.

- Wszystkie mogą być niebezpieczne - wtrąciła się Verna.

- Tę troskę zostaw mnie - powiedziała Clarissa, wsuwając księgę ze stołu na puste miejsce. - Nathan po prostu musiał wiedzieć, które są tutaj. Teraz możemy już iść.

Verna złapała ją za rękaw.

- Mam tu dwie przyjaciółki. Musimy je zabrać ze sobą. Mówiłaś, że macie powóz. Wszyscy się zabierzemy.

- Kto to? - spytał Walsh.

- Janet i Amelia.

Walsh chrząknął znacząco, gdy Clarissa obejrzała się na drzwi.

- Ale Nathan mówił...

- Jeżeli przysięgną... lordowi Rahlowi, to też mogą uciec. - Verna dotknęła kółka w wardze Clarissy. - Nie wiesz, co oni tutaj robią z kobietami. Widziałaś twarz Amelii?

- Wiem, co robią - wyszeptała Clarissa, wspominając to, co widziała w Renwoldzie. - Czy one przysięgną?

- Oczywiście. A ty byś nie przysięgła, żeby się stąd wyrwać? Clarissa przełknęła ślinę.

- Zrobiłabym wszystko.

- No to szybko - wtrącił Walsh. - W powozie starczy miejsca, ale musimy się pospieszyć.

Verna skinęła głową i wysliznęła się z izby. Kiedy Siostra Światła poszła po tamte kobiety, Clarissa odpięła zameczek cienkiego złotego łańcuszka, który okalał jej szyję. Warren patrzył ze zdziwieniem, jak zdjęła księgę z dolnej półki i położyła ją na stole. Umieściła medalionik na pustym miejscu i ostrożnie go otworzyła. Delikatnie przesunęła go aż do samej ściany. Dała znak Warrenowi. Podał jej księgę, którą przedtem stamtąd wzięła, a ona odstawiła ją na miejsce.

- Co zrobiłaś? - spytał Warren.

- To, co kazał mi Nathan.

Verna wpadła do izby, trzymając za ręce dwie rozpromienione kobiety. Jedna z nich miała pokiereszowaną twarz. Była to Siostra Amelia.

- Przysięgły - powiedziała bez tchu Verna. - Łączy je więź z lordem Rahlem.

Wynośmy się stąd.

- Najwyższy czas - orzekł Walsh i uśmiechnął się leciutko do Verny, co upewniło Clarissę, że się znają.

Walsh znów chwycił Clarissę za ramię i poprowadzili pozostałych przez fortecę. Ciemny, ociekający wodą kamień cuchnął zgnilizną. W środku napotkali tylko kilku strażników, bo większość wojska odeszła z Jagangiem do jego wielkich namiotów.

Nathan mówił, że imperator podróżuje z wielką gromadą ludzi i ma duże, okrągłe namioty, wyposażone równie komfortowo jak pałac. W fortecy zostawił jedynie nielicznych oficerów i żołnierzy oraz kilka kobiet służących jako niewolnice jemu i jego armii.

Wyszli z za zakrętu korytarza, a jedna z owych kobiet szła akurat z naprzeciwka, niosąc dwa dymiące kociołki, z których unosiła się woń baraniego gulaszu. Była odziana tak samo jak wszystkie inne kobiety z wyjątkiem Verny, które widziała tu Clarissa. Ubiory Janet i Amelii wcale nie były dla Clarissy odzieniem.

Obie kobiety równie dobrze mogłyby być nagie, bo przejrzyste stroje i tak niczego nie przesłaniały. Owa kobieta uniosła głowę, spojrzała na nich, a zwłaszcza na Walsha, i natychmiast usunęła się na bok, ustępując im z drogi.

Clarissa zatrzymała się gwałtownie i wpatrywała w kobietę stojącą ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Manda? Czy to ty, Mando Perlin? - wyszeptała. Manda podniosła wzrok.

- Słucham, pani?

- Mando, to ja, Clarissa. Z Renwoldu. Clarissa.

Młoda kobieta zmierzyła ją wzrokiem, przyjrzała się kosztownym sukniom, biżuterii i ułożonym w loczki włosom. Wreszcie napotkała wzrok Clarissy i szeroko otworzyła oczy.

- To naprawdę ty, Clarisso?

- Tak.

- Ledwo... cię rozpoznałam. Wyglądasz... tak inaczej. Wyglądasz tak... - Posmutniała. - I ciebie złapali w naszych rodzinnych stronach? Widzę kółko.

- Nie. Nie złapano mnie.

Łzy napłynęły Mandzie do oczu.

- Och, to dobrze. Tak się cieszę, że ciebie wtedy nie złapali. To było...

Clarissa objęła młodą kobietę. Przez te wszystkie lata, przez które ją

Clarissa знаła, Manda nigdy tak długo z nią ni rozmawiała, a to, co jej wówczas mówiła, wcale nie było obyczajne. Clarissa zawsze nienawidziła Mandy za okrutne słowa, za okrutne kpiny, za drwiące uśmieški, za protekcyjne spojrzenia. Teraz jej współczuła.

- Musimy stąd wyjść, Mando. Chciałabyś odejść stąd z nami? Verna chwyciła ramię Clarissy.

- Nie możemy tego zrobić.

Clarissa obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

- Przybyłam tutaj, żeby cię uratować. Pozwoliłam ci zabrać dwie przyjaciółki.

Chcę stąd zabrać również moją przyjaciółkę.

Ksieni westchnęła i puściła ramię Clarissy.

- Oczywiście.

- Przyjaciółkę? - chlipnęła Manda z niewypowiedzianą smutną miną.

- Tak - odparła Clarissa. - Mogę i ciebie stąd wydostać.

- Zrobiłabyś to dla mnie? Po tym, jak za każdym razem... - Kobieta rozszlochała się i objęła Clarissę. - O tak! Błagam cię, Clarisso! Pozwól mi z wami iść!

Clarissa złapała ją za nadgarstki i odsunęła od siebie.

- No to posłuchaj uważnie. Dam ci tylko jedną szansę. Mój pan ma magiczną zdolność chronienia twojego umysłu przed Nawiedzającym Sny. Musisz mu złożyć przysięgę. Musisz być wobec niego lojalna.

Manda padła na kolana, wczepiła się w suknię Clarissy

- Tak, przysięgam.

- Powtarzaj za mną słowa i uwierz w nie całym sercem. Manda powtórzyła za Clarissa słowa hołdu. Kiedy skończyła, Verna i Clarissa pomogły rozszlochanej kobiecie się podnieść. Manda zawsze onieśmiała Clarissę - zawsze bała się jej pogardy. Ileż razy przechodziła przez ulicę, pochylając nisko głowę i próbując nie zwrócić uwagi Mandy?

- Pospieszmy się - ponaglił je Walsh. - Nathan mówił, żebyśmy stąd szybko znikali.

Przy wyjściu żołnierz opowiedział historyjkę, jak to pełnomocnik Jego Ekscelencji zażyczył sobie kilku kobiet. Strażnik gapił się na niemal nagie kobiety.

Uśmiechnął się porozumiewawczo i klepnął Walsha w plecy.

Kobiety i Warren stłoczyli się w powozie, a Walsh wspiął się na kozioł i usiadł obok Bollesduna. Kiedy ruszyli, Clarissa zepchnęła Janet i Mandę na podłogę, by móc podnieść obite skórą siedzenie. Wyjęła długą pelerynę. Miała tylko tę jedną, bo jechali ratować wyłącznie Verne i Warrena. Ponieważ Ksieni miała pelerynę, Clarissa dała tę zapasową Mandzie, a Janet i Amelii podała koce. Wszystkie trzy kobiety były niewypowiedzianie wdzięczne, że wreszcie mogły się osłonić.

Clarissa usiadła z boku, trzymając tę dziwną księgę, po którą wysłał ją Nathan.

Na drugim końcu siedziała Amelia, a Manda pośrodku, trzymając się Clarissy dla dodania sobie otuchy. Łkała na ramieniu kobiety i wylewnie jej dziękowała. Clarissa objęła Mandę i powiedziała jej, że już dostatecznie wyraziła swoją wdzięczność.

Choć z drugiej strony było jej przyjemnie, że dla odmiany piękna Manda Perlin szanuje ją, zamiast patrzeć na nią z góry. A wszystko to dzięki Nathanowi. Jakżeż odmienił jej życie: wszystko zmienił.

Trzy razy musieli się zatrzymać, bo żołnierze kontrolowali powóz. Raz kazali im wszystkim wysiąść. Koce i peleryna musiały zostać w środku, gdy Janet, Amelia i Manda znalazły się na zewnątrz. Walsh w prostych żołnierskich słowach wyjaśnił, co robi z tymi niewolnicami. Powiedział, że wiezie je, by umiliły życie pełnomocnikowi Jego Ekscelencji. Żołnierzy zadowolili owe wyjaśnienia i pozwolili im jechać dalej.

W porcie skręcili na północ i trzymali się drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża.

Clarissa westchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, jak za nimi znikają w oddali ostatnie ogniska i namioty. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza, blisko godzinę po minięciu ostatnich namiotów, błysk rozjaśnił za nimi niebo.

Z kozła doleciał radosny okrzyk. Walsh wychylił się i przytknął twarz do okienka.

- Dobra robota, Clarisso! Udało się!

Kobieta się uśmiechnęła. Żołnierz wyprostował się i wraz z Bollesdunem pohukiwali w noc. Dotarł do nich odgłos eksplozji i Manda podskoczyła przerażona.

Verna, która siedziała pośrodku drugiej ławeczki, zapaliła płomyk nad otwartą dłonią i nachyliła się ku Clarissie.

- Robota? Co ci się udało?

Clarissa poklepała atramentowoczną księgę.

- Nathan wysłał mnie po tę księgę i chciał, żebym zniszczyła te, które zostały.

Powiedział, że były bardzo niebezpieczne, zwłaszcza gdybyś ty, no i przede wszystkim Warren podała Jagangowi znaczenie zawartych w nich proroctw. Nathan nie chciał, by imperator wykorzystał te informacje.

- Rozumiem. Szczęśliwie dla nas przysięgliśmy lojalność... lordowi Rahlowi i pojechaliśmy z wami - odparła Verna.

Clarissa przytaknęła.

- Nathan powiedział, że mam wam dać szansę, ale że tak czy owak mam otworzyć medalionik i ukryć go tam. Mówił, że Jagang, mając i proroctwa, i Warrena, mógłby wszystko zaprzepaścić, gdybyście powiedzieli mu coś naprawdę ważnego.

Verna wypuściła powietrze i mocno zacisnęła wargi. Wymieniła spojrzenia z Warrenem.

- Nie mogę uwierzyć, że po tych wszystkich latach wreszcie spotkam się z Prorokiem - odezwał się Warren. - Nie tak dawno straciłem nadzieję, a teraz...

zobaczę Nathana.

Verna chrząknęła teatralnie.

- Z deszczu pod rynnę. Nie mogę uwierzyć, że przysięgam lojalność temu szalonemu starcowi.

Clarissa nachyliła się ku niej.

- Nathan jest olśniewający. Wcale nie jest stary. Siostra Światła zaśmiała się krótko.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo jest stary, dziecko.

- I nie jest szalony. Nathan jest najmilszym, najwspanialszym i najhojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam!

Verna zerknęła na widoczne w dekolcie piersi Clarissy, a potem popatrzyła jej w oczy. Clarissa była przyzwyczajona do takich spojrzeń.

- O tak. Na pewno taki jest, moja droga - szepnęła Ksieni.

- Lepszemu nie mogłabyś przysiąc lojalności - orzekła Clarissa. - Nathan jest nie tylko troskliwy i uprzejmy. Jest też potężnym czarodziejem. Widziałam, jak zmienił innego czarodzieja w kupkę popiołu.

Verna zmarszczyła brwi.

- Innego czarodzieja? Clarissa przytaknęła.

- Nazywał się Vincent. Vincent, jeszcze jeden czarodziej i dwie Siostry, Jodelle i Willamina, odwiedzili Nathana. Chcieli go skrzywdzić. Ale on zmienił Vincenta w kupkę popiołu.

Verna uniosła brwi.

- A potem - ciągnęła Clarissa - byli dla niego bardzo uprzejmi i Jagang zgodził się oddać księgę - poklepała wolumin - Nathanowi. Imperator powiedział, że Nathan może mieć albo księgę, albo Siostrę Amelię. Teraz będzie miał i jedną, i drugą.

Nathan ma wielkie plany. Pewnego dnia będzie władał światem.

Verna i Warren łypnęli na siebie spod oka. Verna popatrzyła na Amelię.

- Co to za księga, Amelio?

- Ukradłam ją ze Świątyni Wichrów - powiedziała ochryple Amelia. - Tylko ja mogę się nią posługiwać. Ja wywołałam zarazę. Dlatego zmarło już tysiące ludzi. W ten sposób Jagang wyeliminował Richarda Rahla.

- Dzięki ci, Stwórco, że wciąż mamy Nathana Rahla, by chronił nas dzięki więzi - dodała Amelia.

- Drogie Stwórco, na cośmy się zgodzili, przysięgając komuś takiemu jak Nathan? - wyszeptała Verna.

ROZDZIAŁ 63

Richard rozpoznał sunącą ku niemu zjawę i podniósł się z tronu czarodzieja.

Nie potrafił przywołać konkretnego ducha i nie zawsze znał te, które same przychodziły, lecz tego ducha znał. Z tym duchem łączyła go więź.

Kiedyś bał się osoby, którą był ów duch, bał się i nienawidził jej. Zdołał się uwolnić dopiero wtedy, gdy ją zrozumiał, gdy wybaczył jej to, co mu uczyniła. Zabił ją i owym czynem wybawił z udręki.

To ten duch zaniósł Kahlan i Richarda do owego miejsca pomiędzy światami.

- Richardzie - powiedział duch i jakby się uśmiechnął.

- Denno.

- Widzę, że nosisz Agiel. Ale nie mój. Richard z wolna potrząsnął głową.

- To Agiel jeszcze jednej Mord-Sith, która przeze mnie umarła.

- Raina. Znałam ją w świecie żywych i znam ją tutaj. Nie może cię tu odwiedzić, bo znalazła się w świecie duchów już po zbezczeszczeniu wichrów. Nie może pokonać sił broniących dostępu do ciebie i wichrów. Wiedz, że jej duch zażywa spokoju. Dałeś jej poczucie spokoju za życia, więc poprosiła, bym do ciebie przyszła.

Richard obrócił w palcach czerwony Agiel

- Twój Agiel dałem Kahlan. Jak ci kiedyś mówiłem, tylko ona potrafi zadać mi większy ból niż ty.

- Tylko ty sam, Richardzie, możesz zadać sobie większy ból, niż ja bym to potrafiła.

- Niech ci będzie. Nie mam ochoty się sprzeczać. Miło cię widzieć, Denno.

- Możesz zmienić zdanie, jak z tobą skończę.

Richard się uśmiechnął: jej prawdziwy charakter ujawniał się nawet teraz, w świecie duchów.

- Nie możesz mnie tu zranić, Denno.

- Tak sądzisz? Może i nie mogę skaleczyć twojego ciała, ale nadal mogę cię zranić. - Skinęła głową sama sobie. - O tak, Richardzie, mogę cię zranić.

- W jaki sposób? Denna uniosła rękę.

- Mogę przywołać twoje wspomnienia i sprawić, że staną się realne. Ty i ja mamy wspólną przeszłość.

Richard rozłożył ramiona.

- A w jakimż to celu?

Mord-Sith rozłożyła świetliste ramiona.

- Decyzja należy do ciebie, Richardzie.

Świątynia Wichrów zniknęła ze świadomości chłopaka w błysku światła i znów znalazł się w miejscu, które pamiętał: w pałacu w Tamarang.

Znów tam był.

Znów był przerażony. Denna go pojmała. Torturowała go całymi dniami. Był półprzytomny i słaby.

Szedł za Mord-Sith przez obszerną komnatę jadalną i każdy krok sprawiał mu ból. Nadgarstki miał poprzecinane i opuchnięte od kajdanów, na których podciągała go ku belce. Kiedy Denna zatrzymywała się i rozmawiała z ludźmi, Richard wpatrywał się w jej warkocz i czekał w milczeniu.

Kontrolowała jego życie, jego przeznaczenie. Wolno mu było czynić tylko to, na co pozwoliła. Nie jadł, od kiedy go pojmała. Pragnął coś zjeść. Byle co.

W uszach dzwoni! mu śmiech i rozmowy gości królowej. Denna także była gościem królowej. Richard - połączony z nią łańcuchem przyczepionym do obroży na jego szyi - był więźniem Denny.

Nie pozwoliła mu jeść podczas owych dni tortur i bardzo potrzebował stawy.

Mord-Sith usiadła za stołem i pstryknęła palcami, pokazując na podłogę za swoim krzesłem. Richard opadł na podłogę, zadowolony, że mu na to pozwoliła. Mógł odpocząć. Nie wisiał na zaczepionym o kajdanki łańcuchu, nie musiał stać całą noc, nie był torturowany.

Wszyscy goście jedli. Aromaty potraw sprawiały, że cierpiał katusze. Dręczył go głód. Wszyscy posilali się, a on musiał siedzieć na podłodze za Denną i patrzeć, jak inni cieszą się tym, czego mu zakazano.

Richard wspominał chwile spędzone z Kahlan w obozowisku, gdy jedli upieczonego nad ogniskiem królika lub osłodzoną jagodami owsiankę. Oblizywał wargi, myśląc o soczystym, gorącym, miękkim mięsie pokrytym brązową chrupką warstwą. Tak go radowały wspólne posiłki. Najlepsze jedzenie, najmiłsze towarzystwo.

Teraz odebrano mu tamto życie, zmuszono do innego.

Kiedy wszyscy posilali się już od jakiegoś czasu, służący wniósł miskę kleiku.

Denna kazała ją dać Richardowi. Trzymał miskę w drżących dłoniach. Przedtem odtrąciłby ją ze wstrętem, teraz jednak miał tylko to do jedzenia. Musiał postawić naczynie na podłodze i jeść jak pies, a śmiech gości ranił mu uszy. Nie dbał o to.

Nareszcie pozwolono mu jeść.

Pozwolono mu tylko zjeść kleik, lecz w owej chwili straszliwego głodu była to przepyszna potrawa - oznaczała uwolnienie od ssącego głodu; od okropności przyglądania się, jak inni jedzą, podczas gdy on umiera z głodu; zaspokojenie podstawowej potrzeby, którego tak długo mu odmawiano.

Chłptał kleik, smakował go, łapczywie połykał. Nie mógł uciec ze swojego więzienia i nie miał tu nic do powiedzenia, więc zdecydował, że jeśli pozwolono mu wyłącznie na kleik, to musi się z tym pogodzić i nasycić głód tym, co dostał.

Drugi błysk blasku w umyśle Richarda.

Barwy zniknęły, niemal sprawiając mu tym ból, i chłopak znów widział wokół siebie blade mgły Świątyni Wichrów.

Tkwiał na czworakach na podłodze, ciężko dysząc z przerażenia. Nad nim górował duch Denny, jaśniejąc białą poświatą.

Denna miała rację. Wciąż mogła zadać mu ból. Lecz tym razem zadała mu go z miłości.

Podniósł się chwiejnie. Jak mógł myśleć, że przedtem niczego nie wiedział i że wiedza Świątyni Wichrów pozwoliła mu przejrzeć na oczy? Cały czas patrzył, ale nie widział. Wiedza bez uczucia była pozbawiona wartości.

Czarodziej Ricker zostawił mu u sylfy wiadomość, jednak on ową wieść zlekceważył.

„Lewa garda przed wejściem. Prawa garda przed wyjściem. Chroń swe serce przed skamienieniem”.

Nie ustrzegł swego serca przed skamienieniem i o mało co wszystkiego nie utracił.

- Dziękuję, Denno, za dar bólu.

- Nauczyło cię to czegoś, Richardzie?

- Uzmysłowiło mi, że muszę wracać do domu, do mojego świata.

- Dziękuję, Richardzie, że nie zawiodłeś moich oczekiwań.
- Gdybyś nie była duchem, to bym cię ucałował - powiedział i uśmiechnął się.

- Myśl jest darem, Richardzie. - Denna uśmiechnęła się smutno.

Wymienił z nią spojrzenie, spojrzenie pomiędzy światami.

- Denno, czy mogłabyś przekazać Rainie, że wszyscy ją kochamy?

- Raina o tym wie. Serdeczne uczucia przenikają przez granicę.

Richard potaknął.

- Więc musisz wiedzieć, jak bardzo i ciebie kochamy.

- To dlatego poręczyłam za ciebie w twojej sprawie z wichrami. Podał jej ramię.

- Czy zechciałabyś towarzyszyć mi do wyjścia? Przy tobie odnalazłbym spokój, nim opuścę tę pustkę. Najgorsze jeszcze przede mną.

Denna sunęła u jego boku, kiedy szedł ku wyjściu, po raz ostatni krocząc przez Salę Wichrów. Nie rozmawiali - słowa nie oddałyby tego, co miał w sercu.

W pobliżu wielkich drzwi czekał na nich duch Rahla Posępnego.

- Wybierasz się gdzieś, mój synu? - Jego głos przetoczył się przykrym echem przez salę.

Richard spojrzał gniewnie na ducha ojca.

- Wracam do mojego świata.

- Nie masz po co. Kahlan, twoja jedyna ukochana, wyszła za innego.

Przysięgła mu przed duchami.

- Nigdy nie pojmiesz, dlaczego wracani.

- Kahlan jest żoną mojego syna, Drefana. Już jej nie możesz mieć.

- Nie po to wracam.

- To po co stąd odchodzić? Teraz w świecie żywych nic na ciebie nie czeka.

Richard minął ducha ojca. Nie musiał niczego tłumaczyć temu, który tak go zasmucił. Denna sunęła obok chłopaka.

Rahl Posępny pojawił się znów przed drzwiami. Zagroził im drogę.

- Nie odejdiesz.

- Nie możesz mi przeszkodzić.

- Mogę, mój synu, mogę.

- Musisz go przepuścić - odezwała się Denna.

- Ale tylko wtedy, kiedy przystanie na moje warunki. Richard spojrział na Denne.

- O czym on mówi?

- Duchy postawiły warunki co do twojego wejścia do naszego świata. Była to jedyna dostępna dla ciebie droga, wezwano zatem Rahl Posępnego i pozwolono mu wywrzeć wpływ na decyzję. Pozwolono mu wybrać cenę, jaką masz zapłacić za przybycie tutaj, zdecydować, co masz poświęcić. Rahl Posępny zażądał największego poświęcenia: ślubu Kahlan z Drefanem. Jeżeli ten, kto miał wpływ na twoje przybycie tutaj, tak postanowi, to ów duch ma również prawo stawiać warunki dotyczące twojego odejścia.

- Mogę go przegnać. Teraz wiem, jak to zrobić. Mogę go wypędzić z wichrów, a potem odejść - powiedział Richard.

- To nie takie proste. Do tej budowli w świecie duchów dotarłeś ze świata żywych przez zaświaty. Powrócić też musisz przez zaświaty. Duchy mogą określić cenę za to. Jednak musi to być cena sprawiedliwa, biorąc pod uwagę wchodzące w grę moce i światy, oraz taka, którą byłbyś w stanie zapłacić - odpowiedziała Denna.

Richard przeczesał włosy palcami.

- I muszę zapłacić?

- Musisz, jeśli poda cenę spełniającą owe zasady i jeśli chcesz wrócić do swojego świata.

Rahl Posępny, obdarzając ich swoim wstrętnym uśmiechem, podpłynął bliżej.

- Mam tylko dwa błahe, skromne warunki. Spełnij je, a będziesz mógł powrócić do twojego brata, Drefana, i jego żony.

Richard obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Wymień ją, lecz jeśli zażadasz zbyt wysokiej ceny, a ja postanowię jej nie zapłacić i pozostać tutaj, to przysięgam, że poświęcę całą wieczność na sprawianie, by twój duch wił się w męczarniach. A wiesz, że mogę to uczynić: wichry mnie tego nauczyły.

- Musisz więc zdecydować, jak bardzo jest to dla ciebie ważne, mój synu.

Myślę, że zapłacisz.

Richard nie zamierzał mu powiedzieć, jakie to ważne, bo cena by wzrosła.

- Wymień cenę, a ja zdecyduję, czy ją zapłacę. Zamierzałem tu zostać i

jeszcze mogę to zrobić.

Rahl Posępny znalazł się tak blisko, że Richard omal nie cofnął się przed iskrzeniem jego poświaty. Zmusił się, by wytrzymać. Stał w tym samym miejscu i to bez magicznej osłony.

- Och, cena będzie w istocie wysoka, jednak sądzę, że ją zapłacisz. Znam cię, Richardzie. Znam twoje niemądre serce. Dla niej zapłacisz nawet taką cenę.

Rahl Posępny naprawdę znał serce Richarda. W końcu to Rahl Posępny niemal je zniszczył.

- Podaj cenę lub odejdz.

- Po pierwsze, zanim tu przybyłeś, wiedza Świątyni Wichrów nie należała do ciebie. Musisz powrócić taki, jaki się tutaj zjawiłeś: bez nabytej tu wiedzy. W twoim świecie będziesz taki sam jak przedtem, nim go opuściłeś.

Richard się tego spodziewał.

- Zgoda.

- Och, znakomicie, mój synu. Jaki jesteś ochoczy, jaki żarliwy. Czy równie łatwo przystaniesz na drugi warunek? - Wydawało się, że jego uśmiezek obedrze kości z ciała. - Bardzom ciekaw.

Jego głos zmienił się w śmiercionośny syk. Kiedy Rahl Posępny wymienił drugi warunek, pod Richardem niemal ugięły się kolana.

- Czy on może to uczynić? Czy może tego zażądać? - wyszeptał z trudem.

Denna patrzyła nań smutnymi oczami.

- Tak.

Richard odwrócił się od obu duchów. Pochylił głowę, zasłonił dłonią oczy.

- To aż tak dla mnie ważne. Zgadzam się - wyszeptał.

- Wiedziałem, że się zgodzisz. - Świątynia Wichrów rozbrzmiała złowrogim śmiechem Rahla Posępnego. - Wiedziałem, że dla niej zgodzisz się nawet na to.

Richard zebrał myśli. Odwrócił się powoli i wyciągnął rękę ku złemu duchowi.

- Stawiając te warunki, ukazałeś mi całkowitą pustkę twojego ducha. I tu popełniłeś błąd, drogi ojczy, ponieważ mogę wykorzystać ową pustkę przeciw tobie.

Śmiech ucichł.

- Przystałeś na cenę, którą ustanowiłem zgodnie z moim prawem i mocą. Możesz mnie jedynie przepędzić z wichrów, a to nie anuluje owej ceny. Świat duchów wymusi spełnienie owych warunków, skoro zostały postawione i zaakceptowane.

- I tak się stanie. Lecz ty posmakujesz mojej zemsty za wszystko, co uczyniłeś, w tym również za cenę, której zażądałeś, choć mogłeś poprzestać na pierwszym warunku - odparł Richard.

Richard uwolnił strumień najczystszej magii subtraktywnej, nie skażony ani odrobiną magii addytywnej. Rozpętał moc próżni.

Ducha Rahla Posepnego pochłonęło całkowite przeciwieństwo Światła.

Z owej wieczystej czeluści doleciał żaloszny lament - to Rahl Posepny pogrążył się w niczym nie zmaconym mroku Opiekuna zaświatów, dokąd nie docierała najmniejsza nawet iskierka Światła Stwórcy.

Właśnie to całkowite pozbawienie kontaktu ze Światłem stanowiło prawdziwą udrękę czarnej wieczności Opiekuna.

Kędy tamten zniknął, Richard ponownie odwrócił się ku przejściu do świata żywych.

- Przykro mi, Richardzie. On jeden mógł zażądać tego od ciebie - rozległ się łagodny głos Denny.

- Wiem - wyszeptał chłopak, przywołując błyskawicę, żeby zabrała go z powrotem. - Wiem, drogi duchu.

ROZDZIAŁ 64

Drefan ujął rękę Kahlan i przycisnął do siebie ramię żony. Na białym żabocie jego koszuli wisiały dwa czerwone Agiele.

- Czyż to już nie najwyższy czas, byś skończyła z tym udawaniem, moja żono?

Czyż to nie najwyższy czas, byś uległa swoim pragnieniom i przyznała, jak mnie pożadasz?

Kahlan spojrzała gniewnie w jego błękitne oczy, oczy Rahla Pośepnego.

- Naprawdę jesteś szalony, Drefanie, czy tylko udajesz? Zgodziłam się wyjść za ciebie tylko dlatego, by ocalić ludziom życie, a nie dlatego, że tak chciałam. Kiedy wreszcie to sobie uświadomisz? Nie kocham cię i nigdy nie pokocham.

- Miłość? Czyż kiedykolwiek wspomniałem o miłości? Mam na myśli namiętność.

- Łudzisz się, sądząc, że ja...

- Już to zrobiłaś. I znów tego chcesz.

Zraniło ją do żywego, że tak łatwo się domyślił, co przydarzyło się z Richardem. Nieustannie o tym wspominał. Naigrawał się z niej. To była nieustająca kara za to, co zrobiła - plama, której niczym nie mogła zmyć.

Wśród gór przetoczył się odległy grzmot; nagła wiosenna burza przesuwiała się dalej, za Aydindril. Groźna błyskawica przypomniawsza Kahlan Richarda. Dziewczyna stała przy oknie, obserwowała gwałtowne wyładowania i wspominała.

- Nigdy.

- Jesteś moją żoną. Przysięgałaś.

- Tak, Drefanie, przysięgałam i jestem twoją żoną. I w ten właśnie sposób przeżyję życie, lecz duchy zadowolily się tym, co im oddałam. Nie żądają niczego więcej, bo wówczas zaraza by nie ustąpiła. - Odsunęła się. - Jeśli mnie chcesz, będziesz musiał mnie zgwałcić, bo to byłoby gwałtem. Nie wejdę do twego łóżka z własnej woli i łatwo mnie do tego nie skłonisz.

Uśmiech arcykapłana doprowadzał ją do wściekłości.

- Mogę poczekać, aż w końcu ulegniesz swojej żądzy. Chcę, żebyś się tym radowała. Pragnę, byś to wreszcie przyznała, byś o to błagała.

Już odchodził, ale odwrócił się, gdy go zawołała.

- Po co ci Agiele Cary i Berdine?

Dotknięcie Agiela sprawiało ból tylko w przeszłości, kiedy było się więźniem Mord-Sith. Były orężem jedynie w dłoniach Mord-Sith, do których należały, lecz bez więzi z prawdziwym lordem Rahlem utraciły swoją moc. Dla Drefana stanowiły wyłącznie sprośne ozdoby.

Uniósł czerwone bicze, żeby się im przyjrzeć.

- Pomyślałem, że skoro jestem teraz lordem Rahlem, to powinienem je nosić jako oznakę mojej władzy. W końcu Richard nosił Agiel. I ty nosisz.

- Agiele, które my nosimy, nie są oznakami władzy. To symbol naszego szacunku dla kobiet, do których należały.

Wzruszył ramionami, pozwolił biczom opaść.

- Wojsko wydaje się onieśmielone tym, że je noszę. I o to chodzi. Dobranoc, moja droga. Śpij dobrze. - Znów się chytrze uśmiechał. - Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Kahlan, mruczając pod nosem przekleństwo, otworzyła ramieniem drzwi do swoich komnat. Była wyczerpana i chciała paść na łożo, choć wiedziała, że wzburzony umysł nie pozwoli jej zasnąć.

Czekała na nią Berdine.

- Poszedł już do łoża? - spytała, mając na myśli Drefana.

- Tak. Ja też mam taki zamiar - odparła Kahlan.

- Nie, nie możesz. Musisz pójść ze mną.

Kahlan zmarszczyła brwi, widząc poważną minę Berdine.

- Dokąd?

- Musimy iść do Wieży Czarodzieja.

- Co się stało? Coś z sylfą? Czy ktoś próbował przedostać się przez sylfę?

Berdine podeszła bliżej i wykonała przeczący gest.

- Nie, nie. Tu nie chodzi o sylfę.

- Więc o co?

- Po prostu chcę, żebyś tam ze mną poszła i tyle. Potrzebuję towarzystwa.

Kahlan przesunęła dłonią po ramieniu tamtej.

- Wiem, jaka jesteś samotna, Berdine, ale jest już późno, boli mnie głowa i jestem zmęczona. Całe popołudnie i wieczór spędziłam na rozmowach z Drefanem, generałem Kersonem i wieloma oficerami. Drefan chce przemieścić wojska do D'Hary. Chce, żebyśmy wszyscy przenieśli się do

D'Hary. Chce zostawić Midlandy Imperialnemu Ładowi i skoncentrować się na obronie D'Hary. Tylko ja sprzeciwiałam się temu. Muszę się położyć i trochę wypocząć, żeby rankiem znów mogła spróbować ich przekonać o szaleństwie planu Drefana. Generał wcale nie jest przekonany, że Drefan nie ma racji. Ale ja jestem.

- Później się prześpisz. Teraz idziesz ze mną do wieży.

Kahlan spojrzała w niebieskie oczy Mord-Sith. I takie właśnie teraz były: oczy Mord-Sith. To nie Berdine mówiła, lecz pani Berdine, tak chłodna i władcza jak każda Mord-Sith.

- Nie pójdę, dopóki nie powiesz po co - upierała się. Berdine złapała ją za ramię.

- Idziesz ze mną do wieży. Możesz albo siedzieć w siodle? albo wisieć przerzucona przez nie. Wybór należy do ciebie, ale idziesz, i to natychmiast.

Kahlan jeszcze nigdy nie widziała w oczach Berdine takiej determinacji. To było przerażające. Oto właściwe określenie: przerażające.

- W porządku, chodźmy, skoro to takie dla ciebie ważne. Po prostu chcę wiedzieć dlaczego.

Zamiast odpowiedzieć, Berdine tylko mocniej ścisnęła ramię Kahlan i powlokła ją ku drzwiom. Uchyliła je nieco, posłuchała, a potem uchyliła trochę bardziej i wysunęła głowę, by się rozejrzeć.

- Nikogo nie ma. Chodź - szepnęła.

- Przerażasz mnie, Berdine. Co się dzieje?

Tamta bez słowa wypchnęła ją za drzwi. Zeszły schodami dla służby, unikając patrolowanych korytarzy. Berdine musiała rozmawiać z gwardzistami, których napotykały, bo na ich widok odwracali się z miną, jakby nikogo nie widzieli.

Czekały dwa konie - wojskowe, gniade wałachy.

Berdine podała Kahlan żołnierską pelerynę.

- Zasłoń tę swoją białą suknię, żeby cię ludzie nie rozpoznali i żeby Drefan się o niczym nie dowiedział.

- Dlaczego nie chcesz, by Drefan wiedział, dokąd jedziemy?

Berdine złapała Kahlan za kostkę i wsunęła jej stopę w strzemień. Strzemień było duże, zrobione na żołnierski but. Mord-Sith klepnęła dziewczynę w pośladki.

- No dalej, na siodło.

Kahlan przestała się sprzeciwiać. Berdine najwyraźniej nie zamierzała powiedzieć, co to za nagła sprawa. Ani jedno słowo nie padło w trakcie jazdy do Wieży Czarodzieja, ani też podczas marszu przez puste westybule, korytarze i komnaty.

Zanim skręciły w ostatni, wiodący ku sylfie korytarz, napotkały Carę, która trzymała straż przed drzwiami. Cara, jak i Berdine, nie zdradzała niczego. Patrzyła z nieprzeniknioną twarzą, jak idą ku niej pospiesznie.

Berdine chwyciła klamkę jedną ręką, a ramię Kahlan drugą. Spojrzała z powagą na dziewczynę.

- Nie waż się mnie rozczarować, Matko Spowiedniczko, bo przekonasz się na własnej skórze, dlaczego Mord-Sith budzą taki strach. Cara i ja będziemy przy sylfie.

Cara ruszyła ku sylfie. Nawet się za siebie nie obejrzała, a Berdine bez słowa otworzyła drzwi i szorstko wepchnęła Kahlan do środka. Ta potknęła się, złapała równowagę i obejrzała - zdążyła tylko ujrzeć, jak Berdine zatrzaskuje drzwi.

Odwróciła się - patrzyła w oczy Richarda.

Serce w niej zamarło, wstrzymała oddech.

W szarych oczach odbijały się płomyki sześciu świec płonących w żelaznym lichtarzu. Wydał się jej starszy. Każdy szczegół był taki, jak zapamiętała. Brakowało jedynie miecza.

Burza uczuć sprawiała, że nie mogła oddychać.

- Zaraza się skończyła - powiedziała wreszcie.

- Wiem.

Komnata wydawała się zbyt mała. Kamień zbyt ciemny. Powietrze zbyt ciężkie. Kahlan zmuszała się, by oddychać, by spowolnić rytm nagle zbyt szybko bijącego serca.

Czoło miał zroszone potem, choć w głębinach wieży było zimno. Kropla stoczyła się po jego policzku, zostawiając wilgotny ślad.

- To co tutaj robisz? Nie masz po temu powodu. Mam męża. Nie mamy sobie nic do powiedzenia... nie po... nie tutaj, tak sam na sam.

Usłyszawszy ów chłodny ton, odwrócił wzrok od jej oczu. Miała nadzieję, że to go zmusi, by wreszcie to powiedział. Drogie duchy, niech wreszcie powie, że mi wybacza, pomyślała. Zamiast tego oznajmił:

- Prosiłem Carę i Berdine, żeby cię tu sprowadziły, bym mógł z tobą

porozmawiać. Wróciłem, bo muszę z tobą porozmawiać. Wysłuchasz mnie?

Kahlan nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Oczywiście, Richardzie.

Skłonił w podzięcie głowę. Widać było, że cierpi. Znosi katusze. W oczach miał rozpacz.

Niczego tak nie pragnęła, jak usłyszeć, że jej wybacza. To jedno uleczyłoby jej złamane serce. Tylko te słowa miałyby dla niej znaczenie. Chciała, żeby to wreszcie powiedział, a on tylko stał i patrzył poza zimne kamienne ściany.

Uznała, że trzeba go zmusić, by to wreszcie z siebie wydusił, by jej wybaczył.

- Więc wróciłeś, żeby mi wybaczyć, Richardzie?

Odpowiedział łagodnie, lecz stanowczo:

- Nie, nie przybyłem, żeby ci wybaczyć. Nie mogę ci wybaczyć, Kahlan.

Odwróciła się. Nareszcie wiedziała, co zrobić z rękami: przycisnęła pięści do brzucha.

- Rozumiem.

- Kahlan, nie mogę ci wybaczyć, bo źle bym zrobił, przychodząc tu w tym celu

- powiedział za jej plecami. - Chciałabyś, żebym ci wybaczył twoje człowieczeństwo?

Mam ci wybaczyć ugaszenie pragnienia? Mam ci wybaczyć, że jesz, kiedy czujesz głód? Mam ci wybaczyć, że czujesz na twarzy ciepło słońca?

Kahlan otarła policzki i odwróciła się ku niemu.

- O czym ty mówisz?

Za pasem Richarda tkwiła łądźka róży. Podał ją Kahlan.

- Dała mi to twoja matka.

- Moja matka? Przytaknął.

- Spytała, czy kwiat sprawił mi radość, a kiedy powiedziałem, że tak, spytała, czy teraz wrócę do ciebie. Długo trwało, nim zrozumiałem, o co jej chodziło.

- A o co?

- Że potrafimy się cieszyć takimi rzeczami. Czyż błędem jest z twojej strony cieszyć się widokiem róży i jej aromatem, choć to nie ode mnie ją dostałaś? Jakże miałbym ci to wybaczyć?

- Richardzie, to dość odmienne od radowania się wonią róży. Opadł na kolano i przycisnął pięść do brzucha.

- Byłem niegdyś związany ciałem z kobietą, Kahlan, tak jak ty byłaś związana ze swoją matką. To jedyne w naszym życiu zespolenie ciałem. - Dotknął pięścią piersi. - Potem wiążemy się tylko tutaj. Możemy się połączyć jedynie sercami. Nie oddałaś mu swojego serca. Było moje i tylko moje. Wichry i duchy odebrały od ciebie swoją zapłatę. Tak niewiele ci zostawiły, a ty postanowiłaś przyjąć to, co ci zostało, i żyć. Wybrałaś człowieczeństwo. Postanowiłaś żyć najlepiej, jak zdołasz, cieszyć się tym, co ci z ciebie zostawili. Walczyłaś o życie. Ofiarowałaś sobie przyjemność, do której miałaś pełne prawo. Nie jesteś moją własnością. Nie jesteś moją niewolnicą.

Nie mam ci czego wybaczać. Nie zdradziłaś mnie w swoim sercu. To byłaby najokropniejsza arogancja, gdybym przyszedł i ofiarował wybaczenie, skoro nigdy nie zdradziłaś mnie w swoim sercu.

Kahlan zaczerpnęła powietrza. Czowała, jak drży.

- Zraniłeś mnie, Richardzie. Myślałam, że moje serce jest przy tobie bezpieczne, zawsze, bez względu na wszystko, a ty mnie opuściłeś. Obiecywałeś, że mojemu sercu nic nie grozi. A nawet nie pozwoliłeś mi się wytłumaczyć.

- Wiem - wyszeptał.

Uklęknął na drugie kolano i pochylił się do jej stóp. Opuścił głowę.

- To dlatego wróciłem. Żeby błagać cię o wybaczenie. To ja źle postąpiłem. To ja zadałem ci ból. To ja zdradziłem nasze serca, a nie ty. To najgorszy grzech, jaki mógłbym popełnić, i tylko ja ponoszę za niego winę. Nie mam nic na swoją obronę.

Nie może być żadnego usprawiedliwienia. Przepraszam za to, co ci uczyniłem, Kahlan. Nie mogę cofnąć zła, które wyrządziłem. Zraniłem twoje serce i dlatego padam przed tobą, błagając o wybaczenie. Nie zasługuję na nie i dlatego nie mogę o nie prosić. Mogę jedynie błagać.

Skulił się u jej stóp, a ona stała nad nim.

- Wybaczysz mi, Richardzie?

- W moim sercu jest miejsce wyłącznie na miłość do ciebie, choć nie możemy być razem. Ja już jestem zwolniony z przysięgi, ty jednak masz męża i muszę to uszanować. Ale nic nie mogę na to poradzić, że potrafię kochać tylko ciebie. Skoro twoje serce tego pragnie, to ci wybaczam. Błagam

cię, Kahlan. Twoje przebaczenie to jedyne, co mogę mieć, jeżeli mi je ofiarujesz.

Jeszcze kilka chwil wcześniej miała wątpliwości, nie była pewna, co właściwie do niego czuje. Teraz miała całkowitą pewność.

Kahlan osunęła się na podłogę przed Richardem. Położyła dłonie na jego barkach i zmusiła go, by na nią spojrział.

- Wybaczam ci, Richardzie. Kocham cię i wybaczam ci z całego serca.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Dziękuję.

Kahlan czuła, że jej serce zostało cudownie uleczone, że radość wypełnia pustkę, że wraca do życia.

- Podczas ceremonii zaślubin z Drefanem wymawiałam głośno słowa, których ode mnie żądali, lecz w myślach i w sercu przysięgałam tobie.

Richard otarł łzę z jej policzka.

- Ja robiłem to samo. Zacisnęła dłonie na jego barkach.

- Co teraz zrobimy, Richardzie?

- Nic już nie możemy zrobić. Przysięgłaś Drefanowi. Dotknęła jego twarzy.

- Ale co z tobą? Co z nami?

Przestał się uśmiechać. Potrząsnął głową.

- To nie ma znaczenia. Uzyskałem to, czego potrzebowałem, to, po co wróciłem. Uleczyłaś moje serce.

- Jakże będziemy tak dalej żyć? A chodzi nie tylko o to. Musimy coś zrobić, i to szybko. Drefan chce wycofać wojska do D'Hary i tam stawiać opór Imperialnemu Ładowi.

W oczach Richarda błysnął gniew.

- Nie. Nie możesz mu na to pozwolić, Kahlan. Jeśli pozwolicie Jagangowi podzielić Nowy Świat, będzie połykał jedną krainę po drugiej, a D'Hara padnie na końcu. Nie możesz pozwolić Drefanowi na to. Obiecuj mi, że nie pozwolisz.

- Nie muszę obiecywać. Ty jesteś lordem Rahlem. Teraz możesz położyć temu kres. Jestem Matką Spowiedniczką. Razem się temu przeciwstawimy.

- Musisz to sama zrobić, Kahlan. Nie mogę ci pomóc.

- Dlaczego? Wróciłeś. Wszystko się uda. Coś wymyślimy, znajdziemy jakiś sposób. Jesteś Poszukiwaczem, zawsze znajdujesz sposób.

- Umieram. Kahlan złodowaciała.

- Co?! Co... ty mówisz? Jak to umierasz? Nie możesz umrzeć, Richardzie, nie teraz. Nie po... Nie, Richardzie, nie, już wszystko w porządku. Wróciłeś. Wszystko będzie w porządku.

Wtedy dostrzegła w jego oczach ból, a kiedy się osunął, uświadomiła sobie, że nie ma siły, by się podnieść.

- Duchy postawiły warunki, żebym mógł wrócić. Zakaszłał, krzywiąc się z bólu. Przywarła doń.

- O czym ty mówisz? Jakie warunki?

- Kiedy byłem w Świątyni Wichrów, poznałem całą zawartą w niej wiedzę.

Pojałem swoją moc. Mogłem się nią posługiwać. Wykorzystałem to, by położyć kres zarazie. Przerwałem płynący od wichrów nurt energii, dzięki któremu magiczna księga oddziaływała w naszym świecie.

- Czy to znaczy, że już tego nie potrafisz? że zaraza powróci? Uniósł dłoń, odpędzając gestem jej obawy.

- Nie, zaraza nie wróci. Lecz ceną za możliwość powrotu do naszego świata była rezygnacja z wiedzy wichrów. Musiałem wrócić taki, jaki byłem przedtem.

- To znaczy... że jesteś zwykłym śmiertelnikiem, jak przedtem?

- Nie. Zażądały czegoś jeszcze. Zażądały, żebym przyjął w siebie magię ukradzonej księgi, by odizolować ją od reszty świata żywych.

- Co? - wyszeptała Kahlan, szeroko otwierając oczy. - Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, zaraza.

Jedną ręką trzymała go za ramię, drugą dotknęła jego czoła. Trawiła go gorączka.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś, Richardzie? Uśmiechnął się mimo bólu.

- Przebaczenie było wszystkim, czego pragnąłem, czego potrzebowałem, ale musiałem wiedzieć, że jest szczere, a nie udzielone z litości.

- Nie możesz umrzeć, Richardzie. Nie teraz. Na drogie duchy, nie możesz umrzeć!

- Duchy nie mają z tym nic wspólnego. To Rahl Posępny wybrał ci Drefana na męża jako warunek dostania się do wichrów i Rahl Posępny

zażądał takiej ceny za mój powrót.

- Twój powrót. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wróciłeś, by umrzeć?

Och, Richardzie, dlaczego zrobiłeś takie głupstwo?

- Gdybym został w Świątyni Wichrów, też bym umarł, tyle tylko, że bez twojego przebaczenia. Wybrałem powrót, mając nadzieję, że częśćka ciebie wciąż kocha mnie na tyle, by mi wybaczyć. Chciałem przynajmniej tyle zyskać, nim umrę.

Przebaczenie i twoją miłość. Nie mógłbym żyć, wiedząc, co ci uczyniłem, wiedząc, jak zraniłem twoje serce.

- A sądzisz, że teraz nie ranisz mi serca?! Musi być coś, co możemy zrobić, Richardzie. Co możemy zrobić? Musisz to wiedzieć!

Richard upadł na bok, trzymając się za brzuch.

- Przykro mi, Kahlan. Nic już nie możemy zrobić. Wchłaniam magię ukradzonej księgi. Kiedy umrę, ta magia umrze wraz ze mną.

Kahlan nachyliła się nad nim, przywarła do niego i rozplakała się.

- Nie rób tego, Richardzie, błagam. Nie umieraj.

- Tak mi przykro, Kahlan. Nie mogę tego powstrzymać. Chętnie płacę tę cenę.

Teraz mam spokój w sercu. - Wyciągnął rękę i dotknął Agiela zawieszonoego na szyi dziewczyny. - Gdy już to zrozumiałem, nie wahałem się ani chwili. Denna pomogła mi zrozumieć.

Przetoczył się na plecy. Kahlan trzymała go w ramionach.

- Musi być jakiś sposób, Richardzie. Na pewno wiedziałeś, co robić, nim odebrali ci ową wiedzę. Spróbuj sobie przypomnieć. Błagam, Richardzie, spróbuj sobie przypomnieć.

Zamknął oczy.

- Muszę... odpocząć. Przepraszam. Już nie mam siły. Muszę troszeczkę odpocząć.

Kahlan ujęła jego rękę w obie dłonie. Szlochała. To było okropne, nie do wytrzymania. Mieć go z powrotem tylko po to, by od razu utracić - to nie do przeżycia.

Rozchyliła palce bezwładnej dłoni chłopaka, żeby ją przytulić do swego policzka, i zobaczyła we wnętrzu jego dłoni jakiś napis. Odczytała go: „Znajdź księgę i zniszcz ją, a będziesz żyć”.

Przechyliła się nad nieprzytomnym Richardem i złapała jego drugą dłoń.

W jej wnętrzu także znalazła napis: „Szczypto białego piasku czarnoksiężnika na trzecią stronicę. A na to jedno ziarnko czarnego piasku czarnoksiężnika”.

Były tam jeszcze trzy inne słowa, lecz w tym zamęcie myśli nawet nie miała pojęcia, jak się je wymawia.

Richard wiedział, że zapomni, i zanim to się stało, zapisał wiadomość dla samego siebie. I zapomniał nawet, że to zrobił.

Księga. Musi zdobyć księgę.

I już biegła, krzycząc:

- Caro! Berdine! Pomocy! Caro! Berdine!

Kiedy wbiegła do pomieszczenia u podstawy wieży, obie kobiety usłyszały jej krzyki i wypadły z komnaty sylfy na chodnik okalający zbiornik wypełniony czarną wodą. Kahlan wczepiła się w ich skórzane uniformy i starała się wytłumaczyć. Każda z nich złapała jedno ramię dziewczyny i przycisnęły ją do ściany.

- Uspokój się - poleciła Berdine.

- Nie rozumiemy, co mówisz. Odsapnij. Przestań beczeć i odsapnij - dorzuciła Cara.

- Richard. - Chciała wskazać gestem, ale trzymały ją za ręce. - Richard ma mór... Potrzebuję księgi.

Berdine nachyliła się ku niej.

- Lord Rahl... zapadł na mór? Kahlan zapamiętała potaknęła.

- Muszę zdobyć tę księgę. Tę, którą wykradziono ze Świątyni Wichrów.

Muszę ją mieć, bo inaczej on umrze. - Wyrwała się im. - Pomóżcie mi, błagam.

Richarda dosięgła zaraza.

- Czego od nas żądasz? - spytała Cara.

- Idę do Starego Świata. Chrońcie go.

- Do Starego Świata! - Berdine zaparło dech. - A wiesz, gdzie jest ta księga?

Powiedział ci, gdzie ją odnaleźć? Dał ci jakąś wskazówkę?

Kahlan potrząsnęła głową. Nie było czasu. Musiała się spieszyć. Musiała natychmiast ruszać.

- Nie wiem, gdzie jest! Ale to jedyna szansa dla Richarda. Przyjął w siebie magiczną zarazę, by móc wrócić do naszego świata. By móc błagać o moje

wybaczenie. Chciał mi powiedzieć, że żałuje, iż mnie zranił. Jeśli nie zniszczymy tej księgi, to umrze. I to tylko dlatego, że chciał mi powiedzieć, iż żałuje! Umrze! Muszę już iść!

- Stary Świat jest wielki, Matko Spowiedniczko - powiedziała Berdine. - Jeżeli Richard jest chory na mór... to jak zamierzasz odnaleźć księgę?

Na czas. O to jej chodziło. Jakżeż zdoła na czas odnaleźć księgę? Jak zdoła to zrobić, nim Richard umrze?

Kahlan zacisnęła dłoń na czerwonym skórzanym uniformie.

- Muszę spróbować! Chrońcie Richarda. Nie pozwólcie, by Drefan dowiedział się, że Richard wrócił. Nie wiem, co by wtedy zrobił. Nie mówcie mu!

Cara potrząsała głową.

- O to się nie martw. Nie powiemy Drefanowi. Zadbamy o Richarda podczas twojej nieobecności. Schowamy go tutaj, w wieży. Ale się pośpiesz. Jeśli jej nie znajdziesz, to wróć, proszę, zanim...

Kahlan pognała do komnaty sylfy. Ku studni sylfy. Sylfa uśmiechnęła się na jej widok.

- Czy chcesz...

- Podróżować! Muszę podróżować! Natychmiast!

- Dokąd chcesz się udać?

- Do Starego Świata!

- Do jakiego miejsca w Starym Świecie? Znam tam mnóstwo miejsc. Możemy się udać do każdego, które wymienisz. Zaniosę cię . Będziesz zadowolona.

Kahlan ścisnęła głowę dłońmi, pomrukując z irytacji, gdy sylfa zaczęła wymieniać nazwy, których dziewczyna nigdy nie słyszała.

- Tam gdzie zaniosaś Richarda, swojego pana, kiedy wyruszył po mnie! Kiedy pierwszy raz z tobą podróżowałam!

- Znam miejsce, o którym mówisz.

Kahlan uniosła białą szatę i wdrapała się na obmurowanie studni sylfy.

- Tam! Tam mnie zanieś! Szybko! Tu chodzi o życie twojego pana! Chrońcie Richarda! - zawołała jeszcze do Cary i Berdine.

- A co mamy powiedzieć Drefanowi, kiedy zapyta, gdzie się podziewasz? - spytała Berdine.

- Nie wiem. Wymyślcie coś!

- Zaopiekujemy się Richardem do twojego powrotu - oznajmiła Cara. - Oby dobre duchy były z tobą.

- Powiedzcie mu, że go kocham. Jeżeli... powiedzcie mu, że go kocham! - krzyknęła, gdy srebrzyste ramię sylfy zgarnęło ją z obmurówki.

Kahlan zniknęła w srebrzystej pianie, a jej głos wciąż odbijał się echem od kamiennych ścian. Wciągnęła sylfę w płuca, modląc się do dobrych duchów, żeby pomogły jej odszukać księgę. Zapamiętała płynęła w czymś, co niegdyś było srebrzystym upojeniem.

Teraz był tylko mroczny, paniczny strach.

ROZDZIAŁ 65

Ann nachyliła się ku niemu.

- Wiesz, że to twoja wina.

Zedd - siedząc obok na podłodze pośrodku izby - spojrzał na nią przelotnie.

- To ty rozbiłaś jej cenne lustro.

- To był nieszczęśliwy wypadek - upierała się Ann. - Ale to ty zrujnowałeś ich kapliczkę.

- Ja tylko próbowałem ją wysprzątać. Skąd mogłem wiedzieć, że zajmie się ogniem? Nie powinni byli układać wokół tych zwiędłych kwiatów. Ale to ty oblałaś jagodowym winem jej najlepszą suknię.

Ksieni zadarła nos.

- Dzban był zbyt pełny. A to ty go napełniałeś. Poza tym to ty zламаłeś rękojeść jego drogocennego noża. Już nigdy nie uda mu się znaleźć takiego suplastego, wypolerowanego i utwardzonego przez wodę korzenia. Zrozumiałe, że się wściekł.

Zedd chrząknął z przesadą.

- A cóż ja wiem o ostrzeniu noży? Jestem czarodziejem, a nie kowalem.

- To by wyjaśniało incydent z koniem starszego.

- Nie mogą mnie za to winić. Nie zostawiłem otwartej bramy. Jestem tego niemal pewny. Kupi sobie innego, równie szybkiego. Może sobie na to pozwolić.

Bardzo bym chciał wiedzieć, jak ci się udało uzyskać taką wspaniałą zieleń włosów jego trzeciej żony.

Ann skrzyżowała ramiona.

- To był nieszczęśliwy wypadek. Sądziłam, że po tych ziołach jej włosy będą przyjemnie pachnieć. Chciałam ją zadziwić. Za to cenne nakrycie głowy starszego, to ze skóry królika, to już nie był nieszczęśliwy wypadek, a zwykłe lenistwo. Powinieneś wcześniej sprawdzić i nie zostawiać bez dozoru, żeby wyschło nad ogniem. To było prawdziwe dzieło sztuki, z tymi tysiącami paciorków. Niełatwo znajdzie równie piękne nakrycie.

Zedd wzruszył ramionami.

- Nigdy im nie mówiliśmy, że jesteśmy dobrzy w pracach domowych.

Nigdy im czegoś takiego nie powiedzieliśmy.

- Słusznie. Nie powiedzieliśmy. To nie nasza wina, że się nam nie udaje.

Gdyby spytali, to byśmy ich uprzedzili.

- Z całą pewnością.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Ann odkaszlnęła.

- Jak myślisz, co z nami zrobią?

Siedzieli plecami do siebie, związani szorstkim sznurem, a w dalszej części izby trwała dyskusja. Wciąż jeszcze mieli na nadgarstkach opaski, które nie pozwalały im skorzystać z wrodzonej magicznej mocy.

Zedd spojrział tam, gdzie trwała ożywiona dyskusja. Starszy bez nakrycia głowy, jego pierwsza żona, kilku wpływowych członków społeczności Si Doaków, którzy twierdzili, że mają prawo korzystać z usług pojmanych, oraz szaman Si Doaków skarżyli się sobie, jakie to mieli kłopoty przez Zedda i Ann. Czarodziej nie rozumiał wszystkich słów, ale pojmował wystarczająco wiele, by śledzić tok narady.

- Postanowili zapobiec dalszym stratom i pozbyć się domowych niewolników

- szepnął do Ann.

- Co się dzieje? - spytała Ann, kiedy tamci wreszcie ucichli. - Co postanowili?

Puszczą nas wolno?

Oczy Si Doaków zwróciły się ku jeńcom. Zedd wydał ostrzegawczy dźwięk.

- Coś mi się zdaje, że powinniśmy uważniej wypełniać nasze obowiązki - szepnął do niej przez ramię. - Chyba mamy spore kłopoty.

- A co zamierzają zrobić - zakpiła Ann - oddać nas Nangtongom i zażądać zwrotu koców?

Si Doakowie wstali, a Zedd potrząsnął głową. Naszyjniki szamana zadzwoniły jeden o drugi. Starszy stuknął laską.

- Chciałbym tego. Chcą odzyskać to, co stracili, i wynagrodzić sobie szkody, jakie poczyniliśmy. Zabiorą nas w podróż. Uznali, że najlepszą cenę uzyskają, sprzedając nas kanibalom.

Ann gwałtownie obróciła ku niemu głowę.

- Kanibalom?

- Tak właśnie powiedzieli. Kanibalom.

- Zdołałeś zdjąć sobie z szyi obrozę, Zeddzie. Nie mógłbyś zdjąć z naszych nadgarstków tych przeklętych bransoletek? Myślę, że już na to najwyższy czas.

- Obawiam się, że skończymy w kotle z owymi bransoletkami na przegubach.

Zedd patrzył, jak sztywno kroczą ku nim rozeźlony starszy i kipiący gniewem szaman.

- Miła była ta zabawa, Ann. Ale już się skończyła.

Verna objęła Warrena w pasie, podtrzymując go, gdy się potykał, i szła za Clarissa, która podążała śladem Walsh'a i Bollesduna. Janet podbiegła do Warrena i zarzuciła sobie na ramiona jego rękę.

- Nie mylisz się? Tutaj? Nathan chciał, żebyśmy się z nim spotkali w lasach Hagen? - wyszeptała Verna do Walsh'a.

- Tak - odparł przez ramię żołnierz.

- Mnie też podał tę nazwę - dodała Clarissa.

Siostra Światła westchnęła z irytacją. To było w stylu Nathana, kazać im iść do lasów Hagen. Nie lubiła tego miejsca, choć Richard oczyścił je z mriswithów.

Verna zawsze podejrzewała, że Prorok jest niebezpiecznie nie zrównoważony, a fakt, że chciał się z nią spotkać właśnie tutaj, tylko potwierdzał te podejrzania.

Festony mchu zwieszały się jak cienkie całuny umarłych. Korzenie chwyciły ich za stopy, kiedy tak szli przez mroki. W ciepłym, wilgotnym powietrzu unosiły się nieprzyjemne wonie. Verna jeszcze nigdy nie weszła tak głęboko w lasy Hagen - i to nie bez powodu.

- Jak się czujesz, Warrenie? - szepnęła.

- Znakomicie - wymamrotał.

- Już niedługo, Warrenie. Już wkrótce. Jeszcze trochę dalej i będzie po wszystkim. Nathan ci pomoże.

- Nathan. Trzeba go ostrzec - wyszeptał.

Natrafili na potężny kamienny blok, najwyraźniej obrobiony ludzką ręką. Był czworoboczny. Prawie całkowicie zakryły go pełzające wąsy i wici roślin pnących oraz zasupłane korzenie. W gęstej roślinności tkwiło więcej takich kamieni. W księżycowej poświacie wyglądały jak białe kości. Verna dostrzegła resztki muru i kolumny, przypominające żebra jakiegoś potwora.

Przez poszycie lasu przebijało się światło. Migotanie wskazywało, że musi to być blask ogniska. Walsh i Bollesdun rozchylili gałęzie przed resztą wędrowców.

Ognisko płonęło w kręgu kamieni ułożonych na posadzce starych ruin. Za ogniskiem Verna zobaczyła krągły mur dużej studni albo czegoś, co przypominało studnię.

Nawet nie wiedziała, że coś takiego kryło się w lasach Hagen. Nie było w tym jednak nic dziwnego, bo w końcu mało kto chadzał do lasów Hagen.

Nathan, odziany jak szlachetnie urodzony, podniósł się na ich powitanie. Był wysoki i onieśmielający, zwłaszcza bez Rada'Han na szyi. Zobaczył ich i obdarzył tym swoim zadufanym Rahlowskim uśmiechem. Walsh i Boliesdun zaśmiali się w głos i zostali przyjacielsko klepnięci po plecach.

Clarissa zanurkowała pod ramieniem i objęła Nathana. Mruknął coś, gdy uściskała go z całej siły, żarliwie. Dumnie podała mu księgę, a on odebrał ją z jej rąk.

Uśmiechnął się do niej ich sekretnym, pełnym ukrytych znaczeń uśmiechem. Clarissie rozbłysły źrenice, a Verna przewróciła oczami.

- Verno! - zawołał na jej widok Prorok. - Cieszę się, że ci się udało.

- Miło cię widzieć, lordzie Rahlu.

- Nie powinnaś robić takich gniewnych min, Verno. Będziesz miała zmarszczki. - Przyjrzał się pozostałym. - Janet, więc i ty do nas dołączyłaś. - Odrobinę zmarszczył brwi. - I Amelia. - Spojrzał na stojącą z boku kobietę. - A kogóż to jeszcze tutaj mamy?

Clarissa wyciągnęła rękę i poruszyła palcami, przywołując Mandę. Manda mocniej zacisnęła przy szyi pelerynę. Podeszła nieśmiało.

- To moja przyjaciółka Manda, Nathanie. Jest z Renwoldu. Kobieta przyklęknęła na kolano i skłoniła się głęboko.

- Moje życie należy do ciebie, lordzie Rahlu.

- Renwold. - Nathan poruszył brwiami i spojrzał przelotnie na Clarissę. - Cóż, cieszę się, że uciekłaś od Jaganga, Mando.

- Zawdzięczam to Clarissie - powiedziała tamta, podnosząc się. - Jest najodważniejszą ze znanych mi kobiet.

Clarissa zachichotała i przytuliła się do Nathana.

- Bzdura. Cieszę się, że dobre duchy postawiły cię na naszej drodze, bo inaczej nigdy bym się nie dowiedziała, że tam byłaś.

Nathan znów spojrzał na Verne.

- A kogóż tu mamy? Wnoszę, że to młody Warren? Verna dołożyła wszelkich starań, żeby przybrać potulną, łagodną minę.

- Nathanie...

- Lordzie Rahlu. - Uśmiech rozpędził gniew. - Ale przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, Verno. Dla ciebie i innych starych przyjaciół jestem w dalszym ciągu Nathanem.

Ksieni pochyliła głowę i przygryzła wewnątrz policzka.

- Nathanie - zaczęła na nowo - masz rację, to Warren. Mógłbyś mu pomóc?

Właśnie ujawnia się jego talent Proroka. Nim to się zaczęło, zdjęłam mu obrozę i teraz nic nie chroni go przed jego darem. Ma bóle głowy. Jest w bardzo złym stanie.

Pójdę za tobą wszędzie, jeśli mu pomożesz.

- Pomogę mu?

- Proszę, Nathanie. Błagam cię.

- Nie trzeba, Verno. Z przyjemnością pomogę chłopcu. - Dał znak. - Podprowadź go ku ognisku.

Warren coś mamrotał, usiłując się przedstawić, lecz był prawie nieprzytomny.

Verna i Janet usadowiły go tam, gdzie wskazał Nathan. Podtrzymały chłopaka.

Nathan podciągnął spodnie na kolanach i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na posadzce nie istniejącej budowli. Położył obok siebie księgę. Zmarszczył się jak to Rahl i wpatrywał w twarz Warrena. Gestem dłoni odpędził Verne i Janet. Magiczną siecią podtrzymał Warrena. Powolutku przysunął się doń tak, że zetknęli się kolanami.

- Warrenie - zawołał Nathan swoim głębokim, władczym głosem, a tamten otworzył oczy. - Unieś dłonie.

Warren i Nathan unieśli dłonie, rozsuwając przy tym palce i stykając się nimi.

Każdy utkwiał wzrok w oczach drugiego.

- Pozwól, by twoja Han wpłynęła w czubki moich palców - podpowiedział Nathan. - Otwórz siódmą bramę. Zamknij pozostałe. Wiesz, o czym mówię?

- Tak.

- Mądry chłopak. Więc zrób to. Łatwiej mi będzie uczynić to z twoją pomocą.

Obu mężczyzn otoczyła miękka, łagodna poświata. Powietrze nocy wibrowało mocą bijącą od owego blasku. Nie był to ani ogień, ani żar. Verna nie miała pojęcia, co robi Nathan. Zdumiewało ją to.

W Pałacu Proroków Nathan zawsze był zagadką. Zawsze wydawał się Vernie starcem, nawet wtedy gdy była młodą dziewczyną. Zawsze uważano go za co najmniej niezrównoważonego - sądziły tak nawet najbardziej wielkoduszne Siostry.

W pałacu byli tacy, którzy uważali, że Nathan ma tylko i wyłącznie dar prorokowania.

Inni podejrzewali, lecz nigdy nie byli tego pewni, że potrafi o wiele więcej, niż kiedykolwiek im ujawnił. A byli również tacy, którzy obawiali się wejść do komnat, w których go trzymano - tak ich przerażał, chociaż miał na szyi Rada'Han. Verna zawsze uważała Proroka za wcielenie kłopotów.

A teraz patrzyła, jak ten nieznośny, rozpustny stary czarodziej robił, co w jego mocy, żeby uratować życie mężczyzny, którego kochała. Czasami poświata była jaskrawsza wokół jednego z mężczyzn, potem wyrównywała się i znów wracała, jakby czegoś zapomniała.

Walsh i Bollesdun wałęsali się w pobliżu krągłego kamiennego muru za Nathanem, lecz reszta towarzystwa patrzyła z osłupieniem. Verne najbardziej wytrąciło z równowagi to, że obaj czarodzieje - dotykając się kolanami i stykając się palcami obu dłoni - unosili się kilka cali nad ziemią. Ulżyło jej, kiedy znów osiedli na ziemi.

Nathan klasnął jeden raz.

- O właśnie! To powinno wystarczyć! - oznajmił.

Verna nie mogła pojąć, jak to mogło wystarczyć i umożliwić Warrenowi panowanie nad darem. Za to Warren uśmiechał się szeroko.

- Nathanie, to było... cudowne. Ból głowy zupełnie zniknął. Czuję się taki rześki, tak jasno myślę.

Nathan podniósł czarną księgę i wstał.

- I ja się z tego cieszę, mój chłopcze. To, co właśnie dla ciebie zrobiłem, zajęłoby temu stadku Sióstr ze trzysta lat. Ale one szły niewłaściwą drogą. - Obejrzał się na Verne. - Przepraszam, Ksieni. Nie zamierzałem cię urazić.

- I nie uraziłeś. - Verna pospieszyła ku Warrenowi. - Dziękuję, Nathanie.

Tak się o niego bałam. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga.

Z twarzy Warrena zniknęła radość.

- Teraz, kiedy to już dla mnie zrobiłeś, Nathanie, to wyraźniej widzę, że... mimowolnie daliśmy Jagangowi wgląd w proroctwo, które...

Nathan krzyknął. Clarissa krzyknęła. Verna zamarła, gdy poczuła, jak coś ostrego dotyka jej pleców.

Amelia wbiła dakrę w udo Nathana. Manda przytknęła nóż do gardła Clarissy.

Janet dotykała czymś ostrym pleców Verny. Warren zamarł, kiedy Janet ostrzegła gestem i jego, i obu żołnierzy.

- Nie waż się nawet drgnąć, Nathanie, bo pozwolę płynąć mojej Han i w jednej chwili umrzesz - powiedziała Amelia.

- Warren ma rację. Istotnie udzielił Jego Ekscelencji pewnej cennej informacji

- stwierdziła Janet.

- Amelio! Janet! Co wy robicie?! - krzyknęła Verna. Amelia uśmiechnęła się do niej wrednie.

- Spełniamy rozkazy Jego Ekscelencji, rzecz jasna.

- Ale przecież przysięgłyście.

- Przysięgłyśmy, lecz tylko słowami, a nie sercem.

- Przecież możecie się od niego uwolnić! Nie musicie służyć Jagangowi!

- Gdybyś nam za pierwszym razem powiedziała prawdę, to może tak by się stało, ale spróbowaliśmy i kiedy Richard zmarł, więź pękła, a wtedy Jego Ekscelencja nas ukarał. Drugi raz nie będziemy ryzykować.

- Nie róbcie tego - prosiła Verna. - Jesteśmy przyjaciółkami. Pojechałam tam, żeby was ratować. Nie róbcie tego, błagam. Przysięgnijcie, odnówcie więź i będziecie wolne!

- Och, kochasiu, coś się boję, że ona nie może tego zrobić. - To nie był głos Amelii. To był głos, który Verna słyszała we własnym umyśle: głos Jaganga.

Uświadomiła sobie, że drży, słysząc ów ton i modulację w głosie Siostry. - A teraz podaj księgę, mój lojalny i wierny pełnomocnik. Siostra Amelia i ja zamierzamy z niej jeszcze skorzystać.

Nathan podał księgę. Amelia porwała ją drugą ręką, bo wciąż trzymała dakrę w jego udzie.

- No to jak, zabijasz mnie czy nie? - spytał Nathan.

- O tak, zamierzam cię zabić - powiedziała Amelia głosem imperatora. - Złamałeś naszą umowę, lordzie Rahlu. A poza tym nie lubię mieć podwładnych, którzy nie wpuszczają mnie do swoich umysłów. Lecz zanim umrzesz, zobaczysz, jak prawdziwa niewolnica spełnia rozkazy. Tak sobie myślę, że chętnie popatrzysz, jak podcinam gardło tej twojej kochaneczce Clarissie.

- Oddychaj.

Kahlan wypuściła z płuc sylfę i natychmiast wciągnęła obce powietrze. Wokół niej gwałtownie zjawiała się noc. Nie chciała tracić czasu na ponowne oswajanie się z obrazami i dźwiękami, na powrót poczucia czasu. Złapała kamienny murek, żeby się na niego wciągnąć.

Powitał ją przerażający widok. Pasował do słów, które właśnie usłyszała.

Dzięki wyostrzonemu przez sylfę wzrokowi dostrzegła wszystko naraz.

Kahlan wiedziała, że to Nathan, jak tylko go zobaczyła. Wyglądał jak Rahl, no i Richard opowiadał jej o Proroku: wysoki, starszy już, z długimi do ramion, białymi włosami. Jakaś kobieta trzymała wbitą w jego udo dąkrę. Dziewczyna usłyszała imię tamtej: Amelia. To ta, która rozpełtała zarazę. Kahlan zobaczyła Verne i jakąś kobietę za jej plecami. Młody człowiek stał jak skamieniały. Piękna młoda kobieta trzymała drugą za ułożone w loczki włosy - to mogła być tylko Clarissa - i dotykała nożem jej gardła.

Kahlan wynurzyła się z sylfy, słuchając końcowego fragmentu toczącej się tu rozmowy. Poznała głos wydobywający się z ust kobiety, która trzymała dąkrę w nodze Nathana. Rozpoznała słowo „kochasiu”. Pamiętała, że słyszała ów głos z ust czarodzieja Marlina, który przybył, by zamordować Richarda. To był głos Jaganga.

Znienacka w pamięci Kahlan pojawił się amulet Richarda i słowa: „To znaczy tylko jedno i zarazem wszystko: uderzaj. Kiedy już musisz żyć, uderzaj. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Uderzaj”.

Tak samo szkolił ją jej ojciec wojownik. Zabij, bo inaczej ciebie zabiją. Nigdy się nie poddawaj. Nigdy nie czekaj. Atakuj.

Richard był bliski śmierci, bliski ostatniego tchnienia. Nie miała czasu do stracenia, czasu na zastanawianie się. Musiała walczyć. Uderzaj.

Jednym płynnym ruchem wyskoczyła z sylfy, znalazła się poza studnią, wyszarpnęła z pochwy krótki miecz żołnierzowi, który akurat tam stał,

pochyliła głowę, przetoczyła się do przodu, podniosła i cięła.

Dziewczyna znalazła się tam w mgnieniu oka, nim ktokolwiek zdążył choćby drgnąć. Musiała powstrzymać Amelię, nim ta zdoła wlać swoją Han w dąkrę tkwiącą w udzie Nathana. W przeciwnym razie Prorok umarłby. Miecz śmignął jak błyskawica i odciął ramię Siostry Amelii w zgięciu łokcia.

Wówczas wszystko ruszyło w bolesnie powolnym tańcu. Kahlan widziała wyraz każdej twarzy. Kobieta, której właśnie odcięła przedramię, Siostra Amelia, padała z krzykiem. Dziewczyna przerzuciła miecz do drugiej ręki, wiodąc nim za padającą Siostrą Mroku. Verna okręcała się z dąkrą w dłoni ku zdumionej kobiecie stojącej za jej plecami. Młody człowiek rzucał się ku kobiecie z nożem. Nathan wyciągał ręce ku Clarissie. Jego krzyk rozdzierał noc.

Clarissa wyciągała ręce ku Nathanowi. Młoda kobieta, która trzymała ją za włosy, parsknęła nienawistnie i gwałtownie podcięła jej gardło.

Kahlan widziała, jak krew trysnęła na mgnienie przed tym, nim noc rozjaśniły dwie błyskawice posłane przez Nathana i owego młodego człowieka.

Trzymając oburącz miecz, dziewczyna wbiła go w serce Siostry Amelii, przyszpilając ją do ziemi, zanim drugi żołnierz zdążył dobyć oręża.

Dakra Verny w mgnieniu oka pozbawiła życia stojącą za Siostrą kobietę, a w tym samym czasie błyskawice uderzyły w młodą kobietę z nożem, zmieniając ją w krwawą masę. Ciało Clarissy wciąż jeszcze osuwało się na ziemię.

Wszystko się skończyło, zanim nadeszło pełne zrozumienie wydarzeń.

Oszołomiony Nathan szedł chwiejnie ku ciału Clarissy. Kahlan przemknęła obok niego i klękła przy kobiecie. To, co zobaczyła, sprawiło, że na moment przestała oddychać. Poderwała się i zatrzymała Proroka.

- Już za późno, Nathanie. Teraz jest już z duchami. Nie patrz. Nie patrz, proszę. Widziałam w jej oczach miłość do ciebie. Proszę, nie patrz na nią teraz.

Zapamiętaj ją taką, jaka była.

Nathan skinął głową.

- Miała dobre serce. Uratowała tak wielu ludzi. Miała dobre serce.

Uniósł ręce i skierował ku ciału Clarissy wnętrza dłoni. Wystrzelił z nich mocny blask, który oblał martwą kobietę tak jaskrawym płomieniem, że nie

można w nim było dostrzec ciała.

- Z płomieni tego ogniska w Światło. Bezpiecznej podróży do świata duchów - wyszeptał. Płomień zniknął, zostawiając jedynie popioły. Nathan opuścił ręce.

- Sępy zajmą się tamtymi.

Verna schowała dąkrę w rękawie. Jeden z żołnierzy wyciągnął swój miecz z ciała Amelii, drugi schował swoją broń do pochwy. Młody człowiek był wstrząśnięty.

- Tak mi przykro, Nathanie. Wyjaśniłem Jagangowi znaczenie proroctwa i to mu pomogło. Nie chciałem tego, ale mnie zmusił. Tak mi przykro.

Smutne, lazurkowe oczy Nathana spoczęły na młodym człowieku.

- Rozumiem, Warrenie. Nie uczyniłeś tego ze złej woli. Nawiedzający Sny był w twoim umyśle i nie miałeś wyboru. Teraz już się od niego uwolniłeś. - Nathan wyszarpnął dąkrę ze swojej nogi. Spojrzał na Verne. - Przeprowadziłaś do mnie zdrajców, Verno. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie miałaś takiego zamiaru. Niekiedy proroctwo niweczy nasze zamiary obejścia go i zaskakuje nas. Czasem się nam wydaje, że jesteśmy sprytniejsi, niż naprawdę jesteśmy, i że zdołamy powstrzymać przeznaczenie, jeżeli dostatecznie mocno tego zapagniemy.

Verna wygładziła pelerynę na ramionach.

- Myślałam, że ratuję je przed Jagangiem. Nawet mi nie przyszło do głowy, że złożą ci przysięgę, ale nie ofiarują serc.

- Rozumiem - wyszeptał Prorok.

- Nie wiem, co też ci chodzi po głowie, Nathanie. Rzeczywiście, lord Rahl. - Verna spojrzała na białe popioły, które zostały z ciała Clarissy. - I widzę, że nic się nie zmieniło, Nathanie. Znow zginęła przez ciebie jedna z twoich dziwek.

Cios Nathana uniósł Verne w powietrze. Jej zuchwa pękła z głuchym trzaskiem, a strumyki krwi poleciały w nocne powietrze. Siostra Światła upadła na plecy, nie poruszała się. Warren krzyknął, przykucnął obok niej, a potem spojrzał oszalałymi oczami.

- Nathaniel Dlaczegoś to, na Stwórcę, uczynił?! Złamałeś jej szczękę.

Dlaczego chciałeś ją zabić?

Nathan poruszył pięścią.

- Gdybym chciał ją zabić, to byłaby martwa. Jeśli chcesz, by żyła, to

proponuję, żebyś ją uzdrowił. Słyszałem, że jesteś utalentowanym uzdrowicielem, a dzięki temu, co zrobiłem dla ciebie tej nocy, uleczenie jej zajmie ci mało czasu. I wlej jej trochę rozsądku do głowy, gdy już się do tego zabierzesz.

Warren pochylił się nad Verną, przytknął dłonie do twarzy nieprzytomnej kobiety. Kahlan milczała. Widziała miłość w oczach Nathana patrzącego na Clarisę.

Teraz widziała również wściekłość.

Prorok pochylił się i podniósł czarną księgę leżącą na ziemi obok ciała Siostry Amelii. Wyprostował się i spojrzał na Kahlan swoimi oczami Rahla. Podał jej tom.

- Ty na pewno jesteś Kahlan. Oczekiwałem cię. Proroctwo, wiesz. Rad jestem, że się nie spóźniłem. Nie masz wiele czasu. Daj to lordowi Rahlowi. Mam nadzieję, że wie, jak to zniszczyć.

- Wiedział, kiedy był w Świątyni Wichrów, ale mówił mi, że musiał zrezygnować ze zdobytej tam wiedzy, by wrócić do świata żywych. Zapisał to jednak we wnętrzach dłoni: „Szczypta białego piasku czarnoksiężnika na trzecią stronicę. A na to jedno ziarnko czarnego piasku czarnoksiężnika”. Były tam jeszcze trzy słowa, ale nie wiem, co one znaczą.

Nathan położył wielką dłoń na jej ramieniu.

- To trzy demony: Reechani, Sentrosi, Vasi. Nie mam czasu, żeby ci o nich opowiedzieć, lecz wiedz, że należy je wymienić po białym, a przed czarnym piaskiem.

To ważne.

- Reechani, Sentrosi, Vasi - powtórzyła Kahlan, starając się wbić sobie owe słowa w pamięć. Powtórzyła je również w myślach.

- Richard ma i czarny, i biały piasek czarnoksiężnika, prawda?

- Tak. Powiedział mi o tym. Ma oba.

Nathan potrząsnął głową, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Oba - mruknął. Ścisnął ramię Kahlan. - Dzięki proroctwu orientuję się, przez co musiał przejść. Bądź przy nim. Miłość jest zbyt cennym darem, żeby go zagubić.

Kahlan się uśmiechnęła.

- Rozumiem. Oby dobre duchy dały ją i twojemu sercu, Nathanie. Nie mam słów, by wyrazić ci wdzięczność za to, że pomogłeś Richardowi, że

mnie pomogłeś. - Głos się jej załamał. - Nie miałam pojęcia, co robić. Wiedziałam tylko, że muszę się tu zjawić.

Nathan przytulił ją, a ona pomyślała, że jemu było to bardziej potrzebne niż jej.

- Zrobiłaś, co było trzeba. Może to dobre duchy cię tu przywiodły. A teraz wracaj do niego, bo stracimy naszego lorda Rahla.

Kahlan potaknęła.

- Zabijanie się skończyło.

- Zabijanie dopiero się zacznie.

Nathan odwrócił się i uniósł ku niebu obie pięści. Wokół nich zapłonął straszliwy ogień i wystrzelił w nocne niebo. Kahlan patrzyła, jak mknął na północny zachód, przyćmiewając swym blaskiem gwiazdy.

Dziewczyna spostrzegła, że Warren pomaga Vernie usiąść. Ocierał krew z jej uleczonej szczęki.

- Co zrobiłeś? - spytała Kahlan Nathana.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, a potem szelmowsko uśmiechnął.

- Zrobiłem Jagangowi przykrą niespodziankę. Właśnie dałem generałowi Reibischowi sygnał do ataku.

- Do ataku? Kogo ma atakować?

- Korpus ekspedycyjny Jaganga. Zniszczyli Renwold. Szykują się do wywołania innych kłopotów w Nowym Świecie, ale nie mają pojęcia, kto ich śledzi.

To będzie krótka walka. Proroctwo mówi, że D'Harańczycy będą walczyć równie zawzięcie jak zawsze i zanim noc się skończy, zniszczą przeciwnika w tradycyjny d'harański sposób: bez litości.

Verna powoli się podnosiła. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała jej tak potulnej.

- Błagam cię o wybaczenie, Nathanie.

- Nie ciekawi mnie...

Kahlan położyła dłoń na ramieniu Nathana i szepnęła doń:

- Wystuchaj jej dla własnego dobra, Nathanie, proszę cię. Prorok patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem spojrział gniewnie na Verne.

- Słuchani.

- Znam cię od dawna, Nathanie. Całe moje życie. Widziałam przedtem coś, czego... pewno nie pojęłam. Sądziłam, że robisz to, by zdobyć władzę.

Wybacz, proszę, że wyładowałam się na tobie za moją winę, za to, że moje przyjaciółki zwróciły się przeciwko mnie, przeciwko nam. Czasem... pochopnie wydaję sądy.

Widzę, że źle oceniłam to, co naprawdę było między tobą a Clarissa. Uwielbiała cię, a ja myślałam... Błagam, byś mi wybaczył, Nathanie.

Nathan chrząknął.

- Znam cię dobrze, Verno, więc wiem, że wypowiedzenie tych słów było dla ciebie najtrudniejsze. Wybaczam ci.

- Dziękuję, Nathanie - westchnęła Siostra Światła. Prorok pochylił się i pocałował Kahlan w policzek.

- Oby dobre duchy były przy tobie, Matko Spowiedniczko. Powiedz Richardowi, że zwracam mu tytuł. Może kiedyś znów się z nim spotkam.

Ujął Kahlan w talii i postawił na murku otaczającym studnię sylfy.

- Dziękuję, Nathanie. Rozumiem, dlaczego Richard cię polubił. I Clarissa. Uważam, że ona widziała prawdziwego Nathana.

Prorok się uśmiechnął, lecz zaraz spoważniał.

- Po powrocie, jeśli tylko chcesz ocalić Richarda, musisz ofiarować jego bratu to, czego naprawdę pragnie.

- Chcesz podróżować? - spytała sylfa.

- Tak, z powrotem do Aydindril.

- Richard naprawdę żyje? - zapytała Verna.

- Tak - odparła Kahlan, znowu przerażona. - Jest chory, ale wyzdrowieje, gdy wrócę do niego z księgą i zniszczę ją.

- Walsh, Bollesdun - przywołał ich Nathan, ruszając z miejsca. - Mój powóz czeka. Jedźmy.

- Ale ja pragnę studiować prorokowanie. Chciałbym, żebyś mnie uczył, Nathanie - odezwał się Warren.

- Prawdziwy Prorok rodzi się z tym darem, Warrenie, tego nie można się nauczyć.

- Dokąd się wybierasz? - zawołała za nim Verna. - Nie możesz odjechać.

Jesteś Prorokiem. Nie można dopuścić, żebyś zbie... To znaczy, musimy wiedzieć, gdzie jesteś, na wypadek gdybyśmy cię potrzebowali.

Nie odwracając się ku niej, Nathan wskazał kierunek.

- Twoje Siostry są tam, Ksieni. Na północnym zachodzie. Udaj się do nich i oszczędź sobie prób śledzenia mnie. I tak ci się to nie uda. Nawiedzający

Sny nie zagraża Siostróm: kiedy Richard odszedł do świata zmarłych, przeniosłem więź na siebie. Jeśli Richard wyżyje, wszyscy możecie z powrotem przenieść więź na niego.

Żegnajcie, Verno i Warrenie.

Kahlan przycisnęła pięść do brzucha. Jeśli wyżyje? Jeśli?

- Pospiesz się - powiedziała do sylfy. - Pospiesz. Srebrzyste ramię zgarnęło ją z murku i zanurzyło w płynnym srebrze.

ROZDZIAŁ 66

Uśmiechnął się, zobaczywszy, jak się szarpie. Podobało mu się, że z nim walczyła. Radowało go uczenie jej, jak bezcelowa jest walka z kimś takim jak on, z kimś obdarzonym niepospolitą siłą i niepospolitym intelektem. Patrzył, zafascynowany, jak krew płynęła z jej uszu i nosa. Ciekła z głębokiego rozcięcia na szczęce.

- Tylko rozkrwawisz sobie nadgarstki. Nie zerwiesz lin, ale szarp się, jeśli chcesz - szydził.

Plunęła nań. Znów ją uderzył. Wepchnął palec w rozcięcie na szczęce kobiety, urzeczony strumykiem krwi ściekającym po jej szyi.

Znał jej aury. Wyczuł je wówczas. Wiedział, której dotknąć, żeby ją unieruchomić. Nie potrzebował dużo czasu, by ją pokonać. Naprawdę niedużo.

Zgrzytała zębami, stękała z wysiłku i starała się zerwać liny. Była silna, lecz niedostatecznie. Pozbawiona mocy i oręża była zwyczajną kobietą. A zwyczajna kobieta mu nie dorównywała. W żadnym wypadku.

Kiedy zaczął odpinać rząd guzików na boku bluzy, kobieta gwałtownie napała na liny krępujące przeguby i kostki. Podobało mu się to. Lubił patrzeć, jak się szarpie. Jak krwawi. Znów trzasnął ją pięścią w twarz.

Intrygowało go, dlaczego nie krzyczy, dlaczego nie błaga o litość. Że nie wrzeszczy. A będzie. Och, jak będzie wrzeszczeć.

Jego pięść na chwilę ją ogłuszyła. Przewróciła oczami, starając się zachować przytomność. Odrzucił przód bluzy, odsłaniając piersi i górną połowę torsu kobiety.

Zaczepił palce o pas jej obcisłych spodni i jednym szarpnięciem obciągnął je w dół na tyle, by wystarczyło do tego, co zamierzał jej zrobić.

Odsłonił cały jej brzuch. Dotknął go. Jędrny. Twardy. Miała blizny. Przykuły jego uwagę. Próbował sobie wyobrazić, co też mogło doprowadzić do ich powstania.

Teraz zygzakowate i białe, niegdyś musiały krwawić.

- Już mnie gwałcono - naigrawała się. - Więcej razy, niż zdołałam zapamiętać.

I z moich doświadczeń wynika, że wcale nie jesteś w tym dobry. Nawet

porządnie nie ściągnąłeś mi spodni, ty głupia świni. No dalej, do roboty, o ile potrafisz. Czekam.

- Ależ Caro, wcale nie zamierzam cię zgwałcić. To byłby błąd. Nigdy nie zgwałciłem kobiety. Miewam tylko te, które same tego chcą.

Roześmiała się. Z niego się śmiała.

- Jesteś durnym, pokręconym bękartem.

Powściągnął chęć uderzenia jej w twarz. Chciał, żeby była wówczas przytomna. Świadoma. Ale trząśł się z wściekłości.

- Bękartem? - Zacisnął pięści. - Przez takie kobiety jak ty!

Uderzył ją pięścią w pierś. Zacisnęła powieki i zęby, skrzywiła się z bólu.

Starła się zwinąć w kulę, ale nie mogła, rozciągnięta linami.

Odetchnął dla uspokojenia, odzyskał panowanie nad sobą. Nie pozwoli, żeby go rozpraszała brudnymi słowami.

- A teraz dam ci ostatnią szansę. Gdzie jest Richard? żołnierze wciąż gadają, że Richard wrócił, że więź powróciła. Gdzieście go, dziwki, schowały?

Głosy z przestworzy też powiedziały mu, że jego brat wrócił. Głosy powiedziały mu również, że musi wyeliminować Richarda, jeśli chce zachować należne mu miejsce.

- A gdzież moja kochająca żona? Dokąd się udała?

Głosy powiedziały mu, że była w sylfie, lecz że sylfa mu nie powie, dokąd ją zaniósła. Cara znów na niego splunęła.

- Jestem Mord-Sith. Jesteś za głupi, żebyś potrafił sobie nawet wyobrazić, co mi wcześniej robiono. Nie dorastasz do pięt najłagodniejszemu treserowi Mord-Sith.

Twoje słabiutkie torturki niczego ze mnie nie wyciągną.

- Jeszcze nigdy nie spotkałaś nikogo tak utalentowanego jak ja, Caro.

- Możesz ze mną zrobić, co tylko chcesz, Drefanie, ale lord Rahl, prawdziwy lord Rahl, posieka cię na kawałeczki.

- A niby jak zdoła to zrobić? - Uniósł nieco Miecz Prawdy, żeby mogła zobaczyć złote litery na rękojeści. Układały się w słowo PRAWDA. - To ja posiekam go na kawałeczki. Malutkie kawałeczki Richarda. Gdzie on jest?!

Gdy raz jeszcze nań splunęła, nie zdołał się opanować i uderzył ją pięścią w rozciętą i obrzękłą wargę. Ponownie trysnęła krew.

Odwrócił się i wziął jedną z rzeczy, które tutaj przyniósł: żelazny kociołek.

Postawił go na jej brzuchu, dnem do góry.

- Jestem za duża, żebyś mógł mnie ugotować w tym kociołku, ty głupia świnio. Najpierw musisz mnie posiekać. Czyż muszę ci wszystko objaśniać?

Podobało mu się, jak próbuje rozbudzić w nim wrogość, sprawić, żeby stracił panowanie nad sobą. Chciała, żeby ją zabił. Zrobi to, ale najpierw powinna mówić.

- Ugotować cię? O nie, Caro. Mylisz się. Całkowicie się mylisz. Uważasz mnie za jakiegoś obłąkanego mordercę. Nie jestem mordercą. Jestem ręką sprawiedliwości. Ręką miłosierdzia, która przybyła, by dać wiekiustą czystość tym, którzy nie mają żadnej czystości. To nie ty będziesz się gotować w tym kociołku, ale szczury.

Obserwował ją. Widział, jak błysnęły ku niemu jej niebieskie oczy. Oczekiwał takiej właśnie reakcji.

- Szczury. Chyba nie jesteś tak głupi, by myśleć, że się boję szczurów tylko dlatego, że jestem kobietą. Jeszcze nigdy nie spotkałeś takiej kobiety jak ja. Szczury bywały moimi maskotkami.

- Czyżby? Słabo kłamiesz. Moja droga, kochająca, namiętna żona powiedziała mi, jak bardzo boisz się szczurów.

Nie odpowiedziała. Bała się okazać swój strach. Lecz widział go w jej oczach.

- Mam tutaj worek szczurów. Milutkich, tłustych szczurów.

- Zgwałć mnie wreszcie. Zaczyna mnie to nudzić.

- Mówiłem ci, że nie gwałcę kobiet. Chcą tego ode mnie. Proszą o to. Błagają.

- Obciągnął koronkowe mankiety. - Nie, Caro. Wymyśliłem dla ciebie coś zupełnie innego. Chcę, żebyś mi powiedziała, gdzie znajdę kochanego braciszka.

Odwróciła twarz.

- Nigdy. No dalej, pospiesz się z tą torturą, zanim zasnę i przegapię ją.

- Widzisz? Kobiety zawsze same mnie o to proszą. - Przycisnął żelazny kociołek do jej brzucha i obwiązał ją łańcuchem, mocując go. Wepchnął palec pod brzeg, sprawdzając, czy dostatecznie mocno przylega. Potem poluzował łańcuch, by móc wpuścić szczury pod kociołek Caro nie zareagowała, kiedy wpuścił pierwszego gryzonia. Złapał drugiego szczura za kark i podsunął Carze przed oczy, żeby widziała, jak się wyrywa i piszczy. - Widzisz, Caro?

Tak, jak obiecałem. Szczury. Duże szczury.

Czoło Cary pokryło się kroplami potu.

- Nawet mi się to podoba. Są takie puchate. Chyba zasnę. Wepchnął pod kociołek drugiego, a potem trzeciego szczura.

Na więcej nie było miejsca. Napiął łańcuch.

- Puchate - zadrwił. - Coś mi się zdaje, że nie pozwolą ci zasnąć, Caro. Nie pozwolą zasnąć i nakłonią do mówienia, do obojętnego zdradzenia Richarda. Dzielki nie mają honoru. Zdradzisz go.

- Wkrótce będzie tu Berdine. Obedrze cię żywcem ze skóry. Znacząco uniósł brew.

- Zluzowałaś Berdine. Widziałem cię. Powaliłem cię, gdy odeszła. Nie wróci tak szybko, a gdy się pokaże, spotkają to samo co ciebie. - Wyjął szczypcami duży, rozżarzony węgiel z misy zawieszanej nad licznymi świecami. Położył na odwróconym ku górze dnie kociołka.

- Węgłe rozgrzeją ten żelazny kociołek, Caro, i to porządnie. - Spojrzał jej w oczy. - Szczurom się to nie spodoba. Będą się chciały wydostać.

Zacząła szybciej oddychać. Pot spływał jej po twarzy. Gdzież podziały się jej harde słowa? Teraz milczała.

- A jak, według ciebie, będą się mogły wydostać? Kiedy zrobi się im za gorąco? Kiedy żelazny kociołek zacznie je parzyć? Osmalać ich delikatne noski?

- Podetnij mi gardło i zabij mnie, ty draniu.

- Szczury wpadną w panikę, gdy zacznie im się robić gorąco. Będą się chciały wydostać. Zgadnij jak, Caro.

Nie znalazła na to żadnej dumnej riposty. Milczała. Wyjął nóż i postukał trzonkiem w kociołek.

- Jak wam tam jest, moje kochane małe szurki?

Cara drgnęła. Uśmiechnął się, kiedy zwróciła nań oczy i obserwowała go.

Widział w jej oczach strach. Dorzucił kilka rozżarzonych węgli na kociołek.

- Gdzie Richard?

Milczała. Znów dołożył węgli, usypał okrągły stosik. Tyle tylko mieściło się na dnie kociołka. Pochylił się i spojrzał jej w oczy. Była biała jak kreda. Jej twarz i piersi lśniły od potu.

- Gdzieście, dziwki, ukryły Richarda?

- Jesteś szalony, Drefanie. Nie podoba mi się to, ale jeśli mam w ten sposób umrzeć, to umrę. Nigdy jednak nie zdradzę lorda Rahla.

- To ja jestem lordem Rahlem! Gdy pozbędę się mojego brata, już nikt nie będzie kwestionował moich rządów! Jestem synem Rahla Posępnego i prawowitym władcą D'Hary!

Odwróciła twarz. Zobaczył, jak przelyka ślinę. Stopy jej drżały. Od czasu do czasu gwałtownie wstrzymywała oddech. Zarechotał.

- Zapytam ponownie, kiedy szczury zaczną sobie wygryzać drogę przez ciebie, żeby uciec z rozpalonego żelaznego więzienia. Kiedy ich pazurki zaczną drapać twój brzuch. Kiedy zaczną się wgryzać w twoje wnętrzności, próbując się wydostać.

Cara szarpnęła całym ciałem. I znów. Rozszerzyły się wbite w strop oczy; próbowała zdusić jęk. Obejrzał się: spod obrzeża kociołka wydostała się kropla krwi i spłynęła po jej boku.

- Och, wygląda na to, że już się chcą wydostać. Będiesz mówić?

Splunęła nań, a potem gwałtownie wciągnęła powietrze. Szeroko otwarte niebieskie oczy wpatrywały się w sufit. Cała się trzęsła. Zesztywniała. Napięła wszystkie mięśnie. Zaczęła szybko oddychać. Z kącików oczu pociekły jej łzy. Czowała wszystko, co robiły szczury: każde zaciekle ukąszenie, każde desperackie drapnięcie pazurkami.

Cara krzyknęła. Ostro, piskliwie, krótko.

To była ekstaza. Wiedział, że dopiero się zaczyna. Nie zamierzał tego przerywać, nawet gdyby zaczęła mówić. Pragnął słyszeć wrzaski. Prawdziwe, z głębi trzewi.

Cara sprawiła mu przyjemność i wrzasnęła tak po raz pierwszy.

Dzięki szczególnej spostrzegawczości pochwycił nowy szczegół. Znów przydała mu się czujność. Z uśmiechem obrócił się ku studni sylfy.

- Oddychaj.

Kahlan wypuściła sylfę z płuc, lecz wiedziała, że dzieje się coś złego, i to zanim zdążyła wciągnąć powietrze.

W kamiennym pomieszczeniu rozbrzmiewał przeszywający krzyk. Kahlan wydawało się, że od tego krzyku popękają jej uszy.

Wyskoczyła z sylfy, lecz nim zdążyła zareagować, chwyciła ją wielka krzepka łapa. Wirował wokół niej blask i dźwięk. Walczyła o to, by odzyskać orientację, o to, by zrozumieć, co się dzieje.

Wyrwano jej księgę. Szyja Kahlan znalazła się w zagięciu ramienia, wielka łapa złapała ją za rękę. Czuła, jak lina owija się wokół jej przegubu.

Wyciągnięto ją ze studni sylfy, kopiając, szarpiąc się, starając się wyrwać.

Spełniał się koszmar. Zwiotczała, bo dostała pięścią w brzuch i straciła oddech.

Uderzyła kolanami o kamienną podłogę. Zdawało się jej, że ramiona wyskoczą jej ze stawów, tak mocno wykręcono je do tyłu.

Starła się dostać do swojej mocy Spowiedniczki, ale nie mogła jej dotknąć.

Przypomniała sobie, że duchy zablokowały ją, by mogła poślubić Drefana. Była bezbronna. To Drefan ją atakował.

Cara też tam była: leżała na podłodze. Ręce miała wyciągnięte za głowę, związane w przegubach i unieruchomione liną zamocowaną do kołka w ścianie. Lina krępowała też jej kostki. Była zamocowana do przeciwległej ściany. Na brzuchu Mord-Sith stał żelazny, przymocowany łańcuchem kociołek. W nozdrza Kahlan uderzył swąd gorących węgli i przypiekanego ciała. Dławił ją.

Drefan przyciskał kolano do ramienia Matki Spowiedniczki i wiązał jej przeguby liną. Usiłowała go ugryźć w nogę. Uderzył ją w twarz tak mocno, że niemal straciła wzrok. Walczyła, by zachować możliwość widzenia, by zachować przytomność. Wiedziała, że gdyby zemdlą, byłaby stracona.

Ramiona miała związane za plecami. Nie mogła zachować równowagi i upadła twarzą na kamienną posadzkę. Drefan skoczył jej na plecy i usiadł na niej.

Krępował jej liną nogi. Dziewczyna z trudem łapała oddech, przyduszona jego ciężarem. Z nosa płynęła jej krew. Przeguby miała tak mocno związane, że już zaczynała czuć mrowienie w palcach.

Cara wrzasnęła. Kahlan jeszcze nigdy nie słyszała tak głośnego wrzasku.

Miała wrażenie, że w głowę wbijają się jej lodowe igły. Rozboleła ją twarz.

Spod obrzeża żelaznego kociołka płynęła krew. Mord-Sith trzęsła się i szarpała. Zesztywniała i znów krzyknęła.

Drefan złapał Kahlan za włosy i podniósł jej głowę.

- Gdzie jest Richard?

- Richard? Richard nie żyje.

Uderzył ją pięścią w nerkę, aż stęknęła. Nie mogła złapać tchu. Drefan skierował uwagę na Carę.

- Będiesz teraz mówić? Gdzie schowałaś Richarda? Jedyłą odpowiedzią Mord-Sith był kolejny przesywający wrzask. Potem urywanie oddychała, udrecona bólem.

- Dlaczego mu powiedziałaś? - załkała Cara. - Dlaczego powiedziałaś mu o...

szczurach? O drogie duchy, dlaczego powiedziałaś mu o szczurach?

Przerażenie zaparło Kahlan dech w piersi.

Krew - jaskrawoczerwona na tle białej skóry - wypływała strumyczkami spod kociołka i spływała po boku Cary. Z gorących węgli na dnie kociołka unosił się dym.

A potem zobaczyła okrwawioną łapkę wysuwającą się spod obrzeża kociołka na brzuchu kobiety. I nagle zrozumiała. Potrzebowała całej siły woli, żeby powstrzymać torsje.

Cara krzyczała histerycznie, szarpiąc unieruchamiające ją okrwawione liny.

Kahlan zapamiętała czołgała się ku łańcuchowi, by spróbować go poluzować zębami i zrzucić z Cary żelazny kociołek. Drefan podniósł Kahlan za włosy.

- Twoja kolej też nadejdzie, żono.

Odciągnął ją do tyłu. Kahlan uderzyła o ścianę i osunęła się na coś twardego i szorstkiego. Do oczu napłynęły jej łzy bólu. To była torba Nadine, pełna pojemniczków z rogów. Dziewczyna kręciła się i wierciła, dopóki nie zsunęła się z torby i nie odetchnęła. Drefan spojrział na nią tymi swoimi oczami Rahla Posępnego.

- Puszczę Carę, jeśli mi powiesz, gdzie jest Richard.

- Nie mów mu! - wrzasnęła Cara. - Nie mów!!!

- Nie mogłabym powiedzieć, choćbym nawet chciała - krzyknęła do niej Kahlan. - Nie wiem, gdzie go ukryłyście.

Drefan podniósł księgę, którą ze sobą miała.

- Co to takiego?

Kahlan wbiła oczy w ponurą czarną księgę. Musiała mieć tę księgę, bo inaczej Richard umrze.

- A właściwie co to za różnica, już i tak nie będziesz jej potrzebować.

- Nie! - krzyknęła Kahlan, widząc, co chce zrobić. - Błagam! Obejrzał się na nią, trzymając tom nad studnią sylfy.

- Powiedz mi, gdzie jest Richard. - Uśmiechnął się, zrobił znaczącą minę.
- Nie?

Wrzucił księgę do studni. Serce Kahlan poleciało w ślad za nią. Sylfy - tak lubiącej obserwować obecnych w jej pomieszczeniu ludzi - nie było widać. Pewnie odstraszyły ją wrzaski.

- Puść Carę, Drefanie. Proszę cię. Masz mnie. Zrób ze mną, co chcesz, ale puść ją.

Drefan się uśmiechnął. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała tak wstrętnego uśmiešku. Odbicie uśmiechu Rahla Posepnego.

- Och, nie martw się, zamierzam zrobić z tobą, co tylko zechcę. W odpowiednim czasie. - Znów odwrócił się ku Carze. - Jak tam szczury, Caro? Chcesz mówić?

Cara skłęła go przez zaciśnięte zęby.

Drefan sięgnął do worka i wyjął szczura, trzymając go za kark. Potrząsał nim przed twarzą Cary, choć próbowała ją odwrócić. Opuścił go. Szczur piszczał, wił się i drapał pazurkami, usiłując się wyrwać Drefanowi. Zostawiał krwawe ślady na policzkach, brodzie i wargach kobiety.

- Błagam. Zabierz je, błagam! - lamentowała Cara.

- Gdzie jest Richard?

- Pomóżcie mi, drogie duchy. Proszę, pomóżcie. Proszę, pomóżcie - mamrotała Mord-Sith.

- Gdzie jest Richard?

Ciało Cary gwałtownie drgnęło.

- Mamo!!! - wrzasnęła. - Ratuj mnie! Mamo! Zabierz je! Mamoooo!

Cara była sama w klatce ze szczurami, w szponach strachu i bólu. Znów była bezbronnym dzieckiem błagającym matkę o pociechę i ochronę. Była dzieckiem płaczącym za matką.

Kahlan płakała. To była jej wina. To ona powiedziała Drefanowi, że Cara bała się szczurów.

- Wybacz mi, Caro! Nie wiedziałam!

Tamta szarpała krępującymi ją linami - mała dziewczynka rozpaczliwie błagająca matkę, żeby zabrała szczury.

Kahlan starała się uwolnić rękę. Gdybyż tak mogła uwolnić jedną rękę.

Ale liny były zbyt mocno związane. Ciągnęła i szarpała. Palce mrowiły. Szorstka lina wpijała się w przeguby.

Dziewczyna przycisnęła przeguby do torby Nadine, starając się wyczuć coś ostrego, czym mogłaby przeciąć sznur. Torba była z materiału, rączka z gładkiego drewna.

Torba. Kahlan przechyliła się na bok, szukała palcami guzika, na który była zapięta. Znalazła. Chciała go odpiąć, lecz miała zdrętwiałe palce i nie mogła nimi swobodnie poruszać, zwłaszcza przy wygiętych pod takim kątem ramionach. Szarpała guzik paznokciami, starając się go oderwać. Był mocno przyszyty, żeby wytrzymał ciężar i częste odpinanie. W końcu przepchnęła go przez dziurkę.

Szperała w torbie, próbując wydobyć z niej pojemniczki, żeby się im przyjrzeć. Drżała przy każdym przeraźliwym jęku Mord-Sith. Ile razy Cara wołała, żeby matka zabrała szczury, tyle razy Kahlan musiała tłumić szloch.

Podniosła wzrok: Drefan szorował szczurem po twarzy Cary, drugiego - ze złamanym kręgosłupem - położył jej na szyi. Kahlan zgrzytnęła zębami i wyciągała z torby rogowe pojemniczki.

Cara była jej siostrą w Agielu. Kahlan musiała coś zrobić. Była jedyną nadzieją dręczonej kobiety. Wykręciła szyję, żeby zobaczyć oznaczenia na pojemniczkach. Nie dostrzegła tego, którego szukała. Zaczęła palcami wyczuwać owe znaki. Już miała nadzieję, że natrafiła na właściwe naczynie, lecz rozczarowała się, bo wyczuła trzy kręgi. Kiedy stwierdziła, że to nie ten pojemnik, odrzuciła go na bok.

Pogrzebała w torbie i znalazła kolejny róg. Wodziła palcami po zadrapaniach.

Koło. Przesunęła palce niżej - drugie koło. Znalazła łączącą je prostą linię. Trzymała róg końcami palców i wykręciła się, chcąc zobaczyć, czy to istotnie ten. Cara wrzasnęła i Kahlan upuściła naczynie. Przesunęła się w bok, żeby go zobaczyć na podłodze. Miał wydrapane dwa koła. Łączyła je prosta linia. To był właściwy róg: zawierał sproszkowany czarcikęsik.

Nadine przestrzegała, żeby nie wyjmować drewnianej zatyczki, by proszek nie dostał się do oczu lub nie opadł na twarz. Mówiła, że to unieruchomiłoby człowieka na pewien czas. Uczyniło bezradnym.

Kahlan znów wzięła róg w palce. Ruszała drewnianą zatyczką, starając się ją poluzować. Zatyczka tkwiła mocno - miała przecież zapobiegać

wydostaniu się groźnej substancji.

Jej palce były zdrętwiałe i słabe. Zaciskała zęby i w dalszym ciągu starała się poluzować zatyczkę. Nie zamierzała jeszcze otwierać rogu, lecz chciała mieć pewność, że może to zrobić.

Ręce miała związane na plecach, więc nie mogła sypnąć czarcikęsikiem w twarz Drefana. Rozpaczliwie starała się wymyślić, co zrobić. Musiała coś zrobić.

Jeżeli nie, Cara wkrótce umrze. A wtedy Drefan zajmie się swoją ukochaną żoną.

Mord-Sith lamentowała, cierpiąc straszliwe katusze.

- Mamo, zabierz szczury z Cari. Proszę cię, mammo, proszę. Ratuj mnie, proszę, ratuj.

Błagania bezradnej i przerażonej Mord-Sith rozdzierały serce Kahlan. Nie mogła już dłużej czekać. Co zrobić wymyśli wtedy, gdy będzie czas na działanie. Teraz musiała jakoś zacząć.

- Drefanie! Obrócił ku niej głowę.

- Chcesz mi powiedzieć, gdzie jest Richard?

Kahlan przypomniała sobie, co jej powiedział Nathan: „Po powrocie, jeśli tylko chcesz ocalić Richarda, musisz ofiarować jego bratu to, czego naprawdę pragnie”. Może to ocali Carę.

- Richard? A po cóż mi Richard? Wiesz, że to ciebie chcę. Uśmiechnął się porozumiewawczo, z zadowoleniem.

- Już wkrótce, moja droga. Za chwilę. Możesz poczekać. Znów patrzył na Carę.

- Nie, Drefanie! Nie mogę czekać. Teraz cię potrzebuję. Teraz cię pragnę. Już dłużej nie mogę się temu opierać. Nie mogę dłużej udawać. Pragnę cię.

- Mówiłem...

- Tak jak twoja matka. - Znieruchomiał, gdy to usłyszał. - Pragnę cię tak, jak twoja matka dziwka pragnęła twojego ojca.

Spochmurniał. Obrócił się ku niej jak rozdrażniony byk, wbił w nią przeszywające oczy.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz co. Pragnę, żebyś mnie wziął tak, jak twój ojciec brał twoją matkę. Chcę, żebyś mnie tak wziął. Ty jeden możesz mnie zadowolić. Zrób to. Teraz.

Błagam.

Podniósł się, wielki i wspaniały. Mięśnie zagrały i napięły się. Przybrał ponury, gniewny wyraz Rahla.

- Wiedziałem - wyszeptał. - Wiedziałem. Wiedziałem, że w końcu ulegniesz swojej plugawej perwersji.

Zawahał się i obejrzał na Carę.

- Tak. Masz rację. Zawsze masz rację. Drefanie. Jesteś bystrzejszy ode mnie.

Cały czas miałaś rację. Nie mogę cię dłużej oszukiwać. Daj mi to, czego pragnę. Daj mi to, czego potrzebuję. Proszę cię, Drefanie. Błagam. Pragnę cię.

Jego twarz przerażała. Malował się na niej obłęd. Gdyby Kahlan mogła wnikać w kamienną ścianę, to by to zrobiła.

Drefan wyciągnął z za pasa nóż, oblizwał wargi i ruszył ku niej.

Nie miała pojęcia, że jej słowa odniosą aż taki skutek. Przerażona Kahlan szarpała zatyczką. Zmieniała się twarz arcykapłana i jego ruchy. Szedł ku niej rozszalały potwór. Oczy zwęziły mu się ze straszliwego obrzydzenia, dzięki nienawiści. Nienawiści do niej.

Kahlan stłumiła narastający w niej paniczny strach. Cóż uczyniła, o drogie duchy? Odpychała się stopami od podłogi, starała się cofnąć. Już opierała się o ścianę.

Jak sypnie mu proszkiem w twarz?

Co mam robić, drogie duchy? - pytała w myślach.

Z całej siły naparła na zatyczkę. Korek wyskoczył. Drefan klęknął przy niej.

- Powiedz, jak bardzo chcesz, żebym dał ci rozkosz.

- Tak! Pragnę cię. Natychmiast. Daj mi rozkosz, którą ty jeden możesz mi dać.

Uniósł nóż i pochylił się ku niej.

Kahlan przechyliła się w jego stronę, skręciła, przetoczyła w bok i rzuciła mu w twarz róg pełen proszku, po czym padła, kryjąc twarz.

Nic nie widziała, przyciskając twarz do kamiennej podłogi. Nie wiedziała, czy chybiła, czy tłusty proszek się wysypał, czy róg odwrócił się we właściwą stronę, czy Drefan był dostatecznie blisko. Wstrzymała oddech, oczekując pchnięcia nożem, wyobrażając sobie, że zaraz nastąpi, wiedząc, że

zaraz nastąpi. Niemal czuła, jak wbija się w nią ostra klinga. Walczyła ze strachem, nie wiedząc, gdzie Drefan ją ugodzi.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Odwróciła się i zobaczyła, jak pada na plecy, wije się, walczy o oddech.

Kahlan szarpnęła się i zaczęła podążać ku Carze. Chciała ominąć Drefana, ale miała za mało miejsca. Złapał ją za kostki. Kopała, starając się mu wyrwać. Mocniej zacisnął palce. Ciągnął ją ku sobie. Z trudem chwycił powietrze, wymachiwał drugą ręką, żeby wyczuć, co jest w pobliżu. Oślepl.

Kahlan dojrzała żółty proszek na jego policzku i szyi. Nie trafiła w oczy, choć chciała. Nie trafiła dokładnie w usta czy w nos. Zaledwie obok twarzy. Większość nie opadła mu na twarz. Nie wiedziała, na ile go to zatrzyma, lecz nie sądziła, że na długo.

Sprawcie, dobre duchy, żeby to wystarczyło, błagała w myślach.

Róg leżał z drugiej strony Drefana. Nie dosięgłaby go. Kiedy znów szarpnęła jej nogę, wykorzystwała to i z całej siły kopnęła go w twarz. Trafiła w ucho, częściowo je oddarła. Ryknął i puścił jej kostkę.

Kahlan desperacko odepchnęła się stopami, żeby ująć jego łapiącym na oślep palcom. Udało się jej znaleźć poza zasięgiem Drefana. Wpadła na Carę. Usiadła i podsunęła się ku tamtej.

- Trzymaj się, Caro. Trzymaj się, proszę. Jestem tutaj. Zdejmę je z ciebie.

Przysięgam, że je z ciebie usunę.

- Mamo, proszę - załkała Cara. - To tak boli... Boli. Boli.

Kahlan podciągnęła pod siebie stopy, by móc sięgnąć dość wysoko. Wyginała szyję, usiłując dojrzeć przez ramię, co robi. Złapała łańcuch. Oparzył jej palce, cofnęła je. Zmusiła się, by znów chwycić metalowe kółka. Szarpała żelazny węzeł, potrząsała nim, skręcała i ciągnęła. Poparzonymi palcami wyczuła, jak ogniwo się przesuwają i łańcuch się rozluźnia. Zerknęła na Drefana. Wciąż walczył o oddech, lecz wyprostował nogi. Ułożył ręce po bokach. Cóż on czynił?

Puściło kolejne ogniwo. Szarpnęła łańcuch, żeby poluzować węzeł, poszerzyć go. Jeszcze jedno ogniwo. Łańcuch poluźnił się jeszcze bardziej. Szarpała go bezustannie, choć gorące żelazo parzyło ją w palce.

Oddech Drefana się wyrównywał. Arcykapłan leżał zupełnie nieruchomo. Cóż on robił?

Kahlan krzyknęła z radości, kiedy łańcuch zsunął się z kociołka. Siedząc

plecami do Cary, zaczepiła palce o obrzeże rozgrzanego naczynia, uniosła je i zrzuciła z Cary.

Okrwawione szczury wypadły na podłogę, skręcały się i rzucały, żeby stanąć na łapki, a potem uciekły.

Kahlan mało nie rozplakała się z radości.

- Zrzuciłam je, Caro. Zrzuciłam je z ciebie.

Głowa Cary chwiała się to w jedną, to w drugą stronę. Mord-Sith przewracała oczami. Mamrotała coś niezrozumiale. Gdy Kahlan spojrzała przez ramię i zobaczyła brzuch Cary, musiała odwrócić oczy, żeby nie dostać torsji.

Przesunęła się ku rękóm Mord-Sith. Energicznie zabrała się do rozsypywania węzła, lecz szarpiąc się, Cara tak zacisnęła więzy, że Kahlan nie dawała sobie z nimi rady. Nie zdoła ich rozwiązać. Będzie je musiała przeciąć.

Nóż Drefana leżał na podłodze, blisko niego. A Drefan spoczywał zupełnie nieruchomo. Weźmie nóż i przetnie więzy Cary. Musi też rozciąć własne. Zanim on przyjdzie do siebie.

Odpychała się piętami i sunęła w stronę broni. Obróciła się, wyczuwając nóż palcami.

Drefan podniósł się i złapał ją. Trzymał ją w pasie i podniósł, jakby nic nie ważyła. Wycelował nóż w jej twarz.

- Paskudztwo, ten sproszkowany czarcikęsik. Na szczęście potrafię wykorzystać swoje aury i poradzić sobie z nim. A teraz, moja dziwko i żono, nadszedł czas, żebyś zapłaciła za swoją perwersję.

ROZDZIAŁ 67

Richard szedł chwiejnie ku komnacie sylfy. W swoim pobliskim schronieniu, gdzie umieściły go Cara i Berdine, usłyszał wrzaski. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny ani od kiedy tkwił w tej komnatce, lecz owe wrzaski go ocuciły.

Ktoś potrzebował pomocy. Rozpoznał ostatni krzyk - to Kahlan.

Serce tłukło mu się boleśnie. Wszystko go bolało. Nie sądził, że zdoła się utrzymać na nogach, ale dał radę. Nie sądził, że będzie mógł iść, ale szedł. Musiał.

Był boso, bez koszuli. Tylko w spodniach. Wiedział, że w dolnej części Wieży Czarodzieja było zimno, lecz był zlany potem i tak płonął z gorączki, że z trudem oddychał.

Całą siłą woli zmuszał się, by iść.

Wyprostował się, wsparł dłoń o framugę drzwi komnaty sylfy i wszedł do środka.

Drefan spojrział na brata. Opasywał ramieniem kibić Kahlan. W drugiej ręce trzymał nóż. Skrępowana linami Cara leżała na podłodze. Miała poszarpany brzuch.

Wciąż żyła, ale dygotała w straszliwym bólu.

Richard nic nie rozumiał.

- Co tu się wyprawia, Drefanie?

- Richard. Człowiek, którego szukam - zadrwił tamten.

- No to jestem. Puść Kahlan.

- Puszczę, drogi bracie. Lada moment. To ty mi jesteś potrzebny.

- Po co?

Drefan uniósł brwi.

- Żebym znów mógł zostać lordem Rahlem. To należy mi się z urodzenia.

Głosy mi to powiedziały. Ojciec mi to powiedział. Mam być lordem Rahlem. Po to się urodziłem.

Umysł i ciało Richarda atakowała zaraza, to wszystko wydało mu się snem.

- Rzuć nóż, Drefanie, i poddaj się. Jest już po wszystkim. Puść Kahlan.

Drefan się roześmiał. Odrzucił do tyłu głowę i ryczał ze śmiechu.

Wreszcie zamilkł. Przymrużył oczy, groźny i zdecydowany.

- Ona mnie pragnie. Błaga o to. Wiesz, że to prawda, mój drogi bracie.

Przekonałeś się, kim ona jest. To dziwka. Taka sama jak inne. Jak Nadine. Jak moja matka. Musi umrzeć, jak tamte.

Richard spojrział Kahlan w oczy. Co się działo? Drogie duchy, jak ją wyrwie Drefanowi?

- Mylisz się, Drefanie. Matka cię kochała. Zabrała cię tam, gdzie nie zagrażał ci Rahl Posępny. Kochała cię. Puść Kahlan, proszę. Błagam.

- Jest moja! To moja żona! Zrobię z nią, co zechcę! Drefan dźgnął Kahlan nożem w dolną część pleców. Richard drgnął, słysząc, jak ostrze uderza o kość.

Kahlan jęknęła, szeroko otworzyła oczy. Drefan ją puścił. Osunęła się na kolana i upadła na bok.

Richard starał się to wszystko pojąć. Nie bardzo wiedział, czy to jawa, czy sen.

Miał już tak wiele snów, tak wiele koszmarów. To je trochę przypominało, a jednak było inne. Nie wiedział, czy jeszcze jest żywy. Cała komnata wirowała mu przed oczami.

Drefan dobył Miecza Prawdy. W komnacie rozbrzmiał tak dobrze znany Richardowi szcęk stali, dzwonienie, które zbudziło go z koszmaru na jawie. Widział, jak w oczach jego brata rozpała się magiczny gniew miecza.

- Nic mi nie jest, Richardzie - wydyszała wpatrzona weń Kahlan. - Nie masz broni. Idź stąd. Odejdź. Kocham cię. Proszę, zrób to dla mnie. Uciekaj!

Gniew w oczach Drefana nie dorównywał wściekłości szalejącej w Richardzie.

- Rzuć miecz, Drefanie. Natychmiast. Bo cię zabiję. Arcykapłan zatoczył krąg klingą.

- Czym? Gołymi rękami?

Richard żywo przypomniał sobie to, co powiedział Zedd, gdy wręczał mu Miecz Prawdy: miecz był tylko narzędziem, to Poszukiwacz był orężem. Prawdziwy Poszukiwacz nie potrzebował miecza. Ruszył ku tamtemu.

- I nienawiścią w sercu.

- Z radością cię wreszcie zabiję, Richardzie. Nawet jeśli nie masz broni.

- Ja jestem bronią.

Richard biegł. Odległość między nimi gwałtownie się zmniejszała.

Kahlan krzyczała, żeby uciekał. Ledwo ją słyszał. Był w transie.

Drefan uniósł miecz nad głowę, wziął oddech, szykował się do rozplątania Richarda.

Odłonił się. Richard wiedział, że sztych jest szybszy niż cięcie.

Ogarnęła go mordercza determinacja.

Zatracił się w tańcu ze śmiercią.

Drefan ryknął z wściekłości i miecz zaczął się znizać.

Richard opadł na lewe kolano, wykorzystał to? że tamten się odłonił. Siła rozpędu i skręt tułowia dodały mocy jego sztychowi. Wyprostował i usztywnił palce, wyciągnął przed siebie ramię i pchnął z całej siły.

Nim klinga zdążyła go dotknąć, Richard uderzył jak błyskawica i wbił dłoń w miękki brzuch Drefana. W mgnieniu oka złapał kręgosłup brata, szarpnął go ku sobie i rozerwał.

Drefan poleciał do tyłu, uderzył w studnię sylfy i osunął się na podłogę; coraz mocniej krwawił.

Richard pochylił się nad Kahlan, dotknął jej twarzy lewą dłonią. Nie chciał jej powalać krwią uzdrowiciela. Cierpiała. Dostrzegł kątem oka, że Drefan poruszył ramieniem.

- Nie czuję nóg, Richardzie. Nie czuję nóg. Drogie duchy, co on mi zrobił? - W jej głosie słychać było panikę. - Nie mogę nimi poruszyć.

Richard natychmiast zatracił się w potrzebie. Zapomniał, jak się posługiwać swoją mocą, bo inaczej nie mógłby opuścić Świątyni Wichrów, ale przecież przedtem z niej korzystał. Już wcześniej leczył. Był czarodziejem.

Nie zwracał uwagi na zawroty głowy i ból brzucha. Nie mógł pozwolić, żeby mu przeszkodziły.

Nathan nauczył go, że jego moc ujawniała się w potrzebie, o ile była to naprawdę nagląca potrzeba, lub w gniewie, o ile był to naprawdę wielki gniew. I gniew, i potrzeba jeszcze nigdy nie były tak wielkie jak w tej chwili.

- Richard. Kocham cię, Richardzie. Chcę, żebyś to wiedział, jeśli my... jeśli my...

- Ciii - powiedział łagodnie. Twarz miała pociętą i zakrwawioną. Cierpiał, widząc jej ból i strach. - Ulecę cię. Leż spokojnie, na pewno cię ulecę.

- Och, Richardzie, miałam księgę. Straciłam ją. Tak mi przykro, Richardzie.

Miałam ją, ale straciłam.

Zrozumiał, co mówi, i ogarnęło go mdlące uczucie: miał umrzeć. Teraz już nic nie można było na to poradzić. Był stracony.

- Ulecz Careę, Richardzie, proszę cię.

- Nie. Nie sądzę, żebym miał dość siły, by uleczyć was obie. - Żeby uleczyć, musiał przyjąć w siebie ból zranionej osoby, a zabicie Drefana odebrało mu niemal wszystkie siły. - Muszę cię uleczyć.

Kahlan potrząsnęła głową.

- Proszę cię, Richardzie. Jeżeli mnie kochasz, to zrób, o co proszę. Ulecz Careę.

To przeze mnie jej to zrobił. To moja wina. - Łza spłynęła jej po policzku. - Utraciłam księgę. Nie mogę cię uratować. Ulecz Careę. - Powstrzymała płacz. - Wkrótce będziemy razem i to już na zawsze.

Zrozumiał. Oboje mieli umrzeć. Będą razem w świecie duchów. Nie chciała żyć bez niego.

Richard ucałował jej czoło.

- Trzymaj się. Nie poddawaj się. Kocham cię, Kahlan, Nie poddawaj się, proszę.

Zajął się Cara. Miał już takie mdłości i czuł się tak chory, że to, co zobaczył, nie podziało nań tak, jak podziałyoby w innych okolicznościach. Jej cierpienie wywołało w nim ból.

Położył dłonie na okrwawionym, poszarpanym brzuchu Mord-Sith.

- Jestem przy tobie. Trzymaj się. Zrób to dla mnie, żebym cię mógł uleczyć.

Wydawało się, że nie słyszy jego słów. Mamrotała coś i poruszała głową.

Richard zamknął oczy i otworzył swoje serce, swoje pragnienie, swoją duszę.

Pozwolił płynąć strumieniowi empatii. Chciał uleczyć Careę. Oddała im wszystko, całą siebie. Nie wiedział, czy wystarczy mu sił, lecz dał z siebie wszystko.

Zstąpił w otchłanie jej udreki. Czuł to, co ona, cierpiał wraz z nią. Zaciskał zęby, wstrzymywał oddech, wchłaniał w siebie jej ból, cały, calutki. Nie chronił się przed tym.

Drżał z bólu, zawodził w myślach. Wchłaniał ból i chciał jeszcze. Prosił o cały ból. sądał tego.

Świat stał się przeraźliwym, dręczącym cierpieniem. Jego rwący nurt porwał Richarda. Palący ból trawił chłopaka.

Czas stracił znaczenie. Istniał wyłącznie ból.

Kiedy Richard wyczuł, że wchłonął w siebie całe cierpienie, pozwolił płynąć swojej empatii, swojej mocy, uzdrowicielskiej sile, uzdrawiającemu sercu.

Nie wiedział, jak tym kierować, więc po prostu pozwolił płynąć owemu strumieniowi. Zdawało mu się, że całe jego „ja” płynie ku Carze. Była wypaloną, jałową ziemią, która kapała się w życiodajnym deszczu.

Kiedy wreszcie otworzył oczy i podniósł głowę, jego dłonie leżały na gładkiej skórze jej brzucha. Była uleczona. Uleczona, choć chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

Odwrócił się. Kahlan leżała na boku, jej oddech był krótki, urywany. Twarz miała szarą, pokrytą potem i krwią, miała na wpół zamknięte oczy.

- Richardzie, uwolnij mi ręce. Chcę cię tulić, kiedy... - szepnęła, gdy się nad nią pochylał.

Kiedy będzie umierać. To chciała powiedzieć.

Richard porwał leżący w pobliżu nóż i przeciął sznury. Gniew powrócił, ale tym razem jedynie się zarzył. Chłopak ledwie widział komnatę. Ledwo słyszał Kahlan. Ledwo ją widział.

Dziewczyna nareszcie miała wolne ręce. Zrzuciła je Richardowi na szyję i przyciągnęła go do siebie. Z całych sił starał się, żeby na nią nie upaść.

- Richardzie, Richardzie, Richardzie - szeptała. - Kocham cię.

Objął ją i zobaczył tworzącą się pod dziewczyną kałużę krwi.

Znów zapłonął w nim gniew. I pragnienie.

Uniósł ją w ramionach, błagając duchy, żeby ją oszczędziły.

- Dajcie mi, proszę, siły, bym mógł uzdrowić ukochaną - szeptał przez łzy. - Zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądano. Wszystko poświęciłem. Utrata ukochanej nie może być częścią tego. Umieram. Dajcie mi czas. Pomóżcie mi.

Tulił ją i pragnął tylko jednego. Chciał tylko, żeby żyła, żeby była zdrowa, żeby była cała.

Trzymał ją w ramionach i ponownie poddał się nurtowi. Ze wszystkich sił chłonął w siebie ból, cały, bez reszty.

Jednocześnie pozwolił płynąć swej miłości, serdeczności, współczuciu.

Kahlan wstrzymała oddech.

Richard widział, że jego ramiona jaśnieją, jakby duch dzielił z nim ciało. A może to on był już duchem - nie dbał o to. Chciał ją uleczyć, nieważne, jakim kosztem. Zapłaci każdą cenę.

Kahlan wstrzymała oddech, poczuwszy wlewającą się w nią moc. Poczowała mrowienie w nogach. Poczwała je po raz pierwszy od czasu, gdy Drefan pchnął ją nożem.

Richard tulił ją w ramionach, jaśniał poświata. W porównaniu z tym upojenie sylfą było torturą. To przewyższało wszystko, co do tej pory przeżyła. Czwała, jak każde włókienko jej ciała przenika jego serdeczna, uzdrawiająca magia.

Miała uczucie, że się na nowo rodzi. Wracało życie i żywotność. Płakała z zachwytem, leżąc w ramionach Richarda, okolona jego magią.

Kiedy w końcu odsunął się od niej, mogła się poruszać bez bólu. Wróciła władza w nogach. Czwała się cała i zdrowa.

Zapatrzony w oczy dziewczyny Richard otarł krew z jej ust. Klęczeli na podłodze. Kahlan pocałowała go, smakując ich słone łzy.

Odsunęła się, chwyciła go za ramiona i patrzyła mu w oczy. Widziała go w nowym świetle. Właśnie dzieliła z nim coś, czego nie wyrażą żadne słowa, czego nie da się w pełni zrozumieć.

Wstała i wyciągnęła doń rękę, żeby pomóc mu się podnieść. Richard wyciągnął ku niej dłoń.

I upadł twarzą na podłogę.

- Richardzie! - Klękła przy nim i przetoczyła go na plecy. Ledwo oddychał.

- Richardzie. Nie opuszczaj mnie, proszę. Nie zostawiaj mnie!

Złapała go za ramiona. Płonął z gorączki. Oczy miał zamknięte. Walczył o każdy oddech.

- Och, Richardzie. Tak mi przykro. Straciłam księgę. Kocham cię, Richardzie.

Nie umieraj, nie zostawiaj mnie samej.

- Proszę. - W komnacie zabrzmiał jakiś głos. Kahlan uniosła głowę. Głos wydawał się nierzeczywisty.

Nie rozumiała. A potem nagle pojęła.

Obróciła się i zobaczyła zwróconą ku niej srebrną twarz sylfy. Srebrzysta

ręka podawała jej czarną księgę.

- Jest potrzebna władcy. Weź ją - powiedziała sylfa. Kahlan porwała księgę.

- Dziękuję! Dziękuję, sylfo!

Przypadła do Richarda, żeby zaczerpnąć piasku czarnoksiężnika, który nosił w skórzanych mieszkach u pasa, ale pasa nie było.

Pospieszyła do wciąż jeszcze związanej Cary. Mord-Sith poruszała głową i mamrotała coś, jakby nie wiedziała, że Richard ją uzdrowił. W dalszym ciągu tkwiła w okowach panicznego strachu.

Zedd powiedział Kahlan, że dar nie może uleczyć chorób umysłu.

- Caro! Caro, gdzie schowaliście Richarda? Gdzie są jego rzeczy?

Cara nie odpowiedziała. Kahlan złapała nóż i przecięła więzy. Kobieta leżała bez ruchu.

Kahlan ujęła w dłonie jej twarz i zmusiła, by na nią spojrzała.

- Już wszystko dobrze, Caro. Szczury zniknęły. Nie ma ich. Jesteś bezpieczna.

Richard cię uleczył. Jesteś już zdrowa.

- Szczury. Zdejmij je ze mnie. Proszę. Proszę... - wymamrotała Cara.

Kahlan ją przytuliła.

- Nie ma ich, Caro. Jestem twoją siostrą w Agielu. Jesteś mi potrzebna. Wróc do mnie, Caro. Proszę cię.

Cara tylko mamrotała.

- Caro, Richard umrze, jeśli mi nie pomożesz. W wieży są tysiące komnat.

Muszę wiedzieć, w której go trzymaliście. Błagam cię, Caro. Richard ci pomógł.

Teraz potrzebuje twojej pomocy. Inaczej umrze. Nie ma czasu. Richard cię potrzebuje

- łkała Kahlan.

Oczy Cary oprzytomniały, jakby się budziła.

- Richard?

Kahlan otarła łzy z twarzy.

- Tak, Richard. Pospiesz się, Caro. Potrzebny mi pas Richarda. Inaczej on umrze.

Cara opuściła ramiona, roztarta przeguby. Były gładkie, krwawiące rany

zniknęły. Dotknęła brzucha. Zniknęły nawet stare blizny.

- Jestem uleczona. Lord Rahl mnie uleczył - wyszeptała.

- Tak! Błagam cię, Caro. Richard umiera. Mam księgę, ale potrzebne mi jeszcze to, co nosi przy pasie.

Cara usiadła gwałtownie, zakryła tors bluzą. Zapięła dwa guziki, żeby bluza znów się nie rozchyliła.

- Jego pas. Tak. Ty zostań z lordem Rahlem, a ja przyniosę pas.

- Pospiesz się!

Cara wstała. Chwiała się przez moment, odzyskała równowagę i wypadła z komnaty. Kahlan przycisnęła do siebie czarną księgę. Pochyliła się nad Richardem.

Ledwo oddychał. Wiedziała, że każdy z tych oddechów może być ostatnim. Oddał jej i Carze resztę swoich sił.

- Pomóżcie mu, drogie duchy. Dajcie mu jeszcze odrobinę czasu. Proszę. Tak bardzo cierpiał. Proszę, dajcie mu troszkę czasu, bym zdążyła zniszczyć tę ohydłą księgę. - Znów nachyliła się nad ukochanym i pocałowała go w usta. - Trzymaj się, Richardzie. Trzymaj się dla mnie, proszę. Jeśli mnie słyszysz, wiedz, że mamy księgę.

Wiem, jak ją zniszczyć. Tylko się trzymaj, proszę.

Kahlan klękła w pobliżu drzwi, położyła księgę na podłodze i otworzyła ją na trzeciej stronie, by być gotową, gdy wróci Caro.

Wpatrywała się w pustynny krajobraz. Tworzący wydmy piach ciągnął się w dal emanującego z księgi urojenia. Kahlan patrzyła na tę jałową okolicę i dojrzała na piasku runy: linie układające się w geometryczne wzory.

Wijące się i skręcające linie przyciągnęły jej wzrok. W runach było jakieś światło. Błysnęło ku niej wszystkimi kolorami, przywoływało ją.

- Matko Spowiedniczko! - wrzasnęła Caro, potrząsając Kahlan. - Nie słyszysz mnie?! Mam pas lorda Rahla!

Kahlan zamrugła, potrząsnęła głową, zebrała myśli. Złapała pas i wyjęła kościaną zapinkę z mieszka, w którym Richard trzymał piasek czarnoksiężnika.

Wewnątrz znalazła skórzany woreczek pełen białego piasku.

Cara stała za nią, dotykając jej ramienia, a Kahlan rzuciła szczyptę białego piasku na księgę.

Kolor kipiał, skręcał się, miotał i zwijał. Kahlan odwróciła oczy i sięgnęła

po skórzany woreczek z czarnym piaskiem. Ostrożnie go otworzyła. Wewnątrz ujrzała atramentowoczarne piasek.

Zamarła, zaniepokojona. Było coś jeszcze. Coś trzeba było sobie przypomnieć.

Słowa. Nathan mówił, żeby wypowiedzieć słowa, wymienić trzy nazwy, zanim rzuci się czarny piasek. Trzy słowa. Ale jakie?

Nie mogła sobie przypomnieć. Starła się i starała, lecz wciąż kryły się w zakamarkach pamięci, uciekały. Zaczęła się bać. Wyteżęła pamięć, ale słowa nie wypływały z mroków zapomnienia.

Richard miał je wypisane we wnętrzu dłoni. Odwróciła się, żeby podejść i je odczytać, i zamarła.

Drefan - oparty o studnię sylfy tam, gdzie upadł - wciąż trzymał się życia i właśnie wznosił miecz. Richard leżał na podłodze, w zasięgu ciosu. Arcykapłan go zabije.

- Nie! - wrzasnęła Kahlan.

Ale miecz już opadał. Rozległ się ledwo słyszalny, szalony śmiech.

Kahlan wyrzuciła ku Drefanowi pięść, przywołując błękitną błyskawicę, żeby obronić Richarda. Bez skutku. Nie mogła dotrzeć do swojej mocy.

Cara już rzuciła się ku Drefanowi, lecz była za daleko. Nie zdołała go osiągnąć. Miecz przebył już połowę drogi.

Wyciągnęło się srebrzyste ramię i mocno chwyciło rękę Drefana. Kahlan wstrzymała oddech.

Drugie srebrne ramię otoczyło głowę mężczyzny.

- Oddychaj - zagruchała sylfa. Jej głos obiecywał nasycenie zwierzęcego pożądania, obiecywał upojenie. - Chcę, żebyś dał mi radość. Oddychaj.

Pierś Drefana uniosła się w oddechu - wciągnął sylfę do płuc.

Znieruchomiał, mając sylfę w płucach. Istota puściła go i osunął się na bok.

Wypuścił ją z płuc.

Wypłynęła z jego nosa i ust, lecz czerwona, nie srebrzysta.

Kahlan poczuła, jak coś głęboko w niej pęka, rozplątuje się, i natychmiast odzyskała swoją moc. Cudowne, wspaniałe, słodkie uczucie.

Drefan nie żył. „Dopóki oboje żyją”. Tak brzmiały owe słowa.

Jej przysięga przestała obowiązywać. Wichry zwróciły jej moc.

Richardowi zabrakło tchu i Kahlan ocknęła się z oszołomienia.

Przerażona, przeczołgała się po podłodze i ujęła jego prawą dłoń. Odgięła palce.

Słowa zniknęły. Krew Drefana zmyła napis. Kahlan krzyknęła z gniewu. Wróciła do otwartej księgi.

Nie mogła sobie przypomnieć słów. Próbowwała i próbowała, ale bez skutku.

Co ma teraz zrobić?

A może i tak rzuci ziarnko czarnego piasku?

Nie, nie była tak niemądra, by zlekceważyć zalecenia takiego czarodzieja jak Nathan.

Ścisnęła głowę rękami, jakby chciała wycisnąć owe słowa.

Cara klękła obok i chwyciła ją za ramiona.

- Co się stało, Matko Spowiedniczko? Musisz się pospieszyć, lord Rahl ledwo oddycha. Spiesz się!

Kahlan płakała.

- Nie mogę sobie przypomnieć tych słów. Och, Caro, nie pamiętam ich.

Nathan mi je podał, ale zapomniałam. - Podczołgała się do Richarda. Przesunęła dłonią po jego twarzy. - Ocknij się, Richardzie, proszę. Muszę znać te słowa. Jakie to słowa, Richardzie? Te trzy słowa?

Walczył o oddech. Nie ocknie się. Nie będzie żył.

Dziewczyna pospieszyła do księgi. Złapała skórzany woreczek z czarnym piaskiem. Obejdzie się bez słów. Może podziała. Podziała. Musi podziałać.

Dłonie odmówiły jej posłuszeństwa. Wiedziała. Musi wypowiedzieć te słowa, bo inaczej nic z tego. Nic z tego. Dorastała wśród czarodziejów i magii. Była za mądra, żeby zlekceważyć to, co jej powiedział Nathan. Bez tych słów się nie uda.

Upadła z jękiem, biła pięściami w kamienną podłogę.

- Nie pamiętam słów! Nie pamiętam! Cara objęła ją, posadziła i przytuliła.

- Uspokój się. Odetchnij. Wciągnij powietrze. Dobrze. Teraz wypuść. Jeszcze raz. A teraz wyobraź sobie tego Nathana. Wyobraź sobie, jak mówi ci owe słowa, jak się cieszysz, że ocalisz Richardowi życie.

Kahlan próbowała. Z takim zapamiętaniem, że aż chciało się jej krzyknąć.

- Nie mogę sobie przypomnieć. Richard umrze, bo nie mogę sobie przypomnieć trzech głupich słów. Nie mogę sobie przypomnieć tych trzech

demonów

- łkała.

- Trzy demony? Chodzi ci o Reechani, Sentrosi i Vasi? Te trzy demony? - spytała Cara.

Kahlan patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Tak. Trzy demony: Reechani, Sentrosi, Vasi. Reechani! Sentrosi! Vasi!

Pamiętam! Dziękuję, Caro! Pamiętam! - Dziewczyna wzięła w palce ziarnko czarnego piasku czarnoksiężnika. - Reechani, Sentrosi, Vasi - powiedziała na wszelki wypadek.

Rzuciła na księgę ziarnko czarnego piasku.

Wraz z Cara wstrzymały oddech.

W komnacie narastało brzęczenie. Powietrze drżało i wibrowało. Strzeliło wielobarwne światło, skręcało się i wirowało. Pulsowało i drgało. Narastało wraz z brzęczeniem, aż Kahlan musiała odwrócić oczy.

Błyski blasku zagrały na kamiennych ścianach. Cara zasłoniła twarz ręką, Kahlan również - blask był tak jaskrawy, że samo odwrócenie oczu nie wystarczało.

A potem zaczęła się gromadzić ciemność - jak czerń nocnego kamienia czy też okładki książki - i wciągała z powrotem do książki blask i barwy. Zabierała z komnaty całe światło, aż zapanował mrok.

Z owej niezgłębionej ciemności dobiegły tak straszliwe jęki, że Kahlan była szczęśliwa, iż nie widzi ich źródła. Zawodzenia dusz wypełniły komnatę, zawirowały w niej obłędnie, zagubione, rozszalałe i dzikie.

Daleki śmiech, który Kahlan znała aż za dobrze, przeszedł w jęk, który zapadał się w wieczność.

Kiedy wróciło światło świec, okazało się, że księga zniknęła. Miejsce po niej znaczyła odrobina popiołu.

Kahlan i Cara pospieszyły do Richarda. Otworzył oczy. Wciąż nie wyglądał zbyt dobrze, lecz był zwawszy. Oddech miał głębszy i miarowy.

- Co się stało? - zapytał. - Mogę oddychać. W głowie mi nie pulsuje.

- Matka Spowiedniczka cię ocaliła - poinformowała go Cara. - Jak ci to często powtarzałam, kobiety są silniejsze od mężczyzn.

- Caro, skąd znałaś te trzy demony? - wyszeptła Kahlan. Mord-Sith wzruszyła ramionami.

- Legat Rishi znał słowa, tak jak i wieść od wichrów. Gdy powiedziałaś

„trzy demony”, to po prostu mi się przypomniały, przez jego magię, podobnie jak inne wieści od wichrów.

Kahlan z ulgą przyłgnęła czołem do ramienia Cary i bez słów wyraziła jej swoją wdzięczność, a Mord-Sith pogładziła ją po plecach.

Richard mrugał powiekami i tarł oczy, jakby oczyszczał sobie głowę z oparów. Usiadł. Kahlan nachyliła się, żeby go objąć, lecz Cara ją powstrzymała.

- Mogę najpierw ja? Matko Spowiedniczko? Boję się, że jak raz zaczniesz, to już nie będę miała okazji.

- Masz rację - powiedziała Kahlan i się uśmiechnęła. - Teraz jest twój.

Dziewczyna patrzyła na sylfę, a Cara objęła Richarda i uściskała z całych sił, szepcząc mu na ucho płynące z serca słowa.

- Jakże zdołam ci podziękować, sylfo? - powiedziała dziewczyna. - Uratowałaś Richarda. Jesteś przyjaciółką i będziesz nią do końca mojego życia.

Srebrzysta twarz zmarszczyła się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Sylfa spojrzała na ciało Drefana.

- Nie miał magicznego daru, ale wykorzystywał swój talent, żeby powstrzymać upływ krwi i żyć na tyle długo, by zabić władcę. Wdychanie mnie oznacza śmierć dla tych, którzy nie mają daru. Cieszę się, że mogłam go zabrać w podróż do świata zmarłych.

Richard stanął na chwiejnych nogach, objął kibić Kahlan.

- Masz i moją wdzięczność, sylfo. Nie wiem, czy zdołam coś dla ciebie zrobić, jeśli jednak będzie to w mojej mocy, wystarczy, że powiesz życzenie, a spełnię je.

Sylfa się uśmiechnęła.

- Dziękuję, panie. Z radością zabiorę cię w podróż. I ty zaznasz radości.

Richard ledwo trzymał się na nogach, ale w oczach miał już dawne isierki.

- O tak, chętnie będziemy podróżować. Najpierw muszę trochę wypocząć, odzyskać siły, ale potem będziemy podróżować, obiecuję.

Kahlan ujęła dłoń Cary.

- Nic ci nie jest? To znaczy... czy jesteś już całkiem zdrowa? Pod każdym względem?

Cara potaknęła, oczy miała trochę błędne.

- Wciąż towarzyszą mi cienie przeszłości, ale nic mi nie jest. Dziękuję, siostrzo, że mi pomogłaś. Nieczęsto zdarza się, by Mord-Sith pomógł ktoś inny niż jej towarzyszki, lecz z Richardem jako lordem Rahlem i z tobą jako Matką Spowiedniczką wszystko wydaje się możliwe.

Cara spojrzała na Richarda.

- Gdy uzdrawiałaś Matkę Spowiedniczkę, jaśniałeś, jakby był z tobą czyjś duch.

- Wierzę, że pomogły mi dobre duchy. Naprawdę w to wierzę.

- Rozpoznałam owego ducha. To była Raina. Richard przytaknął.

- Miałem wrażenie, że to Raina. Kiedy byłem w świecie duchów, Denna powiedziała mi, że Raina zażywa spokoju i wie, iż ją kochamy.

- Powinniśmy to powiedzieć Berdine - stwierdziła Cara. Richard objął drugim ramieniem talię Cary i wszyscy troje ruszyli ku drzwiom.

- I ja myślę, że powinniśmy.

ROZDZIAŁ 68

Kilka dni później, gdy Richard już niemal całkiem odzyskał siły, do Aydindril wjechał na czele kompanii królewskich lansjerów król Jary, Jorin Bashkar, wuj Tristana. Na czubku każdej ze stu lanc zatknięta była głowa.

Kahlan obserwowała z okna jak lance - pod czujnym okiem d'harańskich żołnierzy - ustawiły się w dwa prościutkie szeregi wzdłuż alei wiodącej do Pałacu Spowiedniczek. Pierwsza para żołnierzy Jary trzymała drzewca flag. Jorin Bashkar, a za nim jego doradca czytający z gwiazd, Javas Kedar, poczekał, aż lansjerzy w lśniących w słońcu zbrojach ustawią się w idealnie proste szeregi, a potem dumnie przejechał ku wejściu środkiem dwuszeregu głów.

Patrząc przez okno, Kahlan dotknęła ramienia Cary.

- Idź po Richarda. Powiedz mu, by dołączył do mnie w komnatach Naczelnej Rady.

Cara śmignęła, nim Kahlan zdążyła się odwrócić od okna.

Kahlan Annell, Matka Spowiedniczka, siedziała na Głównym Krześle pod namalowanymi na przykrywającej komnatę rady kopule podobiznami Magdy Searus, pierwszej Matki Spowiedniczki, i jej czarodzieja Merritta. Czekala na swojego czarodzieja.

Serce w niej urosło, kiedy zobaczyła, jak wchodzi do komnaty: rozwiana, tkana ze złotych nici peleryna, zdobiony złotem czarny strój czarodzieja wojny. Złoty i rubinowy amulet na piersi Richarda lśnił w snopach słonecznego blasku, przez które chłopak przechodził, srebrne obręcze na przegubach błyszczały i lśniły. Słoneczny blask odbił się w Mieczu Prawdy i zatańczył na marmurze.

- Dzień dobry, moja królowo! - Jego głos odbił się echem w obszernej komnacie. - Jak ci się wiedzie w ostatnim dniu twojej wolności?

Kahlan rzadko śmiała się w komnacie Naczelnej Rady. Zawsze wydawało się jej to niestosowne. Teraz jednak roześmiała się, a melodyjny dźwięk brzmiał w olbrzymiej komnacie i przywołał uśmiech na usta gwardzistów.

- Znakomicie, lordzie Rahlu - powiedziała, gdy wchodził na podwyższenie.

Za nim szli Cara, Berdine, Ulic i Egan. Zajęli miejsca po obu ich stronach.

- Co się dzieje? - spytał już poważniej. - Słyszałem, że nadszedł jakiś król z setką głów na pikach.

- To król Jary. Pamiętasz? Posłałeś mu głowę Tristana i zażądałeś, by się poddał.

- Ach, ten król. - Richard usiadł na krześle obok niej. - A czyje to głowy?

- Zaraz się tego dowiemy.

Gwardziści otworzyli dwuskrzydłowe drzwi. Wpadło przez nie światło, oblewając dwie zbliżające się postacie.

Przed podwyższeniem król rozpostarł fioletową pelerynę, obszytą futrem nakrapianego białego lisa, i przyklęknął na kolano w głębokim pokłonie. Za nim opadł na oba kolana jego doradca czytający z gwiazd.

- Powstańcie, moje dzieci - powiedziała ceremonialnie Kahlan w odpowiedzi na ich pokłon.

- Jak dobrze znów cię widzieć, Matko Spowiedniczko - powiedział król Jorin.

Kahlan zawsze uważała, że wygląda jak jeden z największych królów: szczupła sylwetka; starannie przycięte, siwiejące włosy, które układały się tak, jakby szedł pod wiatr; wykwintna pochwa i miecz; wstążeczki; szarfa; czerwono-błękitno-złoto haftowany surdut; ozdobione klejnotami spinki.

- I ciebie również, królu Jorinie - odparła Kahlan i wskazała na Richarda. - Oto lord Rahl, władca imperium D'Hary i mój przyszły mąż.

Król zrobił znaczącą minę.

- Tak mi mówiono. Moje gratulacje. Richard pochylił się ku niemu.

- Wysłałem ci wiadomość. Jak brzmi twoja odpowiedź? Kahlan pomyślała, że czekają mnóstwo pracy; nim nauczy Richarda dyplomatycznej oględności. Król zaśmiał się serdecznie.

- Cóż to będzie za przyjemność stanąć część imperium rządzonego przez człowieka, który nie zagada mnie na śmierć. - Wskazał kciukiem stojącego za nim gwiazdowego przewodnika. - Jak niektórzy ludzie.

- Czy to znaczy, że się poddajesz? - Richard domagał się konkretnej odpowiedzi.

- W rzeczy samej, lordzie Rahlu, Matko Spowiedniczko. Do Sandilaru przybyła liczna delegacja Imperialnego Ładu i namawiała nas, żebyśmy się do nich przyłączyli. Czekaliśmy na znak, jak tego zażądał ten tu Javas Kedar. Tristan chciał wziąć sprawy w swoje ręce i zawrzeć korzystny układ z Ładem.

Gdy wybuchła zaraza, sądziliśmy, że to oznaka potęgi Imperialnego Ładu, i muszę przyznać, że się wystraszyliśmy. Kiedy jednak wypłoszyłeś zarazę z kraju, uznałem, że to wystarczający dla mnie znak. Nie wątpię, że ten tu Javas prędko odszuka na niebie odpowiedni znak, który potwierdzi moją decyzję. Jeżeli nie, to są inni doradcy czytający z gwiazd.

Javas Kedar, mocno czerwony na twarzy, pokłonił mu się.

- Jak już mówiłem, Wasza Wysokość, twój gwiazdny przewodnik bez trudu uzasadni twoją decyzję.

- I dobrze! - Król łypnął nań gniewnie przez ramię.

- A głowy? - spytał Richard.

- Delegacji Imperialnego Ładu. Przywiozłem je na dowód szczerości moich intencji. Chciałem, byś wiedział, że wyboru dokonałem z przekonaniem. Uznałem, że to znakomita odpowiedź dla ludzi, którzy wywołują zabijającą na oślep zarazę. To ukazało ich prawdziwą naturę, zadało kłam temu, co głoszą.

Richard skłonił głowę przed królem.

- Dziękuję, królu Jorinie.

- Kto nakazał stracenie mojego bratanka Tristana?

- Ja - odparł Richard. - Stałem na balkonie wraz z Matką Spowiedniczką i patrzyłem, jak Tristan Bashkar zakrada się do jej sypialni, a potem uderza nożem w wypchany pakułami nocny strój. Sądził, że ją zabija.

Krół wzruszył ramionami.

- Sprawiedliwość powinna osiągnąć każdego bez względu na jego pozycję.

Nie żywię urazy. Poza tym Tristan nie służył dobrze naszemu ludowi. Z niecierpliwością czekam chwili, kiedy będziemy wolni od zagrożenia ze strony Ładu.

- My też na to czekamy. A twoja pomoc sprawia, że ów dzień już się przybliżył - odezwał się Richard.

Krół odszedł, by dopilnować podpisania dokumentów i omówić szczegóły z d'harańskim dowództwem. Richard i Kahlan podnieśli się z krzeseł, lecz powstrzymał ich gwardzista.

- O co chodzi? - spytała Kahlan.

- Trzech mężczyzn prosi lorda Rahla o posłuchanie.

- Trzech mężczyzn? Kim są?

- Nie podali swoich imion, Matko Spowiedniczko, lecz powiedzieli, że są Raug'Moss.

Richard usiadł.

- Wprowadź ich.

Kahlan ujęła jego dłoń pod stołem i uścisnęła uspokajająco. Do podwyższenia podeszły trzy postacie w lnianych pelerynach, z głowami osłoniętymi szerokimi kapturami i splecionymi dłońmi.

- Jestem lord Rahl - powiedział Richard.

- Tak - odparł ten na przedzie - czujemy więź. - Wskazał dłonią towarzyszy. - To brat KerlofY i brat Houck. - Odrzucił kaptur, odsłaniając poraną głębokimi zmarszczkami twarz i głowę, którą porastały rzadniejące siwe włosy. - Jestem Marsden Taboor.

Richard bacznie spoglądał na trzech mężczyzn.

- Witajcie w Aydindril. Słyszałem, że chcecie się ze mną zobaczyć. Co mogę dla was zrobić?

- Szukamy Drefana Rahl'a - powiedział Marsden Taboor. Patrząc na nich, Richard przesunął palcem po brzegu stołu.

- Przykro mi, lecz wasz arcykapłan nie żyje.

Dwaj stojący z tyłu bracia wymienili spojrzenia. Marsden Taboor spochmurniał.

- Arcykapłan? To ja jestem arcykapłanem Raug'Moss i byłem nim jeszcze przed narodzinami Drefana.

Richard zmarszczył brwi.

- Drefan powiedział nam, że jest arcykapłanem. Marsden Taboor tarł skroń i szukał odpowiednich słów.

- Obawiam się, lordzie Rahlu, że twój brat... padł ofiarą złudzeń. Jeśli powiedział ci, że jest arcykapłanem Raug'Moss, to zwodził cię dla przyczyn, o których boję się pomyśleć. Jego matka zostawiła go u nas, kiedy był jeszcze mały.

Wychowywaliśmy go, wiedząc, co uczyniłby jego ojciec, gdyby odnalazł syna pozbawionego daru. Drefan mógł być... niebezpieczny. Kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę, trzymaliśmy go w naszej wspólnocie, izolując od innych, by nie mógł nikogo skrzywdzić. Był utalentowanym uzdrowicielem i zawsze mieliśmy nadzieję, że pogodzi się sam ze sobą. Mieliśmy nadzieję, że dzięki uzdrawianiu udowodni sobie swoją wartość. Jakiś czas temu zniknął.

Znaleźliśmy kilku naszych uzdrowicieli.

Zabito ich w najokropniejszy sposób: torturami. Od tej pory szukamy Drefana.

Byliśmy w kilku miastach, które odwiedził, i znaleźliśmy kobiety zamordowane w podobny sposób. Drefan okropnie obchodzi się z kobietami. Jego ojciec też nie był dla nich zbyt miły. Sądzę, że choć twój brat nie wpadł w ręce ojca, to nie ustrzegł przed nim swej duszy. Mam nadzieję, że tutaj nikogo nie skrzywdził.

Richard milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Mieliśmy tu zarazę. Straszliwą zarazę. Umarło tysiące ludzi. Drefan, nie dbając o siebie i zgodnie ze szczytnymi ideami Raug'Moss, starał się pomagać zarażonym. Dzielił się z ludźmi swoją wiedzą i dzięki temu zapobiegł zapewne śmierci wielu osób. Na swój sposób pomógł położyć kres zarazie i czyniąc to, zmarł.

Marsden Taboor splótł przed sobą dłonie i bacznie wpatrywał się w oczy Richarda.

- Pragniesz, by tak właśnie to zapamiętano?

- Był moim bratem. Po części dzięki niemu poznałem moc przebaczenia.

Kahlan uścisnęła pod stołem dłoń Richarda.

- Dziękuję za audiencję, lordzie Rahlu. - Marsden Taboor skłonił się. - Rozkwitamy w twojej chwale.

- Dziękuję - wyszeptał Richard.

Trzej uzdrowiciele ruszyli ku drzwiom, lecz Marsden Taboor zawrócił.

- Znałem twojego ojca. Nie przypominasz go. Drefan był doń podobny. Niewielu będzie żałować odejścia twojego ojca czy brata. W twoich oczach, lordzie Rahlu, widzę nie tylko wojownika, ale i uzdrowiciela, prawdziwego uzdrowiciela.

Czarodziej i zarazem uzdrowiciel musi osiągnąć równowagę, bo inaczej jest stracony.

D'Hara ma nareszcie dobrego władcę. Przywołaj nas w razie potrzeby.

Ulic westchnął, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

- Są jeszcze inni posłowie, którzy chcą się z tobą zobaczyć, lordzie Rahlu.

- Jeśli masz dość sił - dodała Cara.

- Zawsze jest ktoś, kto chce się z nami zobaczyć. - Richard wstał i podał rękę Kahlan. - Może ich przyjąć generał Kerson. Czyż nie mamy

ważniejszych spraw do załatwienia?

- A na pewno dobrze się czujesz? - spytała Kahlan.

- Nigdy nie czułem się lepiej. Chyba nie zmieniłaś zdania, hmm?

Kahlan uśmiechnęła się, wsparła na jego dłoni i wstała.

- Co to, to nie. Skoro lord Rahl odzyskał siły, to na co czekamy? Już się spakowałam.

- Najwyższy czas - mruknęła Berdine.

Czekali na powrót Richarda. Kahlan uspokajająco dotknęła pleców Cary.

- Nie okłamałaby nas, Caro. Jeśli sylfa mówi, że możesz podróżować, to możesz podróżować.

Sylfa sprawdziła Carę, Berdine, Ulica i Egana, bo każde z nich uważało, że powinno - jako przyboczny strażnik Richarda - udać się z nimi w tę podróż i chronić ich. Tylko Cara przeszła zwycięsko tę próbę. Richard domyślał się, że to dlatego, iż była związana z przywódcą Andolian, legatem Rishim, który musiał mieć dar obu magii. Sama Cara nie chciała mieć nic wspólnego z magią, sylfa zaś była bez wątpienia magiczna i to trochę hamowało jej zapędy.

- W tej komnacie przeszłaś zwycięsko jeszcze cięższą próbę. Jestem twoją siostrą w Agielu. Całą drogę będę cię trzymać za rękę - szepnęła jej na ucho Kahlan.

Cara spojrzała na nią, a potem na sylfę.

- Musisz to zrobić, Caro - nalegała Berdine. - Będziesz jedyną Mord-Sith na zaślubinach naszego lorda Rahla i Matki Spowiedniczki.

Cara zmarszczyła brwi i nachyliła się ku Berdine.

- Lord Rahl cię kiedyś uleczył. - Tamta przytaknęła. - Czy od tamtej pory czujesz... specjalną więź z nim?

- Tak. - Berdine się uśmiechnęła. - To dlatego chcę, żebyś z nimi była. Nic mi się nie stanie. Raina też by tego chciała. - Klepnęła Ulica w brzuch. - A poza tym ktoś musi tu zostać i trzymać w ryzach Ulica i Egana.

Olbrzymi gwardziści przewrócili oczami. Cara położyła dłoń na ramieniu Kahlan, pochyliła się ku niej i szepnęła:

- Czy i ty, od czasu gdy lord Rahl cię uleczył... czy i ty to czujesz?

- Czułam to, zanim mnie uleczył - odparła Kahlan i się uśmiechnęła. - Nazywamy to miłością, Caro. To prawdziwa troska o innych, którą czujesz nie tylko dlatego, że jesteś z nimi związana, lecz dlatego, że współodczuwasz

sercem. Kiedy cię uzdrawiał, czułaś jego miłość do ciebie.

- Ale ja to wiedziałam już wcześniej. Kahlan poruszyła ramieniem.

- Cóż, może po prostu żywiej to teraz odczuwasz. Cara uniosła Agiel, obróciła go w palcach.

- Może on jest bratem w Agielu.

- Po tym, co razem przeszliśmy, na pewno jesteśmy sobie równie bliscy jak rodzina. - Kahlan się uśmiechnęła.

Do komnaty wmaszerował Richard.

- Jestem gotów. Możemy ruszać?

Richard nie mógł zabrać do sylfy Miecza Prawdy: magia oręża zagroziłaby w trakcie podróży jego życiu. Zostawił swój miecz w Wieży Pierwszego Czarodzieja - będzie tam bezpieczny, bo tylko on mógł go stamtąd zabrać. No i oczywiście Zedd.

Lecz Zedda nie było już wśród żywych. Przynajmniej Kahlan tak uważała. Richard wierzył, że stary czarodziej wciąż żyje. Chłopak zatarł dłonie.

- No i co, Caro, idziesz z nami czy nie? Naprawdę chciałbym, żebyś tam była.

To by wiele dla nas znaczyło.

- Muszę iść. Nie potrafisz się sam bronić. Bez Mord-Sith byłbyś bezbronny - powiedziała z uśmiechem Cara.

Richard spojrzał na zwróconą ku nim srebrną twarz.

- Kazałem ci przedtem spać, sylfo, lecz się zbudziłaś. Dlaczego?

- Nie pogrążyłeś mnie w głębokim śnie, z którego mógłby mnie zbudzić tylko ktoś taki jak ty. Kazałeś mi... odpoczywać. A wtedy mogą mnie przywołać również inni.

- Ale nie możemy pozwolić, by inni cię wykorzystywali. Nie możesz odmówić? Nie możesz nie usłuchać ich wezwania? Nie chcemy, żebyś tu sprowadzała czarodziejów Jaganga, by sprawiali kłopoty.

Sylfa patrzyła nań w zadumie.

- Uczynili mnie taką ci, którzy zrobili ze mnie sylfę. Muszę podróżować z tymi, którzy o to proszą, jeśli tylko mają wymaganą magiczną moc. - Przynęła się ku skrajowi studni, bliżej niego. - Lecz gdybym spała, to ty jeden, panie, mógłbyś mnie przywołać. Inni nie mogliby mną podróżować.

- Przecież próbowałem cię przedtem uspić i nie powiodło się. Sylfa znów się uśmiechała.

- Bo przedtem nie miałeś potrzebnego srebra.

- Srebra?

Sylfa wyciągnęła rękę i dotknęła obręczy na przegubach Richarda.

- Srebra.

- Chodzi ci o to, że gdy przedtem skrzyżowałem nadgarstki, by cię uśpić, to nie udało się, bo nie miałem tych opasek? A teraz się to uda?

- Tak, panie.

Richard namyślał się przez chwilę.

- Czy to... boli, kiedy się ciebie usypia?

- Nie. Dla mnie sen jest upojeniem, bo wtedy jestem z pozostałą częścią mojej duszy.

Richard otworzył szeroko oczy.

- W czasie snu udajesz się do świata duchów?

- Tak, panie. Nie wolno mi mówić nikomu, jak można mnie uśpić, ale ty jesteś jedynym władcą i skoro chciałeś wiedzieć, to nie będziesz się gniewał, że ci powiedziałam.

Richard westchnął z ulgą.

- Dziękuję, sylfo. Dzięki temu, co powiedziałaś, możemy sprawić, by nie korzystali z ciebie źli ludzie. Cieszę się, że z radością zaśniesz.

Richard uściskał Berdine.

- Zadbaj o wszystko do naszego powrotu.

- A więc ja obejmuję dowództwo? - dopytywała się Berdine. Richard podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Wszyscy troje przejmujecie odpowiedzialność.

- Dobrze słyszałaś, pani Berdine? - spytał Ulic. - Nie chcę, byś potem twierdziła, że nie słyszałaś takiego rozkazu.

Berdine wykrzywiła się do niego za plecami Richarda, który pomagał Kahlan wspiąć się na kamienny murek studni.

- Słyszałam. Wszyscy troje przejmujemy odpowiedzialność. Kahlan poprawiła przymocowany do ramienia kościany nóż oraz zarzucony na plecy plecak. Podążyła do Carze.

- Sylfo - powiedział z szerokim uśmiechem Richard - chcemy podróżować.

ROZDZIAŁ 69

- Oddychaj.

Kahlan wypuściła z płuc srebrne upojenie i wciągnęła powietrze i świat. Siedzieli na kamiennym murku studni sylfy. Dziewczyna klepnęła Carę w plecy.

- Oddychaj, Caro. No, wypuść ją. Wypuść sylfę z płuc i zacznij oddychać.

W końcu Cara pochyliła się do przodu i niechętnie pozbyła się z płuc sylfy, po czym wciągnęła powietrze. Kahlan przypomniała sobie, jak trudno było za pierwszym razem najpierw odetchnąć sylfą, a potem na powrót powietrzem. Przez całą podróż Cara kurczowo trzymała rękę zarówno Kahlan, jak i Richarda.

Mord-Sith uniosła głowę, uśmiechała się w oszołomieniu.

- To było... cudowne.

Richard pomógł im zejść z murku. Kahlan poprawiła nóż na ramieniu i plecak.

Dobrze było mieć znów na sobie podróżny strój. Cara pomyślała, że Kahlan dziwacznie wygląda w spodniach.

- To tutaj chcieliście przybyć - powiedziała sylfa. - Skarb Joco.

Richard rozejrzył się po jaskini. Musiał się pochylić, bo strop był niski.

- Nie widzę żadnego skarbu.

- Jest w następnej pieczarze. Muszą nas oczekiwać. Zostawili pochodnię - powiedziała mu Kahlan.

- Jesteś gotowa do snu? - spytał Richard sylfę.

- Tak, panie. Oczekuję chwili spotkania z moją duszą. Kahlan zadrżała, przypominając sobie, co czarodzieje uczynili sylfie.

- Czy będziesz... nieszczęśliwa, gdy znów będę cię musiał zbudzić?

- Nie, panie. Zawsze jestem gotowa sprawić ci przyjemność. Richard potaknął.

- Dziękuję za pomoc. Jesteśmy twoimi dłużnikami. Śpij dobrze.

Sylfa uśmiechnęła się do niego. Chłopak skrzyżował nadgarstki, zamknął oczy i przywołał magię.

Błyszcząca srebrzysta twarz, w której odbijało się światło pochodni, zatraciła wyraźne kontury i wtopiła się w żywe srebro. Pięści Richarda

otaczała poświata.

Srebrne obręcze na nadgarstkach jarzyły się tak intensywnie, że Kahlan widziała - poprzez ciało i kości - ich drugą stronę. Stykając się w ten sposób, utworzyły bliźniacze pętle: symbol nieskończoności.

Roziskrzzone srebro zajaśniało i sylfa zaczęła opadać w głąb swojej studni: najpierw powoli, a potem coraz szybciej, aż zniknęła w mrokach na jej dole.

Richard wziął zrobioną z trzciny pochodnię i cała trójka ruszyła szerokim, niskim tunelem, który wił się przez ciemnobrązową skałę. W końcu doszli do rozległej jaskini.

Kahlan wykonała zamaszysty gest.

- Skarb Jocopo.

Richard uniósł pochodnię. Jej blask zamigotał tysiącami iskierek w zgromadzonym tu złocie, złocie w każdej postaci: od samorodków, poprzez nie wygładzone sztabki, do złotych posążków.

- Cóż, łatwo pojąć, dlaczego nazywają to skarbem Jocopo - powiedział, po czym wskazał na półki. - Wygląda na to, że czegoś tu brakuje.

Kahlan wiedziała, o co chodzi.

- Kiedy byłam tu przedtem, owe półki były zapchane pergaminowymi zwojami. - Powąchała powietrze. - I brak jeszcze czegoś. Wcześniej tu cuchnęło.

Teraz ten paskudny zapaszek zniknął.

Pamiętała, jak krztusiła się i kaszłała, jak kręciło się jej w głowie, gdy musiała oddychać tym zatechłym powietrzem. Na dnie pieczary leżał stosik tłących się popiołów. Dotknęła owych popiołów czubkiem buta.

- Ciekawe, co tu się stało.

Światło pochodni migotało i chwiało się, gdy szli krętym tunelem, który wyprowadził ich wprost w złocisty brzask. Przed tarczą wschodzącego słońca przemykały smużki fioletowych obłoczków. Obrzeżało je jaskrawe złoto, bardziej oszałamiające niż skarb Jocopo.

Przed nimi rozciągała się pokryta zieloną trawą, pachnąca świeżością przestrzeń.

- Wygląda jak równiny Azrith wiosną, zanim je wypalił żar lata - powiedziała Cara.

Usypana z polnych kwiatów szeroka ścieżka wiodła w stronę wioski

Błotnych Ludzi. Kahlan ujęła dłoń Richarda. To był wspaniały ranek na spacer przez wiosenne trawy Dżicy. To był przepiękny dzień na zaślubiny.

Na długo przed tym, nim dotarli do wioski Błotnych Ludzi, usłyszeli niosące się ponad równinami dźwięki bębnów. Śmiechy i pieśni.

- Chyba Błotni Ludzie uczują - odezwał się Richard. - Jak myślisz, z jakiej okazji?

Był zaniepokojony. Kahlan też. Uczty urządzało zwykle jako przygotowanie do narady widzących, do przywołania duchów przodków.

Niedaleko wioski spotkali Chandalena. Okryty był skórą kojota, jak starszy.

Jego włosy były sklezione gęstym błotem, a pierś naga. Odziany był w skórzane spodnie, miał przytroczony najlepszy nóż, w dłoni dzierżył najwspanialszą dzidę.

Podszedł do nich z groźną miną i spoliczkował Kahlan.

- Moc Spowiedniczce Kahlan. Richard złapał Carę za przegub.

- Spokojnie. Opowiadaliśmy ci o tym. Oni się tak witają - szepnął.

Kahlan oddała uderzenie, oznakę szacunku dla siły drugiej osoby.

- Moc Chandalenowi i Błotnym Ludziom. Dobrze być znowu w domu. - Dotknęła skóry kojota. - Jesteś teraz starszym?

Potaknął.

- Starszy Breginderin zmarł od gorączki. Wybrano mnie starszym.

- Błotni Ludzie dokonali mądrego wyboru - powiedziała dziewczyna i się uśmiechnęła.

Chandalen stanął przed Richardem i przyglądał mu się przez chwilę. Kiedyś byli wrogami. W końcu uderzył go, mocniej niż Kahlan.

- Moc Richardowi Popędliwemu. Dobrze cię znów widzieć. Cieszę się, że bierzesz za żonę Matkę Spowiedniczkę i już nie będzie mogła wybrać Chandalena.

Richard ostrożnie oddał uderzenie.

- Moc Chandalenowi. Jestem ci wdzięczny za to, że chroniłeś Kahlan w trakcie waszej podróży, - Uniósł dłoń. - A to nasza przyjaciółka i obrończyni, Cara.

Chandalen był obrońcą swojego ludu, więc słowo to miało dla niego specjalne znaczenie. Uniósł dumnie brodę i spojrzał Carze w oczy. Uderzył ją jeszcze mocniej niż Richarda.

- Moc protektorze Carze.

Na szczęście Mord-Sith nie miała swoich wzmacnianych metalem rękawic.

Trzepnęła go bowiem tak mocno, że gdyby je miała, złamałaby Błotnemu Człowiekowi szczękę. Chandalen uśmiechnął się szeroko.

- Moc Chandalenowi - powitała go, a potem rzekła do Richarda: - Podoba mi się ten zwyczaj. - Cara wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po kilku bliznach Chandalena. - Milutkie. Ta tutaj jest wspaniała. Ból musiał być przeszywający.

Chandalen spojrzał chmurnie na Kahlan i zapytał w swoim języku:

- Co znaczyło ostatnie słowo?

- Że to musiał być bardzo intensywny ból - odparła. Nauczyła Chandalena swojego języka i doskonale sobie radził, ale jeszcze musiał go szlifować.

Chandalen uśmiechnął się z dumą.

- Tak, to było bardzo bolesne. Rozpaczałem po mojej matce. Cara spojrzała znacząco na Kahlan.

- On mi się podoba.

Chandalen przyjrzał się Carze od stóp do głów, ocenił jej sylwetkę i czerwony skórzany uniform.

- Masz piękne piersi.

Agiel natychmiast znalazł się w jej pięści. Kahlan uspokajająco położyła jej dłoń na ramieniu.

- Błotni Ludzie mają inne obyczaje - szepnęła. - U nich to oznacza, że wyglądasz na zdrową, krzepką kobietę, która może rodzić i wychowywać zdrowe dzieci. W ich ustach to komplement. - Nachyliła się bardziej i tak ściszyła głos, żeby Chandalen nie usłyszał. - Tylko mu przypadkiem nie powiedz, że chciałabyś go zobaczyć z włosami obmytymi z błota, bo to by oznaczało, że chcesz, by ci dał owe dzieci.

Cara wysłuchiwała tego i dokładnie przemyślała słowa Kahlan. W końcu odwróciła się i - nieco się odchyliwszy - uniosła czerwoną skórę, odsłaniając paskudną bliznę.

- Ta była bardzo bolesna, zupełnie jak ta twoja. - Chandalen mruknął z uznaniem. - Miałam więcej, z przodu, ale lord Rahl sprawił, że zniknęły. Szkoda, bo niektóre były godne uwagi.

Richard i Kahlan szli za tą dwójką. Chandalen pokazywał Carze swoją broń, dyskutowali, gdzie najboleśniej można zranić człowieka. Cara była pod wrażeniem jego wiedzy.

- Co się dzieje, Chandaleni? Dlaczego wydano ucztę? - spytała Kahlan.

Spojrzał na nią przez ramię, jakby brakowało jej piątej klepki.

- To uczta weselna. Na wasz ślub. Kahlan i Richard wymienili spojrzenia.

- Skąd wiedzieliście, że przybywamy, by wziąć ślub? Chandalen wzruszył ramionami.

- Człowiek Ptak mi powiedział.

Weszli do wioski i natychmiast otoczył ich tłum ludzi. Kręciły się wokół nich dzieci, dotykając wędrujących Błotnych Ludzi, jak nazywały Richarda i Kahlan.

Znajomi witali ich łagodnymi policzkami.

Był tam Savidlin, który klepnął Richarda w plecy, i jego żona, Weselan, która ścisnęła ich i całowała. Ich synek, Siddin, otoczył ramionkami nogę Kahlan i paplał coś w rodzinnej mowie. Dobrze było znów zmierzić mu włoski. Richard i Cara nie rozumieli ani słowa, bo tylko Chandalen mówił ich językiem.

- Zjawiliśmy się, żeby wziąć ślub - poinformowała Kahlan Weselan. - Przyniosłam tę piękną suknię, którą mi uszyłaś. Mam nadzieję, że pamiętasz, iż prosiłam, byś stała u mego boku.

- Pamiętam - rozpromieniła się Weselan.

Kahlan dojrzała mężczyznę z długimi srebrzysto-siwymi włosami, odzianego w spodnie i bluzę z kozłej skóry. Zbliżał się ku nim.

- To ich wódz - poinformowała Carę.

Człowiek Ptak powitał ich łagodnymi klepnięciami, jak to było w zwyczaju na obszarze wioski. Po ojcowsku uściskał Kahlan.

- Gorączka minęła. Duch naszego przodka musiał ci pomóc. - Kahlan przytaknęła. - Cieszę się, że wróciliście do domu. Z radością udzielę ślubu tobie i Richardowi Popędliwemu. Wszystko jest już przygotowane.

- Co on powiedział? - zaniepokoił się Richard.

- Że wszystko jest już przygotowane na nasze zaślubiny. Chłopak się nachmurzył.

- Denerwuje mnie, gdy ludzie wiedzą o tym, o czym im nie powiedzieliśmy.

- Richard Popędliwy się zdenerwował? Nie jest zadowolony z naszych przygotowań?

- Nie, to nie to. Wszystko jest cudowne. Po prostu nie rozumiemy, skąd wiedzieliście, że zjawimy się na ślub. To nas zdumiewa. Sami wiedzieliśmy o tym zaledwie kilka dni temu - odparła Kahlan.

Człowiek Ptak wskazał na platformę ocienioną zawieszonym na palach dachem z trawy.

- Tamten człowiek nam powiedział.

- Ach tak - burknął coraz bardziej rozeźlony Richard, kiedy Kahlan mu to przetłumaczyła. - Najwyższy czas, żebyśmy zobaczyli człowieka, który wie o nas więcej niż my sami.

Gdy odchodzili, Kahlan dostrzegła, jak Człowiek Ptak drapie się w policzek, żeby zasłonić uśmiech.

Musieli się przepychać przez tłum. Zebrała się tu cała wioska i wszyscy świętowali. Muzykanci i tancerze wprawiali w trans zarówno dzieci, jak i dorosłych.

Ludzie przystawali, żeby porozmawiać z Kahlan i Richardem. Młodzi ludzie, a zwłaszcza młode dziewczyny, tak wstydlive w przeszłości, teraz śmiało im gratulowali. To było najbardziej uroczyste wydarzenie w życiu Kahlan.

Ludzie, przywabieni smakowitymi aromatami, tłoczyli się wokół miejsc, w których przygotowywano potrawy. Młode kobiety roznosiły misy i półmiski, częstowały wszystkich.

Przy jednym z ognisk Kahlan dostrzegła kobiety, które przygotowywały specjalną potrawę podawaną jedynie podczas narad widzących. Tu nikt się nie gromadził, żeby spróbować. Owo danie podawały tylko te kobiety, i to według ścisłego protokołu oraz wyłącznie na życzenie.

Carze bardzo nie podobał się ten tłum wokół jej podopiecznych, lecz robiła, co mogła, by zachować wyrozumiałość, a jednocześnie być czujną i gotową do działania.

Nie trzymała w dłoni Agiela, ale Kahlan wiedziała, że wystarczy lekki ruch ręki, by bicz trafił do dłoni.

Młode kobiety nosiły półmiski wypełnione tradycyjnymi potrawami i zabierały je spod przewiewnej budowli, którą wskazał Człowiek Ptak. Richard, trzymając Kahlan za rękę, przepchnął się przez tłum otaczający

platformę.

Znaleźli się tuż przed podwyższeniem. Znieruchomieli.

- Zedd - wyszeptał Richard.

Spoczywał tam dziadek Richarda, odziany we wspaniałe fioletowe i czarne szaty, choć jego sterczące we wszystkie strony siwe włosy zmniejszyły trochę królewski efekt. Kościsty stary czarodziej spojrzął z podwyższenia. Młoda kobieta podsuwała mu właśnie do spróbowania półmiski z potrawami. Obok niego siedziała pulchna kobieta w ciemnej sukni i pelerynie.

- Zedd! - Richard wskoczył na podwyższenie. Zedd uśmiechnął się i pomachał do niego.

- A, jesteś wreszcie, mój chłopcze.

- Żyjesz! Wiedziałem, że żyjesz!

- Pewnie, że...

Tylko tyle zdołał powiedzieć, zanim Richard porwał go w objęcia i tak ścisnął, że Zeddowi zaparło dech. Zaczął tłuc chłopaka pięściami po barkach.

- Richardzie! - zachrypiał. - Kurczę, Richardzie! Udusisz mnie! Puszczaj!

Chłopak postawił go, ale natychmiast rzuciła się nań Kahlan.

- Richard ciągle mówił, że żyjesz, ale ja mu nie wierzyłam. Pulchna kobieta wstała.

- Miło cię widzieć, Richardzie.

- Ann? I ty żyjesz! Uśmiechnęła się.

- Ale nie dzięki twemu zwariowanemu dziadkowi. - Jej mądre oczy spojrzały na Kahlan. - A ty możesz być jedynie Matką Spowiedniczką.

Richard uściskał ją, nim przystąpił do prezentacji. Zedd przyglądał się im, pogryzając ciasteczko ryżowe. Richard przyciągnął Carę.

- Jestem strażniczką lorda Rahla - oznajmiła, nim zdążył coś powiedzieć.

Chłopak spojrzął jej w oczy.

- To Cara i jest kimś więcej niż strażniczką. Jest naszą przyjaciółką. Caro, to mój dziadek Zedd i Annalina Aldurren, Ksieni Sióstr Światła.

- Emerytowana Ksieni - wtrąciła Ann. - Miło mi poznać przyjaciółkę Richarda.

Chłopak znów patrzył na Zedda.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. To najwspanialsza niespodzianka, jaka mogła się nam przytrafić. Ale skąd wiedziałeś, że przybywamy na ślub?

- Wyczytałem to - odparł z pełnymi ustami Zedd. - Wyczytałem.

- Wyczytałeś? Gdzie?

- W skarbie Jocopo.

- To na tym złocie są napisy? - zapytała zdumiona Kahlan. Zedd zamachał ciasteczkiem ryżowym.

- Nie, nie, nie. To nie złoto jest skarbem Jocopo. To proroctwa. Te wszystkie zwoje. To one były skarbem Jocopo. Spaliliśmy je, żeby uchronić przed łapami Imperialnego Ładu. Przeczytałem kilka, nim je zniszczyłem. To wtedy poznałem proroctwo mówiące o waszych zaślubinach. Ann wyliczyła dzień. Całkiem dobrze zna się na proroctwach.

- To wcale nie było trudne proroctwo. Żadne z nich zresztą. To dlatego byłyby takie niebezpieczne, gdyby Jagang je zdobył. A prawie mu się to udało - powiedziała Ann.

- Więc przybyliście tutaj, żeby zniszczyć proroctwa? - zapytał Richard.

- Tak. - Zedd sapnął i wyrzucił w górę ręce. - Ale jakież okropne przeżycia nas spotkały!

- O tak, istotnie straszliwe - potwierdziła Ann. Stary czarodziej pogroził Richardowi kościstym palcem.

- Byliśmy w prawdziwych tarapatach, kiedy ty figlowałeś sobie w Aydindril.

- Tarapaty? Jakie?

- Okropne - oznajmiła Ann.

- Tak - potwierdził Zedd. - Pochwycono nas i trzymano w straszliwych warunkach. To było okropne. Po prostu okropne. Ledwo uszliśmy z życiem.

- Kto was schwytał?

- Nangtongowie. Kahlan odkasznęła.

- Nangtongowie? Czemuż by mieli was łapać? Zedd wygładził szaty.

- Chcieli nas złożyć w ofierze. Mało brakowało, a stalibyśmy się ofiarą z ludzi.

Cały czas groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

Kahlan nie dowierzała mu.

- Nangtongowie znów ośmielają się praktykować te swoje zakazane rytuały?

- To miało coś wspólnego z czerwonymi księżycami. Bali się najgorszego i tylko starali się chronić - tłumaczył Zedd.

Kahlan przechyliła na bok głowę.

- I tak złożę im wizytę i zajmę się tym.

- Mogli was zabić - zaniepokoił się Richard.

- Bzdura. Czarodziej i czarodziejka są sprytniejsi niż banda wążsających się Nangtongów, prawda, Ann?

Ann zamrugła powiekami.

- Hmm...

- Tak, to było o wiele bardziej skomplikowane, jak słusznie twierdzi Ann.

- Zedd odwrócił się od niej. - Ale było okropne. A potem sprzedano nas jako niewolników.

- W niewolę? - Richard uniósł brwi.

- Naprawdę. Si Doakom. Zmuszono nas do niewolniczej pracy. Ale z jakiegoś powodu nie spodobałiśmy się im. Tak po prawdzie Ann źle wywiązywała się z obowiązków i postanowili nas sprzedać kanibalom.

- Kanibalom??? - Richard aż rozdziawił usta.

- Na szczęście okazało się - uśmiechnął się szeroko Zedd - że ci kanibale to Błotni Ludzie. Nawiązali kontakt z Chandalenem. On oczywiście mnie znał, bo byliśmy tu razem przedtem, więc grał swoją rolę i wykupił nas od Si Doaków.

- Dlaczego po prostu nie uciekliście Si Doakom? - spytała Kahlan. - Jesteś czarodziejem. A Ann czarodziejką.

Zedd wskazał na nadgarstki.

- Założyli nam magiczne opaski. Byliśmy bezsilni. - Podniósł wzrok. - Całkiem bezsilni. To było straszne. Byliśmy bezsilnymi niewolnikami jęczącymi pod batem bezsilnymi.

- To brzmi okropnie - stwierdził Richard. - No to jak pozbyliście się tych opasek?

- Nie mogliśmy tego zrobić. - Zedd wyrzucił w górę rękę. Richard przycisnął jedną dłoń do czoła, a drugą uniósł.

- Ale przecież ich nie macie.

- No, nie mamy. - Pierwszy Czarodziej podrapał się w brodę. - Magia je trzymała. Ja... my byliśmy na tyle bystrzy, by ich magicznie nie usuwać. To by je tylko mocniej zacisnęło. Musieliśmy zaczekać, rezygnując z magii, aż stracą moc.

Rozplatały się i spadły, gdy opuściliśmy Si Doaków i paliliśmy prorocstwa.

- Więc taki mieliście plan?
- Oczywiście, że tak! Ann przytaknęła.
- Ufaj, że Stwórca ujawni swój zamiar. Zedd pogroził chłopakowi.
- Magia jest niebezpieczna, Richardzie. Jak się przekonasz pewnego dnia, czarodziejowi najtrudniej jest pojąć, kiedy ma z niej nie korzystać. To był właśnie taki przypadek. Musieliśmy odnaleźć skarb Joco. Wiedziałem, że największą szansę będziemy mieli wtedy, gdy zrezygnujemy z posługiwania się magią. - Skrzyżował ramiona. - I udało się, potwierdzając, że miałem rację.

Zbliżył się Chandalen.

- Zdązało ku nam wielu żołnierzy. - Wskazał ku południowemu wschodowi. - Spora ich liczba przysłała po to, co Zedd spalił. Ann i Zedd palili zwoje, a ja i moi ludzie walczyliśmy z wrogiem. Na zachodzie odbyła się wielka bitwa z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Zniszczono te wojska Imperialnego Ładu.

Byłem tam i rozmawiałem z człowiekiem zwanym Reibisch, a on powiedział, że ktoś o imieniu Nathan przysłał go, by zniszczył naszych wrogów.

Richard potrząsnął głową.

- Trudno się w tym połapać. Zedd machnął ręką.
- Pewnego dnia to zrozumiesz, Richardzie. Sprawy czarodziejów są ogromnie skomplikowane. Przekonasz się o tym, kiedy postanowisz coś zrobić ze swoim darem, zamiast siedzieć sobie ze swoją przysłą żoną, podczas gdy ja nadstawiam karku. A nawiasem mówiąc, co robiłeś, kiedy działy się te ważne rzeczy?

- Co robiłem?

Kahlan uśmiechnęła się i położyła dłoń na ramieniu Richarda, który zastanawiał się, od czego by tu zacząć. - No, jestem teraz lordem Rahlem i w ogóle.

Zedd chrząknął i klapnął na drewniane podwyższenie. Złapał opiekana paprykę.

- Lord Rahl, rzeczywiście. Ta papierkowa robota musi być wyczerpująca.

Richard podrapał się w głowę. Ann usiadła.

- Mógłbyś mi coś wyjaśnić, Zeddzie? Dlaczego księgi w Wieży Pierwszego Czarodzieja są ułożone w takie chwiejne stosy?

- To swego rodzaju kontrolka. Pamiętam, jak je ułożyłem, więc od razu bym wiedział, gdyby je ktoś ruszał. - Szeroko otworzył orzechowe oczy. - Cooo? Kurczę, Richardzie, coś ty tam robił? I jak się tam dostałeś? To niebezpieczne miejsce! - Zedd wskazał na pierś chłopaka. - Ten amulet! Jest stamtąd. Jakżeś tam wszedł? Kurczę, Richardzie! Gdzie Miecz Prawdy? Powierzyłem ci ten miecz! Chyba nie byłeś taki głupi, żeby go komuś oddać?

- Hmm... nie mogłem z mieczem podróżować w sylfie, więc zostawiłem go w Wieży Pierwszego Czarodzieja, by nikt go nie wziął.

- Sylfa? Co to takiego? Jesteś Poszukiwaczem, Richardzie. Musisz mieć swój miecz, to twój oręż. Nie wolno ci go nigdzie zostawiać.

- Kiedy mi go dawałeś, powiedziałeś, że miecz jest tylko narzędziem i że prawdziwym orężem jest Poszukiwacz Prawdy.

- Tak powiedziałem. Ale nie sądziłem, że słuchasz. - Zedd rzucił okiem na chłopaka. - Mam nadzieję, że nie grzebałeś w księgach. Zbyt mało wiesz, żeby wolno ci było którąkolwiek z nich przeczytać.

- Wziąłem tylko jedną. Tagenricht ostfuer Mosst Verlaschendreck nich Greschlechten.

- To w gornod'harańskim. - Zedd machnął ręką. - Nikt już nie zna gornod'harańskiego. Przynajmniej nie zaszkodzi ci księga, której nie możesz przeczytać. - Pogroził mu palcem. - Ale wciąż nie powiedziałeś, jak tam wszedłeś!

- To wcale nie było trudne. - Z twarzy Richarda zniknęła radość. - To było o wiele łatwiejsze, niż dostanie się do Świątyni Wichrów.

Zedd i Ann poderwali się na równe nogi.

- Świątynia Wichrów - powiedzieli jednym głosem.

- Śledztwo i proces w sprawie Świątyni Wichrów, tak brzmi tytuł owej księgi.

Musiałem się nauczyć gornod'harańskiego. - Richard otoczył ramieniem barki Kahlan. - Jagang wysłał tam Siostrę Amelię. Weszła przez Przedstonek Zdrajcy.

Zdradziła Opiekuna, żeby się tam dostać. Wróciła z magią i wywołała zarazę. Umarło tysiące ludzi. Na polecenie Jaganga wywołała zarazę wśród dzieci. Bezsilnie patrzyliśmy, jak umierają dzieci i nasi przyjaciele. Nie było innego wyjścia. Musiałem się tam dostać, żeby powstrzymać zarazę, albo stałaby się żywiołem, który pochłoniąłby niemal wszystkich.

Zbliżyła się jedna z kobiet, które przygotowywały owo specjalne danie. Niosła tacę z ułożonymi równiutko suszonymi pasami mięsa. Najpierw podsunęła tacę Chandalenowi - był teraz starszym. Chandalen odgryzł kęs i spojrzał na Richarda.

Chłopak wiedział, co to za mięso. Wziął spory kawałek.

Kahlan w przeszłości zawsze odmawiała skosztowania tej potrawy. Tym razem wzięła kawałek. Chandalen patrzył, jak odgryza kęs.

Zedd też wziął kawałek, a potem tacę podsunęto Ann. Kahlan chciała coś powiedzieć, lecz czarodziej uciszył ją spojrzeniem.

Przez chwilę jedli w milczeniu, a potem Richard spytał:

- Kto to?

- Dowódca żołnierzy Imperialnego Ładu, którzy się tu zjawili i napadli na nas, by zabrać skarb Jocopo, który spalił Zedd.

Ann podniosła oczy.

- Chcesz powiedzieć...

- Toczemy walkę o życie - odezwał się Richard. - Jeśli przegramy, umrzemy, a tymi, którzy przeżyją, będzie władał człowiek, który wywołał zarazę wśród dzieci.

Cała magia zostanie wyeliminowana. Ci, którzy przeżyją, zostaną jego niewolnikami.

Błotni Ludzie czynią to, by poznać serca wroga i ocalić swoje rodziny. - Obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. - Jedz, żebyś i ty mogła lepiej poznać wroga.

To nie Richard przemówił, ale lord Rahl. Ann przez chwilę wpatrywała się w jego oczy, a potem zaczęła jeść. Każde z nich zjadło kawałek mięsa wroga, by lepiej go poznać.

- Siostra Amelia - westchnęła w końcu Ann. - Jeśli była w Świątyni Wichrów... to stanie się nad wyraz niebezpieczna.

- Nie żyje - odezwała się Kahlan, którą prześladowały wspomnienia o tym, co się wtedy wydarzyło. Ann spojrzała na nią pytająco, więc dodała: - Tak, jestem tego pewna. Wbiłam jej miecz w serce. Dźgnęła dakrą Nathana. Chciała go zabić.

- Nathan! - powiedziała Ann. - Musimy wkrótce wyruszyć jego śladem. Gdzie to było? Gdzie jest?

- My? - Zedd obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- To było w Tanimurze, w Starym Świecie, zaraz po tym, jak Richard wrócił ze Świątyni Wichrów. Nathan podał mi nazwy trzech demonów i pomógł uratować życie Richardowi.

Ann i Zedd szeroko otworzyli oczy. Zdawało się, że przestali oddychać. W końcu spojrzeli na siebie.

- Trzy demony - powiedziała ostrożnie Ann. - Chcesz powiedzieć, że tylko o nich wspomniał. Nie wymienił ich imion? Nie wymówił ich?

- Ależ wymówił. Reechan...

- Nie!!! - wrzasnęli Zedd i Ann, wyrzucając w górę ramiona.

- Czy Nathan nie powiedział ci, że nikomu, kto nie ma daru, nie wolno tego głośno wymawiać? - Ann poczerwieniała. - Czy ten stary wariat ci tego nie powiedział?

Kahlan spojrzała na nią gniewnie.

- Nathan nie jest starym wariatem. Pomógł mi ocalić Richarda. Bez tych trzech demonów Richard umarłby po powrocie ze Świątyni Wichrów. Mam wobec Nathana wielki dług wdzięczności. Wszyscy mamy.

- Ja mam dla niego obrożę - mruknęła Ksieni. - Zanim doprowadzi do nie wiadomo jakiej katastrofy. Musimy go odnaleźć, Zeddzie. I to szybko. - Zniżyła głos do szeptu. - I musimy coś zrobić w... tej sprawie.

Zedd popatrzył na Kahlan.

- Wymówiłaś je wtedy w myślach. Nie powiedziałaś tego głośno. Powiedz, że ich głośno nie wymówiłaś.

- Musiałam. Cara je pamiętała i powtórzyła. Potem ja wymówiłam je głośno kilka razy.

Zedd drgnął.

- Więcej niż raz?

- Co z tym zrobimy, Zeddzie? - szepnęła Ann.

- A co? W czym problem? - spytał Richard.

- Nie musisz się tym martwić. Tylko już więcej nie wymawiaj ich na głos.

Niech nikt z was już tego nie robi.

- Zeddzie, a jeśli ona uwolniła... - wyszeptała cicho Ann. Zedd uciszył ją dotknięciem dłoni.

- A co niby miałam zrobić? - spytała, broniąc się, Kahlan. - Richard wchłonął magię z książki, którą Siostra Amelia wyniosła ze Świątyni Wichrów. Był o krok od śmierci, cierpiał na mór. Jeszcze kilka chwil, a by

umarł. Wolelibyście, żebym pozwoliła mu umrzeć?

- Oczywiście, że nie, kochanie. Dobrze zrobiłaś. - Zedd spojrzał znacząco na Ann i nachylił się ku niej. - Potem to omówimy.

Ann splotła dłonie.

- Oczywiście. Zrobiłaś to, co należało. Jesteśmy ci wdzięczni, Kahlan. Dobrze postąpiłaś.

Zedd coraz bardziej poważniał.

- Kurczę, Richardzie, Świątynia Wichrów jest w zaświatach. Jak się tam dostałeś?

Richard obejrzał się na świętujących ludzi.

- Musimy ci opowiedzieć tę historię. A przynajmniej jej część. Ale dzisiaj Kahlan i ja mamy wziąć ślub. - Chłopak się uśmiechnął, a Kahlan pomyślała, że to wymuszony uśmiech. - To długa i trudna opowieść. Chyba podzielę się nią z wami kiedy indziej. Teraz nie mogę...

Zedd przesunął palcem po policzku.

- Ależ oczywiście, Richardzie, rozumiem. Masz całkowitą rację. Innego dnia.

Ale Świątynia Wichrów... - Uniósł palec, nie mogąc się powstrzymać: - Co musiałeś zostawić w Świątyni Wichrów, Richardzie, żeby móc wrócić?

Richard wymienił z dziadkiem długie spojrzenie.

- Wiedzę.

- A co ze sobą zabrałeś?

- Zrozumienie.

Zedd objął wnuka i Kahlan.

- To dobrze dla ciebie, Richardzie. Dobrze dla ciebie. Dla was obojga.

Zasłużyliście na dzisiejszy dzień. Odłóżmy na bok inne sprawy i świętujmy radośnie wasze zaślubiny.

ROZDZIAŁ 70

Przez cały dzień radowali się towarzystwem przyjaciół i bliskich, rozmawiali i śmiali się, świętowali wraz z Błotnymi Ludźmi. Kahlan robiła, co mogła, by zapomnieć o tym, jak głęboko wycięty dekolot błękitnej sukni ślubnej odsłania jej piersi. Było to trudne, bo co chwilę ktoś podchodził i mówił jej, jakie ma piękne piersi. A Richard cały czas chciał wiedzieć, co oni mówią. Uznała, że lepiej nie mówić mu prawdy, i powiedziała, że chwałę jej piękną suknię.

Słońce ozłociło niebo i wreszcie nadszedł czas.

Kahlan ścisnęła mocno dłoń Richarda, jakby tylko to utrzymywało ją na ziemi.

A Richard nie mógł oderwać oczu od Kahlan ubranej w błękitną ślubną szatę. Ilekroć na nią spojrzał, tylekroć uśmiechał się z zachwytem.

Kahlan natomiast cieszyła się, widząc, jak bardzo podoba mu się suknia, którą uszyła dla niej Weselan. Tak długo marzyła o przywdzianiu jej, marzyła o tej chwili.

Całym sercem pragnęła, by nadszedł wreszcie ten dzień. I często bała się, że to się nigdy nie stanie. Tak wiele razy działo się coś, co odwlekało tę chwilę. Teraz wreszcie się spełniało.

Richard powtarzał słowa Błotnych Ludzi, nie mając pojęcia, że chwali piersi Kahlan. Wszyscy się uśmiechali z zadowoleniem, kiedy powtarzał słowa w ich języku, szczęśliwi, że się z nimi zgadza. Kahlan czuła, jak się rumieni.

Richard wspaniale wyglądał w czarno-złotym stroju czarodzieja wojny.

Dziewczyna uśmiechała się za każdym razem, gdy nań spojrzała. Wychodziła za Richarda. Nareszcie. Kolana drżały jej pod błękitnym strojem.

Stojąca z tyłu Cara dotknęła uspokajająco ramienia Kahlan. Asystująca jej z boku Weselan promieniała. Promieniał z dumy również Savidlin, który zajmował miejsce u boku Richarda. Ann i Zedd stali z tyłu. Zedd coś jadł.

Kahlan modliła się w myślach do dobrych duchów, żeby tym razem nic im nie przeszkodziło i żeby się wreszcie dokonało. Nie mogła się pozbyć obaw, że i tym razem zostanie jej to odebrane.

Staął przed nimi Człowiek Ptak, złożył dłonie. Za nim zgromadzili się

mieszkańcy wioski, żeby usłyszeć śluby.

W końcu wszyscy umilkli i Człowiek Ptak rozpoczął ceremonię, a Kahlan zaczęła się bać, że do cna stopnieje w radosnym oczekiwaniu. Stojący obok przywódcy wioski Chandalen powtarzał jego słowa w języku zrozumiałym dla Richarda i kilku innych osób.

- Tych dwoje nie urodziło się Błotnymi Ludźmi, lecz dowiedli, że są jednymi z nas, zarówno swoją siłą, jak i swoimi sercami. Związali się z nami, związali nas z sobą. Stali się naszymi przyjaciółmi i obrońcami. Szczerości ich serc dowodzi to, że pragną być zaślubieni jako para Błotnych Ludzi. Tych dwoje członków naszej społeczności postanowiło złożyć śluby nie tylko przed mieszkańcami tego świata, ale i tamtego, i w tym celu przywołało duchy naszych przodków, by towarzyszyły nam tego dnia i radowały się tymi zaślubinami. Witamy w naszych sercach naszych przodków i prosimy, by dzielili z nami radość.

Richard ścisnął mocno dłoń Kahlan, a ona pojęła, że podziela jej myśli: to się wreszcie naprawdę działo i było tak, jak oboje zawsze marzyli - a właściwie wspanialej, niż potrafiła sobie wyobrazić.

- Oboje jesteście Błotnymi Ludźmi i wiążecie się nie tylko słowami, wypowiedzianymi przed waszym ludem, ale i sercami. Są to proste słowa, lecz w prostych rzeczach tkwi największa moc.

Spojrzał w oczy Richarda.

- Richardzie, czy chcesz za żonę tę kobietę i czy będziesz ją zawsze kochał i szanował?

- Tak - odparł Richard, a jego dźwięczny głos rozbrzmiał ponad wszystkimi zgromadzonymi.

Człowiek Ptak spojrzał w oczy Kahlan, a ona wyczuła, że przemawia nie tylko jako przedstawiciel swojego ludu, lecz również w imieniu duchów. Zdawało się jej, że słyszy w głosie mężczyzny echo ich głosów.

- Kahlan, czy chcesz za męża tego mężczyznę i czy będziesz go zawsze kochać i szanować?

- Tak - odparła równie dźwięcznie jak Richard.

- A więc zostaliście zaślubieni po wsze czasy zarówno przed waszym ludem, jak i przed duchami.

Panowała głucha cisza, dopóki Richard nie wziął jej w ramiona i nie pocałował. A wtedy wszyscy oszaleli.

Kahlan ledwo ich słyszała.

To wyglądało jak sen. Sen, który tak często śniła - i który wreszcie stał się jawą.

Być w ramionach Richarda. Mieć go. Być jego żoną - on był jej mężem. Na zawsze.

A potem wszyscy ich ściskali. Zedd i Ann. Człowiek Ptak i starsi. Weselan i inne zamężne kobiety.

Cara wyściskała Kahlan; oczy miała pełne łez.

- Dziękuję, że mieliście na ślubie Agiele. Raina, Hally i Denna mogły dzięki temu patrzeć. Dziękuję, że uszanowaliście poświęcenie Mord-Sith.

Kahlan otarła łzę z policzka Cary.

- Dziękuję, siostrzo, że stawiałaś czoło magii sylfy, by być tu z nami.

Każdy mieszkaniec wioski chciał pogratulować nowemu małżeństwu. Kahlan myślała, że ich zgniotą. Ludzie przynosili im kwiaty, żywność i najrozmaitsze, dawane ze szczerego serca prezenty.

Świętowano wokół podwyższenia z nowożeńcami. Kahlan i Richard starali się z każdym porozmawiać, każdemu podziękować, aż wreszcie - kiedy Richard pytał któregoś z łowców Chandalena o bitwę, której byli świadkami - rozwiła się jego złocista peleryna.

Nie było wiatru.

Richard zeszywniał. Spojrzenie drapieżnego ptaka sięgnęło poza tłum zgromadzony wokół podwyższenia. Instynktownie wyciągnął rękę po miecz. Lecz oręza nie było.

Tłum zamilkł. Zedd i Ann stanęli obok Richarda i Kahlan. Cara, z Agielem w dłoni, chciała stanąć przed nimi, lecz Richard łagodnie odsunął ją do tyłu.

Cała wioska milczała, ludzie rozstępowali się, robiąc przejście dla dwóch zbliżających się postaci. Niektórzy chwyтали dzieci i cofali się. W tłumie rozległy się wystraszone szepty.

Dwie postacie znalazły się bliżej - jedna była wysoka, druga niska, a wtedy Kahlan poznała, że to Shota i jej kompanion Samuel.

Wiedźma, równie piękna jak zwykle, weszła na podwyższenie, cały czas wpatrując się w Kahlan swoimi migdałowymi oczami. Ujęła dłoń dziewczyny i pocałowała ją w policzek.

- Przybyłam, Matko Spowiedniczko, żeby ci pogratulować i

przewycięzenia trudności, i zawarcia małżeństwa.

Zapominając o wszelkich obawach, Kahlan impulsywnie uściskała wiedźmę.

- Dziękuję, Shoto, że przybyłaś.

Shota uśmiechnęła się, wpatrzona w oczy Richarda, i obwiodła lśniącym paznokciem kontur jego twarzy.

- Ciężko wywalczone, Richardzie. Ciężko wywalczone. I dobrze zasłużone.

Kahlan spojrzała na milczący tłum. Wiedziała, że Błotni Ludzie tak bardzo bali się wiedźmy, że nawet nie wymawiali jej imienia. Dziewczyna to rozumiała - sama żywiła podobne obawy.

- Shota zjawiała się tu, by złożyć nam życzenia w dniu naszych zaślubin.

Pomogła nam w walce. Jest przyjaciółką i mam nadzieję, że miło ją powitacie, bo zasługuje na to, żeby tutaj być, a ja pragnę jej obecności. - Kahlan spojrzała na Shotę:

- Powiedziałam im...

Uśmiechnięta Shota uniosła dłoń.

- Wiem, co im powiedziałaś, Matko Spowiedniczko. Zbliżył się Człowiek Ptak.

- Witaj wśród nas, Shoto.

- Dziękuję, Człowieku Ptaku. Masz moje słowo, że dziś nie wyrządzimy wam żadnej krzywdy. - Shota spojrzała na Zedda. - Rozejm, na jeden dzień.

- Rozejm. - Zedd uśmiechnął się szelmowsko.

Samuel wyciągnął długie ramię i złapał rzeźbiony kościany gwizdek zawieszony na szyi Człowieka Ptaka.

- Moje! Dawaj!

Shota uderzyła go w głowę.

- Zachowuj się, jak należy, Samuelu.

Człowiek Ptak się uśmiechnął, zdjął z szyi rzemyk z gwizdkiem i podał go Samuelowi.

- Podarek dla przyjaciela Błotnych Ludzi.

Samuel delikatnie wziął gwizdek. Szeroki uśmiech odsłonił jego ostre zęby.

- Dziękuję, Człowieku Ptaku - powiedziała Shota. Samuel dmuchnął w gwizdek. Wyglądało na to, że usłyszał dźwięk i że ów dźwięk mu się

spodobał.

Ludzie zaczęli się znowu śmiać i rozmawiać. Kahlan poczuła ulgę, że gwizdek nie przywołał sępów. Na szczęście Samuel nie wiedział, jak przywoływać konkretne ptaki. Uśmiechnął się do swojego podarunku i zawiesił go sobie na szyi. Znow ujął dłoń Shoty.

Wiedźma spojrzała na Kahlan i Richarda. W owej chwili nie było tu nikogo innego. Owo spojrzenie sprawiło, że byli tylko oni troje.

- Nie wyobrażajcie sobie, że skoro wam gratuluję, to zapomnę, co wam zapowiedziałam.

Kahlan przełknęła ślinę.

- Shoto...

Wiedźma uniosła palec, uciszając ją. Jej oczy były zarówno piękne, jak i przerażające.

- Oboje zasłużyliście na te radosne zaślubiny. Cieszę się razem z wami.

Uszanuję wasze śluby i będę was chronić, jak tylko zdołam, ze względu na to, co dla mnie zrobiliście. Moja przysięga jest ważna dopóty, dopóki będziecie pamiętać, przed czym was przestrzegłam. Nie pozwolę żyć waszemu męskiemu potomkowi. Nie wątpcie w moje słowo.

W oczach Richarda rozpałał się gniew.

- Shoto, me pozwolę sobie grozić...

Znow uniosła palec, tym razem uciszając chłopaka.

- Nie rzucam groźby. Zapowiadam. Nie czynię tego z wrogości do któregoś z was, lecz z troski o pozostałych mieszkańców tego świata. Przed nami długa walka.

Nie dopuszczę, by to, co moglibyście sprowadzić na ten świat, zaćmiło szansę zwycięstwa. Jagang to wystarczające zagrożenie.

Kahlan z jakiegoś powodu nie mogła wydobyć głosu. Richard też. Kahlan wierzyła Shocie: wiedźmą nie kierowała złośliwość. Shota ujęła dłoń dziewczyny i coś w nią włożyła.

- To mój dar dla was. Robię to z miłości do was i do innych ludzi. - Uśmiechnęła się osobliwie. - Dziwne to słowa w ustach wiedźmy, prawda?

- Nie, Shoto. Nie wiem, czy wierzę w to, co nam powiedziałaś o synku, lecz wiem, że nie powiedziałaś tego z nienawiści - odezwała się Kahlan.

- To dobrze. Zawsze noś ów dar, a wszystko będzie dobrze. Zapamiętaj moje słowa i nigdy tego nie zdejmuj, kiedy będziecie razem, a będziecie

szczęśliwi. Jeśli zlekceważysz moją prośbę, doświadczysz skutków mego ostrzeżenia. - Spojrzała Richardowi w oczy. - Lepiej walczyć z samym Opiekunem niż ze mną.

Kahlan otworzyła dłoń i zobaczyła delikatny naszyjnik. Na złotym łańcuszku wisiał mały ciemny kamień.

- Co to jest?

Shota uniosła palcem brodę Kahlan i popatrzyła dziewczynie w oczy.

- Dopóki będziesz to nosić, dopóty nie będziesz miała dzieci.

- Ale jeśli my... - Głos Richarda był dziwnie łagodny. I znów Shota go uciszyła.

- Kochacie się. Cieszcie się sobą i miłością. Ciężko walczyliście, żeby być razem. Radujcie się waszym związkiem i waszą miłością. Teraz należycie do siebie, jak zawsze tego pragnęliście. Nie zniszczcie tego.

Richard i Kahlan potaknęli. Dziewczyna nie czuła gniewu. Czuła jedynie ulgę, że Shota nie zrobi niczego, co zaszkodziłoby ich małżeństwu. To było jak sen; jak formalna ugoda dotycząca odległej, nieznannej połaci ziemi, do której rościły sobie prawa dwie krainy; jak układy odbywające się w komnatach rady, którym tak często przewodniczyła. Nie odwoływało się to do żadnych uczuć. To była zwykła ugoda.

Wiedźma odwróciła się, żeby odejść.

- Shoto - odezwał się Richard, a ona obróciła się ku niemu. - Nie zostałąbyś?

Przebyłaś długą drogę.

- Tak - zawtórowała mu Kahlan. - Naprawdę chcielibyśmy, żebyś została.

Shota uśmiechnęła się swoim uśmiechem wiedźmy, patrząc, jak Kahlan zapina na szyi łańcuszek.

- Sama wasza prośba jest wystarczająco miła, lecz to długa podróż i musimy już wyruszać.

Kahlan zbiegła z podwyższenia, wzięła stosik placków tava. Zawinęła je w kawałek płótna. U stóp schodków spotkała Shotę.

- Weź to na podróż jako nasze podziękowanie za przybycie i prezent.

Wiedźma pocałowała ją w policzek i wzięła zawiniątko. Samuel nie próbował go sobie przywłaszczyć. Wydawał się zadowolony. Richard nagle znalazł się obok Kahlan. Shota uśmiechnęła się leciutko i również jego pocałowała w policzek. Jej oczy miały dziwny, tęskny wyraz.

- Dziękuję. Wam obojgu.

A potem zniknęła. Po prostu zniknęła. Zedd i Ann wciąż byli na podwyższeniu, razem z Cara i pozostałymi. Zedd spojrzął na Richarda i Kahlan.

- Co się stało z Shotą? Zawarliśmy rozejm, a ona odeszła tak bez słowa?

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Rozmawiała z nami. Zedd się rozejrzał.

- Kiedy? Zniknęła, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- I ja zamierzałam z nią porozmawiać - wtrąciła się Ksieni. Kahlan spojrziała na Richarda. Chłopak spojrzął na Zedda.

- Powiedziała nam kilka miłych słów. Pewno nie chciała, żebyście słyszeli, jak mówi miłe rzeczy.

- No myślę - zachichotał czarodziej.

Kahlan dotknęła ciemnego kamienia zawieszzonego na złotym łańcuszku.

Objęła Richarda w pasie i przytuliła się do niego.

- Co o tym myślisz? - szepnęła.

- Jak na razie ma rację: jesteśmy razem. Tego chcieliśmy. Uważam, że powinniśmy być szczęśliwi, iż wreszcie spełnił się nasz sen i możemy być razem.

Mam dosyć kłopotów, a jest jeszcze Jagang. Teraz chcę po prostu być z tobą i kochać cię. Kahlan wsparła głowę na jego piersi.

- Uważam, że masz rację. Nie komplikujmy na razie spraw.

- Będziemy się tym martwić innym razem. - Uśmiechnął się do niej. - Dobrze?

Kahlan zapomniała o Shocie i o przyszłości i odwzajemniła uśmiech, myśląc o teraźniejszości.

- Dobrze.

Uczta przeciągnęła się długo w noc. Kahlan wiedziała, że najprawdopodobniej potrwa do rana. Szepnęła Richardowi, że chętnie nie zostałyby do końca uroczystości.

Richard pocałował ją w policzek, a potem spytał Człowieka Ptaka, czy mogą odejść.

Chcieliby pójść do domu duchów. Dom duchów miał specjalne znaczenie dla obojga.

- To był długi dzień. - Człowiek Ptak uśmiechnął się. - Śpijcie dobrze.

Richard i Kahlan podziękowali wszystkim, a potem - w ciszy domu duchów, w łagodnym blasku ognia, który tu zawsze płonął - byli w końcu sami.

Patrzyli sobie w oczy i słowa nie były potrzebne.

Berdine wyprostowała się sztywno, patrząc, jak gwałtownie otwierają się dwuskrzydłowe drzwi. Wpadły do Pałacu Spowiedniczek jak język ognia: tuzin Mord-Sith w czerwonych skórzanych uniformach.

Żołnierze rażno usuwali się im z drogi, starając się jednocześnie sprawiać wrażenie, że irn wcale do tego nie spieszą. Zajęli szybko posterunki w bezpiecznej odległości. Dwanaście kobiet w ogóle nie zwróciło na nich uwagi. Mord-Sith rzadko zauważała obecność d'harańskich żołnierzy, chyba że przysparzali jej kłopotu.

Cała grupka się zatrzymała. W westybulu znów zapanowała cisza.

- Dobrze cię widzieć, Berdine.

Berdine pozwoliła sobie na lekki uśmiezek.

- Witaj, Rikko. Co tutaj robicie? Lord Rahl zostawił was w Pałacu Ludu, żebyście czekały na jego powrót.

Rikka omiotła wzrokiem pomieszczenie i znów spojrzała na Berdine.

- Słyszałyśmy, że teraz jest tutaj, i uznałyśmy, że powinnyśmy być bliżej niego, by lepiej go chronić. Zostawiłyśmy inne w pałacu, na wypadek gdyby nieoczekiwanie powrócił. My zaś wrócimy z nim, gdy uda się do domu. Berdine wzruszyła ramionami.

- On chyba uważa, że teraz jego dom jest tutaj.

- Jak sobie życzy. My też teraz tutaj jesteśmy. Gdzie on jest, żebyśmy mogły zgłosić swoje przybycie i chronić go?

- Udał się na swoje zaślubiny. Dość daleko na południe. Rikka zmarszczyła brwi.

- To dlaczego przy nim nie jesteś?

- Rozkazał, żebym tu została i pilnowała wszystkiego pod jego nieobecność.

Cara jest przy nim.

- Cara. To dobrze. Cara nie pozwoli, żeby mu się coś przytrafiło. - Rikka zastanawiała się przez chwilę, po czym znów spochmurniała. - Lord Rahl się żeni?

Berdine przytaknęła.

- Jest zakochany.

Pozostałe kobiety wymieniły spojrzenia, a Rikka wsparła się pod boki.

- Zakochany Lord Rahl zakochany. Jakoś sobie nie mogę tego wyobrazić - parsknęła gniewnie. - Coś knuje. No cóż, nieważne. Przekonamy się. Co z innymi?

- Hally zginęła jakiś czas temu. W walce, chroniąc lorda Rahla.

- Zaszczytne śmierć. A Raina?

Berdine przełknęła ślinę, zapanowała nad głosem.

- Raina zmarła niedawno. Zabita przez wroga. Rikka spojrzała jej w oczy.

- Przykro mi, Berdine. Berdine skinęła głową.

- Lord Rahl płakał po niej, tak jak i po Hally.

Cisza w westybulu aż dzwoniła, Mord-Sith z niedowierzaniem wpatrywały się w Berdine.

- Ten człowiek przysporzy nam kłopotów - mruknęła Rikka.

- Myślę, że on powie to samo o was - uśmiechnęła się Berdine.

Kahlan zamruczała, usłyszawszy natarczywe stukanie w drzwi. Ignorowanie stukania nie dawało efektów. Pocałowała Richarda i owinęła się kocem.

- Nie ruszaj się, lordzie Rahhi. Pozbędę się ich. - Przeszła bosą przez ciemną, pozbawioną okien izbę. Uchyliła drzwi i zmrużyła oczy przed światłem. - O co chodzi, Zeddzie?

Czarodziej jadł kawałek chleba tava. W drugiej ręce trzymał tacę. Podał ją Kahlan.

- Pomyślałem, że musicie być głodni.

- Tak, dziękuję. Bardzo to miłe.

Ugryzł kęs chleba tava, przyjrzał się włosom dziewczyny. Wskazał na nie zwiniętym kawałkiem chleba.

- Nigdy nie rozczesziesz tej plątaniny, kochanie.

- Dziękuję za poradę fryzjerską.

Zaczęła zamykać drzwi. Przytrzymał je dłonią.

- Starsi zaczynają się niepokoić. Chcą wiedzieć, kiedy oddacie im dom duchów.

- Powiedz im, że ich powiadomię, gdy już będzie po wszystkim.

Za Zeddem ukazała się Cara, przybierając najgroźniejszą z groźnych min Mord-Sith.

- Już ja się postaram, Matko Spowiedniczko, żeby cię więcej nie niepokoił.

- Dziękuję, Caro.

Zamknęła drzwi przed nosem uśmiechniętego Zedda. Pospiesznie wróciła do Richarda. Postawiła tacę, położyła się i otuliła go swoim kocem.

- Nieznośny powinowaty - wyjaśniła.

- Słyszałem. Chleb tava i splątane włosy.

- No to na czym skończyliśmy?

Pocałował ją i przypomniała sobie: zapoznawał ją z magią.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63
ROZDZIAŁ 64
ROZDZIAŁ 65
ROZDZIAŁ 66
ROZDZIAŁ 67
ROZDZIAŁ 68
ROZDZIAŁ 69
ROZDZIAŁ 70